

VERNOR VINGE

Otchłań w niebie

Dla Poula Andersona

Ucząc się pisać fantastykę naukową, korzystałem z wielu wzorów, lecz prace Poula Andersona znaczyły dla mnie więcej niż jakiegokolwiek inne. Poul obdarzył mnie i świat ogromnym skarbem swych cudownych, zajmujących opowieści - i nadal to czyni. Na płaszczyźnie bardziej osobistej chciałem jeszcze raz podziękować Poulowi i Karen Andersonom za gościnność, jaką wiele lat temu, na początku lat sześćdziesiątych, okazali pewnemu młodemu pisarzowi science fiction.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować za wsparcie i pomoc wszystkim niżej wymienionym osobom:

Robertowi Cademy, Johnowi Carrollowi,
Howardowi L. Davidsonowi, Bobowi Flemingowi,
Leonardowi Fonerowi, Michaelowi Gannisowi,
Jay R. Hill, Ericowi Hughesowi, Sharon Jarvis,
Yoji Kondo, Cherie Kushner, Timowi Mayfcwi,
Keithowi Mayersowi, Mary Q. Smith i Joan D.
Vinge.

Jestem także bardzo wdzięczny Jamesowi Frenkelowi za cenne uwagi i poprawki, jakie wniósł do tej książki, i za wnikliwą analizę jej poprzednich wersji.

OD AUTORA

Akcja tej książki toczy się w przyszłości odległej o tysiące lat. Ówczesny język, pisany i mówiony, niewiele ma wspólnego z dzisiejszym. Warto jednak zaznaczyć, że początkowy dźwięk w „Queng Ho” jest taki sam jak ten w angielskim słowie „checker”. (Trixia Bonsol zrozumiałaby ten problem!).

PROLOG

Poszukiwania obejmowały obszar ponad stu lat świetlnych i trwały już osiem wieków. Zawsze była to tajna misja, o której nie wiedziała nawet część spośród jej uczestników. Początkowo były to tylko zaszyfrowane wiadomości ukryte w transmisjach radiowych. Mijały dziesięciolecia i wieki. Pojawiały się różne wskazówki, rozmowy ze współpasażerami Mężczyzny, co najmniej kilka sprzecznych hipotez: Mężczyzna był teraz sam i oddalał się coraz bardziej od pościgu; Mężczyzna umarł, nim jeszcze pościg się rozpoczął; Mężczyzna miał flotę wojenną i szykował się do ataku.

Z czasem niektóre hipotezy nabierały prawdopodobieństwa. Dowody były na tyle solidne, że kilka statków zmieniło trasę i poświęciło dziesiątki lat, by zgromadzić więcej danych. Opóźnienia i zmiany w harmonogramie przyniosły ogromne straty, poniosło je kilka spośród największych Rodzin kupieckich, które były na tyle bogate i jednocześnie tak zaangażowane w ten projekt, że machnęły na nie ręką. Tymczasem obszar poszukiwań coraz bardziej się zawężał; Mężczyzna podróżował samotnie, zmieniając od czasu do czasu tożsamość, przenosząc się ze statku na statek i zawsze poruszając się w tym samym kierunku, do tego zakątka Ludzkiej Przestrzeni. Poszukiwania obejmowały już tylko pięćdziesiąt lat świetlnych, potem dwadzieścia, wreszcie pół tuzina układów gwiazdowych.

Wreszcie pościg dotarł do małego świata na obrzeżach Ludzkiej Przestrzeni. Teraz Sammy mógł zaangażować do poszukiwań całą flotę. Załoga, a nawet większość właścicieli, nie знаła prawdziwego celu misji, lecz Sammy miał szansę zakończyć wreszcie poszukiwania.

Sammy osobiście wylądował na powierzchni Trilandu. Właściwie kapitan floty nie powinien zajmować się szczegółowymi zadaniami, ale tym razem miało to sens; Sammy był jedynym człowiekiem w całej flocie, który znał Mężczyznę osobiście. A biorąc pod uwagę popularność jego floty w tym świecie, mógł poradzić sobie szybko z wszelkimi biurokratycznymi bzdurami. Były to dobre powody... ale Sammy i bez nich pofatygowałyby się na planetę. *Czekałem tak długo i za chwilę wreszcie go będę miał.*

- Dlaczego miałbym kogoś dla was szukać? Nie jestem waszą matką! - Niski, drobny mężczyzna wycofał się w głąb swego biura. Drzwi za

VERNOR VINGE

jego plecami uchyliły się lekko, a Sammy dojrzał w wąskiej szparze twarz dziecka spoglądającego na nich ze strachem. Mężczyzna stanowczo zatrzasnął drzwi. Potem spojrzął gniewnie na funkcjonariuszy Departamentu Leśnictwa, którzy weszli do budynku przed Sammym. - Powtarzam wam raz jeszcze; pracuję wyłącznie w sieci. Jeśli nie znaleźliście tam tego, co was interesuje, to ja nie mogę wam pomóc.

- Przepraszam. - Sammy poklepał najbliższego policjanta po ramieniu. - Przepraszam. - Powoli przesunął się przez szeregi swej ochrony.

Właściciel widział, że ktoś wysoki zmierza w jego stronę. Sięgnął do swego biurka. *Boże*. Jeśli rozrzuci swoje bazy danych po sieci, nic z niego nie wyciągną.

Lecz niski mężczyzna zastygł nagle w bezruchu i wpatrywał się ze zdumieniem w twarz Sammy'ego.

- Admirale?

- Um... kapitan floty, jeśli pan pozwoli.

- Tak, tak! Codziennie oglądamy pana w wiadomościach. Proszę, proszę usiąść! To pan jest zainteresowany tą sprawą?

Zmiana w zachowaniu właściciela przypominała otwieranie się kwiatu ku słońcu. Najwyraźniej Queng Ho byli równie popularni wśród mieszkańców miast jak w Departamencie Leśnictwa. Po kilku sekundach właściciel - „prywatny detektyw”, jak sam siebie nazywał - uruchomił programy poszukiwawcze.

- ...Hmm. Nie ma pan nazwiska ani dobrego rysopisu, tylko prawdo podobną datę przybycia. Dobra... Leśnicy twierdzą, że ten człowiek musiał stać się kimś, kto się nazywa Bidwel Ducanh. - Zerknął kątem oka na milczących funkcjonariuszy i uśmiechnął się. - Opanowali do perfekcji umiejętność wyciągania bzdurnych wniosków z niewystarczających danych. W tym wypadku jednak... - Dokonał jakiejś operacji w programie szukającym. - Bidwel Ducanh. Tak, teraz przypominam sobie tego faceta. Jakies sześćdziesiąt czy sto lat temu był dość popularną postacią. - Człowiek znikąd, o umiarkowanych zasobach pieniężnych i niezwykłym talentem do reklamowania własnej osoby. W ciągu trzydziestu lat zdobył poparcie kilku największych korporacji, a nawet przychyłność Departamentu Leśnictwa. - Ducanh twierdził, że jest obywatelem miasta, ale wcale nie walczył o wolność. Chciał wydać pieniądze na jakiś szalony, długoterminowy projekt. Co to było? Chciał... - Prywatny detektyw podniósł wzrok znad swych danych, by spojrzeć ze zdumieniem na Sammy'ego. - Chciał sfinansować wyprawę do gwiazdy OnOff!

. Sammy skinął tylko głową.

- Do diabła! Gdyby mu się udało, okręty Trilandu znajdowałyby się już w połowie drogi. - Detektyw milczał przez chwilę, jakby rozmyślając o utraconej szansie. Potem ponownie skupił się na danych. -I wie pan, że prawie mu się udało. Taki mały świat jak nasz zbankrutowałby, gdyby chciał zorganizować podobną ekspedycję na własną rękę. Ale sześćdzie-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

siąt lat temu Triland odwiedził pojedynczy okręt Queng Ho. Oczywiście nie zamierzali zmieniać trasy, ale niektórzy zwolennicy projektu Ducanha mieli nadzieję, że jakoś im pomogą. Tyle że Ducanh nie chciał mieć nic wspólnego z tym pomysłem, nie chciał nawet rozmawiać z Queng Ho. Po tym wydarzeniu dla wielu ludzi Bidwel Ducanh stał się niewiarygodny... I w końcu Triland o nim zapomniał.

Wszystkie te fakty zapisane były w bazach danych Departamentu Leśnictwa.

- Tak. - Sammy skinął głową. - Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie obecnie przebywa ten człowiek. - Do układu słonecznego Trilandu od sześćdziesięciu lat nie zawitał żaden okręt międzygwiazdny. *On jest tutaj!*

- Ach, więc przypuszcza pan, że on może mieć jakieś dodatkowe informacje, coś dla was użytecznego nawet po tym, co działo się przez ostatnie fltey lata?

Sammy pohamował wybuch gniewu. Po tylu stuleciach oczekiwania zdobędzie się przecież jeszcze na odrobinę cierpliwości.

- Tak - odparł, starając się zachować życzliwy ton. - Warto sprawdzić wszystkie ewentualności, nie ftważa pan?

- Jasne. Dobrze pan trafił. Znam miasto na wylot, docieram do miejsc, których ci z leśnictwa nigdy nie sprawdzają. Naprawdę chcę panu pomóc. - Czekał na wyniki działania programu wyszukującego, nie był to więc całkiem zmarnowany czas. - Te obce sygnały radiowe zmieniają nasz świat, a ja chciałbym, żeby moje dzieci... - Detektyw zamilkł nagle i zmarszczył brwi. - Ha! Niestety, spóźnił się pan, kapitanie. Ten Bidwel nie żyje już od dziesięciu lat.

Sammy nic nie powiedział, ale wyraz życzliwości musiał opuścić jego twarz; właściciel wzdrygnął się, gdy podniósł nań wzrok.

- Prze-przepraszam. Może zostawił jakieś dokumenty, testament.

To niemożliwe. Nie teraz, kiedy jestem tak blisko. Była to jednak ewentualność, którą Sammy zawsze brał pod uwagę, rzecz powszechna we wszechświecie krótkich żywotów i międzygwiazdnych odległości.

- Interesują nas wszelkie dane, jakie zostawił po sobie ten człowiek - oświadczył głucho. Przynajmniej sprawa została wreszcie definitywnie zakończona - tak zapewne będzie brzmiała konkluzja pracy jakiegoś prze mądrzałego analityka.

Detektyw mruzczał coś do swych urządzeń i stukał w klawiaturę. Policjanci z Departamentu Leśnictwa przyznawali z niechęcią, że jest jednym z najlepszych specjalistów w mieście, zakonspirowanym w tak wielu miejscach, że nie mogli ukrócić jego działalności, po prostu konfiskując mu sprzęt. Naprawdę starał się być pomocny... - Być może został testament, kapitanie floty, ale nie ma go w sieci Grandville.

- Więc jest może w sieci jakiegoś innego miasta? - Fakt, że Departament Leśnictwa podzielił miejską sieć, nie wróżył dobrze przyszłości Trilandu.

VERNORVINGE

- Niezupełnie... Widzi pan, Ducanh umarł w jednym z hospicjów za konu świętego Xupere, w Lowcinder. Wygląda na to, że mnisi przejęli wszystko, co po nim zostało. Jestem pewien, że oddadzą to w zamian za ja kąś przyzwoitą darowiznę. - Spojrzał ponownie na policjantów, a jego twarz sposepniała. Może rozpoznał najstarszego, komisarza Służb Bezpieczeństwa Miejskiego. Bez wątpienia policjanci mogli odebrać mnichom wszystko, nie pytając przy tym o zgodę ani nie dając nic w zamian.

Sammy wstał i podziękował prywatnemu detektywowi; jego słowa nawet jemu samemu wydawały się sztuczne i drętwe. Kiedy ruszył ponownie w stronę wyjścia i oczekującej nań eskorty, detektyw wyszedł szybko zza biurka i pobiegł za nim. Sammy uświadomił sobie z zakłopotaniem, że wcale mu nie zapłacił. Zatrzymał się i odwrócił, czując nagły przyływ sympatii dla tego małego człowieczka. Podziwiał kogoś, kto gotów był domagać się zapłaty w obecności nieprzyjaznych (funkcjonariuszy).

- Proszę - zaczął mówić Sammy - to wszystko, co mogę... - Lecz detektyw uniósł ręce.

- Nie, to niepotrzebne. Chciałbym jednak prosić pana o pewną przysługę. Widzi pan, mam dużą rodzinę, niesamowicie bystre dzieciaki. Ta ekspedycja nie opuści Trilandu jeszcze przez jakieś pięć, dziesięć lat, tak? Czy mógłby pan dopilnować, by wszystkie moje dzieci, albo chociaż jedno z nich...?

Sammy przechylił lekko głowę. Nic, co wiązało się z pomyślnym zakończeniem ekspedycji, nie mogło być przedmiotem targów.

- Przykro mi - odparł najłagodniej, jak potrafił. - Pańskie dzieci będą musiały konkurować z wszystkimi innymi. Powinny uczyć się wytrwale, skupiać się na tych specjalizacjach, które wymienimy w komunikacie. Na pewno wtedy będą miały duże szanse.

- Tak, kapitanie! Właśnie o to chciałem pana prosić. Czy zechciałby pan dopilnować... - przelknął ciężko i wbił spojrzenie w twarz Sammy'ego, ignorując pozostałych - ...dopilnować, by pozwolono im studiować w college'u?

- Oczywiście. -Wprowadzenie drobnych zmian do regulaminu egzaminów wstępnych na studia nie stanowiło dlań żadnego problemu. Dopiero po chwili uświadomił sobie, o czym naprawdę mówi detektyw. - Jasne, zajmę się tym.

- Dziękuję, dziękuję panu! - Wcisnął swą wizytówkę w dłoń Sammy'ego. -To moje nazwisko i dane. Będę nad tym czuwał. Proszę pamiętać.

- Tak, panie... Bonsol. Będę pamiętał. - To była klasyczna transakcja Queng Ho.

Ślizgacz Departamentu Leśnictwa wznosił się coraz wyżej. Grandville liczyło zaledwie pół miliona mieszkańców, lecz stłoczonych na niewielkim obszarze zabudowanym ciasno tandetnymi, zaniedbanymi blokami,

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nad którymi wisiało gorące, lśniące od wilgoci powietrze. Lasy Pierwszych Osadników, dziewicza dzika głusza, ciągnęły się dokoła na przestrzeni tysięcy kilometrów.

Wzbili się wysoko w czyste powietrze o kolorze indygo i ruszyli na południe. Sammy ignorował siedzącego obok szefa Służb Bezpieczeństwa Miejskiego Trilandu; w tej chwili nie miał ochoty ani potrzeby silić się na uprzejmość. Połączył się ze swym zastępcą na stanowisku kapitana floty. Przed jego oczami przewinał się autoraport Kiry Lisolet. Sum Do-tran wyraził zgodę na zmianę harmonogramu; cała flota poleci na gwiazdę OnOff.

- Sammy! - w autoraport wdarł się żywy głos Kiry. - Jak ci poszło? - Prócz niego tylko Kira Lisolet w całej flocie znała prawdziwy cel tej misji, poszukiwanie Mężczyzny.

- Ja... - *Straciliśmy go, Kiro*. Te słowa jednak nie mogły przejść mu przez gardło. - Zobacz sama, Kiro. Ostatnie dwa tysiące sekund moich poszukiwań. Wracam teraz do Lowcinder... muszę zamknąć ostatni rozdział.

Chwila ciszy. Kira szybko zapoznała się z nowym materiałem. Słyszał, jak przeklina pod nosem.

- No dobra... ale sprawdź to dobrze, Sammy. Już kilka razy byliśmy niemal pewni, że go straciliśmy.

- Nigdy tak, jak teraz, Kiro.

- Powiedziała, dobrze się upewnij. - W jej głosie zabrzmiała stanowcza nuta. Spora część floty należała do rodziny Kiry. Ona sama była właścicielką jednego ze statków. Właściwie była jedyną właścicielką, która brała czynny udział w misji. Zazwyczaj nie stanowiło to problemu. Kira Pen Lisolet w prawie wszystkich kwestiach wykazywała zdrowy rozsądek i zrozumienie. Ale ta sprawa była wyjątkowa.

- Upewnij się, Kiro. Wiesz o tym. - Sammy przypomniał sobie nagle o obecności szefa SBM Trilandu u jego boku i o sprawie, którą przypadkiem odkrył przed kilkoma minutami. - A co słychać u was?

Odpowiedziała lekkim, jakby przepraszającym tonem:

- Wszystko w porządku. Dogadałam się ze stoczniami. Umowy z księżycami przemysłowymi i kopalniami na asteroidach są już gotowe. Realizujemy dalej szczegółowy plan. Nadal uważam, że możemy skompletować załogę i przygotować się do ekspedycji w ciągu trzystu Msekund. Wiesz, że Triland chciałby wyciągnąć od nas jak najwięcej. - Słyszał wesołość w jej głosie. Ich rozmowa była zaszyfrowana, wiedział jednak, że nie są całkowicie bezpieczni. Triland był ich klientem, a wkrótce miał stać się partnerem misji, ale jego władarze z pewnością chcieli wiedzieć, na czym stoją.

- Doskonale. Dodaj coś do listy, jeśli jeszcze tam tego nie ma; „Ponieważ chcemy, by nasza załoga składała się z najlepszych specjalistów, żądamy, by programy uniwersyteckie Departamentu Leśnictwa otwarte były dla wszystkich, którzy zdadzą nasze testy, a nie tylko dla potomków Pierwszych Osadników”.

VERNOR VINGE

- Oczywiście... -Po sekundzie dotarł do niej cały sens tej informacji. - Boże, jak mogliśmy przeoczyć coś takiego? *Przeoczyliśmy, bo nie po trafimy zrozumieć, jak wielka jest głupota niektórych spośród naszych part nerów.*

Tysiąc sekund później schodzili do lądowania nad Lowcinder. Miejsce to znajdowało się prawie na trzydziestym stopniu południowej szerokości geograficznej. Martwe, zamrożone pustkowia, które ciągnęło się wokół miasta, wyglądało jak zdjęcia nietkniętego ludzką stopą Trilandu równikowego sprzed pięciuset lat, nim jeszcze Pierwsi Osadnicy zaczęli wypełniać atmosferę gazami cieplarnianymi i tworzyć skomplikowaną strukturę sztucznej ekologii.

Lowcinder znajdował się obok środka czarnej plamy, produktu stuleci „nukleonicznie czystych” paliw raketowych. Był to największy port kosmiczny na Trilandzie, lecz miasto wyglądało równie pęsepnie i biednie jak wszystkie pozostałe osady na planecie.

Ślizgacz zwolnił i sunął teraz powoli nad zabudowaniami, opuszczając się jednocześnie ku ziemi. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a w mieście panował półmrok. Z każdym kilometrem ulice stawały się coraz węższe. Standardowe bloki mieszkalne ustępowały miejsca wielkim sześcianom, które niegdyś były zapewne zwykłymi kontenerami używanymi-na statkach transportowych. Sammy przyglądał się temu ze smutkiem. Pierwsi Osadnicy pracowali przez wieki, by stworzyć piękny świat, teraz ten świat wymykał im się spod kontroli. Problem ten pojawiał się niemal na wszystkich planetach, które poddawano terraformacji. Istniało co najmniej pięć stosunkowo bezbolesnych metod na to, by osiągnąć w takiej sytuacji ostateczny sukces. Jeśli jednak Pierwsi Osadnicy i ich Departament Leśnictwa nie chcieli zastosować żadnej z nich... cóż, być może po powrocie floty nie zastaną tu już żadnej cywilizacji. W najbliższym czasie musi odbyć poważną rozmowę z przedstawicielami klasy rządzącej.

Powrócił myślami do terażniejszości, kiedy ślizgacz wylądował wśród ponurych kanciastych budynków. Sammy i jego towarzysze z Departamentu szli przez na wpół zamrożoną breję. Przemieszane beładnie ubrania - dary? - leżały w pudłach na stopniach budynku, do którego się zbliżali. Policjanci obeszlili je szerokim łukiem. Potem wspięli się na schody i wkroczyli do środka.

Zarządca hospicjum nazywał siebie Bratem Pieśni i wyglądał tak, jakby bliski był już śmierci.

- Bidwel Ducanh? - Uciekł spojrzeniem od twarzy Sammy'ego. Brat Pieśni najwyraźniej go nie rozpoznawał, z pewnością znał jednak ludzi z Departamentu Leśnictwa. - Bidwel Ducanh umarł dziesięć lat temu.

Kłamał. Kłamał.

Sammy wziął głęboki oddech i rozejrzał się po obskurnym pokoju. Nagle poczuł się tak groźny i niebezpieczny, jak przedstawiali go niektó-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

rzy plotkarze z floty. *Boże, wybacz mi, ale zrobię wszystko, żeby wyciągnąć prawdę z tego człowieka.* Spojrzał ponownie na Brata Pieśni i zdobył się na przyjazny uśmiech. Chyba nie wyszło mu to najlepiej; starzec cofnął się o krok.

- Hospicjum to miejsce dla umierających ludzi, tak, Bracie Pieśni?

- To miejsce dla wszystkich, którzy chcą dożyć swych dni. Wykorzystujemy wszelkie fundusze, jakimi obdarowują nas ludzie, by pomóc tym, którzy do nas przychodzą. - W trudnej sytuacji Trilandu prymitywna filozofia Brata Pieśni nabierała straszliwego sensu. Pomagał najbardziej schorowanym, jak tylko mógł.

Sammy uniósł rękę.

- Każde z hospicjów waszego zakonu otrzyma stuletni budżet... jeśli zaprowadzisz mnie do Bidwela Ducanha.

- Ja... - Brat Pieśni zrobił kolejny krok do tyłu i usiadł ciężko. Wiedział, że Sammy rzeczywiście może dotrzymać tej obietnicy. Może... Potem jednak starzec podniósł nań wzrok, w którym krył się desperacki upór. -Nie. Bidwel Ducanh umarł dziesięć lat temu.

Sammy przeszedł przez pokój, oparł dłonie na poręczach krzesła, na którym siedział Brat Pieśni, i zajął mu z bliska w oczy.

- Zna pan tych ludzi, których przyprowadziłem tu ze sobą. Chyba nie wątpi pan, że wystarczy jedno moje słowo, by zniszczyli to miejsce, rozdarli je na kawałeczki? Rozumie pan też chyba, że jeśli nie znajdziemy tu człowieka, którego poszukuję, to samo stanie się ze wszystkimi hospicjami waszego zakonu na całej planecie?

Brat Pieśni najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział dobrze, na co stać Departament Leśnictwa. Przez moment jednak Sammy obawiał się, że mimo to zakonnik nie ustąpi. *A wtedy zrobię to, co muszę zrobić.* Nagle starzec jakby skulił się w sobie i zapłakał cicho.

Sammy odstał od jego krzesła. Minęło kilkadziesiąt sekund. Wreszcie starzec przestał płakać i podniósł się z krzesła. Nie spojrzął na Sammiego ani nie wykonał żadnego gestu; po prostu wyszedł z pokoju.

Sammy wraz z towarzyszami ruszył jego śladem. Przeszli gęsiego przez długi korytarz. Była to przygnębiająca, ponura wędrówka, lecz nie ze względu na słabe oświetlenie, pokryte plamami wilgoci ściany i sufit czy brudną podłogę. Wzdłuż korytarza siedzieli ludzie na kanapach lub wózkach inwalidzkich. Siedzieli i wpatrywali się w... pustkę. Najpierw Sammy pomyślał, że mają na głowach wyświetlacze okularowe, że patrzą na jakieś odległe obrazy, może znajdują się w tej samej wirtualnej rzeczywistości. Niektórzy rozmawiali przecież głośno, inni gestykulowali z ożywieniem. Potem zauważył, że znaki na ścianach są tam namalowane. Wilgotne, obłazące z farby powierzchnie stanowiły jedyną rzeczywistość dostępną ich zmysłom. A starzy ludzie siedzący w korytarzu mieli pozbawione wyrazu oczy.

Sammy szedł tuż za Bratem Pieśni. Mnich mamrotał coś do siebie, ale jego słowa miały przynajmniej jakiś sens. Mówił o Mężczyźnie:

VERNOR VINGE

- Bidwel Ducanh nie był miłym człowiekiem. Nie wydawał się sym patyczny, nawet na początku... szczególnie na początku. Mówił, że kiedyś był bogaty, ale niczego nam nie dał. Przez pierwsze trzydzieści lat, kiedy byłem młody, pracował najciężej z nas wszystkich. Nie istniały dla niego zbyt wymagające, za brudne zajęcia. Ale o wszystkich mówił źle. Szydził ze wszystkich. Czuwał z pacjentem przez ostatnią noc jego życia, a potem z niego kpił. - Brat Pieśni mówił w czasie przeszłym, lecz po kilku sekundach Sammy zrozumiał, że wcale nie próbuje go o niczym przekonywać. Brat Pieśni nie mówił nawet do siebie. Wyglądało to raczej tak, jakby od mawiał modlitwę pożegnalną dla kogoś, kto bliski jest śmierci. - A po tem, w miarę upływu lat, mógł pomagać coraz mniej, jak my wszyscy. Mówił o swoich wrogach, że na pewno go zabiją, gdy tylko go odnajdą. Śmiał się, kiedy obiecywaliśmy, że go ukryjemy. W końcu ostała się tylko jego podłość, a i tej nie mógł dać upustu słowami.

Brat Pieśni zatrzymał się przed wielkimi drzwiami. Duży, kwiecisty napis ponad nimi głosił: „Pokój słoneczny”.

- Ducanh to ten, który ogląda zachód słońca. - Mnich jednak nie otwierał drzwi. Stał nieruchomo ze zwieszoną głową, jakby chciał odwlec nieuniknione.

Sammy zaczął go okrążyć, potem zatrzymał się na moment i powiedział:

- Co do pieniędzy, o których wspomniałem; zostaną przelane na konto waszego zakonu.

Starzec nie podniósł głowy. Splunął na kurtkę Sammy'ego i ruszył w drogę powrotną, przepychając się między policjantami.

Sammy odwrócił się i pociągnął za mechaniczny zatrask.

- Kapitanie? - To był komisarz SBM. Zbliżył się do Sammy'ego i prze mówił cicho. - Nie chcieliśmy podejmować się tego zadania. Powinni by li robić to wasi ludzie.

Co takiego?

- Zgadzam się z panem, komisarzu. Więc dlaczego nie pozwoliliście ich tutaj sprowadzić?

- To nie była moja decyzja. Widocznie uznali, że policjanci będą bardziej dyskretni. - Komisarz odwrócił wzrok. - Proszę posłuchać, kapitanie. Wiem, że Queng Ho nie zapominają łatwo o urazach.

Sammy skinął głową, choć prawda ta odnosiła się raczej do całej cywilizacji niż konkretnych osób. Komisarz spojrział mu wreszcie prosto w oczy.

- Dobrze. Zatem współpracowaliśmy z panem. Zadbaliśmy o to, by żadna wzmianka o poszukiwaniach nie dotarła do uszu pańskiego... celu. Ale nie będziemy się nim zajmować. Odwrócimy głowy; nie będziemy pana powstrzymywać. Ale ja go nie tknę.

- Ach... - Sammy próbował wyobrazić sobie, jakie miejsce w moralnym panteonie zajmowałby ten człowiek. - Cóż, komisarzu, nie proszę

OTCHŁAŃ W NIEBIE

was o nic ponadto, byście nie wchodzili mi w drogę. Sam doskonale sobie poradzę.

Policjant skinął szybko głową. Odstąpił o krok i nie ruszył się z miejsca, gdy Sammy otworzył drzwi do „Pokoju słonecznego”.

Powietrze było tutaj chłodne i zatęchłe, tylko odrobinę lepsze od wilgotnej, kwaśnej atmosfery korytarza. Sammy szedł w dół ciemnej klatki schodowej. Kiedyś znajdowało się tu wyjście na poziom ulicy. Teraz okryto je plastikowymi arkuszami, tworząc coś w rodzaju patio.

A jeśli on jest taki sam jak ci nieszczęśnicy z korytarza ? Ta myśl przypominała mu o ludziach, którym medycyna nie mogła już pomóc. Albo o ofiarach szalonych eksperymentów. Ich umysły umierały po kawałku. Był to scenariusz, nad którym nigdy się poważnie nie zastanawiał, teraz jednak...

Dotarł do podnóża schodów. Zza rogu wylewało się słabe światło dnia. Sammy otarł usta wierzchem dłoni i przez długą chwilę stał w bezruchu.

Zrób to. Ruszył wreszcie z miejsca i wszedł do wielkiej sali. Wyglądała jak część parkingu, ale przykrywały ją tafle półprzezroczystego plastiku. Nie było tu żadnego ogrzewania, zimne podmuchy wiatru wciskały się do środka przez szpary między arkuszami. Kilka postaci okutanych w grube warstwy ubrań siedziało na krzesłach porozstawianych w różnych punktach placu. Nie patrzyły na jakiś konkretny punkt; kilka osób wpatrywało się w szary kamień zewnętrznej ściany.

Sammy prawie tego nie zauważał. W odległym kącie pokoju przez szparę lub przeszklony fragment dachu wpadała do wnętrza smuga światła słonecznego. Ktoś siedział dokładnie pośrodku owej jasnej plamy.

Sammy szedł powoli przez pokój, ani na moment nie odrywając spojrzenia od samotnej postaci otoczonej złotym i czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Jej twarz przypominała twarze członków wysoko postawionych rodzin Queng Ho, lecz nie to oblicze pamiętał Sammy. Nieważne, Mężczyzna z pewnością dawno już zmienił swój wygląd. Poza tym Sammy miał w kieszeni licznik DNA i kopię prawdziwego kodu DNA Mężczyzny.

Siedział zawinięty w koc, na głowie miał grubą włóczkową czapkę. Nie poruszał się, ale obserwował coś z uwagą, obserwował zachód słońca. *To on.* To przekonanie nie było poparte żadną racjonalną myślą, ale w zasadzie miał pewność. *Może niekompletny, ale to on.*

Sammy przysunął sobie wolne krzesło i usiadł naprzeciwko postaci w smudze światła. Minęło sto sekund. Dwieście. Dopalały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Spojrzenie Mężczyzny było pozbawione wyrazu, zareagował jednak na chłód dotykający jego twarzy. Poruszył głowę, jakby czegoś szukał, i zauważył wreszcie swego gościa. Sammy odwrócił lekko głowę, tak by resztki światła padały na jego twarz. W oczach Mężczyzny pojawił się jakiś błysk, zdumienie, wspomnienie wypływające z głębin pamięci. Nagle mężczyzna uniósł ręce z zakrzywionymi palcami, jakby chciał rzucić się na Sammy'ego i wydrapać mu oczy.

VERNOR VINGE

-Ty!

- Tak, to ja. - Poszukiwania ośmiu stuleci dobiegły końca.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie na swym wózku, poprawił koc. Milczał przez kilka sekund, wreszcie przemówił urywanym głosem.

- Wiedziałem, że wasz... wasz rodzaj będzie mnie nadal szukał. Fi nansowałem ten przeklęty kult Xupere, ale zawsze wiedziałem... że to może nie wystarczyć. - Znów poprawił się w wózku. Jego oczy płonęły dziwnym blaskiem, którego Sammy nie widział tam przed laty. - Nie mów mi. Każda Rodzina dołożyła się po trosze. Może w załodze każdego stat ku Queng Ho jest ktoś, kto mnie szuka.

Nie miał pojęcia o rozmiarach poszukiwań, które wreszcie osiągnęły swój cel.

- Nie chcemy zrobić panu krzywdy.

Mężczyzna roześmiał się chrapliwie. Nie spierał się z nim, ale wyraż- nie mu nie wierzył.

- Mam pecha, że akurat ciebie wystali na Triland. Jesteś dość sprytny, żeby mnie znaleźć. Powinni byli bardziej cię docenić, Sammy. Powinieneś zostać kapitanem floty albo kimś jeszcze ważniejszym, a nie chłopcem na posyłki. - Poprawił się ponownie, sięgnął dłonią w dół, jakby chciał podrapać się po pośladku. *Co to było? Hemoroidy? Rak? Boże, na pewno siedzi na pistolecie. Był gotowy na spotkanie przez wszystkie te lata, a teraz schował broń między kocami.*

Sammy pochylił się do przodu. Mężczyzna próbował uspić jego czujność. No i dobrze. Być może tylko w ten sposób można z nim rozmawiać.

- W końcu dopisało nam szczęście. Osobiście przypuszczałem, że mo że się pan tutaj ukrywać ze względu na gwiazdę OnOff.

Dłoń gmerająca w kocu znieruchomiła na moment. Na twarzy starca pojawił się kpiący uśmiech.

- To tylko pięćdziesiąt lat świetlnych stąd, Sammy. Najbliższa Ludzkiej Przestrzeni zagadka astrofizyczna. A te niemoty z Queng Ho nigdy nie próbowały jej odwiedzić. Twój rodzaj potrafi myśleć tylko o świętym zysku. - Machnął z rezygnacją prawą ręką, podczas gdy lewa wsunęła się głębiej pod koc. - Ale cała ludzkość nie jest wcale lepsza. Osiem tysięcy lat obserwacji teleskopowych i dwa sfuszerowane przeloty, to wszystko, na co ich było stać... Myślałem, że kiedy będę już tak blisko, uda mi się zorganizować wyprawę załogową. Może znalazłbym tam coś, dokonał ja kiegoś przełomowego odkrycia. A potem, po powrocie... - Znów ten dziwny blask w jego oczach. Śnił swój nieprawdopodobny sen tak długo, że ten nim owładnął. Sammy zrozumiał, że Mężczyzna nie jest fragmentem starego siebie. Jest po prostu szalony.

Lecz długi względem szaleńca nadal pozostają długami.

Sammy pochylił się jeszcze niżej.

- Mógł pan tego dokonać. Wiem, że w chwili gdy Bidwel Ducanh znajdował się u szczytu wpływów, pojawił się tutaj statek kosmiczny.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- To byli Queng Ho. Pieprzyć Queng Ho! Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. - Jego lewa ręka już się nie poruszała. Najwyraźniej odnalazł wreszcie swoją broń.

Sammy sięgnął do przodu i dotknął lekko koca, który skrywał lewą dłoń Mężczyzny. Nie było to ostrzeżenie czy też próba powstrzymania szaleńca, lecz prośba o odrobinę cierpliwości.

- Pham. Są powody, by polecieć teraz na gwiazdę OnOff. Powody, które przemawiają nawet do Queng Ho.

- Co? - Sammy nie wiedział, czy był to dotyk, jego słowa, czy też imię, którego nikt nie wypowiadał od tak dawna - coś jednak przyciągnęło na chwilę uwagę starca.

- Trzy lata temu, kiedy lecieliśmy właśnie w tę stronę, Triland odebrał sygnały pochodzące z okolic gwiazdy OnOff. Przypominało to sygnały radia iskrowego, czegoś, co mogłaby wynaleźć cywilizacja, która całkowicie utraciła swą technologiczną historię. Przeprowadziliśmy własne badania i analizy. Transmisje przypominają wiadomości nadawane alfabetem Morse[^], tyle że człowiek nie potrafiłby utrzymać takiego rytmu.

Starzec otworzył usta i zamknął je po chwili, nie wypowiedziawszy ani słowa.

- Niemożliwe - powiedział wreszcie słabo.

Sammy czuł, że się uśmiecha.

- W pańskich ustach to słowo brzmi wyjątkowo dziwnie.

Znów chwila milczenia. Mężczyzna opuścił głowę.

- Główna wygrana. Zabrakło mi ledwie sześćdziesięciu lat. A wy, ściągając mnie do tego miejsca... wy zgarniecie teraz wszystko. - Nadal skrywał dłoń pod kocem, ale przygarbił się nagle przybity wizją własnej porażki.

- Kilku z nas... więcej niż kilku... szukało pana. Ukrył się pan bardzo dobrze, a my mieliśmy mnóstwo powodów, by utrzymywać te poszukiwania w tajemnicy. Nigdy jednak nie mieliśmy złych zamiarów. Chcieliśmy pana odnaleźć, by... - *Naprawić krzywdy? Prosić wybaczenie?* Sammy nie mógł znaleźć właściwych słów, zresztą nie byłyby one do końca prawdziwe. W końcu Mężczyzna nie miał racji. Lepiej więc mówić o teraźniejszości. - Czuliśmy się zaszczytzeni, gdyby zechciał pan polecieć z nami na gwiazdę OnOff.

- Nigdy. Nie jestem Queng Ho.

Sammy do samego końca starał się zgromadzić jak najwięcej okrętów. I właśnie teraz... Cóż, warto było spróbować.

- Nie przyleciałem na Triland sam. Mam flotę.

Mężczyzna uniósł lekko głowę.

- Flotę? - Ciekawość, jeden z najstarszych odruchów, jeszcze nie całkiem w nim obumarła.

- Krążą na niskiej orbicie, ale właśnie teraz powinny być widoczne z Lowcinder. Zechce pan popatrzeć?

VERNORVINGE

Starzec wzruszył tylko ramionami, lecz obie dłonie trzymał już przed sobą, złożone na kolanach.

- Pozwoli pan, że się tym zajmę.

Kilka metrów dalej w plastikowej tafli wycięte były drzwi. Sammy wstał, podszedł do wózka i zaczął go pchać przed sobą. Starzec nie protestował.

Na zewnątrz było zimno, prawdopodobnie poniżej zera. Nad dachami budynków wisiały jeszcze kolory zachodu słońca, lecz jedyne świadectwo ciepła dnia stanowiła lodowata breja chlupcząca pod jego stopami. Pchał wózek przez parking, do miejsca, z którego mogliby widzieć zachodnią część nieba. Starzec rozglądał się dokoła. *Ciekawe, kiedy ostatnio przebywał na zewnątrz.*

- Nie przyszło wam do głowy, Sammy, że na tym przyjęciu mogą pojawić się jeszcze inni goście?

- Słucham? - Na parkingu nie było nikogo prócz nich.

- Istnieje ludzka kolonia położona bliżej gwiazdy OnOff niż my.

Ach, na tym przyjęciu.

- Tak. Podśluchujemy ich i zbieramy dane. -Trzy piękne światy w po trójnym układzie gwiazdowym, które zaledwie przed kilkoma wiekami wyszły z epoki barbarzyństwa. - Nazywają siebie Emergentami. Nigdy jeszcze ich nie odwiedziliśmy. Przypuszczamy, że panuje tam jakiś rodzaj tyranii. Są zaawansowani technologicznie, ale bardzo zamknięci, zapa trzeni w siebie.

Starzec parsknął z lekceważeniem.

- Nie obchodzi mnie, jak dalece są zapatrzeni w siebie. To jest coś, co mogłoby... zbudzić umarłych. Weźcie broń, rakiety i głowice atomowe, Sammy. Dużo, dużo głowic.

-Tak.

Sammy ustawił wózek na skraju parkingu. W wyświetlaczu widział swe okręty wspinające się powoli w górę nieba, zakryte jednak przed nieuzbrojonym okiem przez pobliskie budynki.

- Jeszcze czterysta sekund, a zobaczy je pan nad tamtym dachem. - Wyciągnął rękę w odpowiednim kierunku.

Starzec nie odpowiedział, ale patrzył w górę. Nad ich głowami odbywał się normalny ruch powietrzny. Wieczór był jeszcze dość jasny, lecz gołym okiem można już było dostrzec kilka satelitów. Małeńka czerwona kropka na zachodzie migotała z częstotliwością, która oznaczała, że jest to jedynie ikona w wyświetlaczu Sammy'ego, a nie widzialny obiekt. W ten sposób Sammy oznaczył sobie gwiazdę OnOff. Przez chwilę wpatrywał się w ten punkt. Nawet w nocy, z dala od światła Lowcinder, OnOff nie byłaby widoczna. Lecz w małym teleskopie wyglądała jak zwykła gwiazda G... jeszcze. Za kilka lat dostrzegą ją tylko układy teleskopowe. *Kiedy przybędzie tam moja flota, będzie ciemna już od dwóch wieków... i niemal gotowa do kolejnych narodzin.*

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sammy przyklęknął na kolanie obok wózka, nie zważając na lodowato zimne blocko.

- Pozwoli pan, że opowiem panu o mojej flocie. - Mówił o tonażu, specyfice poszczególnych jednostek i o właścicielach... właściwie o większości właścicieli; kilku z nich wolał wymienić później, kiedy starzec nie będzie miał pod ręką broni. Przez cały czas obserwował też jego twarz. Mężczyzna rozumiał wszystko, co do niego mówił, to było oczywiste. Złorzeczył cicho, monotonicznie, kwitując każde z wymienianych przez Sammy'ego nazwisk nowym przekleństwem. Prócz ostatniego...

- Lisolet? To brzmi znajomo... jakby ze Strentmann.

- Tak jest. Mój zastępca pochodzi ze Strentmann.

- Ach... - Skinął głową. -To... to byli dobrzy ludzie.

Sammy uśmiechnął się do siebie. Okres przygotowawczy przed tą misją powinien trwać jakieś dziesięć lat. To dość czasu, by przywrócić Mężczyznę do normalnego stanu fizycznego. Powinno też wystarczyć, by zdiagnozować nieco objawy jego szaleństwa. Sammy poklepał oparcie wózka. *Tym razem cię nie opuścimy.*

- Tam leci pierwszy z moich okrętów. - Sammy znów wyciągnął rękę. Sekundę później nad dachem budynku pojawiła się jasna plamka. Sunęła powoli w górę nieboskłonu, osłepiająca wieczorna gwiazda. Minęło sześć sekund i ich oczom ukazał się drugi statek. Kolejne sześć sekund i następny. I następny. I następny. I następny. Potem przerwa i wreszcie jeden jaśniejszy od wszystkich pozostałych. Okręty Sammy'ego krążyły na niskiej orbicie, na wysokości czterech tysięcy kilometrów. Z takiej odległości wyglądały jak jasne punkty, maleńkie klejnoty rozstawione co pół stopnia na niewidzialnej linii przecinającej niebo. Nie różniły się niczym od okrętów transportowych zawieszonych na niskiej orbicie czy jakiejś budowy kosmicznej i nie robiły większego wrażenia na kimś, kto nie wie dzał, z jak daleka przybyły te punkciki i jak daleko mogą podróżować. Sammy słyszał, jak starzec wzdycha z podziwem. On wiedział.

Obaj patrzyli w milczeniu, jak siedem punktów przesuwają się po niebie. Wreszcie Sammy przerwał ciszę.

- Widzi pan ten najjaśniejszy, na końcu? - Najcenniejszy klejnot z kolekcji. - Nie zbudowano dotąd większego statku. To mój okręt flagowy... „Pham Nuwen”.

CZEŚĆ PIERWSZA

sto sześćdziesiąt lat później

JEDEN

Flota Queng Ho pierwsza dotarła do gwiazdy OnOff. To mogło nie mieć żadnego znaczenia, gdyż przez ostatnie pięćdziesiąt lat podróży obserwowali ogień wydobywający się z dysz okrętów Emergentów zmierzających w tym samym kierunku.

Byli sobie zupełnie obcy i spotykali się z dala od swych rodzinnych stron. Dla kupców z Queng Ho taka sytuacja nie była niczym nowym - choć zazwyczaj spotkania te przebiegały w miłej atmosferze, a obie strony zawsze wykazywały skłonność do handlowania. Owszem, tu z kolei krył się prawdziwy skarb, nie należał on jednak do żadnej ze stron. Leżał zamarznęty, czekając na znalazców, którzy w zależności od usposobienia mogli go splądrować, eksploatować lub rozwinąć. Wszystko odbywało się z dala od przyjaciół, z dala od społecznego kontekstu... z dala od świadków. W takiej sytuacji zdrada mogła okazać się najskuteczniejszym i najprostszym rozwiązaniem, i obie strony doskonale o tym wiedziały. Ekspedycje Queng Ho i Emergentów tańczyły wokół siebie od wielu dni, próbując wy badać, jaką siłą dysponuje przeciwnik i jakie są jego zamiary. Zawierano ugody, by wkrótce potem je rozwiązać, planowano wspólne lądowanie. Lecz Kupcy nadal bardzo niewiele wiedzieli o prawdziwych intencjach Emergentów. Dlatego też zaproszenie na wspólną kolację przez niektórych przyjęte zostało westchnieniem ulgi, przez innych zaś zgrzytaniem zębów.

Trixia Bonsol wsparła się na jego ramieniu i przechyliła głowę tak, by tylko on mógł ją usłyszeć.

- Widzisz, Ezer. Jedzenie smakuje całkiem przyzwoicie. Może jednak nie chcą nas otruć.

- Rzeczywiście, nie jest najgorsze - mruknął w odpowiedzi, nie pozwalając, by jej dotyk zbyt go rozproszył. Trixia Bonsol pochodziła z Trilandu, była jednym ze specjalistów przyjętych do załogi podczas przygotowań do wyprawy. Jak większość jej pobratymców cechowała ją ławowierność; ona zaś twierdziła, że Ezer ulega „kupieckiej paranoi”.

Ezer ogarnął spojrzeniem towarzystwo zgromadzone nży stołach. Kapitan floty Park przyprowadził na bankiet stu gości, lecz bardzo niewie-

lu ochroniarzy. Queng Ho usadzeni zostali pomiędzy równie licznymi Emergentami. Ezr i Trixia siedzieli z dala od stołu kapitana. Ezr Vinh, Kupiec terminator, i Trixia Bonsol, doktor lingwistyki. Ezr zakładał, że otaczający go Emergenci również nie są jakimiś ważnymi osobistościami. Queng Ho przypuszczali, że Emergenci przykładają bardzo dużą wagę do hierarchii, Ezr nie dostrzegał jednak wśród nich żadnych oznak podziału na rangi czy klasy. Niektórzy byli bardzo rozmowni, a ich nese prawie nie różnił się od standardowego języka Ludzkiej Przestrzeni. Błady, masywny mężczyzna po lewej ręce Ezra gawędził z nimi niemal przez całą kolację. Ritser Brughel, bo tak się nazywał ów nieznajomy, był najprawdopodobniej programistą bojowym, choć nie rozpoznał tego terminu, kiedy Ezr spytał go o zawód. Mówił o projektach i pomysłach, które mogły im się przydać w najbliższych latach.

- Robili to już wcześniej wiele razy, nie wiedzieliście? Dopaść ich, kiedy nie mają jeszcze technologii albo jeszcze jej nie odbudowali, ot co - mówił Brughel, koncentrując swą uwagę głównie na starym Phamie Trin-li. Najwyraźniej Emergent zakładał, że wiek przekłada się bezpośrednio na rangę i nie zdawał sobie sprawy, że jeśli jakiś starszy człowiek znajduje się w znacznie młodszym towarzystwie, to musi być nieudacznikiem. Ezr jednak wcale nie martwił się tym, że Brughel go ignoruje; dzięki temu mógł spokojnie obserwować otoczenie. Pham Trinli, z kolei, był wyraźnie zadowolony z uwagi. Jako specjalista w tej samej dziedzinie starał się przebić wszystko, co mówił doń błady Emergent, i wygadywał bzdury, od których Ezra aż skręcało.

Musiał przyznać, że technika Emergentów była bardzo zaawansowana. Mieli okręty o napędzie strumieniowym, które podróżowały szybko między gwiazdami; to stawiało ich w awangardzie rozwoju technologii kosmicznych. Nie był to jednak wyjątek. Ich komputery i aparatura radiowa nie ustępowały w niczym urządzeniom Queng Ho - Vinh wiedział, że ten fakt niepokoi służby bezpieczeństwa kapitana Parka bardziej niż skrytość Emergentów. Queng Ho zawsze korzystali na rozwoju obcych cywilizacji i w innych okolicznościach kompetencja Emergentów byłaby dla nich jedynie powodem do radości.

Byli nie tylko kompetentni, ale i pracowici. Ezr wybiegł spojrzeniem poza stoły. Sala, w której wydawano przyjęcie, naprawdę imponowała. Pomieszczenia mieszkalne na okrętach strumieniowych wyglądały zazwyczaj żałośnie. Okręty takie muszą mieć bardzo silną konstrukcję i pancierz. Podróż międzygwiazdowa, nawet przy prędkości zbliżonej do prędkości światła, trwa wiele lat, a załoga i pasażerowie spędzają większość tego czasu w hibernacji. Mimo to Emergenci rozmrozili wielu swoich ludzi, nim jeszcze pomieszczenia mieszkalne gotowe były na ich przyjęcie. Wybudowali tę salę i przyozdobili ją w ciągu niecałych ośmiu dni, i to w czasie, gdy dokonywano jeszcze ostatnich korekt orbitalnych. Pomieszczenie zbliżone kształtem do półkola miało ponad dwieście metrów dłu-

gości i wykonane zostało z materiałów ściągniętych z przestrzeni dwudziestu lat świetlnych.

Wystrój jadalni świadczył o bogactw gospodarzy, choć nie o ich rozrzutności. Ogólnie wydawał się klasoBJJW stylu i przypominał wczesne obiekty mieszkalne w Układzie Słonecznym, nim jeszcze ludzie dobrze zrozumieli i dopracowali systemy podtrzymywania życia. Emergenci byli mistrzami w produkcji tkanin i ceramiki, choć - jak zauważył Ezer - nie mieli chyba bioartystów. Draperie i meble skutecznie zasłaniały krzywizny podłogi. Sztuczna bryza dawała wrażenie nieograniczonej, wietrznej przestrzeni. Pomieszczenie pozbawione było okien, nawet monitorów przekazujących obraz z zewnątrz. Odślonięte fragmenty ścian ozdobiono interesującymi ręcznymi malowidłami (farby olejne?). Ich jasne barwy błyszczały nawet w półmroku. Wiedział, że Trixia chciałaby przyjrzeć im się z bliska. Twierdziła, że sztuka nawet bardziej niż język ukazuje prawdziwe oblicze danej kultury.

Vinh zerknął na Trixię i uśmiechnął się do niej. Trixia i tak wiedziała, co się za tym kryje, ale może uda mu się chociaż oszukać Emergentów. Ezer oddałby wszystko, by umieć zachowywać się z taką swobodą jak kapitan Park, który zatopiony był właśnie w rozmowie z Tomaszem Nau. Wydawałoby się, że ci dwaj znają się już od lat. Vinh odchylił się w krzesło, obserwując z dala zachowanie dwóch dowódców.

Nie wszyscy Emergenci byli uśmiechnięci i rozmowni. Rudowłosa kobieta przy głównym stole, zaledwie o kilka miejsc od Tomasa Nau, została oficjalnie przedstawiona, ale Ezer nie pamiętał jej imienia. Jeśli nie liczyć skromnego srebrnego naszyjnika, kobieta była ubrana wręcz surowo. Była bardzo szczupła, jej wiek wydawał się trudny do określenia. Kolor włosów mógł być sztuczny, przygotowany tylko na ten jeden wieczór, jednak jej jasnej cery chyba nie dałoby się podrobić. Była egzotyczną pięknoscią, choć poruszała się dziwnie niezdarnie, a jej usta zaciskały się w jakimś surowym grymasie. Bez ustanku krążyła spojrzeniem po stołach, lecz wydawała się samotna. Vinh zauważył, że ich gospodarz nie posadził obok niej żadnych gości. Trixia zawsze żartowała, że Ezer jest wielkim kobieciarzem, choć adoruje kobiety głównie w myślach. Cóż, ta dziwna dama zajęłaby raczej miejsce w jego koszmarach niż radosnych fantazjach.

Tymczasem Tomasz Nau podniósł się ze swego miejsca. Kelnerzy odstąpili od stołów. Umilkli wszyscy Emergenci, a po chwili dołączyli do nich nawet najbardziej rozbawieni spośród Kupców.

- Czas na toast za międzyplanetarną przyjaźń - mruknął Ezer. Bon-sol szturchnęła go łokciem, wpatrzona w główny stół. Omal nie wybuchnęła śmiechem, kiedy przywódca Emergentów zaczął od słów:

- Przyjaciele, wszyscy jesteśmy bardzo daleko od rodzinnych domów.
- Wykonał ręką szeroki gest, jakby chciał objąć nim całą przestrzeń za ścianami okrętu. - Wszyscy popełnialiśmy błędy, które mogły okazać się

VERNOR VINGE

bardzo poważne w skutkach. Wiedzieliśmy, że ten układ gwiazdny jest bardzo dziwny. - Trudno nawet wyobrazić sobie gwiazdę, która niemal całkowicie się wyłącza na 215 spośród każdych 250 lat. - Przez tysiąclecia astrofizycy wielu cywilizacji próbowali przekonać swych władców, by wysłali ekspedycję w tym kierunku. - Przerwał na moment i uśmiechnął się. - Oczywiście, aż do naszej ery taka wyprawa była poza zasięgiem Ludzkiego Dominium, głównie ze względu na koszty. Teraz jednak gwiazda ta stała się obiektem aż dwóch ludzkich wypraw. - Co za pech, pomyśleli niemal wszyscy zgromadzeni w jadalni, uśmiechając się jednocześnie uprzejmie. - Oczywiście istnieje szczególny powód, dla którego doszło do takiej sytuacji. Przed laty nie było żadnej naglącej potrzeby, by podejmować taką ekspedycję. Teraz wszyscy mamy ten sam powód: rasę, którą wy nazywacie Pająkami. To dopiero trzecia pozaludzka inteligencja odkryta do tej pory. - A w układzie planetarnym o tak niesprzyjających warunkach życie nie mogło rozwinąć się naturalnie. Pająki musiały być więc potomkami kosmonautów z pozaludzkich wypraw międzygwiazdnych. Rodzaj ludzki nie spotkał się dotąd z niczym podobnym. Mógł być to największy skarb, jaki kiedykolwiek odkryli Queng Ho, tym bardziej że współczesne Pająki dopiero niedawno powtórnie wynalazły radio. Powinni być równie niegroźni i podatni na wpływy jak każda z upadłych ludzkich cywilizacji.

Nau zachichotał pod nosem i spojrzał na kapitana Parka.

- Aż do niedawna nie zdawałem sobie sprawy, jak doskonale uzupełniają się nasze silne i słabe strony, nasze błędy i odkrycia. Wy pokonałście znacznie większą odległość, lecz podróżujecie w szybkich statkach, które zbudowaliście już wcześniej. My mieliśmy krótszą drogę, ale nie spieszyliśmy się i zabraliśmy ze sobą więcej. W większości kwestii wszyscy mieliśmy rację. - Układy teleskopowe obserwowały gwiazdę OnOff, odkąd tylko ludzkość znalazła się w kosmosie. Od wieków wiadano, że wokół gwiazdy krąży planeta wielkości Ziemi i że na jej powierzchni znajdują się pierwiastki mogące zrodzić życie. Gdyby OnOff zachowywała się jak normalna gwiazda, planeta mogłaby wyglądać całkiem przyjemnie, a nie jak zamarznęta kula śniegowa, którą była przez większość czasu. W układzie OnOff nie istniały żadne inne ciała planetarne, a już starożytni astronomowie twierdzili z całą pewnością, że jedyna planeta układu pozbawiona jest księżyca. Brak innych planet, gazowych olbrzymów, asteroid... obłoku komet. Przestrzeń wokół gwiazdy OnOff była idealnie pusta. Właściwie nic w tym dziwnego - OnOff była nieprzewidywalna i w przeszłości prawdopodobnie niejednokrotnie eksplodowała. Lecz jak w takim razie ostał się ten jeden świat? Była to tylko jedna z wielu zagadek dotyczących tego miejsca.

Naukowcy i przywódcy wyprawy znali te fakty od dawna i brali je pod uwagę w swych planach. Flota kapitana Parka od pierwszego dnia pobytu w okolicy OnOff rozpoczęła badania układu i ściągnęła kilka ki-

OTCHLAŃ W NIEBIE

loton substancji lotnych z zamrożonego świata. Znaleźli w układzie cztery skały - można by je nawet w przybliżeniu wspaniałomyślności nazwać asteroidami. Były to dziwne obiekty zbudowane z czystego diamentu, a największy miał jakieś dwa kilometry długości. Naukowcy z Trilandu omal się nie pobili, próbując wytłumaczyć to odkrycie.

Nie da się jednak jeść diamentów, przynajmniej nie tych w czystej postaci. Bez zwykłej mieszanki miejscowych substancji lotnych i rud życie floty mogło stać się naprawdę nieprzyjemne. Przekleci Emergenci mogli mówić o szczęściu. Mieli mniej specjalistów w różnych dziedzinach nauki, wolniejsze statki... ale za to znacznie lepsze wyposażenie.

Szef Emergentów uśmiechnął się dobrotliwie i kontynuował:

- W całym systemie OnOff tylko w jednym miejscu występują duże ilości substancji lotnych, na świecie Pająków. - Rozejrzał się po zgromadzonych, nieco dłużej zatrzymując wzrok na twarzach Kupców. - Wiem, że niektórzy z was chcieli z tym poczekać do chwili, aż Pająki znów będą aktywne... Lecz to oczekiwanie może przeciągać się w nieskończoność, a moja flota ma na wyposażeniu ciężkie podnośniki. Dyrektor Reynolt... - ach, tak właśnie nazywała się rudowłosa! - zgadza się z waszymi naukowcami, że tubylcy nie skonstruowali niczego bardziej skomplikowanego niż prymitywne radia. Wszystkie Pająki leżą zamrożone głęboko pod ziemią i pozostaną tam, aż OnOff ponownie wejdzie w fazę aktywności. - Czyli za jakiś rok. Przyczyny cyklu OnOff nadal pozostawały tajemnicą, lecz przemiana z ciemności w światło powtarzała się w ciągu ostatnich ośmiu tysięcy lat z zadziwiająco regularnością.

Siedzący obok Tomasa Nau kapitan S.J. Park także się uśmiechał, zapewne równie szczerze jak jego towarzysz. Kapitan nie cieszył się sympatią trilandzkiego Departamentu Leśnictwa; po części dlatego, że ograniczył okres przygotowawczy do minimum, nawet kiedy nie wiadano jeszcze o drugiej flocie. Park omal nie spalił swoich statków w opóźnionym zwalnianiu, przybywając na miejsce tuż przed Emergentami. Mógł tylko twierdzić, że był pierwszy, w zasadzie nie miał prawa do niczego cennego, ani diamentowych skał, ani niewielkich zasobów substancji lotnych. Aż do pierwszego lądowania nie wiedzieli nawet, jak naprawdę wyglądają ci obcy. Te lądowania, badanie pomników, próbki pobrane z wysypisk śmieci przyniosły wreszcie sporo informacji - które teraz trzeba będzie korzystnie sprzedać.

- Czas, byśmy zaczęli pracować razem - kontynuował Nau. - Nie wiem, co wam wszystkim wiadomo o dyskusjach, jakie prowadziliśmy przez ostatnie dwa dni. Z pewnością słyszeliście jakieś plotki. Wkrótce poznacie szczegóły, ale kapitan Park, wasza Komisja Handlowa i ja uznaliśmy, że dzisiejszy wieczór to dobra okazja, by przedstawić nasz wspólny cel. Planujemy dokonać wspólnego lądowania. Głównym jego celem będzie podniesienie z powierzchni planety przynajmniej miliona ton wody i podobnej ilości rud metali. Dysponujemy ciężkimi podnośnikami, któ-

VERNORVINGE

re bez trudu wykonają to zadanie. Poza tym chcemy także zostawić na planecie trochę ukrytych czujników i podjąć próbę zbadania kultury obcych. Wyniki i materiały zostaną podzielone równo pomiędzy nasze ekspedycje. Obydwe grupy badawcze ukryją się na powierzchni asteroid w odległości nie większej niż kilka lat świetlnych od Pajaków. - Nau zerknął ponownie na kapitana Parka. Widocznie jeszcze nie wszystkie kwestie zostały do końca ustalone. Nau uniósł kieliszek. -Wypijmy więc za koniec błędów i wspólne przedsięwzięcie. Niech przyszłość przyniesie nam nowe, donioślejsze cele.

- Hej, kochanie, to ja mam tutaj być paranoikiem, pamiętasz? My ślałem, że mnie zrugasz za moje paskudne kupieckie podejrzenia.

Trixia uśmiechnęła się słabo, lecz nie odpowiedziała od razu. Dziwnie milczała przez całą drogę powrotną z bankietu Emergentów. Teraz siedzieli już w jej kwaterze na statku Kupców. Tu zazwyczaj była najbardziej rozmowna i pogodna.

- Mieli bardzo ładną salę - odezwała się wreszcie.

- W porównaniu z naszymi kwaterami, na pewno. - Ezz poklepał plastikową ścianę. -Trzeba przyznać, że potrafili zrobić coś niezwykłego z najzwyklejszych materiałów. - Tymczasowe kwatery Queng Ho w istocie stanowiły ogromny, podzielony na części balon. Siłownia i pokoje spotkań były całkiem spore, lecz niezbyt eleganckie. Kupcy zachowywali elegancję dla większych konstrukcji, które mogli zbudować z lokalnych materiałów. Trixia miała tylko dwa pokoje, nieco ponad sto metrów sześciennych kubatury. Ściany pozbawione były ozdób, Trixia wypełniła je jednak trójwymiarowymi obrazami: jej rodziców i siostry, panoramą jakiegoś wielkiego lasu na Trilandzie. Sporą część biurka pokrywały dwuwymiarowe zdjęcia ze Starej Ziemi sprzed Ery Kosmicznej. Zdjęcia przedstawiały pierwszy Londyn i pierwszy Berlin, konie, samoloty i ludzi z tamtej epoki. Prawdę mówiąc, dzieje tych kultur nie zapowiadały dramatów, do jakich dochodziło w historii późniejszych światów. Lecz w Epoce Świtu wszystko odkrywano po raz pierwszy. Był to czas wspaniałych marzeń i ogromnej naiwności, czas, który nigdy się już nie powtórzył. Właśnie w badaniach tego okresu specjalizował się Ezz, ku przerażeniu swych rodziców i zdumieniu większości przyjaciół. A jednak Trixia doskonale go rozumiała. Ona badanie Epoki Świtu traktowała jako hobby, uwielbiała jednak rozmawiać o starych, pierwszych czasach. Wiedział, że nigdy nie znajdzie drugiej takiej jak ona.

- Hej, Trixiu, czym się tak przejmujesz? Chyba nie ma nic podejrzanego w tym, że Emergenci budują ładne mieszkania? Przez większość wieczoru zachowywałaś się całkiem normalnie, jak zwykle plotkaś słodkie głupstwa... - nie podjęła wyzwania - a potem coś się stało. Co zauważyłaś? - Odepchnął się od sufitu, by podleciec bliżej do ławki, na której siedziała Trixia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Kilka... kilka drobnych rzeczy i... - Sięgnęła po jego dłoń. - Wiesz, że mam dobre ucho do języków. - Kolejny nikły uśmiech. - Ich dialekt jest tak podobny do waszego radiowego standardu, że z pewnością musieli korzystać z sieci Queng Ho.

- Jasne. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. To młoda kultura, która dopiero buduje swoją siłę. - *Czy skończy się na tym, że będę ich bronił?* Oferta Emergentów była bardzo rozsądna, niemal hojna. W takiej sytuacji każdy Kupiec staje się nieco podejrzliwy. Lecz Trixię martwiło coś innego.

- Tak, ale kiedy mówi się tym samym językiem, trudno ukryć pewne rzeczy. Słyszałam wiele autorytatywnych zwrotów i nie były to archaizmy czy pozostałości jakiejś minionej epoki. Emergenci przyzwyczajeni są do posiadania ludzi, Ezr.

- Masz na myśli niewolnictwo? To zaawansowana technicznie cywilizacja. Wykształceni ludzie nie są dobrymi niewolnikami. Dobrym niewolnikiem jest tylko ten, kto nie zna swoich możliwości i praw.

Ścisnęła gwałtownie jego dłoń, nie w gniewie i nie w żartach, lecz z jakąś dziwną intensywnością, jakiej nigdy dotąd u niej nie widział.

- Tak, tak, ale nie znamy jeszcze wszystkich ich dziwactw. Wiemy, że potrafią OjStro pogrywać. Przez cały wieczór słuchałam tego blondyna, który siedział obok ciebie, i pary po mojej prawej stronie. Słowa „handel” czy „wymiana” nie przechodzą im łatwo przez gardła. Wyzysk to słowo, które najchętniej operują, mówiąc o Pająkach.

- Hmm... - Właśnie taka była Trixia. Rzeczy, które uchodziły jego uwagi, mogły mieć dla niej ogromne znaczenie. Czasami wydawały się trywialne nawet po tym, jak je przedstawiła. Lecz niekiedy jej wyjaśnienia były niczym jasne światło odsłaniające rzeczy i zjawiska, których istnienia nawet się nie domyślał. - No nie wiem, Trixiu. Wiesz przecież, że Queng Ho też potrafią być bardzo, hm... arogancy, kiedy klienci już ich nie słyszą.

Trixia odwróciła na moment głowę i spojrzała na wizerunek dziwnych, choć interesujących pomieszczeń, które były jej domem na Trilan-dzie.

- Arogancja Queng Ho przewróciła mój świat do góry nogami, Ezr. Wasz kapitan Park zreformował nasze szkolnictwo, zmienił struktury Leśnictwa... A był to tylko efekt uboczny.

- Nikogo nie zmuszaliśmy...

- Wiem. Nikogo nie zmuszaliście. Leśnictwo chciało mieć swój udział w tej wyprawie, a wy zgodziliście się pod warunkiem, że dostarczą wam określone produkty. - Uśmiechała się dziwnie. - Ja nie narzekam, Ezr. Bez arogancji Queng Ho nigdy nie dostałabym się do programu badawczego Leśnictwa. Nigdy nie zrobiłabym doktoratu ani nie byłabym tutaj. Jesteście cwaniakami, to prawda, ale jesteście także jedną z lepszych rzeczy, jakie przydarzyły się mojemu światu.

VERNOR VINGE

Ezr przebywał w hibernacji prawie podczas całego pobytu Queng Ho na Trilandzie, obudzono go dopiero na kilka miesięcy przed odlotem. Szczegóły transakcji z Trilandem nie były mu znane, a aż do tej pory Trixia nie mówiła o nich zbyt wiele. Hmmm. Tylko jedna propozycja małżeństwa na Megasekundę; obiecał jej, że nie będzie robił tego częściej, ale... Otworzył usta, by powiedzieć...

- Hej, poczekaj! Nie skończyłam jeszcze. Mówię teraz o tym wszystkim, bo chcę cię przekonać; jest arogancja i arogancja, a ja potrafię je rozróżnić. Ludzie, z którymi siedzieliśmy przy kolacji, przypominali raczej tyranów niż handlowców.

- A co z kelnerami? Czy oni wyglądali na gnębionych niewolników?

- Nie... Raczej na pracowników. Wiem, że to brzmi dziwnie. Ale nie widzimy też wszystkich ludzi Emergentów. Może ofiary są gdzie indziej. Lecz albo przez ignorancję, albo przez zbytnią pewność siebie, Tomas Nau pozwolił, by ich ból został wypisany na ścianach. - Zmarszczyła brwi, widząc jego pytające spojrzenie. - Obrazy, do diabła!

Opuszczając salę bankietową, Trixia przeszła powoli wzdłuż ścian, podziwiając każde malowidło z osobna. Były to piękne pejzaże, naturalne widoki albo krajobrazy dużych wielkich przestrzeni mieszkalnych. Każdy wydawał się surrealistyczny ze względu na światło i geometrię, ale każdy był także bardzo precyzyjny, ukazywał nawet pojedyncze źdźbła trawy.

- Normalni, szczęśliwi ludzie nie mogli namalować czegoś podobnego.

Ezr wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że wszystko zostały wykonane przez jedną i tę samą osobę. Są naprawdę dobre. Założę się, że to reprodukcje jakiegoś klasyka, jak pejzaże Denga Canberrana. - Ogarnięty depresją maniakalną malarz, który kontemplował swą pustą, ponurą przyszłość. - Wielcy artyści często są szaleni i nieszczęśliwi.

- Oto słowa prawdziwego Kupca!

Ezr położył drugą dłoń na jej ramieniu.

- Trixio, nie chcę się z tobą kłócić. Do tej pory to ja byłem nieufny.

- I nadal jesteś, prawda? - spytała z przejęciem, zupełnie poważnie.

- Tak. - Choć nie tak bardzo jak Trixia i nie z tych samych powodów.

- Wydają się podejrzanie szczodrzy, skoro gotowi są oddać nam połowę materiału ze swoich ciężkich podnośników. - Z pewnością krył się za tym jakiś inny, mniej korzystny dla Kupców układ. Teoretycznie potencjał intelektualny, jaki przywieźli ze sobą Queng Ho, przewyższał wartością kilka podnośników, ale rachunek ten był bardzo subtelny i trudny do udowodnienia. - Próbuję tylko zrozumieć, co zobaczyłaś, a czego ja nie zauważyłem... Dobrze, założmy, że sytuacja jest tak niebezpieczna, jak ci się wydaje. Myślisz, że kapitan Park i Komisja nie zajęliby się tym?

- A ty uważasz, że z pewnością by się zajęli, tak? Kiedy obserwowałam waszych oficerów w drodze powrotnej z bankietu, odniosłam wrażenie, że niemal pokochali Emergentów.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Cieszę się tylko, że dobiliśmy targu. Nie wiem, co myślą ludzie z Komisji.

- Mógłbyś się dowiedzieć, Ezra. Jeśli dali się ogłupić na tym bankiecie, mógłbyś otworzyć im oczy. Wiem, wiem; jesteś kadetem, istnieją pewne zasady i zwyczaje, ple, ple, ple. Ale ta ekspedycja należy do twojej Rodziny!

Ezr pochylił się do przodu.

- Iyiko część.

Trixia po raz pierwszy wspomniała także i o tym fakcie. Aż do tej pory oboje - a przynajmniej Ezra - bali się mówić głośno o różnicy w statusie. Oboje obawiali się w skrytości serca, że jedno może po prostu wykorzystywać drugie. Do rodziców Ezra Vinh i jego dwóch ciotek należała jedna trzecia ekspedycji: dwa okręty i dwa ładowniki. Ogółem Rodzina Vinh²³ posiadała trzydzieści okrętów zaangażowanych w dwanaście różnych przedsięwzięć. Podróż na Triland stanowiła jedną z mniejszych inwestycji, do której oddelegowano tylko jednego i to bardzo młodego członka Rodziny. Za dwa lub trzy stulecia Ezra Vinh powróci do swych krewnych. Będzie wtedy starszy o jakieś dziesięć, piętnaście lat. Z radością wyczekiwał tego spotkania, cieszył się, że będzie mógł pokazać swym rodzicom, jak doskonale sobie radzi. Na razie jednak nie mógł w żaden sposób wykorzystać swych wpływów.

- Trixio, istnieje spora różnica pomiędzy posiadaniem a zarządzaniem, szczególnie w moim przypadku. Gdyby w tej ekspedycji uczestni czyli moi rodzice, z pewnością mieliby wiele do powiedzenia. Ale oni dość już podróżowali. Na razie jestem w znacznie większym stopniu uczniem niż właścicielem. - Przeżył już dość upokorzeń, by się o tym przekonać. Podczas ekspedycji Queng Ho raczej nie tolerowano nepotyzmu.

Trixia milczała przez chwilę, wpatrując się w twarz Ezra. Co teraz? Vinh pamiętał dobrze uwagi ciotki Filipy o kobietach, które usidlają bogatych młodych Kupców, przywiązują ich do siebie i uważają, że mają prawo kierować ich życiem, a co gorsza - kierować interesami Rodziny. Ezra miał dziewiętnaście lat, Trixia Bonsol dwadzieścia pięć. Może wydawało jej się, że ma prawo czegoś od niego żądać. *Och, Trixio, proszę, nie.*

Wreszcie uśmiechnęła się łagodniej niż zazwyczaj.

- Zgoda, Ezra. Rób, co musisz... proszę cię tylko o jedno. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałam. - Sięgnęła do jego twarzy i pogłaskała ją czule. Jej pocałunek był delikatny, niepewny.

DWA

Smarkula czekała na Ezra przed wejściem do jego kwatery.

- Cześć, Ezra, widziałam cię wczoraj wieczorem. - Omal nie zatrzymała się w miejscu. Ona *mówi o bankiecie*. Komisja Handlowa transmitowała go na okręty floty.

VERNOR VINGE

- Jasne, Qiwi, widziałas mnie na wideo. Teraz widzisz mnie na żywo.
- Otworzył drzwi, wszedł do środka. Smarkula weszła wraz z nim. - Więc co tutaj robisz?

Qiwi do perfekcji opanowała umiejętność interpretacji pytań w dogodny dla niej sposób.

- Za dwa tysiące sekund zaczynamy razem zmianę. Pomyślałam, że moglibyśmy zejść do bakterium i poplotkować.

Vinh zanurkował do drugiego pokoju, ale tym razem zamknął drzwi Smarkuli przed nosem. Przebrał się w luźne robocze ubranie. Oczywiście Qiwi nadal czekała, kiedy wyszedł z pokoju.

Westchnął ciężko.

- Nie mam żadnych plotek. - *Na pewno nie powtórzę jej tego, co mówiła Trixia.*

Qiwi wyszczerzyła zęby w triumfalnym uśmiechu.

- Ale ja mam. - Otworzyła zewnętrzne drzwi i ukloniła się dwornie, przepuszczając go przed sobą. - Chciałabym porównać notatki z tym, co ty widziałeś, ale to nie wszystko. Komisja miała trzy kamery, w tym jedną przy wejściu - dawały znacznie lepszy widok niż ten, który miałeś ty, siedząc za stołem. - Wypląnęła za nim na korytarz, opowiadając, jak często przeglądała nagrania i z kim plotkowała na ich temat do tej pory.

Vinh poznał Qiwi Lin Lisolet podczas lotu przygotowawczego w przestrzeni Trilandu. Była najbardziej nieznośnym z dzieci, jakie spotkał w życiu. I dla jakiegoś niezrozumiałego powodu wybrała właśnie jego na obiekt swej uwagi. Po posiłku czy sesji treningowej biegła za nim i biła go po ramieniu - a im bardziej Ezra się złościł, tym większą sprawiała jej to radość. Jeden porządny klaps zmieniłby zupełnie jej pogląd na tę zabawę. Ale nie można przecież uderzyć ośmiolatki. Brakowało jej jeszcze dziewięciu lat do dolnej granicy wieku wymaganego od członków załogi. Dzieci na ogół nie wchodziły w skład załogi, szczególnie podczas podróży do tak odległego miejsca. Lecz do matki Qiwi należało dwadzieścia procent ekspedycji... Rodzina Lisolet.17 była rodziną matriarchalną, pochodziła ze Strentmann, odległego zakątka przestrzeni Queng Ho. Cechowały ich dziwne zwyczaje i wygląd. Trzeba było złamać mnóstwo zasad, lecz w końcu mała Qiwi trafiła do załogi. Podczas podróży była aktywna dłużej niż którykolwiek z członków wachty. Większa część jej dzieciństwa upłynęła między gwiazdami, w otoczeniu zaledwie kilku dorosłych, często nawet nie jej krewnych. Wystarczyło, by Vinh o tym pomyślał, a już jego gniew zamieniał się we współczucie. Biedna mała dziewczynka. Choć już nie taka mała. Qiwi musi mieć teraz już jakieś czternaście lat. Jej ataki nabrały teraz raczej charakteru werbalnego niż fizycznego - i bardzo dobrze, biorąc pod uwagę mocną budowę ciała ludzi ze Strentmann.

Teraz oboje płynęli w dół głównej osi stacji mieszkalnej.

- Cześć, Raji, jak tam interesy? - Qiwi witała się z co drugim przechodniem. W ciągu kilku Msekund przed przybyciem Emergentów kapi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

tan rozmroził prawie połowę załogi, około tysiąca pięciuset ludzi, by zapewnić obsługę wszystkim pojazdom i broni. Nie była to oszałamiająca liczba - więcej gości bywało czasem na przyjęciach organizowanych w domu rodziców Ezra - tutaj jednak tworzyła prawdziwy tłum, nawet jeśli wiele osób pełniło jednocześnie służbę na okrętach. Przy tej liczbie ludzi dawało się szczególnie zauważyć, że kwatery mieszkalne są tymczasowe. Codziennie wypełniano powietrzem kolejne części balonu, zapewniając przestrzeń życiową nowym członkom załogi. Główna oś przechodziła przez punkty styku czterech wielkich balonów mieszkalnych. Powierzchnie falowały od czasu do czasu, gdy czworo czy pięcioro ludzi musiało wyminąć się jednocześnie.

- Nie ufam Emergentom, Ezr. Uśmiechają się słodko i klepią nas po ramieniu, ale przy najbliższej okazji poderzną nam gardła.

Vinh stęknął z irytacją.

- Więc dlaczego jesteś taka wesoła?

Przelecieli obok przezroczystego fragmentu ściany - prawdziwego okna, nie tapety. Za oknem rozciągał się park. Właściwie było to tylko duże bonsai, prawdopodobnie mieściło się tu jednak więcej żywych stworzeń niż w całej sterylnej stacji mieszkalnej Emergentów. Qiwi zapatrzyła się w widok za oknem i milczała przez chwilę. Tylko żywe rośliny i zwierzęta mogły wywołać u niej taką reakcję. Ojciec Qiwi był specjalistą od Systemów Podtrzymywania Życia i artystą bonsai znanym niemal w całej przestrzeni Queng Ho.

Potem powróciła do rzeczywistości i uśmiechnęła się butnie.

- Bo wystarczy tylko przypomnieć sobie, że jesteśmy Queng Ho! Ma my tysiące lat przewagi nad tymi nowicjuszami, tysiące lat kupieckiego doświadczenia. Emergenci, dobre sobie. Są tym, kim są, tylko dlatego, że podsłuchiwali publiczną sieć Queng Ho. Bez sieci nadal mieszkaliby w tych swoich ruinach.

Korytarz zwęzał się i przechodził w długi stożek. Głosy załogi docierały do nich przytłumione przez tkaninę ściany. Znajdowali się w jednym z najgłębiej ukrytych pęcherzy stacji. Obok kadłuba i reaktora mocy była to jedyna naprawdę konieczna część statku - szyb bakterium.

Praca w szybie należała do najbrudniejszych i najmniej lubianych na całym okręcie, a polegała na czyszczeniu filtrów bakteryjnych pod zbiornikami wodnymi. Tutaj rośliny nie pachniały już tak ładnie. Właściwie oznaką dobrego zdrowia był smród zgnilizny. Większość pracy mogłaby zostać wykonana przez maszyny, lecz w kilku miejscach wymagano sprytu i rozsądku obcego zwykłym automatom, nikt zaś nie miał zamiaru tworzyć zdalnie sterowanych urządzeń tylko do tego celu. W pewnym sensie było to bardzo odpowiedzialne stanowisko. Wystarczył jeden głupi błąd, by szereg bakteryjny przedostał się przez membranę do wyższych zbiorników. Jedzenie smakowałoby jak wymiociny, a smród mógłby przedostać się do wentylacji. Lecz nawet największy błąd prawdopodobnie nie za-

VERNOR VINGE

biłby nikogo - istniały jeszcze bakterie na poszczególnych statkach, które trzymano w izolacji od siebie.

Było to więc idealne miejsce dla kogoś, kto dopiero uczył się służby na statku. Wymagało ciężkiej pracy w nieprzyjemnych warunkach, a błędy, choć nie fatalne w skutkach, mogły ściągnąć na głowę delikwenta gniew całej załogi.

Qiwi chętnie przyjmowała dodatkowe dyżury w bakterium. Twierdziła, że uwielbia to miejsce. „Mój tata mówi, że aby zajmować się dużymi stworzeniami, trzeba zacząć od tych najmniejszych”. Była chodzącą encyklopedią we wszelkich kwestiach dotyczących bakterii, splątanych ścieżek metabolicznych, bukietów smrodliwych zapachów charakterystycznych dla różnych kombinacji, cech szczepów, które mogły zostać zniszczone przy najmniejszym kontakcie z człowiekiem (szczęśliwi ci, którzy nigdy nie musieli wąchać ich smrodu).

Ezr omal nie popełnił dwóch poważnych błędów w ciągu pierwszej Ksekundy. Oczywiście zapobiegł im w porę, ale Qiwi wszystko zauważyła. Zwykle nie przepuściłaby takiej okazji i dokuczałaby mu bez końca, dzisiaj jednak jej myśli zajęte były wyłącznie sprawami Emergentów.

- Wiesz, dlaczego nie przywieźliśmy tutaj żadnych ciężkich podnośników?

Dwa największe ładowniki Queng Ho mogły podnieść tysiąc ton z powierzchni planety na orbitę. Gdyby mieli dość czasu, mogliby sami zapewnić sobie odpowiednią ilość rud i substancji lotnych. Oczywiście przybycie Emergentów pozbawiło ich właśnie tego czasu. Ezr wzruszył ramionami, wpatrzony w próbkę, którą właśnie badał.

- Znam te plotki.

- Ha. Nie potrzebujesz plotek. Wystarczy odrobina arytmetyki, by poznać prawdę. Kapitan Park domyślił się, że możemy mieć towarzystwo. Zabrał minimalną ilość ładowników i sprzętu. Przywiózł za to mnóstwo broni i bomb.

- Może. - *Na pewno.*

- Problem w tym, że Emergenci mieli tu znacznie bliżej i przywieźli jeszcze więcej broni.

Ezr nie odpowiedział.

- Tak czy inaczej słuchałam uważnie wszystkich plotek. Musimy być naprawdę wyjątkowo ostrożni. - Qiwi rozpoczęła długi wykład o taktyce i spekulacjach dotyczących uzbrojenia Emergentów. Matka Qiwi była za stępcą kapitana floty, ale i obrońcą. Obrońcą ze Strentmann. Podczas podróży Smarkuła spędzała większość czasu na nauce matematyki, trajektorii i inżynierii. Bakterium i bonsai stanowiły świadectwo wpływów jej ojca. Potrafiła się wcielać w role krwiozerczego obrońcy, sprytnego kupca i artysty bonsai, i dokonywać tych przemian zaledwie w ciągu kilku sekund. Jak to możliwe, że jej rodzice zostali małżeństwem? Dziecko, które spłodzili, było takie samotne i zagubione.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Moglibyśmy pobić Emergentów w otwartej walce - mówiła Qiwi. - I oni o tym wiedzą. Dlatego właśnie są dla nas tacy mili. Teraz trzeba tylko z nimi odpowiednio pogrywać; potrzebujemy ich ciężkich podnośników. Potem, jeśli dotrzymają umowy, może staną się bogaci, ale my będziemy znacznie bogatsi. Te patałachy nie sprzedadyby powietrza stacji bez zbiorników. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po tej operacji to my będziemy kontrolować sytuację.

Ezr dokończył sekwencję i pobrał następną próbkę.

- Cóż - mruknął - Trixia uważa, że oni wcale nie postrzegają tego jako transakcji handlowej.

- Hm... - Qiwi pokpiwała ze wszystkiego, co miało jakieś znaczenie dla Ezra - prócz Trixi. Zazwyczaj po prostu ją ignorowała. Teraz popadła w nietypowe dla siebie zamyślenie i milczała niemal przez całą sekundę.

- Myślę, że twoja przyjaciółka ma rację. Posłuchaj, Vinh, nie powinienam ci o tym mówić, ale Komisja Handlowa jest teraz mocno podzielona. - Jeśli nie zdradziła jej tego matka, Qiwi musiała zmyślać. - W Komisji jest kilku idiotów, którym wydaje się, że to czysto handlowe negocjacje i że obie strony wnoszą do wspólnej misji to, co mają najlepszego - choć, oczywiście, my jesteśmy nieco sprytniejsi. Nie rozumieją, że jeśli zostaniemy zamordowani, straty drugiej strony nie będą miały żadnego znaczenia. Musimy dobrze to rozegrać i nie dać się złapać w pułapkę.

Na swój własny, krwiożerczy sposób, Qiwi mówiła o tym samym co Trixi.

- Mama nie powiedziała tego wyraźnie, ale może dojść do impasu. - Zerknęła nań z ukosa; dziecko bawiące się w konspirację. - Jesteś właścicielem, Ezr. Mógłbyś porozmawiać z...

- Qiwi!

- Tak, tak, tak. Ja nic nie mówiłam. Nic nie mówiłam!

Dała mu spokój na jakieś dwadzieścia sekund, potem znów zaczęła rozwodzić się nad tym, jak można wykorzystać Emergentów, „jeśli przetrwamy kilka kolejnych Msekund”. Gdyby świat Pająków i gwiazda OnOff nie istniały, Emergenci byłiby odkryciem wieku w tej części przestrzeni Queng Ho. Sądząc po sposobie kierowania flotą, musieli dysponować jakimiś niezwykle sprawnymi systemami automatyzacji i planowania. Jednocześnie ich okręty nie były nawet w połowie tak szybkie jak okręty Queng Ho, a ich bionauka wydawała się jeszcze gorsza. Qiwi miała setki pomysłów, jak wykorzystać te różnice z korzyścią dla Kupców.

Ezr pozwalał jej mówić, lecz prawie nie słuchał. W innej sytuacji skoncentrowałby się całkowicie na swojej pracy. Tym razem było to niemożliwe. Powodzenie przedsięwzięcia przygotowywanego od dwóch wieków zależało teraz od kilku krytycznych Ksekund. Po raz pierwszy Ezr rozmyślał o ludziach, którzy kierowali flotą. Trixia pochodziła z zewnątrz, ale była bardzo inteligentna i na wiele spraw miała inny punkt widzenia niż Kupcy. Smarkula była sprytna, lecz zwykle jej opinii i plotki nie mia-

VERNORVINGE

ły żadnej wartości. Tym razem... może „Mama” podsunęła jej ten pomysł. Poglądy Kiry Pen Lisolet formowały się bardzo daleko, niemal w najdalszym zakątku przestrzeni Queng Ho; zapewne myślała, że nastoletni uczeń może mieć wpływ na decyzje Komisji tylko dlatego, że należy do Rodziny właścicieli. Do diabła...

Do końca zmiany nie wymyślił nic bardziej prawdopodobnego. Skończył za tysiąc pięćset sekund. Jeśli zrezygnuje z lunchu, zdąży zmienić ubranie... i poprosić o spotkanie z kapitanem Parkiem. W ciągu dwóch lat, podczas których uczestniczył aktywnie w ekspedycji, nigdy nie próbował korzystać ze swych rodzinnych koneksji. */ co ja właściwie mogę teraz zrobić? Czy naprawdę mógłbym przełamać impas?* Dręczył się tymi pytaniami aż do końca zmiany. Nie przestał o nich myśleć, kiedy zmienił robocze ubranie... i... zadzwonił do sekretariatu kapitana.

Qiwí wyszczerzyła zęby w beczelnym uśmiechu.

- Powiedz im to prosto z mostu, Vinh. To musi być operacja wojskowa.

Uciszył ją machnięciem ręki, a potem zauważył, że jego wiadomość nie dotarła na miejsce. Zablokowana? Miał już odetchnąć z ulgą, kiedy zobaczył, że wcześniej otrzymał wezwanie... z biura kapitana Parka. „Proszę stawić się o 5.20.00 w sali narad kapitana floty”. Jak brzmiało to stare przysłowie o przekleństwie spełnionych życzeń? W głowie Ezra Vinha panował ogromny zamęt, kiedy zmierzał do służby taksówek. Qiwí Lin Lisolet zniknęła z widoku; mądra dziewczynka.

Nie było to spotkanie z oficerami floty. Kiedy Ezr pojawił się w sali narad kapitana floty na okręcie QHS „Pham Nuwen”, zastał tam kapitana i... Komisję Handlową ekspedycji. Nie mieli wesołych min. Vinh mógł tylko rzucić na nich okiem, nim zatrzymał się na baczność przed poręczą. Policzył ukradkiem członków Komisji. Tak, byli tutaj wszyscy. Zasiadali dokoła stołu konferencyjnego, a ich spojrzenia nie wydawały się przyjazne.

Park przyjął postawę Ezra machnięciem ręki.

- Spocznijcie, kadecie. - Trzysta lat temu, kiedy Ezr miał pięć lat, kapitan Park odwiedził rezydencję Rodziny Vinh w przestrzeni Canberry. Rodzice Ezra podejmowali gości z królewskimi honorami, choć nie był starszym właścicielem statku. Ezr pamiętał, że on także otrzymał wtedy od niego wspaniałe prezenty i że wówczas ów człowiek wydawał mu się bardzo sympatyczny.

Przy ich następnym spotkaniu Vinh był już siedemnastoletnim kandydatem na kadeta, a Park przygotowywał flotę do lotu na Triland. Co za różnica. Od tej pory zamienili może ze sto słów i to tylko przy oficjalnych okazjach. Ezr był zadowolony z tej anonimowości; wiele by teraz dał, żeby ją odzyskać.

Kapitan Park miał wyjątkowo kwaśną minę, jakby połknął właśnie coś bardzo niedobrego. Ogarnął spojrzeniem członków Komisji Handlowej, a Vinh zaczął się nagle zastanawiać, na kogo może być zły.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Młody V... kadecie Vinh. Mamy tu dość... niezwykłą... sytuację. Wie pan, jak delikatne jest nasze położenie, odkąd przybyli tu Emergenci. - Kapitan najwyraźniej nie oczekiwał odeń potwierdzenia, więc Ezer zamknął usta, nim jeszcze zdążył wypowiedzieć krótkie „tak jest”. -W tej chwili mamy do wyboru kilka dróg dalszego postępowania. - Kolejne spojrzenie na członków Komisji.

Ezer uświadomił sobie nagle, że Qiwi Lisolet wcale nie mówiła od rzeczy. Kapitan floty miał absolutną władzę w sytuacjach taktycznych i prawo weta w kwestiach strategicznych. Lecz gdy chodziło o zasadnicze zmiany w planach i celach ekspedycji, zdany był na łaskę i niełaskę Komisji Handlowej. Tym razem musiało wydarzyć się coś poważnego. Nie był to zwykły impas; w takich wypadkach Kapitan miał głos decydujący. Nie, w Komisji musiało dojść do rozłamu graniczącego z buntem. Była to sytuacja, o której nauczyciele w szkole Ezer nawet nie wspominali lub zbywali ją jakimiś nieistotnymi uwagami. Skoro jednak już do niej doszło, to może syn właścicieli może stać się czynnikiem w procesie decyzyjnym. Rodzajem koźła ofiarnego.

- Pierwsza możliwość - kontynuował Park, nieświadom ponurych wizji, jakie rozaczały się w umyśle młodego Vinha. - Podejmujemy grę za proponowaną przez Emergentów. Wspólne operacje. Wspólna kontrola nad wszystkimi pojazdami podczas misji planetarnej.

Ezer spojrzął na członków Komisji. Kira Pen Lisolet siedziała obok kapitana floty. Ubrana była w zielony uniform swej Rodziny. Wydawała się niemal równie drobna jak Qiwi, a na jej twarzy widniała powaga i napięcie. Otaczała ją jednak aura surowej, czysto fizycznej siły. Ciała ludzi ze Strentmann były wyjątkowe, nawet według bardzo liberalnych standardów Queng Ho. Niektórzy Kupcy szcycili się swą powściągliwością. Na pewno nie należała do nich Kira Pen Lisolet. Nikt chyba nie miał wątpliwości, co Kira Lisolet sądzi o pierwszej „możliwości” kapitana Parka.

Ezer przesunął spojrzenie na inną znajomą twarz. Sum Dotran. Komisje zarządzające stanowiły elitę. Zasiadali w nich aktywni właściciele, ale przede wszystkim zawodowi planiści, którzy chcieli dorobić się własnych statków. Zupełną mniejszość stanowili bardzo starzy ludzie. Zazwyczaj byli to doskonali eksperci, którzy przedkładali zarządzanie ponad jakąkolwiek formę posiadania. Sum Dotran był właśnie kimś takim. Kiedyś pracował także dla rodziny Vinh. Ezer domyślał się, że i on jest przeciwny pierwszej „możliwości”.

- Druga możliwość. Oddzielne struktury nadzoru, ładowniki bez łączonych załóg. Przy najbliższej okazji ujawnimy się bezpośrednio Pająkom... - I pozwolimy, by Bóg Kupców oddzielił zwycięzców od przegranych, dokoń czył w myślach Ezer. Kiedy pojawi się trzeci gracz, korzyści płynące z prostej zdrady powinny się znacznie zmniejszyć. Za kilka lat ich relacje z Emergentami mogłyby nabrać charakteru normalnego, zdrowego współzawodnictwa. Oczywiście Emergenci mogą uznać jednostronny kontakt jako swego rodza-

VERNOR VINGE

ju zdradę. Niedobrze. Vinh miał wrażenie, że co najmniej połowa Komisji popiera to rozwiązanie - *ale nie Sum Dotran*. Starzec spojrział na Vinha i pokręcił lekko głową, przesyłając mu jednoznaczny sygnał.

- Trzecia możliwość. Składamy stację mieszkalną i wracamy do Tri-landu.

Zdumienie Vinha musiało się wyraźnie odbić na jego twarzy. Sum Dotran rozwinął kwestię.

- Młody Vinhu, kapitan chce powiedzieć, że jest nas mniej i praw dopodobnie mamy też mniej broni. Nikt z nas nie ufa Emergentom, a je śli nas zaatakują, nie będziemy mieli żadnej drogi ucieczki. Nie możemy ryzykować...

Kira Pen Lisolet uderzyła otwartą dłonią w stół.

'- Sprzeciw! Sam pomysł tego spotkania był absurdalny. Co gorsza, teraz widzimy, że Sum Dotran próbuje wykorzystać je, by przeforsować własne poglądy. - Eż mógł więc zapomnieć o teorii, że Qiwi działała z namowy swej matki.

- Przywołuję was oboje do porządku! - Kapitan Park zamilkł na moment, wpatrując się gniewnie w członków Komisji. - Czwarła możliwość - podjął wreszcie - pierwsi atakujemy flotę Emergentów i przejmujemy cały układ dla siebie.

- Próbujemy go przejąć - poprawił Dotran.

- Sprzeciw! -To znów Kira Pen Lisolet. Nakazała gestem, by wyświetlono przygotowane przez nią wcześniej obrazy. - Atak to jedyne rozsądne wyjście.

Obrazy Lisolet nie przedstawiały widoku nieba czy świata Pająków. Nie były to schematy czy tabele czasowe, w których tak lubowali się planiści. Nie, obraz ten przypominał raczej planetarne diagramy nawigacyjne, ukazujące ich pozycję i wektory prędkości obu flot względem siebie, świata Pająków i gwiazdy OnOff. Zaznaczono na nim także przyszłe pozycje na odpowiednim układzie współrzędnych. Diamentowe skały także zostały uwzględnione w wykresie. Wszędzie roilo się od taktycznych symboli wojskowych, oznaczeń bomb, rakiet, liczby gigaton i elektronicznych symulacji.

Ezr wpatrywał się w ten obraz i próbował przypomnieć sobie swoje zajęcia z wojskowości. Plotki o tajnym ładunku kapitana Parka były prawdziwe. Ekspedycja Queng Ho miała zęby - dłuższe i ostrzejsze niż jakkolwiek normalna flota handlowa. A obrońcy Queng Ho mieli trochę czasu na przygotowania; najwyraźniej wykorzystali go w pełni, nawet jeśli układ OnOff wydawał się niemal całkowicie pozbawiony miejsc, w których można by zastawić pułapki czy ukryć zapasy broni.

Istniała też jednak druga strona; Emergenci. Symbole wojskowe umieszczone obok ich statków przedstawiały tylko niezbyt pewne przypuszczenia. System automatyzacji Emergentów był dziwny, prawdopodobnie lepszy od Queng Ho. Emergenci przywieźli ze sobą dwukrotnie większy ładunek i, jak się można było domyślić, odpowiednio więcej broni.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ezr ponownie skupił uwagę na ludziach zasiadających wokół stołu konferencyjnego. Kto prócz Kiry Lisolet optował za atakiem? Ezr spędził w szkole sporo czasu na studiowaniu strategii, lecz zawsze uczono go, że wielkie zdrady są domeną zła i szaleństwa i że szanujący się Queng Ho nigdy nie powinien uciekać się do takich rozwiązań. Ezr był pewien, że ten widok, widok Komisji Handlowej rozważającej morderstwo, pozostanie w jego pamięci na długi czas.

Milczenie przeciągało się nienaturalnie długo. Czyżby oczekiwali od niego jakiejś wypowiedzi? Wreszcie kapitan Park przemówił:

- Domyśla się pan zapewne, kadecie Vinh, że doszło tu do impasu. Nie ma pan prawa głosu, doświadczenia ani dokładnego rozeznania obecnej sytuacji. Nie chciałbym pana urazić, ale czuję się zażenowany, przyjmując pana w ogóle na tym spotkaniu. Ale jest pan jedynym członkiem Rodziny, do której należą dwa okręty. Jeśli mógłby pan nam doradzić cokolwiek w kwestii tych czterech opcji, chętnie pana wysłuchamy.

Kadet Ezr Vinh był tylko drobnym pionkiem w tej rozgrywce, lecz teraz skupiała się na nim uwaga wszystkich obecnych. Co im powiedzieć? Tysiące pytań kłębiły się w jego głowie. W szkole uczyli się szybkiego podejmowania decyzji, zawsze jednak mieli do dyspozycji więcej danych. Oczywiście ci ludzie nie oczekiwali od niego żadnej analizy. Ta myśl uspokoiła go nieco, wyzwoliła z więzów strachu.

- Cztery możliwości, kapitanie Floty? Czy n-nie istnieją jeszcze jakies inne pomysły, o których wspomniano podczas tego spotkania?

- Żadne, które uzyskałyby poparcie moje lub choćby części Komisji.

- Hm. Pan rozmawiał z Emergentami dłużej niż ktokolwiek inny. Co pan sądzi o ich przywódcy, Tomasie Nau? - Było to jedno z pytań, nad którym zastanawiali się wraz z Trixią. Ezr nigdy by nie przypuszczał, że zada je samemu kapitanowi floty.

Park zacisnął usta, a Ezr obawiał się przez chwilę, że jego zwierzchnik wybuchnie gniewem. W końcu skinął głową.

- Jest bystry. Jego wiedza techniczna jest raczej słaba w porównaniu z tą, którą ma kapitan floty Queng Ho. Jest świetnym specjalistą w dziedzinie strategii, choć niekoniecznie tej, którą my znamy... Cała reszta to domysły i przypuszczenia, choć - jak sądzę - większość Komisji zgodzi się ze mną; nie ufam Tomasowi Nau i nie podpisałbym z nim żadnej umowy handlowej. Myślę, że dla zysku popełniłby nawet największą zdradę. Jest uprzejmy i miły w obejściu, ale to skończony kłamca, który nie przywiązuje najmniejszej wagi do obietnic i układów. - Była to najgorsza opinia, jaką mógł wygłosić Queng Ho o innym człowieku. Ezr zrozumiał nagle, że kapitan Park musi być jednym ze zwolenników ataku. Spojrzał na Su ma Dotrana, a potem ponownie na Parka. Dwie osoby, które darzył najwięszym zaufaniem, zajmowały skrajnie odmienne pozycje! *Panie, czy ci ludzie nie wiedzą, że jestem tylko kadetem!?*

VERNOR VINGE

Ezr jęknął w duchu. Wahał się przez kilka sekund, naprawdę rozważając problem. Wreszcie przemówił:

- Wysłuchawszy pańskiej opinii, z pewnością przeciwny jestem pierwszej opcji, wspólnym operacjom. Ale... przeciwny jestem także pomysłowi bezpośredniego ataku, ponieważ...

- Doskonała decyzja, mój chłopcze - przerwał mu Sum Dotran.

- ...ponieważ nie mamy w tym niemal żadnego doświadczenia, choć z pewnością nie brakuje nam wiedzy teoretycznej.

Pozostawały więc dwie możliwości: złożyć sprzęt i uciec - albo zostać, współpracować z Emergentami w możliwie jak najmniejszym stopniu i przy najbliższej okazji powiadomić Pająki. Nawet jeśli, obiektywnie rzecz biorąc, decyzja taka wydawałaby się uzasadniona, ucieczka oznaczałaby całkowitą porażkę ekspedycji. Biorąc pod uwagę obecny stan paliwa, byłaby też niezwykle powolna.

Zaledwie milion kilometrów dalej znajdowała się największa zagadka - a może największy skarb - znana tej części Ludzkiej Przestrzeni. Przebyli pięćdziesiąt lat świetlnych, byli tak blisko celu. Wielkie ryzyko, wielki skarb.

- Uważam, że stracilibyśmy zbyt wiele, wracając teraz do Trilandu. Wszyscy jednak musimy być obrońcami, dopóki sytuacja nie stanie się całkowicie bezpieczna. -W końcu Queng Ho także miało swych legendarnych wojowników; Pham Nuwen wygrał więcej bitew, niż Ezr mógł spamiętać. - M-moim zdaniem, powinniśmy zostać.

Cisza. Wydawało mu się, że na większości twarzy dostrzega ulgę. Zastępca kapitana floty Lisolet miała ponurą, zaciętą minę. Sum Dotran wykażał się mniejszą powściągliwością:

- Mój chłopcze, proszę, przemyśl to raz jeszcze. Twoja rodzina ma tu taj dwa statki. To żaden wstyd wycofać się w obliczu niemal pewnej przegranej. To raczej prawdziwa mądrość. Emergenci są zbyt niebezpieczni, by...

Park odsunął się od swego miejsca przy stole, podleciał do Suma Dotrana i położył swą wielką dłoń na jego ramieniu.

- Przykro mi, Sum - przemówił łagodnym tonem. - Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Przekonałeś nas nawet, byśmy wysłuchali młodszego właściciela. Czas, byśmy wszyscy... pogodzili się i zabrali do pracy.

Twarz Dotrana ściągnęła się w grymasie frustracji lub strachu. Trwał tak przez chwilę, wreszcie wypuścił z płuc świszczący oddech. Nagle wydał się bardzo stary i zmęczony.

- Słusznie, kapitanie.

Park powrócił na swoje miejsce przy stole i spojrział obojętnie na Ezifa.

- Dziękujemy za radę, kadecie Vinh. Mam nadzieję, że zachowa pan w tajemnicy wszystko, czego był pan tu świadkiem.

- Tak jest. - Ezr się wyprężył.

- Odejść.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Ezra odepchnął się od poręczy. Kiedy wylatywał na korytarz, kapitan Park mówił już do Komisji.

- Kiro, trzeba uzbroić wszystkie szalupy. Może powinniśmy dać Emergentom do zrozumienia, że naszych jednostek praktycznie nie da się porwać. Ja...

Drzwi zamknęły się, zagłuszając następne słowa kapitana. Ezra drżał z ulgi i zdenerwowania jednocześnie. Jakies czterdzieści lat za wcześniej brał czynny udział w kierowaniu flotą. Wcale nie było to przyjemne.

TRZY

Średnica świata Pajaków - Arachny, jak nazywali go niektórzy - wynosiła dwanaście tysięcy kilometrów, a ciężenie na powierzchni równało się 0,95 g. Planeta miała jednolite kamienne wnętrze, lecz powierzchnię otaczała dostateczna ilość substancji lotnych, by utworzyły się oceany i atmosfera. Brakowało tylko jednej rzeczy, która uczyniłaby z tego miejsca rajski świat podobny do Ziemi - światła słonecznego.

Minęło już ponad dwieście lat, odkąd gwiazda OnOff, słońce tego świata, weszło w fazę „Off”. Przez ponad dwieście lat jej blask docierający na Arachnę był niewiele jaśniejszy od tego, jaki dawały inne odległe gwiazdy.

Ładownik Ezra zniżał się nad lądem, który w cieplejszych czasach stanowił zapewne główny archipelag Arachny. Najważniejsze prace prowadzone były w tej chwili po drugiej stronie planety, gdzie ciężkie podnośniki wycinały z zamrożonego oceanu kilka milionów ton wody i wynosiły je na orbitę. Ezra nie przejmował się tym zbytnio; widział już kiedyś prace inżynieryjne na dużą skalę. To raczej ich lądowanie mogło przejść do historii...

Monitory na pokładzie pasażerskim przedstawiały rzeczywisty widok. Łądy przesuwane się w ciszy pod statkiem wyglądały jak plamy szarości przemieszanej z bielą, tu i ówdzie lekko pobłyskującą. Może była to tylko jego wyobraźnia, ale Ezrowi wydawało się, że widzi słabe cienie rzucone przez OnOff. Tworzyły one topograficzny obraz szczytów górskich i urwisk, bieli zsuwającej się do czarnych zagłębień. Dostrzegał także koncentryczne kręgi otaczające niektóre spośród bardziej odległych szczytów; grzbiety zwałów lodowych znaczące miejsca, w których ocean zamarzał wokół skał?

- Hej, dajcie na to chociaż siatkę wysokościową - rozległ się za jego plecami głos Benny'ego Wena, a na obrazie pokazały się delikatne czerwone oczka. Ich rozkład zgadzał się w dużej mierze z jego wizją cieni i śniegu.

VERNORVINGE

Ezr zgasił czerwoną siatkę.

- Kiedy gwiazda jest w fazie On, na dole żyją miliony Pajaków. Moż na by się spodziewać, że dostrzeżemy tam jakieś ślady cywilizacji.

Benny parsknął lekceważąco.

- A co spodziewałbyś się zobaczyć na naturalnym widoku? W górze widać tylko szczyty górskie, a wszystkie tereny poniżej pokryte są metra mi śniegu tlenowo-azotowego. - Normalna ziemiska atmosfera zamrzła całkowicie, tworząc wszędzie wielometrową warstwę śniegu powietrzne go. Większość miejsc, w których mogły znajdować się miasta - zatoki, uj ścia rzek - znajdowała się teraz pod tym naturalnym przykryciem. Wszystkie poprzednie lądowania odbywały się na wyżej położonych terenach, przy jakichś miasteczkach górniczych lub prymitywnych osadach. Dopie ro tuż przed przybyciem Emergenci zrozumieli, co jest właściwie celem ich poszukiwań.

Pod statkiem przesuwwały się kolejne połacie ciemnego ładu. Były tu nawet formacje przypominające strumienie lodowcowe. Ezr zastanawiał się, kiedy te ostatnie mogły się utworzyć. Może to lodowce powietrzne?

- Boże wszystkich Kupców, spójrzcie tylko na to! - Benny wskazał na lewą stronę ekranu; czerwony blask pod horyzontem. Benny zrobił zbliżenie. Światło nadal było niewielkie i znikало szybko z ich pola widzenia. Naprawdę wyglądało jak ogień, choć zmieniało kształt dość powoli. Coś przysłoniło im na chwilę widok, a Ezr miał wrażenie, że znad światła podnosi się ku niebu jakiś ciemny kształt.

- Będę miał lepszy obraz z wysokiej orbity - dobiegł z drugiej strony pokładu głos dowódcy załogi, Diema. Nie zrobił powiększenia. -To wulkan. Właśnie zgasł.

Ezr obserwował widok znikający powoli za horyzontem. Ową ciemną plamę wznoszącą się ku niebu stanowiła zapewne lava wystrzeliwana z krateru pod ciśnieniem, a może tylko woda i powietrze.

- Ciekawe... - mruknął Ezr. Wnętrze planety było zimne i martwe, choć w płaszczu planety istniało kilka skupisk roztopionej magmy. -Wszyscy uważają, że Pajaki są teraz zamrożone; a jeśli niektóre z nich żyją normalnie w pobliżu takich miejsc jak to?

- To mało prawdopodobne. Zrobiliśmy dokładne badania w podczerwieni. Gdyby wokół któregoś z wulkanów mieszkaly żywe istoty, na pewno byśmy to zauważyli. Poza tym Pajaki wynalazły radio dopiero przed ostatnim okresem ciemności. Nie są jeszcze na takim etapie rozwoju, by żyć na powierzchni planety w tych warunkach. - Konkluzja ta opierała się na kilku Msekundach rozpoznania i paru prawdopodobnych założeniach poczynionych przez chemików i biologów.

- Pewnie masz rację.

Patrzył jeszcze przez chwilę na czerwony, rozjarzony punkt, aż ten zniknął całkowicie za horyzontem. Później jego uwagę przykuły ciekawsze rzeczy znajdujące się bezpośrednio przed i pod statkiem. Eliptyczna

trajektornia lądowania prowadziła ich gładko w dół. Choć był to świat o normalnych rozmiarach, w tej chwili brakowało tam atmosfery. Poruszali się z prędkością ośmiu tysięcy metrów na sekundę kilka tysięcy metrów nad ziemią. Ezer miał wrażenie, że góry wspinają się ku nim, sięgają po nich. Mijali kolejne pasma górskie, coraz bliższe i bliższe. Benny, który zajmował miejsce za jego plecami, wydawał z siebie jakieś dziwne pomrukiwania i stęknienia, przerwawszy na chwilę swą zwykłą paplaninę. Ezer wstrzymał oddech, kiedy przemknął pod nimi ostatni grzbiet górski, tak blisko, że Vinh zastanawiał się przez chwilę, czy nie dotknął kadłuba ładownika.

Potem rozjarzył się przed nimi płomień głównego silnika.

Zejscie z miejsca, w którym Jimmy Diem osadził ładownik, zajęło im prawie 30 Ksekund. Nie było to jednak miejsce wybrane przypadkowo. Półka skalna, na której wylądowali, znajdowała się w połowie zbocza, ale nie leżała na niej ani lód, ani śnieg. Ich cel znajdował się na dnie wąskiej doliny. Właściwie dolina ta powinna spoczywać pod setkami metrów powietrznego śniegu, lecz dzięki jakiemuś niezwykle układowi warunków topograficznych i klimatycznych warstwa ta nie sięgała nawet pół metra. Pod skalnymi ścianami doliny kryło się największe zbiorowisko nienaruszonych budynków, jakie znaleźli do tej pory. Istniało spore prawdopodobieństwo, że odkryli wejście do jednej z większych jaskiń hibernacyjnych Pająków i być może miasto funkcjonujące w ciepłym okresie OnOff. Na pewno mogli znaleźć tutaj wiele ciekawych materiałów. Zgodnie z umową wszystkie informacje należało przekazywać Emergentom...

Ezer nie wiedział, jak zakończył się ostatecznie spór w Komisji. Diem robił wszystko, by ukryć ślady tej wizyty przed tubylcami, tak jak oczekiwali tego Emergenci. Po zakończeniu misji mieli spuścić na miejsce lądowania lawinę. Nawet ślady ich stóp miały zostać wymazane (choć wcale nie było to konieczne).

Kiedy dotarli na dno doliny, OnOff sięgnęła właśnie zenitu. W „słonecznym sezonie” byłoby to południe. Teraz OnOff wyglądała jak błady, czerwonawy księżyc. Jej powierzchnię pokrywały cętki przypominające olej na kropki wody. Na razie nie korzystali ze wzmocnienia wizji, blask OnOff był bowiem wystarczająco silny, by mogli swobodnie poruszać się po powierzchni planety.

Załoga ładownika, pięć postaci w skafandrach i jeden automat, ruszyła w dół centralnej ulicy. Przy każdym kroku spod ich stóp unosiły się maleńkie obłoczki śnieżnego pyłu, a w miejscach, gdzie substancje lotne stykały się ze słabiej izolowanymi fragmentami skafandrów, tworzyły się smugi pary. Kiedy zatrzymywali się na dłużej, nie mogli stać w głębokim śniegu, bo natychmiast otaczała ich mgła sublimacyjna. Co dziesięć metrów zostawiali na ziemi czujnik sejsmograficzny. Po zebraniu wszystkich danych umożliwi im to nakreślenie w miarę dokładnej mapy pobliskich

VERNORVINGE

jaskiń. Ważniejszym celem tej wyprawy było jednak zbadanie rzeczy, które kryły się we wnętrzu budynków. Cel najważniejszy - materiały pisane, obrazy. Znalezione ilustrowanej książki dla dzieci z pewnością przyniosłyby Diemowi awans.

Odcienie czerwonawej szarości na tle czerni. Ezer sycił oczy tym niezwykłym, naturalnym obrazem. Był niesamowity i piękny. W tym miejscu żyły Pająki. Cienie wspinały się na ściany pajęczych budynków ustawionych po obu stronach ulicy, którą właśnie szli. Większość miała tylko dwa lub trzy piętra, lecz nawet w bladym czerwonym świetle nie można było pomylić ich z czymś, co zbudowałoby ludzie. Nawet najmniejsze drzwi były bardzo szerokie, rzadko jednak wyższe niż półtora metra. Okna (ukryte pod szczelnie zamkniętymi okiennicami; miejsce to zostało opuszczone bez pośpiechu przez właścicieli, którzy zamierzali tu powrócić) również były szerokie i niskie.

Otwory okienne wyglądały jak setki przymrużonych oczu spoglądających w milczeniu na piątkę ludzi i ich chodzący automat. Vinh nurtowało, co stałoby się, gdyby w jednym z tych okien zapłonęło nagle światło. Jego wyobraźnia bawiła się przez chwilę takim scenariuszem. A jeśli się mylili co do szczybla rozwoju Pająków? To byli obcy. W tak dziwnym świecie życie nie mogło się raczej rozwinąć drogą naturalną. Te istoty pokonały kiedyś przestrzeń międzygwiazdną. Przestrzeń handlowa Queng Ho obejmowała czterysta lat świetlnych; od tysięcy lat rządziła tam ich technologia. Queng Ho odbierał sygnały radiowe pozaludzkiej cywilizacji odległych o tysiące, a na ogół miliony lat świetlnych, pozostających na zawsze poza zasięgiem kontaktu czy choćby rozmowy. Pająki były trzecią pozaludzką i inteligentną rasą, z którą Queng Ho zetknęli się bezpośrednio; trzecią w ciągu ośmiu tysięcy lat ludzkich podróży w przestrzeni. Jedna z nich wymarła przed milionami lat; druga nie знаła jeszcze maszyn, nie mówiąc już o lotach kosmicznych.

Pięć osób spacerujących pomiędzy mrocznymi budynkami o wąskich jak szczeliny strzelnicze oknach mogło wkrótce także przejść do historii. Armstrong na Lunie, Pham Nuwen w Brisgo Gap - a teraz Vinh, Wen, Patii, Do i Diem na ulicy pajęczego miasta.

Głosy w ich słuchawkach umilkły na chwilę i do Ezra docierało jedynie skrzypienie skafandra i jego własny oddech. Potem znów odezwał się ktoś z góry, kierując ich na otwartą przestrzeń, ku drugiej stronie doliny. Najwyraźniej ów analityk przypuszczał, że wąska szczelina może być wejściem do jaskiń, gdzie prawdopodobnie przebywały obecnie Pająki.

- To dziwne - mówił ten anonimowy głos. - Czujnik sejsmograficzny coś znalazł. Słyszy jakieś dźwięki dochodzące z budynku po waszej prawej stronie.

Vinh odwrócił głowę i wbił wzrok w ciemność. Może nie światło, lecz dźwięk.

- Może budynek po prostu osiada? - Benny.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie, nie. To był impuls, jak pstryknięcie. Teraz słyszymy regularne uderzenia, jakby pulsowanie. Analiza częstotliwości... to brzmi jak jakieś mechaniczne urządzenie, ruchome części i takie... OK, teraz już się chyba zatrzymał, to tylko jakieś szczątkowe odgłosy. Diem, ustaliliśmy do kładnie pozycję tego urządzenia. Znajduje się w jednym z pobliskich budynków, cztery metry nad poziomem ulicy. Idźcie za markerem.

Vinh i pozostali przeszli trzydzieści metrów, prowadzeni ikonką wskaźnika, która płonęła w ich wyświetlaczach. To było niemal zabawne, kiedy nagle zaczęli poruszać się z wielką ostrożnością, choć i tak każdy mógłby ich zobaczyć z okien budynku.

Marker zaprowadził ich za róg.

- Ten budynek nie wyróżnia się niczym specjalnym - zauważył Diem. Podobnie jak reszta został wzniesiony z kamieni połączonych bez użycia zaprawy. Każde kolejne piętro było nieco wysunięte przed niższe. - Zaraz, chyba już to widzę. Pod drugim nawisem przyczepione jest jakieś... cera miczne pudełko. Vinh, ty stoisz najbliżej, wejdź tam i przyjrzyj się temu z bliska.

Ezr ruszył w stronę budynku, a potem zauważył, że ktoś wyłączył jego wskaźnik.

- Gdzie? - Widział tylko cienie i szare ściany.

- Vinh. - W głosie Diema pobrzmiwała irytacja. - Obudź się, dobrze?

- Przepraszam. - Ezr czuł, jak się czerwieni; zbyt często popełniał ten błąd. Włączył widok wielowidmowy, a obraz przed jego oczami rozjarzył się nagle kolorami, które jego skafander widział w kilku zakresach widma. W miejscu, gdzie przed chwilą rozciągała się nieprzenikniona ciemność, zobaczył teraz pudełko, o którym mówił Diem. Wisiało kilka metrów nad jego głową.

- Chwileczkę, muszę się tam jakoś dostać. - Podeszedł do ściany. Podobnie jak większość innych budynków także i ten ozdobiony był szerokimi kamiennymi listwami. Analityk uważał, że są to schody. Przysłużyły się Vinhowi, choć wykorzystał je raczej jak szczeble drabiny niż stopnie. Już po kilku sekundach stał obok dziwnego przedmiotu.

Była to maszyna; po obu jej stronach znajdowały się grube nity, jakby żywcem wyjęte z kart jakiejś średniowiecznej powieści. Ezr wyciągnął z kieszeni skafandra czujnik i przystawił go do pudełka.

- Chcecie, żebym tego dotknął?

Diem nic nie odparł. Pytanie skierowane było do tych na górze. Vinh słyszał kilka głosów.

- Obejrzyj to jeszcze dokładniej. Czy na ściankach tego pudełka nie ma jakichś znaków? - Trixia! Wiedział, że będzie jednym z obserwatorów, ale i tak ogromnie się ucieszył, słysząc jej głos.

- Tak, proszę pani - odpowiedział i przeciągnął czujnikiem wzdłuż ścianek pudełka. Rzeczywiście, coś tam było, choć nie potrafił powiedzieć,

VERNORVINGE

czy to tylko zwykły napis, czy jakieś skomplikowane algorytmy. Jeśli napis, to nie dokonał szczególnie doniosłego odkrycia.

- Dobrze, teraz możesz dotknąć pudełka czujnikiem... - Inny głos, specjalista od akustyki. Ezr wykonał jego polecenie.

Mijały kolejne sekundy. Schody Pająków były tak strome, że musiał opierać się o ścianę. Mgielka powietrznego śniegu unosila się znad stopni i spływała w dół; czuł, jak grzejniki jego skafandra wyrównują chłód bijący od krawędzi stopni.

- To interesujące - przemówił ktoś wreszcie. - Ta maszyna to czujnik rodem z ciemnych wieków.

- Elektryczny? Przekazuje sygnały na odległość? - Vinh drgnął zaskoczony. Ostatnie słowa zostały wypowiedziane przez kobietę z akcentem Emergentów.

- Ach, dyrektor Reynolt, witam. Nie, to właśnie jest najdziwniejsze w tym urządzeniu. Nie przekazuje nigdzie żadnych sygnałów. „Źródłem zasilania” jest prawdopodobnie układ metalowych sprężyn. Mechanizm zegarowy - zna pani tego rodzaju urządzenia? - odmierza czas, a jednocześnie dostarcza energii. Właściwie jest to chyba jedyny nieskomplikowany mechanizm, który może pracować przez długi okres w tak niskiej temperaturze.

- Więc co on właściwie bada? - To Diem. Dobre pytanie. Wyobraźnia Vinha znów zaczęła pracować w przyspieszonym tempie. Może Pająki były znacznie inteligentniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał? Może jego osoba pojawia się w ich raportach? A jeśli to pudełko było podłączone do jakiejś broni?

- Nie widzimy tu żadnej kamery, Diem, a mamy teraz bardzo dobry widok na wnętrze pudełka. Mechanizm zębatkowy przeciąga taśmę wykresów pod czterema różnymi pisakami. - Terminy rodem z tekstów Upadłych Cywilizacji. - Przypuszczam, że każdego dnia mechanizm przeciąga taśmę o kolejny odcinek, a pisaki notują temperaturę, ciśnienie... i dwie inne wartości, których nie jestem jeszcze pewien. - Każdego dnia, przez ponad dwieście lat. Prymitywne ludzkie cywilizacje musiałyby się bardzo natrudzić, by skonstruować mechanizm, który pracowałby tak długo, a do tego w tak niskiej temperaturze. - Mieliliśmy szczęście, że włączył się właśnie wtedy, gdy tędy przechodziliście.

Potem zaczęli dyskutować o tym, jak czule może być takie urządzenie i jak skomplikowana jest jego konstrukcja. Diem kazał Benny'emu i pozostałym przeszukać okolicę przy świetle latarek emitujących pikosekundowe impulsy. Nie doczekali się żadnej reakcji; w pobliżu nie było soczewek.

Tymczasem Vinh nadal stał oparty o ścianę budynku. Chłód zaczynał się powoli przesączać do wnętrza skafandra. Sprzęt ten nie był przeznaczony do długich pobytów w tak ekstremalnych warunkach. Ezr przekreślił się niezdarnie w miejscu, dzięki czemu mógł zajrzeć za róg budynku. A po tej stronie z niektórych okien odpadły okiennice. Vinh odchylił

OTCHLAŃ W NIEBIE

się ostrożnie na bok, próbując dojrzeć, co kryje się we wnętrzu pokoju. Wszystko pokryte było patyną śniegu powietrznego. Wzdłuż pomieszczenia ciągnęły się wysokie do pasa półki lub komody. Nad nimi na solidnej metalowej ramie wisały kolejne rzędy regałów. Oba poziomy łączyły pającze schody. Oczywiście dla Pająków te meble nie były „wysokie do pasa”. Hm... Na górnych półkach leżały sterty jakichś przedmiotów. Każdy z nich stanowił zbiór płaskich tabliczek, złączonych luźno z jednej strony. Niektóre były zamknięte, inne rozłożone niczym wachlarze.

Nagle zrozumienie przeniknęło go niczym impuls elektryczny. Bez zastanowienia przemówił na głównym kanale:

- Dowódcu Diem?
- Diem umilkł zaskoczony, przerywając rozmowę z tymi na górze.
- O co chodzi, Vinh?
- Proszę spojrzeć przez mój wyświetlacz. Zdaje się, że znaleźliśmy bibliotekę.

Ktoś na górze krzyknął z radości. Ezr był niemal pewien, że to Trixia.

Dane z czujników zaprowadziłyby ich w końcu do biblioteki, lecz odkrycie Ezra zaoszczędziło im sporo czasu.

Z tyłu znajdowały się duże drzwi; automat przeszedł przez nie bez trudu. Robot wyposażony był w manipulator skanujący o dużej prędkości. Minęło sporo czasu, nim przystosował się do dziwnego kształtu tych „książek”, potem jednak poruszał się wzdłuż półek z oszałamiającą prędkością - jeden lub dwa centymetry na sekundę - podczas gdy dwóch członków załogi wsuwało do jego szczęk kolejne tomy. Tymczasem na górze toczył się uprzejmy spór. To lądowanie było częścią wspólnego planu i zgodnie z założeniami miało dobiec końca za sto Ksekund. Załoga Diema musiałaby się bardzo spieszyć, by zdążyć w tym czasie przeszukać bibliotekę, nie mówiąc już o badaniu innych budynków i wejścia do jaskini. Emergenci nie chcieli robić wyjątku dla tego jednego lądowania. Zaproponowali natomiast, że sprowadzą do doliny swe większe pojazdy i zabiorą od razu wszystkie artefakty.

- A i tak nadal możemy zatrzeć ślady swojej obecności - mówił jakiś męski głos z emergencjnym akcentem. - Wysadzimy ściany doliny tak, żeby wyglądało to jak lawina skalna, która zesłała na miasto.

- Ech, ci faceci mają naprawdę ciężką rękę - mruknął Benny Wen na ich prywatnym kanale. Ezr nie odpowiedział. Propozycja Emergentów nie była całkiem irracjonalna, po prostu... obca. Queng Ho handlowali. Ci bardziej okrutni z nich mogli doprowadzić konkurencję do bankructwa, wszyscy jednak chcieli, by klienci z radością wyczekiwali następnego kontaktu. Zwykła grabież czy niszczenie było... prostackie. I po co to robić, kiedy mogli tu po prostu wrócić i doprowadzić badania do końca?

Tymczasem na górze grzecznie odrzucono propozycję Emergentów i umieszczono kolejną wyprawę do tej doliny na pierwszym miejscu listy przysyłych przedsięwzięć.

VERNORVINGE

Diem kazał Benny'emu i Ezrowi przejrzeć kolejne półki w bibliotece. Mieściło się tutaj jakieś sto tysięcy wolumenów, zaledwie kilkaset gigabajtów, lecz i tak mieli za mało czasu, by je zbadać. Niewykluczone, że będą musieli wybierać poszczególne pozycje na chybił trafił w nadziei, że odnajdą świętego Graala takich operacji - ilustrowaną książeczkę dla dzieci.

Po jakimś czasie Diem wprowadził w swej grupie wyraźny podział pracy; część wkładała książki do skanera, inni znosili kolejne tomy z górnych półek, pozostali zaś odkładali je na miejsce.

Kiedy nadeszła wreszcie pora posiłku dla Vinha, OnOff przesunęła się już znacznie w dół nieboskłonu i wisiała tuż nad poszarpanymi szczytami gór. Ezr odszukał wolny od śniegu skrawek gruntu i ulżył swym zmęczonym nogom. O, to było przyjemne. Diem dał mu tysiąc pięćset sekund na tę przerwę. Ezr przeżuwał powoli batony owocowe. Słyszał Trixię, ale ta była bardzo zajęta, nie próbował więc z nią rozmawiać. Nadal nie znaleźli żadnej „ilustrowanej książeczki dla dzieci”, natrafili jednak na coś niemal równie dobrego - zbiór tekstów dotyczących fizyki i chemii. Trixia przypuszczała, że jest to rodzaj biblioteki technicznej. W tej chwili specjaliści debatowali nad tym, jak przyspieszyć tempo skanowania. Trixia dokonała już analizy grafemicznej pisma, mogli więc przełączyć się na szybsze odczytywanie.

Ezr od początku ich znajomości wiedział, że Trixia jest niezwykle inteligentna. Była jednak tylko Klientem specjalizującym się w lingwistyce, dziedzinie, w której Queng Ho szczylicili się wielkimi osiągnięciami. W czym mogła im właściwie pomóc? Teraz... cóż, słyszał rozmowy, jakie odbywały się na górze. Inni językoznawcy nieustannie konsultowali się z Trixią i zasięgali jej opinii. Może nie było to takie zaskakujące. Cała cywilizacja Trilandu ubiegała się o miejsca w załodze okrętów zmierzających do gwiazdy OnOff. Jeśli wybiera się najlepszych specjalistów spośród pięćset milionów ludzi... ci wybrani muszą być naprawdę dobrzy. Vinh zasępił się nagle; właściwie to on sięgał wyżej swego stanu, pragnąc Trixię dla siebie. Tak, Ezr był głównym dziedzicem Rodziny Vinh. 23, lecz sam w sobie... wcale nie był taki bystry. Co gorsza, prawie cały czas spędzał na marzeniach o innych miejscach i epokach.

Te niewesołe rozmyślenia po raz kolejny doprowadziły go do tej samej konkluzji; może tutaj udowodni wreszcie, że nie jest całkiem bezużyteczny. Pająki z pewnością zapomniały już o swej rodzimej cywilizacji. Być może obecna era na ich planecie przypomina ziemską Epokę Świtu. Może dzięki swej wiedzy dokona jakiegoś odkrycia, które przyniesie zysk flocie, i zdobędzie Trixię Bonsol. Zaczął rozważać różne interesujące możliwości, nie wdając się jednak w zbędne szczegóły...

Vinh spojrzął na swój czasomierz. Aha, miał jeszcze pięćset sekund! Wstał i spojrzął na wydłużone cienie budynków, które kładły się na ulicy i skalnej ścianie doliny. Przez cały dzień tak bardzo skupiał się na swo-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ich obowiązkach, że nie miał czasu podziwiać widoków. Dopiero teraz zauważył, że zatrzymali się tuż przed miejscem, w którym ulica rozszerzała się znacznie, przechodząc w okrągły plac.

W ciepłym okresie rosła tu zapewne bujna roślinność. Wzgórza pokrywały poskręcane resztki jakichś drzew. Tu, na dole, starannie pielęgnowano wszystko, co żyło; w równych odstępach wzdłuż ulicy leżały organiczne pozostałości jakichś roślin. Kilkanaście podobnych hałd otaczało plac.

Cztery sekundy. Miał czas. Podeszedł szybko na skraj placu, a potem zaczął go okrążyć. Pośrodku kręgu znajdowało się małe wzgórze, śnieg przykrywał dziwne kształty. Kiedy dotarł do przeciwległej strony placu, patrzył na światło. Praca w bibliotece rozgrzała to miejsce tak mocno, że z budynku wylewała się mgiełka tymczasowej, lokalnej atmosfery. Przepływała przez ulicę, by ponownie zamienić się w śnieg i opaść na grunt. Światło OnOfi przenikało mgłę czerwonymi promieniami. Wyjawszy kolor, widok ten przypominał do złudzenia mgłę snującą się letnim wieczorem nad ziemią w rezydencji rodziców Vinha. A ściany doliny mogły być ścianami poszczególnych budynków. Przez moment Ezra patrzył w niemym zachwycie, zdumiony, że miejsce tak obce mogło wydać się nagle tak znajome, tak spokojne.

Ponownie zwrócił uwagę na centralny punkt placu. Tutaj prawie nie było śniegu. Przed nim rysowały się jakieś dziwne kształty, ukryte w półmroku. Nie zastanawiając się ani chwili, ruszył w ich stronę. Grunt pod jego stopami, pozbawiony śnieżnego okrycia, trzeszczał jak zamrożony mech. Zatrzymał się i wciągnął głośno powietrze. Ta rzecz na środku placu to były posągi. Pająków! Jeszcze kilka sekund i zamelduje o znalezisku, na razie jednak kontemplował ów widok w ciszy i samotności. Oczywiście znali już w przybliżeniu wygląd tubylców; podczas poprzednich lądowań znaleźli prymitywne rysunki. Lecz - Vinh powiększył nieco obraz - te posągi oddawały wygląd Pająków w najdrobniejszych szczegółach. Trzy postacie, prawdopodobnie naturalnych rozmiarów, odlano z jakiegoś ciemnego metalu. Słowo „pająk” należy do języka potocznego, jest terminem, który przy szczegółowych badaniach nie przedstawia żadnej wartości. W świecie dzieciństwa Ezra żyło kilkanaście gatunków stworzeń nazywanych pająkami. Niektóre miały sześć nóg, niektóre osiem, inne dziesięć lub dwanaście. Niektóre były grube i włochate, inne znów szczupłe, czarne i jadowite. Te stworzenia przypominały ową dziesięcionóżną, chudą odmianę. Ich nogi splecione były ze sobą, wszystkie jakby sięgały po coś, co znajdowało się pod nimi. Kochały się, walczyły czy robiły jeszcze coś innego? Nawet wyobraźnia Vinha była tutaj bezradna.

Jak wyglądało to miejsce, kiedy ostatnie słońce świeciło jeszcze jasno?

CZTERY

Twierdzenie, że świat jest najprzyjemniejszy w latach Gasnącego Słońca, to frazes. Lecz rzeczywiście pogoda jest wtedy łagodniejsza niż zwykle, wszystko toczy się jakby w wolniejszym tempie, w większości miejsc lata nie są bardzo gorące, a zimy nie nazbyt surowe. To klasyczny czas romansów. To czas, kiedy natura namawia wszystkich do odpoczynku, do uspokojenia. To ostatnia szansa, by przygotować się do końca świata.

Ślepym zrzędzeniem losu Sherkaner Underhill wybrał najpiękniejsze dni Lat Gaśnięcia na swą pierwszą podróż do siedziby Dowództwa Łądowego. Wkrótce zrozumiał, że miał podwójne szczęście; kręta, przybrzeżna droga nie była przeznaczona dla samochodów, on zaś wcale nie prowadził tak dobrze, jak mu się wydawało. Kilkakrotnie wchodził za szybko w ostre zakręty i tylko dzięki doskonałym hamulcom nie wleciał w mglisty błękit Wielkiego Morza (właściwie leciałby znacznie krócej, bo tylko do lasu ciągnącego się pod urwiskiem, lecz skutek byłby ten sam).

Sherkaner uwielbiał taką jazdę. W ciągu kilku godzin nauczył się panować nad maszyną. Teraz, kiedy postawił auto dęba, zrobił to niemal celowo. To była cudowna podróż. Miejscowi nazywali tę drogę Dumą Akord, a Rodzina Królewska nigdy nie ośmieliła się temu sprzeciwić. Zbliżał się właśnie środek lata. Lasy miały już trzydzieści lat, prawie tyle, ile w ogóle mogły przeżyć drzewa. Były strzeliste, wysokie i zielone, sięgały wierzchołkami niemal do skraju urwiska. Zapach kwiatów i żywicy przepływał wokół jego auta.

Nie widział wielu innych cywilnych pojazdów. Mijał sporo wozów ciągniętych przez osprechy, trochę ciężarówek i mnóstwo konwojów wojskowych. Reakcje, które wywoływał u cywilów, tworzyły cudowną mieszankę; niektórzy byli zirytowani, inni rozbawieni, a część mu zazdrościła. Jeszcze częściej niż w Princeton widywał dziewczyny w ciąży i chłopców z dziesiątkami niemowlęcych pierścieni na grzbietach. Czasami wydawało mu się, że zazdroszą mu czegoś więcej niż samochodu. *A czasami ja trochę zazdroszczę im.* Przez chwilę bawił się tą myślą, nie próbując jej racjonalizować. Instynkt to taka fascynująca rzecz, szczególnie kiedy obserwuje się go od środka.

Pokonywał kolejne mile. Choć ciało i zmysły Sherkanera rozkoszowały się podróżą, umysł nieustannie pracował; myślał, jak zainteresować dowództwo swoim planem i na ile sposobów można by usprawnić ten samochód. Późnym popołudniem zatrzymał się w małym, leśnym miasteczku. „Ochłań Nocy” głosił stary szyld; Sherkaner nie był pewien, czy to nazwa miejscowości, czy tylko jej opis.

Zatrzymał się przy miejscowej kuźni. Kowal miał na twarzy ten sam dziwny uśmiech, z jakim patrzyli nań niektórzy ludzie na drodze.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Ma pan ładne auto. - Rzeczywiście, było to bardzo ładne i bardzo drogie auto, zupełnie nowy relmeitch. Pozostał całkowicie poza zasięgiem przeciętnego studenta. Sherkaner wygrał je w kasynie dwa dni wcześniej. Było to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Sherkanera doskonale znali we wszystkich domach gry Princeton i okolicy. Właściciele już dawno grozili, że połamią mu nogi, jeśli znów przyłapią go w którymkolwiek z kasyn w mieście. Lecz Sherkaner i tak zamierzał opuścić Princeton - a bardzo chciał poeksperymentować z samochodami. Tymczasem kował kręcił się wokół auta, udając, że podziwia lśniące srebrem wykończenia i trzy wirujące cylindry.

- Taaak... Daleko od domu, co? Co pan zrobi, kiedy to przestanie działać?

- Kupię trochę nafty?

- A tak, mamy naftę. Potrzebna jest do kilku maszyn na farmach. Ale chodziło mi o to, co pan zrobi, kiedy zepsuje się panu to cacko? Wszystkie wcześniej czy później się psują. To delikatne rzeczy, nie jak zwierzęta.

Sherkaner uśmiechnął się szeroko. W lesie za kuźnią widział skoru-' py kilku starych aut. To było właściwe miejsce.

- Rzeczywiście, to mogłoby stanowić mały problem. Ale widzi pan, mam kilka pomysłów. Chodzi o drobne urządzenie ze skóry i metalu, może to pana zainteresuje. - Naszkicował dwa pomysły, które przyszły mu do głowy tego popołudnia, rzeczy, które mógł wykonać niemal każdy rze mieślnik. Kował nie stwarzał problemów; zawsze chętnie robił interesy z szaleńcami. Ale Sherkaner musiał zapłacić mu z góry; na szczęście przyjmowano tutaj walutę Banku Princeton.

Potem UnderhiU przejechał powoli przez miasteczko, wypatrując gospody. Na pierwszy rzut oka miejsce to wydawało się bardzo przyjemne, spokojne i gościnne. Nie brakowało nawet tradycjonalistycznego kościoła Ciemni, prostego i nieco już zniszczonego, jak przystało na te lata. Przy poczcie sprzedawano gazety sprzed trzech dni. Choć wielkie, czerwone nagłówki krzyczały o wojnie, nawet gdy przez miasteczko przejeżdżał konwój Dowództwa Lądowego, nie przyciągało to niczyjej uwagi.

Okazało się, że „Otchłań Nocy” jest za mała na gospodę. Właściciel poczty powiedział mu, gdzie może znaleźć domy z pokojami gościnnymi. Kiedy słońce zniżało się już nad ocean, Sherkaner krążył po okolicy, zagubiony i nieco już zmęczony. Las był piękny, nie zostawiał jednak zbyt wiele miejsca na uprawy. Miejscowi zarabiali na życie handlem i pracowali ciężko w swych górskich ogrodach. Zostały im jeszcze co najwyżej trzy lata dobrych zbiorów, nim mróz stanie się zabójczy dla roślin. Miejscowe spichlerze pękały w szwach, a po drodze prowadzącej w góry płynął nieprzerwany strumień wozów. Parafialna otchłań znajdowała się jakieś piętnaście mil dalej w tym samym kierunku. Nie była duża, ale służyła większości okolicznych mieszkańców. Gdyby ci ludzie nie zgromadzili wystarczających zapasów, z pewnością głodowałiby podczas pierwszych,

VERNORVINGE

trudnych lat Wielkiej Ciemności; nawet w nowoczesnym społeczeństwie mało kto litował się nad zdrowymi osobnikami, którzy nie zapewnili sobie żywności na ten okres.

Zachód słońca zastał go na cyplu wznoszącym się nad oceanem. Grunt opadał łagodnie z trzech stron, prowadząc na południu do małej, pokrytej drzewami doliny. Na wzgórzu za doliną stał jeden z domów, o których mówił mu właściciel poczty. Lecz Sherkaner nadal się nie spieszył. Był to najpiękniejszy widok dnia. Patrzył, jak wydłużają się cienie drzew, jak słońce powoli niknie za horyzontem.

Potem uruchomił samochód i ruszył w dół stromej polnej drogi prowadzącej ku dolinie. Zamknął się nad nim baldachim lasu... i rozpoczął najtrudniejszy odcinek drogi, choć samochód posuwał się wolniej niż pieszy. Auto kołysało się i chwiała w głębokich na stopę koleinach. Nie utknął w miejscu głównie dzięki grawitacji i szczęściu. Nim dotarł do strumienia na dnie doliny, zastanawiał się poważnie, czy nie będzie musiał zostawić tu swej nowej, błyszczącej maszyny. Rozejrzał się uważnie dokoła. Droga nie wyglądała na opuszczoną; te koleiny były świeże.

Łagodna wieczorna bryza przyniosła smród odchodów i gnijących śmieci. Śmietnik? Dość dziwne zjawisko w takiej głuszy. Przy drodze leżały sterty jakichś niezidentyfikowanych odpadów. Za drzewami krył się także stary, zniszczony dom. Ściany z drewnianych bali były mocno pochylone, jakby nikt nie próbował nawet utrzymać ich w pionie. Dach zapadał się do środka. Dziury wypchano suchymi liśćmi i gałązkami. Trawa pomiędzy drogą a domem wyjeżdżona była do samej ziemi. Stąd może ów zapach odchodów; przy strumieniu pała się para osprechów.

Sherkaner zatrzymał samochód. Zaledwie dwadzieścia stóp dalej koleiny znikwały w nurcie strumienia. Przez moment patrzył na to zdumiony. Musiał natrafić na domostwo leśnych ludzi, najbardziej egzotycznych istot, jakie widział w swym życiu wychowany w mieście Sherkaner Underhill. Wysiadł z auta. Na pewno mają bardzo ciekawe poglądy! Być może nauczył się od nich czegoś cennego. Potem pomyślał, że jeśli poglądy nieznanym ludziom rzeczywiście są tak różne od jego, to oni wcale nie muszą być zachwyceni jego obecnością.

Poza tym... Sherkaner powrócił na swoje miejsce i ujął mocno koło kierownicy, przepustnicę i hamulce. Obserwowały go nie tylko osprechy. Rozejrzał się na wszystkie strony, przyzwyczajwszy już wzrok do półmroku. Było ich dwóch. Czaili się w cieniach po przeciwnych stronach drogi. Nie zwierzęta i nie ludzie. *Dzieci?* Może pięcio- i dziesięcioletnie. Mniejszy nadal miał niemowlęce oczy. Lecz ich spojrzenia były zwierzęce, drapieżne. Przesunęli się bliżej auta.

Sherkaner dodał gazu i ruszył gwałtownie naprzód. Nim jeszcze dotarł do strumienia, zauważył trzecią postać - znacznie większą - ukrytą w drzewach nad wodą. Dzieci dziećmi, ale wyglądało to jak najprawdziwszy napad. Sherkaner mocno skrzył kierownicą w prawo, wyjeżdżając

OTCHŁAŃ W NIEBIE

z kolein. Znalazł się poza drogą... czy aby na pewno? Ujrzał przed sobą mniej wyraźne, jakby celowo wyrównane koleiny; prawdziwy bród!

Wjechał w strumień, rozbryzgując na boki fontanny wody. Największy napastnik, ten ukryty w drzewach, skoczył w jego stronę. Jedną długą ręką sięgnął karoserii auta, wylądował jednak zbyt daleko, by zrobić mu krzywdę. W tej samej chwili Underhill dotarł do drugiego brzegu strumienia i ruszył ostro pod górę. Prawdziwa zasadzka kończyłaby się tutaj ślepą uliczką. Lecz droga ciągnęła się dalej, a pomimo szaleńczej jazdy rozkołysany samochód trzymał się jakoś gruntu. Przeżył jeszcze jedną, krótką chwilę strachu, kiedy auto wynurzyło się spod baldachimu gałęzi. Droga stała się jeszcze bardzo stroma, a relmeitch odchylił się na moment do tyłu, kręcąc w miejscu tylnymi kołami. Sherkaner rzucił się do przodu, a auto opadło na ziemię i popędziło w górę zbocza.

Zatrzymał się na górze, pod rozgwieżdżonym niebem, obok domu, który widział z drugiej strony doliny.

Wyłączył silnik i siedział przez chwilę w bezruchu, uspokajając oddech i słuchając bicia własnego serca. Dokoła panowała niesamowita cisza. Obejrzał się za siebie; nikt go nie ścigał. Kiedy się nad tym zastanowił... to dziwne. Widział przedtem, jak ten największy wychodził powoli z rzeki. Dwaj pozostali zawrócili, jakby przestali się nim interesować.

Znajdował się obok domu, który widział z drugiej strony doliny. We frontowych oknach zapłonęło światło. Otworzyły się drzwi, a na werandę wyszła jakaś starsza dama.

- Kto tam? - Jej głos brzmiał zaskakująco młodo.
- Pani Enclearre? - Głos Sherka wydał mu się z kolei nieco piskliwy.
- Właściciel poczty dał mi pani adres. Powiedział, że mogę wynająć u pani pokój na jedną noc.

Podeszła do miejsca kierowcy i przyjrzała mu się uważnie.
- Owszem. Ale na kolację jest już trochę za późno. Będzie pan musiał zadowolić się zimnymi przekąskami.
- Oczywiście, to nie problem.
- Dobrze. W takim razie proszę wejść. - Zachichotała i machnęła ręką w stronę doliny, z której Sherkaner właśnie uciekł. - Na pewno ma pan za sobą długą podróż.

* * *

Wbrew swej wcześniejszej deklaracji pani Enclearre ugościła Sherkanera bardzo dobrym posiłkiem. Potem oboje usiedli w saloniku i gawędzili. Dom był czysty, choć już mocno zniszczony. Niereperowana podłoga zapadała się miejscami, tu i ówdzie ze ścian odpadały płyty farby. Ten dom już długo nie postoji, przemknęło Sherkanerowi przez myśl. Błade światło lamp odsłaniało biblioteczkę ustawioną pomiędzy dwoma przysłoniętymi oknami. Leżało na niej jakieś sto książek, głównie czytanki dla dzieci. Starsza pani (a naprawdę była stara, urodziła się dwa pokole-

VERNORVINGE

nia wcześniej niż Sherka) przed emeryturą pracowała jako parafialna nauczycielka. Jej mąż nie przeżył ostatniej Ciemności, miała jednak dorosłe dzieci - również już w podeszłym wieku - rozsiane po okolicznych wsiach i miasteczkach.

Pani Enclearre nie przypominała żadnej ze znanych mu miejskich nauczycielek.

- Och, podróżowałam w wiele miejsc. Kiedy byłam jeszcze młodsza od pana, pływałam po zachodnim morzu. - *Pływała po morzu!* Sherkaner słuchał z nieskrywanym podziwem jej opowieści o huraganach, sztormach i erupcjach gór lodowych. Niewielu ludzi miało dość fantazji i odwagi, by wybierać się na morze, nawet w Latach Gaśnięcia. Lady Enclearre miała szczęście, że żyła dość długo, by doczekać się dzieci. Może właśnie dlatego, gdy nastąpiło następne pokolenie, osiadła, została nauczycielką i poma gała swemu mężowi wychowywać kobliki. Każdego roku studiowała teksty do następnej klasy, wyprzedzając w ten sposób o jeden poziom parafialne dzieci, dopóki te nie ukończyły szkoły.

W tej Jasności także uczyła nowe pokolenie. Gdy to osiągnęło dorosłość, lady Enclearre była już naprawdę posunięta w latach. Wiele kobe-rów dożywa trzeciej generacji; nieliczni mają szczęście doczekać jej końca. Lady Enclearre była zbyt słaba, by przygotować się samodzielnie do nadchodzącej Ciemności. Mogła jednak liczyć na swój kościół i pomoc własnych dzieci; dzięki temu miała szansę zobaczyć czwarty Czas Jasności. Na razie zajmowała się głównie czytaniem i plotkowaniem. Interesowała się nawet wojną, lecz tylko jako bierny obserwator.

- Trzeba spuścić tym Tieferom porządne manto, powiadam. Mam dwoje wnuczków na froncie i jestem z nich bardzo dumna.

Sherkaner słuchał starszej pani, spoglądając jednocześnie za szerokie, przysłonięte cienką siatką okna. Tu, w górach, gwiazdy świeciły wyjątkowo jasno, tworzyły stubarwną mozaikę, rzucając blask na szerokie liście drzew i okoliczne wzgórza. Małeńkie leśne wróżki uderzały nieustannie o siatki, a pomiędzy drzew dobiegała ich delikatna pieśń.

Nagle gdzieś w głębi lasu zaczął bić bęben. Wibracje głośnych uderzeń przechodziły przez czubki jego stóp, docierały nie tylko do uszu, ale i do klatki piersiowej. Po chwili dołączył do niego drugi bęben, a dwa rytmy przeplatały się ze sobą, to znów łączyły w jeden.

Lady Enclearre umilkła. Przez chwilę z kwaśną miną przysłuchiwała się bębnieniu.

- Obawiam się, że to może potrwać nawet kilka godzin.

- Pani sąsiedzi? - Sherkaner wskazał na północ, w stronę małej doliny. Ciekawe, że prócz komentarza o „długiej drodze” nie wspomniała ani słowem o tych dziwnych ludziach z dołu.

...I może nie miała zamiaru robić tego teraz. Lady Enclearre poprawiła się na swojej grzędzie, po raz pierwszy od jego przybycia zachowując milczenie przez dłuższą chwilę. Potem spytała:

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Zna pan opowieść o leniwych leśnych wrózkach?

- Jasne.

- Zawsze poświęcałam jej bardzo dużo czasu, szczególnie na zajęciach z pięcio- i sześciolatkami. Kobliki bardzo przejmują się aterkopami, bo te wyglądają jak mali ludzie. Uczyliśmy się o tym, jak rosną im skrzydełka, a potem opowiadałam dzieciakom o tych leśnych wrózkach, które nie przygotowują się do Ciemności, spędzają cały czas na zabawie, aż jest już za późno. Potrafiłam je porządnie nastraszyć. - Syknęła gniewnie w ręce pożywiające. - Tutaj mieszkają sami biedacy. Dlatego właśnie wyjechałam i pływałam po morzach, i dlatego też w końcu wróciłam i próbowałam pomagać. Czasami za swoją pracę dostawałam jedynie dobre słowo. Chcę jednak, by pan wiedział, młody człowieku, że jesteśmy dobrymi ludźmi... Prócz kilku koberów, którzy z własnego wyboru zostali pasożytami. Jest ich naprawdę niewiele i mieszkają zwykle wysoko w górach.

Sherkaner opowiedział jej o zasadzce w dolinie.

Lady Enclearre skinęła głową.

- Domyśliłam się, że coś się tam stało. Przyjechał pan tutaj, jakby pa lił się panu odwłok. Miał pan szczęście, że nie stracił auta, ale poza tym nic panu nie groziło. Gdyby próbował się pan opierać, mogliby pana skrzywdzić, ale na ogół są zbyt leniwi, żeby brać się do bitki.

No, no. Prawdziwi zbrojeńcy. Sherkaner starał się nie okazywać zbyt wielkiego zainteresowania.

- Więc ten hałas to...?

Lady Enclearre machnęła ręką.

- Muzyka, może. Podejrzewam, że mają tam cały magazyn bimbru. Ale to nic groźnego, nawet jeśli nie pozwala mi w nocy spać. Wie pan, co naprawdę czyni z nich pasożyty? Oni nie przygotowują się do Ciemności... i skazują na śmierć własne dzieci. Ta para w dolinie to farmerzy, którzy nie chcą się pracować. Próbowali zajmować się kowalstwem, wędrowali od wioski do wioski i pracowali tylko wtedy, kiedy nie mogli kraść. Życie jest łatwe w środkowych latach słońca. I przez cały czas się parzą, płodzą nieustający strumień dzieci... Jest pan bardzo młody, panie Underhill, nie zna pan jeszcze świata. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, jak żmudnym zajęciem jest płodzenie dzieci w Latach Gaśnięcia. Nigdy nie rodzi się więcej niż jeden czy dwa pierścienie - a każda przyzwoita dama i tak je obrywa. Ale ci dwoje na dole parzą się bez ustanku. Mężczyzna zawsze nosi na plecach co najmniej dwa pasy. Bogu dzięki prawie zawsze umierają. Ale od czasu do czasu któryś z nich dorośnie wieku nie mówiącego. Te, którym udaje się doczekać dzieciństwa, traktowane są od wielu lat jak zwierzęta. Większość to skończeni idioci.

Sherkaner przypomniał sobie drapieżne spojrzenia. Te istoty były tak różne od zwykłych dzieci.

- Ale niektóre pewnie uciekają? Dożywają dorosłości?

VERNORVINGE

- Nieliczne. Stają się wtedy niebezpieczne, widzą, co straciły. Od wielu pokoleń dzieją się tu paskudne rzeczy. Kiedyś hodowałam minitaran-ty, wie pan, dla towarzystwa i żeby trochę zarobić. Po jakimś czasie ktoś je kradł albo zabijał. Rankiem znajdowałam wysrane truchła na schodach. - Milczała przez chwilę, wspominając miniony ból.

- Błyszczące przedmioty przyciągają uwagę kretynów. Przez jakiś czas kręciła się tu cała banda. Jakimś sposobem nauczyli się włamywać do mojego domu. Kradli głównie smakołyki. Potem zabrali wszystkie obrazy, jakie miałam w domu, nawet te z książek. Zaczęłam więc porządnie zamykać drzwi. Ale znów udało im się włamać - i zabrali wszystkie książki! Wtedy jeszcze uczyłam. Potrzebowałam książek! Miejscowa policjantka przegoniła wtedy porządnie tych nierobów, ale książek oczywiście nie znalazła. Musiałam kupić nowe podręczniki na ostatnie dwa lata szkoły. - Wskazała na górne półki biblioteczeki, wypełnione zniszczonymi tomami. Te na niższych półkach także wyglądały jak czytanki dla dzieci w różnym wieku, były jednak całkiem nowe, niemal nietknięte. Dziwne.

Podwójny rytm bębnow zaczął powoli cichnąć, wreszcie umilkł całkowicie.

- Tak, panie Underhill, niektóre kobliki spoza fazy dożywają dorosłości. Mogą niemal uchodzić za koberów obecnej generacji. W pewnym sensie są następnym pokoleniem pasożytów. Za kilka lat świat zmarnieje. Niczym leniwe wróżki ci ludzie zaczną marznąć. Bardzo niewielu do stanie się do parafialnej otchłani. Reszta zostanie w górach. Tu wszędzie można znaleźć jaskinie, nieco lepsze od zwierzęcych otchłani. Tam spędzają Ciemność najbiedniejsi farmerzy. I tam też pozafazowe pasożyty są najgroźniejsze.

Stara dama zauważyła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się lekko.

- Wątpię, czy doczekam następnej Jasności słońca. Jestem na to przygotowana. Moje dzieci dostaną tę ziemię. Można by tu zbudować małą go-
■ spode. Ale jeśli przetrwam Ciemność, sama postawię małą chatę i wywieszę wielki szyld, na którym napiszę, że jestem najstarszym koberem w parafii... I zejdę wreszcie do doliny. Mam nadzieję, że będzie wtedy pusta. Pasożyty powrócą tam tylko wtedy, gdy wymordują rodzinę jakiegoś biednego farmera i zajmą jego otchłań.

Potem lady Enclearre skierowała rozmowę na inne tory, wypytywała o życie w Princeton i dzieciństwo Sherka. Powiedziała, że skoro wyjawiała mu już ciemne sekrety parafii, to on powinien zdradzić jej, dlaczego jedzie samochodem do Dowództwa Lądowego.

- Cóż, prawdę mówiąc, chciałem się zaciągnąć. - W rzeczywistości planował raczej wciągnąć Dowództwo w swoje plany. Było to podejście, które doprowadzało profesorów Uniwersytetu do szaleństwa.

- Hm, hm... Nadkłada pan sporo drogi, skoro mógłby pan zaciągnąć się od razu w Princeton. Zauważyłam, że bagaż z tyłu pańskiego auta jest

OTCHŁAŃ W NIEBIE

niemal tak duży jak chłopski wóz. - Pomachała rękami pożywiającymi z zaciekawieniem.

Sherkaner odpowiedział jej uśmiechem.

- Moi przyjaciele przestrzegali mnie, że muszę zabrać ze sobą mnóstwo części zapasowych, jeśli chcę jechać autem przed Dumę Akord.

- O, na pewno. - Powoli wstała z miejsca, wspierając się na środkowych rękach i stopach. - Cóż, stara dama potrzebuje snu, nawet w miły letni wieczór i w tak dobrym towarzystwie. Śniadanie będzie o wschodzie słońca.

Zaprowadziła go do pokoju, upierając się, że wejdzie sama na schody, by pokazać mu, jak otwiera się okna i rozkłada grzędę do spania. Był to mały pokoik o ścianach pokrytych starą tapetą. Kiedyś mieszkały tu zapewne jej dzieci.

- ...a toaleta jest na zewnątrz, na tyłach domu. Nie mamy tu miejscich luksusów, panie Underhill.

- Na pewno sobie poradzę, proszę pani.

- W takim razie dobranoc.

Weszła już na schody, kiedy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie. Zawsze było jeszcze jedno pytanie. Wystawił głowę za drzwi.

- Ma pani teraz tyle książek. Czy parafia dokupiła w końcu resztę?

Lady Enclearre przystanęła na schodku i roześmiała się.

- Tak, wiele lat później. To też ciekawa historia. Zrobił to nowy proboszcz, choć poczciwina wcale nie chciał się przyznać; pewnie kupił je za własne pieniądze. Któregoś dnia znalazłam na progu paczkę, prosto od wydawcy z Princeton, nowe kopie podręczników do każdej klasy. - Machnęła ręką. - Niemądry chłopak. Ale wszystkie książki powędrują ze mną do otchłani. Dopilnuję, żeby dostał je ten, kto będzie uczył następne pokolenia dzieci z parafii. - Starsza dama umilkła i ponownie ruszyła w dół schodów.

Sherkaner usadowił się na grzędzie, okręcił w miejscu, aż guzlasta wyściółka odpowiednio się pod nim ułożyła. Był bardzo zmęczony, lecz sen nie przyszedł od razu. Małe okna pokoju wychodziły na dolinę. Światło gwiazd mieszało się z blaskiem palonego drzewa w wąskiej smużce dymu. Dym niósł promieniowanie nadczerwone żaru bez śladu żywego ognia. *Cóż, nawet zboczeńcy muszą kiedyś spać.*

Z okolicznych drzew dochodziły głosy leśnych wrózek. Sherkaner żałował, że nie miał dość czasu, by zająć się entomologią. Brzęczenie owadów to cichło, to znów przybierało na sile. Kiedy był mały, często opowiadano mu bajkę o leniwych wrózkach, pamiętał jednak także głupiotkie wierszyki, które układali do muzyki wrózek. „Tak daleko, tak blisko, tak wiele dróg do przebycia, tak wiele rzeczy do odkrycia”. Teraz także wydawało mu się, że za melodyjnymi dźwiękami kryje się ta zabawna piosenka.

Słowa i niemiłknąca melodia ukołysały go w końcu do snu.

PIĘĆ

Sherkaner dotarł do Dowództwa Łądowego dwa dni później. Podróż mogłaby trwać dłużej, gdyby nie wprowadził do paska napędowego auta usprawnień pozwalających na szybszą i bezpieczniejszą jazdę w dół zboczy. Mogłaby też trwać krócej, gdyby nie trzy mechaniczne usterki, między innymi pęknięty cylinder. Kiedy powiedział lady Enclearre, że jego ładunek to części zamienne, nie tyle skłamał, ile nie wyjawiał całej prawdy. Rzeczywiście zabrał ze sobą kilka rzeczy, których nie mógłby sam wykonać w jakiejś wiejskiej kuźni.

Późnym popołudniem pokonał ostatni zakręt i po raz pierwszy ujrzał długą dolinę, w której mieściło się Dowództwo Łądowe. Ciągnęła się przez kilka mil, daleko w głąb potężnego masywu górskiego. Ściany doliny były tak wysokie, że na dole panował już półmrok. Drugi jej kraniec mienił się w oddali błękitem; Królewskie Wodospady spływały majestatycznie z górskich szczytów. Zwyczajni turyści nie dochodzili dalej niż do tego miejsca. Rodzina Królewska strzegła zazdrośnie swej ziemi i otchłani pod górą. Miejsce to należało do niej od czasów, gdy władała tylko niewielkim księstwem, czterdzieści Ciemności temu.

Sherkaner zjadł dobry obiad w ostatniej gospodzie, napełnił zbiornik auta paliwem i ruszył prosto do Królewskiego Rezerwatu. List od kuzyna pozwolił mu bez kłopotów przejechać przez zewnętrzne posterunki. Znudzeni żołnierze w zielonych uniformach podnosili ruchome barykady i machnięciem ręki kierowali go dalej. Mijał koszary, place apelowe i ukryte za masywnymi ławkami składy amunicji. Lecz Dowództwo Łądowe nigdy nie było zwyczajną bazą militarną. W pierwszych latach Akord był to głównie plac zabaw dla Rodziny Królewskiej. Później, pokolenie po pokoleniu, poczynania rządu stawały się coraz bardziej usystematyzowane, racjonalne i nudne. Dowództwo Łądowe zaczęło wreszcie spełniać swą funkcję, stało się kryjówką głównej kwatery Akord, a w końcu nawet czymś więcej - miejscem najbardziej zaawansowanych badań wojskowych królestwa.

To właśnie najbardziej interesowało Sherkanera Underhilla. Nie zwalniał, by gapić się na wszystkie mijane budowle; żandarmi dawali mu bardzo wyraźnie do zrozumienia, że powinien zmierzać prosto do celu swej podróży. Nic jednak nie mogło powstrzymać go od rozglądania się na wszystkie strony. Budowle oznaczone były jedynie małymi znakami numerycznymi, lecz przeznaczenie niektórych było oczywiste. Telegrafia bezprzewodowa; długie baraki, z których wyrastały anteny o przedziwnych kształtach. Ha, jeśli wszystko ułożone było tutaj w logicznym porządku, w kolejnym budynku mieściła się zapewne kwatera szyfrantów. Po drugiej stronie drogi ciągnął się pas asfaltu szerszy i równiejszy niż jakakolwiek droga. Sherk nie był wcale zaskoczony, gdy ujrzał na końcu

OTCHLAŃ W NIEBIE

pasa dwa niskie jednopłatowce. Wiele by dał, by zobaczyć, co kryje się za nimi, pod brezentowymi płachtami. Z trawnika przed kolejnym budynkiem wystawała dysza ogromnej koparki. Przedziwny kąt ustawienia maszyny świadczył o prędkości i sile poczyną, chociaż maszyna ta wyjątkowo wolno przemieszczała się z miejsca na miejsce.

Sherkaner zbliżał się już do końca doliny. Przed nim wznosiła się ściana Królewskich Wodospadów. W maleńkich kroplach wody błyszcząca tęcza o tysiącu kolorów. Minał budynek, w którym najprawdopodobniej mieściła się biblioteka, i objechał krąg parkingu ozdobionego królewskimi barwami i posągami Trojga Sięgających po Akord. Kamienne budynki wokół kręgu były szczególną częścią legendy Dowództwa Ładowego. Dzięki sprzyjającemu układowi cieni trwały niemal nietknięte przez kolejne Nowe Słońca; nawet ich zawartość nie ulegała zniszczeniu.

BUDYNEK 5007, głosił znak. Biuro Badań Materiałowych, jak zaznaczono na mapce, którą wręczył mu strażnik. Sherkaner uznał za dobry omen fakt, że biuro znajdowało się w samym centrum dowództwa. Zaparkował pomiędzy dwoma autami, które stały już na skraju ulicy. Lepiej nie rzucać się zbytnio w oczy.

Kiedy wchodził na stopnie, zauważył, że słońce zachodzi niemal dokładnie nad ścieżką, którą tu przyjechał. Było już niżej niż szczyty najwyższych gór. Posągi Trojga Sięgających po Akord, ustawione pośrodku okrągłego placu, rzucały długie cienie na trawnik. Dotąd wydawało mu się, że baza wojskowa nie może być taka piękna.

Sierzant spoglądał na list Sherkanera z nieskrywaną odrazą.

- Więc kim jest ten kapitan Underhill...
- Och, to nie jest krewny, sierzancie. On...
- ...i dlaczego jego życzenia miałyby dla nas coś znaczyć?
- Och, jeśli przeczyta pan dalej, przekona się pan, że jest on adiutantem pułkownika A.G. Castlewortha, królewskiego kwatermistrza.

Sierzant wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak „przeklęte dupki z bezpieki”. Potem westchnął ciężko i przysiadł z rezygnacją.

- No dobrze, panie Underhill, jaki wkład chciałby pan wnieść do naszego wojennego wysiłku? - Sierzant wydawał mu się jakiś krzywy. Dopiero teraz Sherkaner zauważył, że wszystkie lewe nogi żołnierza zamknięte były w łupkach. Rozmawiał z prawdziwym weteranem.

Czekało go ciężkie zadanie. Wiedział, że nawet na przychylniej publiczności nie robi zbyt dobrego wrażenia; młody, zbyt chudy, gamoniowaty i przemądrzały. Wcześniej miał nadzieję, że spotka się z jakimś specjalistą, inżynierem.

- Cóż, sierzancie, co najmniej przez trzy ostatnie pokolenia wy, wojaskowi, staracie się uzyskać przewagę nad wrogiem, pracując coraz dłużej w Ciemności. Najpierw było to tylko kilkaset dni, dość jednak długo, by zastawić pułapki czy wzmocnić fortyfikacje. Potem był to rok, dwa, dość

VERNOR VINGE

długo, by przemieścić duże oddziały wojska i przygotować je do ataku podczas następnego Nowego Słońca.

Sierżant - HRUNKNER UNNERBY, jak głosiła plakietka z nazwiskiem - patrzył nań w milczeniu.

- Wszyscy wiedzą, że obie strony na Froncie Wschodnim prowadzą szeroko zakrojone prace przy budowie tuneli i że może dojść do wielkich bitew nawet w dziesięć lat po nastaniu Ciemności.

Unnerby rozpoznał się nieco, uradowany jakąś myślą.

- Jeśli to właśnie pana interesuje, powinien pan zwrócić się do kopczy. Tutaj mieści się Biuro Badań Materiałowych, panie Underhill.

- Och, wiem o tym. Ale bez odpowiednich materiałów nie możemy nawet marzyć o aktywności w bardzo niskich temperaturach. A poza tym... moje plany nie mają nic wspólnego z kopaniem - dodał pospiesznie.

- Więc z czym?

- Pro... proponuję, byśmy wybrali odpowiednie cele Tiefstadt, obudzili się w Najgłębszej Ciemności, przeszli po ziemi do tych celów i zniszczyli je. -W jednym zdaniu połączył wszystkie najbardziej nieprawdopodobne pomysły. Uniósł ręce, powstrzymując protesty sierżanta. - Pomyślałem o wszystkich trudnościach. Mam już rozwiązania albo pomysły rozwiązań...

Głos Unnerby'ego był niemal łagodny, gdy mu przerwał.

- W Najgłębszej Ciemności, powiada pan? I jest pan badaczem z Królewskiej Szkoły w Princeton? -Tak określił to kuzyn Sherkanera w liście.

- Tak, matematykiem i...

- Milczeć. Czy wiesz, ile milionów Korona wydaje na badania wojskowe w miejscach takich jak Królewska Szkoła? Czy wiesz, jak bacznie obserwujemy wszystkie poważne prace, które się tam prowadzi? Boże, jak ja nienawidzę takich zarozumiałców z Zachodu. Jedyna rzecz, jaką musicie się martwić, to przygotowania do Ciemności, a i tak ledwo dajecie sobie z tym radę. Gdybyś miał choć odrobinę odwagi w pancerzu, zaciągnąłbyś się do wojska. Żołnierze na Wschodzie umierają, koberze. Zginą jeszcze tysiące tych, którzy nie przygotowują się do Ciemności, tysiące tych, którzy pracują w tunelach, i znacznie więcej tych, którzy po nadejściu Nowego Słońca nie będą mieli co jeść. A ty siedzisz tutaj i wygadujesz jakieś bzdury. - Unnerby umilkł na moment, jakby starał się zapanować nad gniewem. - Ale zanim wykopię cię stąd z powrotem do Princeton, opowiem ci jeszcze zabawną historyjkę. Widzisz, jestem trochę niesprawny. - Pomachał lewymi nogami. - Dopóki nie wydobrzeję, pomagam sprawdzać idiotyczne pomysły, które podsuwają nam tacy ludzie jak ty. Na szczęście większość przychodzi pocztą. Mniej więcej co dziesięć dni jakiś ko-ber ostrzega nas, że pewne odmiany alotropowe cyny źle znoszą niskie temperatury...

Oho, może jednak rozmawiam z inżynierem!

- ...i że nie powinniśmy używać jej w lutowiu. Ci przynajmniej mó-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wią prawdę, choć marnują tylko nasz czas. Potem są ci, którzy przeczytali właśnie o radzie i pomyśleli, że powinniśmy robić z tego superglowice do koparek. Mamy tu taki mały konkurs na najbardziej idiotyczny pomysł. Cóż, panie Underhill, zdaje się, że dzięki panu zostałem właśnie zwycięzcą. Chce pan, żebyśmy obudzili się w środku Ciemności i wyszli na powierzchnię, w temperaturę niższą, niż znajdzie pan w jakimkolwiek laboratorium, i próżnię doskonalszą, niż uda nam się kiedykolwiek stworzyć. - Unnerby znów umilkł, być może przerażony, że zdradził zbyt wiele tajnych informacji. Dopiero po chwili Sherkaner zrozumiał, że sierżant patrzy na coś za jego plecami.

- Porucznik Smith! Dobry wieczór pani. - Sierżant wyprostował się nagle, jakby chciał stanąć na baczność.

- Dobry wieczór, Hrunckner. - Nieznajoma weszła w pole widzenia Sherka. Była... piękna. Miała smukłe, twarde nogi i poruszała się z jakimś nieokreślonym wdziękiem. Ubrana była w czarny mundur nieznanej Sherkanerowi formacji. Jedyne insygnia stanowiły ciemnoczerwone gwiazdki i plakietka z imieniem i nazwiskiem. Victory Smith. Wydawała się niezwykle młoda. Urodzona poza fazą? Niewykluczone, a przesadna atencja podoficera mogła być prowokacją.

Porucznik Smith zwróciła się do Sherkanera. Spoglądała nań przyjaźnie, choć jakby z lekkim rozbawieniem.

- Więc, panie Underhill, jest pan badaczem z Wydziału Matematyki Królewskiej Szkoły w Princeton.

- Cóż, właściwie to studiuje na ostatnim roku... - Jej zainteresowane spojrzenie skłoniło go do uczciwej odpowiedzi. -A matematyka to tylko jedna ze specjalizacji w moim oficjalnym programie. Zaliczyłem sporo kursów w Szkole Medycznej i w Szkole Inżynierii Mechanicznej. - Bał się, że Unnerby wygłosi w tej chwili jakiś pogardliwy komentarz, ten jednak się nie odzywał.

- Zna pan więc naturę Najgłębszej Ciemności, superniskie temperatury, niemal absolutną próżnię.

- Tak, proszę pani. I poświęciłem tym problemom sporo pracy. - *Prawie pół roku, ale lepiej o tym nie mówić.* - Mam mnóstwo pomysłów, choć część z nich to tylko wstępne projekty. Niektóre dotyczą biologii, i na razie nie chcę niczego państwu pokazywać. Przywiozłem jednak prototypy kilku mechanicznych urządzeń. Są w moim samochodzie.

- Ach tak, zaparkowanym pomiędzy autami generała Greenvala i generała Downinga. Może powinniśmy rzucić na nie okiem... i przejechać pańskim autem w bezpieczniejsze miejsce.

W pełni uświadomił sobie to dopiero kilka lat później, lecz już w tej chwili przeczuwał, że wśród wszystkich ludzi w Dowództwie Lądowym - wśród wszystkich ludzi na świecie - nie mógł znaleźć bardziej wdzięcznego słuchacza niż porucznik Yictory Smith.

VERNOR VINGE

SZEŚĆ

Ostatnie lata Gasnącego Słońca to czas sztormów i burz, często bardzo gwałtownych. Nie są to jednak straszliwe, wyniszczające burze Nowego Słońca. Wichury i zamiecie nadchodzącej Ciemności przypominają raczej ostatnie wysiłki kogoś, kto został śmiertelnie raniony, kto próbuje jeszcze walczyć, choć uchodzi z niego krew. Ciepło planety jest bowiem jej krwią, a kiedy ta wsiąka w ciemność, protesty świata są coraz słabsze.

Nadchodzi czas, kiedy w południe można ujrzeć na niebie sto gwiazd. Potem tysiąc, wreszcie słońce gaśnie niemal całkowicie... i nadchodzi prawdziwa Ciemność. Większe rośliny umarły już dawno, a ich zarodniki spoczywają ukryte głęboko pod śniegiem. Niższe zwierzęta wyginęły w ten sam sposób. Pozostałości martwych istot kalają białe połacie śniegu; nad zwłokami unosi się czasem dziwna poświata; duchy umarłych, twierdzili starożytni; ostatnie padlinożerne bakterie, odkryli uczeni późniejszych epok. A jednak na powierzchni nadal żyją ludzie. Niektórzy to nieszczęśnicy, którym silniejsze plemiona (lub silniejsze narody) nie pozwoliły wejść do głębokiego sanktuarium. Inni to ofiary powodzi lub trzęsień ziemi, które zniszczyły ich rodowe otchłanie. Dawniej istniał tylko jeden sposób, by przekonać się, jak naprawdę wygląda ciemność; pozostając na powierzchni, można było osiągnąć pewnego rodzaju nieśmiertelność, zapisując wszystko, co się widziało, i zabezpieczając te notatki tak, by przetrwały ogień Nowego Słońca. Czasami któryś z tych desperatów żył w Ciemności nawet rok lub dwa albo dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, albo dzięki starannemu planowaniu i pragnieniu ujrzenia serca Ciemności. Jeden z filozofów przetrwał tak długo, że ci, którzy znaleźli jego ostatnie słowa wyryte w kamieniu nad ich otchłanią, uznali je za metaforę lub majaczenie szaleńca: „...a suche powietrze zamienia się w szron”.

Propagandziści Korony i Tiefstadt zgadzali się ze sobą w jednej kwestii. Ta Ciemność miała być inna od wszystkich poprzednich. Ta Ciemność po raz pierwszy miała zostać wykorzystana przez naukę do działań wojennych. Podczas gdy miliony obywateli wycofywały się do tysięcy otchłani, armie obu stron kontynuowały walkę. Często walka ta toczyła się w otwartych okopach, ogrzewanych jedynie za pomocą prymitywnych piecyków. Największe zmiany zachodziły jednak pod ziemią, gdzie kopano tunele sięgające daleko poza naziemną linię frontu. W miejscach, gdzie tunele obu stron spotykały się ze sobą, dochodziło do wielkich bitew z użyciem maszyn i gazów bojowych. Tam gdzie do spotkania takiego nie dochodziło, tunele ciągnęły się przez kredową skałę Frontu Wschodniego, jard po jardzie, dzień po dniu, nawet wtedy, gdy na powierzchni dawno już ustały wszelkie walki. Pięć lat po nastaniu Ciemności tylko techniczna

OTCHŁAŃ W NIEBIE

elita, może dziesięć tysięcy po stronie Korony, kontynuowała jeszcze kampanię pod Wschodnim Frontem. Nawet głęboko pod ziemią panował siarczysty mróz. Świeże powietrze pompowano do tuneli za pomocą wentylatorów. Ostatnie otwory powietrzne i tak wkrótce miały pokryć się lodem.

- Niemal od dziesięciu dni nie odbieramy żadnych sygnałów aktywności Tiefstadt. Dowództwo Kopaczy wciąż składa sobie gratulacje. - Generał Greenval włożył do paszczy zimną przekąskę i zgryzł ją ze chrzęstem; szef wywiadu Akord nigdy nie grzeszył delikatnością, a w ostatnich dniach stał się wręcz wyjątkowo złośliwy. Był starym koberem i choć prawdopodobnie na całym świecie nie istniały w tej chwili lepsze warunki do życia niż w Dowództwie Ładowym, i tutaj stawały się one coraz trudniejsze. W bunkrach obok królewskiej otchłani przebywało nadal jakieś pięćdziesiąt przytomnych osób. Z każdą godziną powietrze stawało się coraz bardziej zatechłe. Generał porzucił swą przytulną bibliotekę już ponad rok temu. Teraz jego biuro mieściło się w szczelinie o wymiarach dwadzieścia stóp na dziesięć na cztery stopy, tuż nad sypialnią. Ściany małego pokoju zakrywały mapy, na stole leżały kopie raportów przekazywanych dalekopisem z linii frontu. Bezprzewodowa komunikacja ustała całkowicie przed siedemdziesięcioma dniami. Wcześniej niemal przez rok specjaliści od łączności radiowej eksperymentowali z coraz silniejszymi nadajnikami i istniały spore szanse, że utrzymają tę łączność do samego końca. Niestety, teraz został im tylko telegraf i radio optyczne. Greenval spojrział na swego gościa, z pewnością ostatniego przed ponaddwustuletnią przerwą.

- Zatem, pułkowniku Smith, wróciła pani właśnie ze wschodu. Dlaczego nie słyszę okrzyków radości? Przetrzymaliśmy przecież wroga.

Uwagę Victory Smith zajmował peryskop generała. Właśnie dlatego generał trwał uparcie w swej niewygodnej kwaterze - ostatni widok na świat. Królewskie Wodospady zamarły ponad dwa lata temu. Miała stąd widok na całą dolinę. Ciemny łąd, pokryty szronem, który formował się zarówno na skałach, jak i na lodzie. Dwutlenek węgla wydzielający się z atmosfery. *Ale Sherkaner zobaczy jeszcze znacznie zimniejszy świat.*

- Pułkowniku?

Smith odstąpiła od peryskopu.

- Przepraszam... Podziwiam Kopaczy z całego serca. - *Przynajmniej żołnierzy, którzy naprawdę tam pracują.* Była w ich połowych otchłaniach. - Ale już od wielu dni nie mogą sięgnąć żadnych pozycji nieprzyjaciela. Mniej niż połowa będzie zdolna do walki po Ciemności. Obawiam się, że Dowództwo Kopaczy źle oceniło sytuację.

- Tak - mruknął generał. - Dowództwo Kopaczy przejdzie do historii dzięki najdłużej podtrzymywanej operacji wojskowej, ale Tieferzy zyskali, zaprzestając walki w odpowiednim momencie. - Westchnął i powiedział coś, co mogło przysporzyć mu sporych kłopotów, jednak w świecie martwym od pięciu lat zostało już bardzo niewiele ludzi, którzy mogliby

VERNORVINGE

go usłyszeć. - Wiesz, Tiefertzy nie są znowu tacy źli. Można by z powodzeniem znaleźć paskudniejsze typy wśród naszych sprzymierzeńców, którzy czekają tylko, aż Korona i Tiefstadt zrobią z siebie krwawą miazgę. Właśnie dlatego powinniśmy już teraz zaplanować przyszłość z myślą o tych, którzy przyjdą po nas. Wygramy tę wojnę, ale jeśli będziemy musieli zrobić to z pomocą tuneli i Kopaczy, czekają nas jeszcze długie lata walki w Nowym Słońcu.

Dla podkreślenia tych słów przygryzł mocniej przekąskę i wycelował w Smith przednią rękę.

- Twój projekt to jedyna szansa, by doprowadzić tę sprawę do szybkiego końca.

Odpowiedź Smith była szybka i zdecydowana:

- Te szanse byłyby jeszcze większe, gdyby pozwolił mi pan zostać z zespołem.

Greenval jakby nie słyszał jej skargi.

- Victory, zajmujesz się tym projektem od siedmiu lat. Naprawdę wierzysz, że może się powieść?

Może to stęchłe powietrze tak dziwnie na nich działało. Niezdecydowanie było czymś zupełnie obcym publicznemu wizerunkowi Struta Greemrala. Wśród swych najbliższych powierników Greenval był zawsze osobą o otwartym umyśle - aż do chwili gdy trzeba było podjąć ostateczne decyzje. Wtedy stawał się człowiekiem bez skrupułów i wątpliwości, śmiało stawał czoło szeregom innych generałów, a nawet politycznym doradcom króla. Nigdy nie słyszała z jego ust pytania wyrażającego tyle smutku i niepewności. W tej chwili ujrzała przed sobą starego człowieka, który za kilka godzin miał poddać się Ciemności, być może po raz ostatni. Poczula się tak, jakby nagle pod naciskiem jej rąk ustąpiła poręcz, o którą wspierała się od lat.

- Panie generale, wyselekcjonowaliśmy starannie cele ataków. Jeśli je zniszczymy, Tiefstadt niemal natychmiast będzie się musiał poddać. Zespół Underhilla znajduje się w jeziorze odległym o niecałe dwie mile od celów. - Już to było niesamowitym osiągnięciem. Jezioro znajdowało się w pobliżu najważniejszego centrum zaopatrzeniowego Tiefstadt, sto mil w głąb terytorium wroga.

- Unnerby, Underhill i cała reszta muszą tylko przejść krótki odcinek. Testowaliśmy ich skafandry i egzotermy przez znacznie dłuższy okres w warunkach niemal tak...

Greenval uśmiechnął się słabo.

- Tak, wiem. Nieraz musiałem rzucać te dane na pożarcie sztabowi. Ale teraz naprawdę chcemy to zrobić. Pomyśl tylko, co to oznacza. Przez kilka ostatnich pokoleń próbowaliśmy zerknąć za zasłonę Ciemności, uszczknąć kawałek tajemnicy. Ale zespół Unnerby'ego zobaczył środek Najgłębszej Ciemności. Jak to może wyglądać? Tak, wydaje nam się, że wiemy; zamrożone powietrze, próżnia. Ale to tylko domysły. Nie

OTCHŁAŃ W NIEBIE

jestem zbyt religijny, pułkownika Smith, ale... ciekaw jestem, co tam znajdują.

Religijny czy nie, generał najwyraźniej nie zapomniał o starożytnych legendach, o śnieżnych trollach i aniołach ziemi. Nawet najbardziej racjonalne umysły drżały przed myślą o Ciemności tak intensywnej, że w pewnym sensie nieistniejącej. Victory z trudem zapanowała nad emocjami wywołanymi słowami Greenvala.

- Tak, mogą napotkać różne niespodzianki. Nie dawałabym temu projektowi większych szans na powodzenie, gdyby nie jedna istota - Sherkaner Underhill.

- Tak, nasz ulubiony dziwak.

- Dziwak bardzo niezwykłego gatunku. Znam go od siedmiu lat, od dnia, kiedy pojawił się tutaj z głową pełną szalonych pomysłów i samochodem wyładowanym przeróżnymi projektami. Dobrze, że miałam wtedy wolne popołudnie. Miałam czas, żeby go wysłuchać i dobrze się bawić. Przeciętny badacz ma w całym życiu jakieś dwadzieścia ciekawych pomysłów. Underhill ma dwadzieścia pomysłów na godzinę, w jego przypadku to niemal choroba. Ale znałam ludzi równie niezwykłych w szkole wywiadu. Różnica polega na tym, że choć tylko jeden procent pomysłów Sherkanera to wykonalne i rozsądne projekty, on potrafi je wyłowić i oddzielić od pozostałych. Może ktoś inny pomyślałby o wykorzystaniu szlamu bagiennego do rozmnażania egzoterm. Z pewnością ktoś miałby także ciekawe pomysły dotyczące skafandrów. Ale on nie tylko wymyśla te rzeczy, ale i łączy je ze sobą tak, że tworzą jedną genialną całość. To jeszcze nie wszystko. Bez Sherkanera nie potrafilibyśmy wprowadzić w życie wszystkich tych projektów, nie w tak krótkim czasie. On potrafi w jakiś magiczny sposób wciągać w swoje plany najlepszych, najbystrzejszych ludzi. - Pamiętała złość i pogardę, z jaką Hrunckner Unnerby potraktował go tamtego pierwszego popołudnia, jak zmieniło się jego podejście, z jakim zapałem wreszcie zaprzął swą inżynierską wyobraźnię do realizacji pomysłów podrzucanych mu przez Sherkanera. - Sherkaner nie ma cierpliwości do szczegółów, ale potrafi zgromadzić wokół siebie ludzi, którzy zrobią to za niego. On jest po prostu... niesamowity.

Oboje wiedzieli to wszystko już od dawna; Greenval w podobny sposób chwalił Sherkanera przed swymi zwierzchnikami. W tej chwili jednak Victory nie mogła dodać mu otuchy w żaden inny sposób. Greenval uśmiechnął się i spojrzał na nią dziwnie.

- Więc czemu za niego nie wysłaś, pułkowniku?

Smith nie przypuszczała, że padnie to pytanie, ale co tam, byli przecież sami, a świat umierał.

- Zamierzam to zrobić, panie generale. Ale na razie trwa wojna, a jak pan wie, ja nie jestem... tradycjonalistką; pobierzemy się po Ciemności. - Victory Smith potrzebowała tylko jednego popołudnia, by zrozumieć, że Underhill jest najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznała. Po

VERNOR VINGE

kilku kolejnych dniach uświadomiła sobie, że ów człowiek jest geniuszem, którego można wykorzystać jak dynamo, który może dosłownie zmienić bieg wojny. W ciągu piętnastu dni przekonała do tego Struta Greenvala, a Underhill dostał własne laboratorium. Po pewnym czasie jego siedziba zaczęła obrastać kolejnymi laboratoriami, w których badano różne poboczne kwestie związane z projektem. Tymczasem Victory, wykorzystując przerwy między własnymi misjami, planowała, jak zdobyć fenomen Underhilla - tak właśnie o nim myślała, tak myślał o nim cały Sztab Wywiadu - dla siebie, i to na stałe. Małżeństwo było oczywistym rozwiązaniem. Tradycyjny Ślub-w-Gaśnięciu doskonale pasowałby do jej ścieżki kariery. Wszystko układałoby się doskonale, gdyby nie sam Sherkaner Underhill. Sherk miał własne życie i plany. W końcu został jej najlepszym przyjacielem, nie tylko obiektem, ale i współautorem jej działań. Sherk miał przeróżne plany na lata po Ciemności, których Victory nikomu nie powtarzała. Jej inni przyjaciele - nawet Hrunknier Unnerby - lubili ją, chociaż była spoza fazy. Sherkaner Underhill uważał to wręcz za atut. Po raz pierwszy w życiu Victory zetknęła się z czymś więcej niż zwykłą akceptacją. Na razie toczyli więc wojnę. Jeśli oboje przeżyją, po Ciemności będą realizowali nowy plany, stworzą sobie razem nowy świat.

A Strut Greenval był dość inteligentny, by się tego domyślić. Victory spojrzała nagle groźnie na swego szefa.

- Pan już o tym wiedział, prawda? Dlatego nie pozwolił mi pan zostać z zespołem. Uważa pan, że to samobójcza misja i że moje poglądy w tej kwestii są wypaczone... Cóż, na pewno jest niebezpieczna, ale chyba nie do końca rozumie pan Sherkanera Underhilla; samopoświęcenie nie leży w jego naturze. Według naszych standardów jest raczej tchórzem. Nie interesuje go większość spraw, które są dla nas naprawdę ważne. Ryzykuje życie ze zwykłej ciekawości - ale jest bardzo, bardzo ostrożny, kiedy chodzi o jego bezpieczeństwo. Myślę, że zespół wykona swoje zadanie i przeżyje. Szanse powodzenia byłyby jeszcze większe, gdyby pozwolił mi pan zostać z nimi!

Jej ostatnim słowem towarzyszyło dramatyczne mruganie jedynej lampy w pokoju.

- Hm - mruknął Greenval. - Od dwunastu godzin nie mamy już paliwa, wiedziała pani o tym, pułkowniku? Teraz wyczerpują się już ołowiane akumulatory. Za kilka minut pojawi się tutaj kapitan Diredr z Ostatnim Słowem kwatermistrza. „Przykro mi, panie generale, ale ostatnie stawy w otchłaniach za chwilę zamarzną. Inżynieria błaga pana, by przyłączył się pan do ostatecznej ewakuacji” - mówił generał, udanie naśladowując piskliwy głos swego adiutanta.

Greenval wstał i pochylił się nad biurkiem. W jego postawie znów nie było najmniejszego śladu wątpliwości, przemawiał swym normalnym, ostrym głosem.

- W tym czasie chciałbym wyjaśnić kilka spraw dotyczących pani rozkazów i przyszłości. Tak, wezwałem tu panią z powrotem, bo nie chcę,

OTCHŁAŃ W NIEBIE

by ryzykowała pani życie. Odbyłem kilka długich rozmów z sierżantem Unnerbym. Mieliśmy dziewięć lat, by narażać panią na różne niebezpieczeństwa i obserwować, jak pracuje pani umysł, kiedy od prawidłowej odpowiedzi zależy życie tysięcy ludzi. Czas już odwołać panią z pierwszej linii. Jest pani jednym z najmłodszych pułkowników w naszych czasach; po tej Ciemności będzie pani najmłodszym generałem.

- Tylko jeśli misja Underhilla zakończy się powodzeniem.
- Proszę mi nie przerywać. Misja Underhilla nie ma tu większego znaczenia, królewscy doradcy znają już pani wartość. Bez względu na to, czy przetrwam tę Ciemność, czy też nie, po kilku latach Nowego Słońca pani będzie siedzieć na moim miejscu. Nie mogę więc pozwolić, by nadal narażała się pani na niebezpieczeństwo. Jeśli Underhill przeżyje, może pani wyjść za niego, mieć z nim dzieci, nic mnie to nie obchodzi. Lecz nie wolno pani już nigdy więcej ryzykować życia. - Pomachał jej spiczastą ręką przed twarzą, robiąc przy tym groźną minę. - Jeśli mnie pani nie posłucha, przysięgam, że wstanę z grobu i połamię pani tę grubą skorupę.

Z korytarza dobiegł odgłos czyichś kroków. Ręce poruszyły ciężką zasłoną, która stanowiła jedyne drzwi tego pomieszczenia. Był to kapitan Dirredr.

- Przepraszam, generale. Inżyniera absolutnie nalega. Mamy jeszcze trzydzieści minut energii elektrycznej, na zewnątrz. Błagają, panie generale....

Greemral wypluł resztkę przekąski do poplamionej spluwaczki.

- Doskonale, kapitanie. Właśnie wychodzimy. - Obszedł Victory i od sunął zasłonę. Kiedy Smith zawahała się, chcąc przepuścić go przed sobą, ponaglił ją gestem. -W tym wypadku starszy znaczy ostatni, moja droga. Nigdy nie podobał mi się ten pomysł z oszukiwaniem Ciemności, ale skoro już musimy to zrobić, to ja pogaszę światła!

SIEDEM

Właściwie Pham Trinli nie powinien przebywać na mostku kapitańskiej floty, szczególnie podczas poważnych operacji. Starzec siedział przy jednym z dublowanych stanowisk dowodzenia, lecz nic tam właściwie nie robił. Trinli był programistą bojowym trzeciego stopnia, choć nigdy nie zajmował się niczym produktywnym, nawet na tak niskim stanowisku. Robił tylko to, na co miał ochotę, a większość czasu spędzał w pokoju dziennym pracowników. Wiadomo było powszechnie, że kapitan floty Park zachowuje się nieco irracjonalnie, gdy w grę wchodzi „szacunek dla wieku”. Najwyraźniej dopóki Pham Trinli nikomu nie szkodził, mógł cieszyć się swobodą i żyć na koszt Queng Ho.

W tej chwili Pham siedział odwrócony bokiem do swego stanowiska. Przysłuchiwał się z kwaśną miną cichym rozmowom, nieustannej wymia-

VERNOR VINGE

nie poleceń i odpowiedzi. Ignorując zupełnie innych techników i obrońców, wpatrywał się w monitory.

Ładowanie okrętów Queng Ho i Emergentow było spektaklem wzajemnej podejrzliwości i ostrożności. Wszyscy podwładni kapitana Parka odnosili się do Emergentow z rezerwą i nieufnością. Dlatego też nie Stworzono mieszanych załóg, a sieci komunikacyjnie nie zostały w pełni zduplikowane. Kapitan Park podzielił swe okręty na trzy grupy, a każda z nich odpowiadała za jedną trzecią operacji planetarnych. Każdy ze statków Emergentow, każdy ładownik, każdy człowiek latający w przestrzeni był bez ustanku monitorowany.

Monitory na mostku kapitańskim przekazywały niemal wszystkie te obrazy. Trinli patrzył właśnie na relację ze „wschodniej” grupy, gdzie trzy ciężkie podnośniki Emergentow wyciągały z zamarzniętego oceanu ogromny blok lodowy o masie trzystu milionów ton. Był to już szósty transport podczas tej operacji. Powierzchnię planety oświetlał blask płomieni raketowych. Trinli widział dół głębokości kilkuset metrów. Parująca piana zakrywała otwór w dnie morza. Badania wykazały, że w tej części półki kontynentalnej znajduje się wiele metali, a Emergenci wydobywali je teraz z tą samą brutalną siłą, z jaką zabrali się do wycinania lodu.

Na razie nie widać nic podejrzanego, ale wszystko może się zmienić, kiedy dojdzie do podziału lupów.

Spojrzał na okna z danymi. Obie strony zgodziły się utrzymywać stałą łączność między statkami; grupa emergentkich specjalistów konferowała nieustannie z naukowcami Queng Ho; starali się wyciągnąć od nich wszystkie informacje dotyczące odkryć poczynionych przez Diema w suchej dolinie. Interesujące, jak łatwo przychodziła im myśl o zwykłej grabieży. Coś zupełnie nieprzystającego do etyki Queng Ho. *Raczej posunięcie w moim stylu.*

Tuż przed przybyciem Emergentow Park rozsiał w przestrzeni okołoplanetarnej tysiące maleńkich mikrosatelitów. Te niemal niedostrzegalne urządzenia wlatywały pomiędzy pojazdy Emergentow częściej, niż można by przypuszczać, i przekazywały obraz na ekrany elektronicznego wywiadu w okręcie kapitana. Dzięki nim Queng Ho wiedzieli, że statki Emergentow bezustannie wymieniają jakieś komunikaty poza oficjalnymi kanałami. Być może była to tylko niewinna automatyczna sygnalizacja. Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że to zaszyfrowane komendy wojskowe, tajne przygotowania ze strony wroga (a Pham Trinli nigdy nie myślał o Emergentach inaczej jak o wrogach).

Specjaliści Parka oczywiście rozpoznawali te sygnały. Na swój sposób obrońcy Queng Ho byli bardzo groźni. Trinli obserwował, jak troje z nich spiera się co do natury sygnałów radiowych, które docierały do floty z emergentkich pojazdów. Jeden z młodszych obrońców uważał, że być może jest to odpowiednio przygotowane połączenie impulsów sondujących warstwy fizyczne i oprogramowanie. Gdyby miał rację, Emergenci

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dysponowaliby sprzętem znacznie bardziej skomplikowanym niż największe osiągnięcia Queng Ho... a to wydawało się niemożliwe. Starszy obrońca spojrział tylko na juniora spod ściągniętych brwi, jakby jego sugestia była piramidalną głupotą. Nawet ci, którzy już byli w walce, niczego nie rozumieją. Przez chwilę mina Trinlego była jeszcze bardziej skwaszona.

- Co o tym myślisz, Pham? - rozbrzmiał czyjś głos w jego słuchawce. Trinli westchnął.

- To śmierdząca sprawa, Sammy - odparł półgłosem, prawie nie poruszając ustami. - Wiesz o tym.

- Czulbym się lepiej, gdybyś był w drugim centrum kontroli. - Pomieszczenie, w którym siedział teraz Pham, nosiło oficjalnie nazwę „mostku kapitańskiego”, lecz na pokładzie „Phama Nuwena” znajdowało się jeszcze kilka ukrytych ośrodków. Ponad połowa personelu widocznego na mostku w rzeczywistości przebywała gdzie indziej. Teoretycznie czyniło to okręt trudniejszą zdobyczą. Teoretycznie.

- Mam lepszy pomysł. Przygotowałem stanowisko dowodzenia w jednej z taksówek. - Starzec wyplął ze swego fotela. Leciał powoli za szeregiem techników, obok monitorów ukazujących ciężkie podnośniki, załogę Diema gotującą się do opuszczenia doliny, ściągnięte napięciem twarze Emergentów.... Nikt nawet nie zauważył jego wyjścia, tylko gdy przepływał przez wyjście, Sammy Park zerknął nań kątem oka. Trinli odpowiedział kapitanowi lekkim skinieniem głowy.

Beznadziejne mięczaki, wszyscy, co do jednego. Tylko Sammy i Kira Pen Lisolet rozumieli potrzebę natychmiastowego ataku. I nie przekonali ani jednego członka Komisji Handlowej. Nawet po spotkaniu twarzą w twarz z Emergentami komisja nie potrafiła dostrzec oczywistej zdrady, jaką szykowała im druga strona. Zamiast tego poprosili o radę jakiegoś Vinha. *Vinha!*

Trinli przepłynął przez pusty korytarz, zatrzymał się przy słuzie taksówek i otworzył właz tej, którą przygotował sobie wcześniej na tę okazję. Mógłby namówić Lisolet do buntu. Zastępca kapitana floty miała własny okręt, QHS „Niewidzialna ręka”. Bunt był więc fizycznie możliwy, a gdyby Lisolet zaczęła strzelać, Sammy i inni nie mieliby już innego wyjścia, musieliby się do niej przyłączyć.

Wsunął się do taksówki i uruchomił pompy. *Me, umywam ręce.* Gdzieś z tyłu jego czaszki rodził się dokuczliwy ból głowy. Napięcie zazwyczaj nie działało na niego w ten sposób. Pokręcił głową. No dobrze, tak naprawdę nie będzie namawiał Lisolet do buntu tylko dlatego, że należała do tych nielicznych już osób, które mają honor. Będzie więc musiał radzić sobie sam. Sammy przywiózł niemało broni. Trinli uśmiechnął się na myśl o tym, co czekało ich w przyszłości. *Nawet jeśli druga strona uderzy pierwsza, to my zostaniemy ostatni na polu bitwy.* Kiedy jego taksówka wylatywała z okrętu flagowego Queng Ho, Trinli przeglądał ostatnie dane, planował następne posunięcia. Czego spróbuje druga strona? Jeśli poczeka-

VERNOR VINGE

ją dostatecznie długo, może uda mu się rozpracować zamki broni Sammy'ego... a wtedy sam rozpocznie bunt.

Nadchodząca zdrada przejawiała się w wielu znakach, lecz nawet PhamTrinli nie dostrzegał najbardziej oczywistych. Trzeba znać metodę ataku, by przewidzieć jego nadejście.

Ezr Vinh nie miał pojęcia o tym, co dzieje się na górze. Kilosekundy, które spędził na powierzchni planety, wypełnione były ciężką, fascynującą pracą, niepozostawiającą czasu na snucie podejrzeń. W całym swym życiu na powierzchni planet spędził zaledwie kilkadziesiąt Mse-kund. Pomimo ćwiczeń i medycyny Queng Ho odczuwał teraz ogromne zmęczenie. Pierwsze Ksekundy wydawały się stosunkowo łatwe, teraz jednak bolały go wszystkie mięśnie. Na szczęście nie tylko jego. Cała załoga wyglądała na wyczerpaną. Ostatnie chwile spędzili na żmudnym sprawdzaniu, czy nie pozostawili po sobie żadnych śmieci, żadnych śladów, które przetrwałyby proces ponownego rozpalania gwiazdy OnOff. Diem skręcił kostkę w drodze powrotnej do ładownika. Gdyby nie wciągarka towarowa, w ogóle by tam nie dotarł. Kiedy wreszcie weszli na pokład, nawet tak prosta czynność jak zdejmowanie skafandra sprawiała im ból.

- Boże... - Benny opadł na półkę obok Vinha. Zewsząd dobiegały jęki i narzekania, kiedy ładownik wynosił ich w górę. Mimo to Vinh czuł ogromną satysfakcję, flota dowiedziała się dzięki nim znacznie więcej, niż ktokolwiek przypuszczał. Nie męczyli się na darmo.

Członkowie załogi Diema nie mieli nawet sił na rozmowy. Huk silnika pojazdu wydawał się teraz niemal poddźwiękowym buczeniem, które rodziło się gdzieś we wnętrzu ich kości i emanowało na zewnątrz. Vinh nadal słyszał głosy specjalistów dyskutujących na górze, lecz Trixia już się nie odzywała. Nikt nie mówił teraz do ludzi Diema. Niezupełnie, Qiwi próbowała z nim rozmawiać, ale Ezr był zbyt zmęczony, by wysilać się tylko dla niej.

Tymczasem ciężkie podnośniki po drugiej stronie planety pracowały już poza przewidzianym wcześniej harmonogramem. Czyste ładunki atomowe wyrwały z zamrożonego oceanu kilkanaście milionów ton lodu, lecz para unosząca się nad miejscem operacji utrudniała im zadanie. Jakiś Emergent - Brughel - skarżył się, że stracili kontakt z jednym z podnośników.

- Myślę, że to kwestia ustawienia waszych kamer - odpowiedział mu technik z Queng Ho. - My widzimy wszystkie. Trzy nadal są na powierzchni, jeden prawie niewidoczny we mgle, ale wygląda na nieuszkodzony. Trzy kolejne zaczęły się właśnie wznosić, są w odpowiednich odległościach od siebie... Chwileczkę... - Mijały sekundy. Na „odległym” kanale toczyła się rozmowa dotycząca jakiegoś problemu medycznego; najwyraźniej ktoś miał kłopoty z żołądkiem. Potem powrócił głos kontrolera lotu: - To dziwne. Straciliśmy obraz operacji na Wschodnim Wybrzeżu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Głos Brughla był o ton ostrzejszy:

- Rozumiem, że macie rezerwę?

Technik Queng Ho nie odpowiedział.

Trzeci głos.

- Właśnie odebraliśmy impuls EM. Myślałem, że skończyliście już z wycinaniem lodu?

- Skończyliśmy! - odparł z oburzeniem Brughel.

- Odebraliśmy trzy kolejne impulsy. To... Tak jest!

Impulsy EM? Ezra próbował usiąść, ale przyspieszenie było zbyt duże i nagle głowa rozboleła go mocniej niż kiedykolwiek w życiu. *Powiedz coś więcej, do diabła!* Lecz mężczyzna, który powiedział właśnie „tak jest” - obrońca Queng Ho, sądząc po głosie - nagle umilkł lub, co bardziej prawdopodobnie, zmienił kanał i zakodował wiadomość.

Głos Emergenta był ostry i zły.

- Chcę rozmawiać z kimś z dowództwa. Umieemy rozpoznać lasery na mierzające, kiedy świecą prosto na nas! Wyłączcie je albo pożałujecie.

Wyświetlacz na głowie Ezra zgasł. Patrzył na kadłub ładownika. Tapeta trójwymiarowa świeciła normalnie, ale na ekranach ukazywały się jakieś chaotyczne sygnały alarmowe.

- Cholera! -To Jimmy Diem. Dowódca walił pięścią w konsolę z przodu kabiny. Ktoś w tylnej części, za plecami Vinha, wymiotował. Wyglądało to jak jeden z tych sennych koszmarów, kiedy nagle wszystko się psuje.

W tej samej chwili ładownik zakończył ciąg. Po trzech sekundach straszliwe ciśnienie ustąpiło znajomemu stanowi nieważkości. Vinh odechnął z ulgą i ruszył w stronę Diema.

Spod sufitu mógł obserwować monitory przy stanowisku dowodzenia i nie przeszkadzać jednocześnie dowódcy.

- Naprawdę do nich strzelamy? - *Boże, ale boli mnie głowa!* Kiedy próbował odczytać wskazania przyrządów z konsoli Diema, ikonki pływały mu przed oczami.

Diem odwrócił lekko głowę, by spojrzeć na Ezra. Ból widoczny był także na jego twarzy; ledwie się ruszał.

- Nie wiem, co robimy. Straciłem obraz. Przywiążcie się... - Pochylił się do przodu, wpatrzony w monitor. - Flota nadaje teraz szyfrem, jesteście śmy na ostatnim poziomie bezpieczeństwa - co znaczyło, że prócz bezpośrednich rozkazów od obrońców Parka nie otrzymają żadnych informacji.

Vinh uderzył pośladkami w sufit i zaczął zsuwać się do tyłu kabiny. Ładownik obracał się wokół własnej osi, wykonując jakiś nagły manewr - autopilot nie przekazał żadnego ostrzeżenia. Najprawdopodobniej do dowództwo floty przygotowywało ich do następnego ciągu. Ezra zapiął pasy za Diemem w chwili, gdy główny silnik ładownika nadał im przyspieszenie 0,1 g.

- Przenoszą nas na niższą orbitę... ale nie widzę, żeby ktoś wylatywał nam na spotkanie - powiedział Diem. Z uporem wystukiwał kod dostępu

VERNORVINGE

na ekranie. - Dobra, sam się czegoś spróbuję dowiedzieć... Mam nadzieję, że Park nie będzie za bardzo wkurzony...

Z tyłu kabiny znów ktoś wymiotował. Diem zaczął odwracać głowę, skrzywił się z bólu.

- Ty możesz się ruszać, Vinh. Zajmij się tym.

Ezr zsunął się po linie, pozwalając, by to ciążenie wykonało za niego całą pracę. Queng Ho żył w zmiennych warunkach, przy różnym ciążeniu i przyspieszeniu. Opieka medyczna i dobre odżywianie sprawiały, że choroba orientacyjna należała wśród nich do rzadkości. Lecz Tsufe Do i Pham Patii wymiotowali, a Benny Wen leżał zwinięty tak mocno, jak tylko pozwalały mu pasy. Trzymał się oburącz za głowę i jęczał z bólu.

- Ciśnienie, ciśnienie...

Vinh zbliżył się do Patila i Do, delikatnie usunął gęstą zawieszinę, która ściekała po ich ubraniu. Tsufe podniosła nań oczy zakłopotana.

- Nigdy w życiu nie rzygałam.

- To nie twoja wina - odparł Vinh, próbując zapomnieć o bólu, który z coraz większą siłą ścisnął jego głowę. *Głupiec, głupiec, głupiec. Przecież to takie oczywiste!* To nie Queng Ho atakowali Emergentów, lecz Emer-genci ich.

Nagle znów mógł widzieć, co dzieje się na zewnątrz.

- Mam lokalny obraz - rozbrzmiał w słuchawkach głos Diema. Do wódca wypowiadał każde słowo powoli, jakby z wielkim trudem. - Pięć po cisków z pozycji Emergentów... Cel, okręt flagowy Parka...

Vinh pochylił się nad rzędem koi i wyrzwał na zewnątrz. Pociski oddalały się od ładownika, zwrócone doń płomieniami silników; pięć małych gwiazd poruszających się coraz szybciej i szybciej na czarnym tle nieba, zbliżających się do QHS „Pham Nuwen”. Tor ich lotu nie był jednak gładkim łukiem; zakręcały gwałtownie, zmieniały na moment kierunek.

- Musimy do nich strzelać. Robią uniki.

Jedno z małych świateł zgasło.

- Dostaliśmy jednego! Mamy...

Cztery rozbłysły nagle z większą mocą. Jasność na niebie rozrastała się coraz bardziej i bardziej, tysiąc razy silniejsza od bladego dysku słońca.

Potem obraz znów zniknął. Światła w kabinie zgasły na moment, mru-gnęły, znów zgasły. Włączył się podstawowy system awaryjny. Cienkie czerwone linie opasywały skrytki ze sprzętem, służę powietrzną, konsole awaryjną. System był wytrzymały, lecz bardzo prosty i zaprojektowany na minimalne zużycie energii. Nie mieli nawet awaryjnego obrazu z zewnątrz.

- Co z okrętem Parka, dowódco? - spytał Vinh. Cztery bliskie detonacje, tak straszliwie jasne - rogi regularnego czworoboku, obejmują cego swą ofiarę. Widok ten zniknął sprzed jego oczu, lecz na zawsze miał pozostać w jego pamięci.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Jimmy! - krzyknął Vinh do przodu kabiny. - Co z „Phamem Nuwenam”? - Czerwone światła awaryjne pływały mu przed oczami; krzyk niemal zupełnie pozbawił go sił.

Diem przemówił słabym, chrapliwym głosem:

- Chyba... chyba zniknął. - Spalił się, wyparował, żadne z tych słów nie mogło przejść mu przez usta. - Nie widzę teraz nic, tylko te cztery bomby... Boże, przecież one prawie w niego uderzyły!

Kilka innych głosów próbowało włączyć się do rozmowy, były jednak słabsze nawet od głosu Jimmy'ego Diema. Kiedy Vinh ruszył w jego stronę, w górę drabiny, ciąg nagle się zakończył, i znów powrócili do stanu nieważkości. Pozbawiony światła i możliwości manewru ładownik stawał się tylko ciemną trumną. Po raz pierwszy w życiu Ezer poczuł strach, jakiego musieli doświadczać ludzie nieprzyzwyczajeni do braku grawitacji; zerowe ciśnienie mogło oznaczać, że albo dotarli na zaplanowaną orbitę, albo spadali po balistycznym łuku przecinającym tor lotu planety...

Vinh zapanował nad strachem i ponownie ruszył naprzód. Mogli przecież używać konsoli awaryjnej. Mogli prowadzić nasłuch. Mogli skorzystać z miejscowego pilota i dołączyć do pozostałych sił Queng Ho. Ból rozsadzał mu głowę, przewyższał wszystko, czego Ezer kiedykolwiek doświadczył. Czerwone światła awaryjne wydawały się coraz słabsze i słabsze. Czuł, że traci świadomość, paniczny strach chwycił go za gardło. Nie mógł nic zrobić.

Nim jeszcze zapadł w ciemną otchłań, los okazał mu odrobinę łaski, pocieszył jedną myślą: na pokładzie „Phama Nuwena” nie było Trixie Bonsol.

OSIEM

Przez ponad dwieście lat mechanizm zegarowy pod zamrożonym jeziorem skrupulatnie odmierzał upływające sekundy, rozwijał powoli zwoje sprężyny. Mechanizm działał bez zarzutu przez tyle lat, by zaciąć się na ostatnim spuście. Mógłby tak trwać aż do Nowego Słońca, gdyby nie inny nieprzewidziany wypadek; siódmego dnia dwieście dziewiątego roku od strony zamrożonego morza nadeszła seria gwałtownych drgnień skorupy ziemskiej, które to drgnienia zwolniły ostatni spust. Tłok wsunął pianę organicznego szlamu do zbiornika z zamrożonym powietrzem. Przez kilka minut nic się nie działo. Potem w substancji organicznej rozszedł się blask, temperatura wzrosła ponad punkt zamarzania tlenu i azotu, a nawet dwutlenku węgla. Gazy wydzielane przez trylion pączkujących egzoterm stopiły lód nad małym pojazdem. Zaczęło się wznoszenie ku powierzchni.

Przebudzenie z Ciemności nie przypomina zwykłego przebudzenia. Ta chwila była już tematem tysięcy wierszy, a w ostatnich pokoleniach

VERNOR VINCE

przedmiotem tysięcy badań naukowych. Sherkaner doświadczał jej po raz drugi, choć pierwszy właściwie się nie liczył, ginął wśród innych, niewyraźnych wspomnień z dzieciństwa, kiedy to tulił się do grzbietu swego ojca w stawach Otchłani Mountroyal.

Przebudzenie z Ciemności składało się z kilku etapów. Wzrok, dotyk, słuch. Pamięć, orientacja, myślenie. Czy wszystkie te zmysły i zdolności budziły się stopniowo, jedna po drugiej, czy też jednocześnie, lecz oddzielnie? Kiedy te części zaczynały tworzyć „umysł”? Pytania te miały dęczyć Sherkanera do końca życia, być podstawą jego ostatecznych poszukiwań... Lecz w tych chwilach poszatkwanej świadomości współistniały z rzeczami o znacznie większym znaczeniu; musiał odzyskać zdolność logicznego myślenia, przypomnieć sobie, kim jest, dlaczego tu jest i co musi zrobić, by przeżyć. Teraz kierowały nim instynkty milionów lat.

Mijały kolejne minuty, myśli przybierały coraz konkretniejsze kształty. Sherkaner wyjrzał przez pęknięte okno pojazdu na zewnątrz, w ciemność. Dostrzegł jakiś ruch. Klęby pary? Nie, raczej cienka warstwa kryształów wirująca w bladym świetle, na którym płynęły.

Ktoś stuknął go w ramię, wołał go głośno po imieniu. Sherkaner wytężył pamięć.

- Tak, sierzancie, już się obudziłem.
- Doskonale - odpowiedział mu metaliczny głos Unnerby'ego. - Nic ci nie jest? Znasz procedurę.

Sherkaner posłusznie poruszał nogami. Wszystkie go bolały; to był już dobry początek. Środkowe, przednie, ręce pożywiające.

- Nie czuję prawej przedniej i środkowej. Może się skleily.
- Tak, pewnie są jeszcze zamrożone.
- Jak się czują Gil i Amber?
- Rozmawiam z nimi przez cały czas. Odzyskali świadomość szybciej niż ty, ale jeszcze całkiem się nie rozmrozili.

- Podaj mi kabel. - Unnerby podsunął mu sprzęt przewodzący dźwięk, a Sherkaner porozmawiał bezpośrednio z pozostałymi członkami zespołu. Ciało toleruje stopniowe rozmrażanie, jeśli jednak nie zakończy się ono we właściwym czasie, rozpoczyna się proces gnilny. Problem polegał tutaj na tym, że torby z egzotermami i paliwem przesunęły się, gdy łódź zaczęła sunąć ku górze. Sherkaner ułożył je ponownie i uruchomił opływ szlamu i powietrza. Zielony blask wypełniający ich małą kabinę przybrał na sile, a Sherkaner wykorzystał światło, by sprawdzić, czy rury przewodzące tlen nie uległy uszkodzeniu. Egzotermy pozwalały im utrzymać odpowiednią temperaturę, gdyby jednak zespół musiał walczyć z nimi o tlen, z pewnością przegrał.

Minęło pół godziny. Ciepło przywracało ich do życia, uwalniało kończyny. Wyszli z przebudzenia niemal bez szwanku, tylko Gil Haven miał odmrożone czubki środkowych rąk. Podczas wielu zwykłych przebudzeń

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dochodziło do gorszych obrażeń. Szeroki uśmiech wypłynął na oblicze Sherkanera. Udało im się, obudzili się w Głębi Ciemności.

Wszyscy czworo odpoczywali jeszcze przez chwilę, nadzorując przepływ powietrza i ćwicząc procedurę przygotowaną przez Sherkanera. Unnerby i Amberdon Nizhnimor sprawdzili szczegółowo wszystkie elementy wyposażenia, przekazując podejrzane i zepsute przedmioty Sherkanero-wi. Nizhnimor, Haven i Unnerby, dwójka inżynierów i chemik, byli bardzo inteligentnymi istotami, ale także zawodowymi żołnierzami. Sherkaner z fascynacją obserwował zmiany, jakie zachodziły w ich zachowaniu, kiedy przenieśli się z laboratorium na pole rzeczywistych działań. Unnerby stanowił tu szczególnie interesujący przypadek; zaprawiony w bojach żołnierz i inżynier o ogromnej wyobraźni, tradycjonalista kierujący się w życiu prostymi, jednoznacznymi zasadami. Sherkaner znał sierżanta od siedmiu lat. Pogarda, z jaką ten odnosił się do projektów Underhilla, należała już do odległej przeszłości; niegdysiejsi adwersarze zostali potem bliskimi przyjaciółmi. Kiedy jednak zespół przeniósł się w końcu na Wschodni Front, zachowanie Unnerby'ego uległo dziwnej odmianie. Traktował Underhilla z dystansem, czasami nawet zwracał się do niego per „pan”, a jego szacunek bliski był czasem zniecierpliwieniu.

Sherkaner spytał o to Victory. Po raz ostatni byli wtedy sami, w zimnej kwaterze pod ostatnim aerodromem funkcjonującym na Wschodnim Froncie. Roześmiała się, usłyszawszy jego pytanie.

- Och, mój kochany, a czego ty się spodziewałeś? Kiedy zespół opuści nasze terytorium, to Hrunk przejmie dowództwo i będzie za was odpowiedzialny. Ty jesteś cywilnym doradcą bez żadnego wykształcenia wojskowego, obcym elementem, który trzeba jakoś wpasować w strukturę dowodzenia. On potrzebuje twojego absolutnego posłuszeństwa, ale i twojej wyobraźni i elastyczności. - Roześmiała się lekko; od korytarza oddzielała ich tylko cienka płócienna zasłona. - Gdybyś był zwyczajnym rekrutem, Unnerby już sto razy spaliłby ci pancerz. Biedny kober boi się okropnie, że w krytycznej sytuacji, kiedy będzie się liczyła każda sekunda, twój geniusz zajmie się *czymś* zupełnie innym, na przykład astronomią.

- Hm... -Właściwie nieraz już zastanawiał się, jak wyglądają gwiazdy bez atmosfery, która przyćmiewa ich naturalne kolory. - Rozumiem. Dziwię się tylko, że w tej sytuacji pozwolił Greenvalowi włączyć mnie do zespołu.

- Żartujesz? Hrunk sam tego zażądał. Wie, że czekają was tam niespodzianki, z którymi tylko ty będziesz mógł sobie poradzić. Jak powie-działam; ten kober ma problem.

Sherkaner Underhill rzadko odczuwał zdumienie, lecz to właśnie była jedna z takich chwil.

- Cóż, postaram się być dobry.

- Wiem o tym. Chciałam tylko, byś wiedział, czego obawia się Hrunk... Hej, możesz to potraktować jako zagadnienie behawioralne; jak

VERNORVINGE

tak różni od siebie ludzie mogą współpracować i przetrwać w warunkach, w których nikt jeszcze nie przeżył? - Może traktowała to jako żart, ale to rzeczywiście była interesująca kwestia.

* * *

Bez wątplenia ich pojazd był najdziwniejszym wehikułem w historii; skrzyżowanie łodzi podwodnej z przenośną otchłanią i pojemnikiem na szlam. Teraz skorupa długości piętnastu stóp spoczywała w płytkiej sadzawce świecącej zieleni i zgniłej czerwieni. Woda gotowała się w próżni, unosiły się nad nią kłęby gazów, które natychmiast zamarzały i opadały z powrotem w postaci maleńkich kryształków. Unnerby otworzył klapę, a zespół utworzył żywy łańcuch, transportując z rąk do rąk elementy wyposażenia i zbiorniki z egzotermami i układając je na ziemi za sadzawką.

Rozciągnęli pomiędzy sobą kable audio, od Underhilla do Unnerby'ego, potem do Havena i do Nizhnimor. Sherkaner niemal do samego końca miał nadzieję, że uda im się stworzyć system łączności bezprzewodowej, ten był jednak zbyt ciężki, nikt też nie potrafił powiedzieć, czy będzie działał w tak ekstremalnych warunkach. Każdy mógł więc w danej chwili rozmawiać tylko z jednym spośród innych członków zespołu. Tak czy inaczej potrzebowali linii bezpieczeństwa, kable nie stanowiły więc dodatkowego obciążenia.

Sherkaner prowadził grupę do brzegu jeziora. Za nim szedł Unnerby, potem Nizhnimor, a na końcu Haven, który ciągnął sanie ze sprzętem. Gdy tylko oddalili się nieco od łodzi, otoczyła ich ciemność. W miejscu, gdzie na powierzchni rozplynęły się egzotermi, nadal pobłyskiwało czerwone światło; łądz spaliła wiele ton paliwa, przebijając się ku powierzchni. Energię dla pozostałej części misji musiały im zapewnić egzotermi, które nieśli ze sobą, i paliwo, jakie uda im się znaleźć pod śniegiem.

Właśnie egzotermi były tym pomysłem Sherkanera, który umożliwił podróż w Ciemności. Przed wynalezieniem mikroskopu „wielcy myśliciele” twierdzili, że cechą, która odróżnia wyższe zwierzęta od pozostałych form życia, jest ich zdolność do przetrwania Wielkiej Ciemności. Rośliny i prostsze zwierzęta umierały; Ciemność mogły przeżyć tylko ich otorbio-ne jajka. Później jednak okazało się, że wiele jednokomórkowych zwierząt potrafi przetrwać w ekstremalnych warunkach i to na powierzchni planety, a nie w otchłaniach. Co dziwniejsze - a odkrycia tego dokonali biolodzy ze Szkoły Królewskiej, kiedy Sherkaner był studentem ostatniego roku - istniały formy Mniejszych Bakterii, które żyły w wulkanach i pozostawały aktywne przez całą Ciemność. Te mikroskopijne stworzenia bardzo zainteresowały Sherkanera. Profesorowie zakładali, że tego rodzaju istoty muszą zawieszają procesy życiowe albo tworzyć sporule, kiedy wulkany są zimne, ale Sherkanera ciekawiło, czy nie istnieją także takie odmiany bakterii, które w zimniejszych okresach same wytwarzają ciepło. Przecież nawet w Ciemności nad powierzchnią planety znajdowało się

OTCHŁAŃ W NIEBIE

sporo tlenu - a w wielu miejscach pod warstwą śniegu powietrznego zalegały resztki substancji organicznych. Gdyby istniał jakiś katalizator rozpoczynający utlenianie w bardzo niskich temperaturach, te maleńkie istoty mogłyby po prostu „spalać” roślinność między kolejnymi okresami aktywności wulkanów. Takie bakterie byłyby doskonale przystosowane do życia w Ciemności.

Patrząc na swoje poczynania z perspektywy czasu, Sherkaner wiedział, że tylko jego ignorancja pozwoliła mu na poważnie zająć się tym pomysłem. Te dwie strategie przetrwania wymagały bowiem dwóch zupełnie odmiennych procesów chemicznych. Efekt zewnętrznego utleniania był bardzo słaby, a w ciepłych środowiskach praktycznie nie zachodził. W wielu sytuacjach ów fakt stanowił poważne utrudnienie dla bakterii; te dwa rodzaje metabolizmu wzajemnie sobie szkodziły. W Ciemności bardzo niewiele było zyskały, egzystując w pobliżu wulkanu sporadycznie wykazującego aktywność. Nigdy nie zauważono by tych prawidłowości, gdyby nie zajął się nimi Sherkaner. Zamienił uczelniane laboratorium biologiczne w zamrożony staw, przez co został (czasowo) wyrzucony ze studiów. Osiągnął jednak swój cel; stworzył egzotermy.

Po siedmiu latach selektywnej hodowli w Departamencie Badań Materiałowych bakterie rozwinęły czysty, utleniający metabolizm. Kiedy więc Sherkaner wrzucił egzotermiczny szlam do śniegu powietrznego, w górze ukazał się obłoczek pary, a w śniegu gasnący blask płynnej kropli, która tonęła coraz głębiej w warstwie białego puchu. Po sekundzie (jeśli egzotermy w tej kropli miały szczęście) uważny obserwator mógł dostrzec blade światło wypływające spod śniegu, ogarniające powierzchnię zagrzebanych tam substancji organicznych.

Blask rozpałał się teraz mocniej po jego lewej stronie. Śnieg powietrzny zadrzał i zapadł się, a spod jego powierzchni wypłynęła smuga jakiejś pary. Sherkaner pociągnął za kabel łączący go z Unnerbym, prowadząc zespół w stronę gęstszego pokładu paliwa. Choć sam pomysł wydawał się bardzo nowatorski, wykorzystanie egzoterm stanowiło w istocie formę rozpalania ognia. Śnieg powietrzny leżał wszędzie, lecz substancje palne pozostawały ukryte. Tylko dzięki pracy trylionów Mniejszych Bakterii możliwe stało odnalezienie i wykorzystanie paliwa. Początkowo nawet Departament Badań Materiałowych odnosił się do stworzenia tych bakterii z pewną bojaźnią. Podobnie jak glony na Zachodnich Brzegach te mikroskopijne istoty tworzyły w pewnym sensie społeczność. Poruszały się i rozmnażały równie szybko jak glony zamieszkujące Zachodnie Brzegi. A jeśli ta wyprawa zmieni oblicze ich świata? W rzeczywistości jednak bardzo szybki metabolizm był dla bakterii zabójczy. Underhill i jego towarzysze mieli co najwyżej piętnaście godzin na wykonanie swego zadania, tyle, ile mogły żyć najwytrwalsze z egzoterm.

Wkrótce oddalili się już od jeziora i szli przez płaskie pole, które w Latach Gaśnięcia porastała gęsta trawa i krzewy. Mieli tu mnóstwo pa-

VERNOR VINGE

liwa; w pewnym momencie egzotermy natrafiły na hałdę obumarłej roślinności, resztki drzewa. Sterta substancji organicznych rozpalą się coraz mocniej i mocniej, aż ponad śniegiem eksplodował jasny, szmaragdowy blask. Przez kilka chwil całe pole i położone dalej budynki widoczne były jak na dłoni. Potem zielony blask przygasł, pozostawiając po sobie tylko czerwoną, rozżarzoną poświatę.

Odeszli jakieś sto jardów od jeziora. Przed sobą mieli jeszcze tysiąc czterysta jardów do pokonania. Zespół popadał powoli w bolesną rutynę; przejść kilkadziesiąt jardów, zatrzymać się i rozsiać egzotermy. Kiedy Nizhnimor i Haven odpoczywali, Unnerby i Underhill szukali miejsc, w którym egzotermy znalazły najbogatsze paliwo. W tych punktach wszyscy napełniali kosze po brzegi. Czasami nie mogli znaleźć żadnego paliwa (kiedy szli przez szeroki betonowy plac) i wtedy musieli zadowolić się tylko śniegiem. Potrzebowali jednak i tego; musieli oddychać. Z drugiej znów strony bez paliwa dla egzoterm szybko padliby ofiarą zimna, które usztywniłoby ich stawy i unieruchomiło kończyny. Sukces wyprawy zależał od tego, czy Sherkaner odpowiednio pokieruje ich krokami.

Właściwie wcale nie było to takie trudne. Korzystając z blasku płonącego drewna, Sherkaner uważnie przyjrzał się okolicy i potrafił już określić, gdzie kryją się resztki martwej roślinności. Na razie wszystko toczyło się zgodnie z planem, nikt z nich nie zamierzał ponownie. Sherkaner czuł ostry ból w czubkach rąk i nóg, każdy staw wydawał się pierścieniem ognia. Interesujący problem; ból. Tak pomocny i zarazem tak przykry. Nawet ludzie pokroju Hrunknera Unnerby'ego nie potrafili się całkowicie zignorować; Sherkaner słyszał przez kabel chrapliwy oddech sierżanta.

Zatrzymać się, napełnić koszyki, dorzucić szlamu i znów wszystko od początku. Raz za razem, bez końca. Pogarszał się stan Gila Havena. Zatrzymali się na chwilę, próbowali poprawić skafander kobera. Unnerby zamienił się miejscami z Havenem, by pomóc Nizhnimor przy saniach.

- Nie ma problemu, to tylko środkowe ręce - mówił Gil. Lecz jego ciężki, chrapliwy oddech świadczył o czymś zupełnie innym.

Mimo to radzili sobie znacznie lepiej, niż spodziewał się Sherkaner. Sunęli w jednostajnym tempie przez Ciemność, a ich ruchy stały się po pewnym czasie niemal automatyczne. Pozostawał tylko ból... i ciekawość. Sherkaner wyzierał na zewnątrz przez wąskie szpary w hełmie. Za kłębami mgły i blaskiem egzoterm ciągnęły się łagodne wzgórza. Nie było całkiem ciemno. Czasami, kiedy przechylił głowę pod odpowiednim kątem, dostrzegał skrawek czerwonego dysku na zachodnim niebie. Widział słońce Najgłębszej Ciemności.

I przez tę samą wąską szparę Sherkaner widział niebo. *Jesteśmy tu nareszcie*. Pierwsi, którzy ujrzeli na własne oczy Najgłębszą Ciemność. Był to świat, którego istnieniu zaprzeczali niektórzy ze starożytnych filozofów - bo jak może istnieć coś, czego nie da się zaobserwować? Teraz

OTCHŁAŃ W NIEBIE

jednak stało się to już możliwe. Ten świat istniał naprawdę, wieki zimna i martwoty... i miriady gwiazd. Nawet przez grube szkła iluminatora, nawet tylko najwyższą parą oczu widział kolory, których nigdy dotąd nie dostrzegał na nieboskłonie. Gdyby tak przystanął na chwilę i zwrócił ku niebu wszystkie oczy, co jeszcze mógłby ujrzeć? Większość teoretyków twierdziła, że bez światła słonecznego kolorowe plamy wokół gwiazd znikną; inni uważali, że zorza polarna tworzyła się dzięki energii wulkanów działających pod nimi. Być może oprócz gwiazd były tu jeszcze jakieś inne światła...

Ostre szarpnięcie za kabel wyrwało go z zamyślenia.

- Szybciej, musimy się ruszać - wydyszał Gil. Bez wątpienia powtórzył polecenie Unnerby'ego. UnderhiU zaczął przeproszać, potem jednak zauważył, że to Amberdon Nizhnimor stoi nieruchomo przy saniach.

- Co się stało? - spytał Sherkaner.

- ...Amber zobaczyła... światło na wschodzie... ruszajmy się.

Wschód. Na prawo. Szkło po tej stronie jego hełmu zaszło mgłą. Wydawało mu się, że dostrzega zarys pasma górskiego. Znajdowali się w odległości czterech mil od wybrzeża. Ze szczytów tego pasma widzieliby już morze. Zza gór sączyło się jakby jakieś białe światło. Tak! Jasny blask rozprzestrzenił się na boki i ku górze. Zorza polarna? Sherkaner powściągnął ciekawość, przedstawiał ciągle jedną stopę przed drugą. Na Boga, jak bardzo chciałby wspiąć się na te góry i spojrzeć na zamrożone morze!

Sherkaner był dobrym, karnym żołnierzem aż do następnego przystanku. Nakładał właśnie rozżarzoną mieszankę egzoterm, paliwa i śniegu powietrznego do koszyków Havena, kiedy to się zaczęło. Cztery maleńkie światełka przemknęły przez zachodnie niebo, pozostawiając za sobą ognisty ślad, niby zatrzymane nieruchomo błyskawice. Jedno z nich zniknęło, pozostałe jednak zbliżyły się do siebie i... - światło eksplodowało, stało się tak jasne, że obraz w najwyższych oczach Underhilla rozmył się na chwilę w bólu. Nadal jednak widział na boki. Blask rozrastał się coraz bardziej, tysiąc razy jaśniejszy od wyblakłego dysku słońca. Wokół nich pojawiły się nagle wyraźne, ostre cienie. Cztery światła nabierały mocy z każdą sekundą, aż Sherkaner poczuł żar sączący się przez okrycie skafandra. Śnieg powietrzny na polu powędrował nagle w górę, otoczony oślepiającym, białym blaskiem. Żar wzmagał się jeszcze przez chwilę, niemal parzył - potem nagle osłabł, pozostawiając na jego plecach przyjemne uczucie przypominające ciepło słońca w pogodny letni dzień Środkowych Lat.

Mgła wirowała wokół nich, sunęła pędzona pierwszymi odczuwalnymi podmuchami wiatru, jakich doświadczyli od wyjścia na powierzchnię. Nagle zrobiło się bardzo zimno, mgła wysysała ciepło ze skafandrów; tylko ich buty były w pełni przystosowane do takich temperatur. Blask bijący z nieba stawał się coraz słabszy, woda i powietrze ponownie przybierały stałą konsystencję i opadały na ziemię. UnderhiU zaryzykował i pod-

VERNOR VINGE

niósł wzrok ku niebu; cztery punkty światła zamieniły się w płonące dyski, które także powoli traciły swą moc. W miejscach, gdzie owe dyski przechodziły na siebie, światło drżało i załamywało się niczym w zorzy polarnej; tajemnicze obiekty znajdowały się więc w równych odległościach od siebie. Cztery blisko położone punkty, rogi regularnego czworościanu? Były tak piękne... Lecz w jakiej odległości od ziemi? Czy był to może swego rodzaju piorun kulisty, zawieszony zaledwie kilkaset jardów nad powierzchnią planety?

Po kilku minutach cztery punkty przygasły już niemal całkowicie. Pojawiły się jednak inne światła, jasne rozbłyski za wschodnim pasmem gór. Na zachodzie jasne punkty sunęły coraz szybciej ku zenitowi, ciągnąc za sobą roziskrzony welon światła.

Czterej członkowie zespołu stali w bezruchu. Przez chwilę nawet Unnerby stracił poczucie rzeczywistości, ogarnięty ogromnym podziwem. Odszedł od sań i położył rękę na plecach Sherkanera. Jego głos wydawał się dziwnie słaby i odległy.

- Co to jest, Sherkaner?

- Nie wiem. - Czuł drżenie ręki Unnerby'ego. - Ale kiedyś się dowiemy... Ruszajmy, sierżancie.

Niczym marionetki poderwane gwałtownym ruchem sznurka ruszyli z miejsc, dokończyli załadunku i podjęli marsz. Świetlny spektakl nad ich głowami toczył się dalej, i choć nic nie mogło już dorównać czterem palącym słońcom, kolorowe rozbłyski stały się silniejsze i piękniejsze od najwspanialszej nawet zorzy polarnej. Dwie ruchome gwiazdy coraz szybciej i szybciej sunęły przez niebo. Niesamowite welony blasku towarzyszące ich przelotowi ciągnęły się aż do zachodniego horyzontu. Potem rozżarzyły się gwałtownie na wschodnim niebie, niczym miniaturowe wersje pierwszych czterech słońc. Kiedy przygasły i rozplynęły się na boki, macki światła jeszcze przez długą chwilę obejmowały coraz szerszą połąć nieba, rozpalając się mocniej, gdy natrafiły na obszary wcześniejszych rozbłysków.

Najbardziej widowiskowe eksplozje i fajerwerki należały już do przeszłości, lecz na niebie nadal trwał powolny, zdumiewający taniec światła. Jeśli spektakl ten toczył się setki mil nad powierzchnią planety, niczym prawdziwa zorza polarna, musiało istnieć tam jakieś ogromne źródło energii. Jeśli odległość ta nie wynosiła więcej niż kilkaset czy kilka tysięcy jardów, być może widzieli właśnie coś w rodzaju letnich błyskawic. Tak czy inaczej, warto było zaryzykować choćby tylko po to, by ujrzeć to niesamowite przedstawienie.

Wreszcie dotarli do granicy kwatery Tieferów. Dziwna aurora nie znikła, kiedy przekroczyli bramę.

Kwestia obiektów ataku nigdy nie budziła większych sporów. Były to te same cele, które wybrał początkowo Underhill i które Yictory Smith

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wyzaczyła jeszcze tego pierwszego popołudnia w Dowództwie Lądowym. Gdyby rzeczywiście udało im się obudzić i działać w Najgłębszej Ciemności, czwórka żołnierzy i odrobina materiałów wybuchowych mogła zniszczyć zbiorniki paliwa, płytsze otchłanie żołnierzy, być może nawet sztab generalny Tiefstadtu. Ale nawet takie cele nie mogły usprawiedliwić nakładów, jakich wymagało dokładne opracowanie projektu Underhilla.

Istniał jednak jeden oczywisty punkt zaczepienia. Współczesne armie starały się zyskać przewagę nad nieprzyjacielem, operując jak najdłużej w Ciemności, z drugiej strony zaś chciały jak najszybciej wyjść w pole na początku Nowego Słońca, ponieważ właśnie od tego zależały udane początki ofensywy, a w ostatecznym rozrachunku - zwycięstwo.

Obie strony przygotowały na tę chwilę ogromne zapasy, lecz ich strategia różniła się zasadniczo od tej z Lat Gaśnięcia i początków Ciemności. Naukowcy byli przekonani, że Nowe Słońce osiąga swą największą moc w ciągu dni, a może nawet godzin. Przez kilka dni był to prawdziwy potwór, ponad sto razy jaśniejszy niż w Środkowych Latach i Latach Gaśnięcia. To właśnie ta eksplozja blasku - a nie chłód Ciemności - niszczyła prawie wszystko, co stworzyło poprzednie pokolenie.

Brama, którą właśnie przekroczyli, zamykała schody prowadzące do najdalej wysuniętego magazynu Tieferów. Oczywiście wzdłuż frontu rozmieszczone były także inne składy, lecz ten stanowił zaplecze dla najlepszych jednostek wroga. Bez niego doborowe wojska Tieferów nie mogły brać udziału w walce. Dowództwo Lądowe uznało, że zniszczenie tego magazynu zmusi wroga do zawieszenia broni na korzystnych dla Korony warunkach albo pozwoli jej odnieść wiele łatwych zwycięstw. Zniszczenia dokonane przez czwórkę żołnierzy mogły w zupełności wystarczyć.

...Jeśli nie zamarzną w drodze do tego magazynu. Na stopniach leżała tylko odrobina śniegu i marne resztki krzewów, które rosły kiedyś między flagami. Teraz korzystali już z zapasów szlamu umieszczonych na saniach, które ciągnęli Nizhnimor i Unnerby. Ciemność zamknęła się ciasno wokół nich, rozpalana jedynie przez krótkie rozbłyski egzoterm. Według raportów wywiadu schody te ciągnęły się niemal przez dwieście jardów...

Daleko przed nimi jarzył się owal światła. Koniec tunelu. Zespół zszedł ze stopni na rozległe pole, niegdyś otwarte, teraz przykryte srebrnymi osłonami. Dokoła rozciągał się las masztów podtrzymujących srebrzystą tkaninę. W kilku miejscach śnieg powietrzny rozdarł zasłonę, były to jednak drobne, nieistotne uszkodzenia. W wąskich smugach błędnego światła widzieli zarysy lokomotyw parowych, maszyn do układania torów, pojazdów z karabinami maszynowymi i samochodów opancerzonych. Nawet przy tak słabym oświetleniu w śniegu powietrznym odbijał się blask srebra. Kiedy zapłonie Nowe Słońce, ten sprzęt będzie gotowy. Podczas gdy lód będzie się topił i spływał kanałami, które przecinały gęstą siecią

VERNORVINGE

całą powierzchnię pola, żołnierze Tief stadtu wyjdą z pobliskich otchłani i znajdą bezpieczne schronienie we wnętrzu swych pojazdów. Woda zgromadzona w zbiornikach posłuży do ochłodzenia rozgrzanych maszyn. Tiefertzy będą potrzebowali kilku godzin, by przeprowadzić szybką inwentaryzację sprzętu, i kolejnych kilku, by naprawić szkody wyrządzone przez dwa wieki Ciemności i kilka godzin nowego żaru. A potem ruszą drogą, która zdaniem ich przywódców będzie prowadzić do zwycięstwa. Tak wyglądała kulminacja naukowych badań Ciemności i Nowego Słońca. Wywiad oceniał, że pod wieloma względami osiągnięcia te przewyższały wszystko, czym mogli się poszczycić naukowcy Korony.

Hrunkner zebrał ich wokół siebie, by wszyscy mogli go słyszeć.

- Założę się, że wystawią tu strażę w ciągu pierwszej godziny Nowego Słońca, ale teraz ta godzina należy do nas... Dobra, napelniamy koszyki i rozdzielamy się według planu. Gil, dasz sobie radę?

Gil Haven w drodze po schodach zataczał się niczym pijak z połamanymi stopami. Sherkaner podejrzewał, że skafander nie chronił już nawet jego tylnych nóg. Słyszac jednak pytanie Uhnerby'ego, Haven wyprostował się i odpowiedział niemal normalnym głosem.

- Sierzancie, nie po to szedłem taki kawał drogi, żeby teraz siedzieć i wam się przyglądać. Zrobię, co do mnie należy.

Dotarli więc do celu wyprawy. Rozłączyli kable audio, potem każdy zabrał swoją porcję materiałów wybuchowych i czarnej farby. Ćwiczyli to dziesiątki razy. Jeśli będą działać zgodnie z planem, jeśli nie wpadną do jakiegos rowu i nie połamią nóg, jeśli mapy, które zapamiętali, były dokładne, zdążą zrobić to wszystko i nie zamarnąć. Rozeszli się na cztery strony. Ładunki wybuchowe, które umieścili pod osłonami, miały niewiele większą moc niż granaty ręczne. Ekspłodowały w ciszy, przeganiając na moment ciemności, i przewróciły srebrną płachtę w kilku strategicznych punktach. Później przyszła kolej na czarną farbę. Nie był to może imponujący środek, lecz tak skuteczny, jak przewidzieli badacze z Wydziału Materiałowego. Cały magazyn pokrył się czarnymi plamami, zastygły w oczekiwaniu na pocałunek Nowego Słońca.

Trzy godziny później znajdowali się prawie milę na północ od magazynu. Unnerby poganiał ich bezlitośnie, pędził do miejsca, które mogło im zapewnić przetrwanie, choć nie to było najważniejsze.

Prawie im się udało. Prawie. Gil Haven zachowywał się dziwnie, kiedy skończyli pracę w magazynie. Próbował opuścić go sam. „Muszę się gdzieś zakopać”, powtarzał raz za razem, wrywał się, gdy Nizhnimor i Unnerby przywiązywali go do siebie liną bezpieczeństwa, tworząc na powrót jeden szereg.

- Właśnie tam idziemy, Gil. Poczekaj jeszcze chwilę. - Unnerby od dał Havena pod opiekę Amber i przez chwilę Hrunkner i Sherk słyszeli tylko siebie nawzajem.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Ma więcej sił niż przedtem - zauważył Sherkaner. Haven skakał dokoła niczym kober na drewnianych nogach.

- Chyba nie czuje już bólu. - Odpowiedź Hrunka była cicha, lecz wyraźna. - Ale nie to martwi mnie najbardziej. Myślę, że on wpada w Gorączkę Otchłani.

Obłęd Ciemności. Był to szaleńczy strach, który opanowywał koberów, gdy uświadamiali sobie, że zostali uwięzieni na zewnątrz. Zwierzęce odruchy brały górę nad rozumem, ofiara szukała jakiegoś miejsca, jakiegokolwiek miejsca, które mogło służyć za otchłań.

- Cholera - mruknął Unnerby i przerwał kontakt, próbując ponaglić ich wszystkich do szybszego marszu. Zaledwie kilka godzin dzieliło ich od bezpiecznego schronienia. A jednak... poczynania Gila Havena budziły prymitywne odruchy w nich wszystkich. Instynkt był taką cudowną rzeczą - gdyby jednak poddali mu się w tej chwili, z pewnością doprowadził by ich do zguby.

Po dwóch godzinach dotarli zaledwie do wzgórz za magazynem. Gil wyrwał się dwukrotnie z szeregu, by biec w stronę stromych wąwozów przy ścieżce, mających fałszywą obietnicą. Za każdym razem Amber zdążyła go powstrzymać, próbowała z nim rozmawiać. Lecz Gil nie wiedział już, gdzie jest, a szamocząc się, rozerwał swój skafander w kilku miejscach. Jego ciało było częściowo zeszywniałe i zamrożone.

Koniec nadszedł, kiedy dotarli do pierwszej stromizny. Musieli zostawić sanki; na resztę drogi musiały wystarczyć im egzotermi i powietrze, które nieśli w koszach. Gil po raz trzeci zerwał linę bezpieczeństwa. Uciekał, kołysząc się dziwnie na boki. Nizhnimor ruszyła za nim. Amber była dużą kobietą i do tej pory radziła sobie z Gilem Havenem bez większych problemów. Tym razem było inaczej. Gil był zdesperowany, ogarnięty Gorączką Otchłani. Kiedy próbowała odciągnąć go od krawędzi, zaatakował ją, dźgając czubkami rąk. Amber zachwiała się, cofnęła o krok i wypuściła go. Hrunk i Sherkaner właśnie do nich dobiegali, ale było już za późno. Haven rozłożył szeroko ręce i runął w czerń wąwozu.

Przez chwilę wszyscy troje stali w bezruchu, sparaliżowani zdumieniem i przerażeniem. Potem Amber zaczęła zsuwać się w dół zbocza, szukając pod śniegiem jakiegoś oparcia. Unnerby i Underhill natychmiast ją pochwycili i wciągnęli z powrotem.

- Nie, puście mnie! Zamrożony będzie miał jakieś szanse. Musimy tylko ponieść go ze sobą.

Underhill pochylił się nad krawędzią przepaści, spojrział w dół. Spadając, Gil uderzył w nagie skały. Jego ciało leżało nieruchomo. Jeśli nie był jeszcze martwy, wysuszenie organizmu i mróz zabiłyby go, zanim jeszcze wnieśliby ciało z powrotem na ścieżkę.

Hrunkner także zdawał sobie z tego sprawę.

- On już nie żyje, Amber - powiedział łagodnie. Potem jego głos ponownie przybrał twardy żołnierski ton. - A my nadal mamy misję.

VERNOR VINGE

Po chwili Amber zwinęła wolne ręce, poddając się jego decyzji, nie wyrzekła jednak ani słowa. Wspięła się ponownie na ścieżkę i pomogła zapiąć linę bezpieczeństwa i kable.

Wszyscy troje ruszyli żwawym krokiem w górę ścieżki.

Nim dotarli do celu, zostało im tylko kilka kwart żywych egzoterm. Przed Ciemnością wzgórze te porastał bujny las, stanowiły część posiadłości jakiegoś tieferskiego arystokraty. Za nimi kryła się rozpadlina skalna, wejście do naturalnej otchłani. Na każdym zalesionym obszarze, na którym żyły duże zwierzęta, musiały znajdować się takie kryjówki. Na terenach zasiedlonych przez ludzi miejsca takie adaptowane były do ich potrzeb lub pozostawały puste. Sherkaner nie wyobrażał sobie, by wywiad Akord mógł dowiedzieć się o tej otchłani inaczej, niż poprzez kogoś z Tiefarów zamieszkujących ten majątek. Nie była to jednak przygotowana wcześniej kryjówka; wydawała się równie dzika i prawdziwa jak otchłanie w Brunlargo.

Nizhnimor była jedynym prawdziwym myśliwym w zespole. Wraz z Unnerbym przecięła trzy zapory z grubej pajęczyny i zeszła na samo dno kryjówki. Sherkaner wisiał nad nimi, zapewniając ciepło i oświetlenie.

- Widzę dwie sadzawki... dwa dorosłe taranty. Daj nam trochę więcej światła.

Sherkaner zsunął się niżej, opierając niemal cały ciężar ciała na pajęczynie. Oświetlał sobie prawie całą drogę do dna jaskini. Teraz i on widział dwa oczka wodne. W zasadzie nie leżał na nich śnieg powietrzny. Łód, typowy dla sadzawek hibernacyjnych, pozbawiony był także choćby najmniejszych pęcherzyków powietrza. Pod jego powierzchnią znajdowało się jakieś stworzenie, jego zamrożone oczy niesamowicie błyszcząły. Boże, było naprawdę wielkie! Bez wątplenia samiec, bo jego plecy pokrywały dziesiątki pierścieni niemowlęcych.

- Pozostałe sadzawki to spiżarnie. Prawdopodobnie świeża zdobycz. - W pierwszych latach Nowego Słońca taranty - takie jak ta para - zostały w swoich otchłaniach, wysysając płyny z przygotowanej wcześniej zdobyczy i czekając, aż ich dzieci podrosną na tyle, by mogły uczyć się polowania, gdy ustaną już pożary i burze. Taranty były typowymi drapieżnikami, i choć nie mogły się poszczycić choćby odrobiną tej inteligencji, którą posiadały thracty, do złudzenia przypominały ludzi. Zabicie ich i kradzież ich pożywienia była konieczna, lecz mimo to Sherkaner czuł się tak, jakby dokonywali bezwzględnego morderstwa, a nie polowali.

Praca ta zajęła im kolejną godzinę i zużyła prawie całe egzoterm, jakie mieli jeszcze do dyspozycji. Wspięli się jeszcze raz na powierzchnię, by ponownie zasłonić wejście barierą z pajęczyny. Kończyny Underhilla zeszytywniały w kilku stawach, nie czuł też czubków lewych rąk. Ich skafandry wiele przeszły w ciągu ostatnich kilku godzin, były podziurawio-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ne i powycierane. Niektóre ze sztucznych stawów w skafandrze Amber splonęły od zbyt częstych kontaktów ze śniegiem powietrznym i egzotermami. Musiała pogodzić się z tym, że po przebudzeniu straci prawdopodobnie kilka rąk. Mimo to wszyscy troje stali jeszcze przez chwilę w bezruchu.

Wreszcie Amber powiedziała:

- Chyba możemy uznać to za sukces, prawda?

Głos Unnerby'ego był silny i zdecydowany.

- Tak. Dobrze wiecie, że Gil powiedziałby to samo.

Złączyli się na chwilę w uścisku, odtwarzając niemal dokładnie Troje Sięgających po Akord.

Amberdon Nizhnimor wycofała się przez skalną szparę. Kiedy szła w dół, z pajęczyny wytrysnęła błyszcząca, zielona mgła. Po dotarciu do dna Amber miała zapuścić egzotermi do sadzawek. Potem wszyscy zanurzą się w lodowato zimnej wodzie. Jeśli otworzą szeroko skafandry, być może uda im się zamarznąć jednocześnie na całym ciele. W tej kwestii nie mogli już niczego zmienić czy poprawić.

- Spójrz na to ostatni raz, Sherkaner. To twoje dzieło. - Z głosu Unnerby'ego zniknęła niezachwiana pewność. Amber Nizhnimor była żół nierzem; Unnerby wypełnił już wobec niej swoje obowiązki. Teraz jakby stracił ducha, czuł takie zmęczenie, że niemal szorował brzuchem po śniegu powietrznym.

Underhill rozejrzył się dokoła. Stali kilkaset stóp nad poziomem tiefertkiego magazynu. Zorza polarna przygasła; wędrujące światła, podniebne błyski - wszystko to zniknęło. W nikłym blasku słońca magazyn wyglądał jak pole czerni pośród obsypanego gwiazdami nieba. Nie był to jednak cień, lecz sproszkowana farba, którą rozpylili niemal na całej powierzchni magazynu.

- Taka niewielka rzecz - powiedział Unnerby. - Kilkaset funtów czarnej farby. Naprawdę myślisz, że to zadziała?

- O tak. Pierwsze godziny Nowego Słońca to prawdziwe piekło. Ten czarny proszek będzie chłonił temperaturę jak gąbka wodę. Wiesz, co się dzieje w takim żarze. - Właściwie sierżant Unnerby osobiście przeprowadzał te testy. Sto razy oświetlał blaskiem rozpalonego słońca zabarwiony na czarno metal; po kilku minutach metal roztopiał się jak wosk, tłoki łączyły się z cylindrami, łożyska z tulejami, koła z szynami. Wojska nieprzyjaciela będą musiały wycofać się pod ziemię i uznać swój najważniejszy magazyn na linii frontu za stracony.

- To pierwszy i ostatni raz, kiedy twoje sztuczki przyniosą jakiś efekt, Sherkaner. Kilka zapór, jedno pole minowe, a już byłoby po nas.

- Jasne. Ale zmieniają się też inne rzeczy. To ostatnia Ciemność, którą pajęczność prześpi pod ziemią. Następnym razem nie będzie to tylko czwórka koberów w skafandrach. Cała cywilizacja pozostanie na zewnątrz. Skolonizujemy Ciemność, Hrunner.

VERNORVINGE

Unnerby roześmiał się, nie traktując poważnie jego słów. Gestem nakazał Underhillowi, by wszedł do skalnej szczeliny ukrytej poniżej otchłani. Choć sierżant był okropnie zmęczony, ostatni schodził do kryjówki i zamykał ostatnie bariery.

Sherkaner jeszcze raz spojrział na szarą ziemię i pozostałości niesamowitej zorzy polarnej na niebie. *Tak daleko, tak blisko, tak wiele dróg do przebycia, tak wiele rzeczy do odkrycia.*

DZIEWIĘĆ

Dzieciństwo Ezra Vinha praktycznie wolne było od jakichkolwiek zagrożeń. Tylko raz jego życie znalazło się w prawdziwym niebezpieczeństwie, a był to wyjątkowo głupi wypadek.

Nawet według standardów Queng Ho Rodzina Vinh.23 była wyjątkowo liczna. Członkowie niektórych gałęzi Rodziny nie widzieli się przez tysiące lat. Vinh.23.4 i Vinh.23.4.1 żyły niemal na całym obszarze Ludzkiej Przestrzeni, pomnażając własne majątki i powiększając strefy wpływów. Być może nie należało dążyć do zjednoczenia po tak długim czasie - tyle że szczęśliwy przypadek sprowadził wielu członków wszystkich trzech gałęzi do Starej Kielle, i to dokładnie w tym samym czasie. Spędzili tam więc kilka lat, budując przestrzenie mieszkalne, które większość cywilizacji nazwałaby pałacami, i próbując ustalić, co zostało z ich wspólnej przeszłości. Vinh.23.4.1 była konsensualną demarchią. Nie miało to wpływu na ich kontakty handlowe, ale ciotka Filia była oburzona. „Nikt nie odbierze mi *mojej* własności przez głosowanie”, powtarzała bez końca. Vinh.23.4 wydawała się znacznie bliższa tym gałęziom, które znali rodzice Ezra, choć mało kto rozumiał ich dialekt nese. Rodzina 23.4 nie próbowała nawet wiernie naśladować standardów Sieci. Lecz standardy owe były bardzo ważne - ważniejsze nawet od czarnych list. Skafandry dzieci wybierających się na piknik sprawdzał najpierw ktoś z dorosłych, a potem jeszcze automat; nikt nie spodziewał się jednak, że „sekundy atmosferyczne” znaczyły dla ciebie coś innego niż dla twego kuzyna. Ezer wspinał się po małej skale krążącej wokół asteroidy, na której urządzono piknik; bawił się bez końca, uradowany faktem, że to on porusza swój mały świat, a nie na odwrót. Kiedy jednak skończyło mu się powietrze, jego współtowarzysze znaleźli już własne światy w obłoku skalnym. Automat nadzorujący zignorował sygnały alarmowe jego skafandra, a Ezer omal się nie udusił.

Potem pamiętał tylko, że obudził się w nowym, specjalnie dlań wybudowanym mieszkaniu. Jeszcze przez długie Ksekundy traktowany był jak król.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ezr Vinh zawsze budził się z hibernacji w doskonałym nastroju. Oczywiście, nie omijały go towarzyszące temu dolegliwości, dezorientacja i fizyczny dyskomfort, lecz wspomnienia z dzieciństwa dawały mu pewność, że gdziekolwiek się znajdzie, wszystko będzie dobrze.

Początkowo i to przebudzenie nie różniło się niczym od innych, może było tylko odrobinę łagodniejsze. Leżał w ciążeniu bliskim zeru, w ciepłym, wygodnym łóżku. Odnosił wrażenie, że przebywa w dużej przestrzeni, sufit znajdował się tak wysoko. Na ścianie za łóżkiem widniał jakiś obraz... pejzaż oddany w najdrobniejszych szczegółach, niemal jak zdjęcie. *Trixia nie cierpiała tych obrazów.* Ta myśl przebiła się ponad inne, nadała jakiś kontekst jego przebudzeniu. *Trixia. Triland. Misja na gwiazdę OnOff.* I nie było to pierwsze przebudzenie w tym miejscu. Spotkało ich coś bardzo niedobrego, zasadzka Emergentów. Jak zdołali to wygrać? Jakie były jego ostatnie myśli, ostatnie wspomnienia przed zaśnięciem? *Ciemność w uszkodzonym ładowniku. Okręt flagowy Parka zniszczony. Trixia...*

- Zdaje się, że to go wreszcie obudziło, grupmistrzu. - Głos kobiety.

Niemal wbrew sobie odwrócił głowę w stronę głosu. Przy jego łóżku siedziała Annę Reynolt, a obok niej Tomas Nau.

- Ach, kadeecie Vinh, miło mi znów powitać pana wśród żywych. - Uśmiech Naua był zatroskany i poważny.

Dopiero po kilku próbach Ezr zdołał wydobyć z siebie jakieś artykułowane dźwięki.

- Sso... Co się dzieje? Gdzie ja jestem?

- Znajduje się pan w mojej rezydencji. Minęło jakieś osiem dni, odkąd wasza flota próbowała zniszczyć nasze okręty.

- He? - *My zaatakowaliśmy was?*

Nau przekrzywił głowę, jakby zaintrygowany reakcją Vinha.

- Chciałem tu być, kiedy się pan przebudzi. Dyrektor Reynolt zapozna pana ze wszystkimi szczegółami, ale ja chciałem zapewnić pana o moim poparciu. Mianuję pana zarządcą floty Queng Ho, to znaczy tego, co z niej jeszcze zostało. - Wstał i delikatnie poklepał Vinha po ramieniu. Vinh odprowadził go spojrzeniem do drzwi. *Zarządca floty?*

Reynolt przyniosła Vinhowi książkę okien z ogromną ilością faktów. Wszystkie nie mogły być kłamstwami... Zginęło tysiąc czterystu Queng Ho, prawie połowa całej załogi. Cztery z siedmiu okrętów Queng Ho zostały zniszczone. Napędy na pozostałych trzech nie działały. Większość mniejszych pojazdów uległa zniszczeniu lub została poważnie uszkodzona. Ludzie Naua oczyszczali właśnie orbitę z niebezpiecznych pozostałości po bitwie. Naprawdę zamierzali kontynuować „wspólną operację”. Rudy i substancje lotne podniesione z Arachny miały wspomóc budowę pomieszczeń mieszkalnych, które Emergenci wznosili w punkcie LI układu planeta/słońce.

VERNOR VINGE

Reynolt pozwoliła mu też przejrzeć listę załogi. Zginęli wszyscy obecni na pokładzie „Phama Nuwena”, łącznie z kapitanem Parkiem i kilkoma członkami Komisji. Większość ludzi na ocalałych statkach nadal żyła, lecz starsi przebywali w stanie hibernacji.

Zniknął wreszcie przeraźliwy ból głowy, jakiego Ezer doświadczył podczas ostatnich chwil przed zaśnięciem. Jak powiedziała mu Reynolt, był to efekt „niefortunnego zakażenia”. Lecz tylko sztucznie wywołana choroba mogła dotknąć wszystkich w tej samej chwili, i to tak dogodnej dla Emergentów. Ich kłamstwa były beczelną wymówką. Planowali zasadzkę od samego początku i doprowadzili ją do samego końca.

Annę Reynolt przynajmniej nie uśmiechała się grzecznie, kiedy wypowiadała te kłamstwa. Właściwie nie uśmiechała się prawie wcale. Dyrektor zasobów ludzkich Annę Reynolt. Zabawne, że nawet Trixia nie domyśliła się od razu, co może znaczyć ten tytuł. Początkowo Ezer myślał, że Reynolt walczy ze słusznym poczuciem winy; prawie nigdy nie patrzyła mu prosto w oczy. Wkrótce jednak zrozumiał, że jego twarz nie była dla niej bardziej interesująca niż którykolwiek z mebli znajdujących się w pokoju. Nie postrzegala go jako osoby; i zupełnie nie przejmowała się setkami ofiar.

Ezer czytał raporty w ciszy, nie okazując żadnych emocji, nie kwitując najmniejszym grymasem informacji, że Sum Dotran nie żyje. *Na liście zmarłych nie było nazwiska Trixii*. Wreszcie dotarł do listy ocalałych i ich obecnej kondycji. Prawie trzysta osób znajdowało się w pomieszczeniach mieszkalnych Queng Ho, także przesuniętych do punktu LI. Ezer przebiegał wzrokiem kolejne nazwiska; sami juniorzy, praktycznie żadnych naukowców i ludzi z Trilandu. Nie było tu też Trixii Bonsol. Zajrzał na następne strony... Jeszcze jedna lista. *Trixia!* Było tam jej nazwisko, umieszczone nawet pod nagłówkiem: „Dział Lingwistyki”.

Ezer podniósł wzrok znad książki, starał się przemawiać obojętnym tonem.

- Co oznacza ta, hm... ikonka, przy niektórych nazwiskach? - *Przy nazwisku Trixii*.

- Fiksat.

- A cóż to znaczy? - Tym razem w jego głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

- Nadal pozostają pod opieką lekarską. Nie wszyscy tak łatwo wrócili do zdrowia jak pan. - Jej spojrzenie było twarde i beznamiętne.

Nazajutrz znów odwiedził go Nau.

- Czas przedstawić pana nowym podwładnym - powiedział. Przepłynęli przez długi, prosty korytarz do służby pojazdowej. To pomieszczenie nie było salą bankietową. Ezer czuł lekkie ciężenie, jakby służa znajdowała się na małej asteroidzie. Taksówka za służą była znacznie większa od tych, które przywieźli ze sobą Queng Ho. W jej wnętrzu panował prymitywny, barokowy przepych. Przez środek ciągnęły się niskie stoły, automatycz-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ny bar działał we wszystkich kierunkach. Większą część ścian zajmowały szerokie naturalne okna. Nau dał mu chwilę, by zapoznać się z widokiem. Taksówka wznosiła się wśród szkieletu budowli mieszkalnej osadzonej na twardym gruncie. Konstrukcja nie była jeszcze kompletna, ale wydawała się równie duża jak kwatery Queng Ho. Teraz lecieli już ponad nią. Grunt oddalał się, zaokrąglając, odsłaniając wielkie krągłości, niczym brzuchy połączonych ze sobą lewiatanów. Były to diamentowe góry zebrane w jedną całość. Co dziwne, powierzchnie owych bloków nie znaczyły żadne kraterzy, choć wydawały się równie szare i ponure jak zwykłe asteroidy. Tu i ówdzie słaby blask słońca odsłaniał miejsca, w których grafitowa gładź została naruszona, czerwone światło zamieniało się wtedy w małą tęczę. Pomiędzy dwiema spośród tych gór ciągnęło się blade pole śniegu, kanciasta mieszanina świeżo wyciętych bloków lodu i skał; musiały to być fragmenty oceanu i skalnego podłoża, które podnieśli z Arachny. Taksówka wleciała jeszcze wyżej. Zza krawędzi gór wyłoniły się sylwetki okrętów. Statki te miały ponad sześćset metrów, przy ogromnym masywie skalnym wyglądały jednak jak karły. Leżały w bezruchu, przycumowane bardzo blisko siebie, niczym odpadki ściśnięte w śmietniku. Ezra policzył je szybko, oszacował w myślach to, czego nie mógł dojrzeć.

- Więc sprowadziliście wszystko tutaj, do LI? Naprawdę chcecie się tu zacząć?

Nau skinął głową.

- Obawiam się, że tak. Nie będę niczego ukrywał. Walka kosztowała nas wszystkich bardzo wiele. Mamy dość środków na powrót do domu, mu sielibyśmy jednak powrócić z pustymi rękami. Zamiast tego możemy po prostu współpracować... Stąd, z LI, możemy bezpiecznie obserwować Pa jaki. Jeśli rzeczywiście wchodzić właśnie w Erę Informacji, być może uda się wykorzystać ich zasoby i odbudujemy nasz potencjał. Tak czy inaczej zapewne zrealizujemy większość celów, które przed nami postawiono.

Hm. Mieli więc przyciągnąć się i czekać, aż ich Klienci dojrzeją. Była to strategia, którą Queng Ho stosowali już przy kilku okazjach. Czasami nawet się opłacała.

- To nie będzie łatwe.

- Może dla was - przemówił jakiś głos za plecami Ezra. -Ale Emergentom tam dobrze się żyje, mały człowieku. Zapamiętaj to sobie. -Vinh rozpoznawał ten głos, to on właśnie protestował przeciwko zasadce Queng Ho, nawet gdy Emergenci zaczęli ich już zabijać. Ritser Brughel. Ezra odwrócił się do niego. Wielki, jasnowłosy mężczyzna szczyrzył do niego zębami. Bez zbędnych niedomówień. -I zawsze gramy tak, by wygrywać. Pająki też się o tym przekonają. - Nie tak dawno Ezra Vinh spędził wieczór, siedząc obok tego człowieka, słuchając, jak ten poucza PhamaTrinli. Blondyn był nudziarzem i brutalem, ale wtedy nie miało to dla niego znaczenia. Vinh przeniósł spojrzenie na Annę Reynolt. Ta uważnie przysłuchiwała-

VERNOR VINGE

ła się ich rozmowie. Fizycznie Reynolt i Brughel mogliby być rodzeństwem. W blond włosach Brughla pojawiały się nawet rude kosmyki. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Choć przykry w obejściu, Brughel nie skrywał swych uczuć, zresztą zapewne nie umiałby tego robić. Jedyną emocją, jaką Ezer dostrzegł do tej pory na twarzy Reynolta, było zniecierpliwienie. Teraz przyglądała im się tak, jak entomolog mógłby się przyglądać owadom w ziemi ogrodu.

- Ale nie martw się, mały Handlarzu. Wasze kwatery są dobrze ukryte. - Brughel wskazał na największe okno. Widniała tam zielona plamka, niewiele większa od otaczających ją gwiazd. Były to pomieszczenia mieszkalne Queng Ho. - Zaparkowaliśmy je na ośmiiodniowej orbicie głównej tych skał.

Tomas Nau uniósł grzecznie rękę, jakby prosząc o głos. Brughel zamilkł.

- Mamy tylko chwilę, panie Vinh. Wiem, że Annę Reynolt przedstawiła już panu ogólną sytuację, chciałbym jednak mieć pewność, że rozumie pan swe nowe obowiązki. - Zrobił coś ze swoim mankietem, a obraz kwatery Queng Ho urósł na ekranie. Vinh przełknął z trudem ślinę; zabawne, były to tylko tymczasowe pomieszczenia mieszkalne, nie miały więcej niż sto metrów długości. Przesuwał spojrzeniem po wielkim, okrągłym cielsku. Mieszkał tam zaledwie jakieś dwie Msekundy, przeklinał setki razy ciasnotę i niewyszukane warunki. Lecz teraz był to jedyny dom, jaki mu pozostał; w środku żyło wielu spośród jego ocalałych przyjaciół. Tymczasowa kwatery stanowi łatwy cel. Jednak wszystkie komory były wypełnione powietrzem, nie dostrzegał też żadnych śladów reperacji. Kapitan Park umieścił balon z dala od okrętów, a Tomas Nau go oszczędził...

- Więc pańska nowa pozycja niesie ze sobą ogromną odpowiedzialność. Jako mój zarządca floty będzie pan miał władzę porównywalną do tej, którą sprawował zmarły kapitan Park. Zawsze może pan liczyć na moje wsparcie; dopilnuję, by moi ludzie także to zrozumieli. - Posłał spojrzenie Ritserowi Brughlowi. - Proszę jednak pamiętać; powodzenie naszej misji, a nawet przetrwanie, zależy teraz od naszej współpracy.

DZIESIĘĆ

Ezer wiedział, że jeśli chodzi o kierowanie ludźmi, nie jest szczególnie bystry. Powinien od razu się domyślić, do czego zmierza Nau. Uczył się nawet takich rzeczy w szkole. Kiedy dolecieli do tymczasowych kwatery, Nau wygłosił krótkie i obłudne przemówienie, w którym przedstawił Vinha jako nowego „zarządcę floty Queng Ho”. Podkreślał szczególnie fakt, że Vinh jest najstarszym spośród obecnych członków rodziny, do której należy część floty. Dwa okręty Vinhów wyszły z minionej bitwy niemal nietknięte. Jeśli żył jeszcze jakiś prawowity władca statków Queng Ho, to z pewnością

OTCHŁAŃ W NIEBIE

był nim Ezr Vinh. A jeśli wszyscy będą współpracowali z tą prawowitą władzą, *to* wyjdzie im *to* tylko na dobre. Potem Ezr musiał wymamrotać kilka słów o tym, jak bardzo cieszy się z powrotu do przyjaciół i jak bardzo liczy na ich pomoc.

W ciągu kilku kolejnych dni zrozumiał, jak sprytnie Nau rozdzielił obowiązek od lojalności. Ezr był w domu, a jakby go tam nie było. Codziennie widział znajome twarze. Benny Wen i Jimmy Diem przeżyli. Ezr znał Benny'ego, kiedy obaj mieli jeszcze po sześć lat; teraz zachowywali się jak obcy sobie ludzie, uprzejmi, lecz obcy.

Któregoś dnia, bardziej dzięki uśmiechowi losu niż planowaniu, Ezr natknął się na Benny'ego przy słuzach taksówek. Ezr był sam. Jego emergency asystenci zostawiali mu coraz więcej swobody. Ufali mu? Był na podsłuchu? Nie wyobrażali sobie, by mógł im w jakikolwiek sposób zaszkodzić? Wszystkie te możliwości nie były dlań przyjemne, lecz cieszył się, że wreszcie jest sam.

Benny wraz z małą grupą Queng Ho znajdował się pod najdalej wysuniętą ścianą balonu. W pobliżu słuz ścian nie pokrywała zewnętrzna powłoka; co jakiś czas rozpalał je blask przelatujących taksówek. Załoga Benny'ego, rozsypana po całej ścianie, pracowała nad węzłami automatyki zbliżeniowej. Ich emergency szef znajdował się po drugiej stronie pomieszczenia.

Ezr wypłynął z tunelu, dojrzał Benny'ego Wena i odbił się od ściany, ruszając w jego stronę.

Wen podniósł nań wzrok i uprzejmie skinął głową.

- Zarządco floty. - Ezr powinien już przyzwyczaić się do tego powitania, nadal jednak odbierał je jak policzek.

- Cześć, Benny. J-jak leci?

Wen zerknął szybko w stronę swego emergency zwierzchnika. Facet wyraźnie różnił się od pozostałych, jego szare ubranie nie pasowało zupełnie do luźnych, kolorowych strojów większości Queng Ho. Rozmawiał głośno z trzema członkami załogi, -odległość zniekształcała jednak jego słowa i czyniła je niezrozumiałymi. Benny powrócił spojrzeniem do Ezra i wzruszył ramionami.

- Och, nie najgorzej. Wiesz, co tutaj robimy?

- Wymieniacie wejścia komunikacyjne. - Jednym z pierwszych posunięć Emergency była konfiskata wszystkich wyświetlaczy okularowych. Wyświetlacze i związane z nimi urządzenia elektroniczne były klasycznym narzędziem wolności.

Wen roześmiał się cicho, ponownie zerkając na emergency szefa.

- Zgadłeś, starszku. Widzisz, nasi nowi... pracodawcy... mają pewien problem. Potrzebują naszych statków. Potrzebują naszego sprzętu. Ale nic nie będzie działało bez naszej automatyki. A jakże oni mogą jej zaufać? -We wszystkie bardziej skomplikowane maszyny wbudowano urządzenia sterujące. Oczywiście urządzenia te tworzyły większą całość, po-

VERNOR VINGE

łączone były niewidzialną pajęczyną lokalnej sieci floty, która umożliwiała im konsekwentne i logiczne działanie.

Oprogramowanie tego systemu tworzone było i doskonalone przez tysiąclecia. Gdyby je zniszczyć, flota Queng Ho stałaby się bezużyteczną kupą metalu. Lecz jak okupant mógł zaufać czemuś, co jego przeciwnik budował przez stulecia? W większości podobnych sytuacji sprzęt przegranego był po prostu niszczone. Lecz tutaj, jak sam przyznał Tomas Nau, zwycięzcy potrzebowali wszelkich dostępnych środków i nie mogli pozwolić sobie na podobny luksus.

- Ich ekipy też przeglądają wszystkie punkty węzłowe. Nie tylko tutaj, ale na wszystkich naszych statkach. Wymieniają je jeden po drugim.

- Nie mogą wymienić wszystkiego. - *Mam nadzieję.* Najgorsze tyranie powstawały tam, gdzie rząd przestrzajał wszystkie punkty węzłowe, wszystkie *łącza*, dostosowując do własnej logiki.

- Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, co wymieniają. Widziałem ich przy pracy. Ich technicy komputerowi są... dziwni. Znaleźli w systemie rzeczy, o których nie miałem pojęcia. - Benny wzruszył ramionami. - Ale masz rację, nie ruszają najniższego poziomu. Ograniczają głównie logikę 1/0. Dostajemy za to całkiem nowe interfejsy. - Twarz Benny'ego wykrzywiła się w lekkim uśmiechu. Wyciągnął z pasa czarny, podłużny przedmiot z plastiku. Jakaś klawiatura. - Na razie będziemy używać tylko tego.

- Boże, przecież to jest prymitywne.

- Proste, nie prymitywne. Myślę, że to tylko rezerwa. - Benny znów zerknął w stronę swojego szefa. - Istotne jest to, że Emergenci znają ten sprzęt lepiej od nas. Jeśli tylko spróbujemy coś z tym zrobić, w Sieci zaraz podniesie się alarm. Praktycznie mogą nadzorować wszystko, co robimy. - Benny spojrzał na czarny przedmiot, ujął go mocniej w dłoń. Benny był kadetem, podobnie jak Ezra. Nie znał się na technice lepiej od niego, ale zawsze miał nosa do sprytnych układów. - To dziwne. Technologia Emergentów, przynajmniej ta, którą widzieliśmy, wydaje się całkiem prosta. A jednak oni naprawdę chcą wszystko monitorować. W ich automatyce jest coś, czego nie rozumiemy. - Benny mówił bardziej do siebie niż do Ezra.

Na ścianie za jego plecami rozrastała się plama światła, przesuwała powoli na bok. Jakaś taksówka zbliżała się do doku. Światło przemknęło po krawędzi ściany, a sekundę później dobiegł ich uszu stłumiony trzask. Tkanina wokół cylindra doku zafalowała lekko. Włączyły się pompy śluzy. Tutaj ich wycie było głośniejsze niż w samym doku. Ezra zawahał się na moment. Hałas mógł zagłuszyć ich rozmowę. *Tak, ale każda pluskwa lepiej słyszy przez huk rakiety niż my.* Nie zniżył więc głosu do konspiracyjnego szeptu, lecz przemawiał głośno, jakby chciał przekrzyknąć huk pomp.

- Benny, wiele się wydarzyło. Chciałbym, żebyś wiedział, że ja się nie zmieniłem. Nie jestem... - *Nie jestem zdrajcą, do diabła!*

Przez moment twarz Benny'ego pozostawała nieprzenikniona... a potem nagle rozciągnęła się w uśmiechu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Wiem, Ezr. Wiem.

Benny prowadził go w stronę pozostałych członków załogi.

- Pokażę ci jeszcze inne rzeczy, którymi się zajmujemy.

Ezr przyglądał się wszystkiemu, co pokazywał mu Benny, słuchał uważnie, kiedy ten opisywał zmiany wprowadzane przez Emergentow w protokołach połączeń. I nagle zrozumiał nieco lepiej tę grę. *Wróg nas potrzebuje, chce, byśmy pracowali dla niego jeszcze przez lata. Możemy mu wiele przekazać. Nie zabiją nas, bo potrzebują informacji, które pozwolą im dokończyć zadanie. Nie zabiją nas, bo sami musieliby się domyślić, jak działają te wszystkie urządzenia.*

Pompy ucichły. Gdzieś za plastikową ścianą doku z wnętrza pojazdu wysiadali ludzie.

Wen podpłynął do otwartego wjazdu kanału naprawczego.

- Słyszałem, że chcą tu sprowadzić więcej swoich ludzi.

- Tak, wkrótce przyleci tu czterystu Emergentow, może więcej. -Te kwatery były tylko fragmentami wielkiego balonu, nadmuchanego kilka Msekund wcześniej, po przybyciu floty. Było ich tak wiele, że mogły pomieścić wszystkich członków załogi, zamrożonych na czas przelotu z Tri-landu, czyli trzy tysiące ludzi. Teraz mieszkało ich tutaj tylko trzystu.

Benny uniósł lekko brwi.

- Myślałem, że mają własne kwatery, lepsze od naszych.

- Ja... - Byli już bardzo blisko emergenckiego szefa grupy. *Ale to nie jest konspiracja. Na Boga Handlu, możemy chyba rozmawiać o naszej pracy.*

- *Myślę, że stracili więcej, niż chcą przyznać. - Myślę, że bardzo niewiele bra kowało, a to my byśmy wygrali tę bitwę, choć daliśmy się wciągnąć w za sadzkę i powalili nas tą swoją chorobą.*

Benny skinął głową, a Ezr domyślił się, że wiedział o tym już wcześniej.

- I tak zostanie nam jeszcze sporo przestrzeni. Tomas Nau zastana wia się, czy nie obudzić więcej naszych ludzi, może kilku oficerów. - Oczywiście seniorzy stanowili większe zagrożenie dla Emergentow, jeśli jednak ci chcieli naprawdę efektywnej współpracy... Niestety, grupmistrz był znacznie bardziej tajemniczy, gdy Ezr pytał go o „fiksatów”. *Trixia.*

- Och? - odparł Benny obojętnym tonem, lecz jego spojrzenie nagle się wyostrzyło. Odwrócił wzrok. - To wiele by zmieniło, szczególnie dla niektórych z nas... na przykład dla tej małej damy, która tutaj pracuje. - Wsunął głowę do kanału i krzyknął: - Hej, Qiwi, skończyłaś już?

Qiwi? Ezr widział ją tylko raz czy dwa, odkąd powrócił do kwater, dość, by przekonać się, że nie jest ranna ani uwięziona. Dziewczynka jednak częściej niż inni przebywała na zewnątrz albo w towarzystwie Emergentow. Może uważali, że jest zbyt młoda, by stanowiła jakieś zagrożenie. Po chwili zza wjazdu wynurzyła się drobna figurka w kolorowym kombinezonie.

- Tak, tak, skończyłam już. Zamknęłam wszystkie zabezpieczenia...

- Zobaczyła Vinha. - Cześć, Ezr! - Choć raz Qiwi nie próbowała mu doku-

VERNOR VINCE

czyć. Skinęła tylko głową i uśmiechnęła się. Może po prostu dorastała. Jeśli tak, była to wyjątkowo bolesna droga dorastania. - Zamknęłam je przy wszystkich śluzach, bez problemu. Zastanawiam się tylko, dlaczego ci kolosie nie używają szyfrów. - Uśmiechała się, lecz miała podkrążone, zmęczone oczy. Ezr widział takie twarze tylko u starszych ludzi. Qiwi stała w zrelaksowanej pozie nieważkości, z jedną nogą wsuniętą pod uchwyt na ścianie. Trzymała jednak ręce wzdłuż tułowia, obejmując dłońmi łokcie. Ekspansywny, nieznosny i niestrudzony potwór sprzed bitwy zniknął. Ojciec Qiwi nadal nie otrząsnął się z choroby, jak Trixia. Jak Trixia, mógł się już nigdy nie obudzić. A Kira Pen Lisolet była starszym obrońcą.

Dziewczyna opowiadała dalej o swojej pracy w kanale. Była naprawdę dobrze wykwalifikowana. Inne dzieci miały zabawki, gry i kolegów; domem Qiwi był niemal zupełnie pusty okręt, zawieszony między gwiazdami. Pozostawiona samej sobie, wiele się uczyła i była niemal specjalistką w kilku dziedzinach.

Miała kilka pomysłów na to, jak zaoszczędzić czas przy przeciąganiu nowych kabli, czego domagali się Emergenci. Benny kiwał głową, robił notatki.

Potem Qiwi zmieniła temat.

- Słyszałam, że będziemy mieli nowych ludzi w kwaterach.
- Tak...
- Kogo? Kogo?
- Emergentów. A potem trochę naszych.

Jej twarz rozpromieniła się na moment, potem z ogromnym trudem powściągnęła swój entuzjazm.

- Byłam w Hammerf est. Grupmistrz Nau chciał, żebym sprawdziła sprzęt hibernacyjny, zanim przeniosą go na „Daleki skarb”. Ja... widziałam mamę, Ezr. Widziałam jej twarz przez szybę. Widziałam, jak oddycha.

- Nie martw się, moje dziecko - przemówił łagodnie Benny. - Będziemy... Niedługo na pewno spotkasz się z mamą i tatą.

- Wiem. To samo mówił mi grupmistrz Nau.

Ezr widział nadzieję w jej oczach. Więc Nau składał jej łatwe obietnice, robił nadzieje, które dla biednej Qiwi stawały się treścią życia. Być może nawet niektóre z tych obietnic były prawdziwe. Może w końcu wyleczą jej ojca z tej przeklętej choroby wojennej. Lecz obrońca taki jak Kira Pen Lisolet byłby ogromnie niebezpieczny dla każdego tyrana. Jeśli nie przygotują jakiejś kontrzasadki, sen Kiry Lisolet może okazać się bardzo, bardzo długi... *Jeśli nie przygotują kontrzasadki.* Zerknął ukradkiem na Benny'ego. Jego przyjaciel znów przybrał obojętny, nieprzenikniony wyraz twarzy. Nagle Ezr zrozumiał, że w kwaterach działa jednak jakaś konspiracja. Najpóźniej za kilka Msekund niektórzy spośród Queng Ho ruszą do akcji.

Mogę pomóc; wiem, że mogę. Wszystkie oficjalne rozkazy Emergentów musiały przejść przez Ezra Vinha. Mógł działać w samym sercu wroga...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Pozostawał jednak pod ścisłą obserwacją, nawet jeśli Tomas Nau w rzeczywistości nie miał dlań ani odrobiny szacunku. Na moment ogarnęła go wściekłość. Benny wiedział, że nie jest zdrajcą - lecz on nie mógł w żaden sposób pomóc spiskowcom, nie wydając ich tym samym w ręce wroga.

Kwatery Queng Ho przetrwały bitwę bez najmniejszej szkody. Zniszczeniu uległa część oprogramowania, Emergenci okaleczyli miejscową sieć, choć wcześniej przejrzeni dokładnie zawartość baz danych.

To, co pozostało, wystarczyło w zupełności do rutynowych operacji. Co kilka dni do kwater przybywała grupa nowych mieszkańców. W większości byli to Emergenci, obudzono jednak także kilku niższych stopniem Queng Ho. Zarówno nowi Emergenci, jak i Queng Ho wyglądali niczym ofiary jakiegoś kataklizmu, przed którym musieli uciekać w panice. Nie dało się ukryć ogromnych strat, jakie ponieśli Emergenci w sprzeczcie i ludziach. *Może Trixia już nie żyje.* „Fiksatów” przetrzymywano w nowych kwaterach Emergentów, Hammerfest. Nikt jednak jeszcze ich nie widział.

Tymczasem warunki w pomieszczeniach mieszkalnych Queng Ho stopniowo się pogarszały. Przebywała w nich zaledwie jednak trzecia docelowej liczby mieszkańców, lecz mimo to systemy zawodziły. Po części była to wina okaleczonej matematyki, po części zaś fakt - a był to subtelny efekt - że ludzie nie wykonywali właściwie swej pracy. Queng Ho nie kwapili się pomagać Emergentom, którzy nie umieli poradzić sobie z systemami podtrzymywania życia. Szczęśliwie dla konspiratorów Qiwi spędzała większość czasu poza kwaterami. Ezr wiedział, że natychmiast odkryłaby prawdziwą przyczynę tego bałaganu. Jego wkładem w spisek było milczenie, ignorowanie tego, co działo się dokoła. Dokonywał drobnych napraw, reagował tylko w oczywistych sytuacjach i zastanawiał się, co właściwie knują jego przyjaciele.

Kwatery zaczynały śmierdzieć. Ezr i jego emergencyjni pomocnicy wybrali się do bakterium w samym centrum budynku mieszkalnego, miejsca, gdzie kadet Vinh spędził tak wiele Ksekund... kiedyś. Oddałby wszystko, by pracować tutaj całymi latami, gdyby tylko mogło to przywrócić do życia kapitana Parka i pozostałych.

Smród panujący w bakterium gorszy był nawet od tego, który wywołał niegdyś w szkolnym laboratorium, źle wykonawszy zadanie. Ściany pokrywała lepka, czarna maź. Poruszała się lekko w podmuchu wentylatorów, niczym stare, zepsute mięso. Ciret i Marli od razu zwymiotowali, jeden do wnętrza swego respiratora.

- Pfe! - wykrztusił Marli. - Nie wytrzymam tu. Zaczekamy na ciebie na zewnątrz.

Pospiesznie opuścili bakterium. Ezr został sam. Stał przez chwilę w bezruchu, zrozumiał nagle, że jeśli mógł gdziekolwiek przebywać w zupełnej samotności, to właśnie w tym miejscu!

VERNORVINGE

Kiedy zaczął badać przyczyny zanieczyszczenia, z warstwy brudu wyłoniła się postać w pokrytym mazią skafandrze i z respiratorem na twarzy. Uniosła rękę, prosząc o ciszę, a potem przesunęła wykrywaczem podłuchu wzdłuż ciała Vinh.

- Mhm... Jesteś czysty - rozległ się przytłumiony głos. - Może po prostu ci ufają.

Był to Jimmy Diem. Ezr omal go nie uściskał, zapomniawszy o śmierdzącej mazi. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu spiskowcy znaleźli sposób, by z nim porozmawiać. W głosie Diema nie było jednak radosnej ulgi. Jego oczy kryły się za okularami maski, ale postawa zdradzała napięcie.

- Dlaczego im się podlizujesz, Vinh?

- Wcale nie, tylko gram na zwłokę!

- Tak właśnie... przypuszczali niektórzy z nas. Ale Nau obstawił cię swoimi ludźmi, musimy chodzić do ciebie z każdym problemem jak dzieci. Naprawdę myślisz, że rządysz tym, co z nas zostało?

Był to argument, którego Nau już niejednokrotnie używał w kontaktach z Ezrem.

- Nie! Może oni myślą, że mnie kupili, ale... Na Boga Handlu, czy nie byłem dobrym członkiem załogi?

Stłumiony chichot. Ramiona Diema jakby nieco się rozluźniły.

- Tak, byłeś marzycielem, który nie zawsze potrafił się skupić na tym, co trzeba... - przygana, którą słyszał już niejednokrotnie, lecz teraz wypowiedziana z sympatią - ale nie jesteś głupi i nigdy nie próbowałeś korzystać ze swoich koneksji... No dobrze, kadecie, witaj na pokładzie.

Była to najbardziej radosna promocja, jaką Ezr Vinh kiedykolwiek otrzymał. Powstrzymał setki pytań, które cisnęły mu się na usta; większość wymagała odpowiedzi, których nie powinien znać. Lecz zostało to jedno, o Trixię...

Diem już mówił do niego:

- Mam dla ciebie kilka kodów, które musisz zapamiętać, ale i tak będziemy musieli znów się spotkać. Więc smród trochę przygaśnie, ale na dal pozostanie problemem. Będziesz miał mnóstwo okazji, żeby ponowić tutaj zejść. Na razie kilka ogólnych spraw; musimy wydostać się na ze wnątrz.

Vinh pomyślał o „Dalekim skarbie” i obrońcach Queng Ho uśpionych na jego pokładzie. A może na statkach Queng Ho znajdowała się jakaś broń zamknięta w tajnych skrytkach.

- Hm... Trzeba będzie wykonać kilka projektów naprawczych na ze wnątrz, i to takich, na których tylko my się znamy.

- Wiem. Najważniejsze, żeby umieścić w załogach odpowiednich ludzi i przyporządkować ich do odpowiednich zadań. Podam ci kilka nazwisk.

- Dobrze.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Następna sprawa. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o „fiksatach”. Gdzie się ich właściwie przetrzymuje? Czy można ich szybko przynieść?

- Staram się czegoś o nich dowiedzieć. - *Bardziej, niż przypuszczasz, dowódcu.* - Reynolt twierdzi, że żyją i że zatrzymano już postępy choroby. *Pleśń mózgu.* Ten przerażający termin nie pochodził z ust Reynolta. Wyrwał się któremuś z Emergentów w obecności Ezra. - Już od dłuższego czasu staram się o pozwolenie na wizytę...

- Tak. Trixia Bonsol, prawda? - Oblepiona mazią dłoń poklepała ramię Vinha ze współczuciem. - Hm, masz więc solidny motyw, by drażnić tę sprawę. Bądź dobrym chłopcem w każdej innej sprawie, ale domagaj się usilnie tego jednego. Wiesz, jakby miała to być wielka przysługa, jakbyś gotów był sprzedać się za to do końca... No dobra. Zabieraj się stąd.

Diem zniknął w całunnie śmierdzącej mazi. Vinh zmazał ślady jego palców z rękawa. Kiedy odwracał się do wyjścia, nie czuł już prawie przeraźliwego smrodu. Znowu pracował ze swoimi przyjaciółmi. I mieli szansę.

Resztki ekspedycji Queng Ho miały nie tylko swego marionetkowego „zarządcę floty”; Tomas Nau wyznaczył także Komisję Zarządzającą Flotą, która miała doradzać i pomagać w kierowaniu flotą. Była to typowa strategia Nau, wciąganie niewinnych ludzi w coś, co na odległość pachniało zdradą. Spotkania komisji, które odbywały się raz na jedną Mse-kundę, byłyby prawdziwą torturą dla Vinha, gdyby nie jedna rzecz; Jim-my Diem wchodził w skład komisji.

Ezr przyglądał się dziesiątce ludzi zgromadzonych w sali konferencyjnej. Nau wyposażył salę w meble z polerowanego drewna i doskonale, szerokie okna; wszyscy mieszkańcy kwater wiedzieli, że kapitan Emergentów darzy zarządcę floty i komisję szczególnymi względami. Prócz Qiwi wszyscy członkowie komisji wiedzieli, jak są wykorzystywani. Większość wiedziała, że upłyną jeszcze długie lata, nim Tomas Nau obudzi z hibernacji pozostałych Queng Ho - jeśli w ogóle to zrobi. Niektórzy, jak Jimmy, domyślali się, że Emergenci mogą potajemnie wybudzać oficerów, przesłuchiwać ich i zmuszać do działania na swoją korzyść. Właśnie takie bezwzględne działania zapewniały Emergentom nieustanną przewagę.

W komisji nie było więc żadnych zdrajców. Mimo to nie przedstawiali sobą szczególnie zachęcającego widoku: pięcioro kadetów, trójka młodszych oficerów, czternastolatka i niekompetentny staruszek. No dobrze, prawdę mówiąc, Pham Trinli nie był jeszcze staruszką, przynajmniej nie fizycznie. Prawdopodobnie nigdy nie był szczególnie rozgarnięty. Świadectwem jego niekompetencji był zresztą fakt, że jako jedyny wojskowy Queng Ho nie został uśpiony.

A to wszystko czyni ze mnie klauna klaunów. Zarządca floty Vinh Ezr przywołał zgromadzonych do porządku. Można by pomyśleć, że jako zdraj-

VERNORVINGE

cy i marionetki zechcą przynajmniej skrócić czas trwania tych spotkań do minimum. Lecz nie, przeciągali je przez długie Ksekundy, zastanawiali się długo nad najdrobniejszymi sprawami, przydzielali poszczególne zadania konkretnym ludziom. *Mam nadzieję, że nie możesz już tego słuchać Nau, lajdaku.*

Pierwszym punktem porządku było zanieczyszczanie bakterium. Ta sprawa została już załatwiona. Do następnego spotkania smród powinien zniknąć. Co prawda w samym bakterium pozostawało jeszcze kilka niekontrolowanych linii genetycznych (*dobrze!*), lecz nie stanowiły one żadnego zagrożenia. Słuchając raportu, Vinh starał się nie patrzeć na Jimmy'ego Diema. Do tej pory już trzykrotnie spotkał się z nim w bakterium. Ich rozmowy były krótkie i jednostronne. Rzeczy, które najbardziej interesowały Vinh'a, były jednocześnie tymi, o których absolutnie nie mógł wiedzieć; ilu Queng Ho należało do spisku? Kto? Czy mieli już jakiś konkretny plan, jak zniszczyć Emergentów, jak uratować zakładników?

Drugi punkt budził już więcej sporów. Emergenci chcieli, by w całej flocie stosowano ich jednostki czasowe.

- Nie rozumiem - mówił Vinh, spoglądając na zatroskane twarze członków komisji. - Emergencka sekunda jest taka sama jak nasza, a reszta to tylko kwestia nazewnictwa. Nasze oprogramowanie bez ustanku odmierza czas według kalendarzy Klientów. - Z pewnością pewne problemy powstawały przy zwykłej rozmowie. Balacreański dzień nie różnił się zbytnio od stu Ksekund, czyli „dnia” używanego przez Queng Ho. A ich rok zbliżony był do trzydziestu Msekund, czyli roku obowiązującego na większości światów.

- Jasne, poradzimy sobie z ich dziwnym kalendarzem, ale tu chodzi o aplikacje czołowe. - Ario Dinh był przed bitwą kadetem programistą, teraz odpowiadał za modyfikacje oprogramowania. - Nasi nowi, hm... pracodawcy, używają wewnętrznych narzędzi Queng Ho. Mogą być efekty uboczne - zaintonował złowieszczo Ario.

- Dobrze, dobrze. Zajmę... - Ezr zamilkł, olśniony nagle zbawczą myślą. - Ario, dlaczego ty sam nie porozmawiasz z Reynolt? Wyjaśnisz jej ten problem.

Ezr spojrział na program zebrania, unikając wściekłego wzroku Ario.

- Następnym punktem. Przyjmujemy coraz więcej nowych mieszkańców. Grupmistrz mówi, że należy się spodziewać kolejnych trzystu Emergentów, a potem pięćdziesięciu Queng Ho. Systemy podtrzymywania życia powinny sobie z tym poradzić. Co z innymi systemami? Gonie?

Kiedy posługiwali się jeszcze swymi prawdziwymi stopniami, Gonie Fong była młodszym kwatermistrzem na „Niewidzialnej ręce”. Umysł Fong nie ogarnął jeszcze wszystkich zmian, jakie zaszły w jej otoczeniu. Była drobną kobietą w nieokreślonym wieku i gdyby nie bitwa, zapewne dożyłaby kresu swych lat jako młodszy kwatermistrz. Może należała do tych osób, których kariera zatrzymała się we właściwym miejscu, tam gdzie ich zdolności pasowały do wymagań. Lecz teraz...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Fong skinęła głową, przyjmując jego pytanie.

- Tak, mam kilka liczb do pokazania. - Wystukała coś na emergency klawiaturze, która leżała przed nią na stole, popełniła jakiś błąd, próbowała go naprawić. Na monitorze po drugiej stronie sali ukazywały się wiadomości kwitujące jej kolejne pomyłki. - Jak to się wyłączy? - mruknęła Fong, przeklinając pod nosem. Znow uderzyła w niewłaściwy klawisz i nie potrafiła już dłużej zapanować nad wściekłością. - Do jasnej cholery, nienawidzę tych prostackich urządzeń! - Pochwyliła klawiaturę i rzuciła ją w wypolerowany blat stołu. Lakier na *stole* popękał w kilku miejscach, lecz klawiatura pozostała nietknięta. Rzuciła ją raz jeszcze; wiadomości na ekranie zamigotały w niemym proteście i zniknęły. Fong wstała z miejsca i machnęła wygiętym keyboardem w stronę Ezra. - Te dupki zabrały nam całe 1/0. Nie mogę używać głosu ani wyświetla czy. Mamy tylko okna i te cholerne zabawki! - Jeszcze raz rzuciła klawiaturę o stół. Ta odbiła się od blatu i poleciała pod sufit.

Odpowiedział jej pomruk aprobaty, lecz nikt nie posunął się w złości tak daleko jak ona.

- Nie można zrobić wszystkiego przez klawiaturę. Potrzebujemy wyświetlaczy... Jesteśmy kalekami, nawet jeśli podstawowe systemy działają.

Ezr podniósł ręce, czekając, aż oburzone głosy nieco przycichną.

- Wszyscy wiecie, co jest tego przyczyną. Emergenci po prostu nie ufają naszym systemom; uważają, że muszą kontrolować peryferia.

- Jasne! Chcą szpiegować wszystkie interakcje. Ja też nie wierzyłbym automatyce wroga. Ale to niemożliwe! Będę używała ich 1/0, jeśli oddadzą nam wyświetlacze i wskaźniki...

- Mówię wam, są ludzie, którzy nadal używają starego sprzętu - powiedziała Gonie Fong.

- Stop! -Właśnie tego Ezr nie lubił najbardziej. Spróbował spojrzeć groźnie na Fong. - Proszę zrozumieć, co pani mówi, panno Fong. Tak. To duża niedogodność, ale grupmistrz Nau uważa niesubordynację w *tej* kwestii za zdradę. Emergenci postrzegają to jako bezpośrednie zagrożenie. - *Więc zatrzymajcie swój stary sprzęt, ale pamiętajcie o ryzyku.* Nie powiedział tego głośno.

Fong pochylała się nad stołem. Podniosła wzrok na Ezra i skinęła ponuro głową.

- Posłuchajcie - kontynuował Ezr. - Prosiłem Naua i Reynolta o inne urządzenia. Może dostaniemy coś więcej. Pamiętajcie jednak, że od najbliższej cywilizacji przemysłowej dzielą nas dziesiątki lat świetlnych. Wszystkie nowe urządzenia mogą być wykonane tylko z tego, co Emergenci mają tutaj, na LI. - Ezr wątpił, czy rzeczywiście uda im się wytworzyć w tej sytuacji coś wartościowego. - Musicie dopilnować, by wasi ludzie wiedzieli o zakazie używania 1/0. To bardzo ważne. Dla ich własnego bezpieczeństwa.

VERNOR VINGE

Wędrował spojrzeniem od twarzy do twarzy. Prawie wszyscy mieli zacięte, wrogie miny, ale Vinh wiedział, że w głębi duszy odetchnęli z ulgą. Kiedy wróca do swoich przyjaciół, będą mogli powiedzieć, że to ten lizus i sprzedawczyk Ezra Vinh domaga się wypełniania poleceń Emergentów - a ich własna, niepopularna pozycja będzie im nieco mniej ciążyć.

Ezra siedział przez chwilę w bezruchu, ogarnięty nagłą niemocą. *Proszę, niech to będzie to, czego oczekuje ode mnie Diem.* Lecz spojrzenie Jimmy'ego było równie twarde i nieprzeniknione jak pozostałych. Poza bakterium doskonale odgrywał swą rolę. Wreszcie Ezra pochylił się nad stołem i powiedział cicho do Fong:

- Miałaś mówić o nowych mieszkańcach. W czym tkwi problem?

Fong odchrząknęła, przypomniawszy sobie, o czym rozmawiali przed jej wybuchem.

- Ach, dajmy spokój liczbom - odezwała się ku zaskoczeniu Ezra.

- Mówiąc krótko, możemy poradzić sobie z większą liczbą ludzi. Ba, gdy byśmy mogli właściwie zarządzać automatyką, ten balon bez problemów pomieściłby trzy tysiące mieszkańców. Co do samych ludzi... -Wzruszyła ramionami, lecz już bez gniewu. - Widziałam już mnóstwo takich tyków w różnych tyraniach. Nazywają siebie „zarządcami”, ale to pionki. Robią butne miny, ale właściwie to oni boją się nas, a nie na odwrót. - Na jej ustach pojawił się chytry uśmiešek. - Mamy ludzi, którzy wiedzą, jak radzić sobie z takimi Klientami. Niektórzy nawiązali już przyjaźń. Jest wiele tematów, których tamci nie mogą poruszać, na przykład to paskudne choróbko, pleśń mózgu. Ale jeśli ich szefowie nie zechcą nam nic o tym powiedzieć, to niedługo sami dowiemy się całej prawdy.

Ezra nie odpowiedział jej uśmiechem. *Słyszysz to, grupmistrzu Nau? Nie możesz oszukiwać nas bez końca, wkrótce i tak poznamy prawdę.* A ta wiedza zostanie z pewnością wykorzystana przez Jimmy'ego Diema. Wybierając się na to spotkanie, Ezra myślał tylko o jednej sprawie, ostatnim punkcie porządku. Teraz zaczynał rozumieć, że wszystko jakoś się łączy ze sobą i że wcale nie radzi sobie tak źle, jak mu się wydawało.

Ostatnim punktem zebrania była zbliżająca się eksplozja słońca. A Jimmy znalazł już błazna - z pewnością niczego nieświadomego błazna

- który miał odegrać za nich całe przedstawienie: Phama Trinli. Napuszo ny jak paw obrońca stanął z przodu stołu.

- Tak, tak - zaczął. - Mam tutaj zdjęcia. Chwileczkę. - Na oknach wokół pokoju ukazały się obrazy symulacji komputerowych. Trinli zajął miejsce na podium i zrobił im wykład o punktach stabilności Lagrange'a. Choć przemawiał mocnym, zdecydowanym głosem człowieka przyzwyczajonego do wydawania poleceń, treść jego wystąpienia była banalna i nużąca.

Vinh pozwolił mu głądzić przez jakieś sto sekund, wreszcie nie wytrzymał:

- Zdaje się, że temat tego wystąpienia brzmi „Przygotowania do Wybuchu”, panie Trinli. Czego oczekują od nas Emergenci?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Starzec zgromił go spojrzeniem.

- Obrońco Trinli, jeśli łaska, Zarządco Floty. - Jeszcze przez chwilę patrzył nań groźnie. - No dobrze, przejdźmy do sedna sprawy. Tutaj ma my jakieś pięć miliardów ton diamentu. - Na oknie za jego plecami zapa liła się czerwona strzałka, wskazująca na obracającą się powoli grupę skał, cały wolny materiał, jaki kapitan Park znalazł w tym układzie. Lód i rudy podniesione z Arachny jako mniejsze elementy zostały wciśnięte w zagłębienia i szczeliny asteroidalnych bloków. - Obecnie nasze floty przycumowane są do tej grupy skalnej albo krążą po orbicie wokół niej. Jak usiłowałem wyjaśnić to przed kilkoma sekundami, Emergenci chcą, byśmy umieścili na głównych blokach tego układu system elektrycznych silników odrzutowych i pokierowali tym wszystkim.

- Przed Wybuchem? - spytał Diem. -

Tak.

- Chcą, żebyśmy utrzymali stabilny kontakt podczas Wybuchu?

- Właśnie tak.

Członkowie komisji wymienili niepewne spojrzenia. Stabilizowanie stacji kosmicznych było powszechną, stosowaną od wieków praktyką. Utrzymanie stacji na właściwie zaprojektowanej orbicie w LI było stosunkowo proste i wymagało niewielkich ilości paliwa. Punkt ten znajdował się w odległości około półtora miliona kilometrów od Arachny, niemal dokładnie pomiędzy planetą i jej słońcem. W najbliższych latach stacja byłaby więc doskonale ukryta w blasku słońca. Lecz Emergenci mierzyli wyżej; wzniesli już na skalnym podłożu różne konstrukcje, łącznie z Hammerfest. Teraz chcieli, by silniki utrzymujące stację na orbicie zostały zamontowane jeszcze przed Wybuchem. W czasie największej aktywności OnOff świeciła z mocą pięćdziesięciu do stu soli. Emergenci chcieli, by w tym okresie największe skały stacji nie zmieniły swej pozycji, i zamierzali wykorzystać do tego celu silniki stabilizujące. Było to głupie i niebezpieczne zadanie, ale to Emergenci zarządzili stacją. *A Jimmy będzie miał pretekst, żeby wyjść na zewnątrz.*

- Moim zdaniem, wcale nie będzie to takie trudne. - Qiwi Lisolet podniosła się ze swego miejsca. Podleciała do map Phama Trinlego, uprzedzając wszystko, co ten miał jeszcze do powiedzenia. - Robiłam sporo po dobowych ćwiczeń, kiedy tu lecieliśmy. Moja mama chce, żebym została inżynierem, i uważała, że stabilizowanie stacji może być istotną częścią tej misji. - Qiwi wydawała się znacznie doroślejsza niż zazwyczaj. Ezi po raz pierwszy widział ją także ubraną w zieleń Lisoletów. Przez chwilę wisiała przed mapą, wczytując się w szczegóły. Kiedy znów się odezwała, bardziej przypominała dawną siebie. - Boże, też mają wymagania! Te skały są luźno połączone. Nawet jeśli właściwie wykonamy wszystkie obliczenia, nie możemy wiedzieć, jakie napięcia powstaną we wnętrzu tej grupy. A jeśli światło słoneczne padnie na substancje lotne, pojawi się cały nowy problem. - Gwizdnęła cicho, a na jej twarzy pojawił się rado-

VERNORVINGE

sny, niemal dziecięcy uśmiech. - Być może będziemy musieli przemieścić silniki w trakcie Wybuchu. Wiem...

Pham Trinli spojrział groźnie na dziewczynkę. Bez wątpienia ukradła jakieś tysiąc sekund z jego prezentacji.

- Tak, to będzie trudne zadanie. Możemy przeznaczyć na nie tylko sto silników. Przez cały czas na zewnątrz będą musiały czuwać załogi.

- Nie, to nieprawda. Mówię o silnikach. Mamy ich jeszcze znacznie więcej na „Brisgo Gap”. Cała operacja będzie tylko ze sto razy większa od tego, co już robiłam... - Qiwi dała się ponieść entuzjazmowi i choć raz to nie Ezr Vinh był drugą stroną sporu.

Nie wszyscy spokojnie zaakceptowali tę sytuację. Młodszy oficerowie, łącznie z Diemem, domagali się, by na czas Wybuchu rozdzielić skały, a substancje lotne umieścić po zaciemnionej stronie największego diamentu. Do diabła z Nauem, to było zbyt ryzykowne. Trinli irytował się, krzyczał, że mówił już o tym wszystkim Emergentom.

Ezr uderzył dłonią w stół, potem jeszcze raz, głośniej.

- Proszę o spokój. Przydzielono nam to zadanie, nie dając wyboru. Jedynie, co możemy teraz zrobić, to odpowiedzialnie dysponować tym, co mamy. Myślę, że otrzymamy dodatkową pomoc od Emergentów, musimy to jednak odpowiednio uzasadnić.

Spór przy stole rozgorzał na nowo. Ilu z nich bierze udział w spisku? - zastanawiał się. Na pewno nie Qiwi. Po jakimi czasie wrócili znów do punktu wyjścia; nie pozostało im nic innego, jak podporządkować się rozkazom Emergentów. Jimmy Diem powrócił na swoje miejsce i westchnął ciężko.

- No dobrze, zrobimy, co nam każą. Ale wiemy przynajmniej, że nas potrzebują. Możemy przycisnąć Nau, zmusić go, żeby wypuścił kilku starszych specjalistów.

Wszyscy chętnie się z nim zgodzili. Vinh spojrział na moment prosto w oczy Jimmy'ego, potem odwrócił wzrok. Może uda im się pozyskać do tego projektu kilku zakładników, choć było to dość wątpliwe. Ezr wiedział już jednak, kiedy spiskowcy uderzą.

JEDENAŚCIE

Gwiazda OnOff powinna była raczej nosić nazwę „Stara zagadka”. Jej katastroficzna zmienność została zauważona po raz pierwszy przez astronomów Epoki Świtu ze Starej Ziemi. W ciągu niecałych ośmiuset sekund gwiazda zakatalogowana jako pojedynczy brązowy karzeł zmieniła wielkość z 26 do 4. W okresie trzydziestu pięciu lat obiekt ten praktycznie przestał być widoczny, a jednocześnie został tematem niezliczonych prac naukowych. Od tej pory gwiazda była stale i uważnie obserwowana, a jej tajemnica coraz bardziej intrygowała naukowców. Jasność, ciem-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ność, jasność, ciemność... pełen cykl trwał około 250 lat, a moment Wybuchu można było przewidzieć z dokładnością do jednej sekundy.

W tysiącletniach po Świcie ludzkie cywilizacje stopniowo kolonizowały coraz większe obszary kosmosu. Obserwacje gwiazdy stały się jeszcze dokładniejsze, przeprowadzano je z coraz mniejszych i mniejszych odległości.

I wreszcie ludzie znaleźli się w układzie OnOff, by na własne oczy obejrzeć kolejny Wybuch.

Tomas Nau wygłosił krótkie przemówienie, które zakończył słowami:

- To będzie interesujące widowisko. - Obserwowali Wybuch w najwięcej sali konferencyjnej kwater, wyjątkowo dziś zatłoczonej. Emergenci specjaliści nadzorowali całą operację z Hammerfest. Pozostawiono także załogi na okrętach gwiazdnych. Ezra wiedział, że większość Queng Ho i wszyscy wolni od obowiązków Emergenci zgromadzili się tutaj. Obie strony były dla siebie uprzejme, niemal przyjacielskie. Minęło już czterdzieści dni od bitwy. Wśród Queng Ho krążyły plotki, że po Wybuchu Emergenci znacznie złagodzą środki bezpieczeństwa i dadzą im więcej swobody.

Ezra zakotwiczył się pod samym sufitem. Bez wyświetlaczy mógł obserwować Wybuch tylko na ekranach umieszczonych na ścianach sali. Z tego miejsca widział trzy najbardziej interesujące okna - przynajmniej wtedy, gdy inni ludzie nie tłoczyli się przed nim. Jedno z okien przedstawiało obraz OnOff widzianej z powierzchni diamentu, drugie - obraz przekazywany przez któryś z satelitów krążących po niskiej orbicie wokół gwiazdy. Nawet z odległości zaledwie pięćset kilometrów powierzchnia OnOff nie wyglądała groźnie. Równie dobrze mógłby być to widok z samolotu lecącego nad warstwą chmur. Gdyby nie ogromna grawitacja powierzchniowa, ludzie mogliby praktycznie na niej wylądować. „Chmury” przesunęły się powoli poza widok z mikrosatelity, odsłaniając skrawki błyszczącej czerwieni. Była to posępna czerwień brązowego karła, czerwień ciała czarnego. Nic nie zapowiadało kataklizmu, który miał się wydarzyć za niecałe... sześćset sekund.

Nau i jego starszy technik lotu przyłączyli się do Ezra. Nigdzie w pobliżu nie było Brughla. Ezra potrafił już rozpoznać, kiedy Nau chce rozmawiać z nim w miłej atmosferze, a kiedy mu na tym nie zależy - czynnikiem decydującym była obecność Ritsera Brughla. Grzmistrz zajął miejsce obok Vinha. Uśmiechał się jak jakiś polityk z planety Klienta.

- No i jak, zarządco floty, nadal denerwuje się pan tą operacją?

Vinh skinął głową.

- Wie pan, co sądzi o tym moja komisja. Na czas Wybuchu powinniśmy usunąć substancje lotne, ukryć je po zacienionej stronie którejś ze skał i odsunąć dalej od gwiazdy. Sami powinniśmy też przenieść się do układu zewnętrznego. - Okrety obu flot i wszystkie pomieszczenia miesz-

VERNOR VINGE

kalne przycumowane zostały po jednej stronie największego diamentu, co zapewniło im osłonę przed Wybuchem, gdyby jednak skały zaczęły się przesuwać...

Technik Naua pokręcił głową.

- Mamy zbyt wiele budynków na gruncie. Poza tym brakuje nam paliwa; musielibyśmy zużyć prawie cały zapas, żeby przelecieć do zewnętrznego układu. - Technik Jau Xin wyglądał niemal tak młodo jak Ezer. Xin był miły, nie otaczała go jednak aura kompetencji i profesjonalizmu, którą Ezer wyczuwał u starszych specjalistów Queng Ho.

- Wasi inżynierowie zrobili na mnie spore wrażenie. - Xin wskazał głową na okna. - My na pewno byśmy sobie nie poradzieli tak dobrze z tymi skałami. Trudno uwierzyć, że mogą być aż tak dobrzy bez... - Xin umilkł nagle. Emergenci nadal mieli przed nimi tajemnice; to mogło się zmienić szybciej, niż przypuszczali.

Nau gładko włączył się do rozmowy, jakby chciał zatuszować gafę technika.

- Pańscy ludzie są naprawdę dobrzy, Ezer. Myślę, że właśnie dlatego tak narzekali na ten plan, dążą do perfekcji. - Spojrzał na obraz gwiazdy OnOff. - Pomyślcie tylko, że na naszych oczach tworzy się dzisiaj historia.

Tłum wokół nich skupiał się w mniejsze grupki Queng Ho i Emergentów, ale rozmawiali wszyscy ze wszystkimi. Okno na przeciwległej ścianie ukazywało odsłoniętą powierzchnię skał. Załoga Jimmy'ego Diema rozciągała srebrną tkaninę na szczytach lodowych głązów. Nau ściągnął brwi.

- Zakrywamy w ten sposób lód i śnieg powietrzny - wyjaśnił Vinh. - Górne części skał zostaną wystawione na działanie słońca. Dzięki temu nie będą parować i topić się.

- Aha. - Nau skinął głową.

Na powierzchni znajdowało się w tej chwili kilkanaście osób. Niektóre przymocowane były do gruntu, inne manewrowały ponad nim. Grawitacja powierzchniowa praktycznie nie istniała. Przeciągali srebrną płachtę nad lodowymi górami ze swobodą, jaką daje wieloletnia praktyka i tysiąclecia doświadczeń Queng Ho, które za nią stoją. Ezer obserwował ich w milczeniu, próbując odgadnąć, kto jest kim, lecz jednakowe skafandry skutecznie to uniemożliwiały. Ezer nie znał szczegółów spisku, Jimmy jednak wyznaczył mu kilka zadań, domyślał się więc, jaki jest jego ogólny zarys. Być może nigdy już nie nadarzy im się równie dogodna okazja; mieli dostęp do silników elektrycznych na pokładzie „Brisgo Gap”. Mogli niemal bez ograniczeń wychodzić na zewnątrz, do miejsc, w których nie obserwował ich żaden Emergent. Byli pewni, że w pierwszych sekundach po Wybuchu zapanuje lekki chaos - a ponieważ to oni odpowiadali za stabilizację stacji, mogli wykorzystać to zamieszanie do realizacji spisku. *Ale jedyne, co mogą zrobić, to stać tutaj z Tomaszem Nau... i być dobrym aktorem.*

Ezer uśmiechnął się do grupmistrza.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Qiwilisolet wypadła ze śluzy jak burza.

- Cholera! Kurwa, cholera jasna, żeby to szlag... - wyrzucała z siebie wszystkie znane jej przekleństwa, ściągając skafander. Zanotowała w pamięci, by częściej przebywać w towarzystwie Gonie Fong. Z pewnością istniały jeszcze jakieś bardziej wymyślne obelgi, których mogłaby użyć w takiej sytuacji. Wrzuciła zewnętrzny skafander do szafki i ruszyła w dół korytarza.

Boże Handlu, jak mogli jej to zrobić? Została przegnana do środka, by stać tam bezczynnie i przyglądać się, jak Jimmy Diem wykonuje jej pracę!

PhamTrinli wznosił się trzydzieści metrów ponad płachtą izolacyjną, którą przymocowywali do góry lodowej. Trinli był oficjalnym szefem tej operacji, choć Ezr dopilnował, by wszelkie wydawane przez niego rozkazy były tylko mało znaczącymi ogólnikami. W rzeczywistości to Jimmy Diem odgrywał tu główną rolę. I co ciekawe, to mała Qiwilisolet miała najlepsze pomysły co do miejsc mocowania silników elektrycznych i sposobu ich kontroli. Gdyby kierowali się jej sugestiami, stabilizacja przebiegałaby prawdopodobnie bez najmniejszych problemów.

A to wcale nie byłoby dobre.

PhamTrinli był członkiem „wielkiego spisku”, ale mało znaczącym, któremu nie powierza się żadnych istotnych informacji. Wcale mu to nie przeszkadzało. Odwrócił się, tak by księżycowy blask OnOff padał na jego plecy, a skała wisiała niemal dokładnie nad głową. W głębokim cieniu skał znajdowały się przycumowane okręty, pomieszczenia mieszkalne, rafinerie substancji lotnych, ukryte przed blaskiem, który wkrótce miał runąć z nieba. Jeden z budynków mieszkalnych, Hammerfest, przytwierdzony na stałe do podłoża, miałby nawet pewien dziwny wdzięk, gdyby nie zgromadzone wokół urządzenia. Kwatery Queng Ho wyglądały po prostu jak wielki balon przywiązany do skał. W środku przebywali wszyscy obudzeni Queng Ho i wielu Emergentów.

Za budynkami mieszkalnymi, częściowo ukryte pod masywem diamentu, cumowały okręty. Ponury widok. Okręty gwiazdne nigdy nie powinny być powiązane w ten sposób tak blisko grupy luźnych skał. Przed oczami stanął mu obraz z odległej przeszłości; stopy martwych wielorybów gnijących w miłosnym uścisku. Nie tak powinien wyglądać prawdziwy port. Ale to było raczej złomowisko niż przystań planetarna. Emergenci drogo zapłacili za swój podstęp. Po zniszczeniu okrętu flagowego Sam-my'ego Pham dryfował przez większość dnia w uszkodzonej taksówce - nadal jednak był podłączony do ocalałej automatyki wojennej. Prawdopodobnie grupmistrz Nau nigdy nie domyślił się, kto koordynował poczynaniami Queng Ho. Inaczej Pham już by nie żył albo leżał uśpiony wraz z innymi obrońcami Queng Ho na pokładzie „Dalekiego skarbu”.

Choć zaskoczeni i wciągnięci w zasadzkę, Queng Ho byli bliscy zwycięstwa. *Wygralibyśmy, gdyby nie to przekłete choróbsko.* Kosztowne zwycię-

VERNOR VINGE

stwo zamieniło się niemal w obopólną rzeź. Nie więcej niż dwa okręty nadal były zdolne do lotu. Być może po wykorzystaniu części z innych wraków udałoby im się naprawić dwa kolejne. Obecny stan destylarni substancji lotnych nie pozwalał jednak przypuszczać, by w najbliższych latach zgromadzili taką ilość wodoru, która pozwoliłaby nadać choć jednemu z okrętów odpowiednią prędkość.

Niecałe pięćset sekund do Wybuchu. Pham płynął powoli do góry w stronę skał, aż płachta izolacyjna przesłoniła widok na statki i pomieszczenia mieszkalne. Po drugiej stronie tej płaszczyzny jego ludzie - Diem, Do i Patii, jako że Qiwi została odesłana do wewnątrz - mieli dokonywać właśnie ostatniego przeglądu silników i sprawdzać działanie systemu. Głos Jimmy'ego rozbrzmiewał od czasu do czasu na kanale, którym posługiwała się jego załoga, lecz Pham wiedział, że to tylko nagranie. Ukryci pod płachtą Diem i pozostali dawno już przeszli na drugą stronę skał. Wszyscy byli teraz uzbrojeni; zdumiewające, co można zrobić z silnikiem elektrycznym, szczególnie modelem Queng Ho.

Tak więc Pham Trinli został sam. Bez wątpienia Jimmy był zadowolony, że udało mu się go pozbyć. Ufano mu, ale tylko w mniej istotnych kwestiach planu, takich jak podtrzymywanie obrazu pracującej załogi. Trinli raz chował się pod płachtą, to znów ukazywał kamerom z Hammerfest i kwater, reagując na sugestie z nagrania Jimmy'ego.

Trzysta sekund do Wybuchu. Trinli zanurkował pod płachtą. Stąd widział poszarpane szczyty lodowych głazów i warstwę śniegu powietrznego. Zacieniona strona skał zupełnie zniknęła za diamentową płaszczyzną.

Diament. Kiedy Trinli był jeszcze dzieckiem, diamenty były oznaką wielkiego bogactwa. Czysty kryształ o masie jednego grama mógł opłacić zabójstwo księcia. Dla przeciętnego Queng Ho diament był po prostu jedną z odmian alotropowych węgla, wytwarzaną niewielkim kosztem w ogromnych ilościach. Lecz nawet Queng Ho czuli się nieco przytłoczeni ogromem tych skał. Dotychczas uważano, że asteroidy takie istnieją jedynie w teorii. I choć nie były one jednolitymi kryształami, miały regularną budowę krystaliczną. Pozostałości olbrzymów gazowych, planet zniszczonych w odległej przeszłości przez jakąś gigantyczną eksplozję? Była to kolejna zagadka układu OnOff.

Odkąd zaczęli pracę na zewnątrz, Trinli badał uważnie teren, lecz nie z tego samego powodu co Qiwi Lisolet czy nawet Jimmy Diem. Pomiędzy Diamentem Jeden i Diamentem Dwa ciągnęła się szczelina wypełniona lodem i śniegiem. Oczywiście było to istotne dla Qiwi i Jimmy'ego, lecz tylko ze względu na ustabilizowanie skał. Dla Phama Trinli... szczelina stanowiła ścieżkę łączącą miejsce ich pracy z Hammerfest, ścieżkę niewidoczną ze statków i pomieszczeń mieszkalnych. Nie mówił o tym Diemowi; spiskowcy chcieli przejść Hammerfest dopiero po zdobyciu „Dalekiego skarbu”.

Trinli czołgał się przez klinowatą szczelinę, zbliżając się do kwater Emergentów. Jimmy Diem zdumiałby się zapewne, słysząc, że Pham Trin-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

li nie był urodzonym kosmonautą. Czasami, kiedy odbywał podobne wspinaczki, doznawał zawrotów głowy, jakie nękały ludzi żyjących na planetach. Gdyby popuścił wodze wyobraźni... nie czołgał się przez wąski tunel, lecz wspinał w górskim kominie, który nachylał się coraz bardziej w jego stronę i który musiał ostatecznie doprowadzić do jego upadku.

Trinli zatrzymał się na sekundę. Jedną ręką trzymał się skały, drżał na całym ciele, myśląc tylko o chwytakach, linach i hakach wbitych w skałę, które utrzymałyby jego ciężar i ocaliły przed śmiercią. *Boże*. Dawno już pierwotne odruchy nie powróciły doń z taką siłą. Ruszył ponownie naprzód. Naprzód. Nie do góry.

Według swoich obliczeń powinien znajdować się tuż obok Hammerfest, w pobliżu urządzeń komunikacyjnych Emergentów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jakaś kamera mogła wychwycić go w chwili, gdy będzie wychodził na powierzchnię. Oczywiście niewykluczone, że nikt nie będzie monitorował okolicy bazy w takiej chwili. Mimo to Trinli pozostał w ukryciu. W razie potrzeby gotów był podejść bliżej, chciał się tylko przyzaić. Leżał ukryty w szczelinie, wspierając się stopami o lód i plecami o diamentową ścianę. Rozwinął małą sondę antenową. Od czasu zasadzki Emergenci odgrywali rolę uśmiechniętych tyranów, niemal przyjaciół. Jedynym wykroczeniem, które karali bezpardonowo, było posiadanie niedozwolonych urządzeń 1/0. Pham wiedział, że Diem i najważniejsi konspiratorzy mieli wyświetlacze Queng Ho i że używali tajnego szyfru w lokalnej sieci. Spisek został więc zaplanowany pod samym nosem Emergentów. Często zresztą komunikacja nie wymagała żadnych urządzeń; wielu spośród tych młodzików znało stary alfabet kropek i kresek, język sygnałowy.

Jako podrzędny uczestnik spisku Pham Trinli znał jego sekrety tylko dlatego, że doskonale radził sobie z nielegalną elektroniką. Ta mała antena budziłaby podejrzenia nawet w czasie pokoju.

Nić, którą rozwijał, była idealnie przezroczysta, nie odbijała praktycznie żadnego rodzaju promieniowania. Umieszczony na końcu maleńki czujnik wyszukiwał już spektrum elektromagnetyczne. Jego głównym celem był system komunikacyjny kwater Emergentów, z których widać było balon Queng Ho. Trinli poruszył ramionami niczym wędkarz, który zarzuca wędkę. Cienka żyłka była dość sztywna, co przy braku ciężenia stanowiło wielką zaletę. *Jest*. Czujnik wyłowił fale łączące Hammerfest i kwatery Queng Ho. Stąd mógł podsłuchiwać lokalną sieć floty i komunikaty służb bezpieczeństwa Emergentów. Właśnie tego obawiał się najbardziej Nau, i dlatego tak surowo karał za posiadanie urządzeń Queng Ho. Jimmy Diem przezornie nie podejmował takiego ryzyka. Pham Trinli miał nad nim jednak pewną przewagę. Znał stare sztuczki, do których zdolny jest sprzęt Queng Ho... Mimo to nie zaryzykowałby, gdyby Jimmy i jego towarzysze nie zaangażowali się tak bardzo w swój plan.

Może powinien był szczerze porozmawiać z Jimmym. Zbyt mało wiedzieli o Emergentach. Dlaczego ich automatyka była taka dobra? W cza-

VERNORVINGE

sie bitwy Queng Ho z pewnością górowali taktycznie, lecz systemy naprowadzające Emergentów były lepsze od wszystkiego, z czym dotąd się spotkał Pham Trinli.

Trinli miał złe przeczucia, czuł się jak ktoś, kogo zapędzono w ślepią uliczkę. Spiskowcy uznali, że może to być ich najlepsza i jednocześnie jedyna okazja, by pokonać Emergentów. Może. Ale wszystko poszło im zbyt szybko, zbyt łatwo.

Więc wykorzystaj to najlepiej, jak potrafisz.

Pham spojrział na okna wyświetlacza w swoim hełmie. Odbierał telemetrię Emergentów i niektóre przekazy wideo, które transmitowali do kwater. Część z nich potrafił odkodować. Emergenci trochę za bardzo ufali swoim łączom optycznym. Czas dobrać im się do skóry.

- Pięćdziesiąt sekund do Wybuchu. - Monotonny głos już od dłuższego czasu odliczał sekundy dzielące ich od Wybuchu. Niemal wszyscy obecni w audytorium z przejęciem wpatrywali się w okna.

- Czterdzieści sekund.

Ezr rozejrzał się szybko po sali. Technik lotu, Xin, przeniósł spojrzenie z ekranu na ekran. Był wyraźnie podenerwowany. Tomas Nau obserwował widok znad powierzchni OnOff. Wydawał się raczej zaciekawiony niż przestraszony czy zdenerwowany.

Qivi Lisolet spoglądała gniewnie na okno ukazujące płachtę izolacyjną i pracę załogi Jimmy'ego Diema. Odkąd wróciła do audytorium, jej twarz nie opuszczał grymas złości i rozczarowania. Ezr domyślał się, co zaszło na zewnątrz... i czuł ulgę. Jimmy wykorzystał niewinną czternastolatkę jako kamuflaż dla spisku, nigdy jednak nie chciał zrobić jej krzywdy. Skorzystał z okazji, by usunąć dziewczynkę z obszaru zagrożenia. *Ale załóż się, że Qivi mu nie przebaczy, nawet jeśli pozna prawdę.*

- Czoło fali dotrze za dziesięć sekund.

Nadal brak zmian na obrazie z mikrosatelity. Tylko łagodny czerwony blask przeświecający spomiędzy chmur. Albo „stara zagadka” spletała im kosmicznego psikusa, albo rzeczywiście był to wyjątkowo gwałtowny proces.

- Wybuch.

Na największym oknie w samym środku czerwonego dysku zapłonął jasny punkt, który zaczął się gwałtownie rozprzestrzeniać i po dwóch sekundach wypełnił całą powierzchnię słońca. Obraz z satelity zniknął sekundę wcześniej. Światło stawało się coraz jaśniejsze, jaśniejsze i jaśniejsze. Przez tłum przebiegło westchnienie zdumienia i podziwu. Światło rzucało ostre cienie na przeciwległą ścianę, nim monitor przyciemnił nieco obraz.

- Pięć sekund po Wybuchu. - Musiał to być głos automatu. - Mamy sie dem kilowatów na metr kwadratowy. - Tym razem przemawiał jakiś technik o trilandzkim akcencie. *Me Emergent?* Ale Ezr się nad tym nie zastanawiał, na razie pochłaniały go inne wydarzenia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Dziesięć sekund po Wybuchu. - Z boku sali znajdowało się jeszcze jedno mniejsze okno, widok na świat Pająków. Do tej pory ciemny i posępny rozbrzmiał nagle odbitym światłem słońca, już pięć razy jaśniejszym od standardu Sol. I wciąż przybierającym na sile.

- Dwadzieścia kilowatów na metr kwadratowy. - Pod obrazem słońca pojawił się wykres porównujący aktualne wyniki z historycznymi zapisami. Ten Wybuch wydawał się potężniejszy od poprzednich.

- Strumień neutronów nadal poniżej wykrywalnej wartości.

Nau i Vinh spojrzeli na siebie z ulgą, choć raz szczerą u jednego i drugiego. Tego rodzaju zagrożenia nie można było wykryć z odległości międzyplanetarnych, a stare sondy nigdy nie przetrwały dłużej niż kilkanaście sekund po Wybuchu. Przynajmniej nie usmażą się w promieniowaniu.

- Trzydzieści sekund po Wybuchu.

- Pięćdziesiąt kilowatów na metr kwadratowy.

Na zewnątrz góra, która dotąd osłaniała ich przed słońcem, zaczęła świecić.

* * *

Pham Trinli nastawił odbiór na publiczny kanał audio. I bez tego nie mógłby przeoczyć Wybuchu. Przez chwilę jednak nie myślał o tych wydarzeniach, skupiając się wyłącznie na prywatnych łączach poza Hammerfest. To właśnie w takich chwilach, kiedy technicy byli bez reszty zajęci jakimś niezwykłym zadaniem, słabła czujność służb bezpieczeństwa. Jeśli Diem posuwał się zgodnie z planem, powinien już się znajdować przy „Dalekim skarbie”.

Trinli przebiegł spojrzeniem po kilkunastu oknach, które wypełniały teraz większą część widoku w jego hełmie. Jego programy doskonale radziły sobie z telemetrią. *Ha*. Nie da się przechrzyć starych, wypróbowanych sposobów. Teraz, kiedy potrzebowali dużej mocy obliczeniowej, Emergenci w coraz większym stopniu wykorzystywali automatykę Queng Ho, dlatego też szpiegowski sprzęt Trinlego był coraz wydajniejszy.

Sygnal nieco osłabł. Trinli wyczyścił kilka okien i rozejrzał się dokoła. Gwiazda OnOff ukryta była za górami, jej światło odbijało się jednak od otaczających go wzgórz. W miejscach, gdzie lód i śnieg powietrzny były odsłonięte, unosiły się kłęby pary. Na razie płachta Jimmy'ego spełniała swe zadanie, coraz mocniej jednak falowała i trzepotała pod naporem gazów. Niebo przybrało teraz niemal błękitną barwę, w górę biła mgła tysięcy ton wody i powietrza, zamieniając skały w kometę. I zasłaniając mu Hammerfest. Trinli poruszał anteną. Utrata połączenia nie mogła być spowodowana jedynie przez mgłę. Coś się zmieniło. *Jest*. Znów podłączył się do sieci Hammerfest. Po chwili odkodował sygnał i ponownie mógł przysłuchiwać się komunikatom Emergentów. Jednocześnie jednak rozglądał się uważnie dokoła. Wybuch nowego słońca był nawet bardziej widowiskowy, niż przypuszczali.

VERNORVINGE

Trinli przedostał się już do wnętrza sieci Hammerfest. W przypadku każdego programu dochodziło do jakichś wyjątkowych sytuacji, za które projektanci nie czuli się już odpowiedzialni. Istniały w nich różne luki, które mógł teraz wykorzystać...

Dziwne. Wydawało się, że do wnętrza systemu zalogowanych jest kilkudziesięciu użytkowników. Dotarł też do dużych sekcji systemu Emergentów, których w ogóle nie rozpoznawał, które nie były zbudowane na wspólnych podstawach. A ponoć Emergenci mieli być tylko prostaczkami, którzy dopiero niedawno osiągnęli wysoki rozwój techniczny, i to przy wykorzystaniu sieci Queng Ho. Wszystko to wydawało mu się dziwne i podejrzanе. Włączył podsłuch audio. Nese Emergentów był zrozumiały, choć przemieszany z technicznym żargonem.

- ...Diem... za skałami... zgodnie z planem.

Zgodnie z planem ?

Trinli przejrzał odpowiednie ciągi danych, zobaczył wykresy pokazujące, jaką bronią dysponuje *zaloga* Jimmy'ego oraz którym wejściem chce się dostać na pokład „Dalekiego skarbu”. Listy nazwisk... spiskowców. Pham Trinli wymieniony był jako ostatni uczestnik. Kolejne listy. *Tajny szyfr Jimmy'ego Diema*. Pierwsza wersja była niepełna; następne opisywały szczegółowo plany Jimmy'ego i pozostałych. Obserwowali ich poczynania wystarczająco dokładnie, by przejrzeć wszystkie sztuczki. Nie wyjawiał im tego żaden zdrajca, po prostu zajęli się wszystkim z nieludzką precyzją.

Pham ściągnął sprzęt i podczołgał się trochę dalej. Potem wysunął głowę nad powierzchnię, kierując antenę na stromy dach Hammerfest. Jeśli jego sygnał odbije się pod odpowiednim kątem, powinien dotrzeć do „Dalekiego skarbu”.

- Jimmy, Jimmy! Słyszysz mnie? - Nadawał szyfrem Queng Ho, jeśli jednak nieprzyjaciel ich słyszał, bez trudu mógł zlokalizować obie strony połączenia-

Jimmy Diem zawsze pragnął być tylko tak dobrym dowódcą, by awansować i dorobić się przyzwoitego majątku. Mógłby ożenić się z Tsufe Do dokładnie wtedy, gdy zaczęłyby czerpać zyski z podróży do OnOff. Oczywiście planował to wszystko przed przybyciem Emergentów i przed ich zasadzką. A teraz? Teraz przewodził spiskowi, stawał wszystko na jedną kartę, ryzykując życie swoje i swoich podwładnych. Cóż, przynajmniej wreszcie zaczęli działać...

W niecałe czterdzieści sekund przebiegli cztery tysiące metrów, cały obszar skał wystawiony na działanie słońca. Byłby to dobry wynik, nawet gdyby nie dodatkowe efekty Wybuchu, nawet gdyby nie byli owinięci w srebrną folię. Omal nie stracili Phama Patila. Szybki bieg w stanie nieważkości zależał od tego, czy biegacz wiedział, gdzie postawić kolejny krok, jak odbić się od podłoża, jak rozłożyć siły i przyspieszenie. Lecz ba-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dania skał, które wykonywali do tej pory, miały tylko służyć wyznaczeniu miejsc mocowania silników. Nie znaleźli żadnego pretekstu, który pozwoliłby im przygotować trasę biegu. Patii popełnił drobny błąd i zaczął już niebezpiecznie oddalać się od powierzchni. Odleciały na zawsze, gdyby Tsufe i Jimmy nie byli dobrze przypięci do gruntu. Kilka sekund dłużej, a bezpośrednio światło nowego słońca usmażyłoby ich mimo prowizorycznych osłon.

Ale udało się! Byli po drugiej stronie okrętów kosmicznych, tam gdzie nikt nie spodziewał się żadnych przybyszów. Kiedy wszyscy wpatrywali się w nowe słońce, oni przedostali się na upatrzone pozycje.

Przystanęli tuż przy miejscu cumowania „Dalekiego skarbu”. Okręt wznosił się nad nimi na długość sześciuset metrów, tak bliski, że widzieli jedynie część gardzieli i przednie zbiorniki. Dzięki starannemu rozpoznaniu wiedzieli, że jest najmniej zniszczony spośród wszystkich okrętów Queng Ho. W jego wnętrzu znajdował się sprzęt, a co ważniejsze, ludzie, którzy mogli przywrócić wolność.

Okręty ukryte były w cieniu, lecz chmura gazów sięgała już bardzo wysoko, a odbite od niej światło rozpraszało ciemności. Jimmy i jego towarzysze pozbyli się srebrnych osłon i skafandrów termicznych. Przemykali się coraz bliżej wejścia, ciągnąc za sobą narzędzia i prowizoryczną broń i starając się unikać blasku bijącego z nieba. *Chyba nie będzie jeszcze jaśniej?* Lecz wyświetlacz czasu pokazywał, że od Wybuchu upłynęło zaledwie sto sekund. Największego natężenia światła mogli się spodziewać za kolejne sto sekund.

Wszyscy troje lecieli w górę lin cumowniczych. Wkradając się do tak wielkiego okrętu, nie musieli się przynajmniej martwić, że ich ruchy rozkołyszą kadłub. Wiedzieli, oczywiście, że na pokładzie „Dalekiego skarbu” będzie załoga Emergentów. Czy ci spodziewali się jednak gości w takiej chwili? Analizowali ten plan setki razy i uznali, że nie da się go już ulepszyć. Jeśli jednak zdołają przejąć statek, zyskają prawdziwą bazę, doskonały sprzęt, broń i pozostałych przy życiu obrońców Queng Ho. Być może wtedy uda im się zakończyć ten koszmar.

Światło przebijało się przez diamentową skałę! Jimmy zatrzymał się na moment, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Asteroida miał w tym miejscu co najmniej trzysta metrów grubości. A jednak to nie wystarczało. Rozszczepione na milionach drobnych płaszczyzn, odbite i osłabione światło OnOff mimo wszystko zdołało się przebić przez litą skałę. Pojawiło się w postaci blasku tęczy, tysięcy maleńkich dysków rozpalonych w załamach skały. I z każdą sekundą stawało się coraz silniejsze, odsłaniając wewnętrzną strukturę asteroidy, wszystkie szczeliny, pęknięcia i płaszczyzny, które ciągnęły się setki metrów w głąb diamentu. A światło nadal przybierało na sile.

No tak, możemy zapomnieć o osłonie ciemności. Nie namyślając się dłużej, ruszył ponownie w górę. Z ziemi włąz wyglądał jak małeńka krop-

VERNORVINGE

ka na paszczy okrętu, lecz teraz stawał się coraz większy i większy, aż wreszcie urósł do naturalnych rozmiarów prosto nad jego głową. Jimmy nakazał gestem, by Do i Patii zajęli miejsce po przeciwnych stronach włazu. Emergenci oczywiście przeprogramowali zamek, ale nie wymienili mechanizmu jak przy wejściu do pomieszczeń mieszkalnych. Tsufe zadbała wcześniej o to, by zamek zareagował na ich rękawice jak na właściwy klucz. Ilu strażników będą musieli pokonać? *Poradzimy sobie z nimi. Wiem, że możemy tego dokonać.* Wyciągnął rękę, by dotknąć zamka, i...

Ktoś próbował się z nim połączyć. Jimmy, Jimmy! Słyszysz mnie? - wołał ledwie słyszalny głos w jego uchu. Według wyświetlacza sygnał laserowy pochodził z dachu kwater Emergentów. Głos jednak należał do Phama Trinli.

Jimmy znieruchomiał. W najgorszym wypadku nieprzyjaciel bawił się z nim, w najlepszym - Pham Trinli domyślił się, że idą na pokład „Dalekiego skarbu” i teraz psuł wszystko gorzej, niż można było sobie wyobrazić. *Zignoruj idiotę, a jeśli przeżyjesz, porządnie skop mu tylek.* Mgła przybrała bladofioletowy odcień, powoli przesuwiała się w blasku OnOff. W próżni bardzo trudno jest zlokalizować źródło sygnału laserowego. Ale to nie była już próżnia. Jeśli Emergenci wiedzieli, gdzie szukać, prawdopodobnie mogli zobaczyć połączenie Trinlego.

Odpowiedź Jimmy'ego była milisekundowym sygnałem rzuconym w stronę drugiej strony promienia.

- Wyłącz się, idioto! Natychmiast!

- Wkrótce. Po pierwsze; oni wiedzą o planie. Rozpracowali wasz szyfr. - Był to Trinli, a jednak jakiś inny. Poza tym nigdy nie mówili Trinlemu o zaszyfrowanej komunikacji. - To jest pułapka, Jimmy. Ale oni nie wiedzą wszystkiego. Wycofajcie się. Jeśli wejdziecie do „Dalekiego skarbu”, pogorszycie tylko sytuację.

Boże. Przez moment Jimmy nie mógł wydobyć z siebie głosu. Myśli o porażce i śmierci prześladowały go w każdym śnie od czasu zasadzki. Podjęli ogromne ryzyko, by dotrzeć aż tutaj. Wiedział, że mogą zostać zdemaskowani. Nigdy jednak nie przypuszczał, że odbędzie się to w taki sposób. Niewykluczone, że stary głupiec naprawdę odkrył coś ważnego; a może tylko coś mu się uroiło. Wycofując się w tej chwili, ponieśliby klęskę. *Za późno na odwrót.*

Jimmy otworzył wreszcie usta.

- Powiedziałem, wyłącz się! - Odwrócił się ponownie do kadłuba okrętu, wystukał kod na zamku przy włazie. Minęła sekunda - właz się otworzył. Do i Patii wpłynęli do ciemnego wnętrza śluzy. Diem zatrzymał się jeszcze na sekundę, przymocował niewielkie urządzenie do kadłuba przy włazie i ruszył ich śladem.

DWANAŚCIE

Pham Trinli zamknął połączenie. Pospiesznie złożył antenę i ruszył w dół szczeliny, w drogę powrotną. *Więc daliśmy się wykiwać.* Tomas Nau był zbyt sprytny, by pozwolić im na tak łatwe zwycięstwo, a przy tym miał nad nimi jakąś nieuchwytną przewagę. Trinli widział już setki operacji, niektóre były znacznie mniejsze od tej, inne trwały przez stulecia. Nigdy jednak nie spotkał się z taką precyzją, tak fanatycznym przywiązaniem do szczegółów, jak w analizie zaszyfrowanych sygnałów Jimmy'ego. Nau dysponował jakimś magicznym oprogramowaniem albo zespołem maniaków. Pham Trinli już teraz zastanawiał się, jak mógłby to wykorzystać w przyszłości.

Na razie jednak ważne było tylko przetrwanie. Jeśli Diem się wycofa, pułapka zastawiona przez Nau może się nie zamknąć albo przynajmniej nie będzie tak groźna w skutkach.

Diamentowa powierzchnia po jego lewej stronie świeciła jasno; Trinli mógł podziwiać największy klejnot wszech czasów, przez który przenikał blask słońca. Światło przed nim było niemal równie intensywne, oślepiające aureole otaczały szczyty lodowych gór. Srebrna płachta, przymocowana tylko w trzech miejscach, unosiła się coraz wyżej ponad powierzchnię skał.

Nagle Pham stracił oparcie pod nogami i rękami. Obrócił się w miejscu, wreszcie pochwycił jakiś skalny występ. Czuł drżenie gór. Szczelina zaczęła się wypełniać mgłą na całej swej długości - diamentowa góra ruszyła z miejsca. Powoli, centymetr na sekundę, ale poruszała się. Pham widział pierwsze promienie słońca przechodzące przez otwór. Przed operacją oglądał uważnie mapę skał. Diament Jeden i Diament Dwa stykały się ze sobą wzdłuż długiej płaszczyzny. Inżynierowie Emergentów wykorzystali dolinę ponad tą płaszczyzną jako miejsce składowania śniegu i lodu z Arachny. Wszystko bardzo wrażliwe... i niezbyt dobrze wymodelowane. Część substancji lotnych wsunęła się pomiędzy dwie góry. Światło wędrujące pomiędzy Pierwszym i Drugim Diamentem natrafiło na ten śnieg i lód. Powstała para, która odpychała diamenty od siebie. To, co jeszcze przed chwilą stanowiło kilkusetmetrową osłonę, teraz zamieniało się w poszarpaną przepaść, miliony luster i pryzmatów tworzyły piekielną tęczę.

- Sto czterdzieści pięć kilowatów na metr kwadratowy.
- To maksymalna wartość - powiedział ktoś z tłumu. OnOff świeciła ponad sto razy jaśniej niż standardowe słońce. Odtwarzała procesy znane z poprzednich Wybuchów, choć ten był silniejszy niż większość. OnOff miała świecić z tą samą mocą przez kolejne dziesięć tysięcy sekund, by potem gwałtownie zmniejszyć promieniowanie do dwóch solarów i pozostać na tym poziomie przez kilka lat.

VERNOR VINGE

Nikt nie wznosił triumfalnych okrzyków. Przez ostatnie kilkaset sekund tłum zgromadzony w audytorium zachowywał niemal absolutne milczenie. Początkowo Qiwi była pochłonięta wyłącznie swą złością i poczuciem krzywdy. Uspokoila się jednak, gdy pękło pierwsze, a potem drugie mocowanie srebrnej płachty, a promienie słońca dotknęły powierzchni lodu.

- Mówiłam Jimmy'emu, że to nie wytrzyma. - W jej głosie nie było już jednak gniewu. Świetlny spektakl był naprawdę piękny, dokonywał jednak znacznie większych zniszczeń, niż planowali. Ze wszystkich stron sączyły się strumienie gazów - a żaloszne silniczki elektryczne nie mogły w żaden sposób temu zapobiec. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że miną jeszcze msekundy, nim skały znów się uspokoją.

Potem, czterysta sekund po Wybuchu, płachta zerwała się z zaczepów. Uniosła się powoli, falując na tle fioletowego nieba. Pod spodem nie było ani jednego z członków załogi, którzy mieli tam znaleźć schronienie. Przez tłum przebiegł zaniepokojony pomruk. Nau zrobił coś ze swoim mankiem, a jego głos stał się nagle słyszalny w całej sali.

- Proszę się nie martwić. Załoga z pewnością widziała, że mocowania płachty nie wytrzymają naprężenia, i miała kilkaset sekund, by ukryć się w cieniu.

Qiwi skinęła głową, powiedziała jednak cicho do Ezra;

- Jeśli nie odpadli. Nawet nie wiedziałam, że tam będą. - Jeśli rze czywiście odpadli, polecieli prosto na spotkanie słońcu... Nawet w ska fandrach termicznych ugotowaliby się w ciągu kilkudziesięciu sekund.

Czuł, jak jej mała dłoń wsuwa się do jego dłoni. *Ciekawe, czy w ogóle wie, że to zrobiła?* Lecz po sekundzie uściśnęła lekko jej rękę. Qiwi wpatrywała się w główne okno.

- Powinam tam być. - Powtarzała to zdanie już kilkakrotnie, odkąd wróciła do środka, lecz teraz jej głos brzmiał zupełnie inaczej.

Potem obraz w oknach zdrzął, jakby ktoś jednocześnie uderzył we wszystkie kamery. Blask przeświecający przez Diament Drugi zapłonął mocniej, utworzył długą, poszarpaną linię. Po chwili dołączył do tego dźwięk, coraz głośniejszy jęk, który przybierał raz wyższe, raz niższe tony.

- Grupmistrzu! - Głos był donośny i stanowczy, zupełnie różny od zautomatyzowanych głosów emergenckich techników. Był to głos Ritsera Brughla. - Diament Drugi przemieszcza się, podnosi... - Teraz stało się to już oczywiste dla wszystkich. Przesuwała się cała góra. Miliardy ton w ruchu.

A jęklivy dźwięk, który wciąż wypełniał audytorium, towarzyszył zapewne skręcaniu siatki cumowniczej mocującej kwatery Queng Ho do powierzchni.

- Na szczęście nie jesteśmy na jego drodze. - Ezr wiedział to już z całą pewnością. Ogromny masyw przesunął się powoli, lecz jego krawędź

OTCHŁAŃ W NIEBIE

znajdowała się w bezpiecznej odległości od balonu Queng Ho, Hammerfest i okrętów. Rozedrgany widok zewnętrzny powoli się stabilizował. Wszyscy w audytorium szukali jakiegoś punktu zaczepienia.

Hammerfest zostało wzniesione na Diamencie Pierwszym. Skalny masyw trwał nieporuszenie, wydawał się niezmienny. Lecz okręty... W porównaniu z ogromem Diamentów wyglądały jak drobiny, w rzeczywistości jednak każdy z nich miał ponad sześćset metrów długości i ważył miliony ton. Teraz wszystkie kołysały się powoli na swych cumach przy Diamencie Pierwszym. Był to taniec lewiatanów, taniec, który mógł doprowadzić do straszliwej katastrofy.

- Grupmistrzu! - Znów Brughel. - Mam łączność audio z dowódcą Diemem.

- Przełącz go tutaj!

* * *

Za służą także panowały ciemności. Nie działało oświetlenie, brakowało atmosfery. Diem i jego towarzysze płynęli w górę tunelu, oświetlając sobie drogę lampkami przymocowanymi do hełmów. Zaglądali do pustych pokoi, do pomieszczeń o zniszczonych przegrodach, wypatroszonych na pięćdziesiąt metrów w głąb. To miał być niezniszczony statek. Diema ogarnął lodowaty chłód. Nieprzyjaciel wszedł tutaj po bitwie i wykończył okręt, zostawił tylko pustą skorupę.

- Jimmy, „Daleki skarb” się rusza - powiedziała Tsufe za jego plecami.

- Tak, czuję. Wygląda na to, że kołysze się na cumie.

Diem odsunął się od liny i przystawił hełm do ściany. Tak. Gdyby była tu atmosfera, statek wypełniałyby przeróżne jęki i zgrzyty, odgłosy zniszczenia. Więc Wybuch spowodował znacznie większe zmiany, niż ktokolwiek przypuszczał. Jeszcze wczoraj ta wiadomość przeraziłaby go. Teraz...

- To już raczej nie ma znaczenia, Tsufe. Chodźmy. - Prowadził Do i Patii w górę drabiny. Pham Trinli miał rację, a ich misja skazana była na niepowodzenie. Lecz tak czy inaczej, chciał dowiedzieć się, jaką krzywdę im wyrządzono. I może przekazać prawdę innym Queng Ho.

Wewnętrzne zamki zostały wyrwane, we wszystkich pomieszczeniach panowała próżnia. Minęli resztki tego, co stanowiło kiedyś zatokę naprawczą i warsztaty, przepłynęli obok głębokich, pustych otworów, w których powinny się znajdować wtryskiwacze startowe napędu.

Na rufie, w opancerzonej części „Dalekiego skarbu” znajdowało się ambulatorium, w którym przechowywano kapsuły hibernacyjne. Teraz... Jimmy i pozostali przesuwali się w głąb korytarza. Kiedy ich dłonie dotykały ścian, słyszeli skrzypienie kadłuba, czuli jego powolny ruch. Jak dotąd przycumowane obok siebie okręty nie zderzyły się jeszcze - choć Jimmy wcale nie był pewien, czy naprawdę mogą to wiedzieć. Statki były tak

VERNOR VINGE

ogromne, tak masywne, że gdyby zderzyły się z prędkością kilku centymetrów na sekundę, kadłuby po prostu wsunęłyby się w siebie niemal bez najmniejszego drgnienia.

Dotarli do wejścia do ambulatorium, tam gdzie Emergenci mieli przetrzymywać pozostałych przy życiu obrońców.

Znów pustka? Kolejne kłamstwo? Jimmy wsunął się do środka. Promienie ich lampek omiotły pokój.

Tsufe Do krzyknęła.

Nie, to pomieszczenie nie było puste. Ciała. Przesuwał snop światła dokoła, wszędzie... kapsuły hibernacyjne zostały usunięte, lecz pokój wypełniały... zwłoki. Diem ściągnął lampkę z hełmu i wetknął ją w otwór w ścianie. Ich cienie nadal tańczyły i przesuwały się, ale teraz mógł widzieć wszystko.

- Oni... oni wszyscy nie żyją, prawda? - Głos Phama Patila wydawał się dziwnie odległy, jakby nierealny. Jego pytanie było tylko wyrazem przerażenia.

Diem poruszał się między zmarłymi. Ciała zostały równo ułożone. Setki ciał na małej przestrzeni. Rozpoznawał niektórych obrońców. Mama Qiwi. Tylko kilka nosiło ślady zniszczeń spowodowanych przez gwałtowną dekompresję. *Kiedy umarła reszta?* Niektóre twarze były spokojne, lecz inne... Zatrzymał się, przykuło go spojrzenie martwych oczu. Twarz mężczyzny była wymizerowana, na czole widniały zamrożone rany i siniaki. Ten żył jeszcze przez jakiś czas po bitwie. Jimmy rozpoznawał tę twarz.

Tsufe podpływała powoli do niego.

- To jeden z Trilanderów, prawda?

- Tak, chyba któryś z geologów. - Jeden z uczonych, który miał przebywać na Hammerf est. Diem powrócił do lampki, którą umocował na ścianie. De ludzi spoczywało w rym miejscu? Ciała niknęły w ciemnościach zalegających tam, gdzie niegdyś były ściany. *Czyżby zabili wszystkich?* Chwyliły go mdłości.

Patii wisiał w bezruchu, jakby ten makabryczny widok pozbawił go sił. Tsufe jednak drżała na całym ciele, bliska histerycznego wybuchu.

- Myśleliśmy, że mają tylu zakładników - przemówiła nienaturalnym głosem. - A oni mieli tylko zmarłych. - Roześmiała się piskliwie. - Ale to niczego nie zmieniało, prawda? Wierzyliśmy im, a to było równie skuteczne jak prawda.

- Może nie. - Nagle mdłości ustąpiły. Potrząsk już się zamknął. Bez wątplenia wszyscy troje wkrótce zginą. Jeśli jednak zostało im choć kilka sekund życia, może zdołają zdemaskować potworów. Wyciągnął z kieszeni skafandra audioboks i odszukał czysty fragment ściany, który zapewniłby mu kontakt z poszyciem okrętu. *Kolejne zabronione urządzenie 1/0. Śmierć jest karą za ich posiadanie. Tak, tak.* Teraz jednak mógł nadawać na zewnątrz, poprzez przekaźnik, który zostawił przy służbie. Wiadomość

OTCHŁAŃ W NIEBIE

bez przeszkód dotrze do kwater. Czujniki z pewnością ją wykryją. Niektóre zareagują na sygnał pierwszeństwa i przekażą jego słowa tam, gdzie będą mogli usłyszeć je Queng Ho. Jimmy zaczął mówić:

- Queng Ho! Słuchajcie! Jestem na pokładzie „Dalekiego skarbu”. Wnętrze okrętu jest całkowicie zniszczone. Emergenci zabili wszystkich, którzy mieli tu czekać na przebudzenie...

Ezr - wszyscy zgromadzeni na sali - czekał w ciszy, aż Ritser Brughel uzyska połączenie. Potem zaczął mówić Jimmy:

- Queng Ho! Słuchajcie! Jestem...

- Dowódcu! - przerwał mu Tomas Nau. - Nic wam się nie stało? Nie widzimy was na zewnątrz.

Jimmy roześmiał się triumfalnie.

- Nie widzicie nas, bo jesteśmy na pokładzie „Dalekiego skarbu”. Nau był wyraźnie zaskoczony.

- Nie rozumiem. Załoga okrętu nie meldowała...

- Oczywiście, że nie meldowała. - Ezr niemal słyszał gorzki uśmiech, kryjący się za słowami Jimmy'ego. - Bo „Daleki skarb” jest okrętem Queng Ho, a my go właśnie odbiliśmy!

Szok i radość odbiły się na wszystkich twarzach Queng Ho, które widział Ezr. Więc tak wyglądał ich plan! Sprawny okręt, prawdopodobnie z oryginalnym uzbrojeniem. Główne ambulatorium Emergentów, obrońcy i starsi załogi, którzy przeżyli zasadzkę. *Teraz mamy szansę!*

Tomas Nau także to rozumiał. Jego zdumiona mina ustąpiła grymasowi złości i strachu.

- Brughel? - rzucił w powietrze.

- Grupmistrzu, myślę, że on mówi prawdę. Nadaje z pokładu „Skarbu”, a nikt z naszej załogi nie odpowiada na wezwania.

Wskaźnik mocy w głównym oknie wahał się w okolicach stu czterdziestu pięciu kilowatów na metr kwadratowy. Światło odbite pomiędzy Diamentem Pierwszym i Drugim zaczynało w cieniu gotować śnieg i lód. Tysiące, setki tysięcy ton rud i lodu przemieszczały się w szczelinach pomiędzy wielkimi diamentami. Ruch ten był prawie niedostrzegalny, kilka centymetrów na sekundę. Lecz niektóre gązdy oderwały się od powierzchni i choć leciały powoli, mogły zniszczyć wszelkie ludzkie konstrukcje, które napotkałyby na swojej drodze.

Nau wpatrywał się w okno przez kilka sekund. Kiedy przemówił, w jego głosie pobrzmiwało coś więcej niż rozkaz:

- Posłuchaj, Diem. To się nie uda. Wybuch powoduje znacznie więcej zniszczenia, niż ktokolwiek mógł przewidzieć...

Z drugiej strony połączenia dobiegł chrapliwy śmiech. Ktokolwiek? Niezupełnie. Ustawiliśmy system stabilizujący tak, żeby narobił trochę zamieszania. Jeśli coś mogło nie zadziałać, to na pewno nie zadziała.

VERNOR VINGE

Qiwi zacisnęła mocniej dłoń na rękę Ezra. Jej oczy były szeroko otwarte ze zdumienia. Ezra także poczuł się niepewnie. System stabilizujący i tak nie mógł wiele zdziałać, więc po co jeszcze pogarszać sytuację?

Ci spośród zgromadzonych w sali, którzy mieli na sobie skafandry ciśnieniowe, dopinali je teraz szczelnie; inni zmierzali do wyjścia z audytorium. Ogromny głąz rudy wznosił się powoli ku słońcu, obłany oślepiającym blaskiem. Zaledwie o kilkadziesiąt metrów minął balon mieszkalny.

- Ale, ale... - Przez moment wygadany grupmistrz jakby zupełnie stracił rezon. - Mogą zginąć też wasi ludzie! Zabraliśmy ze „Skarbu” całą broń. To nasz okręt szpitalny, na miłość boską!

Przez chwilę nikt mu nie odpowiadał, dało się tylko słyszeć przytłumioną rozmowę, jakby spiskowcy spierali się między sobą. Ezra zauważył, że emergentki techniki lotu nie powiedział ani słowa. Patrzył na swego dowódcę oczyma szeroko otwartymi z przerażenia.

Potem znów odezwał się Jimmy.

- A niech was... Więc zniszczyliście system obronny. Ale to bez znaczenia, mały człowieku. Przygotowaliśmy cztery kilogramy S7. Nie przypuszczaliście, że mamy dostęp do materiałów wybuchowych, co? W magazynie z silnikami było mnóstwo ciekawych rzeczy, o których nie mieliście pojęcia.

- Nie, nie... - Nau kręcił bezsilnie głową.

- Jak powiedziałeś, grupmistrzu, *to* wasz okręt szpitalny. Obok naszych uśpionych obrońców są tu też wasi ludzie. Nawet bez broni mamy więc dość poważny argument przetargowy.

Nau spojrział błagalnie na Ezra i Qiwi.

- Zawieszenie broni. Dopóki nie ustabilizujemy skał.

- Nie! - krzyknął Jimmy. - Jeśli cię nie przyciśniemy, będziesz próbował się wymigać!

- Do diabła, człowieku, na pokładzie „Skarbu” są wasi ludzie.

- Gdyby byli aktywni, zgodziliby się ze mną. Czas wyłożyć karty na stół. Mamy tu dwudziestu trzech waszych ludzi w szpitalu, plus pięciu z załogi. Wiemy też, jak prowadzić negocjacje. Chcę, żebyś przyleciał tu zaraz z Brughlem. Możecie skorzystać ze swoich taksówek. Daję wam tydzień sekund.

Nau zawsze wydawał się Ezrowi trzeźwo myślącym, opanowanym człowiekiem. Teraz także najwyraźniej już otrząsnął się z szoku. Podniósł dumnie głowę i spytał:

- A jeśli tego nie zrobimy?

- Przegramy, ale wy też. Po pierwsze, zginą wasi ludzie. Po drugie, użyjemy materiałów wybuchowych, żeby zerwać „Skarb” z cumy. Wlecimy nim prosto w wasze przekłete Hammerfest.

Qiwi do tej pory słuchała wszystkiego w milczeniu, przerażona i zszokowana. Teraz rzuciła się nagle w stronę miejsca, z którego dobiegał głos Jimmy'ego, krzycząc:

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie! Nie! Jimmy! Proszę, nie rób tego!

Przez kilka sekund oczy wszystkich zwrócone były na Qiwi. Nawet ci, którzy w pośpiechu dopinali skafandry, znieruchomieli na moment, a jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał do ich uszu, był jęk sieci mocującej kwatery do skały. Matka Qiwi była na pokładzie „Dalekiego skarbu”; jej ojciec przebywał w Hammerf est razem ze wszystkimi ofiarami pleśni mózgu. Większość ocalałych członków ekspedycji Queng Ho, uśpionych lub chorych, przebywała właśnie w tych dwóch miejscach. Trixia. *Przesadzasz, Jimmy. Zwolnij!* Słowa jednak uwięzły w gardle Ezra. Zawierzył we wszystkim Jimmy'emu. Jeśli te groźby przeraziły Ezra Vinha, to może przekonają Tomasa Nau.

Po chwili Jimmy przemówił ponownie, ignorując krzyk Qiwi.

- Macie tylko dziewięćset siedemdziesiąt pięć sekund, grup mistrzu. Radzę, żebyście się pospieszyli.

Byłoby to trudne do wykonania, nawet gdyby Nau w tej chwili wyleciał z balonu. Odwrócił się do Xina i obaj rozmawiali przez chwilę przyczyszczonymi głosami.

- Tak, mogę pana tam zawieźć. To niebezpieczne, ale swobodne ma terały poruszają się wolniej niż metr na sekundę. Możemy je ominąć.

Nau skinął głową.

- Więc chodźmy. Chcę... - Zasunął kaptur skafandra, a jego głos stał się niesłyszalny.

Tłum Queng Ho i Emergentów rozstał się na boki, kiedy ci dwaj ruszyli do wyjścia.

Tymczasem z głośnika dobiegł jakiś huk, potem ucichł raptownie. Ktoś krzyknął, wskazując na główne okno. Od burty „Dalekiego skarbu” oderwało się coś małego. Fragment kadłuba.

Nau zatrzymał się przy drzwiach audytorium. Spojrzał ponownie na „Daleki skarb”.

- System kontrolny poinformował o naruszeniu kadłuba jednostki - powiedział Brughel. - Liczne eksplozje na piętnastym pokładzie rufowym.

Tam właśnie znajdowały się kabiny hibernacyjne i ambulatorium. Ezra nie mógł się ruszyć, nie mógł odwrócić wzroku. W kadłubie okrętu pojawiły się dwa kolejne otwory, wypłynęły z nich blade języki światła. W porównaniu z ogromem Wybuchu eksplozje te wyglądały całkiem niegroźnie. Dla niewprawnego oka „Skarb” mógł wydawać się praktycznie nieszkodzony. Dziury w poszyciu miały tylko kilka metrów średnicy. Lecz S7 był najmocniejszym materiałem wybuchowym Queng Ho, a wyglądało na to, że eksplodowało wszystko. Pokład piętnasty znajdował się za czterema przegrodami, dwadzieścia metrów pod zewnętrznym poszyciem. Eksplozja rozprzestrzeniająca się we wnętrzu okrętu zniszczyła prawdopodobnie napęd „Dalekiego skarbu”. Kolejny okręt został zniszczony.

Qiwi zawisła w bezruchu pośrodku sali, poza zasięgiem rąk, które mogłyby dać jej pocieszenie.

TRZYNAŚCIE

Ezr nigdy nie był tak zapracowany jak w ciągu Ksekund po Wybuchu i śmierci Jimmy'ego. Groza tego, co wydarzyło się na pokładzie „Dalekiego skarbu”, przenikała wszystkie myśli Ezra, nie mógł jednak pozwolić, by wymknęła się spod kontroli. Wszyscy byli zbyt zajęci ratowaniem tego, co jeszcze mogli ocalić z ludzkiej i naturalnej katastrofy.

Nazajutrz Tomas Nau zwrócił się z przemówieniem do wszystkich mieszkańców balonu Queng Ho i Hammerfest. Tomas Nau, który patrzył na nich z wielkiego okna, był wyraźnie zmęczony i przybity.

- Panie i panowie, gratulacje. Przeżyliśmy drugi co do wielkości Wybuch w znanej nam historii OnOff. Udało nam się to pomimo straszliwej, niewyobrażalnej zdrady. - Przysunął się bliżej kamery, jakby patrząc na zmęczonych Emergentów i Queng Ho zgromadzonych w audytorium. - W najbliższych Msekundach zajmiemy się przede wszystkim przeglądem i oszacowaniem strat... ale muszę być z wami szczery. Bitwa pomiędzy flotami Queng Ho i Emergentów była ogromnie wyniszczająca dla Queng Ho; z zalem przyznaję, że Emergenci ponieśli niemal równie dotkliwe straty. Próbowaliśmy ukryć choć część tych zniszczeń. Mieliśmy dużo części zapasowych, urządzeń medycznych i materiałów podniesionych z Arachny. Po rozwiązaniu kwestii bezpieczeństwa mogliśmy też skorzystać z wiedzy i doświadczenia starszych specjalistów Queng Ho. Nie mniej działaliśmy niemal na granicy bezpieczeństwa. Po wczorajszych wydarzeniach wszystkie marginesy bezpieczeństwa zniknęły. W tej chwili nie mamy już ani jednego sprawnego okrętu i nie wiadomo, czy uda nam się zbudować choćby jeden z wraków pozostałych.

Tylko dwa okręty zderzyły się ze sobą. Najwyraźniej jednak „Daleki skarb” był w najlepszym stanie - po akcji Jimmy'ego napęd okrętu i większość systemów podtrzymujących życie nadawała się już tylko na śmietnik. ■

- W ciągu ostatnich Ksekund wielu z was ryzykowało życie, próbując ocalić choć część substancji lotnych. Tej części katastrofy nikt nie jest winien. Nikt z nas nie spodziewał się takiej gwałtowności Wybuchu ani efektów, jakie wywoła działanie słońca na lód uwięziony pomiędzy diamentami. Jak wiecie, pochwyciliśmy już większość dużych bloków. Tylko trzy nadal dryfują luzem. - Benny Wen i Jau Xin pracowali razem, próbując ściągnąć te trzy wielkie gązdy i kilka mniejszych. Znajdowały się za ledwie trzydzieści kilometrów od bazy, lecz masa każdego z nich wynosiła sto tysięcy ton, a oni dysponowali tylko taksówkami i jednym uszkodzonym podnośnikiem. - Obecnie OnOff świeci z mocą dwóch i pół kilo wata na metr kwadratowy. Nasze pojazdy mogą działać w tych warunkach. Odpowiednio przygotowane załogi także mogą na krótko wychodzić na zewnątrz. Nie uda nam się jednak odzyskać śniegu powietrznego, który

OTCHŁAŃ W NIEBIE

uleciał w przestrzeń, obawiamy się też, że straciliśmy sporą część lodu. - Nau rozłożył ręce i westchnął. - Przypomina to wiele spośród historii, które opowiadali nam Queng Ho. Walczyliśmy, walczyliśmy i omal nie doprowadziliśmy się do zguby. Nie możemy wrócić do domu z tym, co mamy. Możemy się tylko domyślać, jak długo przetrwamy, korzystając z tego, co udało nam się uratować. Pięć lat? Sto lat? Stare prawdy nadal zachowują swą moc; bez pomocy stałej cywilizacji żadna wyizolowana grupa okrętów i ludzi nie może odbudować podstaw swej technologii. - Na jego twarzy pojawił się na moment słaby uśmiech. - Ale istnieje jakaś nadzieja. W pewnym sensie te katastrofy zmusiły nas do tego, byśmy skoncentrowali się na pierwotnym celu naszej misji. Teraz nie jest to już kwestia akademickiej ciekawości ani nawet kontaktów handlowych Queng Ho -teraz od mieszkańców Arachny zależy nasze przetrwanie. Istoty zwane Pająkami znajdują się obecnie na początku Ery Informacji. Na podstawie zgromadzonych dotąd informacji możemy przypuszczać, że podczas obecnego okresu aktywności słońca osiągną właściwą ekologię przemysłową. Jeśli uda nam się przetrwać jeszcze kilka dziesięcioleci, przemysł Pająków będzie wytwarzał wszystko, czego nam potrzeba. Nasza misja odniesie sukces, choć znacznie większym kosztem, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Czy możemy przetrwać jeszcze przez trzy do pięciu dziesięcioleci? Prawdopodobnie. Możemy oszczędzać, konserwować... Pytanie ważniejsze brzmi, czy możemy ze sobą współpracować? Dotąd nie wiodło nam się najlepiej. Wszyscy mamy ręce unurzane we krwi, czy chcieliśmy tego, czy też nie. Wszyscy wiecie, co zrobił Jimmy Diem. W spisku uczestniczyły co najmniej trzy osoby. Mogło być ich więcej, ale prześladowania zmniejszyłyby tylko nasze szanse na przetrwanie. Zwracam się więc do tych spośród Queng Ho, którzy związani byli jakoś z tym spiskiem, choćby pośrednio; pamiętajcie, co zrobili Jimmy Diem, Tsufe Do i Pham Patii, pamiętajcie, co chcieli zrobić. Gotowi byli zniszczyć wszystkie okręty i Ham-merfest. Tymczasem zginęli od własnych materiałów wybuchowych, które zniszczyły także zahibernowanych Queng Ho i ambulatorium pełne Emergentów i Queng Ho.

To będzie więc nasze Wygnanie. Wygnanie, na które sami się skazaliśmy. Nadal będę się starał dobrze wami kierować, lecz bez waszej pomocy z pewnością poniesiemy klęskę. Musimy zapomnieć o "dzielących nas różnicach i nienawiści. My, Emergenci, wiemy sporo o was, Queng Ho; słuchaliśmy waszej publicznej sieci od setek lat. Wasze informacje bardzo nam pomogły, kiedy ponownie wkraczaliśmy w erę technologii. - Znów ten zmęczony uśmiech. - Wiem, że chcieliście przez to pozyskać nowych Klientów; mimo to jesteśmy wam wdzięczni. Lecz my, Emergenci, nie spełniliśmy waszych oczekiwań. Przynosimy ludziom coś nowego i cudownego: fiksację. To coś, co początkowo będzie wam się wydawało dziwne. Proszę jednak, byście dali temu szansę. Spróbujcie nauczyć się naszego świa-

VERNORVINGE

ta tak, jak my uczyliśmy się waszego. Jeśli wszyscy zechcemy dobrowolnie ze sobą współpracować, możemy przetrwać, a w dalszej przyszłości doczekać prawdziwego dobrobytu.

Twarz Nau zniknęła z ekranu, pozostawiając widok na odmienioną powierzchnię skał. Queng Ho zgromadzeni w audytorium spoglądali po sobie, rozmawiali cicho. Kupcy mają ogromną dumę, szczególnie gdy porównują się z Klientami. Dla nich nawet największe cywilizacje Klientów, nawet Namąem i Canberra, są jak piękne kwiaty, skazane przez swe piękno i przywiązanie do jednego miejsca na powolne umieranie. Ezer po raz pierwszy w życiu widział wstyd na twarzach tak wielu Queng Ho. *Pracowałem zjimmym. Pomagałem mu.* Nawet ci, którzy tego nie robili, z pewnością cieszyli się jak dzieci, słysząc pierwsze słowa Jimmy'ego z „Dalekiego skarbu”.

Jak to wszystko mogło zamienić się w taki koszmar?

Ciret i Marli przyszedli po niego.

- Kilka pytań związanych ze śledztwem. - Emergencjy strażnicy prowadzili go na górę, lecz nie do doku taksówek. Nau czekał w biurze zarządcy floty, w biurze Vinha. Byli tam również Ritser Brughel i Annę Reynolt.

- Proszę usiąść... zarządcę floty - powiedział Nau cicho, wskazując Ezrowi miejsce pośrodku stołu.

Vinh zbliżył się powoli, usiadł. Nie miał odwagi spojrzeć prosto w oczy Tomasowi Nau. Pozostali... Annę Reynolt była równie zniecierpliwiona i zirytowana jak zawsze. Bez trudu unikał jej spojrzenia, jako że ona i tak prawie nigdy nań nie patrzyła. Ritser Brughel wydawał się równie zmęczony jak grupmistrz, lecz na jego twarzy pojawiał się od czasu do czasu dziwny uśmiech. Brughel wpatrywał się w Ezra nieustannie. Ezer zrozumiał nagle, że przepełnia go poczucie triumfu. Wszystkie zgony - po obu stronach - nie miały żadnego znaczenia dla tego sadysty.

- Zarządcę floty - cichy głos Naua wyrwał go z rozmyślań. - Co do spisku J.Y. Diema...

- Wiedziałem o nim, grupmistrzu. - Słowa te były jednocześnie przyznaniem się do winy i prowokacją. - Ja...

Nau uniósł rękę.

- Wiem. Ale był pan jednym z mniej znaczących uczestników. Zidentyfikowaliśmy jeszcze kilku innych. Ten starzec, Pham Trinli. Dostarczył im tarcze ochronne - i omal przez to nie zginął.

Brughel zachichotał.

- Tak, ugotowałyby się na twardo. Jeszcze teraz skamle jak pies.

Nau odwrócił się do Brughla. Nic nie mówił, tylko patrzył. Po sekundzie Ritser skinął głową i przybrał równie poważną minę jak jego zwierzchnik.

Grupmistrz zwrócił się ponownie do Vinha.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nikt z nas nie może pozwolić sobie na gniew czy poczucie triumfu. Teraz potrzebujemy wszystkich, nawet Phama Trinli. - Spojrzał znacząco na Ezra, a ten skinął lekko głową.

- Tak jest, Rozumiem.

- Później przesłuchamy pana w sprawie spisku, zarządco floty. Zależy nam na tym, by zidentyfikować wszystkich, którzy powinni pozostawać pod szczególną obserwacją. Na razie jednak mamy znacznie ważniejsze sprawy niż grzebanie się w przeszłości.

- Nawet po tym wszystkim chcecie, żebym był zarządcą floty? - Nienawidził tej pracy jeszcze przed katastrofą. Teraz nienawidził jej jeszcze bardziej, choć z zupełnie innych powodów.

Grupmistrz jednak skinął głową.

- Był pan odpowiednią osobą przedtem i jest pan nią nadal. Co więcej, potrzebujemy ciągłości. Jeśli w szczerzy i widoczny sposób podporządkuje się pan mojemu przewodnictwu, cała społeczność będzie miała więcej szans na przeżycie.

- Tak jest. - Czasami tak łatwo odpokutować za swoje winy. Jimmy, Tsufe i Pham Patii już nie będą mieli okazji tego zrobić.

- Dobrze. O ile mi wiadomo, nasza sytuacja została już ustabilizowana. Zażegnaliśmy największe niebezpieczeństwo. Co z Xinem i Wenem? Czy uda im się uratować te bloki lodowe? Zebranie jak największej ilości paliwa jest obecnie sprawą priorytetową.

- Uruchomiliśmy już destylarnię. Za kilka Ksekund rozpoczniemy produkcję. -l będziemy mogli uzupełnić paliwo w taksówkach. - Mam nadzieję, że ostatnie bloki lodowe zostaną wciągnięte do cienia i umocowane w ciągu czterdziestu Ksekund.

Nau zerknął na Annę Reynolt.

- To rozsądny szacunek, grupmistrzu. Wszystkie inne problemy są pod kontrolą.

- Mamy teraz czas na istotne, ludzkie sprawy. Panie Vinh, chcemy wydać jeszcze dziś kilka ogłoszeń. Podziękujemy publicznie panu i Qiwi Lin Lisolet za pomoc przy wytropieniu pozostałych członków spisku.

- Ale...

- Tak, wiem, że to przekłamanie. Lecz Qiwi nigdy nie należała do spisku, a naprawdę bardzo nam się przysłużyła. - Nau umilkł na moment. - Biedna dziewczynka była zdruzgotana. Jest w niej wiele gniewu. Ze względu na nią i ze względu na całą społeczność powinien pan nas wspomóc. Chcę, by wszyscy wiedzieli, że jest wielu Queng Ho, którzy potrafią zachować się rozsądnie, którzy zgodzili się z nami współpracować. - Znów krótka przerwa. - A teraz rzecz najważniejsza. Słyszał pan moje przemówienie, fragment mówiący o tym, że powinniśmy poznawać swoje światy?

- O... fiksjacji? - O tym, co naprawdę zrobili Trixii.

Na twarzy Ritsera Brughla znów pojawił się sadystyczny uśmiech.

- Tak, właśnie o tym - przyznał Nau. - Może powinniśmy poinformować

VERNOR VINGE

was o tym wcześniej, ale okres treningowy nie dobiegł jeszcze końca. W obecnej sytuacji fiksacja może decydować o naszym przetrwaniu. Ezer, chcę, żeby Annę zabrała pana do Hammerfest i wyjaśniła wszystko. Będzie pan pierwszy. Chcę, żeby pan to zrozumiał, żeby pan to zaakceptował. Kiedy już się tak stanie, wyjaśni pan istotę fiksacji swoim ludziom, by i oni mogli to zaakceptować. Tylko wtedy nasza misja może zakończyć się sukcesem.

Wkrótce miał więc poznać sekret, który przez ostatnie Msekundy był treścią wszystkich jego snów i poczynań. Ezer płynął głównym korytarzem do śluz taksówek, gdzie prowadziła go Anna Reynolt. Każdy metr był dla niego wyzwaniem. Fiksacja. Choroba, której nie potrafili uleczyć. Pleśń mózgu. Była tematem plotek, domysłów, sennych koszmarów, a teraz on miał się wszystkiego dowiedzieć.

Reynolt zaprosiła go gestem do wnętrza taksówki.

- Proszę usiąść tam, Vinh. - Prawdę mówiąc, wołał zadawać się z Anną Reynolt. Ona przynajmniej nie kryła swej pogardy, nie wyczuwał w niej też sadystycznego triumfu, który wypełniał Ritsera Brughla.

Taksówka ruszyła w drogę. Kwatery Queng Ho nadal były przymocowane do skalnego podłoża. Blask słońca był jeszcze zbyt silny, by można je uwolnić. Niebo co prawda straciło już fioletowy odcień i pokryło się normalną czernią, przecinały je jednak ogony jasnych komet - bloków lodu, które latały kilkadziesiąt kilometrów dalej. Gdzieś pośród nich znajdowali się także Xin i Wen.

Hammerfest odległe było zaledwie pięćset metrów od balonu Queng Ho, bez trudu mogli pokonać tę przestrzeń wolnym skokiem. Reynolt wolała jednak bezpieczeństwo i komfort taksówki. Lecieli w milczeniu, oglądając z wysoka puste, skalne połacie. Gdyby nie widzieli tego samego miejsca przed katastrofą, nie zauważiliby zapewne żadnych zniszczeń. Ogromne skalne masywy przestały się już przemieszczać. Wolny lód i śnieg ponownie zostały przesunięte w cień, większe głazy i mniejsze, coraz mniejsze odłamki. Tyle że teraz było ich naprawdę niewiele. Zacienioną stronę diamentów oblewał obecnie księżycowy blask - światło odbite od Arachny. Taksówka przeleciała pięćdziesiąt metrów nad załogami, które próbowały ponownie zamocować silniki elektryczne. Kiedy Ezer był tu ostatnio, to Qiwi Lisolet kierowała ich pracą.

Reynolt przerwała wreszcie milczenie.

- Wszyscy pomyślnie zafiksowani przebywają w Hammerfest. Może pan rozmawiać, z kim tylko pan zechce.

Hammerfest wyglądało jak elegancka prywatna posiadłość. Było luksusowym sercem operacji Emergentów. Ten fakt przynosił Ezrowi pewne pocieszenie. Wmawiał sobie, że Trixia i pozostali są tu przyzwyczajeni do traktowania. Być może żyli w takich warunkach jak zakładnicy z historii Queng Ho, jak legendarna Setka z Far Pyorya. Lecz żaden rozsądny Kupiec nie zbudowałby swoich kwater na stercie kamieni. Taksówka przepłynęła po-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nad wieżami przedziwnej urody, bajkowym zamkiem wyrastającym z kryształowej równiny. Wkrótce dowie się, co kryje ów zamek... Dopiero po chwili dotarł do niego sens słów wypowiedzianych przez Reynolt.

- Pomyślnie zafiksowani?

Reynolt wzruszyła ramionami.

- Fiksacja to pleśń mózgu na uwięzi. Podczas pierwszej konwersji straciliśmy trzydzieści procent; możemy stracić więcej w nadchodzących latach. Tych w najgorszym stanie przenieśliśmy na „Daleki skarb”.

- Ale co...

- Siedź cicho i pozwól mi wytłumaczyć. - Jej spojrzenie powędrowało gdzieś za plecy Vinha. Milczała przez kilkanaście sekund. - Pamiętasz, że zachorowaliście podczas zasadzki. Domyśliliście się, że to sztucznie wywołana choroba; czas jej inkubacji stanowił ważną część naszego planu. Nie wiecie jednak, że wojskowe zastosowanie tej infekcji ma drugorzędne znaczenie. Pleśń mózgu wywołuje wirus. Jego oryginalna, naturalna forma zabiła miliony ludzi w układzie słonecznym Emergentów, zniszczyła ich cywilizację... i przygotowała grunt pod obecną erę ekspansji. Oryginalne szczepy wirusa miały bowiem pewną bardzo ciekawą właściwość; były skarbnicą neurotoksyn. Przez stulecia, jakie minęły od Wielkiej Plagi, Emergenci obłaskawili wirusa i wprzęgli go w służbę cywilizacji. Jego obecna forma potrzebuje specjalnego wsparcia, by przebić się przez barierę ochronną mózgu, a potem rozprzestrzenia się w bezbolesny niemal sposób, zarażając około dziewięćdziesięciu procent komórek neuro-glejowych. Teraz potrafimy także kontrolować wytwarzanie neuroaktywów. - Taksówka zwolniła i zatrzymała się powoli przed służą Hammerfest. Arachna przesunęła się po niebie, „księżyc” w pełni, niemal pół stopnia szerokości. Planeta świeciła jednolitym białym blaskiem, jej powierzchnię okrywała gruba warstwa chmur.

Ezr prawie tego nie zauważył. Myślał o tym, co kryło się za suchym opisem Annę Reynolt; emergencki wirus na uwięzi, penetrujący mózg, rozmnażający się w dziesiątki miliardów, sączący truciznę do żywego mózgu. Pamiętał straszliwe ciśnienie w głowie, kiedy ich ładownik wznosił się nad powierzchnią Arachny. To choroba pukała właśnie do bram jego umysłu. Ezr Vinh i wszyscy obecni w kwaterach Queng Ho odparli ten szturm - a może ich mózgi nadal były zarażone, a choroba trwała w stanie uśpienia. Lecz Trixia Bonsol i ludzie z odnośnikiem „fiksat” przy nazwiskach zostali poddani specjalnej terapii. Zamiast ich leczyć, ludzie Reynolt pozwalali, by choroba się rozwijała, by pożerała mózgi chorych niczym zgnilizna wnętrza owocu. Gdyby w taksówce panowała choćby śladowa grawitacja, Ezr by zwymiotował.

- Ale dlaczego?

Reynolt zignorowała jego pytanie. Otworzyła właz służby i wprowadziła go do wnętrza Hammerfest. Kiedy znów przemówiła, w jej obojętnym zazwyczaj głosie krył się entuzjazm.

VERNORVINGE

- Fiksacja uszlachetnia. To klucz do sukcesu Emergentów, znacznie subtelniejszy, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Nie chodzi tylko o *to*, że wyhodowaliśmy psychoaktywny wirus. Jego rozrost może być kontrolowany z niezwykłą, milimetrową wręcz precyzją - a kiedy już zostanie umiejscowiony, z tą samą precyzją możemy sterować jego ofiarą. - Reakcja Vinha była tak niejednoznaczna, że nawet Reynolt poczuła się w obowiązku wyjaśnić to dokładnie. - Nie rozumiesz? Możemy wpływać na świadomość człowieka, poprawić jego zdolność do koncentracji; możemy zamieniać ludzi w maszyny analityczne. - Opisała mu wszystko w najdrobniejszych, najstraszliwszych szczegółach. W światach Emergentów proces fiksacji stosowany był na ostatnich latach specjalistycznego szkolenia, intensyfikował pracę przyszłych absolwentów i zamieniał ich w geniuszy. W przypadku Trixii i pozostałych proces ten został oczywiście odpowiednio przyspieszony. Przez wiele dni Reynolt i inni technicy odpowiednio kształtowali wirusa, odpowiednio dawkowali chemikalia; wszystko przebiegało pod kontrolą komputerów medycznych, które gromadziły i analizowały dane z konwencjonalnych badań mózgu...

- Teraz trening dobiegł już końca. Ci, którzy przeżyli, gotowi są prowadzić swoje badania intensywniej niż kiedykolwiek dotąd.

Reynolt prowadziła go przez pokoje wyposażone w pluszowe meble, o ścianach wykładanych kilimami. Kolejne korytarze stawały się coraz węższe i węższe, by w końcu zamienić się w tunele szerokości mniejszej niż metr. Była to architektura rodem z odległej historii... obraz z serca urbanistycznej tyranii. Wreszcie stanęli przed jakimiś drzwiami. Podobnie jak wszystkie pozostałe i te miały tabliczkę z numerem i specjalizacją. Ta głosiła: F042 LINGWISTYKA. BADAWCZA.

- Jeszcze jedno - powiedziała Reynolt, zatrzymując się przy wejściu. - Grupmistrz Nau uważa, że możesz się zdenerwować tym, co tutaj zobaczysz. Wiem, że cudzoziemcy reagują bardzo gwałtownie przy pierwszych kontaktach z fiksacją. - Przechyliła głowę, jakby szacując psychiczną odporność Vinha. - Dlatego grupmistrz poprosił mnie, bym wyraźnie to zaznaczyła; fiksacja jest zazwyczaj procesem odwracalnym, przynajmniej w znacznym stopniu. - Wzruszyła ramionami, jakby zdegustowana tym, co musiała zrobić.

- Otwórz drzwi - powiedział Ezer chrapliwym głosem.

Pokój był maleńki, oświetlony jedynie blaskiem padającym z kilku-nastu aktywnych okien. Światło tworzyło aureolę wokół głowy osoby znajdującej się w środku; krótkie włosy, szczupła figura w zwykłym ubraniu roboczym.

- Trixia? - powiedział cicho. Przepłynął przez pokój, by dotknąć jej ramienia. Nie odwróciła się. Ezer przełknął ciężko i podpłynął dalej, by spojrzeć w jej twarz. - Trixia?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Wydawało się, że przez moment spojrzała mu prosto w oczy. Potem odtrąciła jego rękę i próbowała zajrzeć za jego plecy, na okna.

- Zasłaniasz mi monitory. Nic nie widzę! - mówiła nerwowym, niemal histerycznym tonem.

Ezr odsunął głowę, odwrócił się, by zobaczyć, co takiego widziała w tych oknach. Ściany wokół Trixie wypełnione były diagramami strukturalnymi i generatywnymi. Jedną sekcję zajmowały wyłącznie opcje słownictwa. Znajdowały się tam słowa w nese przyporządkowane do jakichś bzdur niemożliwych do wypowiedzenia. Było to typowe miejsce pracy analityka językoznawcy, choć nikt o zdrowych zmysłach nie używałby jednocześnie aż tylu okien. Spojrzenie Trbrii wędrowało z miejsca na miejsce, jej palce wybierały kolejne możliwości. Od czasu do czasu wypowiadała jakąś komendę. Jej twarz wyrażała najwyższe skupienie. Nie był to obcy widok i to nie on przerażał Ezra; widział ją już nieraz w takim stanie, kiedy była zafascynowana jakimś problemem językowym.

Kiedy tylko zszedł jej z widoku, Trixia natychmiast o nim zapomniała. Nigdy jeszcze nie widział jej tak... zafiksowanej.

Ezr Vinh zaczął rozumieć.

Obserwował ją przez kilkadziesiąt sekund, patrzył, jak wyprowadza w oknach coraz to nowe wzory, dokonuje wyborów, zmienia struktury. Wreszcie spytał cichym, niemal obojętnym głosem:

- Jak leci, Trixia? .

- Świetnie. - Odpowiedź była natychmiastowa, ton dokładnie taki sam, jakim przemawiała Trixia, kiedy była czymś zaabsorbowana. - Te książki z biblioteki Pająków są naprawdę cudowne. Rozpracowałam już prawie znaki graficzne. Nikt jeszcze nie widział czegoś podobnego, nikt tego nie robił. Pająki widzą inaczej niż my; fuzja wizualna jest u nich zupełnie odmienna. Gdyby nie te podręczniki fizyki, nigdy nawet nie pomyślałabym o rozszczepionych grafemach. - Jej głos był odległy, lekko podekscytowany. Nie odwróciła się, kiedy do niego mówiła, jej palce bez ustanku pracowały. Teraz, kiedy jego oczy przywykły już do półmroku, dostrzegał drobne, przerażające szczegóły. Jej ubranie było świeże, pokryte jednak z przodu jakimiś kleistymi plamami. Włosy, nawet krótko przycięte, były zmierzwione i tłuste. Jakaś drobina - fragment jedzenia? - przykleiła się do jej twarzy, tuż nad wargą.

Czy ona potrafi się chociaż sama wykapać? Vmh zerknął w dół, na wejście. Pokój był za mały nawet dla trzech osób, lecz Reynolt wsunęła głowę i ramiona do wnętrza. Unosiła się swobodnie.

- Doktor Bonsol radzi sobie doskonale, nawet lepiej od naszych lingwistów, choć ci są fiksatami już od szkoły średniej. Dzięki niej będziemy umieli odczytać język Pająków, nim jeszcze wyjdą na powierzchnię.

Ezr znów dotknął ramienia Trixie. Znów go odtrąciła. Nie był to gest złości czy strachu; oganiała się od niego jak od natrętnej muchy.

- Pamiętasz mnie, Trixie? - Nie odpowiedziała, ale był pewien, że pa-

VERNORVINGE

mięta. Teraz po prostu nie miało to dla niej żadnego znaczenia, nie chciała nawet tracić czasu na odpowiedź. Była zaczarowaną księżniczką i tylko złe czarownice mogły zdjąć z niej urok. Ta historia mogła się jednak nigdy nie zdarzyć, gdyby tylko posłuchał obaw księżniczki, gdyby zgodził się z Sumem Dotranem.

- Tak mi przykro, Trixio.
- Wystarczy jak na pierwszą wizytę, zarządco - powiedziała Reynolt, gestem nakłaniając go do wyjścia.

Vinh podpłynął do drzwi. Trixia ani na moment nie odrywała spojrzenia od swej pracy. Właśnie tego rodzaju zafascynowanie i determinacja początkowo pociągały go najbardziej. Pochodziła z Trilandu, była jedną z niewielu, którzy przyłączyli się do ekspedycji Queng Ho bez rodziny czy choćby bliższych przyjaciół. Trixia marzyła o tym, by poznać prawdziwie obcą cywilizację, dowiedzieć się rzeczy, o których ludzkość nie miała dotąd pojęcia. To marzenie pchało ją do czynu, znaczyło dla niej tyle samo, co dla najodważniejszych Queng Ho. Teraz miała to, czemu się poświęciła... i nic więcej.

W drzwiach zatrzymał się i spojrzał po raz ostatni na tył jej głowy.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał cicho, nie oczekując odpowiedzi.

Nie odwróciła się, lecz jej palce na moment znieruchomiały. Choć jego twarz i dotyk nie zrobiły na niej żadnego wrażenia, słowa tego głupiutkiego pytania poruszyły ją wreszcie. Gdzieś, w głębi tej kochanej głowy pytanie przesączało się przez warstwy fiksacji, zostało błyskawicznie rozważone.

- Tak, bardzo. - Palce znów podjęły przerwana pracę.

Vinh nie pamiętał zupełnie drogi powrotnej do balonu, a późniejsze wydarzenia pozostały w jego pamięci jedynie jako strzępki rozmów, pojedyncze obrazy. Przy służach spotkał Benny'ego Wena.

Benny chciał z nim porozmawiać.

- Wróciliśmy znacznie wcześniej, niż przypuszczałem. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak zręczni są piloci Xina. - Zniżył nieco głos. - Jeden z nich to Ai Sun. Wiesz, ta z „Niewidzialnej ręki”. Pracowała w Nawigacji. Jedna z naszych, Ezr. Ale teraz jest jakby martwa w środku, jak inni piloci i programiści Emergentów. Xin powiedział mi, że została zafiksowana. Mówił, że ty możesz mi to wytłumaczyć. Ezr, wiesz, że mój ta*a jest w Hammerfest. Co...

Ezr nie pamiętał już dalszego ciągu rozmowy. Może krzyczał na Benny'ego, może po prostu go odepchnął. *Wytłumacz fiksację swoim ludziom, tak by mogli ją zaakceptować, by nasza misja zakończyła się powodzeniem.*

Kiedy powrócił rozsądek...

Vinh był sam w centralnym parku kwater Queng Ho. Nie pamiętał wcale, jak się tu dostał. Park rozciągał się wokół niego, gałęzie drzew dotykały go z pięciu stron. Istniało takie stare powiedzenie: bez bakterium

OTCHŁAŃ W NIEBIE

kwatery nie mogą utrzymać mieszkańców przy życiu, bez parku mieszkańcy tracą dusze. Nawet na okrętach podróżujących do odległych gwiazd zawsze musiało znaleźć się miejsce dla bonsai kapitana. W większych salach, tysiącletnich kwaterach Canberra i Namąem, park zajmował największe pomieszczenie w budynku, kilometry kwadratowe żywej przyrody. Lecz nawet najmniejszy park miał swój wyjątkowy charakter, był obrazem tysięcy lat doświadczeń i pomysłowości Queng Ho. Ten stwarzał wrażenie leśnej gęstwiny, dziczy, w której kryły się większe i mniejsze stworzenia. Utrzymanie równowagi życiowej na tak małej przestrzeni było prawdopodobnie najtrudniejszym zadaniem w kwaterach.

Park pogrążył się w półmroku. Po prawej ręce Vinha powoli przygasiał blask sztucznego, błękitnego nieba. Ezer sięgnął w dół, przyciągnął się powoli do gruntu. Nie była to długa podróż; park miał ledwie dwanaście metrów szerokości. Vinh wtulił się w miękki mech obok pnia drzewa, słuchał odgłosów kładącego się do snu lasu. Po niebie przemknął nietoperz, gdzieś w pobliżu melodyjnie mruczało gniazdo motyli. Nietoperz był zapewne fałszywy. Tak mały park nie mógł wyżywić większych zwierząt, motyle jednak mogły być prawdziwe. .

Na krótką chwilę zapadł w błogosławiony sen, pozbawiony wszelkich myśli i wspomnień...

...by potem przypomnieć sobie wszystko z jeszcze większą wyrazistością. Jimmy nie żył. I Tsufe i Pham Patii. Umierając, zabili setki innych, także ludzi, którzy mogli wiedzieć, co teraz zrobić. *A jednak ja wciąż żyję.*

Nawet pół dnia temu świadomość tego, co stało się z Trixią, budziła w nim niepoahamowany gniew. Teraz gniew musiał ustąpić przed wstydem. Ezer Vinh był współwinny temu, co stało się na „Dalekim skarbie”. Gdyby plan Jimmy'ego się powiódł, zginęliby wszyscy mieszkańcy Ham-merfest. Był głupi i wspierał głupich, nieobliczalnych ludzi - czy było to tak złe, jak wciąganie współnika w zdradliwą zasadzkę? *Me, nie, nie!* A jednak, ostatecznie, Jimmy zabił wielu spośród tych, którzy przeżyli zasadzkę. *A ja muszę to naprawić. Muszę jakoś wytłumaczyć fiksję moim ludziom, by mogli ją zaakceptować, by misja zakończyła się powodzeniem.*

Ezer zdławił szloch. Miał przekonać innych do czegoś, czego sam nie zaakceptowałby za żadną cenę. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że może być coś równie trudnego.

W oddali rozbłysnęło jakieś światelko. Zaszleściły gałęzie. Ktoś wszedł do parku, zbliżał się do polany. Promień lampki oświetlił na moment twarz Vinha, potem zgasł.

- Aha. Wiedziałem, że cię tu znajdę. - To był Pham Trinli. Starzec pochwycił się gałęzi i usiadł na mchu obok Vinha.

- Weź się w garść, młody człowieku. Długo miał dobre zamiary. Pomagałem mu, jak mogłem, ale on był lekkomyślnym narwańcem. Nigdy nie przypuszczałem, że może być tak głupi. Zginęło wielu niewinnych ludzi. Cóż, zdarza się.

VERNOR VINGE

Vinh odwrócił się w stronę Phama; jego twarz była niewyraźną, bladą plamą jaśniejącą w półmroku. Przez moment Ezra mało nie wybuchnął. Tak chętnie uderzyłby starca. Pohamował się jednak, cofnął głębiej w mrok i uspokoił oddech.

- Tak, zdarza się. - *Może kiedyś i tobie przydarzy się coś paskudnego.* Z pewnością cały park był na podsłuchu.

- Odwaga, podoba mi się to. - W ciemności Vinh nie widział, czy jego rozmówca się uśmiecha, czy też wygłosił ten głupi komplement całkiem poważnie. Trinli przysunął się nieco bliżej i zniżył głos do szeptu.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. Czasami trzeba się poddać, żeby przetrwać. Myślę, że potrafię manipulować tym Nauem. To jego przemówienie... zauważyłeś? Po wszystkim, co zrobił Jimmy, Nau próbował załagodzić całą sprawę. Jestem pewien, że podkrał to przemówienie jakiejś naszej postaci historycznej.

Więc nawet w piekle są klauni. Pham Trinli, podstarzały wojak, któremu wydawało się, że konspiracja to szeptanie w centralnym parku kwater. Trinli był tak straszliwie bezmyślny. Co gorsza, pojmował tak wiele rzeczy na opak...

Siedzieli przez jakiś czas w niemal absolutnej ciemności. Pham Trinli litościwie milczał. Głupota tego człowieka była niczym gładz wrzucony do jeziora rozpaczy Vinha. Poruszyła jego powierzchnię. Te idiotyzmy pozwoliły mu zająć się czymś innym prócz samego siebie. Przemówienie Nau... pojednawcze? W pewnym sensie. Nau był w tej sprawie stroną pokrzywdzoną. Ale obie strony zostały pokrzywdzone. Jedynym wyjściem była teraz współpraca. Próbował przypomnieć sobie słowa grupmistrza. *Hm...* Niektóre frazy naprawdę zostały zapożyczone z przemówienia Phama Nuwena w Brisgo Gap. Brisgo Gap było jednym z najjaśniejszych punktów w historii Queng Ho, gdzie Kupcy uratowali rozwiniętą cywilizację i miliardy ludzkich istnień. Jeśli w ogóle można powiązać tak ogromne zjawisko z jednym punktem w czasie i przestrzeni, to Brisgo Gap było początkiem współczesnego Queng Ho. Podobieństwa z obecną sytuacją praktycznie nie... tyle że tam także współpracowali ze sobą ludzie z różnych stron, zjednoczyli się w obliczu straszliwej zdrady.

Przemówienie Phama Nuwena nadawane było w Ludzkiej Przestrzeni wiele razy w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat. Nic dziwnego, że znał je także Tomas Nau. Więc przemycił jakąś frazę tu i tam, szukał wspólnego tła... tyle że dla Tomasa Nau współpraca oznaczała akceptację fiksjacji, tego, co zrobiono z Trixią Bonsol. Vinh uświadomił sobie, że jakaś część jego umysłu wyczuwała te podobieństwa, reagowała na nie. Dopiero teraz rozumiał, jak bardzo pasowały do tej sytuacji, jak sprytnie zostały wykorzystane. Wszystko zadziwiająco gładko łączyło się ze sobą, prowadziło do jednego celu, którym było przekonanie Ezra Vinha, że musi zaakceptować... fiksjację.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ostatnie dwa dni przepelnione były wstydem i poczuciem winy. Teraz Ezr zaczął się zastanawiać. Jimmy Diem nigdy nie był jego przyjacielem. Był od niego kilka lat starszy, a odkąd się poznali, Jimmy zawsze nim dowodził, uczył go dyscypliny i odpowiedzialności. Ezr próbował teraz myśleć o nim jako o zwykłym człowieku, nie tylko dowódcy. Ezr sam nie był kimś wyjątkowym, dorastał jednak w samym centrum Vinh.²³ Wśród ciotek, wujków i kuzynów znajdowało się wielu najbogatszych i najbardziej wpływowych Kupców w tej części Ludzkiej Przestrzeni. Ezr słuchał ich i bawił się z nimi od wczesnego dzieciństwa... a Jimmy Diem po prostu do nich nie pasował. Jimmy ciężko pracował, lecz nie miał dość wyobraźni. Na szczęście miał skromne marzenia, bo choć starał się z całych sił, nie potrafił dowodzić niczym bardziej złożonym niż pojedyncza załoga. *Hm, nigdy nie myślałem o nim w ten sposób.* Była to smutna niespodzianka, która zdjęła nagle z Jimmy'ego nimb niedostępności, uczyniła żeń kogoś, kto mógłby być przyjacielem.

Ezr zrozumiał jednocześnie, jak trudne musiało być dla Jimmy'ego szantażowanie Naua, zmuszanie go do pertraktacji. Nie miał talentu do takich rzeczy i w końcu się przeliczył. Jedyne, czego naprawdę pragnął Jimmy, to ożenić się z Tsuf e Do i awansować na zarządcę. *To nie ma sensu.* Vinh uświadomił sobie nagle, że siedzi w całkowitej ciemności, usłyszał motyle śpiące na drzewach. Wilgoć mchu przenikała przez jego koszulę i spodnie. Próbował przypomnieć sobie dokładnie, co słyszał z głośników w audytorium. To był głos Jimmy'ego, bez wątplenia. Ten sam akcent nese z rodziny Diem. Lecz ton, dobór słów, które były tak butne, tak aroganckie, tak... niemal radosne. Jimmy Diem nigdy nie potrafił udawać entuzjazmu. I Jimmy Diem nigdy też nie czułby takiego entuzjazmu.

A to prowadziło tylko do jednego wniosku. Podrobienie głosu Jimmy'ego i jego akcentu było trudne, ale jakoś im się udało. Co jeszcze było kłamstwem? *Jimmy nikogo nie zabił.* Starsi Queng Ho zostali zamordowani, nim Jimmy, Tsuf e i Pham Patii znaleźli się na pokładzie „Dalekiego skarbu”. Tomas Nau popełnił niewyobrażalną zbrodnię, by ustawić się w dogodnej pozycji, wykazać swoją wyższość moralną. *Wytłumacz fiksję swoim ludziom tak, by ją zaakceptowali, by nasza misja zakończyła się powodzeniem.*

Vinh podniósł wzrok ku niebu. Tu i tam pomiędzy gałęziami prześwitwały gwiazdy, sztuczne gwiazdozbiory odległe o dziesiątki lat świetlnych. Słyszał, jak Pham Trinli zmienia pozycję. Starzec poklepał go po ramieniu i wznosił się nad ziemię.

- Dobrze, widzę, że już się trochę uspokoiłeś. Pamiętaj, musisz się poddać, żeby przetrwać. Nau jest miękki, poradzimy sobie z nim.

Ezr drżał na całym ciele, ryk wściekłości podchodził mu do gardła. Powstrzymał go w porę, zamienił w cichy szloch, nadał złości pozory zmęczenia i rezygnacji.

- T-tak. Musimy jakoś przetrwać.

VERNORVINGE

- Dobry chłopak. -Trinli znów poklepał go po ramieniu i odwrócił się, by ruszyć do wyjścia. Ezr pamiętał, co Ritser Brughel mówił o zachowaniu Trinlego po Wybuchu. Starzec był odporny na moralne manipulacje Tomasa Nau. Ale to nie miało znaczenia, bo Trinli był także tchórzem, który oszukiwał samego siebie. *Musisz się poddać, by przetrwać.*

Jeden Jimmy Diem wart był stu Phamów Trinlich.

Tomas Nau sprytnie wymanewrował ich wszystkich, ukradł umysł Trixii i wielu innych. Zamordował tych, którzy mogli mu naprawdę zagrozić. I wykorzystał te morderstwa, by zamienić pozostałych przy życiu Queng Ho w oddane mu narzędzia.

Ezr patrzył na sztuczne gwiazdy, na gałęzie drzew, które rysowały się na niebie niczym wielkie, zakrzywione szpony. *Pewnie można naciskać kogoś zbyt mocno, złamać go, tak że nie będzie już dłużej narzędziem.* Wpatrując się w otaczające go drzewa, Vinh czuł, jak jego umysł rozpada się na różne części. Jedna z nich przyglądała się temu biernie, zdumiona, że Ezr Vinh mógł ulec takiej dezintegracji. Inna zagłębiała się w samej sobie, pograżała coraz mocniej w rozpacz; Sum Dotran nie wróci już nigdy, ani S.J. Park, a obietnica, że stan Trixii da się odwrócić, z pewnością była kłamstwem. Istniała jednak jeszcze trzecia część, zimna, analityczna i żądna krwi.

Zarówno dla Queng Ho, jak i dla Emergentów Wygnanie trwać będzie dziesiątki lat. Większość tego czasu spędzą w stanie hibernacji, uspieni... lecz nadal mieli przed sobą wiele lat aktywności. A Tomas Nau potrzebował wszystkich, którzy zostali przy życiu. Na razie Queng Ho zostali pobici, zgwałceni i-o czym należy przekonać Tomasa Nau.->oszukani. Ta zimna część jego duszy, zdolna do mordu, patrzyła na tę przyszłość z ponurą determinacją. Nie o takim życiu marzył kiedyś Ezr Vinh. Wiedział, że nie będzie miał przyjaciół, którym mógłby zaufać. Będzie żył w otoczeniu głupców i wrogów. Patrzył na Phama Trinli, kiedy ten zniknął w wyjściu z parku. Głupcy tacy jak Pham mogą okazać się przydatni. Być może kiedyś wykorzysta go i rzuci wrogom na pożarcie. Tomas Nau przypisał go na całe życie do jednej roli, a jego jedyną nagrodą i pocieszeniem może być zemsta. (Ale może istniała jeszcze szansa, mówiła inna część jego duszy, że Reynolt nie skłamała, że Trixia naprawdę powróci do zdrowia).

Wyrachowany, zimny Ezr Vinh spojrział raz jeszcze na czekające go długie lata cierpliwej pracy... i wycofał się na moment. Z pewnością pozostawał pod obserwacją kamer. Jeśli po takiej tragedii będzie zbyt spokojny, może wzbudzić czyjeś podejrzenia. Vinh zwinął się w kłębek i podał tej części duszy, która szukała ukojenia w płaczu.

CZĘŚĆ DRUGA

CZTERNAŚCIE

Tylko ci, którzy odbierają wszystko dosłownie, spirialiby się z twierdzeniem „Nowe słońce, nowy świat”. To prawda, wewnątrz planety pozostawało niezmienione, nie ulegały także zmianie zarysy kontynentów. Lecz burze i huragany podczas pierwszych lat pojawienia się słońca niszczą prawie wszystko, co natura zostawiła na powierzchni w poprzedniej Jasności. Lasy i dżungle, prerie i bagna, wszystko rodziło się od nowa. Z budynków wzniesionych przez Pajaki ostawały się tylko te ukryte w głębokich, osłoniętych od wiatru dolinach.

Roślinność zarodnikowa odradzała się bardzo szybko, roznoszona na ogromnych obszarach przez gwałtowne wiatry. W pierwszych latach niektóre zwierzęta wystawiały także pyski z otchłani, próbowały wykorzystać okazję i zawładnąć jak największym terytorium, często jednak kończyło się to dla nich tragicznie. „Narodziny nowego świata” niosą ze sobą tyle śmierci, że metafora ta wydaje się mocno naciągana.

...A jednak po trzecim lub czwartym roku zdarzają się przerwy między burzami. Lawiny i fale parowe są już coraz rzadsze, a rośliny mogą przetrwać z roku na rok. W zimie, kiedy łagodnieje wiatr i ustają burze, można wyjrzeć na świat i wyobrażać sobie, że w tej fazie słońca bujnie rozwinię się życie.

Duma Akord została już odbudowana, wspanialsza niż kiedykolwiek. Na prostych Victory Smith rozpędzała swój sportowy samochód do sześćdziesięciu mil na godzinę, zwalniała do trzydziestu przed zakrętami. Ze swego miejsca na tylnej grzędzie Hrunknier Unnerby miał doskonały widok na każdą kolejną przepaść. Trzymał się grzędy wszystkimi rękami i nogami. Był pewien, że gdyby tylko na chwilę zwolnił uścisk, na najbliższym zakręcie wyleciałby z auta jak pocisk.

- Może jednak wolałaby pani, żebym to ja poprowadził? - spytał.

Smith się roześmiała.

- A ja miałabym usiąść tam, gdzie pan? Nie ma mowy. Wiem, jak przerażająco to wygląda z tylnej grzędy.

Sherkaner Underhill wyjrzał przez boczne okno.

- Hm, nigdy nie wyobrażałem sobie, jak ekscytująca może być taka jazda dla pasażerów.

VERNOR VINGE

- Dobrze, zrozumiałam aluzję. - Smith zwołniała, jechała teraz ostrożnie, niż robiły to Sherkaner czy Unnerby. Warunki drogowe były doskonałe. Gorący wiatr przegnał burzę, zostawiając betonową powierzchnię suchą i czystą. W każdej chwili mogli się jednak spodziewać kolejnego sztormu. Ich górską drogą niemal ocierała się o brzuchy poszarpanych, pędzących z zawrotną prędkością chmur, a doliny po lewej stronie ciemne były od deszczu. Jak zawsze jazda Dumą Akord otwierała przed nimi szerokie widoki. Las miał zaledwie dwa lata, pokryte twardą korą stożki wypuszczały dopiero pierwsze liście. Większość drzewek miała nie więcej niż trzy stopy, choć tu i ówdzie zdarzały się olbrzymy wysokości sześciu czy nawet dziesięciu stóp. Zieleń ciągnęła się przez wiele mil, przerywana tu i ówdzie brązem lawiny czy bielą wodospadów. W tej fazie słońca Zachodni Las był niczym trawnik samego Boga i niemal z każdego punktu wzdłuż Dumy podróżni mogli zobaczyć ocean.

Hrunkner zwołniał nieco uścisk na grzędzie. Widział, jak zza ostatniego zakrętu wyjeżdżają właśnie ochroniarze Smith. Przez większą część podróży eskorta bez trudu trzymała się blisko. Burza i deszcz zmuszały Victory do wolnej jazdy. Teraz musieli ją gonić, a Hrunkner wcale by się nie dziwił, gdyby gotowali się z wściekłości. Niestety, jedyną osobą, której mogli się poskarżyć, był ich oficer dowodzący, czyli właśnie Victory Smith. Smith nosiła mundur majora Korpusu Kwatermistrzowskiego Akord. Po części była to prawda, bo wywiad traktowany był w razie potrzeby jako dział kwatermistrzostwa. Lecz Smith wcale nie była majorem. Unnerby już od czterech lat nie służył w armii, nadal jednak miał tam swoich przyjaciół... i wiedział, jak ostatecznie wygrano Wielką Wojnę; byłby więc ogromnie zaskoczony, gdyby okazało się, że Victory Smith nie jest nowym szefem Wywiadu Akord.

Czekały go jednak inne niespodzianki - przynajmniej wydawały się niespodziankami, dopóki się nad nimi nie zastanowił. Smith zadzwoniła do niego dwa dni temu, namawiając go do powrotu do służby. Dziś, kiedy pojawił się w swoim sklepie w Princeton, oczekiwał dyskretnej wizyty, ale nie spodziewał się wcale obecności Sherkanera Underhilla. Nie dziwiła go specjalnie radość, jaką czuł, ujrzawszy znowu tych dwoje. Rola, jaką Hrunkner Unnerby odegrał w zakończeniu Wielkiej Wojny, nie przyniosła mu na razie sławy; dokumenty opisujące ich podróż przez Ciemność mogły być ujawnione dopiero za dziesięć lat. Lecz nagroda, którą otrzymał za swój trud, równa była dwudziestokrotnej wartości tego, co mógłby oszczędzić przez całe życie. Wreszcie miał pretekst, by opuścić służbę, by wykorzystał swoje wykształcenie do jakiegoś konstruktywnego celu.

W pierwszych latach Nowego Słońca trzeba było wykonać wiele prac i to w warunkach niemal równie niebezpiecznych jak na polu bitwy. Czasami zresztą rzeczywiście dochodziło do walki. Nawet w nowoczesnej cywilizacji podczas tej fazy słońca najczęściej dochodziło do kradzieży, na-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

padów i morderstw. Hrunkner Unnerby radził sobie doskonale, toteż może największym zaskoczeniem była łatwość, z jaką Victory Smith namówiła go do przyjęcia nowego zadania - nawet jeśli miało trwać tylko trzydzieści dni. „Wystarczająco długo, byś dowiedział się, co planujemy i zdecydował, czy chcesz wrócić na dłużej”.

Stąd właśnie ta podróż do Dowództwa Lądowego. Jak dotąd były to przyjemne wakacje, okazja do spotkań ze starymi przyjaciółmi (nieczęsto też zdarza się, by sierżant miał za szofera generała). Sherkaner Underhill był tym samym nieobliczalnym geniuszem co zawsze, choć urazy nerwowe, jakich doznał w ich prowizorycznej otchłani, bardzo go postarzały. Smith była bardziej otwarta i radośniejsza niż kiedykolwiek. Piętnaście mil za Princeton, za rzędami prowizorycznych domostw i u podnóży Zachodniego Pasma, ci dwoje podzielili się z nim swą osobistą tajemnicą.

- Kim jesteście? - powiedział Unnerby, omal nie ześlizgując się z grzędy. Gorący deszcz uderzał głośno o szyby; może nie usłyszał dobrze.

- Słyszałeś mnie, Hrunkner. Generał i ja jesteśmy mężem i żoną. - Underhill szczyrzył się jak idiota.

Victory Smith uniosła spiczastą rękę.

- Jedna poprawka. Nie nazywaj mnie generałem.

Unnerby zazwyczaj potrafił lepiej skrywać zdumienie; nawet Underhill widział teraz jego reakcję i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Domyślałeś się na pewno, że coś nas łączyło przed Wielką Ciemnością.

- Cóż... - *Tak*, choć ze względu na szaleńczą wyprawą Sherkanera nic nie mogło z tego wynikać. Hrunkner zawsze szczerze im współczuł z tego powodu.

Właściwie ci dwoje tworzyli doskonały zespół. Sherkaner Underhill miał więcej pomysłów niż tuzin mniej zdolnych ludzi naraz, lecz większość tych pomysłów była niepraktyczna, przynajmniej w kategoriach tego, co można osiągnąć w ciągu życia jednej osoby. Victory Smith z kolei potrafiła odszukać wśród nich te, którymi warto się zainteresować. Gdyby tamtego popołudnia, przed wielu laty, nie pojawiła się akurat w jego biurze, Unnerby przegnałby biednego Sherkanera z powrotem do Princeton - a jego szalony pomysł zakończenia Wielkiej Wojny zostałby bezpowrotnie zaprzepaszczone. Więc... tak. Właściwie nie był zaskoczony, choć nie spodziewał się, że dojdzie do tego już teraz. A jeśli Victory Smith była obecnie dyrektorem Wywiadu Akord, przed krajem rysowały się wielkie perspektywy. Pewna paskudna myśl, jakby kierowana własną wolą, przedostała się na jego usta i zmieniła w pytanie, którego wcale nie chciał zadać:

- A dzieci? Chyba nie teraz.

- Owszem. Generał jest w ciąży. Za niecałe pół roku będę nosił na grzbiecie dwa pierścienie niemowlęce.

VERNORVINGE

Hrunkner zdał sobie sprawę, że w zakłopotaniu przygryza ręce pożywiające. Mruknął coś niezrozumiałego. Przez pół minuty jechali w absolutnej ciszy, przerywanej tylko bębnieniem gorącego deszczu o szybę auta. *Jak mogli zrobić to własnym dzieciom?*

Wreszcie generał powiedziała cicho:

- Czy ma pan z tym jakiś problem, Hrunkner?

Unnerby najchętniej zapadłby się pod ziemię. Znał Victory Smith, odkąd ta pojawiła się w Dowództwie Lądowym: świetnie wyszkolony oficer, dama o nieznanym nazwisku i młodzieńczej świeżości. W wojsku trudno jest cokolwiek ukryć przed innymi, wszyscy też od razu domyślili się prawdy. Pani porucznik była naprawdę młoda; urodzona poza fazą. Jednak zdołała jakoś zdobyć na tyle dobre wykształcenie, by dostać się do szkoły oficerskiej. Krążyły plotki, że Victory Smith jest córką bogacza ze Wschodniego Wybrzeża, że rodzina jakiś czas temu wydziedziczyła tego zbrojeńca i jego potomstwo. Unnerby pamiętał złośliwości i obelgi, jakich nie szczędzono jej podczas pierwszego kwartału służby. Właściwie pierwszą oznaką jej wielkości był sposób, w jaki znosiła ostracyzm, oraz odwaga i inteligencja, z jaką traktowała wstydlive okoliczności swych narodzin.

Wreszcie odzyskał głos.

- Ee... Tak, proszę pani. Wiem. Nie chciałem pani urazić. Po prostu wpojono mi pewne określone zasady - *jak powinni żyć przyzwoici ludzie*. Przyzwoici ludzie poczynali dzieci w latach Gasnięcia i rodzili je wraz z nastaniem nowego słońca.

Generał nie odpowiedziała, lecz Underhill poklepał go po plecach.

- W porządku, sierżancie. Powinieneś zobaczyć reakcję mojego ku zyna. Ale poczekaj tylko trochę; to się zmieni. Kiedy będziemy mieli czas, wytłumaczę ci, dlaczego stare zasady nie mają już sensu. -1 to właśnie było najbardziej niepokojącą cechą Sherkanera Underhilla; prawdopodobnie mógł usprawiedliwić ich zachowanie i pozostać w błogiej nieświa domości gniewu, jakie budziło ono w innych.

Chwila zakłopotania na szczęście już minęła. Jeśli ci dwoje mogli znieść pruderyjną naturę Hrunknera, on postara się zignorować ich... dziwactwa. Na wojnie tolerował już gorsze rzeczy. Poza tym Victory Smith należała do ludzi, którzy tworzą własne zasady - i czynią je równie ważkimi jak te istniejące do tej pory.

Co do Underhilla... jego myśli błędziły już po zupełnie innych obszarach. Przebyta choroba mogła nadać mu wygląd starca, lecz jego umysł był równie przenikliwy - lub równie ekscentryczny - jak zawsze. Przeskakiwał z pomysłu na pomysł, nigdy nie zadowolając się jednym rozwiązaniem, jak zrobiłby to każdy normalny człowiek. Deszcz przestał padać, wiatr znów stał się gorący i suchy. Kiedy wjechali między strome wzgórza, Unnerby zerknął na zegarek i zaczął się zastanawiać, ile szalonych pomysłów może zrodzić się w głowie Underhilla przez najbliższych kilka mi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nut. (1) Wskazując na opancerzone pnie młodych drzew, Sherkaner spekulował, jak wyglądałaby pajęczość, gdyby po każdej Ciemności odradzała się z zarodków, a nie wychodziła w postaci dorosłych już osobników, i to z dziećmi. (2) W warstwie chmur ukazała się spora szczelina, na szczęście kilka mil w bok od ich drogi. Przez kilka minut pałaca biel odbitego światła słonecznego świeciła prosto na nich, chmury były tak jasne, że musieli przysłonić z tej strony okna samochodu. Gdzieś ponad nimi bezpośredni blask słońca palił powierzchnię gór. A Sherkaner Underhill zastanawiał się, czy można by zbudować na szczytach gór „farmy ciepłe” i wykorzystać różnicę temperatur do produkcji energii dla miast położonych w dolinach. (3) Coś zielonego przebiegło przez drogę, w ostatniej chwili uciekając spod kół ich samochodu. Sherkaner wykorzystał i to, próbując połączyć jakoś ewolucję z automobilizmem. (A Victory zauważyła, że taka ewolucja mogłaby działać w obie strony). (4) Ale Underhill miał przecież pomysł na środek transportu znacznie bezpieczniejszy i szybszy nawet od samolotów.

- Dziesięć minut z Princeton do Dowództwa Lądowego, dwadzieścia minut przez cały kontynent. Rozumiecie, trzeba wykopać tunele wzdłuż najkrótszych łuków czasowych, usunąć z nich powietrze i pozwolić, by grawitacja sama wykonała całą pracę. -W tym momencie Unnerby odnotował pięciosekundową przerwę. - Hm, jest tylko jeden mały problem. Przy minimalnym czasie przejazdu z Princeton do Dowództwa Lądowego tunel musiałby sięgać jakieś... sześćset mil w głąb. Chyba nie namówiłbym pani generał do sfinansowania tego projektu.

- Możesz być tego pewien! - I oboje wdali się w długą dyskusję o opłacalności budowy krótszych tuneli i innych środków transportu. Okazało się, że pomysł z tunelami nie był jednak najmądrzejszy.

Unnerby stracił po chwili wątek. Kiedy spór dobiegł końca, Sherkaner zaczął wypytywać sierżanta o jego przedsiębiorstwo budowlane. Był dobrym słuchaczem, a jego uwagi nasunęły Unnerby'emu pomysły i rozwiązania, na które sam nigdy by nie wpadł. Niektóre z nich mogły przysporzyć mu pieniędzy. Dużo pieniędzy. Hmm...

- Hej, chcę, żeby ten sierżant był biedny i potrzebował dobrego żołdu - zauważyła Smith z uśmiechem. - Nie sprowadzaj go na złą drogę!

- Przepraszam, kochanie. - Lecz Underhill już o tym zapomniał. - Minęło sporo czasu, Hrunckner. Szkoda, że tak rzadko cię ostatnio widywaliśmy. Pamiętasz, jak wtedy, na samym końcu...

- Mówisz o twoim poronionym pomysle?

- Tak, właśnie!

- Pamiętam, że tuż przed wejściem do tej tieferskiej otchłani bredziłeś coś o tym, że to ostatnia Ciemność, którą cywilizacja prześpi pod ziemią. Potem w szpitalu znów do tego wróciłeś. Powinieneś pisać fantastykę naukową, Sherkaner.

Underhill machnął ręką, traktując to jak komplement.

VERNORVINGE

- Właściwie ten pomysł został już wykorzystany w książkach. Ale my naprawdę możemy tego dokonać, jeszcze w tej Jasności.

Hrunkner wzruszył ramionami. Spacerował w Wielkiej Ciemności; nadal robiło mu się niedobrze na samo wspomnienie tamtych chwil.

- Jestem pewien, że coraz więcej ekspedycji będzie oglądać Głęboką Ciemność, ekspedycji większych i lepiej wyposażonych od naszej. To interesujący pomysł i jestem pewien, że gen... major Smith ma już wiele planów z tym związanych. Mogę sobie nawet wyobrazić poważne bitwy rozgrywane w środku Ciemności.

- To nowa epoka, Hrunk. Spójrz tylko, czego nauka dokonuje w naszym życiu.

Minęli ostatni fragment suchej drogi i wjechali w ścianę gorącego deszczu, burzę, którą widzieli wcześniej z północy. Smith nie dała się zaskoczyć. Podsunęli okna do samej góry i jechali z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Mimo to warunki drogowe stały się bardzo trudne, wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, nawet w świetle mocnych, przeciwdeszczowych reflektorów ledwie widzieli skraj drogi. Za nimi majaczyły dwie pary czerwonych świateł. Ochrona Smith doganiała ich wreszcie.

Unnerby musiał zdobyć się na duży wysiłek, by oderwać uwagę od tego, co działo się na zewnątrz i przypomnieć sobie ostatnie słowa Underhilla.

- Wiem, że wchodzimy w Epokę Nauki, Sherk. Dlatego właśnie zajmę się budownictwem. Przed ostatnią Ciemnością mieliśmy radio, samo loty, telefony, zapis dźwięku. Nawet podczas pierwszych lat Nowego Słońca zajmowaliśmy się nowymi wynalazkami. Twoje auto to cud techniki w porównaniu z tym relmaitchem, który miałeś przed Ciemnością, a prze cież wtedy był to bardzo drogi wóz. - Któregoś dnia Unnerby chciałby się dowiedzieć, skąd Sherkaner, biedny student, wziął na niego pieniądze. - Bez wątplenia jest to bardzo ekscytująca epoka i cieszę się, że przyszło mi w niej żyć. Samoloty wkrótce przełamią barierę dźwięku. Korona bu duje narodową sieć autostrad. Czy to nie pani zajęła się tym problemem, majorze?

Victory uśmiechnęła się lekko.

- Nie było takiej potrzeby. W kwatermistrzostwie i tak jest wystarczająco wielu zwolenników tego projektu. Autostrady wybudowano by tak czy inaczej, nawet bez pomocy rządu. Teraz przynajmniej zachowamy na nimi kontrolę.

- No właśnie. Na naszych oczach zachodzą wielkie przemiany. Za trzydzieści lat - przed następną Ciemnością - będziemy pewnie mieli ogólnoswiatową sieć lotniczą, telefony z wizją, może nawet przekazniki, które będą krążyć wokół świata tak, jak świat krąży wokół słońca. Jeśli uda nam się uniknąć kolejnej wojny, przeżyję najcudowniejsze chwile w moim życiu. Ale pomysł, żeby cała cywilizacja utrzymała się przy życiu podczas Ciemności... wybacz, stary druhu, ale musiałeś pomylić się w ob-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

liczeniach. Żeby to zrobić, musielibyśmy praktycznie odtworzyć słońce. Wiesz, jakiej to wymaga energii? Pamiętam, ile nas kosztowało utrzymanie Kopaczy przez kilka lat Ciemności. Zużyliśmy do tego więcej paliwa niż podczas całej wojny.

Ha! Choć raz Sherkaner Underhill nie miał gotowej odpowiedzi. Potem sierżant zrozumiał, że Sherk czeka, aż przemówi generał. Po chwili Victory Smith uniosła rękę.

- Do tej pory miło sobie gawędziliśmy, sierżancie. Wiem, że dowiedział się pan wielu rzeczy, które nieprzyjacieli mógłby wykorzystać przeciwko nam... z pewnością domyśla się pan, czym się teraz zajmuję.

- Tak. I gratuluję pani, madam. Obok Struta Greenała jest pani najlepszym człowiekiem na tym stanowisku.

- Cóż... dziękuję, Hrunknier. Chodzi mi jednak o to, że gadanina Sherkanera doprowadziła nas do sprawy, dla której poprosiłam pana o tę trzydziestodniową służbę. To, co pan teraz usłyszy, jest tajemnicą strategiczną.

- Rozumiem. - Nie przypuszczała, że pozna cel misji w taki właśnie sposób. Na zewnątrz burza przybierała na sile. Smith na prostym odcinku drogi nie jechała szybciej niż dwadzieścia mil na godzinę. W pierwszych latach Nowego Słońca nawet pochmurne dni były niebezpiecznie jasne, ta burza była jednak tak silna, że ziemię okrył mrok. Wiatr kołysał autem, próbował zepchnąć je z drogi. Wnętrze samochodu wyglądało z kolei jak łaźnia parowa.

Smith gestem poprosiła Sherkanera, by kontynuował. Underhill odchylił się do tyłu na swojej grzędzie i podniósł głos, by przekrzyczeć ryk burzy.

- Tak się składa, że dokonałem już odpowiednich obliczeń i z pewnością nie popełniłem w nich żadnego błędu. Po wojnie próbowałem przekonać do tego pomysłu kilku kolegów Victory. To omal nie złamało jej kariery. Ci koberzy potrafią liczyć niemal tak dobrze jak ty. Ale wiele rzeczy się zmieniło.

- Poprawka - wtrąciła Smith. -Wiele rzeczy może się zmienić. -Wiatr zepchnął ich na skraj drogi, nad przepaść, którą Unnerby ledwie widział zza zasłony deszczu. Smith skontrowała, zmusiła auto do powrotu na środek jezdni.

- Widzisz - kontynuował Underhill - naprawdę istnieją źródła energii, które mogłyby utrzymać cywilizację przez całą Ciemność. Powiedziałeś, że musielibyśmy stworzyć własne słońce. Byłeś blisko, choć tak naprawdę nikt nie wie, jak właściwie działa słońce. Istnieją jednak teoretyczne i praktyczne dowody mocy atomu.

Kilka minut wcześniej Unnerby się roześmiały. Nawet teraz nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

- Radioaktywność? Chcesz ogrzewać nas tonami oczyszczonego radu? - Może ten wielki sekret polegał na tym, że dowództwo Korony czytało „Zdumiewającą naukę”.

VERNORVINGE

- Underhill oczywiście wcale nie przejął się jego reakcją.
- Istnieje kilka możliwości. Jestem przekonany, że jeśli podejść do nich z wyobraźnią, jeszcze przed następnym Gaśnięciem mój projekt będzie realizowany.
 - Chcę, żeby nas pan dobrze zrozumiał - odezwała się generał. - Ja też mam sporo wątpliwości. Ale sprawa jest tak poważna, że nie możemy pozostawić jej samej sobie. Nawet jeśli ten projekt nie wypali, możemy otrzymać broń tysiąc razy groźniejszą od wszystkiego, czego używaliśmy podczas Wielkiej Wojny.
 - Groźniejszą niż gaz bojowy w otchłani? - Nagle burza szalejąca na zewnątrz nie wydawała mu się nawet w drobnej części tak ciemna jak to, co mówiła Victory Smith.
 - Zorientował się, że przez moment uwaga Victory skupiona była tylko na nim.
 - Tak, sierzancie, gorszą nawet od tego. Wszystkie nasze miasta mogłyby wtedy zostać zniszczone w ciągu kilku godzin.
- Underhill omal nie spadł ze swojej grzędy.
- W najgorszym wypadku! W najgorszym wypadku! Wy, wojskowi, potraficie myśleć tylko o tym. Posłuchaj, Unnerby. Jeśli popracujemy nad tym przez następne trzydzieści lat, otrzymamy źródła energii, które będą mogły utrzymać podziemne miasta - nie otchłanie, ale żywe miasta. Możemy oczyszczać drogi z lodu i śniegu powietrznego i utrzymywać je w tym stanie aż do środkowych lat Ciemności. Transport powierzchniowy byłby wtedy znacznie łatwiejszy niż w Jasności. - Wskazał na deszcz bijący o szyby samochodu.
 - Tak, na pewno dałoby się też uprościć transport powietrzny - *bo całe powietrze będzie leżało zamrożone na ziemi. Lecz ten sarkazm nawet jemu samemu wydał się nieprzekonujący. Tak, przy odpowiednim źródle energii moglibyśmy tego dokonać.*
- Ta zmiana podejścia musiała się jakoś odbić na zachowaniu Unnerby'ego. Underhill uśmiechnął się radośnie.
- Więc rozumiesz! Za pięćdziesiąt lat będziemy spoglądać wstecz na te czasy i zastanawiać się, dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej. Ciemność jest w istocie łagodniejsza od wielu innych faz.
 - Tak. - Wzdrygnął się. Niektórzy nazywaliby to świętokradztwem, ale... -Tak, to byłoby coś cudownego. Nie przekonałeś mnie tylko, że można to zrobić.
 - Nawet jeśli można, będzie to bardzo trudne - powiedziała Smith.
 - Zostało nam trzydzieści lat do następnej Ciemności. Mamy kilku fizyków, którzy uważają, że - w teorii - da się wykorzystać energię atomową. Ale na Boga Głębi, dopiero w 58/10 w ogóle dowiedzieli się o istnieniu atomu! Udało mi się przekonać do tego projektu Dowództwo Łądowe, ale jestem pewna, że jeśli przy takich nakładach sprawa skończy się fiaskiem, moja kariera dobiegnie końca. Mimo to - przepraszam cię, Sherkaner - mam nadzieję, że tak się właśnie stanie.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Zabawne, że akurat w tej kwestii popiera tradycyjny punkt widzenia.

- To będzie jak odkrycie nowego świata! - krzyknął Sherkaner.

- Nie! To będzie rekolonizacja obecnego świata. Sherk, zastanówmy się nad najbardziej optymistycznym scenariuszem, który my, ograniczeni wojskowi, twoim zdaniem zawsze ignorujemy. Powiedzmy, że naukowcom uda się wszystko opracować. Powiedzmy, że za dziesięć lat albo najpóźniej do 60//20 zaczniemy budować elektrownie dla twoich hipotetycznych miast w Ciemności. Nawet jeśli reszta świata sama nie odkryje do tej pory energii atomowej, tego rodzaju budowy nie da się zachować w tajemnicy. Więc nawet jeśli nie będzie żadnego powodu do wojny, rozpocznie się wyścig zbrojeń. A to będzie znacznie gorsze niż Wielka Wojna.

- No tak. Ci, którzy pierwsi skolonizują Ciemność, zyskają też panowanie nad światem - wtrącił Unnerby.

- Otóż to - przytaknęła Smith. - Nie jestem pewna, czy Korona poszanowałaby w takiej sytuacji cudzą własność. Ale wiem, że ludzkość obudziłaby się w niewoli albo nie obudziła wcale, jeśli Ciemność zostałaby podbita przez Kindred czy im podobnych.

Właśnie tego rodzaju koszarne scenariusze skłoniły Unnerby'ego do opuszczenia armii.

- Mam nadzieję, że nie zabrzmi to niełojalnie, ale czy rozważyłście rezygnację z tego pomysłu? - Machnął ręką na Underhilla. - Moglibyście pomyśleć o innych rzeczach, prawda?

- Nie rozumiesz już jak żołnierz, prawda? Ale owszem, zastanawiałam się, czy nie wstrzymać tych badań. Być może - jeśli nasz drogi Sherkaner będzie trzymał buzię na kłódkę - to wystarczy. Jeśli ktoś nie zabierze się do tego w najbliższym czasie, to na pewno nie zdąży podbić następnej Ciemności. A może musi minąć jeszcze wiele pokoleń, nim przełożymy tę teorię na praktykę - tak przynajmniej uważają niektórzy fizycy.

- A ja wam powiem, że inni wkrótce również się tym zajmą - upierał się Sherkaner. - Nawet jeśli teraz zatuszujemy sprawę, za piętnaście czy dwadzieścia lat energia atomowa stanie się dla wielu priorytetem. Tyle że będzie już za późno na budowę elektrowni czy podziemnych miast. Będzie już za późno na podbój Ciemności. Energia atomowa będzie stosowana wyłącznie w uzbrojeniu. Mówiłeś o radzie, Hrunkner. Pomyśl tylko, co większe ilości takiej substancji mogłyby zdziałać jako gaz bojowy. A to tylko najbardziej oczywista kwestia. Wychodzi więc na to, że cokolwiek zrobimy, cywilizacja będzie zagrożona. Ale jeśli zajmiemy się tym już teraz, zyskamy być może cudowną rzecz, cywilizację, która przetrwa Ciemność.

Smith skinęła posepnie głową; Unnerby miał wrażenie, że przysłuchuje się wielokrotnie powtarzanej dyskusji. Victory Smith poparła pomysł Underhilla - i sprzedała go Dowództwu Lądowemu. Następne trzydzieści lat mogło być jeszcze bardziej ekscytujące, niż Hrunkner Unnerby przepuszczał.

VERNOR VINGE

Późnym popołudniem dotarli do górskiej osady, pokonawszy w ciągu ostatnich trzech godzin zaledwie dwadzieścia mil. Pogoda poprawiła się na jakieś dwie mile przed miasteczkiem.

Po pięciu latach Nowego Słońca Otchłan Nocy była już niemal całym odbudowana. Kamienne fundamenty przetrwały wysokie temperatury i powódzie. Jak po każdej Ciemności od wielu, wielu pokoleń, mieszkańcy miasteczka wykorzystywali opancerzone pnie pierwszych drzew do budowy parterowych pomieszczeń gospodarczych i szkół. Być może do roku 60//10 będą mieli lepsze materiały i dobudują pierwsze, a w kościele drugie piętro. Na razie wszystko było niskie i zielone; krótkie, stożkowe bale przypominały trochę ogromne luski.

Underhill upierał się, by ominęli stację naftową przy głównej drodze.

- Znam lepsze miejsce - powiedział i skierował Smith na starą, rzadziej używaną drogę.

Odsunęli okna. Deszcz ustał. Owiewał ich suchy, niemal zimny wiatr. Na zachmurzonym niebie pojawiła się wąska szczelina i przez chwilę mogli oglądać blask słońca odbity od chmur. Nie była to już jednak pałaca biel sprzed kilku godzin. Słońce musiało chylić się ku zachodowi. Skłębione chmury płonęły czerwienią, żółcią i kratką alfa, za nimi zaś otwierał się błękit i ultramaryna czystego nieba. Jasność okryła ulice, budynki i wzgórze. Bóg surrealisty.

Oczywiście na końcu zwirowej drogi znajdowała się niska szopa i prosta stacja naftowa.

- To jest to lepsze miejsce, Sherk? - spytał Unnerby.

- Cóż... na pewno bardziej interesujące. - Underhill otworzył drzwi i zeskoczył ze swojej grędy. - Sprawdźmy, czy ten kober mnie pamięta. - Przespacerował się wokół samochodu, by rozprostować zeszytniałe nogi. Po długiej podróży drzenie kończyn dokuczało mu bardziej niż zwykle.

Smith i Unnerby także wyszli z auta, a po chwili z szopy wynurzył się właściciel, tęgi mężczyzna z koszem na narzędzia i dwójką małych dzieci.

- Do pełna, staruszk? - spytał.

Underhill uśmiechnął się do niego, niezrażony wcale błędną oceną jego wieku.

- Jasne. - Podeszedł za właścicielem do pompy. Niebo było jeszcze jaśniejsze niż przed chwilą, przetykane czerwienią i błękitem. - Pamięta mnie pan, prawda? Przejeżdżałem tędy w wielkim, czerwonym relmeitchu, tuż przed Ciemnością. Był pan wtedy kowalem.

Właściciel zatrzymał się, przyjrzał uważnie Underhillowi.

- Pamiętam relmeitcha. - Dwoje pięciolatek przepychało się do przodu, zerkając z ciekawością na dziwnego gościa.

- Zabawne, jak wszystko się zmienia, prawda?

Właściciel nie wiedział, do czego pije Underhill, ale już po chwili obaj gawędzili jak starzy znajomi. Tak, właściciel lubił samochody, z pewnością był to przemysł przyszłości, a on nie zamierzał już wracać do ko-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

walstwa. Sherkaner chwalił go za jakąś pracę, którą ten wykonał dla niego dawno temu, żałował też, że przy głównej drodze pojawiła się nowa stacja. Był pewien, że nie wykonują tam prac naprawczych tak dobrze jak tutaj, i zastanawiał się "wraz z byłym kowalem, jak wygląda obecnie reklama uliczna w Princeton. Ochrona Smith zatrzymała się na otwartej przestrzeni przy drodze, ale właściciel nawet tego »ie zauważył. Underhill miał ogromny talent do zjednywania sobie ludzi, potrafił zarażać swym zapalem wszystkich, którzy chcieli go słuchać.

Tymczasem Smith przeszła na drugą stronę drogi i rozmawiała z kapitanem, który był odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Wróciła, kiedy Sherk zapłacił za naftę.

- Do diabła. Dowództwo Lądowe twierdzi, że koło północy nadejdzie jeszcze gorsza burza. Pierwszy raz wybrałam się własnym samochodem i od razu całe piekło spada mi na głowę. -W głosie Smith pobrzmiwały gniewne tony, co znaczyło zazwyczaj, że jest zła na samą siebie. Wsiadli do auta. Uruchomiła zapłon, raz i drugi. Trzy razy. Wreszcie silnik zaskoczył.

- Rozbijemy tu na noc obóz. - Siedziała przez chwilę w milczeniu, niemal niezdecydowana. A może po prostu zapatrzyła się w niebo. - Na zachód od miasta są ziemie Korony. Tam pojedziemy.

* * *

Smith pokonywała kolejne zwirowe drogi, potem błotniste koleiny. Unnerby podejrzewał nawet, że się zgubiła, nie okazywała jednak żadnego wahania, nie cofała się ani razu. Za nimi jechały samochody ochrony, równie nierzucające się w oczy jak parada strusi. Błotnista ścieżka kończyła się raptownie na cyplu wychodzącym w morze. Strone zbocza opadały z trzech stron ku wodzie. Kiedyś miejsce to miało pokryć się gęstym lasem, ale na razie nawet milion młodych drzew nie mogło zakryć nagiej skały urwiska.

Smith zatrzymała auto i pochyliła się do przodu na swej grzędzie.

- Przepraszam*, chyba skręciłam w złą drogę. - Machnęła na pierwszy z wozów ochrony, który zatrzymywał się za nimi.

Unnerby patrzył na ocean i niebo ponad nim. Czasami najlepsze są te niewłaściwe drogi.

- Nic się nie stało. Boże, co za widok. - Szczeliny w chmurach przy pomiędzy głębokie kaniony. Przebijało się przez nie czerwone i pomarań czowa światło, odbicie zachodu słońca. Miliardy rubinów lśniły w kroplach wody, które osiadły na roślinności wokół nich. Unnerby wysiadł z auta i przeszedł na skraj cypla. Wilgotne mchy ugięły się miękko pod jego stopami. Po chwili dołączył do niego Sherkaner.

Bryza ciągnąca od oceanu była wilgotna i chłodna. Nie trzeba było meteorologa, by stwierdzić, że zbliża się sztorm. Sierzant spojrzął na wodę. Stali zaledwie o trzy mile od łamaczy, w najmniejszej bezpiecznej odległości w tej fazie słońca. Widzieli stąd turbulencje i słyszeli zgrzyt lo-

VERNOR VINGE

du. Trzy góry lodowe osiadły na mieliźnie. Setki innych ciągnęły się aż po horyzont. Była to odwieczna bitwa, ogień Nowego Słońca zmagał się z lodem ziemi. Żadne z nich nie mogło wygrać. Dopiero po dwudziestu latach Jasności ostatnie fragmenty gór wypływały na powierzchnię i topniały. Wtedy słońce zaczynało już słabnąć. Nawet Sherkaner wydawał się przytłoczony tym widokiem.

• Victory Smith także opuściła samochód, nie poszła jednak za nimi, lecz w drugą stronę, wzdłuż południowej krawędzi cypla. *Biedna Victory. Nie może się zdecydować, czy ta podróż jest obowiązkiem, czy przyjemnością.* Unnerby był właściwie zadowolony, że nie zdążyli dojechać do dowództwa w ciągu jednego dnia.

Wrócili do Smith. Po tej stronie cypla grunt opadał ku niewielkiej dolinie. Na wzniesieniu po drugiej stronie znajdował się jakiś budynek, może mała gospoda. Smith stała w miejscu, gdzie skalna krawędź była wyszczerbiona, a urwisko niezbyt strome. Kiedyś droga zapewne prowadziła w dół doliny, a potem w górę zbocza po drugiej stronie.

Sherkaner stanął obok swej żony i położył lewe ręce na jej ramiona; po chwili Victory także objęła dwiema rękami jego ramiona, nie odzywając się ani słowem. Unnerby podszedł do skraju urwiska i wychylił się do przodu. Ślady drogi ciągnęły się aż na samo dno doliny. Burze i powódzie Wczesnej Jasności utworzyły nowe urwiska. Sama dolina była piękna, nietknięta ludzką ręką i czysta.

- Hm... Nie ma mowy, żeby udało nam się zjechać na dół. Droga jest całkiem rozmyta.

Victory Smith milczała przez chwilę.

- Tak. Rozmyta. To nawet lepiej...

- Moglibyśmy przedostać się na piechotę i pójść tam. - Sherkaner wskazał ręką na gospodę po drugiej stronie doliny. - Sprawdzilibyśmy, czy lady Encl...

Victory uściśnęła go mocno.

- Nie. Nie starczyłoby miejsca dla wszystkich. Zostaniemy tutaj, z moją ochroną.

Po chwili Sherkaner roześmiał się lekko.

- Zgoda. Ciekaw jestem, jak wygląda współczesny zmotoryzowany biwak. - Ruszyli w drogę powrotną. Nim dotarli do samochodów, Sherkaner był już w doskonałej formie, obmyślał konstrukcję ultralekkich na miotów, które mogłyby przetrwać nawet burze Pierwszej Jasności.

PIĘTNAŚCIE

Tomas Nau stał przy oknie swej sypialni i wyglądał na zewnątrz. W rzeczywistości jego pokoje ukryte były pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią Diamentu Pierwszego, widok w oknach przekazywany był jed-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nak z najwyższej wieży Hammerfest. Posiadłość rozrosła się od czasu Wybuchu. Odpowiednio przycięte diamentowe płyty doskonale nadawały się na ściany, a ekipy specjalnych rzemieślników polerowały je", wygładzały i zdobiły fryzami równie pięknymi jak te, które miał w domu.

Grunt wokół Hammerfest został wyrównany, wyłożony metalami z rud zgromadzonych na Diamentcie Drugim. Próbował utrzymać diamenty w takiej pozycji, by tylko na wieżę flagową Hammerfest padało słońce. Już od roku taka ostrożność nie była właściwie konieczna, ale gdy pozostawali w cieniu, mogli wykorzystać lód do osłony i jako spoiwo. Arachna wisiała na niebie, jasny, błękitnobiały dysk szeroki niemal na pół stopnia. Bijący od niej blask oblewał zamek delikatną białą poświatą. Wszystko to było tak różne od pierwszych Msekund po Wybuchu, prawdziwego piekła. Nau pracował pięć lat, by stworzyć ten obraz, piękno i spokój.

Pięć lat. A ile jeszcze lat będą musieli tu spędzić? Trzydzieści do czterdziestu, oceniali specjaliści; tyle, ile zajmie Pająkom stworzenie industrialnej ekologii. Zabawne, jak to wszystko się poukładało. Naprawdę znaleźli się na Wygnaniu, choć zupełnie innym, niż planował to kiedyś na Balacrei. Całkiem inaczej wyobrażał sobie tę misję; kilka wieków z dala od coraz niebezpieczniejszej polityki rodzimego reżimu, okazja, by powiększyć swe zasoby z dala od kłusowników - i szansa, że odkryją sekrety obcej cywilizacji zdolnej do podróży międzygwiazdnych. Nie przypuszczał, że Queng Ho pojawią się tutaj pierwsi.

Wiedza Queng Ho była podstawą cywilizacji Emergentów. Tomas Nau przez całe życie badał Queng.Ho, lecz dopóki nie poznał ich osobiście, nie rozumiał, jak dziwni są Handlarze, jak bardzo różni od jego rodaków. Ich flotę cechowało niezdiscyplinowanie, a postępowanie - naiwność. Zarażenie ich pleśnią mózgu było dziecinnie łatwe, przygotowanie zasadzki niemal równie trywialne. Kiedy jednak bitwa już się rozpoczęła, Handlarze walczyli jak diabły, sprytnie diabły z setką niespodzianek, które musieli przygotować już wcześniej. Ich okręt flagowy został zniszczony w ciągu pierwszych stu sekund -lecz to jakby zmobilizowało ich tylko do jeszcze większego wysiłku. Kiedy wreszcie wirus powalił Handlarzy, obie strony były buskie całkowitego zniszczenia. Potem Nau po raz drugi fatalnie pomylił się w ocenie Queng Ho. Wirus mógł zabić Handlarzy, lecz wielu z nich nie dało się zafiksować. Przesłuchania zakończyły się fatalnie, choć ostatecznie udało mu«ię wykorzystać tę katastrofę do zjednoczenia rozbitków.

Wyposażenie apartamentów Hammerfest i kliniki fiksatów zostało wycięte ze zniszczonych okrętów. Tu i ówdzie wśród ruin nadal funkcjonowały technologicznie zaawansowane urządzenia. Cała reszta musiała pochodzić z surowców zgromadzonych na Diamentach - a za jakiś czas z planety Pajaków.

Trzydzieści do czterdziestu lat. Mogli tego dokonać. Mieli jeszcze dość komór hibernacyjnych, by obsłużyć wszystkich rozbitków. Najważniejszą

VERNOR VINGE

sprawą było teraz badanie cywilizacji Pająków, ich języka, historii i kultury. Dziesięciolecia oczekiwania podzielone zostały na wachty, złożone drzewo dyżurów, kilka Msekund służby i rok lub dwa w hibernacji. Niektórzy, tłumacze i naukowcy, mieli spędzić na wachcie znacznie więcej czasu niż inni. Z kolei piloci i stratedzy mogli przez większość lat pozostać w uśpieniu, by potem nieprzerwanie pełnić służbę aż do końca misji. Nau wyjaśniał to wszystko na spotkaniach ze swoimi ludźmi i z Queng Ho. Jego obietnice były w większości prawdziwe. Queng Ho mieli ogromne doświadczenie w takich operacjach; przy odrobinie szczęścia w ciągu całego Wygnania przeciętny członek załogi będzie aktywny przez dziesięć do dwunastu lat. Nau zamierzał wykorzystać swój czas także do splądrowania biblioteki Handlarzy; chciał nauczyć się wszystkiego, co umieli Queng Ho.

Nau oparł dłoń o powierzchnię okna. Była ciepła jak dywany na ścianach. Do diabła, ta tapeta Queng Ho była naprawdę dobra. Nawet kiedy spoglądał na okno pod kątem, obraz pozostawał czysty i niezniekształcony. Zachichotał cicho. Zarządzanie Handlarzami w czasie Wygnania może okazać się najprostszą częścią misji. To oni mieli doświadczenie w układaniu harmonogramu wacht, które zaproponował Nau.

Ale on sam... Nau pozwolił sobie na chwilę słabości. Ktoś kompetentny i godny zaufania musiał pozostać na wachcie aż do ostatecznego sukcesu misji. Istniała tylko jedna taka osoba, Tomas Nau. Pozostawiony sam sobie, Ritser Brughel zabiłby ludzi niezbędnych do funkcjonowania stacji albo zrobiłby wszystko, by zabić samego Naua. Pozostawiona sama sobie Anna Reynolt mogłaby zarządzać przez lata, gdyby jednak wydarzyło się coś nieoczekiwanego... Cóż, Queng Ho zostali całkowicie ujarzmieni, a po przesłuchaniach Nau nabrał przekonania, że nie pozostały już żadne istotne tajemnice. Gdyby jednak Queng Ho spróbowali jeszcze raz spiskować, Annę Reynolt znalazłaby się na pozycji straconej.

W chwili ostatecznego triumfu Tomas Nau mógł więc mieć nawet sto lat. Według balacreańskich standardów był to wiek średni. Nau westchnął. Trudno. Medycyna Queng Ho z pewnością wynagrodzi mu stracony czas. A potem...

Pokój zadrżał, wibracje przeniknęły ciało Naua poprzez rękę przystawioną do ekranu. Było to już trzecie tapnięcie skał w ciągu ostatnich 40 Ksekund.

W łóżku po drugiej stronie pokoju poruszyła się dziewczyna.

- Sso...? - Qiwi Lin Lisolet ocknęła się ze snu i uniosła mimowolnie ponad łóżko. Pracowała niemal przez trzy dni z rzędu, próbując ponownie ustabilizować skały. Lisolet ogarnęła p*okój nieprzytomnym spojrzeniem. Prawdopodobnie nie wiedziała nawet, co ją obudziło. Wreszcie zatrzymała wzrok na Tomasie Nau, a na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Och, Tomas, znowu nie dosypiasz, martwiąc się o nas?

Wyciągnęła doń ręce. Nau uśmiechnął się nieśmiało i skinął głową. Do diabła, to, co powiedziała, nawet bliskie było prawdy. Przepłynął przez

OTCHŁAŃ W NIEBIE

pokój i oparłszy rękę o ścianę, zatrzymał się przy niej. Qiwi objęła go i razem popłynęli powoli w stronę łóżka. Nau zsunął ręce na jej talie, czuł, jak obejmują go jej silne nogi.

- Robisz wszystko, co możesz, Tomas. Nie próbuj robić więcej. Wszystko się ułoży. - Łagodnie pogłaskała go po karku, a on wyczuł w niej drżenie. To była zatroskana Qiwi Lisolet, Qiwi, która pracowała niemal do całkowitego wyczerpania, jeśli tylko wierzyła, że to powiększy choć odrobinę ich szanse na przetrwanie. Przez dłuższą chwilę dryfowali w milczeniu, aż grawitacja ściągnęła ich do morza koronek, które było ich łóżkiem. ,

Nau przesuwając dłońmi wzdłuż jej tułowia; czuł, jak powoli się rozluźnia, zapomina o troskach. Ta misja przyniosła mu wiele porażek, lecz Qiwi Lin Lisolet była z pewnością jednym z triumfów. Miała czternaście lat, była naiwnym, upartym, przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem, kiedy Nau pokonał flotę Queng Ho. Dziewczynka została zainfekowana pleśnią. Mogła zostać zafiksowana; przez jakiś czas zastanawiał się nawet, czy nie uczynić z niej zabawki, która spełniałaby wszystkie jego cielesne zachcianki. *Pladze dzięki, że tego nie zrobiłem.*

Przez pierwsze lata dziewczyna spędziła wiele czasu w tym pokoju, wciąż płakała. Śmierć matki, „zabitej” przez Diema, uczyniła z niej pierwszego prawdziwego sprzymierzeńca Emergentów. Nau spędził całe Msekundy na pocieszaniu małej Lisolet. Najpierw było to tylko ćwiczenie w sztuce perswazji, które wykonywał z nadzieją, że Qiwi poprawi później jego wiarygodność w oczach innych Handlarzy. W miarę upływu czasu Nau uświadamiał sobie jednak, że dziewczyna może być niebezpieczniejsza i bardziej przydatna, niż przypuszczał. Qiwi spędziła większą część dzieciństwa na wachcie podczas podróży z Trilandu. Wykorzystała ten czas niemal z fiksacyjną intensywnością, ucząc się inżynierii konstrukcyjnej, technologii podtrzymywania życia i praktyk handlowych. Nau nie mógł tego zrozumieć; dlaczego jedno dziecko traktowane było w taki szczególny sposób? Podobnie jak wiele odłamów Queng Ho, Rodzina Lisolet miała własne sekrety, swoją wewnętrzną kulturę. Podczas przesłuchań udało mu się wydobyć z matki dziewczyny prawdopodobne wyjaśnienie. Lisoletowie wykorzystywali czas podróży na kształcenie dzieci, które miały potem objąć ważne pozycje w Rodzinie. Gdyby wszystko odbywało się według planów Kiry Pen Lisolet, dziewczyna byłaby już gotowa do dalszej nauki tutaj w układzie, całkowicie zdominowana przez swą matkę i ślepo jej oddana.

Okazało się, że właśnie dlatego Qiwi doskonale pasuje do planów Naua. Była młoda i utalentowana, rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kogo mogłaby obdarzyć zaufaniem i lojalnością. Mogła pełnić jedną wachtę po drugiej, nie poddając się hibernacji. Nau uznał, że będzie dobrym towarzyszem na długie lata Wygnania, mógł też testować na niej swoje plany. Qiwi była bystra i pod wieloma względami nadal bardzo niezależna. Nawet teraz, kiedy pozbyli się już wszelkich dowodów tego, co naprawdę sta-

VERNOR VINGE

ło się z jej matką i innymi Queng Ho, nadal mogli popełnić jakiś błąd. Życie z Qiwi było ekscytującą grą, nieustanną próbą jego nerwów. **Jednak** teraz rozumiał przynajmniej niebezpieczeństwo i podjął odpowiednie środki ostrożności.

- Tomas... - Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz. - Myślisz, że uda mi się kiedyś ustabilizować te przekłete skały?

Rzeczywiście, był to prawdziwy powód do zmartwienia. Ritser Brughel czy nawet młodszy Tomas Nau nie zdawaliby sobie sprawy, że właściwą odpowiedzią nie jest groźba czy nawet dezaprobata.

- Tak, na pewno coś wymyślisz. Razem coś wymyślimy. Zrób sobie kilka dni wolnego, co? Stary Trinli będzie miał służbę na tej wachcie. Niech on pobawi się tym przez chwilę.

Roześmiana Qiwi wydawała się jeszcze młodsza niż w rzeczywistości.

- O tak, Pham Trinli! - Był to jedyny ze spiskowców Diema, dla którego miała więcej pogardy niż gniewu. - Pamiętasz, kiedy ostatnio zajmował się balansem? Dużo mówi, ale nie ma o niczym pojęcia. Nim się zorientował, diamenty zjeżdżały już z LI i to w tempie trzech metrów na sekundę. Potem przesadził w drugą stronę.* - Znow zaczęła się śmiać. Naprawdę, dziwne rzeczy bawiły tę dziewczynę. Tym wciąż go potrafiła zaintrygować.

Lisolet milczała przez chwilę, a kiedy przemówiła, znow wprawiła grupmistrza w zdumienie.

- Tak... może masz rację. To tylko cztery dni. Ustawię wszystko tak, że nawet Trinlemu nie uda się narobić większych szkód. Rzeczywiście, po trzebuję odpoczynku, muszę przemyśleć kilka spraw. Może jednak da się ustabilizować skały lodowymi klinami... Poza tym tato nie śpi na tej wachcie. Chciałabym spędzić z nim trochę więcej czasu. - Spojrzała nań pytająco, najwyraźniej prosząc o zwolnienie ze służby.

Hm... Czasami manipulacja nie odnosiła oczekiwanego rezultatu. Wcześniej gotów był założyć się o każdą sumę, że nie przyjmie jego oferty. *Nadal mógłbym ją od tego odwieść.* Mógłby też zgodzić się, ale z wyraźną niechęcią, by ją zawstydzić. Nie, nie warto, nie tym razem. *A jeśli już nie zabraniam, to powinienem dawać hojnie, jak dobry i szcudroblivy pan.* Przytulił ją mocniej.

- Tak! Nawet ty musisz nauczyć się odpoczywać.

Westchnęła i uśmiechnęła się figlarnie.

- Och, myślę, że już to umiem. - Sięgnęła w dół i przez chwilę żadnie z nich nic nie mówiło. Qiwi Lisolet była jeszcze niezdarą nastolatką, szybko się jednak uczyła. A Tomas Nau mógł uczyć ją jeszcze przez wieki lat. Kira Pen Lisolet nie miała tyle czasu, a przy tym była dorosłą i oporną kobietą. Nau uśmiechnął się do siebie, wspominając tamte chwile. O tak. Choć na różne sposoby, zarówno matka, jak i córka dobrze mu służyły-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ali Lin nie urodził się w Rodzinie Lisolet. Pochodził z zewnątrz. Ali był prawdziwym klejnotem, jednym z trylioną, geniuszem w dziedzinie parków i żywych istot. I był ojcem Qiwi. Kira i Qiwi bardzo go kochały, nawet jeśli nigdy nie mógł zostać tym, kim była Kira i kim w przyszłości miała stać się Qiwi.

Ali Lin był dla Emergentów jednym z najważniejszych fiksatów. Jako jeden z niewielu miał swoje laboratorium poza Hammerfest. Jako jeden z niewielu nie pozostawał pod starym nadzorem Annę Reynolt czy któregoś z pomniejszych zarządców.

Teraz siedział wraz z Qiwi wśród czubków drzew w parku Queng Ho i prowadził powolną, cierpliwą grę z pajęczakami. Qiwi była tu od dziesięciu Ksekund, jej ojciec nieco dłużej. Kazał jej przeprowadzać testy DNA na nowych szczeniach pajaków śmietniskowych, które właśnie rozmnażał. Najwyraźniej nadal darzył ją zaufaniem, bo tylko od czasu do czasu sprawdzał wyniki jej pracy. Sam zajmował się badaniem liści i obmyślał rozwiązania zagadnienia, które postawiła przed nim Annę Reynolt.

Qiwi spojrzała w dół, na podłoże parku. Drzewa pięły się prosto do „góry”, przystosowywane przez tysiące lat do mikrogravitacji przez ludzi takich jak Ali Lin. Gałęzie pokryte były listowiem tak gęstym, że ich kryjówka była niemal niewidoczna z zacienionego „dołu”. Choć grawitacja praktycznie tu nie istniała, błękitne niebo i ułożenie gałęzi nadały parkowi jednoznaczną orientację. Największymi zwierzętami były tu motyle i pszczoły. Słyszała kojący, jednostajny ton ich brzęczenia. Motyle znajdowały się wszędzie. Owady przystosowane do mikrogravitacji kierowały się sztucznym blaskiem słońca, ich lot był więc dla gości jeszcze jedną wskazówką co do położenia góry i dołu parku. W tej chwili park był pusty, oficjalnie zamknięty ze względu na prace renowacyjne. Nie pokrywało się to do końca z prawdą, ale Tomas Nau pozwolił jej na to drobne oszustwo. W rzeczywistości park stał się po prostu zbyt popularny. Emergenci lubili go nawet bardziej niż Queng Ho. Miejsce tak często odwiedzano, że Qiwi zauważyła już pierwsze oznaki załamania systemu; małe pajaki śmietniskowe nie nadążały z przetwarzaniem odpadów.

Spojrzała na zamyśloną twarz ojca i uśmiechnęła się. W pewnym sensie rzeczywiście zajmowali się teraz renowacją parku.

- To ostatni test; tego właśnie szukasz, tato?

- Hm? - Ali Lin nie podniósł nawet głowy znad swej pracy. Potem jakby ją nagle usłyszał. - Naprawdę? Obejrzyjmy to, Qiwi.

Qiwi podała mu listę.

- Widzisz? Tutaj i tutaj. To właśnie ten wzór, którego szukaliśmy. Dyski imago zmieniają się dokładnie tak, jak tego chciałeś. - Ojciec Qiwi chciał wyższego metabolizmu, nie ograniczając przy tym populacji. W tym parku owady nie miały bakteryjnych drapieżców; walka o życie toczyła się w obrębie ich genomów.

VERNORVINGE

Ali wziął od niej listę. Uśmiechnął się łagodnie, niemal na nią patrząc, niemal ją zauważając.

- Doskonale, właśnie o to mi chodziło.

Słyszając takie słowa, Qiwi Lin Lisolet mogła choć przez moment znów poczuć się jak dziecko. Od dziewiątego do czternastego roku życia Qiwi intensywnie się uczyła. Był to czas samotności, ale jej mama jak zawsze miała rację. Qiwi naprawdę wtedy dorastała, uczyła się być sama w wielkiej ciemności. Poznała systemy podtrzymywania życia, które były specjalnością jej ojca, nauczyła się mechaniki nieba będącej podstawą wszystkich konstrukcji jej matki, a przede wszystkim dowiedziała się, jak bardzo lubi być przy tych, którzy wracali do życia. Jej rodzice spędzili kilka z tych lat w stanie aktywności, dzieląc między siebie obowiązki związane z nauczaniem Qiwi i utrzymaniem statku.

Teraz mama nie żyła, a tata został fiksatem, koncentrował się tylko na jednej rzeczy - biologicznym zarządzaniu ekosystemem. Jednak w obrębie tej fiksacji nadal mogli się komunikować. W latach przed pułapką spędzali razem wiele Msekund wspólnej wachty. Qiwi nadal wiele się od niego uczyła. A czasami, kiedy wglębiali się w skomplikowane zagadnienia równowagi gatunków, czuła się właśnie tak jak w dzieciństwie, gdy tata był całkowicie pochłonięty swą pasją i zapominał, że jego córka także jest żywą osobą. Oboje podziwiali wtedy cuda większe od nich samych.

Qiwi przeprowadzała testy - lecz głównie przyglądała się swemu ojcu. Wiedziała, że jest już bliski ukończenia projektu związanego z pajakami śmietnikowymi, a przynajmniej swojej, części tego projektu. Długie doświadczenie podpowiadało jej, że wtedy przez kilka chwil Ali Lin będzie przypominał normalnego człowieka, że będzie ją zauważał, dopóki jego umysł nie skupi się na jakimś nowym problemie. Qiwi uśmiechnęła się do siebie. *A ja mam taki*. Był to niemal ten sam projekt, który wyznaczili mu Reynolt i Tomas, Qiwi miała więc nadzieję, że uda jej się wykorzystać ojca do własnych celów.

Teraz. Ali Lin westchnął i spojrzął z ukontentowaniem na gałęzie i liście wokół nich. Qiwi miała jakieś pięćdziesiąt sekund. Zsunęła się ze swej gałęzi, utrzymując pozycję czubkiem stopy. Wyjęła kulę bonsai, którą przemyciła do parku, i podała ją ojcu.

- Pamiętasz to, tato? Takie małe, naprawdę maleńkie parki?

Ojciec nie zignorował jej słów. Kule bonsai były dość popularne na pokładach statków odbywających długie podróże. Istniały różne odmiany takich kul, najtańsze mieściły tylko kępki mchu, najdroższe - układy niemal równie skomplikowane jak ten park.

- To jest trochę mniejsze od rzeczy, nad którymi pracowaliśmy. Nie jestem pewna, czy twoje rozwiązania sprawdzą się tutaj.

Odwołanie się do dumy często prowokowało Alego do działania, niemal równie często jak odwoływanie się do miłości. Teraz trzeba było tyl-

ko zagadać tatę w odpowiedniej chwili. Spojrzał na kulę, objął ją mocno, jakby sprawdzając dłońmi jej wymiary.

- Nie, nie! Mogę to zrobić. Moje nowe sztuczki są bardzo skuteczne... Chciałabyś małeńkie jezioro?

Qiwski skinęła głową.

- A pajaki śmietniskowe... mógłbym je zmniejszyć i dodać im kolorowe skrzydła.

- Tak. - Reynold z pewnością pozwoliłaby mu popracować dłużej nad pajakami śmietniskowymi. Były bardzo istotne nie tylko dla parku. Tak wiele rzeczy zostało zniszczonych podczas bitwy. Praca Alego pozwoliłaby rozprościć niewielkie moduły podtrzymujące życie na całej przestrzeni mieszkalnej. Tego rodzaju projekt wymagałby zazwyczaj całego zespołu specjalistów Queng Ho i głębokich poszukiwań w bazach danych floty - ale tato był fiksatem i na dodatek geniuszem. Mógł dokonać tego zupełnie sam i to w ciągu kilku Msekund.

Potrzebował tylko zachęty, która pchnęłaby go w odpowiednim kierunku, czegoś, czego Annę Reynold nigdy nie umiała mu dać. Więc... Ali Lin uśmiechnęła się nagle od ucha do ucha.

- Jestem pewien, że zrobię coś lepszego niż Skarby Namqem. Posłuchaj, udoskonale sieci filtracyjne. Ściółka będzie standardowa, może odrobinę zmodyfikowana, żeby utrzymać owady.

- Tak, tak. - Qiwski kiwała głową. Przez kilkaset sekund prowadzili normalną rozmowę, nim jej ojciec popadł w głębokie zamyślenie, które zamieniało projekty „prostych zmian” w konkretne rozwiązania. Najtrudniejsze kwestie dotyczyły poziomu bakteryjnego i mitochondrialnego, a to znajdowało się już poza zasięgiem Qiwski. Uśmiechnęła się do ojca, prawie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia. Mama byłaby z nich dumna. Niektóre metody taty były zupełnie nowe - a przynajmniej nigdy o nich wcześniej nie słyszała. Domyślała się, że być może pozwolą na budowę bardzo skomplikowanych mikroparków, a przecież jeszcze przed chwilą wcale na to nie liczyła.

Bonsai zwane Skarbami Namqem były mniej więcej tak duże jak to, które trzymała w dłoni, trzydzieści centymetrów średnicy. Niektóre z nich żyły dwieście lat, kompletny zwierzęco-roślinny ekosystem - utrzymujący nawet sztuczną ewolucję. Metoda była prywatną własnością, nawet Queng Ho nie mogli zakupić jej w całości. Stworzenie takiej rzeczy przy mocno ograniczonych środkach misji graniczyłoby z cudem. A gdyby tata rzeczywiście stworzył coś jeszcze lepszego... *hmm*. Większość ludzi, nawet Tomas, uważała, że Qiwski była wychowywana na obrońcę, że miała pójść tą samą drogą co jej mama. Nie rozumieli. Lisoletowie byli Queng Ho. Walka zawsze pozostawała na drugim miejscu. Oczywiście, sporo wiedziała na ten temat. Mama chciała, by poświęciła dekadę lub dwie na naukę tego, co robić. Gdy Wszystko Inne Zawiedzie. Przede wszystkim jednak liczył się handel. Handel i zysk. Zostali pobici przez Emergentów.

VERNOR VINGE

Ale Tomas był przyzwoitym człowiekiem i wykonywał najtrudniejszą pracę, jaką mogła sobie wyobrazić. Robiła wszystko, co w jej mocy, by mu pomóc, by ocalić to, co zostało z ich ekspedycji. Tomas nic nie mógł poradić, że jego kultura była nienormalna.

Ale w końcu to, czy Tomas ich zrozumie, i tak nie ma większego znaczenia. Qiwi uśmiechnęła się do pustej kuli, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądać, gdy wypełni ją dzieło ojca. W cywilizowanych miejscach najbardziej skomplikowane bonsai może osiągnąć cenę całego okrętu gwiazdowego. Tutaj? Cóż, Qiwi mogła zajmować się tym na boku. W końcu była to tylko zabawa, coś, czego Tomas prawdopodobnie nie umiałby zaakceptować. *Aha, chyba będą musiały trochę nad nim popracować.* Znacznie łatwiej dostawała potem pozwolenie. Uważała, że w końcu to Queng Ho zmienia ludzi Tomasa, a nie na odwrót.

Zaczynała właśnie nową sekwencję testów, kiedy z dołu dobiegło jakieś trzeszczenie. Przez sekundę Qiwi nie rozpoznawała tego dźwięku. *Właz w podłódze.* Tego przejścia używało się tylko przy budowie parku. Teraz kłapa rozrywała warstwę mchu. Do diabła.

Qiwi ześliznęła się z ich małego gniazdka i ruszyła powoli w dół, starając się nie łamać gałęzi ani nie rzucać cienia na mech. Fakt, że ktoś wtargnął do parku, kiedy ten oficjalnie zamknięto, nie poruszył jej specjalnie - ba, zrobiłaby to sama, gdyby miała na to ochotę. Ale właz w podłódze nie był już używany. Psuł iluzję parku i niszczył ściółkę. Co za idiota zrobiłby coś podobnego - szczególnie wzięwszy pod uwagę fakt, że Emergenci traktowali wszelkie oficjalne zarządzenia i zasady ze śmiertelną powagą.

Qiwi zawisła tuż nad najniższą warstwą gałęzi. Intruz zmierzał w jej stronę, słyszała już jego głos. Był to Ritser Brughel. Wicegrupmistrz szedł przez mech, klnąc i uderzając coś po drodze. Miał naprawdę bogaty repertuar przekleństw. Qiwi interesowała się żywo takim językiem i słyszała Brughla już wcześniej. Brughel był nie tylko zastępcą Tomasa Nau, ale i żywym dowodem, że przywódcy Emergentów mogą być idiotami. Tomas zdawał sobie sprawę, że człowiek ten jest kiepskim aktorem, umieścił więc kwatery wicegrupmistrza z dala od Hammerfest, na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. Pełnił też wachty w takim samym rytmie jak pozostali członkowie załogi. Podczas gdy biedny Tomas starzał się rok po roku, by zapewnić bezpieczeństwo misji, Brughel był aktywny tylko przez dziesięć z każdych czterdziestu Msekund. Qiwi nie znała go więc dobrze - wiedziała jednak, czego w nim nienawidzi. *Gdyby można było chociaż trochę zaufać temu głupkowi, Tomas nie traciłby dla nas życia.* Słuchała go jeszcze przez chwilę. *Nieźle.* W przekleństwach Brughla kryło się jednak coś, czego nie słyszała u innych ludzi - wydawało się, że wicegrupmistrz traktuje je dosłownie.

Qiwi zaczęła przepychać się głośno między gałęziami. Unosiła się jakieś pół metra nad gruntem, by mogła patrzeć Emergentowi prosto w oczy.

- Park jest zamknięty, grupmistrzu.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Brughel drgnął, zaskoczony. Milczał przez sekundę, jego blada skóra poczerwieniała raptownie.

- Ty mała, bezczelna... co ty tutaj robisz?

- Zajmuję się renowacją. - Cóż, było to przynajmniej bliskie prawdy. Czas na kontratak: - A co pan tutaj robi?

Twarz Brughla pociemniała jeszcze mocniej. Podciągnął się, jego głowa znalazła się o dziesięć centymetrów wyżej od głowy Qiwi. Teraz i jego stopy wisały w powietrzu.

- Nie będę odpowiadał na pytania śmieci. - Trzymał w dłoni ten idio tyczny, stalowy pręt. Był to zwykły metalowy kołek oznaczony tu i ówdzie ciemnymi plamami i nacięciami. Brughel przytrzymał się gałęzi i zamachnął szeroko, rozbijając prętem pęk obok głowy Qiwi.

Teraz i ją ogarnął gniew. Podciągnęła się wyżej, by znów znaleźć się na poziomie Brughla.

- To wandalizm, a nie wyjaśnienie. - Wiedziała, że park jest na pod gładzie - a wandalizm był przestępstwem zarówno w oczach Queng Ho, jak i Emergentów.

Grupmistrz był tak wściekły, że przez moment nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

- To wy jesteście wandalami - wybuchnął wreszcie. - Ten park był piękny, trudno nawet uwierzyć, że zbudowały go takie śmiecie jak wy. Ale teraz próbujecie go zniszczyć. Byłem tu wczoraj. Nawpuszczaliście tutaj jakiegoś robactwa. - Znów machnął metalowym prętem, rozrywając pajęczynę ukrytą między gałęziami. Pająki rozleciały się na wszystkie strony, ciągnąc za sobą jedwabne nici. Brughel dźgnął kilkakrotnie srebrną sieć, wzbijając obłok martwych owadów, fragmentów liści i innych śmieci. - Widzisz? Co jeszcze zatruwacie? - Pochylił się lekko, spoglądając na nią z góry.

Przez chwilę Qiwi patrzyła tylko na niego ogłupiała. Chyba nie mówił tego poważnie? Jak można być takim ignorantem? *T?amiętaj, to prostak.* Podleciała wyżej i wykrzyczała mu prosto w twarz.

" - To park z zerowym ciężeniem, na miłość boską! Jak myślisz, co zbiera te wszystkie śmiecie z powietrza? Te pająki zawsze tu były... choć teraz są może nieco przepracowane. - Właściwie nie chciała, by zabrzmiało to w ten sposób, teraz jednak zmierzyła grupmistrza pogardliwym spojrzeniem, jakby ten był jednym wielkim śmieciem.

Znajdowali się ponad niższą warstwą liści. Kątem oka Qiwi widziała tatę. Niebo iskrzyło się głębokim błękitem. Z tyłu głowy czuła ciepło sztucznego słońca. Jeśli rozegrają jeszcze kilka rund tej idiotycznej zabawy „kto wyżej”, uderzą głowami o plastik. Qiwi zaczęła się śmiać.

Teraz to Brughel patrzył na nią w milczeniu. Miarowo uderzał prętem w otwartą dłoń. Wśród załogi krążyły plotki o tych ciemnych plamach na metalu; z pewnością Ritser Brughel chciał, by ludzie myśleli o nich to, co myśleli. Ale ten facet po prostu nie nosił się jak wojownik. A kiedy ma-

VERNOR VINGE

chał tym prętem, robił to tak, jakby w ogóle nie brał pod uwagę możliwości, że przeciwnik może mu oddać. Teraz jedynym punktem oparcia Bru-gghla była stopa wetknięta pomiędzy gałęzie. Qiwi spięła się wewnątrz i obdarzyła go najbardziej bezczelnym ze swych uśmiechów.

Brughel znieruchomiał na sekundę. Rozejrzał się szybko na boki, a potem bez słowa odepchnął, zawisł na moment, znalazł jakąś gałąź i zanurkował w stronę włazu na dnie.

Qiwi przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Jej ciało przenikały jakieś dziwne uczucia, na razie nie potrafiła ich zidentyfikować. Ale park... jaki był piękny bez Ritsera Brughla! Słyszała brzęczenie pszczół, uwaga skupiona przed chwilą na gniewie grupmistrza powróciła do przyjemniejszej rzeczywistości. Teraz już rozpoznawała dziwne mrowienie w ramionach i gwałtowne bicie serca; wściekłość i strach.

Qiwi Lin Lisolet miała kiedyś kilka upatrzonych ofiar, którym dokuczała bez litości. Podczas okresu przygotowawczego traktowała to niemal jak hobby. Mama mówiła, że wyładowywała w ten sposób frustrację spowodowaną przebywaniem w samotności. Może. Ale także doskonale się bawiła. To było coś innego.

Odwróciła się w stronę gniazda ojca ukrytego między wierchołkami drzew. Wielu ludzi złościło się na nią całymi latami. W tych niewinnych, dziecięcych czasach Ezr Vinh dostawał niemal apopleksji, gdy zbliżała się do niego. *Biedny Ezr, szkoda...* Lecz to dzisiejsze doświadczenie było czymś innym. Widziała tę różnicę w oczach Ritsera Brughla. Ten człowiek naprawdę chciał ją zabić, z trudem się powstrzymał. A powstrzymywała go prawdopodobnie tylko świadomość, że Tomas Nau dowiedziałby się o tym. Gdyby jednak kiedykolwiek Ritser Brughel przydybał ją gdzieś w samotności, poza zasięgiem kamer...

Ręce Qiwi drżały, nim dotarła do Alego Lina. Tato. Tak bardzo chciała, by ją przytulił, by ukoił drżenie. Ali Lin nawet na nią nie patrzył. Tato był fiksatem już od kilku lat, ale Qiwi doskonale pamiętała go z dawniejszych czasów. Dawniej... Tato ruszyłby jej na pomoc już przy pierwszych dźwiękach klótni. Osłoniłby ją przed Ritserem Brughlem, nie zważając na stalowy pręt. Teraz... Qiwi nie pamiętała zbyt wiele prócz Ritsera Brughla, jego zaciętej twarzy. Zostały jednak pojedyncze obrazy; Ali siedział nieruchomo pośród swoich wyświetlaczy i analiz. Słyszał klótnię, nawet zerknął w ich stronę, gdy zaczęli krzyczeć. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby chciał powiedzieć „nie przeszkadzajcie mi”.

Qiwi wyciągnęła drżącą ręką, by dotknąć ramienia ojca. Odtrącił ją, jak odtrąca się natrętnego owada. Pod pewnymi względami tato nadal żył, lecz pod innymi był bardziej martwy niż mama. Tomas powiedział, że fiksację można odwrócić. Ale Tomas potrzebował taty i innych fiksatów takich, jacy byli teraz. Poza tym Tomas został wychowany w świecie Emergentów. Emergenci wykorzystywali fiksację, by czynić z ludzi swą własność. Byli z tego dumni. Qiwi wiedziała, że wielu Queng Ho uważa całe

OTCHŁAŃ W NIEBIE

to gadanie o „odwracalnej fiksacji” za kłamstwo. Jak dotąd żadna z zafiksowanych osób nie została przywrócona do normalnego stanu. *Tomas nie kłamałby w tak ważnej sprawie.*

A może jeśli tato i ona poradzą sobie wystarczająco dobrze, odzyska go wcześniej. Bo to nie była śmierć, która trwała zawsze. Wsunęła się na swe miejsce obok niego i podjęła przerwana pracę. Procesory zaczęły podawać jej pierwsze rezultaty, gdy klóciła się z Ritserem Brughlem.

Tato będzie zadowolony.

Nau nadal spotykał się z Komisją Zarządzającą Floty przynajmniej raz na Msekundę. Oczywiście jej członkowie zmieniali się z wachty na wachtę. Dziś był wśród nich Ezr Vinh; Nau ciekaw był, jak chłopiec zareaguje na niespodziankę, którą przygotował na spotkanie. Brał w nim udział także Ritser Brughel, Nau poprosił więc Qiwi, by nie pokazywała się w sali konferencyjnej. Nau uśmiechnął się do siebie. *Do diabła, nie przypuszczałem, że potrafi go tak upokorzyć.*

Nau połączył narady komisji z zebraniem własnego sztabu i nazwał to spotkaniem „zarządu wachty”. Chciał w ten sposób podkreślić, że bez względu na dzielące ich różnice muszą teraz trzymać się razem i współpracować, bo tylko to zapewni im przetrwanie. Spotkania te nie miały takiego znaczenia jak prywatne konsultacje Naua z Annę Reynolt czy z Ritserem i ludźmi bezpieki. Te często odbywały się pomiędzy regularnymi Wachtami. Mimo to nie kłamał, twierdząc, że załatwia na tych spotkaniach ważne sprawy.

- Przechodzimy teraz do ostatniego punktu zebrania; wyprawa Annę Reynolt na słońce. Annę?

- Raport astrofizyków, grupmistrz - poprawiła go Annę bez uśmiechu. - Najpierw jednak chciałabym załatwić pewną sprawę. Potrzebujemy chociaż jednego niezafiksowanego specjalisty w tym regionie. Wiecie, jak trudno jest oceniać wyniki...

Nau westchnął. Mówiła mu o tym już wcześniej na prywatnym spotkaniu.

- Annę, nie mamy środków. Zostało nam tylko trzech specjalistów w tej dziedzinie. - A wszyscy byli fiksatami.

- A ja powtarzam, że potrzebuję analityka o zdrowym rozsądku. - Wzruszyła ramionami. - No dobrze. Kierując się waszymi rozkazami, od Wybuchu utrzymujemy stałą Wachtę złożoną z dwóch astrofizyków. Pamiętajcie, że mieli pięć lat na przygotowanie tego raportu. - Reynolt machnęła ręką, a w oknie ukazał się obraz zmodyfikowanej taksówki Queng Ho. Po bokach miała dodatkowe zbiorniki z paliwem, a z przodu las czujników. Jedna strona pojazdu była osłonięta srebrną tarczą rozpiętą na rusztowaniu cienkich masztów. - Tuż przed Wybuchem doktor Li i doktor Wen umieścili ten pojazd na niskiej orbicie OnOff. - Drugie okno ukazywało tor lotu i ostateczną orbitę, odległą zaledwie o pięćset kilometrów

VERNOR VINGE

od powierzchni gwiazdy OnOff. - Utrzymując tarczę pod odpowiednim kątem, przez cały dzień lecieli bezpiecznie na tej wysokości.

Właściwie to zafiksowani piloci Jau Xina wykonywali ten lot. Nau skinął głową na Xina.

- To była dobra robota, zarządco pilotów.

Xin wyszczerzył się w uśmiechu.

- Dziękuję panu. Będę miał o czym opowiadać dzieciom.

Reynolt zignorowała ten komentarz. Włączyła kolejne okna ukazujące zdjęcia słońca wykonane z małej wysokości i pod różnymi kątami.

- Od samego początku mieliśmy spore trudności z analizą danych.

Słyszeli teraz nagrane głosy dwóch twarogłowych. Li był Emergen-tem, drugi głos mówił jednak dialektem Queng Ho. To musiał być Wen.

- Zawsze wiedzieliśmy, że OnOff ma masę i gęstość normalnej gwiazdy G. Teraz możemy sporządzić dokładne mapy wewnętrznych temperatur i gęs...

Doktor Li przerwał mu z typową natarczywością dla twarogłowego:

- ...ale potrzebujemy więcej satelitów... Do diabła ze środkami. Po-
trebujemy co najmniej dwustu, czynnych przez cały czas Wybuchu.

Reynolt zatrzymała na moment nagranie.

- Daliśmy im sto mikrosatelitów.

Pojawiły się kolejne okna. Li i Wen z powrotem w Hammerfest, już po Wybuchu, pogrążeni w dyskusji. Raporty Reynolt często wyglądały właśnie tak, zbitka obrazów, tabel i dźwięków.

Znów mówił Wen. Wydawał się bardzo zmęczony.

- Nawet w stanie spoczynku środkowe gęstości były typowe dla gwiazdy G, a jednak nie doszło do kolapsu grawitacyjnego. Turbulencja powierzchniowa sięga zaledwie dziesięć tysięcy kilometrów w głąb. Jak? Jak? Jak?

- I po Wybuchu głęboka struktura wewnętrzna nadal wygląda tak samo - odezwał się Li.

- Nie mamy co do tego pewności; nie możemy podlecieć bliżej.

- Nie, teraz wygląda to całkiem normalnie. Mamy modele...

Głos Wena znów się zmienił. Mówił szybciej, jakby w głębszej frustracji, niemal bólu.

- Tyle danych, a nadal mamy te same problemy co przedtem. Pięć lat badałem drogi reakcji i nadal wiem tyle, co astronomowie z Epoki Świ tu. Coś musi się dziać na przedłużonym rdzeniu, inaczej doszłoby do kolapsu.

Drugi fiksat wydawał się rozdrażniony.

- Oczywiście, nawet w stanie spoczynku gwiazda nadal promieniuje, ale wypromieniowuje coś, co przekształca się w wolnej reakcji.

- Ale co? Co? A jeśli nawet istniałoby takie coś, to dlaczego wyższe warstwy nie ulegają kolapsowi?

- Bo przekształcenie zachodzi u podstawy fotosfery, a ta już mu uległa! Stworzyłem ten model, korzystając z twojego oprogramowania!

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie. Nonsens, nie lepszy niż ten sprzed wieków, -i Ale ja mam dane!
 - No i co z tego? Twoje bazy danych są...
- Reynolt wyłączyła nagranie.
- Rozmawiali tak przez wiele dni. Spora część to specjalistyczny żargon, prywatny język, który często wymyśla sobie para blisko związanych twardegołowych.
- Nau wyprostował się w swoim krześle.
- Skoro potrafia rozmawiać tylko ze sobą, my nie mamy z tego żadnych korzyści. Straciliśmy ich?
 - Nie. Przynajmniej nie w zwykły sposób. Doktor Wen był tak sfrustrowany, że zaczął rozważać sytuacje ekstremalne. U normalnego człowieka może to prowadzić do kreatywności, ale...
- Brughel roześmiał się, szczerze rozbawiony.
- Więc twój astronom całkiem zgłupiał, tak Reynolt?
- Reynolt nawet na niego nie spojrziała.
- Zamilcz - rzuciła. Nau zauważył, że Handlarze byli zdumieni jej reakcją. Ritser był zastępcą dowódcy, oczywistym sadystą pośród władców - a ona karciała go jak dziecko. *Ciekawe, kiedy Handlarze się domyśla.* Bru ghel zmarszczył na moment brwi. Potem jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Opadł na krzesło i spojrzął z rozbawieniem w stronę Naua. Annę kontynuowała spokojnie: -Wen osadzał problem w coraz szerszym i szerszym kontekście. Początkowo miało to jakiś sens.
- Znów rozległ się głos Wena, ta sama pospieszna monotonia.
- Orbita galaktyczna OnOff. Wskazówka. - W oknie pojawił się wy kres przypuszczalnej orbity galaktycznej OnOff. Annę korzystała z nota tek obu naukowców. Wykres obejmował ponad pół miliarda lat: raz na dwieście milionów lat OnOff penetrowała ukryte serce galaktyki. Potem oddalała się od niej coraz bardziej, aż inne gwiazdy stawały się prawie niewidoczne na tle międzygalaktycznej czerni. Tomas Nau nie był astro nomem, wiedział jednak, że gwiazdy tego typu nie mają normalnych ukła dów planetarnych i dlatego też rzadko bywają celem wizyt. Z pewnością było to tylko jedno z pomniejszych dziwactw OnOff.
- Po jakimś czasie Queng Ho zafiksował się zupełnie na orbicie galaktycznej OnOff.
- To coś - to nie może być gwiazda - widziało Jądro Wszystkiego. Setki, tysiące razy, raz za razem, raz za razem... - Reynolt opuściła frag ment, który dokumentował zapewne długą pętlę w myśleniu biednego Wena. Czasami głos fiksata wydawał się spokojniejszy. -Wskazówki. Ma my mnóstwo wskazówek, naprawdę. Zapomnijmy o fizyce; zastanówmy się tylko nad zakrzywieniem biegu światła. Przez dw*ieście piętnaście z każdych dwustu pięćdziesięciu lat emituje mniej energii niż brązowy karzeł. - Okna towarzyszące myślom Wena zmieniały się w zawrotnym tempie, zdjęcia brązowych karłów, znacznie szybsze oscylacje, które fizy-

VERNOR VINGE

cy ekstrapolowali z odległej przeszłości OnOff. - Dzieją się rzeczy, których nie widzimy. Wybuch, zakrzywienie biegu światła jak w przypadku periodycznej Q-nowej, po kilku Msekundach jego spektrum świadczy o reakcjach fuzji zachodzących w jądrze gwiazdy. A potem światło powoli gaśnie... albo zmienia się w coś, czego nie widzimy. To wcale nie jest gwiazda! To magia. To magiczna maszyna, która zepsuła się dawno temu. Założę się, że to był kiedyś szybki generator fal prostokątnych. To jest to! Magia z serca galaktyki, teraz zepsuta, więc dlatego jej nie rozumiemy. Nagranie urwało się nagle, kalejdoskop okien Wena zniknął.

- Doktor Wen utknął całkowicie w tym kręgu pomysłów przez dzie sięć Msekund - powiedziała Reynolt.

Nau wiedział już, do czego to prowadzi, mimo to jednak zrobił zatro-skana minę.

- Więc co nam pozostało?

- Doktor Li radzi sobie całkiem nieźle. Wpadał we własny krąg myśli, dopóki nie oddzieliliśmy go od Wena. Ale teraz zafiksował się na programie identyfikacji układów. Opracował bardzo złożony model, który pasuje do wszystkich obserwacji. - Kolejne obrazy. Teoria nowej rodziny cząstek subatomowych stworzona przez Li. - Doktor Li rozciąga to na kognitywne terytorium, które zmonopolizował Hunte Wen, ale otrzymuje całkiem inne wyniki.

- Tak. Tak! Mój model dowodzi, że tego rodzaju gwiazdy są dość powszechne w pobliżu jądra galaktyki - odezwał się Li. - Bardzo rzadko wchodzi w interakcje, co prowadzi do gigantycznej eksplozji. - Oczywiście zaproponowana przez Li trajektoria po hipotetycznej eksplozji była identyczna z tą, którą wykreślił wcześniej Wen. - Mogę dopasować do tego wszystkie parametry. Nie widzimy migających gwiazd w obłoku rdzenia; nie są dość jasne. Ale raz na miliard lat mamy tę asymetryczną destrukcję i wyrzucenie. - Obrazy hipotetycznej eksplozji hipotetycznego niszczyciela OnOff. Obrazy oryginalnego układu słonecznego OnOff po wybuchu - zniszczeniu ulega wszystko prócz maleńkiego cienia po drugiej stronie OnOff.

Ezr Vinh pochylił się do przodu.

- Boże, wyjaśnił praktycznie wszystko.

- Owszem - przytaknął Nau. - Nawet pojedynczą naturę układu planetarnego. - Odwrócił się od okien i spojrzał na Annę. - Co o tym myślisz?

Reynolt wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Właśnie dlatego potrzebujemy niezafiksowanego specjalisty, grupmistrzu. Doktor Li rozciąga swoją sieć coraz dalej i dalej. To może być symptom klasycznego zafiksowania. A ta teoria cząstek jest naprawdę ogromna; to z kolei może być tautologia Shannona. - Umilkła na moment. Annę Reynolt nie miała ani krzty talentu do tworzenia widowiska, budowania napięcia. To Nau ułożył pytania tak, by prawdziwa bomba po-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

jawiła się na końcu. - Ta teoria jest jednak jego główną specjalnością. I ma poważne konsekwencje, być może szybszy napęd strumieniowy.

Nikt nie odzywał się przez kilkanaście sekund. Queng Ho doskonalił swoje napędy od tysięcy lat, nim jeszcze pojawił się Pham Nuwen. Kradli pomysły z setek cywilizacji. W ciągu ostatnich tysięcy lat nie uczynili praktycznie żadnych postępów. - No, no, no... -Tomas Nau wiedział, jak cudownie czuje się ktoś, kto postawił wielką stawkę... i wygrał. Nawet Handlarze uśmiechali się jak idioci. Pozwolił, by dobry nastrój rozniósł się po sali. To były bardzo dobre wieści, nawet jeśli nagroda czekała ich dopiero na końcu Wagnania. - To znaczy, że nasz astrofizyk jest teraz niezwykle cenny. Czy można zrobić coś z Wenem?

- Obawiam się, że nie możemy go już wyleczyć. - Otworzyła okno z wykresem medycznym. Dla lekarza Queng Ho wyglądałoby to jak prosta diagnostyka mózgu. Dla Annę Reynolt była to mapa strategiczna. -Te dwa połączenia, tutaj i tutaj, związane są z jego pracą nad OnOff; zademonstrowałam to przed chwilą. Jeśli spróbujemy wyciągnąć go z tej fiksacji, wymażemy całą jego pracę ostatnich pięciu lat, a także mnóstwo innych połączeń z ogólną wiedzą. Pamiętajmy, że chirurgia fiksacji to często zabiegi przeprowadzane na wycucie, a granica błędu wynosi mniej niż milimetr.

- Więc zostaje nam warzywo?

- Nie. Jeśli cofniemy fiksację, zachowa osobowość i większość wspomnień i to wcześniejszego okresu. Alę przestanie być dobrym fizykiem.

- Hm... - mruknął Nau, zastanawiając się. Nie mogli więc po prostu zdefiksować tego Handlarza i mieć niezależnego eksperta, którego potrzebowała Reynolt. *A na pewno nie zaryzykuję defiksacji tego trzeciego fizyka.* Istniało jednak pewne sprytnie rozwiązanie, które pozwalało wykorzystać wszystkich trzech mężczyzn. - Dobrze, Annę. Moja propozycja jest następująca. Obudź tego trzeciego fizyka, ale na razie niech pracuje w wolnym cyklu. Zahibernuj doktora Li na czas, kiedy tamten będzie oceniał jego pracę. Nie będzie to tak dobre jak analiza defiksata, ale jeśli zrobisz to sprytnie, powinniśmy otrzymać w miarę obiektywną analizę.

Kolejne wzruszenie ramionami. Reynolt nie bawiła się w fałszywą skromność, ale nie zdawała sobie też sprawy, jaka jest dobra.

- Co do Hunte Wena - kontynuował Nau. - Zrobił dla nas wszystko, co mógł, a my nie możemy go prosić o więcej. -I to dosłownie, jak powiedziała mu Annę. - Chcę, żebyśmy go zdefiksowali.

EzrVinh wpatrywał się weń z otwartymi ustami. Pozostali Handlarze byli niemal równie zszokowani. To posunięcie mogło się okazać nieco ryzykowne; Hunte Wen nie był najlepszym dowodem na odwracalność fiksacji. Z drugiej strony nic innego nie mógł z nim zrobić. *Okaż troskę.*

- Korzystaliśmy z pracy doktora Wena przez pięć lat, a widzę, że jest już w średnim wieku. Wykorzystajcie wszystkie dostępne środki, by przywrócić go do zdrowia.

VERNORVINGE

Był to już ostatni punkt zebrania, które wkrótce potem dobiegło końca. Nau obserwował ludzi opuszczających salę, słuchał, jak rozmawiają z entuzjazmem o odkryciu Li i wyzwoleniu Wena. Ezer Vinh wyszedł ostatni, ale nie rozmawiał z nikim, zajęty własnymi myślami. *Tak, panie Vinh. Sprawuj się dobrze, a może któregoś dnia uwolnię tę, na której ci zależy.*

SZESNAŚCIE

Podczas wachty przejściowej w kwaterach panował niezwykły spokój. Wachty trwały zwykle kilka Msekund i zapełniały się, by ludzie mogli poinformować nową grupę o bieżących problemach. Wachta przejściowa nie była żadną tajemnicą, lecz Nau oficjalnie traktował ją jako odstępstwo od rozkładu, czterodniową przerwę, która co jakiś czas pojawiała się między regularnymi wachtami. Właściwie było to coś na kształt brakującego siódmego piętra albo tego mitycznego dnia, który pojawia się między Pierwszakiem a Wtórniakiem.

- Powiedzcie, czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy mieli takie wachty przejściowe w domu? - żartował Brughel, prowadząc Naua i Kala Omo do sali z kapsułami. - Zajmowałem się bezpieczeństwem na Frenk przez pięć lat - byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym od czasu do czasu usypiał wszystkich i układał sprawy według swoich potrzeb. - Jego głos rozbrzmiewał głośnym echem dochodzącym z kilku stron naraz. Właściwie byli jedynymi aktywnymi ludźmi na pokładzie „Suivre”. W Hammerfest została Reynolt z grupą twardegłowych. Ograniczona do minimum za łoga Queng Ho i Emergentów pracowała przy stabilizacji diamentów. Lecz w sumie tylko dziewięć osób znało ich najważniejsze sekrety. A te raz, pomiędzy wachtami, mogli zrobić wszystko, co konieczne, by chrońić misję.

Wewnętrzne ściany sali hibernacyjnej „Suivre” zostały wyburzone, zainstalowano kilkadziesiąt dodatkowych kapsuł. Spała tu cała wachta A, niemal siedmiuset ludzi. Wachty B i mieszana znajdowały się na „Bris-go Gap”, a C i D na pokładzie „Wspólnego dobra”. Lecz to wachta A miała przystąpić teraz do służby.

Na ścianie pojawiło się czerwone światélko; system danych sali gotów był do kontaktu. Nau nałożył wyświetlacz i nagle przy wszystkich kapsułach pojawiły się nazwiska i specjalizacje. Wszystko było zielone. *Bogu dzięki.* Nau odwrócił się do swego grupsierżanta. Status Kala Omo i najważniejsze dane na jego temat wisiały w powietrzu obok twarzy Naua; system danych wykonywał swe obowiązki bardzo dosłownie.

- Kai, za kilka tysięcy sekund pojawią się tutaj medycy Annę. Nie wypuszczaj ich, dopóki Ritser i ja nie skończymy.

- Tak jest. - Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki uśmíech, kiedy ten odwrócił się i ruszył do wyjścia. Kai Omo już to kiedyś widział; po-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

magął zaaranżować katastrofę „Dalekiego skarbu”. Wiedział, czego się spodziewać.

Tomas Nau i Ritser Brughel zostali sami.

- No dobra, Ritser, znalazłeś jeszcze jakieś zgniłe jabłka?

Ritser uśmiechał się od ucha do ucha; przygotował pewną niespodziankę. Przepłynęli wzdłuż szeregu kapsuł, oświetleni blaskiem bijącym z podłogi. Kapsuły naprawdę dużo przeszły, a jednak nadal działały jak należy - przynajmniej te Queng Ho. Handlarze byli sprytni; rozprawdzali swoją technologię po całej Ludzkiej Przestrzeni, ale ich własny sprzęt był znacznie lepszy od tego, o czym mówili w Sieci. *Ale teraz mamy bibliotekę floty... i ludzi, którzy pomogą nam ją zrozumieć.*

- Sprawdziłem wszystko dokładnie, grupmistrzu. Wachta A jest właściwie czysta, choć... - przerwał i zatrzymał się, oparłszy rękę o jedną z kapsuł - ...choć nie wiem, po co jeszcze trzymasz takie stare próchno. - Postukał w kapsułę swą buławą grupmistrza.

Kapsuły Handlarzy miały szerokie, półokrągłe okna i wewnętrzne oświetlenie. Nawet bez opisu Nau rozpoznałby Phama Trinli. Starzec wydawał się jakby młodszy, kiedy jego twarz pozostawała w bezruchu.

Ritser wziął jego milczenie za niezdecydowanie.

- On wiedział o spisku Diema.

Nau wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Wiedział też Vinh. I kilku innych. A teraz jedzą nam z ręki.

- Ale...

- Pamiętaj, Ritser, uzgodniłszy coś. Nie możemy pozwolić sobie więcej na mokrą robotą, chyba że zajdzie taka konieczność. - Największym błędem, jaki popełnił w całej tej przygodzie, były przesłuchania po zasadzce. Nau kierował się sposobami stosowanymi po Pladze, okrutną strategią, o której zwykli obywatele nie mieli najmniejszego pojęcia. Ale pierwsi grupmistrzowie znajdowali się w całkiem odmiennej sytuacji; mieli mnóstwo zasobów ludzkich. W tej sytuacji... cóż, w przypadku Queng Ho, których można było zafiksować, przesłuchania nie stanowiły żadnego problemu. Inni jednak byli zdumiewająco twardzi. Co najgorsze, nie reagowali na groźby w racjonalny sposób. Ritser trochę się wściekł, a Tomas nie pozostawał w tyle. Zabili ostatnich starszych Handlarzy, nim naprawdę zrozumieli psychikę drugiej strony. Ostatecznie przesłuchania zakończyły się totalnym fiaskiem, ale pozwoliły im też nabrać doświadczenia. Tomas wiedział już, jak radzić sobie z pozostałymi Queng Ho.

Ritser uśmiechnął się.

- Dobra. Przynajmniej będzie nas rozśmieszał. Jak on próbuje się nam podlizać... a jednocześnie udaje, że wcale mu o to nie chodzi! - Machnął ręką na stos kapsuł. - Zgoda. Obudzimy wszystkich zgodnie z planem. I tak musimy wyjaśnić zbyt wiele „wypadków”. - Odwrócił się ponownie do Naua. Nadal się uśmiechał, lecz światło bijące od dołu zamieniało ów

uśmiech w grymas, którym był w rzeczywistości. - Wachta A nie stanowi problemu. Ostatnio odkryłem niesubordynację gdzie indziej.

Nau spoglądał nań z lekkim zdziwieniem. Spodziewał się tego.

- Qiwi Lisolet?

- Tak! Poczekaj, wiem, że widziałeś tę wczorajszą pyskówkę. Ta suka powinna za to zginąć. Ale nie o tym chciałem ci powiedzieć. Mam dowody, że ona łamie Twoje Prawo. I nie działa sama.

Tym razem Nau naprawdę był zaskoczony.

- W jaki sposób?

- Wiesz, że przyłapałem ją w parku Handlarzy z ojcem. Zamknęła park, bo miała taką zachciankę. To mnie tak rozzłościło. Ale potem... Zacząłem ją uważnie obserwować. Zwykły monitoring mógł tego nie zauważyć jeszcze przez kilka wacht; ta mała zdzira korzysta ze wspólnych zasobów. Ukradła materiały z desrylami. Zmieniła obiekt fiksacji jej ojca, żeby ten pomógł w jej prywatnych planach.

Plaga. Qiwi nie powiedziała mu o tym wszystkim.

- Więc... co robi z tymi zasobami?

- Z tymi i innymi, grup mistrzu. Ma mnóstwo planów. I nie działa sama... Chce wymienić te skradzione towary z korzyścią dla siebie.

Przez chwilę Nau nie wiedział, co ma powiedzieć. Oczywiście handlowanie wspólnymi zasobami było przestępstwem. Podczas Lat Plagi więcej ludzi zginęło za handel wymienny i gromadzenie zapasów niż od samej choroby. Ale we współczesnych czasach... Cóż, handel wymienny istniał zawsze w takiej czy innej formie, i on również nie mógł go całkowicie wyeliminować. Na Balacrei stanowił czasem pretekst do większych czystek, ale tylko pretekst.

- Posłuchaj, Ritser - przemówił Nau ostrożnie, kłamiąc. - Wiedziałem o tych wszystkich sprawach. Z pewnością jest to wykroczenie przeciwko literze Mojego Prawa. Ale pomyśl tylko. Jesteśmy o dwadzieścia lat świetlnych od domu. Zadajemy się z Queng Ho. Oni naprawdę są Handlarzami. Wiem, że trudno to zaakceptować, ale całe ich życie kręci się wokół oszukiwania i wykorzystywania społeczności. Nie możemy zakładać, że natychmiast to wykorzystamy...

- Nie! - Brughel odepchnął się od kapsuły i podpłynął bliżej Tomaasa. - Wszyscy Handlarze to śmiecie, ale tutaj chodzi tylko o Lisolet i kilku bezczelnych konspiratorów - a ja mogę ci powiedzieć, kto to jest, kto łamie Twoje Prawo!

Nau domyślał się już, jak do tego doszło. Qiwi Lin Lisolet nigdy nie przestrzegала zasad, nawet wśród Queng Ho. Szalona matka próbowała uczynić z dziewczyny obiekt manipulacji, ale ona i tak pozostawała poza bezpośrednią kontrolą. Qiwi ponad wszystko lubiła się bawić. Powiedziała mu kiedyś: „Zawsze łatwiej otrzymać przebaczenie niż pozwolenie”. To proste twierdzenie opisywało chyba najdobitniej przepaść, jaka dzieliła światopogląd Qiwi od poglądów pierwszego grup mistrza.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie cofnąć się przed napierającym Brughlem. *Co w niego wstąpiło?* Spojrzał prosto w oczy swego zastępcy, ignorując buławę, którą ten ścisnął kurczowo w dłoni.

- Jestem pewien, że mógłbyś ich zidentyfikować. To twoja praca, wicegrupmistrzu. Moja zaś polega także na interpretacji Mojego Prawa. Wiesz, że Qiwi nigdy nie zwalczyła pleśni; w razie konieczności można ją łatwo... utemperować. Chcę, byś informował mnie o tych naruszeniach prawa, ale na razie wolę przymknąć na nie oko.

- Wolisz przymknąć na nie oko? Ty wolisz? Ja... - Brughel zaniemówił na sekundę ze zdumienia. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała tłumiona wściekłość. - Tak, jesteśmy dwadzieścia lat świetlnych od domu. Dwadzieścia lat świetlnych od twojej rodziny. A twój wuj już nie rządzi. - Wiadomość o zamordowaniu Alana Nau dotarła do nich, gdy ekspedycja znajdowała się jeszcze trzy lata świetlne od OnOff. - W domu mogłeś sobie łamać wszystkie zasady, chronić przestępców tylko dlatego, że byli dobrzy w łóżku. - Uderzył buławą w otwartą dłoń. - Tutaj i teraz jesteś bardzo osamotniony.

Śmiertelne rozgrywki pomiędzy grupmistrzami nie podlegały żadnemu prawu. Była to zasada sięgająca jeszcze Lat Plagi - ale również podstawowa prawda natury. Gdyby Brughel rozbił mu teraz czaszkę, Kai Omo poszedłby za wicegrupmistrzem. Nau przemówił jednak cicho!

- Ty jesteś nawet bardziej samotny, mój przyjacielu. Ilu fiksatów jest przypisanych do ciebie?

- Mam... mam pilotów Xina i szpiegów. Mógłbym zmusić Reynolt, żeby przekierowała wszystkich, których będę potrzebował.

Ritser balansował na skraju przepaści, ale powoli się uspokajał.

- Chyba znasz Annę na tyle, by wiedzieć, że to nie takie proste.

Nagle gniew jakby zupełnie opuścił Brughla.

- Tak, masz rację. Masz rację. - Przygarbił się lekko. - Po prostu ta misja wygląda zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Mieliliśmy dość środków, by żyć tutaj jak wysocy grupmistrzowie. Mieliliśmy odkryć świat pełen skarbów. Teraz większość naszych twarogłowych nie żyje. Nie ma my sprzętu ani zapasów, żeby wrócić do domu. Utknęliśmy tu na całe dzie sięciolecia.

Ritser był bliski łez. Nau z fascynacją obserwował to gwałtownie przejście od przemocy do uległości. Przemówił łagodnym, pocieszającym tonem.

- Rozumiem to, Ritser. Znajdujemy się w sytuacji ekstremalnej, to oczywiste. Jeśli sprawia to ból komuś tak silnemu jak ty, coraz bardziej obawiam się o zwykłych członków załogi. - Była to prawda, choć większość załogi miała znacznie słabsze osobowości niż Ritser Brughel. Jak Ritser zostali na kilkadziesiąt lat uwięzieni w ślepej uliczce, gdzie nie mogli nawet marzyć o założeniu rodziny i wychowaniu dzieci. Był to niebezpieczny problem, którego nie mógł przeoczyć. Większość zwykłych lu-

VERNOR VINGE

dzi nie miała jednak kłopotów z kontynuacją starych związków i nawiązaniem nowych; żyło za to prawie tysiąc niezafiksowanych osób. Rit-ser miał bardziej złożone potrzeby, które w tych warunkach ciężko było mu zaspokoić. Zużywał ludzi niczym przedmioty jednorazowego użytku, a ich zasoby były już bardzo ograniczone.

- Nadal jednak możemy liczyć na znalezienie skarbu, może nawet większego, niż przypuszczaliśmy. Pokonanie Queng Ho wiele nas kosztowało, ale teraz poznajemy ich sekrety. Byłeś na ostatnim spotkaniu zarządzających wachty; odkryliśmy fizykę, której nie znali nawet Queng Ho. Najlepsze jeszcze przed nami, Ritser. Pająki są teraz prymitywne, ale życie nie mogło powstać tu samo; w tym układzie słonecznym panują zbyt ekstremalne warunki. Nie jesteśmy pierwszym gatunkiem, który przybył tu z gwiazd. Wyobraź sobie, Ritser, pozaludzka cywilizacja o wysoko rozwiniętej technologii. Jej tajemnice kryją się gdzieś tutaj, w ruinach przeszłości.

Doprowadził swego zastępcę na koniec szeregu kapsuł i ruszyli drugą alejką w drogę powrotną. Wyświetlacz pokazywał wszędzie zieleń, choć jak zwykle kapsuły Emergentów nosiły aż nazbyt wyraźne ślady zużycia. Za kilka lat może im zabraknąć kapsuł do utrzymania normalnego harmonogramu wacht. Flota gwiazdna nie mogła sama zbudować kolejnej floty ani nawet zapewnić sobie przez dłuższy czas materiałów, których produkcja wymagała zaawansowanej technologii. Był to stary problem; do wytwarzania najbardziej zaawansowanych technicznie produktów potrzebna jest cała cywilizacja - cywilizacja o rozwiniętej technologii i wszystkich gałęziach przemysłu. Tu nie istniała żadna droga na skróty; ludzkość często wyobrażała sobie samowystarczalny okręt, lecz nigdy go nie stworzyła.

Ritser wydawał się spokojniejszy, gniew ustąpił miejsca zdrowemu rozsądkowi.

- Zgoda. Poświęcimy wiele, ale wrócimy do domu jako zwycięzcy. Poradzę sobie z tym. Tylko... dlaczego to musi tyle trwać? Powinniśmy od razu wylądować w jakimś królestwie Pająków i przejść...

- Oni dopiero powtórnie wynaleźli elektronikę, Ritser. Potrzebujemy czegoś więcej...

Wicegrupmistrz potrząsnął niecierpliwie głową.

- Tak, tak, oczywiście. Potrzebujemy solidnej bazy przemysłowej. Znam ten problem równie dobrze jak ty; byłem grupmistrzem w Stoczniami Lorbity. Uratować może nas tylko solidny remont. Ale nie rozumiem, dlaczego musimy ukrywać się tutaj, w LI. Jeśli podbijemy jakiś kraj Pająków - lub chociaż będziemy udawać, że się z nim sprzymierzamy - możemy to przyspieszyć.

- To prawda, ale najważniejszym problemem jest utrzymanie kontroli. Tutaj wszystko zależy od czasu. Wiesz, że brałem udział w podboju Gaspr. A właściwie we wczesnej kolonizacji; gdybym przyleciał tam z pierwszą flotą, teraz miałbym miliony. - Nau nie krył zazdrości; Brughel

OTCHŁAŃ W NIEBIE

doskonale rozumiał ten problem. Gaspr był prawdziwą gratką dla najeźdźców. - Boże, co zrobiła ta pierwsza flota. To były tylko dwa statki, Ritser! Wyobraź sobie. Mieli tylko pięciuset twarogłowych - mniej niż my teraz. Ale czaili się w ukryciu, a kiedy Gaspr dotarł ponownie do Ery Informacji, kontrolowali wszystkie systemy danych na planecie. Skarb po prostu sam wpadł im w ręce! - Nau potrząsnął głową, odganiając od siebie tę wizję. - Tak. Moglibyśmy podbić Pajaki już teraz. Być może przyspieszylibyśmy ich rozwój. Ale byłoby to spore ryzyko, mielibyśmy przeciwko sobie obce istoty, o których wiemy jeszcze bardzo niewiele. Gdybyśmy popełnili jakiś błąd, wdah' się w wojnę podjazdową, moglibyśmy bardzo szybko wszystko popsuć... W końcu pewnie byśmy „wygrali”, ale trzydzieści lat oczekiwania mogłoby zamienić się w pięćset. Istnieje już precedens takiej porażki, Ritser, chodź nie pochodzi z naszego Czasu Plagi. Znasz historię Canberry?

Brughel wzruszył ramionami. Canberra była najpotężniejszą cywilizacją w Ludzkiej Przestrzeni, znajdowała się jednak zbyt daleko, by budzić jego zainteresowanie. Podobnie jak większość Emergentów Ritser nie zaprzętał sobie głowy tym, co działo się w wielkim wszechświecie.

- Trzy tysiące lat temu Canberra tkwiła jeszcze w średniowieczu. Podobnie jak Gaspr oryginalna kolonia popadła w całkowite barbarzyństwo, tyle że Canberra dopiero zaczynała się powtórnie cywilizować. Przyleciała tam mała flota Queng Ho; w wyniku jakiejś głupiej pomyłki Handlarze myśleli, że Canberra nadal jest rozwiniętym światem, z którego moż na czerpać zyski. To był ich pierwszy błąd. Drugim było pozostanie na Canberze; mimo wszystko próbowali handlować z tymi dzikusami. Queng Ho mieli całkowitą władzę, mogli robić z nimi, co tylko chcieli.

Brughel chrząknął.

- Domyślam się już, do czego zmierzasz. Ale tamci tubylcy byli prymitywniejsi niż ci tutaj.

- Tak, ale byli ludźmi. A Queng Ho mieli znacznie lepsze zasoby. Wracając do opowieści; zostali na planecie i sprzymierzili się z kilkoma królestwami. Popchnęli miejscową technologię najdalej, jak tylko mogli. Przymierzali się do podboju świata. I nawet im się to udało. Tyle że każdy krok coraz bardziej ich pogrążał. Oryginalna załoga dożyła starości w kamiennych zamkach. Nie mieli nawet kapsułek hibernacyjnych. Połączona cywilizacja Handlarzy i tubylców w końcu stała się potężna i osiągnęła wysoki poziom rozwoju, ale dla pierwszych kolonizatorów było już za późno.

Grupmistrz i jego zastępca dotarli już z powrotem do głównego wejścia. Brughel leciał z przodu, odwracając się tak, że oparł stopy o ścianę. Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na nadlatującego Naua.

Grupmistrz opadł na podłogę i pozwolił, by warstwa czepliwego materiału pokrywającego podeszwy jego butów przytrzymała go w miejscu.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem, Ritser. To Wygnanie jest napraw-

VERNOR VINGE

dę konieczne, ale nagroda może przekroczyć nasze najśmielsze oczekiwania. A tymczasem spróbujemy jakoś zaradzić twoim problemom. Nie możemy pozwolić, żeby grupmistrz cierpiał.

- . Brughel przyjął te słowa z zaskoczeniem i wdzięcznością.
- Dziękuję. Potrzebuję jedynie drobnej pomocy od czasu do czasu.
- Rozmawiali jeszcze przez kilka chwil, ustalając konieczne kompromisy.

W drodze powrotnej z „Suivre” Tomas miał czas na rozmyślenia. Z okien taksówki widział lśniąca powierzchnię skał, niebo poznaczone nieregularnymi kształtami kwater, magazynów i okrętów krążących po orbicie wokół diamentów. Teraz, w czasie wachty przejściowej, nie dostrzegał żadnych ludzkich postaci. Nawet załoga Qiwi pozostawała niewidoczna, ukryta gdzieś w cieniu skał. Daleko, za diamentowymi górami płynęła Arachna. Nad jej wielkimi oceanami pokazały się obszary wolne od chmur. Świat Pająków coraz bardziej przypominał archetypiczną Matkę Ziemię, jeden z tysiąca światów, na których ludzie mogli żyć i prosperować. Arachna miała przypominać raj jeszcze przez jakieś trzydzieści lat - dopóki jej słońce znów nie wygaśnie. *A wtedy będzie już należeć do nas.*

Właśnie przed chwilą znów przybliżył się o krok do ostatecznego sukcesu. Rozwiązał zagadkę i oddalił niepotrzebne zagrożenie. Tomas wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu. Ritser grubo się mylił, sądząc, że życie pierwszego bratanka Alana Nau jest łatwe. To prawda, Alan Nau faworyzował Tomasa. Od początku wiadomo było, że to Tomas będzie kontynuował dominację Nauów nad Emergencją. I to także stanowiło pewien problem, Tomas stawał się bowiem zagrożeniem dla starszego Naua. Sukcesja - nawet w rodzinach grupmistrzów - dokonywała się zwykle poprzez mor derstwo. Alan Nau był jednak sprytny. Rzeczywiście chciał, by jego bratanek przejął po nim władzę, ale dopiero wtedy, gdy dożyje swych dni i umrze śmiercią naturalną. Powierzając Tomasowi Nau dowództwo ekspedycji do gwiazdy OnOff, przedłużał życie swoje i swojego następcy. Tomas miał zniknąć z politycznej sceny na ponad dwa stulecia, a po powrocie dysponować zasobami, które pozwolą mu na kontynuację rządów rodziny Nau.

Tomas zastanawiał się często, czy Ritser Brughel nie jest subtelną formą sabotażu. Przed wyprawą wydawał się dobrym kandydatem na wicegrupmistrza. Był młody, wykazał się przy oczyszczaniu Stoczni Lorbyty. Pochodził z Frenk; jego rodzice jako jedni z pierwszych wsparli inwazję Alana Nau. W miarę możliwości Emergenci starali się upodobnić każdy nowy podbój do Czasu Plagi na Balacrei: masowe zgony, pleśń mózgu, ustanowienie klasy grupmistrzów. Młody Ritser przystosował się do wszystkich wymogów nowego porządku.

Jednak od początku tego wygnania stwarzał problemy; niedbały, niechlujny, bezczelny. Właściwie tak miała wyglądać jego rola, ale Ritser wcale nie udawał. Zamknął się w sobie, unikał towarzystwa. Konkluzja wydawała się oczywista; wrogowie rodziny Nau byli na tyle sprytni, że

OTCHŁAŃ W NIEBIE

zdołali jakoś przechytryć służby bezpieczeństwa wuja Alana i umieścili w załodze swojego człowieka.

Dzisiaj podejrzania i tajemnica zderzyły się ze sobą. / *nie znajduję tu sabotażu ani nawet niekompetencji.* Jego wicegrupmistrz miał po prostu pewne niezaspokojone potrzeby, a był zbyt dumny, by o nich rozmawiać. W domu spełnienie tych zachcianek byłoby proste; to jeden z przywilejów grupmistrzów, choć taki, o którym nie mówiło się głośno. Tutaj, w dziczy... Ritsera czekała naprawdę ciężka próba charakteru.

Taksówka przemknęła ponad najwyższymi wieżami Hammerfest i powoli opadła w cień poniżej.

Zaspokojenie potrzeb Brughła będzie trudne; młody grupmistrz będzie musiał trochę się ograniczyć. Tomas dokonywał już w myślach przeglądu członków załogi i fiksatów. *Tak, mógłbym to zaaranżować.* A gra była warta świeczki. Ritser Brughel był prócz niego jedynym grupmistrzem w promieniu dwudziestu lat świetlnych. Klasa grupmistrzów często wyniszczała samą siebie, potrafiła jednak również zachowywać się bardzo solidarnie. Wszyscy jej członkowie znali tajne strategie. Wszyscy właściwie pojmowali prawdziwe cnoty Emergentów. Ritser był młody, nadal się rozwijał. Jeśli zdoła odpowiednio ułożyć sobie z nim stosunki, być może łatwiej przyjdzie mu rozwiązywać inne problemy.

Ich ostateczny sukces może przewyższyć nawet to, o czym mówił Ritser. Niewykluczone, że będzie większy, niż wyobrażał sobie wuj Alan. Ta wizja umknęłaby nawet Tomasowi, gdyby nie zetknął się osobiście z Handlarzami.

Wuj Alan nie lekceważył nawet bardzo odległych zagrożeń, starał się zapobiegać nawet tym, które dopiero mogły powstać. Lecz nawet wuj Alan nigdy nie zdawał sobie sprawy, że ich rządy obejmują śmiesznie mały obszar: Balacrea, Frenk, Gaspr. Nau opowiedział właśnie Ritserowi Brughlowi o początkach Canberry. Mógł skorzystać z lepszych przykładów, ten jednak należał do jego ulubionych. Kiedy jego rówieśnicy studiowali historię Emergencji i dodawali jakieś trywialne niuansy do strategii, To mas Nau badał historię Ludzkiej Przestrzeni. Nawet tak wielka katastrofa jak Czas Plagi w szerszym ujęciu nie była niczym nadzwyczajnym. W porównaniu z opowieściami z przeszłości scena polityczna Balacrei wydawała się nudna i trywialna. Tomas znał tysiące słynnych strategów, od Aleksandra Macedońskiego do Tarfa Lu... do Phama Nuwena. Spośród nich wszystkich to właśnie Pham Nuwen był dla Naua postacią centralną, największym z Queng Ho.

W pewnym sensie Nuwen stworzył współczesnych Queng Ho. Audycje Handlarzy opisywały życie Nuwena ze szczegółami, były jednak grubo lukrowane. Istniały również inne wersje, przekazywane szeptem między gwiazdami. Każdy aspekt jego życia wart był bliższego badania. Pham Nuwen urodził się na Canberze, tuż przed lądowaniem Queng Ho. Nuwen przyszedł więc do Queng Ho z zewnątrz... i odmienił ich. W ciągu kilku stuleci stworzył Imperium, największe ze wszystkich, jakie dotąd istniały.

VERNORVINGE

Był Aleksandrem całej Ludzkiej Przestrzeni. I - jak w przypadku Aleksandra - jego imperium nie przetrwało próby czasu.

Ten człowiek był geniuszem podboju i organizacji. Po prostu nie miał wszystkich potrzebnych narzędzi.

Nau rzucił ostatnie spojrzenie na błękitnobiałą Arachnę, która zniknęła właśnie za wieżami Hammerfest. Miał teraz marzenie, cel nieporównywalnie donioślejszy od tych, które zaprzętały umysły poprzednich władców Emergencji. Jak dotąd przyznawał się do tego marzenia tylko przed sobą. Za kilka lat podbije pozaludzką rasę, rasę, która kiedyś podróżowała między gwiazdami. Za kilka lat zgłębi sekrety automatyki floty Queng Ho. Wtedy będzie mógł dorównać Phamowi Nuwenowi. Wtedy będzie mógł zbudować gwiazdne imperium. Marzenia Tomasa sięgały jednak dalej, miał już bowiem narzędzie, którego brakowało Nuwenowi, Tarf Lu i wielu innym. Miał fiksjację.

Od spełnienia tego snu dzieliły go długie lata Wygnania i niebezpieczeństw, których nie mógł sobie nawet jeszcze wyobrazić. Czasami zastanawiał się, czy marzenia te nie były szaleństwem. Płoneły jednak tak jasno w jego umyśle.

Dzięki fiksjacji Tomasa Nau będzie mógł zatrzymać wszystko, co zdoł będzie. Emergencja Tomasa Nau obejmie całą Ludzką Przestrzeń, stanie się jednym wielkim imperium. Imperium, które nigdy nie upadnie.

SIEDEMNAŚCIE

Oficjalnie salonik Benny'ego Wena nie istniał. Benny wykorzystał pustą przestrzeń pomiędzy wewnętrznymi balonami. Pracując w wolnym czasie wraz z ojcem, stopniowo ją umeblował, wyposażył w gry i tapetę wideo. Tu i ówdzie na ścianach nadal widniały instalacje, lecz i te przykryto kolorową taśmą.

Kiedy służbę pełniła wachta Phama Trinlego, ów spędzał większość wolnego czasu właśnie tutaj. A odkąd sfuszerował stabilizację LI i przekazał tę pracę Qiwi Lişolet, miał naprawdę sporo wolnego.

Aromat chmielu i jęczmienia uderzył w nozdrza Phama, gdy tylko ten przeszedł przez drzwi. Kilka kropel piwa przepłynęło obok jego ucha i zniknęło w otworze kanału oczyszczającego przy drzwiach.

- Witaj, Pham, gdzieś ty się podziewał? Siadaj. -Większość jego kołogów zajęła już miejsca na suficie saloniku. Pham pomachał do nich i przemknął przez pokój, by ulokować się na zewnętrznej ścianie. W ten sposób siedział odwrócony bokiem do pozostałych, ale w pokoju nie było dużo przestrzeni.

Trud Silipan machnął na Benny'ego, który wisiał nad barem.

- Gdzie to piwo, Benny? Hej, i dołóż jeszcze jedno dla naszego geniusza wojskowości!

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Wszyscy się roześmieli, choć Pham przyjął tę uwagę oburzonym parknięciem. Pracował ciężko nad tym, by uchodzić za bufona i Magiera. Chcesz usłyszeć opowieść o bohaterskich czynach? Posłuchaj tylko PhamaTrinlego. Oczywiście, jeśli sam masz choć trochę obycia w świecie, od razu się zorientujesz, że te historie są zmyślane - a jeśli nawet nie, to bohaterem w rzeczywistości był ktoś inny. Pham rozejrzał się pokoju. Jak zwykle większość klienteli stanowili Emergenci niższych klas, choć nie brakowało też Queng Ho. Minęło już ponad sześć lat od Wybuchu, od „zdrady Diema”. Dla wielu z nich były to prawie dwa lata życia. Pozostali przy życiu Queng Ho uczyli się i przystosowywali. Nie byli jeszcze zasymlowani, lecz jak Pham Trinli stali się integralną częścią Wagnania.

Przez pokój płynął Hunte Wen. Ciągnął za sobą sieć pełną baniek z napojami i przekąskami, które Benny odważył się przemycić do saloniku. Rozmowy przycichły na chwilę, gdy rozdawał zamówione wcześniej towary, otrzymując w zamian papierowy kwitek, przyrzeczenie zapłaty jakąś inną przysługą.

Pham wziął bańkę z piwem. Pojemnik wykonany był z nowego plastiku. Benny miał jakąś umowę z załogami, które pracowały na zewnątrz. Mała przetwornia substancji lotnych ukryta wśród fragmentów lodu i śniegu powietrznego... Stąd właśnie brały się surowe materiały, łącznie z plastikiem na bańki, meblami i częściami do gier. Nawet główna atrakcja saloniku była produktem destylarni - dotkniętym magią bakterium.

Na bańce widniał napis BROWAR LÓD I DIAMENT i kolorowy rysunek przedstawiający diamenty pokryte pianą. Rysunek był bardzo skomplikowany, z pewnością skopiowany z jakiegoś ręcznie wykonanego obrazu. Pham wpatrywał się weń przez chwilę. Powstrzymał pytania cisnące mu się na usta. Z pewnością zadadzą je inni... na swój sposób.

Trud i jego przyjaciele roześmieli się głośno, gdy zauważyli rysunek.

- Hej, Hunte, ty to zrobiłeś?

Starszy Wen uśmiechnął się nieśmiało i skinął głową.

- Całkiem niezłe. Choć nie tak, jak zrobiłby to zafiksowany artysta.

- Myślałem, że zanim odzyskałeś wolność, byłeś fizykiem?

- Astrofizykiem. Ja... niewiele już z tego pamiętam. Próbuje nowych rzeczy.

Emergenci gawędzili z Wenem jeszcze przez kilka minut. Większość traktowała go przyjaźnie i - z wyjątkiem Truda Silipana - szczerze mu współczuła. Pham pamiętał Hunte Wena sprzed zasadzki, otwartego, dobrodusznego naukowca. Cóż, nadal był dobroduszny. Uśmiechał się często, ale niepewnie, jakby przepraszająco. Jego osobowość przypominała kryształowe naczynie, kiedyś rozbite, a potem starannie sklezione z drobnych odłamków, funkcjonalne, lecz wyjątkowo kruche.

Wen odebrał ostatni kwitek i ruszył z powrotem w stronę baru. Zatrzymał się jednak w pół drogi, podciął do tapety i wbił spojrzenie w rozgwieżdżone niebo. Wydawało się, że zapomniał o nich wszystkich, znów

VERNORVINGE

pochłonięty wyłącznie tajemnicą gwiazdy OnOff. Trud Silipan zachichotał i pochylił się nad stołem w stronę Trinlego.

- Dziwadło, co? Większość defiksatów trzyma się znacznie lepiej.

Benny Wen wyszedł zza baru i odciągnął swego ojca od ściany. Benny był kiedyś jednym ze spiskowców Diema, chyba najaktywniejszym spośród tych, którzy przeżyli.

Rozmowa wróciła do ważniejszych spraw. Jau Xin chciał znaleźć kogoś z wachty A, kto zgodziłby się przenieść do wachty B; dzięki temu mógłby się spotkać ze swoją kobietą. Tego rodzaju zmiany musiały zostać zatwierdzone przez grupmistrza, jeśli jednak wszyscy są chętni... Ktoś zauważył, że niektóre kobiety Queng Ho z Kwatermistrzostwa aranżują takie układy w zamian za inne przysługi.

. - Przeklećci Handlarze, za wszystko każą sobie płacić - mruknął Silipan.

Trinli zabawił ich opowieścią - prawdziwą, choć tak absurdalną, że słuchacze z pewnością uznali ją za zmyślenie - o misji długich wacht, którą rzekomo dowodził. - Spędziliśmy pięćdziesiąt lat tylko z czterema wachtami. W końcu musiałem złamać zasady i dopuścić do lotu dzieci. Ale do tego czasu mieliśmy już...

Pham zmierzał właśnie do puenty, kiedy Trud Silipan szturchnął go w bok.

- Psst! Mój panie, przybyła twoja nemezis. -Ta uwaga wywołała oczywście ogólne rozbawienie." Pham spojrział gniewnie na Silipana, a potem odwrócił się do drzwi.

Do wnętrza sali wpłynęła właśnie Qiwi Lin Lisolet. Podleciała do baru i zatrzymała się obok Benny'ego Wena. Gwar rozmów przycichł na moment i Trinli mógł słyszeć jej głos.

- Benny! Masz te układy? Gonie może... - Jej słowa ucichły, gdy oboje przeszli za bar, a w sali znów podniósł się hałas. Qiwi najwyraźniej rozkręcała jakiś nowy interes związany z salonikiem Benny'ego.

- Czy to prawda, że ona nadal zajmuje się stabilizacją skał? Myślałem, że to twoje zadanie, Pham.

Jau Xin skrzywił się niechętnie.

- Daj spokój, Trud.

Pham podniósł rękę, odgrywając rolę zirytowanego starca, który próbuje dodać sobie powagi.

- Mówiłem ci już, zostałem awansowany. Lisolet zajmuje się szczegółami, a ja nadzoruję całą pracę dla grupmistrza Naua. - Spojrział w stronę Qiwi, starał się przybrać wrogą minę. *Ciekawe, co ona znowu kombinuje.* To dziecko było zdumiewające.

Kątem oka dojrzał, jak w odpowiedzi na karcące spojrzenie Jau Kina Silipan wzrusza przepaszając ramionami. Wiedzieli, że Pham jest oszustem, mimo to jednak cieszył się ich sympatią. Jego opowieści, choć ich zdaniem w większości zmyślane, zawsze były interesujące. Trud Sili-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

pan po prostu nie umiał się czasami powstrzymać od złośliwości. Teraz zastanawiał się zapewne, jak naprawić swój nietakt.

- Tak. - Pokiwał głową. - Niewielu z nas kontaktuje się bezpośrednio z grupmistrzem. Ale ja powiem wam coś o Qiwi Lin Lisolet. - Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, kto jeszcze siedzi w saloniku. - Wiecie, że zarządzam twarogłowymi dla Reynolt - zapewniamy wsparcie szpiegom Ritsera Brughla. Rozmawiałem z tymi chłopakami. Nasza panna Lisolet jest na ich czarnej liście. Ma na sumieniu więcej, niż możecie sobie wyobrazić. - Wskazał na meble. - Jak myślicie, skąd pochodzi ten plastik? Teraz, kiedy przejęła pracę Phama, przez cały czas siedzi na zewnątrz. Potem przemycą różne produkty ludziom takim jak Benny.

Jeden ze słuchaczy pomachał do niego banką z piwem.

- Zdaje się, że ty chętnie z tego korzystasz, Trud.

- Wiesz, że nie o to chodzi. Posłuchajcie, Lisolet, Benny i jemu podobni wykorzystują wspólne zasoby. -Wszyscy pokiwali posępnie głowami. - Choć przy okazji korzystają na tym i inni, nadal jest to kradzież wspólnego dobra. - Jego spojrzenie nagle stwardniało. -W Czasach Plagi niewiele grzechów mogło się z tym równać.

- Tak, ale grupłtnistrz o tym wie. W sumie nikomu nie przynosi to większej szkody.

- To prawda. Na razie to tolerują. - Silipan uśmiechnął się chytrze. - Dopóki ona sypia z grupmistrzem Nauem. - Była to kolejna plotka, którą często powtarzano wśród członków załogi.

- Posłuchaj, Pham. Jesteś Queng Ho. Ale w zasadzie jesteś wojskowym. To szacowna profesja i stawia cię bardzo wysoko, bez względu na twoje pochodzenie. Widzisz, w każdym społeczeństwie istnieją warstwy moralne. - Silipan najwyraźniej powtarzał cudze mądrości. - Na samej górze są grupmistrzowie, wy nazwalibyście ich pewnie mężami stanu. Potem idą przywódcy wojskowi, pod nimi są zarządcy personelu*technicy i obrońcy. Jeszcze niżej... robactwo różnych kategorii; upadli członkowie wyższych warstw, ludzie, którzy mogą jeszcze kiedyś powrócić do systemu. Pod nimi są robotnicy i farmerzy. A na samym dnie, gdzie gromadzą się najgorsze szumowiny, tam właśnie znajdują się Handlarze. - Silipan uśmiechnął się do Phama. Najwyraźniej był przekonany, że prawi mu komplementy, że ustawił Phama wśród najwyższych kast społeczeństwa. -Handlarze żywią się martwymi i umierającymi, są zbyt tchórzliwi, by kraść siłą.

Nawet głupawe *alter ego* Phama powinno się oburzyć na tę analizę. Pham przybrał więc urażoną minę i oświadczył:

- Wiedz, że Queng Ho istnieje w obecnej formie już od tysięcy lat. To chyba o czymś świadczy.

Silipan uśmiechnął się serdecznie.

- Wiem, że trudno to zaakceptować, Trinli. Jesteś dobrym człowiekiem, rozumiem, że chcesz być lojalny. Ale myślę, że i ty to rozumiesz.

VERNOR VINGE

Handlarze zawsze będą z nami, czy to na nielegalnych bazarach, czy ukryci między gwiazdami. Ci ostatni nazywają siebie cywilizacją, ale są tylko pasożytami, które żerują na prawdziwych cywilizacjach.

Pham odchrząknął niepewnie.

- Chyba nigdy jeszcze nie usłyszałem tylu komplementów i obelg jednocześnie.

Wszyscy roześmieli się głośno, a Trud Silipan był najwyraźniej przekonany, że jego wykład podniósł Trinlego na duchu. Pham już bez przeszkód dokończył swoją opowieść. Potem rozmowa przeszła na inne tematy, spekulacje dotyczące Arachny i Pająków. Zazwyczaj Pham Trinli przysłuchiwał się takim dyskusjom ze starannie skrywanym entuzjazmem. Dziś brak zainteresowania nie był tylko pozą. Powrócił spojrzeniem do baru. Benny i Qiwi, skryci do połowy za blatem, spierali się o szczegóły jakiejś umowy. Choć jego wywód był w większości stekiem bzdur, Trud Silipan miał jednak rację w kilku kwestiach. Przez ostatnie kilka lat rozkwitało tu podziemie. Nie była to oczywiście klasyczna konspiracja w rodzaju tej, którą zajmował się Jimmy Diem. Dla Queng Ho właściwie wcale nie była to konspiracja, lecz zwykły handel. Benny, jego ojciec i wielu, wielu innych naginało prawo grupmistrza do swych potrzeb czy też działało zupełnie wbrew temu prawu. Jak dotąd Nau nie próbował się mścić, a poczynania Queng Ho poprawiły sytuację niemal wszystkich przebywających na Wygnaniu. Pham widział już kiedyś coś podobnego - kiedy Queng Ho nie mogli swobodnie handlować, nie mogli uciekać ani walczyć.

W samym centrum tego wszystkiego znajdowała się mała Qiwi Lin Lisolet. Pham spojrzął na nią z zaciekawieniem. Na moment zapomniał nawet, że powinien robić srogą minę. Qiwi straciła tak wiele. Niektórzy mogliby jej też zarzucić, że się sprzedała. A jednak była tutaj, aktywna wachta po wachcie, prowadziła interesy na coraz szerszą skalę. Pham powstrzymał uśmiech, który cisnął mu się na usta, i zmarszczył gniewnie brwi. Gdyby Trud Silipan czy Jau Xin dowiedzieli się kiedykolwiek, co naprawdę czuje do Qiwi Lisolet, uznaliby go za szaleńca. Gdyby zrozumiał to ktoś tak bystry jak Tomas Nau, mógłby dopowiedzieć sobie całą resztę - i to byłby koniec Phama Trinli.

Kiedy Pham patrzył na Qiwi, widział - wyraźniej, niż kiedykolwiek w życiu - siebie. To prawda, Qiwi była kobietą, a seksizm należał do tych dziwactw Phama, których nie musiał udawać. Lecz podobieństwa między nimi sięgały głębiej niż płęć. Qiwi miała... ile, osiem lat?, kiedy wyruszyła w tę podróż. Spędziła prawie pół dzieciństwa w ciemności pomiędzy gwiazdami, a jej jedynym towarzystwem byli dorośli, którzy właśnie pełnili wachtę. Teraz znalazła się w zupełnie innej kulturze. A mimo to przetrwała, dzielnie stawiała czoło każdemu nowemu wyznaniu. I wygrywała.

Pham popadł w głębokie zamyślenie. Nie słuchał już swoich kompanów. Nie obserwował nawet Qiwi Lin Lisolet. Przypominał sobie czasy sprzed ponad trzech tysięcy lat, sprzed trzystu lat jego własnego życia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Canberra. Pham miał trzynaście lat, był najmłodszym synem Trana Nuwena, Króla i Pana całej Północnej Krainy. Pham wychowywał się wśród mieczy, trucizn i intryg, w kamiennych zamkach nad zimnym morzem. Bez wątplenia padłby w końcu ofiarą morderstwa - albo zostałby królem całej planety - gdyby jego życie upływało nadal w średniowiecznym świecie. Lecz kiedy miał trzynaście lat, wszystko się zmieniło. W świecie, który znał radio i okręty powietrzne tylko z legend, pojawili się międzyplanetarni kupcy, Queng Ho. Pham nadal pamiętał piekielny syk i kłęby pary bijące z Wielkiego Bagna za zamkiem, na którym wylądowały ich szalupy. W ciągu roku polityka feudalna Canberri została postawiona na głowie.

Queng Ho wysłał trzy okręty w ekspedycję na Canberę. Mocno się przeliczyli, zakładając, że do momentu ich przybycia tubylcy będą się znajdować na znacznie wyższym poziomie rozwoju. Nawet zasobne królestwo Trana Nuwena nie mogło zapewnić im środków koniecznych do uzupełnienia zapasów. Dwa okręty zostały na planecie. Młody Pham odleciał z trzecim - jako zakładnik, którego Tram Nuwen oddawał im bez większych skrupułów.

Ostatni dzień Phama na Canberze był zimny i mglisty. Podróż z zamku do moczarów zajęła prawie cały poranek. Mały Pham Nuwen po raz pierwszy mógł obejrzeć statki przybyszów z bliska, co wprawiło go w stan bliski euforii. Chyba nigdy wcześniej ani później w swym życiu nie mylił się co do tak wielu spraw; okręty gwiazdne majaczące we mgle były tylko ładownikami. Wysoki, dziwny kapitan, który przywitał ojca Phama, był w rzeczywistości drugim oficerem. Trzy kroki za nim szła młoda kobieta, jej twarz wyrażała niechęć i dyskomfort - kochanka? służąca? Prawdziwy kapitan, jak się później okazało.

Ojciec Phama dał sygnał ręką. Nauczyciel chłopca i jego służący poprowadzili go przez błota, w stronę statku. Dłonie służących trzymały go mocno, ale Pham nawet tego nie zauważył. Patrzył w górę zdziwiony, pożerał wzrokiem „gwiazdne okręty”, wodził nim po szerokich łukach lśniącego metalu. Taką perfekcję widział dotąd tylko na obrazach lub w klejnotach, lecz to był sen na jawie.

Wszedłby na pokład ładownika zupełnie nieświadomy zdrady, gdyby nie Cindi. Cindi Ducanh, młodsza córka kuzyna Trama. Jej rodzina była wystarczająco ważna, by mieszkać na dworze, nie dość ważna jednak, by mieć jakieś znaczenie i wpływy. Cindi miała piętnaście lat, była najdziwniejszą, najdziwnszą osobą, jaką Pham kiedykolwiek znał, tak dziką, że nie znał nawet słów, którymi mógłby ją opisać - choć „przyjaciółka” w zupełności by wystarczyło.

Nagle wybiegła do przodu, stanęła pomiędzy nimi i przybyszami z gwiazd.

- Nie! Tak nie można. To jest podłe. Nie... - Uniosła dłonie, jakby chciała ich zatrzymać. Z boku dobiegł krzyk jakiejś kobiety. To matka Cindi łąła swoją córkę.

VERNOR VINGE

To był taki głupi, beznadziejny gest. Eskorta Phama nawet nie zwołała. Jej nauczyciel zamachnął się szeroko swym kijem, mierząc w nogi Cindi. Upadła.

Pham odwrócił się, chciał do niej biec, lecz teraz mocne ręce podniosły go nad ziemię, unieruchomiły. Kiedy widział Cindi po raz ostatni, ta podnosiła się z błota, wciąż patrząc w jego stronę, nieświadoma, że już zmierzają do niej strażnicy króla. Pham Nuwen nigdy nie dowiedział się, jaką karę poniosła jedyna osoba, która miała dość odwagi, by stanąć w jego obronie. Wieki później powrócił na Canberę, dość bogaty, by kupić całą planetę, nawet w jej nowej, cywilizowanej postaci. Przeglądał stare księgi, fragmentaryczne zapiski cyfrowe pozostawione przez Queng Ho, którzy zostali wtedy na planecie. Nie było tam żadnej wzmianki o następstwach czynu Cindi, nie znalazł też nic pewnego w kronikach jej rodziny z późniejszych czasów. To, co zrobiła Cindi i to, co ją za to spotkało, w oczach jej współczesnych nie miało po prostu znaczenia.

Phama prowadziła w żelaznym uścisku eskorta. Przez moment widział swych braci i siostry, młodych mężczyzn i kobiety o zimnych, twardych twarzach. Dziś zostało usunięte jedno, niewielkie zagrożenie. Służący zatrzymali się przed ojcem Phama, królem. Starzec - w rzeczywistości miał wtedy zaledwie czterdzieści lat - patrzył na niego przez chwilę. Tran zawsze był dlań istotą odległą, kapryśną i nieobliczalną, zamkniętą za grubym murem nauczycieli, dziedziców i dworzan. Jego usta ściągnęły się teraz w cienką linię. Przez moment w jego twardych oczach pojawił się cień współczucia. Dotknął twarzy Phama.

- Bądź silny, chłopcze. Nosisz moje nazwisko.

Tran odwrócił się, powiedział coś do gwiazdnych przybyszów. Pham znalazł się w obcych rękach.

Jak Qiwi Lin Lisolet, Pham Nuwen został wyrzucony w wielką ciemność. I jak Qiwi, Pham czuł się tam kimś obcym.

Pamiętał te pierwsze lata wyraźniej niż jakikolwiek inny okres w swym życiu. Bez wątplenia załoga chciała wsadzić go do kapsuły hibernacyjnej i wyrzucić przy najbliższym postoju. Co można zrobić z dzieckiem, który myśli, że istnieje tylko jeden świat i do tego płaski, który przez całe życie uczył się tylko wymachiwania mieczem?

Pham Nuwen miał jednak własne plany. Kapsuły hibernacyjne śmiertelnie go przerażały. „Repryza” nie opuściła jeszcze orbity Canberry, kiedy mały Pham zniknął ze swej kabiny. Zawsze był mały jak na swój wiek, a do tej pory zorientował się już, jak działa zdalny nadzór. Załoga okrętu szukała go przez ponad cztery dni. Oczywiście, w końcu Pham przegrał, a jakiś bardzo zły Queng Ho zaciągnął go przed oblicze kapitana.

Wtedy wiedział już, że jest nim „służąca”, którą widział na mokradłach. Lecz choć wiedział, nadal trudno mu było w to uwierzyć. Jedna słaba kobieta dowodziła okrętem gwiazdnym i załogą złożoną z tysiąca osób

OTCHŁAŃ! W NIEBIE

(choć wkrótce prawie wszyscy zeszli ze służby, poddając się hibernacji). Hm... Może była kiedyś kochanką właściciela, ale otruła go i przejęła władzę. Był to całkiem prawdopodobny scenariusz, choć czynił z niej bardzo niebezpieczną osobę. W rzeczywistości Sura była tylko młodszym kapitanem, liderem frakcji, która sprzeciwiała się pozostaniu na Canberze. Ci, którzy postanowili jednak zostać, nazywali ich asekuranckimi tchórzami. Teraz zmierzali z powrotem do domu, ku nieuchronnemu bankructwu.

Pham dobrze pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy złapali go w końcu i przyprowadzili na mostek. Spojrzała groźnie na małego księcia, chłopca wciąż odzianego w aksamitne ubranie canberrańskiej arystokracji.

- Opóźniłeś pierwszą wachtę, młody człowieku.

Język, którym posługiwała się kobieta, był dlań dziwny, ledwie rozumiała. Chłopiec opanował strach i poczucie samotności, po czym odpowiedział jej równie kardymal spojrzeniem.

- Jestem twoim zakładnikiem, a nie sługą czy ofiarą.

- Cholera, co on powiedział? - Sura Vinh spojrzała na swoich poruczników. - Posłuchaj, synu, ten lot będzie trwał sześćdziesiąt lat. Musimy cię uśpić.

Ostatnie zdanie przebiło się jakoś przez barierę języka, brzmiało jednak podejrzanie podobnie do tego, co powiedział stajenny, kiedy chciał zabić konia.

- Nie! Nie wsadzicie mnie do trumny.

Tym razem Sura Vinh także go rozumiała.

Jeden z poruczników powiedział coś szybko do Vinh. Zapewne coś w rodzaju: „To, czego on chce, nie ma żadnego znaczenia”.

Pham przygotował się wewnątrz do walki, choć wiedział, że skazany jest na porażkę. Sura jednak patrzyła nań przez chwilę, a potem wyprosiła wszystkich z biura. Obydwoje rozmawiali przez kilka Ksekund we wspólnym języku. Pham znał intrygi i strategię dworskie wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że żadna z nich nie miała tu zastosowania. Nim skończyli, chłopiec zanosił się płaczem, a Sura trzymała ręce na jego ramionach i próbowała go pocieszyć.

- To będą dziesiątki lat - mówiła. - Rozumiesz to?

- ...t-tak...

- Przybędziesz na miejsce jako starzec, jeśli nie pozwolisz nam się uśpić. - Znów użyła niewłaściwego słowa.

- Nie, nie, nie! Wolałbym raczej umrzeć. - Żadne zdroworozsądkowe argumenty nie przemawiały do Phama Nuwena.

Sura milczała przez chwilę. Wiele lat później powiedziała Phamowi, jak to spotkanie wyglądało z jej strony.

- Tak, mogłam wsadzić cię siłą do kapsuły. Byłoby to rozropne i etyczne - i oszczędziłoby mi mnóstwa kłopotów. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego komisja floty Denga kazała mi cię przyjąć; wściekli się na mnie, ale wtedy naprawdę przesadzili.

VERNOR VINGE

Więc byłeś tam ze mną, mały chłopiec sprzedany przez własnego ojca. Nie chciałam traktować cię tak jak on i komisja. Poza tym gdybyś spędził całą podróż w uśpieniu, po przylocie na Namąem nadal byłbyś zerem, bezradnym zwierzakiem w świecie rozwiniętej technologii. Więc dlaczego właściwie nie pozostawić cię aktywnym i nauczyć podstaw? Pomyślałam, że za jakiś czas sam się przekonasz, jak długie wydają się lata w podróży, i że wtedy hibernacja nie będzie już wydawała ci się taka okropna.

Nie było to jednak proste. Należało przeprogramować systemy bezpieczeństwa okrętu, przystosować je do obecności nieodpowiedzialnej jednostki. Nie mogli sobie pozwolić na wachty przejściowe, zupełnie pozabawione aktywnych członków załogi. W końcu jednak dokonano koniecznych zmian, a kilku Queng Ho zgodziło się przedłużyć swe wachty.

„Repryza” osiągnęła prędkość podrózną, trzy dziesiąte prędkości światła, i płynęła nieustannie przez czarną otchłań.¹

A Pham Nuwen miał mnóstwo czasu dla siebie. Kilku członków załogi - Sura, przez pierwsze wachty - próbowało go uczyć. Początkowo Pham był bardzo oporny... ale czas spędzony w beczynności coraz bardziej mu się dłużył. Nauczył się mówić językiem Sury. Dowiedział się, czym jest Queng Ho.

- Handlujemy między gwiazdami - powiedziała Sura. Siedzieli razem na mostku „Repryzy”. Okna pokazywały symboliczną mapę układów pięciu gwiazd, w którym krążyli Queng Ho.

- Więc Queng Ho to imperium - orzekł chłopiec, patrząc na gwiazdy i próbując wyobrazić sobie, jak wygląda ten obszar w porównaniu z królestwem jego ojca.

Sura się roześmiała.

- Nie, nie jesteśmy imperium. Żaden rząd nie mógłby utrzymać się na obszarze tylu lat świetlnych. Większość rządów nie trwa też dłużej niż kilkaset lat. Polityka może się zmieniać, ale handel jest wieczny.

Mały Pham Nuwen zmarszczył brwi. Nawet teraz niektóre wypowiedzi Sury wydawały mu się nonsensowne.

- Nie. To musi być imperium.

Sura nie spierała się dłużej. Kilka dni później zeszła ze służby, martwa w jednej z tych dziwnych, zimnych trumien. Pham niemal błagał ją, by się nie zabijała, a później przez kilka Msekund oplakiwał jej stratę. Otaczali go teraz obcy ludzie, kolejne dni ifływały mu w samotności. W końcu nauczył się czytać nese.

A dwa lata później Sura zmartwychwstała. Chłopiec nadal nie chciał schodzić ze służby, chętnie jednak przyjmował wszystko, czego chcieli go uczyć. Wiedział, że Queng Ho dysponują władzą niedostępną dla lordów z Canberry i że on także może ją kiedyś osiąść. W dwa lata nadrobił to, czego dziecko w normalnej cywilizacji uczy się przez pięć. Doskonale dawał sobie radę z matematyką; umiał korzystać z interfejsów programowych Queng Ho pierwszego i drugiego stopnia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sura wyglądała niemal tak samo jak wtedy, gdy kładła się do trumny, choć w pewien sposób wydawała się nawet młodsza. Któregoś dnia zauważył, że Sura dziwnie mu się przypatruje.

- O co chodzi? - spytał.*

Sura uśmiechnęła się szeroko.

- Nigdy nie widziałam dziecka w takim długim locie. Ile masz teraz lat, piętnaście? Bret mówił mi, że sporo się nauczyłeś.

- Tak, chcę zostać Queng Ho.

- Hm... - Znów się uśmiechnęła, nie był to jednak ten protekcjonalny, pełen współczucia uśmiech, który Pham pamiętał sprzed lat. Była naprawdę zadowolona i poważnie traktowała jego deklarację. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- Mam bardzo dużo czasu na naukę.

Sura Vinh pozostała na wachcie przez cztery lata. Bret Trinli towarzyszył jej przez pierwsze z tych lat, przedłużając swoją wachtę. We troje zwiedzili wszystkie dostępne metry sześcienne przestrzeni w „Repry-zie”; ambulatorium, salę hibernacyjną, pokład sterowniczy, zbiorniki z paliwem. „Repryza” spaliła około dwóch milionów ton wodoru, by osiągnąć prędkość podrózną. W rezultacie okręt był teraz ogromną, niemal całkiem pustą skorupą.

- Bez porządnego remontu po przylocie ten statek nigdy już nie poleci w kosmos.

- Moglibyście napełnić zbiorniki, wykorzystując gazowe olbrzymy. Nawet ja poradziłbym sobie z odpowiednimi programami.

- Tak, i to właśnie zrobiliśmy na Canberze. Ale bez przeglądu nie zalecimy daleko, i nie będziemy mogli się nigdzie ruszyć, kiedy dotrzemy już na miejsce. - Sura umilkła na moment i zakłęła pod nosem. - Cholerni głupcy. Dlaczego oni tam zostali? - Sura pogardzała Queng Ho, którzy zdecydowali się zostać na Canberze, i jednocześnie czuła się winna, że ich opuściła.

»

Bret Trinli przerwał milczenie.

- Nie masz ich co żałować. Sporo ryzykują, ale jeśli wygrają, będą mieli Klientów, których wszyscy się tam spodziewaliśmy.

- Wiem. A my przylecimy na Namię z pustymi rękami. Na pewno stracę „Repryzę”. - Wzdrygnęła się, odsuwając od siebie troski, które ciągle nie dawały jej spokoju. - Dobrze, a my w tym czasie stworzymy jeszcze jednego pełnowartościowego członka załogi. - Sura odwróciła się do Phama z marsową miną. - Jakiego specjalisty potrzebujemy najbardziej, Bret?

Trinli przewrócił oczami.

- Chcesz powiedzieć, jaki specjalista przyniesie nam największy zysk? To oczywiście; programista-archeolog.

Powstawało pytanie, czy takie dzikie dziecko jak Pham Nuwen może kiedykolwiek naprawdę zostać specjalistą. Do tej pory chłopiec potra-

VERNORVINGE

fil już używać prawie wszystkich standardowych interfejsów. Nawet myślał o sobie jako o programiście i potencjalnym kapitanie okrętu. Korzystając ze standardowych interfejsów, można było sterować „Repryza”, wchodzić na orbitę planetarną, kontrolować kapsuły hibernacyjne...

- A jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, będziesz martwy, martwy, martwy - zakończyła Sura wyliczankę Phama. - Chłopcze, musisz nauczyć się jednej rzeczy. To sprawa, której często nie rozumieją także dzieci wychowane w normalnych warunkach. Od początku cywilizacji mamy komputery i oprogramowanie, mieliśmy je nawet jeszcze przed lotami kosmicznymi. Ale ich możliwości są ograniczone; nie potrafią znaleźć wyjścia z jakiegś nieprzewidzianej sytuacji, nie potrafią zrobić niczego kreatywnego.

- Ale... przecież to nieprawda. Gram z maszynami w różne gry. Jeśli ustawię odpowiednio wysoki poziom umiejętności, nigdy nie wygrywam.

- Komputery wykonują wtedy proste operacje, tyle że bardzo szybko. Tylko pod jednym względem są naprawdę mądre. Zawierają tysiące lat programów i mogą używać większości. W pewnym sensie pamiętają wszystkie sztuczki, które ludzkość kiedykolwiek wymyśliła. *

Bret Trinli parsknął głośno.

- I wszystkie bzdury.

Sura wrzuciła ramionami.

- Oczywiście. Posłuchaj. Ilu członków liczy nasza załoga, kiedy wchodzimy do systemu i wszyscy są aktywni?

- Tysiąc dwudziestu trzech - odparł Pham. Dawno już nauczył się wszystkich parametrów fizycznych „Repryzy” i tej podróży.

- Dobrze. Teraz założymy, że znajdujemy się o dziesiątki lat świetlnych od najbliższej cywilizacji...

- Nie musimy tego zakładać, to czysta prawda - wtrącił Trinli.

- ...i że coś się zepsuje. Do budowy statku gwiazdowego potrzeba około dziesięciu tysięcy specjalistów i ogromnej bazy przemysłowej. To niemożliwe, by załoga wiedziała wszystko, co potrzebne jest do analizy spektrum gwiazdy czy stworzenia szczepionki przeciwko jakiegś dziwnej zaradzie w bakterium, by znała wszystkie choroby, jakie możemy napotkać...

- Tak! - zgodził się Pham. - Dlatego mamy komputery i programy.

- Dlatego nie możemy bez nich przeżyć. Przez tysiące lat pamięci maszyn wypełniano programami, które mogły nam pomóc. Lecz jak mówi Bret, wiele tych programów to kłamstwa, we wszystkich kryją się jakieś błędy, i tylko te na najwyższym poziomie są ściśle przystosowane do naszych potrzeb. - Zrobiła pauzę i spojrzała na Phama znacząco. - Tylko inteligentny i dobrze wykształcony człowiek potrafi sprawdzić, co jest dostępne, wybrać i zmodyfikować odpowiednie programy, a potem właściwie zinterpretować rezultaty.

Pham milczał przez chwilę, wracając myślą do wszystkich tych sytuacji, gdy maszyny nie robiły tego, czego od nich naprawdę chciał. Nie zaw-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

sze była to wina Phama. Programy, które próbowały przetłumaczyć canberrański na nese, do niczego się nie nadawały. - Więc... chcecie, żebym nauczył się programować coś lepszego.

Sura wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a Bret zachichotał.

- Będziemy zadowoleni, jeśli zostaniesz dobrym programistą, a po tem nauczysz się wykorzystywać materiał, który już istnieje.

Pham Nuwen spędził lata na nauce programowania. Programowanie sięgało początków czasu. Przypominało nieco wysypisko śmieci za zamkiem jego ojca. Tam gdzie ściana urwiska osunęła się po ulewie, widniały zgniecione i zardzewiałe kadłuby maszyn - latających maszyn, jak mówili wieśniacy - z wielkich dni oryginalnej ery kolonizacji planety. Ale zamkowe śmietnisko było czyste i świeże w porównaniu z tym, co znajdowało się w miejscowej sieci „Reprzyzy”. Były tam programy napisane przed pięcioma tysiącami lat, nim jeszcze ludzkość opuściła Ziemię. W odróżnieniu jednak od beużytecznych wraków z przeszłości Canberry te programy nadal działały! A poprzez miliony milionów okrężnych dróg dziedziczenia wiele najstarszych programów nadal funkcjonowało w trzewiach układów Queng Ho. Na przykład system odmierzania czasu używany przez Kupców. Poprawki nanoszone przez wieki były niezwykle złożone - lecz na samym dole znajdował się maleńki, prosty program odliczający. Sekunda po sekundzie Queng Ho liczyli czas od chwili, gdy człowiek po raz pierwszy postawił stopę na Księżycu Starej Ziemi. Jeśli jednak przyjrzeć się temu programowi jeszcze dokładniej... okazało się, że moment początkowy w rzeczywistości miał miejsce jakieś sto milionów sekund później, w sekundzie zerowej któregoś z pierwszych komputerowych systemów operacyjnych ludzkości.

Za wszystkimi interfejsami najwyższego poziomu kryły się liczne warstwy wsparcia. Niektóre z tych programów zostały zaprojektowane do zupełnie innych sytuacji. Od czasu do czasu te niekonsekwencje stawały się przyczyną tragicznych wypadków. Pomimo romantyki otaczającej loty kosmiczne większość wypadków spowodowana była po prostu przez stare, nieużywane programy, dla których nadchodził w końcu czas zemsty.

- Powinniśmy to wszystko przepisać - rzekł Pham.

- Już to zrobiono - odparła Sura, nie podnosząc wzroku. Przygotowywała się do zejścia ze służby i przez ostatnie cztery dni próbowała rozwiązać pewien problem związany z automatyką hibernacji.

- Próbowano to zrobić - poprawił Bret, który wrócił właśnie z sali hibernacyjnej. - Ale nawet najwyższe poziomy kodu systemowego floty są ogromne. Trzeba by tysiący programistów i setek lat, by je przepisać. - Trinli uśmiechnął się paskudnie. - A wiesz, co w tym jest najzabawniejsze? Że nawet gdybyś to zrobił, to na końcu sam miałbyś już całkiem sporo niezgodności i niekonsekwencji. Poza tym twoje programy nie byłyby kompatybilne ze wszystkimi aplikacjami, których mógłbyś kiedyś potrzebować.

VERNOR VINGE

Sura przerwała na moment pracę.

- Cały ten galimatias nazywa się dojrzałym środowiskiem programowania. Kiedy możliwości sprzętu dotarły już do nieprzekraczalnych granic, a programiści mieli kilkadziesiąt stuleci na tworzenie kodów, dochodzisz do punktu, w którym liczba znaczących kodów jest tak ogromna, że jeden człowiek nie potrafi ich ogarnąć. Możesz jedynie zrozumieć najwyższe warstwy i wiedzieć, jak szukać przydatnych narzędzi. Weźmy na przykład taką sytuację jak ta. - Wskazała na tabelę zależności, nad którą właśnie pracowała. - Zaczyna nam brakować płynu do kapsuł. Na Canberze nie mogliśmy go dostać, podobnie jak miliona innych rzeczy. Cóż, najprostsze rozwiązanie to przeniesienie kapsuł w pobliże rufy i chłodzenie ich bezpośrednim promieniowaniem. Nie mamy odpowiedniego sprzętu, by to przeprowadzić, więc ostatnio sama zaczęłam się bawić w archeologa. I dowiedziałam się, że podobna historia przydarzyła się jakieś pięćset lat temu, po wojnie w układzie Torma. Korzystając ze starych programów, stworzyli pakiet utrzymywania temperatury, czyli zrobili dokładnie to, czego teraz potrzebujemy.

- Prawie dokładnie. - Bret znów się uśmiechał. - Z pewnymi drobnymi poprawkami.

- Tak, które prawie skończyłam. - Zerknęła na Phama, dostrzegła dziwny grymas na jego twarzy. - Aha. A ja myślałam, że wolałbyś raczej umrzeć, niż skorzystać z kapsuły.

Pham uśmiechnął się nieśmiało, przypomniawszy sobie obawy małego chłopca sprzed sześciu lat.

- Nie, skorzystam z niej. Kiedyś.

Kilka dni później rozpoczął się kolejny, pięcioletni okres samotności Phama. Były to także lata wytężonej pracy. Bret i Sura zeszli ze służby, a Pham nigdy nie zaprzyjaźnił się z ich zmiennikami. Cała czwórka grała na instrumentach muzycznych - ręcznie, jak minstrele na dworze! Potrafili zajmować się tym przez długie Ksekundy; wspólne muzykowanie wynosiło ich jakby na jakiś dziwny mentalny i społeczny poziom. Na Phamie muzyka nie robiła jednak większego wrażenia, ale ci ludzie pracowali naprawdę ciężko, by osiągnąć zwykłe rezultaty. Pham nie miał do tego cierpliwości. Żył samotnie i naprawdę umiał zająć sobie czas. Musiał się jeszcze naprawdę wiele nauczyć.

Im dłużej się uczył, tym lepiej rozumiał, co Sura Vinh rozumiała przez określenie „dojrzałe środowiska programowania”. W porównaniu z tymi członkami załogi, których miał okazję poznać, Pham stał się naprawdę doskonałym programistą. „Prawdziwy geniusz”, tak nazwała go kiedyś Sura, nie wiedząc, że Pham ją słyszy. Mógł zaprogramować wszystko, ale życie jest krótkie, a większość znaczących systemów ogromna. Pham nauczył się więc, jak radzić sobie z lewiatanami przeszłości. Mógł sprzęgać kody broni z Eldritch Faerie z organizatorami pochodzącymi jeszcze z czasów przed podbojem kosmosu. Wiedział także, jak i gdzie szukać odpowiednich aplikacji ukrytych w sieci okrętu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

...I dowiedział się o dojrzałych środowiskach programowania czegoś, czego Sura nie powiedziała mu wprost. Kiedy systemy zależne są od innych ukrytych głębiej systemów, te zaś od rzeczy jeszcze starszych... nikt nie mógł znać wszystkich możliwości systemów. Głęboko we wnętrzu automatyki floty mógł się kryć - musiał się kryć - labirynt pułapek i ukrytych przejść do niższych warstw. Większość autorów nie żyła już od tysięcy lat, a ich tajne kody dostępu przepadły na zawsze. Inne skrytki zapewne zostały pozostawione przez rządy czy przedsiębiorstwa, którym wydawało się, że przetrwają próbę czasu. Sura, Bret i zapewne jeszcze kilka osób znało takie sekrety systemów „Reprzyzy”, które dawały im przewagę nad innymi.

Sredniowieczny książę, który nadal żył w Phamie Nuwenie, był głęboko poruszony tym odkryciem. *Gdybym tylko mógł znaleźć się na parturze któregoś z popularnych systemów...* Gdyby ta nowa warstwa używana była wszędzie, we wszystkich programach, to właściciel tych pułapek stałby si\$ królem całego cywilizowanego wszechświata.

* * *

Minęło jedenaście lat, odkąd pewien przerażony trzynastolatek został zabrany z Canberry.

Sura wróciła właśnie do życia. Pham oczekiwał tego powrotu z rosnącym zniecierpliwieniem... odkąd tylko go opuściła. Tak wiele miał jej do powiedzenia, tak wiele chciał jej pokazać i tak wiele się od niej dowiedzieć. Kiedy jednak wreszcie nadszedł ten czas, nie miał odwagi, by stanąć przy wyjściu z sali hibernacyjnej i ją powitać.

Znalazła go w magazynku przy rufie, w maleńkiej klitce z prawdziwymi oknami na gwiazdy. Pham zaanektował to miejsce kilka lat wcześniej.

Ktoś zapukał lekko do plastikowych drzwi. Pham odsunął je na bok.

- Witaj, Pham. - Sura miała dziwny uśmiech na twarzy. W ogóle dziwnie wyglądała. Tak młodo. Właściwie po prostu wcale się nie postarzała. A Pham Nuwen przeżył już dwadzieścia cztery lata. Gestem zaprosił ją do maleńkiego pokoju. Przeleciała obok niego i odwróciła się. Nadal się uśmiechała, lecz jej oczy były poważne.

- Wyrosłeś, przyjacielu.

Pham zaczął kręcić głową.

- Tak, ale... ty nadal mnie przerastasza.

- Może. W pewnych kwestiach. Ale na pewno nigdy nie będę takim programistą jak ty. Widziałam rozwiązania, które przygotowałeś dla Cenga podczas tej wachty.

Usiedli, a Sura zaczęła wypytywać go o problemy Cenga i jego rozwiązania. Wszystkie błyskotliwe uwagi i aluzje, które obmyślał przez ostatnie lata, uleciały mu nagle z głowy, potrafił zdobyć się jedynie na proste

-VERNOR VINGE

przytakiwanie i zaprzeczanie. Sura jakby tego nie zauważała. *Cholera. Jak mężczyzna Queng Ho zdobywa kobietę?* Na Canberze przez długi czas wierzył w szlachetną rycerskość i poświęcenie... stopniowo jednak uczył się, że prawdziwa metoda jest zupełnie inna; dżentelmen po prostu bierze sobie to, co chce, oczywiście przy założeniu, że nie należy to już do innego, potężniejszego dżentelmena. Osobiste doświadczenia Phama były bardzo ograniczone i z pewnością nietypowe; to biedna Cindi wzięła sobie jego. Na początku ostatniej wachty wypróbował canberrańskie metody na jednej z kobiet. Xina Rao złamała mu rękę i złożyła oficjalną skargę. Pham wiedział, że wiadomość o jego postępkach wcześniej czy później dotrze także do Sury.

Ta myśl pozwoliła mu wreszcie przełamać wstydlivość. Przez chwilę patrzył na milczącą i zakłopotaną Surę, po czym wyjawiał jej sekret, który zamierzał zachować na jakąś szczególną chwilę.

- Ja... zejść ze służby, Suro. W końcu pozwolę się zamrozić.

Skinęła posępnie głową, jakby nigdy się tego nie domyślała.

- Wiesz, co mnie do tego skłoniło? To było trzy lata temu. Ty leżałaś wtedy w kapsule. - *A ja uświadomiłem sobie, ile jeszcze czasu minie, nim znów cię zobaczę.* - Próbowałem uruchomić ten program z mechaniki nieba na drugim poziomie. Trzeba być naprawdę dobrym matematykiem, żeby to zrobić. Przez dłuższy czas nie mogłem ruszyć z miejsca. Przeprowadziłem się tutaj, zacząłem patrzeć na niebo. Robiłem to już wcześniej. Z każdym rokiem moje słońce jest coraz bledsze, to przerażające.

- Na pewno - zgodziła się Sura. - Ale nie wiedziałam, że można stąd cokolwiek zobaczyć. - Przynęła się bliżej do iluminatora i zgasła światła.

- Owszem, można - odparł Pham. - Trzeba tylko poczekać, aż oczy przywykną do ciemności. - W pokoju rzeczywiście było teraz całkiem ciemno. Pham podpłynął bliżej do Sury, która zawisła przed oknem. Było to prawdziwe okno, a nie jakiś monitor. - Widzisz, te cztery jasne gwiazdy to Włócznik. Teraz gwiazda Canberry przedłuża włócznie o jeden punkt. - *To głupie. Przecież ona nie zna nieba Canberry.* Nie przestawał jednak mówić, próbując w ten sposób ukryć targającą nim uczucia. - Ale nawet to nie było tym najważniejszym powodem, moje słońce jest jeszcze jedną gwiazdą, i co z tego? Chodzi o całe konstelacje; Włócznik, Dzika Gęś, Pług. Nadal je rozpoznaję, ale ich kształt się zmienił. Wiem, powinienem był się tego spodziewać. Analizowałem znacznie bardziej skomplikowane rzeczy. Ale... to mnie uderzyło. W ciągu jedenastu lat zalecieliśmy tak daleko, że zmieniło się całe niebo. To mi uświadomiło, jak długą drogę już pokonaliśmy i ile jeszcze mamy do przebycia.

Wykonał w ciemności jakiś nieokreślony gest, a jego dłoń spoczęła na gładkiej krągłości jej pośladka. Umilkł raptownie i zastygł w bezruchu na dłuższą chwilę. Jego palce dotykały nagiej skóry tuż nad jej biodrem. Jakoś nie zauważył tego wcześniej; nie włożyła nawet bluzki w spodnie.

Przesuwał dłoń wokół jej talii i w górę, przez gładki, płaski brzuch, aż dotknął jej piersi. Robił to całkiem świadomie, może trochę niepewnie, ale jego zamiary były jednoznaczne.

Sura zareagowała niemal równie szybko jak Xina Rao. Obróciła się tak, że jej pierś znalazła się dokładnie pod jego ręką. Nim Pham mógł się odsunąć, chwyciła go za kark, przyciągnęła do siebie i zamknęła mu usta długim, mocnym pocałunkiem. Drżał pod dotykiem jej warg, rozkoszne dreszcze przenikały jego dłonie i podbrzusze.

Sura wyciągała już jego koszulę ze spodni, tuliła się doń całym ciałem. Po chwili przerwała pocałunek, odchyliła głowę i roześmiała się cicho.

- Boże! Chciałam się do ciebie dobrać, odkąd skończyłeś piętnaście lat.

Więc czemu tego nie zrobiłaś? Przecież miałaś nade mną władzę. Była to jego ostatnia składowa myśl przed dłuższą przerwą. W ciemności kryły się znacznie przyjemniejsze pytania. Jak znaleźć punkt zaczepienia, jak połączyć w nieważkości dwa rozpalone ciała. Odbijali się bezradnie od ścian, a biedny Pham zapewne nigdy nie poradziłby sobie z tymi problemami, gdyby nie jego partnerka i przewodniczka.

Potem Sura zapaliła światło i pokazała mu, jak robić to w hamaku. A potem jeszcze raz, znów przy zgaszonych światłach. Później przez dłuższą chwilę dryfowali zmęczeni w ciemności. Spokój i radość, jego ramiona tak blisko niej. Światło gwiazd oblewało wnętrze pokoju magiczną poświatą, po jakimś czasie wydawało się niemal jasne. Dość jasne, by odbijać się od oczu Sury, by ukazywać biel jej zębów. Uśmiechała się.

- Wiesz, to co mówiłeś o gwiazdach... To prawda. Człowiek czuje się trochę upokorzony, kiedy widzi ten ogrom, kiedy uświadamia sobie, jak niewiele znaczy.

Pham przytulił ją delikatnie. W tej chwili był tak zaspokojony, że mógł myśleć trzeźwo o tym, co powiedziała.

- ...tak, to przerażające. Ale można na to popatrzeć też z innej strony; dzięki okrętom i hibernacji jesteśmy poza i ponad nimi. Możemy wykorzystać wszechświat do naszych celów.

Zęby Suiy znów błysnęły w uśmiechu.

- Ach, Pham, może jednak wcale się nie zmieniłeś. Pamiętam pierwsze dni małego Phama, kiedy nie potrafiłeś nawet mówić ludzkim językiem. Upierałeś się, że Queng Ho to imperium, a ja powtarzałam ci ciągle, że jesteśmy tylko Kupcami i nie możemy być niczym więcej.

- Pamiętam, ale ciągle nie rozumiem. Od kiedy Queng Ho kręcą się po kosmosie?

- Masz na myśli flotę handlową? Od jakichś dwóch tysięcy lat.

- Dłużej, niż trwało jakiegokolwiek imperium.

- Jasne, po części właśnie dlatego, że nie jesteśmy imperium. To nasza funkcja nadaje nam pozory długowieczności. Queng Ho sprzed dwóch

VERNORVINGE

tysięcy lat mieli inny język, inną kulturę. Jestem pewna, że takie rzeczy zawsze istniały w Ludzkiej Przestrzeni. To proces, nie rząd.

- Po prostu grupa ludzi, którzy robią te same rzeczy?

- Otóż to.

Pham milczał przez chwilę. Ona po prostu nie rozumiała.

- Dobrze. Tak to wygląda w tej chwili. Ale naprawdę nie widzisz, jaką wam to daje władzę? Utrzymujecie zaawansowaną technologię na przestrzeni setek lat świetlnych, przez tysiące lat.

- Nie. To tak jakbyś powiedział, że fale morskie mogą rządzić światem; są wszędzie, są potężne i wydają się skoordynowane.

- Moglibyście mieć sieć, jak sieć floty, której używaliście na Canberze.

- Prędkość światła, Pham, pamiętasz? Nie istnieje nic szybszego. Nie mam pojęcia, co robią Kupcy po drugiej stronie Ludzkiej Przestrzeni, informacje, jakie od nich dostają, pochodzą sprzed setek lat. Jak dotąd widziałeś tylko sieć na „Repryzie”; wiesz, jak zarządzać małą siecią floty. Wątpię, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak wygląda sieć obsługująca cywilizację planetarną. Zobaczysz to na Namąem. Zawsze gdy odwiedzamy takie miejsca, tracimy część załogi. Życie z siecią planetarną, gdzie możesz porozumiewać się z milionami ludzi i to przy milisekundowych opóźnieniach, to coś, czego nie potrafisz jeszcze ogarnąć. Założę się, że kiedy przylecimy na Namąem, ty też nas opuścisz.

- Nigdy...

Sura odwracała się jednak w jego uścisku, jej piersi ocierały się o jego pierś, dłoń sięgała w dół. Pham nie mógł już dokończyć zdania.

Potem Pham przeprowadził się do kwater Sura. Spędzali razem tyle czasu, że inni członkowie wachty pokpiwali żen i mówili, że „porwał ich kapitana”. Życie z Surą Vinh było dla Phama nieustającą radością, lecz nie chodziło tu tylko o zaspokojone żądze. Dużo rozmawiali, spierali się ze sobą i spierali... i wyznaczyli sobie zadanie na resztę życia.

Czasami myślał też o Cindi. Zarówno ona, jak i Sura zdobyły go, otworzyły przed nim nowe horyzonty. Obie uczyły go różnych rzeczy, spierały się z nim, obie go opętały. Były jednak tak różne jak lato i zima, jak staw i ocean. Cindi sianęła w jego obronie, ryzykując życie, sama przeciwko wszystkim ludziom króla. Nawet w najdzikszych snach Pham nie potrafił wyobrazić sobie Sura Vinh podejmującej takie ryzyko. Nie, Sura była bardzo rozsądna i bardzo ostrożna. To ona przeanalizowała sytuację na Canberze i uznała, że misja nie ma szans na powodzenie - a potem przekonała innych, by wylądowali okręt od komisji floty i uciekli z przestrzeni Canberry. Sura Vinh planowała dalekosiężnie, widziała problemy tam, gdzie nie dostrzegał ich jeszcze nikt inny. Unikała ryzyka, a jeśli już musiała je podejmować, ograniczała możliwość przegranej do minimum. W pogmatwanym panteonie moralnym Phama była kimś znacznie mniejszym niż Cindi... i zarazem znacznie większym.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sura nigdy nie dała się przekonać do jego wizji gwiazdowego królestwa Queng Ho. Ale nie próbowała mu otwarcie zaprzeczać; zasypywała go książkami, traktatami o ekonomii i historii, które przeoczył jakoś podczas swych dziesięcioletnich studiów. Rozsądna osoba przyjęłaby jej punkt widzenia; on mylił się już wcześniej w tak wielu kwestiach. Pham jednak nadal zachował swój stary upór. Może to Sura miała klapki na oczach.

- Moglibyśmy zbudować międzygwiazdną sieć. Byłaby tylko... wolna.

Sura się roześmiała.

- Tak! Wolna. To tak jakby uściśnięcie ręki zajmowało tysiąc lat!

- Cóż, oczywiście protokoły wyglądałyby inaczej. Użytkowanie też. Ale taka sieć mogłaby zmienić zwykłe, chaotyczne funkcje handlowe w coś hm... zyskowniejszego. - Omal nie powiedział potężniejszego, ale wie dział, że zaraz zostałyby oskarżony o „średniowieczne naleciałości”. - Moglibyśmy utrzymywać bazę danych Klientów.

Sura pokręciła głową.

- Ale nieaktualną od setek lub tysięcy lat.

- Moglibyśmy też podtrzymywać standardy ludzkich języków. Nasze standardy programowania sieci przetrwałyby wszystkie rządy Klientów. Nasza kultura handlowa mogłaby trwać wiecznie.

- Ale Queng Ho to tylko jednak ryba w wielkim morzu Kupców... Och... - Pham widział, że Sura zaczyna wreszcie rozumieć. -Więc „kultura” naszego przekazu kierowałaby rozwojem innych światów, dostosowywałaby je do naszych potrzeb.

- Tak, tak! Moglibyśmy też szyfrować część przekazu i bronić się w ten sposób przez konkurencją. - Pham uśmiechnął się chytrze. Następny punkt był czymś, czego mały Pham, a prawdopodobnie i jego ojciec, król Północnej Krainy, nigdy by nie wymyślił. - Część przekazu z kolei byłaby ogólnie dostępna. Na przykład standardy językowe, niektóre rzeczy z naszej biblioteki technicznej. Czytałem historie Klientów. Od samego początku, od Starej Ziemi, jedynym naprawdę stałym elementem są zmiany, powstawanie i upadek cywilizacji. Queng Ho mogliby to zmienić.

Sura kiwała głową, zamyślona.

- Tak, gdybyśmy właściwie się do tego zabrali, mielibyśmy kultury Klientów, którzy mówią naszym językiem, ukształtowani są wedle naszych potrzeb handlowych, używają naszego środowiska programowania. - Podniosła nań wzrok. - Nadal myślisz o imperium, prawda?

Pham tylko się uśmiechnął.

Sura miała milion obiekcji, ale pojęła ducha tej idei, odniosła ją do swych doświadczeń i zaprzęła całą swą wyobraźnię do jej realizacji. W miarę upływu czasu obiekcje przyjmowały raczej formę sugestii, a ich spory zamieniały się we wspólne planowanie.

- Jesteś szalony, Pham... ale to nie ma znaczenia. Może tylko taki szalony człowiek średniowiecza jak ty jest dość ambitny, żeby to zrealizo-

VERNOR VINGE

wać. To tak... tak jakbyśmy tworzyli nową cywilizację z niczego. Możemy wymyślać własne mity, ustalać własne konwencje. Będziemy na samym dole wszystkiego.

- I przetrwamy wszelką konkurencję.
- Boże... - szepnęła Sura. (Dopiero jakiś czas potem wymyślili „Boga Wszelkiego Handlu” i panteon pomniejszych bóstw). -Wiesz, Namaem to idealne miejsce na początek. Doszli już prawie do najwyższego stopnia rozwoju, jaki może osiągnąć cywilizacja, ale stają się trochę cyniczni i dekadency. Mają doskonałą technikę propagandy, lepszą niż jakakolwiek cywilizacja w historii. Twój pomysł jest dziwny, ale też nie jest niczym nadzwyczajnym w porównaniu z kampaniami reklamowymi w sieci planetarnej. Jeśli moi kuzyni nadal są w przestrzeni Namaem, na pewno sfiansują tę operację. - Roześmiała się, radosna i niemal dziecinna, a Pham uświadomił sobie, jak bardzo ciążyła jej do tej pory perspektywa bakrucstwa i niesławy. - Do diabła, jeszcze na tym zarobimy!

Pozostała część ich wachty była nieustanną orgią wyobraźni, inwencji i pożądania. Pham wymyślił nowy model radia międzygwiazdowego, harmonogramy, które utrzymywałyby floty i rodziny w synchronizacji, na przestrzeni stuleci i setek lat świetlnych. Sura zaakceptowała większość projektu, nie kryjąc przy tym radości i zachwytu. Śmiechem skwitowała jednak projekty zarządzania ludźmi, pomysły dziedzicznych tytułów lordowskich i flot wojskowych - Pham nie spierał się z jej osądem. W tych kwestiach nadal był dzieckiem swej epoki, dzieckiem średniowiecza.

Właściwie Sura Vinh była raczej admirałorem jego pracy niż nadzorcą. Pham pamiętał ich ostatnią rozmowę tuż przed tym, jak po raz pierwszy ułożył się w kapsule hibernacyjnej. Sura kalibrowała chłodnice radiacyjne, sprawdzała poziom substancji hipotermicznych.

- Obudzimy się niemal równocześnie, Pham, ja tylko jakieś sto Ksekund przed tobą. Będę tu na ciebie czekała. - Uśmiechnęła się ciepło. - Nie martw się.

Pham odpowiedział jakąś żartobliwą uwagą, ale ona oczywiście wyczuwała jego obawy. Mówiła o innych rzeczach, kiedy układał się w kapsule, snuła plany na przyszłość, zastanawiała się, co będą robić, gdy przyłecą wreszcie na Namaem. A kiedy nadszedł wreszcie czas, zawahała się. Pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała go w usta. Jej uśmiech stał się odrobinę złośliwy, kiła jednak zarówno z niego, jak i z siebie.

- Śpij dobrze, słodki książę.

Potem odeszła, a leki zaczęły działać. Wcale nie było mu zimno. Jego ostatnie myśli skierowane były ku przeszłości. Kiedy żył na Canberze, ojciec był dlań odległą, mało znaną postacią. Bracia i siostry stanowili śmiertelne zagrożenie dla jego egzystencji. Cindi... stracił ją, nim zaczął cokolwiek rozumieć. Ale Sura Vinh... Miał dla niej tak wiele różnych uczuć. Kiedyś traktował ją jak matkę, teraz jak kochankę i najdroższą przyjaciółkę.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

W pewnym fundamentalnym sensie Sura Vinh była dla niego tymi wszystkimi postaciami. Przez długą część swego życia Sura Vinh wydawała się jego przyjaciółką. I choć ostatecznie stała się zdrajczynią, to wtedy, na samym początku, była kobietą dobrą i uczciwą.

Ktoś potrząsał nim delikatnie, machał ręką przed jego twarzą.

- Hej, Trinli! Pham! Jesteś jeszcze z nami? - Jau Xin wydawał się szczerze zatroskany.

- Ee... tak, tak, wszystko w porządku.

- Jesteś pewien? - Xin przyglądał mu się przez kilka sekund, potem powrócił na swoje miejsce. - Mój wujek też kiedyś tak się dziwnie zachowywał, a potem okazało się, że miał wylew...

- Nie, nie, ja czuję się doskonale. - Pham ponownie przybrał buńczuczną minę. - Zamyśliłem się i tyle.

To oświadczenie wywołało burzę śmiechu przy stole.

- Zamyśliłeś się! Nie myśl, Pham, stary druhu, to szkodzi! - Po chwili śmiech umilkł, a zebrani przy stole powrócili do wcześniejszej rozmowy. Pham słuchał ich teraz z uwagą, od czasu do czasu wtrącając głośno komentarze.

Pham od dawna już miał skłonność do marzenia na jawie, właściwie robił to, odkąd opuścił Canberę. Oddawał się całkowicie rozmyśleniom, marzeniom czy snuciom planów, zatracił się w nich tak, jak niektórzy ludzie w grach immersyjnych. Kątem oka dostrzegł, że Qiwi opuściła już salonik. Tak, dzieciństwo tej dziewczyny bardzo przypominało jego własne, i może stąd właśnie brała się jej niezwykła wyobraźnia i energia. Często nawet zastanawiał się, czy dziwne metody wychowawcze mieszkańców Strentmann oparte są na opowieściach o jego pobycie na „Repryzie”. Jego sytuacja poprawiła się, kiedy przybył do celu. Biedna Qiwi znalazła tutaj tylko śmierć i zdradę. Nadal się jednak nie poddawała...

- Dostajemy teraz dobre przekłady. - Trud Silipan wracał do tematu Pajaków. - Zajmuję się zafiksowanymi tłumaczami Reynolt. - Trud był raczej pomocnikiem niż zarządcą, nikt mu jednak tego nie wytknął. - Mówię wam, lada dzień będziemy mieli pierwsze informacje o tym, jak wyglądała oryginalna cywilizacja Pajaków. .

- No nie wiem, Trud. Wszyscy mówią, że to musi być upadła kolonia. Ale jeśli Pajaki żyją też gdzieś indziej w kosmosie, to dlaczego nie słyszymy ich radia?

- Posłuchaj - wtrącił Pham. - Już nieraz o tym rozmawialiśmy. Arachna musi być kolonią. Życie nie mogło powstać w sposób naturalny w tak trudnych warunkach.

- Może te stworzenia nie mają swoich Queng Ho - zabrał głos ktoś inny. Rozległy się chichoty wokół stołu.

- Nie, i tak byłoby mnóstwo sygnałów radiowych. Słyszelibyśmy je.

- Może tamci są naprawdę bardzo daleko...

- A może mają tak zaawansowaną technologię, że nie używają radia. Zauważyliśmy ich tylko dlatego, że zaczynają od początku. - Był to stary argument, część tajemnicy sięgającej daleko w przeszłość, aż do Epoki Niespełnionych Marzeń. To właśnie dla niej przybyły tu ludzkie ekspedycje. Z pewnością dla niej przybył *tu* Pham Trinli.

I rzeczywiście, Pham znalazł już Coś Nowego, coś tak potężnego, że pochodzenie Pająków stało się kwestią podrzędną. Pham znalazł fiksa-cję. To dzięki niej Emergenci mogli zamienić swych najlepszych ludzi w myślące maszyny, oddane bez reszty swej pracy. Nieudacznik pokroju Truda Silipana mógł otrzymywać doskonale tłumaczenia na skinienie ręki. Potwór pokroju Tomasa Nau mógł mieć pod swą komendą zastępy wiernych sług. Fiksacja dawała Emergentom władzę i moc, jakich nie miał nikt przedtem, subtelność przewyższającą każdą maszynę i cierpliwość przewyższającą człowieka. To był jeden z Niespełnionych Snów - ale im udało się go zrealizować.

Obserwując poczynania Truda Silipana, Pham zrozumiał, że nadszedł wreszcie czas na realizację kolejnego punktu jego planu. Emergenci z niższych warstw zaakceptowali Phama Trinli. Nau tolerował go, nawet chętnie się z nim spotykał, uważając, że dzięki niemu może poznać sposób myślenia wojskowych Queng Ho. Nadszedł czas, by dowiedzieć się czegoś więcej o fiksacji. Dowiedzieć się od Silipana, od Reynolt... któregoś dnia poznać techniczną stronę tego zagadnienia.

Pham próbował zbudować prawdziwą cywilizację w całej Ludzkiej Przestrzeni. Przez kilka stuleci wydawało się, że może tego dokonać. W końcu został zdradzony. Pham jednak już dawno temu zrozumiał, że ta zdrada była wyrazem większego niepowodzenia. To, co Sura i inni zrobili mu w Briso Gap, było nieuniknione. Międzygwiazdne imperium obejmuje ogromną przestrzeń i czas. Słuszność i użyteczność takiego tworu nie wystarczą. Potrzeba jeszcze siły wiążącej go w całość.

Pham Nuwen podniósł bańkę z piwem i wznosił w myślach toast za lekcje przeszłości i obietnice przyszłości. Tym razem nie popełni żadnego błędu.

OSIEMNAŚCIE

Pierwsze dwa lata życia Ezra Vinha po zasadzce były rozciągnięte niemal na osiem lat czasu obiektywnego. Niemal jak każdy dobry kapitan Queng Ho, Tomas Nau starał się dopasować ich dyżury do aktualnych potrzeb. Qiwi i jej zespół byli aktywni częściej niż ktokolwiek inny, jednak nawet oni zwalniali tempo.

Sporo pracy mieli także astrofizycy Annę Reynolt. OnOff ustawiała się wzdłuż zakrzywionego promienia światła, co obserwowano w poprzednich stuleciach; dla laika wyglądała, jak normalne, zasilane wodorem słoń-

ce. Początkowo Reynolt trzymała większość innych naukowców w uśpieniu, czekając, aż Pająki wznowią aktywność.

Już pierwszego dnia po Wybuchu, kiedy Arachnę smagały burze parowe, z jej powierzchni dochodziły wojskowe transmisje radiowe. Najwyraźniej okres dezaktywizacji słońca przerwał jakąś lokalną wojnę. Po roku czy dwóch uaktywniło się już kilkadziesiąt nadajników na dwóch kontynentach. Co dwieście lat Pająki musiały odbudowywać swoje struktury powierzchniowe niemal od podstaw, lecz najwyraźniej miały w tym ogromną wprawę. Kiedy w pokrywie chmur ukazały się pierwsze przerwy, na powierzchni planety widniała już sieć nowych dróg i miast.

Do końca czwartego roku na Arachnie istniały już dwa tysiące stałych punktów nadawczych. Dla Trixie Bonsol i innych językoznawców rozpoczął się okres wzmożonej aktywności. Po raz pierwszy mogli badać ciągły i jednorodny przekaz audio.

Kiedy ich wachty zbiegały się ze sobą - a działo się tak coraz częściej - Ezer codziennie odwiedzał Trixię Bonsol. Początkowo Trixia wydawała się bardziej odległa niż kiedykolwiek. W ogóle nie zauważała jego obecności; jej pokój wypełniały transmisje z Arachny. Piskliwe dźwięki zmieniały się z dnia na dzień, w miarę jak Trixia i inni zafiksowani językoznawcy określali z coraz większą dokładnością, w którym obszarze spektrum akustycznego kryje się sens mowy Pająków, i tworzyli system oznaczeń, zarówno wizualnych, jak i słuchowych, do jej badania.

Potem zaczęła się wreszcie prawdziwa praca translatorska. Tłumacze Reynolt wykorzystywali ogromne ilości materiału, produkując tysiące słów i na wpół zrozumiałych tekstów dziennie. Trixia była najlepsza. Ale to nikogo nie zaskoczyło. To jej prace nad tekstami fizycznymi doprowadziły do przełamania impasu i to ona połączyła język pisany z językiem używanym w dwóch trzecich przekazów radiowych. Trixia przewyższała nawet językoznawców Queng Ho; jakaż byłaby dumna, gdyby mogła o tym wiedzieć. „Jest niezastąpiona”. Reynolt wygłosiła tę opinię typowym dla siebie, beznamiętnym tonem, wolnym od zachwyty i od sadyzmu. Było to zwykle stwierdzenie faktu. Trixia Bonsol nie miała szans na wcześniejsze uwolnienie jak Hunte Wen.

Vinh próbował czytać wszystko, co stworzyli tłumacze. Najpierw były to typowe teksty specjalistyczne, gdzie każde zdanie zawierało dziesiątki odnośników opisujących inne znaczenia i struktury. Po kilku Mse-kundach przekłady stały się niemal czytelne. Tam w dole, na Arachnie, żyły rozumne istoty, a to były ich słowa.

Niektórzy spośród zafiksowanych językoznawców nigdy nie wyszli poza skomplikowane przekłady pierwszego typu. Utknęli na niższych poziomach znaczenia i nie próbowali nawet zrozumieć ducha obcych. Mimo to udało im się stwierdzić, że Pająki nie wiedzą nic o poprzedniej cywilizacji.

VERNORVINGE

- Nie widzimy żadnej wzmianki o złotym wieku technologii.

Nau spojrział na Reynolt sceptycznie.

- Coś mi się tu nie podoba. Nawet na Starej Ziemi istniały przynajmniej mity o zaginionych cywilizacjach i przybyszach z kosmosu. - A jeśli kiedykolwiek istniał ten pierwszy świat, to była to z pewnością Stara Ziemia.

Reynolt wzruszyła ramionami.

- Mówię tylko, że w przekazach, które udało nam się do tej pory przetłumaczyć, nie ma żadnej wzmianki o technicznych cywilizacjach z przeszłości. O ile nam też wiadomo, archeologia uważana jest za nieistotną gałąź nauki... - Zupełnie inaczej niż w typowych upadłych koloniach, gdzie badania archeologiczne otoczone są ogromnym zainteresowaniem.

- A niech to Flaga... - mruknął Ritsler Brughel. - Skoro nie ma tam nic, czego warto by szukać, to cała ta wyprawa jest jedną wielką pomyłką.

Szkoda, że nie pomyśleliście o tym, zanim się tu wybraliście, pomyślał Ezr.

Nau był zaskoczony i skonfundowany, nie zgodził się jednak z Brughlem.

- Mamy jeszcze prace doktora Li. - Zerknął na Queng Ho zgromadzonych przy stole konferencyjnym, a Ezr był pewien, że w rzeczywistości Emergent pomyślał o czymś innym. *Mamy jeszcze bibliotekę Queng Ho i Handlarzy, którzy zdradzają nam wszystkie jej tajemnice.*

Trixia pozwalała już, by Ezr jej dotykał, czasami mógł rozczesać jej włosy, czasami tylko poklepać po ramieniu. Spędzał w tym pokoju tyle czasu, że pewnie uważała go za mebel równie bezpieczny, jak każda maszyna sterowana głosem. Trixia pracowała zazwyczaj z wyświetlaczem na głowie; Ezr mógł sobie wyobrazić, że czasami patrzy na niego. Niekiedy nawet odpowiadała na jego pytania, jeśli te dotyczyły spraw pozostających w obrębie jej fiksacji i nie przerywały konwersacji z maszynami i innymi tłumaczami.

Trixia spędzała większość czasu w półmroku, słuchając i tłumacząc jednocześnie. Tłumacze, którzy pracowali w ten sposób - a było ich co najmniej kilkunastu - niewiele różnili się od automatów. Vinh lubił myśleć, że Trixia jest inna; analizowała każdy tekst kilka razy, jednak nie po to, by dodać kolejne interpretacje pod każdą ze struktur syntaktycznych. Przekłady Trixii sięgały głębiej, próbowały oddać takie znaczenie tekstu, jakie rodziło się w umysłach Pająkowi w umysłach, dla których Arachna była normalnym, dobrze znanym miejscem. Przekłady Trixii Bon-sol były... sztuką.

Sztuka nie była jednak tym, czego szukała Annę Reynolt. Początkowo miała tylko drobne zastrzeżenia. Tłumacze wybierali alternatywną ortografię dla danych wyjściowych; przedstawiali ikony x^* i q^* za pomocą dwuznaków. Ich przekłady wyglądały wtedy bardzo oryginalnie, wręcz

OTCHŁAŃ W NIEBIE

malowniczo. Na szczęście to nie Trixia pierwsza użyła tej dziwnej metody. Niestety później stosowała ją aż nazbyt często.

Pewnego strasznego dnia Reynolt zagroziła, że zabroni Ezrowi wstępu do pokoju Trixii - czyli zabroni mu w ogóle się z nią widywać.

- Nie wiem, co pan tam robi, panie Vinh, ale ją to rozprasza. Daje mi poetyckie przekłady. Proszę spojrzeć tylko na te nazwiska: „Sherka-ner Underhill”, „Jaybert Landers”. Odrzuca inne możliwości, z którymi zgadza się reszta tłumaczy. Gdzie indziej, z kolei, wstawia jakieś nonsensowne sylaby.

- Robi dokładnie to, co powinna robić. Zbyt długo pracowała pani z automatami. - Ezer musiał przyznać Reynolt jedno; choć wydawała się gburowata nawet według emergencjnych standardów, nigdy nie była mściwa. Czasami dawało się z nią nawet podyskutować. Gdyby jednak zabroniła mu odwiedzać Trixię...

Reynolt patrzyła nań przez moment.

- Pan nie jest językoznawcą.

- Jestem Queng Ho. By odnosić sukcesy, musimy zrozumieć tysiące ludzkich kultur. Wy gnieździłiście się w tym zakątku Ludzkiej Przestrzeni, znacie tylko języki oparte na naszym przekaziu. Zapewniam panią jednak, że istnieją także języki zupełnie odmienne od standardowego.

- Tak. Dlatego właśnie nie możemy zaakceptować jej groteskowych uproszczeń.

- Nie! Potrzebujecie ludzi, którzy naprawdę rozumieją umysły drugiej strony, którzy mogą nam pokazać, co jest istotne w odmienności obcych. Nazwiska, które podaje Trixia, wydają się głupawe. Ale ta grupa Akord to młoda cywilizacja. Większość ich nadal nosi znaczące nazwiska.

- Nie wszyscy, i tylko nazwiska, nie imiona. Rzeczywisty język Pająków łączy imiona z nazwiskami, to taka sztuczka interfonacyjna.

- Powtarzam pani, to, co robi Trixia, jest naprawdę dobre. Założę się, że imiona pochodzą ze starszych i spokrewnionych języków. Proszę zauważyć, że niektóre mają nawet jakiś sens.

- Tak, i to jest właśnie najgorsze. Niektóre pojęcia wyglądają tak, jakby pochodziły z ladille czy aminese. Te ladillskie jednostki - „godziny”, „cale”, „minuty” - to jest po prostu zbyt dziwaczne, by mogło być prawdziwe.

Ezer miał własne problemy z dziwacznymi jednostkami z Ladille, lecz nie zamierzał przyznawać się do tego przed Reynolt.

- Jestem pewien, że Trixia widzi rzeczy, które odnoszą się do jej głów nego przekładu tak, jak języki aminese czy ladille odnoszą się do naszego języka, do nese.

Reynolt milczała przez dłuższą chwilę, wpatrzona w przestrzeń. Czasami oznaczało to, że dyskusja dobiegła już końca i że powinien sobie już iść. Kiedy indziej próbowała po prostu zrozumieć argumenty przeciwnej strony.

VERNOR VINGE

- Więc chce pan powiedzieć, że ona osiągnęła wyższy poziom przekładu, że próbuje przełożyć ich kulturę na naszą samoświadomość.

Była to typowa analiza Reynolt, dziwaczna, lecz precyzyjna.

- Otóż to! Wy nadal chcecie przekładów z wszystkimi odnośnikami i wyjątkami, niemal matematycznej analizy. Lecz sercem dobrego przekładu jest zrozumienie potrzeb i oczekiwań drugiej strony.

Reynolt przyjęła to wyjaśnienie. Tak czy inaczej, takie przekłady podobają się Nauowi, nawet z ladillskimi dziwactwami. W miarę upływu czasu inne przekłady przejmowały coraz więcej terminologii stosowanej przez Trixię. Ezr wątpił, czy którykolwiek z niezafiksowanych Emergen-tów był dość kompetentny, by ocenić te prace. I wbrew temu, co z takim przekonaniem wyjaśniał Reynolt, coraz częściej miał wątpliwości; przekłady Trixii zbyt mocno przypominały historię Epoki Świtu, którą karmił ją z takim upodobaniem przed zasadzką. Nau, Brughel i Reynolt mogli tego nie dostrzegać, Ezr był jednak specjalistą i znajdował zbyt wiele podejrzanych podobieństw.

Trixia konsekwentnie ignorowała fizyczność Pająków. Wziąwszy pod uwagę obrzydzenie, jakie niektórzy ludzie czują do pajaków, nie było to może takie złe. Te stworzenia naprawdę radykalnie różniły się od ludzi, były bardziej odmienne zarówno w swej postaci, jak i cyklu życiowym niż jakakolwiek forma inteligencji napotkana dotąd przez ludzkość. Niektóre z ich kończyn pełniły tę samą funkcję co ludzkie szczęki, Pająki nie miały także odpowiedników rąk i palców, a do manipulowania przedmiotami wykorzystywały liczne odnóża. Wszystkie te różnice były niemal niewidoczne w przekładach Trixii. Od czasu do czasu pojawiały się wzmianki o spiczastej ręce (być może chodziło o kształt, jaki może przybrać zwinięta przednia noga) lub rękach środkowych czy przednich - ale nic poza tym. W szkole Ezr widział już tak miękkie przekłady, te dokonywane były jednak przez ekspertów z wieloletnim doświadczeniem w kontaktach z kulturami Klientów.

W świecie Pająków pojawił się program radiowy przeznaczony specjalnie dla dzieci - przynajmniej za taki uznała go Trixia. Audycja, której tytuł w dosłownym przekładzie brzmiał „Dziecięca godzina nauki”, była obecnie ich najlepszym źródłem wiedzy o Pająkach. „Godzina...” zawierała idealną mieszankę języka naukowego - który ludzie zdążyli już całkiem niezłe poznać - i kolokwialnego języka codziennej kultury. Nikt nie wiedział, czy program ten ma naprawdę uczyć dzieci, czy tylko je zabawiać. Nie można było też wykluczyć, że była to audycja edukacyjna dla poborowych do wojska. Tytuł zaproponowany przez Trixię szybko się jednak przyjął, nadając treści programów niewinny, miły charakter. ArachnaTrixii przypominała bajkową Epokę Świtu. Czasami, kiedy Ezr spędzał z nią cały dzień, kiedy nie odzywała się doń ani słowem, kiedy jej fiksa-cja była tak wąska, że nie dopuszczała ani odrobiny człowieczeństwa... czasami zastanawiał się, czy te przekłady nie są dziełem starej Trixii uwię-

zionej w najbardziej efektywnej formie niewolnictwa, jaką zna ludzkość, a mimo to sięgającej po nadzieję. Świat Pająków był jedynym miejscem, na które pozwałała jej patrzeć fiksją. Może zniekształcała to, co do niej docierało, tworząc sen o szczęściu w jedyny dostępny sobie sposób.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Rozpoczęła się już środkowa faza słońca, a Princeton odzyskało wiele ze swej urody. W następnych latach miało wypięknąć jeszcze bardziej, wzbogacone o nowe budynki, otwarte teatry, Pałac Lat Gaśnięcia, uniwersyteckie szkółki drzew. Lecz już w roku 60//19 układ ulic był kompletny, normalnie funkcjonowała centralna dzielnica biznesu, a na uniwersytecie odbywały się zajęcia dydaktyczne.

Pod innymi względami rok 60//19 był różny od roku 59//19 i bardzo różny od dziesiątego roku wszystkich poprzednich pokoleń. Świat wkroczył w Erę Nauki. Nadrzeczną równinę, na której rozciągały się niegdyś pola uprawne, zajmowało teraz lotnisko. Z najwyższych wzgórz miasta wyrastały maszty radiowe; czerwone lampki umieszczone na ich szczycie widoczne byry w nocy z odległości wielu mil.

W roku 60//19 wiele miast Akord przybrało już podobny wygląd, tak jak i wielkie miasta Tiefstadt i Kindred oraz, w mniejszym stopniu, miasta biedniejszych nacji. Lecz nawet według standardów nowej ery Princeton należało do miejsc wyjątkowych. Działy się tu rzeczy, które, choć niewidoczne dla przeciętnego obywatela, były załączkiem jeszcze większej rewolucji.

Hrunkner Unnerby przyleciał do Princeton w deszczowy, wiosenny poranek. Taksówka, która zabrała go z lotniska, jechała przez samo centrum miasta. Unnerby wychował się w Princeton, tu też znajdowała się kiedyś jego firma budowlana. Większości sklepów jeszcze nie otwarto, służby miejskie kończyły właśnie czyścić ulice i chodniki. Krople deszczu mieniły się tysiącami barw na drzewach i szklanych witrynach. Hrunkner lubił stare centrum, gdzie wiele spośród kamiennych fundamentów przetrwało ponad trzy czy cztery pokolenia. Nawet nowe budynki z betonu i cegły zostały wzniesione według projektów z odległej przeszłości.

Opuściwszy centrum, wjechali do nowej dzielnicy. Niegdyś była to własność królewska, rząd jednak sprzedał ją, by sfinansować Wielką Wojnę - konflikt, który nowa generacja nazywała po prostu wojną z Tiefarami. Niektóre części nowej dzielnicy natychmiast zamieniły się w slumsy, inne - położone wyżej - zostały zajęte przez eleganckie posiadłości. Taksówka pokonywała kolejne zakręty, pnąc się mozolnie w stronę najwyższego punktu nowej drogi. Szczyt wzgórza przesłaniały bujne, opadające paprocie, ale od czasu do czasu pokazywały się między nimi jakieś bu-

VERNORVINGE

dynki. Wrota bramy rozsunęły się bezszelestnie przed samochodem, choć w pobliżu nie było żywego ducha. Ho, ho. Za parkanem krył się prawdziwy pałac.

Sherkaner Underhill stał przy parkingu na końcu podjazdu. Deszcz zamienił się w drobną mżawkę, lecz Underhill rozłożył parasol, kiedy wyszedł Unnerby'emu na spotkanie.

- Witam, sierzancie! Witam! Tyle lat namawiałem cię, żebyś odwiedził mój mały domek na wzgórzu i wreszcie się pojawiłeś.

Hrunkner wzruszył ramionami.

- Mam ci tak wiele do pokazania... począwszy od dwóch małych, ale ważnych punktów. - Przesunął parasol do tyłu. Po chwili z futra na jego plecach wychynęły dwie małe główki. Była to dwójka dzieci, trzymających się mocno swego ojca. Niewiele starsze od normalnych dzieci we wczesnej Jasności osiągnęły właśnie najwdzięczniejszy wiek. - Dziewczynka ma na imię Rhapsa, a chłopiec to Hrunkner.

Unnerby podszedł do przodu, starając się zachować obojętną minę. *Pewnie nazwali dziecko Hrunkner w imię starej przyjaciółni. Boże na głębokościach.*

- Bardzo miło was poznać. - Unnerby nigdy nie potrafił obchodzić się z dziećmi; najmłodszymi istotami, z jakimi utrzymywał stały kontakt, byli poborowi. Miał nadzieję, że teraz usprawiedliwi to jego niezręczne zachowanie.

Dzieci jakby wyczuły jego niechęć i schowały się szybko w futrze.

- Nie przejmuj się - powiedział Sherkaner, który lekceważył tego rodzaju niezręczności. - Pokażą się znowu, kiedy wejdziemy do środka.

Sherkaner wprowadził go do pałacu, mówiąc przez cały czas o tym, jak wiele ma mu do pokazania, i jak bardzo cieszy się z jego wizyty. Lata zmieniły Underhilla, przynajmniej fizycznie. Nie był już tak chorobliwie chudy, futro na jego grzbiecie stało się długie i gęste, nieprzystające do tej fazy słońca. Drżenie głowy i przednich kończyn jakby pogłębiło się, odkąd Unnerby widział go po raz ostatni.

Przeszli przez ogromny hol i w dół szerokich, spiralnych schodów prowadzących kolejno przez wszystkie skrzydła „małego domku na wzgórzu” Sherkanera. Kręciło się tu mnóstwo ludzi, może była to służba, choć nikt nie nosił liberii, której wymagali zazwyczaj najwięksi bogacze. Właściwie miejsce to przypominało użytkową własność jakiejś korporacji lub rządu. Unnerby przerwał nieustający monolog swego towarzysza:

- To wszystko jest tylko fasadą, prawda, Underhill? Król nigdy nie sprzedał tego wzgórza, po prostu przekazał je. - Służbom wywiadowczym.

- Nie, ja naprawdę jestem właścicielem tego gruntu, sam go kupiłem. Ale, hm... przeprowadzam sporo konsultacji, a Victory - to znaczy wywiad Akord - uznała, że ze względów bezpieczeństwa lepiej będzie umieścić wszystkie laboratoria właśnie tutaj. Chciałbym pokazać ci kilka rzeczy.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Cóż, taki jest cel mojej wizyty, Sher. Sądzę, że pracujesz nad niewłaściwymi rzeczami. Przekonałeś Koronę do ogromnych inwestycji... Zakładam, że możemy tu swobodnie rozmawiać?

- Tak, tak, oczywiście.

Zazwyczaj Unnerby nie przyjąłby takiego zapewnienia, zaczynał jednak uświadamiać sobie, jak pilnie strzeżony jest ten budynek. Jego projekt wyszedł zapewne spod ręki Sherkanera - świadczył o tym choćby logarytmiczny, spiralny układ pomieszczeń - zarządzała nim jednak Victory; wszędzie czaili się - dopiero teraz to zrozumiał - strażnicy, ściany i dywany były idealnie czyste. To miejsce było prawdopodobnie równie bezpieczne jak laboratoria Unnerby'ego w Dowództwie Lądowym.

- No dobrze. Więc Korona wydaje ogromne kwoty na badania nad energią atomową. Zarządzam sprzętem wartym miliardy, mam pod sobą całą armię ludzi, w tym kilku niemal tak bystrych jak ty. - Choć Hrun-ner Unnerby nadal był sierżantem, zajmował stanowisko, które nijak nie przystawało do tej rangi. Mógł śmiało powiedzieć, że rzeczywistość przerosła jego najśmielsze oczekiwania.

- To dobrze, bardzo dobrze. Victory bardzo w ciebie wierzy, wiesz o tym. - Wprowadził swego gościa do wielkiego, dziwaczego pokoju. Znajdowały się w nim biblioteczki i biurko, założone stertą raportów, książek i notatek. Biblioteczki były jednak przymocowane do urządzeń gimnastycznych dla koblików, a dziecięce książki przemieszane z instrumentami naukowymi. Dwójka maluchów zeskoczyła z pleców Sherkanera i wspięła się na urządzenia gimnastyczne. Teraz patrzyły na nich spod sufitu. Sherkaner zsunął książki i czasopisma z niższej grzędę, po czym zaprosił Unnerby'ego do zajęcia miejsca. Bogu dzięki, że nie próbował zmienić tematu.

- Tak, ale nie widziałeś moich raportów.

- Owszem, widziałem. Victory mi je podsyła, choć nie miałem czasu ich przeczytać.

- A może powinieneś! - *Przesyłają mu tajne raporty, a on nie ma czasu ich przeczytać, a przecież to właśnie on rozpoczął to wszystko.* - Posłuchaj, Sherkaner, sprawy nie wyglądają najlepiej. Zasadniczo możliwości energii atomowej są niemal nieograniczone. W praktyce... cóż, stworzyliśmy kilka naprawdę groźnych rodzajów trucizn. To rzeczy podobne do radu, ale znacznie łatwiejsze w produkcji. Mamy też izotop uranu, bardzo trudny do wyizolowania; gdyby nam się to jednak udało, stworzylibyśmy piekielną bombę; możemy dostarczyć ci taką ilość energii, która ogrzałaby miasto przez całą Ciemność, ale skumulowaną w jednej sekundzie!

- Doskonale! To dobry początek.

- Być może na tym początku się skończy. Musiałem oddać trzy laboratoria facetom, którzy pracują nad stworzeniem takiej bomby. Problem w tym, że mamy teraz pokój; informacje o takiej technologii wydostaną się w końcu na zewnątrz, najpierw do kopalń, a potem do innych państw.

VERNOR VINGE

Wyobrażasz sobie, co może się stać, kiedy Kindred, Tiefertzy i Bóg wie kto jeszcze też zaczną produkować te rzeczy?

Ta ostatnia uwaga przebiła się wreszcie przez pancierz pogodnej uwagi, z jaką Underhill słuchał jego wywodów.

- Tak, rzeczywiście, sytuacja byłaby nieciekawa. Nie czytałem twoich raportów, ale Victory często się tutaj pokazuje. Technika daje nam cuda, lecz stwarza ogromne zagrożenie. Niestety jest to powiązane. Ale jestem przekonany, że nie przetrwamy, jeśli nie będziemy zajmować się tymi rzeczami. Ty widzisz tylko część tego wszystkiego. Posłuchaj, wiem, że Victory może załatwić ci więcej funduszy. Możemy urządzić ci nowe laboratorium, co tylko zechcesz...

- Sherkaner, powiedz mi szczerze, co o tym myślę?

- Cóż, hm... - Najwyraźniej domyślał się, co może usłyszeć.

- Gdybym miał teraz wszystkie pieniądze świata, zapewne mógłbym stworzyć system ogrzewania miasta. Co kilka lat dochodziłoby do katastrofalnych awarii, a gdyby nawet system pracował „właściwie”, jego substancja przepływowa - powiedzmy supergorąca para - byłaby tak radioaktywna, że wszyscy mieszkańcy twojego miasta wymarliby w ciągu pierwszych dziesięciu lat Ciemności. Po przekroczeniu pewnego punktu wrzucanie kolejnych funduszy i techników do projektu po prostu niczego nie zmieni.

Sherkaner nie odpowiedział mu od razu. Unnerby miał wrażenie, że jego uwaga skupiona jest na dwojce dzieci, które bawiły się pod sufitem. Ten pokój był naprawdę przedziwną kombinacją bogactwa, intelektualnego chaosu typowego dla starego Underhilla i ojcowskiej troski nowego Underhilla. Tu i ówdzie spod stert książek, czasopism i zabawek przeziarał puszysty dywan. Ściany pokrywała jedna z tych niezwykle drogich tapet iluzyjnych. Ogromne okna z kwarcowymi szybami ciągnęły się od podłogi aż po wysoki sufit. Teraz były lekko uchylone. Przez szpary sączył się zapach paproci. Przy biurkach Underhilla i biblioteczkach stały lampy elektryczne, jednak wszystkie były wyłączone. Do pokoju wpadało jedynie zielonkawe światło przefiltrowane przez paprocie, ale wystarczająco silne, by Unnerby mógł odczytać tytuły najbliższych książek. Znajdowały się tam dzieła z zakresu psychologii, matematyki, elektroniki i astronomii - oraz mnóstwo bajek i opowiadań dla dzieci. Książki ułożono w niskie sterty, wypełniały większość przestrzeni pomiędzy zabawkami i sprzętem. Hrunckner nie zawsze mógł określić, które zabawki należały do dzieci, a które do Underhilla. Niektóre przedmioty wyglądały jak pamiątki z podróży, być może z placówek wojskowych, które odwiedzała Victory; tieferski gładzik do nóg, zasuszone kwiaty, które mogły być kiedyś garlandem wyspiarza. A w rogu... to wyglądało jak rakietka artyleryjska Mark 7, na miłość boską. Głowica została usunięta, a w miejscu materiałów wybuchowych znajdował się dom dla lalek.

- Masz rację, same pieniądze niewiele zmienią - odezwał się wresz-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

cie Underhill. - Trzeba czasu, by stworzyć maszyny, które tworzą maszyny i tak dalej. Ale mamy jeszcze dwadzieścia pięć lat, a generał mówi mi, że genialnie sobie radzisz z zarządzaniem tak wielkim projektem.

Ta pochwała napęliła Hruncknera ogromną dumą, znaczyła dlań więcej niż wszystkie medale, które zgromadził podczas Wielkiej Wojny; gdyby jednak nie Smith i Underhill nigdy nie odkryły w sobie takich talentów.

- Dziękuję ci bardzo - odparł burkliwie, starając się nie zdradzić, jak bardzo ucieszyła go ta opinia. - Ale mówię ci, to wszystko i tak nie wystarczy. Jeśli chcesz, żebym dokonał tego w ciągu najbliższych dwudziestu lat, potrzebuję czegoś więcej.

- Czego?

- Ciebie, do diabła! Twoich pomysłów! Od pierwszego roku projektu kryjesz się tutaj, w Princeton, i Bóg jeden wie, czym się zajmujesz.

- Och... Posłuchaj, Hrunckner, bardzo mi przykro, ale energia atomowa już mnie nie interesuje.

Znając Underhilla od tylu lat, Unnerby nie powinien być zaskoczony tym oświadczeniem. Mimo to miał ochotę zagryźć ręce. Oto człowiek, który porzucił przedmiot badań, kiedy inni nie wiedzieli jeszcze o jego istnieniu. Gdyby był zwykłym szaleńcem, Unnerby nie przejmowałaby się tym specjalnie. W tej chwili jednak z przyjemnością by go zabił.

- Tak - kontynuował Underhill. - Potrzebujesz więcej zdolnych ludzi. Pracuję nad tym, wiesz; mam ci kilka rzeczy do pokazania. Ale i tak... - mówił, nieświadomie dolewając oliwy do ognia - intuicja podpowiada mi, że problem energii atomowej okaże się stosunkowo łatwy w porównaniu z innymi wyzwaniami.

- Na przykład?

Sherkaner się roześmiał.

- Na przykład z wychowaniem dzieci. - Wskazał stary zegar z wahałdłem wiszący na przeciwległej ścianie. - Myślałem, że inne kobliki już tu będą o tej porze. Może powinienem ci najpierw pokazać instytut. - Zesko czył ze swojej grzędy i zaczął machać w ten głupawy sposób, w jaki rodzice machają do swych dzieci. - Schodźcie już, schodźcie. Rhapsa, odejź od zegara! - Za późno; dziecko zbiegło z żerdzi, skoczyło na wahadło i ześli znęło się po nim na podłogę. - Mam tutaj tyle rzeczy... Boję się, że coś spadnie na dzieci i je rozgniecie. - Maluchy przetruchtały przez pokój i wskoczyły na swoje miejsca w futrze ojca. Były niewiele większe od leśnych wrózek.

Instytut Underhilla został oficjalnie uznany za wydział Królewskiej Szkoły. Budynek mieścił kilkanaście sal dydaktycznych, z których każda zajmowała fragment zewnętrznego obwodu. I to nie Korona opłacała większość ich, a przynajmniej tak twierdził Underhill. Badania w głównej mierze sponsorowały firmy, na których Underhill wywarł ogromne wrażenie.

VERNORVINGE

- Mógłbym zatrudnić najlepszych naukowców z Królewskiej Szkoły, ale zawarliśmy umowę. Ich ludzie nadal mają zajęcia w centrum, ale pracują także tutaj, przy czym szkoła pokrywa część naszych kosztów. A tutaj liczą się tylko rezultaty.

- Nie ma zajęć?

Kiedy Sherkaner wzruszył ramionami, dzieciaki podskoczyły na jego grzbiecie i wydały z siebie podekscytowane, piskliwe dźwięki, które znaczyły prawdopodobnie: „Zrób to jeszcze raz, tato!”.

- Owszem, mamy zajęcia... w pewnym sensie. Chodzi głównie o to, by ludzie rozmawiali między sobą, specjaliści z różnych dziedzin. Studenci podejmują ryzyko, bo wiele rzeczy nie zostało jeszcze ujętych w sztywne ramy. Mam tu kilka osób, które świetnie się przy tym bawią, ale nie są dość dobre, żeby uzyskać jakieś konkretne wyniki.

W większości klas przy tablicy stały dwie lub trzy osoby, których poczynaniom przyglądał się tłum zasiadający na niskich grzędach. Trudno było określić, kto jest profesorem, a kto studentem. Kilka razy Hrunckner nie wiedział nawet, jakiej dziedziny dotyczy dyskusja. Przystanęli na moment przy jednej z klas. Koblik z obecnego pokolenia wykladał coś grupie starych koberów. Rysunki na tablicy wyglądały jak połączenie mechaniki nieba z elektromagnetyzmem. Sherkaner zatrzymał się i uśmiechnął do ludzi zgromadzonych w sali.

- Pamiętasz te dziwne światła na niebie, które widzieliśmy w Ciemności? Mam tutaj studenta, który uważa, że mogły je emitować jakieś obiekty w kosmosie, wyjątkowo ciemne obiekty.

- Nie były ciemne, kiedy je widzieliśmy.

- Tak! Ale może mają coś wspólnego z początkiem Nowego Słońca. Prawdę mówiąc, nie jestem przekonany do tej hipotezy. Jaybert nie wie jeszcze zbyt wiele o mechanice nieba, ale za to świetnie zna się na elektromagnetyzmie. Pracuje nad urządzeniem, które może emitować fale długości zaledwie kilku cali.

- Tak? Kojarzy mi się to raczej z nadczzerwienią niż z radiem.

- Nie jest to coś, co moglibyśmy kiedykolwiek zobaczyć, ale może okazać się naprawdę przydatne. Jaybert chce wykorzystać je jako echosonde do poszukiwania tych swoich skał w kosmosie.

Ruszyli ponownie w dół korytarza. Hrunckner zauważył, że Underhill nagle zamilkł, jakby chciał zmusić go do zastanowienia się nad tym pomysłem. Hrunckner Unnerby był bardzo praktycznym człowiekiem; podejrzewał, że właśnie dlatego generał Smith tak chętnie powierzała mu nadzór nad dużymi projektami. Lecz nawet on potrafił zapalić się do pomysłu, który mógł przynieść niesamowite efekty. Nie wiedział, jak zachowują się tak krótkie fale, lecz przypuszczał, że można je bardzo precyzyjnie ukierunkować - mieliby dość zastosowań dla takiej sondy tu, na ziemi, nim skierowałyby ją w kosmos. Hmm... Potrzeby wojska mogły się okazać znacznie ważniejsze niż wszystko, co planował ten Jaybert...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Czy ktoś już zbudował taki nadajnik?

Jego zainteresowanie musiało być aż nadto widoczne; Underhill uśmiechał się coraz szerzej.

- Tak, sam Jaybert. To naprawdę genialna rzecz, coś, co on nazywa oscylatorem wnątkowym. Zamontowałem małą antenę na dachu; przypomnia raczej lustro teleskopowe niż maszt radiowy. Victory zainstalowała cały szereg przekaźników ciągnący się przez Zachodnie Pasma aż do Dowództwa Lądowego. Słyszymy się równie dobrze jak przez telefon. Jestem pewien, że w końcu otrzymamy najbezpieczniejszą formę przekazu bez przewodowego, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Nawet jeśli badania kosmiczne Jayberta nigdy nie dojdą do skutku. Sherkaner Underhill był szalony jak zawsze, a Unnerby zaczynał rozumieć, do czego zmierza i dlaczego nie chce porzucić wszystkiego, by pracować nad energią atomową.

- Naprawdę uważasz, że ta szkoła wyda geniuszy, których potrzebujemy w Dowództwie Lądowym?

- Na pewno ich znajdzie, a wydaje mi się, że my wydobywamy tutaj z ludzkiego materiału to, co najlepsze. Nigdy w życiu nie bawiłem się lepiej. Ale trzeba być elastycznym, Hrunken. Istotą prawdziwej kreatywności jest pewna swoboda, płynne przechodzenie od pomysłu do pomysłu, tworzenie nieskrępowane jakimiś stałymi wytycznymi. Oczywiście, nie zawsze można osiągnąć to, do czego się dąży. Myślę jednak, że od tej pory to wynalazek będzie matką potrzeby, a nie odwrotnie.

Sherkaner Underhill mógł tak mówić. On nie musiał wcielać teorii w praktykę.

Underhill zatrzymał się przy pustej klasie; spojrzął na tablicę. Znów jakiś niezrozumiały naukowy żargon.

- Pamiętasz te urządzenia, które Dowództwo Lądowe wykorzystywało w czasie wojny do sporządzania tabel balistycznych? Robimy teraz takie rzeczy z próżniowymi lampami elektronowymi i magnetowodami. Są milion razy szybsze od tamtych gadżetów i możemy wprowadzać liczby jako ciągi symboli. Twój fizycy na pewno będą tym zachwyceni. - Za chichotał. - Zobaczysz, Hrunken. Choć wszystkie patenty naszych wynalazków należą do sponsorów, ty i Victory też będziecie mieli powody do zadowolenia...

Kontynuowali marsz w górę spiralnych schodów. Po chwili dotarli do atrium położonego obok szczytu wzgórza. Wokół Princeton nie brakowało wyższych gór, lecz widok z tego miejsca i tak był jedyny w swoim rodzaju, nawet mimo zimnego deszczu. Unnerby widział trzysilnikowy samolot zniżający się nad płytą lotniska. Drogi wytyczone niedawno po drugiej stronie doliny miały kolor wilgotnego grafitu i świeżo położonego asfaltu. Unnerby znał firmę, która wykonywała te prace. Wierzyli w pogłoski, że wkrótce pojawi się źródło energii pozwalające na życie w Ciemności. Jak wyglądałoby Princeton, gdyby rzeczywiście do tego doszło? Miasto

pod gwiazdami, w głębokiej próżni, a jednak wciąż żywe. Najgorsze mogły się okazać ostatnie Lata Gaśnięcia, kiedy ludzie będą musieli się zdecydować, czy spędzić Ciemność w konwencjonalny sposób, czy też zaufać dokonaniom inżynierów Hruncknera Unnerby'ego. Hrunckner obawiał się najbardziej nie tyle porażki, ile częściowego sukcesu.

- Tato, tato! - Hrunckner ujrzał nagle dwójkę pięciolatek pędzących w ich stronę. Po chwili dołączyło do nich kolejnych dwoje koblików, lecz ci byli niemal dość duzi, by wyglądać na urodzonych w fazie. Przez ponad dzie sięć lat Hrunckner Unnerby starał się nie zwracać uwagi na zboczenia swej szefowej; generał Victory Smith była najlepszym szefem wywiadu, jakiego mógł sobie wyobrazić, być może nawet lepszym od Struta Greenwala. Jej osobiste zwyczaje nie powinny mieć dlań znaczenia. Z pewnością nigdy nie przeszkadzał mu fakt, że urodziła się poza fazą; nie miała na to żadnego wpływu. Ale dlaczego zaczęła budować rodzinę na początku Nowego Słońca, dlaczego skazała swoje dzieci na ten okrutny los? *One nie są nawet w tym samym wieku.* Dwa najmniejsze dzieciaki zeskoczyły z grzbietu Underhilla. Przebiegły przez trawę i wspięły się na nogi dwojga najstarszych. Wyglądało to tak, jakby Smith i Underhill celowo prowokowali społeczeństwo, szar gali największe świętości i czekali na reakcję. Wizyta, której tak długo uni kał, okazywała się nawet trudniejsza, niż mógł przypuszczać.

Dwaj chłopcy - najstarsze dzieci - podnieśli maluchy i udawali przez moment, że niosą je jak prawdziwi ojcowie. Oczywiście nie mieli jeszcze futra na grzbietach, dzieciaki ześliznęły się więc z pancerza, ale chwyciły brzegi ich ubrań i wspięły się ponownie, zanosząc się przy tym głośnym śmiechem.

Underhill przedstawił całą czwórkę sierżantowi. Wszyscy razem ruszyli przez wilgotną trawę w stronę markizy. Był to największy plac zabaw, jaki Underhill widział poza szkolnym podwórzem, a także bardzo dziwny. Wyposażenie normalnej szkoły stopniowo się zmieniało, dopasowując się do aktualnego wieku uczniów. Zabawki w ogrodzie Underhilla przeznaczone były dla dzieci w różnym wieku. Znajdowały się tu pionowe urządzenia gimnastyczne, których mogą używać tylko dwulatki, piaskownice, kilka wielkich domów dla lalek i niskie stoliki z ilustrowanymi książkami i grammi.

- To przez Junior nie spotkaliśmy się z tobą i panem Unnerby na dole, tato. - Dwunastolatek wskazał na jedno z pięcioletnich dzieci - Victory Junior? - Chciała ściągnąć was na górę, żebyśmy mogli pokazać panu Unnerby'emu wszystkie nasze zabawki.

Pięciolatki nie potrafią skrywać uczuć. Victory Junior miała jeszcze dziecięce oczy. Choć można nimi obracać o kilka stopni, jest ich tylko jedna para; dziewczynka musiała więc obracać się zawsze w stronę obiektu, który chciała obserwować. Nietrudno było się domyślić, na czym skupiona jest aktualnie jej uwaga. Dwoje wielkich oczu spojrzało najpierw na Underhilla i Unnerby'ego, a potem na starszego brata.

OTCHLAŃ W NIEBIE

- Skarżypyta! - syknęła na niego. - Ty też chciałeś, żeby tu przyszli.
- Wykonała jakiś obraźliwy gest pod jego adresem, po czym przysunęła się bliżej do Underhilla. - Przepraszam, tato. Chciałam pokazać mój dom dla lalek, a Brent i Gokna musieli jeszcze dokończyć lekcje.

Underhill podniósł przednie ręce, by zamknąć ją w uścisku.

- Cóż, i tak chcieliśmy tutaj przyjść. - Potem zwrócił się do Unnerby'ego. - Podejrzewam, że generał przedstawiła cię jako wyjątkową postać, Hrunknier.

- Tak, pan jest Inżynierem! - powiedziała druga z pięciolatek. - Gokna?

Pomimo protestów Junior to Brent i Jirlib mogli popisać się przed nim pierwsi. Hrunknier nie potrafił ocenić rzeczywistego poziomu ich edukacji. Obaj miałby jakiś podstawowy program nauczania, poza tym jednak mogli zajmować się wszystkim, co tylko ich interesowało. Jirlib - chłopiec, który naskarżył na Junior - był kolekcjonerem. Unnerby nie widział jeszcze dzieciaka, który z taką pasją zajmowałby się skamieniałościami. Jirlib pożyczał z biblioteki Szkoły Królewskiej książki, które stanowiłyby spore wyzwanie dla dorosłych studentów. Miał kolekcję diamentowych skamieniałości, które zgromadził, podróżując ze swymi rodzicami do Dowództwa Lądowego. I podobnie jak jego ojciec miał głowę nabitą szalonymi teoriami.

- Nie jesteście tu pierwsi, wie pan. W warstwie sprzed stu milionów lat, tuż pod diamentami, leżą fosylia Khelma. Większość naukowców uważa, że to były zwykłe zwierzęta, ale to nieprawda. Oni mieli magiczną cywilizację, a ja zamierzam dowiedzieć się, jak wyglądała. - Właściwie wcale nie było to nowe szaleństwo, Unnerby jednak nieco się dziwił, że Sherkaner pozwala swym dzieciom czytać bzdurną paleontologię Khelma.

Brent, drugi dwunastolatek, pasował bardziej do stereotypu dziecka spoza fazy; zamknięty w sobie, trochę ociężały, być może cofnięty w rozwoju. Zdawało się, że nie wie, co zrobić z rękami i stopami, i choć miał mnóstwo oczu, nadal korzystał głównie z jednej pary, jakby był znacznie młodszy. Brent nie miał żadnych specjalnych zainteresowań prócz tego, co nazywał „testami taty”. Miał całe pojemniki zabawek budowlanych, lśniące metalowe kołki i złączki. Trzy spośród czterech stołów pokrywały skomplikowane struktury. Zmieniając odpowiednio liczbę kołków mocujących w każdej z piast, ktoś zbudował różnorodne, zakrzywione powierzchnie dla dziecka.

- Dużo myślałem o testach taty. Jestem w tym coraz lepszy. - Brent zaczął gmerać przy wielkim półokrągłym profilu, rozmontowując starannie ułożoną konstrukcję.

- Testy? - Unnerby spojrział groźnie na Sherkanera. - Co ty robisz tym dzieciom?

Underhill jakby nie słyszał gniewu w jego głosie.

- Czyż dzieci nie są cudowne? To znaczy wtedy, kiedy nie są niezno-

VERNOR VINGE

śne... Obserwując dorastające dziecko, widzisz, jak rozwijają się kolejne mechanizmy myślenia, krok po kroku. - Przesunął ręką po plecach, poklepując delikatnie dzieci, które wróciły do bezpiecznego schronienia. - W pewnym sensie ta dwójka jest mniej inteligentna niż leśny tarant. Pewne wzory, struktury myśli, po prostu nie istnieją w umyśle dziecka. Kiedy bawię się z nimi, niemal czuję te bariery. Ale w miarę upływu lat umysł się rozrasta, pojawiają się nowe metody. - Wygłaszając ten krótki monolog, Underhill przechadzał się wzdłuż stołów. Jedna z pięciolatek - Gok-na - tańczyła o pół kroku przed nim, naśladując jego gesty, nawet niekontrolowane drgawki. Underhill zatrzymał się przy stole zastawionym pięknymi butelkami z dmuchanego szkła w dziesiątkach barw i kształtów. Kilka z nich napełnionych było wodą owocową i lodem, jakby ktoś przygotowywał tu dziwaczne przyjęcie w ogrodzie. - Ale nawet w umysłach pięciolatek istnieją jeszcze pewne ograniczenia. Mają zdolności językowe, ale nadal nie rozumieją podstawowych pojęć...

- I wcale nie chodzi o to, że nie rozumiemy seksu! - wtrąciła Gokna.

Choć raz Underhill wydawał się nieco zakłopotany.

- Obawiam się, że słyszała tę mowę już zbyt wiele razy. Starsi bracia powiedzieli jej już, co mówić, kiedy bawimy się w pytania.

Gokna pociągnęła go za nogę.

- Usiądźmy i pobawmy się. Chcę pokazać panu Unnerby'emu, co tu robimy.

- Dobrze, możemy to zrobić... gdzie jest twoja siostra? - Jego głos stał się nagle ostry i władczy. - Viki! Zejdź stamtąd! To niebezpieczne.

Victory Junior była już na przyrządach gimnastycznych dla dzieci, tuż pod markizą.

- Och, tato, nic mi się nie stanie, przecież jesteś tu z nami.

- To niczego nie zmienia. Proszę natychmiast stamtąd zejść.

Pomrukując gniewnie, Junior spełniła polecenie ojca, by za chwilę pisać się w zupełnie inny sposób.

Jedno po drugim dzieci pokazywały mu swoje projekty. Dwoje najstarszych brało udział w ogólnokrajowym programie radiowym, w którym wyjaśniały zawilosci nauki młodym ludziom. Najwyraźniej to Sherkaner zajmował się produkcją tej audycji, choć Unnerby nie miał pojęcia, dlaczego to robi.

Hrunkner znosił wszystko cierpliwie, słuchając, uśmiechając się i udając. Dzieci Sherkanera były naprawdę cudowne, otwarte i bardzo inteligentne - z wyjątkiem Brenta. Wszystko to jeszcze bardziej przybiło Unnerby'ego, kiedy wyobraził sobie, jak będzie wyglądało ich życie w normalnym świecie.

Victory Junior miała dom dla lalek, ogromną budowlę sięgającą niemal paproci. Kiedy nadeszła jej kolej, dziewczynka ujęła go mocno za jedną z przednich rąk i zaciągnęła do otwartej strony domu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Widzi pan? - powiedziała, wskazując na mały otwór w piwnicy za bawkowo domu. Otwór podejrzanie przypominał wejście do gniazda termitów. - Mój dom ma nawet własną otchłań. I spiżarnię, i jadalnię, i sie dem sypialni... - Victory musiała pokazać gościowi każde pomieszczenie i wytłumaczyć mu, do czego służą poszczególne meble. Kiedy otworzyła ścianę sypialni, w jej wnętrzu poruszały się jakieś małe stworzenia. - Mam nawet ludzi, którzy mieszkają w moim domku. Proszę zobaczyć aterkopy.

- Skala domu Viki była niemal idealnie dopasowana do małych owadów, przynajmniej w tej fazie słońca. Za jakiś czas ich nogi miały zamienić się w kolorowe skrzydła. Wtedy będą to leśne wróżki i wcale nie będą paso wać do tego miejsca. Na razie jednak rzeczywiście wyglądały jak mali lu dzie, przechodzący z pokoju do pokoju.

- Bardzo mnie lubią. Mogą wrócić do drzew, kiedy tylko chcą, ale ja zostawiam w pokojach małe kawałeczki jedzenia, więc odwiedzają mnie codziennie. - Pociągnęła za mały mosiężny uchwyt, a część jednego piętra wysunęła się jak szuflada. We wnętrzu znajdował się skomplikowany labi rynt zbudowany z cienkich drewnianych listewek. - Przeprowadzam na wet z nimi eksperymenty, tak jak tata z nami, tyle że o wiele prostsze. - Jej oczy zwrócone były w dół, nie mogła więc widzieć reakcji Unnerby'ego.

- Kładę krople miodu przy tym wejściu, a potem wpuszczam je z drugiej strony. Potem mierzę im czas... Och, zgubiłeś się, prawda, maluszku? Sie dzisz tu już od dwóch godzin. Przepraszam. - Sięgnęła do pudełka i deli katnie wyjęła z niej aterkopa i usadziła go na półce obok paproci. - Che, che... - Rechocik typowy dla Sherkanera. - Niektóre z nich są znacznie głupsze od pozostałych... a może to tylko kwestia szczęścia. No tak, ale jak mam policzyć jej czas, kiedy ona w ogóle nie przeszła przez labirynt?

- Ja... nie wiem.

Odwróciła się i podniosła na niego swe piękne oczy.

- Mama mówi, że mój braciszek został nazwany na pańską cześć. Hrunknier?

- Tak. Chyba masz rację.

- Mama mówi, że jest pan najlepszym inżynierem na świecie. Mówi, że potrafi pan nawet zrealizować szalone pomysły taty. Mama chce, żeby pan nas lubił.

W spojrzeniu tego dziecka było coś dziwnego. Było tak bezpośrednie. Ten, na kogo patrzyło, w żaden sposób nie mógł udawać, że nie chodzi o niego. Cały ból i zakłopotanie związane z tą wizytą skumulowały się w tej jednej chwili.

- Lubię was - powiedział.

Victory Junior patrzyła nań jeszcze przez chwilę, potem odwróciła wzrok.

- Rozumiem.

W atrium zjedli lunch z dziećmi. Zasłona chmur ustępowała coraz szybciej, robiło się gorąco, przynajmniej jak na wiosenny dzień dziewięt-

VERNOR VINGE

nastego roku w Princeton. Nawet pod markizą było tak ciepło, że wszystkie stawy Hruncknera pokryły się potem. Dzieciom wcale to nie przeszkadzało. Nadal fascynował je człowiek, którego imię nosił ich brat. Z wyjątkiem Viki wszystkie były wesołe i rozbrykane, a Unnerby starał się w miarę możliwości spełniać ich zachcianki.

Kiedy kończyli jeść posiłek, pojawili się nauczyciele. Wyglądali na studentów z instytutu. Dzieci nie musiały więc chodzić do prawdziwej szkoły. Czy to ułatwi im kiedyś życie?

Dzieciaki chcieli, by Unnerby został z nimi na lekcjach, ale Sherkaner kategorycznie odmówił.

- Skoncentrujcie się na nauce - powiedział.

Unnerby najgorszą część wizyty miał już za sobą - przynajmniej tak mu się wydawało. Po chwili sierżant i Underhill ponownie znaleźli się w chłodnym gabinecie na parterze budynku. Rozmawiali przez chwilę o konkretnych potrzebach Unnerby'ego. Nawet jeśli Sherkaner nie chciał pomóc mu osobiście, naprawdę miał tutaj kilku bystrych kobe-rów.

- Chciałbym, żebyś porozmawiał z kilkoma teoretykami. I żebyś zobaczył się z naszymi ekspertami od maszyn liczących. Wydaje mi się, że bez trudu uporałbyś się z niektórymi problemami, gdybyś tylko mógł szybciej wykonywać działania różniczkowe. - Underhill wyprostował się na grzędzie za swoim biurkiem. Jego oblicze przybrało nagle zagadkowy wyraz. - Hrunckner... osiągnęliśmy dzisiaj więcej, niż przypuszczałem, więcej, niż moglibyśmy osiągnąć, rozmawiając godzinami przez telefon. Wiem, że podobałoby ci się w instytucie. Ale ty byś do niego nie pasował! Mamy mnóstwo techników, ale nasi teoretycy uważają, że mogą ich przestawiać według swojego widzimisię. Ty należysz do innej klasy. Ty jesteś człowiekiem, który mógłby rządzić teoretykami i wykorzystywać ich pomysły do osiągnięcia własnych celów.

Hrunckner uśmiechnął się słabo.

- Myślałem, że to wynalazek ma być matką potrzeby.

- Hm. Zwykle jest. Dlatego potrzebujemy ludzi takich jak ty, ludzi, którzy potrafią złożyć poszczególne elementy w całość. Przekonasz się dziś po południu, o czym mówię. To ludzie, których bardzo chętnie byś wykorzystał i *vice versa*... Żałuję tylko, że nie pojawiłeś się tu znacznie wcześniej.

Unnerby zaczął już formułować jakąś słabą wymówkę, ale się powstrzymał. Nie mógł już dłużej udawać. Poza tym znacznie łatwiej rozmawiało mu się z Sherkanerem niż z generałem.

- Wiesz, dlaczego nie przyjechałem wcześniej, Sherk. Prawdę mówiąc, w ogóle by mnie tutaj nie było, gdyby generał Smith nie wydała mi jednoznacznych rozkazów. Poszedłbym za nią do piekła, wiesz o tym. Ale ona chce czegoś więcej. Chce, bym zaakceptował waszą perwersję. Ja... Macie takie piękne dzieci, Sherk. Jak mogliście zrobić im coś takiego?

Spodziewał się, że Underhill go wyśmieje albo zareaguje lodowatą wrogością, którą okazywała Smith przy najmniejszej wzmiance na ten temat. Tymczasem Underhill siedział przez chwilę w milczeniu, bawiąc się starą dziecięcą układanką. Małe kawałki drewna klikały głośno w ciszy gabinetu.

- Przyznajesz, że dzieci są zdrowe i szczęśliwe?
- Tak, choć Brent wydaje się... ociężały.
- Nie uważasz, że traktują je jak zwierzęta doświadczalne?

Unnerby pomyślał o Victory Junior i jej labiryncie w domu dla lalek. Cóż, kiedy on był w jej wieku, przypalał aterkopy za pomocą szkła powiększającego.

- Hm, ty eksperymentujesz ze wszystkim, Sherk, taki już jesteś. Myślę, że kochasz swoje dzieci jak każdy dobry ojciec. I tym trudniej przychodzi mi zrozumieć, jak mogliście wydać je na świat poza fazą. I co z tego, że tylko jedno z nich nie jest w pełni sprawne umysłowo? Zauważyłem, że nie wspomniały ani słowem o jakichś kolegach, swoich rówieśnikach. Nie możesz znaleźć normalnych dzieci w ich wieku, prawda?

Sądząc po grymasie Sherkanera, był to celny strzał.

- Sherk. Twoje biedne dzieci będą musiały żyć w społeczeństwie, które postrzega je jako zbrodnię przeciw naturze.

- Pracujemy nad tymi sprawami, Hrunckner. Jirlib mówił ci o „Dziecięcej godzinie nauki”, prawda?

- Zastanawiałem się, o co w tym chodzi. Więc Jirlib i Brent naprawdę występują w radiu? Ci dwaj mogliby uchościć za dzieci z fazy, ale w końcu ktoś się domyśli i...

- Oczywiście. Jeśli nie, Victory Junior bardzo chętnie wystąpi w tym programie. Ja chcę, by publiczność w końcu to zrozumiała. Audycje będą dotyczyć różnych dziedzin nauki, ale tematem przewodnim będzie biologia i ewolucja. Opowiemy, jak Ciemność zmusiła nas do tego, by żyć w pewien określony sposób. Wyjaśnimy też, że wraz z rozwojem techniki przyczyny społeczne, dla których wszyscy rodzą się w tym samym okresie, staną się nieistotne.

- Nigdy nie przekonasz Kościoła Ciemności.

- Trudno. Mam nadzieję, że przekonam miliony otwartych ludzi, takich jak Hrunckner Unnerby.

Unnerby nie wiedział, co powiedzieć. Argumenty Sherkanera wydawały się rozsądne, a jednak... Czy on naprawdę nie rozumiał? Wszystkie przyzwoite społeczeństwa zgadzają się z pewnymi podstawowymi zasadami, niezbędnymi do przetrwania i zdrowego rozwoju ludzi. Wiele rzeczy może się zmienić, głupotą byłoby jednak odrzucanie tych zasad. Nawet jeśli rzeczywiście będą żyć w Ciemności, przyzwoity cykl życia pozostanie ten sam... Milczenie przeciągało się w nieskończoność. Ciszę przerywał jedynie stukot drewnianych klocków Sherka.

Wreszcie Sherkaner przemówił:

VERNOR VINGE

- General bardzo cię lubi, Hrunk. Byłeś jej najdroższym towarzyszem broni... co więcej, pomagałeś jej, kiedy została świeżo upieczonym porucznikiem, a wszystko wskazywało na to, że jej kariera skończy się na śmietniku.

- Jest najlepsza. Nie ma przecież wpływu na to, kiedy się urodziła.

- ...Zgoda. Ale właśnie dlatego ostatnio tak zatruwa ci życie. Myślała, że ty, właśnie ty, najszybciej zaakceptujesz to, co robimy.

- Wiem, Sherk, ale nie mogę. Widziałeś mnie dzisiaj. Robiłem, co mogłem, ale twoje dzieciaki i tak mnie przejrzały. Przynajmniej Junior.

- Che, che, rzeczywiście. Mała Victory jest równie bystra jak jej matka. Ale - jak powiedziałeś - będzie musiała stawić czoło znacznie gorszym rzeczom... Posłuchaj, Hrunk, porozmawiam o tym z generałem. Powinna zaakceptować to, co dostaje, nauczyć się trochę tolerancji - nawet jeśli będzie to tolerancja dla twojej nietolerancji.

- Ja... byłbym bardzo zobowiązany, Sherk. Dzięki.

- Tak czy inaczej, będziesz nas musiał teraz częściej odwiedzać. Ale możesz to robić na własnych warunkach. Dzieci chciałyby cię widzieć, ale to ty wyznaczysz odpowiedni dystans.

- Dobrze. Ja naprawdę je lubię. Boję się tylko, że nie mogę być tym, kim chciałyby, żebyśmy byli.

- Ha. W takim razie ustalenie właściwego dystansu będzie ich małym eksperymentem. - Sherkaner uśmiechnął się. -A zapewniam cię, że w razie potrzeby są bardzo elastyczne.

DWADZIEŚCIA

Podczas okresu przygotowawczego przed wyprawą Pham Trinli był dla Ezra Vinha odległą i mało istotną ciekawostką. Postrzegał go jako ponurego, leniwego i niekompetentnego faceta. Był „czyimś krewnym”; tylko to tłumaczyło jego obecność w ekspedycji. Dopiero po zasadzce głośne, prostackie zachowanie Phama Trinli mocniej dotknęło Ezra. Czasami bywał zabawny; znacznie częściej Ezra po prostu nie mógł go znieść. Wachta Trinli nakładała się na wachtę Ezra w sześćdziesięciu procentach. Kiedy Ezra leciał do Hammerfest, Pham Trinli opowiadał sprośne historyjki technikom Reynolt. Kiedy odwiedzał salonik Benny'ego, Trinli siedział w towarzystwie Emergentów, głośny i zarozumiały, jak zawsze. Już od wielu lat - dokładnie od śmierci Jimmy'ego Diema - nikt nie uznałby jego zachowania za zdradę. Queng Ho i Emergenci musieli ze sobą żyć, a w towarzystwie Trinlego było też wielu Kupców.

Dzisiaj niechęć Ezra do tego człowieka zmieniła się w coś mroczniejszego. Stało się to podczas spotkania zarządu wachty, któremu jak zwykle przewodniczył Tomas Nau. To nie była już pusta propaganda Komisji Za-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

rządzenia Flotą Ezra. Doświadczenie i współpraca obu stron stanowiły warunek przetrwania. I choć nikt nie miał wątpliwości co do tego, kto podejmuje ostateczne decyzje, Nau często kierował się radami, jakie padały podczas tych zebrań. Ritser Brughel pozostawał aktualnie w uśpieniu, toteż zebranie mogło przebiegać bez patologicznych podtekstów. Z wyjątkiem Phama Trinli zarządcami byli ludzie, którzy naprawdę znali się na swojej pracy.

Przez pierwszą Ksekundę wszystko przebiegało gładko. Programiści Kala Omo przygotowali kilkadziesiąt wyświetlaczy dla Queng Ho. Nowy interfejs był ograniczony, ale lepszy niż nic. Annę Reynolt miała nowy harmonogram pracy dla fiksatów. Pełny plan okrywała jeszcze tajemnica, lecz wyglądało na to, że Trixię czeka trochę mniej pracy. Gonie Fong zaproponowała pewne zmiany w układzie wacht. Ezer wiedział, że większość tych zmian to zapłata za różne transakcje, których Gonie dokonywała po kryjomu, Nau jednak zaakceptował wszystkie bez słowa sprzeciwu. Podziemna gospodarka, którą kierowała ona i Benny, z pewnością znana była Tomasowi Nau... mijaly jednak lata, a on konsekwentnie ją ignorował. *I konsekwentnie na niej korzystał.* Ezer Vinh nigdy by nie przypuszczał, że wolny handel może do tego stopnia usprawnić życie w tak małym i zamkniętym społeczeństwie jak ich stacja na LI. Większość ludzi spędzała wachty w towarzystwie swych ukochanych i przyjaciół. Wielu miało w swych pokojach maleńkie bonsai Qiwi Lisolet. Alokacja sprzętu odbywała się bardzo sprawnie. Może świadczyło to tylko o tym, jak beznadziejny był system alokacji Emergentów. Ezer nadal żył w przeświadczeniu, że Tomas Nau jest największym zbrodniarzem, jakiego kiedykolwiek znał, mordercą setek ludzi. Ale Nau był bardzo sprytny, układny i miły. Tomas Nau wiedział, że przyzwolenie na podziemny handel przyniesie mu więcej korzyści niż szkód.

- Dobrze, ostatni punkt. - Uśmiechnął się serdecznie. - Jak zwykle najbardziej interesujący i najtrudniejszy punkt. Qiwi?

Qiwi Lisolet podniosła się i zatrzymała, opierając rękę o sufit. Gravitacja w Hammerfest była bardzo słaba, wystarczała tylko do tego, by utrzymać bańki z napojami na stole.

- Interesujący? Też tak sądzę. - Skrzywiła się. - Ale to także bardzo irytujący problem. - Qiwi otworzyła głęboką kieszeń i wyciągnęła z niej garść wyświetlaczy - wszystkie opatrzone napisem „zatwierdzone do użyciu ku Handlarzy”. - Wypróbujmy zabawki Kala Omo. - Rozdała je wszystkim zarządcom wachty. Ezer wziął jeden i uśmiechnął się w odpowiedzi na jej nieśmiały uśmiech. Qiwi nadal była niewiele wyższa od dziecka, lecz moc no zbudowana i niemal równie wysoka jak przeciętny dorosły mieszkaniec Strentmann. Nie była już małą dziewczynką ani nawet zdruzgotaną sierotą Wybuchu. Qiwi służyła przez wszystkie kolejne wachty, przeżyła wszystkie lata, jakie minęły od Wybuchu. Ponieważ aktywność OnOff znacznie już zmalała, Qiwi miała wreszcie szansę na tymczasowe zejście

VERNOR VINGE

ze służby; Ezr dostrzegł, że w kącikach jej oczu tworzą się pierwsze, małe zmarszczki. *Ile ona ma teraz lat? Jest starsza ode mnie.* Nawet teraz zachowywała się czasami jak dziecko, nie dokuczała już jednak Ezrowi. A on wiedział, że opowieści o Qiwi i Tomasie Nau są prawdziwe. Biedna, przeklęta przez los Qiwi.

Qiwi Lin Lisolet stała się jednak kimś więcej, niż Ezr kiedykolwiek przypuszczał. Teraz Qiwi stabilizowała góry.

Poczekala, aż wszyscy nałożą wyświetlacze. Potem zaczęła mówić:

- Wiecie, że zajmuję się utrzymaniem naszej stacji na orbicie wokół LI. - Nad środkiem stołu zmaterializowały się nagle dwa ogromne diamenty. Po stronie Ezra spośród skał wyrastało małe Hammerfest; jakaś taksówka cumowała właśnie do wysokiej wieży. Obraz był wyraźny, odcinał się od ściany i ludzi za nim. Kiedy jednak Ezr szybko odwrócił głowę do Qiwi i z powrotem, obraz lekko się rozmył. Automatyka nie nadążała do końca za ruchem, a iluzja stawała się wtedy niepełna. Bez wątpienia programiści Kala Orno musieli przeprowadzić częściową optymalizację. Mimo to urządzenie bliskie było jakości sprzętu Queng Ho.

Na powierzchni skał ukazały się dziesiątki małych, czerwonych punktów.

- To miejsca, w których umieszczone są silniki... - potem obok czerwonych pojawiły się jeszcze liczniejsze żółte punkty... - a to siatka czujników. - Roześmiała się, radosna i swobodna jak przed laty. - Właściwie to nie zwykłe czujniki, ale elementy gromadzące i przetwarzające dane. Wracając do meritum; ja i moi ludzie mamy dwa problemy. Każdy z nich rozpatrywany oddzielnie wydaje się stosunkowo łatwy do rozwiązania; musimy utrzymać skały na orbicie wokół LI. - Skały zamieniły się w stylizowany symbol, krążący po krzywych Lissajous wokół ikonki LI. Po jednej stronie wisiała Arachna; znacznie dalej, lecz na tej samej linii znajdowała się OnOff. - Ustawiliśmy ją tak, że względem obserwatorów z Arachny zawsze znajdujemy się na tle słońca. Minie jeszcze wiele lat, nim ich technika rozwinie się na tyle, by mogli nas tu odkryć... Drugim celem stabilizacji jest utrzymanie Hammerfest i pozostałych zapasów lodu i śniegu w cieniu. - Powrót do pierwszego widoku na diamenty, teraz jednak substancje lotne oznaczone były błękitem i zielenią. Z każdym rokiem ten cenny zapas malał, pożerany przez ludzi i parowanie. - Niestety, te dwa cele częściowo nie dadzą się ze sobą pogodzić. Grupa skalna jest luźna. Czasami utrzymanie stacji na orbicie LI wywołuje moment obrotowy i skały się przesuwają.

- Skały drżą - powiedział Jau Xin.

- Tak. Tutaj, w Hammerfest czujecie to drzenie niemal bez przerwy. Bez stałego nadzoru sprawa wyglądałaby jeszcze gorzej. - Powierzchnia stołu konferencyjnego stała się modelem połączenia Diamentu Pierwszego i Drugiego. Qiwi przesunęła dłoń wzdłuż skalnych bloków i czterdziestocentymetrowy fragment powierzchni przybrał ró-

OTCHLAŃ W NIEBIE

zowy odcień. - To zmiana, która omal nie wymknęła nam się **spod** kontroli. Nie mamy jednak dość ludzi, by...

Pham Trinli zachowywał do tej pory milczenie, przyglądał się tylko Qiwi gniewnie spod przymrużonych powiek. To on pierwszy został wyznaczony przez Nau do realizacji tego zadania, lecz zawiódł na całej linii. Teraz eksplodował nagle gniewem.

- Bzdury. Myślałem, że chcecie poświęcić trochę wody, roztopić ją i skleić powierzchnie obu Diamentów.

- Zrobiliśmy to. Odnotowaliśmy pewną poprawę, ale...

- Ale nadal nie możecie nad tym zapanować, prawda? - Trinli odwrócił się do Naua i uniósł lekko ponad krzesło. - Grupmistrzu, mówiłem już, że to ja najlepiej nadaję się do tej pracy. Dziewczyna Lisoletów wie, jak obsługiwać programy dynamiczne i bardzo ciężko pracuje, ale nie ma ani odrobiny doświadczenia. *- Ani odrobiny doświadczenia? Ile lat miałaby się tym jeszcze zajmować, starcze?*

Ale Nau tylko uśmiechnął się do Trinlego. Bez względu na to, jak idiotyczne były uwagi tego bufona, Nau zawsze zachęcał go do dyskusji. Przez długi czas Ezr podejrzewał, że jest to przejaw jakiegoś sadystycznego poczucia humoru grupmistrza.

- Cóż, być może powinienem oddać to zadanie tobie, obrońco. Weź jednak pod uwagę, że nawet teraz oznaczałoby to przynajmniej jedną trzecią czasu na służbie. - Nau przemawiał uprzejmym tonem, ale Trinli wyczuł w nim prowokację. Ezr widział, jak w starym obrońcy rośnie gniew.

- Jedną trzecią? - powtórzył Trinli. - Mógłbym to zrobić przez jedną piątą wachty, nawet gdybym miał zespół złożony z samych nowicjuszy. Bez względu na to, jak wydajnie zostaną rozmieszczone silniki, sukces zależy przede wszystkim od jakości sieci naprowadzającej. Panna Lisolet nie zna wszystkich możliwości lokalizatorów, których używa do tej pracy.

- Proszę nam to wyjaśnić - powiedziała Annę Reynolt. - Lokaliza-tor jest lokalizatorem. Używamy do tego projektu zarówno waszych, jak i naszych modeli. - Lokalizatory były podstawowym narzędziem każdej cywilizacji technicznej. Małeńkie urządzenia przesyłały do siebie zakodowane impulsy, wykorzystując czas przelotu i rozłożone algorytmy do precyzyjnego określenia pozycji każdego z nich. Kilka tysięcy lokalizatorów tworzyło siatkę pozycyjną na powierzchni skał. Razem stanowiły rodzaj sieci komputerowej dostarczającej informacji o pozycji, ustawieniu i relatywnej prędkości silników oraz masywu skalnego.

- Niezupełnie. - Trinli uśmiechnął się protekcyjnie. - Nasze lokalizatory doskonale współpracują z waszymi, ale to ogranicza ich naturalne możliwości. Tak wyglądają podstawowe jednostki. - Starzec postukał w klawisze. - Panno Lisolet, te interfejsy są do niczego.

- Ja to zrobię - wtrącił Nau i rzucił w powietrze. - Oto dwa typy lokalizatorów, które tworzą siatkę pozycyjną.

VERNORVINGE

Krajobraz zniknął, a zamiast niego pojawiły się na stole dwa urządzenia elektroniczne przystosowane do pracy w próżni. Choć Ezz nierzaz już widział tego rodzaju demonstrację, nadal nie mógł do niej przywyknąć. Podczas prezentacji z przygotowaną wcześniej określoną sekwencją obrazów przywoływanie ich głosem nie było niczym nadzwyczajnym. To, co zrobił Nau, pozostawało jednak poza możliwościami jakiegokolwiek interfejsu Queng Ho. Gdzieś na strychu Hammerfest kilku twarogło-wych wsłuchiwało się uważnie w każde słowo, które padało na tej sali, by w odpowiedniej chwili wyszukać obraz potrzebny grupmistrzowi i przekazać go do automatyki floty lub innego zafiksowanego specjalisty. I oto w ich wyświetlaczach ukazywały się odpowiednie obrazy, tak szybko, jakby umysł Naua zawierał całą bazę danych floty.

Oczywiście Pham Trinli nie widział niczego nadzwyczajnego w tej magicznej sztuczce.

- Zgadza się. - Pochylił się niżej nad urządzeniami. - Tyle że to coś więcej niż same lokalizatory.

- Nie rozumiem - odezwała się Qiwi. - Potrzebujemy źródła energii, czujników.

Trinli uśmiechnął się triumfalnie.

- Ty tak uważasz i pewnie tak było naprawdę w pierwszych latach po Wybuchu, kiedy OnOff wszystko paliła. Ale teraz... - Sięgnął dalej, a jego palce zniknęły w obudowie urządzenia. - Czy mógłby pan pokazać wnętrze lokalizatora, grupmistrzu?

Nau skinął głową.

- Oczywiście. - Obraz lokalizatora Queng Ho został jakby rozcięty, zniknęły kolejne warstwy obudowy i elementy składowe urządzenia. W końcu nie zostało z niego nic prócz maleńkiego czarnego płátka, szerokiego zaledwie na milimetr.

Ezz, który siedział obok Tomasa Nau, wyczuł w nim dziwne napięcie, jakby starannie skrywane zainteresowanie. Po sekundzie wszystko wróciło do normy, a Ezz nie zdążył się nawet upewnić, czy było to tylko złudzenie.

- Ojej, jakie to małe. Przyjrzyjmy się temu z bliska.

Obraz czarnego płátka urósł do rozmiarów jednego metra na czterdzieści centymetrów. Automatyka wyświetlaczy wyrysowała na nim odpowiednie odbicia i cienie.

- Dziękuję. - Trinli wstał, by wszyscy mogli go widzieć ponad powiększonym obrazem urządzenia. - To jest podstawowy lokalizator Queng Ho, zazwyczaj zamknięty w specjalnych osłonach. Ale w przyjaznym środowisku - nawet w cieniu na zewnątrz stacji - jest zupełnie samowystarczalny.

- Zasilanie? - spytała Reynolt. Trinli machnął lekceważąco ręką.

- Do zasilania wystarczą mikrofały, impulsy wysyłane jakieś dzie-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

sięć razy na sekundę. Nie znam szczegółów, ale widziałem projekty, w których wykorzystywano je w znacznie większych ilościach. Jestem pewien, że to pozwoliłoby nam lepiej kontrolować ruchy skał. Co do czujników, to te zabawki mają wbudowane kilka prostych rzeczy; mierzą temperaturę, natężenie światła i dźwięków.

- Ale jak to możliwe, żeby Qiwi i inni nic o tym nie wiedzieli? - wtrącił Jau Xin.

Trinli wzruszył ramionami. Nadal nie zdawał sobie sprawy, jak daleko zaprowadziła go własna próżność.

- Mówiłem już, Qiwi Lin Lisolet jest młoda i niedoświadczona. Lokalizatory ziarnowe nadają się do większości projektów. Poza tym ich ulepszone wersje są bardzo przydatne w operacjach wojskowych i pewnie dlatego w tekstach, które czyta Qiwi Lisolet, ta kwestia jest celowo pomijana. Ja pracowałem zarówno jako inżynier, jak i obrońca. Choć normalnie jest to zabronione, lokalizatory to doskonałe urządzenia zwiadowcze.

- Na pewno - zgodził się z nim Nau. - Lokalizatory i połączone z nimi czujniki są sercem każdego systemu ochrony. - A te pyłki miały już czujniki i niezależność. Nie były wbudowanym na stałe elementem systemu; same mogły tworzyć system.

- Co o tym myślisz, Qiwi? Czy więcej takich ziarenek ułatwiłaby ci pracę?

- Być może. Prawdę mówiąc, jestem ogromnie zaskoczona; nie przypuszczałam, że teksty techniczne mogą pomijać tak ważne zagadnienia. - Zamyśliła się na moment. - Ale owszem, gdybyśmy mieli znacznie więcej lokalizatorów, prawdopodobnie moglibyśmy ograniczyć ludzki personel.

- Doskonale. Chcę, by obrońca Trinli zapoznał cię ze szczegółami i pomógł ci zainstalować rozszerzoną sieć.

- Chętnie przejmę tę pracę, grupmistrzu - zaoferował się Trinli.

Nau nie był jednak głupcem. Pokręcił głową.

- Nie, znacznie cenniejsza będzie pańska pomoc przy nadzorowaniu tego projektu. Chciałbym, żeby porozmawiał pan o tym z Annę. Myślę, że kiedy Ritser wróci na służbę, też go to zainteresuje. Myślę, że te urządzenia znajdują jeszcze kilka innych zastosowań, na przykład w zakresie bezpieczeństwa publicznego.

Pham Trinli wręczył więc Emergentom udoskonalone kajdany i łańcuchy. Starzec wykrzywił twarz w posepnym grymasie, jakby dopiero teraz zrozumiał swój błąd.

Ezr do końca dnia unikał towarzystwa. Nigdy nie przypuszczał, że może tak nienawidzić tego głupiego klauna. Pham Trinli nie był masowym mordercą, ale jego głupota i próżność przejawiały się w każdym geście i słowie. I właśnie przez tę głupotę zdradził tajemnicę, której istnienia wróg nawet się nie domyślał, tajemnicę, o której nie wiedział sam Ezr, ta-

VERNORVINGE

jemnicę, której inni nie wydali Tomasowi Nau i Ritserowi Brughlowi nawet za cenę życia.

Do tej pory myślał, że Nau utrzymuje przy sobie Phama Trinli tylko dla zabawy. Teraz znalazł już prawdziwą przyczynę. Nigdy od czasu tamtej nocy w parku Ezr nie czuł takiej wściekłości i żądzы odwetu. Gdyby tylko przy jakiejś okazji Pham Trinli mógł mieć śmiertelny wypadek...

Po drugim posiłku Ezr pozostał w swojej kwaterze. Jego zachowanie nie powinno budzić podejrzeń. O tej porze w saloniku Benny'ego spotykali się muzycy, a wspólne muzykowanie należało do jednego z tych zwyczajów Queng Ho, których Ezr nigdy nie lubił, nawet gdy występował w roli słuchacza. Poza tym miał jeszcze sporo pracy, która nie wymagała kontaktu z innymi ludźmi. Założył nowy wyświetlacz i zajrzał do Biblioteki Floty.

W pewnym sensie zachowanie Biblioteki Floty w nietkniętym stanie było jedną z największych porażek kapitana Parka. Każda flota podejmowała daleko idące środki ostrożności, pozwalające w razie zagrożenia zniszczyć najważniejsze części lokalnej biblioteki. Oczywiście zniszczenie całości było praktycznie niemożliwe. Biblioteki znajdowały się na wszystkich statkach floty. Poszczególne fragmenty ulokowane w tysiącach węzłów, w zależności od potrzeb. Pojedyncze kości - te przeklęte lokalizatory - zawierały obszerne teksty dotyczące obsługi i utrzymania urządzeń floty. Lecz najważniejsze bazy danych powinny być wyzerowane w bardzo krótkim czasie. Pozostałe pozycje również mogły się okazać przydatne dla wroga, ale terabajty istotnych danych zniknęłyby bezpowrotnie. Z nieznanых Ezrowi przyczyn nie doszło jednak do tego aktu destrukcji, nawet gdy stało się już jasne, że Emergenci pokonają flotę Parka. A może Park zrobił wszystko, co powinien, ale wbrew wszelkim zasadom na statkach znajdowały się węzły pozasieciowe albo kopie rezerwowe z pełną zawartością biblioteki.

Tomas Nau potrafił docenić taki skarb. Niewolnicy Annę Reynolt analizowali zawartość biblioteki z nieludzką precyzją fiksatów, by pręcej czy później poznać wszystkie sekrety Kupców. Proces ten jednak mógł trwać latami; twardegłowi nie wiedzieli, od czego zacząć. Nau korzystał więc z pomocy niezafiksowanego personelu, którego zadaniem było nakreślenie ogólnego obrazu biblioteki. Ezr spędził nad tym już kilka Msekund. Nie było to łatwe zajęcie, musiał bowiem wykazać się jakimiś konkretnymi osiągnięciami... a jednocześnie starał się tak kierować pracami Emergentów, by odciągnąć ich uwagę od rzeczy, które mogły się okazać naprawdę przydatne. Wiedział, że w końcu może mu się powinąć noga i Tomas Nau przejrzы jego grę. Ten potwór był naprawdę sprytny; nieraz już Ezr zastanawiał się, kto wykorzystuje kogo.

Lecz dziś... Pham Trinli zdradził tak wiele.

Ezr zmusił się do zachowania spokoju. *Zajmij się tylko biblioteką. Napisz jakiś głupi raport.* Sięgnął do ręcznej kontrolki nowego, „usprawnio-

nego" wyświetlacza. Przynajmniej reagował na prostsze komendy; wyświetlacz zastąpił rzeczywisty obraz jego kabiny widokiem wnętrza biblioteki. Kiedy rozglądał się dokoła, urządzenie śledziło jego ruchy, a obrazy przesuwwały się przed oczami niemal tak gładko, jakby dokumenty były rzeczywistymi obiektami. Ale... znów sięgnął do kontrolki. Cholera. Nie można przeprowadzić prawie żadnej regulacji. Okaleczyli interfejs albo zastąpili go jakimś emergentnym chłamek. To niewiele się różniło od zwykłej tapety!

Podniósł rękę, by zerwać wyświetlacz z głowy, zgnieść go. *Uspokój się.* Nadal był zbyt poruszony idiotyczną wpadką Phama Trinli. Poza tym wyświetlacze stanowiły jednak znaczny postęp w porównaniu ze zwykłymi monitorami. Uśmiechnął się pod nosem, przypomniawszy sobie, jak przed laty rozwścieczona Gonie Fong ciskała klawiaturą o stół.

Czym więc mógłby się dzisiaj zająć? Czymś, co nie budziłoby podejrzeń Naua, a jednocześnie nie dało mu nic ponadto, czym już dysponował. Ach tak, superlokalizatory Trinlego. Znajdzie je pewnie gdzieś na uboczu, w jakiejś bezpiecznej sekcji. Wybrał kilka oczywistych kierunków poszukiwań. Żaden zwykły kadet nie miałby takiego widoku na bibliotekę. Nau uzyskał - w sposób, który Ezra mógł sobie tylko wyobrazić i który powracał doń w sennych koszmarach - wszystkie hasła dostępu i parametry bezpieczeństwa. Teraz Ezra mógł korzystać z biblioteki równie swobodnie jak kiedyś kapitan Park.

Na razie nie znalazł nic ciekawego. Podstawowe informacje o lokalizatorach były ogólnie dostępne. Ich niewielkie rozmiary nie stanowiły tajemnicy, lecz żaden tekst nie wspominał o tym, że mają wbudowane czujniki. Ezra nie znalazł także tych informacji w podręcznikach. Hm... Zatem Trinli twierdził, że w podręcznikach istnieją ukryte przejścia niewidoczne nawet z takiego poziomu dostępu, jakim dysponował kapitan?

Ezra zapomniał o gniewie, który palił jego wnętrze. Wpatrywał się przez chwilę w otaczający go krajobraz danych, by wreszcie odetchnąć z ulgą. Tomas Nau nie będzie specjalnie zdziwiony tą sytuacją. Prawdopodobnie też żaden z Kupców prócz Ezra Vinha nie będzie zdawał sobie sprawy, jak absurdalne muszą być deklaracje Phama Trinli.

Ezra Vinh wychował się w sercu wielkiej Rodziny kupieckiej. Jako dziecko często słuchał dyskusji o praktycznej realizacji strategii flot. Kapitan dysponował najwyższym poziomem dostępu do biblioteki, poziomem, który nie powinien już kryć żadnych sekretów. Oczywiście, to i owo mogło się zgubić; niektóre aplikacje były tak stare, że nikt nie mógł do nich dotrzeć. Jeśli jednak w grę nie wchodziły jakieś nadzwyczajne okoliczności - sabotaż, niestandardowy kapitan - biblioteka nie kryła żadnych wyizolowanych sekretów. Na dłuższą metę byłoby to prostu zbyt uciążliwe dla utrzymania systemu.

Ezra roześmiały się głośno, gdyby nie podejrzewał, że te nowe wyświetlacze przekazują każdy dźwięk szpiegom Brughla. Była to jednak

pierwsza radosna myśl tego dnia. *Trinli nagadał nam bzdur!* Stary głupiec często blefował, ale w obecności Tomasa Nau starał się zachować ostrożność. Kiedy będzie musiał podać Reynolt szczegóły, zacznie grzebać w podręcznikach... i niczego nie znajdzie. Ezer wcale mu jednak nie współczuł; choć raz stary dureń dostanie to, na co zasłużył.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Qiwi Lin Lisolet spędzała wiele czasu na zewnątrz. Miała nadzieję, że dzięki temu cudownemu urządzeniu, które obiecywał Pham Trinli, jej sytuacja wkrótce się poprawi. Qiwi leciała nisko nad skalną rozpadliną znaczącą miejsce, w którym Diament Pierwszy łączył się z Diamentem Drugim. Teraz miejsce to zalewał blask słońca, a składowane tu wcześniej substancje lotne zostały przesunięte albo wyparowały. Powierzchnia diamentu była jednolicie szara i gładka, niemal opalizowała. Światło spaliło milimetrową warstwę skały, zamieniając ją w grafit, rodzaj mikroregolitu skrywającego kryształowe wnętrza. Co dziesięć metrów wzdłuż krawędzi migotał jasny, kolorowy punkt - czujnik. Po obu stronach tej linii ustawiono silniki. Nawet z tak niewielkiej odległości wydawały się zupełnie bezczynne, Qiwi jednak знаła swój sprzęt; silniczki działały w krótkich, milisekundowych impulsach, prowadzone programem, który gromadził i analizował dane z czujników. Lecz nawet takie sterowanie nie było dość precyzyjne. Choć Qiwi poświęcała ponad dwie trzecie czasu swej służby na poprawianie pozycji silników, drgania skał nadal były niebezpiecznie duże. Doskonałsza sieć czujników i programy, o których mówił Trinli, mogły zapewnić lepsze, bardziej precyzyjne sterowanie silnikami. Wtedy każdego dnia dochodziłoby do milionów drgań, byłyby one jednak tak małe, że nikt nawet by ich nie zauważył. A ona nie musiałaby wtedy tak często wychodzić na zewnątrz. Qiwi zastanawiała się, jak będzie wyglądać jej życie, kiedy przejdzie na wolniejszy cykl wacht jak większość ludzi. Pozwoliłoby to na większe oszczędności, ale biedny Tomas stałby się jeszcze bardziej samotny.

Szybko jednak odsunęła od siebie tę myśl. *Są rzeczy, które możesz naprawić, oraz te, których nie zmienisz. Powinnaś się cieszyć każdą zmianą na lepsze, jaką przyniosą lokalizatory Trinlego.* Wzniosła się ponad skalną szczelinę i skontaktowała z pozostałymi członkami zespołu.

- To, co zwykle - rozbrzmiał w jej uchu głos Florii Peres. Floria leciała nad „wyższymi zboczami” Diamentu Trzeciego, czyli nad aktualną powierzchnią zerową bloku skalnego. Każdego roku tracili tam kilka silników. - Trzy obłuzowane silniki... zdążyliśmy je złapać.

- Doskonale. Poślę tam potem Arna i Dima. Szybko nam dzisiaj poszło. - Uśmiechnęła się do siebie. Więcej czasu na bardziej interesujące sprawy. Przełączyła komunikator z publicznego kanału. - Hej, Floria, ty zajmujesz się destylarnią podczas tej wachty, tak?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Jasne. - Floria zachichotała. - Zawsze staram się dostać tę robotę.
- Mam dla ciebie parę rzeczy. Może ubijemy interes?
- Może. - Floria spędzała na służbie tylko dziesięć procent obiektywnego czasu, ale zdążyła już załatwić kilka interesów z Qiwi. Była przeciw Queng Ho. - Spotkajmy się w destylarni za kilka tysięcy sekund. Napijemy się herbaty.

Destylarnia znajdowała się po ciemnej stronie bloku skalnego, obok składowiska substancji lotnych. Budynek o pokrytych szronem wieżach i retortach lśnił w blasku Arachny; tam gdzie dochodziło do frakcjonowania i rekombinacji, rozpalał go czerwony blask. Produktami destylarni były proste materiały przeznaczone do fabryki oraz organiczny szlam dla bakterii. Większość stosowanych tu urządzeń pochodziła z floty Queng Ho. Emergenci także przywieźli ze sobą podobny sprzęt, został jednak zniszczony podczas bitwy. *Bogu dzięki, że to nasza destylarnia została cała.* Naprawy i budowa nowych konstrukcji zmusiły ich do wykorzystania materiałów ze wszystkich okrętów. Gdyby rdzeń destylarni wykonali Emergenci, ich sytuacja wyglądałaby teraz znacznie gorzej.

Qiwi zacumowała swą taksówkę kilka metrów od destylarni. Wyładowała towar zamknięty w pojemniku termoizolacyjnym, i podciągnęła się po linach do wejścia. Budynek destylarni otaczały hałdy lodu i śniegu powietrznego z Arachny. Duża część zapasów, szczególnie śniegu powietrznego, wyparowała podczas Wybuchu i przy kilku innych okazjach, kiedy padały na nie bezpośrednio promienie słońca. Część pozostałego materiału usunięto w bezpieczne, zacienione rejony, część stopiono podczas nieudanej próby sklejenia diamentów, część zaś wykorzystano do produkcji środków niezbędnych do życia mieszkańcom stacji. Tomas planował wydrążyć w powierzchni Diamentu Pierwszego dziurę, która stanowiłaby bezpieczny magazyn dla substancji lotnych. Qiwi uważała, że nie będzie to konieczne. W miarę jak OnOff stopniowo przygasła, coraz łatwiej przychodziło im zachować resztę zapasów. Jednocześnie destylarnia przesuwała się powoli - mniej niż dziesięć metrów na rok - w głąb hałd lodu i śniegu, pozostawiając za sobą czysty, lśniący diament i ślady po kotwicach.

Kwatera Florii znajdowała się u podstawy najdalej wysuniętej do tyłu wieży destylarni. Jako część oryginalnego modułu Queng Ho kwatera ta nie była niczym więcej niż wypełnioną powietrzem skrzynią, w której można było jeść i spać. Przez długie lata Wygnania różni lokatorzy pokoju ubarwiali ją na swój sposób. Wchodząc do niego od dołu... Qiwi zatrzymała się na moment. Większość życia spędziła albo w zamkniętych pokojach czy tunelach, albo w otwartej przestrzeni kosmicznej. Ostatnie zmiany dokonane przez Florię uczyniły z tego miejsca coś pośredniego. Wyobrażała sobie, co powiedziałby o tym Ezr; to naprawdę wyglądało jak mała chatka, przeniesiona żywcem z kart jakiejś bajki albo starej powie-

VERNORVINGE

ści, w której samotny farmer żył u podnóży gór pokrytych śniegiem, na skraju gęstego lasu.

Qiwi minęła wysięgniki i liny cumownicze - granicę magicznego lasu - i zapukała do drzwi chaty.

Handel zawsze sprawiał jej ogromną przyjemność. Wiele razy próbowała wytłumaczyć to Tomasowi. Biedak miał dobre serce, ale pochodził z kultury, która po prostu nie mogła tego zrozumieć.

Qiwi przyniosła część zapłaty za ostatni towar Florii; we wnętrzu pojemnika znajdowało się dwudziestocentymetrowe bonsai, coś, co ojciec Qiwi budował przez kilka Msekund. Mikroskopijne paprocie rozrosły się w bujne krzewy. Floria podniosła kulę do lampy umieszczonej na suficie pokoju i przyjrzała się dokładnie temu arcydziełu.

- Liliputy! - Submilimetrowe owady. - Mają kolorowe skrzydła!¹
Qiwi starała się zachowywać obojętną minę, w końcu jednak nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Ciekawa byłam, czy zauważysz. - Bonsai było mniejsze od większości dzieł jej taty, ale chyba najpiękniejsze, lepsze od wszystkiego, co widziała do tej pory w bibliotece. Sięgnęła do pojemnika i wyjęła drugą część zapłaty.

- A to jest od Gonie, osobiście. To stojak pod bonsai.

- To... to jest drewniane. - Floria była oczarowana bonsai. Na widok drewnianej konstrukcji zareagowała raczej zdumieniem. Wyciągnęła rękę, by dotknąć wypolerowanej powierzchni.

- Teraz możemy produkować to całymi tonami, swego rodzaju odwrotność suchego murszu. Gonie hoduje to w kadziach, więc wygląda trochę dziwnie. - Słoje zastępowały biofale zamknięte w ziarnie drewna. - Potrzebowalibyśmy więcej czasu i przestrzeni, żeby stworzyć prawdziwe słoje. - A może nie; tato uważał, że może tak ustawić biofale, by do złudzenia naśladowały prawdziwe słoje.

- To nie ma znaczenia - odparła Floria z roztargnieniem. - Gonie wygrała nasz zakład... a może wygrał go dla niej twój ojciec. Pomyśl tylko; prawdziwe drewno w dużych ilościach, nie tylko patyczki w kulach bonsai czy gałęzie w parku. - Spojrzała na uśmiechniętą Qiwi. - Założę się, że Gonie uważa to za coś więcej niż tylko zapłatę za nasze poprzednie umowy.

- Cóż... miałyśmy nadzieję, że dzięki temu łatwiej się dogadamy. - Usiadły, a Floria przyniosła obiecaną wcześniej herbatę z farmy Gonie - wcześniej uzyskiwały ją bezpośrednio z substancji lotnych otaczających destylarnię. Potem zaczęły przeglądać razem listę przygotowaną przez Benny'ego i Gonie. Nie były to tylko ich zamówienia, ale i towary, którymi handlowano codziennie w saloniku Benny'ego. Większość stanowiły przedmioty dla Emergentów. Boże, były tam rzeczy, których Tomas mógł po prostu zażądać i których z pewnością zażądałby Ritser Brughel.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Zastrzeżenia Florii dotyczyły problemów technicznych, potrzebowała kilku rzeczy do produkcji towarów, o które ją proszono. Oczywiście gotowa była zrobić wszystko, co w jej mocy, lecz niektóre rzeczy naprawdę trudno zdobyć. Kiedyś, podczas okresu przygotowawczego, gdy Qiwi miała dopiero siedem lat, tata zabrał ją do destylarni na Trilandzie.

- To właśnie odżywia bakterie, tak jak bakterie utrzymują park. Każda warstwa jest piękniejsza od tej poniżej, ale nawet najniższa, destylarnia, jest formą sztuki. - Ali uwielbiał swoją pracę ponad wszystko, potrafił jednak docenić wysiłek innych. Floria Peres była utalentowaną chemiką i wytwarzała substancje najwyższej jakości.

Cztery tysiące sekund później uzgodniły wreszcie, co Floria wyprodukuje do końca swojej wachty i jaką otrzyma za to zapłatę. Potem siedziały przez chwilę, popijając herbatę i gawędząc leniwie o tym, czym zajmą się w dalszej przyszłości, kiedy osiągną już najbliższe cele. Qiwi opowiedziała Florii o lokalizatorach, którymi chwalił się Trinli.

- To dobra wiadomość, oczywiście, jeśli ten stary pierdziel nie kłamie. Może teraz będziesz mogła trochę częściej odpoczywać. - Floria spojrzała na Qiwi z z troskaniem. - Byłaś małą dziewczynką, a teraz jesteś starsza ode mnie. Nie powinnaś tak wypalać życia tylko po to, by utrzymać w całości kilka kamyków.

- Nie jest tak źle. Musimy to robić, nawet jeśli nie mamy odpowiedniego wsparcia medycznego. - *Poza tym Tomas jest zawsze na wachcie i potrzebuje mojej pomocy.* - Poza tym wydłużona służba ma swoje zalety. Mam dostęp prawie do wszystkiego. Wiem, gdzie można ubić dobry interes, gdzie załatwić to i owo. Dzięki temu uczę się handlu.

- Hmm... - Floria odwróciła spojrzenie, by potem raptownie popatrzeć na Qiwi. - To wcale nie jest handel! To głupia zabawa! - Jej głos złagodniał. - Przepraszam, Qiwi. Przecież nie możesz wiedzieć... ale ja wiem, jak wygląda prawdziwy handel. Byłam na Kielle. Byłam na Canberze. To... - objęła szerokim gestem całe LI - jest tylko udawaniem. Wiesz, dlaczego zawsze proszę o pracę w destylarni? Zrobiłam z tego pokoju coś w rodzaju domu, gdzie ja mogę udawać. Mogę sobie wmawiać, że jestem sama, daleko stąd. Nie muszę mieszkać razem z Emergentami, którzy udają przyzwoitych ludzi.

- Ale wielu z nich to naprawdę przyzwoici ludzie!

Peres pokręciła głową.

—Może. I pewnie to jest właśnie najgorsze. Emergenci tacy jak Rita Liao i Jau Xin. Zwykli ludzie, co? A codziennie wykorzystują inne istoty ludzkie jak zwierzęta, gorzej, jak... jak części maszyny. A na dodatek jest to ich sposób na życie. Czy Liao nie jest „zarządcą programistów”, a Xin „zarządcą pilotów”? Największe zło we wszechświecie, a oni na tym żerują, a potem spokojnie siedzą z nami w saloniku Benny'ego. A my ich akceptujemy! - Floria wykrzyczała ostatnie słowa piskliwym, niemal histerycznym głosem i raptownie umilkła. Zamknęła oczy, a spod jej powiek wypłynęły łzy.

VERNOR VINCE.

Qivi sięgnęła do rąk Florii, nie wiedząc, czy ta jej po prostu nie uderzy. Znała ten ból, widziała go już u wielu ludzi. Do niektórych mogła dotrzeć, i wtedy ich pocieszyć. Inni, jak Ezr Vinh, skrywali go tak głęboko, że wyczuwała jedynie pulsującą, starannie kontrolowaną wściekłość.

Floria milczała, zgięta w pół. Po chwili jednak pochwyciła dłonie Qivi i pochyliła ku nim głowę, szlochając.

- ...nie winię cię... naprawdę... - wykrztusiła pomiędzy kolejnymi spazmami płaczu. - Wiem o twoim ojcu. - Umilkła na moment, próbowała się uspokoić. - Wiem, że kochasz tego Tomasza Nau. To nic złego. Nie po radziłby sobie bez ciebie, a wtedy pewnie wszyscy byłibyśmy już martwi.

Qivi objęła swą przyjaciółkę, przyciągnęła ją do siebie.

- Ale ja go nie kocham - odparła, zadziwiona samą siebie. Floria podniosła na nią wzrok, równie zaskoczona. -To znaczy, szanuję go. Wspierał mnie w najgorszych chwilach, kiedy Jimmy zabił moją matkę. Ale... - Czuli się dziwnie, rozmawiając z Florią w ten sposób, wypowiadając głośno słowa, które dotąd formułowała tylko w myślach. Tomasz jej potrzebował. Był dobrym człowiekiem wychowanym w straszliwym, irracjonalnym systemie. Dowodem jego dobroci był ogromny wysiłek, z jakim ratował to, co zostało z ich ekspedycji. Tomasz zrozumiał zło i starał się położyć mu kres. Qivi wątpiła, czy potrafiłaby zrobić aż tyle; prawdopodobnie przy pominałaby raczej Ritę i Jau, akceptowałaby zaistniałą sytuację, wdzięczna losowi, że udało jej się uniknąć sieci fiksjacji. Tomasz Nau naprawdę chciał to zmienić. Ale kochać go? Choć ceniła jego inteligencję, poczucie humoru, mądrość, Tomasz wydawał jej się... odległy. Miała nadzieję, że nigdy nie domyśli się, co naprawdę do niego Czuje. / mam nadzieję, że Floria unieszkodliwiła pluskwy Ritsera.

Qivi odsunęła od siebie te myśli. Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, zdumione, że potrafiły odsłonić własne myśli i uczucia. Hmm. Qivi poklepała Florię po ramieniu.

- Spędziłyśmy ponad rok na wspólnych wachtach, ale do tej pory nie miałam pojęcia, że tak się tym przejmujesz...

Floria wypuściła dłoń Qivi i otarła zapłakane oczy. Kiedy przemówiła, jej głos wydawał się niemal spokojny.

- Tak. Dotąd udawało mi się nad tym panować. „Siedz cicho - mówię sobie - i bądź dobrym, posłusznym Handlarzem”. Jesteśmy w tym całkiem niezli, nie uważasz? Może dlatego, że potrafimy dalekosiężnie planować. Ale teraz... Wiesz, że miałam we flocie siostrę?

- Nie. - *Przepraszam*. Przed bitwą we flocie było tak wielu Queng Ho, że Qivi po prostu nie mogła poznać wszystkich.

- Luan dostała dziką kartę, niezbyt bystra, ale bardzo sympatyczna, łatwo zjednywała sobie ludzi... Mądry kapitan zawsze dołącza do załogi kilka takich osób. - Floria uśmiechnęła się przelotnie, natychmiast jednak posmutniała, przytłoczona ponurymi wspomnieniami. - Mam doktorat

OTCHŁAŃ W NIEBIE

z inżynierii chemicznej, ale oni zafiksowali Luan, a mnie zostawili wolną. To ja powinnam znajdować się na jej miejscu.

Floria spuściła wzrok, przejęta niesłusznym poczuciem winy. Może była odporna na zakażenie pleśnią, jak wielu Queng Ho. A może nie. Tommas potrzebował równie wielu zdrowych ludzi jak fiksatów, inaczej system by umarł. Qiwi otworzyła usta, by jej to wyjaśnić, ale Floria nie słuchała.

- Żyłam z tym. I śledziłam losy Luan. Zafiksowali ją na sztuce. Wachta po wachcie rzeźbiła razem ze swoją grupą te fryzy na Hammerfest. Wi działała ją pewnie setki razy.

Tak, z pewnością. Rzeźbiarze stanowili najniższą z grup fiksatów. Nie była to wysublimowana, trudna twórczość Alego Lina czy tłumaczy. Wzory emergenckiej „sztuki legend” nie pozostawiały miejsca na kreatywność. Rzeźbiarze pracowali w diamentowych korytarzach, wykuwali centymetr po centymetrze wzory i kształty zaprojektowane przez Emergentów. Według oryginalnego planu Ritsera projekt ten miał wypalić „niepotrzebne zasoby ludzkie”, zmuszał ludzi do pracy bez opieki medycznej, aż do całkowitego wyczerpania.

- Ale oni nie pracują już wachta po wachcie, Florio. - Był to jeden z pierwszych sukcesów Qiwi. Warunki pracy rzeźbiarzy znacznie się polepszyły, zapewniono im też dostęp do zasobów medycznych. Wszyscy mieli dożyć końca Wygnania, obiecaną przez Tomasa wolność.

Floria skinęła głową.

- Zgadza się, i choć nasze wachty często się rozmięły, nadal pilno wałam Luan. Kręciłam się po korytarzach, czekałam na każdą okazję, by ją spotkać. Nawet rozmawiałam z nią o tej plugawej robocie, którą tak uwielbiała; o niczym innym nie chciała mówić. „Śmierć Frenkijskiej Bestii”. - Floria skrzywiła się z obrzydzeniem, wypowiadając ten tytuł. Po tem jakby opadła z sił. - Mimo to mogłam ją widywać, i gdybym była do brym, małym Handlarzem, któregoś dnia odzyskałaby wolność. Ale teraz... - spojrzała na Qiwi, a w jej głosie znów pojawiły się histeryczne tony - ...teraz już jej nie ma, nawet w harmonogramie. Emergenci mówią, że to awaria kapsuły, że umarła w hibernacji. Kłamliwe, podle gnojki...

Kapsuły hibernacyjne Queng Ho, prawidłowo użytkowane i eksploatowane przez okresy nie dłuższe niż cztery Gsekundy, były tak bezpieczne, że prawdopodobieństwo awarii równało się praktycznie zeru. Sprzęt Emergentów nie był już tak doskonały, a od czasu bitwy właściwie wszystkie urządzenia mogły ulec jakimś mikroskopijnym, lecz istotnym uszkodzeniom. Luan prawdopodobnie poniosła śmierć w straszliwym wypadku, echu szaleństwa, które niemal zabiło ich wszystkich. *Jak mogę przekonać o tym biedną Florię?*

- Cóż, nie możemy być pewni wszystkiego, co nam mówią, Florio. Emergenci żyją w złym systemie. Ale... Przez długi czas w ogóle nie schodziłam ze służby. Teraz pracuję przez pięćdziesiąt procent wachty, kilka

VERNORVINGE

razy dłużej niż inni. I wiesz co? Przez cały ten czas ani razu nie przyłapałam Tomasa na kłamstwie.

- No dobrze... - burknęła Floria.

- I dlaczego ktokolwiek chciałby zabić Luan?

- Nie powiedziałam „zabić”. I może twój Tomas nic o tym nie wie. Wiesz, nie tylko ja kręciłam się koło rzeźbiarzy. Dwa razy widziałam tam Ritsera Brughla. Kiedyś, kiedy wszystkie kobiety znalazły się w jednym miejscu, on stanął za nimi i tylko się przyglądał. Drugim razem... drugim razem był tylko on i Luan.

- Och... - Qiwi nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

- Nie mam żadnych dowodów. Widziałam tylko gest, postawę, wyraz twarzy tego człowieka. Milczałam, a teraz Luan zniknęła.

Qiwi siedziała nieruchomo. Paranoiczne lęki Florii nie wydawały jej się już tak niedorzeczne. Ritser Brughel był potworem, którego w ryzach trzymał tylko system grupmistrzów. Qiwi wciąż nie mogła zapomnieć tamtego spotkania, okrutnych oczu, metalowego prętu uderzającego rytmicznie o otwartą dłoń. Wtedy Qiwi była z siebie dumna, zadowolona, że udało jej się go upokorzyć. Później dopiero zrozumiała, jak bardzo powinna się przerazić. Gdyby nie Tomas, na pewno by wtedy zginęła... albo spotkałoby ją coś jeszcze gorszego. Ritser wiedział, co się stanie, jeśli Tomas przyłapie go na gorącym uczynku.

Upozorowanie śmierci, nawet wykonanie nieusankcjonowanej egzekucji, było trudne. Grupmistrzowie mieli własne, trochę dziwaczne wymagania dotyczące dokumentacji. Jeśli Ritser nie wykazał dość sprytu, powinna znaleźć jakieś ślady jego oszustwa.

- Posłuchaj, Florio. Myślę, że mogę to sprawdzić. Nie wiem, co stało się z Luan, ale prędzej czy później dotrzemy do prawdy. I jeśli okaże się, że masz rację... Cóż, Tomas na pewno nie będzie tolerował takich zbrodni. Potrzebuje pomocy wszystkich Queng Ho, bo tylko wtedy mamy szansę przeżyć.

Floria spojrzała na nią poważnie, a potem mocno uściskała. Qiwi czuła, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze, lecz tym razem przyjaciółka powstrzymała się od płaczu. Wreszcie, po długim milczeniu, Floria powiedziała:

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Przez te ostatnie Msekundy tak okropnie się bałam... i wstydziłam.

- Wstydziłaś? Czego?

- Kocham Luan, ale fiksacja zrobiła z niej obcego człowieka. Powinam jakoś zareagować, kiedy zniknęła, wnieść skargę, kiedy zobaczyłam ją z Brughlem. Ale bałam się o siebie. Teraz... - Floria wypuściła Qiwi z objęć i spojrzała na nią, słabo się uśmiechając. - Teraz być może narażam na niebezpieczeństwo kogoś innego. Ale ty przynajmniej masz szansę... Wiesz, całkiem możliwe, że ona jeszcze żyje. Jeśli znajdziemy ją dość szybko...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Qiwi podniosła rękę.

- Może, może. Zobaczmy, co uda mi się odkryć.
- Tak. - Dokończyły herbatę, rozmawiając o wszystkim, co mogło pomóc Qiwi w poszukiwaniu Luan. Floria starała się zachować całkowity spokój, lecz ulga i zdenerwowanie przejawiały się w zbyt zamasztych gestach i niewyraźnej mowie.

Qiwi pomogła jej umieścić bonsai w drewnianym uchwycie obok głównego źródła światła w pokoju.

- Mogę ci załatwić znacznie więcej drewna. Gonie naprawdę bardzo chce, żebyś zaprogramowała te metakrylity. Może wyłożysz ściany swoje go domku drewnem, jak kapitanowie z dawnych czasów.

Floria rozejrzała się po małym pokoiku, udając ze śmiertelną powagą, że naprawdę rozważa taką propozycję.

- Rzeczywiście, to niezły pomysł. Powiedz jej to, pewnie dobijemy targu.

Qiwi zatrzymała się przy wewnętrznych drzwiach służby i naciągnęła kaptur. Przez moment na twarzy Florii znów pojawił się strach.

- Bądź ostrożna, Qiwi.
- Będę.

* * *

Qiwi dokończyła przeglądu, zatrzymując się przy kolejnych punktach, sprawdzając skały i przesyłając informacje wraz z propozycjami zmian do sieci twarogłowych. Jednocześnie jej umysł pracował na pełnych obrotach, penetrując przerażające korytarze i zakamarki. Dobrze, że miała czas na myślenie. Jeśli Floria miała rację, to nawet wspierana przez Tomasa narażała się na wielkie niebezpieczeństwo. Ritser miał po prostu zbyt dużą władzę. Jeśli sabotował hibernację albo fałszował świadectwa zgonu, musiał kontrolować sporą część sieci Tomasa.

Czy Ritser podejrzewa, że ja wiem? Qiwi leciała wzdłuż kanionu oddzielającego Diament Trzeci od Diamentu Czwartego. Arachna wisiała teraz dokładnie nad jej głową, zalewając błękitnym blaskiem jaskinie pomiędzy poszczególnymi blokami. Lodowe spoiwo lekko sublimowało. To powinno dobrze ukryć sieć czujników, kiedy jednak Qiwi przybliżyła twarz do skał na odległość zaledwie kilku centymetrów, widziała je dokładnie. Nawet kiedy relacjonowała ten problem do bazy, inna część jej umysłu zastanawiała się nad znacznie groźniejszym pytaniem; Floria była dość sprytna, by oczyścić swoją kabinę z podsłuchu, nawet na zewnątrz. Qiwi także bardzo uważała na swój skafander. Tomas pozwolił jej unieszkodliwić wszystkie pluskwy, zarówno te oficjalne, jak i ukryte. Sieci nie można już było tak łatwo oszukać. Jeśli Ritser robił to, o co podejrzewała go Floria, to prawdopodobnie monitorował nawet rozmowy grupmistrza. Jedno jej nieostrożne posunięcie mogło stać się dlań ostrzeżeniem.

Więc musisz bardzo, bardzo uważać. Potrzebowała pretekstu dla wszystkiego, co chciała teraz zrobić. Badania personelu, którymi miała zająć się wraz z Ezrem. Nikt nie powinien się dziwić, jeśli skończywszy pracę przy skałach, przejdzie do następnego zadania. Wysłała do Ezra wiadomość z prośbą o nawiązanie kontaktu, a potem weszła do bazy danych dotyczącej wacht i personelu. Powinna tu znaleźć dane Luan, ale te były przechowywane w lokalnej pamięci podręcznej, a jej procesory podlegały pod system bezpieczeństwa Tomasa.

Sprawdziła raport bio pod Luan Peres. Tak, zmarła podczas hibernacji. Qiwi przebiegła szybko wzrokiem cały tekst. Roilo się w nim od fachowych określeń, domniemanych przyczyn awarii kapsuły. Qiwi przez kilka lat zajmowała się sprzętem hibernacyjnym i choć nie była specjalistką w tej dziedzinie, rozumiała większość zapisów raportu. Całość przypominała słowotok jakiegoś twardogłowego, coś, co można by otrzymać, poprosiwszy fiksata o wymyślenie prawdopodobnej przyczyny awarii.

Taksówka wyleciała z cienia, a blask słońca przyćmił błękitną poświatę Arachny. Powierzchnia diamentu pokryta była tutaj cienką warstwą grafitu. Qiwi przyciemniła nieco obraz i powróciła do raportu. Był niemal idealnie spreparowany. Mógłby ją zwieść, gdyby nie jej podejrzliwość, albo gdyby nie znała wszystkich wymagań emergentckiej administracji. Gdzie podziało się trzecie i czwarte potwierdzenie wyników sekcji zwłok? Reynolt zawsze wymagała tego od swych fiksatów; zawsze była okropną formalistką, a w takich wypadkach stawała się wręcz nieznośnie pedantyczna.

Raport został sfalszowany. Mogła udowodnić to Tomasowi w ciągu kilkudziesięciu sekund.

Cichy sygnał zabrzączał w jej uchu.

- Ezer, witaj. - Cholera. Poprosiła go o kontakt tylko po to, by mieć jakiś pretekst do ściągnięcia danych i sprawdzenia raportu Luan. Ale on jej odpowiedział. Przez moment wydawało się, że siedzi obok niej w tak sówce. Potem obraz zniknął, kiedy wyświetlacz obliczył, że nie może wytworzyć takiej iluzji i po prostu przedstawił jego obraz przed oczami Qiwi. Za jego plecami widać było błękitno-zielone ściany strychu Hammerf est. Odwiedzał Trixie, oczywiście.

Obraz był wystarczająco wyraźny, by dostrzegła zniecierpliwienie na jego twarzy.

- Postanowiłem skontaktować się z tobą jak najszybciej. Wiesz, że za sześćdziesiąt Ksekund schodzę ze służby.

- Tak, przepraszam, że zawracam ci głowę. Sprawdzałam dane personelu. Pamiętasz, że jesteśmy razem w komisji planowania? No więc chciałam cię o coś zapytać. - Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś problemu, który usprawiedliwiłby ten kontakt. - Zabawne, jak nawet najmniejsze oszustwo od razu komplikuje życie. Wydukała kilka zdań, wreszcie zadała jakieś naprawdę głupie pytanie dotyczące grup o mieszanych specjalnościach.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ezr patrzył na nią teraz trochę dziwnie. Wzruszył ramionami.

- Pytasz o koniec Wygnania, Qiwi. Kto wie, czego będziemy potrzebować, kiedy Pająki będą już gotowe do kontaktu. Myślałem, że obudzimy wtedy wszystkich specjalistów.

- Oczywiście, taki jest plan, ale chodzi mi o pewne szczegóły... - Qiwi nie zamierzała jednak wdawać się w te szczegóły. Teraz zależało jej głównie na tym, by jak najszybciej zakończyć tę rozmowę - ...więc przemyśle to sobie dokładnie, a kiedy wrócisz na służbę, wspólnie się nad tym naradzimy.

Ezr skrzywił się lekko.

- To trochę potrwa. Schodzę na pięćdziesiąt Msekund. - Prawie dwa lata.

- Co? - Zazwyczaj Ezr schodził z wachty nie dłużej niż na kilkanaście Msekund.

- Wiesz, nowe twarze i tak dalej. - Niektórzy z jego wachty nie spędzili do tej pory zbyt wiele czasu na służbie. Tomas i komisja zarządzająca - łącznie z Qiwi i Ezrem! - uważali, że wszyscy powinni trochę popracować i brać udział w normalnych kursach treningowych.

- Zaczynasz trochę wcześniej. - A ona nie spodziewała się, że potrwa to aż pięćdziesiąt Msekund.

- Tak. Cóż, kiedyś trzeba zacząć. - Odwrócił wzrok od kamery. Patrzył na Trixię? Gdy powrócił spojrzeniem, nie wydawał się już zniecierpliwiony, lecz zaniepokojony. - Posłuchaj, Qiwi. Będę w lodzie przez całą pięćdziesiątkę, a potem jeszcze przez jakiś czas na krótkich cyklach. - Uniósł ręce, jakby uprzedzając protesty. - Nie narzekam! Sam brałem udział w podejmowaniu tej decyzji... Ale Trixia będzie na służbie przez cały ten czas. Nigdy jeszcze nie przebywała tak długo sama. Nie będzie tu nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować.

Qiwi żałowała, że nie może wziąć go za rękę i pocieszyć.

- Nikt jej nie skrzywdzi, Ezr.

- Tak, wiem. Jest zbyt cenna. Jak twój ojciec. -W jego oczach pojawił się jakiś błysk, nie był to jednak zwykły gniew. Biedy Ezr ją błagał. - Będą dbać o jej ciało, utrzymywać je we względnej czystości; musi przecież dla nich pracować. Ale nie chcę, żeby dręczono ją jeszcze bardziej niż teraz. Zajmij się nią, Qiwi. Ty masz prawdziwą władzę, przynajmniej nad taką płotką jak Trud Silipan.

Po raz pierwszy Ezr naprawdę poprosił ją o pomoc.

- Zaopiekuję się nią, Ezr - odparła Qiwi łagodnie. - Obiecuję.

Po zakończeniu rozmowy Qiwi siedziała nieruchomo przez kilkanaście sekund. Dziwne, że przypadkowy telefon, który miał być tylko nieistotnym pretekstem, wywarł na niej takie wrażenie. Ale Ezr zawsze tak na nią działał. Kiedy miała trzynaście lat, Ezr Vinh wydawał jej się najcudowniejszym mężczyzną we wszechświecie - a zwracał na nią uwagę tylko wtedy, gdy mu dokuczała. Takie młodzieńcze zauroczenia powinny

VERNORVINGE

minąć, zniknąć bez śladu. Czasami zastanawiała się, czy masakra Diema okazała się jakoś jej duszę, zamknęła uczucia w takim stanie, w jakim znajdowały się w te ostatnie niewinne dni przed tragedią... Tak czy inaczej cieszyła się, że może coś dla niego zrobić.

Może paranoja była zaraźliwa. Luan Peres nie żyje. Teraz Ezr schodzi ze służby na dłużej, niż to planowali. *Ciekawe, kto właściwie wyznaczał tę zmianę wachty?* Qiwi zajrzała ponownie do swej pamięci podręcznej. Zmiany w harmonogramie ustalała oficjalnie komisja wachty... ale te zatwierdzał Ritser Brughel. Zdarzało się to dość często; któryś z grupmistrzów musiał zatwierdzić wszystkie takie zmiany.

Taksówka Qiwi powoli wznosiła się nad powierzchnię diamentu. Z tej odległości bloki skalne wyglądały jak chaotyczna zbitka kamieni, blask odbity od powierzchni Diamentu Pierwszego przyćmiewał niemal wszystkie gwiazdy. Ten widok mógłby uchodzić za dziki, dziewiczy krajobraz, gdyby nie regularny kształt kwater Queng Ho. Na powiększonym obrazie Qiwi widziała dziesiątki budynków systemu LI. W cieniu skał kryła się destylarnia, Hammerfest i arsenał w LI-A. W przestrzeni wokół nich orbitował budynek mieszkalny, magazyny, zniszczone i uszkodzone okręty, które przywiozły tutaj ich wszystkich. Qiwi wykorzystywała je czasem jako balast pomocniczy przy stabilizowaniu skał. Stanowiły dobrze utrzymany system dynamiczny, nawet jeśli wydawały się rozmieszczone dość chaotycznie w porównaniu z bliskim cumowaniem z początku Wygnania.

Qiwi oceniła położenie okrętów doświadczonym okiem, choć jej umysł rozważał znacznie bardziej zdradliwe problemy politycznej intrygi. Stary okręt QHS „Niewidzialna ręka”, prywatna posiadłość Ritsera, znajdował się niecałe dwa tysiące metrów od jej taksówki; mijając go, zbliżył się o dalsze pięćset metrów do jego gardzieli. *Hmm*. A jeśli Ritser rzeczywiście porwał Luan Peres? Byłoby to jego największe wykroczenie przeciwko prawu ustalonemu przez Tomasa. *A może jest ich znacznie więcej*. Jeśli ta zbrodnia ujdzie mu na sucho, mogą zginąć kolejni Queng Ho. *Ezr*.

Qiwi wzięła głęboki oddech. *Nie wszystko naraz, analizuj każdy problem po kolei. Załóżmy, że Floria ma rację i Luan nadal żyje, jako zabawka w prywatnych kwaterach Ritsera?* Tomas nie mógł traktować innego grupmistrza tak samo jak zwykłych członków załogi, musiał przestrzegać pewnych reguł, które znacznie opóźniłyby jego działania. A wtedy Luan umarłaby naprawdę, a wszystkie dowody po prostu... zniknęły.

Qiwi odwróciła się w stronę „Niewidzialnej ręki”, spojrzała na nią nieuzbrojonym okiem. Od kadłuba okrętu dzieliło ją tylko tysiąc siedemset metrów. Być może upłynie jeszcze wiele dni, nim znów uda jej się zbliżyć doń na taką odległość. Znajdowała się tak blisko, że widziała ślady prowizorycznych napraw i miejsca, gdzie w kadłub uderzyły promienie laserów Emergentów. Qiwi знаła budowę „Niewidzialnej ręki” lepiej niż ktokolwiek z pozostałych przy życiu Queng Ho; mieszkała na tym okręcie przez

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wiele lat podróży, wykorzystywała go jako podręczny przykład podczas zajęć dotyczących okrętów kosmicznych. Znała ukryte przejścia i martwe pola... Co ważniejsze, miała kody dostępu z poziomu grupmistrza. Był to jeden z wielu dowodów zaufania, jakimi obdarzał ją Tomas. Do tej pory nie używała go tak, hm, prowokacyjnie, ale...

QiwI przystąpiła do działania, nim jeszcze jej umysł podjął ostateczną decyzję. Połączyła się osobistym, zaszyfrowanym łączem z Tomaszem i opowiedziała mu szybko o wszystkim, co już wiedziała, co podejrzewała i co zamierzała zrobić. Wysłała wiadomość. Teraz była pewna, że Tomas pozna prawdę i że będzie miała czym zagrozić Ritserowi, jeśli ten ją złapie.

Sześćset metrów od „Niewidzialnej ręki”. QiwI naciągnęła kaptur i wyłączyła obieg powietrza w taksówce. Intuicja i wyświetlacz podpowiadały jej drogę skoku, który musiała wykonać, trajektorię, która zaprowadziłaby ją prosto do gardzieli okrętu, tak by przez cały czas była niewidoczna z pokładu. Otworzyła luk taksówki, poczekała, aż jej akrobatyczny instyngt powie *już* - i skoczyła w pustkę.

* * *

QiwI przesuwiała się powoli w głąb pustego magazynu „Niewidzialnej ręki”. Wykorzystując kody dostępu Tomasa i własną znajomość okrętu, dotarła do poziomu kwater mieszkalnych, nie włączając żadnego alarmu. Co kilka metrów przystawiała ucho do ściany i po prostu nasłuchiwała. Była tak blisko pomieszczeń zajmowanych przez aktywnych ludzi, że słyszała ich rozmowy. Wszystko wydawało się normalne, nie słyszała żadnych gwałtownych ruchów, żadnych podniesionych głosów... Hm. Coś brzmiało jak krzyk.

QiwI ruszyła szybciej. Czowała ten sam gniew, który Ritser Brughel obudził w niej podczas tamtego spotkania w parku przed laty - tyle że teraz była mądrzejsza i prócz gniewu odczuwała także większy strach. Podczas wspólnych wacht, które minęły od tamtego czasu, często czuła na sobie spojrzenie Ritsera. Zawsze spodziewała się, że kiedyś dojdzie do kolejnej konfrontacji. Mordercze, codzienne treningi QiwI - ćwiczyła wszystkie sztuki walki - były nie tylko wyrazem hołdu dla jej matki, ale i zabezpieczeniem przez Ritserem Brughlem i jego stalowym prętem. *Niewiele mi to pomoże, jeśli strzeli do mnie z pistoletu*. Lecz Ritser był takim idiotą, że nigdy nie zabiłby jej w ten sposób; chciałby się sycić swoim triumfem. Dziś, w razie konieczności, mogłaby postraszyć go wiadomością, którą zostawiła Tomaszowi. Zdusiła strach i przesunęła się bliżej miejsca, z którego dochodził czyjś płacz.

QiwI zatrzymała się przy włazie. Nagle napięły się mięśnie jej ramion. Dziwne, chaotyczne myśli przebiegały jej przez głowę. *Będę pamiętać. Będę pamiętać*. Wariactwo.

Od tego miejsca jedyną ochroną miał być dla niej kod grupmistrza. Prawdopodobnie to mogło jej nie wystarczyć. *Ale potrzebuję tylko kilku*

VERNOR VINGE

sekund. Qiwi po raz ostatni sprawdziła nagrywarke i łącze... i prześliznęła się na korytarz załogi.

Boże. Przez chwilę Qiwi rozglądała się dokoła zdumiona. Korytarz miał te same rozmiary co przed laty. Dziesięć metrów dalej zakreślał w prawo, ku kwaterom kapitana. Ale Ritser wyłożył wszystkie cztery ściany tapetą przedstawiającą wirujące kręgi różu. W powietrzu unosił się zapach zwierzęcego piżma. Był to świat zupełnie inny od tego, który pamiętała z „Niewidzialnej ręki”. Zebrawszy się na odwagę, ruszyła w głąb korytarza. Teraz słyszała docierającą z oddali muzykę, głuche dudnienie perkusji. Ktoś śpiewał... ostre, warkliwe krzyki w rytmie perkusji.

Ramiona Qiwi, jakby kierowane jakimś zewnętrznym impulsem, napięły się, chciała odbić się od ściany i powrócić do włazu. *Czy potrzebuje jeszcze innych dowodów?* Tak. Spójrz tylko na system danych z miejscowej bazy. To znaczyłoby znacznie więcej niż dobór muzyki i obrazów, w jakich gustował Ritser.

Przesuwała się nadal w górę korytarza, od drzwi do drzwi. To były kwatery oficerów, wykorzystywane przez członków wachty podczas podróży z Trilandu. Przez trzy lata mieszkała w drugim pokoju od końca - i naprawdę nie chciała wiedzieć, jak ten pokój wygląda teraz. Kwatera kapitana znajdowała się tuż za rogiem. Przesunęła kartę kodową przez zamek, a drzwi odsunęły się na bok. W środku... to nie był pokój kapitana. Wyglądał jak skrzyżowanie siłowni z sypialnią. Tu także ściany pokrywały wideotapety. Qiwi przeciągnęła się ponad dziwnym stojakiem przypominającym drabinę i przesunęła na bok z dala od drzwi. Dotknęła wyświetlacza i poprosiła o miejscowe połączenie z siecią statku. Minęła krótka chwila, podczas której sprawdzono jej pozycję i autoryzację, a potem patrzyła już na nazwiska, daty i zdjęcia. *Tak!* Ritser miał na „Niewidzialnej ręce” swój mały prywatny magazyn kapsuł hibernacyjnych. Qiwi odszukała Lu-an Peres... tutaj wymieniona była jako żywa, pełniąca służbę!

Wystarczy; czas uciekać z tego piekła. Qiwi zawahała się jednak jeszcze przez chwilę. Znalazła tu tak wiele nazwisk, znajomych nazwisk i twarzy sprzed wielu lat. Przy każdym zdjęciu widniała ikonka oznaczająca, że dana osoba już nie żyje. Była dzieckiem, kiedy widziała tych ludzi po raz ostatni, ale nie takich... te twarze były opuchnięte, chorobliwie blade, straszliwie posiniaczone lub poparzone. Żywi, martwi, pobici, walczący do samego końca. *To wszystko działo się przed Jimmym Diernem.* Wiedziała, że były przesłuchania, okres wielu Ksekund pomiędzy bitwą a podjęciem regularnych wacht, ale... Qiwi czuła, jak lodowata groza ogarnia powoli jej ciało. Przebiegała wzrokiem kolejne nazwiska. Kira Pen Lisolet. Mama. Posiniaczona twarz, martwe oczy wpatrzone w pustkę. *Co Ritser ci zrobił? Jak Tomas mógł o tym nie wiedzieć?* Nie wiedziała nawet, kiedy sięgnęła po kolejne informacje przypisane do tego zdjęcia, ale nagle jej wyświetlacz uruchomił wideo imersyjne. Widziała ten sam pokój, lecz wypełniony obrazami i dźwiękami sprzed wielu lat. Jakby z drugiej strony

OTCHŁAŃ W NIEBIE

stojaka dochodziło głośne sapanie i jęki. Qiwi przesunęła się na bok, a obraz posłusznie dostosował się do nowej perspektywy. Za rogiem stojaka ujrzała nagle twarz... Tomasa Naua. Młodszego Tomasa Naua. Zasłonięty po piersi metalową konstrukcją kołysał się miarowo, jakby poruszał biodrami. Na jego twarzy malowała się ekstatyczna rozkosz, którą Qiwi widziała już tyle razy w chwilach, gdy mogli być sami i swobodnie się kochać. Lecz ten Tomas sprzed lat trzymał w dłoni maleńki, poplamiony krwią nóż. Pochylił się do przodu, zniknął jej z oczu, pochylił się nad kimś, kto już nie jęczał, lecz przeraźliwie krzyczał. Qiwi podciągnęła się nad krawędź stojaka i spojrzała na prawdziwą przeszłość, na kobietę, którą okaleczał Tomas Nau.

- Mama! - Przeszłość nie słyszała jej krzyku; Nau nadal torturował jej matkę. Qiwi zgięła się wół, wymiotując na stelaż. Nie widziała już nic, nadal jednak docierały do niej dźwięki z przeszłości, jakby wszystko odbywało się tuż obok, po drugiej stronie stojaka. Wstrząsana wymiotami, Qiwi zdarła z głowy wyświetlacz, odrzuciła go na bok. Krztusiła się i belkotała coś bezładnie, nie kontrolując własnego ciała.

Światło zmieniło się, gdy ktoś otworzył drzwi pokoju. Usłyszała głosy. Głosy z teraźniejszości.

- Tak, jest tutaj, Marli.

- Fúj, ale paskudztwo. - Dwaj mężczyźni mieszkający w tym pokoju zbliżali się do kryjówki Qiwi. Wycofała się odruchowo, wsunęła pod kosztowny mebel i przygłęła do podłogi.

Jakaś twarz spojrzała na nią z góry.

- Mam ją...

Qiwi poderwała się gwałtownie, kant jej dłoni minął szyję mężczyzny. Uderzyła w cienką ściankę za jego plecami. Ból przeszył jej rękę aż po ramię.

Czuła ukłucia strzałek paralizatora. Odwróciła się, próbowała skoczyć na napastnika, ale jej nogi były już sparaliżowane. Obaj mężczyźni odczekali kilka sekund w bezpiecznej odległości. Potem strzelec, Marli, wyszczerzył zęby w uśmiechu i pochwyił jej bezwładne ciało. Nie mogła się ruszać. Z trudem oddychała. Czuła jednak, jak Marli przyciąga ją do siebie, jak przesuwa dłońmi po jej piersiach.

- Nie bój się, Tung, jest już bezpieczna. - Marli się śmiał. - A może powinieneś się bać. Spójrz tylko na tę dziurę w ścianie. Jeszcze jakieś cztery centymetry, a oddychałbyś tyłem szyi!

- A niech to Plaga - odparł Tung posępnie.

- Macie ją? To dobrze. - Głos Tomasa, od strony wejścia. Marli nagle zdjął dłonie z jej piersi. Przeciągnął ją dokoła stojaka, na otwartą przestrzeń.

Qiwi nie mogła odwrócić głowy. Widziała tylko to, co znajdowało się przed jej oczami. Tomas, spokojny jak zawsze. *Spokojny jak zawsze*. Spojrzał na nią przelotnie, skinął głową na Marlego. Qiwi chciała krzyceć,

lecz z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. *Tomas mnie zabije, jak wszystkich innych... A jeśli nie? Jeśli nie, to nic go nie uratuje.*

Tomas odwrócił się od niej. Kilka kroków dalej stał Ritser Brughel, półnagi i rozczochrany.

- Ritser, to niewybaczalne. Po to dałem jej kody dostępu, żeby można ją było łatwo pochwycić. Wiedziałeś, że tu leci i tak się odsłoniłeś.

- A niech to Plaga - odparł Brughel piskliwym głosem. - Nigdy tak szybko tu nie wróciła. A ja miałem niecałe trzysta sekund od twojego pierwszego ostrzeżenia do jej przybycia. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Tomas zmarszczył gniewnie brwi.

- Ta druga okoliczność wcale cię nie usprawiedliwia, powinienes być na to przygotowany. Co do pierwszej... - Spojrzał ponownie na Qiwi, a gniewny grymas na jego twarzy ustąpił miejsca zamyśleniu. - Tym razem musiało się wydarzyć coś nieprzewidzianego. Niech Kai sprawdzi, z kim ostatnio rozmawiała. - Odwrócił się do Marli i Tunga. - Włóżcie ją do skrzyni i zabierzcie do Hammerfest. Powiedzcie Annę to co zwykle.

- Jaki obszar pamięci, grupmistrzu?

- Sam porozmawiam o tym z Annę. Musimy najpierw przejrzeć nagrania.

Qiwi widziała ściany korytarza, ręce, które wyciągały ją na zewnątrz. *Ile razy to się już wydarzyło? Choć wyteżała całą siłę woli, nie mogła poruszyć żadnym mięśniem. We wnętrzu krzyczała. Tym razem będę pamiętać. Będę pamiętać!*

DWADZIEŚCIA DWA

Pham sunął za Trudem Silipanem w górę centralnej wieży Hammerfest, w stronę strychu. W pewnym sensie była to chwila, na którą czekał od wielu Msekund - pretekst, by dostać się do wnętrza systemu fiksacji, by zobaczyć coś więcej niż ostateczny rezultat. Bez wątplenia mógłby dostać się tu wcześniej, Silipan już nieraz proponował mu taką wycieczkę. Podczas wspólnych wacht Pham wygłosił już dość głupich uwag o fiksacji, poczynił też sporo zakładów z Silipanem i Xinem, którzy głośno wyśmiewali jego opinie; wizyta w tym miejscu była więc nieunikniona. Do tej pory jednak Pham nie czuł się do końca bezpiecznie. *Nie oszukuj się. Po tej historii z lokalizatorami musisz uważać na siebie bardziej niż kiedykolwiek.*

- No, wreszcie będziesz mógł zajrzeć za kulisy, staruszku. Mam nadzieję, że potem zrezygnujesz już z tych swoich bzdurnych teorii. - Silipan uśmiechał się od ucha do ucha; najwyraźniej i on nie mógł się doczekać tej chwili.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Lecieli w górę, mijając wąskie tunele, które rozwidlały się we wszystkich niemal kierunkach. To miejsce stanowiło prawdziwy labirynt. Pham zrównał się z Silipanem.

- Niby czego mam się dowiedzieć? Że potraficie zamienić ludzi w automaty? I co z tego? Nawet twardogłowy nie potrafi wykonać więcej niż jedno czy dwa działania matematyczne na sekundę. Maszyny robią to trylion razy szybciej. Macie tę przyjemność, że możecie dyrygować twardogłowymi jak niewolnikami - i co z tego? Najwolniejsza, najmniej wydajna automatyka w historii ludzkości.

- Tak, tak. Powtarzasz to od lat. Ale wciąż się mylisz. - Wystawił nogę, przytrzymując się czubkiem stopy uchwytu. - Staraj się zachować cicho, dobrze? - Stanęli przed prawdziwymi drzwiami, a nie jednym z tych małych włączów niższych poziomów. Silipan otworzył je i obaj wpłynęli do środka. Od razu ogarnęła ich woń spoconych, stłoczonych ciasno ciał.

- Nieźle śmierdzą, co? Ale są zdrowi. Dbam o to - oświadczył Trud z dumą technika.

Przez całą długość sali ciągnęły się rzędy siedzeń ułożonych w trójwymiarową kratkę, której nie dałoby się stworzyć przy normalnym ciśnieniu. Większość miejsc była zajęta. Siedzieli tu mężczyźni i kobiety w różnym wieku, wszyscy ubrani na szaro. Wielu z nich miało na głowach prawdziwe wyświetlacze Queng Ho. Nie tego spodziewał się Pham Trinli.

- Myślałem, że trzymacie ich w izolacji. - W ciasnych celach, o których opowiadał czasem rozżalony Ezer Vinh w saloniku Benny'ego.

- Niektórych. To zależy od zastosowania. - Wskazał na dyżurnych pokoju, dwóch mężczyzn ubranych jak sanitariusze. - Tak jest znacznie taniej. Dwaj faceci radzą sobie ze wszystkimi kłótniami i bójkami.

- Bójkami?

- Powiedzmy, sporami profesjonalistów. - Silipan zachichotał. - To zwykle pyskówki. Są niebezpieczne tylko wtedy, kiedy naruszają równowagę pleśni.

Lecieli ukośnie do góry pomiędzy ciasno zapakowanymi rzędami. Niektóre wyświetlacze były przezroczyste, Pham mógł więc widzieć, jak poruszają się oczy fiksatów. Nikt jednak nie zauważył Phama ani Truda; wzrok tych ludzi kierował się gdzie indziej.

Ze wszystkich stron dochodziło ciche mamrotanie, połączone głosy wszystkich twardogłowych obecnych w pokoju. Wielu ludzi mówiło głośno, wyrzucało z siebie krótkie, urywane zdania w nese, ale pozbawione jakiegokolwiek sensu. Całość tworzyła niemal hipnotyczny zaśpiew.

Fiksaci pisali coś bez przerwy na klawiaturach. Silipan wskazał na ich ręce z nieskrywaną dumą.

- Widzisz, mniej niż dwadzieścia procent z nich ma uszkodzone sta wy; nie możemy sobie pozwolić na marnotrawstwo. I tak jest za mało ludzi, a Reynolt nie może całkowicie kontrolować wirusa. Ale ostatni wypadek śmiertelny mieliśmy ponad rok temu - i właściwie nie można go było

VERNORVINGE

uniknąć. Nie wiem jakim cudem, ale fiksat miał dziurę w jelicie i to zaraz po dokładnych badaniach. Był odizolowanym specjalistą. Przez jakiś czas nie przesyłał nam nic nowego, ale nie wiedzieliśmy, że pojawił się jakiś problem, dopóki gość nie zaczął śmierdzieć. -Więc niewolnik umarł od środka, zbyt oddany swemu zajęciu, by się skarżyć i zbyt zaniedbany, by ktokolwiek to zauważył.

Dotarli pod sam sufit pokoju, spojrzeli z góry na mamroczący tłum.

- W jednej kwestii miałeś rację, panie obrońco Trinli. Gdyby ci ludzie mieli dokonywać jakichś obliczeń albo coś porządkować, cała ta operacja byłaby idiotyzmem. Najmniejszy procesor w pierścionku może to zrobić miliard razy szybciej niż człowiek. Ale słyszysz, jak oni gadają do siebie?

- Tak, ale to nie ma żadnego sensu.

- To ich wewnętrzny żargon; wchodzą w to bardzo szybko, kiedy pracują w zespołach. Ale najważniejsze jest to, że oni nie wykonują najprostszych funkcji maszyn. Wykorzystują nasze zasoby komputerowe. Widzisz, dla nas, Emergentów, twardogłowi to kolejna warstwa systemu nad oprogramowaniem. Mogą wykorzystywać ludzką inteligencję, ale z uporem i cierpliwością maszyn. Dlatego też tak ważni są zafiksowani specjaliści, szczególnie technicy tacy jak ja. Fiksacja jest bezużyteczna, jeśli brakuje normalnych ludzi, którzy mogliby nią pokierować i utrzymać równowagę pomiędzy sprzętem, oprogramowaniem i fiksacją. Przy zachowaniu odpowiednich proporcji taka kombinacja przewyższa wszystko, co osiągnęli d» tej pory Queng Ho.

Pham wiedział o tym już od dawna, ale zaprzeczając, prowokował Emergentów pokroju Truda Silipana do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

- Więc co właściwie robi ta grupa?

- Zaraz to sprawdzimy. - Gestem nakazał Phamowi nałożyć wyświetlacz. - Aha, widzisz? Podzieliliśmy ich na trzy grupy. Najwyższa grupa wykonuje proste procesy, twardogłowi, których można łatwo przeprogramować. Świetnie nadają się do rutynowych zadań, takich jak bezpośrednie pytania. Grupa środkowa zajmuje się programowaniem. Jako programista bojowy powinieneś być tym zainteresowany. - Wyświetlił jakieś tabele zależności. Na pierwszy rzut oka wydawały się zupełnie bezsensowne, ogromne bloki pozbawione jakiegokolwiek spójności. - To nowa wersja waszego kodu naprowadzającego.

- Bzdura. Nigdy nie mógłbym utrzymać czegoś takiego.

- Ty nie. Ale zarządca programistów, ktoś jak Rita Laio, może, jeśli tylko ma pod sobą zespół zafiksowanych programistów. W tej chwili zajmują się przestawianiem i optymalizacją kodu. Zrobili to, na co zwykli ludzie nie potrafiliby się zdobyć. Zmieniając odpowiednio oprogramowanie, ci twardogłowi stworzyli kod o połowę mniejszy od waszego oryginału i pięć razy szybszy na tym samym sprzęcie. Wykryli też ponad sto błędów.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Pham milczał przez chwilę. Przeglądał labirynt tabel. Od lat zajmował się oprogramowaniem uzbrojenia. Pewnie, że kryły się tam jakieś drobne niedoróbki, jak w każdym dużym systemie. Ale kody uzbrojenia były przedmiotem tysięcy lat pracy, nieustającego dążenia do optymalizacji i usunięcia błędów... Oczyszczył wyświetlacz i spojrzał na rzędy niewolników. *Taka straszna cena... za takie cudowne wyniki.*

Silipan zachichotał.

- Nie oszukasz mnie, Trinli. Widzę, że jesteś pod wrażeniem.

- Jeśli to rzeczywiście działa... A co robi trzecia grupa? Ale

Silipan zmierzał już do wyjścia.

- Ach, ci. - Machnął lekceważąco na twarogłowych po swojej prawej stronie. - To najnowszy projekt Reynolt. Przeglądamy korpus kodu systemowego waszej floty. Szukamy pułapek, pluskiew, takich rzeczy.

Było to beznadziejne przedsięwzięcie, którego podejmowali się tylko obłąkani administratorzy systemów, ale po tym, co dzisiaj zobaczył... nagle Pham nie czuł się już taki bezpieczny. *Tle czasu minie, nim zauważą moje modyfikacje?*

Opuścili salę fiksatów i ruszyli w drogę powrotną w dół wieży.

- Widzisz, Pham, wy wszyscy, mam na myśli Queng Ho, zyliscie z klapkami na oczach. Po prostu wiecie, że pewne rzeczy są niemożliwe. Widzę to w waszej literaturze: „Błędy na wejściu dają błędy na wyjściu”. „Problem z automatyką polega na tym, że wykonuje dokładnie to, o co ją prosisz”. „Automatyka nigdy nie może być prawdziwie twórcza”. Ludzkość przyjmowała takie twierdzenia od tysięcy lat. Ale my, Emergenci, udowodniliśmy, że jest inaczej! Dzięki twarogłowym mogę otrzymać właściwy sygnał wyjściowy z niejasnych danych na wejściu czy efektywne tłumaczenie języka naturalnego. Ludzki osąd staje się częścią automatyki!

Lecieli w dół z prędkością kilku metrów na sekundę; niewiele osób wznosiło się w przeciwnym kierunku. Światła na dole wieży błyszcząły coraz jaśniej.

- No tak, a co z kreatywnością? - Pham wiedział, że Trud uwielbia rozwozić się na ten temat.

- Nawet to, Pham. Oczywiście nie mówię o wszystkich formach kreatywności. Jak już wspominałem, niezbędni są prawdziwi zarządcy, tacy jak Rita i ja, no i grupistrzowie nad nami. Ale powiem ci coś ciekawego o naprawdę twórczych ludziach, tych, którzy przechodzą potem do historii. Często są to dziwacy, którzy nie prowadzą normalnego życia, są zafiksowani na jakimś jednym konkretnym temacie. Zdrowy psychicznie człowiek nie poświęciłby przyjaciół czy rodziny dla jakiejś abstrakcji. Oczywiście dzięki temu taki maniak może odkryć lub stworzyć zupełnie nowe, genialne rzeczy. Widzisz, w tym sensie niepełna fiksacja zawsze była częścią ludzkości. My, Emergenci, po prostu zinstytucjonalizowaliśmy to szaleństwo, by mogła z niego korzystać cała społeczność.

VERNOR VINCE

Sihpan wyciągnął ręce na boki, dotykając lekko ścian i spowalniając opadanie. Został na moment w tyle, nim Pham także zaczął hamować.

- De czasu zostało ci do spotkania z Annę Reynolt? - spytał Silipan.
- Trochę ponad Ksekundę.
- Dobrze, będę się streszczał. Nie mogę przecież narażać szefowej na długie oczekiwanie. - Roześmiał się. Silipan najwyraźniej nie darzył Annę Reynolt szczególnym szacunkiem. Gdyby rzeczywiście była niekompetentna, Pham miałby znacznie łatwiejsze zadanie...

Przeszli przez drzwi ciśnieniowe do wnętrza czegoś, co mogło uchodzić za ambulatorium. Leżało tu kilka kapsuł hibernacyjnych, wyglądały na czasowe pojemniki dla pacjentów. Za nimi znajdowały się kolejne drzwi, ze specjalną pieczęcią grupmistrza. Trud zerknął nerwowo w tę stronę, po czym szybko odwrócił głowę.

- Tak... Więc tutaj odbywa się to wszystko, Pham. Prawdziwa magia fiksacji. - Przeciągnął Phama przez pokój, z dala od drzwi opatrzonych pieczęcią. Jakiś technik pracował przy bezwładnym ciele fiksata, próbując umieścić głowę „pacjenta” w jednym z wielkich pierścieni, które zajmowały większą część pokoju. Mogły to być aparaty diagnostyczne, choć wyglądały jeszcze prymitywniej niż większość sprzętu Emergentów.

- Znasz już podstawowe zasady, tak?
- Jasne. - Wy tłumaczono je dokładnie wszystkim Queng Ho podczas pierwszej wachty po śmierci Jimmy'ego. - Macie tego specjalnego wirusa, pleśń mózgu. Zaraziliście nas wszystkich.

- Tak, tak. Ale to była operacja wojskowa. W większości wypadków wirus nie przedostał się przez barierę krew/mózg. - Ale kiedy mu się to uda... Wiesz, co to są komórki neuroglejowe? Tak naprawdę jest w ich mózgu znacznie więcej niż neuronów. Więc infekcja wykorzystuje te komórki glejowe jako rodzaj bulionu, zaraża niemal wszystkie. Po jakichś czterech dniach...

- ...Macie fiksata?
- Nie. Mamy surowy materiał na twarogłowego; wielu z Queng Ho zatrzymało się na tym etapie - niezafiksowani, zupełnie zdrowi, ale z utrwaloną na stałe infekcją. U takich ludzi każdy neuron w mózgu przylega do zainfekowanych komórek. A każda zarażona komórka może wydzielać wiele substancji neuroaktywnych. Ten facet... - Trud odwrócił się do technika, który nadal pracował nad uśpionym fiksatem. - Bil, czemu ściągaliście tutaj tego gościa?

Bil Phuong wzruszył ramionami.

- Bił się. Al musiał go ogłuszyć. Nie powinno dojść do ucieczki wi rusa, ale Reynolt chce, żebym powtórzył podstawową piątkę na sekwen cji z...

Obaj technicy rozmawiali przez chwilę, przerzucając się fachowymi, medyczno-technicznymi określeniami. Pham spojrział z udawaną obojętnością na fiksata. W okresie przygotowawczym Egil był obrońcą i weso-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

łym, towarzyskim człowiekiem. Teraz... teraz był zapewne lepszym analitykiem niż kiedykolwiek.

Trud kiwał głową, zastanawiając się głośno:

- Hm, nie rozumiem, dlaczego powtórka piątki miałyby tu w czymś pomóc. Ale to Reynolt jest szefem, nie? - Uśmiechnął się do swego towarzysza. - Hej, pozwól mi to zrobić. Chciałbym pokazać coś Phamowi.

- Ale ty się pod tym podpiszesz. - Phuong odsunął się na bok lekko znużony. Silipan zajął miejsce obok szarego pierścienia. Pham zauważył, że urządzenie ma oddzielne kable zasilające, każdy grubości jednego centymetra.

- To rodzaj aparatu diagnostycznego, tak? Wygląda jak jakiś rupieć wygrzebany ze śmietnika.

- Ha. Niezupełnie. Pomóż mi włożyć głowę tego gościa do środka. Uważaj, żeby nie dotykał bok... - Ostry sygnał alarmowy przerwał mu w pół słowa. -1 na miłość boską, daj Bilowi ten pierścień. Jeśli staniesz w złym miejscu, magnesy urwą ci palec.

Nawet przy tak małej sile ciężenia niełatwo było im manewrować ciałem uśpionego fiksata. Wymagało to dużej precyzji, a grawitacja była wystarczająco silna, by ciągnąć głowę Egila ku niższej części otworu.

Trud odsunął się od pierścienia i uśmiechnął.

- Wszystko gotowe. Teraz zobaczysz, o co w tym wszystkim chodzi, stary. - Wypowiedział jakąś komendę, a w powietrzu między nimi pojawił się jakiś medyczny obraz, prawdopodobnie widok wnętrza głowy Egila. Pham rozpoznawał niektóre fragmenty, większość różniła się jednak znacznie od tego, co znał do tej pory.

- Miałeś rację, Pham. To jest aparat do standardowego MRI, obrazowania rezonansem magnetycznym, stary jak świat. Ale wystarczająco dobry. Widzisz, harmonia podstawowej piątki jest generowana tutaj. - Małeńka strzałka przesunęła się wzdłuż złożonego łuku tuż pod powierzchnią mózgu. - Teraz pokażę ci rzecz najciekawszą, coś, co sprawia, że pleśń mózgu jest czymś więcej niż tylko neuropatyczną ciekawostką. - Na trójwymiarowym obrazie ukazała się galaktyka małeńkich, lśniących punktów. Mieniły się różnymi barwami, choć większość była różowa. Punkty tworzyły mniejsze i większe grupy lub pasma, wiele z nich migotało w jednostajnym tempie. -Widzisz tu zainfekowane komórki neuroglejowe, czyli znaczące grupy komórek.

- A kolory?

- Pokazują, jakiego typu substancje są obecnie wytwarzane... Chciałbym, żebyś teraz... - kolejne komendy i Pham mógł po raz pierwszy zajrzeć do instrukcji obsługi pierścienia - ...zmieniał moc wyjściową i częstotliwość wzdłuż tej ścieżki. -Mała strzałka przesunęła się wzdłuż pasma rozpalonych punktów. Trud uśmiechnął się do Phama. - Dlatego właśnie ten sprzęt to coś więcej niż zwykły aparat diagnostyczny. Widzisz, wirus wydziela pewne para- i diamagnetyczne białka, a te z kolei reagują w róż-

VERNORVINGE

ny sposób na pola magnetyczne i pobudzają produkcję różnych substancji neuroaktywnych. Podczas gdy wy, Queng Ho, i cała ludzkość używacie MRI jedynie do diagnostyki, my, Emergenci, potrafimy wykorzystać go aktywnie i dokonywać konkretnych zmian w strukturze mózgu. - Wystukał coś na swojej klawiaturze; Pham usłyszał głośne skrzywienie, kiedy kable nadprzewodnika odsunęły się od siebie. Egil drgnął kilkakrotnie. Trud wyciągnął rękę, by go przytrzymać. - Cholera, nie mogę wprowadzić milimetrowych poprawek, kiedy on się tak rzuca.

- Nie widzę żadnych zmian na mapie mózgu.

- I nie zobaczysz, dopóki nie wyłączę trybu aktywnego. Nie można rzucać obrazu i modyfikować jednocześnie. - Zamilkł na chwilę, w skupieniu powtarzając czynności zapisane w instrukcji. - Prawie gotowe... jest! Dobrze, zobaczmy, jak to wygląda. - W powietrzu ukazał się nowy obraz. Błyszczące pasma światła były teraz w większości niebieskie, pulsowały w szalonym tempie. - Trzeba trochę poczekać, aż to się uspokoi.

- Obserwując model, mówił dalej: - Widzisz, Pham. Właśnie w tym je stem naprawdę dobry. Nie wiem, czy znalazłbyś w waszej kulturze jakiś odpowiednik tego zawodu. Jestem trochę jak programista, ale nie kodu je. Jestem też po trosze neurologiem, tyle że ja osiągam konkretne rezultaty. Chyba najbliżej mi do technika sprzętu komputerowego. Utrzymuję sprzęt, który wykorzystują potem jakieś większe szczyty. Następnie, rzecz jasna, przypisują całą zasługę sobie. -Trud przerwał i zmarszczył brwi. -Hm... Cholera. - Spojrzał na przeciwną stronę pokoju, gdzie pracował drugi technik. - Bil, współczynnik leptyn-dop u tego gościa dalej jest za niski.

- Wyłączyłeś pole?

- Oczywiście. Podstawowa piątka powinna być już w normie.

Bil nie podszedł do nich, patrzył jednak z daleka na obraz mózgu.

Błyszcząca linia nadal pulsowała chaotycznie. Trud kontynuował:

- To nic groźnego, ale nie wiem, skąd się wzięło. Zajmiesz się tym?

- Wskazał kciukiem na Phama, jakby chciał powiedzieć, że ma inne, ważniejsze sprawy.

- Podpisałeś się pod tym? - spytał z powątpiewaniem Bil.

- Tak, tak. Więc co, dokończysz to?

- Dobra.

- Dzięki. - Silipan gestem zaprosił Phama do wyjścia. Model urządzenia do MRI zniknął. - Ta Reynolt. Daje zawsze najtrudniejsze zadania. Potem, choćby zrobił wszystko jak najlepiej, i tak masz kłopoty.

Pham przepłynął za nim przez drzwi i w dół bocznego korytarza, wrzynającego się w głąb Diamentu Pierwszego. Ściany pokrywały niezwykle misterne płaskorzeźby. Był to ten sam styl precyzyjnej sztuki, który zdumiał Phama przy pierwszej wizycie na okręcie Emergentów, podczas „bankietu powitalnego”. Nie wszyscy twardogłowi byli wysokiej klasy specjalistami; minęli kilkunastu niewolników zgromadzonych przy ścianach tu-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nelu. Pochylali się nad szklami powiększającymi, a w dłoniach trzymały małeńkie dłuta. Pham odwiedził już kiedyś to miejsce, kilka wacht wcześniej. Wtedy płaskorzeźba istniała tylko w ogólnych zarysach, górzysty krajobraz z grupą żołnierzy zmierzających do jakiegoś nieokreślonego celu. Nawet wtedy Pham domyślał się tylko owych kształtów, znał bowiem tytuł dzieła; „Śmierć frenkijskiej bestii”. Teraz większość postaci była już gotowa, sylwetki potężnych wojowników i herosów mieniły się tęczą barw. Celem ich wyprawy był jakiś potwór. Stworzenie to nie wydawało się szczególnie oryginalne, typowe cthulhonickie monstrum rozdzierające ludzi wielkimi szponami i pożerające ich ciała. Emergenci bardzo się pysznili swym zwycięstwem nad Frenkami, Pham wątpił jednak, by potwory, z którymi przyszło im walczyć, rzeczywiście były tak niezwykle. Zwolnił, by przyjrzeć się lepiej płaskorzeźbie, a Silipan wziął jego ciekawość za podziw.

- Rzeźbiarze posuwają się tylko o pięćdziesiąt centymetrów na Msekundę. Ale ta sztuka oddaje blask naszej przeszłości.

Blask?

- Reynolt chce ładnych rzeczy? - spytał z głupia frant.

- Ha. Reynolt wcale to nie obchodzi. Wykonanie tej pracy zlecił grupmistrz Brughel, z mojej rekomendacji.

- Myślałem, że grupmistrzowie są całkowicie niezależni na swoim terenie. - Pham rzadko widywał Reynolta na poprzednich wachtach, widział jednak, jak upokarzała Ritsera Brughla podczas spotkań z Nauem.

Trud nie mówił nic przez kilka sekund. Na jego twarzy pojawił się głupi uśmieszek, którym kwitował niektóre uwagi Phama podczas ich wspólnych posiedzeń w saloniku Benny'ego. Tym razem jednak uśmieszek zamienił się w głośny śmiech.

- Grupmistrz? Annę Reynolt? Pham, ubawiłem się dzisiaj jak nigdy, patrząc na twoją minę, ale to przebija już wszystko. - Przeleciał kolejnych kilka metrów, chichocząc głośno. Potem spojrzał na twarz Phama ściągając ją w gniewnym grymasie. - Przepraszam, Pham. Wy, Handlarze, macie ta kie osiągnięcia w różnych dziedzinach, ale jeśli chodzi o podstawy kultury, jesteście jak dzieci... Pokazałem ci klinikę fiksatów; nie stanie się chyba nic złego, jeśli wyjaśnię ci jeszcze kilka rzeczy. Nie, Annę Reynolt nie jest grupmistrzem, choć prawdopodobnie kiedyś była, i to potężnym. Reynolt jest po prostu jeszcze jedną twardogłową.

Pham pozwolił, by gniewna mina ustąpiła miejsca zdumieniu, które tym razem było prawdziwe.

- Ale... ona zarządza wieloma ważnymi projektami. Wydaje ci rozkazy.

Silipan wzruszył ramionami. Jego uśmiech zmienił się w cierpki grymas.

- Tak. Wydaje mi rozkazy. To rzadka sytuacja, ale się zdarza. Wołał bym pracować dla grupmistrza Brughla i Kala Omo, tyle że oni grają dość... ostro. -W jego głosie pojawiło się nerwowe drżenie.

VERNOR VINGE

- Chyba rozumiem - skłamał Pham. - Kiedy specjalista zostaje zafiksowany, skupia się wyłącznie na swojej specjalizacji. Artysta rzeźbi dla was ściany korytarzy, fizyk staje się kimś takim jak Hunte Wen, a za rządca jest... hm, nie wiem, zarządcą z piekła.

Trud pokręcił głową.

- To nie tak. Widzisz, specjalności techniczne daje się łatwo zafiksować. Nawet wśród Queng Ho mamy siedemdziesięcioprocentową skuteczność. Ale umiejętności związane z kontaktami międzyludzkimi - doradz two, polityka, zarządzanie personelem - te właściwie w ogóle nie utrzymują się w fiksacji. Widziałeś już dość wielu twardogłowych; jednym, co łączy ich wszystkich, jest brak uczuć. Po prostu nie są w stanie wyobrazić sobie, co dzieje się w głowie normalnego człowieka. Mamy szczęście, że udało nam się zachować tylu dobrych tłumaczy; nigdy dotąd nie robiliśmy tego na taką skalę. Annę Reynolt jest więc kimś bardzo wyjątkowym. Plotki mówią, że była wysokim grupmistrzem w klice Xevalle. Większość ich została za bita albo wyczyszczono im mózgi, ale Reynolt podobno naprawdę wkurzyła klikę Naua. Zafiksowali ją dla żartu; może chcieli z niej zrobić zabawkę dla swoich mężczyzn. Ale wyszło trochę inaczej. Przypuszczam, że i tak była już niezłą maniaczką. Prawdopodobieństwo równało się niemal zeru, a jednak umiejętności organizacyjne Reynolt przetrwały.

Daleko w górze majaczył koniec tunelu. Światło padało na prosty, pozbawiony ozdób właz. Trud zatrzymał się i odwrócił do Phama.

- Jest cudakiem, ale i najcenniejszą własnością grupmistrza Naua. Właściwie ona podwaja jego zasięg... - Skrzywił się. - Co wcale nie znaczy, że łatwo mi przyjmować od niej rozkazy. Powiem ci coś. Osobiście uważam, że grupmistrz ją przecenia. Rzeczywiście, jest kimś niezwykłym, dziwem natury... i co z tego? To tak jak pies, który pisze wiersze - tylko nikt nie zauważa, że te wiersze są grafomańskie.

- Zdaje się, że nie obchodzi cię specjalnie, czy Reynolt zna twoje zdanie.

Trud znów się uśmiechał.

- Oczywiście, że nie. To jedyny plus mojej sytuacji. Praktycznie nie da się jej oszukać w kwestiach związanych z moją pracą, ale poza tym jest jak każdy inny twardogłowy. Ba, zrobiłem jej nawet parę głupich żar... - Urwał raptownie. - Nieważne. Powiedz jej, co kazał ci zrobić grupmistrz Nau, i wszystko będzie w porządku. - Mrugnął doń porozumiewawczo i ruszył w dół korytarza, byle dalej od biura Reynolt. - Obserwuj ją uważnie. Zrozumiesz, o czym mówię.

Gdyby Pham wiedział o fiksacji Annę Reynolt, odłożyłby sprawę lokalizatorów na później. Teraz siedział jednak w jej biurze i nie miał wielkiego wyboru. Z drugiej strony cieszył się, że sprawy nabrały trochę tempa. Od śmierci Jimmy'ego każdy jego ruch był tak wyważony, tak bardzo ostrożny.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Najpierw Reynolt jakby w ogóle nie zauważyła jego obecności. Pham usiadł nieproszony na krześle po drugiej stronie biurka i rozglądał się po pokoju. Zupełnie nie przypominał biura Naua. Tutaj ściany były nagie, czysty diament. Nie zdobiły ich żadne obrazy, nawet te brzydactwa, które uchodziły za sztukę Emergentów. Biurko Reynolt zajmowały wyłącznie puste pojemniki i sprzęt komputerowy.

A sama Reynolt? Pham wpatrywał się w jej twarz intensywniej, niż pozwoliłby sobie na to w innej sytuacji. Do tej pory spędził w jej obecności może jakieś dwadzieścia Ksekund, przy czym Reynolt siedziała zazwyczaj przy drugim końcu stołu. Zawsze ubierała się bardzo prosto, nie nosiła żadnych ozdób, prócz tego srebrnego naszyjnika wpuszczonego w bluzkę. Ze swymi rudymi włosami i jasną cerą mogłaby uchodzić za siostrę Rit-sera Brughla. Podobny typ fizyczny spotykało się bardzo rzadko w tej części Ludzkiej Przestrzeni, powstawał zazwyczaj w wyniku lokalnych mutacji. Annę mogła mieć trzydzieści lat, albo dwa wieki przy naprawdę dobrym wsparciu medycznym. W pewien szalony, egzotyczny sposób była piękna. Fizycznie piękna. *Więc byłaś grupmistrzem.*

Reynolt podniosła wzrok, przez moment patrzyła Phamowi w oczy.

- Dobrze. Przyszedł pan, żeby wyjaśnić mi szczegóły związane z tymi lokalizatorami.

Pham skinął głową. Dziwne. Patrzyła na jego usta, gardło, tylko przez moment na oczy. W jej spojrzeniu nie dostrzegł żadnych uczuć, żadnej chęci nawiązania kontaktu, Pham odniósł jednak niepokojące wrażenie, że Reynolt przejrzała jego maskę.

- Dobrze. Jakie są ich parametry?

Udzielał mrukliwych, mało konkretnych odpowiedzi, twierdząc, że nie zna szczegółów.

Reynolt nie przejmowała się tym. Zadawała kolejne pytania tym samym, spokojnym i lekko pogardliwym tonem.

- To za mało. Potrzebuję szczegółów.

- Jasne. Po to tu jestem. Pełną instrukcję obsługi można znaleźć na kościach lokalizatorów, ukrytą między tym, co mogą zobaczyć zwykli technicy.

Znów to przeciągłe, dziwne spojrzenie.

- Szukaliśmy. Nic tam nie ma.

To była najryzykowniejsza część planu. W najlepszym razie Nau i Brughel przyjrzą się nieco uważniej osobie PhamaTrinli. W najgorszym... jeśli zrozumieją, że wyjawia sekrety, o których nie wiedzą nawet najwyżsi rangą obrońcy, znajdzie się w poważnych tarapatach. Pham wskazał na wyświetlacz na biurku Reynolt.

- Pani pozwoli - powiedział.

Reynolt nie zareagowała na ten arogancki gest, lecz sama nałożyła wyświetlacz i przyjęła przekazany przezeń obraz. Pham kontynuował:

- Pamiętam kod dostępu. Jest długi, ale... - Pełna wersja zakodowana

VERNOR VINGE

była w jego własnym ciele, ale nie powiedział o tym. Spróbował użyć kilku nieprawidłowych kodów i denerwował się, kiedy zawodziły. Normalny człowiek, nawet Tomas Nau, wyraziłby już zniecierpliwienie albo się roześmiał. Reynolt nic nie mówiła. Siedziała nieruchomo. Potem oświadczyła nagle:

- Nie mam do tego cierpliwości. Proszę nie udawać niekompetencji.

Wiedziała. Przez cały ten czas, od podróży z Trilandu aż do tej chwili, nikt nie przejrzał jego sztuczek. Liczył na więcej czasu; kiedy zaczną już używać nowych lokalizatorów, będzie mógł sporządzić dla siebie jakiś nowy kamuflaż. Cholera. Potem przypomniał sobie, co mówił Silipan. Annę Reynolt coś wiedziała. Najprawdopodobniej uznała po prostu, że Trinli jest zbędną informacją.

- Przepraszam - wymamrotał Pham. Wpisał właściwą sekwencję.

Z biblioteki floty nadeszło proste potwierdzenie. Srebrne ikonki zawisły w powietrzu między nimi. Inwentarz tajnych danych, specyfikacje komponentów.

- Dobrze. - Reynolt skinęła głową. Zrobiła coś ze swoją kontrolką, a jej biuro nagle zniknęło. Obydwoje lecieli przez inwentarz danych, by zatrzymać się pośród specyfikacji lokalizatorów.

- Rzeczywiście, jest temperatura, akustyka, natężenie światła... multispektrum. Ale to jest bardziej złożone, niż mówił pan na spotkaniu.

- Powiedziałem, że lokalizator jest dobry. Reszta to szczegóły.

Reynolt mówiła szybko, analizując kolejne parametry lokalizatorów.

Teraz wydawała się niemal podekscytowana. To urządzenie znacznie przewyższało produkty Emergentów.

- Niezależny lokalizator o doskonałych parametrach i zewnętrznym zasilaniu. - A widziała tylko tę część, którą Pham chciał jej pokazać.

- Owszem, ale jednak trzeba je napromieniowywać mikrofalami.

- No i dobrze. W ten sposób ograniczymy ich używanie, aż w pełni je zrozumiemy.

Wygasiła iluzoryczny obraz i znów siedzieli w jej biurze o zimnych, diamentowych ścianach. Pham czuł, że zaczyna się pocić. Nawet już na niego nie patrzyła.

- Według inwentarza mamy jeszcze kilkanaście milionów lokalizatorów, o których nie wiedzieliśmy do tej pory.

- Jasne. Kiedy nie są aktywne, zajmują objętość kilku litrów.

- Byliście głupcami, nie wykorzystując ich w systemie bezpieczeństwa.

Pham spojrział na nią gniewnie.

- My, obrońcy, znaliśmy ich możliwości. W sytuacji zagrożenia...

Te szczegóły nie znajdowały się już jednak w obrębie fiksacji Annę Reynolt. Uciszyła go machnięciem ręki.

- Wygląda na to, że mamy ich nawet więcej, niż potrzeba do realizacji naszych planów.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Piękna najemniczka znów popatrzyła na twarz Phama. Przez moment ich spojżenia się spotkały.

- Rozpoczął pan nową erę nadzoru, obrońco.

Pham spojrział w jej czyste błękitne oczy i skinął głową; miał nadzieję, że nie pojmowała całej prawdy tego, co powiedziała. On zaś uświadomił sobie właśnie, że Reynolt jest kluczowym elementem jego planów. Annę Reynolt zarządzała niemal wszystkimi fiksatami. To poprzez nią To-mas Nau sprawował kontrolę nad większością operacji. Annę Reynolt wiedziała o Emergentach rzeczy, które musiał wiedzieć rewolucjonista, by w ogóle marzyć o powodzeniu swej misji. I Annę Reynolt była fiksatem. Mogła domyślić się, co knuje Pham albo stać się kluczem do zniszczenia Naua i Brughla.

W tymczasowej kwaterze nigdy nie panowała całkowita cisza. Budynek mieszkalny Kupców miał zaledwie sto metrów średnicy; poruszający się w nim ludzie tworzyli naprężenia, których nie dało się całkiem wytłumić. Naprężenia termiczne wydawały od czasu do czasu głośne, ostre trzaski. Teraz jednak większość załogi była pogrążona w hibernacji; w kabinie Phama Nuwena panowała więc względna cisza. Pham unosił się w półmroku, udając drzemkę. Jego sekretne życie miało właśnie wkroczyć w nowy, bardzo pracowity etap. Emergenci nie wiedzieli, że zostali właśnie wciągnięci w pułapkę, która sięgała głębiej niż wiedza któregokolwiek z kapitanów floty Queng Ho. Była to jedna z dwóch czy trzech sztuczek, które Pham Nuwen zachował niemal wyłącznie dla siebie. Wiedziała o nich Sura i kilku innych, ale po Briso Gap ta wiedza nie stała się ogólnym dziedzictwem Queng Ho. Pham zawsze się nad tym zastanawiał; Sura potrafiła być sprytna.

Ile czasu minie, nim ludzie Reynolt i Brughla nauczą się obsługiwać nowe lokalizatory? Mieli wystarczająco dużo tych gadżetów, by nie tylko uprościć stabilizację LI, ale i zasypać nimi całą przestrzeń mieszkalną. Dziesięć razy na sekundę przez kwatery przebiegał impuls mikrofal - dość bezprzewodowej energii, by zasilić wszystkie lokalizatory. Tuż przed początkiem okresu snu zauważył pierwsze pyłki wpływające do pokoju przez wentylator. W tej chwili Brughel i Reynolt kalibrowali zapewne system. Już za moment Brughel i Nau będą gratulowali sobie jakości dźwięku i obrazu. Być może wyłączą wreszcie te swoje prymitywne urządzenia szpiegowskie; nawet jeśli szczęście aż tak mu nie dopisze... cóż, za kilka Msekund będzie mógł manipulować ich sygnałami.

Coś niewiele cięższego od pyłku kurzu osiadło na jego policzku. Otarł twarz ręką, jakby coś go drażniło, i osadził pyłek tuż obok powieki. Kilka minut później wsadził inny głęboko do prawego ucha. Uśmiechnął się w duchu ironicznie, przypomniawszy sobie, ile wysiłku włożyli Emergenci w unieszkodliwienie urządzeń 1/0.

Lokalizatory rzeczywiście spełniały wszystkie funkcje, o których Pham powiedział Tomasowi Nau. Jak wszystkie tego typu urządzenia

w ludzkiej historii, te określały nawzajem swoje położenie w przestrzeni - proste ćwiczenie, nic ponad obliczanie czasu lotu. Wersje Queng Ho były wyjątkowo małe, mogły być zasilane bezprzewodowo i miały prosty układ czujników. Stanowiły świetne urządzenia szpiegowskie, właśnie takie, jakich potrzebował grupmistrz Nau. Lokalizatory tworzyły rodzaj sieci komputerowej, a właściwie nietypowy, rozproszony procesor. Każdy małeńki płatek miał niewielką zdolność obliczeniową, a wszystkie komunikowały się ze sobą. Kilkaset tysięcy takich drobin, rozsianych na całej przestrzeni mieszkalnej Kupców, miało większą moc obliczeniową niż cały sprzęt przywieziony przez Naua i Brughla. Oczywiście, wszystkie lokalizatory - nawet emergencjki rupiecie - miały taki potencjał obliczeniowy. Prawdziwym sekretem modelu Queng Ho był fakt, że nie potrzebował on żadnego dodatkowego interfejsu dla wejścia i wyjścia. Każdy, kto znał ten sekret, mógł uzyskać bezpośredni dostęp do lokalizatorów, pozwolić, by lokalizatory wyczuły pozycję jego ciała, zinterpretowały właściwe kody i odpowiedziały wbudowanymi efektorami. Fakt, że Emergenci usunęli z kwater Queng Ho wszystkie interfejsy czołowe, nie miał tutaj żadnego znaczenia. Teraz interfejs Queng Ho był dostępny dla każdego, kto znał tajemnicę.

To wymagało jednak specjalnej wiedzy i koncentracji. Nie było to coś, co mogło wydarzyć się przypadkiem czy pod przymusem. Pham ułożył się wygodnie w hamaku, udając, że wreszcie zasnął na dobre i przygotowując się do czekającej go pracy. Potrzebował szczególnego rytmu uderzeń serca, szczególnej kadencji oddechu. *Czy ja to w ogóle pamiętam, po tylu latach?* Irracjonalny strach wybił go na moment z koncentracji. Jeden pyłek przy oku, drugi w uchu; to powinno wystarczyć do zestrojenia innych lokalizatorów unoszących się w pokoju. To powinno wystarczyć.

Nadal jednak nie mógł wprawić się we właściwy nastrój. Wciąż powracał myślami do Annę Reynolt i do tego, co pokazał mu Silipan. Był pewien, że fiksaci prędeż czy później przejrzą jego plany. Fiksacja była cudem. Pham Nuwen mógł stworzyć prawdziwe imperium Queng Ho - pomimo zdrady Sury - gdyby tylko miał takie narzędzia. Tak, cena była wysoka. Pham przypomniał sobie rzędy zombi na Strychu Hammerfest. Widział co najmniej kilka sposobów, które mogłyby uczynić ten system łagodniejszym, ale tak czy inaczej wykorzystanie zafiksowanych narzędzi wymagało pewnych poświęceń.

Czy ostateczny sukces, prawdziwe imperium Queng Ho, warte było tej ceny? Czy mógł ją zapłacić?

Tak i jeszcze raz tak!

W tym tempie nigdy nie osiągnie stanu koniecznego do dostępu. Cofnął się, rozpoczął od nowa cały proces relaksacyjny. Pozwolił, by jego wyobraźnia sięgnęła do wspomnień. Jak to wyglądało na samym początku? Sura Vinh dostarczyła „Reprzyzę” i nadal bardzo naiwnego Phama Nuwena na księżycze-miasta Namaem...

Pozostał tam przez piętnaście lat. To były najszcześniejsze lata życia Phama Nuwena. Kuzyni Sury także przebywali wtedy w układzie Namaem - i zakochali się w pomysłach, które przedstawiali im Sura i jej młody barbarzyńca; metoda międzygwiazdnej synchronizacji, sprzedaż technologii bez szkody dla ich pozycji handlowej, spójna międzygwiazdna kultura handlowa. (Pham nauczył się już, że nie powinien mówić o planach sięgających poza ten punkt). Kuzyni Sury powrócili właśnie z jakichś bardzo zyskownych wypraw, lecz i oni widzieli ograniczenia wyizolowanego handlu. Pozostawieni sami sobie, zbiliby fortuny, nawet utrzymali je przez jakiś okres... w końcu jednak przepadliby w czasie i międzygwiazdnej ciemności. Naprawdę mieli ogromne uznanie dla wielu z planów Phama.

W pewnym sensie jego pobyt z Surą na Namaem przypominał ich pierwsze dni na „Repryzie”. To jednak ciągnęło się i ciągnęło bez końca, wspólne marzenia i radości. Pojawiły się też cuda, których jego twarda głowa, przeładowana wielkimi planami i zamierzeniami, nawet nie brała pod uwagę - dzieci. Nigdy nie wyobrażał sobie, jak różna może być rodzina od tego, co znał ze swego dzieciństwa. Ratko, Butra i Qo byli ich pierwszymi dziećmi. Mieszkał z nimi, uczył je, bawił się z nimi, pokazywał im cuda światowego parku Namaem. Pham kochał je znacznie mocniej niż siebie i niemal tak mocno jak Surę. Omal nie zrezygnował z Wielkiego Planu, by pozostać z nimi. Później jednak mógł to nadrobić, a Sura mu przebaczyła. Kiedy powrócił trzydzieści lat później, Sura czekała na niego z wieściami o pomyślnej realizacji innych części Planu. Wtedy ich pierwsze dzieci już same podróżowały po kosmosie i wносиły swój wkład w tworzenie nowego Queng Ho.

Pham dorobił się floty trzech okrętów. Spotykały go różne niepowodzenia i katastrofy. Doświadczył zdrady. Zamle Eng zostawił go niemal na pewną śmierć w obłoku komety Kielle. Spędził tam dwadzieścia lat, dorabiając się wielkiej fortuny od zera, byle tylko uciec z tego miejsca.

Sura poleciała z nim w kilka misji, założyli nowe rodziny na kilku światach. Minął wiek. Trzy. Protokoły misji, które opracowali na starej „Repryzie”, dobrze im służyły, od czasu do czasu spotykali się ze swoimi dziećmi i dziećmi dzieci. Niektóre z nich były lepszymi przyjaciółmi niż Ratko, Bura czy Qo, nigdy jednak nie kochał ich tak bardzo. Pham widział, jak powoli tworzy się nowa struktura. Na razie był to tylko handel, czasami wzmocniony więzami rodzinnymi. Wiedział, że kiedyś przerodzi się to w coś znacznie większego.

Najtrudniejszą rzeczą było zrozumienie, że będą potrzebowali kogoś w centrum, przynajmniej w pierwszych wiekach. Coraz częściej Sura pozostawała na planecie, koordynując przedsięwzięcia Phama i innych.

Mimo to nadal mieli dzieci. Sura rodziła nowych synów i córki, kiedy Pham był o lata świetlne od domu. Żartował z nią z tego cudu, choć w rzeczywistości bolało go, że Sura ma innych kochanków. Sura uśmiechnęła się łagodnie i pokręciła głową.

VERNOR VINGE

- Nie, Pham. Każde dziecko, które nazywam swoim, jest także twoje. - W jej oczach pojawił się chytry błysk. - Przez lata nappełniłeś mnie tak, że mogłabym urodzić ci całą armię. Nie mogę wykorzystać tego daru w całości, ale z pewnością będę go wykorzystywać.

- Tylko bez klonów - powiedział Pham ostrzej, niż zamierzał.
- Boże, nie... - Odwróciła wzrok. - Ja... jeden wystarczysz mi zupełności. - Może była równie przesadna jak on. A może nie. - Nie, używam naturalnych zygot. Nie zawsze jestem drugim dawcą albo jedynym dawcą. Medycy z Namąem są w tym bardzo dobrzy. - Odwróciła się i zobaczyła jego twarz. - Przysięgam, Pham, wszystkie twoje dzieci mają rodziny. Wszystkie są kochane... Potrzebujemy ich, Pham. Potrzebujemy rodzin i Wielkich Rodzin. Potrzebuje ich Plan. - Szturchnęła go żartobliwie, próbując przegnać wyraz dezaprobaty z jego twarzy. - Hej, Pham! Czyż to nie senne marzenie każdego barbarzyńskiego zdobywcy? Cóż, powiem ci, że przebiłeś ich wszystkich.

Tak. Tysiące dzieci z tysięcy partnerek, wychowanie i opieka bez żadnych kosztów z jego strony. Prowadząc kampanię królobójstwa i konkubinatu w krajach Północnego Wybrzeża, jego ojciec bezskutecznie próbował zrealizować podobny plan, tyle że na znacznie mniejszą skalę. Pham obywatel się bez morderstw, bez przemocy. A jednak... od jak dawna Sura uprawiała ten proceder? Ile dzieci i ilu „dawców”? Wyobrażał ją sobie teraz, jak planuje drzewa genealogiczne, umieszcza odpowiednie talenty w każdej z nowo utworzonych Rodzin, rozsiewa je po całym Queng Ho. Doznawał przedziwnych, sprzecznych uczuć, kiedy analizował tę sytuację. Jak powiedziała Sura, było to senne marzenie każdego barbarzyńcy... ale także i swego rodzaju gwałt.

- Powiedziałabym ci na samym początku, Pham. Ale bałam się, że będziesz przeciwny. A to jest takie ważne. -W końcu Pham zaakceptował ten pomysł. Rzeczywiście, ten pomysł był ważny dla realizacji Planu. Z bólem jednak myślał o wszystkich dzieciach, których nigdy nie będzie mu dane poznać.

Przemieszczając się z prędkością 0,3 c, Pham Nuwen podróżował daleko. Wszędzie byli Kupcy, choć ci, którzy żyli w odległości większej niż trzydzieści lat świetlnych od centrum, rzadko nazywali siebie Queng Ho. To nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że rozumieli Plan. Przekonani przez Phama nieśli jego idee coraz dalej. Gdziekolwiek poleciał - i dalej, bo niektórym Kupcom wystarczyły tylko informacje przekazane drogą radiową - rozprzestrzeniał ducha Queng Ho.

Pham zawsze powracał na Namąem, naginając Wielki Harmonogram niemal do granic możliwości. Sura się starzała. Miała teraz dwieście lub trzysta lat. Jej ciało nadal było jędrne i młode, lecz nieubłagane zbliżał się czas, kiedy nawet najbardziej zaawansowana medycyna nie utrzyma jej w tym stanie. Nawet niektóre spośród ich dzieci zdążyły się już zesta-

OTCHLAŃ W NIEBIE

rzyć, gdyż zbyt długo przebywały w portach pomiędzy kolejnymi podróżami. Czasami Pham dostrzegał w oczach Sury starczą mądrość.

Zawsze, gdy wracał na Namąem, zadawał jej to pytanie. Wreszcie pewnej nocy, gdy leżeli obok siebie nasytzeni po długim, rozkosznym akcie miłosnym, Pham wybuchnął gwałtownie:

- To nie tak miało wyglądać, Suro! Plan był dla nas obojga. Leć ze mną. Albo przynajmniej zacznij podróżować sama. - *A wtedy będziemy mogli się spotykać jeszcze przez wiele lat, do końca życia.*

Sura odchyliła się od niego i wsunęła dłoń za jego kark. Uśmiechała się smutno.

- Wiem. Myśleliśmy, że oboje będziemy mogli swobodnie podróżować. Zabawne, ale to największa pomyłka, jaką popełniliśmy w naszym oryginalnym Planie. Przynajmniej uczciwie; wiedziałeś, że jedno z nas musi zostać w jakimś centralnym miejscu, musi radzić sobie z Planem niemal przez jedną, nieprzerwaną wachtę. - Podbój wszechświata niósł ze sobą tryliony drobnych problemów, którymi musiał zajmować się ktoś aktywny.

- Tak, w pierwszych wiekach. Ale nie przez... nie przez całe twoje życie!

Sura pokręciła głową. Jej dłoń delikatnie gładziła go po karku.

- Niestety... myliliśmy się. - Dostrzegła ból i niepokój na jego twarzy, przyciągnęła go do siebie. - Mój biedny, barbarzyński książę. - Słyszała lekką ironię w jej głosie. - Stanowisz mój wyjątkowy, niepowtarzalny skarb. A wiesz dlaczego? Bo jesteś geniuszem. Jesteś opętany. Ale kocham cię z jeszcze innego powodu. W środku jesteś jedną wielką sprzecznością. Mały Pham dorastał na biednych przedmieściach piekła. Widziałeś zdradę i sam zostałeś zdradzony. Rozumiesz zło równie dobrze jak prawdziwy zbrodniarz. A mimo to mały Pham wierzy we wszystkie mity o rycerskości i honorze, mimo to poszukuje ideału. Gdzieś w twojej głowie te sprzeczności żyją obok siebie, a ty przez całe życie próbujesz je pogodzić, próbujesz dopasować do nich cały wszechświat. Będiesz bardzo bliski osiągnięcia tego celu, wystarczająco bliski dla mnie, dla każdego rozsądnego człowieka - ale może nie dość bliski, byś sam czuł się usatysfakcjonowany. Muszę tu zostać, jeśli nasz Plan ma się powieść. A ty, z tego samego powodu, musisz mnie opuścić. Niestety, dobrze o tym wiesz, prawda, Pham?

Pham spojrział na prawdziwe okna otaczające apartament Sury. Znajdowali się na szczycie ogromnego biurowca w kształcie wieży, wyrastającego z powierzchni największego księżycza Namąem. Nieruchomości na Tarelsku, szczególnie biurowce, osiągały niebotyczne wręcz ceny, co przy takiej mocy komunikacji sieciowej wydawało się zupełnie niezrozumiałe. Kiedy ta wieża po raz ostatni była wystawiona na sprzedaż, wartość rocznego wynajmu ostatniego piętra równała się cenie statku kosmicznego. Przez ostatnie siedemdziesiąt lat wieża wraz z przyległościami należała do rodzin Queng Ho, głównie potomków Phama i Sury. Była to najmniejsza część ich majątku, ukłon w stronę mody.

VERNORVINGE

Teraz zbliżał się właśnie wieczór. Sierp Namąem wisiał nisko na niebie; światła dzielnicy biznesowej Tarelska skutecznie rywalizowały z blaskiem ojczystego świata. Za Ksekundę na niebie miały się pojawić stocznie Vinh & Mamso. Były to prawdopodobnie największe stocznie w Ludzkiej Przestrzeni. Lecz nawet one stanowiły tylko drobną część majątku Rodzin. Za nią stało bogactwo całego Queng Ho, z każdym rokiem coraz większe, sięgające w coraz bardziej odległe zakątki Ludzkiej Przestrzeni. On i Sura założyli największą kulturę kupiecką wszech czasów. Tak widziała to Sura. To było wszystko, co kiedykolwiek widziała. To było wszystko, czego kiedykolwiek chciała. Sura nie przejmowała się tym, że nie dożyje ery ich ostatecznego sukcesu... bo uważała, że ten nigdy nie nadejdzie.

Pham powstrzymał więc łzy, które gromadziły się pod jego powiekami. Objął Surę, przyciągnął do siebie delikatnie i pocałował ją w szyję.

- Tak, wiem - powiedział wreszcie.

Pham opóźnił swój odlot z Namąem o dwa lata, o pięć. Został tak długo, że nie mógł już dotrzymać Wielkiego Harmonogramu. Odwołał kilka ważnych spotkań. Kolejne opóźnienie stanowiło zagrożenie dla całego Planu. Kiedy wreszcie opuścił Surę, coś w nim umarło. Przetrwiała ich przyjaźń, w pewnym abstrakcyjnym sensie przetrwała nawet ich miłość. Otworzyła się jednak między nimi przepaść czasu, a Pham wiedział, że już nigdy nie zdoła jej zasypać.

Nim Pham Nuwen przeżył sto lat, zwiedził już ponad trzydzieści układów słonecznych, sto kultur. Istnieli Kupcy, którzy widzieli więcej, ale nie było ich wielu. Z pewnością Sura, zajęta planowaniem na Namąem, nigdy nie obejrzała tego, co Pham. Sura miała tylko książki i opowieści, raporty z odległych miejsc.

Dla rozumnych cywilizacji, nawet tych podróżujących w kosmosie, nic nie trwało wiecznie. Z cudem graniczył fakt, że ludzka rasa przetrwała dość długo, by uciec z Ziemi. Każda inteligentna rasa mogła się unicestwić na wiele różnych sposobów. Pułapki i ucieczki, zarazy, katastrofy atmosferyczne, zderzenia - to były najprostsze niebezpieczeństwa. Ludzkość żyła dość długo, by zdać sobie sprawę z zagrożenia. Jednak nawet przy zachowaniu największych środków ostrożności każda cywilizacja techniczna nosi w sobie załazek własnej zagłady. Wcześniej czy później jej struktury kostnieją, a polityka doprowadza ją do upadku. Pham Nuwen urodził się na Canberze w mrokach średniowiecza. Teraz wiedział, że tamtejsza sytuacja wcale nie była najgorsza - w końcu rasa ludzka przetrwała, nawet jeśli straciła na jakiś czas rozwiniętą technikę. Podczas pierwszych stu lat swego życia Pham odwiedzał niektóre światy kilkakrotnie. Czasami pomiędzy poszczególnymi wizytami mijały całe stulecia. Widział więc, jak utopia Neumars staje się przeludnioną dyktaturą, jak oceaniczne miasta zamieniają się w slumsy dla miliardów. Siedem-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dziesiąt lat później powrócił do świata zamieszkanego przez kilkaset tysięcy ludzi, świata małych wiosek i dzikusów o pomalowanych twarzach, którzy znali wielką przeszłość swej planety tylko z żalobnych pieśni. Wyprawa zakończyłaby się całkowitym niepowodzeniem, gdyby nie pieśni Vilnios. Ale Neumarowie i tak mieli szczęście w porównaniu z martwymi światami. Stara Ziemia była czterokrotnie rekolonizowana od zera, nim zaczęła się diaspora.

Musiał istnieć jakiś lepszy sposób, a wizyta na każdym nowym świecie upewniała Phama, że on zna ten sposób. *Imperium*. Rząd tak wielki, że upadek całego układu słonecznego nie zachwiałby jego podstawami. Kultura handlowa Queng Ho stanowiła początek. Wkrótce miała zamienić się w imperium handlowe Queng Ho... a kiedyś w prawdziwe imperium. Queng Ho znajdowali się bowiem w wyjątkowej sytuacji. Każda cywilizacja Klientów u szczytu swej świetności rozwinięła niezwykle naukę - a czasami poprawiała nawet te rozwiązania, które do tej pory wydawały się najlepsze i niedoścignione. Zwykle te osiągnięcia ginęły wraz z cywilizacją. Jednak Queng Ho trwali wiecznie, gromadząc wszystko, co najlepsze. Dla Sury była to największa przewaga Queng Ho nad innymi kulturami handlowymi.

Dla Phama Nuwena było to coś więcej. *Dlaczego mamy sprzedawać wszystko, czego się nauczyliśmy? Owszem, możemy oddać cześć tej wiedzy. Tak między innymi zarabiamy na życie. Ale gromadźmy najwspanialsze osiągnięcia ludzkiego postępu - przechowujmy je dla dobra wszystkich.*

Stąd właśnie wzięły się lokalizatory Queng Ho. Pham wybrał się po nie do Trygve Ytre, najbardziej odległego od Namąem miejsca, jakie do tej pory odwiedził.

Słońce Trygve było jedną z tych małych, przyćmionych gwiazd M, rozbactwa tych części galaktyki, które nadawały się do kolonizacji. Na jedno słońce przypominające Słońce Starej Ziemi przypadały dziesiątki takich gwiazd - a większość miała planety. Miejsca te nie nadawały się raczej do zamieszkania, ekosfera gwiazdna była tak cienka, że cywilizacja bez wysoko rozwiniętej techniki nie przetrwałaby tam nawet kilku lat. W pierwszych tysiącletniach podboju kosmosu ludzkość ignorowała ten fakt i zasiedliła sporą liczbę podobnych światów. Naiwni, zbyt optymistyczni kolonizatorzy wierzyli, że ich technika będzie trwać wiecznie. A potem, po pierwszym Upadku, miliony ludzi zostały porzucone na światach lodu lub światach ognia, jeśli planeta znajdowała się po wewnętrznej stronie ekosfery gwiazdy.

Trygve Ytre stanowiła nieco bezpieczniejszy wariant, dość zresztą powszechny; gwieździe towarzyszyła planeta olbrzym, orbitująca nieco poza zasadniczą ekosferą. Planeta miała dwa księżyce, jeden wielkości Ziemi. Oba były zamieszkałe w czasie, gdy odwiedził je Pham. Lecz większy, Ytre, był prawdziwym klejnotem. Pływy i ciepło wydzielane przez Trygve rekompensowały niedostatki słońca. Ytre miał lądy, powietrze i płyn-

ne oceany. Ludzie z TrygveYtre przetrwali już co najmniej jeden upadek swej cywilizacji.

W tej chwili dysponowali techniką dorównującą największym osiągnięciom ludzkości. Mała flota Phama została ciepło przyjęta, znalazła przyzwoite stocznie w pasie asteroid odległym o miliard kilometrów od słońca. Pham zostawił załogi na pokładzie okrętów, sam zaś, korzystając z miejscowego transportu, udał się na Trygve i Ytre. Nie było to Namaem, ale ci ludzie widzieli już innych Kupców. Widzieli także okręty Phama i jego wstępną listę handlową... Większość oferowanych przez Phama towarów nie mogła mierzyć się z osiągnięciami mieszkańców Ytre.

Nuwen pozostał na Ytre przez jakiś czas, kilka tygodni, które miejscowi nazywali jednostkami. Jednostka taka trwała jakieś sześćset Ksekund, czyli tyle, ile zajmowało Ytre jedno okrążenie olbrzymia Trygve. Samo Trygve okrążyło słońce w czasie sześciu Msekund. Kalendarz mieszkańców Ytre składał się więc równo z dziesięciu tygodni.

Choć świat ten balansował pomiędzy ogniem i lodem, spora część Ytre nadawała się do zamieszkania.

- Nasz świat jest klimatycznie stabilniejszy niż Stara Ziemia - chępli się tubylcy. -Ytre leży głęboko w studni grawitacyjnej Trygve, nic nie zakłóca jej biegu.

Zabezpieczyli się też przed wszelkimi zagrożeniami. Słońce M3 miało niewiele ponad jeden stopień szerokości. Ktoś nierozsądny mógłby spojrzeć prosto na jego czerwony dysk, zobaczyć tam wirujące gazy, wielkie i ciemne plamy. Kilka sekund takiej obserwacji mogło spowodować poważne poparzenia, bo oczywiście gwiazda była znacznie jaśniejsza w podczerwieni niż w świetle widzialnym. Zalecane ochraniacze na oczy wyglądały jak zwykły, czysty plastik, ale Pham starał się ich nie używać bez wyraźnej potrzeby.

Jego gospodarze - grupa miejscowych przedsiębiorców - podejmowali go na własny koszt. Pham spędzał czas na nauce języka, starał się też znaleźć wśród swoich towarów coś, co mogło być wartościowe dla jego Klientów. Ci równie wytrwale dążyli do tego samego celu. Przypominało to szpiegostwo przemysłowe w odwróconej, karykaturalnej postaci. Elektronika mieszkańców Ytre była lepsza od wszystkiego, co dotąd widział Pham, choć Queng Ho mogliby im podsunąć kilka usprawnień w oprogramowaniu. Automatyka medyczna znajdowała się z kolei na nieco niższym poziomie; tu właśnie Pham upatrywał swojej szansy, punktu zaczepienia podczas dalszych negocjacji.

Pham i jego ludzie skatalogowali wszystkie korzyści, jakie może przynieść im to spotkanie. Zyski byłyby znacznie większe od kosztów podróży. Pham słyszał jednak pewne plotki. Jego gospodarze reprezentowali grupę - „kartel”, bo tylko tak dało się przetłumaczyć to słowo. Ukrywali przed sobą wiele rzeczy. Plotki mówiły o nowym typie lokalizatora, mniejszym od wszystkich, jakie skonstruowano do tej pory, i do tego niewymagają-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

cym wewnętrznego źródła zasilania. Wszystko, co dotyczyło lokalizatorów, zwłaszcza jakieś istotne usprawnienia, było zyskowym przedsięwzięciem; urządzenia te były spoiwem pozycyjnym, które czyniło wbudowane systemy tak potężnymi. Lecz te superlokalizatory zawierały podobno czujniki i efektory. Jeśli ta plotka miała potwierdzenie w rzeczywistości, mogła zaważyć na przyszłości całego Ytre, zdestabilizować jego system polityczny i militarny.

Pham Nuwen wiedział, jak zbierać informacje w społeczeństwie technicznym, nawet jeśli nie znał biegle języka tego społeczeństwa, i nawet jeśli pozostawał pod stałą obserwacją. W ciągu czterech tygodni dowiedział się, który kartel może być posiadaczem tego niezwykłego wynalazku. Znał nazwisko jego magnata: Gunnar Larson. Kartel Larsona nie wspominał o nowym lokalizatorze podczas negocjacji handlowych, a Pham nie chciał mówić o nim w obecności innych. Zaaranżował więc prywatne spotkanie sam na sam z Larsonem. Było to posunięcie, które zrozumieliby nawet wujkowie i ciotki Phama ze średniowiecznej Canberry, choć techniczne wybiegi konieczne do zorganizowania rozmowy pozostałyby dla nich czarną magią.

Sześć tygodni po lądowaniu na Ytre Pham Nuwen spacerował samotnie wzdłuż najmodniejszej otwartej ulicy w Dirby. Rozproszone chmury przypominały o niedawnym deszczu. Mieniły się odcieniami różu i szarości w przedwieczornym blasku. Słońce skryło się właśnie za Trygve. Łuk złota i czerwienią opasujący krawędź planety był jedynym widzialnym śladem słońca wchodzącego w fazę zaćmienia. Dysk olbrzymia zajmował dzieśnięć stopni nieba. Bezgłośnie błękitne błyskawice migotały w okolicy jego biegunów polarnych.

Powietrze było zimne i wilgotne, bryza niosła słodkie, naturalne zapachy. Pham szedł niespiesznym, lecz jednostajnym tempem, ciągnąc mocno za smycz, kiedy jego psy chciały przyjrzeć się bliżej czemuś z boku promenady. Rola, w którą się wcielił, wymagała, by spacerował powoli, napawał się widokami, kłaniał uprzejmie przechodniom ubranym podobnie do niego. Był po prostu bogatym mieszkańcem tej dzielnicy, który wybrał się na przechadzkę, by podziwiać wieczorne niebo i popisywać się swymi psami. Tak przynajmniej pouczał go człowiek, który wraz z nim aranżował spotkanie.

- Ochrona na Huskestrade jest bardzo czujna. Jeśli jednak nie będzie pan miał jakiegoś pretekstu, żeby tamtędy chodzić, policja może pana zatrzymać. Proszę zabrać ze sobą jakieś drogie psy. To wystarczający powód, by wyjść na spacer.

Pham spoglądał na osłonięte drzewami pałace stojące wzdłuż promenady. Dirby wyglądało na spokojne miejsce. Kręciło się tu sporo policji... gdyby jednak dość wielu ludzi chciało coś zmienić, wystarczyłaby jedna noc ognia i zamieszek. Kartele prowadziły twardą, handlową grę, ale ich cywilizacja przeżywała właśnie swój rozkwit, najszcześniejszy okres

rozwoju... Może słowo „kartel” nie było nawet właściwym określeniem. Niektórzy magnaci, wśród nich Gunnar Larson, pozwali na mędrców czerpiących pełnymi garściami ze skarbnicy starożytności. Larson był szefem, owszem, ale słowo określające jego pozycję znaczyło coś więcej. Pham znał termin „król filozof”. Ale Larsem był biznesmenem. Może jego tytuł znaczył „magnat filozof”. *Hmm...*

Pham dotarł do posiadłości Larsona. Skrecił w prywatną alejkę, która była niemal tak szeroka jak promenada. Obraz w jego wyświetlaczu przygasł, a potem zniknął zupełnie; po kilku kolejnych krokach miał już tylko naturalny widok. Pham był poirytowany, ale nie zaskoczony. Szedł dalej pewnym krokiem, jakby to miejsce należało do niego, pozwolił nawet psom załatwić się za dwumetrową rabatką z kwiatami. *Niech magnat filozof zrozumie mój głęboki szacunek dla całej tej tajemnicy.*

- Proszę za mną - odezwał się nagle głos za jego plecami. Pham stłumił nerwowy odruch, odwrócił się i skinął spokojnie głową. W czerwonym półmroku nie widział żadnej broni. Wysoko na niebie, dwa miliony kilometrów dalej, na powierzchni Trygve zamigotał łańcuch błękitnych błyskawic. Pham przyjrzał się uważniej swemu przewodnikowi i pozostałej trójce, ukrytej w ciemności. Nosili ubrania korporacji, nie mógł jednak nie zauważyć sztywnej, wojskowej postawy ani wyświetlaczy na ich oczach.

Pozwolił im zabrać psy. Właściwie zrobił to z ulgą. Cztery ogromne bestie o drapieżnym wyglądzie nie budziły jego zaufania. Choć nie sprawiały mu żadnych kłopotów, musiałby odbyć jeszcze wiele podobnych przechadzek, by zapałać do nich sympatią.

Pham i pozostali strażnicy przeszli jeszcze ponad sto metrów. Pham widział gałęzie kołysane delikatną bryzą, mech okrywający korzenie drzew. Zauważył już wcześniej, że im wyższą pozycję społeczną zajmował dany biznesmen, tym większym był miłośnikiem natury - i tym większą wagę przywiązywał do szczegółów. Bez wątpienia ta „leśna ścieżka” pielęgnowana była od wieków, by mogła upodobnić się do prawdziwego szlaku w dzikim terenie.

Ścieżka prowadziła na niewielkie wzgórze, gdzie nad strumykiem i niewielkim stawem znajdował się ogród. W czerwonym blasku widać było wyraźnie zarysy stołów i ludzkiej postaci, która podniosła się, by powitać Phama.

- Magnacie Larson. - Pham wykonał lekki ukłon, którym - jak zaobserwował - pozdrawiali się równi sobie. Larson oddał powitanie. Pham nie widział jego twarzy, był jednak przekonany, że magnat się uśmiecha.

- Kapitanie Nuwen... proszę usiąść.

W niektórych kulturach prawdziwy handel zaczyna się dopiero wtedy, gdy wszyscy są śmiertelni znudzeni rozmową o niczym. Pham nie przypuszczał, że spotka się z tym i tutaj. Miał wrócić do hotelu za dwadzieścia Ksekund - i dobrze byłoby dla nich obu, gdyby inni magnaci nie wie-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dzieli, gdzie poszedł i z kim rozmawiał. Lecz Gunnar Larson wcale się nie spieszył. Pham mógł przyjrzeć mu się w tych krótkich chwilach, gdy oblewał ich blask błyskawicy Trygve; wyglądał jak typowy mieszkaniec Ytre, ale był już bardzo stary - jego blond włosy wyraźnie się przeredziły, bladoróżową skórę przecinały liczne zmarszczki. Siedzieli w czerwonym półmroku przez ponad dwie Ksekundy. Starzec gawędził o historii Phama i przeszłości Trygve Ytre. *Cholera, może chce się odegrdć za te kwiatki.* A może była to jakaś niezbadana tajemnica Ytre. Pham mógł się tylko pocieszać faktem, że Larson mówi płynnym aminese, nie dzieliła ich więc przynajmniej bariera językowa.

Posiadłość Larsona była niesamowicie cicha. Miasto Dirby liczyło niemal milion mieszkańców i choć żaden z domów nie był szczególnie wysoki, zabudowa rozciągała się co najmniej na tysiąc metrów od zatłoczonej Huskestrade. Tutaj jednak najgłośniejszym dźwiękiem był głos Gun-nara Larsona i plusk małego wodospadu u podnóży pagórka. Oczy Phama przywykły już do półmroku. Widział odbicie Trygve w stawie. Dostrzegł zmarszczki na wodzie, kiedy jakieś wielkie, opancerzone stworzenie przepływało tuż pod jej powierzchnią. *Właściwie zaczyna mi się podobać cykl światła na Ytre.* Trzy tygodnie temu Pham był pewien, że taki czas nigdy nie nadejdzie. Noce i dni ciągnęły się w nieskończoność, ale zaćmienia przynosiły chwilową ulgę. Po jakimś czasie człowiek zaczynał nawet zapominać, że niemal wszystkie kolory są odcieniem czerwieni. Ten świat wydawał się wygodny i bezpieczny; jego mieszkańcy żyli w dobrobycie i pokoju niemal od tysiąca lat. Więc może jednak kryła się za tym jakaś mądrość...

Nagle, nie wypadając wcale z rytmu rozmowy o niczym, Larson spytał:

- Więc chciałby pan poznać sekret moich lokalizatorów?

Pham wiedział, że wyraz zdumienia pojawił się tylko w jego oczach.

- Po pierwsze chciałbym się dowiedzieć, czy coś takiego w ogóle istnieje. Plotki są zadziwiające... i mało konkretne.

Zęby starca błysnęły w uśmiechu.

- Och, istnieją, istnieją. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Pozwalają mi widzieć wszystko dokoła. Zmieniają tę ciemność w dzień.

- Rozumiem. - Starzec nie nosił wyświeclaczy. Czy widział sardoniczny grymas na twarzy Phama?

Larson roześmiał się cicho.

- O tak. - Dotknął skroni tuż za okiem. - Jeden znajduje się tutaj. Inne zestrzają się z nim i bardzo precyzyjnie stymulują mój nerw wzrokowy. Wymaga to długich ćwiczeń i doświadczenia. Jeśli jednak dysponuje się odpowiednią liczbą lokalizatorów Larsona, mogą udźwignąć ten ciężar. Mogą syntezować widok z dowolnie obranego przeze mnie kierunku. - Uczynił jakiś niewyraźny gest rękami. - Widzę pańską twarz wyraźniej niż w jasny dzień, panie Nuwen. A dzięki lokalizatorom, które

VERNOR VINGE

osiadły na pańskich rękach i szyi, mogą nawet zajrzeć do pańskiego wnętrza. Słyszę bicie pańskiego serca, pański oddech. Przy odrobinie koncentracji... - przechylił lekko głowę... - mogą nawet ocenić przepływ krwi w konkretnych obszarach pańskiego mózgu... Jest pan szczerze zdumiony, młody człowieku.

Pham zacisnął zęby, zły na samego siebie. Jego towarzysz spędził ponad Ksekundę, zestrzajając system wokół niego. Gdyby spotykali się w biurze magnata, z dala od ogrodu i tego cichego mroku, Pham miałby się bardziej na baczności. Wzruszył ramionami.

- Pańskie lokalizatory są zdecydowanie najbardziej interesującym elementem obecnego etapu rozwoju cywilizacji Ytre. Chętnie kupiłbym kilka próbek -y choć w tej chwili oczywiście bardziej interesują mnie parametry i podstawa oprogramowania.

- Dlaczego?

- To oczywiście i... niezwiązane z tematem. Ważne jest to, co mogą dać panu w zamian. Wasza medycyna stoi na znacznie niższym poziomie niż w Namaem czy Kielle.

Wydawało mu się, że Larson skinął głową.

- Jest gorsza niż przed Upadkiem. Nigdy nie odzyskałszy straconych starych sekretów.

- Nazwał mnie pan „młodym człowiekiem” - powiedział Pham. - A ile właściwie pan ma lat? Dziewięćdziesiąt? Sto? - Pham i jego ludzie przejrzeni uważnie się Ytre, oceniając poziom nauk medycznych tubylców.

- Dziewięćdziesiąt jeden, w waszych Msekundowych latach - odparł Larson.

- Widzi pan, ja przeżyłem sto dwadzieścia siedem lat. Nie liczę oczywiście hibernacji. - *I nadal wyglądam jak młody człowiek.*

Larson milczał przez dłuższą chwilę, a Pham był pewien, że zdobył właśnie ważny punkt. Może ci „magnaci filozofowie” nie byli jednak tacy nieodgadnieni.

- Tak, chciałbym znów być młody. Miliony ludzi wydałyby miliony na to samo. Co może dać mi wasza medycyna?

- Wiek lub dwa w takiej formie, w jakiej ja obecnie się znajduję. Kolejne dwa lub trzy wieki powolnego, lecz widocznego starzenia.

- Ach, to nawet odrobinę więcej, niż my potrafilibyśmy osiągnąć przed Upadkiem. Lecz bardzo starzy będą wyglądać i cierpieć tak samo jak zawsze. Istnieją wewnętrzne granice, których ludzkie ciało nie może przekroczyć.

Pham milczał uprzejmie, uśmiechał się jednak w duehu. Medycyna okazała się właściwym haczykiem. Dostanie lokalizatory w zamian za przyzwoitą naukę medyczną. Obie strony ogromnie na tym skorzystają. Magnat Larson przeżyje kilka dodatkowych stuleci. Jeśli dopisze mu szczęście, obecny cykl jego cywilizacji potrwa nieco dłużej. Lecz za ty-

OTCHLAŃ W NIEBIE

siąc lat, kiedy Larson obróci się już w proch, a jego cywilizacja upadnie - za tysiąc lat Pham i Queng Ho nadal będą podróżować między gwiazdami. I nadal będą mieć lokalizatory Larsona.

Larson wydawał z siebie dziwny, przytłumiony dźwięk. Po chwili Pham zrozumiał, że to kaszłący śmiech.

- Ach, proszę mi wybaczyć. Być może ma pan sto dwadzieścia siedem lat, ale w swym umyśle nadal jest pan młodym człowiekiem. Skrywa się pan za ciemnością i nieporuszoną twarzą - proszę się nie obrazić. Nie wyćwiczył pan jeszcze wszystkich odruchów. Dzięki moim lokalizatorom widzę pański puls i przepływ krwi w pańskim mózgu... Myśli pan, że kiedyś zatańczy na moim grobie, tak?

- Ja... - *Do diabła*. Ekspert korzystający z najlepszych czujników inwazyjnych nie mógł aż tak dalece poznać myśli drugiego człowieka. Larson po prostu zgadywał albo lokalizatory były jeszcze cenniejsze, niż Pham przypuszczał. Jego zdumienie i ostrożność zaprawione były gniewem. Larson kpił sobie z niego. Cóż, trzeba więc mówić prawdę:

- W pewnym sensie, tak. Jeśli dobijemy targu, będzie pan żył tyle samo lat co ja. Ale ja jestem Queng Ho. Przesypiam całe dziesięciolecia drogi między gwiazdami. Wasze cywilizacje to dla nas efemerydy. - *Proszę. To powinno podnieść ci ciśnienie.*

- Kapitanie, przypomina mi pan nieco Freda z tej sadzawki. Znow nie chciałbym pana obrazić. Fred to luksterfiske. - Mówił zapewne o stworzeniu, które Pham zauważył wcześniej przy wodospadzie. - Freda ciekawi wiele rzeczy. Przygląda się panu, odkąd pan tu przyszedł. Widzi pan, teraz siedzi na krawędzi stawu. Dwie opancerzone macki leżą w trawie jakieś trzy metry od pańskich stóp.

Pham drgnął zaskoczony. Myślał, że to jakieś kłaczka. Powiódł wzrokiem wzdłuż długich czulek, do samej wody... tak, teraz zauważył cztery czułki, dwie pary nieruchomych oczu. Błyszczały żółto w bladym świetle Trygve.

- Fred żyje już od bardzo dawna. Archeolodzy odnaleźli jego rodowód, to był mały eksperyment z miejscową fauną, przeprowadzony tuż przed Upadkiem. Był ulubieńcem jakiegoś bogacza, inteligencją dorównu je psu- Ale Fred jest bardzo stary. Przetrwiał Upadek. W tych stronach stał się czymś w rodzaju legendy. Ma pan rację, kapitanie, jeśli żyje się dość długo, można wiele zobaczyć. W średniowieczu Dirby przez jakiś czas było ruiną, potem stało się załóżkiem wielkiego królestwa - jego lordowie zgłębiali sekrety wcześniejszej epoki, oczywiście czerpiąc z tego ogromne zyski. Przez jakiś czas na tym wzgórzu stał senat tych władców. Podczas renesansu miejsce to zajmowały slumsy, a jezioro przy wzgórzu było otwartym ściekiem. Nawet ta nazwa, „Huskestrade”, obecnie najmodniejsze miejsce wśród wyższych klas Dirby - znaczyła kiedyś „Ulica ruder”.

Ale Fred przeżył to wszystko. Był legendą ścieków, jeszcze przed trzema wiekami ludzie nie wierzyli w jego istnienie. Teraz żyje z pełnymi ho-

VERNORVINGE

norami - w najczystszej wodzie. -W głosie starca pobrzmiwały czułe nuty. - Więc Fred żyje już bardzo długo i wiele widział. Nadal jest sprawny intelektualnie, na tyle, na ile może być luksterfiske. Proszę tylko spojrzeć na jego oczy. Lecz Fred wie znacznie mniej o świecie i własnej historii niż ja, który czytam o tej historii.

- Nie uznałbym tego za dobrą analogię. Fred jest tylko zwierzęciem.

- To prawda. Pan jest inteligentnym człowiekiem i podróżuje pan między gwiazdami. Przeżył pan ponad sto lat, ale te lata rozciągnięte są na przestrzeni równie długiej jak życie Freda. Czy rzeczywiście widział pan coś więcej? Cywilizacje powstają i giną, lecz wszystkie cywilizacje techniczne znają już największe sekrety. Wiedzą, które mechanizmy społeczne zazwyczaj działają, a które szybko się degenerują. Wiedzą, jak odsunąć katastrofę i jak uniknąć najgłupszych błędów. Zdają sobie też sprawę, że mimo to każda cywilizacja musi wcześniej czy później upaść. Urządzenia, które chce pan ode mnie kupić, nie istnieją być może w żadnej innej części Ludzkiej Przestrzeni, jestem jednak pewien, że równie dobry sprzęt został już kiedyś wynaleziony przez ludzi i że zostanie wynaleziony ponownie. To samo dotyczy technologii medycznych, które, jak pan słusznie zakłada, chcielibyśmy otrzymać w zamian. Ludzkość jako całość pozostaje w niezmiennym stanie, nawet jeśli powoli powiększa się obszar, który zamieszkujemy. Owszem, w porównaniu z panem jestem jak robak w lesie, żyję przez jeden dzień. Ale widzę tyle, co pan; żyję równie mocno jak pan. Mogę czytać książki historyczne i słuchać informacji radiowych, które wędrują między gwiazdami. Widzę wszystkie odmiany triumfu i barbarzyństwa, które dane jest widzieć wam, Queng Ho.

- My zbieramy najlepsze. Przy nas Queńg Ho nigdy nie umiera.

- Ciekaw jestem. Kiedy byłem młodym człowiekiem, na Trygve Ytre przyleciała inna flota handlowa. Byli zupełnie niepodobni do was. Inny język, inna kultura. Międzygwiazdni Kupcy to po prostu nisza, nie kultura. - Sura mówiła to samo. Tutaj, w tym starym ogrodzie, te ciche słowa wydawały się mieć większą wagę, niż gdy wypowiadała je Sura Vinh; głos Gunnara Larsona był niemal hipnotyczny. - Tamci Kupcy mieli też inne cele. Chcieli zbić majątek, by kiedyś osiedlić się gdzieś i założyć cywilizację planetarną.

- Wtedy nie byłiby już Kupcami.

- To prawda; być może byłiby kimś więcej. Odwiedził pan wiele układów planetarnych. Wiem, że spędził pan sporo lat na Namaem, był pan tam dość długo, by docenić cywilizację planetarną. My mamy kilkaset milionów ludzi żyjących w obrębie kilku sekund świetlnych. Miejskowa sieć Trygve Ytre daje niemal każdemu obywatelowi taki widok na Ludzką Przestrzeń, który wy możecie uzyskać dopiero po przybyciu do jakiegoś portu... Pańskie życie pośród gwiazd to nic innego jak Rurytania Umysłu.

Pham nie rozpoznał tego porównania, zrozumiał jednak sens całej wypowiedzi.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Magnacie Larson, zastanawiam się, dlaczego w ogóle chce pan żyć długo. Zrozumiał pan już wszystko - wszechświat wolny od postępu, gdzie wszystko umiera i niczego nie da się zatrzymać. - Pham po części ironi zował, po części był naprawdę zdumiony. Gunnar Larson miał otwarte okna, ale widok był ponury.

Ledwie słyszalne westchnienie.

- Nie czytasz zbyt wiele, prawda, synu?

Dziwne. Pham miał wrażenie, że Larson już nie próbuje go wybadać. W jego głosie pojawiło się coś na kształt smutnego rozbawienia.

- Czytam wystarczająco dużo. - Sura narzekwała nawet, że Pham spędza zbyt wiele czasu na studiowaniu podręczników. Pham zaczął jednak późno i przez całe życie starał się nadrobić zaległości. No i co z tego, że jego edukacja była nieco wypaczona?

- Pyta pan, jaki jest właściwie sens tego wszystkiego, Cóż, każdy musi wybrać własną drogę w tej kwestii, znaleźć własne odpowiedzi. Różne ścieżki mają swoje zalety i wady, korzyści i zagrożenia. Lecz dla własnego, ludzkiego dobra... powinien pan to rozważyć: Każda cywilizacja ma swój czas. Każda nauka ma swe ograniczenia. I każdy z nas musi umrzeć, przeżywszy mniej niż pół tysiąca lat. Jeśli naprawdę rozumie pan te ograniczenia... wtedy gotów jest pan do rozwoju, do zrozumienia tego, co naprawdę się liczy. - Milczał przez chwilę. - Tak... proszę tylko wsłuchać się w spokój. Taka umiejętność to prawdziwy dar. Zbyt dużo czasu spędzamy w szalonym pośpiechu. Proszę posłuchać wiatru w lestras. Spojrzeć na Freda, który wciąż nie może nam się nadziwić. Posłuchać śmiechu swoich dzieci i wnuków. Trzeba cieszyć się danym nam czasem, bez względu na to, jak go otrzymaliśmy i na jak długo.

Larson odchylił się na oparcie swego krzesła. Wpatrywał się w bezgwiazdną ciemność, środek dysku Trygve. Łuk czerwonego światła obejmował już cały krąg planety jednolitym, bladym pierścieniem. Błyskawice dawno już zniknęły; Pham przypuszczał, że można je zobaczyć tylko przy odpowiednim ustawieniu Ytre względem macierzystej planety.

- Przykład, kapitanie Nuwen. Proszę rozsiąść się wygodnie i popa trzeć; czasami, w samym środku zaćmienia, dane nam jest ujrzeć coś nie zwykle pięknego. Proszę obserwować środek dysku Trygve. - Mijały sekundy. Pham siedział z zadartą głową. Niższe szerokości Trygve były zazwyczaj ciemne... lecz teraz pojawił się tam czerwony blask, tak słaby, że Pham wziął go początkowo za złudzenie optyczne. Światło przybierało powoli na sile, było głęboko czerwone, niczym ostrze miecza zbyt jeszcze zimne, by bić w nie młotem. Tu i ówdzie przecinały je pasma ciemności.

- Światło pochodzi z wnętrza samego Trygve. Wie pan, że ta planeta nas ogrzewa. Czasami, kiedy doliny między chmurami ustawione są pod odpowiednim kątem, a w górnej warstwie nie szaleją burze, mamy bar dzo dobry widok - możemy zobaczyć ten blask gołym okiem. - Światło stało się jeszcze jaśniejsze. Pham rozejrzał się po ogrodzie. Wszystko po-

VERNOR VINGE

krywały różne odcienie czerwieni, ale teraz widział więcej niż w blasku błyskawic. Wysokie drzewa nad stawem stanowiły część wodospadu, tworzyły dodatkowe wiry i sadzawki. Między ich gałęziami przelatowały chmury jakichś ptaków, po chwili zaczęły śpiewać. Fred wyszedł ze stawu. Przystał na swych rozlicznych odnóżach i płetwach i wzniosł krótsze czułki ku rozpalonemu niebu.

Patrzyli w milczeniu. Pham obserwował Trygve podczas podróży z asteroid, a to, co widział teraz, nie zaskoczyło go. Cały ten spektakl był wynikiem odpowiedniego ułożenia ciał niebieskich* zbiegiem okoliczności. A jednak... nie dziwił się, że ktoś przywiązany do jednego miejsca może wpadać w zachwyty, gdy wszechświat odsłoni przed nim jedną ze swych tajemnic. To zabawne, ale sam czuł w tej chwili dziwne uniesienie.

Po chwili serce Trygve znów okryło się ciemnością, a śpiew w drzewach umilkł; całe przedstawienie trwało nie dłużej niż sto sekund.

To Larson przerwał w końcu milczenie.

- Jestem pewien, że możemy dobić targu, mój młody-stary człowieku. W pewnej mierze, a nie chciałbym ujawniać jakiej, zależy nam na waszej technologii medycznej. Mimo to byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan odpowiedzieć na moje pierwsze pytanie. Co zrobicie z Iokalizatorami Larsona? Te urządzenia to marzenie każdego szpiega. Nadużywane, mogą prowadzić do wszechobecnego terroru i szybkiego końca cywilizacji. Komu je sprzedacie?

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Pham odpowiedział mu szczerze. Kiedy wschodnia krawędź Trygve powoli jaśniała, Pham przedstawił swoją wizję imperium całej ludzkości. Było to coś, czego nigdy nie wyjawiał zwykłemu Klientowi, coś, o czym mówił tylko tym nielicznym Queng Ho, którzy wydawali mu się dość inteligentni i elastyczni. Mimo to większość nie potrafiła zaakceptować całego planu. Podobnie jak Sura odrzucali rzeczywisty i ostateczny cel Phama, gotowi jednak czerpać korzyści z oryginalnej kultury Queng Ho...

- Zatrzymamy lokalizatory dla siebie. Zrezygnujemy z ogromnych zysków, musimy mieć jednak pewną przewagę nad cywilizacjami Klientów. Wspólny język, zsynchronizowane plany podróży, publiczne bazy danych - wszystkie te rzeczy dadzą nam spójną kulturę. Lecz sekrety takie jak te lokalizatory zabiorą nas o krok dalej. W końcu nie będziemy tylko przypadkowymi mieszkańcami „niszy handlowej”, staniami się trwałą kulturą ludzkości.

Larson milczał przez dłuższy czas.

- Masz wspaniałe marzenia, synu - przemówił wreszcie poważnym, pozbawionym cienia ironii głosem. - Liga ludzkości, która złamałaby wreszcie koło czasu. Przykro mi, ale nie wierzę, byśmy kiedykolwiek do tarli na szczyt tych marzeń. Lecz ich podnóża, niższe zbocza... są czymś cudownym i być może osiągalnym. Jasne czasy mogłyby okazać się jaśniejsze i zapewne trwałyby dłużej...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Larson był niezwykle ciekawym człowiekiem, choć Klientem. Lecz z jakiegoś niezrozumiałego powodu był tak samo zaślepiony jak Sura Vinh. Pham opadł bezwładnie na oparcie miękkiej drewnianej ławki. Po chwili Larson przemówił ponownie:

- Jest pan rozczarowany. Szanuje mnie pan i miał pan nadzieję na coś więcej. Ma pan słuszość w wielu, bardzo wielu sprawach, kapitanie. Widzi pan zadziwiająco wyraźnie jak na kogoś z ... Rurytanii. - W jego głosie kryła się dobroć. - Wie pan, mój ród liczy sobie dwa tysiące lat. W oczach Kupca to ledwie chwila, lecz tylko dlatego, że Kupcy spędzają większość czasu w uśpieniu. Poza wiedzą, którą zgromadziliśmy bezpośrednio, ja i ci przede mną, czytaliśmy o innych miejscach i czasach, o setkach światów, tysiącach cywilizacji. Niektóre z pańskich idei mogą się ziścić. Niektóre niosą więcej nadziei niż cokolwiek od czasów Epoki Niepełnionych Marzeń. Myślę, że mam kilka pomysłów, które mogłyby okazać się pomocne...

Rozmawiali przez całą resztę zaćmienia, kiedy dysk słońca wynurzył się znad wschodniej krawędzi Trygve i wspiął wysoko na nieboskłon. Niebo ponownie pokryło się błękitem. A oni nadal rozmawiali. Teraz to Gunnar Larson miał najwięcej do powiedzenia. Próbował wyrażać się jasno i treściwie, a Pham notował w pamięci wszystkie jego słowa. Może jednak aminese nie był tak doskonałym językiem, jak wydawało mu się wcześniej; Pham nigdy nie zrozumiał wielu rzeczy, o których mówił Larson.

Po drodze dobili targu i ustalili warunki wymiany lokalizatorów Larsona na technologię medyczną Queng Ho. Do listy nabytków dołączyły jeszcze inne - na przykład grupa stworzeń, które śpiewały podczas zaćmienia - ogólnie jednak wszystko odbyło się wyjątkowo sprawnie. Obie strony czerpały z tego tak wielkie korzyści... Phama przytłoczyły inne rzeczy, które miał mu do powiedzenia Gunnar Larson, rady, które mogły okazać się bezwartościowe, lecz niosły ziarno prawdziwej mądrości.

Podróż do Trygve Ytre była jedną z najbardziej zyskownych w handlowej karierze Phama, lecz to rozmowa z Gunnarem Larsonem, biznesmenem i filozofem, najmocniej utkwiła mu w pamięci. Później był pewien, że Larson odurzył go jakimiś psychoaktywnymi środkami; inaczej Pham nigdy nie poddawałby się tak łatwo jego sugestiom. Ale... może to było nieistotne. Gunnar Larson miał dobre pomysły - przynajmniej te, które zrozumiał Pham. Tamten ogród i wypełniająca go atmosfera spokoju, wyciszenia to było coś potężnego i znaczącego. Wracając z Trygve Ytre, Pham pojął, że ten spokój pochodził z żywego ogrodu, zrozumiał też moc, jaką krył w sobie choćby pozór mądrości. Można było połączyć te dwie wartości. Żywe materiały zawsze stanowiły ważną pozycję handlową... teraz jednak miały stać się czymś więcej. Etyka żywych istot miała znaleźć się w sercu nowego Queng Ho. Każdy okręt, który umie utrzymać park, powinien taki mieć. Queng Ho powinni gromadzić najlepsze z żywych rze-

VERNOR VINGE

czy równie skrupulatnie i zapamiętałe jak najlepszą technologię. Ta rada starca z Ytre była całkowicie zrozumiała. Dzięki temu Queng Ho mieli zyskać reputację miłośników natury, jej strażników i opiekunów.

Tak właśnie narodziła się tradycja parków i bonsai. Założenie i utrzymanie parków było bardzo kosztowne, lecz w ciągu tysiącleci, jakie minęły od wizyty Phama na Trygve Ytre, to właśnie ten element kultury Queng Ho zdobył sobie największą i najgłębszą miłość Kupców.

A Trygve Ytre i Gunnar Larson? Larson nie żył już od tysiącleci. Cywilizacja Ytre przeżyła go zaledwie o kilkadziesiąt lat. Ytre zamienił się w jedno wielkie państwo policyjne, wszechobecny terror doprowadził w końcu do chaosu i zniszczenia. Najprawdopodobniej to właśnie lokalizatory Larsona przyspieszyły ten proces. Cała jego mądrość i przenikliwość nie pomogły zbyt wiele jego światu.

Pham zmienił nieco swoją pozycję w hamaku. Myśli o Ytre i Larso-nie zawsze wprawiały go w dziwny nastrój. To był zawsze stracony czas... prócz dzisiejszego wieczoru. Dzisiaj potrzebował właśnie atmosfery tamtego spotkania. Potrzebował kinestetycznej pamięci zarządzania lokalizatorami. W jego pokoju z pewnością było ich już co najmniej kilkadziesiąt. Jak wyglądał ruch i stan ciała, który pozwoliłby mu kontaktować się z nimi? Pham ukrył ręce pod nakryciem. Zaciśnął dłonie w pięści i naciskał palcami niewidzialne klawisze. Oczywiście to byłoby zbyt proste. To nie mogło zadziałać w ten sposób. Pham westchnął, ponownie zmienił rytm oddechu i puls... i poczuł ten sam podziw i zdumienie, które towarzyszyły mu przy pierwszych ćwiczeniach z lokalizatorami Larsona,

Blade niebieskie światło, bardziej niebieskie niż błękitne, błysnęło raz na skraju jego pola widzenia. Pham uchylił lekko powieki. W pokoju panowała ciemność. Światło wydobywające się z nocnego pulpitu było zbyt słabe, by odsłonić barwy. Jego hamak dryfował powoli w delikatnym podmuchu wentylatora. Błękitne światło nie pochodziło z żadnego zewnętrznego źródła, lecz z wnętrza jego nerwu wzrokowego. Pham opuścił powieki, skoncentrował się ponownie na oddechu. Po chwili znów ujrzał błękitne, migotliwe światło. Był to efekt zsyntetyzowanego promienia układu lokalizatorów prowadzonego od tych, które umieścił na skroni i w uchu. Na razie komunikacja ta nie ukazywała mu niczego prócz migocących iskerek. System był tak zaprogramowany, by nie miały doń dostępu osoby niepowołane, bez odpowiedniego przygotowania. Tym razem Pham trzymał oczy zamknięte, nie zmienił rytmu oddechu ani pulsu. Złożył dwa palce i przycisnął je do dłoni. Minęła sekunda. Światło znów rozbłysło, reagując na jego ruch. Pham zakasłał, odczekał moment, poruszył ręką. Błękitne światło zamigotało: raz, dwa, trzy... był to ciąg impulsów odliczających w systemie dwójkowym. Odpowiedział tym .samym, wykorzystując kody, które ustalił wiele lat temu.

Przeszedł przez kod wprowadzający. Był w środku! Światła, które migotały pod jego powiekami, nie tworzyły na razie żadnej spójnej całości.

Potrzebował jeszcze wielu Ksekund, by ustawić tak precyzyjny obraz, jaki mogła mu zapewnić sieć lokalizatorów. Nerw wzrokowy był po prostu zbyt duży, zbyt skomplikowany, by natychmiast przedstawić mu czysty, wyraźny widok. Nieważne. Liczyło się tylko to, że miał kontakt z siecią. Lokalizatory ustaliły już jego parametry fizyczne; mógł komunikować się z nimi na wiele sposobów. Pozostały mu jeszcze prawie trzy Msekundy obecnej wachty. Miał dość czasu, by zrobić to, co konieczne, wejść do sieci floty i stworzyć sobie nowy kamuflaż. Cóż by to mogło być? Coś wstydliwego, tak. Jakiś haniebny powód, dla którego Pham Trinli musiał przez wszystkie te lata odgrywać bufona. Historia, do której mogliby się odnieść Nau i Brughel i którą mogliby go szantażować. Co?

Pham czuł, jak chytry uśmieszek pojawia mu się na twarzy. *Zamle Eng, niech twoja podła dusza handlarza niewolników gnije po wsze czasy w piekle. Wyrządziłeś mi wiele krzywd. Może choć po śmierci przydasz mi się do czegoś.*

DWADZIEŚCIA TRZY

„Dziesięć godzin nauki”. Taka niewinna nazwa. Ezr powrócił po długiej przerwie do służby, by zrozumieć, że ten program stał się jego osobistym koszmarem. *Qivi obiecała; jak mogła do tego dopuścić?* Lecz każde kolejne przedstawienie było jeszcze gorsze od poprzedniego.

A dzisiejsze mogło stać się najgorszym. Przy odrobinie szczęścia mogło stać się także ostatnim.

Ezr wleciał do saloniku Benny'ego tysiąc sekund przed rozpoczęciem programu. Aż do ostatniej chwili zamierzał oglądać go ze swego pokoju, masochizm wygrał jednak kolejną rundę. Usiadł w tłumie i przysłuchiwał się rozmowom.

Salonik Benny'ego stał się centralnym miejscem spotkań na LI. Mięło już szesnaście lat od jego powstania. Benny spędzał na służbie dwadzieścia pięć procent obiektywnego czasu; prowadził salon na zmianę z Gonie Fong i innymi. Stara tapeta zniszczyła się już w kilku miejscach, trójwymiarowy widok stracił nieco ze swej iluzoryczności. Wszystko było tutaj nieoficjalne, albo sprowadzone z innych miejsc stacji, albo wyprodukowane z diamentu, lodu i śniegu powietrznego. Ali Lin stworzył nawet grzybnię, która pozwalała na wyhodowanie niemal doskonałego drewna ze słojami. Podczas długiej nieobecności Ezra bar i ściany zostały wyłożone ciemnym, wypolerowanym drewnem. Było to miłe i przytulne miejsce, czasami pozwalało nawet zapomnieć na chwilę, że nie stworzyli go wolni Queńg Ho...

Stoliki w saloniku pokrywały nazwiska ludzi, którzy mogli rozmijać się przez lata, pozostając na służbie podczas naprzemiennych wacht. Nad barem wisiała stale uaktualniana tabela wacht. Emergenci używali stan-

VERNOR VINGE

dardowej notacji Queng Ho. Wystarczyło jedno spojrzenie na tabelę, by zorientować się, ile Msekund — obiektywnych lub. osobistych - zostało jeszcze do spotkania z daną osobą. *

Podczas nieobecności Ezra Benny dołożył do tabeli nowy element - aktualną datę Pająków, według notacji Trixii; 60//21. Dwudziesty pierwszy rok obecnego pokolenia Pająków, czyli sześćdziesiątego cyklu słonecznego od czasów założenia jakiejś tam dynastii. Stare przysłowie Queng Ho mówiło: „Jeśli zaczynasz używać kalendarza tubylców, to znak, że jesteś tam już zbyt długo”. 60//21. Dwadzieścia jeden lat od Wybuchu, od śmierci Jimmy'ego i pozostałych. Po cyfrach oznaczających pokolenie i rok następował numer kolejnego dnia i aktualny czas w ladillskich „godzinach” i „minutach”, systemie, którego tłumacze do tej pory nie usprawnili. Teraz wszyscy przychodzący do baru mogli odczytywać te informacje równie łatwo jak czasomierz Queng Ho. Wiedzieli co do sekundy, kiedy zaczną się przedstawienie Trixii.

Przedstawienie Trixii. Ezer zgrzytnął zębami. Przedstawienie odgrywane przez niewolników; a najgorszy był fakt, że nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. *Powoli, kawałek po kawałku, upodobniamy się do Emergentów.*

Jau Xin, Rita Liao i kilka innych par - wśród nich czworo Queng Ho - siedziało przy swych ulubionych stolikach, gawędząc o tym, co może się wydarzyć podczas dzisiejszej audycji. Ezer siedział z boku grupy, zafascynowany i zde gustowany jednocześnie. Teraz już nawet niektórzy z Emergentów byli jego przyjaciółmi. Jau Xin, na przykład. Xin i Liao byli ślepi na wiele problemów moralnych, jak typowi Emergenci, mieli jednak także wzruszające, ludzkie problemy. A czasami, kiedy nikt inny nie mógł tego dostrzec, Ezer widział coś w oczach Xina. Jau był bystry, miał naturę naukowca. Gdyby nie dopisało mu szczęście w emergenckiej loterii, zakończyłby swą uniwersytecką karierę jako fiksat. Większość nie przejmowała się takimi dylematami moralnymi; Jau tego nie potrafił.

- ...obawiam się, że to będzie już ostatnie przedstawienie. - Rita Liao wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Nie przejmuj się tak, Rito. Nie wiemy nawet, czy to jakiś poważny problem.

- To pewne. - Gonie Fong nadleciała z góry, głową w dół. Rozdała wszystkim bańki z piwem i napojami. - Myślę, że twarogłowi... - spojrziała przeproszająco na Ezra - ...że tłumacze w końcu się w tym pogubili. Nawet zapowiedzi tej audycji nie mają sensu.

- Ależ skąd. Są całkiem jednoznaczne. - To jeden z Emergentów, który w całkiem rozsądny sposób próbował wytłumaczyć, co znaczy określenie „perwersja spoza fazy”. Problem nie leżał tutaj w tłumaczeniu, lecz w ludzkiej niezdolności do akceptacji czegoś zupełnie Odmiennego.

„Dziecięca godzina nauki” była jedną z pierwszych audycji radiowych, jakie przetłumaczyła Trixia i inni. Samo dopasowanie głosu do prze-

OTCHLAŃ W NIEBIE

łożonych wcześniej form pisanych było ogromnym triumfem. Pierwsze audycje - nadane piętnaście obiektywnych lat wcześniej - tłumaczone były tylko na piśmie. Dyskutowano nad nimi w saloniku Benny'ego z tym samym abstrakcyjnym zainteresowaniem, z jakim traktowano najnowsze teorie twardegłowych o pochodzeniu i naturze gwiazdy OnOff. W miarę upływu lat audycja zyskiwała coraz większą popularność. Świetnie. Tyle że gdzieś podczas ostatnich pięćdziesięciu Msekund Qiwi Lin zawarła umowę z Trudem Silipanem. Co dziewięć lub dziesięć dni Trixia i inni wystawiani byli na widok publiczny i odgrywali przedstawienie na żywo. Podczas obecnej wachty Ezr nie zamienił z Qiwi więcej niż dziesięć słów. *Obiecała, że będzie opiekować się Tixią. Co można powiedzieć komuś, kto nie dotrzymuje takiej obietnicy?* Nawet teraz jednak nie wierzył, że Qiwi jest zdrajczynią. Ale sypiała z Tomaszem Nau. Może wykorzystywała tę pozycję, by bronić interesów Queng Ho. Może. Na razie jednak wydawało się, że to Nau czerpie z tego najwięcej korzyści.

Ezr widział do tej pory cztery „spektakle”. Każdy z fiksatów angażował w tę interpretację taki ładunek emocji, na jaki nie zdobyłby się żaden zwykły tłumacz ani żaden sztuczny system.

Zdaniem twardegłowych gospodarz programu nazywał się Rappa-port Digby. „Skąd oni biorą te dziwaczne nazwiska?” - pytali wciąż ludzie. Ezr wiedział, że większość pochodzi od Trixii. Była to jedna z niewielu rzeczy, o których mógł naprawdę porozmawiać z Trixią, tu wreszcie przydawała mu się jego znajomość Pierwszego Klasycyzmu. Czasami Tri-xia prosiła go o nowe słowa. Właściwie to Ezr zaproponował nazwisko „Digby”, wiele lat temu. Trixia uznała, że pasuje do czegoś, co widziała w charakterze tego konkretnego Pajaka. Ezr znał tłumacza, który grał Rappaporta Digby. Poza przedstawieniem Zinmin Broute był typowym twardegłowym, zafiksowanym, niekomunikatywnym, łatwo popadającym w ałość. Teraz jednak, kiedy pojawił się jako Pajak Rappaport Digby, był miły i rozmowny, cierpliwie wyjaśniał dzieciom jakieś problemy naukowe... Wyglądało to tak, jakby ciało zombi zostało na chwilę ożywione przez duszę innego człowieka.

Każda nowa wachta widziała dzieci Pajaków nieco inaczej. W końcu większość pracowała w dwudziestopięcioprocentowym cyklułha rok życia każdego z członków załogi przypadają cztery lata czasu obiektywnego - życia Pajaków. Rita z grupą przyjaciół próbowała dopasować do głosów wizerunki ludzkich dzieci. Ich zdjęcia rozsiane były po całej wi-deotapecie w saloniku. Obrazy wyimaginowanych ludzkich dzieci, z imionami wybranymi przez Trixię. „Jirlib” był niski, miał rozczochrane włosy i łobuzerski uśmiech na twarzy. „Brent” był większy, wydawał się jednak spokojniejszy i skromniejszy od swego brata. Benny powiedział Ezro-wi, że Ritser Brughel zamienił kiedyś uśmiechnięte twarze na podobizny prawdziwych Pajaków; niskich, przeraźliwie chudych, opancerzonych -tak właśnie wyglądali mieszkańcy Arachny na pomniku, który Ezr wi-

dział podczas rekonesansu w dolinie, i na zdjęciach wykonanych z satelitów szpiegowskich.

Ten wybryk niczego jednak nie zmienił; Brughel nie rozumiał, co kryje się za tak dużą popularnością „Dziecięcej godziny nauki”. Tomas Nau z pewnością rozumiał i był zadowolony, że klienci saloniku Benny’ego mogą w ten sposób poznawać największy czysto ludzki problem, jaki stał przed jego małym królestwem. Nawet bardziej niż członkowie ekspedycji Queng Ho, Emergenci pragnęli życia w luksusie. Spodziewali się, że znajdują w układzie OnOff niewyczerpane zasoby, że małżeństwa zawarte i zaplanowane w domu doczekają się tutaj dzieci i rodzin...

Teraz wszystko to zostało przesunięte w bliżej nieokreśloną przyszłość. *Nasze pozafazowe tabu*. Pary takie jak Xin i Liao miały teraz tylko marzenie o przyszłości - i dziecięce słowa i myśli zawarte w tłumaczeniu „Dziecięcej godziny nauki”.

Nim jeszcze rozpoczęły się te spektakle na żywo, ludzie zauważyli, że wszystkie dzieci Pająków są w tym samym wieku. Mijał rok za rokiem, kiedy jednak do programu trafiały nowe dzieci, były w tym samym wieku co ich poprzednicy. Najwcześniejsze przekłady dotyczyły magnetyzmu i elektryczności statycznej, pomijały przy tym zupełnie matematyczną stronę zagadnienia. Dopiero późniejsze lekcje wprowadziły analizę i metody ilościowe.

Jakieś dwa lata temu w programie zaszła subtelna zmiana, o której wspomnieli w swych pisemnych raportach wszyscy fiksaci i którą natychmiast instynktownie wyczuli Jau Xin i Rita Liao: prowadzącymi zostali „Jirlib” i „Brent”. Przedstawiono ich jak wszystkie inne dzieci, lecz według przekładu Trixie byli młodszy od pozostałych. Gospodarz Digby nigdy nie wspomniął o tej różnicy, a matematyka i inne nauki wykładane w programie wkraczały na coraz wyższe poziomy zaawansowania.

„Victory Junior” i „Gokna” dołączyły do programu całkiem niedawno, już podczas obecnej wachty. Ezr widział, jak przedstawia je Trixia. Czasami podnosiła głos jak zniecierpliwione dziecko, niekiedy zaś dusiła się od tłumionego śmiechu. Obrazy Rity ukazywały tę dwójkę jako roześmiane siedmiolatki. Wszystko to wydawało się Ezrowi podejrzane, jakby przygotowane na ich zamówienie. Dlaczego przeciętny wiek dzieci w programie miałyby się obniżać? Benny uważał, że powód jest oczywisty. Zmieniło się po prostu kierownictwo „Dziecięcej godziny nauki”. Pisanie nowych lekcji powierzono wszechobecnemu Sherkanerowi Underhillowi, który najwyraźniej był ojcem wszystkich nowych dzieci w audycji.

Kiedy Ezr powrócił na służbę, przedstawienie stało się już tak popularne, że salonik Benny’ego z trudem mieścił wszystkich chętnych. Ezr widział dotąd cztery spektakle, a każdy był dla niego prawdziwym koszmarem. A potem - przerwa. „Dziecięca godzina nauki” nie była nadawana już od dwudziestu dni. Zamiast niej na antenie pojawiał się surowy komunikat: „Po licznych interwencjach słuchaczy właściciele tej stacji

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nadawczej uznali, że rodzina Sherkanera Underhilla praktykuje pozafazową perwersję. Kierownictwo stacji postanowiło jednocześnie, że do czasu podjęcia ostatecznych decyzji w tej kwestii emisja «Dziecięcej godziny nauki» zostaje wstrzymana». Broute odczytywał to oświadczenie głosem zupełnie niepodobnym do głosu Rappaporta Digby. Ten był zimny i odległy, pełen oburzenia.

Choć raz Arachna stała się na powrót obcym, zupełnie im nieznanym światem. Tradycja Pająków pozwalała rodić dzieci tylko na początku Nowego Słońca. Kolejne pokolenie były od siebie wyraźnie oddzielone, każde maszerowało przez życie w tej samej grupie wiekowej. Ludzie mogli się tylko domyślać, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy, najwyraźniej jednak „Dziecięca godzina nauki” była przykrywką dla poważnego naruszenia tego tabu. Audycja nie pojawiła się o ustalonej porze po raz pierwszy, potem po raz drugi. W saloniku Benny'ego panowało ogólne przygnębienie, pojawiało się w nim coraz mniej ludzi; Rita zaczęła przebąkiwać coś o usunięciu głupawych obrazków. A Ezr zaczął ludzić się nadzieją, że będzie to koniec cyrku.

Liczył jednak na zbyt wiele. Cztery dni temu salonik znów wypełnił się radosnym tłumem, choć tajemnica nie została jeszcze ostatecznie rozwiązana. Wszystkie stacje radiowe w „Akord” podały, że rzecznik Kościoła Ciemności spotka się z Sherkanerem Underhillem i odbędzie z nim publiczną debatę na temat „przyzwoitości” jego programu radiowego. Trud Silipan obiecał, że twarogłowi będą gotowi do przetłumaczenia audycji w tym nowym formacie.

Teraz zegar Benny'ego odliczał sekundy do tego specjalnego wydania „Dziecięcej godziny nauki”.

Trud Silipan zajmował swe ulubione miejsce po drugiej stronie saloniku, jakby zupełnie ignorował to napięcie. Przyciszonym głosem rozmawiał o czymś z Phamem Trinlim. Ci dwaj ciągle trzymali się razem, planowali przedsięwzięcia, których nigdy nie wcielali potem w życie. *Zabawne, zawsze miałem Trinlego za głośnego bufona*. Opowieści o „magicznych lokalizatorach” Trinlego wcale nie były blefem; Ezr dostrzegał maleńkie pyłki we wszystkich pomieszczeniach stacji. Nau i Brughel wykorzystywali już te urządzenia. PhamTrinli znał sekret, o którym nie wspominały nawet najgłębiej ukryte sekcje biblioteki floty. Być może tylko Ezr Vinh zdawał sobie z tego sprawę, że PhamTrinli wcale nie był takim bufonem, za jakiego uchodził. Coraz częściej docierała do Ezra świadomość, że ten starzec wcale nie jest głupi. W bibliotece floty kryło się wiele tajemnic; musiały istnieć w czymś tak starym i tak rozległym. Ale żeby ten człowiek wiedział o sprawie tak ważnej... Pham Trinli musiał urodzić się naprawdę bardzo dawno temu.

- Hej, Trud! - krzyknęła Rita, wskakując na zegar. - Gdzie są twoi fiksaci? - Tapeta w saloniku nadal przedstawiała gęsty las w jakimś balcreańskim rezerwacie przyrody.

VERNOR VINCE

Trud Silipan wstał od swego stolika i przeleciał przed tłum zgromadzony na sali.

- Wszystko jest w porządku. Właśnie dostałem wiadomość. Radio Princeton rozpoczęło wstęp do „Dziecięcej godziny nauki”. Dyrektor Reynolt przyprowadzi za chwilę twardogłowych. W tej chwili synchronizują się jeszcze ze strumieniem słów.

Liao wyraźnie się uspokoiła.

- Świetnie! Dobra robota, Trud.

Silipan uklonił się nisko, przyjmując pochwały za coś, do czego nie przyłożył ręki.

- Więc za kilka minut powinniśmy się dowiedzieć, jakież to dziwne rzeczy ten Underhill robił ze swoimi dziećmi... - Trud przechylił lekko głowę, słuchając wiadomości na prywatnym kanale. - Już są!

Zniknął soczysty, niebieskozielony krajobraz. Ściana za barem otworzyła się nagle na jedną z sali konferencyjnych w Hammerfest. Z prawej strony wysunęła się Annę Reynolt, jej ręka była zniekształcona przez ostry kąt perspektywy; część tapety po prostu nie mogła poradzić sobie z trójwymiarowym obrazem. Za Reynolt sunęło dwóch techników i pięcioro twardogłowych... zafiksowanych osób. Jedną z nich była Trixia.

W tym miejscu Ezr miał ochotę krzyknąć albo uciec, schować się w jakimś ciemnym miejscu i udawać, że świat nie istnieje. Zazwyczaj Emergenci ukrywali fiksatów głęboko w swoich systemach, jakby wiedzeni resztkami wstydu. Zazwyczaj Emergenci woleli otrzymywać wyniki z komputera i wyświetlaczy, dane ułożone starannie w tabelkach i wykresach. Benny powiedział mu, że na początku do saloniku transmitowano tylko głosy tłumaczy. Potem Trud opowiedział wszystkim o spektaklu odgrywanym przez twardogłowych i do głosu dołączył także przekaz wideo. Z pewnością fiksaci nie mogli odczytać ruchów ciała z audycji radiowej. Nie to było jednak istotne; choć poczynania twardogłowych mogły być całkowicie nonsensowne, właśnie tego chciały upiory zgromadzone w saloniku.

Trixia była ubrana w luźny skafander. Częściowo splecione włosy unosiły się wokół głowy. Ezr wycesał je dokładnie niecałe czterdzieści Ksekund wcześniej. Zniecierpliwionym gestem odegnała od siebie techników i przytrzymała się krawędzi stołu. Rozglądała się nieprzytomnie na boki, mamrocząc coś pod nosem. Otarła twarz rękawem i przypięła się do krzesła. Inni fiksaci, równie nieprzytomni jak Trixia, poszli w jej ślady. Większość miała na głowach wyświetlacze. Ezr wiedział, co widzą i słyszą w tej chwili, transdukcję języka Pająków na średnim poziomie. To był cały świat Trixii.

- Mamy synchronizację, pani dyrektor - powiedział jeden z techników do Reynolt.

Dyrektor zasobów ludzkich przeleciała wzdłuż rzędu niewolników, zamieniając miejscami niektórych z nich - Ezr nie miał pojęcia, dlaczego to robiła. Wiedział jednak, że ta kobieta ma wyjątkowy talent. Była

OTCHŁAŃ W NIEBIE

suką o zimnych oczach, ale wiedziała, co robić, by fiksaci osiągnęli jak najlepsze rezultaty.

- Dobrze, zaczynamy... - Podleciała w górę, znikając z oczu publiczności zgromadzonej w saloniku. Zinmin Broute wstał ze swego miejsca i przemawiał już doniosłym głosem:

- Nazywam się Rappaport Digby, a słuchacie państwo audycji „Dziecięca godzina nauki”...

Tego dnia tata zabrał ich wszystkich do stacji radiowej. Jirlib i Brent zajęli miejsca na najwyższym pokładzie samochodu - zachowywali się poważnie i odpowiedzialnie, a przy tym wyglądali niemal jak dzieci urodzone w fazie, nie wywoływali więc sensacji na ulicy. Rhapsa i Mały Hrunek byli jeszcze na tyle mali, że mogli skryć się w futrze taty; musieli poczekać jeszcze co najmniej rok, by przestano ich nazywać maskotkami rodziny.

Gokna i Victory siedziały z tyłu, każda na osobnej grzędzie. Victory patrzyła przez przyciemnioną szybę na ulice Princeton. To wszystko sprawiało, że czuła się trochę jak królewskie dziecko. Przechyliła lekko głowę w stronę swej siostry; może Gokna była jej służącą.

Gokna parsknęła wyniośle. Były do siebie tak podobne, że obie z pewnością myślały o tym samym - i obie widziały siebie w roli królowych.

- Tato, skoro nie będziemy dzisiaj występować, to po co z tobą jeździmy?

Ojciec się roześmiał.

- Och, nigdy nie wiadomo. Kościół Ciemności uważa, że ma mono pol na prawdę. Ale ciekaw jestem, czy ta ich rzecznik zna w ogóle jakieś dzieci spoza fazy. Może okaże się, że w gruncie rzeczy jest całkiem sympatyczna. Kiedy staniecie przed nią, nie będzie chyba dyszeć na was ogniem tylko dlatego, że jesteście spoza fazy.

To było możliwe. Victory pomyślała o wuju Hrunku, który nigdy nie akceptował ich rodziny... a jednocześnie bardzo ich kochał.

Samochód jechał przez zatłoczone ulice w górę śródmiejskiej alei prowadzącej do wzgórz radiowych. Stacja Princeton była najstarszą rozgłośnią w mieście - tata mówił, że zaczęła nadawać przed ostatnią Ciemnością, gdy była jeszcze stacją wojskową. W tym pokoleniu właściciele wznieśli ją na starych fundamentach. Mogli mieć studia w mieście, bardziej zależało im jednak na podtrzymaniu tradycji. Podróż do stacji była bardzo ekscytująca, droga wiała się wokół najwyższej góry w mieście, znacznie wyższej nawet od tej, na której zftajdował się ich dom. Ziemię na zewnątrz wciąż pokrywał poranny szron. Victory przeszła na grzędę Gokny i obie przysunęły się do okna, by mieć lepszy widok. Był środek zimy, a słońce wchodziło już w środkowe lata Jasności, lecz one dopiero drugi raz widziały szron. Gokna wyciągnęła rękę w stronę wschodu.

- Spójrz, jak jesteśmy wysoko... widać stąd Poszarpańce!

VERNORVINGE

- A na szczytach leży... śnieg! - wykrzyknęły obie zgodnym chórem. Lecząc widoczna w oddali biel była tylko porannym szronem. Pierwszy śnieg mógł zawitać do regionu Princeton dopiero za kilka lat, i to jeśli zimy będą dość ostre. Ciekawe, jakie to uczucie chodzić po śniegu? Albo wpadać w zaspę? Przez chwilę obie się nad tym zastanawiały, zapominając o innych wydarzeniach dnia, przede wszystkim debacie radiowej, która za przątała umysły wszystkich, nawet pani generał, przez ostatnie dziesięć dni.

Najpierw wszystkie kobliki, a szczególnie Jirlib, obawiały się tej debaty.

- To koniec audycji - powiedział ich starszy brat. - Teraz ludzie wiedzą o nas. - Generał przyjechała specjalnie z Dowództwa Lądowego, by oznajmić im, że nie ma się czym martwić, że tata zajmie się wszystkimi skargami. Nie powiedziała jednak, że wrócą do programu. Generał Victory Smith była przyzwyczajona do spotkań z żołnierzami, członkami sztabu. Nie umiała pocieszać dzieci. Gokna i Victory uważały w skrytości ducha, że cała ta historia z radiem przerażała mamę bardziej niż wszystkie wojenne przygody z przeszłości.

Tylko tata nie tracił dobrego humoru.

- Właśnie na to czekałem od samego początku - powiedział mamie po jej powrocie z Dowództwa Lądowego. - Czas już wyjść z tym do ludzi. Ta debata odsłoni wiele rzeczy. - Były to te same argumenty, które potwarzała mama, ale w ustach taty brzmiały one radośniej. Przez ostatnie, dziesięć dni bawił się z nimi nawet częściej niż zwykle. - Jesteście moimi specjalnymi ekspertami w tej debacie, więc mogę spędzać z wami cały czas i mimo to być obowiązkowym pracownikiem. - Chodził bokiem to tu, to tam, udając, że zajmuje się jakąś niewidzialną pracą. Dzieciaki to uwielbiały i nawet Jirlib i Brent podzielali optymizm swego ojca. Generał wyjechała na południe poprzedniej nocy; jak zwykle miała na głowie większe zmartwienia niż problemy rodzinne.

Szczyt Wzgórza Radiowego wznosił się ponad wierzchołkami drzew. Niskie janowce okrywały ziemię wokół parkingu. Dzieci wysiadły z samochodu, dziwiąc się mroźnemu powietrzu. Mała Victory czuła dziwne pieczenie we wszystkich drogach oddechowych, jakby... jakby i tam tworzył się szron. Czy to możliwe?

- Chodźcie, dzieci. Gokna, nie gap się tak. - Tata i jego starsi synowie wprowadzili je na stare szerokie stopnie stacji. Schody były szorstkie, nadpalone w kilku miejscach, jakby w zamyśle właścicieli miały sprawiać wrażenie, że reprezentują jakąś starodawną tradycję.

Ściany we wnętrzu budynku obwieszane były portretami właścicieli i wynalazców radia (w tym wypadku byli to ci sami ludzie). Prócz Rhapsy i Hrunka wszyscy już tu kiedyś byli. Jirlib i Brent prowadzili program przez dwa lata, przejmując go od dzieci z fazy, kiedy tata kupił koncesję

OTCHLAŃ W NIEBIE

na ten program. Obaj chłopcy sprawiali wrażenie starszych, niż byli w rzeczywistości, a Jirlib przewyższał inteligencją wielu dorosłych. Wydawało się, że nikt nie podejrzewa nawet, ile mają lat. Tata trochę się denerwował z tego powodu.

- Chcę, żeby ludzie sami się domyślili, ale są zbyt głupi, by uswiadomić sobie prawdę! -Więc w końcu do programu dołączyły Victory i Gokna. Świetnie się bawiły, udając o wiele starsze osoby, odgrywając rolę z głupiego scenariusza, który wykorzystywały podczas audycji. A pan Digby był dla nich bardzo miły, nawet jeśli nie był prawdziwym naukowcem.

Głosy Gokny i Junior brzmiały jednak bardzo młodo. W końcu ktoś stracił wiarę w czystość moralną wszystkich audycji radiowych i zrozumiał, że publiczność została narażona na kontakt ze straszliwą perwersją. Radio Princeton było jednak prywatną rozgłośnią, a co ważniejsze, miało wykupione własne pasmo częstotliwości. Właściciele należeli do pokolenia 58, które nadal liczyło się z każdym groszem. Tylko skuteczny bojkot słuchaczy zorganizowany przez Kościół Ciemności mógł powstrzymać Radio Princeton od nadawania „Dziecięcej godziny nauki”. Stąd też ta debata.

- Ach, doktor Underhill, jakże się cieszę! - Madame Subtrime wypadła pośpiesznie ze swej budki. Kierownik stacji wyglądała tak, jakby składała się wyłącznie z przeraźliwie chudych, długich rąk i nóg, a jej ciało było niewiele większe od głowy. Gokna i Viki uśmieły się nieraz do łez, naśladując jej ruchy. - Nie uwierzy pan, jakie zainteresowanie wzbudziła ta debata. Nadajemy aż na Wschodnie Wybrzeże. Bez przesady mogę twierdzić, że mamy słuchaczy z całego świata!

Bez przesady mogę twierdzić... Ukryta przed panią kierownik Gokna poruszała ustami w rytm jej słów. Victory zachowała poważną minę i udawała, że niczego nie zauważa.

Tata skłonił lekko głowę przed madame Subtrime.

- Cieszę się, że jesteśmy tacy popularni, madame.

- O tak, w istocie! Sponsorzy dosłownie biją się o czas reklamowy w przerwach programu. Mówię panu, biją się! - Uśmiechnęła się do dzieci. - Wy będziecie mogli oglądać wszystko z kabiny inżyniera.

Wprawdzie orientowali się, gdzie to jest, ale posłusznie ruszyli za panią kierownik, słuchając jej nieustającego monologu. Nikt nie wiedział, co naprawdę myśli o nich madame Subtrime. Jirlib twierdził, że wcale nie jest głupia i że pod tą fasadą gaduły kryje się zimny licznik pieniędzy.

- Wie dokładnie, co do grosza, ile może zarobić na całej tej awanturze. - Może, ale Viki i tak ją lubiła, wybaczała jej nawet piskliwy głos i głupią paplaninę. Zbyt wielu ludzi było tak zaślepionych swą wiarą, że nic nie obudziłoby w nich choć odrobiny tolerancji.

- Didi ma dzisiaj dyżur. Znacie ją. - Madame Subtrime zatrzymała się przy wejściu do kabiny inżyniera dźwięku. Dopiero teraz zauważyła dziecięce główki wystające z futra na grzbiecie Sherkanera.

VERNORVINGE

- Och, ma pan też i takie maleństwa? Ja... czy mogą zostać z pańskimi dziećmi? Nie wiem, kto inny mógłby się nimi zająć.

- Nie ma problemu, madame. Zamierzam przedstawić Rhapsę i Malego Hrunquera reprezentantowi Kościoła.

Madame Subtrime zamarła. Wszystkie jej nogi i ręce znieruchomiały jednocześnie na całą sekundę. Po raz pierwszy Viki widziała ją naprawdę zaskoczoną. Potem jej ciało rozluźniło się i pojawił się szeroki uśmiech.

- Doktorze Underhill! Czy ktoś mówił już panu, że jest pan geniuszem?

Tata odpowiedział jej równie szerokim uśmiechem.

- Owszem, ale nikt nigdy nie miał do tego równie dobrych podstaw... Jirlib, dopilnuj, żeby wszyscy zostali w pokoju Didi. Jeśli zechcę, żebyście wyszli, dam wam znać.

Dzieciaki wspięły się do kabiny inżyniera. Didire Ultmot siedziała na swej grzędzie przed konsolą. Gruba szyba oddzielała jej pokój od studia nagraniowego. Tafla szkła nie przepuszczała dźwięków i nie była całkiem przezroczysta. Dzieci podeszły bliżej do szklanej ściany. Na grzędzie w studiu już ktoś siedział.

Didire machnęła ręką w tamtą stronę.

- To przedstawicielka Kościoła. Przyszła o godzinę za wcześnie. - Didi była bardzo atrakcyjną, pogodną i nieco impulsywną dwudziesto-jednolatką. Nie dorównywała może inteligencją niektórym spośród studentów taty, ale była bardzo bystra. Pracowała na stanowisku głównego technika Radia Princeton. W wieku czternastu lat została głównym operatorem i znała się na inżynierii elektrycznej równie dobrze jak Jirlib. Właściwie chciała zostać inżynierem właśnie w tej dziedzinie. Powiedziała o tym Jirlibowi i Brentowi przy ich pierwszym spotkaniu, kiedy najstarsi bracia zaczęli prowadzić audycję. Viki pamiętała dziwne zachowanie Jirliba, kiedy ten opowiadał im o tej rozmowie; wydawało się, że Didire kompletnie go zauroczyła. Miała wtedy dziewiętnaście lat, a Jirlib tylko dwanaście... ale był duży jak na swój wiek. Dopiero po kolejnych dwóch programach zorientowała się, że Jirlib jest spoza fazy. Odebrała to jako celową, osobistą obrazę. Biedny Jirlib przez kilka dni po tym wydarzeniu snuł się jak własny cień. W końcu poradził sobie z tym jakoś * wiedział, że w przyszłości czekają go większe rozczarowania.

Didire też jakoś przez to przeszła. Dopóki Jirlib trzymał się od niej z dala, była miła. A czasami, kiedy się zapominała, była najzabawniejszą i najciekawszą osobą z obecnego pokolenia, jaką Viki kiedykolwiek poznała. Gdy nie występowały w studiu, pozwalała Viki i Goknie siadać przy swojej grzędzie i obserwować, jak manewruje dziesiątkami przełączników. Didire była bardzo dumna ze swej tablicy kontrolnej. Właściwie - prócz faktu, że obudowę wykonano z drewna, a nie lśniącego metalu - tablica wyglądała niemal równie profesjonalnie, jak niektóre urządzenia w Domu na Wzgórzu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Więc jaka jest ta kober z kościoła? - spytała Gokna. Podobnie jak Viki przycisnęła swe główne oczy do szklanej ściany. Szybka była tak gruba, że wiele barw nie mogło się przez nią przebić.

Didi wzruszyła ramionami.

- Wołają na nią wielebna Pedure. Dziwnie mówi. Myślę, że jest Tiefertem. Spójrzcie tylko na ten jej kapłański szal. To nie tylko kwestia kiego widoku z tego miejsca; on naprawdę jest ciemny we wszystkich pasmach prócz nadczerwieni.

Hmm. Drogi. Mama miała taki mundur, ale prawie nikt jej w nim nie widział.

Didi uśmiechnęła się złośliwie.

- Jestem pewna, że zwymiotuje, kiedy zobaczy dzieciaki w futrze waszego taty.

Niestety, nie mieli aż tyle szczęścia. Kiedy jednak kilka sekund później Sherkaner Underhill wszedł do studia, wielebna Pedure zeszytniała z oburzenia. Sekundę później Rappaport Digby wpadł w pośpiechu do studia i pochwycił słuchawki. Digby prowadził „Dziecięcą godzinę nauki” od samego początku, na długo przed tym, nim w programie pojawili się Brent i Jirlib. Był starym poczciwiną, a Brent twierdził, że jest też jednym z właścicieli stacji. Viki nie bardzo w to wierzyła, widząc, z jakim lekceważeniem traktuje go Didi.

- Uwaga wszyscy w studiu - rozległ się wzmocniony głos Didi. Tato i wielebna Pedure wyprostowali się na swych grzędach. - Za piętnaście sekund wchodzimy na antenę. Będzie pan gotowy, panie Digby, czy mam puścić trochę ciszy?

Digby spojrzął na nią znad grubego pliku jakichś notatek.

- Może się pani śmiać, panno Ultmot, ale czas antenowy to pieniądź. Tak czy inaczej, będę...

- Trzy, dwa, jeden... - Didi przerwała mu bezceremonialnie i wyciągnęła w jego stronę długą, spiczastą rękę.

Kober natychmiast przeszedł do rzeczy, jakby czekał na ten sygnał w cierpliwym skupieniu. Powoli, z namaszczeniem wypowiadał słowa, które od ponad piętnastu lat stanowiły znak rozpoznawczy tego programu:

- Nazywam się Rappaport Digby, a słuchacie państwo audycji „Dziecięca godzina nauki”...

Kiedy Zinmin Broute rozpoczął tłumaczenie, jego ruchy przestały być nerwowe i chaotyczne. Patrzył prosto przed siebie i uśmiechał się lub krzywił twarz w zupełnie naturalny sposób, jakby emocje wywołujące te grymasy były rzeczywiste. I może były rzeczywiste - dla jakiegoś opancerzonego pająka na powierzchni Arachny. Czasami zdarzały mu się krótkie chwile wahania. Jeszcze rzadziej Broute się odwracał, zapewne gdy z boku jego wyświetlacza ukazywała się jakaś ważna informacja. Pomijając jednak te drobne potknięcia, właściwie niedostrze-

VERNORVINGE

galne dla laika, fiksat mówił równie płynnie jak każdy ludzki spiker czytający z notatek zapisanych w jego ojczywym języku.

Broute jako Digby zaczął od krótkiej historii programu i pochwał na jego cześć, potem opisał cię, jaki padł na niego w ostatnich dniach. „Spozafazy”, „perwersja narodzin” - Broute wypowiadał te określenia z taką swobodą, jakby znał je od dziecka.

- Dziś, zgodnie z obietnicą, powracamy na antenę. Zarzuty, jakie wysunięto w ostatnich dniach, są bardzo poważne. Panie i panowie, zarzuty te są prawdziwe. - Na trzy sekundy w studiu zapadła dramatyczna cisza, potem znów przemówił prowadzący: - Zastanawiacie się państwo zapewne, dlaczego mieliśmy w takim razie odwagę lub czelność powrócić. Od powiednią będzie dzisiaj, specjalne wydanie „Dziecięcej godziny na uki”. Przyszłość programu zależy w głównej mierze od państwa reakcji na to, co usłyszycie dzisiaj...

Silipan parsknął głośno.

- Co za hipokryta. - Xin zgromił go spojrzeniem. Trud przeniósł się więc na miejsce obok Ezra. Taka sytuacja zdarzała się już wcześniej; Silipan myślał zapewne, że skoro Ezer siedzi na skraju grupy, to chce słuchać jego analiz.

Tymczasem Broute przedstawiał uczestników dyskusji. Silipan przycumował do kolana komputer i otworzył go. Było to prymitywne urządzenie Emergentów, ale wsparcie fiksatów czyniło je bardziej wydajnym niż cokolwiek, co stworzyła do tej pory ludzkość. Trud wcisnął klawisz z napisem „wyjaśnienie”, a cichy, kobiecy głos poinformował go: „Oficjalnie wielobna Pedure reprezentuje tradycyjny Kościół. W rzeczywistości... - głos umilkł na chwilę, prawdopodobnie czekając na wyniki analizy z bazy danych - ...nie pochodzi z Akord. Prawdopodobnie jest agentem rządu Kindred.

Xin obejrzał się na nich, zapominając na moment o Broucie-Digby.

- Niech to Plaga, ci ludzie to prawdziwi fundamentalisci. Czy Underhill o tym wie?

Głos z podręcznego komputera Truda odpowiedział:

- To możliwe. „Sherkaner Underhill” ma silne powiązania z łącznością wywiadu Akord... Jak dotąd nie natrafiliśmy na żadną informację wojskową dotyczącą tego wywiadu, ale cywilizacja Pająków nie dysponuje jeszcze zaawansowaną automatyką. Mogliśmy coś przeoczyć.

Trud przemówił do urządzenia:

- Mam dla was małe zadanie. Co Kindred chciałoby zyskać na tej debacie? - Podniósł wzrok na Jau i wzruszył ramionami. - Nie wiem, czy dostaniemy jakąś odpowiedź. Teraz mają tam urwanie głowy.

Broute kończył już przedstawiać rozmówców. Rolę wielobnej Pedure miała odgrywać Xopi Reung. Xopi była drobną, szczupłą Emergentką. Ezer znał jej imię tylko z tabel i rozmów z Anną Reynolt. *Ciekawe, czy ktokolwiek inny wie, jak się nazywa ta kobieta? Z pewnością nie Jau i Rita.*

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Trud musiał to wiedzieć, musiał znać nazwiska swych podopiecznych, tak jak kiedyś pasterz znał wszystkie zwierzęta ze swego stada. Xopi Reung była młoda; została obudzona, by zastąpić jakiegoś zmarłego fiksata. Reung pracowała już od czterdziestu Msekund. To ona była w głównej mierze odpowiedzialna za ostatnie postępy w nauce języków Pająków, w szczególności języka „Tieferow”. Niemal równie dobrze posługiwała się też „standardowym językiem Akord”. Ezer wcale nie wykluczał możliwości, że kiedyś może być nawet lepsza od Trixii. W normalnym świecie Xopi byłaby wspaniałym naukowcem, znanym w całym swym układzie słonecznym. Lecz Xopi Reung została wybrana w Loterii grupmistrza. Podczas gdy Xin, Liao i Silipan prowadzili w pełni świadome życie, Xopi była częścią automatyki, pozbawioną ludzkich odruchów i uczuć. Xopi Reung przemówiła:

- Dziękuję panu, panie Digby. Radio Princeton zapewnia sobie sławę, umożliwiając nam tę rozmowę. - Podczas przydługiego wstępu Brou-te'a, Reung wierciła się nerwowo, kręciła głową na wszystkie strony niczym ptak. Być może jej wyświetlacz był rozregulowany, a może lubiła rozmieszczać ważne informacje w różnych częściach pola widzenia. Kiedy jednak zaczęła mówić, w jej oczach pojawił się jakiś drapieżny błysk.

- Niezbyt udane tłumaczenie - poskarżył się ktoś.
- Ona jest nowa, pamiętaj - odparł Trud.
- A może ta Pedure naprawdę dziwnie mówi. Powiedziałeś, że jest cudzoziemką.

Reung jako Pedure pochyliła się nad stołem. Jej głos był niski i jedwabisty.

- Dwadzieścia dni temu wszyscy odkryliśmy źródło zepsucia w czymś, co miliony ludzi przyjmowały w dobrej wierze w swych domach, co sęczyło się do uszu ich mężów i dzieci. - Mówiła przez kilka chwil, formułując dziwne, niezdarne i pełne frazesów zdania. - ...Słuszne więc wydaje mi się, że Radio Princeton daje nam teraz okazję, by oczyścić atmosferę. Jaja... - Reung umilkła nagle, jakby nie mogła znaleźć właściwych słów. Przez moment znów wyglądała jak fiksata, kręciła nerwowo głową. Potem uderzyła otwartą dłonią o blat stołu i opadła na krzesło, zaciskając mocno usta.

- Mówiłem wam, kiepski z niej tłumacz.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Opierając ręce i przednie nogi na ścianie, Viki i Gokna mogły trzymać główne oczy przy szybie. Była to niewygodna pozycja i obie dziewczynki co chwila przemieszczały się wzdłuż szyby.

- Dziękuję, panie Digby. Radio Princeton zapewnia sobie sławę, umożliwiając tę rozmowę... - ple, ple, "ple.

VERNORVINGE

- Dziwnie mówi - rzuciła Gokna.

- Mówiłam ci to już. Jest cudzoziemką - odparła z roztargnieniem Didi, zajęta realizacją programu. Wydawało się, że nie zwraca szczególnej uwagi na treść dyskusji, która toczyła się w studiu. Brent przysłuchiwał jej się ze spokojną fascynacją, podczas gdy Jirlib na przemian podchodził do okna, to znów próbował przysunąć się bliżej Didi. Po kilku przykrych doświadczeniach nauczył się już, że nie powinien udzielać jej żadnych rad, ale nadal lubił stać blisko. Czasami zadawał odpowiednio naiwne pytanie. Kiedy Didi nie była akurat zajęta, dawała się wciągnąć w rozmowę.

Gokna uśmiechnęła się do Viki.

- Nie, chodzi mi o to, że wielebna Pedure mówi jak idiotka.

- Hm. - Viki nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Ubranie Pedure rzeczywiście było dziwne. Do tej pory Viki widziała kapłańskie szaty tylko w książkach. Obszerna peleryna okrywała niemal całe ciało Pedure prócz głowy i paszczy. Wydawało się jednak, że kryje w sobie wielką siłę. Viki wiedziała, co większość ludzi myśli o takich dzieciach jak ona. Pedure była tylko wyrazicielem tych poglądów, prawda? Otaczała ją jednak niepokojąca, złowroga aura... - Myślisz, że naprawdę wierzy w to, co mówi?

- Jasne, że wierzy. Dlatego jest taka zabawna. Widzisz, jak tato się uśmiecha? - Sherkaner Underhill siedział po drugiej stronie studia, delikatnie głaszcząc swoje dzieci. Nie powiedział dotąd ani słowa, lecz po jego obliczu błędził lekki uśmieszek. Z futra wyglądały lekko dwie pary dziecięcych oczu. Rhapsa i Hrunck nie mogli rozumieć wszystkiego, co się wokół nich dzieje, wyglądali jednak na przerażonych.

Gokna też to zauważyła.

- Biedne dzieci. Tylko one się jej boją. Patrz! Pokażę wielebnej Pedure Dziesiątkę. - Odwróciła się od okna i podbiegła do bocznej ściany - a potem w górę regału z taśmami audio. Dziewczynki miały siedem lat, były już za duże na takie akrobacje. *O-o*. Regał odchylił się od ściany, taśmy przesunęły się niebezpiecznie blisko krawędzi półek. Gokna dotarła jednak na szczyt, nim ktokolwiek prócz Viki zrozumiał, co chce zrobić. Stała wyskoczyła i pochwyciła górną ramę dźwiękoszczelnego okna. Jej ciało za toczyło szeroki łuk i przyłgnęło do szyby z głośnym płaskiem. Przez sekundę Gokna była idealną Dziesiątką rozpostartą na oknie. Pedure za siadająca po drugiej stronie szyby patrzyła na nią w osłupieniu. Obie dziewczynki ryknęły śmiechem. Nieczęsto udawało się zrobić tak idealną Dziesiątkę i błysnąć bielizną prosto w oczy ofiary.

- Przestańcie! - syknęła Didi. Jej ręce przesunęły się przez pulpit kontrolny. - Ostatni raz weszliście do mojego pokoju! Jirlib, chodź tutaj! Pilnuj swoich siostrzyczek, bo zaraz wszystkich was stąd wyrzucę.

- Tak, tak! Przepraszam bardzo. - Jirlib naprawdę wyglądał na skruszzonego. Podbiegł do szyby i ściągnął z niej Goknę. Po sekundzie dołączył do niego Brent, który zajął się Yictory.

Jirlib nie był zły, raczej zasmucony. Przytrzymał Goknę bardzo blisko swej głowy.

- Musicie się uspokoić. Choć raz bądźcie poważne. - Viki pomyślała, że bardziej niż ich wygłupy poruszył go gniew Viki. Ale to nie miało większego znaczenia. Gokna natychmiast spoważniała, dotknęła ręką pozywającą paszczy brata i powiedziała cicho:

- Tak. Będę grzeczna do końca audycji. Obiecuję.

Viki spojrzała na Didire, która mówiła właśnie coś do Digby'ego. Viki nie słyszała jej słów, ale widziała, jak stary kober kiwa głową. Uspokoił rozsierdzoną Pedure i zwrócił się do taty. Ich szalone wygłupy nie miały więc żadnego wpływu na to, co działo się po drugiej stronie szyby. Viki była pewna, że kiedyś wpakują się z Gokną w porządne tarapaty, ale chyba ten czas jeszcze nie nadszedł.

Xopi usiadła powoli, jakby zdumiona własnym zachowaniem. Zazwyczaj fiksaci próbowali odgrywać te spektakle w czasie realnym. Silipan twierdził, że jest to tylko częściowo jego zasługa - zafiksowani tłumacze naprawdę lubili pozostawać w synchronizacji ze strumieniem słów. W pewnym sensie naprawdę lubili grać. Dziś po prostu nie wychodziło im to najlepiej.

Wreszcie Broute pozbierał się jakoś i udzielił głosu Sherkanerowi Underhillowi.

Sherkaner Underhill. Tłumaczyła go Trixia Bonsol. Któż inny mógłby to robić? Trixia pierwsza rozszyfrowała język mówiony Pajaków. Jau powiedział Ezrowi, że początkowo Trixia odgrywała wszystkie role, tłumaczyła głosu dzieci, dorosłych, pytania od słuchaczy audycji. Kiedy inni twarogłowi nabrali już wprawy i przejęli poszczególne partie, Trixia nadal tłumaczyła te najtrudniejsze.

Sherkaner Underhill; był to prawdopodobnie pierwszy Pajak znany im z imienia i nazwiska. Nazwisko Underhill przewijało się zresztą w niezliczonej ilości audycji radiowych. Początkowo wydawało się, że to on jest autorem dwóch trzecich wynalazków, które nadawały rozpęd rewolucji przemysłowej. Dopiero po jakimś czasie tłumacze zrozumieli swój błąd; „Underhill” było bardzo rozpowszechnionym nazwiskiem, jeśli zaś mówiono o tym Sherkanerze Underhillu, chodziło zazwyczaj o pracę któregoś z jego studentów. Ten facet musiał być więc jakimś urzędnikiem, założycielem Instytutu Princeton, gdzie znajdowała się większość jego studentów. Odkąd jednak Pajaki wynalazły przekaźniki mikrofalowe, satelity szpiegowskie zbierały mnóstwo tajnych, lecz łatwych do rozszyfrowania informacji. Imię i nazwisko „Sherkaner Underhill” pojawiało się niemal w dwudziestu procentach ściśle tajnych wiadomości przekazywanych na terenie Akord. Najwyraźniej była to nazwa jakiejś instytucji. Najwyraźniej... dopóki nie dowiedzieli się, że ten „Sherkaner Underhill” ma dzieci, które występują w programie radiowym. Choć nie do końca ro-

VERNORVINGE

zumieli istotę „Dziecięcej godziny nauki”, wiedzieli, że audycja ma duże znaczenie polityczne. Tomas Nau bez wątpienia oglądał to wydanie ze swojej kwatery w Hammerfest. *Ciekawe, czy Qiwi jest z nim.* Mówiła Trixia:

- Dziękuję panu, panie Digby. Bardzo się cieszę, że mogę być tu dzisiaj z państwem. Czas już porozmawiać otwarcie o pewnych problemach. Mam nadzieję, że młodzi ludzie, zarówno ci urodzeni w fazie, jak i poza nią, słuchają nas uważnie. Wiem, że moje dzieci to robią.

Trixia spojrziała na Xopi ze spokojem i pewnością siebie. W jej głosie słyhać było jednak delikatne drżenie. Ezr patrzył na jej twarz. Ile lat miała teraz Trucia? Harmonogramy wacht fiksatów objęte były tajemnicą - może dlatego, że tak wielu z nich pracowało bez przerwy. Normalny człowiek uczyłby się przez całe życie tego, czego Trixia dowiedziała się w ciągu kilkunastu lat. Przynajmniej na początku Ezr spotykał ją na każdej wachcie, nie też nie wskazywało na to, by schodziła ze służby w tym samym czasie co on. Wyglądała dziesięć razy starszej niż Trixia przed fik-sacją. A kiedy grała Underhilla, sprawiała wrażenie jeszcze starszej.

- Chciałbym sprostować jedną rzecz, o której mówiła pani Pedure - kontynuowała Trixia. - Nie było żadnego spisku, który miałby na celu za chowanie w tajemnicy wieku moich dzieci. Moi najstarsi synowie prowa dzili program przez długi czas. To chyba całkiem naturalne, że brali w nim udział, a z listów, które wtedy otrzymywali, wiem, że cieszyli się popular nością zarówno wśród dzieci z obecnego pokolenia, jak i wśród ich rodzi ców.

Xopi spojrziała z ukosa na Trixię.

- Oczywiście działa się tak tylko dlatego, że nie przyznawali się gło śno do swojego wieku. W radiu trudno dostrzec tak niewielką różnicę. W radiu pewne... nieprzyzwoitości... przechodzą niezauważone.

Trixia się roześmiała.

- Rzeczywiście. Chciałbym jednak, by nasi słuchacze zastanowili się nad jedną sprawą. Większość lubi Jirliba, Brenta, Goknę i Viki. Poznając moje dzieci, nieświadomi słuchacze zrozumieli być może prawdę, która inaczej umknęłaby ich uwadze; dzieci spoza fazy są równie przyzwoite jak wszystkie inne. Powtarzam jednak, że niczego celowo nie ukrywałem. W końcu... cóż, w końcu fakty stały się tak oczywiste, że nikt nie mógł ich zignorować.

- Tak rażące, chciał pan powiedzieć. Pańskie córki mają niewiele ponad siedem lat. Takiej nieprzyzwoitości nie da się ukryć nawet w radiu. A gdy spotkaliśmy się dziś w studiu, zauważyłam, że nosi pan na grzbiecie dwoje niemowlaków. Proszę mi powiedzieć, czy istnieją jakieś granice zła i krzywd, przed którymi pan się w końcu zatrzyma?

- Jakiego zła, jakich krzywd, pani Pedure? Nasza publiczność słuchała moich dzieci przez ponad dwa lata. Znają Jirliba, Brenta, Viki i Goknę jako prawdziwych i sympatycznych ludzi. Widzi pani Małego Hrunka

OTCHŁAŃ W NIEBIE

i Rhapsę, którzy zerkają na panią z moich ramion... - Trbda przerwała na moment, jakby pokazując coś swojemu rozmówcy. - Wiem, że niepokoi panią, może nawet przeraża widok małych dzieci urodzonych tak późno po Latach Gaśnięcia. Jednak za rok lub dwa będą już umiały mówić, a ja chciałbym, by w „Dziecięcej godzinie nauki” występowały dzieci w różnym wieku, także te najmłodsze. Na pewno z programu na program nasza publiczność będzie nabierać coraz większego przekonania, że te małe kobliki są równie wartościowe jak dzieci urodzone pod koniec Lat Gaśnięcia.

- Absurd! Ten plan powiedzie się tylko wtedy, jeśli będzie pan podkładał się krok po kroku, przekonywał ludzi, by zaakceptowali tę perwersję i tamtą, aż... aż...

- Aż co? - spytała Trixia, uśmiechając się dobrotliwie.

- Aż... aż... - Ezer widział, jak Xopi patrzy dzikim wzrokiem na Trixię. - Aż przyzwoci ludzie będą całować takie niewydarzone larwy, jakie nosi pan na plecach! - Xopi poderwała się z krzesła, wymachując gwałtownie rękami.

Trixia nadal się uśmiechała.

- Odpowiem krótko, pani Pedure - tak. Nawet pani widzi, że możemy to zaakceptować. A dzieci spoza fazy nie są larwami. Nie potrzebują Pierwszej Ciemności, by otrzymać duszę. Są stworzeniami, które służą na miłość i które potrafią dawać miłość innym. W miarę upływu lat „Dziecięca godzina nauki” uświadomi to wszystkim, być może na wet pani.

Xopi usiadła. Wyglądała jak zawodnik, który chwilowo został pokonany i szuka innej linii ataku.

- Widzę, że apele do przyzwoitości nie robią na pana wrażenia, pani Underhill. Wśród naszej publiczności mogą znajdować się słabi ludzie, którzy prowadzeni przez pana krok po kroku zaakceptują w końcu to zboczenie. Każdy z nas ma skłonności do zła, to nie ulega wątpliwości. Ale każdego z nas pociąga też dobro, niewinność. Tradycja pomaga nam dokonać właściwego wyboru... widzę jednak, że dla pana i panu podobnych tradycja znaczy niewiele. Jest pan naukowcem, prawda?

- Hm, tak.

- I jednym z czworga tych, którzy chodzili w Ciemności?

- ...Tak.

- Nasza publiczność być może nie zdaje sobie sprawy, że za „Dziecięcą godziną nauki” stoi osoba tak wyróżniona przez los. Jest pan jednym z czworga, którzy widzieli na własne oczy Najgłębszą Ciemność. Nic nie jest już dla pana tajemnicą. - Trixia zaczęła odpowiadać, lecz Xopi jako Pedure zagłuszyła jej słowa. - Myślę, że to wyjaśnia wiele pańskich błędów. Jest pan ślepy na wysiłki i dokonania poprzednich pokoleń, na powolną naukę tego, co jest bezpieczne, a co groźne w pajęczych sprawach. Prawo moralne ma racjonalne podstawy, proszę pana! Bez prawa moralnego pod koniec Lat Gaśnięcia pracownicy zbieracze byliby okradani przez

VERNORVINGE

leniwych. Bez prawa moralnego niewinni ludzie w swych otchłaniach padaliby ofiarą tych, którzy zbudzili się pierwsi. Wszyscy chcemy wielu rzeczy, lecz niektóre z nich niszczą pozostałe marzenia.

- To prawda, pani Pedure, ale do czego właściwie pani zmierza?
- Chcę powiedzieć, że istnieją konkretne, racjonalne powody, dla których należy przestrzegać zasad moralnych, szczególnie zasad dotyczących pozafazowości. Trywializuje pan wiele rzeczy, lecz nawet pan musi wiedzieć, że Ciemność dokonuje wielkiego oczyszczenia. Słuchałam pańskich dzieci. Dziś przed audycją obserwowałam ich zachowanie. W pańskim sekrecie kryje się pewien skandal, niezbyt jednak zaskakujący. Przy najmniej jedno z pańskich dzieci - zdaje się, że ma na imię Brent? - jest kretynem, prawda?

Xopi zamilkła, lecz Trixia wcale jej nie odpowiadała. Patrzyła nieruchomo w jeden punkt; nie próbowała śledzić strumienia danych. I nagle Ezer doświadczył przedziwnej zmiany punktu widzenia. Zmiany tej nie wywołały słowa tłumaczy czy nawet emocje zawarte w tych słowach. Wywołało je... milczenie. Po raz pierwszy Ezer uświadomił sobie z całą mocą, że Pająk jest osobą, którą można zranić.

Milczenie przeciągało się jeszcze przez kilka sekund.

- Ha - odezwał się Silipan. - To potwierdza wiele z naszych wcześniejszych domysłów. Pająki są bardzo płodne, a potem Matka Natura za bija te najslabsze podczas Ciemności. Sprytne.

Liao skrzywiła się lekko.

- Tak, chyba tak. - Siegnęła dłonią do ramienia męża.

Zinmin Broute gwałtownie przerwał ciszę.

- Panie Underhill, czy zamierza pan odpowiedzieć na pytanie wielebnej Pedure?

- Tak. - Głos Trixii drżał jeszcze mocniej niż poprzednio. - Brent nie jest kretynem. Jest małomówny i uczy się inaczej niż inne dzieci. -W jej głosie znów pojawił się entuzjazm i cień uśmiechu. - Inteligencja to taka niezwykła rzecz. W Brencie widzę...

Xopi przerwała jej w pół zdania.

- Ja widzę w Brencie klasyczny przykład nieszczęśliwego dziecka spoza fazy. Moi drodzy, wiem, że siła Kościoła znacznie ucierpiała w tym pokoleniu. Zmienia się tyle rzeczy, stare struktury często uważane są za przejaw tyranii. Dawniej dzieci takie jak Brent pojawiały się tylko w miaśteczkach i wsiach ukrytych gdzieś w głuszy, gdzie zawsze istniało barbarzyństwo i perwersja. Dawniej taką rzecz łatwo było wytłumaczyć; rodzice nie zważali na Ciemność, niepodobni w tym nawet do zwierząt. Wydałi biednego Brenta na świat, skazali go na kilka lat życia w poniewierce i zasłużyli sobie w ten sposób na pogardę przyzwoitych ludzi. Lecz w naszych czasach to intelektualiści tacy jak Underhill... - skinienie głową w stronę Trixii - dopuszczają się tego grzechu. Wyśmiewają się z tradycji, a ja museję z nimi walczyć, używając ich własnych argumentów. Proszę tyl-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ko spojrzeć na to dziecko, panie Underhill. Ilu jeszcze takich Brentów ukrywa pan przed nami? Trixia:

- Wszystkie moje dzieci...

- Ach, tak. Z pewnością były też inne ofiary. Znamy sześcioro pańskich dzieci. Ile jeszcze zostało w domu? Czy zabijają pan te najbardziej upośledzone? Jeśli świat podda się pańskiej perwersji, cywilizacja zginie jeszcze przed nadejściem kolejnej Ciemności, zalana hordami źle poczętych i niedołączonych koblików. - Pedure jeszcze przez dłuższą chwilę perorowała w tym duchu. Właściwie jej zarzuty były bardzo konkretne; zdeformowane dzieci, przeludnienie, zamieszki w otchłaniach na początku Ciemności - tak właśnie mogły wyglądać następstwa powszechnego pędu ku rodzeniu dzieci poza fazą. Xopi mówiła tak długo, aż niemal zabrakło jej tchu.

Broute odwrócił się do Trixii jako Underhilla.

-Jak brzmi pańska odpowiedź?

Trixia:

- Ach, jak to miło, że mogę jednak coś powiedzieć. -Trixia znów się uśmiechała, ton jej głosu był niemal tak lekki, jak na początku programu. Jeśli atak na jego syna wyprowadził Underhilla z równowagi, to długie przemówienie Pedure pozwoliło mu tę równowagę odzyskać. - Po pierwsze, wszystkie moje dzieci żyją. Jest ich tylko sześcioro. To nie powinno nikogo dziwić. Bardzo trudno jest począć dzieci poza fazą. Jestem pewien, że wszyscy o tym wiedzą. Nielatwo też pielęgnować pierścienie niemowłęce spoza fazy dość długo, by dzieciom wykształciły się oczy. Natura rze czywiście woli, by kobliki poczynane były tuż przed Ciemnością.

Xopi zerwała się z miejsca, przemawiając głośno:

- Słuchajcie uważnie, przyjaciele! Underhill przyznaje właśnie, że popełnia zbrodnię przeciw naturze!

- Wcale nie. Ewolucja zmusiła nas do tego, byśmy żyli zgodnie z rytmem natury. Lecz czasy się zmieniają...

- Czasy się zmieniają? - powtórzyła Xopi z sarkazmem. - Nauka pozwoliła panu chodzić w Ciemności, a teraz jest pan większy od natury?

Trixia znów się roześmiała.

- Och, nadal jestem tylko jej częścią. Lecz nawet przed erą zaawansowanej technologii... czy wie pani, że dziesięć milionów lat temu długość cyklu słonecznego wynosiła mniej niż jeden rok?

- Fantazja. Jak żywe stworzenia mogły przetrwać...

- No właśnie, jak? -Trixia uśmiechnęła się szeroko, a w jej głosie porbrzmiewały triumfalne nuty. - Lecz skamieniałości dowodzą tego niezbitcie. Dziesięć milionów lat temu cykl był znacznie krótszy, a rozpiętość temperatur i natężenia światła znacznie mniejsze. Żywe stworzenia nie potrzebowały otchłani i hibernacji. Potem, zmuszone okolicznościami, przystosowały się do coraz dłuższego cyklu i ekstremalnych warunków. Przy-

VERNORVINGE

puszczam, że był to bardzo trudny proces, wymagał wielu poważnych zmian. A teraz...

Xopi przerwała mu energicznym gestem. Wymyślała je sama czy też przekaz radiowy w jakiś sposób je implikował?

- Fantazja czy nie, nadal nie zostało to udowodnione. Proszę pana, nie będę spierać się z panem o ewolucję. Niektórzy przyzwoici ludzie w nią wierzą, lecz nadal jest to tylko hipoteza i nie może stanowić podstawy do czynienia istotnych wyborów, stanowiących o życiu i śmierci.

- Ha! Punkt dla taty. - Viki i Gokna, które przysiadły na grzędzie ponad Brentem i Jirlibem, wymieniały półgłosem komentarze. Kiedy Didi-re ich nie widziała, stroiły też różne miny do wielebnej Pedure. Po tej pierwszej, niezrównanej Dziesiątce nic już nie robiło na niej wrażenia, ale dziewczynki czuły się lepiej, pokazując wielebnej, co o niej myślą.

- Nie martw się, Brent. Tato dopadnie tę Pedure.

Brent był jeszcze bardziej milczący niż zazwyczaj.

- Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. I tak nie było łatwo. Teraz tato musi tłumaczyć się też ze mnie.

Właściwie tata omal nie przegrał, kiedy Pedure nazwała Brenta kretnym. Viki nigdy jeszcze nie widziała go tak zagubionego. Teraz jednak odzyskiwał utracony grunt. Viki miała wcześniej nadzieję, że Pedure będzie kompletnym ignorantem, lecz ona najwyraźniej sporo wiedziała o tym, co mówił do niej tato. To nie miało większego znaczenia. Wielebna Pedure mimo wszystko nie mogła się równać z nim wiedzą. Poza tym tato miał rację.

Teraz nabrał rozpędu i przeszedł do kontrataku.

- Dziwne, że tradycja nie interesuje się jeszcze bardziej odległą przeszłością, pani Pedure. Ale to nieważne. Zmiany, których nauka dokonuje w obecnym pokoleniu, są tak wielkie, że aby właściwie je unaocznić, po służę się konkretnym przykładem. Natura zmusiła nas do przyjęcia pewnych określonych schematów - jednym z nich jest cykl pokoleń, zgoda. Gdybyśmy nie poddali się temu rytmowi, pewnie już byśmy nie istnieli. Proszę jednak pomyśleć o stratach, droga pani. Wszystkie nasze dzieci znajdują się na tym samym poziomie rozwoju. Każdego roku odrzucają za bawki i przyrządy szkolne, które leżą bezużytecznie aż do następnego pokolenia. Takie marnotrawstwo nie jest już koniecznością. Dzięki nauce...

Wielebna Pedure gwizdnęła przeciągle, jakby ogromnie czymś zaskoczona, po czym uśmiechnęła się sarkastycznie.

- Więc przyznaje pan to otwarcie! Chce pan, by ta pozafazowa perwersja była sposobem na życie, a nie tylko pańskim wyizolowanym grzechem.

- Oczywiście! - ożywił się jeszcze bardziej tato. - Chcę, by ludzie wiedzieli, że żyjemy w epoce radykalnie odmiennej od wszystkich poprzednich. Chcę, by ludzie mogli mieć dzieci w każdej fazie słońca.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Tak. Chce pan zarazić tym zбочeniem nas wszystkich. Proszę mi powiedzieć, panie Underhill, czy prowadzi pan już tajne szkoły dla dzieci spoza fazy? Gzy ukrywa pan gdzieś setki, tysiące takich stworzeń, czekając na naszą akceptację?

- Nie. Jak dotąd nie udało mi się znaleźć rówieśników moich dzieci.

Od lat bardzo chcieli znaleźć jakichś rówieśników, z którymi mogliby wspólnie bawić się i uczyć. Szukała ich także mama, na razie bez powodzenia. Gokna i Viki uznały więc, że inne dzieci spoza fazy muszą być bardzo dobrze ukryte... albo jest bardzo niewiele. Czasami Viki zastanawiała się, czy naprawdę nie są przeklęci.

Wielebna Pedure odchyliła się do tyłu na swej grzędzie i uśmiechnęła niemal przyjacielsko.

- To jest dla mnie największym pocieszeniem, panie Underhill. Nawet w naszych czasach większość ludzi jest przyzwoita, a pańska perwersja nadal pozostaje zjawiskiem wyjątkowo rzadkim. Niemniej „Dziecięca godzina nauki” nadal jest popularna, choć dzieci urodzone w fazie mają już ponad dwadzieścia lat. Pańska audycja jest przynętą, która nie istniała nigdy wcześniej. I dlatego też nasza dzisiejsza dyskusja jest bardzo ważna.

- Tak, ja też tak uważam.

Wielebna Pedure przekrzywiła głowę. Co za pech. Zrozumiała, że tata naprawdę tak myśli. Jeśli wciągnie go w spekulacje... sprawy mogą wyglądać niewesoło. Następne pytanie Pedure zostało wypowiedziane niewinnym tonem szczerzego zaciekawienia.

- Wydaje mi się, panie Underhill, że rozumie pan prawo moralne. Czy uważa je pan może za coś podobnego do prawa kreatywnej sztuki, prawa, które może być łamane przez największych myślicieli, takich jak pan?

- Największych myślicieli, fuj. - Pytanie najwyraźniej jednak poruszyło wyobraźnię taty, odciągnęło go od perswazyjnej retoryki. - Wie pani, pani Pedure, nigdy nie patrzyłem w ten sposób na zasady moralne. Co za interesujący pomysł! Sugeruje pani, że może ono być ignorowane przez tych, którzy mają jakiś wewnętrzny... co? Talent do dobroci? Z pewnością nie... Choć przyznam, że jestem pełnym analfabetą, jeśli chodzi o spory moralne. Lubię się bawić i lubię myśleć. Spacer w Ciemności był wydarzeniem istotnym dla wysiłku wojennego, a także wielką przygodą. Nauka doprowadzi do cudownych zmian w najbliższej przyszłości rodzaju pajęczego. Wspaniale się bawię, opracowując te nowe wynalazki, i chciałbym, by publiczność - łącznie z tymi, którzy są ekspertami od zasad moralnych - zrozumiała konsekwencje tych zmian.

- Rozumiem - odparła wielebna Pedure. Sarkazm w jej głosie mógł usłyszeć tylko ktoś, kto słuchał jej równie uważnie jak Mała Victory. - A pan chce, by nauka zajęła miejsce Ciemności jako czasu wielkiego oczyszczenia i tajemnicy?

VERNOR VINCE

Underhill machnął lekceważąco rękami pozywającymi. Najwyraźniej zapomniał, że występuje w radiu.

- Nauka uczyni Ciemność równie nieszkodliwą i znaną jak noc, która przychodzi po każdym dniu.

Didi krzyknęła ze zdumienia. Viki po raz pierwszy widziała, by młoda inżynier zareagowała jakoś na treść audycji, którą realizowała. Tymczasem po drugiej stronie szyby Rappaport Digby usiadł idealnie prosto, jakby ktoś wbił mu włócznię w odwłok. Tato nawet tego nie zauważył, a odpowiedź wielebnej Pedure była tak swobodna, jakby rozmawiali o nadchodzącym deszczu.

- Więc twierdzi pan, że będziemy żyć i pracować przez całą Ciemność, jakby była to jedna, długa noc?

- Tak! Jak pani myśli, do czego prowadzą badania nad energią atomową?

- Więc wszyscy będziemy chodzić w Ciemności, ba, nie będzie żadnej Ciemności, żadnej tajemnicy, żadnej otchłani dla umysłu pajęczości. Nauka zabierze wszystko.

- Nonsens. Na tym jednym małym świecie nie będzie już prawdziwej Ciemności. Ale Ciemność będzie istnieć zawsze. Proszę wyjść dziś wieczorem na dwór, pani Pedure, spojrzeć na niebo. Jesteśmy otoczeni Ciemnością, i zawsze będziemy. I tak jak nasza Ciemność kończy się z początkiem Nowego Słońca, tak większa Ciemność kończy się na obrzeżach milionów milionów gwiazd. Proszę tylko pomyśleć! Jeśli kiedyś cykl naszego słońca trwał krócej niż rok, to jeszcze wcześniej świeciło być może bez żadnych przerw. Niektórzy spośród moich studentów uważają, że większość gwiazd wygląda tak, jak nasze słońce, tyle że znacznie młodziej, i że wiele z nich ma planety, światy podobne do naszego. Chce pani ciemności, która nigdy ustaje, Ciemności, na której może polegać pajęczość? Droga pani Pedure, w niebie jest otchłań, która nigdy się nie kończy. -Tata gładko przeszedł do swojej ulubionej koncepcji podróży kosmicznych. Nawet najlepsi studenci tracili wątek, kiedy tata zaczynał o tym mówić; tylko garść szaleńców specjalizowała się w astronomii. Wszystko wydawało się tu poprzewracane do góry nogami. Dla większości ludzi twierdzenie, że światła równie stałe jak gwiazdy mogą być słońcami, było znacznie abstrakcyjniejsze niż większość religii.

Digby i wielebna Pedure słuchali z otwartymi paszczami wywodów taty, który z coraz większym zapałem rozwijał swoją teorię. Digby zawsze lubił część audycji poświęconą nauce, a teraz siedział jak zahipnotyzowany. Pedure z kolei... szybko otrząsnęła się z szoku. Albo słyszała to już wcześniej, albo uznała za pomysł niedorzeczny i niegodny jej uwagi.

Wskazówki zegara zawieszzonego na ścianie sali nagraniowej odmierzaly ostatnie minuty dzielące ich od orgii reklam, którymi zawsze kończyła się audycja. Wyglądało na to, że to tata będzie miał ostatnie słowo... Viki była jednak pewna, że wielebna Pedure obserwuje zegar uważniej

OTCHŁAŃ W NIEBIE

niż ktokolwiek inny w studiu, czekając na jakąś strategiczną, starannie wybraną chwilę.

I rzeczywiście, kilkanaście sekund później Pedure pochwyliła mikrofon i przemówiła na tyle głośno, by zagłuszyć słowa Sherkanera.

- Bardzo interesujące, ale kolonizacja przestrzeni między gwiazdami z pewnością leży poza możliwościami obecnego pokolenia.

Tata machnął lekceważąco rękami.

- Być może, ale...

Wielebna Pedure kontynuowała, pytając z akademickim zaciekawieniem:

- Więc wielka zmiana naszych czasów polega jedynie na podboju następnej Ciemności, tej, która kończy obecny cykl słońca?

- Zgadza się. My wszyscy - również wszyscy, którzy słuchają tej audycji - nie będziemy potrzebowali już otchłani. Wszystkie wielkie miasta otrzymają dość energii, by utrzymać odpowiednią temperaturę przez ponad dwa wieki - przez całą Ciemność. Więc...

- Rozumiem. Wiąże się to z wielkimi projektami budowlanymi, jakimiś kopułami, w których zamknięto by miasta?

- Tak. Potrzebne będą też odpowiednio duże farmy i...

- I to jest także jeden z powodów, dla którego chce pan stworzyć dodatkowe pokolenie dorosłych. Dlatego propaguje pan narodziny poza fazą.

- Och, niezupełnie. To po prostu jedna z cech nowej sytuacji...

- Zatem Akord wkroczy w nadchodzącą Ciemność z setkami milionów żywych ludzi. A co z resztą świata?

Tata zrozumiał wreszcie, że może mieć poważne kłopoty.

- Hm, ale inne zaawansowane technicznie kraje mogą zrobić to samo. Biedniejsze nacje będą miały swoje konwencjonalne otchłanie, a ich przebudzenie nadejdzie później.

Teraz głos Pedure dźwięczał twardo, jakby ta pewna już była wygranej.

- „Ich przebudzenie nadejdzie później”. Podczas Wielkiej Wojny cztery osoby pokonały najpotężniejszy kraj świata. W czasie następnej Ciemności będą ich miliony. To wygląda jak przygotowania do największej masakry w historii.

- Nie, to wcale nie tak. Nie zrobilibyśmy...

- Przykro mi, ale nasz czas dobiegł już końca.

- Ale...

Digby nie zważał na protesty taty.

- Dziękuję państwu za wizytę w studio... - ple, ple, ple.

Pedure wstała z miejsca, gdy tylko Digby oficjalnie zakończył audycję. Mikrofony zostały już wyłączone, Viki nie mogła więc słyszeć jej słów. Wielebna najwyraźniej wymieniała uprzejmości z prowadzącym. Tata miał bardzo niewyraźną minę. Kiedy wielebna Pedure przechodziła obok niego, poderwał się z grędy i ruszył za nią, coś jej tłumacząc i żywo gestykulując. Jedyną reakcją Pedure był uśmiech wyższości.

VERNOR VINGE

Tymczasem Didi Ultmot przesuwiała dźwignie, nagłaśniając najważniejszą część programu, reklamy. Wreszcie odwróciła się od pulpitu. Jej oblicze wyrażało zdumienie i zakłopotanie zarazem.

- Wiecie co, wasz tata ma naprawdę... dziwne... pomysły.

W głośnikach rozbrzmiały głośnie akordy - prawdopodobnie pajęcza muzyka - potem dołączyły do nich słowa.

- Ostre ręce to szczęśliwe ręce. Używajcie cynowych...

Reklamy były czasami najciekawszym punktem programów Radia Princeton. Odświeżacz pancerza, gładzik do oczu, nogawice - nazwy niektórych produktów miały nawet jakiś sens, w odróżnieniu od punktów sprzedaży. Inne wydawały się bezsensownymi zbitkami słów, szczególnie jeśli był to jakiś nieznaną do tej pory produkt, a przekładu dokonywał podrzędny tłumacz.

Tak właśnie było dzisiaj. Reung, Broute i Trbda siedzieli nieruchomo, odcięci od strumienia słów. Opiekunowie biegli już, by sprowadzić ich ze sceny. Dziś także tłum zgromadzony w saloniku Benny'ego zupełnie ignorował reklamy.

- Dzieci były zabawniejsze, ale...

- Słyszeliście, co mówił o lotach kosmicznych? Ciekawe, czy to wpłynęło na harmonogram. Jeśli...

Ezr nie zwracał uwagi na rozmowy. Nadal wpatrywał się w ścianę, nieświadom tego, co dzieje się wokół. Trucia wyglądała gorzej niż zwykle. Wydawało mu się, że widzi na jej twarzy złość i rozpacz. Często miał takie wrażenie, ale Reynolt twierdziła, że to zachowanie to nic innego, jak pragnienie szybkiego powrotu do pracy.

- Ezr? - Ktoś dotknął delikatnie jego ramienia. Qiwi. Podczas programu musiała wśliznąć się niezauważenie do saloniku. Robiła to już wcześniej, oglądała program zaszyta gdzieś w kącie, milcząca. Teraz miała czelność zachowywać się jak przyjaciółka. - Ezr, ja...

- Poczekaj. - Ezr odwrócił się od niej.

Patrzył więc prosto na Trixię, kiedy to się wydarzyło; opiekunowie usunęli Broute'a z pokoju. Kiedy prowadzili Xopi Reung obok Trixii, ta krzyknęła przeraźliwie, poderwała się z krzesła i zacisnąwszy pięści, uderzyła młodszą kobietę w twarz. Xopi odleciała do tyłu, wyrrywając się z uścisku opiekuna. Przez moment wpatrywała się w osłupieniu w krew płynącą z jej nosa, potem otarła twarz wierzchem dłoni. Tymczasem drugi technik pochwycił rozkrzyczaną Trixię, nim ta mogła znów zrobić komuś krzywdę. Słowa Trixii przedostały się jakoś na ogólny kanał audio.

- Zła Pedure! Giń! Giń!

- O Boże. - Trud Silipan poderwał się z miejsca i przepychał przez tłum w stronę wyjścia. - Reynolt się wścieknie. Muszę wracać do Hammerfest.

- Idę z tobą. - Ezr minął Qiwi i zanurkował do drzwi. W saloniku jesz-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

cze przez moment panowała pełna zdumienia cisza, potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie...

...ale Ezra był już wtedy daleko, ścigał Silipana. Szybko pokonali korytarz, zmierzając do słuz taksówek. Silipan zatrzymał się przy wejściu, wystukał coś na planerze, potem odwrócił się do Ezra.

- A wy dwaj czego chcecie?

Ezra obejrzał się przez ramię, zobaczył Phama Trinli, który także opuścił salonik Benny'ego, i ruszył za nimi.

- Muszę tam pójść, Trud - powiedział Ezr. - Muszę zobaczyć Trixię.

Trinli także wyglądał na zmartwionego.

- Czy to wpłynie jakoś na naszą umowę, Silipan? Będziemy musieli upewnić się...

- O cholera. Tak, trzeba się będzie nad tym zastanowić. Dobrze. Chodź. - Spojrzał na Ezra. - Ty nie. I tak w niczym nie pomożesz.

- Idę tam, Trud. - Ezr uniósł zaciśnięte pięści, napał całym ciałem na Silipana.

- Dobra, już dobra! Tylko nie wchodź nam w drogę. - Po chwili zamek służby zamrugał na zielono i wszyscy znaleźli się we wnętrzu pojazdu. - Taksówka! - zawołał głośno Silipan.

- Słucham pana?

- Jak najszybciej do Hammerfest. - Normalnie musieliby podać najpierw kody dostępu i cel podróży - najwyraźniej jednak automatyka rozpoznała głos i ton Truda.

- Tak jest. - Taksówka ruszyła gwałtownie z prędkością równą niemal jednej dziesiątej grawitacji. Silipan i jego towarzysze przypięli się do swych miejsc.

- Wpakowałem się w niezłe kłopoty. Reynolt powie, że byłem nieobecny na posterunku.

- A nie było tak? - Trinli siedział obok Silipana.

- Oczywiście, ale to nie powinno mieć znaczenia. Do diabła, jeden opiekun powinien wystarczyć dla całej tej bandy tłumaczy. Ale teraz wszystko spadnie na mnie.

- Czy Trixii coś się stało?

- Dlaczego Bonsol to zrobiła? - spytał Trinli.

- Nie mam pojęcia. Wiesz, że oni się kłócą i biją, szczególnie jeśli są specjalistami w tej samej dziedzinie. Ale to przyszło znikąd. - Silipan umilkł raptownie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swój wyświetlacz. Wreszcie oświadczył: - Wszystko będzie w porządku, wszystko będzie w porządku. Założę się, że dostawali jeszcze jakiś sygnał z dołu. Wiecie, włączony mikrofon, błąd inżyniera dźwięku. Może Underhill uderzył tego drugiego Pająka. Wtedy zachowanie Bonsol byłoby po prostu „odpowiednim przekładem”... Cholera!

Tym razem Silipan naprawdę się zaniepokoił, głośno rozważał różne możliwości i wyjaśnienia. Trinli zachowywał się tak, jakby w ogóle te-

VERNORVINGE

go nie zauważył. Uśmiechnął się szeroko i poklepał Emergenta po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Wiesz, że Qiwi Lisolet też ma w tym udział. To znaczy, że grupmistrz Nau też chce szerzej wykorzystywać fiksatów. Powiemy, że byłeś w kwaterach, bo musiałeś mi pomóc przy realizacji.

Taksówka zakręciła ostro, podchodząc do lądowania. Skały i Arach-na przesunęły się po niebie.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Nie widzieli wielebnej Pedure, wychodząc z gmachu radia. Tata był trochę przybity, uśmiechał się jednak i śmiał, kiedy dzieciaki mówiły mu, jak bardzo podobało im się jego wystąpienie. Nie zbeształ nawet Gokny za Dziesiątkę. W drodze powrotnej do Domu na Wzgórzu Brent siedział z przodu, obok taty.

Gokna i Victory nie rozmawiały zbyt wiele w samochodzie. Obie wiedziały, że wszyscy się oszukują.

Kiedy wrócili do domu, do kolacji zostały jeszcze dwie godziny. Służba kuchenna twierdziła, że generał Smith wróciła już z Dowództwa Lądowego i że powinna być na kolacji. Gokna i Viki wymieniły porozumiewawcze spojrzienia. *Ciekawe, co mama powie tacie.* Oczywiście nie zrobi tego przy wszystkich. *Emm. Więc co zrobimy z resztą popołudnia?* Siostry rozdzieliły się, penetrując samodzielnie spiralne korytarze Domu na Wzgórzu. Znały je na pamięć, wiedziały też, że część pomieszczeń - całkiem spora część - pozostaje zawsze zamknięta. Niektóre były tak pilnie strzeżone, że nigdy nie udało im się ukraść do nich kluczy. Generał miała tam swoje biura, choć najważniejsze rzeczy znajdowały się w Dowództwie Lądowym.

Viki zajrzała do gabinetu taty na parterze i do kafejki techników, nie zatrzymała się tam jednak długo. Przekonywała Goknę, że tata nie będzie się ukrywał, ale teraz uświadomiła sobie, że nie znaczy to jeszcze, iż łatwo go będzie znaleźć. Odwiedzała więc kolejne laboratoria, znajdując w nich typowe objawy jego bytności, studentów w różnych fazach zamyślenia i nagłego, zaskakującego olśnienia. (Studenci nazywali to „zasłepieniem Underhilla”; jeśli człowiek odchodził zamyślony i zaintrygowany, to tata prawdopodobnie powiedział mu coś wartościowego. Jeśli doznawał nagłego olśnienia, to prawdopodobnie tata oszukał jego i siebie jakimiś fałszywymi wnioskami).

Nowe laboratorium sygnałowe znajdowało się na samym szczycie domu, pod dachem najeżonym eksperymentalnymi antenami. Viki natknęła się na Jayberta Landersa, który właśnie stamtąd wracał. Kober nie przejawiał żadnych oznak „zasłepienia Underhilla”. Niedobrze.

- Cześć, Jaybert. Widziałeś moich...

- Tak, oboje są w laboratorium - odparł, wskazując ręką za siebie.

Aha! Viki nie ruszyła jednak od razu w tamtą stronę. Jeśli generał już tam była, to może uda jej się wcześniej zdobyć jakieś cenne informacje.

- Więc co się dzieje, Jaybert?

Oczywiście, Jaybert był przekonany, że Viki pyta o jego pracę.

- Fatalna sprawa. Założyłem dziś rano nową antenę na łączę z Do wództwem Lądowym. Najpierw wszystko ładnie się zestroiło, ale potem pojawiły się te piętnastosekundowe fragmenty, jakby na linii optycznej były dwie stacje. Chciałem spytać twojego ojca... - Viki szła z nim w dół schodów, przytakując jakimś niezrozumiałym uwagom o stopniach wzmożenia i kłopotach z zestrojeniem. Jaybert na pewno bardzo się ucieszył, że tak szybko udało mu się zdobyć zainteresowanie taty, ale Underhill musiał ucieszyć się jeszcze bardziej, miał bowiem wymówkę, by zaszyć się w laboratorium sygnałowym. A wtedy pojawiła się mama...

Viki zostawiła Jayberta przy jego gabinecie, sama zaś wspięła się na schody, tym razem podchodząc do bocznego wejścia laboratorium. Na końcu korytarza widniała jasna kolumna światła. Ha! Drzwi były uchylone. Viki słyszała głos mamy. Podkraǳła się ostrożnie do drzwi.

- ...po prostu nie rozumiem tego, Sherkaner. Jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem. Jak mogłeś zachować się jak ostatni idiota?

Victory Junior zawahała się na moment, omal nie wycofała się z ciemnego korytarza. Nigdy jeszcze nie słyszała mamy tak rozgniewanej. To... bolało. Z drugiej strony, Gokna dałaby wszystko, by usłyszeć jej relację, yiki przesunęła się odrobinę do przodu, przechyliła głowę, by zajrzeć do wnętrza pokoju. Laboratorium wyglądało niemal dokładnie tak, jak je zapamiętała, pełne oscyloskopów i nagrywarek. Z kilku urządzeń Jayberta zdjęto obudowy, najwyraźniej jednak mama pojawiła się w laboratorium, nim tata i jego uczeń zdążyli przystąpić do jakichś poważniejszych prac. Mama stała przed tatą, zasłaniając mu widok na drzwi.

- ...naprawdę było tak aż tak źle? - mówił tata.

-Tak!

Sherkaner Underhill jakby skulił się pod twardym spojrzeniem generała.

- Nie wiem. Dałem się podejść. Ta uwaga o małym Brennie. Wiedziałem, że powinienem się tego spodziewać. Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Rozmawiałem o tym nawet z Brentem. I mimo wszystko straciłem głowę.

Mama machnęła ręką, zbywając tę uwagę.

- To nie był wcale największy problem, Sherk. Zareagowałeś właściwie, jak zachowałby się każdy kochający ojciec. A kilka minut później dałeś się zwieść...

- Prócz astronomii mówiłem tylko o rzeczach, które i tak mieliśmy zamieścić w audycji w przyszłym roku.

- Ale powiedziałaś o wszystkich naraz!

- ...wiem. Pedure zachowywała się jak inteligentna, szczerze zadowolona osoba. Jak Hrunck albo ludzie z Domu na Wzgórzu. Zadała kilka

VERNORVINGE

interesujących pytań, a mnie poniosło. Ale wiesz co? Nawet teraz... w gruncie rzeczy ta Pedure jest bystra i elastyczna. Myślę, że gdybym miał dość czasu, mógłbym ją przekonać.

General roześmiała się ponuro.

- Boże w Głębiach, jakież z ciebie głupiec! Sherk... - Mama wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła taty. - Przepraszam. Zabawne, ale nie złoszczę się tak nawet na swoich podwładnych.

Tata przemówił do niej łagodnym tonem, jakim zwracał się do Rhapsy czy Małego Hrunka.

- Wiesz, dlaczego tak jest, kochanie. Kochasz mnie równie mocno jak siebie samą. I wiem, że też bardzo się martwisz.

- Tylko w środku, cicho i w środku. - Milczeli przez chwilę, a Viki pożałowała, że jednak nie zdecydowała się wcześniej wycofać. Kiedy jednak mama znów przemówiła, jej głos był całkiem normalny. - Oboje to popsuiliśmy. - Otworzyła swoją walizkę podróżną i wyjęła jakieś papiery. - W następnych latach „Dziecięca godzina nauki” miała przedstawić możliwości i zalety życia Ciemności. Wiedzieliśmy, że musimy się liczyć z konsekwencjami militarnymi, nie przypuszczaliśmy jednak, że nastąpi to tak szybko.

- Konsekwencje militarne?

- Na pewno z pogorszeniem sytuacji politycznej. Wiesz, że ta Pedure jest z Tiefstadtu.

- Jasne. Trudno nie rozpoznać jej akcentu.

- Dobrze się skrywa, po części dlatego, że to prawda. Wielebna Pedure jest klerykiem w Kościele Ciemności. Ale jest także agentem wywiadu Akcji Bożej.

- Kindred.

- Zgadza się. Od końca wojny mieliśmy dobre układy z Tieferami, ale Kindred zaczyna to zmieniać. Mają już pod kontrolą kilka mniejszych stanów. Są legalnym odłamem Kościoła, ale...

Daleko, w głębi korytarza ktoś zapalił światło. Mama podniosła rękę i zamarła w bezruchu. *Oj*. Może nie zauważyła drobnej sylwetki. Nie ruszając się z miejsca, Smith wyciągnęła długą rękę w stronę Viki.

- Junior! Zamknij drzwi i wracaj do swojego pokoju.

- Tak, mam - odparła Victory potulnie.

Kiedy zamykała drzwi, słyszała jeszcze ostatnie słowa mamy:

- Cholera. Wydaję pięćdziesiąt milionów rocznie na systemy bezpieczeństwa, a daję się podejść własnej córce...

W klinice w Hammerfest w tej chwili panował straszny tłok. Podczas poprzednich wizyt Phama był tutaj tylko Trud, czasami jeszcze jakiś inny technik i jeden lub dwóch „pacjentów”. Dzisiaj - cóż, większe zamieszanie mógłby wywołać tylko granat ręczny wrzucony między fiksatów, choć różnica nie byłaby zbyt wielka. Obie jednostki MRI były zajęte. Je-

OTCHLAŃ W NIEBIE

den z opiekunów przygotowywał Xopi Reung do badania; kobieta jęczała, próbowała mu się wyrwać. W kącie siedział związany Dietr Li - fizyk? - i mamrotał coś do siebie.

Reynolt wisiła głową w dół, zaczepiona czubkiem stopy u uchwyt na suficie, miała więc dobry widok na MRI, a nie przeszkadzała przy tym technikom. Nie odwróciła głowy, kiedy weszli do środka.

- Dobrze, indukcja zakończona. Zwiążcie jej ręce. - Technik wysunął swego pacjenta na środek pokoju. Była to Trixia Bonsol; rozglądała się dokoła, najwyraźniej nikogo nie rozpoznając, po czym nagle wybuchnęła płaczem.

- Zdefiksowaliście ją! - krzyknął Vinh, przepychając się obok Truda i Trinlego. Pham zaczepił but w ścianie i pochwycił go, wykonując wszystko jednym płynnym ruchem. Vinh zakręcił się w miejscu i uderzył o ścianę.

Reynolt spojrzała w jego stronę.

- Milcz albo wyjdź - powiedziała. Potem zwróciła się do Bila Phuonga. - Proszę wprowadzić doktor Reung. Chcę... - Pozostała część wypo wiedzi stanowiła żargon naukowy, którego nie rozumiał nawet Pham. Normalny biurokrata wyrzuciłby ich na zewnątrz. Annę Reynolt wcale to nie obchodziło, dopóki nie wchodzili jej w drogę.

Silipan powrócił do Phama i Vinha. Wydawał się przybity i posępny.

- Tak, zamknij się Vinh. - Spojrzał na wyświetlacz MRI. - Bonsol na dal jest zafiksowana. Przytłumiliśmy tylko trochę jej zdolności lingwistyczne. Łatwiej będzie nad nią zapanować. - Zerknął niepewnie na Bonsol. Kobieta zgięła się wpół na tyle, na ile pozwoliły jej więzy. Nadal szło chała rozpaczliwie.

Vinh próbował przez chwilę wyrwać się z uchwytu Phama, potem znieruchomiał, a jego ciałem wstrząsały tylko ledwie wyczuwalne dreszcze. Przez sekundę wydawało się, że zacznie histerycznie krzyczeć. W końcu jednak odwrócił tylko głowę od Bonsol i mocno zacisnął powieki.

W pokoju rozległ się donośny głos Tomasa Nau.

- Annę? Straciłem trzy nici analityczne, odkąd zaczął się ten przestój. Nie wiesz, czy...

Reynolt odpowiedziała mu niemal takim samym tonem, jakim zwracała się do Vinha.

- Daj mi Ksekundę. Mam tu co najmniej pięć przypadków ucieczki wirusa...

- Boże... informuj mnie o wszystkim, Annę.

Reynolt rozmawiała już z kimś innym. .

- Horn! Co się dzieje z doktorem Li?

- Zachowuje się racjonalnie, słuchałem go. Coś musiało się wydać rzyć podczas audycji i...

Reynolt przepłynęła przez pokój do Li, omijając jakoś wszystkich techników, fiksatów i urzędników.

VERNOR VINGE

- To dziwne. Fizycy nie powinni otrzymywać bezpośredniego prze kazu audycji.

Technik postukał w kartę przypiętą do bluzki Li.

- Z jego logu wynika, że słyszał tłumaczenie.

Pham zauważył, że Silipan przełknął ciężko. Czyżby to on był temu winny? Do diabła. Jeśli odsuną go od tej pracy, Pham straci kontakt z centrum fiksacji.

Reynolt jednak nadal nie dostrzegała swego technika. Pochyliła się nisko nad doktorem Li, słuchała przez chwilę jego mamrotania.

- Masz rację. Utknął na tym, co Pajaki mówiły o OnOff. W jego przy padku to nie jest ucieczka wirusa. Obserwujcie go uważnie i dajcie mi znać, kiedy zacznie się zapętlać.

Rozległy się kolejne głosy ze ścian, głosy fiksatów:

- ...Laboratorium na Strychu w dwudziestu procentach niesprawne... prawdopodobna przyczyna: międzyspecjalistyczne reakcje na strumień audio ID2738 „Dziecięca godzina nauki"... Niestabilności nie zostały jeszcze wytłumione...

- Słyszę was, Strych. Przygotujcie się do szybkiego zamknięcia. - Reynolt wróciła do Trixii Bonsol. Patrzyła przez chwilę na płaczącą kobietę, a jej spojrzenie wyrażało jednocześnie ogromne zainteresowanie i nieludzką obojętność. Odwróciła się nagle i odszukała wzrokiem Truda Silipana. - Ty! Chodź tutaj.

Trud natychmiast ruszył w stronę swej szefowej.

- Tak, proszę pani! - Choć raz w jego głosie nie krył się choćby cień pogardy czy ironii. Reynolt oczywiście nie znała takiego pojęcia jak ze msta, lecz jej werdykty stanowiły wytyczne dla Brughla i Naua. - Spraw dzałem efektywność tłumaczeń, proszę pani, jak dobrze rozumieją je oso by postronne - czyli klienci saloniku Benny'ego.

Reynolt nie słuchała jego tłumaczeń.

- Sprowadź drugi zespół. Chcę sprawdzić log doktor Bonsol. - Pochyliła się niżej nad Trixią i przyjrzała jej badawczo. Kobieta przestała już płakać. Jej ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki. - Nie wiem, czy uda nam się ją uratować.

Ezr Vinh poruszył się w uścisku Phama, przez moment znów wydawało się, że zacznie krzyczeć. Potem spojrział dziwnie na Phama i uspokoił się. Pham rozluźnił uścisk i poklepał go łagodnie po ramieniu.

Obaj patrzyli w milczeniu na to, co działo się w pokoju. Wprowadzano i wyprowadzano kolejnych „pacjentów”. Zdolności kilku z nich zostały sztucznie przytłumione, jak w przypadku Trixii. Po odłączeniu od MRI Xopi Reung zachowywała się podobnie jak ona. Przez kilka ostatnich wacht Pham miał mnóstwo okazji, by obserwować Silipana przy pracy i wyciągać od niego różne pożyteczne informacje. Udało mu się nawet zajrzeć do początkowego rozdziału podręcznika dotyczącego fiksacji. Dziś po raz pierwszy mógł zobaczyć, jak pracuje Reynolt i inni technicy.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Wydarzyło się tutaj coś naprawdę groźnego. Ucieczka wirusa. Zmagając się z tym problemem, Reynolt była bliższa prawdziwych ludzkich emocji niż kiedykolwiek w obecności Phama. Niektóre części zagadki zostały rozwiązane niemal natychmiast. Pytanie zadane przez Truda na początku debaty rozpoczęło poszukiwania wśród różnych specjalności. Dlatego tak wielu twarogłowych słuchało tłumaczenia na żywo. Ich analizy rozwijały się normalnie przez kilkaset sekund, kiedy jednak przekazano wyniki, doszło do przepięcia w komunikacji pomiędzy tłumaczami. Zazwyczaj służyła ona wzajemnej konsultacji, zestrajania słów, które wypowiadali głośno. Tym razem były to jakieś chaotyczne bzdury. Najpierw Trijria, a potem pozostali tłumacze zaczęli dryfować, chemia ich mózgu wskazywała na niekontrolowany wyciek wirusa. Do poważnych zniszczeń już doszło, nim Trbria zaatakowała Xopi Reung, to wydarzenie oznaczało jednak początek masowej ucieczki pleśni. Każda wiadomość przekazywana w sieci fiksatów wywoływała lawinę podobnych wycieków. Nim technicy w pełni zdali sobie sprawę z powagi sytuacji, około dwudziestu procent fiksatów zostało już dotkniętych ucieczką, w ich mózгах doszło do niekontrolowanego rozrostu wirusa, który zalewał je psychoaktywnymi i toksycznymi substancjami.

Twardogłowi z nawigacji byli całkowicie zdrowi. Szpiedzy Brughla zaatakowani zostali w umiarkowanym stopniu. Pham obserwował wszystkie poczynania Reynolt, starał się zapamiętać każdy szczegół, każdą wskazówkę. *Gdybym mógł zrobić coś podobnego z siecią wspierania LI, gdybym mógł unieszkodliwić ludzi Brughla...*

Annę Reynolt jakby była wszędzie. Wszyscy technicy zasięgaliby jej opinii. To ona uratowała większość fiksatów Ritsera; to ona doprowadziła do ponownego wznowienia działalności Strychu. Pham uświadomił sobie, że bez Annę Reynolt być może nie udałoby się niczego ocalić. W rodzimym układzie słonecznym tego rodzaju sytuacje stanowiły zapewne normalną rzecz. Tam istniały uniwersytety, z których czerpano materiał ludzki, setki klinik, w których fiksowano nowo stworzonych specjalistów. Tutaj, dwadzieścia lat świetlnych od cywilizacji Emergentów, sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Drobne niepowodzenia mogły nabrać niebezpiecznych rozmiarów... a bez pomocy jakiegoś nieprawdopodobnie kompetentnego zarządcy, bez Annę Reynolt, operacja Tomasa Nau mogła zakończyć się fiaskiem.

Mózg Xopi Reung przestał funkcjonować wkrótce po tym, jak wyciągnięto ją z MRI. Reynolt przerwała na chwilę pracę przy ponownym uruchamianiu Strychu, próbowała ratować tłumaczkę. Bez powodzenia. Sto sekund później pleśń zaatakowała pień mózgu Reung... a reszta nie miała już znaczenia. Reynolt jeszcze przez sekundę patrzyła na nieruchome ciało, marszcząc brwi. Potem kazała technikom wynieść je na zewnątrz.

Pham patrzył, jak technicy wnoszą z kliniki Trixię Bonsol. Nadal żyła, odprowadzała ją sama Reynolt.

VERNOR VINGE

Trud Silipan ruszył za nią do drzwi. Nagle jakby przypomniał sobie o dwóch towarzyszy. Gestem przywołał ich do wyjścia.

- Dobra, Trinli, koniec przedstawienia.

Twarz Silipana była blada i posepna. Bezpośrednia przyczyna ucieczki pleśni nadal pozostawała nieznana; musiała to być jakaś niejasna interakcja między fiksatami. Wykorzystanie sieci twarogłowych przez Silipana - pytanie zadane przezeń na początku debaty - powinno było być równie nieszkodliwe jak wykorzystanie zasobów informacyjnych. Trud miał jednak wyjątkowego pecha. Nawet jeśli jego pytanie nie wywołało wycieku, to było z nim mocno związane. Gdyby to Queng Ho badali tę sprawę, postępek Silipana byłby tylko dodatkową wskazówką. Niestety Emergenci definiowali grzech i winę w zupełnie inny sposób.

- Nic ci nie będzie, Trud?

Silipan wzruszył ramionami i gestem wyprosił ich z kliniki.

- Wracajcie do kwater... a ty dopilnuj, żeby Vinh dał na razie spokój swojej fiksacie. - Potem odwrócił się i ruszył za Reynolt.

Pham i Vinh przemierzali puste korytarze Hammerfest, śledzeni przez wszechobecne oczy szpiegów. Vinh milczał. W pewnym sensie dzisiejszy dzień był dlań najtragiczniejszy od wielu lat, prawdopodobnie od śmierci Jimmy'ego Diema. Jak na potomka w n-tym pokoleniu Ezr Vinh miał niepokojąco znajomą twarz. Przypominał Phamowi młodego Ratko; miał też sporo cech Sury. Nie była to miła myśl. *Może podświadomość próbuje mi coś powiedzieć... Tak.* Nie tylko w klinice, ale przez całą wachtę. Ten dzieciak często zerkał na niego... a spojrzenia te raczej wyrażały zaciekawienie niż pogardę. Pham sięgnął myślą wstecz, przypominając sobie zachowanie Trinlego. Z pewnością trochę ryzykował, tak mocno interesując się fiksacją. Podejrzone układy z Trudem stanowiły jednak dobry pretekst. Nie, nawet wtedy gdy stali w klinice, a umysł Phama był całkowicie skoncentrowany na Reynolt i Bonsol - nawet wtedy wyglądał tylko jak nieco oszołomiony, stary szarlatan, który martwi się jedynie o swoje interesy. A jednak ten młody Vinh jakoś go przejrzał. Jak? I co z tym zrobić?

Wyszli z głównego korytarza pionowego i ruszyli w dół korytarza, do śluz taksówek. Płaskorzeźby stworzone przez fiksatów były wszędzie, na sufitych, ścianach, podłogach. Miejscami diamentowe ściany miały zaledwie kilka centymetrów grubości. Błękitne światło - światło Arachny - sączyło się łagodnie przez kryształ, mocniejsze lub słabsze w zależności od głębokości rzeźby. Ponieważ diamenty w LI zawsze zwrócone były tą samą stroną do Arachny, natężenie światła nie zmieniało się od lat. Być może w innych okolicznościach Pham Nuwen zachwycałby się tą sztuką, lecz wiedział, jak ją stworzono. Wachta po wachcie przemierzał ten korytarz wraz z Trudem Silipanem i widział rzeźbiarzy pochylonych nad swą pracą. Nau i Brughel marnowali życie zwykłych fiksatów, by stworzyć to dzieło. Pham przypuszczał, że co najmniej dwoje z nich umarło już ze starości. Pozostali tak-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

że byli dziś nieobecni, być może kończyli rzeźby w mniejszych korytarzach. *Kiedy ja to przejmę, wszystko się zmieni.* Fiksacja była straszliwym narzędziem, którego należało używać tylko w naprawę krytycznych sytuacjach.

Przeszli bocznym korytarzem o ścianach wyłożonych drewnem. Korytarz ten prowadził do prywatnych kwater Tomasa Nau.

Była tam Qiwi Lin Lisolet. Usłyszała ich z dala czy widziała, jak wychodzą z kliniki? Tak czy inaczej, musiała czekać już od dłuższego czasu, stała bowiem stopami na podłodze, jak przy normalnej grawitacji planetarnej.

- Ezer, proszę. Możemy porozmawiać przez chwilę? Nigdy nie przy puszczałam, że te audycje...

Vinh leciał przed Phamem, zatopiony w myślach. Poderwał gwałtownie głowę, usłyszawszy Qiwi. Przez moment wydawało się, że nie zauważy jej i poleci dalej. Wtedy Qiwi przemówiła. Vinh odepchnął się od ściany, nurkując szybko w jej kierunku. Był to gest równie brutalny i wrogi, jak uderzenie pięścią w twarz.

- Hej, spokojnie! - krzyknął Pham i zmusił się do pozostania w miejscu, jakby nie potrafił podjąć szybko decyzji. Już raz zasadził się dzisiaj na tego chłopca, a tym razem sytuacja byłaby dla szpiegów aż nazbyt jed noznaczna. Poza tym Pham widział, jak Qiwi pracuje na zewnątrz. Miała lepszą kondycję niż ktokolwiek inny na LI, a do tego była urodzoną akrobatką. Może Vinh powinien dostać od niej porządną naukę i zrozumieć, że nie może wyładować gniewu na innych.

Lecz Qiwi nie bronila się, nawet nie drgnęła. Vinh wziął szeroki zamach i wymierzył jej siarczasty policzek, który odsunął ich od siebie na moment.

- O tak, porozmawiamy! - powiedział chrapliwym głosem. Znów odepchnął się od ściany, dogonił Qiwi i uderzył ją po raz drugi. I znów Qiwi się nie bronila, nie podniosła nawet ręki, by osłonić twarz.

A Pham Nuwen leciał do przodu, nim zdążył nawet pomyśleć o tym, co robi. Jakaś część jego umysłu śmiała się zeń, kpiła ze starego głupca, który ryzykował lata maskarady, by obronić jedną dziewczynę. Lecz ta sama część zagrzewała go do czynu.

Lot Phama zamienił się w pozornie niekontrolowany korkociąg, rozpędzony mężczyzna przypadkowo uderzył ramieniem w brzuch Vinha i rzucił go na ścianę. Pewien, że pozostaje w tej chwili poza zasięgiem którejkolwiek z kamer, Pham wbił łokieć w żołądek przeciwnika. Ułamek sekundy później Vinh uderzył tyłem głowy o ścianę. Gdyby nadal znajdowali się w korytarzu o ścianach z rzeźbionego diamentu, takie uderzenie mogłoby skończyć się tragicznie. Tu jednak Vinh był tylko lekko oszołomiony, bezwładnie odsunął się od ściany. Małe krople krwi odrywały się od jego głowy.

- Na przyszły raz wybierz kogoś równego sobie, Vinh! Tchórzliwe, nędzne robactwo. Wszystkie wasze Wielkie Rodziny są takie. - Gniew Pha-

VERNOR VINCE

ma był prawdziwy, lecz w dużej mierze Pham złościł się na samego siebie za to, że naraził na szwank swój kamuflaż.

Vinhowi powoli powracał rozsądek. Spojrzał na Qiwi, dryfującą cztery metry dalej w głąb korytarza. Dziewczyna także nań patrzyła, a jej twarz wyrażała dziwną mieszankę zdumienia i determinacji. Potem Vinh przesunął wzrok na Phama, a ten poczuł zimny dreszcz. Może kamery Brughla nie wychwyciły wszystkich szczegółów walki, ten dzieciak jednak dobrze wiedział, jak precyzyjnie obliczony był atak Phama. Przez moment obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, potem Vinh odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę śluz. Była to ucieczka zawstydzonego i pobitego człowieka. Pham widział w jego oczach coś jeszcze; będzie musiał coś zrobić z EzremVinhem.

Qiwi ruszyła za nim, ale zatrzymała się po kilku sekundach. Zawisła na skrzyżowaniu korytarzy, patrząc w kierunku, w którym odszedł Vinh.

Pham zbliżył się do niej. Wiedział, że powinien się stąd wynosić. Z pewnością obserwowało go już kilka kamer, a on nie był odpowiednim towarzyszem dla Qiwi. Co powiedzieć, by *móc* bezpiecznie odejść?

- Nie martw się, dzieciaku. Vinh nie jest tego wart. Nie będzie cię już niepokoił; obiecuję.

Dopiero po kilku sekundach dziewczyna drgnęła i odwróciła się do niego. Boże, była tak podobna do swojej matki; Nau niemal przez cały czas trzymał ją na służbie. Jej oczy wypełniały łzy. Nie widział żadnych skaleczeń ani krwi, ale na jej ciemnej skórze tworzyły się już siniaki.

- Naprawdę nie chciałam zrobić mu krzywdy. Boże, nie wiem, co zrobię, jeśli Trixia umrze. - Qiwi przejechała dłonią po krótko przyciętych ciemnych włosach. Dorosła czy nie, wyglądała na równie zagubioną jak pod czas pierwszych dni po „zdradzie” Diema. Była tak samotna, że zwierzała się nawet takiemu bufonowi jak Pham Trinli. - Kiedy... kiedy byłam małą, podziwiałam Ezra Vinha bardziej niż kogokolwiek we wszechświecie, z wyjątkiem moich rodziców. - Spojrzała na Phama i uśmiechnęła się boleśnie. - Tak bardzo chciałam, by dobrze o mnie myślał. A gdy zaatakowali nas Emergenci, kiedy Jimmy Diem zabił moją mamę i wszystkich innych... Wszyscy jesteśmy w bardzo małej szalupie. Nie możemy pozwolić sobie na więcej ofiar. - Potrząsnęła lekko głową. -Wiedziałaś, że Tomas nie schodzi ze służby od czasu masakry Diema? Przeżył wszystkie te lata, co do sekundy. Tomas jest taki poważny, taki pracowity. Wierzy w fiksację, ale jest otwarty na nowe pomysły. - Mówiła mu to, co chciała powiedzieć Ezrowi. - Salonik Benny'ego nie istniałby bez Tomasa. Nie istniałby handel ani żadne bonsai. Krok po kroku uczymy Emergentów zrozumienia dla naszego sposobu na życie. Któregoś dnia Tomas będzie mógł uwolnić mojego tatę, Trixię i wszystkich fiksatów. Któregoś dnia...

Pham chciał wyciągnąć do niej ręce i pocieszyć ją. Pham Nuwen był być może jedyną żyjącą osobą - oczywiście prócz samych morderców - która wiedziała, co naprawdę stało się z Jimmym Diemem, i która wie-

działa, co Nau i Brughel robią z Qiwi Lin Lisolet. Powinien był pożegnać ją jakąś prostacką odzywką i odejść, ale nie potrafił tego zrobić. Wisiał tylko w miejscu, zakłopotany i zasmucony. *Tak. Któregoś dnia. Któregoś dnia, moje dziecko, zostaniesz pomszczona.*

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Kwatery Ritsera Brughla i jego stanowisko dowodzenia znajdowały się na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. Często zastanawiał się, skąd Handlarze wzięli taką doskonałą nazwę, wyrażającą w dwóch słowach istotę służby bezpieczeństwa. „Niewidzialna ręka” była najmniej uszkodzonym spośród wszystkich okrętów Queng Ho i Emergentów. Kwatery załogi pozostały praktycznie nietknięte. Główny napęd mógł prawdopodobnie podtrzymać przez kilka dni ciąg równy 0,1 g. Po bitwie systemy łączności i zarządzania zostały przystosowane do standardów fiksacji. Tutaj, na „Niewidzialnej ręce”, Brughel czuł się jak Bóg.

Niestety, izolacja fizyczna nie zapewniała ochrony przed uciezką wirusa. Wyciek został wywołany emocjonalnym zachwianiem umysłu fiksatorów. To oznaczało, że mógł przenosić się poprzez sieć komunikacyjną, choć zwykle dotykał tylko ściśle współpracujących ze sobą twardogłowych. W domu takie wypadki były na porządku dziennym, dlatego też musieli mieć stały zapas nowych specjalistów. Tutaj, na tym zapomnianym przez Boga odludziu, wyciek stwarzał śmiertelne zagrożenie. Ritser zdał sobie z tego sprawę niemal równie szybko jak Reynolt, lecz nie mógł sobie pozwolić na wyeliminowanie tyłu twardogłowych naraz. Reynolt jak zwykle potraktowała jego ludzi jak towar drugiej klasy, ale jakoś sobie poradził. Podzielił szpiegów na małe grupy zarządzane niezależnie. Przekazywane przez nich informacje były poszatkowane, wymagały głębszej analizy. Nie przeoczyli jednak nic ważnego... a Brughel był pewien, że wkrótce nadrobia zaległości.

W ciągu pierwszych dwudziestu Ksekund stracił trzech szpiegów. Kazał Omo wyrzucić ich ciała, pozostałych zaś nie odrywać od pracy. Poleciał do Hammerf est, odbył długą naradę z Tomaszem Nau. Wyglądało na to, że Reynolt straci co najmniej sześćcioro ludzi, w tym dużą część działu tłumaczeń. Starszy grupmistrz był pod wrażeniem sprawności, z jaką Brughel opanował ucieczkę wirusa wśród swego personelu.

- Trzymaj swoich ludzi w pogotowiu, Ritser. Annę uważa, że tłumacze zbyt utożsamiali się z Pająkami podczas tej przekłętej debaty, że wyciek był eskalacją normalnych sporów twardogłowych. Może, ale debata tematycznie dość odbiegała od centrum fiksacji tłumaczy. Kiedy wszystko się już ustabilizuje, sprawdzisz wszystkie nagrania, sprawdzisz je co do sekundy. Może znajdziesz coś ciekawego.

VERNORVINGE

Po kolejnych sześćdziesięciu Ksekundach Brughel i Nau uznali, że krzyczs minął, przynajmniej dla fiksatów ze służby bezpieczeństwa. Grupsierżant Omo ponownie połączył szpiegów z ludźmi Reynolt, tym razem jednak poprzez buforowane łącze. Zabrał się też do szczegółowej analizy zapisów z krytycznych chwil. Przystój rzeczywiście zakłócił pracę ludzi działu Ritsera, choć tylko na krótką chwilę. Przez jakieś tysiąc sekund zupełnie stracili kontrolę nad bazą. Bliższe badania wykazały, że żaden sygnał nie wy dostał się poza bazę; nadal pozostawali w ukryciu.

W końcu Ritser musiał przyznać, że wyciek był po prostu nieszcześliwym wypadkiem. Analizując jednak materiał związany z tą sprawą, znaleźli kilka interesujących drobiazgów.

Ritser spędzał większość czasu na mostku „Niewidzialnej ręki”, skąd miał doskonały widok na cały masyw skalny LI i na Arachnę. Ponieważ jednak Ciret i Marli pomagali przywrócić porządek w Hammerfest, Brughel musiał dołączyć do osamotnionych Tana i Kala Omo, którzy zawiadywali ponad setką szpiegów.

- Vinh trzykrotnie przekroczył poziom alarmowy podczas tej wach ty, grupmistrzu. Dwa razy podczas ucieczki wirusa.

Podlatując do Omo, Ritser zerknął w dół na fiksatów pełniących służbę. Mniej więcej jedna trzecia z nich spała w swych miejscach. Pozostali byli zanurzeni w strumieniach danych, przeglądali zapisy i konsultowali je z twarogłowymi Reynolt zamkniętymi w Hammerfest.

- Dobra, więc co na niego macie?

- To jest analiza nagrania z kamery w laboratorium Reynolt i w korytarzu obok rezydencji grupmistrza Naua. - Poszczególne sceny przemyskały szybko przed jego oczami, podkreślone tam, gdzie szpiedzy widzieli jakieś interesujące przejawy języka ciała.

- Nic konkretnego?

Wąska twarz Omo wykrzywiła się w ponurym uśmiechu.

- Gdybyśmy byli w domu, byłoby tego aż nadto, ale tutaj, przy tym regulaminie...

- Jasne. - Regulamin stosowany przez grupmistrza na LI w Emergencji już dawno doprowadziły do jego upadku. Przez ponad dwadzieścia lat Tomas Nau pozwalał Handlarzom na łamanie prawa, co stanowiło też gorszący przykład dla jego podwładnych. Początkowo doprowadzało to Ritsera do wściekłości. Teraz... Teraz zaczynał go rozumieć. Tomas miał rację w wielu sprawach. Nie mogli pozwolić sobie na dalsze straty. Dając ludziom więcej swobody, pozwalając im spokojnie rozmawiać, zbierali cenne informacje, które mogli wykorzystać w przyszłości, kiedy wszystko wróci do normy. -Więc co tu macie ciekawego?.

- Analitycy Siedem i Osiem zwracają uwagę na ostatnie dwa wydarczenia. - Siedem i Osiem siedzieli na skraju pierwszego rzędu. Jako dzieci mieli pewnie normalne imiona, ale to było dawno temu, nim jeszcze znaleźli się w Akademii Policyjnej. Cywile mogli się bawić w jakieś fry-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wolne imiona i tytuły, tutaj jednak nikt nie miał czasu na podobne bzdury. - Vinh interesuje się czymś, co wzbudza u niego większe emocje niż zawyczał. Proszę spojrzeć na ten wykres.

Kolorowe wykresy nic nie mówiły Ritserowi, ale też jego zadaniem było kierowanie pracą policji, a nie wgłębienie się w jakieś analizy medyczne. Omo kontynuował:

- Przygląda się Trinlemu z wielką podejrzliwością. To samo powta rza się w korytarzu przy służach taksówek.

Brughel przejrzał szybko zapis wizyty Vinha w Hammerfest.

- Dobra. Bił się z Trinlim. Groził Trudowi Silipanowi. Boże... - Brughel nie mógł powstrzymać śmiechu - ...napadł na dziwkę Tomasa Nau. Ale mówiłeś, że przekroczenie poziomów alarmowych dotyczyło języka ciała i kontaktu wzrokowego?

Omo wzruszył ramionami.

- Widoczne zachowanie Vinha pasuje do jego problemów. I nie podpada pod regulamin.

Więc Qiwi Lisolet została spoliczkowana i to dosłownie na progu kwatery Tomasa. Ritser uśmiechał się od ucha do ucha. Od tyłu już lat Tomasa oszukiwał tę małą dzirę. Okresowe czyszczenie pamięci Lisolet stało się jasnym punktem w życiu Ritsera, szczególnie odkąd zobaczył jej reakcję na pewne nagranie wideo. Musiał jednak przyznać, że trochę zazdrości Tomasowi. On, Ritser Brughel, nie mógłby długo bawić się w taką maskaradę, nawet przy tych środkach. Kobiety Ritsera po prostu szybko się zużywały. Kilka lat temu musiał co jakiś czas prosić Tomasa o kolejne zabawki. W końcu wykorzystał wszystkie najatrakcyjniejsze spośród tych, które nie były im naprawdę potrzebne. Czasami dopisywało mu szczęście, jak w przypadku Flori Peres. Na pewno zauważyłaby luki w pamięci Qiwi; inżynier czy nie, musieli ją zabrać. Niestety, takie sytuacje należały do rzadkości... a Wygnanie miało się ciągnąć jeszcze przez długie lata. Brughel szybko odsunął od siebie te ponure myśli.

- Dobrze. Chcesz powiedzieć, że zdaniem Siódmego i Ósmego Vinh ukrywa coś, co wcześniej nie było obecne w jego świadomości, przynajmniej nie na tym poziomie intensywności.

W domu, w Emergencji, nie miałoby z tym żadnego problemu. Po prostu zajęliby się poważniej tym dupkiem i wyciągnęli z niego wszystkie odpowiedzi. Tutaj... cóż, mieli już szansę, by trochę go przycisnąć; nie dowiedzieli się prawie niczego. Za dużo Queng Ho miało efektywne bloki, zbyt wielu nie dało się właściwie zainfekować pleśnią.

Brughel jeszcze raz obejrzał wyróżnione fragmenty.

- Hmm. Myślicie, że domyśla się, że Trinli to naprawdę Zamle Eng? - Handlarze byli naprawdę szaleni; tolerowali różne formy zepsucia, nie nawidzili jednak jednego ze swych ludzi tylko dlatego, że ten handlował żywym towarem. Ritser skrzywił się z niesmakiem. *O Plaga. Jak daleko upadliśmy. Szantaż to broń, która przystoi grupmistrzom, ale dla ludzi takich*

VERNOR VINGE

jak Pham Trinli powinien wystarczyć zwykły terror. Raz jeszcze obejrzał materiał zgromadzony przez Omo. Nie był zbyt przekonujący.

- Czasami zastanawiam się, czy nie ustawiliśmy zbyt nisko progę czujności u naszych ludzi.

Omo sugerował to już od dawna. Grupsierżant był jednak zbyt inteligentny, by przypominać teraz o tym Brughlowi.

- To możliwe. Z drugiej strony, gdyby zarządcy nie mieli żadnych problemów do analizy, normalni ludzie staliby się niepotrzebni. -Wizja jednego grupmistrza rządzącego wszechświatem fiksatów była czystą fantazją. - Wie pan, czego bym naprawdę chciał, grupmistrzu Brughel?

- Czego?

- Żebyśmy mogli sprowadzić do Hammerfest lokalizatory Queng Ho. W tej chwili mamy gorszy sprzęt w naszych własnych kwaterach niż w przestrzeni Queng Ho. Gdyby to wszystko wydarzyło się tam, znalazłobyśmy ciśnienie krwi Vinha, jego puls... ba, gdyby lokalizatory znalazły się na jego głowie, mielibyśmy nawet EEG. Wykorzystując procesory sygnałowe Handlarzy i naszych fiksatów, mielibyśmy praktycznie czytać w jego myślach.

- Tak, wiem. - Lokalizatory Queng Ho stanowiły gigantyczny postęp w stosunku do poprzednich standardów bezpieczeństwa. W kwaterach Handlarzy krążyły setki tysięcy tych miniaturowych urządzeń - prawdopodobnie setki znajdowały się także w otwartych przestrzeniach Hammerfest. Musieli tylko przeprogramować system Hammerfest na impulsy mikrofal, a zasięg lokalizatorów natychmiast zostałby znacznie powiększony. Mogliby wreszcie zapomnieć o żmudnej analizie nagrań z ukrytych kamer i innych równie prymitywnych metodach. - Porozmawiam o tym jeszcze raz z grupmistrzem Nauem. - Programiści Annę badali lokalizatory Handlarzy od ponad dwóch lat, bezskutecznie szukając jakichś ukrytych pułapek.

A tymczasem...

- No tak, Vinh jest już w kwaterach Queng Ho, więc możecie wykończyć lokalizatory. - Uśmiechnął się chytrze do Omo. - Niech zajmie się nim jeszcze kilku twardegłowych. Zobaczmy, co wykaże szczegółowa analiza.

Ezr dotrwał już spokojnie do końca kryzysu. Z Hammerfest docierały regularne meldunki o aktualnej sytuacji. Wyciek pleśni został zahamowany. Prócz Xopi Reung zmarły jeszcze trzy zafiksowane osoby. Trzy kolejne były „poważnie uszkodzone”. *Ale Trixia została oznaczona jako „nieuszkodzona, przywrócona do służby”.*

W saloniku Benny'ego toczyła się zażarta dyskusja na temat przyczyn ucieczki. Rita twierdziła, że to przypadek losowy.

- W naszym sklepie na Balacrei takie wypadki zdarzały się co kilka lat; tylko raz udało nam się znaleźć przyczynę. To cena, którą płacimy za

OTCHŁAŃ W NIEBIE

utrzymywanie dużej grupy fiksatów. - Rita i Jau Xin obawiali się jednak, że ucieczka oznacza koniec transmisji tłumaczeń „Dziecięcej godziny nauki” i to w jakiegokolwiek formie. - Gonie Fong twierdziła, że to nie ma znaczenia, że Sherkaner Underhill przegrał swą dziwną debatę z Pedure, i że i tak nie będzie już czego tłumaczyć. Trud Silipan nie uczestniczył w dyskusji; nadal przebywał w Hammerfest, choć raz naprawdę pracując. Pham Trinli godnie go jednak zastępował, rozwijając teorię Silipana, że Trixia naśladowała prawdziwą walkę - i że to właśnie było przyczyną wycieku. Ezr słuchał wszystkiego w milczeniu, otepiały i obojętny.

Następny dyżur miał dopiero za czterdzieści Ksekund, ale wrócił wcześniej do swej kwatery. Wiedział, że minie sporo czasu, nim znów będzie miał ochotę odwiedzić salonik Benny'ego. Wydarzyło się tak wiele rzeczy, a wszystkie były wstydlive, bolesne albo niebezpiecznie tajemnicze. Unosił się w półmroku swego pokoju, dręczony obrazami z niedawnej przeszłości. Myślał o jednym problemie... potem uciekał do czegoś innego, równie straszliwego, uciekał znowu... by wreszcie wrócić do początku.

Qivi. To było najgorsze. Uderzył ją dwa razy. Mocno. *Gdyby Pham Trinli mnie nie powstrzymała, bilbym ją nadal?* Otwierała się przed nim straszliwa otchłań, której nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Jasne, zawsze się bał, że któregoś dnia popełni błąd, że może nawet zachowa się jak tchórz, ale... dzisiaj znalazł w sobie coś nowego, coś podłego i hańbiącego. *Qivi* pomogła wprowadzić Trixię do przedstawień. Jasne. Ale nie ona jedyna. Owszem, *Qivi* korzystała z opieki Tomasa Nau... ale, Boże, przecież była jeszcze dzieckiem, kiedy to wszystko się zaczęło. *Więc dlaczego na nią napadłem?* Bo kiedyś wydawało się, że naprawdę jej na tym zależy? Bo wiedział, że nie będzie się bronić? To właśnie powtarzał nieubłagany głos w głębi jego umysłu. W gruncie rzeczy Ezr Vinh może wcale nie był niekompetentny czy słaby, może był po prostu podły. Umysł Ezra tańczył wokół tej konkluzji, zbliżał się do niej coraz bardziej i bardziej, aż uciekł na bok, do...

Pham Trinli. To była prawdziwa tajemnica. Trinli dwukrotnie powstrzymał go dzisiaj od popełnienia jeszcze większego głupstwa i podłości. Bolesna rana na głowie przypominała mu o uderzeniu spowodowanym „nieudolnym” blokiem Trinlego. Ezr widział wcześniej Trinlego w publicznej siłowni. Stary obrońca ćwiczył dość często, ale jego ciało nie było w najlepszej kondycji. Nie miał też szczególnie dobrego refleksu. A jednak wiedział, jak się poruszać, jak odpowiednio kierować zdarzeniami. Wracając myślami do przeszłości, Ezr przypominał sobie sytuacje, w których Trinli zawsze znajdował się na właściwym miejscu... Park w kwaterach Queng Ho tuż po masakrze. *Co on właściwie wtedy powiedział?* Nie zdradził żadnego sekretu przed kamerami, nie przyciągnął nawet uwagi Ezra, a jednak obudził w nim jakąś pewność, że Jimmy Diem został zamordowany, że nie popełnił wcale zbrodni, o którą oskarżał go Nau. Pham robił wszystko głośno, dla siebie, nieudolnie, a jednak... Ezr analizował wszystkie szczegóły, drobne zdarzenia,

VERNOR VINGE

które mogły ujść uwagi innych. Może zrozpaczony poddawał się jakimś złudzeniom. Kiedy nie ma żadnej nadziei na pomyślne rozwiązanie, zaczyna się szaleństwo. A wczoraj coś w nim pękło...

Trixia. To właśnie była przyczyna bólu, wściekłości i strachu. Wczoraj Trixia była bardzo bliska śmierci, jej ciało udęczone i poskręcane jak ciało Xopi Reung. Może nawet gorzej... Przypomniawszy sobie jej twarz, kiedy wyszła z MRI. Trud powiedział, że przytłumiono czasowo jej zdolności lingwistyczne. Ale niewykluczone, że kłamał, tak jak kłamali Reynolt, Brughel i Nau. Może Trixia została jednak zdefiksowana na jakiś czas, ujrzała wreszcie rzeczywisty świat, zobaczyła, jak się postarzała, zrozumiała, że skradziono jej życie. *A ja pewnie nigdy się tego nie dowiem. Będę obserwował ją rok po roku, ws'ciekły, bezsilny... i bezczynny.* Musiał przecież w kogoś uderzyć, ukarać...

I znów powrócił do Qiwi.

Minęły dwie Ksekundy, cztery. Dość czasu, by powracać wielokrotnie do nierozwiązywalnych problemów i pytań. Kilkakrotnie doświadczał już wcześniej podobnego stanu. Czasami spędzał całą noc na próżnych i bolesnych rozmyśleniach. Czasami tak się tym męczył, że po prostu zasypiał - i to był koniec udreki. Dziś, wróciwszy po raz enty do tematu Phama Trinlego, Ezr rozżościł się na samego siebie. Być może oszalał, i co z tego? Jeśli mógł się tylko łudzić nadzieją ratunku, to dlaczego nie miałby tego robić? Vinh wstał i nałożył wyświetlacz. Kilkadziesiąt sekund zajęło mu spełnienie wszystkich procedur dostępu do biblioteki. Nadal nie mógł przyzwycząić się do prymitywnych interfejsów Emergentów. Po chwili jednak zapaliły się wokół niego okna z tekstem ostatniego raportu, który sporządzał dla Nau.

Co więc wiedział o Phamie Trinli? A właściwie co takiego wiedział on, a nie wiedzieli Nau i Brughel? Trinli był niezwykle sprawny w walce wręcz. I ukrywał tę umiejętność przed Emergentami, prowadził z nimi jakąś grę... A po dzisiejszym dniu musiał zrozumieć, że Vinh wie o tym.

Może Trinli był po prostu podstarzałym przestępcą, który próbuje wtopić się w otoczenie i przetrwać. Skąd w takim razie wiedziałby o lokalizatorach? Trinli ujawnił ten sekret Tomasowi Nau, dając mu tym samym niesamowitą władzę. Małeńkie urządzenia znajdowały się wszędzie. Choćby ta kropka na jego dłoni - mogła to być kropelka potu, ale i lokalizator. Mikroskopijne płatki donosiły szpiegom o pozycji jego ramion i palców, o każdym ruchu głowy. Nic nie mogło się teraz ukryć przed ludźmi Nau.

W bibliotece nie znalazł najmniejszej wzmianki o tych niezwykłych urządzeniach, nawet na najwyższych poziomach dostępu. PhamTrinli znał więc sekrety pochodzące z odległej przeszłości Queng Ho. I prawdopodobnie to, co powiedział Tomasowi Nau, było tylko przykrywką dla... no właśnie, dla czego?

Ezr zastanawiał się nad tym pytaniem przez dłuższą chwilę, lecz nie znalazł żadnej odpowiedzi. Myśl o człowieku. Pham Trinli. Stary wyja-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dacz. Znał ważne tajemnice spomad poziomu tajemnic floty Queng Ho. Najprawdopodobniej był świadkiem początków współczesnego Queng Ho, kiedy to Pham Nuwen, Sura Vinh i Rada Brisgo Gap dokonywali swego dzieła. Trinli był więc niezwykle stary w latach obiektywnych. Nie było to niemożliwe ani nawet szczególnie rzadkie. Długie podróże mogły przenosić Kupca przez tysiąc lat obiektywnego czasu. Rodzice Ezra mieli kilku przyjaciół, którzy chodzili jeszcze po Starej Ziemi. Jednak nieprawdopodobne wydawało się, by którykolwiek z nich miał dostęp do najniższych poziomów automatyki Queng Ho.

Nie, jeśli szalone rozumowanie Ezra tworzyło jakąś logiczną całość, to Trinli musiał być postacią znaną mu z kart historii. Kim?

Palce Vinha uderzały o klawiaturę. Jego obecne zadanie stanowiło dobry pretekst do pytań, które chciał zadać. Nau żądny był wszelkich informacji o Queng Ho. Vinh miał pisać dlań streszczenia i proponować kierunki badań prowadzonych przez twarogłowych. Choć Nau zawsze był miły i układny, Ezz dawno już rozumiał, że ten człowiek jest nawet bardziej szalony niż Brughel. Nau uczył się, by kiedyś rządzić.

Bądź ostrożny. Miejsca, do których chciał naprawdę zajrzeć, musiały jakoś wiązać się z tematem jego raportu. Przede wszystkim jednak powinien prowadzić poszukiwania chaotycznie, by szpiedzy Brughla nie mogli się domyślić, co jest prawdziwym obiektem jego zainteresowania.

Potrzebował listy mężczyzn Queng Ho budujących podstawy współczesnej floty, którzy żyli jeszcze w czasie, gdy ekspedycja kapitana Parka opuściła Triland. Lista skurczyła się znacznie, kiedy wyeliminował tych, którzy z pewnością znajdowali się wtedy z dala od tej części Ludzkiej Przestrzeni. Stała się jeszcze krótsza, gdy pozostawił tylko tych, którzy byli obechi w Brisgo Gap. Połączenie pięciu zmiennych boole'owskich, kilka komend lub uderzeń w klawiaturę - Ezz nie mógł sobie jednak pozwolić na taką prostotę. Każda zmienna była częścią innych poszukiwań, dotyczyła rzeczy, których naprawdę potrzebował do raportu. Wyniki rozsiane były na długich stronach analiz, nazwisko tutaj, nazwisko tam. Czasomierz zawieszony pod sufitem wskazywał, że zostało jeszcze piętnaście Ksekund do chwili, gdy ściany jego kwatery rozpalą się blaskiem świtu... ale miał już swoją listę. Czy mógł z niej cokolwiek wynioskować? Garść nazwisk, niektóre zupełnie mu nieznanne, inne nieprawdopodobne. Międzygwiazdna sieć Queng Ho stanowiła ogromny twór, w pewnym sensie największą strukturę w całej historii ludzkości. Była jednak również nieaktualna, zawarte w niej dane pochodziły sprzed dziesiątek, czasami setek lat. Nawet Queng Ho czasami okłamywali się nawzajem, szczególnie gdy chodziło o niewielkie odległości, a zamęt w danych mógł przynieść duże korzyści handlowe. Garść nazwisk. Ilu i jakich? Nawet zwykle przeglądanie listy musiało być bardzo powolne, inaczej szpiedzy z pewnością by to zauważyli. Niektóre nazwiska rozpoznawał od razu; Tran Vinh.²¹ wnuk Sury Vinh i męski założyciel tej gałęzi Rodziny Vinh, z której pochodził

VERNOR VINGE

Ezr; King Xen.03, główny obrońca Sury w Brisgo Gap. Xen nie mógł być Trinlim, miał bowiem tylko sto dwadzieścia centymetrów wzrostu i niemal tyle samo szerokości. Inne nazwiska należały do ludzi, którzy nigdy nie byli sławni. Jung, Trap, Park... *Park?*

Vinh nie potrafił ukryć zdumienia. Jeśli szpiedzy Brughla nadal go obserwowali, z pewnością nie uszło to ich uwagi. Te przeklęte lokalizato-ry wyczuwały prawdopodobnie jego puls, może nawet ciśnienie krwi. *Skoro i tak to widzą, odegraj komedię.*

- Boże Wszelkiego Handlu - wyszeptał Vinh, przywołując na okna obraz i bioinformacje. Wyglądało na to, że rzeczywiście był to S.J. Park, kapitan floty i dowódca wyprawy na gwiazdę OnOff. Ezr powrócił myślami do wspomnień z dzieciństwa, do swego pierwszego spotkania z kapi- 'tanem; tamten Park nie wydawał się bardzo stary... Właściwie niektóre biodane były dość niejasne. A zapis DNA nie pasował do późniejszego Parka. Hmm. To mogło zwieść Naua i Reynolt, ludzi spoza Queng Ho. Ezr znał jednak dobrze stosunki panujące w kupieckich Rodzinach i wiedział, że dzieje się tam wiele na pozór niewytłumaczalnych rzeczy. S.J. Park z Brisgo Gap - sprzed dwóch tysięcy lat - był kapitanem okrętu. Poróżnił się potem z Ratko Vinh. Doszło wtedy do jakiegoś skandalu związanego z nieudanym kontraktem małżeńskim. Dane nie mówiły nic konkretnego o tym, co działo się później z S.J. Parkiem.

Vinh sprawdził kilka oczywistych tropów, potem zrezygnował z poszukiwań, jakby znudzony już tą zaskakującą, lecz nie sensacyjną wiadomością. Pozostałe nazwiska na liście... sprawdzenie ich zajęło mu kilka kolejnych Ksekund, żadne jednak nie wyglądało znajomo. Wciąż powracał myślami do S.J. Parka i omal nie wpadł w panikę. *Jak dokładnie wróg może odczytywać moje reakcje?* Spojrzał na zdjęcia Trixii, poddał się dobrze znanemu bólowi; robił to często przed pójściem do łóżka. Tym razem łyzy były tylko zasłoną dla gorączkowych rozmyślań. Jeśli Park rzeczywiście był tym, za kogo go uważał, musiał mieć bardzo długą przeszłość. Nic dziwnego, że rodzice Ezra traktowali go znacznie poważniej niż jakiegoś młodego kapitana. Boże, on mógł nawet brać udział w wyprawie Phama Nuwen-na na drugą stronę. Po Brisgo Gap, kiedy Nuwen stał się bajecznie bogaty, wyruszył z wielką flotą na drugi koniec Ludzkiej Przestrzeni. Było to typowe zagranie Nuwena. Drugi kraniec Ludzkiej Przestrzeni odległy był co najmniej o czterysta lat świetlnych. Informacje handlowe dotyczące tego obszaru zdezaktualizowały się, nim flota dotarła na miejsce. Trasa podróży wiodła przez najstarsze rejony Ludzkiej Przestrzeni. Jeszcze przez długie stulecia sieć Queng Ho informowała o postępach floty księcia Can-berry, która na przemian rozrastała się, to znów kurczyła. Później wiadomości nadchodziły coraz rzadziej, często były niejasne lub wręcz nieprawdziwe. Nuwen prawdopodobnie nigdy nie dotarł do celu swej podróży. Jako dziecko Ezr często bawił się z przyjaciółmi w Zaginionego Księcia. Ta historia mogła mieć wiele różnych zakończeń, zarówno radosnych, jak

OTCHŁAŃ W NIEBIE

i tragicznych. Najprawdopodobniej uczestnicy wyprawy po prostu się zestarzelili, zagrożeni bankrutem sprzedali okręty gdzieś w odległym punkcie przestrzeni. Tak czy inaczej flota Nuwena nigdy nie wróciła.

Ale mogli wrócić niektórzy jej członkowie. Być może część osób zniechęciła się do tak długiej podróży, która na zawsze oddaliłaby ich od ich własnych czasów. Kto znał tożsamość tych właśnie ludzi? *Prawdopodobnie S.J. Park.* Prawdopodobnie S.J. Park wiedział, kim naprawdę jest Pham Trinli - i starał się zachować to w tajemnicy. Kto z ery Brisgo Gap mógł być tak ważny, tak dobrze znany...? S.J. Park był lojalny względem tego człowieka. Kto?

I wtedy Ezr przypomniał sobie, że kapitan Park osobiście wybrał nazwę dla swego okrętu flagowego. „Pham Nuwen”.

Pham Trinli. Pham Nuwen. Zaginiony księżę Canberra.

Więc jednak oszalałem. Wystarczyło sprawdzić kilka informacji z biblioteki, by definitywnie wykluczyć taką możliwość. Tak, ale to niczego by nie dowodziło; gdyby miał rację, sama biblioteka stanowiłaby subtelne kłamstwo. *Tak, jasne.* Właśnie takich rozpaczliwych halucynacji musi strzec się najbardziej. Przy zbyt dużych oczekiwaniach można wyciągać błędne wnioski z niepewnych przesłanek. *Ale przynajmniej trochę się uspokoiłem!*

Zrobiło się bardzo późno. Jeszcze przez chwilę patrzył na zdjęcia Trixii zatopiony w smutnych wspomnieniach. Wracał też myślami do ostatnich Ksekund. Wiedział, że będą jeszcze inne fałszywe alarmy, lecz miał przed sobą wiele lat, całe życie spokojnych poszukiwań. Znajdzie w końcu jakiś wyłom w murze, a wtedy nie będzie się musiał zastanawiać, czy nie jest to tylko wytwór jego chorej wyobraźni.

* * *

Nadszedł sen i koszmary wypełnione starym smutkiem, nowym wstydem i nowym szaleństwem. Po jakimś czasie wszystko ucichło. Ezr leżał pogrążony w spokojnej, pozbawionej wszelkich myśli otchłani.

I wtedy przyszedł następny sen, tak wyrazisty, że dopiero gdy się skończył, Ezr zaczął wątpić w jego realność. Małe światełka migotały przed jego oczami, lecz tylko wtedy, gdy trzymał powieki zamknięte. Gdy je otworzył, w pokoju jak zawsze panowała ciemność. Zamknął oczy, a światła znów zaczęły mrugać.

Małe punkciki mówiły do niego, przekazywały jakieś sygnały. Kiedy był bardzo młody, często się w to bawił, przeskakiwał ze skały na skałę podczas wycieczek w otwartą przestrzeń. Teraz ten sam wzór powtarzał się bez końca, a pogrążony w półśnie Vinh odczytał jego znaczenie bez najmniejszego wysiłku:

SKIN GŁOWA, JEŚLI MNTE ROZUMIESZ... SKIN...

Vinh jęknął głośno zaskoczony, a wzór natychmiast się zmienił:

MILCZ MILCZ MILCZ... przez długi czas. Potem kolejna zmiana:

VERNOR VINGE

SKIŃ GŁOWĄ, JEŚLI MNIE ROZUMIESZ... SKIŃ...

To było proste. Vinh poruszył głowę o ułamek centymetra.

DOBRCZE. UDAWAJ, ŻE ŚPISZ. ZAMKNIJ DŁON. WYSTUKUJ NA DŁONI.

Po wszystkich tych latach konspiracja nagle stała się taka łatwa. Wystarczy tylko udawać, że dłoń to klawiatura i wystukiwać na niej wiadomości do współspiskowców. Oczywiście! Jego dłonie znajdowały się pod przykryciem, więc nikt ich nie widział! Roześmiałby się głośno, tyle że to byłoby podejrzane. Teraz wiedział już z całą pewnością, kto przyszedł im na ratunek. Zamknął prawą dłoń i napisał:

WITAJ O POTĘŻNY KSIĄŻĘ. DLACZEGO CZEKAŁEŚ TAK DŁUGO?

Przez dłuższą chwilę nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Powoli zaczął zapadać w sen.

Wreszcie:

WIEDZIAŁEŚ JUŻ WCZEŚNIEJ? A NIECH MNIE. Kolejna długa pauza. PRZEPRASZAM. MYŚLAŁEM, ŻE JESTEŚ ZAŁAMANY.

Vinh skinął w myślach głową, dumny z siebie. Może któregoś dnia Qiwi mu wybaczy, Trixia wróci do życia i ...

ILU MAMY LUDZI? - wystukał do Księcia.

TAJEMNICA. TYLKO JA WTEM. KAŻDY MOŻE MÓWIĆ, ALE NIKT NIE ZNA NIKOGO INNEGO. Pauza. DO DZISIAJ.

Aha. Niemal idealna konspiracja. Członkowie mogli współpracować, ale nikt prócz księcia nie mógł zdradzić nikogo innego. Teraz wszystko będzie znacznie łatwiejsze.

JESTEM BARDZO ZMĘCZONY. CHCĘ SPAĆ. POROZMAWIAMY PÓŹNIEJ.

Pauza, Czy jego prośba była aż tak dziwna? Noc jest do spania.

DOBRCZE. PÓŹNIEJ.

Kiedy powoli opuszczała go świadomość, Vinh wtulił się głębiej w hamak i uśmiechnął do siebie. Nie był sam. I przez cały czas sekret znajdował się tak blisko, bliżej niż na wyciągnięcie ręki. Zdumiewające!

Nazajutrz Vinh obudził się wypoczęty i dziwnie radosny. Hm... Co mogło go wprowadzić w taki stan?

Wsunął się do torby prysznicowej i namydlił. Wczorajszy dzień był * tak posępny, tak wstydlivy. Gorzka rzeczywistość wracała do niego, choć zadziwiająco powoli. ...Tak, miał pewien sen. To nie było takie niezwykle, ale większość jego snów nosła ze sobą tylko ból i cierpienie. Vinh uruchomił suszenie i zawisł na chwilę w strumieniach ciepłego powietrza. Czego dotyczył ten sen?

Ach tak! Jeden z wariantów cudownej ucieczki, tym razem jednak nie skończył się źle. Nau i Brughel nie wyskoczyli z ukrycia w ostatniej chwili.

Więc jaka tym razem była ta sekretna broń? Ach, jak to we śnie, jakimś cudownym sposobem jego dłoń zamieniła się w łącze, przez które kontaktował się z głównym konspiratorem. Pham Trinli? Ezra zachichotał pod nosem. Niektóre sny są bardziej absurdalne od innych; dziwne tylko, że ten nadal wprawiał go w dobry nastrój.

Włożył ubranie i wyleciał na korytarz, rozpedzony odbijał się raz za razem od ścian, omijając tych, którzy poruszali się wolniej lub lecieli w przeciwnym kierunku. *Pham Nuwen. Pham Trinli.* Miliardy ludzi nosiły zapewne takie imię, setki okrętów zostały nazwane na cześć Phama Nuwena. Wspomnienia poszukiwań z poprzedniej nocy powoli przesaczyły się do jego umysłu, przypomniał sobie wszystkie szalone pomysły, które zaprzętały jego umysł, nim położył się do łóżka.

Lecz prawda o kapitanie Parku nie była snem. Nim dotarł do salonu, poruszał się już wolniej.

Ezra wpłynął powoli do środka, przywitał się przy drzwiach z Hunte Wenem. Wśród obecnych panował raczej pogodny nastrój. Ezra dowiedział się wkrótce, że Reynolt przywróciła do służby wszystkich zainfekowanych fiksatów. Pham Trinli siedział pod sufitem i rozprawiał głośno o przyczynach wystąpienia wycieku i sposobach jego zahamowania. To był właśnie Pham Trinli, z którym Ezra miał do czynienia przez kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund podczas każdej wachty od czasów zasadzki. Nagle sen i poszukiwania z poprzedniego wieczora zostały zredukowane do właściwej, zupełnie absurdalnej perspektywy.

Trinli musiał słyszeć, jak rozmawiał z Huntem. Stary oszust odwrócił się i przez chwilę patrzył na Vinha. Nic nie powiedział, nie skinął głową, nie zrobił nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia szpiegów. Lecz dla Ezra Vinha ta chwila trwała całą wieczność. W tej chwili zniknął stary Pham Trinli, gaduła i bufon, pojawił się ktoś o ogromnym autorytecie, ktoś, kto jednym spojrzeniem przypominał mu o rozmowie z minionej nocy. To nie był sen. Naprawdę nawiązali ze sobą łączność. A ten starzec naprawdę był zaginionym księciem Canberry.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

-Ale to pierwszy śnieg. Nie chcesz zobaczyć? - Victory uderzyła w błagalny ton, który nie robił wrażenia na nikim prócz tego jednego starszego brata.

- Już się bawiłaś w śniegu.

Jasne, kiedy tata zabrał ich w podróż na daleką północ.

- Ale Brent! To pierwszy śnieg w Princeton. W radiu mówili, że pokrył całe Poszarpańce.

Brent pochłonięty był swoją pracą, budowaniem coraz bardziej skomplikowanych konstrukcji z rurek, piast i profili. Sam nigdy by na-

VERNORVINGE

wet nie pomyślał o wymknięciu się z domu. Pracował jeszcze przez kilkadziesiąt sekund, ignorując Viki. Właściwie Brent traktował tak wszystkie nieoczekiwane zdarzenia. Dobrze radził sobie z rękami, myślenie przychodziło mu jednak powoli. Poza tym był bardzo nieśmiały - gburowaty, mówili czasem dorośli. Nie poruszył głową, Viki wiedziała jednak, że na nią patrzy. Jego ręce poruszały się nieprzerwanie wokół modelu, budując nowe struktury lub zmieniając stare. Wreszcie Brent powiedział:

- Mieliliśmy nigdzie nie wychodzić bez pozwolenia taty.
- Oj tam. Wiesz, że on jeszcze śpi. Ten poranek jest wyjątkowo zimny, ale nic nie zobaczymy, jeśli nie wyjdziemy już teraz. A o tatę się nie martw, zostawię mu wiadomość.

Gokna długo by się z nią spierała, zbijając każdy jej argument równie logicznym i sprytnym uzasadnieniem. Jirlib rozgniewałby się, słysząc taką propozycję. Brent nie spierał się jednak ani nie złościł. Jeszcze przez kilka minut pracował nad swoim modelem, część jego uwagi zajęta była Viki, część konstrukcją rosnącą pod jego rękami, część widokiem za oknem, gdzie ciągnęły się ośnieżone górskie szczyty. Ze wszystkich jej braci i siostr tylko on naprawdę nie chciałby tam pójść. Z drugiej strony był jedynym, którego udało jej się dzisiaj znaleźć, a wyglądał nawet poważniej niż Jirlib.

Po kilku kolejnych minutach oświadczył wreszcie:

- Cóż, dobrze, skoro tego chcesz. -Victory uśmiechnęła się w duchu; od początku pewna była zwycięstwa. Przechytrzenie kapitana Downinga mogło być trudniejsze, choć i tu nie spodziewała się większych problemów.

Był wczesny ranek. Promienie słońca nie dotarły jeszcze do ulic położonych poniżej Domu na Wzgórzu. Victory smakowała kryształowo czyste, zimne powietrze, każdy oddech, który przenikał jej klatkę piersiową delikatnym kluciem. Kwiaty i leśne wróżki nadal leżały zwinięte ciasno w gałęziach drzew; być może w ogóle nie zamierzały wyjść dzisiaj na zewnątrz. W szronie najzimniejszych zagłębień pojawiły się kryształowe robaki. Ci odważni, mali pionierzy nie mieli przed sobą długiego żywota -w zeszłym roku Viki przygotowywała audycję radiową na ich temat, wiedziała więc, jak wygląda ich rozwój. Te najmniejsze robaki mogły żyć tylko wtedy, gdy przez cały dzień temperatura utrzymywała się na odpowiednio niskim poziomie. Nawet gdy taka sytuacja stawała się normą, musiały minąć jeszcze sporo czasu, by się przystosowały.

Viki maszerowała szybko przez zimny poranek, bez trudu dotrzymując kroku starszemu bratu. O tak wczesnej porze ulice były niemal całkiem puste. Gdyby nie odgłosy dalekiej budowy mogłaby sobie wyobrazić, że są zupełnie sami, że miasto zostało opuszczone przez wszystkich mieszkańców. Próbowwała wyobrazić sobie, jak będzie to wyglądać w przy-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

szłości, kiedy będą mogli wychodzić na zewnątrz w najgorszych nawet warunkach, jak ich tata podczas wojny z Tieferami. Przez całą drogę w dół wzgórza Viki rozwijała tę ideę, dopasowując każdy element mroźnego poranka do swej fantastycznej wizji. Brent słuchał jej z uwagą, podsuwając od czasu do czasu pomysły, które zdumiałyby większość dorosłych przyjaciół taty. Brent wcale nie był taki tępy i miał naprawdę bujną wyobraźnię.

Poszarpańce znajdowały się w odległości trzydziestu mil od Domu na Wzgórzu, za wysokim zamkiem króla, po drugiej stronie miasta. Nie mogli nawet marzyć o tym, by dotrzeć tam na piechotę. Dziś jednak wielu ludzi wybierało się w góry najbliższe Princeton. Pierwszy śnieg zawsze stanowił okazję do zabaw i festynów, choć oczywiście trudno było przewidzieć, kiedy nadejdzie. Viki wiedziała, że gdyby synoptycy spodziewali się dzisiaj tak dużych opadów, tata wstałby wcześniej, a mama przyleciałaby z Dowództwa Łądowego. Wycieczka w góry stałaby się ważnym rodzinnym wydarzeniem, ale nie byłaby ani w połowie tak ekscytująca jak wyprawa na własną rękę.

Przedsmak przygody czekał ich już na dole wzgórza. Brent miał teraz szesnaście lat i był dość duży jak na swój wiek. Mógł uchodzić za dziecko z fazy. Często już wcześniej wychodził sam do miasta. Powiedział, że wie, gdzie zatrzymują się autobusy ekspresowe. Dzisiaj jednak nie kursowały żadne autobusy, na ulicach z rzadka tylko pojawiały się jakiegokolwiek samochody. Czyżby wszyscy już wyjechali w góry?

Brent maszerował od przystanku do przystanku, coraz mocniej poirytowany. Viki szła za nim w milczeniu, choć raz nie czyniąc żadnych sugestii; Brent miał o sobie tak niskie mniemanie, że rzadko przejawiał jakąkolwiek inicjatywę. Viki było bardzo przykro, gdy w takich sytuacjach okazywało się, że popełnił jakiś błąd. Po trzecim falstarcie Brent przysiadł w miejscu. Przez moment Viki myślała, że zamierza czekać na pustym przystanku aż do skutku - nie była to szczególnie miła perspektywa. Znajdowali się na zewnątrz już od godziny, a nie widzieli jeszcze nawet autobusu miejskiego. Może powinna jednak zająć się tym problemem... Po minucie jednak Brent wstał i ruszył na drugą stronę ulicy.

- Założę się, że robotnicy z Wielkiej Budowy nie dostali dzisiaj wolnego. To tylko o milę na południe stąd. Tam zawsze jeżdżą autobusy.

Ha. Właśnie to miała zaproponować Viki. Chwała cierpliwym.

Na ulicy nadal zalegał poranny cień. Tu i tam, w co ciemniejszych zagłębieniach szron był tak głęboki, że mógł właściwie uchodzić za śnieg. Szli przez zaniedbany, zapuszczony teren na którym rosły tylko jakieś kłącza i chwasty. W gorące, wilgotne dni pomiędzy sztormami roiłoby się tutaj od muszek i pijaków.

Po drugiej stronie ulicy ciągnęły się wielopiętrowe magazyny. Panowały tu cisza i bezruch, tylko ziemia drżała lekko, wstrząsana wielkimi maszynami Kopaczy. Przez bramę budowy wjeżdżały i wyjeżdżały cięża-

VERNORVINGE

rowki. Po jakimś czasie Viki i Brent stanęli przed ogrodzeniem, za którym mogli przebywać tylko pracownicy budowy. Viki pociągnęła starszego brata za rękę, namawiając go, by przeczołgali się pod ogrodzeniem.

- Hej, bez naszego taty nie byłoby tego wszystkiego. Mamy prawo to zobaczyć! - Brent nigdy nie przyjąłby takiej argumentacji, ale jego mała siostra była już po drugiej stronie ogrodzenia. Musiał iść, by ją ochraniać.

Przeczołgali się obok wysokich stosów stali zbrojeniowej i stert kamieni. To miejsce wydawało się dziwnie obce i niebezpieczne. W Domu na Wzgórzu wszystko było tak bezpieczne, tak uporządkowane... Tutaj znajdowały się setki intrygujących miejsc, w których ktoś nieostrożny mógłby stracić nogę czy oko. Ba, gdyby przewrócić jedną z tych wielkich płyt, zgniotłaby człowieka na miazgę. Wszystkie te przerażające i... ekscytujące wizje rysowały się jasno w umyśle Viki. Ostrożnie podkradli się na skraj kesonu, unikając spojrzeń robotników i okazji do spowodowania groźnego wypadku.

Krawędź kesonu zabezpieczona była tylko prowizorycznym sznurkowym ogrodzeniem. *Jeśli chcesz jeszcze żyć, nie spadaj stąd!* Viki i jej brat przyłgnęli mocniej do gruntu i wysunęli głowy ponad skraj przepaści. Musieli odczekać chwilę, aż ich wzrok przywyknie do ciemności. Fale rozgrzanego powietrza wędrujące w górę otchłani niosły ze sobą zapach palonego oleju i gorącego metalu, tak intensywny, że Viki kręciło się od niego w głowie. I dźwięki; krzyki robotników, zgrzyt metalu o metal, dziwne syczenie. Viki przesunęła się jeszcze trochę do przodu, opuszczając niżej głowę. W półmroku jarzyły się dziwne, niesamowite światła. Viki widziała już kiedyś małe lampy łukowe w laboratorium taty. Te były ogromne; rozpalone kolumny światła emitowały kolory, które można ujrzeć wyraźnie tylko na dysku słońca. Blask odbijał się od zakapturzonych robotników, lekko przygasał, to znów przybierał na sile... Obok płonęły także lampy elektryczne, które rzucały kręgi jednolitych barw w różnych punktach otchłani. Do Ciemności zostało jeszcze dwanaście lat, a tam w dole budowano całe miasto. Viki widziała kamienne aleje, ogromne tunele wydrążone w ścianach szybu. Wydawało jej się także, że od tych tuneli odchodzą mniejsze korytarze... przejścia do innych budowli? Domy i ogrody miały powstać dopiero w następnej kolejności, ale większość jaskiń została już wykopana. Spoglądając w dół, Viki doznawała całkiem nowego uczucia, naturalnej tęsknoty do bezpiecznego schronienia otchłani. Lecz to, co tworzyli ci robotnicy, było tysiąc razy większe od jakiegokolwiek zwykłej otchłani. Do przespania całej Ciemności wystarczyła odrobina miejsca w sadzawce i zapasy na pierwsze lata Jasności. Takie miejsca istniały już w miejskiej otchłani pod centrum starego miasta - i to istniały tam już niemal od dwudziestu pokoleń. Ta nowa konstrukcja miała służyć do życia, do aktywności. W niektórych miejscach, gdzie można było zapewnić odpowiednią izolację termiczną i dopływ powietrza, miasto powstawało

OTCHŁAŃ W NIEBIE

na poziomie gruntu. Gdzie indziej sięgało setki stóp w głąb ziemi, tworząc jakby odwrócony obraz budynków, które wznosiły się teraz na powierzchni Princeton.

Viki patrzyła i patrzyła, pograżając się w marzeniach. Do tej pory była to dla niej tylko odległa, niezbyt rzeczywista przyszłość. Mała Victo-ry czytała o tym, słyszała rozmowy rodziców i audycje radiowe na ten temat. Wiedziała, że wielu ludzi właśnie dlatego nienawidzi ich rodziny. Nienawidzono ich także za „pozafazową perwersję”, jak nazywali to ich najzagorzalsi przeciwnicy. Z tych dwóch powodów nie mogli wychodzić sami do miasta. Tata często mówił o ewolucji dokonującej się w ich czasach, o tym, jak ważne dla rozwoju cywilizacji jest stwarzanie nowych szans i zadań małym dzieciom. Problem w tym, że wcale nie stosował tego w praktyce. Zawsze gdy Viki chciała podjąć jakieś ryzyko, tata stawał się nadopiekuńczy i otaczał jej projekt kordonem bezpieczeństwa.

Viki uświadomiła sobie nagle, że chichocze z satysfakcją.

- Co? - spytał Brent.

- Nic. Pomyślałam tylko, że dzisiaj zobaczymy wreszcie prawdziwy świat, czy tacie się to podoba, czy nie.

Brent był wyraźnie zakłopotany. Ze wszystkich jej braci i sióstr on traktował zasady ustalane przez tatę najpoważniej i bardzo nie lubił ich łamać.

- Chyba powinniśmy już stąd iść. Na powierzchni są robotnicy i idą w naszą stronę. Poza tym, jak długo jeszcze będzie leżał ten śnieg?

Viki niechętnie podporządkowała się bratu i ruszyła jego śladem przez labirynt cudownie wielkich i masywnych rzeczy, które wypełniały skład przy placu budowy. W tej chwili nawet perspektywa jazdy po śniegu nie wydawała jej się taka kusząca.

Kiedy dotarli wreszcie na przystanek autobusowy, czekało ich tam spore zaskoczenie; w niewielkim oddaleniu od tłumu pasażerów stali Jir-lib i Gokna. Nic dziwnego, że nie mogła znaleźć ich dzisiaj rano. Wymknęli się bez niej! Viki szła spokojnie w ich kierunku, starając się zachować obojętną minę. Gokna uśmiechała się przemądrzale, jak to ona, Jirlib miał dość przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego. On i Brent, jako najstarsi z rodzeństwa, powinni zapobiec temu wyjściu. Wszyscy czworo zbili się w ciasną grupkę, odwrócili się od pełnych potępienia spojrzeń tłumu.

- Co tak późno? Nie mogliście wymknąć się strażnikom Downinga?
- ciche mamrotanie panny Przemądrzalskiej.

Viki:

- Nie przypuszczałam, że ty w ogóle ośmielisz się spróbować. I tak sporo już dzisiaj zrobiliśmy.

Panna Przemądrzalska:

- Na przykład co?

VERNOR VINGE

Viki:

- Na przykład byliśmy w Nowym Podziemiu.

Panna Przemądrzalska:

- Phi...

Jirlib:

- Zamknijcie się obie. W ogóle nie powinno was tu być.

- Ależ my jesteśmy gwiazdami radia, Jirlib - oświadczyła z dumą Gokna. - Ludzie nas kochają.

Jirlib przysunął się jeszcze bliżej i zniżył głos.

- Przestań. To prawda, że sporo ludzi lubi „Dziecięcą godzinę”, ale znacznie więcej chętnie uciszyłoby was na zawsze.

Prowadzenie audycji radiowej było najwspanialszą rzeczą, jaką robiła do tej pory Viki, ale od dyskusji z wielką Pedurą nie była już taka sama. Teraz, gdy wszyscy znali ich wiek, Viki czuła się tak, jakby nieustannie musiała coś udowadniać. Znaleźli nawet inne dzieci spoza fazy, ale żadne z nich nie nadawało się do radia. Viki i Gokna nie zaprzyjaźniły się z innymi koblikami, nawet z parą w ich wieku. To były dziwne, nieprzyjazne istoty, doskonale pasujące do stereotypu pozafazowych dzieci. Tata mówił, że to wina ich wychowania, lat spędzonych w ukryciu. To właśnie było najbardziej przerażające; Viki rozmawiała o tym tylko z Gokną, i to szeptem w środku nocy. A jeśli to Kościół miał rację? Może ona i Gokna tylko sobie wyobrażały, że mają dusze.

Przez chwilę wszyscy czworo stali w milczeniu, myśląc o tym, co powiedział Jirlib. Potem Brent spytał:

- Więc co tutaj robisz, Jirlib? -To pytanie zadane przez kogokolwiek innego byłoby zaczepką, wezwaniem do kłótni. Słowne utarczki pozostały jednak poza obszarem zainteresowań Brenta. On pytał ze zwykłej ciekawości, po prostu chciał znać przyczynę.

Dlatego właśnie jego słowa ugodziły Jirliba mocniej, niż mogłaby to zrobić jakakolwiek złośliwość.

- Um, ee... Jadę do centrum. W Muzeum Królewskim jest wystawa fosyliów Khelma... Ale to nie ja jestem tu problemem. Wyglądam dość poważnie, by uchodzić za dorosłego. - Tak było w istocie. Jirlib nie był może tak duży jak Brent, ale w szparach jego kurtki pojawiało się już ojcowskie futro. Viki nie zamierzała jednak pozwolić, by tak łatwo wykręcił się od odpowiedzi. Wyciągnęła rękę w stronę Gokny.

- Więc co to jest? Twój oswojony tarant?

Mała panna Przemądrzalska uśmiechnęła się słodko. Jirlib przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

- Wy dwie jesteście chodzącymi katastrofami, wiecie o tym? - Cie kawe, jak Gokna namówiła Jirliba, by wziął ją ze sobą? Pytanie to rozbudziło profesjonalną ciekawość Viki. Bez wątpienia to właśnie ona i Gokna w całej rodzinie potrafiły najlepiej manipulować ludźmi. Dlatego też czasem tak trudno było im się porozumieć.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nasza podróż ma przynajmniej poważny, naukowy cel - powiedziała Gokna. - A wy dokąd się wybieracie?

Viki machnęła rękami pożywiającymi przed twarzą siostry.

- My jedziemy zobaczyć śnieg. To bardzo pouczające doświadczenie.

- Ha! Przysznaj lepiej, że chciałaś się w nim wytarzać.

- Zamknijcie się. - Jirlib uniósł głowę i ogarnął spojrzeniem innych ludzi stojących na przystanku. - Wszyscy powinniśmy wracać do domu.

Gokna przybrała bardziej pojednawczy ton.

- Ale Jirlib, to byłoby jeszcze gorsze. Mamy kawał drogi do domu. Pojedźmy autobusem do muzeum... o popatrz, już jest. - Autobus nadjechał w idealnym momencie. - Kiedy tam dotrzemy, wszyscy ci śniegowi maniacy wrócą już do miasta i będziemy mogli pojechać autobusem prosto do domu.

- Hej, nie przyszedłam tu po to, żeby oglądać jakieś podrabiane skamieniałości! Chcę zobaczyć śnieg.

Gokna wzruszyła ramionami.

- No to masz pecha, Viki. Zawsze możesz wsadzić głowę do zamrażalnika, kiedy wrócimy do domu.

- Ja... - Viki widziała, że cierpliwość Jirliba już się wyczerpuje, poza tym nie miała żadnego dobrego argumentu. Wystarczyło teraz jedno słowo Brenta, a chcąc nie chcąc, musiałyby wracać do domu. - ...ee, doskonały dzień na wycieczkę do muzeum.

Jirlib uśmiechnął się kwaśno.

- Tak, a kiedy tam przyjedziemy, Rhapsa i Mały Hrunek już pewnie będą na nas czekać. - Gokna i Viki roześmiały się głośno. Rhapsa i Hrunek nie byli już małymi dziećmi, nadal jednak niemal przez cały dzień przebywali w towarzystwie taty. Wizja dwóch maluchów przechytrzających ochroniarzy mamy była zarazem zabawna i nieprawdopodobna.

Wszyscy czworo zbliżyli się do tłumu pasażerów i ostatni wsiedli do autobusu... A niech tam. We czwórkę na pewno byli bezpieczniejsi niż tylko we dwoje, a w Muzeum Królewskim nic im nie groziło. Nawet jeśli tata ich złapie, powiedzą, że nie podejmowali niepotrzebnego ryzyka. A będzie miała jeszcze wiele okazji, by zobaczyć z bliska śnieg.

* * *

Autobusy komunikacji miejskiej różniły się bardzo od samochodów i samolotów, którymi podróżowała do tej pory Viki. Tutaj panował tłok. Przez całą długość autobusu ciągnęły się sznurowe sieci - niemal takie jak w dziecięcych salach zabaw - rozwieszone co pięć stóp. Pasażerowie czepiali się ich rękami i nogami i zwisali pionowo na sznurach. Dzięki temu w autobusie mogło się zmieścić więcej ludzi, choć wyglądało to idiotycznie. Tylko kierowca miał prawdziwą grzędę.

Ten autobus nie byłby taki zatłoczony, gdyby wszyscy pasażerowie nie odsunęli się daleko od czwórki dzieci. *No i dobrze, niech się odsuwają.*

VERNOR VINGE

Me obchodzi mnie to. Viki przestała przyglądać się innym pasażerom i wyjrzała za okno. Ze względu na ogrom prac wykonywanych przy budowie podziemnego miasta brakowało środków na remonty niektórych ulic. Każda dziura i nierówność kołysała mocno obciążonymi sieciami - było to nawet zabawne. Potem nawierzchnia wyrównała się - wjeżdżali do najmodniejszej dzielnicy nowego centrum. Rozpoznawała niektóre napisy umieszczone na wysokich budynkach, korporacje takie jak Podziemna Moc czy Królewska Radiofonika. Niektóre spośród największych przedsiębiorstw w Princeton w ogóle by nie istniały, gdyby nie jej ojciec. Z dumą patrzyła na wszystkich ludzi wchodzących do tych budynków i wychodzących z nich. Tata był ważny dla wielu z nich, i to w dobry, kreatywny sposób. Brent przesunął się bliżej Viki i pochylił się do niej.

- Wiesz co, wydaje mi się, że ktoś nas śledzi. Jirlib także usłyszał te słowa i zeszytniał na sieci.

- Co takiego? Gdzie?

- Te dwa roadmastery. Jadą tuż za autobusem.

Przez sekundę Viki czuła zimny strach, a potem ogromną ulgę. Roześmiała się głośno.

- Pewnie wcale nikogo nie przechytrzyliśmy dziś rano. Tata po prostu pozwolił nam iść, a ludzie kapitana Downinga pilnują nas jak zawsze.

- Te samochody nie wyglądają jak nasze - odparł Brent.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Przystanek znajdował się obok Muzeum Królewskiego, tak że po wyjściu z autobusu Viki i jej rodzeństwo stanęli tuż pod schodami prowadzącymi do starego gmachu.

Przez chwilę Viki i Gokna milczały jak zakłete, wpatrując się w wielki kamienny łuk. Robiły kiedyś audycję o tym miejscu, nigdy jednak go nie widziały. Muzeum Królewskie miało tylko trzy piętra, nie dorównywało wysokością nowoczesnym budynkom. Lecz ten gmach był czymś więcej niż wszystkie drapacze chmur. Obok fortyfikacji muzeum należało do najstarszych, nienaruszonych konstrukcji na powierzchni Princeton. Już od pięciu pełnych cykli słońca pełniło funkcję najważniejszego muzeum Rodziny Królewskiej. Oczywiście w tym czasie budynek powiększył się o kilka mniejszych pomieszczeń, lecz zgodnie z tradycją ogólna forma musiała pozostać wierna wizji króla Długorękiego. Z zewnątrz budynek przypominał fragment odwróconego skrzydła samolotu. Ten aerodynamiczny łuk był wynalazkiem architektów, którzy żyli dwa pokolenia przed erą nauki. Stare budynki w Dowództwie Lądowym nie wyróżniały się przy tym niczym szczególnym, chroniły je przecież ściany głębokiej doliny. Przez chwilę Viki próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce tuż po przebudzeniu słońca; budynek tulił się do ziemi, smagany

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wiatrami pędzącymi z szybkością dźwięku, słońce prażyło go piekielnie gorącymi promieniami o barwach sięgających od ultra- do nadczerwieni. Więc dlaczego król Długoręki budował na powierzchni, w tak odsoniętym miejscu? By rzucić wyzwanie Ciemności i Słońcu, oczywiście. By wnieść się ponad głębię małych kryjówek i rządzić.

- Hej, wy dwie, zasnęłyście czy co? - poderwał je nagle głos Jirliba, który wraz z Brentem stał już przy wejściu do budynku. Dziewczynki szybko, bez słowa wspięły się na schody.

Jirlib szedł dalej, mrużąc do siebie coś o roztargnionych smarkulach. Brent został nieco z tyłu, utrzymywał jednak stałą odległość.

Weszli do mrocznego wejścia, zostawiając za sobą odgłosy miasta. Dwaj żołnierze z gwardii królewskiej pełnili straż w ciemnych niszach po bokach wejścia. Z przodu czekał prawdziwy strażnik - bileter. Starożytne ściany holu obwieszane były plakatami reklamującymi aktualne wystawy. Jirlib nic już nie mówił, kręcił się tylko podeksycytowany wokół „artystycznej wizji” fosyliów Khelma. Teraz i Viki zrozumiała, jakim to sposobem taka bzdura trafiła do Królewskiego Muzeum. Tematem sezonu w muzeum były „Pseudonauka we wszystkich swych odmianach”. Plakaty zapraszały więc na wystawy dotyczące szamanizmu otchłannego, samospalania, wideomancji i-ta da! - fosyliów Khelma. Jirlib jednak jakby nie zauważał, w jakim towarzystwie znalazło się jego ukochane hobby. Wystarczał mu tylko fakt, że muzeum wreszcie je uhonorowało.

Wystawy czasowe znajdowały się w nowym skrzydle. Sale miały tutaj bardzo wysokie sufity, a lustrzane rury rzucały na marmurowe podłogi złote odbicia słonecznego światła. W tej chwili byli całkiem sami, co jeszcze wzmacniało aurę niesamowitości, która wypełniała te wielkie, jasne pomieszczenia. Kiedy nie rozmawiali, nawet odgłosy ich kroków odbijały się echem od ścian. Odnosiło to większy skutek niż wszystkie tabliczki z prośbami o zachowanie ciszy. Viki z fascynacją przyglądała się wszystkim dziwnym eksponatom. Tata uważał, że takie rzeczy są zabawne - „jak religia, choć nie tak groźne”. Niestety Jirliba interesowały tylko jego własne dziwactwa. Nieważne, że Gokna zapomniała niemal o całym świecie, pochłonięta wystawą dotyczącą samospalania. Nieważne, że Viki chciała zobaczyć lśniące lampy obrazowe w sali wideomancji. Jirlib szedł prosto na wystawę fosyliów i nie zamierzał pozwolić swym siostram na jakieś samodzielne wycieczki.

Ach, cóż... Właściwie fosylia zawsze intrygowały Viki. Odkąd sięgała pamięcią, Jirlib był nimi zafascynowany; tutaj wreszcie mogli zobaczyć prawdziwe eksponaty.

Przy wejściu do sali znajdowała się ogromna wystawa diamentowych otwornic, sięgająca od sufitu aż do podłogi. Ile ton pyłu skalnego trzeba przesiać, by znaleźć tak doskonałe próbki? Typy skamieniałości starannie oznaczono zgodnie z różnymi teoriami naukowymi, lecz same kryszta-

VERNOR VINGE

łowe szkielety zostały umieszczone na płytkach za szklami powiększającymi; w blasku słońca iskrzyły się i migotały niczym diademem, bransolety i zdobione klejnotami peleryny. W porównaniu z tym zbiorem kolekcja Jirliba była niczym. Pośrodku sali znajdował się stół z mikroskopami, dzięki którym każdy zainteresowany mógł przyjrzeć się lepiej diamentom. Vi-ki popatrzyła przez okular. Widziała już takie rzeczy wiele razy, lecz te skamieniałości znajdowały się w idealnym stanie, a ich różnorodność wydawała się wręcz przytłaczająca. Większość była symetryczna w sześciu płaszczyznach, wiele jednak miało małe haczyki i wypustki, które zapewne pomagały żywym stworzeniom poruszać się w ich mikroskopijnym środowisku. Żadna z tych istot nie żyła już od ponad pięćdziesięciu milionów lat. Lecz w niektórych skałach osadowych warstwa diamentowych skamieniałości miała setki stóp grubości; na wschodzie diament był paliwem tańszym od węgla. Największe spośród tych stworzeń było niewiele większe od muchy, kiedyś jednak to właśnie one rządziły światem. Potem, przed jakimiś pięćdziesięcioma milionami lat - ba. Zostały po nich jedynie szkielety. Wuj Hrunknor mówił, że warto o tym pamiętać, kiedy realizuje się szalone pomysły taty.

- Chodźcie, chodźcie. - Jirlib mógł całymi godzinami przeglądać własną kolekcję skamieniałości. Dziś jednak poświęcił królewskiej wystawie niecałe trzydzieści sekund; napis na kolejnych drzwiach zapraszał do obejrzenia fosyliów Khelma. Wszyscy czworo w milczeniu ruszyli pospiesznym krokiem w tamtą stronę. Pojedynczy snop światła padał na stoły ustawione pośrodku sali. Ściany tonęły w ciemnościach rozpraszanych tylko tu i ówdzie przez małe, kolorowe lampki.

Weszli cicho do sali. Gokna pisnęła ze strachu. W mroku majaczyły jakieś postacie... o wiele wyższe niż nawet najwięksi dorośli. Stały na trzech długich nogach, wznosząc ręce i przednie nogi niczym gałęzie drzewa. Właśnie tak wyobrażał sobie istoty sprzed tysiącleci Chundra Khelm - wydawało się, że wystawa spełni więc wszelkie oczekiwania zwolenników jego teorii.

Viki przeczytała podświetlone napisy pod figurami i uśmiechnęła się lekko.

- Nieźle, co? - zwróciła się do swej siostry.

- Tak, nigdy nie przypuszczałam... - Potem i ona przeczytała opis. - Och, to tylko kukły.

- Nie kukły - odparł Jirlib - ale rekonstrukcja oparta na wykopaliskach. - Viki słyszała jednak rozczarowanie w jego głosie. Szli powoli przez ciemną salę, przyglądając się kolejnym postaciom. Przez kilka minut te dziwne kształty wydawały się kuszącą tajemnicą, niedostępną zwykłym śmiertelnikom. Znajdowały się tu wszystkie rasy opisane przez Khelma, w sumie ponad pięćdziesiąt modeli. Większość wykonano jednak dość nieudolnie, jakby zajmował się tym jakiś niedoświadczony lalkarz. Entuzjazm Jirliba przycisnął coraz bardziej przy każdym kolejnym opisie. Nie-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

które z nich były dość obszerne. „Rasy starsze od naszej o długie tysiąclecia... stworzenia, które prześladowały Arachnan starożytności... Najciemniejsze otchłanie być może nadal kryją ich potomstwo, z których kiedyś wyrośnie zguba naszej cywilizacji”. Ten ostatni napis znajdował się obok figury przypominającej ogromnego taranta szykującego się do ataku na zwiedzających. Wszystko to było jedną wielką kpina, czego domyśliłby się nawet najmniejszy braciszek i siostrzyczka Viki. Chundra Khelm przyznawał, że ślady jego „zaginionej cywilizacji” znajdują się pod warstwą skamieniałości. Gdyby tak było, te legendarne istoty wyginęłyby co najmniej przed pięćdziesięcioma milionami lat - na długo przed tym, nim pojawili się najstarsi proto-Arachnanie.

- Myślę, że oni się z tego wyśmiewają, Jirl - powiedziała Viki. Tym razem jednak wcale nie chciała dokuczyć starszemu bratu. Nie lubiła, kiedy obcy ludzie kpili z jej rodziny, nawet jeśli robili to nieświadomie.

Jirlib westchnął ciężko.

- Tak, masz rację. Im dalej w głąb sali, tym bardziej starają się być zabawni. Cha, cha. - Zatrzymał się przy ostatnim napisie. - Ba, nawet przy znają się do tego! Patrz, co tu napisali: Jeśli doszłicie do tego miejsca, rozumiecie już, jak niedorzeczne są hipotezy Chundry Khelma. Czym jednak są fosylia Khelma? Mistyfikacją na niespotykaną dotąd skalę? Czy jakimś rzadkim fenomenem skał metamorficznych? Osąd należy do was...”. - Jirlib umilkł raptownie, ujrawszy jasno oświetloną grupę skał pośród ku sali, zakrytą do tej pory przez regał z eksponatami.

Jirlib znalazł się przy niej jednym długim skokiem. Drżąc z podniecenia, oglądał wielkie kryształy. Każdy z nich wystawiony był oddzielnie, doskonale widoczny we wszystkich kolorach światła słonecznego. Właściwie te odłamki skalne wyglądały jak nieoszlifowane kawałki marmuru. Jirlib westchnął, tym razem jednak z podziwu.

- To są prawdziwe fosylia, chyba najlepsze prócz tych, które znalazł sam Chundra Khelm.

Gdyby je wyszlifować, niektóre kryształy nawet stałyby się ładne. Kryły się w nich ciemniejsze plamy i wstęgi przypominające barwą raczej podstawową formę węgla niż marmur. Wysiliwszy odrobinę wyobraźnię, można było ujrzeć w nich regularne kształty, nieco powykręcane i wykrzywione. Nadal jednak nie przypominały niczego, co kiedyś mogło żyć. Po drugiej stronie wystawy znajdował się kryształ pocięty starannie na plastry grubości jednej dziesiątej cala, tak cienkie, że przeświecało przez nie słońce. Ponad setkę takich plastrów, ustawionych w odległości kilku dziesiątych cala od siebie, umocowano na stalowej ramie. Obserwator stojący tuż obok ramy i przesuwający głowę w górę i w dół mógł się przekonać, jak ów ciemny kształt ułożony jest we wnętrzu kryształu. Było to naprawdę piękne. Jirlib stał z głową przy ramie, przesuwając się tylko na boki, by zajrzeć do wszystkich szpar.

- To było kiedyś żywe. Wiem to, wiem to na pewno - powtarzał. -

VERNOR VINGE

Milion razy większe od jakiegokolwiek owada, ale oparte na tych samych zasadach. Gdybyśmy tylko mogli zobaczyć, jak to wszystko wyglądało wtedy, przed katastrofą. - Powtarzali to wszyscy zwolennicy teorii Khel-ma - ale ta rzecz była prawdziwa. Nawet Gokna nie mogła się od niej oderwać; Viki musiała długo czekać na swoją kolej. Obeszła powoli całą grupę skał, obejrzała kilka widoków pod mikroskopem, przeczytała pozostałe opisy. Według autorów wystawy te kryształy stanowiły jedno z najlepszych próbek fosyliów na całym świecie. Viki pomyślała, że to powinno zniechęcić biednego Jirliba bardziej niż idiotyczne figurki i prześmiewcze napisy. Nawet jeśli rzeczywiście były to kiedyś żywe stworzenia, to z pewnością nie pozostawiły żadnego śladu swej inteligencji. Jeśli istoty sprzed milionów lat miały być tym, czym chciał je widzieć Jirlib, ich osiągnięcia powinny zdumiewać. Więc gdzie się podziały ich maszyny, ich miasta?

Westchnienie. Viki odsunęła się cicho od Gokny i Jirliba. Oddaliła się od nich kilkanaście kroków, ci jednak byli tak pochłonięci przezroczystym kamieniem, że w ogóle tego nie zauważyli. Może udałoby jej się wymknąć do sąsiedniej sali, by obejrzeć wystawę wideomancji. Wtedy zobaczyła Brenta. Ten wcale nie zaprzętał sobie głowy wystawą. Przyciął się za wielkim stołem w rogu sali, tuż obok wyjścia, do którego zmierzała Viki. Nie zauważyłaby go, gdyby nie jego oczy błyszczące w kolorowym świetle lamp. Ze swej kryjówki Brent mógł widzieć oba wejścia i jednocześnie obserwować ich poczynania przy głównych stołach.

Viki pomachała doń i ruszyła do drzwi. Brent nie poruszył się ani jej nie zawołał. Może bawił się w jakieś podchody albo rozmyślał o swoich zabawkach budowlanych. Może nie będzie próbował jej zatrzymać, aż zniknie mu z widoku. Viki przeszła pod wysoko sklepionym łukiem do sali wideomancji.

Wystawa zaczynała się od obrazów i mozaik sprzed wielu pokoleń. Idee związane z wideomancją sięgały daleko w przeszłość, do starożytnych przesądów, które głosiły, że jeśli ktoś stworzy doskonały obraz swego przeciwnika, zdobędzie nad nim władzę. To przekonanie inspirowało wielu artystów, doprowadziło do stworzenia nowych barwników i nowych sposobów mieszania farb. Lecz nawet teraz najdoskonalsze obrazy były tylko cieniem tego, co mogły zobaczyć oczy Pająków. Współczesna wideomancją głosiła, że nauka może stworzyć obraz doskonały i zrealizować w ten sposób odwieczne marzenia. Tata uważał, że wideomancją to jedna wielka bzdura.

Viki szła między wysokimi stojakami ze świecącymi lampami obrazowymi. Setki krajobrazów, zamglonych i niewyraźnych... lecz najbardziej zaawansowane technicznie lampy pokazywały kolory, które można zobaczyć tylko w słońcu i najlepszych laboratoriach. Z roku na rok lampy ulepszano. Ludzie zaczęli nawet mówić o radiu obrazkowym. Ten pomysł naprawdę fascynował Małą Victory - choć oczywiście cała ta gadanina o kontrolowaniu umysłów to absurd.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Gdzieś z drugiej strony sali dobiegły ją strzępy jakiejś rozmowy, dziecięcy szebiot przypominający głosy Rhapsy i Małego Hrunka. Viki zniechęciła się ze zdumienia. Minęło kilka sekund... a w przeciwległym wyjściu ukazała się dwójka dzieci. Viki przypomniała sobie sarkastyczną prognozę Jirliba, że spotkają tu również Rhapsę i Hrunka. Przez moment myślała, że rzeczywiście miał rację. Lecz nie, do sali weszła dwójka nieznanymi jej dorosłych, a dzieci były nieco młodsze niż jej mały brat i siostrzyczka.

Viki pisnęła coś w podnieceniu i ruszyła w głąb sali, w stronę dzieci. Dorosli - rodzice? - zastygli na moment, potem porwali dzieciaki i ruszyli spiesznie do wyjścia.

- Proszę zaczekać! Halo, proszę zaczekać! Chcę tylko porozmawiać.
- Viki zwolniła krok i podniosła ręce w przyjaznym uśmiechu. Widziała, że Gokna i Jirlib oderwali się wreszcie od wystawy fosyliów i patrzą ze zdumieniem w jej stronę.

Rodzice zatrzymali się, powoli ruszyli z powrotem. Zarówno Gokna, jak i Viki na pierwszy rzut oka wyglądały na dzieci spoza fazy. To chyba ośmieliło nieznanym bardziej niż cokolwiek innego.

Rozmawiali przez kilka minut, wymieniając uprzejmości. Trenchet Suabisme zajmowała się planowaniem w przedsiębiorstwie budującym Nowe Podziemie; jej mąż był tam badaczem.

- Wydawało nam się, że dziś jest dobry dzień na wycieczkę do muzeum, bo prawie wszyscy wyjechali w góry, na śnieg. Wy też mieliście taki plan?

- O tak - odparła Gokna; w przypadku jej i Jirliba była to może nawet prawda. - Cieszymy się jednak bardzo, że mogliśmy poznać państwa i... i państwa dzieci. Jak się nazywają? - Czuli się naprawdę przedziwnie, poznawszy ludzi, którzy wydawali im się bliżsi niż ktokolwiek prócz członków własnej rodziny. Trenchet i Alendon najwyraźniej doświadczyli tego samego uczucia. Dzieci kręciły się zniecierpliwione w ich ramionach, nie chcąc powrócić na grzbiet Alendona. Po kilku minutach rodzice posadzili je z powrotem na podłodze. Dzieci natychmiast wskoczyły na ręce Gokny i Viki. Bez ustanku wydawały z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki, rozglądały się dokoła z podnieceniem swymi dziecięcymi oczyma. To, które wspięło się na Viki - była to zdaje się Alequere - nie mogło mieć więcej niż dwa lata. Viki stwierdziła z zaskoczeniem, że Rhapsa i Mały Hrunk nie wydawali jej się kiedyś tacy słodcy. Ale kiedy oni mieli dwa lata, Viki miała dopiero lat siedem i nadal starała się całkowicie zajmować sobą rodziców. Ta para w niczym nie przypominała ponurych, gburowatych dzieci spoza fazy, które poznawali do tej pory.

W największe zakłopotanie wprawiła jednak Viki reakcja dorosłych, kiedy ci dowiedzieli się, kim są ich rozmówcy. Trenchet Suabisme była naprawdę zszokowana.

- Właściwie powinnam się była tego domyślić. Kim innym mogliby-

VERNORVINGE

ście być?... Wiecie, kiedy byłam nastolatką, słuchałam waszych programów radiowych. Wydawałyście się tak okropnie młode, jedyne dzieci spoza fazy, jakie kiedykolwiek słyszałam. Naprawdę bardzo lubiłam ten program.

- Tak - zgodził się z nią Alendon. Uśmiechnął się, kiedy Alequere wsunęła się do bocznej kieszeni w kurtce Viki. - Dzięki temu, że wiedzie liśmy o waszym istnieniu, sami zdecydowaliśmy się z Trenchet na dzieci. Nie było łatwo; straciliśmy pierwsze pierścienie. Ale kiedy wyrastają im już oczy, są naprawdę cudowne.

Dziecko popiskiwało radośnie, badając zakamarki ubrania Viki. Wreszcie wysunęło głowę, wymachując rękami pożywiającymi. Viki odwróciła się do tyłu, by połaskotać maleńkie ręce. Świadomość, że ktoś jednak słuchał ich audycji i zrozumiał przesłanie taty, napełniała ją ogromną dumą, ale...

- To smutne, że nadal musicie państwo unikać tłumów. Chciałabym, żeby takich ludzi jak wy było znacznie więcej.

Nieoczekiwanie Trenchet zachichotała.

- Czasy się zmieniają. Coraz więcej ludzi wierzy w to, że nie będzie my spać podczas Ciemności. Zaczynają rozumieć, że niektóre zasady muszą się zmienić. Będziemy potrzebować dorosłych dzieci, które pomogą nam dokończyć budowę. Znamy jeszcze dwie pary w Nowym Świecie, które chcą mieć dzieci spoza fazy. - Poklepała męża po ramionach. - Nie będziemy sami.

Viki ogarnęła ogromny entuzjazm. Alequere i drugi koblik - Birbop? - byli równie mili jak Rhapsa i Mały Hrunk, ale także inni. Teraz może wreszcie poznają więcej normalnych dzieci w swoim wieku. Viki czuła się tak, jakby otworzyła okno w ciemnym pokoju i ujrzała wszystkie kolory słońca.

Szli powoli w dół sali wideomancji, zatopieni w rozmowie. Gokna uważała, że Dom na Wzgórzu powinien stać się miejscem spotkań rodzin z dziećmi spoza fazy. Viki podejrzewała, że pomysł ten nie przypadnie do gustu tacie ani mamie, choć z różnych powodów. Ogólnie jednak... można opracować jakiś plan; byłoby to pożądane z wielu względów. Viki została nieco w tyle, nie zwracała już większej uwagi na dyskusję. Pochłaniało je zabawianie małej Alequere. Musiała przyznać, że opiekowanie się koblikiem to zajęcie znacznie przyjemniejsze od jazdy na śniegu.

Potem usłyszała stukot licznych stóp o marmur, kroki kilku osób. Czterech? Pięciu? Zbliżyły od strony tych samych drzwi, przez które przeszła przed chwilą Viki. Ktokolwiek by to był, czekał go interesujący widok - sześcioro dzieci spoza fazy, od niemowląt do niemal dorosłych nastolatków.

Czterej spośród nowo przybyłych, dorośli z obecnego pokolenia, dorównywali posturą potężnym ochroniarzom mamy. Nie zatrzymali się ani nawet nie okazali zaskoczenia, ujrzawszy wszystkie dzieci. Ich ubrania

utrzymane były w tym samym, trudnym do określenia fasonie i barwie, które Viki widziała codziennie w domu na wzgórzu. Przewodziła im szczupłą, surową kober z poprzedniego pokolenia. Viki powinna czuć ulgę; to musieli być ludzie, których zauważył przedtem Brent. Nie rozpoznawała ich jednak...

Dowódca ogarnęła wszystkich jednym spojrzeniem, po czym zwróciła się do Trenchet Suabisme.

- Przejmujemy je. Generał Smith chce widzieć wszystkie dzieci z powrotem w domu.

- C-co? Chyba czegoś tu nie rozumiem... - Suabisme uniosła ręce skonfundowana.

Piątka obcych nadal szła naprzód, a przywódca grupy kiwała głową z przyjaznym uśmiechem. Jej wyjaśnienia były jednak absurdalne.

- Dwoje strażników to po prostu za mało na tyle dzieci. Po waszym wyjeździe dowiedzieliśmy się, że mogą być problemy. - Dwóch spośród żołnierzy stanęło pomiędzy dziećmi i małżeństwem Suabisme. Viki po czuła, jak ktoś pchnął ją lekko w stronę Jirliba i Gokny. Ludzie mamy ni gdy nie zachowywali się w ten sposób. - Przepraszam, ale sytuacja jest wyjątkowa...

Potem wydarzyło się kilka rzeczy naraz, zupełnie bezsensownych. Trenchet i Alendon krzyczeli ze złości i strachu. Dwaj najwięksi strażnicy odpychali ich od dzieci. Jeden sięgał do torby.

- Hej, zgubiliśmy jednego! -*Brent*.

Wysoko pod sufitem coś się poruszyło. Wystawa wideomancji składała się z wysokich półek z lampami obrazowymi. Najbliższa z nich przewracała się właśnie na ziemię, przy akompaniamencie zgrzytu metalu i syku tryskających na wszystkie strony iskier. Viki dojrzała Brenta zeskakującego z góry, tuż przed upadającą konstrukcją.

Podłoga zadrzała pod jej stopami, kiedy metalowy regał uderzył o marmur. Wszędzie dokoła rozlegał się huk implodujących lamp obrazowych, buczenie prądu o wysokim napięciu. Regał spadł dokładnie pomiędzy nią i małżeństwem Suabisme - na dwóch nieznanym ochroniarzy. Viki widziała krew tryskającą na marmur. Spod metalu wystawały dwie nieruchome ręce; tuż obok nich leżał karabin o krótkiej lufie.

Potem czas ruszył gwałtownie z miejsca. Ktoś pochwycił Viki w pół i odciągnął od zniszczonej konstrukcji. Słyszała krzyki Gokny i Jirliba, następnie głuchy odgłos uderzenia. Gokna wrzasnęła przeraźliwie, a Jir-lib umilkł.

- Dowódco, co z...

- Nieważne! Mamy całą szóstkę. Szybko, szybko!

Nim wyniesiono ją z sali, Viki spojrzała jeszcze za siebie. Obcy zostawili jednak swych martwych towarzyszy, a wysoka metalowa konstrukcja zasłaniała dalszą część sali, w której powinni znajdować się Trenchet i Alendon.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

To popołudnie miało na zawsze wryć się w pamięć Hrunknera Unnerby'ego. Pracował z Victory Smith od wielu lat, lecz nigdy jeszcze nie widział, by była tak bliska załamania. Tuż po południu zaczęło się prawdziwe szaleństwo, Sherkaner Underhill złamał wszystkie zasady wojskowej łączności, by poinformować ich przez łącze mikrofalowe o porwaniu dzieci. Generał Smith zdjęła go z linii, po czym natychmiast zwołała zebranie swojego sztabu. Nagle Hrunkner Unnerby zamienił się z dyrektora projektu w kogoś w rodzaju... w rodzaju sierżanta. Przygotował samolot do lotu. Wraz z niższym personelem sprawdził bezpieczeństwo na ziemi. Nie chciał, by generał narażała się na niepotrzebne ryzyko. Wróg lubił stwarzać takie właśnie sytuacje, by w chwili gdy wydaje się, że nie ma już nic ważniejszego, uderzyć w prawdziwy cel.

Podróż z Dowództwa Lądowego do Princeton zajmowała niecałe dwie godziny. Samolot nie był jednak latającym centrum dowodzenia; takie rzeczy nie mieściły się w obecnym budżecie. Przez dwie godziny generał skazana była tylko na łączność bezprzewodową o małej wydajności. Przez dwie godziny pozostawała z dala od centrum dowodzenia w Dowództwie Lądowym czy jego odpowiednika w Princeton. Przez dwie godziny mogła słuchać tylko fragmentarycznych raportów i próbować koordynować odpowiedzi. Przez dwie godziny mogła się tylko zamartwiać i bić z myślami. Wylądowali w Princeton po południu, kolejne pół godziny zajęła im droga do Domu na Wzgórzu.

Samochód nie zdążył się jeszcze dobrze zatrzymać, kiedy Sherkaner Underhill otwierał już drzwi i wyciągał ich na zewnątrz. Pochwycił Unnerby'ego za ramię, zwracając się jednocześnie do generała.

- Dzięki, że przywiozłaś Hrunknera. Potrzebuję was obojga. - Potem przeprowadził ich przez foyer i zaciągnął do swojego biura na parterze.

Unnerby miał okazję obserwować Sherkanera w wielu trudnych sytuacjach: kiedy próbował przekonać go do swego pomysłu podczas wojny z Tieferami, kiedy prowadził wyprawę przez próżnię Najgłębszej Ciemności, kiedy negocjował umowy handlowe. Sherk nie zawsze wygrywał, ale zawsze był pełen wyobraźni i niespodzianek. Wszystko było dlań wielkim eksperymentem i cudowną przygodą. Nawet kiedy ponosił porażkę, zastanawiał się od razu, jak wykorzystać ją do bardziej interesujących eksperymentów. Lecz dzisiaj... dzisiaj Sherkaner poddał się rozpaczy. Wyciągnął drżące ręce ku Smith, jakby szukając u niej pocieszenia.

- Znajdziemy ich, musi być przecież jakiś sposób. Musi być. Mam komputery i mikrofalowe połączenie z Dowództwem Lądowym. -Wszystkie środki, które dotąd tak dobrze mu służyły. - Mogę je tu bezpiecznie sprowadzić, wiem, że mogę.

Smith przez chwilę trwała w bezruchu. Potem przysunęła się bliżej do

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sherkanera, położyła rękę na jego ramionach, pieszcząc jego futro. Przemawiała łagodnym, choć stanowczym głosem, niemal jak żołnierze pocieszający innego po utracie towarzyszy broni.

- Kochanie, na pewno zrobisz wszystko, co w twojej mocy. - Na ze wnątrz zrobiło się nagle ciemno. Wiatr uderzał w uchylone okna, liście paproci kołysały się gwałtownie. Do pokoju wpadał tylko nikły blask prze-filtrowany przez warstwę burzowych chmur i gęste krzewy paproci.

Generał stała obok Sherkanera, oboje patrzyli na siebie w milczeniu. Unnerby czuł niemal falę strachu i wstydu przepływające między nimi. Nagle Sherkaner postąpił do przodu i objął mocno swą żonę. Do świstu wiatru dołączył cichy szelest jego płaczu. Po chwili Smith uniosła jedną z tylnych rąk, gestem prosząc Hruncknera, by opuścił pokój.

Unnerby odpowiedział jej skinieniem głowy. Gruby dywan zasłany był zabawkami - Sherkanera i dzieci - sierżant stapał jednak ostrożnie i wymknął się bezszelestnie na korytarz.

Kiedy ukryte za burzowymi chmurami słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, półmrok zamienił się niemal w całkowitą ciemność. Unnerby nie widział, co dzieje się na zewnątrz, gdyż stanowisko dowodzenia w Do-mu na Wzgórzu miało tylko małe, wąskie okna. Smith pojawiła się tam prawie pół godziny po Unnerbym. Przyjęła skinieniem głowy honory, które oddali jej podwładni, po czym zajęła miejsce na grzędzie obok Hruncknera. Ten pomachał pytająco rękami.

- Sherk sobie poradzi - odparła. - Jest teraz ze studentami, próbu je coś zrobić. No dobrze, jak wygląda sytuacja?

Unnerby pchnął w jej stronę stertę raportów.

- Kapitan Downing i jego zespół nadal tu są, jeśli chce pani z nimi porozmawiać, ale wszyscy... - wszyscy, którzy przylecieli tu z Dowództwa Łądowego - ...uważamy, że to nie ich wina. Dzieciaki były po prostu zbyt sprytne. - Dzieci ośmieszyły zespół profesjonalnych ochroniarzy. Oczywiście żyły z nimi już od dłuższego czasu, znały ich zwyczaje, przyjaźniły się z niektórymi członkami zespołu. I aż do tej pory zewnętrzne zagrożenie pozostawało tylko w sferze teorii i plotek. Wszystko pracowało na korzyść koblików, kiedy te zdecydowały się wybrać na wycieczkę... Lecz ten ze spół ochroniarzy wywodził się z personelu generała Victory Smith, jego członkowie byli inteligentnymi, oddanymi ludźmi; to, co się wydarzyło, bolało ich niemal tak samo jak Sherkanera Underhilla.

Smith odsunęła raporty.

- Dobrze. Niech Daram i jego zespół wracają do pracy. Zajmij ich czymś. Co z wynikami badań? - Gestem przyzwała do siebie pozostałych współpracowników.

Punkt dowodzenia w domu miał bardzo dobre mapy, prawdziwy stół sytuacyjny. Dzięki łączu mikrofalowemu mógł praktycznie zastąpić centrum dowodzenia w Dowództwie Łądowym.

VERNORVINGE

Przez pokój przewijali się ciągle jacyś ludzie. Wielu z nich przyleciało niedawno z Dowództwa Łądowego i nie zdążyło jeszcze zarazić się ponurą atmosferą panującą w Domu na Wzgórzu; wnosili doń powiew świeżości i podnosili nieco na duchu tych, którzy poddawali się rozpacz. Mieli pewne tropy, dokonywali pewnych postępów... niosących zarówno nadzieję, jak i złowieszcze oznaki klęski.

Szef działu zajmującego się inwigilacją Kindred przybył godzinę później. Rechner Thract zajmował to stanowisko od niedawna, był młodym koberem i imigrantem z Tiefstadtu. Hrunckner dziwił się początkowo, że to właśnie jemu powierzono tak odpowiedzialne zadanie. Rechner był bardzo inteligentny, ale wydawał się raczej typem naukowca niż żołnierza. Może jednak to właśnie czyniło go właściwą osobą na właściwym miejscu; ogromnie potrzebowali ludzi naprawdę rozumiejących Kindred. Podczas Wielkiej Wojny Kindred należał oficjalnie do Imperium Tief stadtu, potajemnie jednak wspierał Akord. Victory Smith uważała, że właśnie to państwo będzie następnym wielkim zagrożeniem - choć może było to tylko wynikiem podejrzliwości, jaką żywiła do wszystkich tradycjonalistów.

Thract zawiesił płaszcz przeciwdeszczowy na wieszaku i otworzył swój kosz. Wyjął z niego plik dokumentów i położył je przed Smith.

- To sprawka Kindred, generale.

- Czemu mnie to nie dziwi? - mruknęła Smith. Unnerby wiedział, że musi być ogromnie zmęczona, lecz wydawała się świeża i niemal normalna. Niemal. Była równie spokojna, równie uprzejma jak na każdej naradzie. Jak zawsze zadawała rzeczowe, inteligentne pytania. Unnerby dostrzegał jednak różnicę, lekkie rozproszenie. Nie przypominało to niepokoju czy strachu; wydawało się raczej, że umysł generała jest gdzieś indziej, jej myśli krążą wokół innego tematu. - Ale jeszcze dziś rano wcale nie byliśmy tego tacy pewni. Co się zmieniło, Rachner?

- Mamy dwa ważne zeznania i wyniki sekcji zwłok. Koberzy, którzy zginęli w muzeum, byli bardzo wysportowani, ale nie wyglądali na atletów; ich pancerze były mocno poobijane, w jednym znaleźliśmy nawet za-
sklepiony otwór po kuli.

Victory wzruszyła ramionami.

- To oczywiście, że zajmowali się tym profesjonaliści. Jak wiesz, otrzymywaliśmy różne groźby od zorganizowanych grup tradycjonalistów. Mogli kogoś wynająć.

- Tak, ale to był Kindred, nie miejscowi tradycjonałiści.

- Mamy jakieś konkretne dowody? - spytał Unnerby, oddychając w duchu z ulgą i wstydząc się jednocześnie tego uczucia.

- Hm... -Thract zastanawiał się nie tylko nad odpowiedzią, ale i nad osobą pytającego. Kober nie mógł zdecydować, jakie miejsce zajmuje Unnerby - cywil nazywany „sierżantem” - w hierarchii dowodzenia. *Przyzwyczaj się do tego, synu.* - Kindred przywiązuje wielką wagę do swych religij-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nych korzeni, ale do tej pory starali się nie mieszać do naszych spraw wewnętrznych, co najwyżej wspierali skrycie lokalne grupy tradycjonalistów. Ale... dzisiaj zdecydowali się na radykalny krok. To byli profesjonalści z Kindred. Zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby to ukryć, nie wiedzieli jednak, jak zaawansowana jest nasza medycyna sądowa. Pomógł nam test wymyślony przez jednego ze studentów pani męża. Pyłek, jaki znaleźliśmy w drogach oddechowych obu ciał, jest obcy; mogą pani nawet powiedzieć, z której bazy Kindred wylecieli ci ludzie. Ci dwaj nie byli u nas dłużej niż przez piętnaście dni. Smith skinęła głową.

- Gdyby byli dłużej, pyłek by zniknął?

- Zgadza się, zostałyby przechwycony przez ich układ odpornościowy i wyrzucony. Ale i tak poznalibyśmy większą część prawdy. Widzi pani, druga strona miała dzisiaj większego pecha niż my. Zostawili dwóch żywych świadków... -Thract zawahał się na moment, najwyraźniej przypomniał sobie, że nie jest to zwyczajne zebranie sztabu, że to, co on nazwie sukcesem operacyjnym, dla Smith może okazać się tragiczną porażką.

Generał jakby tego nie zauważała.

- Tak, ta para. Małżeństwo, które przyprowadziło dzieci do muzeum.

- Właśnie. Po części to przez nich nie powiódł się pierwotny plan nieprzyjaciela. Ludzie pułkownik Underville... - szefowej służb wewnętrznych - rozmawiali z nimi przez całe popołudnie; bardzo chcą nam pomóc. Zna pani ich pierwsze zeznania, jeden z pani synów przewrócił regał i zabił dwóch porywaczy.

- Wszystkie dzieci były żywe, kiedy je porywano.

- Tak. Ale pułkownik Undeirille dowiedziała się czegoś jeszcze. Jesteśmy już niemal całkiem pewni... Porywacze zamierzali zabrać wszystkie pani dzieci. Kiedy zobaczyli maluchy Suabisme, byli przekonani, że to pani kobliki. Na świecie nie ma zbyt wielu dzieci spoza fazy, nawet teraz. Zakładali więc, całkiem logicznie, że małżeństwo Suabisme to nasi ochroniarze.

Boże w zimnych głębiach ziemi. Unnerby wyjrzał przez wąskie okno. Wydawało się, że jest tam teraz jaśniej niż przedtem, światło pochodziło jednak z aktywnych lamp strażników. Wiatr wciąż przybierał na sile, ciskając kroplami deszczu o szybę i kołysząc liśćmi paproci. Czekala ich niespokojna, burzowa noc.

Więc Kindred popełnili błąd, bo mieli zbyt dobrą opinię o ochronie Akord. No tak, to oczywiście, że ktoś powinien być z dziećmi.

- Sporo się dowiedzieliśmy od tych dwojga, generale; wiemy, co mówili porywacze, kiedy weszli do sali i gdy sytuacja wymknęła im się spod kontroli... Ci ludzie nie zamierzali zostawiać żadnych świadków. Suabisme mieli dzisiaj niezwykle szczęście, choć oni zapewne tak nie uważają. Ta dwójka, którą zabił pani syn, oddzielała ich od dzieci. Jeden trzy miał w ręce odbezpieczony karabin. Pułkownik Undeirille przypuszcza,

VERNOR VINGE

że napastnicy mieli za zadanie porwać wszystkie dzieci i nie zostawić żadnych świadków. Właściwie martwi cywile i rozlew krwi nawet pasował do ich scenariusza, bo winą można by obarczyć nasze grupy tradycjonalistów.

- W takim razie dlaczego nie mieliby też zostawić kilku martwych dzieci? To ułatwiłoby im ucieczkę. - Victory zadała to pytanie spokojnym, niemal obojętnym tonem, ale Unnerby wyczuwał w nim ogromne napięcie.

- Nie wiemy, proszę pani. Pułkownik Underville przypuszcza jednak, że porywacze nadal są w kraju, być może nawet w Princeton.

- Och? - Sceptycyzm walczył z nadzieją. - Wiem, że Belga zareagowała bardzo szybko, a druga strona też miała swoje problemy. Dobrze. To będzie twoja pierwsza duża akcja w kraju, Rachner, ale chcę, żebyś ściśle współpracował z wywiadem wewnętrznym. Będziesz też musiał wciągnąć do tego policję miejską i handlową. - Klasyczna anonimowość wywiadu Akord miała zostać w najbliższym czasie wystawiona na ciężką próbę. - Staraj się być miły dla ludzi z miasta i handlu. Nie jesteśmy w stanie wojny. Oni mogą narobić Koronie sporo kłopotów.

- Tak, proszę pani. Wraz z pułkownik Underville uruchomiliśmy już wspólne patrole z policją miejską. Kiedy zainstalujemy telefony, będziemy mieli tutaj wspólny punkt dowodzenia.

- Doskonale... Zdaje się, że pomyślałeś o wszystkim wcześniej niż ja, Rachner.

Thract uśmiechnął się lekko, wstając z miejsca.

- Uratujemy pani dzieci, generale.

Smith zaczęła odpowiadać, zauważyła jednak dwie małe główki wyglądające zza drzwi.

- Wiem, że to zrobicie, Rachner. Dziękuję ci.

Thract odsunął się od stołu, a w pokoju zapanowała na moment niezręczna cisza. Dwoje najmłodszych dzieci Underhilla - może jedyne, jakie pozostały przy życiu - weszło nieśmiało do pokoju. Tuż za nimi postępował dowódca ochrony i trzech żołnierzy. Kapitan Downing niósł złożony parasol, najwyraźniej jednak ani Rhapsa, ani Mały Hrunck nie korzystali z tej osłony. Ich kurtki były przemoczone, a na czarnych pancerzach błyszczały krople deszczu.

Victory nie uśmiechnęła się do dzieci. Ogarnęła spojrzeniem mokre ubrania i parasol.

- Biegaliście po podwórzu?

Odpowiedziała jej Rhapsa; Hrunckner nigdy jeszcze nie widział tej małej diablity tak potulnej i skruszonej.

- Nie, mamó. Byliśmy z tatą, ale on jest teraz zajęty. Zostaliśmy więc z kapitanem Downingiem... - Umilkła, spoglądając niepewnie na swego strażnika.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Młody kapitan natychmiast stanął na baczność, wyglądał jednak jak żołnierz, który był świadkiem straszliwej klęski swych wojsk.

- Przepraszam, pani generał. Postanowiłem nie korzystać z parasola. Chciałem mieć dobry widok na wszystkie strony.

- Słusznie, Daram. I... dobrze, że je tutaj przyprowadziłeś. - Umilkła, wpatrując się w swe dzieci. Rhapsa i Mały Hrunck stali przez chwilę w bezruchu, także odpowiadając jej niemym spojrzeniem. Nagle, jakby pchnięte tym samym impulsem, rzuciły się przez pokój ku matce. Chlipiąc głośno i popiskując, wspięły się na Smith, obejmując ją jak ojca. Teraz, kiedy pękła wreszcie tama ich uczuć, płakały głośno i zasypywały matkę pytaniami. Czy wiadomo już coś o Goknie, Viki, Jirlibie i Brencie? Co się teraz stanie? Nie chciały być same.

Uspokoily się dopiero po dłuższej chwili. Smith patrzyła na nie, przechylając lekko głowę. Unnerby ciekaw był, o czym teraz myśli. Nadal miała dwoje dzieci. Przedziwnym zbiegiem okoliczności napastnicy porwali dwoje innych maluchów. Podniosła rękę w stronę Unnerby'ego.

- Hrunckner, mam do ciebie prośbę. Znajdź małżeństwo Suabisme. Poproś ich... zaoferuj im moją gościnę. Jeśli chcą to przeczekać w Domu na Wzgórzu... będę zaszczycona.

Byli bardzo wysoko, w jakimś pionowym szybie wentylacyjnym.

- Nie, to nie jest szyb wentylacyjny! - zaproponowała Gokna. -W prawdziwym szybie pełno jest jakichś rur i kabli.

Nie słyszeli szumu wentylatorów, tylko świst wiatru dochodzący gdzieś z góry. Viki skierowała spojrzenie właśnie w tamtą stronę. Dojrzała zakratowane okienko pod sufitem, na wysokości jakichś pięćdziesięciu stóp. Wąska smuga światła wpadająca przez okno odbijała się od metalowych ścian szybu. Tu, w dole, panował półmrok, było jednak dość jasno, by mogli dojrzeć maty do spania, chemiczną toaletę i metalową podłogę. W miarą upływu czasu w ich więzieniu robiło się coraz cieplej. Gokna miała rację. Znali się wystarczająco dobrze na technice, by wiedzieć, jak wyglądają pomieszczenie użytkowe, takie jak szyb wentylacyjny. Lecz czym w takim razie był ten dziwny pokój?

- Spójrzcie na to. - Wskazała na metalowe dyski przyspawane niechlujnie w różnych punktach ścian. - Może to miejsce zostało porzucone... albo nie, jest jeszcze w budowie!

- Tak - zgodził się z nią Jirlib. -To wszystko jest jeszcze bardzo świeże. Zaspawali prowizorycznie otwory wejściowe, nie zajęło im to pewnie więcej niż godzinę. - Gokna skinęła głową, nie próbując nawet zatrzymać dla siebie ostatniego słowa. Tak wiele zmieniło się od dzisiejszego ranka. Jirlib nie był już wyniosłym, zirytowanym rozjemcą ich sporów. Znajdował się teraz pod ogromną presją, musiał też mieć paskudne poczucie winy. Wraz z Brentem byli przecież najstarsi z całego rodzeństwa, a pozwo-

VERNOR VINGE

lił, by do tego doszło. Nie okazywał jednak otwarcie bólu ani zmartwienia, był tylko bardziej cierpliwy niż zwykle.

A kiedy mówił, jego siostry słuchały. I to nie ze względu na jego wiek, po prostu był najinteligentniejszy z nich wszystkich.

- Wydaje mi się, że wiem już, gdzie jesteśmy. - Przerwały mu dzieci, które znów zaczęły się wiercić na jego grzbiecie. Futro Jirliba było jeszcze o wiele za krótkie, by zapewnić im odpowiednie warunki, a on sam już zaczynał śmierdzieć. Alequere i Birbop na przemian płakali za swymi rodzicami, to znów niepokojąco milczeli, przywierając ciasno do grzbietu biednego Jirliba. Wyglądało na to, że teraz znów zaczną hałasować. Viki wyciągnęła ręce, zapraszając do siebie małą Alequere.

- To znaczy gdzie? - spytała Gokna zadziwiająco pokojowym tonem.

- Widzisz te sieci aterkopów? - odparł Jirlib, wskazując na górę. Sieci były świeże, małeńkie kawałki jedwabiu powiewające na wietrze obok zakratowanego okna. - Każdy podgatunek ma własny wzór. Ten występuje w okolicach całego Princeton, ale gnieźdzą się tylko w najwyższych miejscach. Szczyt Domu na Wzgórzu jest dla nich prawie za niski. Więc... Przymuszam, że nadal jesteśmy w mieście i to w miejscu tak wysokim, że musi być widoczne z odległości wielu mil. Jesteśmy albo w dzielnicy wzgórz, albo w tym nowym drapaczu chmur w centrum.

Alequere znów zaczęła płakać. Viki pokotyła ją łagodnie. Zawsze potrafiła uciszyć w ten sposób Małego Hrunka, ale... Cud! Płacz Alequere ustał. Może była po prostu tak przybita, że nie miała już siły hałasować. Lecz nie, po kilku sekundach dziewczynka uśmiechnęła się do niej i odwróciła tak, by mogła wszystko zobaczyć. Dobry mały koblik! Viki kotyła ją jeszcze przez chwilę, po czym przemówiła:

- Zgoda. Może wozili nas w kółko... ale centrum miasta? Słyszeliśmy kilka samolotów, ale co z hałasem ulicznym?

- Słysząc go wszędzie dokoła. - Były to niemal pierwsze słowa, które wypowiedział Brent od chwili porwania. Tępy i powolny, taki był Brent. I był też jedynym spośród nich, który zrozumiał we właściwym czasie, co miało się wydarzyć tego ranka. To on odłączył się od pozostałych i ukrył w ciemności. Brent był równie duży jak dorosły - wspinaczka na półkę z lampami obrazowymi mogła przyprawić go o kalectwo. Kiedy wyciągnięto ich z budynku muzeum, Brent utykał. Nie powiedział ani słowa podczas podróży do ich obecnego więzienia, machał tylko ręką, kiedy Jirlib i Gokna pytali go, czy dobrze się czuje.

Wyglądało na to, że złamał jedną przednią nogę i zranił jeszcze co najmniej jedną inną, nie pozwolił im jednak obejrzeć obrażeń. Viki dobrze go rozumiała. Brent czuł się równie zawstydzony jak Jirlib - i nawet bardziej beużyteczny. Niemal przez godzinę leżał nieruchomo, milczący i ponury, wreszcie wstał i zaczął kuśtykać po więzieniu, opukując ściany. Od czasu do czasu przypadał do podłogi, jakby udawał martwego albo dręczyła go rozpacz. Właśnie tak teraz wyglądał.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie słyszycie ich? - spytał ponownie. - Posłuchajcie brzuchem.

Viki nie bawiła się w to od lat. Podobnie jednak jak wszyscy pozostali ułożyła się zupełnie płasko, przywierając do podłogi. Alequere wyskoczyła z jej ramion. Birbop dołączył do siostry. Maluchy biegały między starszymi dziećmi, poszturchując je i zaczepiając. Po chwili zaczęły chichotać.

- Szs... - poprosiła Viki cicho. To tylko jeszcze bardziej rozśmieszycie ło dzieciaki. Jak długo Viki modliła się, by ci dwoje odzyskali humor? Te raz znów chciała, by zamilkli choć na moment. Zamknęła przed nimi umysł i skoncentrowała się. Hm... Nie był to właściwie dźwięk, a przynajmniej nie był przeznaczony dla uszu. Czuła go jednak pod całym tułowiem. Jed nostajne, lekkie drżenie... i inne wibracje, które pojawiały się i znikaly. Ha! To samo czuła w czubkach stóp, spacerując po centrum miasta! O, i to! Drżenie, które pojawialo się zawsze przy gwałtownym hamowaniu cięższych samochodów.

Jirlib chichotał cicho.

- To chyba wszystko wyjaśnia! Myśleli, że są tacy sprytni, kiedy zamknęli nas w tej klatce, ale my jesteśmy sprytniejsi.

Viki podniosła się do wygodniejszej pozycji i wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Gokną. Jirlib był mądrzejszy, sprytem jednak nigdy nie dorównywał swym siostróm. Gokna odparła łagodnym tonem, częściowo z grzeczności, a częściowo dlatego, że ton zgodny z treścią jej słów ponownie przstraszyłby maluchy.

- Jirlib, oni chyba wcale nie próbowali ukrywać tego przed nami.

Jirlib poruszył głowę, powtarzając niemal dokładnie tak dobrze im znany gest „brat wie lepiej”. Potem wychwycił jej ton.

- Gokna, mogli zawieźć nas tutaj w ciągu pięciu minut. A jechaliśmy przez ponad godzinę. Dlaczego...

- Myślę, że zrobili to, by zmylić ludzi mamy - przerwała mu Viki. - Ci koberzy mieli kilka samochodów, dwa razy się zmieniali, pamiętasz? Może nawet rzeczywiście próbowali wyjechać z miasta, ale zobaczyli, że nie mogą tego zrobić. - Viki ogarnęła gestem ich więzienie. - Nie są głupcami i wiedzą, że widzieliśmy już o wiele za dużo. - Starala się mówić swobodnym tonem. Birbop i Alequere podeszły do Brenta, który nadal leżał na podłodze, i zaglądały do jego kieszeni. - Moglibyśmy ich zidentyfikować, Jirlib. Widzieliśmy też kierowcę i tę kobietę przy tylnym wyjściu z muzeum.

Powiedziała mu o karabinie, który dostrzegła na podłodze w muzeum. Jirlib spojrział na nią z przerażeniem.

- Więc uważacie, że to nie są tradycjonałści, którzy tylko chcą na straszyc tatę i generała?

Viki i Gokna jednocześnie zaprzeczyły. Gokna oświadczyła głośno:

- Myślę, że to żołnierze, Jirl, bez względu na to, co nam mówią. - Kiedy porywacze pojawili się w sali wideomancji, twierdzili, że są ochro-

VERNOR VINGE

niarzami mamy. Nim przywieźli ich do tego miejsca, mówili jak tradycjonalisci; te dzieci są straszliwym przykładem dla przyzwoitych ludzi. Nie zrobią im krzywdy, ale świat przekona się wreszcie, jakimi zbrojeńcami są ich rodzice. Powtarzali tak bez przerwy, ale i Gokna i Viki zauważyły, że robią to bez przekonania. Większość tradycjonalistów występujących w radiu wręcz dyszała nienawiścią; ci, których Viki i Gokna poznały osobiście, wpadali we wściekłość na ich widok. Porywacze byli spokojni, dla nich dzieci stanowiły tylko towar. Pod maską profesjonalizmu Viki zauważyła tylko gniew wywołany tym, co stało się z dwójką ich towarzyszy w muzeum, a od czasu do czasu... ślad współczucia dla samych dzieci.

Jirlib wzdrygnął się, wyciągnąwszy odpowiednie wnioski z tego, co powiedziała mu Gokna, ale zachował milczenie. Z ponurego zamyślenia wyrwały go radosze okrzyki dzieci. Alequere i Birbop nie zwracali uwagi na Goknę, Viki ani Jirliba. Odkryli właśnie sznurek, który Brent trzymał w kieszeni kurtki. Alequere odskoczyła do tyłu, rozciągając sznurek w obszernym łuku. Birbop pochwylił drugi koniec i obiegił Brenta dokoła, jakby chciał związać mu nogi.

- Hej, Brent, myślałam, że wyrosłeś już z takich zabaw - powiedziała ła Gokna, siląc się na swobodny ton.

Brent był nieco zmieszany, lecz odpowiedział spokojnie:

- Kiedy jestem długo poza domem i nie mam swoich rur i piast, okropnie się nudzę. Sznurkiem można bawić się wszędzie. - Choć umie jętności te nie mogły przydać mu się do niczego w dorosłym życiu, Brent uwielbiał tworzyć różne wzory ze sznurka i był w tym prawdziwym eksper tem. Kiedy był młodszy, często przewracał się na grzbiet i używał wszystkich rąk i nóg - nawet rąk pożywiających - do tworzenia jeszcze bardziej skomplikowanych wzorów. Było to jedno z tych dziwacznych hobby, w których się lubował.

Birbop, który nadal trzymał w ręce koniec sznurka, wbiegł jakieś dziesięć lub piętnaście stóp po ścianie, zręcznie wykorzystując wszystkie punkty zaczepienia. Tylko bardzo młode dzieci potrafiły dokonać takiej sztuki. Pociągnął za sznurek, prowokując siostrę, by zrobiła to samo. Kiedy zatrzymała się obok niego, wspinał się kolejne pięć stóp. Był równie zręczny jak niegdyś Rhapsa, może nawet bardziej.

- Nie tak wysoko, Birbop, spadniesz! - Viki zachowywała się teraz jak tata.

Ściany pięły się pionowo w górę. Jakieś pięćdziesiąt stóp ponad dziećmi znajdowało się maleńkie okno. Viki zauważyła, że Gokna wpatruje się z napięciem w to właśnie miejsce.

- Myślisz o tym, co ja? - spytała Viki.

- Chyba tak. Kiedy Rhapsa była taka mała, mogła wspinać się na samą górę. - Ich porywacze nie byli tacy sprytni, jak im się wydawało. Każdy, kto opiekował się kiedyś małymi dziećmi, zachowałby większą ostroż-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ność. Lecz obaj mężczyźni, którzy brali udział w porwaniu, byli jeszcze zbyt młodzi, by coś o tym wiedzieć.

- Ale jeśli spadnie...

Gdyby tak się stało, upadku nie zamortyzowałyby sieć gimnastyczna ani nawet miękki dywan. Dwulatki ważyły od piętnastu do dwudziestu funtów. Uwielbiały się wspinać, jakby przeczuwały, że kiedyś będą duże i ciężkie, skazane wyłącznie na wspinaczkę po schodach i małe, ostrożne skoki. Dzieci mogły spaść ze znacznie większej wysokości niż dorośli, nie wyrządzając sobie przy tym krzywdy, lecz nawet ich wytrzymałość miała swoje granice. Dwulatki rzecz jasna o tym nie wiedziały. Wystarczyło kilka słów, by Birbop ruszył w górę, aż do okna. Wydawało się, że ma spore szanse, by tam dotrzeć...

Normalnie Viki i Gokna bez wahania podjęłyby ryzyko, tutaj jednak chodziło o życie kogoś innego... Dziewczynki patrzyły na siebie przez chwilę.

- No... nie wiem, Viki.

A jeśli nie zrobią nic? Dzieci prawdopodobnie zginą wraz z nimi. Każdy wybór mógł przynieść straszliwe konsekwencje. Nagle Viki ogarnął ogromny strach; podeszła do ściany i stanęła pod uśmiechniętym Birbopem. Jej ręce niemal same wyciągnęły się w górę, by ściągnąć dzieciaka na podłogę. Zmusiła się do ich opuszczenia i spytała swobodnym, niezobowiązującym tonem:

- Hej, Birbop, myślisz, że możesz wynieść tę nić aż do samego okna?

Birbop przechylił głowę, zwrócił swe dziecięce oczy ku górze.

- Jasne. -I już ruszył w drogę, przemieszczając się od jednego punktu zaczepienia do drugiego, pokonując kolejne przeszkody. *Jestem twoim dłużnikiem, maluchu, nawet jeśli tego nie wiesz.*

Tymczasem Alequere złościła się, że to Birbop, a nie ona skupia na sobie uwagę wszystkich. Pociągnęła za sznurek, omal nie odrywając swego brata od ściany, gdy ten znajdował się już na wysokości dwudziestu stóp. Gokna wzięła ją na ręce, odsunęła od sznurka i podała Jirlibowi.

Viki starała się stłumić strach, który ją opanował; patrzyła, jak dziecko wspina się coraz wyżej i wyżej. *A kiedy dostanie się do okna, co wtedy? Wyrzucić jakiś list? Ale nie mieli nic do pisania i nie wiedzieli, gdzie właściwie się znajdują ani gdzie wiatr zaniesie ich wiadomość... I nagle zrozumiała, jak jedna rzecz może rozwiązać oba te problemy.*

- Brent, twoja kurtka. - Gestem poprosiła Goknę, by pomogła mu ją zdjąć.

- Tak! - Gokna ciągnęła za rękawy i nogawki, nim jeszcze Viki przedstawiła jej swój pomysł. Przez moment Brent patrzył na nie ze zdumieniem, potem jednak zrozumiał i sam zaczął im pomagać. Jego kurtka była niemal równie duża jak kurtka Jirliba, ale nie miała rozcięć na grzbiecie. We trójkę rozciągnęli ją mocno między sobą i przesuwali się o krok to w jedną, to w drugą stronę, próbując nadążyć za ruchami Birbopa. Może, gdyby spadł... Takie rozwiązanie zawsze sprawdzało się w książkach

VERNOR VINGE

przygodowych. Teraz jednak, stojąc tu na dole i ściskając kurtkę, Viki nie mogła sobie wyobrazić podobnego sukcesu.

Alequere nadal wrzeszczała, próbując wyrwać się z uścisku Jirliba. Birbop śmiał się z niej. Był bardzo zadowolony, że znajduje się w centrum zainteresowania, robiąc przy tym coś, za co normalnie dostałby porządne lanie. Czterdzieści stóp. Teraz poruszał się już wolniej. Coraz trudniej było mu znaleźć oparcie dla rąk i nóg; dotarł już ponad mocowania głównego wentylatora. Kilkakrotnie omal nie wypuścił sznurka, przekładając go z rąk do rąk. Przystanął na nieprawdopodobnie wąskiej półce i jednym skokiem pokonał trzy stopy dzielące go od okna. Pochwycił kraty jedną ręką i już po sekundzie stał na krawędzi okna.

Wyposażone tylko w dwoje oczu, i to z przodu, dzieci musiały niemal obrócić się dookoła, by zobaczyć, co znajduje się za nimi. Birbop po raz pierwszy spojrzął w dół. Triumfalny śmiech zamienił się nagle w grymas przerażenia, kiedy zobaczył, jak wysoko zaszedł. Nawet jego dziecięce instynkty podpowiadały mu, że powinien się bać. Nie bez powodu rodzice zabraniali wspinać się zbyt wysoko. Birbop uchwycił się kurczowo krat wszystkimi rękami i nogami.

Potem nie mogli go przekonać, że nikt nie może wejść na górę, by mu pomóc, i że potrafi sam zejść z powrotem. Viki nie przypuszczała, że będą mieli z tym problem. Kiedy Rhapsa czy Mały Hrunck wspinali się czasem na niebezpieczne wysokości, bez kłopotu schodzili potem na dół.

Kiedy wydawało się już, że nic nie wyrwie Birbopa ze stanu paraliżującego przerażenia, jego siostra przestała płakać i zaczęła się z niego śmiać. Wtedy już bez trudu przekonali go, by przesunął nić pomiędzy kratami okna, a potem wykorzystał ją jako rodzaj windy podczas wędrówki w dół.

Większość dzieciaków sama wpadała na ten pomysł, ześlizgując się po nici z niezwykłą zręcznością; może była to pozostałość jakichś zwierzęcych umiejętności. Birbop ruszył powoli w dół, obejmując nić pięcioma kończynami, trzema zaś przytrzymując się ściany i hamując spadanie. Kiedy jednak przebył pięć stóp i zrozumiał, jak łatwa i przyjemna jest taka jazda, trzymał nić już tylko trzema rękami - a potem dwoma. Odbijał się stopami od ściany, lecąc w dół jak atakujący tarant. Viki, Gokna i Brent skakali tymczasem z miejsca na miejsce, bezskutecznie próbując utrzymać prowi-' zoryczną sieć prosto pod nim... a Birbop był już na dole.

Przez moment wszyscy patrzyli na lśniącą, podwójną nić ciągnącą się od podłogi aż po zakratowane okno.

Gokna i Viki spierały się o to, która z nich wykona następny krok. Viki wygrała ten pojedynek; ważyła niecałe osiemdziesiąt funtów, mniej niż Gokna, nie mówiąc już o Brencie czy Jirlibie. Pociągnęła mocno za nić i podciągnęła się na niej na próbę. Tymczasem Brent i Gokna odrywali jedwabną podszewkę z jego kurtki. Podszewka miała czerwone i niebieskie plamy. Co ważniejsze, składała się z kilku złożonych razem warstw.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Po rozpruciu szwów otrzymali więc flagę lekką jak dym i długą na piętnaście stóp. Ktoś musiał ją zauważyć.

Gokna złożyła płótno w kostkę i podała je Viki.

- Jesteś pewna, że ta nić wytrzyma?

- Jasne. - Może. Nić była mocna i rozciągliwa, czy mogła jednak utrzymać ciężar jej ciała?

To, co powiedział Brent, pocieszyło ją bardziej niż wszystkie pobożne życzenia:

- Myślę, że wytrzyma. Lubię zawieszać różne rzeczy w moich projektach. Zabrałem tę nić z laboratorium mechanicznego.

Viki zdjęła kurtkę, pochwyciła flagę w ręce pożywiające i ruszyła do góry. Widziała, jak wszyscy zgromadzeni na dole przyglądają jej się z przejęciem, rozciągając mocno kurtkę Brenta. Viki uśmiechnęła się w duchu sarkastycznie; gdyby spadła, ta prowizoryczna „siatka bezpieczeństwa” z pewnością by jej nie uratowała. Kołysząc się lekko, wchodziła coraz wyżej i wyżej. Właściwie było to całkiem łatwe. Nawet dorosła osoba nie miałaby z tym kłopotów - oczywiście pod warunkiem, że mogłaby podtrzymywać się dwóch lin, tak jak ona. Viki obserwowała jednocześnie nić i ścianę oraz wejście do ich więzienia. Do tej pory nie martwiła się, że ktoś im może przerwać. Sukces był jednak tak blisko. Wszystko poszłoby na marne, gdyby jeden z porywaczy postanowił zająć do nich właśnie teraz. Jeszcze kilka stóp...

Wsunęła przednie ręce między kraty i zawisała przy oknie. Nie miała gdzie postawić stóp, a kraty znajdowały się tak blisko siebie, że nawet dziecko nie przecisnęłoby się na zewnątrz... ale co za widok! Znajdowali się na szczycie jednego z tych gigantycznych, nowych budynków, co najmniej trzydzieści pięter nad ziemią. Niebo zasnuło się chmurami, wiatr wiał z ogromną prędkością wzdłuż ściany. Widok zasłaniały jej częściowo skrzydła budynku, ale Princeton rozciągało się pod nią jak jakiś wielki, piękny model. Widziała jedną z głównych ulic na całej jej długości, widziała autobusy, samochody i ludzi. A gdyby ktoś spojrział w jej stronę... Viki rozwinęła flagę i wysunęła ją przez okno. Wiatr omal nie wyrwał jej z ręki. Pochwyciła ją mocniej, rozdzierając tkaninę czubkami rąk. Była taka cienka! Powoli, ostrożnie wciągnęła flagę z powrotem, przywiązując jej końce w czterech różnych miejscach. Tkanina rozwinęła się na całej długości, kolorowy kwadrat trzepotał na wietrze, czasami przywierał do okna albo opadał na ścianę poza zasięgiem jej wzroku.

Ostatnie spojrzenie na wolność; tam gdzie zachmurzone niebo spotykało się z ziemią, miasto ginęło w mroku. Viki widziała jednak dość dużo, by określić swoje położenie. Odszukała też pewne wzgórze, nie tak wysokie jak inne, lecz ze spiralnym układem ulic i budynków. Dom na Wzgórzu! Widziała stąd dom!

Viki zjechała na dół, ogromnie rozradowana. Mogli jeszcze wygrać! Wraz z pozostałymi ściągnęła błyszczącą nić i ukryła ją w kurtce Brenta.

Siedzieli razem w gęstniejącym mroku, zastanawiając się, kiedy przyjdą porywacze i co się wówczas stanie. Na zewnątrz zrobiło się prawie całkiem ciemno, zaczął też padać deszcz. Odgłos tkaniny trzepoczącej na wietrze nadal jednak przynosił im pocieszenie.

Gdzieś po północy porywisty wiatr zerwał flagę i poniósł ją w ciemność.

TRZYDZIEŚCI

Prawo składania petycji do grupmistrza było wygodnym zwyczajem. Opierało się nawet na jakimś historycznym fakcie, choć Tomas Nau był pewien, że wiele lat temu, w Czasach Płagi, spełniano jedynie prośby o znaczeniu propagandowym. W czasach bardziej mu współczesnych manipulowanie petycjami stanowiło jeden z ulubionych środków sprawowania władzy; jego wuj Alan utrzymywał w ten sposób popularność i osłabiał nieprzyjazne mu frakcje.

Był to bardzo inteligentny zabieg, choć należało się wystrzegać błędu, który popełnił wuj Alan, i nie dopuszczać do siebie zabójców podających się za petentów. W ciągu dwudziestu czterech lat, jakie minęły od ich przybycia do OnOff, Tomas Nau spełnił ponad dziesięć takich oficjalnych prośb. Dzisiejsza po raz pierwszy opatrzona była klauzulą „pilne”.

Nau spojrzął przez stół na piątkę petentów. Poprawka; przedstawiciele petentów. Mieli za sobą poparcie ponad stu innych osób, i to zebrane w ciągu zaledwie ośmiu Ksekund. Nau uśmiechnął się i zaprosił ich gestem do zajęcia miejsc.

- Zarządco pilotów Xin. Zdaje się, że pan jest tutaj najstarszy rangą. Proszę wyjaśnić mi, na czym polega wasza prośba.

- Tak, grupmistrzu. - Xin zerknął na swą dziewczynę, Ritę Liao. Oboje pochodzili ze świata Emergentów, z rodzin, które wspierały fiksatów i grupmistrzów od ponad trzystu lat. Tak wyglądali typowi przedstawiciele wyższych warstw Emergentów, a kierowanie nimi nie powinno sprawiać mu żadnych trudności. Lecz tutaj, w odległości dwudziestu lat świetlnych od domu, nic nie było łatwe. Xin milczał jeszcze przez sekundę. Zerknął ukradkiem na Kala Omo. Omo odpowiedział mu lodowato zimnym spojrzeniem, a Nau pożałował nagle, że nie wypytał wcześniej grupsierżanta o tę sprawę. Brughel pozostawał obecnie w uśpieniu, gdyby więc musiał odmówić prośbie Xina, nie miałby na kogo zrzucić winy.

- Jak pan wie, grupmistrzu, wielu z nas pracuje przy analizie materiałów z Arachny. Wielu z nas też interesują Pająki, które obserwujemy...

Nau uśmiechnął się doń łagodnie.

- Wiem. Przesiadujecie u Benny'ego i słuchacie tłumaczeń.

- Tak. Lubimy „Dziecięcą godzinę” i tłumaczenia niektórych opowieści. Bardzo nam pomagają w analizie. I... - Xin zamilkł na moment,

OTCHŁAŃ W NIEBIE

odbiegając gdzieś myślami. - Sam nie wiem... Pająki mają tam na dole cały świat, nawet jeśli nie są ludźmi. W porównaniu z nami wydają się czasami bardziej... - Rzeczywiście, dokończył w myślach Nau. - To znaczy... bardzo polubiliśmy niektóre z dzieci Pająków.

Zgodnie z planem. Tłumaczenia na żywo były teraz mocno buforowane. Nigdy nie odkryli, co właściwie spowodowało ucieczkę wirusa ani nawet, czy było to jakoś związane z przedstawieniem na żywo. Annę uważała, że ryzyko nie jest większe niż przy innych operacjach, które obecnie prowadzili. Nau sięgnął na prawo, delikatnie dotknął dłoni Qiwi. Qiwi odpowiedziała mu uśmiechem. Dzieci Pająków były bardzo ważne. Nigdy by tego nie zrozumiał, gdyby nie Qiwi Lisolet. Qiwi bardzo mu się przydała. Obserwując ją, rozmawiając z nią, oszukując ją, uczył się wielu rzeczy. Ze względu na ograniczone środki nie mogli pozwolić sobie na dzieci, musieli jednak dać ludziom jakąś namiastkę. Qiwi, jej plany i jej marzenia pokazały mu, jak może to zrobić.

- Wszyscy lubimy te kobliki, zarządco pilotów. Czy wasza petycja ma coś wspólnego z porwaniem?

- Tak. Od porwania minęło już siedemdziesiąt Ksekund. Pająki z Akord wykorzystują swój najlepszy sprzęt i ludzi intensywniej niż kiedykolwiek. Oni nie mają na razie żadnych rezultatów, ale nasi twardogłowi sporo się z tego dowiedzieli. Łączy mikrofalowe Akord pełne są przejętych wiadomości Kindred. Większość szyfrów Kindred to szyfry algorytmiczne. Akord nie może sobie z tym poradzić, ale my rozszyfrowujemy je bez trudu. Przez ostatnie czterdzieści Ksekund korzystaliśmy z pomocy naszych tłumaczy i analityków. Myślę, że wiemy już, gdzie przetrzymywane są dzieci. Pięciu analityków potwierdziło, że...

- Pięciu analityków, trzech tłumaczy i część sprzętu szpiegowskiego na „Niewidzialnej ręce” - przerwała mu Reynolt twardo. -W dodatku zarządca Xin używał prawie jednej trzeciej sprzętu wspierającego.

Orno przyłączył się do niej - Nau chyba po raz pierwszy widział, by Reynolt i szef bezpieczeństwa mówili tak zgodnym głosem.

- Co więcej, nie byłoby to możliwe, gdyby zarządca pilotów i kilku innych uprzywilejowanych zarządców nie wykorzystali kodów zasobów specjalnych. - Sierżant Orno zwrócił się do petentów. Ci skurczyli się pod jego spojrzeniem, Emergenci wystraszeni bardziej niż Queng Ho. *Wykozystanie zasobów społeczności.* Najcięższy grzech. Nau uśmiechnął się w duchu. Brughel przeraziłby ich jeszcze bardziej, ale i Omo nieźle sobie ra dził.

Nau podniósł rękę, a w pokoju zapadła absolutna cisza.

- Rozumiem, grupsierżancie. Chcę, by sporządził pan razem z dyrektorem Reynolt raport, w którym określicie szkody, jakie mogłyby wynikać z tej... - nie, nie użyje tych słów - ...aktywności. - Milczał jeszcze przez chwilę, przybierając minę sprawiedliwego człowieka, którym targa we wnętrzu konflikt, który próbuje pogodzić pragnienia poszczególnych lu-

VERNORVINGE

dzi z potrzebami społeczności. Czuł, jak Qiwi ścisną jego rękę. - Zarządco pilotów, rozumie pan, że nie możemy się jeszcze odsonić? Xin wyglądała na kompletnie zastraszonego.

- Tak, grupmistrzu.

- Pan powinien wiedzieć najlepiej, w jak trudnej znajdujemy się sytuacji. Po bitwie brakowało nam fiksacji i personelu. Nasze zasoby ludzkie skurczyły się jeszcze bardziej po ucieczce wirusa kilka wacht temu. Nie mamy dobrego sprzętu, dobrej broni ani wewnątrzsystemowego transportu. Być może potrafilibyśmy zastraszyć jedną frakcję Pająków lub sprzymierzyć się z inną, ale podjęlibyśmy wtedy ogromne ryzyko. Musimy kierować się tą samą strategią, którą przyjęliśmy po masakrze Die-ma, i czekać w ukryciu. Zaledwie za kilka lat ten świat wkroczy w Erę Informacji. W końcu zainstalujemy ludzką automatykę w sieci Pająków. Wreszcie doczekamy się cywilizacji, która pomoże odbudować nasze statki i którą będziemy mogli bezpiecznie kierować. Do tej pory... do tej pory nie możemy podejmować żadnych bezpośrednich działań.

Nau spojrział kolejno na wszystkich petentów: Xin, Liao, Fong. Trinli siedział w pewnym oddaleniu, jakby chciał zaznaczyć, że próbował odwieść pozostałych od tego pomysłu. Ezer Vinh pozostawał obecnie w uśpieniu, inaczej z pewnością by tu był. Wszyscy ci ludzie według standardów Rittersera Brughla byli wywrotowcami. Z każdą wachtą ta grupka coraz bardziej naruszała normy społeczności Emergentów. Częściowo stanowiło to wynik trudnych warunków i okoliczności, częściowo asymilacji z Queng Ho. Nawet pokonani Handlarze zarażali innych swymi chorymi ideami. Tak, według cywilizowanych standardów ci ludzie byli wywrotowcami - lecz to właśnie oni, wraz z Qiwi, utrzymywali tę misję w stanie równowagi.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Z oczu Rity Liao ciekły łzy. Mikroskopijna grawitacja Hammerf est była zbyt słaba, by utrzymać je na policzkach. Jau Xin zwiesił pokornie głowę.

- Rozumiem, grupmistrzu. Wycofujemy petycję.

Nau skinął łaskawie głową. Nie zamierzał nikogo karać, to zepsułoby wizerunek wspaniałomyślnego władcy.

Wtedy Qiwi poklepała go po dłoni. Uśmiechała się!

- A może wykorzystamy tę sytuację na próbę. To prawda, nie może my się ujawnić, ale spojrz tylko na to, co zrobił Jau. Po raz pierwszy na prawdę w pełni używamy systemu komunikacyjnego i informatycznego Pająków. Minie jeszcze wiele lat, nim ich automatyka osiągnie poziom Ery Informacji, ale eksploatują komputery nawet intensywniej niż ludzie w czasie Epoki Świt. Skoro tłumacze Annę i tak mają kiedyś wprowadzić informacje do ich systemu, to dlaczego nie zacząć teraz? Z każdym rokiem powinniśmy przeprowadzać coraz więcej prób, coraz więcej eksperymentów.

W oczach Xina pojawiła się nadzieja, nadal jednak zachowywał ostrożność.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Ale czy ich technika jest wystarczająco zaawansowana? Te stwo-
rzenia dopiero co wystrzeliły w kosmos pierwszego satelitę. Nie mają
przenikliwych sieci lokalizatorów - nie mają żadnych sieci lokalizatorów.
Prócz tego żalostnego połączenia Princeton z Dowództwem Lądowym nie
mają też sieci komputerowej. Jak możemy wprowadzić informacje do ich
systemu?

Właśnie, jak?

Qiwi jednak nadal się uśmiechała. Wyglądała teraz tak młodo, nie-
mal jak podczas pierwszych lat, kiedy z nim była.

- Powiedziałeś, że Akord przechwycił wiadomości Kindred związa-
ne z porwaniem?

- Tak. Tylko dzięki temu wiemy, co się tam dzieje. Ale wywiad Akord
nie może złamać szyfru Kindred.

- A próbują to zrobić?

- Oczywiście. Kilka ich największych komputerów, wielkich jak do-
my, pracuje razem poprzez łącze mikrofalowe między Princeton i Dowódz-
twem Lądowym. Miną miliony lat, nim trafią na właściwy klucz do szy-
fru... Och... - Xin otworzył szerzej oczy. - Możemy to zrobić niepostrzeże-
nie?

Nau zrozumiał plan Qiwi niemal w tej samej chwili. Rzucił pytanie
w powietrze:

- Jak Pająki generują klucze testowe?

Po sekundzie odpowiedział mu głos fiksata:

- Pseudolosowa ścieżka zmodyfikowana przez to, co ich matematy-
cy wiedzą o algorytmach Kindred.

Qiwi czytała coś na swoim wyświetlaczu.

- Najwyraźniej Akord eksperymentuje z obliczeniami rozłożonymi
w sieci. To śmieszne, bo w całej sieci nie ma nawet dziesięciu kompute-
rów. Mamy jednak kilkanaście satelitów szpiegowskich, które przecinają
linie optyczne ich łącza mikrofalowego. Bez trudu wciśniemy coś pomiędzy
poszczególne przekaźniki... przecież tak właśnie zamierzaliśmy na
początku wprowadzać nasze informacje. W tym wypadku dokonamy tyl-
ko kilku drobnych zmian, kiedy będą przysyłać próbne klucze. To będzie
tylko kilkaset bitów, licząc nawet ramkę.

- Zgoda - wtrąciła Reynolt. - Nawet jeśli będą to później analizo-
wać, uznają taką zmianę za przypadkowy błąd. Ale jeśli zmienicie wię-
cej niż jeden klucz, sprawa stanie się podejrzana.

- Jeden klucz wystarczy, jeśli damy go we właściwej sesji.

Qiwi spojrzała na grupmistrza.

- Tomas, to się może udać. Ryzyko jest niewielkie, a tak czy inaczej
powinniśmy już eksperymentować z tego rodzaju interwencjami. Wiesz,
że Pająki coraz bardziej interesują się działaniami w kosmosie. Być mo-
że wkrótce będziemy zmuszeni wprowadzać znacznie większe zmiany
w ich łączności. - Poklepała go po ramieniu, przymilając się publicznie

VERNORVINGE

bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Choć wydawała się swobodna i radosna, Qiwi zaangażowała w tę sprawę ogromny ładunek uczuć.

Ale miała rację. To była idealna okazja, by po raz pierwszy wypróbować fiksatów Annę. Czas okazać wspaniałomyślność. Nau odpowiedział Qiwi uśmiechem.

- Dobrze, panie i panowie. Przekonaliście mnie. Annę, odsłonięz je den klucz. Myślę, że zarządca Xin pokaże ci właściwą sesję. Przez następne czterdzieści Ksekund to będzie nasza priorytetowa operacja... i przez poprzednie czterdzieści. - Xin i Liao zostali więc oficjalnie rozgrzeszeni.

Nie okazywali głośno radości, Nau wyczuwał jednak ich entuzjazm i wdzięczność, kiedy podnieśli się z miejsc i wylecieli z pokoju.

Qiwi ruszyła ich śladem, potem jednak odwróciła się szybko i pocałowała Nau w czoło.

- Dziękuję, Tomas. -I dołączyła do pozostałych.

Nau odwrócił się do jedyne gościa, który został jeszcze w sali, Kala Omo.

- Miej ich na oku, sierżancie. Obawiam się, że teraz sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje.

W czasie Wielkiej Wojny zdarzało się, że Hrunknier Unnerby nie spał przez kilka nocy z rzędu, pozostając przez cały czas pod ostrzałem nieprzyjaciela. Ta jedna noc była gorsza. Bóg jeden wiedział, jak przeżyli ją Sherkaner i generał. Gdy tylko uruchomiono linie telefoniczne, Unnerby spędzał większość czasu we wspólnym punkcie dowodzenia. Pracował z miejscowymi policjantami i zespołem łączności Underville, próbując zbierać i porządkować wszystkie wiadomości napływające z miasta. Generał pojawiała się co jakiś czas w sali, na pozór skupiona i opanowana. Unnerby widział jednak, że jego dawna zwierzchniczka jest bliska załamania. Zajmowała się zbyt wieloma rzeczami, pracowała na wszystkich poziomach jednocześnie. Teraz na przykład już od trzech godzin była w terenie, dowodząc jednym z zespołów.

Raz tylko poszedł sprawdzić, co dzieje się u Underhilla. Sherk siedział w laboratorium sygnałowym, tuż pod szczytem wzgórza. Rozpacz i poczucie winy okrywały go niczym rdza, tłumiąc radosny geniusz, który wykorzystywał do rozwiązywania wszystkich problemów. Lecz kober nadal próbował, zmieniając entuzjazm w obsesyjny upór. Pochylony nad klawiaturą komputera pracował bez ustanku, testował nowe rozwiązania. Dla Unnerby'ego jego poczynania nie miały żadnego sensu.

- To matematyka, nie inżynieria, Hrunk.

- Tak, teoria liczb. -Te słowa wypowiedział jakiś niechlujny doktor, do którego należało to laboratorium. - Nasłuchujemy....- Pochylił się do przodu, najwyraźniej pochłonięty tajemnicami własnego programu. - Próbujemy złamać szyfr Kindred.

Mówił zapewne o sygnałach, które ktoś zaczął nadawać z terenu Princeton tuż po porwaniu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Przecież nie wiemy nawet, czy to pochodzi od porywaczy - powie dział Unnerby. *A gdyby to był Kindred, używaliby zwykłego kodu, nie ja kichś wymyślnych szyfrów.*

Jaybert jakiś-tam wzruszył ramionami i kontynuował swą pracę. Sherkaner także milczał, ale wydawał się Unnerby'eimi jeszcze bardziej ponury niż przed chwilą. Nie mógł zrobić nic więcej.

Unnerby udał się więc do wspólnego punktu dowodzenia, gdzie mógł znaleźć przynajmniej iluzję postępu.

Smith wróciła jakąś godzinę po wschodzie słońca. Przejrzała szybko wszystkie raporty.

- Zostawiłam Belgę w mieście z policjantami. A niech to, jej łączność jest niewiele lepsza od tego, co mają gliniarze.

Unnerby potarł oczy, nadaremnie próbując nadać im połysk, który mógł przywrócić tylko długi sen.

- Obawiam się, że pułkownik Underville po prostu nie lubi tego no wczesnego sprzętu. - W każdym innym pokoleniu Belga nie miałyby z tym żadnych problemów. W tym... cóż, Belga Underville nie była jedy ną osobą, która nie mogła poradzić sobie z wynalazkami nowej ery.

Victory Smith przysiadła obok swego starego sierżanta.

- Ale przynajmniej nie dopuściła do nas dziennikarzy. Jakieś wiadomości od Rachnera?

- Jest w centrum bezpieczeństwa. - Prawdę mówiąc, młody major nie informował o niczym Unnerby'ego.

- Jest taki pewny, że to wyłącznie operacja Kindred. Nie wiem. Na pewno brali w tym udział, ale... wiesz, że bileter z muzeum jest tradycjonalistą? A kober, która pracowała przy tylnym wyjściu, zniknęła bez śladu. Belga dowiedziała się, że ona też jest tradycjonalistką. Myślę, że lokalni tradycjonałści brali w tym udział. - Jej głos był spokojny, niemal zamysłony. Później, o wiele za późno, Hrunckner uświadomił sobie: głos generał Smith był spokojny, lecz wszystkie jej kończyny nerwowo się napinały.

Niestety, Hrunckner Unnerby znajdował się we własnym świecie. Przez całą noc przeglądał raporty i wpatrywał się w wietrzną ciemność. Przez całą noc modlił się do najzimniejszych głębi ziemi, modlił się o ratunek dla Małej Victory, Gokny, Brenta i Jirliba. Przemówił smutno, niemal tylko do siebie:

- Patrzyłem, jak wyrastają na prawdziwych ludzi, kobliki, które każdy by pokochał. Oni naprawdę mają dusze.

- Co masz na myśli? - Chłód w głosie Victory nie przeniknął przez warstwę jego zmęczenia. Potem przez długie lata wracał myślami do tej rozmowy, do tej jednej chwili, w której mógł jeszcze uniknąć katastrofy.

- To nie ich wina, że urodzili się poza fazą.

- To nie ich wina, że zabiły ich moje zboczone współczesne ideały?

VERNOR VINGE

- Głos Smith zamienił się w przenikliwy syk, coś, czego nawet zmęczenie i smutek nie mogły ukryć przed jego uwagą. Dopiero teraz zobaczył, że generał drży na całym ciele.

- Nie, ja... - lecz było już za późno, nieodwołalnie za późno. Smith zerwała się na równe nogi. Niczym biczem uderzyła go po głowie jednym długim ramieniem. *

- Wynoś się!

Unnerby cofnął się o krok. Obraz po prawej stronie zamienił się w bolesną białą plamę. Wszędzie widział zaszokowane oblicza oficerów i podoficerów.

Smith nadal nań napierała.

- Trać! Zdrajca! - Jej ręce same wysuwały się do przodu, jakby generał z trudem powstrzymywała się od zadania śmiertelnego ciosu. - Przez lata udawałaś przyjaciela, ale zawsze nami pogardzałaś i nienawidziłaś nas. Dosyć! - Zatrzymała się wreszcie i przycisnęła ręce do boków. Hrunchner wiedział, że zapanowała już nad wściekłością, a to, co potem powiedziała, był chłodny, spokojny i wyważony... i bolało bardziej niż zranione oczy.

- Zabieraj swój moralny bagaż i wynoś się stąd. Natychmiast.

Jej oblicze wyrażało coś, co widział tam dotąd tylko raz czy dwa podczas Wielkiej Wojny, kiedy znajdowali się w beznadziejnym położeniu, lecz ona nadal się nie poddawała. Wiedział, że nie może liczyć na żadną rozmowę, na żadne ustępstwa. Pochylił głowę, powstrzymując słowa, które tak bardzo chciał wypowiedzieć. *Przepraszam. Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Kocham twoje dzieci.* Lecz było już za późno, by słowa mogły cokolwiek zmienić. Hrunchner odwrócił się, przeszedł obok zaszokowanych żołnierzy i cicho zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Rachner Thract dowiedział się, że Smith wróciła do budynku, ruszył spieszonym krokiem w stronę wspólnego punktu dowodzenia. Właściwie powinien być tam przez całą noc, *ale prędzej umrę, niż pozwolę, żeby wewnętrzny wywiad i policja poznały mój szyfr.* Na szczęście mimo to udało mu się osiągnąć sukces. Miał ważne informacje dla szefowej.

Po drodze wpadł na Hrunchnera Unnerby'ego, który szedł właśnie w przeciwnym kierunku. Stary sierżant jakby zapadł się w sobie, stracił swą twardą żołnierską postawę. Szedł chwiejnym krokiem przez korytarz, a po prawej stronie jego głowy ciągnęła się długa, mleczna smuga.

Thract pomachał do niego.

- Wszystko w porządku? - Unnerby przeszedł jednak bez słowa, ignorując go tak, jak pozbawiony głowy osprech mógłby zignorować farmera. Thract miał już odwrócić się i ruszyć za nim, lecz w porę przypomniał sobie o własnych sprawach i ponownie udał się w stronę punktu dowodzenia.

W pokoju było cicho jak w otchłani... albo na cmentarzu. Oficerowie i analitycy siedzieli w bezruchu. Kiedy Rachner szedł między nimi w stro-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nę generał Smith, wszyscy podjęli nagle pracę, choć nadal nie slychać było żadnych rozmów.

Smith przeglądała jeden z dzienników operacyjnych, robiła to jednak zbyt szybko, jakby w rzeczywistości wcale nie była zainteresowana jego treścią. Gestem poprosiła Rachnera, by usiadł obok niej.

- Underville uważa, że w porwaniu brali udział lokalni tradycjonałści, ale nadal nie mamy żadnych konkretnych dowodów. - Mówiła swobodnym tonem, ignorując napięcie panujące na sali. - Masz coś nowego? Jakież reakcje naszych „przyjaciół” z Kindred?

- Mnóstwo reakcji. Nawet pozornie niezwiązane rzeczy wydają się interesujące. Godzinę po tym, jak o porwaniu zrobiło się głośno, Kindred nasiliło działanie propagandowe, szczególnie kładli nacisk na te historie o strasliwym położeniu biedniejszych narodów. Jak zwykle powtarzają te bzdury o „morderstwie w Ciemności”, ale głośniejsze niż zwykle. Mówią, że porwanie jest aktem rozpaczki ze strony uczciwych ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że Akord przejęła elementy przeciwne tradycji...

Na sali znów wszystko ucichło. Victory Smith przerwała mu ostrym głosem:

- Tak, wiem, co mówią. Przypuszczałam, że tak właśnie zareagują na porwanie.

Może powinien zacząć od najważniejszych wiadomości.

- Tak, proszę pani, choć zareagowali trochę za szybko. Nasze źródła nie wiedziały o tym wcześniej, ale teraz... cóż, wygląda na to, że porwania są tylko objawem większego procesu; frakcja radykałów przejęła władzę w Kindred. Co najmniej pięcioro Najgłębszych zostało wczoraj zgładzonych, „umiarkowani” jak Klingtram i Sangst oraz - albo - nieudacznicy jak Droobi. Zostali tylko inteligentni i zdecydowani na wszystko ekstremiści...

Smith odchyliła się do tyłu poruszona.

- Rozumiem.

- Wiemy o tym dopiero od pół godziny, pani generał. Pracują nad tym wszyscy analitycy. Nie zauważyliśmy na razie żadnych działań wojskowych związanych z tymi wydarzeniami.

Wydawało się, że po raz pierwszy Smith słuchała go z uwagą.

- Tak, to zrozumiałe. Na razie wojna nie przyniosłaby im żadnych korzyści.

- Zgadza się. Nie wojna, nie teraz. Kindred będą starali się jak najbardziej osłabić cywilizowany świat przed Ciemnością, a potem walczyć z tymi, którzy zamkną się w otchłaniach... Pani generał, mamy też mniej pewne informacje. - Plotki, tyle że jeden z agentów zginął, by je zdobyć.

- Wygląda na to, że Pedure jest teraz szefem sił zewnętrznych Kindred. Myśleliśmy, że jest tylko zwykłym szpiegiem, ale teraz wiemy już, że jest znacznie sprytniejsza i bardziej bezwzględna. Prawdopodobnie to ona jest odpowiedzialna za ten przewrót. Może być pierwszą wśród nowych

VERNOR VINGE

Najgłębszych. Tak czy inaczej, przekonała ich, że pani, a w szczególności Sherkaner Underhill, jesteście kluczem do strategicznego sukcesu Akord. Wie, że bardzo trudno byłoby zabić panią czy pani męża. Porwanie dzieci otwiera...

Ręce generał wystukiwały jakiś złożony rytm na stole sytuacyjnym.

- Proszę mówić dalej, majorze.

Udawaj, że rozmawiamy o dzieciach kogoś innego.

- Pani generał, Sherkaner Underhill często mówił w radiu o swoich uczuciach, o tym, jak bardzo ceni każde ze swych dzieci. O ile mi wiadomo... - od agenta, który zdemaskował się, by zdobyć te informacje - ...Pedure nie widzi niczego złego w porwaniu pani dzieci, a spodziewa się od nieść wiele korzyści. Miała nadzieję, że uda się wywieźć je z Akord, a po tem po cichu dręczyć panią i pani męża przez dłuższy czas - może przez całe lata. Uważa, że w takiej sytuacji nie moglibyście normalnie pracować.

Smith zastanawiała się nad tym przez moment.

- Gdyby zabijała je jedno po drugim i przysyłała nam kawałki ich ciała... - Umilkła raptownie. - Masz rację co do Pedure. Ona wiedziałaby, jak postępować ze mną i Sherkanerem. Dobrze, chcę, żebyś razem z Belgą-

Zadzwonił jeden z telefonów, wewnętrzna linia Domu na Wzgórzu. Victory Smith sięgnęła szybko po słuchawkę.

- Smith.

Słuchała przez chwilę, po czym gwizdnęła głośno.

- Oni co? Ale... Dobrze, Sherkaner, wierzę ci. Tak, Jaybert powinien przekazać to Undendlle, postąpił słusznie.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Thracta:

- Sherkaner znalazł klucz. Odcyfrował wiadomości z ostatniej nocy. Wygląda na to, że dzieci są przetrzymywane w wieży Plaża Spar, w centrum miasta.

Tym razem zadzwonił telefon obok Thracta. Rachner włączył głośnik i podniósł słuchawkę.

- Thratt, słucham.

Z głośnika dobiegł głos Belgi Underville, która zwracała się właśnie do kogoś z boku:

- Zrobili to? No to ich zamknijcie! - Potem głośniej: - Słuchasz mnie, Thract? Mam ręce pełne roboty. Przed chwilą zadzwonili do mnie jacyś technicy z informacją, że ofiary są przetrzymywane na ostatnim piętrze Plaża Spar. To prawda?

- To nie byli moi technicy, ale ta informacja jest bardzo ważna, pułkowniku, od kogokolwiek by pochodziła.

- Cholera, miałam już prawdziwy trop. Policjanci miejscy zauważyli jedwabną flagę zawieszoną na wieży Banku Princeton. - Budynek ten znajdował się o jakieś pół mili od Plaża Spar. - To był fragment takiej kurtki, jaką opisał Downing.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Smith pochyliła się nad mikrofonem i spytała:

- Belga, czy coś było przychepione do tej flagi? Jakiś list?

Belga Undendlle umilkła na moment. Thract wyobrażał sobie, jak pułkownik próbuje zapanować nad irytacją. Belga chętnie skarżyła się innym kolegom na tę „przeklętą głupią technikę”, ale nie ośmieliłaby się zrobić tego przy Smith.

- Nie, szefowo. Kurtka była mocno poszarpana. Technicy może i mają rączę co do Plaża Spar, ale to bardzo tłoczne miejsce. Poślę kilku ludzi na niższe piętra, będą udawać klientów. Ale...

- Dobrze. Tylko spokojnie, podejdźcie jak najbliżej.

- Szefowo, myślę, że ta wieża, na której znaleźliśmy flagę, to lepszy typ. Jest jeszcze prawie całkiem pusta i...

- Dobrze. Sprawdźcie oba miejsca.

- Tak jest. Mamy tylko problem z policją miejską. Zabrali się do tego sami, wie pani, syreny i tak dalej.

Zeszłego wieczora Victory Smith pouczała Thracta o sile lokalnej policji. Lecz była to głównie siła ekonomiczna i polityczna. Teraz rzuciła do mikrofonu.

- Zrobili to? No to ich zamknijcie! Biorę odpowiedzialność na siebie.

Machnęła na Thracta.

- Jedziemy do centrum.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Shynkrette krążyła nerwowo po swym „punkcie dowodzenia”. Sama nie wiedziała, czy mieli więcej szczęścia, czy pecha. Przygotowanie do tej akcji miały trwać prawie sto dni. Tymczasem udało im się osiągnąć cel zaledwie dziesięć dni po zrzucie. Cała operacja stanowiła nieprawdopodobną mieszankę przypadku, szczęścia i pecha. I co w tym nowego? Drogą do awansu były sukcesy odnoszone w rzeczywistych sytuacjach, a Shynkrette wychodziła już cało z gorszych oparów. Śmierć Barkera i Fremma to wynik nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i chwili nieuwagi. Może najgorszym błędem było pozostawienie żywych świadków - przynajmniej najgorszym błędem, za który można ją obwinie. Z drugiej strony mieli sześcioro dzieci, a co najmniej czworo z nich było pierwotnym celem akcji. Ewakuacja z muzeum przebiegała bez przeszkód, nie zdołali jednak przebić się na lotnisko. Miejscowa ochrona Akord działała odrobinę za szybko - może właśnie dzięki tym pozostałym przy życiu świadkom.

To biuro znajdowało się w budynku Plaża Spar, na dwudziestym piątym piętrze. Mieli stąd doskonały widok na miasto - tylko nie bezpośrednio w dół. W pewnym sensie siedzieli tu zamknięci jak w pułapce - kto

VERNOR VINGE

ukrywa się niemal na dachu wieżowca? Z drugiej strony... Shynkrette zatrzymała się przy sierżancie swojej grupy.

- Co mówi Trivelle, Denni?

Sierżant odsunął słuchawkę od ucha.

- W holu na dole przeciętny ruch. Ma jakichś interesantów. Stary pierdziel i jacyś koberzy z ostatniego pokolenia. Chcą wynająć powierzchnię biurową.

- Dobrze. Mogą obejrzeć pomieszczenia na trzecim piętrze. Jeśli chcą zobaczyć coś innego, niech wrócą jutro. - Jutro, jeśli Głębia da, Shynkrette i jej zespół będą już daleko stąd. Wylecieliby już w nocy, gdyby nie burza. Wojskowi Akord nawet nie przypuszczali, co potrafią helikoptery oddziałów specjalnych Kindred. Jeśli nie popełnią żadnego błędu i nadal będzie dopisywać im szczęście, wrócą do domu z ceną zdobyczą. Podręczniki szpiegowskie Kindred zawsze poświęcały wiele miejsca zabójstwom. Przy okazji tej operacji wielbna Pedure dopisywała nowy, eksperymentalny rozdział. Głębio, co Pedure chciała zrobić z tymi dziećmi. Shynkrette wzdrygnęła się na samą myśl. Pracowała dla Pedure od Wielkiej Wojny i wraz z nią pieła się po szczeblach kariery. Zdecydowanie jednak wolała wykonywać zadania w terenie, niż przebywać z nią w komnatach tortur Kindred. W komnatach ludzkie ciała... tak łatwo... zmieniały kształt. A śmierć przychodziła tam bardzo powoli.

Shynkrette obserwowała ulice przez lornetkę... Cholera, konwój policyjny, migoczące światła. Rozpoznała specjalny sprzęt na samochodach. To był policyjny zespół „ciężkiego uzbrojenia”. Ich taktyka polegała głównie na zastraszaniu przestępców, którzy sami oddawali się w ich ręce. Te światła - i syreny, które miała zapewne usłyszeć za moment - stanowiły część owej strategii zastraszania. W tym wypadku policja popełniła jednak poważny błąd. Shynkrette biegła już z powrotem wokół pierścienia biur, ścigając po drodze z grzbietu swój karabin.

- Sierżancie! Idziemy na górę.

Denni uniósł głowę, zdumiony.

- Trivelle mówi, że słyszy syreny, ale jadą chyba gdzieś indziej. Zbieg okoliczności? Może policjanci chcieli postraszyć kogoś innego swoimi pukawkami? Shynkrette przystanąła niezdecydowana. Denni podniósł tymczasem rękę, kontynuując:

- Ale mówi też, że zniknęli ci trzej interesanci, może poszli do ubikacji.

Sprawa była więc przesądzona; Shynkrette poderwała sierżanta z miejsca.

- Powiedz Trivelle'owi, żeby się stamtąd zmywał. - *Jeśli może.* - Przechodzimy do planu piątego. - Zawsze istnieje jakiś inny plan, jak powtarzano półzartem w oddziałach specjalnych. Zostali ostrzeżeni. Prawdopodobnie mogli jeszcze wydostać się z budynku, wmieszać w tłum cywilów. Kapral Trivelle miał mniejsze szanse, ale wiedział tak mało... Misja nie by-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ła jeszcze stracona. Jeśli nie popełnią teraz żadnego błędu, będzie ją nawet można uznać za częściowy sukces.

Kiedy wbiegali na centralne schody, Denni wyciągał swój karabin i nóż bojowy. Sukces oznaczał w przypadku planu piątego chwilową zwłokę, ale na tyle długą, by zdążyli zabić wszystkie dzieci. Na tyle długą, by wyglądało to naprawdę paskudnie. Pedure chciała najwyraźniej, by w Akord ktoś dostał za to porządnie po głowie. Shynkrette wydawało się to nonsensowne, ale nie znała przecież wszystkich faktów. Nieważne. Pod koniec wojny pomagała przy masakrze w pewnej otchłani. Nic nie mogło być gorsze od tego, ale skradzione dobra sfinansowały odrodzenie Kin-dred.

Do diabła, prawdopodobnie wyświadczała tym dzieciom przysługę; dzięki niej miała je ominąć randka z wielebną Pedure.

Prawie przez cały ranek Brent leżał płasko na metalowej podłodze. Wyglądało na to, że był równie zniechęcony jak Viki i Gokna. Jirlib zajmował się pocieszaniem dwójki dzieci. Maluchy były teraz okropnie nieszczęśliwe i nie chciały mieć do czynienia z Viki i Gokną. Żadne z nich nic nie jadło od poprzedniego popołudnia.

Niewiele też mogli już zrobić, by poprawić swoją sytuację. W świetle poranka ujrzeli, że ich flaga zniknęła. Spróbowali jeszcze raz, ale druga flaga nie trzymała się nawet przez pół godziny. Potem Gokna i Viki spędziły trzy godziny na rozsnuwaniu nici przed jedynym wejściem do pokoju. Brent bardzo im w tym pomógł - naprawdę doskonale znał się na różnych węzłach i sieciach. Gdyby jakiś nieprzyjaciel przeszedł przez te drzwi, natknąłby się na naprawdę nieprzyjemną niespodziankę. Jeśli jednak ten ktoś będzie uzbrojony, to czy sieć w czymkolwiek im pomoże? Gdy zaczęli się o to spierać, Brent ponownie wycofał się w róg pokoju i ułożył na podłodze.

Tymczasem wąski pas światła słonecznego przesuwiał się powoli po ścianach ich więzienia. Zbliżało się już zapewne południe.

- Słyszę syreny - odezwał się nagle Brent po godzinie milczenia. - Połóżcie się i posłuchajcie.

Gokna i Viki posłusznie przywarły do podłogi. Jirlib próbował uciszyć dzieci.

- Tak, słyszę je.

- To syreny policyjne, Viki. Słyszysz tupot?

Gokna zerwała się z miejsca i ruszyła biegiem do drzwi. Viki została jeszcze przez moment na podłodze.

- Ucisz się, Gokna!

Nawet dzieci zamilkły. Viki słyszała teraz inne dźwięki; ciężki warkot wentylatorów gdzieś niżej w budynku, hałas ulicy, który słyszeli już wcześniej... teraz dołączyło do nich jednak staccato wielu stóp wbiegających na schody.

VERNOR VINGE

- Są blisko - powiedział Brent.
- Idą po nas.
- Tak. — Brent umilkł na moment. - Słyszę też innych. Są dalej albo zachowują się ciszej.

To nie miało już większego znaczenia. Viki podbiegła do drzwi, zajęła miejsce obok Gokny. Ich plan przedstawiał się dość żałośnie, lecz nie mieli żadnego wyboru. Wcześniej Jirlib spierał się z nimi, twierdząc, że to on powinien zaatakować napastników z góry, uczepony nici. Tak, ale on stanowił tylko jeden cel, a ktoś musiał trzymać dzieci z dala od linii ognia. Teraz więc Viki i Gokna stały przytulone do ściany po obu stronach drzwi, pięć stóp nad wejściem. Obie przytrzymały się sieci uplecionej przez Brenta.

Brent wstał i stanął po prawej stronie drzwi. Jirlib ustawił się nieco dalej. Mocno tulił do siebie Birbopa i Alequere, ale już nie próbował ich pocieszać. Te jednak przestały płakać. Może rozumiały, a może kierował nimi instynkt.

Viki czuła przez ścianę drżenie wywołane tupotem nóg. Dwoje ludzi. Jeden powiedział coś cicho do drugiego. Viki nie słyszała słów, rozpoznała jednak głos przywódczyni porywaczy. W zamku zazgrzytał klucz. Jirlib postawił dzieci na podłodze. Wszyscy trwali w absolutnej ciszy i bezruchu - a Jirlib odwrócił się do drzwi, gotów do skoku. Viki i Gokna przywarły mocniej do ściany. Naciągnęły linę do granic wytrzymałości. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. To one wpakowały wszystkich w tę kabałę. Ściągnęły śmiertelne niebezpieczeństwo na niewinnych ludzi. Teraz nadszedł czas zapłaty.

Drzwi uchyliły się lekko, metal zazgrzytał o metal. Brent wyprężył się, gotowy do skoku.

- Proszę, nie róbcie mi krzywdy - powiedział tym samym, monotonnym głosem co zawsze. Brent po prostu nie umiał grać, choćby zależało od tego jego życie, lecz w tym akurat wypadku przemawiał dokładnie jak ktoś, kto stracił ze strachu zmysły.

- Nikt nie zamierza was skrzywdzić. Chcemy przenieść was do jakiegoś lepszego miejsca i dać wam coś do jedzenia. Wychodźcie. - Przywódczyni porywaczy mówiła spokojnym, rzeczowym tonem. - No wychodźcie - powtórzyła nieco ostrzej. Naprawdę myślała, że może zabić ich wszystkich, nie ruszając się nawet z miejsca? Minęła sekunda, dwie... Viki usłyszała ciche westchnienie irytacji. Potem ktoś się poruszył.

Gokna i Viki runęły w dół. Gdyby nie trzymały się nici, roztrzaskałyby sobie czaszki na podłodze. Elastyczne włókno pociągnęło je jednak z powrotem, przez otwarte drzwi.

Strumień pocisków wystrzelił w bok, w stronę, z której dobiegał głos Brenta.

Viki dojrzała głowę, ramiona i jakiś karabin. Uderzyła prosto w tylną część grzbietu przywódczyni, powalając ją na podłogę i wytrącając jej karabin z ręki. Lecz drugi kober stał kilka stóp dalej. Gokna trafiła go

OTCHŁAŃ W NIEBIE

między ramiona, próbowała przytrzymać się jego grzbietu. Porywacz odrzucił ją od siebie. Seria pocisków z jego karabinu uderzyła prosto w tułów Gokny. Fragmenty pancerza i krew zbrzygały ścianę za jej grzbietem.

Wtedy dopadł go Brent.

Tymczasem rywalka Viki zerwała się na równe nogi i uderzyła nią w górną ramę drzwi. Ciemność zasnęła świat wokół niej. Jeszcze przez moment słyszała dobiegające z dala strzały i inne głosy.

TRZYDZIEŚCI DWA

Viki nie była poważnie ranna, miała tylko niewielkie wewnętrzne krwawienie, które lekarze zatamowali bez większych problemów. Jirlib miał powykręcane ręce i kilka wgnieceń w pancerzu. Biedny Brent znajdował się w znacznie gorszym stanie.

Kiedy ten dziwny major Thract skończył już zadawać im pytania, Vi-ki i Jirlib odwiedzili Brenta w domowym lazarecie. Tata już tam był, przycupnął obok łóżka. Uwolniono ich ponad trzy godziny temu; tata nadal nie otrząsnął się z szoku.

Brent leżał spowity grubą warstwą bandażu, w zasięgu ręki miał syfon z wodą. Przechylił głowę, kiedy weszli, i uśmiechnął się słabo.

- Hej, nic mi nie jest. -Tylko dwie złamane nogi i kilka ran postrzałowych.

Jirlib poklepał go po ramionach.

- Gdzie jest mama? - spytała Viki.

Głowa taty zachwiała się niepewnie.

- Jest gdzieś w budynku. Obiecała, że zobaczy się z wami dziś wieczorem. Po prostu zbyt wiele się dzisiaj wydarzyło. Wiecie, że nie zrobili tego jacyś szaleńcy?

Viki skinęła głową. W domu było więcej ochroniarzy niż kiedykolwiek, a po podwórzu kręcili się nawet umundurowani żołnierze. Ludzie majora Thracta zadawali im mnóstwo pytań, chcieli wiedzieć, jak zachowywali się porywacze, jak mówili, jak się poruszali. Próbowali nawet zahipnotyzować Viki, by wycisnąć z niej absolutnie wszystko, co zapamiętała. Mogłaby oszczędzić im kłopotu. Viki i Gokna przez wiele lat bezskutecznie próbowały zahipnotyzować się nawzajem.

Nie przeżył żaden z porywaczy; Thract dał im do zrozumienia, że co najmniej jeden z nich zabił się sam, by uniknąć niewoli.

- Generał musi dowiedzieć się, kto stoi za tym porwaniem i jak zmieni to stosunek Akord do naszych nieprzyjaciół.

- To był Kindred - oświadczyła Viki beznamiętnie. Nie miała na to żadnych dowodów prócz wojskowego zachowania porywaczy. Ale jak wszyscy czytała gazety, a tata często mówił o ryzyku, jakie niesie ze sobą podbój Ciemności.

VERNORVINGE

Underhill wzruszył ramionami.

- Najprawdopodobniej. Dla nas ważne jest tylko to, co zmieniło się w naszej rodzinie.

- Tak. - Głos Viki załamał się nagle. -Tato! Zmieniło się tak wiele... już nigdy nie będziemy tacy sami.

Jirlib opuścił głowę i oparł ją o grzędę Brenta.

Underhill jakby skurczył się w sobie.

- Dzieci, tak mi przykro. Nie chciałem, by kiedykolwiek stała wam się krzywda. Nie chciałem...

- Tata, to Gokna i ja wymknęłyśmy się z domu... Siedz cicho, Jirlib. Wiem, że jesteś najstarszy, ale my zawsze potrafiłyśmy cię odpowiednio urobić. - Tak było w istocie. Czasami siostry wykorzystywały próżność starszego brata, czasami jego naukowe zainteresowania - jak w wypadku wystawy fosyliów. Czasami zaś grały na jego braterskiej miłości do młodszych sióstr. Brent także miał swoje słabe punkty. - To Gokna i ja doprowadziłyśmy do tej sytuacji. Gdyby nie *to*, co Brent zrobił w muzeum, wszyscy bylibyśmy już martwi.

Underhill gwałtownie zaprzeczył.

- Och, Mała Victory, bez ciebie i Gokny nasi ludzie przybyliby o minutę za późno. Wszyscy już byście nie żyli. Gokna...

- Ale Gokna nie żyje! - Nagle pancerz udawanej obojętności, za którym skrywała się do tej pory, pękł na drobne kawałki, porwała ją fala rozpacz. Viki krzyknęła przeraźliwie i wypadła z pokoju. Biegła przez korytarz, omijając umundurowanych strażników i zwykłych mieszkańców domu. Kilka osób próbowało stanąć jej na drodze, ktoś jednak zawołał coś od drzwi lazaretu i puszczono ją wolno.

Viki biegła w górę schodów, coraz wyżej i wyżej, mijala laboratoria i sale wykładowe, atrium, w którym zawsze się bawili, w którym poznali Hruncknera Unnerby'ego.

Na szczycie znajdował się mały strych, który tak pragnęły mieć z Gokna. Niektórzy lubią najgłębsze kryjówki, inni najwyższe. Tata zawsze sięgał jak najwyżej, a jego dwie córki uwielbiały patrzeć na świat z góry. Nie był to najwyższy punkt w Princeton, ale im wystarczał.

Viki wbiegła do środka, zatrzasnęła za sobą drzwi. Przystanąła na moment, czekając, aż ustąpią zawroty głowy wywołane gwałtownym wysiłkiem. A potem... rozejrzała się wokół siebie. Stał tutaj domek aterkopów, który bardzo się rozrósł przez ostatnie pięć lat. Kiedy zimy stały się ostrzejsze, stracił swój dawny urok; nie można już było udawać, że to mali ludzie, kiedy zaczęły wyrastać im skrzydła. Dziesiątki owadów wlatywały do karmników i wylatywały na zewnątrz. Błękit skrzydeł przypominał wzory na ścianach ich domu. Viki i Gokna klóciły się od lat, która z nich jest panią tego miniaturowego królestwa.

Kłóciły się niemal o wszystko. Pod ścianą stał dom dla lalek zbudowany z łuski po pocisku artyleryjskim, który Gokna przyniosła z piwnicy.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Pocisk bezsprzecznie należał do Gokny, a mimo to kłóciły się o niego bardzo.

Ślady Gokny były wszędzie. A Gokna miała tu już nigdy nie wrócić. Już nigdy nie miały ze sobą rozmawiać. Viki czuła się tak, jakby pozbawiono ją połowy ciała i duszy, jakby ktoś wyrwał jej wszystkie ręce i nogi. Jej życie straciło sens. Viki przypadła do podłogi, drżąc na całym ciele.

* * *

Ojcowie i matki stanowili bardzo różne kategorie ludzi. Dzieci zdążyły się już zorientować, że ta prawda dotyczy także normalnych rodzin. Tata zawsze był przy nich, miał niewyczerpane pokłady cierpliwości, zawsze mogli go też uprosić o jakieś dodatkowe przywileje. Sherkaner Underhill miał jednak niezwykłą osobowość, która z pewnością znacznie odbiegała od ogólnie przyjętej normy; uważał każdą zasadę natury i kultury za przeszkodę, nad którą warto się zastanowić i z którą warto poeksperymentować.

Mama nie zawsze przebywała w pobliżu, nie spełniała też tak chętnie wszystkich dziecięcych zachcianek. Generał Victory Smith widywała się ze swymi dziećmi dość często, przynajmniej raz na dziesięć dni w Princeton i znacznie częściej, kiedy przyjeżdżali do Dowództwa Łądowego. Pojawiała się w domu także wtedy, gdy musiała ustalić prawdziwe reguły, których nie ważył się łamać nawet Sherkaner Underhill. I wtedy, gdy stało się coś naprawdę, naprawdę niedobrego.

Viki nie wiedziała, jak długo leży już na podłodze, kiedy usłyszała czyjeś kroki na schodach. Z pewnością nie minęło więcej niż pół godziny; za oknem nadal było chłodne piękne popołudnie.

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Junior? Możemy porozmawiać? - *Mama.*

Viki doświadczyła dziwnego pomieszania uczuć: strachu i... ulgi, a nawet radości. Tata mógł jej przebaczyć, tata zawsze przebaczał... ale mama rozumiała, jak straszliwie się zachowała.

Viki otworzyła drzwi i odsunęła się do tyłu ze zwieszoną głową.

- Myślałam, że jesteś dzisiaj zajęta. - Dopiero wtedy zauważyła, że Victory Smith ubrana jest w mundur: czarną marynarkę i rękaw z błękitnymi i czerwonymi naszywkami na ramionach. Nigdy nie widziała, by generał nosiła ten mundur tutaj, w Princeton, a nawet w Dowództwie Łądowym zarezerwowany był na specjalne okazje, spotkania z bardzo ważnymi gośćmi.

Generał weszła cicho do pokoju.

- Uznałam, że to jest ważniejsze. - Poprosiła gestem Małą Victory, by ta usiadła obok niej. Viki spełniła jej prośbę i po raz pierwszy od kilku godzin poczuła prawdziwy spokój. Generał łagodnie położyła dwie ręce na jej ramionach. -Wszyscy popełniliśmy kilka poważnych... błędów. Wiesz, że wasz tata i ja zgadzamy się co do tego?

Viki pokiwała głową.

VERNORVINGE

- Tak, tak!
- Nie możemy przywrócić Goknie życia. Ale możemy ją pamiętać, kochać ją i naprawić błędy, które doprowadziły do tej tragedii.
- Tak!
- Twój ojciec... i ja... uważaliśmy, że powinniśmy trzymać was z dala od poważniejszych problemów, dopóki nie dorośniecie. Do pewnego momentu mieliśmy zapewne rację. Teraz jednak widzę, że naraziliśmy was na ogromne ryzyko.
- Nie!... Mamo, czy ty nie rozumiesz? To ja i... i Gokna złamałyśmy reguły. To my oszukałyśmy kapitana Downinga. Po prostu nie wierzyłyśmy w to, przed czym przestrzegaliście nas z tatą.
- Generał delikatnie poklepała ją po ramionach. Mama była zaskoczona albo rozgniewana. Viki nie miała pojęcia, które z tych przypuszczeń jest prawdziwe, a jej mama przez długi czas milczała. Wreszcie przemówiła łagodnym tonem:
 - Masz rację. Sherkaner i ja popełniliśmy błąd... ale popełniłaś go także ty i Gokna. Nikt z was nie miał złych zamiarów... ale wiesz, że to czasami nie wystarcza. W niektórych grach każda pomyłka może mieć tragiczne konsekwencje. Ale spójrz na to z innej strony, Victory. Kiedy już wiedzieliście, co wam grozi, zachowaliście się bardzo dobrze, lepiej, niż zachowałyby się na waszym miejscu wielu profesjonalistów. Uratowaliście dzieci państwa Suabisme...
 - Naraziliśmy małego Birbopa, żeby...
 - Smith przerwała jej gniewnym wzruszeniem ramion.
 - Tak. To będzie dla ciebie trudna lekcja, córko. Ja przez całe życie uczę się żyć z podobną świadomością. - Znów umilkła, jakby odbiegając myślami gdzieś bardzo daleko od tego miejsca. Nagle Viki uświadomiła sobie, że przecież nawet mama musi popełniać błędy; nie mówiła o tym tylko z czystej uprzejmości. Przez całe życie dzieci podziwiała generała. Ona sama nigdy nie mówiła im o tym, co robi, wiedziały jednak dość, by domyślać się, że jej wyczyny mogłyby stanowić treść dziesiątek powieści przygodowych. Teraz Viki zrozumiała nieco lepiej, jak naprawdę może wyglądać jej życie. Przynęła się trochę bliżej matki.
 - Viki, kiedy nadszedł decydujący moment, ty i Gokna zrobiłyście to, co należało wtedy zrobić. Wszyscy czworo zachowaliście się naprawdę wspaniale. Zapłaciliście straszliwą cenę, ale jeżeli nie wyciągniemy... nie wyciągniecie z tego odpowiedniej nauki, to będzie prawdziwa klęska, dla nas wszystkich. - *To Gokna umaña na darmo.*
 - Zmienię się. Zrobię wszystko, co trzeba. Powiedz mi.
 - Zewnętrzne zmiany nie będą takie duże. Zajmiesz się trochę poważniej wojskowością, może dołączymy do tego jakieś ćwiczenia fizyczne. Ale ty i młodsze dzieci musicie zdobyć jeszcze wiele wiedzy teoretycznej, książkowej. Twój rozkład zajęć nie zmieni się zbyt. Najwięcej zmienią się w twojej głowie, będziemy też traktować cię zupełnie inaczej

OTCHŁAŃ W NIEBIE

niż dotychczas. Nauka będzie oczywiście bardzo ważna, ale musisz też poznać pewne ogromne, śmiertelne zagrożenia. Mam nadzieję, że nigdy nie doprowadzą do sytuacji tak krytycznej, jak ta sprzed kilku godzin, ale na dłuższą metę te niebezpieczeństwa są nieporównywalnie większe. Przykro mi, ale żyjemy w wyjątkowo trudnych czasach.

- Ale i wyjątkowo ciekawych. - Tata zawsze to powtarzał. Ciekawe, co powie na to generał?

- Tak. To prawda. I dlatego zrobiliśmy z twoim ojcem to, co zrobiliśmy. Lecz trzeba czegoś więcej niż nadziei i optymizmu, by osiągnąć to, co zamierza Sherkaner, a każdy upływający rok będzie ze sobą niósł coraz większe zagrożenia. To, co wydarzyło się dzisiaj, jest tylko początkiem. Być może najtrudniejsze chwile nadejdą, kiedy będę już bardzo stara. A twój ojciec jest starszy ode mnie o pół pokolenia... Powiedziałam przedtem, że wszyscy czworo wspaniale się dzisiaj zachowaliście. Co więcej, tworzyliście zespół. Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, że nasza cała rodzina jest jak zespół? Posiadamy jedną, szczególną przewagę nad wszystkimi innymi; nie pochodzimy wszyscy z jednego pokolenia, ani nawet dwóch. Przychodziliśmy na świat w różny czasie. Jesteśmy lojalni względem siebie. I myślę, że jesteśmy też bardzo utalentowani.

Viki uśmiechnęła się do matki.

- Na pewno nikt z nas nie jest tak mądry jak tata.

Victory się roześmiała.

- No tak. Sherkaner rzeczywiście jest... wyjątkowy.

Viki kontynuowała:

- Właściwie nikt z nas, może poza Jirlibem, nie może się nawet równać ze studentami taty. Z drugiej strony ja i... i Gokna odziedziczyłyśmy więcej po tobie. Potrafimy... potrafię manipulować ludźmi i planować na większą skalę. Myślę, że Rhapsa i Mały Hrunck, kiedy już dorosną, wpaśują się gdzieś pośrodku, między mnie i Jirliba. A Brent wcale nie jest głupi, jego umysł pracuje tylko w dziwny sposób. Nie umie współżyć z innymi ludźmi, ale jest najostrożniejszy z nas wszystkich. Zawsze stara się nas ochraniać.

Generał uśmiechnęła się do niej.

- Myślę, że i on doskonale sobie poradzi. Zostało was teraz pięcioro, Viki. Siedmioro, jeśli liczyć mnie i Sherkanera. Zespół. Twoje oceny są bardzo trafne. Nie możesz jednak wiedzieć, jak wypadacie w porównaniu z resztą świata. Pozwól, że podam ci moją chłodną, obiektywną ocenę profesjonalisty: możecie być najlepsi. Chcieliśmy dać wam jeszcze kilka lat swobody, dziś jednak wszystko się zmieniło. Chcę, byście wiedzieli, co się dzieje, kiedy nadejdą czasy, których tak bardzo się obawiam. Chcę, byście mogli skutecznie działać nawet wówczas, gdy wszyscy inni stracą już głowę i nadzieję.

Victory Junior była już dość duża, by wiedzieć, co to wierność służbie i hierarchia dowodzenia.

YERNOR VINGE

- Wszyscy? Ja... -Wskazała na pagony na ramionach jej matki.
- Tak, zawsze kieruję się dobrem Korony. Chcę tylko powiedzieć, że być może nadejdą jeszcze czasy... mówiąc krótko, służba Koronie oznacza czasem wykonywanie innych rzeczy niż te, które wynikają z hierarchii. - Uśmiechnęła się do swej córki. - Niektóre książki przygodowe mówią prawdę, Viki. Szef wywiadu ma pewne specjalne prerogatywy... Och, chyba się trochę zasiedziałam. Wkrótce porozmawiamy znowu, wszyscy razem.

Kiedy generał już wyszła, Viki jeszcze przez dłuższy czas przechadzała się po swej małej sypialni na szczycie wzgórza. Nadal była oszołomiona, nie czuła już jednak przygniatającej grozy. Zawsze istniała jakaś nadzieja, zawsze było coś nowego do zrobienia. Viki często bawiła się z Gokną w szpiegów. Mama jednak nigdy nie mówiła im o tym, co robi, a na dodatek tak nie przypominała na co dzień żołnierza, że dziewczynki nawet nie marzyły, by kiedykolwiek mogły pójść w jej ślady. Prowadzenie firm związanych z pracą wywiadu, takich, jakie założył kiedyś Hrunchner Unnerby, wydawało się bardziej realistyczne. Teraz...

Viki bawiła się przez chwilę domkiem dla lalek Gokny. Pomyślała, że już nigdy nie pokłóci się z Gokną o te plany. Zespół mamy poniósł pierwszą stratę. Teraz jednak wiedzieli już, że są zespołem: Jirlib i Brent, Rhap-sa, Mały Hrunk, Viki, Victory i Sherkaner. Nauczą się robić wszystko, co w ich mocy. *A to powinno wystarczyć.*

TRZYDZIEŚCI TRZY

Dla Ezra Vinha lata płynęły szybko i to nie tylko ze względu na krótkie wachty. Czas, jaki upłynął od zasadzki, stanowił niemal jedną trzecią jego życia. Przez wszystkie te lata zachowywał się niemal dokładnie tak, jak to sobie kiedyś obiecał; był wręcz nieludzko cierpliwy, nie poddawał się rozpaczom i wciąż myślał o tym, jak zniszczyć Tomasa Nau i odebrać mu to, co jeszcze przetrwało. Kiedyś bał się, że to oczekiwanie zamieni się w udrękę, której nie będzie końca.

Tak. Zachowywał ogromną cierpliwość. Doświadczał też bólu... i wstyd. Nie obawiał się już jednak o przyszłość. I choć nadal nie znał szczegółów, sama świadomość, że pracuje dla Phama Nuwena, dawała mu pewność, że kiedy jednak zatriumfują. Największą niespodzianką było jednak spostrzeżenie, które czynił coraz częściej, kiedy zastanawiał się nad przeszłością; w pewnym sensie te lata przynosiły mu więcej satysfakcji niż wszystkie poprzednie. Dlaczego?

Grupmistrz Nau umiejętnie wykorzystywał dostępny sprzęt medyczny i utrzymywał najpotrzebniejszych specjalistów, takich jak tłumacze, niemal w nieustającej aktywności. Trixia miała teraz ponad czterdzieści

OTCHŁAŃ W NIEBIE

lat. Ezr widywał ją niemal codziennie, kiedy był na wachcie, a małe zmiany, jakie dostrzegał na jej twarzy, rozdzierały mu serce.

W Trixii zachodziły jednak również inne zmiany, które pozwalały mu wierzyć, że jego częste odwiedziny i upływające lata zbliżają ich do siebie.

Kiedy przychodził o zwykłej porze do jej maleńkiej celi na Strychu Hammerfest, Trixia go ignorowała. Kiedyś jednak przybył o jakieś sto sekund później niż zwykle. Trixia siedziała zwrócona do drzwi.

- Spóźniłeś się - powiedziała tym samym obojętnym, a jednocześnie zniecierpliwionym tonem, którego używała czasem Reynolt. Wszyscy fik-saci byli bardzo czuli na punkcie punktualności. Ale ... Trixia zauważyła jego nieobecność.

A on zauważył, że Trixia zaczyna sama dbać o siebie. Kiedy przycho-dził na ich sesje, włosy Trixii były zaczesane do tyłu, niemal całkiem gład-ko. Coraz częściej też ich rozmowy nie były tak bardzo monotematyczne... przynajmniej jeśli odpowiednio dobierał tematy.

Tego dnia Ezr przybył do jej celi punktualnie, lecz przemycił ze sobą drobny upominek - dwa delikatne ciasteczka z saloniku Benny'ego.

- Dla ciebie - powiedział, wysuwając w jej stronę jedno z ciastek. Smakowity zapach wypełnił całą celę. Trixia patrzyła nań przez moment, jakby zdumiona tym śmiałym gestem. Potem zbyła go machnięciem ręki.

- Miałeś przynieść mi zamówienia z innych działów.

Westchnął. Zostawił jednak ciastko przymocowane do wysięgnika obok jej ręki.

- Tak, mam je. - Ezr usiadł na swym zwykłym miejscu obok drzwi. Dzisiejsza lista nie była zbyt długa. Fiksacja mogła czynić cuda, ale bez spoiny normalnego, zdrowego rozsądku wyniki prac prowadzonych przez różne grupy specjalistów nie łączyłyby się ze sobą w żaden sposób. Ezr i inni normalni ludzie zbierali te wyniki i starali się wyszukać w nich coś, co mogłoby zainteresować badaczy innych specjalności. Rezultaty ich po szukiwań wysyłane były do góry, do Naua, i z powrotem na dół, jako te maty kolejnych zadań.

Dzisiaj Trixia nie miała żadnych problemów z przekładem nadesła-nych tekstów, choć przy niektórych mruzczała gniewnie:

- Strata czasu...

- Rozmawiałem też z Ritą Liao. Jej programiści są bardzo zadowoleni z materiałów, które im podsyłasz. Zaprojektowali pakiet aplikacji finan-sowych i oprogramowanie sieci, które powinno się doskonale sprawdzić w nowych mikroprocesorach Pająków.

Trixia kiwała głową.

- Tak, tak, rozmawiam z nimi codziennie. - Tłumacze zaskakująco dobrze współpracowali z programistami niskiego poziomu i specjalistami od prawa i finansów. Zdaniem Ezra działało się tak dlatego, że tłumacze nie mieli pojęcia o tych dziedzinach, tak jak programiści i prawnicy nie mie-li pojęcia o tłumaczeniu.

VERNOR VINGE

- Rita chce utworzyć na planecie firmę zajmującą się sprzedażą programów. Powinna pokonać miejscową konkurencję, ale potrzebujemy materiałów językowych.

- Tak, tak, wymyśliłam już nawet nazwę. Ale na razie jest za wczesnie.

Jeszcze przez dłuższy czas rozmawiał z nią na ten temat, próbując choć w przybliżeniu określić datę rozpoczęcia projektu, którą mógłby potem podać Ricie Liao. Trixia współpracowała również z twardegłowymi zajmującymi się wstawianiem, więc ich wspólna opinia stanowiła prawdopodobnie wiarygodny punkt odniesienia. Jakość wstawień dokonywanych poprzez sieć komputerową - nawet przy ogromnej wiedzy i doskonałym planowaniu - zależała głównie od jakości tej sieci. Musieli czekać jeszcze co najmniej pięć lat na rozwój prawdziwego rynku oprogramowania i nieco dłużej na początki prawdziwej sieci publicznej Pajaków. Do tej pory praktycznie nie mogli przeprowadzać żadnych większych operacji na powierzchni planety. Nawet teraz mogli wpływać na rozwój Pajaków jedynie poprzez sieć wojskową Akord.

Ezr szybko - zbyt szybko - dotarł do ostatniego punktu na liście. Osobie postronnej mógł wydawać się on nieistotny, Ezr wiedział jednak z doświadczenia, że będzie to spory kłopot.

- Nowy temat, Trixio, a właściwie problem translatorski; chodzi o kolor, który nazywasz „kraciasty”. Zauważyłem, że nadal używasz tego określenia w opisach scen wizualnych. Fizjolog...

- Kakto. - Trixia zmrużyła lekko oczy. Współpracujących ze sobą fiksatów łączyła niemal telepatyczna bliskość albo też dzieliła ogromna nienawiść, spotykana tylko romantycznych powieściach o środowisku akademickim. Norm Kakto i Trixia oscylowali pomiędzy tymi dwoma stanami.

- Tak. Hm, więc doktor Kakto wygłosił przy mnie długi wykład o naturze wzroku i spektrum elektromagnetycznego i zapewnił mnie, że określenie „kraciasty” w odniesieniu do koloru właściwie nic nie znaczy.

Trixia zmarszczyła brwi i przez moment wyglądała znacznie starszej, niż chciałby ją widzieć Ezr.

- To realne słowo. Ja je wybrałam. Kontekst wskazywał... - Bruzda przecinająca jej czoło pogłębiła się jeszcze bardziej. Często to, co początkowo uważano za pomyłkę tłumacza, okazywało się później może nie do słownie prawdą, ale przynajmniej kluczem do jakiegoś nierozpoznanego aspektu rzeczywistości Pajaków. Lecz zafiksowani tłumacze, nawet Trixia, mogli się mylić. W pierwszych przekładach, kiedy wraz z innymi wciąż badała dopiero nieznaną rzeczywistość obcej rasy, używała wielu łatwych i nieprecyzyjnych określeń; wiele z nich musiała później odrzucić.

Problem polegał na tym, że fiksaci niełatwo zmieniali poglądy. Trixii niewiele brakowało do prawdziwego wybuchu. Nie przejawiało się to w jakiś ekstremalny sposób. Często marszczyła brwi, choć nie

OTCHŁAŃ W NIEBIE

tak mocno. I nawet kiedy milczała, bez ustanku pisała coś na swojej klawiaturze. Wyniki jej analizy rzucały jasne plamy światła na ściany. Oddychała coraz szybciej, z coraz większym zdenerwowaniem analizując krytykę w głowie i w połączonej z nią sieci. Nie znajdowała żadnego kontrargumentu.

Ezr wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia.

- To nie wszystko, Trixie. Odbyłem z Kaktó dłuższą rozmowę na ten temat. -W rzeczywistości Ezr omal nie zadreżzył fizjologa pytaniami. Często tylko w ten sposób można było porozumieć się z zafiksowanym naukowcem: skoncentrować się na jego specjalności oraz konkretnym problemie i zadawać pytania na różne sposoby. Taka technika stosowana nieumiejętnie mogła szybko doprowadzić do końca rozmowy. Nawet po siedmiu latach spędzonych na wachcie Ezr nie był ekspertem w tej dziedzinie, w końcu udało mu się jednak sprowokować Kaktó do sformułowania alternatywnego wyjaśnienia:

- Zastanawialiśmy się, czy Pająki nie mają takiej nadwyżki metod wizualnych, że ich mózg musi mieć wielowarstwowy dostęp, to znaczy, przez ułamek sekundy Pająk widzi w jednym zakresie widmowym, przez kolejny ułamek w innym. Być może przynosi to efekt... marszczenia, nachodzenia na siebie poszczególnych obrazów.

Właściwie Kaktó uznał tę hipotezę za niedorzeczną, twierdził, że nawet jeśli mózg Pająków mógłby niemal jednocześnie postrzegać różne zakresy widma, to na poziomie świadomej percepcji zachowany zostałby ciągły, niezmacony obraz.

•Kiedy wypowiadała te słowa, Trixie zamarła niemal w całkowitym bezruchu, tylko jej palce nadal stukwały w klawiaturę. Jej spojrzenie, które do tej pory bezustannie wędrowało z miejsca na miejsce, przez długą sekundę spoczęło... prosto na oczach Ezra. Mówił coś, co było ważne i zawierało się w obrębie jej fiksacji. Potem odwróciła wzrok, zaczęła coś mamrotać pod nosem i jeszcze szybciej uderzać w klawiaturę. Oczy znów zaczęły śledzić obrazy widoczne tylko na jej wyświetlaczu. Wreszcie wykrzyknęła:

- Tak! To wszystko tłumaczy. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam... wybierałam to słowo ze względu na kontekst, ale... - Na ścianach pojawiły się daty i nazwy miejsc. Ezr próbował nadażyć za Trixią, która odnosiła się po kolei do poszczególnych przypadków, lecz jego wyświetlacz na dal był odizolowany od sieci Hammerfest, musiał więc polegać tylko na jej gestach.

Ezr uśmiechnął się do siebie. W tej chwili Trixie zachowywała się niemal normalnie, nawet jeśli nieco za gwałtownie...

- Spójrz! Prócz tego jednego przypadku przeciążenia bólu wszystkie użycia słowa „kraciasty” związane były z niskim poziomem wilgotności i szerokim pasmem światła. W tych sytuacjach cały kolor... *vetmoot3*...
- Używała teraz wewnętrznego żargonu, niezrozumiałego języka, którym

VERNOR VINGE

porozumiewali się zafiksowani tłumacze. - Zmienił się tryb języka. Potrzebowałam specjalnego określenia, a „kraciasty” wydaje się najtrafniejsze.

Słuchał i obserwował Trixię. Niemal widział, jak zrozumienie rozprzestrzenia się po jej umyśle, ustala nowe połączenia, bez wątpienia poprawia wszystkie poprzednie przekłady. Tak, to musiała być prawda. Twardogłowi nie mogli narzekać na określenie „kraciasty”.

W sumie była to bardzo udana sesja. Na koniec Trbda sprawiła mu cudowną niespodziankę. Nie przerywając ani na chwilę rozmowy, sięgnęła jedną ręką po ciastko, oderwała je od zamocowania i przez moment patrzyła na delikatną pianę i ciasto, jakby nagle rozpoznała, czym jest ciastko, i przypominała sobie przyjemność związaną z jedzeniem takich rzeczy. Potem wetknęła je do ust, a delikatna pianka rozprysnęła się kolorowymi kroplami na jej wargach. Przez moment Ezr myślał, że Trixia się krztusi, ale w rzeczywistości był to radosny śmiech. Pogryzła, przełknęła... i po chwili westchnęła z ukontentowaniem. Ezr po raz pierwszy widział, by była zadowolona z czegoś, co nie wiązało się w żaden sposób z jej fiksacją.

Nawet jej dłonie znieruchomiały na kilka sekund. Potem spytała:

- No dobrze, coś jeszcze?

Dopiero po chwili pytanie dotarło do oszołomionego Ezra.

- Hm... - Właściwie był to ostatni punkt na jego liście. Ale co za ra dość! Ciastko uczyniło cud. - Jeszcze jedna rzecz, Trixiu. Coś, o czym powinnaś wiedzieć. - *Może coś, co wreszcie zrozumiesz.* - Nie jesteś maszyną, jesteś ludzką istotą.

Te słowa nie wywarły na niej jednak żadnego wrażenia. Może ich nawet nie słyszała. Jej palce znów uderzały w klawiaturę, oczy śledziły obrazy widoczne tylko na wyświetlaczu. Ezr odczekał kilka sekund, ale Tri-xia nie zwracała nań już uwagi. Westchnął i odwrócił się do drzwi celi.

Następnie, dziesięć, może piętnaście sekund po tym, jak do niej mówił, Trixia podniosła nagle wzrok. Tym razem na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Naprawdę? Nie jestem maszyną?

- Nie. Jesteś osobą.

- Och. - Znów zupełny brak zainteresowania. Powróciła do pracy, porozumiewając się przez łącze audio z jej niewidzialnymi zafiksowanymi współpracownikami. Ezr wymknął się cicho na zewnątrz. Kilka lat temu czułby się zdruzgotany albo przynajmniej zniechęcony tak chłodną reakcją. Teraz wiedział, że to normalna rzeczywistość twardogłowych. A on przebił się przez nią na moment. Leciał powoli przez labirynt korytarzy. Zazwyczaj te kręte, wąskie tunele działały mu na nerwy. Co dwa metry drzwi do kolejnych cel, z prawej strony, u góry, z lewej i na dole. A gdyby wybuchła tu panika? Gdyby trzeba było ewakuować wszystkich w pośpiechu? Ale dzisiaj... wróciło do niego echo, i nagle uświadomił sobie, że gwizdże.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Annę Reynolt czekała na niego przy wyjściu do głównego pionowego korytarza Hammerfest. Wskazała na pojemnik, który ciągnął za sobą.

- Zabiorę to.

Cholera. Miał przecież zostawić drugie ciastko Trijrii. Oddał pojemnik Reynolt.

- Wszystko poszło dobrze. Napiszę o tym w raporcie...

- Myślę, że wysłucham tego raportu już teraz - przerwała mu Reynolt, wskazując w dół tunelu. Przytrzymała się ściennego uchwytu, zmieniła pozycję ciała i ruszyła w dół. Ezr leciał za nią. Kiedy mijali otwory w kesonie, blask OnOff przeświecał przez ciekłą warstwę diamentu. Potem znów wrócili do sztucznego światła, gdy wędrowali coraz dalej w głąb Diamentu Pierwszego. Kryształowe płaskorzeźby wyglądały równie świeżo jak w dniu, w którym zostały wykonane, tu i ówdzie jednak pojawiły się zabrudzenia pozostawione przez stopy i ręce ludzi przechodzących korytarzem. Na LI było już niewiele niewykwalifikowanych fiksatów, z pewnością nie dość wielu, by utrzymać emergentną perfekcję. Na dnie korytarza skęcili w prawo, nadal posuwając się lekko w dół i mijając po drodze biura i laboratoria - wszystkie dobrze już znane Ezrowi. Klinika fiksatów. Tu Ezr był tylko raz. Klinika była pilnie strzeżona i monitorowana, lecz nie całkiem niedostępna. Pham, wielki przyjaciel Truda Silipana, często tutaj gościł. Ezr unikał jednak tego miejsca; tutaj kradziono ludziom dusze.

Biuro Reynolt znajdowało się tam, gdzie zawsze, na końcu korytarza, za prostymi drzwiami. Dyrektor zasobów ludzkich usiadła w swoim krześle i otworzyła pojemnik, który odebrała Ezrowi.

Vinh udawał, że wcale nie przejmując się tą wizytą, rozglądał się spokojnie po pokoju. Nic nowego, fe same nagie ściany, skrzynie i na pozór chaotycznie ułożony sprzęt - po kilkudziesięciu latach, jakie Reynolt spędziła na wachcie, nadal było to jedyne umeblowanie jej biura. Nawet gdyby nie wiedział o tym od Phama, Ezr już dawno temu domyśliłby się, że Annę Reynolt jest fiksatem. Przedziwnym, zorientowanym na ludzi, ale jednak fiksatem.

Reynolt najwyraźniej nie była zaskoczona zawartością pojemnika. Powąchała ciastko z miną technika bakterium oceniającego stopień fermentacji szlamu.

- Bardzo aromatyczne. Ciastka i przekąski nie należą do diety zafiksowanych specjalistów, panie Vinh.

- Przepraszam. To miała być tylko taka... mała nagroda. Nie robię tego często.

- To prawda. Właściwie nie robił pan tego nigdy do tej pory. - Spojrzała mu w twarz, potem odwróciła wzrok. - Minęło trzydzieści lat, panie Vinh. Siedem lat pańskiej aktywności. Wie pan, że twarogłowi nie reagują na takie „nagrody”; ich system motywacyjny mieści się w obrębie

VERNOR VINGE

ich fiksacji. Nie... myślę, że nadal próbuje pan skrycie obudzić miłość w doktor Bonsol.

- Za pomocą ciasteczek?

Reynolt uśmiechnęła się doń kwaśno. Zwykły fiksat nie zauważyłby sarkazmu w tym pytaniu. Reynolt wyczuła go natychmiast, choć oczywiście nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

- Może raczej za pomocą zapachu. Przypuszczam, że zaliczył pan nie które kursy z neurologii Queng Ho i dowiedział się pan z nich, że szlaki bodźców węchowych mają bezpośredni dostęp do wyższych ośrodków. Hm? - Przez chwilę przyglądała mu się badawczo niczym dziwnemu oka zowi owada.

Właśnie tego uczono mnie na kursach. A ciastko było czymś, czego Trixia nie wahała, odkąd została zafiksowana. Przez moment ściany otaczające prawdziwą Trixię stały się cienkie jak jedwab. Przez moment Ezr jej dotykał.

Ezr wzruszył ramionami. Reynolt była naprawdę bardzo inteligentna. Gdyby kiedykolwiek chciała przyjrzeć mu się z bliska, z pewnością nie zdołałby ukryć przed nią niczego. Prawdopodobnie starczyłoby jej inteligencji, by zdemaskować Phama Nuwena. Ratował ich jedynie fakt, że obaj pozostawali na skraju jej fiksacji. *Gdyby Ritser Brughel miał szpiega choć w połowie tak dobrego jak ona, Pham i ja już byśmy nie żyli.*

Reynolt odwróciła się od niego i przez moment patrzyła na obrazy na swym wyświetlaczu.

- Pańskie zachowanie nie wyrządziło żadnych szkód - przemówiła wreszcie. -W pewnym sensie fiksacja to bardzo silny stan. Może wydaje się panu, że dostrzega jakieś zmiany w zachowaniu doktor Bonsol, ale proszę pomyśleć o tym: przez ostatnie kilka lat wszyscy najlepsi tłumacze zaczęli przybierać sztuczne pozy. Jeśli wpłynie to w ujemny sposób na ich wydajność, zabierzemy ich do kliniki i poddamy przestrojeniu... Jeśli jednak znów spróbuje pan aktywnie manipulować doktor Bonsol, zabronię panu kolejnych wizyt.

Była to całkiem realna groźba, ale Ezr próbował obrócić ją w żart:

- Cóż to, nie będzie mi pani grozić śmiercią?

- Moja ocena, panie Vinh - pańska wiedza o Epoce Świtu Ludzkości jest bardzo cenna. Łączy pan efektywnie co najmniej cztery moje grupy, wiem też, że grupmistrz często korzysta z pańskich rad. Niech pan jednak nie popełni błędu; dział tłumaczeń poradzi sobie i bez pana. Jeśli jeszcze raz mnie pan zirytuje, nie zobaczy pan doktor Bonsol aż do zakończenia misji.

Piętnaście lat? Dwadzieścia?

Ezr wpatrywał się w nią przez moment, wiedząc, że musi całkiem poważnie traktować jej groźbę. Ta kobieta była naprawdę nieublagana. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, jaka była przedtem. Nie on jeden. Trud Silipan raczył wszystkich klientów salonu Benny'ego swymi domysłami

OTCHŁAŃ W NIEBIE

w tej kwestii. Klika Xevalle była kiedyś drugą co do wielkości siłą na politycznej arenie Emergencji; Trud twierdził, że Reynolt zajmowała w niej bardzo wysoką pozycję. Kiedyś była może nawet większym potworem niż Tomas Nau. Przynajmniej niektórzy z nich zostali ukarani; zgnieceni przez własnych pobratymców. Annę Reynolt upadła bardzo nisko, zmieniając się z szatana w jego nieświadome narzędzie.

Bez względu na to, czy czyniło ją to kimś lepszym, czy gorszym, zagrażało mu.

Tej nocy, kiedy leżał sam w ciemności swego pokoju, Ezr opisał to spotkanie Phamowi.

- Mam wrażenie, że gdyby Reynolt została kiedykolwiek przeniesiona do działu Brughla, zdemaskowałyby nas w ciągu kilku Ksekund.

Chichot Nuwena docierał do Ezra jako chrapliwe buczenie.

- Ale do takiego przeniesienia nigdy nie dojdzie. Tylko ona utrzymuje w całości dział twarogłowych. Przed bitwą miała do dyspozycji czterystu niezafiksowanych specjalistów, teraz musi *bzz zzzt*.

- Powtórz to ostatnie.

- Powiedziałem, że teraz musi polegać na niedoświadczonym i niedouczonej personelu.

Czasami Ezr musiał prosić nawet trzy lub cztery razy o powtórzenie. Lecz i tak był to duży postęp w stosunku do języka migocących światła, którym posługiwali się na początku. Teraz, kiedy Ezr udawał, że kładzie się spać, miał wsunięty głęboko do ucha milimetrowy lokalizator. Słyszał głównie buczenie i szum, jednak przy odpowiedniej wprawie mógł też rozróżnić ukryte w owym szumie słowa. Lokalizatory znajdowały się w całym pokoju i we wszystkich kwaterach Kupców. Stały się tugłównym narzędziem szpiegowskim Brughla i Naua.

- Może jednak nie powinienem próbować tej sztuczki z ciastkiem.

- ...Może. Ja nie robiłbym czegoś tak oczywistego. -*AlePham Nuwen nie był zakochany w Trbcii Bonsol*. - Rozmawialiśmy już o tym Fiksaci Brughla są potężniejszym narzędziem, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Węszą przez cały czas i potrafią przejrzeć takich... - Ezr nie zrozumiał tego słowa: „naiwnych”? „niewinnych”? wolał jednak nie pytać o wyjaśnienie -...ludzi jak ty. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Z pewnością domyślają się, że nie wierzysz w ich historyjkę o masakrze Diema. Wiedzą, że jesteś wrogo nastawiony. Orientuję się, że coś knujesz albo przynajmniej chciałbyś. Twoje uczucia dla Bonsol zapewniają ci pewną osłonę; mniejsze kłamstwo, które kryje większe. Jak moja sprawa z Zamle Eng.

- Tak. - *Ale chyba będą musiały uspokoić się na jakiś czas* - Więc uważasz, że Reynolt nie stanowi dużego zagrożenia?

Przez chwilę słyszał tylko buczenie i syki; może Pham riic nie mówił.

- Wręcz przeciwnie, Vinh. Na dłuższą metę to właśnie oifa jest dla nas największym zagrożeniem.

VERNOR V!NGE

- Ale nie pracuje w służbie bezpieczeństwa.
- Nie, ale opiekuje się szpiegami Brughla, poprawia ich biedne mózgi, kiedy zaczynają dryfować. Phuong i Hom mogą się zajmować tylko prostszymi przypadkami; Trud udaje, że może zrobić wszystko, ale wykonuje tylko jej polecenia. Ośmiu zafiksowanych programistów Reynolt bez przerwy bada kody naszej floty. Trzech z nich wciąż próbuje rozgryźć lokalizatory. W końcu odkryje, jak ich przechytrzyłem. *Bzz belkot* Boże! Władzę, jaką ma Nau. - Głos Phama umilkł raptownie, Ezr słyszał tylko buczenie i trzaski.

Wyciągnął rękę spod koca i włożył palec do ucha, wpychając głębiej małeńki lokalizator.

- Powtórz. Jesteś tam jeszcze?

bzzt

- Jestem. Reynolt jest śmiertelnie niebezpieczna. Wcześniej czy później będziemy musieli ją usunąć.

- Zabić ją? - Słowa te uwięzły Ezrowi w gardle. Choć szczerze nienawidził Naua, Brughla i całego systemu fiksacji, nie potrafił nienawidzić Annę Reynolt. Na swój ograniczony sposób opiekowała się niewolnikami. Nie wiedział, kim była kiedyś, lecz teraz stanowiła tylko narzędzie.

- Mam nadzieję, że nie! Może... gdyby Nau połknął przynętę, gdyby zaczął używać lokalizatorów w Hammerfest. Wtedy bylibyśmy tam równie bezpieczni jak tutaj. Jeśli dojdzie do tego, nim twardogłowi Reynolt zrozumieją, że to pułapka...

- Ale przecież właśnie dlatego wszystko opóźnimy, żeby jej ludzie mogli lepiej zbadać lokalizatory.

- Tak. Nau nie jest głupcem. Nie martw się. Trzymam rękę na pulsie. Jeśli Reynolt zanadto się zbliży... zajmę się nią.

Przez chwilę Ezr próbował wyobrazić sobie, co może zrobić Pham, potem jednak odsunął od siebie te myśli. Nawet po dwóch tysiącach lat pamięć o Phamie Nuwenie zajmowała szczególne miejsce w uczuciach Rodziny Vinli. Ezr przypominał sobie zdjęcia, które widział w gabinecie swego ojca, historie, które opowiadały mu ciotki. Nie wszystkie znajdowały się w archiwach Queng Ho. Oznaczało to, że opowieści te nie są prawdziwe albo że to bardzo osobiste wspomnienia, prawdziwe opinie babci Sury i jej dziecię o Phamie Nuwenie. Kochali go nie tylko za to, że stworzył współczesne /Queng Ho, nie tylko za to, że był Dziadkiem dla wszystkich Rodzin Vinhi Niektóre z tych opowieści ukazywały inne, drapieżne oblicze Nuwena.

Ezr otworzył oczy, rozejrzał się po ciemnym pokoju. Delikatny blask lampki oświetlał jego kombinezon zamknięty w szafie, ciastko spoczywające na jego biurku. Rzeczywistość[^]

- PhamAco naprawdę możesz zrobić za pomocą lokalizatorów?

Milczenie. Odległy szum.

- Co mogę zrobić? Cóż, na pewno nie mogę zabić... nie bezpośrednio-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nio. Ale nadają się do czegoś więcej niż to beznadziejne łącze audio. To wymaga praktyki, ale zdziwiłbyś się, widząc, jakich sztuczek mogą dokonać te maleństwa. - Długa pauza. - Do diabła, musisz się ich nauczyć. Może się zdarzyć tak, że nie nawiążesz ze mną łączności, a tylko one będą mogły uratować cię przed zdemaskowaniem. Powinniśmy się spotkać osobiście...

- Co? Twarzą w twarz? Jak? - Dziesiątki, może już setki razy rozmawiali z Phamem tak jak teraz, niczym więźniowie stukający w ściany lochu. Publicznie widywali się rzadziej niż podczas poprzednich wacht. Nu-wen mówił, że Ezr nie potrafi jeszcze dość dobrze kontrolować swoich oczu i języka ciała, że szpieдры mogliby się czegoś domyślić. Teraz...

- Tu, w kwaterach, Brughel i jego fiksaci polegają na lokalizatorach. Pomiedzy balonami są miejsca, w których ich stare kamery już nie działają. Jeśli spotkamy się tam, otrzymają tylko ten sygnał, który ja przekażę im przez lokalizatory. Problem w tym, że szpieдры na pewno opierają się też na statystyce. Kiedyś zajmowałem się działem bezpieczeństwa floty, coś w rodzaju operacji prowadzonych przez Brughla, tyle że znacznie łagodniejsze. Istniały programy, które wychwytywały podejrzane zachowania - kto chował się w jakichś zakamarkach i kiedy, dziwne rozmowy, awarie sprzętu. Działo to naprawdę niezłe, nawet jeśli nie mogłem złapać winowajców na gorącym uczynku. Fiksaci i komputery muszą być tysiąc razy skuteczniejsi. Założę się, że mają analizy sięgające początków LI. Zbierają wszystkie dane, pozornie niewinne zachowania kumulują się, aż któregoś dnia Ritser Brughel ma w rękę poszlaki, a później i dowody. A my już nie żyjemy.

Boże Handlu.

- Ale możemy przecież ukryć prawie wszystko! - Dopóki Emergen-ci będą polegać na lokalizatorach Queng Ho.

- Prawie. Kiedyś się o tym przekonają. - Nawet poprzez buczenie i szum Ezr słyszał chichot Phama.

- Kiedy możemy się spotkać?

- Spróbujmy zrobić to tak, żeby analitycy Brughla niczego nie zauważyli. Chwileczkę... Schodzę z wachty za niecałe dwieście Ksekund. Kiedy ty znów wrócisz, ja będę już aktywny. Myślę, że spotkamy się właśnie wtedy.

Ezr westchnął. *Za pół roku życia. Ale jakoś wytrzyma.*

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Salonik Benny'ego był początkowo nielegalnym przedsięwzięciem, jawnym dowodem istnienia wielkiego czarnego rynku - jednej z największych zbrodni w pojęciu Emergentów; w czystym nese Queng Ho termin „czarny rynek” istniał, ale oznaczał „handel, który trzeba prowadzić

VERNORVINGE

w ukryciu ze względu na niechęć miejscowych Klientów". W małej społeczności LI prowadzenie handlu w ukryciu było praktycznie niemożliwe. Podczas pierwszych lat działalności saloniku tylko wstawiennictwo Qiwi Lisolet chroniło go przed likwidacją. Teraz... Benny Wen uśmiechnął się do siebie, ustawiając napoje i jedzenie pod barem. Teraz spędzał tu wszystkie wachty. Co ważniejsze, było to zajęcie, z którym jego ojciec mógł radzić sobie niemal sam, kiedy on i Gonie pozostawali w uspieniu. Hunte Wen nadal był cichym, miłym, lekko roztargnionym człowiekiem, nigdy też nie powrócił do swych naukowych zainteresowań. Uwielbiał za to zarządzać salonikiem. Kiedy robił to sam, w salonie działy się czasem dziwne rzeczy. Czasami miał śmieszne i niepraktyczne pomysły, niekiedy przeprowadzał doskonałe usprawnienia. Kiedyś na przykład wyżebrał perfumowany lakier z rafinerii substancji lotnych. Lakier w niewielkich ilościach wydzielał przyjemny zapach, ale położony na ścianach saloniku straszliwie cuchnął. Przez jakiś czas życie towarzyskie kwater toczyło się w największej świetlicy. Innym znów razem - cztery lata później - kiedy ojciec Qiwi wynalazł przystosowaną do zerowegociążenia winorośl i połączony z nią ekosystem, Hunte Wen udekorował nią ściany i meble salonu, zamieniając go w piękną, przypominającą park przestrzeń.

Winorośle i kwiaty nadal tu pozostawały, choć Hunte nie był na wachcie już od dwóch lat.

Benny odepchnął się od baru, rozpoczynając długi obchód sali. Roznosił napoje i jedzenie do poszczególnych stolików, przyjmując w zamian papierowe kwitki. Postawił właśnie bańkę piwa i pojemnik z jedzeniem przed Trudem Silipanem. Silipan podał mu kwitek z tą samą co zawsze cwaną miną. Najwyraźniej uważał, że obietnica nie ma żadnego znaczenia, że płaci tylko dla formalności.

Benny uśmiechnął się i ruszył dalej. Kim był, żeby spierać się z Silipanem - i w pewnym sensie Trud miał rację. Lecz od pierwszych wacht bardzo mało osób odmówiło wprost spełnienia danej wcześniej obietnicy. Owszem, wielu próbowało się jakoś wykręcić. Jedyne przysługi, jakie mógł wyświadczać Trud, dotyczyły usług fiksatów. Oczywiście zawsze wynajdywał jakieś trudności - nie mógł znaleźć odpowiednich-specjalistów, nie miał dość czasu, by wydybać od twardogłowych najlepsze odpowiedzi i tak dalej. Ale nawet Trud próbował się zwykle jakoś odwdziaczyć, nakłaniając choćby Alego Lina do zaprojektowania winorośli do saloniku. Wszyscy wiedzieli bowiem, że za farsą papierowych obietnic kryje się Tomas Nau, który - ze względu na własny interes czy też z miłości do Qiwi - chronił podziemną gospodarkę Queng Ho.

- Hej, Benny, tutaj! - Jau Xin machał doń od górnego stołu, stołu „kółka dyskusyjnego". Wydawało się, że wachta po wachcie siedzą tu ludzie tego samego pokroju. Oczywiście poszczególne wachty zachodziły na siebie i to zapewne podczas tych okresów przejściowych ustalił się zwyczaj, że klienci, którzy chcą porozmawiać o tym, „kiedy to wszystko wresz-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

cie się skończy", siadali przy tym właśnie stoliku. Podczas tej wachty był to Xin i oczywiście Rita Liao, pięć czy sześć innych, dobrze mu znanych twarzy i - aha, ktoś, kto naprawdę znał się na swojej pracy.

- Ezra! Myślałem, że pojawisz się tu najwcześniej za czterysta Ksekund. - Do diabła, chętnie zostałby tutaj i posłuchał ich rozmowy.

- Cześć, Benny! - Na twarzy Ezra pojawił się przyjazny uśmiech. Zabawne, kiedy nie widzi się kogoś przez dłuższy czas, wszystkie zmiany w jego wyglądzie wydają się nagle ostrzejsze. Ezra - podobnie jak Benny - nadal był młodym człowiekiem, ale już nie dzieckiem. W kącikach jego oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. Zachowywał się też i mówił z pewnością siebie, jakiej Benny nigdy u niego nie widział, gdy pracowali razem w zespole Jimmy'ego Diema.

- Dla mnie coś lekkiego, Benny. Mój żołądek nadal nie może pogodzić się z tak gwałtowną zmianą temperatury. Przesunęli mnie w harmonogramie o cztery dni. - Wskazał na tabelę wacht wyświetloną na ścianie przy barze. Rzeczywiście, zmiana została tam zaznaczona, choć ginęła w natłoku innych drobnych poprawek. - Zdaje się, że Annę Reynolt potrzebuje mojej obecności.

Rita Liao uśmiechnęła się doń.

- Już to jest wystarczającym powodem, żebyśmy zebrali się przy tym stoliku.

Benny rozdał bańki i pojemniki, które ciągnął za sobą. Potem skinął głową na Ezra.

- Przygotuję ci coś na twój podrażniony żołądek.

Ezra obserwował Benny'ego, kiedy ten wrócił do baru i zaczął przygotowywać mu jedzenie. Benny z pewnością mógł znaleźć coś odpowiedniego dla jego rozstrojonego układu trawiennego. Kto by pomyślał, że tak będzie wyglądała jego przyszłość? Kto by pomyślał, że tak będzie wyglądała ich przyszłość. Benny przynajmniej nadal był Kupcem, choć na żałośnie małą skalę. *A ja jestem... kim?* Spiskowcem zakonspirowanym tak głęboko, że czasem sam zapominał, kim jest naprawdę. Siedział tutaj z trzema Queng Ho i czworgiem Emergentów, a niektórzy Emergenci byli jego lepszymi przyjaciółmi niż Queng Ho. Nic dziwnego, że Tomas Nau radził sobie tak dobrze. Skaptował ich wszystkich, nawet jeśli wydawało im się, że wierni są kupieckim tradycjom. Nau sprawił, że zobojętnieli na tak podłą formę niewolnictwa, jaką była fiksacja. Może i lepiej. Przyjaciele Ezra nie byli narażeni na okrucieństwo Naua i Brughla - a Nau i Bru-ghel nie wierzyli, by którykolwiek z Queng Ho mógł jeszcze działać przeciwko nim.

- Więc czemu tak wcześniej wyciągnęli cię z łódzki, Ezra?

Vinh wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Za kilka Ksekund lecę do Hammerfest. - *Mam nadzieję, że to nie przeszkodzi mi w spotkaniu z Phamem.*

VERNOR VINGE

Trud Silipan podleciał do ich stolika, zajął miejsce na wolnym krześle.
- To nie takiego, sprzeczka między tłumaczami i twardegłowymi na ukowcami. Załatwiliśmy to już dziś rano.

- Więc dlaczego Reynolt zmieniła harmonogram Ezra?

Silipan przewrócił oczami.

- Ach, znacie Reynolt. Bez urazy, Ezr, ale ona uważa, że ponieważ jest steś specjalistą od Epoki Świtu, nie możemy sobie poradzić bez ciebie.

Wątpię, pomyślał Ezr, przypomniawszy sobie ostatnie spotkanie z dyrektor zasobów ludzkich.

- Założę się, że to ma coś wspólnego z zatoką Calorica. Wiesz, tam są teraz dzieci. - Kiedy Rita mówiła o dzieciach, miała na myśli Pająki z „Dziecięcej godziny nauki”.

- To już nie są dzieci - poprawił ją Xin łagodnie. - Victory Junior jest teraz młodą ko... jest już dorosła.

Liao wzruszyła ramionami z irytacją.

- Ale Rhapsę i Małego Hrunka nadal można uważać za dzieci. Wszyscy cy przenieśli się do Caloriki.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Przygody tej konkretnej rodziny Pająków były dla wielu niekończącym się dramatem - a w miarę upływu lat coraz łatwiej przychodziło im zdobywać informacje na ich temat. Oczywiście mieszkańcy kwater śledzili także losy innych pajęczych rodzin, lecz Uderhillowie nadal cieszyli się największą popularnością. Rita była z pewnością ich największą miłośniczką, a czasami przyczyny tak ogromnego zaangażowania stawały się aż nazbyt oczywiste.

Trud Silipan jak zwykle niczego nie zauważył.

- Nie, Calorica to bzdura.

Xin roześmiał się.

- Hej, Trud, na południe od Caloriki naprawdę jest wyrzutnia. Pająki wystrzelują stamtąd satelity.

- Nie, nie, chciałem powiedzieć, że ta historia z kaworytem to bzdura. To właśnie z tego powodu obudzono Ezra tak wcześniej. - Zauważył reakcję Ezra i uśmiechnął się chytrze. - Znasz ten termin.

- Tak, to...

Trud jednak mówił dalej, nie interesując się klasycznymi odniesieniami.

- To jeszcze jeden z tych dziwnych terminów wymyślonych przez tłumaczy, tyle że wyjątkowo niejasny. Jakiś rok temu niektóre Pająki wykorzystywały opuszczone kopalnie na płaskowyżu na południe od Caloriki do eksperymentów, za pomocą których chciały określić różnicę między masą grawitacyjną a masą inercyjną. Kiedy człowiek słyszy o czymś takim, zaczyna się zastanawiać, czy to naprawdę inteligentne stworzenia.

- Ten pomysł wcale nie jest głupi - zaproponował Ezr. - Trzeba dopiero przeprowadzić odpowiednie eksperymenty, żeby przekonać się, że to

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nieprawdopodobna teoria. - Przypomniał sobie już ów projekt. Zajmowali się nim naukowcy z Tiefstadtu. Ich raporty pozostawały w większości niedostępne. Ludzcy tłumacze nigdy nie nauczyli się języka Tief erów tak dobrze, jak poznali języki Akord. Xopi Reung mogła zostać specjalistką w tej dziedzinie, ale podobnie jak kilku innych badaczy tieferskie-go umarła podczas wycieku pleśni.

Trud zbył jego sprzeciw machnięciem ręki.

- Głupie jest to, że te Pająki w końcu znalazły różnicę. I ogłosiły pu blicznie tę swoją głupotę. Twierdzą, że odkryły na płaskowyżu antygrawitację.

Ezr zerknął na Jau Xin.

- Słyszałeś o tym?

- Chyba tak... - Jau zamyślił się na moment. Najwyraźniej aż do tej pory sprawę trzymano w tajemnicy. - Reynolt sprowadzała mnie kilka razy na narady twarogłowych. Chcieli wiedzieć wszystko o anomaliami orbitalnych w naszych satelitach szpiegowskich. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, że takie anomalie istnieją. Tak sporządza się mapy gęstości podpowierzchniowe j.

- Więc... - kontynuował Trud. - Pająki cieszyły się sławą przez jakąś Msekundę, dopóki nie odkryły, że nie mogą powtórzyć tego cudownego eksperymentu. - Ogłosiły to publicznie przed kilkoma Ksekundami. - Zachichotał. - Co za idioci. W ludzkiej cywilizacji takie bzdury nie ostałyby się nawet przez jeden dzień.

- Pająki nie są głupie - zaprotestowała Rita.

- I nie są też niekompetentne - zgodził się z nią Ezr. - To prawda, większość ludzkich społeczeństw bardzo sceptycznie przyjęłaby takie odkrycie. Ale ludzie mają osiem tysięcy lat doświadczenia z nauką. Nawet upadła cywilizacja, dość zaawansowana, by badać takie zagadnienia, miałaby do dyspozycji resztki bibliotek zawierających taką wiedzę.

- Tak, jasne. „Pająki robią wszystko po raz pierwszy”.

- Ale to prawda, Trud! Wiemy, że tak właśnie jest. My mamy tylko jeden przypadek, który naprawdę można by z tym porównać - naszą Starą Ziemię. Nawet nie wiesz, ile błędów popełnili ludzie z pierwszej cywilizacji.

- Zatem właściwie wyświadczymy im wielką przysługę, kiedy ich podbijemy - odezwał się Queng Ho Ario Dinh. Wypowiedział te słowa z zaufaniem i poczuciem wyższości, właściwym Emergentom.

Ezr skinął niechętnie głową.

- Tak, nasi przodkowie z Epoki Świtu mieli ogromne szczęście, że udało im się wydostać z pułapki jednej planety. A pajęczy geniusze nie są lepsi od tych z początków ludzkości. Spójrzcie choćby na tego Under-hilla. Jego studenci wymyślili wiele pożytecznych rzeczy, ale...

- Ale on pełen jest przesądów - wtrącił Trud.

- Zgadza się. Nie ma pojęcia o ograniczeniach oprogramowania

VERNOR VINGE

i ograniczeniach, jakie nakłada to na sprzęt. Wydaje mu się, że nieśmiertelność i komputery podobne do bogów są na wyciągnięcie ręki, że wystarczy tylko niewielki postęp. Ten facet to chodzący katalog niespełnionych marzeń.

- Widzisz! Dlatego właśnie Reynolt tak na tobie zależy. Znasz fantazje, w które mogą wierzyć Pająki. Kiedy przyjdzie czas na przejście, to może okazać się bardzo ważne.

- Kiedy przyjdzie czas... - Jau Xin uśmiechnął się krzywo. Na przeciwległej ścianie, przy tabeli wacht, Benny stworzył okno dla zakładów dotyczących daty interwencji. Określanie przybliżonej daty wyjścia z ukrycia, końca Wygnania zawsze stanowiło interesujący temat dla bywalców saloniku. - Minęło już ponad trzydzieści lat od wybuchu. Spędzam dużo czasu na zewnątrz, niemal tyle samo co Qiwi Lisolet i jej załogi. Teraz słońce zaczyna już przygasać. Zostało nam jeszcze tylko kilka lat do czasu, kiedy znów w ogóle przestanie świecić. To ważny termin także dla Pająków. Zakładam, że wkroczą w Erę Informacji już za kilka lat.

- To nie wystarczy, żebyśmy zdążyli dokonać gładkiego przejścia - powiedział Ario.

- Zgoda. Ale może się okazać, że ze względu na inne okoliczności będziemy musieli rozpocząć całą akcję jeszcze wcześniej. Pająki mają już plany programu kosmicznego. Być może za dziesięć lat nie da się już ukryć naszych działań ani naszej obecności tutaj, na LI.

- No i co z tego? Jak zaczną się panoszyć, przywalimy im, i tyle - odezwał się Trud.

- I poderzniemy własne gardła, człowieku - odparł Jau.

- Obaj wygadujecie bzdury - wtrącił Ario. - Założę się, że zostało nam nie więcej niż dziesięć głowic atomowych. Wykorzystaliśmy wszystkie przeciw sobie...

- Mamy broń laserową.

- Tak, ale możemy jej użyć tylko z niskiej orbity. Mówię wam, mogliśmy to dobrze rozegrać, ale...

- Moglibyśmy zrzucić zniszczone statki na te robale.

Ezr wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Ritą Liao. Właśnie tego rodzaju argumenty wprawiały ją we wściekłość. Rita - tak jak Jau i większość obecnych przy stole - uważała Pająki za rozumne i czujące istoty, za ludzi. To był prawdziwy triumf Trixii. Emergenci, przynajmniej ci poniżej klasy grupmistrzów, odnosili się z niechęcią do pomysłu megamorderstwa. Tak czy inaczej Jau Xin z pewnością miał rację; bez względu na to, czy Emergenci mieli odpowiednią broń, czy nie, zasadniczym celem oczekiwania było stworzenie Klientów, którzy mogliby przywrócić misji pełną zdolność działania. Tylko szaleńcy pokroju Ritsera Brughla uważali zabijanie Pająków za dobre rozwiązanie.

Ezr odchylił się do tyłu, wyłączając się z rozmowy. Widział nazwisko Phama w tabeli wacht; jeszcze tylko kilka dni i po raz pierwszy spotkają się

OTCHŁAŃ W NIEBIE

naprawdę. *Musisz zachować spokój i cierpliwość, żadnego pośpiechu.* Dobrze. Miał nadzieję, że „kółko dyskusyjne” przejdzie do jakichś ciekawszych tematów, ale nawet te nonsensowne rozmowy stanowiły przyjemne, swojskie tło. Nie po raz pierwszy Ezra uświadomił sobie, że czuje się tu niemal jak w rodzinie, która spierała się wciąż o te same problemy. Dogadywał się nawet z Emergentami, a oni z nim. Prawie normalne życie... Spojrzał na koronkowy gąszcz winorośli, wypełniający przestrzeń w saloniku. Rośliny wydzielały mdły, nieprzyjemny zapaszek - daleko im było jednak do smrodu owego lakieru, którym Hunte pomalował ściany salonu. Ach. Pomiędzy kwiatami i liśćmi otwierał się widok na bar Benny'ego ustawiony na podłodze. Ezra zaczął machać do Benny'ego. Może przełknąłby jednak jakieś normalne jedzenie. Potem dostrzegł kolorowe spodnie i zwiewną bluzkę.

Qiwi.

Zapewne omawiali z Bennym jakiś kontrakt. Benny wskazał na zniszczony fragment tapety ciągnący się przez dolną ścianę saloniku. Qiwi skinęła głową, zaglądając do jakiejś listy. Potem jakby poczuła na sobie jego spojrzenie. Odwróciła się i pomachała do grupy Ezra siedzącej pod sufitem. *Jest taka piękna.* Ezra odwrócił wzrok, czerwieniąc się mimowolnie. Kiedyś Qiwi była nieznośnym dzieciakiem, który tylko grał mu na nerwach. Kiedyś Qiwi wydawała mu się zdraczkinią, wykorzystującą fiksa-tów. Kiedyś Ezra uderzył ją raz i drugi... Ezra przypomniał sobie tę wściekłość, pamiętał, jak dobrze się czuł, mogąc pomścić Jimmy'ego Diema i Trixię Bonsol. Lecz Qiwi nie była zdraczkinią, tylko ofiarą, choć sama o tym nie wiedziała. Jeśli to, co mówił Pham o czyszczeniu umysłu, stanowiło prawdę, wszystko zbyt dobrze pasowało do faktów - Qiwi straszliwie cierpiała, cierpiała ponad ludzką miarę. Bijąc Qiwi, Ezra dowiedział się także czegoś o sobie. Zrozumiał, że przyzwoitość Ezra Vinha musi być bardzo płytka. Tę świadomość potrafił od siebie odepchnąć przez większość czasu. Nadal mógł czynić dobro, nawet jeśli na dnie jego duszy kryło się coś podłego... Kiedy jednak ujrzał Qiwi i gdy ona ujrzała jego... w tej chwili nie potrafił zapomnieć o tym, co zrobił.

- Cześć, Qiwi! - Rita zauważyła pozdrowienie Qiwi. - Masz sekundę? Chcielibyśmy zadać ci jedno pytanie.

Qiwi uśmiechnęła się szeroko.

- Zaraz tam przyjdę. - Odwróciła się ponownie do Benny'ego. Ten kiwał głową, a potem wręczył jej garść papierowych przysług. Potem ruszyła w górę, ciągnąc za sobą sieć Benny'ego wypełnioną kolejnymi bańkami piwa i jedzeniem. W efekcie wykonywała po prostu część jego pracy. Taka właśnie była Qiwi. Stanowiła część podziemnej gospodarki, układów, które czyniły życie znośniejszym. Podobnie jak Benny nie wahała się, gdy trzeba było pomóc, pracować. A jednocześnie miała wpływ na grupmistrza; łagodziła reżim Naua, czego Emergenci tacy jak Jau Xin nie mogli otwarcie przyznać. Widać to było jednak w oczach Jau i Rity; oboje niemal uwielbiali Qiwi Lisolet.

VERNOR VINGE

Qiwi uśmiechnęła się do niego.

- Cześć, Ezr. Benny pomyślał, że możesz chcieć jeszcze. - Przymocowała pojemnik do stolika przed nim. Ezr skinął głową, nie znajdując w sobie dość odwagi, by spojrzeć jej w oczy.

Rita już coś do niej mówiła; może nikt nie zauważył jego niezręczności.

- Nie chcę cię wypytywać o jakieś tajemnice, ale jakie są ostatnie prognozy co do daty Wyjścia?

Qiwi się uśmiechnęła.

- Moje przypuszczenia? Co najwyżej dwanaście lat. Postępy Pająków w technologii kosmicznej mogą jeszcze znacznie przyspieszyć ten termin.

- Tak. - Rita zerknęła na Jau. - Po prostu zastanawialiśmy się tu razem. Załóżmy, że nie będziemy mogli przechwycić wszystkiego przez ich sieć komputerową. Załóżmy, że będziemy musieli stanąć po czyjejs stronie, wesprzeć jednych przeciwko drugim. Kogo wybierzemy?

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Diamant Pierwszy miał ponad dwa tysiące metrów długości i niemal tyle samo szerokości, był bez wątpienia największą skałą spośród zgromadzonych w LI. Przez lata w kryształach bezpośrednio pod Hammerfest wydrążono labirynt korytarzy i jaskiń. Na wyższych poziomach mieściły się laboratoria i biura, niżej - prywatne pokoje Tomasa. Jeszcze niżej znajdował się ostatni element podziemnej architektury; owalna jaskinia szerokości ponad dwustu metrów. Do wydrążenia tej ogromnej sali zużyto większość głowic termicznych, ale Qiwi wcale się nie sprzeciwiała; właściwie był to po części jej pomysł.

Trzy ludzkie postacie niemal ginęły w tej ogromnej przestrzeni.

- No i jak, podoba ci się? - spytała Qiwi, uśmiechając się do Tomasa.

Nau patrzył prosto do góry, a na jego twarzy malował się szczerzy podziw. Nie zdarzało się to często. Nie zauważył tego jeszcze, ale stracił równowagę i powoli przewracał się do tyłu.

- Ja... tak. Nawet symulacja na wyświetlaczu nie mogła tego oddać.

Qiwi roześmiała się i poklepała go po plecach, stawiając na powrót w pozycji pionowej.

- No dobrze, przyznaję, że w symulacji nie pokazałam światła. - Łu ki aktywnicze ukryte były w zagłębieniach w suficie. Lamy zamieniały niebo w połyskujący klejnot. Regulując moc lamp, uzyskiwało się nie zwykle efekty, od potężnych błyskawic do blasku tęczy.

Ojciec, który stał po jej prawej stronie, także przyglądał się jaskini, choć bez większego zachwyty. Ali Lin stał na rękach. Ignorując zupełnie

OTCHŁAŃ W NIEBIE

szczałkową, lecz wyczuwalną grawitację, badał powierzchnię jaskini pokrytą drobnymi kamykami, które zostały po pracy koparek.

- Tu nie ma nic żywego, zupełnie nic. - Jego twarz skrzywiła się w grymasie rozczarowania.

- To będzie największy park, jaki kiedykolwiek zbudowałeś, tato. Stworzysz wszystko od podstaw, wszystko tu należy do ciebie. - Ali Lin wyraźnie się rozpogodził. *Będziemy pracować nad tym razem, tato. Nauczysz mnie nowych rzeczy.* Ten park powinien być wystarczająco duży dla prawdziwych zwierząt, może nawet latających kotów. Był to raczej sen niż wspomnienie z czasów, które Qiwi spędziła wraz z mamą i tatą w kwaterach przy Trilandzie.

- Tak się cieszę, że mnie do tego namówiłaś, Qiwi - powiedział Tomas. - Chciałem tylko trochę wyższego poziomu bezpieczeństwa, a ty dałaś mi coś cudownego. - Westchnął i uśmiechnął się do niej. Jego dłoń przesuwała się po plecach Qiwi, zatrzymując się na wysokości bioder.

- To będzie bardzo duży park, Tomasie, nawet według standardów Queng Ho. Nie największy, ale...

- Ale prawdopodobnie najlepszy. - Pochylił się, by poklepać Alego po ramieniu.

- Tak. - *Tak, prawdopodobnie będzie najlepszy.* Ojciec zawsze był najlepszym konstruktorem parków. A teraz, już od piętnastu lat swego życia zafiksowany był na swojej specjalności. Co roku tworzył nowe cuda. Jego bonsai i mikroparki przewyższały już słynne arcydzieła z Namąem. Nawet zafiksowani biolodzy Emergentów dzięki dostępowi do biblioteki floty dorównywali teraz najlepszym specjalistom Queng Ho.

A kiedy skończy się Wygnanie, tato, kiedy będziesz wreszcie wolny, przekonasz się, jakie wspaniałe rzeczy stworzyłeś.

Nau przesuwał spojrzeniem po pustej, roziskrzonej jaskini. Wyobrażał sobie zapewne, jakie krajobrazy mogłaby pomieścić; sawannę, chłodny las, łąkę w górach. Nawet magia Alego nie mogła tu stworzyć więcej niż jednego systemu, mieli jednak spory wybór... Qiwi uśmiechnęła się do Naua.

- A co byś powiedział na jezioro?

-Co?

- Kod „mokrawoda” w mojej bibliotece projektowej. - Qiwi przelączyła swój wyświetlacz na ten właśnie projekt.

- Och... nic mi o tym nie mówiłaś.

Na diamentową rzeczywistość jaskini nałożono jeden z leśnych wzorów Alego, tyle że centrum jaskini stanowiło jezioro sięgające daleko w głąb krajobrazu, aż do gór, które wydawały się odległe o kilka kilometrów. Z przystani u podnóża gór wypływała właśnie łódź żaglowa.

Tomas milczał przez chwilę.

- Boże. To przecież posiadłość mojego wuja na północy. Wyjeżdżałem tam na lato.

VERNOR VINGE

- Wiem. Wzięłam to z twojej biografii.
- To piękne, Qiwi, nawet jeśli niemożliwe.
- Nie niemożliwe! Mamy na górze jeszcze całkiem sporo wody, możemy potraktować to miejsce jako drugi magazyn* - Machnęła ręką w stronę iluzji gór. - Wydrążyliśmy trochę drugą stronę jaskini, jezioro może więc sięgać po samą ścianę. Możemy też wyłożyć tę ścianę tapetą wideo i stworzyć realistyczny obraz gór. - To mogło okazać się trudne. Spora część tapety wideo ze zrujnowanych statków uległa zniszczeniu. Tomas nie przejmował się tym zbytnio. Lubił nosić wyświetlacze, a ten mógł tworzyć iluzję równie skutecznie jak trójwymiarowa tapeta.

- Nie to miałem na myśli. Nie możemy stworzyć prawdziwego jeziora, nie w mikrogravitacji. Każde, nawet najmniejsze trzęsienie skał, wypychałoby je pod sam sufit.

Qiwi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- To jest właśnie prawdziwa niespodzianka. Mogę to zrobić, Tomasi! Mamy tysiące siłowników ze zniszczonych statków, a z pewnością nie będziemy potrzebować aż tylu do żadnego innego projektu. Zainstalujemy je na dnie jeziora i podłączymy do sieci lokalizatorów. W ten sposób utrzymamy wodę w jednym miejscu.

Tomas się roześmiał.

- Ty naprawdę lubisz stabilizować to, co wewnętrznie niestabilne, prawda, Qiwi! Cóż... poradziłaś sobie ze skałami, może poradzisz sobie i tutaj.

Qiwi wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że sobie poradzę. Przy krótszej linii brzegowej mogła bym to zrobić nawet za pomocą emergencjnych lokalizatorów.

Tomas odwrócił się, by na nią spojrzeć. Teraz nie widział już żadnych wizji, lecz sterylną rzeczywistość diamentowej jaskini. Qiwi wiedziała jednak, że to, co ujrzał przed chwilą, sprawiło mu ogromną radość.

*- To byłoby cudowne... choć wymaga wielu środków i ogromnej pracy. - Miał na myśli pracę wykonywaną przez niefiksatów. Nawet Tomas nie myślał o twardegłowych jak o prawdziwych ludziach.

- Nie przeszkodzi nam to w żadnym z ważniejszych projektów. Mamy nadwyżkę siłowników i lokalizatorów, a ludzie są mi winni wiele przysług.

Chwilę później Nau wyprowadził swoją kobietę i fiksata z jaskini. Wciąż był pod wrażeniem niespodzianki, jaką zrobiła mu Qiwi. Był to też jeszcze jeden powód, dla którego potrzebowali lokalizatorów Hammer-fest. Ludzie Reynolt nadal jeszcze nie zbadali do końca tych urządzeń; czy naprawdę były aż takie skomplikowane? *Zostaw to na później.* Qiwi powiedziała, że mogliby utrzymać mniejsze jezioro nawet za pomocą emergencjnych lokalizatorów.

Wracali do góry, mijając kolejne poziomy, odpowiadając na pozdrowienia Emergentów i Queng Ho. Zostawili Alego Lina w parku, który był

jednocześnie jego warsztatem. Ojca Qiwi już nie zamykano na Strychu Hammerfest. Jego specjalność wymagała otwartej przestrzeni i żywych stworzeń. Przynajmniej tak przedstawiał Qiwi tę kwestię Tomas Nau. Było to całkiem racjonalne wytłumaczenie, dzięki któremu dziewczyna nie była narażona na ciągły kontakt z fiksatem, to zaś pozwalało utrzymać ją dłużej w nieświadomości.

- Musisz wracać do kwater, Qiwi?

- Tak, mam tam kilka spraw do załatwienia. Muszę zobaczyć się z przyjaciółmi. - Qiwi oczywiście miała na myśli różne interesy, obietnice, które chciała zebrać, wykonawszy własne zobowiązania.

- Dobrze. - Przygarnął ją do siebie i ucałował, nie dbając o to, że przyglądają im się wszyscy obecni na korytarzu. - Doskonale się spisałaś, najdroższa!

- Dzięki. - Obdarzyła go ołsniewającym uśmiechem. Choć miała ponad trzydzieści lat, nadal cieszyła się z jego aprobaty jak dziecko. - Do zobaczenia wieczorem.

Ruszyła w górę centralnego korytarza, nabierając coraz większej prędkości i omijając innych ludzi jak tyczki. Qiwi nadal ćwiczyła codziennie w wirówce przyspieszeniowej z podwójną siłą ciężenia, nadal trenowała sztuki walki. Był to jedyny ślad wpływów jej matki, przynajmniej jedyny widoczny. Bez wątplenia spora część rozpierającej ją energii brała się z podświadomej chęci zadowolenia nieżyjącej matki.

Nau spojrział w górę, nie zważając na omijających go szerokim łukiem ludzi. Nie ruszał się z miejsca, patrzył, jak jej postać staje się coraz mniejsza i mniejsza.

Po Annę Reynolt Qiwi była dla niego najcenniejsza. Tyle że Annę odziedziczył po kimś innym, Qiwi zaś to jego osobisty triumf, błyskotliwa niezafiksowana osoba, która dobrowolnie pracowała dla niego już tyle lat. Manipulowanie Qiwi stanowiło nieustające wyzwanie. Zawsze musiał się mieć na baczności. Qiwi była wystarczająco silna i szybka, by zabić go gołymi rękami. Na początku nie zdawał sobie z tego sprawy. Wtedy jednak nie wiedział również, jak cenna może się okazać w przyszłości.

Tak, Qiwi była jego triumfem, ale Tomas Nau miał też świadomość, że w tym wypadku wyjątkowo dopisało mu szczęście. Kiedy po raz pierwszy posiadł Qiwi, sprzyjały mu wszystkie okoliczności - dziewczynka była już wystarczająco duża, by wchłonąć głębię nauk Queng Ho, a jednocześnie na tyle młoda i naiwna, by po Masakrze Diema mógł ją kształtować na swój sposób. Podczas pierwszych dziesięciu lat Wygnania tylko trzykrotnie przejrzała jego kłamstwa.

Uśmiechnął się lekko do siebie. Qiwi myślała, że to ona zmienia jego, że pokazała mu, jak wiele korzyści daje wolność. Cóż, w pewnym sensie miała rację. Początkowo przyzwolenie na podziemny handel było tylko częścią gry, jaką prowadził z Qiwi, chwilową słabością. Później jednak okazało się, że owa nielegalna gospodarka naprawdę przynosi efekty. Na-

VERNOR VINGE

wet eksperci Queng Ho twierdzili, że wolny rynek nie oddziałuje w żaden znaczący sposób na społeczność tak małą i tak zamkniętą jak ta. A jednak rok po roku Handlarze systematycznie poprawiali sytuację całej załogi, podejmowali nawet działania, których on sam, wcześniej czy później, i tak by od nich zażądał. Teraz więc, gdy powiedziała mu, że ludzie winni są jej wiele przysług i że będą naprawdę ciężko pracowali, by stworzyć park w jaskini - *Niech to Plaga, naprawdę zależy mi na tym jeziorze* - Tomas nie śmiał się z tego za jej plecami. Miała rację; ludzie - nawet Emergenci - gotowi byli bardziej przyłożyć się do pracy dlatego, że byli coś winni Qiwi, niż z tego powodu, że grupmistrz Tomas Nau miał nad nimi władzę.

Qiwi była już małą figurką na samej górze szybu. Odwróciła się i pomachała do niego. Tomas oddał jej pozdrowienie, a wtedy zniknęła w bocznym korytarzu prowadzącym do śluz taksówek.

Tomas stał jeszcze przez chwilę, patrząc w górę i uśmiechając się do siebie. Qiwi nauczyła go, jakie korzyści daje zrezygnowana wolność. Wuj Alan i klika Nauli podarowali mu potęgę zafiksowanych niewolników. A gwiazda OnOff... Im więcej wiedzieli o tej gwiazdzie i jej planecie, tym mocniej Nau wierzył, że kryją się tu wielkie skarby i cuda, może znacznie większe od tych, których się spodziewali. Biologia, fizyka, galaktyczna orbita OnOff... następstwa tych wszystkich odkryć pozostawały poza zasięgiem analityków, rozbudzały coraz mocniej wyobraźnię Tomasa.

A za kilka lat Pajaki podarują mu ekologię industrialną, która pozwoli mu zbadać wszystkie te cuda.

Nigdy jeszcze w całej historii ludzkości jeden człowiek nie miał tylu atutów w ręce. Dwadzieścia pięć lat temu młodszego Tomasa Naua dręczyło wiele wątpliwości, lękał się porażki. Mijały jednak kolejne lata, i krok po kroku Tomas rozwiązywał problemy. Teraz był już pewien, że Arachna da mu władzę, jakiej nie miała jeszcze żadna ludzka dynastia. Będzie potrzebował czasu, by ją umocnić, być może kolejnego stulecia czy nawet dwóch, lecz według standardów Queng Ho nie przekroczy wtedy jeszcze nawet wieku średniego. Zgniecie wszystkie kliki Emergentów. Ta część Ludzkiej Przestrzeni ujrzy największe imperium wszech czasów. Legenda Phama Nuwena zblednie w blasku rzucanym przez Tomasa Nau.

A Qiwi? Zerknął jeszcze raz do góry. Miał nadzieję, że przetrwa chociaż do końca Wygnania. Mogłaby pomóc mu wtedy w tak wielu sprawach. Coraz trudniej jednak przychodziło mu utrzymać ją w nieświadomości. Czyszczenie umysłu nie było zabiegiem doskonałym; Qiwi dochodziła teraz do prawdy znacznie szybciej niż w pierwszych latach. Annę nie mogła wyeliminować tego, co nazywała „szczątkową masą nerwową”, nie niszcząc przy tym dużych ilości tkanki mózgowej. Oczywiście powstawały także pewne sprzeczności, których nie mogła wytłumaczyć nawet amnezja pohibernacyjna. W końcu nawet przy najrzeczniejszej manipulacji...

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Jak mógł wytłumaczyć się z niespełnionych obietnic, jak mógł przekonać Qiwi, że wielu ludzi nadal musi pozostać fiksatami? Był pewien, że Qiwi nie zaakceptuje również działań, które podejmie w ostatecznej rozgrywce z Pająkami, ani programów rozrodczych, które będzie musiał kiedyś uruchomić na LI. Nie. Likwidacja Qiwi to smutna, lecz nieunikniona konieczność. Mimo to mogła mu służyć nawet po śmierci. Przecież nawet wtedy będzie mógł mieć z nią dzieci. A kiedyś na pewno zapragnie dziedzica.

Jakieś dwa tysiące sekund później Qiwi pojawiła się u Benny'ego. Podczas tej wachty to właśnie Benny zarządzał salonikiem. Doskonale. Qiwi lubiła ubijać z nim interesy. Przez chwilę omawiali kolejne punkty z listy zamówień Benny'ego.

- Boże, Benny! Potrzebujesz jeszcze więcej tapety? Wiesz chyba, że potrzebna jest też do innych projektów. - Na przykład do budowy pewnego parku w Hammerfest.

Benny wzruszył ramionami.

- Namów grupmistrza, żeby zgodził się na ogólne użycie wyświetlaczy, to nie będą potrzebował tapety. Ale ta stara już się mocno zużyła. Wiesz? - Wskazał na podłogę, gdzie znajdował się obraz Arachny. Qiwi dostrzegła burzę śnieżną, która za kilka Ksekund miała prawdopodobnie dotrzeć do Princeton; z pewnością sterowniki tapety nadal działały. Wdziała jednak również zniekształcenia i przebarwione smugi.

- Dobra, ściagniemy coś z „Niewidzialnej ręki”, ale będzie cię to sporo kosztowało. - Qiwi wiedziała, że Ritser Brughel wścieknie się, kiedy każą mu oddać część zapasu tapety, choć sam wcale jej nie używał. Ritser uważał „Niewidzialną rękę” za swą prywatną własność. Przejrzała szybko pozostałe punkty na liście Benny'ego. Gotowe jedzenie pochodziło z bakterium i minif arm w kwaterach - Gonie Fong na pewno chciałyby się tym zająć. Substancje lotne, aha. Jak zwykle Benny próbował ominąć pośrednictwo Gonie, korzystając bezpośrednio z surowców zmagazynowanych na skałach. Jak na parę najlepszych przyjaciół ci dwoje traktowali to handlowe współzawodnictwo niezwykle poważnie.

Kątem oka Qiwi dostrzegła jakiś ruch. Spojrzała do góry. Pod sufitem jak zwykle przesiadywała paczka Xina. Ezr! Szeroki uśmiech wypłynął na twarz Qiwi. Ezr odwrócił się od pozostałych, patrzył w jej stronę. Pomachała do niego. Ezr jakby nagle zamknął się w sobie, odwrócił od niej. Przez moment znów czuła ten stary, dotkliwy ból. Nawet teraz, kiedy wdziała Ezra, ogarniała ją niewytłumaczalna radość, jakby spotykała starego, drogiego przyjaciela, któremu ma tak wiele do powiedzenia. Lecz mijały kolejne lata, a on zawsze się od niej odwracał. Nie chciała przecież skrzywdzić Trbrii Bonsol; pomagała Tomasowi, bo ten był dobrym człowiekiem, człowiekiem, który robił wszystko, co w jego mocy, by doprowadzić ich do końca Wygnania.

Zastanawiała się, czy Ezr da jej kiedyś szansę, by wyjaśniła mu to wszystko. Może. Mieli przed sobą jeszcze wiele lat. Na pewno jej wybaczy na końcu Wygnania, kiedy będzie pomagała im cała cywilizacja, a Tri-xia powróci wreszcie do niego.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Przeźren pomiędzy zewnętrzną powłoką kwater a właściwymi pomieszczeniami mieszkalnymi stanowiła warstwę zabezpieczającą przed skutkami nagłego rozszczelnienia balonu czy wycieku powietrza. Przez lata Gonie Fong wykorzystywała tę przestrzeń do różnorodnych przedsięwzięć rolniczych; nagle zmiana ciśnienia zabiłaby jej trufle czy kwiaty pochodzące z Canberry. Nawet teraz mimofarmy Fong zajmowały tylko część pustego obszaru. Pham spotkał się z Ezrem Vinhem z dala od tych maleńkich poletek. Powietrze było tu zimne i nieruchome, a ciemność rozpraszała jedynie błądzący blask OnOff sączący się przez zewnętrzną powłokę.

Pham zakotwiczył stopę w uchwycie na ścianie i czekał. Już wcześniej upewnił się, że i to miejsce kontrolowane było przez lokalizatory Queng Ho. Znajdowały się na ścianach i w powietrzu wokół niego, znał dokładnie ich pozycje, choć nawet w jasnym świetle byłyby widoczne tylko jako maleńkie pyłki kurzu. Ukryty w półmroku Pham stanowiąc jednoosobowe stanowisko dowodzenia. Widział i słyszał wszystko, co działo się w miejscu, którym właśnie dowodził - w tej chwili przestrzenią pomiędzy powłokami. Ktoś zbliżał się powoli. Korzystając z lokalizatorów, widział go niemal równie dobrze jak w wyświetlaczu Queng Ho. To był młody Vinh, wyraźnie podenerwowany i bardzo ostrożny.

He lat miał teraz Vinh, trzydzieści? Z pewnością nie był już dzieckiem. Nadal jednak zachowywał się w ten charakterystyczny, pełen powagi sposób... dokładnie tak, jak Sura. Nie był kimś, komu Pham mógłby w pełni zaufać, o nie. Ale niewykluczone, że da się go wykorzystać.

Vinh ukazał się wreszcie jego oczom, wychodząc zza krawędzi wewnętrznej powłoki. Pham podniósł rękę, a Ezr zatrzymał się gwałtownie, zaskoczony. Choć zachowywał największą ostrożność, nie zauważył Phama ukrytego w zagłębieniu zewnętrznej powłoki.

- Ja... witaj - wyszeptał Ezr.

Pham odsunął się od ściany, wchodząc w obszar, w którym światło OnOff było nieco jaśniejsze.

- Więc spotkaliśmy się w końcu - powiedział, uśmiechając się do młodzieńca.

- T-tak... Rzeczywiście. - Ezr odwrócił się, patrzył przez chwilę, a potem - Boże! - uklonił mu się lekko. Jego twarz - twarz Sury - rozciągnęła się w nieśmiałym uśmiechu. - Przyznam, że czuję się dość dziwnie, patrząc na pana, a nie Phama Trinli.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie dostrzegam żadnej różnicy.
- Och, bo pan nie patrzy na to z boku. Kiedy jest pan Trinlim, wszystko wydaje się inne. Nawet tu, w tym świetle, wygląda pan inaczej. Gdyby Nau albo Reynolt zobaczyli pana choćby przez dziesięć sekund, też by to dostrzegli.

Chłopak miał wybujałą wyobraźnię.

- Cóż, przez najbliższe dwa tysiące sekund będą widzieli tylko kłamstwa, które podsuną im moje lokalizatory. Mam nadzieję, że to nam wystarczy...

- Tak! Naprawdę można widzieć dzięki lokalizatorom, wydawać im komendy?

- Przy odpowiedniej wprawie. - Pokazał chłopcu, jak umieścić małeńkie drobiny wokół orbity oka i przystosować pobliskie lokalizatory do współpracy. - Nie rób tego przy ludziach. Zsyntezowany promień jest bardzo wąski, ale ktoś mógłby go zauważyć.

Vinh stał nieruchomo, jakby wpatrując się w swoje wnętrze.

- Aha, czuję delikatne klucze z tyłu oczu.

- Lokalizatory drażnią bezpośrednio twój nerw wzrokowy. Początkowo możesz widzieć bardzo dziwne obrazy. By nauczyć się sterować innymi lokalizatorami, musisz wykonać tylko kilka prostych ćwiczeń, lecz by widzieć dzięki nim... cóż, to tak jakbyś od nowa uczył się patrzeć. - Pham przypuszczał, że podobnych trudności doświadczają niewidomi ludzie, którzy uczą się korzystać z protez wizualnych. Niektórzy potrafią to zrobić, inni pozostają ślepi. Nie powiedział tego głośno. Pokazał Ezrowi kilka ćwiczeń, które ten mógł potem powtarzać sam.

Przed tym spotkaniem Pham zastanawiał się długo, jaką część możliwości lokalizatorów pokazać Vinhowi. Ale Ezra wiedział już dość dużo, by go zdradzić. Gdyby zechciał to zrobić, Pham mógłby powstrzymać go tylko w jeden sposób - zabijając go. *Zostawiłem tyle śladów, które powinny naprowadzić go na historię Zamle Enga, a on i tak domyślił się prawdy. Na pewno udało mu się to tylko dlatego, że pochodzi z takiej, a nie innej Rodziny.* Pham przez wiele lat trzymał Ezra w nieświadomości, sprawdzając, czy ten nie jest zdrajcą, badając jego umiejętności. Z tych obserwacji wyłonił się obraz inteligentnego i nieśmiałego chłopca, który dorastał pod rządami tyrana, a mimo to zachował godność i zdrowy rozsądek.

Pham wiedział, że kiedy nadejdzie wreszcie odpowiednia chwila, kiedy uderzy w Naua i Brughla, będzie potrzebował kogoś do pomocy. Musiał więc nauczyć chłopca kilku sztuczek... czasami jednak zgrzytał zębami na myśl o władzy, jaką dawał człowiekowi z rodziny Vinhów.

Ezr bardzo szybko nauczył się zestawu komend. Teraz nie powinien już mieć żadnych problemów z opanowaniem innych technik, które ujawnił przed nim Pham. Musiał jeszcze dużo pracować, by dojść do pełnej wizji, ale...

- Tak, wiem, że w tej chwili widzisz tylko migoczące światełka. Na ra-

VERNOR VINGE

zie staraj się jak najczęściej powtarzać wzory testowe. Za kilka Msekund będziesz w tym równie dobry jak ja. - *Niemal równie dobry*. To zapewnienie wyraźnie uspokoiło chłopca.

- Dobrze, będę ćwiczył jak najczęściej, ale tylko w moim pokoju, tak jak pan powiedział. Dzięki temu, co mi pan pokazał, czuję się... nie wiem, jakbym w ciągu kilku chwil osiągnął więcej niż przez ostatnie kilka lat.

Zostało im jeszcze sto sekund. Nieważne. Po prostu musi się zachowywać naturalnie. Prawić komunały.

- W przeszłości też nie próżnowałeś. Razem dowiedzieliśmy się sporo o tym, co dzieje się w Hammerfest.

- Tak, ale to zupełnie co innego... Jak będzie wyglądało nasze życie za kilka lat, kiedy już odzyskamy wolność?

- Za kilka lat? - Czego nie powiedziec? - Będzie... wspaniale. Będziemy mieli technologię Queng Ho i cywilizację planetarną zdolną przyjąć taką technologię i korzystać z niej. Żaden Queng Ho nie miał jeszcze tak dogodnej pozycji handlowej. Ale my pójdziemy dalej. Za jakiś czas zbudujemy silniki, w których wykorzystamy wszystko, czego dowiedzieliśmy się o fizyce OnOff. Wiemy również, że na Arachnie występuje ogromna różnorodność DNA. To także ogromny skarb, pudełko z niespodziankami, które może nam dać...

- A wszyscy zafiksowani zostaną uwolnieni.

- Tak, tak. Oczywiście. Nie martw się, Vinh, uwolnimy Trixię. - Była to kosztowna obietnica, ale Pham zamierzał jej dotrzymać. Jeśli Trixia Bonsol zyska wolność, niewykluczone, że Vinh wykaże więcej zrozumienia dla innych przypadków. Niewykluczone.

Pham uświadomił sobie, że chłopak dziwnie mu się przygląda; mógł opacznie zrozumieć tę niepotrzebną pauzę.

- No dobrze, myślę, że na dzisiaj wystarczy. Ćwicz język komend i wizualne wzory testowe. Czas już kończyć. - *Dzięki Bogu Wszelkiego Handlu*. - Ty wrócisz pierwszy, tą samą drogą, którą tu przyszedłeś. Gdyby ktoś pytał cię, gdzie byłeś, powiesz, że poszedłeś do słuz taksówek, ale potem się rozmyśliłeś i wróciłeś na śniadanie.

- Dobrze. - Vinh zahałał się na moment, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Potem odwrócił się i ruszył w drogę powrotną, by po chwili zniknąć za krawędzią wewnętrznego balonu.

Pham obserwował czasomierz umieszczony w rogu swego pola widzenia. Za dwadzieścia sekund oddali się w przeciwnym kierunku. Lokalizatory przekazały szpiegom Brughla dwa tysiące sekund starannie zaplanowanych kłamstw. Później Pham wyszuka wszystkie niezgodności z tym, co naprawdę działo się w innych częściach kwater. Bez wątplenia będzie musiał dokonać jakichś poprawek. Nie przejmowałby się tym zbytnio, gdyby miał do czynienia ze zwykłymi analitykami. Pozostając jednak pod obserwacją zafiksowanych szpiegów, musiał uważać na każdy drobiazg.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Dziesięć sekund. Wpatrywał się w ciemność, w której zniknął przed chwilą Ezr Vinh. Pham Nuwen miał za sobą dziesiątki lat doświadczenia w dyplomacji i oszukiwaniu. *Więc dlaczego, do jasnej cholery, nie byłem miłszy dla tego dzieciaka?* Duch Sury Vinh znów niebezpiecznie się doń zbliżył i śmiał mu się w twarz.

* * *

- Uważam, że powinniśmy umieścić lokalizatory w Hammerfest. - Ta prośba stała się niemal rytualnym rozpoczęciem narad, jakie Nau od bywał z Ritserem Brughlem. Dziś być może czekała Brughla spora nie spodzianka.

- Ludzie Annę nie skończyli ich jeszcze badać.

Wicegrupmistrz pochylił się do przodu. W ciągu ostatnich lat Ritser zmienił się bardziej niż większość członków załogi. Obecnie spędzał na wachcie niemal połowę obiektywnego czasu, ale bardzo często korzystał ze wsparcia medycznego i siłowni w Hammerfest. Wyglądał właściwie zdrowszej niż na początku Wygnania. Gdzieś po drodze nauczył się także zaspokajać swoje... potrzeby... nie zabijając przy tym kolejnych tuzinów twarogłowych. Wyrósł na godnego zaufania grupmistrza.

- Widziałeś ostatni raport Reynolt?

- Tak. Twierdzi, że potrzebuje jeszcze pięciu lat. - Annę nadal bezskutecznie szukała jakichś pułapek w lokalizatorach Handlarzy. Początkowo Tomas miał nadzieję, że naprawdę jej się to uda. W końcu programiści Queng Ho nie mieli wsparcia fiksatów. Gąszcz oprogramowania Queng Ho rozrastał się jednak od ośmiu tysięcy lat. Co roku twarogłowi Annę przesuwali termin zakończenia badań o kolejny rok lub dwa. A teraz ten ostatni raport.

- Pięć lat. Równie dobrze mogłaby powiedzieć „nigdy”. Obaj wiemy, że te lokalizatory nie stanowią żadnego zagrożenia. Moi ludzie od dwunastu lat używają ich w kwaterach i zniszczonych okrętach. Nie są specjalistami od oprogramowania, ale przez ten czas nie znaleźli w nich niczego podejrzanego. Te gadzety są bardzo przydatne. Nic im się nie wymknie. Nie korzystając z nich, możemy narazić się na niebezpieczeństwo.

- Jakże?

Nau dostrzegł lekkie zaskoczenie na twarzy Brughla; zwykle ucinął rozmowę o lokalizatorach stanowczym „nie”, dziś zaś pozwalał mu na dyskusję.

- Myślę, że przeoczmy przez to wiele ważnych rzeczy. Proszę tylko spojrzeć na ostatni raport. - Brughel zaczął opowiadać mu o sprawach dość luźno związanych z głównym tematem rozmowy; Gonie Fong próbowała skomputeryzować swoje czamorynkowe farmy; ludzie ze wszystkich warstw coraz mocniej utożsamiali się z Pająkami - z jednej strony pożyteczna sublimacja rodzicielskich uczuć, z drugiej jednak mogła stanowić poważny problem w chwili, gdy nadejdzie czas na prawdziwe działanie; pa-

VERNOR VINGE

ranoja Annę osiągała niebezpiecznie wysoki poziom. -Wiem, że ją monitorujesz, ale moim zdaniem ona dryfuje. Nie chodzi tu tylko o obsesję na punkcie pułapek w oprogramowaniu. Ona czuje się coraz mocniej związana ze „swoimi” fiksatami.

- Może za ostro ją nastroiłem. - Podejrzenia Annę dotyczące „sabotażu” twardegołowców okazały się bezpodstawne, zupełnie nie pasowały do jej analitycznej, precyzyjnej natury. - Ale co to ma wspólnego z uruchomieniem lokalizatorów w Hammerfest?

- Wykorzystując lokalizatory w Hammerfest, moi szpiecy mogą przeprowadzać ciągłą, drobiazgową analizę - korelować sygnały z sieci z tym, co dzieje się fizycznie. To... to skandal, że nasza ochrona jest najsłabsza właśnie tam, gdzie powinna być najsilniejsza.

- Hmm... -Tomas spojrzął Ritserowi w oczy. Jeszcze jako dziecko nauczył się jednej ważnej zasady: nigdy nie oszukuj samego siebie. Właśnie taki błąd zgubił wielu wielkich przywódców w historii ludzkości, od Helmun Dire do Phama Nuwena. Bądź szczery ze sobą; Tomas naprawdę chciał tego jeziora, które pokazała mu Qiwi. Taki park pozwoliłby mu zamienić tę nędzną dziurę w coś naprawdę niezwykłego, stworzyć dzieło dorównujące największym osiągnięciom Queng Ho. Wszystko to nie było dostatecznym usprawiedliwieniem dla osłabienia systemu bezpieczeństwa -ale może oszukując samego siebie, czynił jeszcze większe szkody. *Spójrz na to z innej strony; kto właściwie dąży do tego najmocniej?* Ritser Brughel już od wielu lat odnosił się bardzo entuzjastycznie do tego projektu. Nie wolno go nie doceniać. Pośrednio to Qiwi stworzyła ten dylemat.

- Co z Qiwi Lisolet, Ritser? Co mówią o niej twoi analitycy?

W oczach Ritsera pojawił się niebezpieczny błysk. Wicgrupmistrz nadal śmiertelnie jej nienawdził.

- Obaj wiemy, jak szybko potrafi dojść prawdy, stały nadzór jest więc teraz bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Ale w tej chwili jest zupełnie czysta. Nie kocha cię, ale jej podziw dla ciebie jest niemal równie silny jak miłość. Qiwi Lisolet to prawdziwy majstersztyk.

Qiwi coraz szybciej domyślała się prawdy, musieli czyścić jej pamięć praktycznie co drugą wachtę. Ostatni zabieg odbył się jednak całkiem niedawno - a rozszerzenie sieci lokalizatorów pozwoliłoby kontrolować ją jeszcze dokładniej. Nau zastanawiał się nad tym przez chwilę, wreszcie skinął głową.

- Zgoda, wicegrupmistrzu, uruchomimy lokalizatory w Hammerfest.

Oczywiście lokalizatory Queng Ho były w Hammerfest już od dawna. Maleńkie drobity płynęły unoszone prądami powietrza, przyklejały się do ubrań, włosów i skóry. Wypełniały wszystkie pomieszczenia mieszkalne, wszystkie magazyny i okręty umocowane na LI.

Gdyby wszechobecne lokalizatory pozbawić energii, stałyby się bezużytecznymi kawałkami metalu. Ludzie Annę przeprogramowali oka-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

blowanie Hammerfest i wprowadzili je do nowo wydrążonych jaskiń pod bazą. Teraz dziesięć razy na sekundę we wszystkich zakątkach bazy pulsowały mikrofałe. Był to poziom energii zupełnie bezpieczny dla wszelkich żywych istot i na tyle niski, że nie dochodziło do interferencji z innymi urządzeniami. Lokalizatory Queng Ho pobierały bardzo mało mocy, potrzebowały jej jedynie do zasilania maleńkich czujników i komunikacji z najbliższymi sąsiadami. Dziesięć Ksekund po tym, jak uruchomiono pulsowanie mikrofał, sieć została ustabilizowana i dostarczała wszelkich potrzebnych danych. Miliony procesorów rozsianych na obszarze średnicy czterystu metrów. Każdy z nich miał moc obliczeniową niewiele większą od komputera z Epoki Świtu. Razem jednak tworzyły najpotężniejszy komputer na LI.

W ciągu czterech dni Qiwi zakończyła drażnienie jaskini i umieściła w niej siłowniki. Jej ojciec przygotowywał już glebę na wyżej położonych powierzchniach. Woda miała pojawić się na dopiero na końcu.

Po uruchomieniu sieci Nau zastanawiał się, jak mogli do tej pory radzić sobie bez niej. Ritser Brughel miał absolutną rację. Dotąd system bezpieczeństwa w Hammerfest był ślepy i głuchy. Dotąd kwatery Queng Ho znacznie bardziej nadawały się do przeprowadzania tajnych operacji. Nau nadzorował pracę Brughla i jego szpiegów podczas wielodniowej, szczegółowej rewizji wszystkich pomieszczeń Hammerfest, a potem okrętów i magazynów. Zerwał nawet z tradycją i na sto Ksekund uruchomił lokalizatory w arsenale LI. Przypominało to oświetlanie ciemnych miejsc promieniem latarki. Znaleźli i zabezpieczyli dziesiątki miejsc, które mogły stanowić zagrożenie dla systemu ochrony. Nie znaleźli natomiast żadnego śladu konspiracji. Ogólnie rzecz biorąc, było to bardzo budujące doświadczenie, porównywalne z uczuciem, jakiego doświadcza ktoś, kto po dokładnym zbadaniu swego domu nie znajduje w nim żadnych pasożytów, a jednocześnie wie, jak zapobiec inwazji robactwa w przyszłości.

Teraz Tomas Nau znał swoją dziedzinę lepiej niż jakikolwiek grupmistrz w historii Emergencji. Przy użyciu lokalizatorów szpiegdy Ritsera mogli określić miejsce pobytu i stan emocjonalny każdego z mieszkańców Hammerfest. Po jakimś czasie Nau uświadomił sobie, że pozwala mu to przeprowadzać eksperymenty, jakie powinien zrobić już dawno temu.

Ezr Vinh. Może uda się coś z niego wyrzesać. Nau jeszcze raz przejrzał jego biografię. Przy następnym spotkaniu miał już gotowy plan działania. Była to rutynowa narada, którą odbywali tylko we dwójkę. Vinh przychodził do biura Naua, by omawiać z nim sprawozdania z ostatnich dziesięciu dni, postępy, jakie poczyniły poszczególne grupy fiksatów w badaniu świata Pająków.

Tomas pozwalał Handlarzowi mówić. Słuchał, kiwał głową, zadawał rozsądne pytania... i obserwował wyniki analizy, które ukazywały się w jego wyświetlaczu. *Boże*. Lokalizatory w powietrzu, na krześle Vinha, nawet na jego skórze, przekazywały dane do „Niewidzialnej ręki”. Rezultaty

VERNORVINGE

szczegółowej analizie powracały do wyświetlacza Nau i pokrywały obraz Vinha kolorami opisującymi odruch galwaniczny, temperaturę skóry, potliwość. Wykresy wokół twarzy pokazywały puls i inne dane wewnętrzne. Dodatkowe okno przedstawiało obraz, który Vinh widział ze swego miejsca, czerwone smugi oznaczały każdy ruch jego oczu. Spotkanie nadzorowało dwóch szpiegów Brughla, a wyniki ich analizy ciągnęły się nieprzerwanym strumieniem przed oczami Naua. *Obiekt jest zrelaksowany do poziomu dziesięciu procent normalnego stanu. Obiekt jest pewny siebie, lecz ostrożny, brak pozytywnych uczuć dla grupmistrza. Obiekt nie próbuje obecnie ukryć jakichś silnych emocji.*

Analiza ta odpowiadała przypuszczeniom Naua, dostarczała mu jednak wielu dodatkowych szczegółów. Poza tym tego rodzaju badanie było nieporównywalnie lepsze od zwykłego przesłuchania, obiekt bowiem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak pilnie jest obserwowany.

- Sytuacja polityczna jest więc teraz znacznie bardziej wyrazista - konkludował Vinh, nieświadom podwójnej natury tego przesłuchania. - Pedure i Kindred mają większy potencjał zbrojny, lecz pozostają w tyle za Akord, jeśli chodzi o rozwój sieci komputerowych i komputeryzacji w ogóle.

Nau wzruszył ramionami.

- Kindred to typowa dyktatura. Czy to nie pan mówił mi, że tyranie z Epoki Świtu nie mogły poradzić sobie z sieciami komputerowymi?

- Tak. - *Obiekt reaguje, prawdopodobnie stara się stłumić uczucie ironii.* - Wiemy, że zamierzają uderzyć wkrótce po wygaśnięciu słońca, to tłumaczyłoby, dlaczego tak dużo wydają na zbrojenia. Po stronie Akord Sherkaner Underhill z takim zapalem wprowadza automatyzację, że Pedure nie może za nim nadążyć. Myślę, że zbliżamy się do punktu krytycznego, grupmistrzu. - *Obiekt mówi teraz szczerze.* - Cywilizacja Pajaków zaledwie kilka pokoleń temu odkryła prawo odwrotności kwadratów, ich matematyka stoi na znacznie niższym poziomie niż nasza z czasów Epoki Świtu. Kindred poczyniło jednak spore postępy w konstrukcji rakiet. Jeśli będą choć w jednej dziesiątej tak ciekawscy jak Sherkaner Underhill, odkryją nas w ciągu kilku lat.

- Zanim zdążymy całkowicie opanować ich sieci?

- Tak jest.

To samo mówił Jau Xin. Szkoda. Ale przynajmniej zbliżał się koniec Wygnania. Na razie.

Obiekt zachowuje się naturalnie. Nau uśmiechnął się do siebie. Nadeszła odpowiednia pora, by dobrać się wreszcie do zarządcy Vinha. *Kto wie, może naprawdę mogę nim manipulować.* Tak czy inaczej, interesowała go reakcja Vinha. Nau odchylił się w swym krześle, udając, że przygląda się leniwie kuli bonsai dryfującej nad jego biurkiem.

- Miałem dość czasu, by dokładnie zbadać kulturę i historię Queng Ho, panie Vinh. Nie mam żadnych złudzeń. Wasi ludzie rozumieją różną cywilizację lepiej niż jakakolwiek inna nacja.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Tak jest. - *Obiekt nadal spokojny, w pełni zgadza się z tym twierdzeniem.*

Nau przechylił lekko głowę.

- Pochodzi pan z linii Vinhów; jeśli ktokolwiek z Queng Ho naprawdę rozumie reguły rządzące tym światem, to właśnie pańska Rodzina. Widzi pan, jednym z moich idoli zawsze był Pham Nuwen.

- Tak... wspominał pan już o tym. - Słowa te wypowiedziane zostały beznamietnym tonem. W wyświetlaczu Naua twarz Vinh zmieniała nagle kolor, puls i potliwość skoczyły gwałtownie do góry. Gdzieś w „Niewidzialnej ręce” szpiedzy przeanalizowali te dane i przekazali wyniki: *Obiekt czuje silny gniew skierowany przeciwko grupmistrzowi.* - Proszę nie zrozumieć mnie źle, panie Vinh, nie chcę pana obrazić. Wie pan, że Emergen-ci gardzą wieloma elementami kultury Queng Ho, ale Pham Nuwen to zupełnie co innego. Widzi pan... ja znam prawdę o Phamie Nuwenie.

Kolory pokrywające twarz Vinh wracały do normalnego stanu, podobnie jak puls. Ruchy gałek ocznych i szerokość źrenic odpowiadały reakcji tłumionego gniewu. Nau był nieco zaskoczony; on dopatrzyłby się w tej reakcji oznak strachu. *Muszę się jeszcze sporo nauczyć.* Teraz naprawdę nie wiedział, co o tym sądzić.

- O co chodzi, panie Vinh? Choć raz bądźmy ze sobą szczerzy. - Uśmiechnął się do niego. - Ja nie powiem nic Rítserowi, a pan nie będzie rozmawiał z Xin, Liao czy... moją Qiwi.

Pojawił się wyraźny gniewny impuls, nawet bez pomocy analityków Nau natychmiast odczytał jego znaczenie. Handlarz był emocjonalnie związany z Qiwi Lisolet, nawet jeśli nie potrafił przyznać się do tego przed sobą.

Oznaki gniewu słabły. Vinh obliznął wargi, co mogło być świadectwem zdenerwowania. Lecz ikony w wyświetlaczu Naua głośno: *Obiekt jest ciekawy.*

- Chodzi o to, że nie widzę żadnych podobieństw między życiem Phama Nuwena i wartościami, jakim hołdują Emergen-ci - powiedział Vinh. - Oczywiście Pham Nuwen nie był Kupcem z urodzenia, ale to on stworzył podstawy naszej współczesnej cywilizacji. Wystarczy przejrzeć archiwa Queng Ho, poczytać o jego życiu...

- Tak, wiem. Materiały dotyczące jego życia są mocno rozproszone, nie uważa pan?

- Cóż, Nuwen był wielkim podróżnikiem. Nie sądzę, by zależało mu na uznaniu historyków.

- Panie Vinh, Pham Nuwen doceniał znaczenie historii, podobnie jak każdy z wielkich ludzi w historii ludzkości. Myślę... wiem, że archiwa Queng Ho zostały starannie odchwaszczone, prawdopodobnie przez pańską Rodzinę. Jednak postać tak niezwykła jak Pham Nuwen przyciągała uwagę wielu innych historyków, ludzi ze światów, które odmienił, z innych kultur podróżujących w przestrzeni. Ich świadectwa także zachowały się w wielu archiwach, a ja zebrałem wszystkie, które zawędrowały do tej

VERNORVINGE

części Ludzkiej Przestrzeni. Nuwen to człowiek, któremu zawsze starałem się dorównać, człowiek naprawdę niezwykły, zupełnie niepodobny do większości przeciętnych Handlarzy. Pham Nuwen był orędownikiem nowego ładu, zdobywcą. Oczywiście wykorzystywał wiele spośród waszych technik, oszustwo i łapówki. Nigdy jednak nie cofał się przez groźbami i zwykłą przemocą, kiedy uważał, że to konieczne.

- Ja... - Kolory przepływające przez twarz Vinha wyrażały mieszankę gniewu, zaskoczenia i zwątpienia, czyli dokładnie takich emocji, jakich oczekiwał Nau.

- Mogę to udowodnić, panie Vinh - oświadczył, wypowiadając głośno kluczowe słowo. - Właśnie przetransferowałem część naszych archiwów do pańskiej bazy danych. Proszę je przejrzeć. To nieupiększona, prawdziwa historia Phama Nuwena, przygotowana przez ludzi niezwiązanych z Queng Ho. Dziesiątki występów i okrucieństw. Proszę poczytać o tym, jak naprawdę skończył się Pogrom w Strentmann, jak Nuwen został zdradzony w Brisgo Gap. Wtedy znów o tym porozmawiamy.

Zdumiewające. Nau nie zamierzał uderzyć tak bezpośrednio, lecz efekty tego ataku okazały się bardzo interesujące. Wymienili jeszcze kilka nic nieznaczących zdań i spotkanie dobiegło końca. Kiedy Vinh zmierzał do wyjścia, jego dłonie obwiedzione były czerwienią, oznaką niewidocznego gołym okiem drżenia.

Po wyjściu Handlarza Nau siedział jeszcze przez chwilę w bezruchu. Zdawało się, że patrzy gdzieś w przestrzeń, lecz w rzeczywistości czytał dane ze swego wyświetlacza. Strumień kolorowych ikon, raport szpiegów Brughla, przesuwiał się powoli na tle krajobrazu Diamentu Pierwszego. Ich wnioski były interesujące, ale zawsze mógł do nich wrócić... później. Najpierw musiał uporządkować własne myśli. Diagnostyka lokalizatorów była niemal magicznym narzędziem. Bez niej nie zauważyłby zdenerwowania Vinha. *Co ważniejsze, bez diagnostyki nie mógłbym właściwie kierować rozmową, skupić się na tematach, które poruszają Vinha.* Tak, prawdopodobnie mógł w ten sposób manipulować poszczególnymi jednostkami. Teraz wiedział już, że Ezr Vinh związany jest emocjonalnie z legendami i historią Queng Ho. Czy naprawdę mógłby przeciągnąć go na swą stronę, ukazując mu inny obraz tej historii? Do tej pory wydawało się to niemożliwe. Przy użyciu tej nowej metody, kto wie...

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

- Powinniśmy znowu się spotkać.
- ...Dobrze. Posłuchaj, Pham, nie wierzę w te wszystkie kłamstwa, które przekazał mi Nau.
- Cóż, każdy pisze własną wersję historii. Ale nie w tym sęk. Chciałbym pokazać ci, jak radzić sobie z takimi przesłuchaniami.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Przepraszam. Przez kilka sekund myślałem, że on o nas wie. - Ezra Vinh już całkiem dobrze radził sobie z ich sekretnym łączem; na tyle dobrze, że Pham słyszał oszołomienie w jego głosie.

- Poszło ci całkiem nieźle. Ale poradzisz sobie lepiej, jeśli nauczę cię kilku innych sztuczek. - Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ustalając miejsce i czas spotkania. Potem rozłączyli się, a Pham został sam na sam ze swymi myślami.

Cholera. Dziś niemal cudem uniknęli katastrofy... ale może odsunęli ją tylko w czasie. Pham leżał w ciemnym pokoju, lecz jego wzrok sięgał wiele kilometrów dalej, do Diamentu Pierwszego i Hammerf est. Lo-kalizatory działały teraz wszędzie, choć jednostki MRI w klinice фикса-тów niemal natychmiast paliły wszystkie pobliskie urządzenia. Uruchomienie lokalizatorów w Hammerf est było przełomem, na który Pham czekał od lat, ale... *Gdybym nie zmienił dzisiaj informacji przekazywanych przez szpiegów, moglibyśmy stracić wszystko.* Pham wiedział, że grup-mistrz wykorzysta kiedyś swoje nowe zabawki; podobne, choć mniej szczegółowe analizy wykonywano w kwaterach od lat. Nie przypuszczał jednak, że Nau będzie miał takie piekielne szczęście w doborze słów. Przez całe dziesięć sekund chłopak był pewien, że Nau wszystkiego się domyślił. Pham zmienił raport szpiegów dotyczący tej reakcji, a Vinh szybko doszedł do siebie, ale...

Nigdy nie przypuszczałem, że Tomas Nau tak dużo o mnie wie. Grup-mistrz od lat powtarzał, że podziwiał „gigantów historii” i zawsze zaliczał do ich grona Phama Nuwena. Wydawało się, że to tylko jeden z wielu zabiegów, które miały zjednać mu sympatię Queng Ho, ale teraz Pham nie był już tego tak pewien. Podczas gdy Tomas Nau zajęty był „czytaniem” Ezra Vinha, Pham analizował w podobny sposób reakcje grupmistrza. Tomas Nau naprawdę podziwiał Phama Nuwena, przynajmniej w takiej postaci, w jakiej przedstawiała go jego źródła historyczne. Ten potwór uważał, że ma wiele wspólnego z Nuwenem. *Nazwał mnie „orędownikiem nowego ładu”.* To określenie obudziło w nim dziwne sentymenty. Choć Pham nigdy sam się tak nie nazywał, właśnie tak chciał o sobie myśleć. *Ale w niczym nie jesteśmy do siebie podobni. Tomas Nau zabija bez skrępowań i robi to tylko dla własnej korzyści. Ja chciałem zawsze położyć kres zabijaniu, położyć kres barbarzyństwu. Jesteśmy zupełnie inni!* Pham nie zamierzał zaprzętać sobie dłużej głowy tym absurdem. Zdumiewał go jednak fakt, że Nau wiedział tak wiele o jego prawdziwej historii. Przez ostatnie dziesięć Ksekund Pham zaglądał Vinhowi przez ramię, kiedy ten czytał materiały dostarczone mu przez grupmistrza. Nawet w tej chwili kopiował całą bazę danych Vinha i przenosił ją do rozproszonej pamięci sieci lokalizatorów. W ciągu następnej Msekundy przejrzy całość tego materiału.

To, co zobaczył do tej pory, nawet go... zainteresowało. Duża część pokrywała się z prawdą. Z pewnością nie była to ta lukrowana mitologia, którą Sura Vinh pozostawiła w archiwach Queng Ho, ani kłamstwo, które

VERNORVINGE

kryło ostateczną zdradę Sury. *Jak przyjmie to Ezr Vinh* ? Pham i tak był już zbyt szczerzy z młodym Vinhem. Ezr miał obsesję na punkcie fiksacji; nie dopuszczał nawet myśli, że mogliby ich wykorzystać. To dziwne. Pham wiele razy okłamywał bez skrupułów zbrodniarzy, szaleńców, Klientów i nawet innych Queng Ho... nie miał jednak siły, by zmagać się z Vinhem. Ten chłopak nie rozumiał po prostu, jakie cuda może zdziałać fiksacja.

A w archiwach Naua znajdowały się rzeczy, które mogły utrudnić Phamowi ukrycie przed chłopcem jego prawdziwych planów i zamierzeń.

Pham powrócił do materiałów Nau, przejrzał jeden fragment, potem inny, przeklinał kłamstwa, które czyniły zeń potwora... krzywił się, gdy historie były prawdziwe, nawet jeśli robił wtedy wszystko, co w jego mocy. Czuł się dość dziwnie, widząc znów swą prawdziwą twarz. Niektóre z tych nagrań musiały być autentyczne. Pham czuł niemal, jak słowa tych przemówień przepływają przez jego gardło i usta, przywołują wspomnienia: najwspanialsze lata, kiedy podczas każdej podróży spotykał Kupców, którzy rozumieli, czym może stać się międzygwiazdowa kultura handlowa. Poprzedzały go sygnały radiowe, które niosły w odległej części kosmosu jego przesłanie, przygotowywały grunt. Niecałe tysiąc lat po tym, jak mały książę Pham został oddany podróżującemu Kupcom, niewiele brakowało do spełnienia jego marzeń, urzeczywistnienia życiowego planu. Idea prawdziwego Queng Ho rozprzestrzeniła się w większej części Ludzkiej Przestrzeni. Od światów z Dalekiej Strony, których nigdy nie poznał, do serca Ludzkiej Przestrzeni - nawet na Starej Ziemi - wszędzie słyszano jego przesłanie, wszędzie rozumiano wizję organizacji dość wytrzymałej i silnej, by powstrzymać koło losu. Owszem, wielu z nich widziało tylko tyle, co Sura. Były to te „praktyczne umysły”, zainteresowane jedynie gromadzeniem bogactw, zapewnieniem zysku sobie i swoim Rodzinom. Pham uważał jednak wtedy - *i, Boże, nadal chcę w to wierzyć*- że większość wierzyła w cele, o których mówił on sam.

Pham zostawił na przestrzeni tysiąca lat realnego czasu wiadomość, plan Spotkania większego i bardziej spektakularnego od jakiegokolwiek spotkania, do jakiego doszło w historii ludzkości. Właśnie w tym czasie i miejscu Queng Ho mieli ogłosić Pokój dla Ludzkiej Przestrzeni, mieli poprzysiąc służbę temu celowi. Sura Vinh osobiście wyznaczyła miejsce spotkania:

Namąem.

To prawda, Namąem znajdowało się nieco na uboczu Ludzkiej Przestrzeni, ale jednocześnie stanowiło centrum aktywności Queng Ho. Kupcy, którzy z pewnością chcieliby wziąć udział w spotkaniu, znajdowali się stosunkowo blisko; nie potrzebowali aż tysiąca lat, by otrzymać wiadomość i przybyć punktualnie na miejsce. Takie powody podawała mu Sura. I przez cały czas uśmiechała się z niedowierzaniem, jakby robiła to tylko dlatego, by sprawić przyjemność biednemu Phamowi. Pham wierzył jednak, że w Namąem otrzyma swoją szansę.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Istniał też inny powód, dla którego Pham zgodził się, by do spotkania doszło w Namąem. Sura bardzo mało podróżowała, zawsze zajmowała się realizacją planów Phama w centrum aktywności Queng Ho. Mijały dekady i stulecia. Nawet jeśli Sura Vinh korzystała od czasu do czasu z hibernacji i najlepszej techniki medycznej w całej Ludzkiej Przestrzeni, była już bardzo słaba i bardzo stara, miała jakieś pięćset? sześćset lat? Wiadomości, które otrzymywał od niej Pham, ukazywały kobietę nieprawdopodobnie starą, coraz bliższą śmierci. Gdyby nie spotkali się w Namąem, Sura prawdopodobnie nigdy nie ujrzałaby zwieńczenia tysiącletnich starań Phama. Może nigdy nie przekonałaby się, że Pham miał rację. *Tylko jej ufalem bezgranicznie. Oddałem się w jej ręce.*

Pham poddał się wspomnieniom, na nowo rozpalając w sobie stary gniew...

Matka wszystkich spotkań. W pewnym sensie cała metoda i mitologia wymyślone przez Phama i Surę prowadziły do tej jednej chwili. Nic więc dziwnego, że wszyscy przybyli na miejsce dokładnie o wyznaczonym czasie. Zamiast zbierać się przez dekadę czy dwie, pięć tysięcy okrętów z ponad trzystu światów pojawiło się w układzie Namąem w przeciągu jednej Msekundy.

Niektóre opuściły swój macierzysty port zaledwie przed kilkudziesięciu laty, jak okręty z Canberry i Tormy. Przybyły okręty ze Strentmann i Kielle, ze światów o społecznościach, które teraz stanowiły już niemal odrębne gatunki. Niektórzy przylecieli z miejsc tak odległych, że słyszeli o Spotkaniu tylko przez radio. Pojawiły się także trzy okręty ze Starej Ziemi. Nie wszyscy Uczestnicy należeli do Kupców, niektórzy byli przedstawicielami rządów, które chciały wprowadzić w życie rozwiązania proponowane przez Phama. Około jednej trzeciej cywilizacji, które przysłały swych reprezentantów na spotkanie, prawdopodobnie miało się rozpaść w czasie, jakie zajmowała podróż do Namąem i z powrotem.

Takie spotkanie nie mogło zostać przełożone czy opóźnione. Wszystkie moce piekielne nie dałyby rady temu zapobiec. Jednak jeszcze na kilkadziesiąt lat przed przybyciem do celu Pham wiedział, że przed mieszkańcami Namąem otwierają się bramy Piekła.

Kapitan flagowy Phama miał zaledwie czterdzieści lat. Widział już dziesiątki światów i powinien lepiej znać życie. Z drugiej strony jednak, urodził się na Namąem...

- Mieli kwitnącą cywilizację, nim pan po raz pierwszy wyłonił się z Ciemności. Wiedzą, jak radzić sobie w takich sytuacjach. Jak mogli do tego dopuścić? - Patrzył z niedowierzaniem na analizę, którą otrzymali wraz z ostatnią transmisją Sury Vinh.

- Usiądź, Sammy. - Pham odsunął krzesło od ściany, gestem poprosił kapitana, by zajął na nim miejsce. - Ja też czytałem raporty. To klasyczne objawy. W ciągu ostatniej dekady tempo dławienia układów Na-

YERNOR VINGE

mącem systematycznie wzrastało. Widzisz, trzydzieści procent komunikacji między zewnętrznymi księżycami jest nieustannie blokowane. - Cały sprzęt był sprawny, lecz oprogramowanie systemu tak bardzo się rozrosło, że ten nie mógł sobie z nim poradzić.

Sammy Park był jednym z najlepszych ludzi Phama. Rozumiał powody, jakie stały za wszystkimi syntetycznymi wierzeniami nowych Queng Ho - i akceptował je. W przyszłości mógł zostać godnym następcą Phama i Sury - może lepszym od najstarszych dzieci Phama, które często wykazywały się taką ostrożnością jak ich matka. Teraz Sammy był jednak naprawdę wystraszony.

- Rząd Namięm chyba rozumie zagrożenie? Wiedzą wszystko, czego ludzkość nauczyła się dotąd o stabilizacji - i mają automatykę lepszą niż my! Z pewnością za kilka Msekund dowiemy się, że dokonali reoptymalizacji.

Pham wzruszył ramionami, nie zaprzeczył mu jednak wprost. *Namięm było naprawdę dobre, ale wszystko musi się kiedyś skończyć.* Głośno powiedział:

- Może. Ale wiemy też, że mieli trzydzieści lat, by nad tym zapnować. - Machnął ręką na raport Sury. - A sytuacja tylko się pogarsza. - Spojrzał na Parka i złagodniał nieco. - Sammy, Namięm cieszyło się po kojem i wolnością prawie przez cztery tysiące lat. Żadna inna cywilizacja Klientów w Ludzkiej Przestrzeni nie może powiedzieć tego o sobie. Ale w tym właśnie leży problem. Bez pomocy nawet oni nie mogą trwać wiecznie.

Sammy przygarbił się lekko.

- Uniknęli gigantycznych katastrof. Nie prowadzili wielkich wojen. Rząd nadal jest sprawny i elastyczny. To tylko te przekłete problemy techniczne.

- To techniczne objawy problemów, które rząd z pewnością doskonale rozumie. - *I którym nie może w żaden sposób zaradzić.* Przypomniał sobie cyniczne uwagi Gunnara Larsona. W pewnym sensie ta rozmowa prowadziła ich do tej samej, ślepej uliczki. Pham Nuwen miał jednak całe życie, by zastanawiać się nad rozwiązaniami. - Elastyczność rządu to sprawa życia i śmierci. Wiele wieków temu podjęli działania optymalizujące. Geniusz, wolność i znajomość historii zapewniały im bezpieczeństwo, ale w końcu optymalizacje doprowadziły ich do punktu krytycznego. Księżyce-miasta pozwoliły im stworzyć największą sieć w Ludzkiej Przestrzeni, stały się jednak także wąskim gardłem...

- Ale wiedzieliśmy... to znaczy oni wiedzieli o tym wcześniej. Zawsze istniał jakiś margines bezpieczeństwa.

Namięm było triumfem rozdzielonej automatyki, która z każdą dekadą stawała się coraz lepsza, coraz wydajniejsza. Każda dekada elastyczności rządu prowadziła do optymalizowania alokacji zasobów, a margines bezpieczeństwa coraz bardziej się kurczył. Spirala upadku była znacznie

OTCHŁAŃ W NIEBIE

subtelniejsza niż pesymizm myślicieli z Epoki Świtu, Karola Marksa czy Hana Su, i tylko w niewielkim stopniu odpowiadała prognozom Mancu-ra Olsona. Rząd starał się nie ingerować bezpośrednio w rozwój Namąem. Wolny rynek i indywidualne planowanie były znacznie bardziej efektywne. Jednak nawet jeśli uda się uniknąć klasycznych pułapek korupcji, centralnego planowania i szalonych wynalazków... - W końcu zawsze dochodzi do jakichś wypaczeń, a rząd musi podjąć bezpośrednie działania. - Nawet świat, który uniknął innych zagrożeń, padał w końcu ofiarą własnego sukcesu.

- Tak, wiem. - Sammy odwrócił wzrok, a Pham zsynchronizował swój wyświetlacz z tym, co widział młody kapitan: Tarelsk i Maresk, dwa największe księżyce. Dwa miliardy ludzi na każdym z nich. Dwa migocące dyski miejskich światel przesunęły się powoli na tle ich macierzystej planety - która sama w sobie była największym parkiem w Ludzkiej Przestrzeni. Pham wiedział, że kiedy nadejdzie w końcu kres Namąem, będzie to szybki, gwałtowny upadek. Układ słoneczny Namąem nie był z natury tak jałowy jak asteroidalne kolonie pierwszych wieków Ery Kosmicznej... lecz by utrzymać miliardy swych mieszkańców, księżyce-miasta potrzebowały bardzo zaawansowanych technologii. Jakieś poważniejsze awarie mogły szybko zamienić się w wojnę obejmującą cały układ. Tego rodzaju konflikty zniszczyły już wiele ludzkich kolonii. Sammy patrzył przez chwilę na ten obraz, spokojny i cudowny - i nieaktualny od wielu lat. Potem powiedział:

- Wiem. Mówiłeś o tym wszystkim wiele razy, Queng Ho wiedzą to od stuleci. Przepraszam, Pham. Zawsze wierzyłem... Nie przypuszczałem, że mój własny dom umrze, i to tak szybko.

- Hm... Zastanawiam się... - Pham objął spojrzeniem pokład dowodzenia swego okrętu i pomyślał o podobnych miejscach na pozostałych trzydziestu statkach jego floty. Teraz, w środku podróży, na każdym mostku pracowało tylko troje lub czworo ludzi. Była to wyjątkowo nudna praca. Flota Nuwena należała jednak do jednej z największych, jakie przybywały na Spotkanie. Ponad dziesięć tysięcy Queng Ho spało w kabinach hibernacyjnych jego okrętów. Opuścili Terneu równo sto lat temu i lecieli w najbardziej skupionej formacji, na jaką pozwalały środki bezpieczeństwa. Ostatni z okrętów był oddalony zaledwie o cztery tysiące sekund świetlnych od okrętu flagowego Phama.

- Dotrzemy do Namąem za jakieś dwadzieścia lat. To dużo czasu, jeśli zdecydujemy się spędzić go na wachcie. Może... Tak, to będzie dobra okazja, by udowodnić, że wszystko, o czym mówiłem, naprawdę działa. Za dwadzieścia lat w Namąem prawdopodobnie zapanuje kompletny chaos. Ale my jesteśmy pomocą spoza ich planetarnej pułapki i jest nas dość dużo, byśmy mogli odmienić ich los.

Siedzieli na pokładzie dowodzenia okrętu Sammy'ego, „Reweren-cji”. Pracowało tu dzisiaj wyjątkowo dużo ludzi, kilkanaście osób obsłu-

VERNOR VINGE

giwało pięć spośród trzydziestu stanowisk dowodzenia. Sammy przeniósł wzrok od stanowiska do stanowiska, wreszcie spojrzął na Phama Nuwe-na. Jego oczy rozbłysnęły jaśniej, jakby powróciła do nich nadzieja.

- Tak... Idea Spotkania może zostać zilustrowana. - Nie czekając na reakcję Phama, uruchomił program kalkulacyjny, zapalając się coraz mocniej do tego pomysłu. - Jeśli wykorzystamy w pełni nasze zasoby, może my utrzymać w aktywności prawie po sto osób na każdym statku przez całą drogę do Namąem. Zdążymy wtedy zbadać sytuację i przygotować plan działania. Ba, za dwadzieścia lat będziemy mogli też współpracować z innymi flotami.

Sammy Park znów był teraz przede wszystkim kapitanem flagowym. Wpatrzony w obliczenia, rozważał różne możliwości.

- Tak. Flota Starej Ziemi jest teraz mniej niż ćwierć roku świetlnego od nas. Połowa wszystkich Uczestników znajduje się w promieniu sześciu lat świetlnych od naszej floty, a ta odległość oczywiście się zmniejsza. Co z Surą i Queng Ho z układu?

- Sura i jej towarzysze mają własne zasoby. Przetrwają. - Sura doskonale wiedziała, jak działa koło losu, nawet jeśli nie wierzyła, że można je złamać. Przeniósła swoją siedzibę z Tarelską już przed stuleciem; „kwatery” SuryYinh mieściły się teraz w starym pałacu w pasie asteroid. Z pewnością domyślała się, co zamierza Pham. Wyniki jej analiz prawdopodobnie leciały już w ich stronę. Może naprawdę istniał Bóg Wszelkiego Handlu. Z pewnością istniała Niewidzialna Ręka. Spotkanie w Namąem mogło znaczyć więcej, niż sobie wyobrażał.

Rok za rokiem flota flot zbliżała się do Namąem. Pięć tysięcy nitek światła, jasnych punktów widocznych z odległości lat świetlnych - tysięcy lat świetlnych, jeśli ktoś używał dobrego teleskopu. Z roku na rok płomień silników hamujących stawały się jaśniejsze, delikatne kulki puchu w oknach każdego z okrętów przybywających na Spotkanie.

Pięć tysięcy okrętów; ponad milion ludzkich istnień. Okręty były wyposażone w maszyny, które mogły zniszczyć całe światy, wiozły na swych pokładach ogromne biblioteki i sieci komputerowe. I wszystkie razem nadal wydawały się puchową kulką w porównaniu z mocą i zasobami Namąem. Jak maleńki puszek ostu mógłby uratować upadającego kolosa? Pham udzielał odpowiedzi na to pytanie osobiście i poprzez sieć Queng Ho. Każda cywilizacja planetarna to odizolowana pułapka. Może ją zniszczyć jedna katastrofa - ale też może ją uratować niewielka pomoc z zewnątrz. Również bardziej skomplikowane przypadki - jak Namąem, gdzie pokolenia zręcznej optymalizacji doprowadziły w końcu do samozniszczenia - wynikały z zamkniętej natury rozumnej cywilizacji. Rząd miał zbyt mały wybór, zbyt wielkie długi, i w końcu musiał paść ofiarą barbarzyństwa. Spojrzenie z zewnątrz, nowa automatyka - właśnie to mogli im dać Queng Ho. Właśnie to, zdaniem Phama, stanowiło o ich si-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

le. Teraz miał okazję, by udowodnić swoją teorię, nie tylko o niej dyskutować. Miał dwadzieścia lat na przygotowania i wcale nie był pewien, czy mu to wystarczy.

W ciągu dwudziestu lat łagodna równia pochyła, po której staczało się Namięm, przybrała raczej formę urwiska. Upadły już kolejne trzy rządy, za każdym razem zastępował je reżim, który miał być „bardziej efektywny”, a który w rzeczywistości otwierał drogę coraz bardziej radykalnym społecznym i technicznym rozwiązaniom, ideom, co nie sprawdziły się na setkach innych światów. I przy każdym kroku w dół plany nadlatującej floty stawały się coraz precyzyjniejsze.

W układzie umierali ludzie. Ludzie przybywający na statkach widzieli z odległości miliona kilometrów od świata Namięm początki pierwszej wojny w układzie. Widzieli je bez pomocy teleskopów, gołym okiem; eksplozje gigatonowych bomb, destrukcję opozycyjnego rządu, który przywłaszczył sobie dwie trzecie zautomatyzowanego przemysłu planet zewnętrznych. Po detonacjach pozostała tylko jedna trzecia tego przemysłu, znajdowała się jednak pod ścisłą kontrolą reżimu.

Kapitan flagowy Sammy Park relacjonował na spotkaniu:

- Alajin próbuje ewakuować się na powierzchnię planety. Mieszkańcom Mareska grozi klęska głodu; dostawy z zewnętrznego układu zostaną wyczerpane na kilka dni przed naszym przybyciem.

- Rząd na Tarelsku uważa, że nadal panuje nad sytuacją. Oto nasza analiza... - Nowy mówca władał biegle nese; mieli dwadzieścia lat, by zsynchronizować wspólny język. Ten Kapitan był młodym... mężczyzną... ze Starej Ziemi. W ciągu ośmiu tysięcy lat Stara Ziemia czterokrotnie została całkowicie wyludniona. Gdyby nie istnienie światów-córek, ludzka rasa wymarłaby już dawno temu. To, co żyło teraz na Ziemi, było dziwne. Nikt spośród tej rasy nie zawędrował jeszcze tak daleko od centrum Ludzkiej Przestrzeni. Lecz teraz, kiedy floty docierały wreszcie do układu Namięm, okręty Starej Ziemi znajdowały się zaledwie o dziesięć sekund świetlnych od okrętu Phama. Podobnie jak inni Uczestnicy, delegaci z Ziemi zaangażowali się mocno w projekt, którzy wszyscy nazywali teraz Rantkiem.

Sammy odczekał grzecznie kilkanaście sekund, by upewnić się, że jego rozmówca skończył. Tego rodzaju dyskusja, w której sygnał docierał do poszczególnych uczestników ze sporym opóźnieniem, wymagała specjalnej dyscypliny. Wreszcie Sammy skinął głową.

- Na Tarelsku prawdopodobnie wkrótce dojdzie do masowej zagłady, choć nie jesteśmy jeszcze pewni, co ją spowoduje.

Pham siedział w tej samej sali co Sammy. Wykorzystał swoją pozycję, by wtrącić się, nim minął czas przeznaczony na wypowiedź jego kapitana.

- Przedstaw nam pokrótce sytuację Sury, Sammy.

- Sura Vinh nadal przebywa w głównym pasie asteroid. Znajduje się

jakieś dwa tysiące sekund świetlnych od naszej obecnej pozycji. - Jeszcze przez jakiś czas Sura nie mogła więc uczestniczyć w ich naradach. - Dostarczyła nam sporo użytecznych informacji, ale straciła swoją kwaterę i wiele okrętów. - Sura była właścicielką licznych posiadłości w pasie asteroid; bez wątpienia znalazła już sobie jakieś bezpieczne schronienie. - Sura proponuje, byśmy przenieśli miejsce Wielkiego Spotkania do Brisgo Gap.

Sekundy mijały powoli, kiedy czekali na odpowiedź drugiej strony. Dwadzieścia sekund. Żadnej odpowiedzi od floty Starej Ziemi; ale to mogła być uprzejmość. Czterdzieści sekund. Głos zabrał kapitan floty ze Strentmann, prawdopodobnie kobieta.

- Brisgo Gap? Nigdy nie słyszałam o tym miejscu. - Podniosła rękę, wskazując w ten sposób, że nie skończyła jeszcze wypowiedzi. - Aha, rozumiem. Przerwa w ich pasie asteroid. - Roześmiała się cierpko. - Przypuszczam, że ten wybór nie wzbudzi żadnych sprzeciwów. Dobrze, spotkamy się w pobliżu kwater Sury Vinh, ale... dopiero po realizacji planu Ra tunku.

Przybyli z miejsc odległych o dziesiątki, czasami setki lat świetlnych. A teraz proponowano im, by Wielkie Spotkanie odbyło się w pustej przestrzeni. Na tyle, na ile pozwalała na to dzieląca ich odległość, Pham spierał się z Surą o tę propozycję. Spotkanie w nic nieznaczącym miejscu było przyznaniem się do porażki. Kiedy znów nadeszła kolej „Rewerencje”, przemówił Pham:

- Oczywiście Sura Vinh ma rację, wybierając na miejsce spotkania odległy zakątek układu Namaem. Ale mieliśmy wiele lat, by przygotować Ratunek. Dysponujemy pięcioma tysiącami okrętów. Przygotowaliśmy rozwiązania dla każdej z populacji księżyców-miast i dla tych, które przyniosły się już na Namaem. Proponuję, byśmy spotkali się dopiero wtedy, gdy zrealizujemy nasz plan.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

W systemie Namaem toczyła się wojna. Zagrożone były trzy różne populacje księżyców-miast. Zasoby niemal tysiąca statków przeznaczono do stłumienia chaotycznych walk, które toczyły się na sporym obszarze układu. Ładowniki z zapasami z ponad dwustu statków zostały wysłane na powierzchnię samego Namaem. Świat ten przez kilka tysięcy lat był starannie pielęgnowanym parkiem - teraz miał stać się domem miliardów ludzi. Część populacji księżyców znajdowała się już na jego powierzchni.

Ponad dwa tysiące okrętów zmierzało na Maresk. Tamtejszy reżim praktycznie już nie istniał... nad mieszkańcami wisiało jednak widmo głodu. Uratować ich mogły subtelne działania flot w połączeniu z ogromnymi transportami żywności.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Tarelsk nadal miał aktywny rząd, który nie przypominał jednak żadnego rządu z historii układu Namięm. Przypominał raczej ponurą przeszłość z innych światów, gdzie władcy mówili głośno o pojednaniu, a jednocześnie zabijali miliony ludzi. Rząd Tarelska był grupą niepohamowanych szaleńców. » Jeden z analityków Sammy'ego powiedział:

- Jeśli ich pokonamy, to będzie prawie jak zbrojny podbój.

- Prawie? - Pham podniósł nań wzrok; każdy członek załogi miał na sobie kompletny skafander z kapturem. - Do diabła, to jest zbrojny podbój. - W najprostszej sytuacji misja ratunkowa Queng Ho miała przyjąć formę trzech skoordynowanych zamachów stanu. Gdyby im się powiodło, potomność nie zapamiętałaby tego w ten sposób. Gdyby im się powiodło, każda operacja byłaby małym cudem, zbawieniem, którego tubylcy nie mogli zapewnić sobie sami. W całej historii ludzkości co najwyższej dziesięć razy dochodziło do międzygwiazdnej wojny, obejmującej przestrzeń większą niż kilka lat świetlnych. Pham zastanawiał się, co pomyślałby jego ojciec, gdyby wiedział, do czego doszedł odrzucony przezeń syn. Odwrócił się ponownie do mapy. Najszybszy z okrętów miał dolecieć do Tarelska za pięćdziesiąt Ksekund. - Jakie wieści?

- Tak jak przypuszczaliśmy, rząd Tarelska nie przyjmuje naszych argumentów. Uważają nas za najeźdźców, nie ratowników. I nie przekazują tego, co mówimy, populacji Tarelska.

- Ale ludzie chyba znają prawdę?

- Niekoniecznie. Mieliśmy trzy udane rekonesanse. - Roboty zostały zrzucone cztery Msekundy wcześniej, pojazdy rozpoznawcze, które mogły się poruszać nawet z prędkością równą jednej dziesiątej prędkości światła. - Dostaliśmy tylko kilka obrazów, ale to, co zobaczyliśmy, nie zgadza się z informacjami przekazywanymi przez szpiegów Sury. Przypuszczamy, że rząd zastosował stan powszechnego zagrożenia.

Pham gwizdnął cicho. Teraz każdy system obliczeniowy, nawet dziecięce zabawki, pracował dla rządu. Była to najbardziej ekstremalna forma kontroli społecznej, jaką kiedykolwiek wymyślono.

- Więc teraz mają władzę nad wszystkim. - Marzenie każdego dyktatora... Tyle że żaden dyktator nie mógł zaplanować każdego szczegółu zachowania swego społeczeństwa. Władcy Tarelska upadli naprawdę bardzo nisko. Pham odchylił się w swym fotelu. - No dobrze. To ułatwia sprawę, ale i zwiększa ryzyko. Musimy działać jak najszybciej; ci face ci zabiją wszystkich, jeśli zostawimy ich samym sobie. Przechodzimy do planu dziewiątego. - Oznaczało to kolejne fale zrzutów samosterujących urządzeń. Pierwsze były bomby pulsacyjne o ograniczonym polu rażenia, które miały oślepić oczy i automatykę Tarelska. W następnej fali znajdowały się koparki zalewające miejskie obszary księżycą automatyką Queng Ho. Gdyby plan Phama się powiódł, automatyka Tarelska skonfrontowana zostałaby z innym, zupełnie obcym systemem, którego nie

VERNOR VINGE

mógłby objąć stan powszechnego zagrożenia wprowadzony przez miejscowy rząd.

Flota Phama przeleciała na małej wysokości obok świata Namąem. Ten manewr utrzymał ich przez kilka tysięcy sekund poza zasięgiem bezpośredniego ognia Tarelska, jednocześnie jednak był poważnym wykroczeniem. Cywilizowane układy nie dopuszczały w pobliże zamieszkanym terenów dużych rakiet, a tym bardziej okrętów z napędem międzygwiazdowym. Złamanie tego zakazu karano wysokimi grzywnami, ostracyzmem, a czasem nawet konfiskatą okrętu. Miło było choć raz wcale się tym nie przejmować. Trzydzieści okrętów Phama hamowało maksymalnym ciągiem przy ponad 1 g, i to od kilku Ksekund. Przeleciały nad środkowopółnocnymi szerokościami Namąem, na wysokości niecałych dwustu kilometrów, i przy prędkości dwustu kilometrów na sekundę. Widzieli z tej wysokości wypielęgnowane lasy i pustynie, tymczasowe miasta, w których mieszkali uchodźcy z Alqin. Potem zaczęli oddalać się ponownie, trajektorią zakrzywioną przez masę planety. Przypominało to dziecięcy rysunek, planeta dosłownie przemknęła przed ich oczami.

Tymczasem przestrzeń przed nimi błyszczała diabelskim światłem, i tylko niewielką jego część stanowił ogień obrony. Właśnie z tego powodu szybki lot ponad zamieszkaną powierzchnią stanowił szaleństwo. Przestrzeń wokół świata Namąem była kiedyś uporządkowaną sceną działania zoptymalizowanego systemu. Zastanawiano się nawet nad budową wież orbitalnych. Tej optymalizacji skutecznie sprzeciwił się rząd, lecz mimo to przestrzeń na mniejszych wysokościach rola się od tysięcy pojazdów i satelitów. Nawet w najlepszych dla Namąem czasach mikrokolizje tworzyły tak wiele śmieci, że ich zbiórka i utylizacja stanowiła największy i najbardziej dochodowy biznes w okolicach Namąem.

Teraz jednak już od wielu Msekund nikt nie zajmował się porządkowaniem przestrzeni okołoplanetarnej. Flota Queng Ho nie spodziewała się aż takiego chaosu, ale torowała sobie drogę za pomocą sterowanych eksplozji sięgających setki kilometrów naprzód i na boki. Okręt Phama niszczył miliony ton śmieci, transportowców i pojazdów wojskowych rządu... Przybycie floty zostało jednak ogłoszone znacznie wcześniej; *może* obyło się bez przypadkowych i niewinnych ofiar. Armada okrętów Queng Ho pozostawiała za sobą tylko spalone i zgniecione szczątki.

Tarelsk leżał dokładnie przed nimi. Miliony światła, które rozpałały powierzchnię księżycy w lepszych czasach, zostały teraz zgaszone albo dekretem rządu, albo przez bomby pulsacyjne Phama. Ale Namąem nie było wcale martwe. Za niecałe pięćdziesiąt sekund okręty Phama miały wygaszić silniki. Nikt nie wiedział, co może stać się potem- Bez silników nie działało pole ochronne... a bez pola nawet drobny fragment metalu lecący z dużą prędkością mógł poważnie uszkodzić statek.

OTCHLAŃ W NIEBIE

- Czterdzieści sekund do wygaszenia. - Płomienie już przygasaly, by nie zniszczyć powierzchni Tarelska.

Pham przejrzał szybko raporty pozostałych flot; ładowniki na Namąem, dwa tysiące okrętów spieszących na ratunek głodującym mieszkańcom Mareska. Maresk płynął majestatycznie przez przestrzeń, niczym lewiatan otoczony ławicą drobnych ryb. Wiele spośród dwóch tysięcy statków zdążyło już przycumować do powierzchni księżyca. Reszta krążyła po orbicie. Ostatni z frachtowców z zewnętrznego układu widoczny był jeszcze poza krawędzią Mareska. Ten powolny kolos został wystrzelony wiele Msekund wcześniej, kiedy farmami położonymi z dala od centrum układu zarządzała jeszcze sprawna automatyka. Frachtowiec był wielki jak okręt międzygwiazdny, lecz brakowało mu skomplikowanego osprzętu. Na pokładzie znajdowało się dziesięć milionów ton ziarna, które mogły jeszcze przez jakiś czas utrzymać mieszkańców Mareska przy życiu.

- Dwadzieścia sekund do wygaszenia.

Pham jeszcze przez chwilę patrzył na obraz Mareska. Wokół okrętów Queng Ho aż roiło się od mniejszych pojazdów, nikt jednak nie miał wrogich zamiarów. Mieszkańcy Mareska nie oddali władzy szaleńcom jak ci z Tarelska.

Nagle przed oczami Phama pojawiły się srebrne ikonki, mrozące krew w żyłach odłamki lodu. Wiadomość pochodziła od agentów Sury na Maresku; *Sabotaż iv zacumowanych okrętach. Uciekać! Uciekać!* Obraz Mareska zniknął z wyświetlacza Phama. Przez chwilę patrzył ponownie na świat Namąem. Blask słońca ogarniał dwie trzecie zwróconej ku niemu powierzchni planety. W rzeczywistości Maresk ukryty był za światem Namąem.

Nagle krawędź atmosfery Namąem zapłonęła światłem innego, nowego słońca, które narodziło się gdzieś poza planetą. Dwie sekundy później pojawił się kolejny błysk, potem jeszcze jeden.

Jeszcze przed momentem załoga „Rewerencji” była całkowicie pochłonięta odliczaniem przed wygaszeniem silników i przygotowaniami do tego, co miało nastąpić później. Teraz wszyscy zwrócili się ku światłom rozpalającym krawędź Namąem.

- Gigatonowe eksplozje wokół Mareska. - Analityk starał się przemawiać opanowanym głosem. - Nasze floty w pobliżu powierzchni... Boże, wszystkie zniknęły! - Wraz z ponadmiliardową populacją księżyca-miasta.

Sammy Park siedział nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Pham zrozumiał, że być może będzie musiał przejąć dowodzenie. Wtedy jednak Sammy pochylił się do przodu i zakomenderował ostrym, stanowczym głosem:

- Tran, Lang, wracajcie na pozycje. Zajmijcie się naszą flotą!

Inny głos:

- Wygaszenie... teraz.

VERNORVINGE

Pham doznał znajomego uczucia lekkości, kiedy główny silnik „Reverencji” został całkowicie wygaszony. Na wyświetlaczu widział, że wszystkie okręty floty wygasły silniki w przeciągu stu milisekund od wyznaczonego czasu. Niecałe czterysta kilometrów przed nimi leżał Tarelsk, tak bliski, że nie wydawał się już księżycem czy planetą, lecz krajobrazem rozciągającym się wokół statków. Przed nadejściem Ludzkości Tarelsk był jeszcze jednym martwym i zimnym księżycem, niewiele większym od pierwszej Luny. Lecz podobnie jak w przypadku ziemskiego Księżyca, gospodarka transportowa dała mu szansę na rozwój. W świetle światła Namqem Tarelsk mienił się pastelowymi barwami, szczytami wyniosłych, sztucznych gór. W odróżnieniu od starej Luny ten świat nigdy nie zaznał katastrofy spowodowanej przez ludzi... aż do tej pory.

- Prędkość pięćdziesiąt pięć metrów na sekundę. Odległość trzysta pięćdziesiąt kilometrów. - Celowo zakończyli wygaszanie tak blisko, by druga strona nie mogła zaatakować ich, nie ponosząc przy tym strat własnych. *Ale ten szalony rząd zabił właśnie miliard ludzi.* - Sammy, ląduj gdziekolwiek, byle szybko!

- Co... - Sammy pochwycił jego spojrzenie i zrozumiał. Ale było już za późno.

Wszystkie systemy przestały nagle działać, na wyświetlaczu Phama zapanowała pustka i cisza. Po raz pierwszy w życiu Pham Nuwen poczuł szarpnięcie okrętu. Milion ton kadłuba i pancerza pochłonęło i złagodziło siłę uderzenia, które musiało być potężne. Pham rozejrzał się po mostku. Dochodziły go dziesiątki głosów, raporty ze wszystkich stron, niepod-dane jednak filtracji ani analizie.

- Pociski atomowe, Boże!

Jeden po drugim włączały się urządzenia alarmowe. Obraz przesuwiał się w jednostajnym tempie po krajobrazie Tarelska i niebie. „Reverencja” obracała się z prędkością kilku stopni na sekundę. Kilku młodszych analityków próbowało wstać ze swoich miejsc.

- Stosować się do procedur! - huknął Sammy.

Na jedynym działającym jeszcze monitorze ponownie pojawił się krajobraz Tarelska, wieże i przezroczyste kopuły nad farmami. Tarelsk był tak duży, że mógł niemal przetrwać bez pomocy z upraw pozasystemowych. Teraz lecieli prosto na ten obszar z prędkością... piętnastu metrów na sekundę? Bez wyświetlacza Pham nie mógł ocenić prędkości zbliżania.

- Jak szybko, Sammy?

Kapitan flagowy pokręcił głową.

- Nie wiem. Pocisk trafił nas od strony Tarelska, niemal w sam środek. Na pewno nie spadamy szybciej niż dwadzieścia metrów na sekundę. - Lecz w wirującym wraku, którym stała się „Reverencja”, nie mogli już w żaden sposób zmniejszyć tej prędkości.

Załoga Sammy'ego próbowała skontaktować się z pozostałą częścią okrętu i odzyskać łączność z innymi statkami. Pham przyglądał się temu

OTCHŁAŃ W NIEBIE

w milczeniu. Trafione zostały wszystkie okręty jego floty. „Rewerencja” nie była zniszczona ani najbardziej, ani też najmniej spośród nich. W miarę jak napływały kolejne raporty, krajobraz Tarelska widziany na ściennym ekranie stawał się coraz większy. Pham dostrzegał już skutki wybuchu. Szaleńcy z rządu zniszczyli część własnych farm podczas tego ataku. Niemal dokładnie na wprost przed nimi... Boże... to była ta stara wieża, którą kupili z Surą w pierwszym wieku.

Kolizje okrętów bywały bardzo różnorodne, od otarć przy prędkości jednego milimetra na sekundę, które interesowały głównie policję... aż po ogromne wybuchy niszczące nie tylko statki, ale i pobliskie planeto-idy. Zderzenie „Rewerencji” z Tarelskiem plasowało się gdzieś pośrodku tej skali. Milion ton okrętu gwiazdowego wbijało się w kopuły ciśnieniowe i wielopoziomowe rezydencje, poruszając się jednak nie szybciej niż człowiek biegnący w normalnym polu grawitacyjnym.

Milion ton nie zatrzymuje się łatwo. Okręt parł naprzód, niszczył wszystko, co napotkał na drodze. Kolejne poziome miasta gniotły się szybciej niż metalowy kadłub i osłona napędu, ale w końcu statek i miasto wokół niego utworzyły jedną, zmasakrowaną ruinę.

Wszystko to nie mogło trwać dłużej niż dwadzieścia sekund, ale kiedy dobiegło końca, Pham i pozostali wisieli na pasach swych foteli w 0,2 grawitacji panującej na powierzchni Tarelska. Światła z zakrzywionych ścian przygasła, to znów rozpałało się mocniej, po monitorach przepływały jakieś bezkształtne plamy. Pham wypiął się ze swojej uprząży i ześliznął na sufit. Przy kratkach wentylatorów wirowały drobiny kurzu, ale jego skafander ciśnieniowy opinał go mocniej niż przed chwilą. Do okrętu wdzierала się próżnia. Korzystając z kanału audio, Sammy próbował zebrać informacje od swych podwładnych i ocenić straty. Na pokładzie „Rewerencji” żyło pięć tysięcy ludzi... jeszcze przed chwilą.

- Straciliśmy cały dziób, kapitanie. Wydobyć ciał zajmie kilka Ksekund. Potrzebujemy...

Pham wspiął się po ścianie do włazu i uchylił go lekko.

- Nasze grupy desantowe, Sammy, co z nimi?

- Są cali, ale...

- Zbierz ich. Możesz zostawić kilku jako grupę ratunkową, ale cała reszta wychodzi. - *I skopie komuś tyłek.*

Następne Ksekundy zachowały się w pamięci Phama jako totalny chaos. Działo się tak wiele rzeczy, i to jednocześnie. Pomimo tylu lat planowania nikt nie wierzył, że operacja może się w końcu zakończyć walką na powierzchni któregoś z księżyców. A nawet obrońcy Queng Ho nie byli prawdziwymi wojownikami. Pham Nuwen widział więcej krwi, cierpienia i śmierci w średniowiecznej Canberze, niż większość ich oglądała przez całe swoje życie.

VERNORVINGE

Ich przeciwnicy także nie byli prawdziwymi żołnierzami. Szalony rząd Tarelska nawet nie ostrzegł mieszkańców wyższych poziomów o nadchodzącej kolizji. Działając na własną rękę, większość ludzi przeniosła się niżej, lecz mimo to miliony zginęły w długiej, gigantycznej katastrofie. Grupy Phama kierowały się w dół, na drugi poziom super tramwajów. Pham miał już połączenie z innymi statkami. Mieszkańcy Tarelska pozostawali tylko o kilka lat w tyle za najlepszą technologią i edukacją całej Ludzkiej Przestrzeni. Oni rozumieli katastrofę; w większości rozumieli też to, czego nie pojmował ich szalony rząd. Byli jednak bezradni wobec systemów, których ich władcy użyli przeciwko nim.

W słuchawkach Pham słyszał głosy grupy desantowej z innego okrętu, oddalonego o trzydzieści kilometrów. Zetknęli się już ze skutkami stanu powszechnego zagrożenia.

- Wszystko tu działa... przeciwko nam. Straciłem piętnastu ludzi na przystanku tramwajowym.

- Przykro mi, David. Masz bomby pulsacyjne. Wykorzystaj je, a potem zalej wszystko naszą automatyką.

Grupa Sammy'ego oddalała się coraz bardziej od Phama. Wyszli przez te same pęknięcia w metalowym kadłubie, lecz na każdym zakręcie Sammy szedł w drugą stronę. Początkowo nie miało to żadnego znaczenia. Ściany nie przeszkadzały im w komunikacji, a rozproszeni stanowili trudniejszy cel dla wroga... Ale do diabła, Sammy był już o dwa kilometry na wschód od niego. Jego grupa została otoczona przez tubylców. Niektórzy twierdzili, że są zarządcami systemów miejskich, i że mogą im pokazać, gdzie znajdują się kluczowe węzły systemów.

- Poczekaj, Sammy!

Łączył połowę przekazywało obraz tylko z jednego kierunku, Pham nie wiedział więc, co zamierza grupa Sammy'ego. Nadal jednak oddalali się od siebie.

- Pham! Przebiliśmy się przez gruzy i jesteśmy teraz... w kampusie uniwersyteckim. Mamy tu przeciek i... - Na wyświetlaczu Phama pojawił się obraz widziany przez grupę Sammy'ego. Przez rozległy trawnik w stronę kamery biegło kilkudziesięciu tubylców - żaden z nich nie miał na sobie skafandra ciśnieniowego. Lecz wysoko, pod sufitem wirowały luźne papiery i piach. W słuchawkach dał się słyszeć świst powietrza uciekającego przez jakiś duży otwór.

Po chwili Pham ujrzał także ludzi Sammy'ego przy pracy. Obiegał ich coraz większy tłum, w którym pojawiały się także dzieci - musiała to być jedna z tych odwróconych wież. W słuchawkach znów rozległ się głos Sammy'ego.

- To moi ludzie, Pham!

Pham przypomniał sobie, że krewni Sammy'ego Parka z Tarelska byli akademikami. *Cholera*.

- Nie rozpraszasz się, Sammy. Tarelsk ma większą powierzchnię niż

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wszystkie miasta na przeciętnej planecie. Prawdopodobieństwo, że trafiłiśmy akurat w to miejsce, jest praktycznie równe zeru...

- Wcale nie... - Jego głos ucichł na chwilę, przytłumiony jakimiś trzaskami... - ...nie mówiłem ci, myślałem, że to nieważne... Staralem się, że by „Rewerencja” upadła obok politechniki.

Tym bardziej, cholera.

- Posłuchaj, Pham, możemy ich uratować! Co więcej, oni na nas czekali... Są tu też ludzie Sury. Mają ze sobą plany systemów... i niektóre zmiany w oprogramowaniu wprowadzone przez reżim. Pham, oni twierdzą, że wiedzą, gdzie są ukryte pułapki!

Może stało się lepiej, że Sammy spotkał swych krewniaków; Queng Ho nie umieli bić się wręcz, a dzięki planom systemu mogli trzymać w szachu rząd i jego sieć kontrolną.

Dziesięć Ksekund później Pham uzyskał połączenie z szaleńcami, którzy nazywali siebie rządem, szóstką spanikowanych ludzi o czerwonych oczach. Ich przywódca miał na sobie mundur, który należał kiedyś zapewne do kogoś ze służb ochrony parku. Byli żywym świadectwem końca cywilizacji.

- Jedyne, co możecie teraz zrobić, to pogorszyć swoją sytuację - powiedział im Pham.

- Bzdura. Mamy Tarelsk. Zgnietliśmy was i tych żarłoków z Mareska. Mamy dość zasobów, by utrzymać cały Tarelsk. Kiedy już stąd znikniecie, zaprowadzimy nowy porządek. - Obraz zachwiał się i zniknął; Pham nigdy nie dowiedział się, czy było to celowe posunięcie, czy też awaria zużytego systemu.

To nie miało znaczenia. Rozmowa trwała wystarczająco długo, by mogli zidentyfikować pośrednie węzły. A siły Phama Nuwena miały sprzęt i oprogramowanie pochodzące spoza układu Namąem. Dzięki temu i dzięki pomocy mieszkańców szalony rząd nie mógł przetrwać dłużej niż kilka Ksekund.

Kiedy już samozwańczy władcy Tarelska skończyli swe panowanie, zaczęła się najtrudniejsza część operacji Ratunek.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Wielkie Spotkanie Queng Ho odbyło się dwadzieścia Msekund później. Układ słoneczny Namąem nadal był obszarem katastrofy. Mieszkańcy opustoszałego Alajin obozowali w świetle Namąem, mieli zapewnione schronienie i żywność. Maresk był radioaktywnym wrakiem; odbudowa najmniejszego z księżyców zajmie długie stulecia. Zginęło tam niemal miliard ludzi. Na szczęście ocalał ostatni transport z żywnością, a po ponownym uruchomieniu zewnętrznego systemu farm dwa miliardy mieszkań-

VERNOR VINGE

ców Tarelska nie musiały już obawiać się widma głodu. Automatyka na Namaem została poważnie uszkodzona, działała teraz na poziomie dziesięciu procent poprzedniej wydajności. Odbudowa systemu stanowiła kolejne zadanie dla tych, którzy przetrwali katastrofę. Wszyscy mogli mieć już jednak pewność, że kryzys dobiegł końca i że jego następstwem nie będzie okres ciemności i powrót średniowiecza. Wnuki obecnych mieszkańców Namaem miały na powrót żyć w normalnym, rozkwitającym świecie.

Nadal jednak nie mieli żadnego przyzwoitego miejsca na Wielkie Spotkanie. Pham musiał więc przystać na pierwotną propozycję Suro. Spotkanie miało odbyć się w Brisgo Gap, na kompletnym pustkowiu w środku układu. Tutaj przynajmniej nie musieli patrzeć na dzieło zniszczenia dokonane przez szaleńców z Tarelska ani zajmować się rozwiązywaniem lokalnych problemów. Z Brisgo Gap świat Namaem i jego księżycze wyglądały tylko jak błękitnozielony dysk i trzy punkty światła.

Sura Vinh wykorzystała ostatnie zasoby zgromadzone w pasie asteroid, by wybudować kwatery dla uczestników Spotkania. Pham miał nadzieję, że Sura będzie pod wrażeniem sukcesu, jaki przyniósł Plan Queng Ho.

- Uratowaliśmy cywilizację, Suro. Teraz chyba mi już wierzysz. Możemy być czymś więcej niż korporacją kupiecką..

Sura Vinh była już jednak bardzo stara. W czasach świtu cywilizacji nauki medyczne obiecywały nieśmiertelność. Rzeczywiście, w pierwszych tysiącleciach postępy były oszałamiające. Ludzie żyli coraz dłużej, przeciętnie po dwieście, potem po trzysta lat. Później jednak każdy krok naprzód był coraz mniejszy i coraz droższy. I tak ludzkość stopniowo traciła wiarę w jeszcze jeden ze swych naiwnych snów. Hibernacja mogła przesunąć śmierć o tysiące lat, lecz nawet przy najlepszym wsparciu medycznym człowiek nie mógł przeżyć więcej niż pięćset lat realnego czasu. Była to górna granica wytrzymałości ludzkiego ciała, a jej osiągnięcie wymagało ogromnych kosztów i wysiłku.

Ruchome krzesło Suro przypominało raczej przenośny szpital niż mebel. Wzruszyła ramionami, choć nawet w zerowym ciężeniu był to dla niej spory wysiłek.

- Nie, Phamie - odparła. Jej oczy były czyste i zielone jak zawsze - z pewnością transplanty lub protezy. Głos miał już wyraźne syntetyczne brzmienie, ale Pham wyczuwał w nim znajomą wesołość. -To Wielkie Spotkanie musi o tym zdecydować, pamiętasz? Nigdy nie zgodziliśmy się ostatecznie na twoje plany. Zebraliśmy się tu właśnie po to, żeby poddać je głosowaniu.

Sura powtarzała mu to od pierwszych stuleci, odkąd tylko zrozumiała, że Pham nigdy nie zrezygnuje ze swoich marzeń. *Och, Suro, nie chcę cię zranić, ale jeśli moja wizja musi wygrać zwyciężyc twoją, to niech się tak stanie.*

Kwatery wybudowane przez Suro w Brisgo Gap były ogromne, nawet według standardów sprzed katastrofy. Mogły przy nich zacumować wszyst-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

kie ocalałe okręty, a system ochronny zapewniony przez Surę sięgał ponad dwa miliony kilometrów poza Gap.

Centralnym punktem kwater była sala obrad o zerowym ciśnieniu - prawdopodobnie największa sala w całej historii ludzkości, za duża nawet jak na potrzeby Spotkania. Przez wiele Msekund przed samym Spotkaniem gromadzili się tu Kupcy, korzystając z największego dotąd - i być może największego w ogóle - zjazdu Queng Ho. Pham wykorzystywał każdą wolną chwilę, by się tam znaleźć. Każdego dnia nawiązywał nowe kontakty, poznawał więcej ludzi niż kiedykolwiek wcześniej. Musiał przecieżyć przekonać wszystkich wątpiących i niepewnych. A znalazłoby się ich wielu. W zasadzie byli to przyzwoici ludzie, ale bardzo ostrożni i inteligentni. Znalazł wśród nich wielu własnych potomków. Ich podziw i oddanie wydawały się szczere, lecz nigdy nie był pewien, ilu naprawdę przekonał do swych poglądów. Po jakimś czasie zauważył, że denerwuje się bardziej niż podczas jakiegokolwiek walki czy nawet trudnych negocjacji handlowych. Nieważne, powtarzał w myślach. Czekał na to przez całe życie. Nic dziwnego, że jest zdenerwowany, kiedy od ostatecznej rozgrywki dzieli go już tylko Msekundy.

Ostatnie Msekundy przed Spotkaniem upłynęły na gorączkowym uzupełnianiu i reorganizacji harmonogramów. W układzie Namqem nadal nie działała przyzwoita automatyka. Pham podejrzewał, że jeszcze przez najbliższą dekadę potrzebna tu będzie zewnętrzna pomoc, która zapobiegnie awariom na dużą skalę i powstrzyma oportunistów chcących wykorzystać trudną sytuację do własnych celów. Zależało mu jednak na tym, by wszyscy jego ludzie byli obecni na Spotkaniu. Sura nie próbowała przeciwstawiać się jego życzeniom. Razem ułożyli harmonogram, który pozwalał sprowadzić ludzi Phama do kwater, a jednocześnie nie narażał na niebezpieczeństwo nowego rządu Namqem.

Wreszcie nadszedł czas Phama, chwila, w której mógł urzeczywistnić swoje marzenia. Popatrzył zza zasłony okrywającej wejście na wielką przestrzeń sali. Sura skończyła właśnie zapowiadać jego wystąpienie i opuszczała podest mównicy. Ze wszystkich stron dobiegały rześiste oklaski.

- Boże... - mruknął Pham.

- Zdenerwowany? - spytał Sammy Park zza jego pleców.

- I to jak. -Właściwie do tej pory tylko raz doświadczył podobnego strachu... kiedy jako mały chłopiec wszedł na pokład okrętu gwiazdowego i po raz pierwszy spotkał Kupców z Queng Ho. Odwrócił się, by spojrzeć na swego kapitana flagowego. Sammy się uśmiechał. Odkąd uratowali Tarelsk, wydawał się szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Niedobrze. Być może już nigdy nie będą razem podróżować. Ludzie, których uratowała jego grupa, naprawdę byli jego krewnymi. A ta jego śliczniutka prawnuczka była dobrym człowiekiem, ale najwyraźniej miała inne plany co do przyszłości Sammy'ego. Kapitan wyciągnął rękę do Phama.

VERNOR VINGE

- P-powodzenia.

I nagle Pham znalazł się na sali. W drodze na mównicę minął Surę. Nie mieli czasu na rozmowę. Jej krucha dłoń musnęła jego policzek. Wznośli się ku centralnej platformie przy akompaniamencie ogłuszającego aplauzu. *Spokojnie*. Miał jeszcze jakieś dwadzieścia sekund na zebranie myśli i uspokojenie rozdygotanych nerwów. *Dziewiętnaście, osiemnaście...* Wielki Hol miał prawie siedemset metrów szerokości, zbudowany został zgodnie ze starożytną tradycją. Jego publiczność tworzyła niemal kompletną, żywą kulę, wszyscy ludzie ustawieni wzdłuż wewnętrznej powierzchni sali patrzyli na maleńki podest mówcy. Pham rozglądał się na wszystkie strony i wszędzie widział twarze zwrócone ku sobie. Poprawka; w powierzchni kuli znajdowała się spora wyrwa, niemal sto tysięcy pustych siedzeń przeznaczonych dla Queng Ho, którzy zginęli na Maresku. Sura upierała się przy takim zagospodarowaniu przestrzeni, by uczcić pamięć zmarłych. Pham przystał na to, choć wiedział, że w ten sposób Sura chce także przypomnieć wszystkim o straszliwej cenie, jaką mogła nieść jego propozycja.

Pham uniósł ręce, dotarłszy do mównicy. Widział, jak wszyscy Queng Ho odpowiadają na jego gest. Po sekundzie ich oklaski stały się jeszcze głośniejsze. Przez czysty wyświetlacz nie widział poszczególnych twarzy. Z tej odległości rozróżniał tylko sylwetki i mógł domyślać się, kto jest mężczyzną, a kto kobietą. W niektórych miejscach kobiety stanowiły zdecydowaną mniejszość, w innych - Queng Ho ze Strentmann - przytłaczającą większość, ogólnie proporcje były wyrównane. Może powinien zwracać się przede wszystkim do nich; od pobytu w Strentmann przekonał się, że kobiety mają szersze spojrzenie na wiele spraw, są bardziej przewidujące. Uprzedzenia ze średniowiecznej Canberry nadal jednak żyły ukryte gdzieś głęboko w jego wnętrzu i Pham nigdy nie nauczył się sterować kobietami.

Odwrócił dłonie na zewnątrz, czekając, aż wrzawa ucichnie. Słowa przemówienia wisiały w postaci srebrnych liter przed jego oczami. Przygotowywał tę mowę od wielu lat, a przez ostatnie Msekundy, kiedy miał więcej czasu dla siebie, szlifował każdy niuans znaczeniowy, każde słowo.

Nagle jednak okazało się, że wcale nie potrzebuje srebrnych ikon. Oczy Phama patrzyły poza nie, na ludzkość zgromadzoną dookoła, a słowa same wypływały z jego ust.

- Moi drodzy!

Na sali zapanowała absolutna cisza. Milion twarzy zwróciło się w jego stronę, milion ludzi wbiło weń spojrzenia.

- Mój głos dociera do was ledwie z sekundowym opóźnieniem. Tu taj, podczas tego Spotkania, możemy bezpośrednio słuchać naszych przyjaciół Queng Ho, nawet tych z dalekiej Ziemi. Po raz pierwszy, i być może jedyny, możemy ujrzeć, kim naprawdę jesteście. I zdecydować, kim będziemy.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Mój ludu, składam wam serdeczne gratulacje. Przybyliśmy tu z miejsc odległych o dziesiątki i setki lat świetlnych, uratowaliśmy wielką cywilizację. Dokonałiśmy tego pomimo straszliwej zdrady. - Umilkł na moment, wskazując puste miejsca. - Tu, w Namąem, zatrzymaliśmy koło historii. Ludzkość na tysiącach światów i od tysięcy lat walczy ze sobą, wyniszcza samą siebie. Jedyną rzeczą, która ratuje naszą rasę przed wyginieciem, jest czas i przestrzeń - aż do tej pory te same rzeczy decydowały także o tym, że ludzkość bezustannie powtarzała błędy z przeszłości.

Stare prawdy pozostają niezienne; bez stałej, wspierającej cywilizacji żadna odizolowana grupa okrętów i ludzi nie odbudowuje podstaw swej technologii. Ale, jednocześnie, bez pomocy z zewnątrz żadna cywilizacja nie może trwać wiecznie. - Pham znów umilkł na moment. Czuł, jak na jego twarz wpływa przekorny uśmiech. - Tu właśnie kryje się nasza szansa, nasza nadzieja. Dwie połówki tego, czym stała się ludzkość, mogą stworzyć trwałą, wieczną całość. - Rozejrzał się dokoła, powiększając w wyświetlaczu obraz poszczególnych twarzy. Słuchali go. Czy ostatecznie przyznają mu rację? - Całość może żyć wiecznie... jeśli tylko Queng Ho staną się czymś więcej niż Kupcami, którzy dbają tylko o swój zysk.

Pham nie pamiętał potem, jak wygłaszał swoje przemówienie; wszystkie idee i wizje już wiele już lat temu głęboko wryły się w jego umysł. Pamiętał raczej poszczególnych ludzi, nadzieję, którą widział na wielu twarzach - i rezerwę, sceptycyzm, których nie kryła większość uczestników spotkania. Na końcu przypomniał im o głosowaniu, ostatecznym rozstrzygnięciu wszystkiego, o czym mówił podczas przemówienia. - Bez waszej pomocy z pewnością przegramy, zostaniemy zgniecieni przez to samo koło historii, które niszczy cywilizacje Klientów. Jeśli jednak zechcecie spojrzeć dalej, poza chwilowe korzyści, jeśli dokonacie tej inwestycji w przyszłość, żadne marzenie nie będzie poza naszym zasięgiem.

Gdyby na sali panowało normalne ciążenie, Pham z pewnością przewróciłby się, schodząc z mównicy. Sammy Park i tak musiał sięgnąć go ukradkiem do korytarza, kiedy zamroczony mijał zasłony przy wejściu.

Tymczasem oklaski przybierały na sile, wypełniały ogłuszającym hukiem całą salę.

Sura pozostała w przedpokoju, przy wejściu powitały go jednak nowe twarze... Ratko, Butra i Qo. Jego pierwsze dzieci, teraz starsze od niego.

- Sura!

Jej krzesło wydało z siebie lekkie sapnięcie, kiedy podleciała w jego stronę.

- Nie pogratulujesz mi przemówienia? - Pham uśmiechnął się szeroko, wciąż nieco oszołomiony. Wyciągnął ręce, delikatnie ujął dłonie Sury. Była tak krucha, tak stara. *Och, Suro! To powinien być nasz wspólny triumf.* Sura musiała przegrać tę rozgrywkę. Była tak stara, że z pewnością nie

VERNORVINGE

mogła już zobaczyć tego inaczej niż jako porażki. Nie mogła ujrzeć pełnego rozkwitnięcia tego, co sami stworzyli.

Oklaski uczestników zgromadzonych na sali przybierały na sile. Sura podniosła nań wzrok.

- Tak. Poradziłeś sobie lepiej, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Ale zawsze radziłeś sobie lepiej, niż przypuszczali inni. -W jej syntetycznym głosie pojawił się smutek i duma. Gestem poprosiła, by opuścili przedpokój. Pham ruszył za nią, oddalając się od wrzawy dobiegającej z sali.

- Ale wiesz, że miałaś też przy tym niesamowite szczęście? - kontynuowała. - Nie miałbyś żadnych szans, gdyby Namqem nie rozpadło się właśnie wtedy, nie gdy przybyła flota flot.

Pham wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście, miałem trochę szczęścia. Ale to tylko dowiodło mojej słuszności, Suro! Oboje wiemy, że taki kryzys może skończyć się totalną klęską - a my uratowaliśmy tych ludzi.

Widoczne części ciała Sury okryte były pikowanym kostiumem, który nie mógł ukryć wątlności jej kończyn. Jej umysł i wola wciąż jednak działały sprawnie, podtrzymywane przy życiu przez aparaturę medyczną ukrytą w krześle. Kiedy Sura pokręciła głową, gest ten wydawał się niemal równie naturalny i silny jak przed laty.

- Uratowaliście ich? Zmieniliście sytuację, z całą pewnością, ale i tak zginęły miliardy ludzi. Przyznaj uczciwie, Pham. Przygotowanie tego Spotkania zajęło nam tysiąc lat. Takiej operacji nie da się przeprowadzić za każdym razem, kiedy jakaś cywilizacja znajdzie się na krawędzi zagłady. A gdyby nie śmierć Mareska, nie wystarczyłoby nawet te pięć tysięcy waszych okrętów. Cały układ nie byłby dość wydajny, a w przyszłości czekałoby go jeszcze gorsze klęski.

Pham znał już te wszystkie argumenty; analizował je i przygotowywał obronę przez długie Msekundy przed spotkaniem.

- Ale Namqem to najtrudniejszy przypadek, na jaki mogliśmy się natknąć, Suro. Stara, okopana cywilizacja, wykorzystująca wszystkie zasoby swojego układu słonecznego. Byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy mieli ratować świat zagrożony zarazą biologiczną czy nawet totalitarną religią.

Sura znów kręciła głową. Nawet teraz ignorowała argumenty Phama.

- Nie. W wielu sytuacjach rzeczywiście możecie coś zdziałać, ale najczęściej wszystko odbędzie się tak jak na Canberze - niewielka zmiana na lepsze okupiona krwią Kupców. Masz rację, bez floty flot cywilizacja układu Namqem przestałaby istnieć. Lecz przetrwałaby choć część ludzi zamieszkujących świat Namqem i niektóre osiedla w pasie asteroid. Historia zatoczyłaby pełne koło i któregoś dnia znów pojawiłaby się tu cywilizacja, nawet jeśli stworzona przez kolonizatorów z zewnątrz. Zasypałeś tę przepaść i miliardy ludzi są ci za to wdzięczne*, ale trzeba jeszcze długich lat starannego planowania, by przywrócić porządek w układzie.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Niewykluczone, że my wszyscy... - wskazała ręką na salę - tego dokonamy, a może jednak nie. Ale wiem z całą pewnością, że nie możemy robić tego dla całego wszechświata, przez całą wieczność. - Sura uczyniła jakiś minimalny gest dłonią, a jej krzesło zatrzymało się z sapnięciem.

Odwróciła się i wyciągnęła ręce, by dotknąć ramion Phama. A Pham doświadczył nagle przedziwnego uczucia, niemal kinestetycznej pamięci dotyku jej rąk, jej spojrzenia. Było to wspomnienie z czasów, nim jeszcze zostali partnerami, nim zostali kochankami. Wspomnienie z pierwszych lat na pokładzie „Reprzyzy”; Sura Vinh, poważna, młoda kobieta. Czasami tak bardzo złościła się na małego Phama Nuwena. Czasami chwytala go za ramiona, próbowała przytrzymać w miejscu dość długo, by zrozumiał to, co jego barbarzyński umysł chciał ignorować.

- Synu, nie widzisz tego? Ogarniamy całą Ludzką Przestrzeń, ale nie możemy zarządzać całymi cywilizacjami. Potrzebowałbyś do tego rasy śle po oddanych niewolników. A my, Queng Ho, nigdy się nimi nie staniemy.

Pham zmusił się do spojrzenia w oczy Suro. Powtarzała mu to od początku i nigdy nie zachwiała się w swym przekonaniu. *Powinienem wiedzieć, że kiedyś do tego dojdzie.* Więc teraz Sura miała przegrać, a Pham nie mógł jej w żaden sposób pomóc.

- Przykro mi, Suro. Kiedy będziesz wygłaszać swoje przemówienie, możesz powiedzieć to milionowi ludzi. Wielu z nich uwierzy. Potem przydzie czas na głosowanie. A potem... - Z tego, co widział przed chwilą w Wielkiej Sali, i z tego, co widział w oczach Suro... po raz pierwszy Pham wiedział, że wygrał.

Sura odwróciła się i przemówiła łagodnym głosem.

- Nie. Nie będę wygłaszać przemówienia. Głosowanie? Zabawne, że uzależniasz wszystko właśnie od tego... Słyszeliśmy, jak zakończyłeś Pogrom w Strentmann.

Zmiana tematu była absurdalna, ale ten komentarz poruszył czułą nutę.

- Został mi tylko jeden okręt, Suro. Co ty byś zrobiła? - *Uratowałam tę ich przeklętą cywilizację, a przynajmniej tę część, która była tego warta.*

Sura podniosła ręce.

- Przepraszam... Pham, ty masz po prostu za dużo szczęścia, jesteś za dobry. - Wydawało się, że teraz mówi tylko do siebie. - Niemal przez tysiąc lat pracowaliśmy razem, by doprowadzić do tego Spotkania. Dla mnie to zawsze było bzdurą, ale po drodze stworzyliśmy kulturę handlową, która może trwać tak długo jak twoje optymistyczne marzenia. I zawsze wiedziałam, że w końcu, kiedy wszyscy spotkamy się twarzą w twarz na Wielkim Spotkaniu, zwycięży zdrowy rozsądek. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo. - Nigdy jednak nie przypuszczałam, że los podsunie ci katastrofę Namąem w najlepszym dla ciebie momencie ani że tak dobrze sobie z nią poradzisz. Pham, jeśli pójdziemy twoją drogą, prawdopodobnie w ciągu dekady będziemy mieli w Namąem kolejną katastrofę. Za kilka wieków Queng Ho po-

VERNOR VINGE

dzieli się na dziesiątki skłóconych frakcji, które będą uważać się za „międzygwiazdne rządy”. A nasze wspólne marzenie zostanie zniszczone. Masz rację, Phamie. Mógłbyś wygrać to głosowanie... I dlatego nie będzie żadnego głosowania, a przynajmniej nie w takiej formie, o jakiej myślałeś.

Przez moment sens tych słów nie docierał do jego umysłu. Pham Nuwen narażony był na zdradę setki razy. Znał ją dobrze na długo przed tym, jak ujrział statek kosmiczny. Ale... Sura? Sura byłajedynym człowiekiem, któremu mógł zawsze ufać, jego zbawcą, jego kochanką, najlepszą przyjaciółką, z którą pracował przez całe życie. A teraz...

Pham rozejrzał się pokoju, dokonując przewartościowania głębszego niż kiedykolwiek w życiu. Obok Sury stali jej pomocnicy, sześciu mężczyzn. Byli tam także Ratko, Butra i Qo. Spośród jego asystentów został tylko Sammy Park. Sammy stał nieco na uboczu, wyglądał na chorego.

Wreszcie Pham spojrzał ponownie na Surę.

- Nie wiem, jaką prowadzisz tu grę, ale nie możesz w żaden sposób zmienić głosowania. Słyszało mnie milion ludzi.

Sura westchnęła.

- Słyszeli cię i w uczciwym głosowaniu zdobyłbyś pewnie większość. Ale wielu spośród tych, których uważałeś za swoich ludzi... jest teraz ze mną.

Zawahała się, a Pham przeniósł wzrok na swoje dzieci. Ratko unikał jego spojrzenia, ale Butra i Qo patrzyli nań z ponurą stanowczością.

- Nigdy nie chcieliśmy cię skrzywdzić, tato - powiedział wreszcie Ratko, podnosząc wzrok. - Kochamy cię. Cała ta szarada ze Spotkaniem miała ci pokazać, że Queng Ho nie mogą być tacy, jak sobie wymarzyłeś. Ale sprawy potoczyły się nie po naszej myśli...

Słowa Ratka nie miały znaczenia. Ważny był wyraz twarzy jego dzieci. Była to ta sama kamienna obojętność, którą widział u swych braci i sióstr pewnego chłodnego poranka na Canberze. A cała miłość pośrodku... *szarada?*

Spojrzał na Surę.

- Więc jak zamierzasz to wygrać? Poprzez nagłą i przypadkową śmierć pół miliona ludzi? Czy tylko przez selektywne zabijanie trzydzieści tysięcy wiernych popleczników Nuwena? To się nie uda, Suro. Tu jest zbyt wielu dobrych, uczciwych ludzi. Może zwyciężysz dzisiaj, ale świat pozostanie, i wcześniej czy później dojdzie do wojny domowej.

Sura znów pokręciła głową.

- Nie zamierzamy nikogo zabijać, Phamie. A świat o niczym się nie dowie. Twoje przemówienie zostanie zapamiętane przez tych obecnych na sali, ale ich nagrywarki... Większość używa naszych urządzeń. Nasza hojna gościnność, pamiętasz? Ostatecznie twoje przemówienie zostanie przerobione na coś... bezpieczniejszego. Przez następne dwadzieścia Ksekund będziesz na spotkaniu z opozycją - kontynuowała Sura. - Potem, po spotkaniu, ogłosisz kompromis; Queng Ho zaangażują się znacznie bardziej w rozwój ogólnodostępnej sieci informacyjnej, która pozwoli na

OTCHŁAŃ W NIEBIE

szybszą odbudową upadłych cywilizacji. Wycofasz jednak propozycję międzygwiazdowego rządu, przekonany argumentami innych. Szarada.

- Zgoda. Możesz to wszystko urządzić. Ale w końcu i tak będziesz musiała zabić wielu ludzi.

- Nie. Jednocześnie zapowiesz swój nowy projekt, wyprawę do odległej części Ludzkiej Przestrzeni. Wszyscy domyśla się, że kieruje tobą rozgoryczenie, ale przecież nadal będziesz nam dobrze życzył. Twoja flota jest już prawie gotowa, Pham, czeka jakieś dwadzieścia stopni dalej wzdłuż Brisgo Gap. Zapewniliśmy ci bogate wyposażenie. Automatyka twojej floty jest wyjątkowo nowoczesna, o wiele lepsza od tego, co sami zabralibyśmy na taką wyprawę. Nie będziesz potrzebował ciągłej wachty, a po raz pierwszy obudzisz się dopiero za kilka stuleci.

Pham patrzył od twarzy do twarzy. Zdradziecki plan Sury mógł się powieść, ale tylko wtedy, jeśli większość kapitanów floty, których uważał za swych przyjaciół, okaże się podobna do Ratka, Butry i Qo. A i to tylko wtedy, jeśli uda im się zrećźnie oszukać swoich podwładnych.

- Od... od jak dawna to planowałaś?

- Odkąd byliśmy jeszcze młodzi, Pham. Przez większość życia. Ale miałam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Pham skinął głową otepiały. Jeśli planowała to tak długo, z pewnością nie popełniła żadnego błędu. Teraz i tak nie miało to znaczenia.

- Moja flota już czeka, powiadasz? - Uśmiechnął się drwiąco. - A wszyscy niepoprawni Nuweniści będą z pewnością jej załogą. Ilu? Trzydzieści tysięcy?

- Znacznie mniej, Pham. Bardzo uważnie badaliśmy wszystkich twoich zwolenników.

W obliczu takiego wyboru ktoś chciałby wybierać się w drogę bez powrotu? Postarali się, by żaden z tych, którzy jednak wytrwali, nie znalazł się w tym pokoju. Prócz Sammy'ego.

- Sammy?

Kapitan flagowy spojrzał mu w twarz, lecz jego usta drżały.

- Tak... tak mi przykro. Jun chce dla mnie innego życia. My... nadal jesteśmy Queng Ho, ale nie możemy lecieć z panem.

Pham pochylił głowę.

-Ach.

Sura podleciała bliżej, a Pham zrozumiał, że gdyby odepchnął się mocno, pochwyciłby prawdopodobnie poręcz jej krzesła i uderzył pięścią w jej- chudą pierś. *I rozbił sobie przy tym pięść.* Serce Sury już od wieków było maszyną.

- Synu? Pham? To było cudowne marzenie, uczyniło nas tym, kim te raz jesteśmy. Ale w końcu to tylko marzenie. niespełnione marzenie.

Pham odwrócił się bez słowa. Przy drzwiach czekali już strażnicy, którzy mieli go eskortować. Nie spojrzał nawet na swoje dzieci. Minął Sammy'ego

VERNORVINGE

Parka bez słowa. Gdzieś w zimnej, nieporuszonej głębi serca życzył dobrze swojemu kapitanowi flagowemu. Sammy zdradził go, to prawda, ale inaczej niż pozostali. Bez wątplenia także Sammy wierzył w te kłamstwa o flocie gotowej do wyprawy. Pham miał nadzieję, że młody kapitan nigdy nie pozna prawdy. Kto zapłaciłby za taką flotę, jaką opisała Sura? Żaden sprytny kupiec jak Sura Vinh, jej dzieci o kamiennych twarzach czy ktokolwiek z pozostałych spiskowców. Znacznie taniej i znacznie bezpieczniej jest wybudować flotę prawdziwych trumien. *Mój ojciec doskonale by to rozumiał*. Najlepsi wrogowie to tacy, którzy już nigdy się nie obudzą.

■ Potem Pham znalazł się w długim korytarzu, otoczony przez nieznanym mu ludzi. Nadal miał przed oczami twarz Sury. W oczach starej kobiety błyszczały łzy. Ostatnie oszustwo.

Małeńka kajuta, prawie całkiem ciemna. Pokój, jaki mógłby zajmować młodszy oficer w tymczasowych kwaterach. W zamkniętej torbie unosiły się ubrania robocze. Napis przed jego oczami głosił: *Pham Trinli*.

Jak zawsze, kiedy Pham dawał się ponosić starej złości, wspomnienia stawały się bardziej wyraziste niż obraz na wyświetlaczu, a powrót do teraźniejszości wydawał się swego rodzaju drwiną. „Flota” Sury nie była jednak flotą trumien. Nawet teraz, dwa tysiące lat po zdradzie, Pham nie potrafił tego wyjaśnić. Najprawdopodobniej inni zdrajcy, ludzie o dużych wpływach i nie pozbawieni całkiem sumienia, obstawali przy tym, by jednak nie zabijać Phama i tych, którzy nie chcieli go zdradzić. „Flota” składała się ze starych barek, które mieściły jedynie członków załogi i ich kapsuły hibernacyjne. Każdy z okrętów „floty” miał jednak zaprogramowaną inną trajektorię lotu. Tysiąc lat później wszystkie fozrucone były na całej szerokości i długości Ludzkiej Przestrzeni.

Nie zostali zabici, ale Pham odebrał swoją lekcję. Rozpoczął powolną, cichą podróż powrotną. Sura była już poza jego zasięgiem. Nadal jednak żyli Queng Ho, których stworzyli we dwoje, Queng Ho, którzy go zdradzili. Nadal miał swoje marzenie.

...I umarłby z nim na Trilandzie, gdyby nie znalazł go Sammy. Teraz czas i los dały mu jeszcze jedną szansę; obietnicę fiksacji.

Pham otrząsnął się ze wspomnień i poprawił lokalizatory w uchu i na skroni. Miał przed sobą ogrom pracy. Powinien częściej spotykać się z Vinhem. Odpowiednio wyszkolony Vinh mógłby sam radzić sobie z takimi trudnościami, jak ta rozmowa z Nauem. Tak, to było stosunkowo proste. Znacznie trudniej będzie utrzymać przed nim w tajemnicy ostateczny cel planów Phama.

Pham odwrócił się w śpiworze, pozwolił, by jego oddech zamienił się w ciche chrapanie. Z tyłu oczu widział ostatnie poczynania Reynolt i szpiegów Brughla. Znów ich oszukał. Na jak długo...? Miał nadzieję, że w najbliższym czasie obejdzie się bez jakichś nieprzyjemnych niespodzianek, a w tej sytuacji największe zagrożenie nadal przedstawiała Anne Reynolt.

CZTERDZIEŚCI

Hrunkner Unnerby przyleciał do zatoki Calorica Pierwszego Dnia Ciemności. Unnerby przebywał w zatoce już kilkakrotnie. Ba, był tutaj w środku Jasności, kiedy dno krateru wyglądało jak kocioł z wrzącą wodą. Wkrótce potem na skraju gór wyrosło małe miasteczko zamieszkałe przez inżynierów budowlanych. W środku Jasności nawet na dużych wysokościach panowały tu isticie piekielne warunki, ale robotnikom wyjątkowo dobrze płacono; wyrzutnie budowane wyżej, na płaskowyżu finansowała Korona, a także prywatni inwestorzy, a po tym, jak Hrunck zamontował tam klimatyzację, miejsce to wcale nie należało do najgorszych. Bogaci ludzie zaczęli pokazywać się tu dopiero w Latach Gaśnięcia, osiedlając się, jak to robili już od pięciu pokoleń, w ścianach kaldery.

Jednak ze wszystkich wizyt, jakie składał tu Hrunck, ta zrobiła na nim największe wrażenie. Pierwszy Dzień Ciemności - granica obecna przede wszystkim w umysłach, i być może właśnie dlatego najważniejsza.

Unnerby poleciał samolotem z Wysokiej Ekwatorii, nie był to jednak samolot turystyczny. Wysoka Ekwatoria leżała co prawda zaledwie pięćset mil od zatoki, lecz było to najbardziej odległe miejsce, skąd można się było dostać do zatoki podczas Pierwszego Dnia Ciemności. Unnerby i jego dwaj asystenci - a właściwie, ochroniarze - poczekali, aż inni pasażerowie zejść po schodkach. Potem ściągnęli kurtki, ciepłe nogawice i dwie torby, które stanowiły zasadniczy powód tej wyprawy. Tuż przed klapą wyjściową Hrunck stracił na moment równowagę, a jedna z toreb upadła u stóp stewarda. Gruba tkanina ochronna rozpięła się w jednym miejscu, odsłaniając zawartość torby - proszek koloru gliny zapakowany starannie w plastikowe woreczki.

Hrunck zeskoczył ze schodków i zapiął ponownie torbę. Steward roześmiał się, szczerze ubawiony.

- Słyszałem, że najlepszym produktem eksportowym Wysokiej Ekwatorii są kruszone skały, ale nigdy nie przypuszczałem, że ktoś potraktuje to serio.

Unnerby wzruszył ramionami z zakłopotaniem. Zarzucił torbę na ramie i zapiął kurtkę.

- Ach, hm... -Wydawało się, że steward chce powiedzieć coś jeszcze, ale odstepił do tyłu i uklonił się na pożegnanie. Wszyscy trzej zeszli na drogę i nagle zrozumieli, co jeszcze chciał im powiedzieć steward. Godzinę temu, kiedy opuszczali Wysoką Ekwatorię, temperatura powietrza sięgała osiemdziesięciu stopni poniżej punktu zamarzania, a wiatr wiał z prędkością dwudziestu mil na sekundę. Potrzebowali aparatów oddechowych podgrzewających powietrze, by przejść od terminalu Ekwatorii do samolotu.

VERNORVINGE

Tutaj...

- A niech mnie, przecież tu jest gorąco jak w piecu! - Brun Soulac, młodsza agentka ochrony, odstawiła torbę i zdjęła kurtkę.

Starsza agentka roześmiała się głośno, choć i ona popełniła ten sam błąd.

- A czegoś ty się spodziewała, Brun! Przecież to Calorica.

- Tak, ale dziś mamy Pierwszy Dzień Ciemności!

Niektórzy z pozostałych pasażerów okazali się równie bezmyślni. Tworzyli groteskowy obraz, zrzucając w pośpiechu kurtki, aparaty oddechowe i nogawkę. Mimo to Unnerby zauważył, że gdy Brun zajęta była zdejmowaniem ubrań, Aria Undergate miała wolne ręce i rozglądała się uważnie dokoła. Brun była równie ostrożna, kiedy to Aria pozbywała się zbędnej odzieży. Jakimś cudem żadna z nich ani na moment nie odsoniła służbowego pistoletu. Mogły zachowywać się jak idiotki, ale w rzeczywistości Aria i Brun były równie dobrymi żołnierzami jak ci, których Unnerby znał podczas Wielkiej Wojny.

Misja do Wysokiej Ekwatorii wbrew pozorom miała ogromne znaczenie, ale środki ostrożności, jakie im zapewniono, wydawały się wystarczające. Torby ze zmieloną skałą przewiezione zostały w wozach opancerzonych; najbardziej jednak zaimponował Unnerby'emu fakt, że major dowodzący operacją nie wspomniał słowem ani gestem o jej bezsensie.

W ciągu trzydziestu minut Hrunck i jego niepotrzebni już ochroniarze znaleźli się na ulicy.

- Jak to, niepotrzebni? - Aria wymachiwała ramionami w przerywanym geście zdumienia. - Niepotrzebne było przewożenie tego... materiału przez kontynent. - Aria i Brun nie miały pojęcia, jak ważna była ta skała, obie też nie kryły pogardy dla takiego ładunku. Były dobrymi agentkami, nie miały jednak podejścia, do którego przyzwyczajony był Hrunck.

- Teraz mamy coś naprawdę ważnego do pilnowania. - Wskazała ręką na Unnerby'ego, a za tym żartobliwym gestem kryła się prawdziwa troska.

- Dlaczego nie ułatwiłeś nam życia i nie poszedłeś z ludźmi majora?

Hrunckner odpowiedział jej uśmiechem.

- Do spotkania z szefem została mi jeszcze ponad godzina. Dość czasu, żeby przejść ten odcinek na piechotę. Nie jesteś ciekawa, Aria? Ilu zwykłych ludzi ma okazję zobaczyć Caloricę w Pierwszy Dzień Ciemności?

Aria i Brun przyjęły tę uwagę ze zdumieniem i irytacją, w typowej reakcji podoficerów mających do czynienia z głupim zachowaniem, na które nie mają wpływu. Unnerby często doświadczał podobnego uczucia, choć zazwyczaj nie okazywał dezaprobaty tak otwarcie. Kindred już niejednokrotnie udowodnili, że potrafią być bezwzględni także na terenie innego kraju. *Ale ja przeżyłem już siedemdziesiąt pięć lat, jest tyle rzeczy, których powinienem się bać.* Nie czekając na reakcję agentek, ruszył w stro-

OTCHLAŃ W NIEBIE

nę światel otaczających skraj wody. Dotychczasowi ochroniarze Unnerby'ego, którzy towarzyszyli mu podczas wszystkich zagranicznych wyjazdów, powstrzymałyby go siłą. Aria i Brun pilnowały go w zastępstwie i nie wiedziały, na co mogą sobie pozwolić. Po chwili ruszyły pośpiesznie jego śladem. Aria mówiła coś do swego małego telefonu. Unnerby uśmiechnął się do siebie. Nie, te dwie nie były głupie. *Ciekawe, czy zauważę agentów, do których dzwoni.*

Zatokę Calorica zawsze uważano za cud świata. Był to jeden z trzech znanych wulkanów, pozostałe dwa skrywały się pod lodem i oceanem. Sama zatoka w istocie stanowiła krater wygasłego wulkanu, a wody oceanu zalewały większą część centralnego zagłębienia.

W pierwszych latach Nowego Słońca było to prawdziwe piekło piekieł, choć nikt nie obserwował wówczas tego miejsca. Strome, wklęsłe ściany kaldery skupiały światło słoneczne, a temperatura we wnętrzu krateru przekraczała punkt topnienia ołowiu. Najwyraźniej to prowokowało lub pozwalało na szybki wypływ lawy i bezustanne serie eksplozji, które pod koniec środkowej Jasności doprowadziły do powstania nowych ścian krateru. Nawet wtedy tylko najodważniejsi i najbardziej lekkomyślni badacze zapuszczali się poza krawędź misy.

Kiedy jednak słońce wchodziło w Lata Gaśnięcia, pojawili się tu zupełnie inni goście. Gdy północne i południowe ziemie zmagaly się z coraz bardziej surowymi zimami, najwyższe położone obszary misy były ciepłe i gościnne. W miarę jak świat się oziębiał, coraz niższe części wulkanu zamieniały się w prawdziwy raj. W ciągu ostatnich pięciu pokoleń zatoka Calorica stała się najekskluzywniejszym kurortem Lat Gaśnięcia, miejscem odwiedzanym tłumnie przez bogatych ludzi, którzy nie musieli oszczędzać i pracować, by przygotować się do Ciemności. W samym środku Wielkiej Wojny, kiedy Unnerby przedzierał się przez śnieżne zaspy na Wschodnim Froncie, i nawet później, kiedy większość walk toczyła się w tunelach*-pamiętał obrazy przedstawiające leniwe, obfitujące w przyjemności życie, które bogacze pędzili na dnie misy Caloriki.

W pewnym sensie Calorica na początku Ciemności była jak świat, który nowoczesna inżynieria i energia atomowa miały udostępnić rasie Pająków na okres całej Ciemności. Unnerby szedł powoli w stronę muzyki i światel, ciekaw, co tam zobaczy.

* * *

Plac nad wodą zalegał gęsty tłum. W powietrzu unosiła się muzyka fletów, śmiech i rozmowy. Ludzie wydawali mu się tak dziwni, że przez dłuższą chwilę Unnerby nie dostrzegał najważniejszych rzeczy.

Pozwolił, by tłum przepychał ich na różne strony, niczym cząsteczki w zawieszynie. Wyobrażał sobie, w jakie zdenerwowanie wprawia Arię i Brun ta horda obcych, niesprawdzonych ludzi. Stały się jednak zacho-

VERNORVINGE

wać spokój, przeciskały się pomiędzy rozgadanyimi grupkami, ani na moment nie zostawiając Hrunka samego. Po kilku minutach wszyscy troje znaleźli się tuż nad skrajem wody. Niektórzy ludzie z tłumu wymachiwali rozżarzonymi pałeczkami kadzidła, na dnie krateru panował jednak znacznie silniejszy zapach, siarczany odór niesiony ciepłą bryzą. Warstwa stopionej skały pośrodku zatoki mieniła się czerwienią, podczerwienią i żółcią. Nad wodą unosiły się splątane, węzowe smugi pary. Był to jedyny zbiornik wodny, w którym nikt nie musiał się obawiać podwodnego lodu i lewiatanów - choć wulkaniczne uderzenie zabiłoby równie skutecznie każdego amatora kąpeli.

- Cholera! - Brun wypadła na moment z roli i odciągnęła Unnerby'ego od krawędzi wody. - Spójrzcie tylko na wodę. Tam toną ludzie!

Unnerby patrzył przez moment na wskazane przez nią miejsce.

- Nie toną. Oni... na wszystkie moce Ciemności, oni się bawią! - Po stacie zanurzone do połowy w wodzie miały na sobie jakieś minipontony, które chroniły przed utonięciem. Unnerby wpatrywał się w nie z niedowierzaniem, zauważył też po chwili, że nie on jeden jest zdumiony tym widokiem, choć większość gapiów próbowała ukryć szok. Dlaczego ktokolwiek miałby się bawić w tonięcie? Może dla celów wojskowych; w cieplejszych czasach zarówno Kindred, jak i Akord miały okręty wojenne.

Trzydzieści stóp niżej kolejny amator kąpeli wpadł z głośnym pluśkiem do wody. Nagle brzeg wydał się Unnerby'emu równie niebezpieczny jak krawędź wysokiego urwiska. Pospiesznie odsunął się do tyłu, z dala od okrzyków radości czy strachu dochodzących znad tafli wody. Wszyscy troje ponownie ruszyli przez plac w stronę podświetlonych drzew. Tutaj, na otwartej przestrzeni, mieli dobry widok na niebo i ściany kaldery.

Było dopiero wczesne popołudnie, lecz prócz sztucznych świateł wśród drzew i naturalnego blasku bijącego z centrum krateru świat tonął w ciemnościach. Słońce jawiło się tylko jako biała plama na czarnym tle nieba, czerwonawy dysk poznaczony ciemniejszymi plamami.

Pierwszy Dzień Ciemności. Konkretna data różniła się nieco w zależności od religii i nacji. Nowe Słońce rozpoczynało się eksplozją światła, choć nikt z żywych tego nie widział. Gaśnienie było jednak powolnym procesem, który ciągnął się niemal przez całą Jasność. Przez ostatnie trzy lata słońce było bladym, przyćmionym kręgiem, którego blask dawał ledwie trochę ciepła w samo południe i na które można było patrzeć bez obawy o utratę wzroku. W ciągu ostatniego roku co jaśniejsze gwiazdy widniały na niebie cały dzień. Lecz nawet to nie było oficjalnym początkiem Ciemności, lecz znakiem, że zielone rośliny nie mogą już rosnąć, że najwyższy czas, byś przeniósł swoje zapasy żywności do otchłani, i że korzonki oraz hodowle robaków będą twoim jedynym źródłem pożywienia do czasu, gdy wycofasz się pod ziemię.

To powolne zstępowanie w niebyt ciągnęło się całymi latami, co więc pozwalało wyróżnić tę konkretną chwilę - przynajmniej ten konkretny

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dzień - jako pierwszy dzień Ciemności? Unnerby patrzył prosto w blade, przygasłe słońce. Teraz świat miał się stawać coraz zimniejszy, oświetlany jedynie blaskiem gwiazd i tego czerwonego dysku. Od tej pory powietrze było zbyt zimne, by dało się nim normalnie oddychać. W poprzednich pokoleniach oznaczało to początek wycofywania się do otchłani, znoszenia tam ostatnich niezbędnych rzeczy. W poprzednich pokoleniach były to ostatnie chwile, w których ojciec mógł jeszcze zadbać o przyszłość swych dzieci. W poprzednich pokoleniach był to czas wielkiej szlachetności oraz wielkiej zdrady i tchórzostwa, kiedy wszyscy nieprzygotowani postawieni zostali nagle przed Ciemnością i zimnem.

Tutaj, dzisiaj - Hrunck przeniósł uwagę na ludzi zalegających plac. Niektórzy - starzy koberzy i młodszy, urodzeni jednak w fazie - podnosili ramiona do słońca, a potem opuszczali je, by objąć ziemię i ukrytą w niej obietnicę długiego snu.

Powietrze wokół nich było jednak równie łagodne jak letni wieczór w Środkowych Latach. Ziemia była tak ciepła, jakby słońce Środkowych Lat właśnie skryło się za horyzontem, pozostawiając po sobie rozgrzany grunt. Większość ludzi wokół nich jakby nie zauważała końca Jasności - śmiali się, śpiewali, a ich ubrania były tak drogie i kolorowe, jakby nigdy nawet nie pomyśleli o przyszłości. Może zresztą bogaci ludzie zawsze tacy byli.

Reflektory ukryte wśród drzew zasilala zapewne elektrownia, którą firmy Unnerby'ego wybudowały na płaskowyżu ponad kraterem niemal pięć lat temu. Światła zamieniły las na dnie misy w roziskrzoną bajkową krainę. Ktoś sprowadził tu kilkadziesiąt tysięcy leniwych wrózek leśnych. Ich skrzydła mieniły się błękitem, zielenią i nadbłękitem, kiedy krążyły wśród drzew i rozbawionych ludzi. Grupy młodzieży tańczyły do głośniejszej, skoczniejszej muzyki, najmłodszy wbiegali głębiej w las, by bawić się z leśnymi wrózkami. Unnerby przywykł już do widoku ludzi spoza fazy. Choć instynkt i przyzwyczajenie podpowiadały mu, że to przejaw perwersji, musiał przyznać, że tacy ludzie są naprawdę potrzebni. Lubił i szanował wielu z nich. Aria i Brun, które bezceremonialnie torowały mu drogę wśród tłumu, urodziły się także poza fazą, miały teraz jakieś dwadzieścia lat, niewiele mniej niż Mała Victory. Były dobrymi koberami, w niczym nie ustępowały jego towarzyszom broni sprzed lat. Tak, krok po kroku Hrunck-ner Unnerby pogodził się z tą odmianą. Ale... *Nigdy jeszcze nie widziałem w jednym miejscu tylu ludzi spoza fazy.*

- Hej, staruszkule, zatańcz z nami! - Dwie młode damy i jakiś mężczyzna próbowali porwać go do tańca. Aria i Brun zdołały go jakoś uwolnić, udając przy tym, że same są rozbawionymi tancerkami. W ciemności zalegającej pod jednym z drzew Unnerby dostrzegł coś, co wyglądało na piętnastoletni pancierz. Czuł się tak, jakby nagle ożyły wokół niego wszystkie obrazy przedstawiające grzech i lenistwo. Zgoda, powietrze było przyjemnie ciepłe, lecz niesło zapach siarki. Owszem, grunt był przyjemnie cie-

VERNORVINGE

ply, wiedział jednak, że ciepło to nie pochodzi od słońca, lecz ukryte jest w samej ziemi, ciągnie się daleko w głąb, niczym ciepło gnijącego ciała. Każda otchłań wykopana w tym miejscu stanowiłaby śmiertelną pułapkę, tak ciepłą, że śpiący w niej ludzie zgniliby we własnych skorupach.

Unnerby nie wiedział, jak Aria i Brun tego dokonały, lecz w końcu znaleźli się po drugiej stronie lasu. Tu także były tłumy i drzewa, ludzie jednak nie dali się ponieść szaleństwu panującemu na dnie misy. Tańczyli spokojniej, nie rozdierając przy tym ubrań. Leśne wróżki czuły się tu na tyle bezpiecznie, że przysiadły na ich kurtkach i poruszały kolorową koronką swych skrzydeł, leniwe i zuchwałe. We wszystkich innych częściach świata stworzenia te straciły skrzydła już wiele lat temu. Przed pięciu laty, kiedy w mroźny poranek Unnerby spacerował ulicami Princeton, pod jego butami chrzęściły tysiące kolorowych płatków, skrzydła rozszarpanych leśnych wróżek, które zakopywały się teraz głęboko w ziemi, by tam złożyć maleńkie jaja. Leniwa odmiana miała przed sobą jeszcze kilka ciepłych lat życia, ale skazana była na wyginięcie... a przynajmniej tak się wydawało.

Wspinali się coraz wyżej i wyżej, na pierwsze zbocza ścian krateru. Rezydencje Późnego Gaśnięcia ciągnęły się pierścieniem światła wokół całej misy. Oczywiście żaden z tych budynków nie miał więcej niż dziesięć lat, większość jednak została wzniesiona w stylu ostatniego pokolenia. Budynki były nowe, ale pieniądze i rodziny stare. Prawie każda z posiadłości ciągnęła się wzdłuż promienia krateru, w górę. Rezydencje z wczesnego gaśnięcia, umiejscowione w połowie ściany, były w większości ciemne, ich architektura nie nadawała się obecnie do zamieszkania. Unnerby widział śnieżne czapy na dachach tych wyższych budowli. Dom Sherkanera znajdował się właśnie gdzieś tam, pośród tych, którzy byli dość bogaci, by tu zamieszkać, nie dość jednak, by później wznosić kolejną rezydencję na dnie misy. Sherkaner wiedział, że nawet zatoka Calori-ca nie może uciec przed Ciemnością... tego mogła dokonać tylko energia atomowa.

Pomiędzy światłami lasu i pierścieniem posiadłości zalegała ciemność. Leśne wróżki opuściły ich ubrania, by powrócić między drzewa. Zapach siarki stawał się coraz słabszy, nie dorównywał ostrością czystemu, chłodnemu powietrzu. Niebo nad ich głowami było czarne, poznaczone jedynie punkcikami gwiazd i bladym dyskiem słońca. Tak wyglądała rzeczywistość, Ciemność. Unnerby wpatrywał się przez chwilę w niebo, ignorując światła na dole. Próbował się roześmiać.

- No i co, moje drogie, wołałybyście uczciwą walkę z konkretnym wrogiem czy jeszcze jeden spacerek przez ten tłum?

Odpowiedź Arii Undergate była całkiem poważna.

- Wybrałabym tłum, rzecz jasna. Ale... to było bardzo dziwne.

- Przerażające, chciałaś powiedzieć. - Brun najwyraźniej także nie przypadło to do gustu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Tak - przyznała Aria. - Nie wiem, czy zauważyliście, ale sporo tych koberców też czuło strach. Nie wiem... to tak, jakby oni wszyscy... jakbyśmy wszyscy byli leniwymi wrózkami. Kiedy patrzysz w górę i widzisz Ciemność, kiedy widzisz, że świat umarł... czujesz się straszliwie mały.

- Tak. - Unnerby nie wiedział, co jeszcze może dodać. Te dwie młode dziewczyny urodziły się poza fazą. Z pewnością nikt nie próbował im wpoić jakichś tradycjonalistycznych poglądów na świat. A jednak miały te same obawy i pytania co Hrunchner Unnerby. Interesujące.

- Chodźmy. Stacja kolejki linowej musi być znajdować się w pobliżu.

CZTERDZIEŚCI (EDEN)

R ezydencje położone na większej wysokości wyglądały przeważnie jak solidne fortece z drewna i kamienia, połączone z naturalnymi jaskiniami w ścianach krateru. Hrunchner oczekiwał czegoś w rodzaju Południowego Domu na Wzgórzu, rozczarował się jednak mocno, ujrawszy posiadłość Underhilla. Wyglądało to raczej jak dom gościnny, stanowiący fragment większego majątku, w dodatku sporą jego część zajmowali funkcjonariusze ochrony, szczególnie liczni teraz, kiedy w rezydencji przebywała generał. Unnerby został poinformowany, że jego cenny ładunek trafił już na miejsce i że wkrótce będzie się mógł spotkać z gospodarzem. Aria i Brun odebrały potwierdzenie wykonanego zadania, a Hrunchner został wprowadzony do niezbyt przestronnego salonu. Popołudnie spędził na czytaniu bardzo starych czasopism.

- Sierzancie? -W drzwiach stała generał Smith. - Przepraszam za to opóźnienie. - Ubrana była mundur bez dystynkcji, podobny do tego, jaki lubił nosić Strut Greenval. Była szczupła i delikatna jak zawsze, choć jej gesty wydawały się nieco sztywne. Hrunchner przeszedł za nią przez korytarz i wspiął się na kręte drewniane schody.

- Miał pan sporo szczęścia, sierzancie, że udało się panu złapać mnie i Sherka tak blisko tego odkrycia.

- Tak, generale. To Rachner Thract ułożył harmonogram. - Schady pięły się coraz wyżej i wyżej pomiędzy jadeitowymi ścianami. Od czasu do czasu mijali zamknięte drzwi i zaciemnione pokoje.

- Gdzie są dzieci? - spytał Hrunchner odruchowo i natychmiast tego pozował.

Smith milczała przez moment, jakby doszukując się w jego słowach jakiegoś wyrzutu.

- ...Junior zaciągnęła się rok temu.

Słyszał o tym. Dawno już nie widział Małej Victory. Ciekaw był, jak wygląda w mundurze. Zawsze wydawała się twardym dzieciakiem, choć nie pozbawionym odrobiny odziedziczonego po ojcu szaleństwa. Zastanawiał się, czy Rhapsa i Mały Hrunchner są gdzieś w pobliżu.

VERNORVINGE

Schody wynurzyły się ze ściany krateru. Ta część posiadłości istniała zapewne już na początku Lat Gaśnięcia. Tam gdzie niegdyś były otwarte podwórka i patio, od Ciemności odgradzały teraz mieszkańców okna o potrójnych kwarcowych szybach. Wygaszały nieco odległe światła i barwy, lecz mimo to widok był rozległy i wyraźny. Na dnie krateru migotały światła miasta, które okrężały rozpalone do czerwoności jezioro w centrum. Nad wodą wisiała zimna mgła, w której odbijały się światła z dołu. Generał zaciągnęła zasłony na oknach, kiedy podeszli w stronę czegoś, co musiało być grzędą pierwotnego właściciela budynku.

Gestem zaprosiła go do dużego, jasno oświetlonego pokoju.

- Hrunk! - Sherkaner Underhill wstał z wielkich, mocno wypchnych poduch, które stanowiły część umeblowania pokoju. Z pewnością i one należały do dawnego właściciela. Unnerby nie mógł sobie wyobrazić, by generał czy Underhill sami wybrali takie ozdoby.

Underhill truchtał niezgrabnie przez pokój, niesiony entuzjazmem przerażającym jego siły. Trzymał na smyczy robaka przewodnika, który cierpliwie naprowadzał go na właściwy kierunek i ciągnął łagodnie w stronę drzwi.

- Niestety Rhapsa i Mały Hrunk wyjechali kilka dni temu. Nie masz nawet pojęcia, jak ci dwoje zmienili się, odkąd widziałeś ich ostatnio; ma ją teraz siedemnaście lat! Ale generał uznała, że tutejsza atmosfera im nie służy i wysłała ich z powrotem do Princeton.

Hrunkner widział, jak generał spogląda z dezaprobatą na swego męża, ale powstrzymała się od komentarza. Szła powoli od okna do okna, zaciągając kolejne zasłony, odgradzając się od Ciemności. Kiedyś pokój ten był otwartą altaną, teraz znajdowało się w nim mnóstwo okien. Po chwili wszyscy usiedli. Sherkaner wciąż opowiadał Unnerby'emu o dzieciach. Generał milczała. Kiedy jednak Sherk zagłębił się w opowieść o ostatnich przygodach Jirliba i Brenta, przerwała mu łagodnie:

- Jestem pewna, że sierżanta nie interesuje aż tak bardzo życie naszych dzieci.

- Och, ale... - zaczął Unnerby, potem jednak dostrzegł napięcie w postawie generał. - Ale mamy też sporo innych tematów do omówienia, prawda?

Sherk zawahał się, a potem pochylił do przodu, by pogłaskać futro na pancerzu swego robaka. Zwierzę było duże, musiało ważyć co najmniej siedemdziesiąt funtów, wyglądało jednak na łagodne i inteligentne. Po chwili robak zaczął mruzczeć.

- Szkoda, że nie wszystkich da się tak łatwo zadowolić jak Mobiya. Tak, rzeczywiście mamy o czym rozmawiać. - Sięgnął pod stół - delikatny mebel wyglądał jak oryginał z czasów dynastii Treppen, który przeżył kilka pokoleń w otchłani jakiejś bogatej rodziny - i wyciągnął jedną z plastikowych toreb, które Hrurik przywiózł z Wysokiej Ekwatprii, po czym położył ją z rozmachem na białce. Sproszkowana skała rozsypała się długimi wstęgami na ciemnym drewnie.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- A niech cię, Hrunk! Twój magiczny skalny proszek! Co cię na to naprowadziło? Robisz sobie jedną małą wycieczkę i przywozisz tajemnicę, o której nasz wywiad nie miał najmniejszego pojęcia.

- Chwileczkę, chwileczkę. Mówisz tak, jakby ktoś tu czegoś nie dopilnował. - Hrunk wiedział, że niektórzy ludzie mogą mieć spore kłopoty, jeśli wszystkiego teraz nie wyjaśni. - Załatwiałem to zewnętrznymi kanałami, ale Rachner Thract współpracował ze mną w stu procentach. Pożyczył mi te dwie agentki, które tu ze mną przyleciały. Co ważniejsze, to jego ludzie w Wysokiej Ekwatorii... znasz już tę historię? - Czwórka agentów Thracta przeszła przez płaskowyż, by dostarczyć skalny materiał z wewnętrznej rafinerii Kindred.

Smith skinęła głową.

- Tak. Nie ma się czego obawiać, tylko ja jestem temu winna. Byliśmy zbyt pewni siebie, za bardzo uwierzyliśmy w naszą przewagę techniczną.

Sherkaner zachichotał.

- Otóż to. - Rozgrzebał kupkę skalnego pyłu. Oświetlenie w pokoju było znacznie lepsze od tego w sali przylotów na lotnisku. Lecz nawet tu taj proszek nie wyglądał na nic więcej niż piasek w kolorze gliny, a właściwie łupków - łupków z okolic równika, jeśli ktoś znał się dobrze na mineralogii. - Ale nadal nie rozumiem, jak na to wpadłeś.

Unnerby odchylił się do tyłu. Cóż, w porównaniu z siatkami samolotu pasażerskiego trzeciej klasy poduszki były naprawdę bardzo wygodne.

- Pamiętasz pewnie wspólną wyprawę Akord i Kindred na środek płaskowyżu, jakieś pięć lat temu? Kilku tamtejszych fizyków twierdziło, że natrafili tam na anomalie grawitacyjne.

- Tak. Uważali, że szyby opuszczonej kopalni będą dobrym miejscem, by ustalić nową niższą granicę zasady równoważności; zamiast tego znaleźli ogromne różnice, zależne od pory dnia. Otrzymali jakieś przedziwne wyniki, ale wycofali się ze wszystkiego po powtórnych wzorcowaniu.

- Otóż to. Kiedy jednak budowałem elektrownię, poznałem pewną panią fizyk z Akord, która brała udział w tej ekspedycji. Triga Deepdug to solidny inżynier, nawet jeśli naukowiec, poznałem ją całkiem dobrze. Tak czy inaczej Triga twierdziła, że metoda eksperymentu, jakiej używali podczas tej pierwszej wyprawy, była dobra, i że później odsunęto ją od badań... Zacząłem się więc zastanawiać, czemu właściwie służą te wielkie wykopaliska, które Kindred zaczął na płaskowyżu niecały rok po ekspedycji. Znajdują się niemal w tym samym miejscu, gdzie prowadzono tamte doświadczenia, i musieli zbudować linię kolejową długości pięciuset mil, żeby to obsługiwać.

- Znaleźli miedź - wtrąciła Smith. - Duże złoża. Wiem, że to prawda.

Unnerby uśmiechnął się do niej.

- Oczywiście. Gdyby tak nie było, już dawno sami byście na to wpadli. Mimo wszystko... Wydobyć miedzi to tylko uboczna działalność.

VERNOR VINGE

A moja przyjaciółka fizyk zna się na rzeczy. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że warto by sprawdzić, co się tam właściwie dzieje. - Wskazał na torebkę z proszkiem. - To, co tu widzicie, to produkt po trzecim stopniu oczyszczania. Górnicy Kindred przekopują kilkaset ton łupków równikowych, żeby odfiltrować taką małą paczuszkę. Przypuszczam, że oczyszczają ją jeszcze sto razy, nim otrzymają produkt finalny.

Smith skinęła głową.

- A ja jestem pewna, że przetrzymują ten produkt w sejfach twardszych od tych, które kryją święte klejnoty Tiefer.

- Jasne. Grupa Thracta nie mogła nawet marzyć o tym, żeby się tam dostać. - Hruncker postukał w paczuszkę czubkiem dłoni. - Mam nadzieję, że to wystarczy, by udowodnić, że znaleźliśmy coś wartościowego.

- O tak, oczywiście!

Unnerby spojrział na Sherka ze zdumieniem.

- Przecież dostałeś to ledwie kilka godzin temu!

- Znasz mnie, Hrunck. Calorica to kurort, ale ja mam swoje hobby. -I laboratorium, w którym można je rozwijać. - Przy odpowiednim oświetleniu ten proszek waży niemal pół procent mniej niż normalnie... Gratu- * lacje, sierzancie, odkrył pan antygravitację.

- Ja... -Triga Deepdug była tego pewna, ale aż do tej pory Unnerby nie chciał jej wierzyć. - No dobrze, panie Błyskawiczna Analiza, jak to działa?

- Nie mam pojęcia! - odparł radośnie Sherk. - Znalazłeś coś całko wicie nowego. Ba, nawet nie... - Umilkł na moment, jakby szukając wła ściwych słów, wreszcie zdecydował się na coś innego. - Ale to delikatna materia. Zmiliłem część proszku na jeszcze drobniejsze okruchy, ale nic nie unosi się nad resztą; nie można wydzielić „cząstki antygravitacyjnej”. Myślę, że jest to jakieś zjawisko grupowe. W tym laboratorium nie mogę zrobić nic więcej, dlatego jutro wracam do Princeton. Aha, odkry łem jeszcze jedną ciekawą właściwość tego proszku. Te łupki z płaskowy żu zawsze zawierają odrobinę diamentowych skamieniałości, ale w tej próbce najmniejsze skamieniałości - hekseny średnicy jednej miliono wej cala - są wzbogacone tysiąc razy. Chcę poszukać śladów klasycznych pół w tym proszku. Może one tworzą ośrodek pośredniczący. Może... - Sherkaner Underhill zagłębił się w teoretycznych rozważaniach, snuł pla ny i obmyślał dziesiątki testów, za pomocą których chciał dotrzeć do praw dy. Wydawało się, że w miarę jak się rozpędza, ubywa mu lat. Nadal do kuczało mu niekontrolowane drżenie kończyn, wypuścił jednak z rąk smycz robaka przewodnika, a jego głos przepełniała radość. To właśnie ten entuzjazm pchnął jego studentów, Unnerby'ego i Victory Smith do stwożenia nowego świata. Kiedy mówił, Victory wstała ze swojej grzęd y i usiadła obok niego. Prawymi rękami objęła go za ramiona i uściśnęła mocno, gwałtownie.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Unnerby czuł, że uśmiecha się szeroko do Sherkanera, zafascynowany jego wizjami.

- Pamiętasz, jakich narobiłeś sobie kłopotów, kiedy opowiadałeś o tym w radiu, kiedy mówiłeś, że „całe niebo może być naszą otchłanią”? Na Boga, Sherk, jeśli uda nam się to zrobić, kto będzie potrzebował rakiet? Możemy wysyłać prawdziwe okręty w kosmos. Możemy dowiedzieć się wreszcie, co wywołało te światła w Ciemności! Może nawet znajdziemy tam inne światy.

- Tak, ale... - zaczął Sherkaner, dziwnie przygaszony, jakby ujrzawszy u Hrunka odbicie własnego entuzjazmu, uświadomił sobie, ile jeszcze problemów stoi pomiędzy marzeniem i rzeczywistością. - Ale, hm... najpierw musimy poradzić sobie jakoś z wielobną Pedure i Kindred.

Hrunkner przypomniał sobie swój spacer przez las. *I najpierw musimy nauczyć się żyć xv Ciemności.*

Wydawało się, że dla Sherkanera cofnął się czas. Wyciągnął rękę, by pogłaskać Mobyia, dwoma innymi ujął smycz.

- Tak, mamy jeszcze wiele innych problemów. - Wzruszył ramiona mi, jakby godząc się ze swym wiekiem i dystansem dzielącym go od realizacji marzeń. - Ale nie mogę zrobić nic więcej, by uratować świat, nim wrócę do Princeton. Dziś mam okazję, by zobaczyć, jak tłum reaguje na Ciemność. Co myślisz o Pierwszym Dniu Ciemności, Hrunk?

Hrunk powrócił gwałtownie z wyżyn nadziei do przyziemnych ograniczeń rodzaju pajęczego.

- To było... przerażające, Sherk. Rezygnowaliśmy stopniowo ze wszystkich zasad, a ja zobaczyłem dziś, co nam zostało. Nawet... nawet jeśli wygramy z Pedure, nie wiem, co nam zostanie.

Na obliczu Sherka pojawił się znajomy, pewny siebie uśmiech.

- Nie będzie tak źle, Hrunk. - Powoli podniósł się z miejsca, a Mobyia zaprowadził go do drzwi. -Większość tych, którzy zostali w Calorice, to bo gaci, głupi rozpustnicy... Nie oczekiwałbym od nich niczego nadzwyczajnego. Mimo to można się czegoś nauczyć, obserwując ich zachowanie. - Machnął ręką na generała. - Moja droga, idę na dół, trochę pospacerować. Ci młodzi ludzie mogą mieć jednak jakieś interesujące spostrzeżenia.

Smith wstała z poduszek i obeszła Mobyia, by uściskać swego męża.

- Weźmiesz ze sobą ochronę? Żadnych sztuczek?

- Oczywiście. - Hrunkner miał wrażenie, że jej prośba była śmiesznie poważna, że od wydarzeń sprzed dwunastu lat Sherkaner i wszyscy kie jego dzieci doskonale rozumiały potrzebę ochrony.

Drzwi zamknęły się cicho za Sherkanerem, a Unnerby i generał zostali sami. Smith powróciła na swoją grzędę. Zapadło niezręczne milczenie. Ile to już lat minęło, odkąd po raz ostatni rozmawiał z generałem na osobności, bez towarzystwa jej podwładnych? Nieustannie wymieniali ze sobą pocztę elektroniczną. Unnerby nie należał oficjalnie do personelu Smith, lecz program budowy elektrowni jądrowych był najważniejszą cy-

VERNOR VINGE

wilną częścią jej planu, on zaś traktował jej rady jako rozkazy, przemieszczał się z miasta do miasta zgodnie z jej harmonogramem, uwzględniał poprawki jej specjalistów, stosował się do jej terminów - a przy tym wszystkim dbał o interesy swoje i podwykonawców. Niemal codziennie Unnerby kontaktował się z jej sztabem. Kilka razy w roku spotykali się na większych naradach.

Od czasu porwania... rozdziela ją ich bariera stała się fortecznym murem. Bariera ta istniała już wcześniej, rosła z każdym rokiem, w miarę jak dorastały dzieci Smith; lecz przed śmiercią Gokny zawsze potrafili ją przekroczyć. Teraz Unnerby czuł się bardzo dziwnie, siedząc sam na sam z panią generał.

Milczenie przeciągało się w nieskończoność, oboje patrzyli na siebie, udając, że tego nie robią. Powietrze było stęchłe i zimne, jakby nie wietrzono pokoju od długiego czasu. Hrunckner starał się skupić całą uwagę na barokowych stołach i szafkach, pokrytych kilkoma warstwami kolorowego lakieru. Praktycznie wszystkie meble w pokoju wyglądały tak, jakby przetrwały już kilka pokoleń. Nawet poduszki i ich haftowane powłoczki wykonano w stylu Pokolenia 58. Mimo to widać było tu ślady pracy Sherka. Obok grzędy po prawej stronie Unnerby'ego stało biurko zalane papierami i różnego rodzaju gadżetami. Rozpoznał drżący charakter pisma Underhilla w jednym z tytułów: „Wideomancja w ste-ganografii”.

Nagle generał przerwała napiętą ciszę.

- Dobrze się pan spisał, sierżancie. - Wstała i przeszła przez pokój, by usiąść bliżej niego, na grzędzie przy biurku Sherka. - Przeoczyliśmy zupełnie to, co odkryli tam Kindred. I nadal nie mielibyśmy o tym pojęcia, gdyby pan nie poruszył tej sprawy z Thractem.

- To Rachner zorganizował całą operację. Okazał się bardzo dobrym oficerem.

- Tak... Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to on poprowadzi dalej tę sprawę.

- Jasne.

Znów zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Hrunckner wskazał na stertę poduszek, z których najmniejsza zapewne warta była więcej niż roczna pensja sierżanta. Prócz papierów na biurku Sherka nie dostrzegł tu żadnego znaku bytności przyjaciół.

- Nie przyjeżdżacie tutaj zbyt często, prawda?

- Nie - odparła krótko. - Sherk chciał zobaczyć, jak ludzie żyją w Ciemności... Później nie mielibyśmy już okazji przekonać się o tym inaczej, jak na własnym pancerzu. Poza tym wydawało się, że to bezpieczne schronienie dla naszych najmłodszych dzieci. - Spojrzała nań wyzywająco.

Jak nie doprowadzić do kłótni?

- Tak. Cieszę się, że odesłaliście je do domu, do Princeton. To... to

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dobre kobliki, ale to nie jest dla nich odpowiednie miejsce. Czuję się przedziwnie tam, na dole. Ludzie byli przerażeni, jak w tych starych opowieściach o koberach, którzy nie myśleli o przyszłości i zostali sami w Ciemności. Oni nie mają żadnego celu, wiedzieli, że nadchodzi Ciemność, ale nadal nie mogą tego zrozumieć.

Smith usiadła nieco niżej na swojej grzędzie.

- Musimy zмагаć się z milionami ewolucji, niekiedy to problem trudniejszy niż energia atomowa czy wielebna Pedure. Ale z czasem ludzie się przyzwyczajają.

To właśnie powiedziałby Sherkaner Underhill, uśmiechnięty i nieświadomy otaczającego go zakłopotania. Smith przypominała jednak raczej żołnierza w okopach, powtarzającego zapewnienia dowództwa o słabości wroga. Nagle Hrunck uzmysłowił sobie, jak starannie zasłaniała wszystkie okna.

- Tak naprawdę czujesz to samo co ja i oni, prawda?

Przez moment obawiał się, że generał wybuchnie gniewem, ale ona siedziała w milczeniu. Wreszcie...

- ...Tak. Masz rację, sierżancie. Jak już powiedziałam, musimy zмагаć się z własnym instynktem. -Wzruszyła ramionami. - Sherkaner jakoś wcale się tym nie przejmuje. A właściwie dostrzega strach, ale ten strach go fascynuje, jeszcze jedna cudowna układanka. Codziennie schodzi do krateru, przygląda się, obserwuje. Próbuje nawet wchodzić w tłum, pomiń mo ochronę i robaka... Musiałbyś to zobaczyć, żeby uwierzyć. Siedziała tam dziś cały dzień, gdybyś nie przyjechał z fascynującą zagadką innego rodzaju.

Unnerby uśmiechnął się lekko.

- Cały Sherk. - Może to był bezpieczny temat. - Widziałaś, jak się zapalił, kiedy rozmawialiśmy o moim „magicznym proszku skalnym”? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co z tym zrobi. Co się dzieje, kiedy da jesz cud cudotwórcy?

Smith przez chwilę jakby szukała właściwej odpowiedzi.

- Dowiemy się wszystkiego o tym proszku, z całą pewnością. Wcześniej czy później. Ale... do diabła, Hrunckner, ty powinieneś o tym wiedzieć. Znasz Sherka równie długo jak ja. Zauważyłeś, że coraz mocniej drżą mu ręce? Prawdę mówiąc, nie starzeje się tak dobrze, jak większość ludzi z waszego pokolenia.

- Zauważyłem, że jest słaby, ale spójrz tylko na wszystkie te badania, które wykonuje się w Princeton. Robi teraz więcej rzeczy niż kiedykolwiek.

- Tak. Pośrednio. Przez wszystkie te lata gromadził wokół siebie coraz większą grupę genialnych studentów. Są ich teraz setki, rozsianych po całej sieci komputerowej.

- ...ale wszystkie te prace „Toma Lurksalot”? Myślałem, że to Sherk i jego studenci pod pseudonimem.

VERNORVINGE

- To? Nie. To... to tylko jego studenci, pod pseudonimem. Bawią się w sieci, chcą, by inni zgadywali, kto jest twórcą danego wynalazku. To ty ko... zabawa.

Zabawa czy nie, studenci ukryci pod pseudonimem „Tomas Lurksalot” byli niezwykle produktywni, w ciągu ostatnich kilku lat dokonali przełomu niemal we wszystkich dziedzinach nauki, od fizyki jądrowej, poprzez informatykę, aż do standardów przemysłowych.

- Trudno w to uwierzyć. Przed chwilą wydawał się taki jak zawsze... umysłowo, oczywiście. Miał mnóstwo różnych pomysłów. - *Tuzin pomysłów na minutę, kiedy się rozpędzi.* Unnerby uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Niestalości, twe imię to Underhill...

Generał westchnęła ciężko, a jej głos był łagodny i odległy. Zdawało się, że mówi o postaciach z książek, a nie o swym osobistym dramacie.

- Sherk miał tysiące szalonych idei, realizował setki świetnych pomysłów. Ale... to się zmieniło. Mój drogi Sherkaner od trzech lat nie wymyślił nic nowego. Zajął się teraz wideomancją, wiedziałeś o tym? Nie brakuje mu werwy, pod tym względem się nie zmienił, ale... - Smith ucichła, przygnębiona.

Niemal przez czterdzieści lat Victory Smith i Sherkaner Underhill tworzyli wspaniały zespół. Underhill produkował nieustającą lawinę pomysłów, a Smith wybierała najlepsze spośród nich i podsuwała mu je z powrotem. Sherk opisywał kiedyś ten proces znacznie barwniej, w czasach gdy uważał, że sztuczna inteligencja to przyszłość świata:

- Ja jestem generatorem idei, a Victory to detektor bzdur; razem tworzymy inteligencję większą od czegokolwiek, co chodzi na dziesięciu nogach.

Ci dwoje naprawdę zmienili świat.

Lecz teraz... Co stanie się, jeśli połowa zespołu naprawdę straciła swój geniusz? Błyskotliwe pomysły Sherka utrzymywały generała na fali, tak jak jemu pomagał jej zdrowy rozsądek. Bez Sherka Victory pozostaną tylko jej własne zalety: odwaga, siła, wytrwałość. Czy to wystarczy?

Victory przez dłuższy czas milczała. Hrunknier miał ochotę podejść do niej i położyć ręce na jej ramionach... lecz sierżanci, nawet starzy sierżanci, nie czynią takich gestów wobec generałów.

CZTERDZIEŚCI DWA

Mijały lata, a zagrożenie stawało się coraz większe. Z uporem, na który nie zdobyłby się żaden normalny człowiek, Reynolt kontynuowała swe poszukiwania. W miarę możliwości Pham próbował nie manipulować fiksatami. Postarał się nawet, by jego działania były realizowane także w czasie, gdy nie przebywał na wachcie; niesło to spore ryzyko, ale eliminowało oczywisty związek. Okazało się, że i to nie wystarcza. Teraz Rey-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nolt miała już konkretne podejrzania. Dane Phama pokazywały, że intensyfikuje poszukiwania i zamyka krąg podejrzeń na jednej osobie - prawdopodobnie na Phamie Nuwenie. Nie mógł nic na to poradzić. Choć było to ryzykowne przedsięwzięcie, musiał wyeliminować Annę. Uroczystość wieńcząca otwarcie nowego „biura” Naua mogła stanowić do tego najlepszą okazję.

Nau nazywał je Północną Łapą. Prawie wszyscy inni - z pewnością Queng Ho, którzy pomagali w budowie - nazywali to miejsce po prostu parkiem. Teraz wszyscy przebywający na wachcie mogli zobaczyć ostateczny rezultat ich starań i wysiłków.

Ostatni goście wchodzili jeszcze do jaskini, kiedy Nau pojawił się na ganku swej drewnianej chaty. Miał na sobie błyszczącą srebrną kurtkę i zielone spodnie.

- Trzymajcie stopy na ziemi. Moja Qiwi wymyśliła całą nową etykietę dla Północnej Łapy. - Uśmiechnął się, a tłum odpowiedział mu śmiechem. Grawitacja na Diamencie Pierwszym była w zasadzie śladowa. „Ziemia” wokół chaty pokryta była zręcznie zamaskowanym, ciepłym materiałem. Wszyscy więc rzeczywiście trzymali stopy na ziemi, ale pojęcie pionu było raczej kwestią umowną. Qiwi chichotała pod nosem, widząc setki ludzi chwiejących się na różne strony niczym rzesza pijaków. Na koconce jej bluzki leżał zwinięty w kłębek czarny kot.

Nau znów podniósł ręce.

- Moi drodzy przyjaciele. Dziś macie okazję cieszyć się tym, co sami zbudowaliście, podziwiać wyniki własnej pracy. Pomyślcie tylko. Trzydzieści osiem lat temu omal nie zniszczyliśmy się sami. Dla większości was okres ten nie jest aż tak długi, to tylko dziesięć czy dwanaście lat spędzonych na wachcie. Jak pamiętacie, mówiłem wtedy, że ten czas przypomina Lata Plagi na Balacrei. Zniszczyliśmy większość zasobów, które przywieźliśmy tutaj ze sobą, zniszczyliśmy nasze okręty. By przetrwać, mówiłem, musimy zapomnieć o wszelkich animozjach i pracować razem bez względu na to, jak bardzo różnimy się od siebie... Cóż, przyjaciele, dokonaliśmy tego. Nie twierdzę, że nie grozi nam już żadne fizyczne niebezpieczeństwo; nasza przyszłość nadal jest wielką niewiadomą. Rozejrzyjcie się jednak dokoła, a zobaczycie, jak się uleczyliśmy. Wy wszyscy zbudowaliście to z gołej skały, lodu i śniegu. Północna Łapa, ten park, nie jest może ogromny, z pewnością jednak jest dziełem sztuki. Spójrzcie nań tylko. Zbudowaliście coś, co może rywalizować z największymi osiągnięciami całej cywilizacji. Jestem z was dumny. - Położył rękę na ramionach Qiwi, a wy straszony tym gestem kot wcisnął się głębiej pod jej pachę. Kiedyś związek Naua i Lisolet stanowił tylko temat brzydkich plotek. Teraz... Pham widział, jak ludzie dokoła uśmiechają się na ten widok. -To coś więcej niż Park, coś więcej niż ulubione miejsce grupmistrza. To, co tu widzicie, jest dowodem nowej jakości we wszechświecie, połączenia tego, co najlepsze w kulturze Queng Ho i Emergentów. Zafiksowani ludzie... - Pham zauwa-

VERNORVINGE

żył, że Nau nadal nie mówi o niewolnikach tak otwarcie, jak mógłby to robić - ...przygotowali szczegółowy plan Parku. Handel Queng Ho i działania jednostek zamieniły ten plan w rzeczywistość. Ja osobiście nauczyłem się jednej rzeczy; na Balacrei, Frenk i Gaspr, my, grupmistrzowie, rządzymy dla dobra ogółu, rządzymy jednak w dużej mierze poprzez osobiste kierownictwo... i często przy wsparciu sił prawa. Tutaj, pracując z byłymi Queng Ho, dostrzegłem także inną drogę. Wiem, że praca przy moim parku była zapłatą za te głupie, różowe papierki, które ukrywaliście przede mną od tak dawna. - Podniósł rękę, a w powietrzu zawisło kilkanaście banknotów. Przez tłum znów przebiegł śmiech. -Myślę, że połączenie rządów grupmistrzów i wydajności Queng Ho może jeszcze przynieść wiele dobrego, kiedy już zakończymy naszą misję!

Uklonił się, przyjmując z uśmiechem entuzjastyczny aplauz. Qiwi przesunęła się przed niego, stając obok poręczy - a oklaski stały się jeszcze głośniejsze. Kot, który najwyraźniej miał już dość hałasu i gwałtownych ruchów, odepchnął się od Qiwi i wyleciał ponad tłum. Rozwinął delikatne skrzydła, wyhamowując lot, i zatoczył szeroki krąg, by powrócić do swej pani.

- Zauważcie - mówiła Qiwi. - Miraow może tutaj latać. Ale ona ma skrzydła! - Tymczasem kot przeleciał nad dachem i zniknął w lesie pora stającym grunt za chatą Naua. - Teraz zapraszam wszystkich na prawą stronę chaty grupmistrza, na drobny poczęstunek.

Niektórzy goście już tam byli, inni tłoczyli się na wąskich ścieżkach prowadzących do stołów. Grube błaty lekko się uginały, jakby pod ciężarem ustawionego na nich jedzenia. Pham szedł razem ze wszystkimi, pozdrawiając głośno każdego, kto chciał z nim rozmawiać. Chciał, by jak największej osób zapamiętało jego obecność w tym miejscu. Tymczasem z tyłu jego oczu maleńcy szpiedzy budowali taktyczny obraz parku i lasu.

Przy stołach zetknęły się ze sobą dwie różne kultury, ale do tej pory w saloniku Benny'ego utarły się już pewne reguły jedzenia. Po chwili ci, którzy mieli już wiaderka pełne jedzenia i bańki z napojami, zaczęli wracać na otwartą przestrzeń. Pham podszedł do Benny'ego i uderzył go w plecy.

- Benny! Bardzo dobre żarcie! Ale myślałem, że to ty zajmujesz się dostawą.

Benny Wen zakasłał i przelknął ciężko.

- Oczywiście, że jest dobre. I oczywiście jest moje - i Gonie. -Wska zał głową na byłą kwatermistrza, która stała obok niego. - Ojciec Qiwi wyhodował nowe rośliny, które znaleźliśmy w bibliotece. Mamy je już od pół roku, ale czekaliśmy specjalnie na tę okazję.

Pham nadął się dumnie.

- Ja pracowałem na zewnątrz. Ktoś musiał nadzorować dodatkowe wiercenia i topienie lodu do jeziora grupmistrza.

Gonie Fong zaprezentowała swój przebiegły uśmiech. Bardziej niż jakikolwiek Queng Ho - bardziej niż sama Qiwi - utożsamiała się z wizją

OTCHLAŃ W NIEBIE

„współpracy” roztoczoną przez Naua. - Wszyscy na tym jakoś skorzystaliśmy. Moje farmy są teraz oficjalnie nadzorowane przez grupmistrza. I mam prawdziwą automatykę.

- Masz coś lepszego od klawiatury? - spytał Pham uszczypliwie.

- Ba. A dzisiaj odpowiadam za obsługę. - Uniosła dramatycznie rękę i w tej samej chwili podleciała do nich taca z jedzeniem. Kręciła się powoli pod jej dłonią, potem ukloniła się grzecznie, gdy Fong wybrała kiść przyprawionych wodorostów. Potem taca przepłynęła do Benny'ego i Phama. Małeńcy szpiedzy Phama patrzyli na nią ze wszystkich stron. Taca manewrowała dzięki małym silniczkom gazowym, niemal całkowicie wygłuszonym. Pod względem mechanicznym było to bardzo proste urządzenie, poruszało się jednak z niezwykłą gracją i inteligencją. Benny także to zauważył.

- Kieruje tym fiksat? - spytał, lekko zasmucony.

- Eem... tak. Grupmistrz uważał, że ze względu na rangę wydarzenia warto zaangażować w to kilku fiksatów.

Pham obserwował przez chwilę inne tace. Zataczały szerokie kręgi, z dala od stołów, wybierając tych gości, którzy nie mieli jeszcze jedzenia. *Sprytne*. Niewolnicy pozostawali w ukryciu, ludzie mogli więc udawać, że zgadzają się z tym, co Nau tak często powtarzał; że fiksacja wynosi cywilizację na wyższy poziom. *Ale on ma rację! Niech go diabli...*

Pham pożegnał Gonie Fong odpowiednio prostacką uwagą, która miała pokazać, że ten „stary pierdzielTrinli” jest naprawdę pod wrażeniem, ale nie chce tego przyznać. Wyszedł z tłumu, kierując się ku stołom z jedzeniem. *Hmm*. Ritser Brughel pozostawał obecnie w uśpieniu - kolejne sprytne posunięcie Tomasa Nau. Wielu ludzi uwierzyło ostatnio w „wizję” grupmistrza, a Ritser Brughel mógłby skutecznie zburzyć w nich tę wiarę. Skoro jednak Brughel nie był na wachcie, a Nau i Reynolt zatrudniali twarogłowych do obsługi przyjęcia..., nadarzała się okazja lepsza, niż przypuszczał. *Więc gdzie jest Reynolt?* Śledzenie tej kobiety było zaskakująco trudnym zadaniem; czasami zniknęła z bezpośredniego nadzoru Brughla nawet na kilka Ksekund. Pham skierował swą uwagę na zewnątrz. W parku unosiły się miliony małych lokalizatorów. Te, które służyły do stabilizacji jeziora i sterowania wentylatorami, były w większości zajęte, nadal jednak miał do dyspozycji ogromną moc przetwarzania. Oczywiście nie mógł kontrolować jednocześnie wszystkich obrazów i danych. Kiedy jego umysł przeglądał kolejne obszary parku, ciało kołysało się lekko w ledwie wyczuwalnym ciężeniu. *Aha, jest!* Nie był to precyzyjny obraz, lecz przez moment widział rude włosy Reynolt i jej różową skórę we wnętrzu chaty Naua. Tak jak przypuszczał, Annę nie brała udziału w uroczystościach. Stała pochylona nad jakąś konsolą, a jej oczy zakrywał czarny wyświetlacz. Wyglądała tak samo jak zawsze. Skupiona, pochłonięta swą pracą, jakby zbliżała się właśnie do jakiegoś ważnego odkrycia. *I najprawdopodobniej tak właśnie jest.*

VERNORVINGE

Ktoś uderzył go w ramię, równie mocno jak przed chwilą on uderzył Benny'ego.

- No i co, staruszku, co o tym myślisz?

Pham oderwał się od wewnętrznego obrazu i spojrzał na intruza; Trud Silipan wystroił się odświętnie na tę okazję. Jego ubranie przypominało stroje, jakie Pham widział tylko w podręcznikach historii Emergentów: błękitny jedwab, malowniczo postrzępiony i poszarpany, imitujący rozdarte, poplamione łachmany. Było to ubranie Pierwszych Kolonizatorów, jak powiedział mu kiedyś Trud. Pham zareagował przesadnie podkreślonym zaskoczeniem.

- Co myślę o czym - twoim ubraniu czy widoku?

- O widoku, o widoku! Włożyłem ten strój, bo to wyjątkowa okazja. Słyszałeś przemówienie grupmistrza. No, poświęć mi jeszcze chwilę, popatrz na park i powiedz mi, co o tym sądzisz.

W wewnętrznym obrazie Pham zobaczył Ezra Vinha, zmierzającego w ich stronę. *Cholera.*

- No cóż...

- Tak, co o tym myślisz, obrońco Trinli? - Vinh stanął przed Phamem i przez moment patrzył mu prosto w oczy. - Ze wszystkich Queng Ho tu obecnych ty jesteś najstarszy, musiałeś też widzieć najwięcej. Jak wypada Północna Łapa w porównaniu z wielkimi parkami Queng Ho?

Słowa Vinha miały ukryte znaczenie, którego Trud Silipan oczywiście nie mógł zauważyć, a które obudziły w Phamie zimną wściekłość. *To także przez ciebie muszę zabić Annę Reynolt, ty mały cudaku.* „Prawdziwa” wersja historii Phama Nuwena, jaką podsunął chłopcu Nau, odcisnęła na nim wyraźne piętno. Już co najmniej od roku wiedział, co naprawdę wydarzyło się w Brisgo Gap. I domyślał się, czego naprawdę Pham spodziewa się po fiksacji. Coraz mocniej domagał się gwarancji i zapewnień.

Lokalizatory pokrywały różnymi barwami twarz Vinha, pokazywały ciśnienie krwi i temperaturę skóry. Czy dobry szpieg mógł dzięki tym danym odgadnąć, że chłopiec prowadzi jakąś grę? Może. Nienawisć, jaką Ezra żywił do Naua i Brughla, nadal była silniejsza od uczuć skierowanych przeciwko Phamowi Nuwenowi: Pham wciąż mógł go wykorzystywać. Także z powodu Vinha musiał usunąć Reynolt.

Kiedy te myśli przemieniały przez umysł Phama, jego usta wykrzywiły się już w próżnym uśmiechu.

- Masz zupełną rację, mój chłopcze. Wiedza książkowa nie może równać się z prawdziwymi podróżami i z tym, co widziało się na własne oczy. - Odwrócił się od nich i patrzył przez chwilę na chatę, przystań i jezioro. *Udawaj, że się nad tym zastanawiasz.*

Przez ostatnie Msekundy niemal nieustannie badał z ukrycia tę konstrukcję; bez trudu powinien odegrać teraz właściwą scenę. Teraz jednak, kiedy był tu fizycznie obecny, czuł delikatny przepływ powietrza wędrującego od lasu za jego plecami. Było wilgotne i chłodne, niesło ze sobą

OTCHŁAŃ W NIEBIE

aromat tysięcy kilometrów lasu ciągnącego się w głąb ładu. Spomiędzy białych kłębiastych chmur spływał na nich ciepły, łagodny blask słońca. Oczywiście, to także tylko pozór. W tej chwili prawdziwe słońce było bledsze od przeciętnego księżyca. Jednak systemy świetlne zamontowane w diamentowym sklepieniu mogły imitować prawie każdy efekt wizualny. Jedyny ślad fałszerstwa stanowiły ledwie dostrzegalne tęcze błyszczące w oddali...

W dole, na dnie jaskini, leżało jezioro. Był to niezaprzeczalny triumf Qiwi. Woda była prawdziwa, miejscami głębokość jeziora dochodziła nawet do trzydziestu metrów. Sieć siłowników i lokalizatorów zaprojektowana przez Qiwi utrzymywała je w jednym miejscu. Płaska, gładka powierzchnia wody odbijała chmury i błękit sztucznego nieba. Chata grupmistrza stała ponad miejscem cumowania przy końcu zatoki. Wiele kilometrów dalej - w rzeczywistości jakieś dwieście metrów - dwie wyniosłe skały, otoczone lekką mgielką, strzegły drugiego brzegu jeziora.

Park był prawdziwym arcydziełem.

- To *tresartnis* - oświadczył wreszcie Pham, wypowiadając to słowo tak, jakby było obelgą.

Silipan zmarszczył brwi.

- Co...?

- To określenie z żargonu budowniczych parków - wyjaśnił Ezr. - Oznacza...

- Och tak, słyszałem je; park albo bonsai o ekstremalnych rozmiarach. - Trud parsknął z oburzeniem. - O tak, to jest ekstremalne, właśnie tego chciał grupmistrz. Spójrz tylko! Ogromny park z mikrogravitacją, idealna imitacja powierzchni planetarnej. Łamie mnóstwo reguł estetycznych, ale umiejętne łamanie takich reguł jest właśnie świadectwem wielkości grupmistrza.

Pham wzruszył ramionami i zajął się przekąskami przygotowanymi przez Gonie. Przeżuając, odwrócił się leniwie i spojrzał na las. Krawędź wzgórza dopasowano do prawdziwej ściany jaskini - standardowa sztuczka budowniczych parków. Drzewa miały od dziesięciu do dwudziestu metrów wysokości, na ich długich pniach błyszczał wilgotny i zimny mech. Ali Lin wyhodował te drzewa w inkubatorze na powierzchni Diamentu Pierwszego. Rok temu były to zaledwie trzycentymetrowe sadzonki. Teraz, dzięki magicznym zabiegom Alego Lina, wyglądały tak, jakby miały co najmniej kilkadziesiąt lub nawet kilkaset lat. Tu i ówdzie wśród błękitu i zieleni leżały martwe drzewa „starszych” pokoleń. Dzieła najlepszych budowniczych parków wyglądały tak naturalnie zazwyczaj tylko z jednej strony. Ukryte oczy Phama patrzyły jednak na las ze wszystkich kierunków. Park grupmistrza był arcydziełem na każdym poziomie, każdy metr sześcienny został dopracowany tak idealnie, że mógłby konkurować z najlepszymi bonsai Namqem.

- Więc... - kontynuował Silipan. - Myślę, że rozumiesz, dlaczego mam

VERNOR VINGE

powody do dumy! Grupmistrz Nau dał nam wizję, podsunął genialny pomysł, ale to dzięki mojej pracy z automatyką systemu udało się go zrealizować.

Pham wyczuwał gniew rosnący w Vinhu. Młodzieniec z pewnością mógł nad nim zapanować, ale dobry szpieg i tak by coś zauważył. Pham uderzył Ezra w ramię i wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Słyszałeś to, Ezr? Trud, chciałeś chyba powiedzieć, że zrobili to fiksaci, których nadzorowałeś. - „Nadzór” był w tym wypadku zbyt mocnym określeniem. Silipan pełnił raczej funkcję strażnika, ale gdyby ktoś go tak nazwał, uznalby to za śmiertelną obrazę.

- No tak, twarogłowi. Czy nie to właśnie powiedziałem?

Od strony tłumu oblegającego stoły nadeszła Rita Liao. Niosła jedzenie dla dwóch osób.

- Czy ktoś z was widział *może* Jau? Ten park jest tak wielki, że można się pogubić.

- Ja go nie widziałem - oświadczył Pham.

- Zarządca pilotów? Chyba poszedł za dom - powiedział jakiś Emergent, ktoś, kogo Pham nie powinien znać. Z okazji otwarcia parku Qiwi i Nau ułożyli harmonogram tak, by przez jakiś czas kilka wacht zachodziło na siebie, dlatego też w tłumie kręciło się wiele osób niemal zupełnie obcych Phamowi.

- Cholera. Powinnam po prostu podlecieć pod sufit i rozejrzeć się. - Lecząc nawet w tych okolicznościach Rita Liao była dobrym, posłusznym Emergentem. Trzymając obie stopy na ziemi, odwróciła się, szukając w tłumie Xina.

- Qiwi! - krzyknęła. - Widziałaś mojego Jaua?

Qiwi oderwała się od grupy ludzi otaczających Tomasa Nau i ruszyła w ich stronę.

- Tak - odparła. Pham zauważył, że Ezr Vinh wycofał się pospiesznie i przyłączył do innej grupy. - Jau nie wierzył, że molo jest prawdziwe, więc zaproponowałam, żeby przyjrzał mu się z bliska.

- Jest prawdziwe? I łódka też?

- Jasne. Chodźcie na dół, pokażę wam. - Ruszyli całą piątką w dół ścieżki. Trud Silipan przywoływał głośno także innych: - Chodźcie z nami, zobaczycie, co tam zrobiliśmy!

Pham patrzył już na molo za pomocą lokalizatorów, przyglądał się uważnie skałom i krzewom zanurzonym częściowo w wodzie. Ta balacreańska roślinność była piękna; surowe, wyrazista kształty pasowały do zimnego powietrza. Wejście do tunelu technicznego ukryto w urwisku, za niebieskozielonymi liśćmi. *To może być moja najlepsza szansa.* Pham podszedł do Qiwi, zadając pytania, które - jak miał nadzieję - potwierdzą później jego obecność w tym miejscu.

- Naprawdę można na niej żeglować?

- Sami się przekonajcie - odparła Qiwi z uśmiechem.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Brrr. - Rita Liao udawała, że trzęsie się z zimna. - Jest tak zimno, że rzeczywiście wszystko mogłoby być prawdziwe. Północna Łapa to bardzo ładne miejsce, ale nie moglibyście przeprogramować tego na jakies tropiki?

- Nie. - Silipan stanął przed nimi, gotów do wygłoszenia dłuższego wykładu. - Park jest na to zbyt rzeczywisty. Ali Lin starał się, żeby wszystko było jak najbardziej zbliżone do rzeczywistości i dopracowane w szczegółach. - Teraz, kiedy obok stała Qiwi, mówił o twardegłowych jak o normalnych ludziach.

Ścieżka wiała się po zboczu, prowadząc ich ku skalnej ścianie zatoki. Większość gości szła za nimi, ciekawa, jak naprawdę wygląda zatoka.

- Ta woda jest okropnie płaska¹ - powiedział ktoś z tłumu.

- Tak. - Qiwi skinęła głową. - Stworzenie prawdziwych fal to najtrudniejsze zadanie. Pracują nad tym niektórzy z przyjaciół mego ojca. Jeśli zdołamy uformować powierzchnię wody na małą skalę, zarówno w czasie... - przerwał jej zdumiony śmiech, kiedy tuż nad głowami gości przeleciały trzy skrzydlate koty. Zwierzaki przemknęły nad powierzchnią wody i wzbily się ku niebu.

- Założę się, że tego nie mają w prawdziwej Północnej Łapie!

- Zgadza się, to mój pomysł! - Qiwi uśmiechnęła się do Phama. - Pamiętasz te kociaki, które mieliśmy w kwaterach przy Trilandzie? Kiedy byłam mała... - Rozejrzała się dokoła, szukając jakiejś twarzy w tłumie.

- Kiedy byłam mała, ktoś podarował mi takiego kotka.

W Qiwi nadal żyła mała dziewczynka, która pamiętała inne czasy. Pham udawał, że nie słyszy tęsknoty w jej głosie. Jak zawsze przemawiał głośno i protekcyjnie:

- Latające koty do niczego się nie przydają. Powinnaś raczej wyhodować latające świnię.

- Świnię? - Trud potknął się, omal nie przeleciał poza szereg gości.

- Och tak, „szlachetne skrzydlate świnię”.

- Zgadza się, duch programowania. We wszystkich największych kwaterach są skrzydlate świnię.

- Tak, jasne... tylko przynieście mi parasol! - Trud kręcił głową, a kilka osób śmiało się głośno. Symbolika latających świń nigdy nie przyjęła się na Balacrei.

Qiwi uśmiechała się, słuchając tej rozmowy.

- Może rzeczywiście powinniśmy to zrobić... Raczej nie uda mi się przekonać kotów, żeby jadły latające w powietrzu śmieci.

W ciągu niecałych dwustu sekund tłum ustawił się wzdłuż brzegu. Pham opuścił Qiwi, Truda i Ritę. Poruszał się tak, jakby szukał najlepszego punktu obserwacyjnego. W rzeczywistości starał się podejść jak najbliżej zasłony niebieskozielonego listowia. Miał nadzieję, że tłum za chwilę skoncentruje się na czymś innym. Z pewnością jakiś głupiec oderwie się od gruntu. Pham zaczął jeszcze raz sprawdzać sieć lokalizatorów...

VERNORVINGE

Rita Liao nie była wcale głupia, kiedy jednak zobaczyła, gdzie jest Jau Xin, zapomniała o ostrożności.

- Jau, do ciężkiej Plagi, co ty wyprawiasz... -Wręczyła jedzenie i picie komuś, kto stał za nią i ruszyła w stronę mola. Łódź zerwała się z uwięzi i wypływała łagodnie na wody zatoki. Podobnie jak chatę i molo wykonano ją z ciemnego drewna. To drewno pokryto jednak smołą, wypolerowano oraz pomalowano na dziobie i rufie. Na jedynym maszcie wisiał balacreański żagiel. Jau Xin siedział na ławce pośrodku łodzi i szczyrzył zęby do tłumu.

- Jau Xin, wracaj tu natychmiast! To łódź grupmistrza. Będziesz... - Rita zaczęła biec po molu. Szybko zrozumiała swój błąd i próbowała się zatrzymać. Kiedy jej stopy oderwały się od gruntu, sunęła z prędkością zaledwie kilku centymetrów na sekundę. Zleciała z platformy, kręcąc się powoli wokół własnej osi, zakłopotana i wściekła. Wiedziała, że* jeśli ktoś nie zdąży jej złapać, przeleci nad głową męża i wpadnie do jeziora kilkaset sekund później.

Czas na mnie. Dzięki danym napływającym z sieci lokalizatorów wiedział, że nie patrzy teraz nań nikt z tłumu ani żaden ze szpiegów Naua. Upewnił się, czy Reynolt nadal pracuje nad czymś w chacie. Oślepił na moment lokalizatory i wszedł między liście. Kilka drobnych przeróbek w zapisie cyfrowym i zyska dowód, że przebywał tutaj cały czas. Zrobi to, co konieczne, i wróci przez nikogo niezauważony. Mimo to całe przedsięwzięcie było diabelnie ryzykowne, nawet jeśli szpiedzy Brughla nie śledzili go w tej chwili. *Ale usunięcie Reynolt jest konieczne.*

Pham szedł na palcach po ścianie urwiska, klucząc tak, by przez cały czas zakrywały go krzewy. Nawet tutaj przejawiała się maestria Alego Lina. Urwisko mogło zostać wykonane z surowego diamentu, lecz Ali sprowadził skały z hałd na powierzchni LI. Były bezbarwne, jakby obmywane falami jeziora od tysięcy lat. Błękit wody przypominał ten z najwspanialszych pejzaży. Jeszcze przed ekspedycją do OnOff Alego Lina uznawano za jednego z najlepszych budowniczych parków. Sammy Park właśnie dlatego wybrał go do załogi. Lecz w ciągu lat spędzonych w fik-sacji Ali stał się kimś większym, kimś, kim może być tylko człowiek skupiony całkowicie na jednym celu, jednej miłości. To, co zrobili Ali Lin i je-, go współpracownicy, było subtelne i głębokie... i bardziej niż cokolwiek innego udawało moc, jaką daje danej kulturze fiksacja. *Kulturze, która odpowiednio ją wykorzystuje.*

Wejście do tunelu znajdowało się jeszcze kilka metrów wyżej. Pham wyczuł kilka lokalizatorów unoszących się w pobliżu, odtworzył w myślach kształt drzewi.

Mały ułamek jego uwagi pozostał z tłumem w przystani. Nikt nie patrzył w jego stronę. Co zręczniejsi uczestnicy przyjęcia weszli na molo i utworzyli żywy łańcuch sięgający sześć czy siedem metrów w górę. Kobiety i mężczyźni złączeni w łańcuchu ustawili się w wielu różnych kierun-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

kach, przyjmując klasyczne pozycje stosowane podczas takich operacji. Oczywiście niszczyło to iluzję normalnej grawitacji, a niektórzy Emergenci odwracali wzrok, pojękując. Do tej pory wydawało się, że jezioro leży płasko pod ich stopami, na dole. Ujrzawszy je nagle jako sufit lub pionowe urwisko, doznawali zawrotu głowy.

Wtedy jednak żywy łańcuch rozciągnął się na całą swą długość, a ostatnie jego ogniwo pochwytiło Ritę za nogę. Łańcuch zaczął się skracać, przyciągając Ritę ku ziemi. Pham stuknął palcem w dłoń, a dźwięki dobiegające z dołu stały się głośniejsze. Jau Xin wyraźnie się zawstydził. Przepraszał swoją żonę.

- Ale Qiwi powiedziała, że mogę to zrobić. Poza tym jestem przecież pilotem.

- Zarządcą pilotów, Jau. To nie to samo.

- Prawie. Umiem radzić sobie bez pomocy twarogłowych. - Jau usiadł przy maszcie i przekreślił lekko żagiel. Łódź zataczała koło wokół molo. Utrzymywała się przez cały czas poziomo na wodzie. Może utrzymywała ją lepkość cieczy. Lecz woda za łodzią wznosiła się na pół metra w górę, by opaść w powykęcanych, długich warkoczach, podobnie jak woda w obecności normalnego ciężenia. Tłum przyjął ten widok okrzykami aprobaty, do których dołączyła się nawet Rita, a Jau skreślił łódką jeszcze mocniej, próbując jak najszybciej powrócić do zatoki.

Tymczasem Pham znalazł się już przy wejściu do tunelu. Jego mikroskopijni szpiedzy już zajmowali się zamkiem.. Dzięki Bogu wszystko w tym parku współdziałało z lokalizatorami. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Kiedy wpłynął do tunelu, nie miał żadnych kłopotów z ich zamknięciem.

Zostało mu jakieś dwieście sekund.

Ruszył szybko w górę wąskiego tunelu. Tu nie było już żadnej iluzji. Nikt nie próbował przykrywać czymś ścian korytarza wydrążonego pod powierzchnią Diamentu Pierwszego. Pham leciał jeszcze szybciej. Mapy przesuwane przed jego oczami ukazywały to, co widział już wcześniej. Tomas Nau zamierzał uczynić z parku swą centralną siedzibę; po tym uroczystym otwarciu grupmistrz zamierzał radykalnie ograniczyć liczbę gości. Nau zużył do drażenia tych tunelfostatnie głowice termiczne, ale uzyskał w ten sposób bezpośredni dostęp do najważniejszych pomieszczeń w Hammerf est.

Dane z lokalizatorów mówiły Phamowi, że od nowego wejścia do kliniki fiksatów dzieli go jeszcze trzydzieści metrów. Nau i Reynolt przebywali nadal na przyjęciu. Byli tam także wszyscy aktywni technicy MRI. Będzie miał dość czasu i swobody, by dokonać w klinice aktu sabotażu. Pham przekreślił ciało, przesuując stopy do przodu, i wyciągnął ręce na boki, hamując nimi o ściany.

Sabotaż? *Przyznaj uczciwie.* To było morderstwo. *Me, to egzekucja. Albo śmiertelna walka z wrogiem.* Pham zabił już w walce wielu ludzi, i to nie zawsze za pomocą dalekosiężnej broni. *To nic innego. Cóż z tego, że*

VERNOR VINGE

Reynolt była teraz zafiksowanym automatem, niewolnikiem Naua? Kiedyś czyniła zło świadomie. Pham zbadał historię klikli Xevalle wystarczająco dokładnie, by wiedzieć, że jej zbrodnie nie były tylko wymysłem tych, którzy ją zniszczyli. Jakiś czas temu Annę Reynolt przypominała Ritsera Brughla, choć bez wątpienia cechowała ją znacznie lepsza skuteczność. Łączyły ich także podobieństwa zewnętrzne; oboje mieli bladą skórę, rude włosy, zimne, bezwzględne oczy. Pham starał się zatrzymać ten obraz, wzmacnić go. Myślał o tym, że kiedyś obali reżim Naua i Brughla. Któregoś dnia wejdzie na pokład „Niewidzialnej ręki” i położy kres zbrodniom, których dokonywał tam Brughel. *Właśnie to samo chce zrobić teraz z Annę Reynolt.*

Pham uświadomił sobie nagle, że stoi nieruchomo przed wejściem do kliniki. *He czasu straciłem?* Gdy sprawdził czas, okazało się, że były to tylko dwie sekundy.

Rozzłoszczony, wystukał na dłoni odpowiednią komendę. Drzwi rozsunęły się przed nim, a on wleciał do pustego pomieszczenia. Klinika była jasno oświetlona, lecz obraz z tyłu jego oczu nagle zniknął, wypełniony ciemnością. Poruszał się ostrożnie, niczym człowiek pozbawiony nagle wzroku. Lokalizatory, które wleciały za nim z tunelu i które przyniósł ze sobą na ubraniu, rozlatywały się w różnych kierunkach, przywracając mu powoli wewnętrzny wzrok. Podleciał szybko do konsoli sterowniczej MRI, starając się nie zwracać uwagi na puste pola w obrazie, który otrzymywał od lokalizatorów. Klinika była jedynym miejscem, w którym urządzenia te nie mogły utrzymać się przez dłuższy czas. Pole wytwarzane przez potężne magnesy wypalało wszystkie podzespoły elektroniczne w lokali-zatorach. Trud oczyścił z nich klinikę, kiedy jakiś martwy okruch metalu skaleczył go w ucho.

Pham Nuwen nie zamierzał jednak uruchamiać magnesów, a jego mikroskopijni szpiedzy mieli żyć dość długo, by zdążyć zastawić pułapkę. Przeleciał przez całą salę, przeglądając szybko zgromadzony w niej sprzęt. Klinika, jak zawsze, stanowiła uporządkowany labirynt szafek. Tutaj nie mogło być mowy o zdalnym sterowaniu. Światłowody i lasery łączyły automatykę z magnesami. SuperpYzewodniki doprowadzające zasilanie kryły si[^] częściowo w obszarach, których nie mógł jeszcze zobaczyć. *Ach.* Lokalizatory dotarły do urządzenia sterującego. Wszystkie ustawienia pozostały niezmienione od czasu, gdy pracował tu ostatnio Trud. Podczas każdej wachty Pham spędzał z nim wiele Ksekund właśnie w klinice. Pham Trinli nigdy nie okazywał szczególnego zainteresowania działaniem sprzętu f iksacyjnego, ale Trud lubił się przechwalać, a Pham dzięki temu poznawał coraz więcej istotnych informacji.

Fiksacja mogła łatwo zabić. Pham unosił się przez chwilę nad cewkami korygującymi. Wewnętrzny obszar MRI miał nie więcej niż pięćdziesiąt centymetrów średnicy, nie pozwalał nawet na diagnostykę całego ciała. To urządzenie obejmowało jednak tylko głowę, a diagnostyka

OTCHŁAŃ W NIEBIE

była tylko jedną z jego funkcji. W rzeczywistości był to bank modulatorów wysokiej częstotliwości. Sterowane odpowiednimi programami - przygotowywanymi głównie przez Annę Reynolt, wbrew temu, co twierdził Trud - modulatory mogły zmieniać i stymulować wirusa w głowie ofiary. Każdy milimetr sześcienny pleśni był tutaj stymulowany tak, by wydzielał tylko pożądane substancje psychoaktywne. Nawet właściwie zainfekowana i wykalibrowana choroba musiała być kontrolowana co kilka Mse-kund, inaczej bowiem fiksat mógł przejść w stan katatonii lub hiperak-tywności. Drobne błędy często prowadziły do poważnych dysfunkcji - co czwartego pacjenta Truda poddawano ponownej kalibracji. Nieco poważniejsze błędy mogły zniszczyć pamięć, a te największe wywołać wylew i zabić ofiarę szybciej, niż stało się to w przypadku Xopi Reung.

Annę Reynolt miała ulec takiemu właśnie wypadkowi przy powrocie na kolejną wachtę.

Opuścił towarzystwo w parku przed stu sekundami. Jau Xin przewoził małe grupki w łodzi grupmistrza. Ktoś wreszcie wpadł do jeziora. Dobrze. *Będę miał więcej czasu.*

Pham ściągnął pokrywę z urządzenia sterującego. Tu znajdowały się interfejsy superprzewodników. Takie rzeczy czasami się psują, nie ma w tym nic dziwnego. Obluzować przełącznik, zmienić program tak, by rozpoznał Reynolt, kiedy ta użyje sprzętu na samej sobie...

Odkąd wszedł do kliniki, aktywne lokalizatory, które przyniósł ze sobą, opanowywały coraz większy obszar, odkrywały przed nim coraz większą przestrzeń, niczym światło rozpraszające mrok, docierające do coraz dalszych zakątków pokoju. Przez chwilę nie zwracał większej uwagi na obrazy przekazywane przez te lokalizatory, zajęty szczegółowym badaniem przełączników.

Jakiś ruch. Dostrzegł odziane w spodnie nogi poruszające się w tle jednego z obrazów. Ktoś ukrywał się pomiędzy szafkami. Pham przeorientował lokalizatory i zanurkował gwałtownie w otwartą przestrzeń pomiędzy meblami. •

- Zatrzymaj się! - rozległ się kobiecy głos.

To była Anna Reynolt. Wysunęła się spomiędzy szafek, tuż poza jego zasięgiem. Trzymała w ręku wskaźnik skierowany w jego stronę, jakby to była jakaś broń.

Reynolt zatrzymała się pod sufitem.

- Wróć do ściany, pomału, ręka za ręką.

Pham wahał się przez ułamek sekundy, gotów do frontalnego ataku. Wskaźnik mógł być tylko blefem, a jeśli nawet rzeczywiście miotał pociski, to jakie miało to teraz znaczenie? Gra była skończona. Jedyne, co mu pozostało, to szybki, przyniatający atak tutaj i - poprzez lokalizatory - w całym Hammerfest. *A może nie...* Pham posłusznie cofnął się pod ścianę.

Reynolt wyszła spomiędzy szafek i zaczęła stopę o uchwyt. Wskaźnik w jej ręce nie zachwiał się ani na moment.

VERNOR VINGE

- Tak. Pan PhamTrinli. Miło wreszcie wiedzieć. -Wolną ręką odgarnęła włosy z twarzy. Jej wyświetlacz był czysty, toteż dobrze widział jej oczy. Wyczuwał coś dziwnego w jej zachowaniu. Miała bladą i zaciętą twarz, jak zawsze, lecz ponad niecierpliwością i obojętnością górował triumf, świadoma arogancja. A na jej ustach... pojawił uśmiech, ledwie dostrzegalny, ale najprawdziwszy.

- To była pułapka, prawda, Anne? - Poświęcił krótką chwilę, by sprawdzić lepiej, co naprawdę znajduje się we wnętrzu chaty Naua. Był to kawałek wideotapety rzucony na łóżko. Oszukała go prostą sztuczką.

Annę skinęła głową.

- Nie wiedziałam, że to będziesz akurat ty, ale rzeczywiście, zastałam pułapkę. Od dawna już wiedziałam, że ktoś manipuluje moimi systemami. Początkowo myślałam, że to Ritser albo Kai Omo bawią się w jakieś polityczne rozgrywki. Ty byłeś tylko jedną z możliwości, człowiekiem, który zbyt często znajduje się w centrum wydarzeń. Najpierw byłeś tylko starym głupcem, potem starym handlarzem niewolników, który udaje głupca. Teraz widzę, że jesteś kimś więcej, pani Trinli. Naprawdę myślałeś, że możesz oszukiwać systemy grupmistrza bez końca?

- Ja... - Pham przeniósł wewnętrzny wzrok poza pokój, nad jezioro. W parku nadal trwała zabawa. Do Jau Xina dołączył teraz samTomas Nau i Qiwi. Pham zrobił zbliżenie na twarz Naua; grupmistrz nie miał wyświetlacza. Nie wyglądał jak ktoś, kto kontroluje ważną, sekretną operację. *On nie wie!*

- Wręcz przeciwnie, bardzo się obawiałem, że nie mogę bez końca oszukiwać jego systemów... a szczególnie ciebie.

Annę skinęła głową.

- Wiedziałam, że wcześniej czy później stanę się celem ataku. Jestem krytycznym elementem. - Zerknęła na odkryty sterownik. - Wiedziałeś, że wracam za kilka Msekund, prawda?

- Tak. *-I potrzebujesz tego bardziej, niż przypuszczałem.* Rosła w nim coraz większa nadzieja. Reynolt zachowywała się jak postać z głupawej opowieści przygodowej. Nie powiedziała swojemu szefowi, co zamierza zrobić. Prawdopodobnie nie miała żadnego wsparcia. A teraz, zamiast szybko przejść do czynu, uciniała sobie z nim pogawędkę! *Przytrzymaj ją jak najdłużej, niech mówi.*

- Pomyślałem, że poluzuję przełączniki superprzewodników. Gdybyś wróciła na wachtę i skorzystała z tego urządzenia...

- Zginęłabym? Okrutny, bezlitosny i prymitywny plan, panie Trinli. Nie jest pan dość inteligentny, żeby wprowadzić konkretne zmiany w programie?

- Nie. *-Jak bardzo jest rozstrojona? Zagraj na uczuciach.* - Poza tym chciałem, żebyś umarła. Ty i Brughel jesteście tu jedynymi prawdziwymi potworami. Na razie mogę dosięgnąć tylko ciebie.

Uśmiechnęła się szerzej.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Jesteś szalony.
- Nie, to ty jesteś szalona. Kiedyś byłaś grupmistrzem, tak jak oni. Tyle tylko, że ty przegrałaś. A, może już nie pamiętasz? Klika Xevalle?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, która na moment przybrała swój normalny, obojętny wyraz. Potem znów się uśmiechnęła.

- Pamiętam bardzo dobrze. Masz rację, przegrałam, ale to było sto lat przed Xevalle, a ja walczyłam ze wszystkimi grupmistrzami. - Ruszyła powoli przez pokój. Wciąż trzymała wskaźnik wymierzony w pierś Phama. - Emergenci napadli na Frenk. Ja pracowałam wtedy na Uniwersytecie Arnham... Nauczyłam się też innych rzeczy. Walczyliśmy z nimi przez piętnaście lat. Oni mieli technikę, fiksację. My na początku tylko wielu ludzi. Przegrywaliśmy kolejne bitwy, ale każda wygrana sporo ich kosztowała. W końcu to my byliśmy lepiej uzbrojeni, ale zostało nas już bardzo niewiele. I nadal walczyliśmy.

W jej oczach pojawiła się... radość. Oto słyszał historię Frenk z ust drugiej strony.

- To ty... ty byłaś Frenkijską Bestią!

Reynolt uśmiechnęła się szerzej, kiedy podeszła jeszcze bliżej Phama, dumnie wyprostowana.

- Tak. Grupmistrzowie postanowili zmienić nieco historię. Frenkijską Bestia brzmi lepiej niż „Annę z Arnham”. Uratowanie Frenków przed zmutowanymi potworami przynosi więcej chwały niż masakra i fiksacja.

Boże. Jakaś część jego umysłu nadal jednak pamiętała, po co tu przyszedł. Przesunął lekko stopy, przygotowując się do kopnięcia.

Reynolt zatrzymała się raptownie i opuściła lekko wskaźnik, mierząc w jego kolana.

- Nie próbuj tego, panie Trinli. Ten wskaźnik kieruje programem w sterowniku MRI. Gdybyś miał trochę więcej czasu, zauważyłbyś nikło wyśrut, który umieściłam w obszarze celowniczym magnesu. To prowizoryczna broń, ale dość dobra, by urwać ci nogi. A potem i tak musiałbyś przejść przez normalne przesłuchanie.

Pham zajrzał poprzez lokalizatory do aparatu MRI. Rzeczywiście były tam metalowe drobiny. Kierowane impulsem magnetycznym o odpowiedniej sile mogły zamienić się w pociski. Lecz program, jeśli był w sterowniku... Przyjrzał się uważnie łączu superprzewodnika. Miał dość dużo lokalizatorów, by dotrzeć do sterownika przez łącze optyczne i wymazać ten program. *Ona nadal nie wie, co mogę z nimi zrobić!* Nadzieja rozbleśnięta jak jasny płomień.

Postukał palcami we wnętrze dłoni, naprowadzając urządzenia na miejsce. Miał nadzieję, że Reynolt weźmie to za nerwowy odruch.

- Przesłuchanie? Wciąż pracujesz dla Naua?

- Oczywiście. Jak mogłoby być inaczej?

- Ale działasz za jego plecami.

- Tylko po to, by służyć mu lepiej. Gdyby okazało się, że to Ritser

VERNOR VINGE

Brughel knuje przeciwko niemu, chciałam zamknąć sprawę i dopiero wtedy oddać ją mojemu grupmis...

Pham odepchnął się z całej siły od ściany. Słyszał, jak Reynolt bezskutecznie próbuje włączyć wskaźnik, potem w nią uderzył. Oboje polecili do tyłu, na szafki. Reynolt walczyła w milczeniu, próbowała kopnąć go kolanem, ugryźć w szyję. Pham trzymał ją jednak mocno, a kiedy przelatowali obok obudowy magnesu, obrócił się i uderzył jej głową o metalową pokrywę.

Ciało Reynolt zawisło bezwładnie na jego rękach. Pham przytrzymał się uchwytu, gotów uderzyć raz jeszcze.

Mysł. Przyjęcie w Północnej Łapie toczyło się dalej, zupełna idylla. Odkąd opuścił zatokę, minęło ledwie 250 sekund. *To może się jeszcze udać!* Oczywiście, musiał dokonać pewnych zmian. Podczas sekcji zwłok z pewnością odnaleziono by ślady uderzenia na jej głowie... Ale - cud! - jej ubrania nie nosiły żadnych śladów walki. Sięgnął do obszaru celowniczego MRI i zmiótł niklowe drobiny do pojemnika na śmieci. Mógł jeszcze zrealizować swój pierwotny plan, oczywiście z drobnymi zmianami. Założmy, że Reynolt chciała skalibrować sterownik i miała wypadek...

Pham ułożył jej ciało we właściwej pozycji. Trzymał ją ciasno przy sobie, gotów podjąć walkę, gdyby odzyskała przytomność.

Potwór. Frenkijska Bestia. Oczywiście Annę Reynolt nie była ani jednym, ani drugim. Była wysoką szczupłą kobietą - człowiekiem jak Pham Nuwen czy ktokolwiek z potomków mieszkańców Ziemi.

Teraz legendy przedstawione na płaskorzeźbach w Hammerfest nabierały innego znaczenia. Przez lata Annę Reynolt walczyła przeciwko fiksacji, jej ludzie spychani byli krok po kroku z góry, aż do tej ostatniej twierdzy. Annę z Arnham. Teraz pozostał po niej jedynie mit o odrażającym potworze... i prawdziwe potwory, jak Ritser Brughel, potomkowie pozostałych przy życiu Frenków, pokonani i fiksaci.

Lecz Annę z Arnhem nie umarła. Jej geniusz został zafiksowany i stanowiąc teraz śmiertelne zagrożenie dla Phama i jego planów. Annę musi więc umrzeć...

...Trzysta sekund. *Obudź się.* Pham wystukał odpowiednie instrukcje. Pomylił się. Wystukał raz jeszcze. Teraz, kiedy poluzował łącza superprzewodników, ten mały program wystarczy. Kilka prostych komend, zakodowany wzór impulsów o wysokiej częstotliwości, które zamieniłyby pluskwy w głowie Annę w małe fabryki, zalewające jej mózg substancjami zwężającymi naczynia, tworzącymi miliony maleńkich tętniaków. To będzie szybka śmierć. A Trud powtarzał już tyle razy, że żadna z ich operacji nie powoduje fizycznego bólu.

Nieprzytomna Annę Reynolt wyglądała tak, jakby spała, wyraz jej twarzy złagodniał, odprężyła się. Na ciele nie widać było żadnych siniaków czy zadrapań. Nawet delikatny złoty łańcuszek wokół jej szyi przetrwał walkę w całości, choć wysunął się spod jej bluzki. Na łańcuszku zwi-

sał klejnot wspomnień. Pham nie mógł się powstrzymać. Sięgnął za jej ramię i zacisnął dłoń na zielonym klejnocie, dostarczając w ten sposób energii potrzebnej do ożywienia obrazu. Klejnot zmienił barwę, a w jego wnętrzu ukazało się zbocze góry. Patrzył na nią z miejsca pilota jakiegoś prymitywnego pojazdu. Na zboczu znajdowało się już kilka podobnych pojazdów, smoków uzbrojonych w potężne miotacze, których lufy kierowały się teraz na jakieś ruiny i wejście do jaskini. Przed nimi stała wysoka postać, rudowłosa kobieta. Trud mówił, że klejnoty wspomnień przechowują chwile wielkiego szczęścia lub ostatecznego triumfu. Może Emergent, który robił to zdjęcie, uważał, że to właśnie taka chwila. Dziewczyna na wzgórzu - była to bez wątpienia Annę Reynolt - przegrała. Za moment miała stracić to, co kryło się w jaskini za jej plecami, to, czego strzegła z takim poświęceniem. Mimo to stała prosto, wpatrzona w tego, kto robił jej zdjęcie. Wiedziała, że za moment zostanie pojmana, może zgładzona, a mimo to nie poddawała się.

Pham wypuścił klejnot z dłoni i przez długą chwilę wpatrywał się tępo w przestrzeń. Potem powoli, ostrożnie, wystukał długą komendę. To będzie znacznie bardziej skomplikowane. Zmienił skład substancji, zawahał się... na kilka sekund... potem ustalił dawkę. Reynolt miała stracić pamięć z ostatnich trzydziestu, czterdziestu Msekund. *A potem znów spróbujesz mnie dopaść.*

Uruchomił program. Kable zatrzęszczały i odsunęły się od siebie, przewodząc do magnesów MRI prądy o ogromnym natężeniu. Minęła sekunda. Pham stracił wewnętrzny obraz. Reynolt wyprężyła się gwałtownie w jego rękach. Trzymał ją mocno, nie pozwalając, by głową dotknęła obręczy.

Po kilku sekundach spazmy ustały, oddech Annę stał się spokojny i równy. Pham odsunął się od niej. *Wyciągnij ją z magnesów.* Dobrze. Dotknął jej włosów, odgarnął je z jej twarzy. Na Canberze nikt nie miał takich włosów... ale Annę Reynolt przypominała mu kogoś, kto pewnego mglistego poranka na Canberze stanął w jego obronie.

Uciekł na ślepo z pokoju, w dół tunelu, do tłumu gości nad jeziorem.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Przyjęcie w Parku Nad Jeziorem było najjaśniejszym punktem tej wachty, a właściwie i wszystkich dotychczasowych wacht. Wszyscy wiedzieli, że aż do końca Wygnania nie wydarzy się nic równie spektakularnego. Nawet Queng Ho, którzy budowali ten park, byli zdumieni, że można osiągnąć tak wiele przy tak ograniczonych środkach. Może Nau miał jednak trochę racji, mówiąc o idealnym połączeniu systemu fiksacji i inicjatywy Queng Ho.

Przyjęcie ciągnęło się jeszcze przez kilka Ksekund po wybryku Jau Xina. Co najmniej trzy osoby wpadły do wody. Przez chwilę nad jeziorem

VERNORVINGE

wisiały krople metrowej średnicy. Grupmistrz poprosił swych gości, by przeszli ponownie do chaty i pozwolili wodzie wrócić na swoje miejsce. Kwity, które Qiwi zbierała od setek ludzi przez ostatni rok, zostały zamienione na jedzenie i picie, a najwięksi idioci - wśród których szczególną pozycję zapewnił sobie PhamTrinli - upili się niemal do nieprzytomności.

Wreszcie wszyscy goście wyszli na zewnątrz, a drzwi w zboczu wzgórze zamknęły się za nimi. Ezr przypuszczał, że był to ostatni raz, kiedy pospólstwo zostało zaproszone do prywatnej siedziby grupmistrza. To właśnie pospólstwo było w głównej mierze twórcą tego przyjęcia, a Qiwi doskonale się na nim bawiła, lecz pod koniec zabawy Tomas Nau najwyraźniej zaczynał już tracić cierpliwość. Ezr musiał przyznać, że Nau jest naprawdę sprytnym łajdakiem. Za cenę jednego męczącego popołudnia grupmistrz zyskał więcej sympatii niż kiedykolwiek dotąd. Kilka dekad tyranii nie mogło sprawić, by Queng Ho zapomnieli o swoim dziedzictwie... lecz Nau zamienił ich sytuację w dwuznaczny rodzaj nietyranii. *Fiksacja to niewolnictwo*. Lecz Tomas Nau przyrzekł uwolnić wszystkich fiksatów pod koniec Wygnania. Ezr nie powinien nienawidzić Queng Ho za to, że zaakceptowali tę sytuację. Wiele wolnych społeczeństw zgadzało się na różne formy niewolnictwa. *Tak czy inaczej obietnica Naua jest kłamstwem*.

Ciało nieprzytomnej Annę Reynolt zostało odnalezione cztery Ksekundy po zakończeniu przyjęcia. Przez cały następny dzień wszyscy żyli tylko tym tematem, pojawiały się różne plotki i domysły; tak naprawdę Reynolt już nie żyje, mówili niektórzy, a oficjalne wiadomości mają nas tylko uspokoić. Ritser Brughel wcale nie zszedł z wacht, twierdzili inni, i to właśnie on upozorował ten wypadek. Ezr miał swoją własną teorię. *Po wszystkich tych latach Pham Nuwen wreszcie przystąpił do akcji*.

Po dwudziestu Ksekundach pracy zostało zablokowane wsparcie twardegołowych dla dwóch zespołów badawczych, drobny konflikt, który Reynolt zlikwidowałaby w ciągu kilku sekund. Phuong i Silipan męczyli się nad tym przez sześć Ksekund, po czym oświadczyli, że twardegłowi z tych grup nie będą już pracować do końca dnia. Na szczęście nie byli to tłumacze, Trixia współpracowała jednak z jednym z nich, jakimś geologiem. Ezr próbował dostać się do Hammerfest.

- Nie ma cię na mojej liście, kolego - oświadczył strażnik przy służbie taksówek, jeden z ludzi Omo. - Wstęp do Hammerfest tylko dla upoważnionych.

- Do kiedy?

- Nie wiem. Poczytaj ogłoszenia, to się dowiesz.

W końcu Ezr trafił do saloniku Benny'ego, gdzie bawił już spory dum gości. Przepisnął się jakoś do stolika Jau i Rity. Znajdował się tam też Pham, który najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie po szaleństwach poprzedniego dnia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Jau Xin miał własne powody do narzekań.

- Reynolt miała dostroić moich pilotów. Niby nic wielkiego, ale wszystko szło nam dzisiaj jak po grudzie.

- Czym ty się martwisz? Twoi ludzie nadal pracują, prawda? My próbowaliśmy zrobić analizę technologii kosmicznej Pająków, a teraz straciliśmy wsparcie twardegołowych. Znam się trochę na chemii i inżynierii, ale na pewno nie umiałbym...

Pham jęknął głośno. Trzymał się za głowę obiema rękami.

- Przestańcie już pieprzyć. Kiedy was tak słucham, to zastanawiam się, gdzie jest ta „wyższość” Emergentów. Jedna osoba traci przytomność, a cały wasz system rozpada się jak domek z kart. Gdzie w tym jest wyższość?

Zazwyczaj Rita Liao była łagodna i uprzejma, teraz jednak obdarzyła Phama jadowitym spojrzeniem.

- To wy, Queng Ho, zniszczyliście naszą wyższość, nie pamiętasz? Kiedy tu przylecieliśmy, mieliśmy dziesięć razy więcej sprzętu i ludzi. Gdyby nie wy, wszystko działałoby jak należy.

Przy stole zapadło niezręczne milczenie. Pham spojrzał ze złością na Ritę, ale nie próbował się z nią kłócić. Po chwili wzruszył szybko ramionami w geście, którzy wszyscy dobrze już znali; Trinli został pokonany, nie chciał jednak przyznać się do porażki ani przeprosić.

Wreszcie ciszę przerwał głos od sąsiedniego stolika:

- Hej, Trud!

Silipan stał tuż przy wejściu i przyglądał im się w milczeniu. Nadal miał na sobie odświeżone ubranie Emergentów, poznaczone teraz nowymi, prawdziwymi plamami.

Ludzie natychmiast zasypali go pytaniami, zapraszali do siebie. Trud wspinał się poprzez winorośl do stolika Jau Xina. Nie było tu już miejsca, szybko dostawili więc drugi stół. Teraz Ezer siedział niemal twarzą w twarz z Silipanem. Tłum gości z innych stolików tłoczył się wokół nich, uczipiony winorośli.

- Więc kiedy przelamiesz ten impas, Trud? Moi fiksaci czekają na odpowiedzi.

- Tak, dłaczego jesteś tutaj, skoro...

- ...samym sprzętem niewiele zdołaliśmy, a...

- Na Boga Wszelkiego Handlu, dajcie mu coś powiedzieć! - huknął Pham, zirytowany. Była to typowa zagrywka Trinlego, który zawsze starał się uchodzić za osobę stanowczą i wojowniczą, a przy tym kierował swe ataki tam, gdzie mógł zyskać najwięcej korzyści. Ezer musiał jednak przyznać, że ta bufonada okazała się skuteczna i uciszyła tłum.

Silipan spojrzał na Phama z wdzięcznością. Technik z kliniki fiksarów wyraźnie nie był dzisiaj w formie. Miał podkrążone oczy, a jego ręka drżała lekko, kiedy podnosił napój przyniesiony mu przez Benny'ego.

- Jak ona się czuje, Trud? - spytał Jau troskliwym, wyciszonym tonem. - Słyszeliśmy... słyszeliśmy, że jej mózg jest już martwy.

VERNORVINGE

- Nie, nie. - Trud pokręcił głową i uśmiechnął się słabo. - Reynolt wróci prawdopodobnie do zdrowia, straci tylko pamięć z ostatniego roku. Będziemy mieli trochę kłopotów, nim wróci do pracy. Przepraszam za tę awarię. Poradziłbym sobie z tym... - w jego głosie pojawiła się na moment tak typowa dlań pewność siebie. - ...ale musiałem zająć się czymś ważniejszym.

- Go się z nią właściwie stało?

Przy stole pojawił się Benny z wiaderkiem krewetek, swoim popisowym daniem. Silipan rzucił się łapczywie na jedzenie, jakby w ogóle nie słyszał pytania. Nigdy jeszcze nie miał publiczności, która słuchałaby go tak chętnie, dosłownie wstrzymywała oddech, by usłyszeć jego opinię. Ezz widział, że Trud dobrze o tym wie, że napawa się swoją rolą. Jednocześnie był tak zmęczony, że ledwie patrzył na oczy. Jego eleganckie ubranie zaczynało śmierdzieć. Wielec drżał w jego dłoni, kiedy niósł jedzenie do ust. Po chwili spojrzął niewidzącym wzrokiem w stronę człowieka, który zadał mu pytanie.

- Co się stało? Sami dobrze tego nie wiemy. Przez ostatni rok Reynolt dryfowała, oczywiście nadal była zafiksowana, ale nie do końca dostrojona. To bardzo subtelna rzecz, coś, co może zauważyć tylko profesjonalista. Ja sam omal tego nie przeoczyłem. Wydawało się, że jest zajęta jakimś pobocznym projektem; wiecie, jak twardogłowi potrafią się zapamiętać. Tyle że Reynolt sama się dostraja, toteż nie mogłem nic zrobić. Mówię wam, czasem naprawdę mnie to denerwuje. Chciałem powiedzieć o tym grupmistrzowi, kiedy... - Trud zawahał się, uświadomiwszy sobie, że takie przechwałki mogą mieć dlań nieprzyjemne konsekwencje. - Nieważne. Wygląda na to, że Reynolt chciała poprawić jeden z obwodów kontrolnych MRI. Może wiedziała, że potrzebuje dostrojenia. Nie wiem. Zdjęła pokrywę i zaczęła kalibrację. Wygląda na to, że w oprogramowaniu kontrolnym był jakiś błąd; ciągle go szukamy. Tak czy inaczej dostała impuls kontrolny prosto w twarz. Znaleźliśmy mały fragment skóry z jej głowy na magnesach, tam gdzie dostała drgawek. Na szczęście zaprogramowana substancja nie była groźna dla jej życia... Tak jak mówiłem, nie jest to nic, czego nie można by naprawić. Jeszcze ze czterdzieści dni i nasza kochana Reynolt wróci do pracy. - Roześmiał się słabo.

- Bez wspomnień z ostatnich kilku miesięcy.

- Oczywiście. Twardogłowi to nie maszyny; nie mam zapasowych pamięci.

Kilka osób kręciło głowami i wymieniało półgłosem jakieś uwagi. Rita Liao wypowiedziała głośno ich obawy:

- To wszystko zbyt pięknie się układa. Wygląda to tak, jakby ktoś celowo zamknął jej usta. - Zawahała się. Wcześniej, w ciągu dnia, to właśnie Rita rozpowszechniała plotki o Ritserze Brughlu. Fakt, że Emergenci wtykali nosy w konflikt grupmistrzów, świadczył o tym, jak daleką drogę przebyli w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. - Czy grupmistrz Nau sprawdził, co naprawdę robi wicegrupmistrz?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- I jego agenci? - Ta uwaga pochodziła od Queng Ho stojącego za plecami Ezra.

Trud z trzaskiem odłożył widelec na stół i przemówił gniewnym, piskliwym głosem:

- Co wy sobie wyobrażacie! Grupmistrz sprawdza wszystkie możliwe ści... bardzo uważnie. - Wziął głęboki oddech, jakby uświadamiając sobie, że cena sławy jest zbyt wysoka. - Możecie być pewni, że grupmistrz traktuje tę sprawę bardzo poważnie. Ale pomyślcie, dostała tylko zwiększoną dawkę retroksu, coś, czego można by się właśnie spodziewać po takim wypadku. Z amnezją można sobie poradzić. Sabotażysta, który postąpiłby w ten sposób, byłby głupcem. Reynolt mogłaby paść trupem, a cała sprawa i tak wyglądałaby na wypadek.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Pham toczył po nich gniewnym spojrzeniem.

Silipan podniósł widelec, po czym odłożył go ponownie. Przez moment wpatrywał się w opróżnione do połowy wiaderko z krewetkami.

- Boże, jestem taki zmęczony. Wracam na służbę za dwadzieścia... cholera, piętnaście Ksekund.

Rita poklepała go po ramieniu.

- Cóż, cieszę się, że przyszedłeś tutaj i opowiedziałeś nam o tym wszystkim. - Przez tłum przebiegł pomruk aprobaty dla jej słów.

- Bil i ja będziemy przez jakiś czas zajmować się twardogłowymi. Wszystko zależy teraz od nas. - Trud przenosił spojrzenie z twarzy na twarz, szukając na nich pocieszenia. W jego głosie pobrzmiwała jednocześnie duma i strach.

Spotkali się później tego samego dnia w pustej przestrzeni pod zewnętrznym okryciem kwater. Umawiali się na to spotkanie jeszcze na długo przed przyjęciem w parku. Ezer oczekiwał go ze strachem i niecierpliwością - dziś chciał szczerze porozmawiać z Phamem Nuwenem o fiksa-cji. *Mam gotowe przemówienie, mam swój mały szantaż. Czy to wystarczy?*

Ezer minął minifarmy Fong, zostawiając za sobą jasne światła i zapach roślinności. Ciemności zalegające dalej pomiędzy wewnętrzną i zewnętrzną powłoką były zbyt głębokie dla zwykłych ludzkich oczu. Osiem lat temu, kiedy po raz pierwszy spotkał się tu z Nuwenem, oświetlał ich błady blask słońca. Dziś najmniejszy promień światła nie przenikał przez warstwę plastiku.

Ale teraz Ezer mógł widzieć w inny sposób... Wysłał sygnał do lokalizatora, który umocował wcześniej na skroni. Za jego oczami pojawił się widmowy obraz. Wszystkie kolory były tylko odcieniami żółci, przypominały obraz, jaki można zobaczyć, gdy przyciśnie się mocno palce z boku oka. Ezer długo i ciężko ćwiczył według wskazówek Phama. Teraz żółte światło odsłaniało przed nim koliste ściany wewnętrznej i zewnętrznej powłoki balonu. Czasami obraz ulegał zniekształceniu. Niekiedy widział

VERNOR VINGE

wszystko spod swoich stóp, a czasami zza głowy. Jeśli jednak odpowiednio się skoncentrował, widział miejsca niewidoczne dla innych osób. *Pham i tak radzi sobie z tym lepiej.* W ciągu ostatnich kilku lat Ezr wiele razy mógł się o tym przekonać. Nuwen uczynił z lokalizatorów swe prywatne imperium.

Pham Nuwen czekał dalej, za wypukłością ściany, widoczny tylko dla unoszących się wokół niego lokalizatorów. Kiedy Ezr pokonał ostatnie metry dzielącego ich dystansu, obraz za jego oczami zakolysał się mocno; to Pham ułożył swe małe sługi w inną konstelację.

- No dobra, załatwmy to szybko. - Pham wysunął się do przodu i zatrzymał przed nim. W żółtym pseudoświecie jego twarz wydawała się wymiersona i ściągnięta bólem. Zapomniał zrzucić maskę Trinlego? Nie, to wyglądało raczej jak kac, który Pham prezentował wszystkim w saloniku, lecz kryło się za nim coś głębszego.

- Ale... obiecałeś mi dwa tysiące sekund.
- Tak, tyle że od tej pory sporo się zmieniło. Chyba zauważyłeś?
- Zauważyłem wiele rzeczy. Myślę, że nadszedł czas, byśmy wreszcie o nich porozmawiali. Nau naprawdę cię podziwia... wiesz o tym, prawda?

- Nau jest pełen fałszu.
- Zgodę. Ale część tych historii, które mi pokazał, jest prawdziwa. Pham, współpracujemy już od kilku wacht. Myślałem o rzeczach, które mówili o tobie moi wujkowie i ciotki. Przeszedłem już przez etap uwielbienia dla legendarnego bohatera. W końcu zrozumiałem, jak bardzo musi ci się podobać fiksjacja. Składałeś mi wiele obietnic, ale zawsze starannie dobierałeś słowa. Chcesz pokonać Naua i odebrać to, co straciliśmy... ale bardziej niż cokolwiek chcesz fiksjacji, prawda?

Cisza ciągnęła się przez kilka sekund. *Co odpowie na bezpośrednie pytanie?* Wreszcie Pham przemówił chrapliwym, wibrującym od emocji głosem:

- Fiksacja to klucz do stworzenia cywilizacji obejmującej całą Ludzką Przestrzeń, cywilizacji, która nigdy nie umrze.

- Fiksacja to niewolnictwo - odparł Ezr łagodnie. - Oczywiście dobrze o tym wiesz; myślę, że w głębi serca jej nienawidzisz. Podszyciłeś się pod Zamle Enga; uważam, że zadziałała tu twoja podświadomość.

Pham znów milczał przez sekundę, spoglądając nań gniewnie. Potem wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu.

- Jesteś głupcem. Przeczytałeś historię Naua i nadal nic nie rozumiesz. Kiedyś zostałem zdradzony przez Vinha. To się już nie powtórzy. Myślisz, że pozwolę ci żyć, jeśli wejdiesz mi w drogę.

Pham przysunął się bliżej. Obraz przekazywany przez lokalizatory zniknął nagle sprzed oczu Ezra; Pham zablokował wszystkie sygnały. Ezr podniósł ręce.

- Nie wiem. Ale jestem Vinhem., potomkiem Sury i także twoim. W naszej rodzinie kryje się wiele sekretów; któregoś dnia poznałbym prawdę o Brigo Gap. Ale nawet jako dziecko słyszałem różne uwagi, alu-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

zje. Rodzina nie zapomniała o tobie. Mamy nawet swoje motto, którego nigdy nie powtarzamy na zewnątrz: „Wszyscy jesteśmy dłużnikami Pha-ma Nuwena, bądźcie dla niego mili”. - Ezer wpatrywał się w ciemność. Teraz nie wiedział nawet, gdzie jest Pham. - A po tym, co zdarzyło się wczoraj... Myślę, że mnie posłuchasz. Myślę, że nie mam czego się bać.

- Po tym, co zdarzyło się wczoraj? - Pham musiał stać gdzieś blisko, w jego głosie pobrzmiwały gniewne nuty. - Mój mały Vinhu, co ty możesz o tym wiedzieć?

Ezer patrzył w kierunku, z którego dobiegał głos. Kryło się w nim coś dziwnego, jakaś niewytłumaczalna nienawiść. *Co stało się z Reynolt?* Sytuacja stawała się coraz groźniejsza, Ezer nie wiedział, co odrzec.

- Nie zabiłeś jej. Wierzę w to, co powiedział Trud. Mogłeś ją bez trudu zabić, a wszystko i tak wyglądałoby na wypadek. Dlatego też myślę, że wiem, w którym momencie historii, które przekazał mi Nau, są prawdziwe, a gdzie kłamią. - Ezer wyciągnął obie ręce do przodu, a jego dłonie opadły na ramiona Phama. Wpatrywał się intensywnie w ciemność, jak by chciał rozpalić ją samą siłą woli. - Pham! Całe twoje życie było pod porządkowane jednej idei. To właśnie dzięki niej i dzięki twojemu geniu szowi staliśmy się tym, czym teraz jesteśmy. Ale ty chciałeś czegoś więcej. Archiwa Queng Ho nie wspominają o tym ani słowem, ale badając opowieści Naua, mogłem domyślić się wszystkiego. Miałeś cudowne marzenia, Pham. Fiksacja mogłaby je zrealizować... ale cena jest zbyt wysoka.

Przez chwilę w ciemności panowała absolutna cisza, przerwana wreszcie jękiem straszliwego, zwierzęcego niemal bólu. Nagle Pham odrzucił ręce Ezra na boki i pochwycił go za szyję, zamknął ją w żelaznym uścisku. Ezer czuł tylko ogromne zdumienie, coraz słabsze, tonące powoli w wewnętrznym mroku...

Potem dłonie zwolniły uścisk. Wszędzie dokoła błyskały maleńkie race, dziesiątki maleńkich urządzeń pękały z trzaskiem. Ezer otworzył usta, zdumiony, pełen niedowierzania. Pham niszczył wszystkie pobliskie lokalizatory! W krótkich rozbłyskach światła Ezer mógł dostrzec twarz Phama. Jego oczy płonęły szaleństwem, którego Ezer nigdy tam nie widział.

Mikroskopijne eksplozje oddalały się od nich, dzieło zniszczenia zataczało coraz szerszy krąg. Ezer wydobył z siebie pełen przerażenia skrzek:

- Pham. Nasz kamuflaż. Bez lokalizatorów...

Ostatnie błyski ukazały drwiący uśmiech na jego twarzy.

- Bez lokalizatorów zginiemy! Umrzemy, mały Vinhu. Teraz już mnie to nie obchodzi.

Ezer słyszał, jak odwraca się i oddala. Została tylko ciemność i cisza - i śmierć odległa nie więcej niż o kilka Ksekund. Bo choć bardzo się starał, Ezer nie mógł odnaleźć żadnego śladu wsparcia lokalizatorów.

Co robisz, kiedy umiera twoje marzenie? Pham unosił się w mroku swego pokoju i myślał o tym pytaniu z nikłym zaciekawieniem, niemal

VERNORVINGE

z obojętnością. Gdzieś w zakątku jego umysłu czała się świadomość zniszczeń, jakie poczynił, ogromnej dziury wypalonej w sieci lokalizatorów. Mimo to sieć nadal działała, a uszkodzenie nie zostało jeszcze zauważone przez szpiegów Brughla. Jednak przy pierwszym uważnym przeglądzie muszą domyślić się prawdy. Pham wiedział, że Ezr Vinh stara się desperacko zatrzeć jakoś ślady zniszczenia. Co zaskakujące, chłopak nie pogarszał sytuacji, lecz umiał jeszcze zbyt mało, by naprawdę coś naprawić. Jeszcze kilkaset sekund i Kai Omo zaalarmuje Ritsera Brughla... i gra dobiegnie końca. Teraz naprawę nie miało to już dlań żadnego znaczenia.

Co robisz, kiedy umiera twoje marzenie?

Marzenia umierają w życiu każdego. Każdy się starzeje. Na początku drogi nadzieja płonie jasno, całe życie wydaje się wielką obietnicą. Wszystko blaknie, gdy lata stają się coraz krótsze.

Lecz nie marzenie Phama. Walczył o nie przez trzy tysiące lat obiektywnego czasu na przestrzeni pięciuset lat świetlnych. Był to sen o jednej ludzkości, o rzeczywistości, w której sprawiedliwość nie byłaby płomykiem rozpalającym się tylko na chwilę w różnych częściach wszechświata, lecz niegasnącym blaskiem obejmującym całą Ludzką Przestrzeń. Marzył o cywilizacji, w której nigdy nie płonęłyby kontynenty i gdzie królowie nie oddawaliby swych dzieci jako zakładników. Kiedy Sammy wyciągnął go z hospicjum w Lowcinder, Pham umierał, ale nie jego marzenie. Ono płonęło tak mocno jak zawsze, zżerało go.

Tu wreszcie znalazł coś, co mogło urzeczywistnić ten sen; fiksację, automatykę dość zaawansowaną i wydajną, by utrzymała międzygwiazdne imperium. Mogła stworzyć „oddanych niewolników”, o których mówiła Sura. I co z tego, że była to forma niewolnictwa? Fiksacja na zawsze położyłaby kres znacznie większym podłościom.

Może.

Odwracał wzrok od Egila Manrhi, który był teraz tylko żywą maszyną analizującą. Odwracał wzrok od Trixi Bonsol i innych, zamkniętych przez lata w maleńkich celach. Wczoraj jednak musiał spojrzeć na Annę Reyrtolt, walczącą w samotności z całą potęgą fiksacji, gotową poświęcić życie tej walce. Te szczegóły wielce zaskoczyły Phama, ale do tej pory oszukiwał się, kłamał przed samym sobą, że nie jest to częścią ceny za spełnienie jego marzeń.

A dziś Ezr Vinh i ta jego przemowa. *Cena jest zbyt wysoka! Ezr Vinh!*

Pham mógłby zrealizować swój sen... gdyby zrezygnował z wszystkiego, co było jego przyczyną.

Kiedys już członek Rodziny Vinhów stanął pomiędzy nim a jego marzeniami. *Mech zginie ten wąż. Niech zginą oni wszyscy. Niech zginę ją.*

Pham zwinął się w kłębek. Nagle uświadomił sobie, że płacze. Nie licząc tych chwil, kiedy udawał, nie płakał już od... nie pamiętał... być może od tamtych dni na drugim krańcu jego życia, kiedy wszedł na pokład „Reprzyzy”.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Co robisz, kiedy umiera twoje marzenie?

Kiedy umiera twoje marzenie, rezygnujesz z niego.

Co wówczas zostaje? Przez długi czas umysł Phama zastanawiał się nad tym pytaniem. I wtedy raz jeszcze do jego świadomości dotarty obraz przekazywane z sieci lokalizatorów; zafiksowani niewolnicy, stłoczeni w labiryncie Hammerfest, Annę Reynolt śpiącą w maleńkiej celi.

Zasługiwali na coś więcej. Zasługiwali na los lepszy od tego, jaki zgotował im Tomas Nau. Annę zasługiwała na więcej.

Sięgnął do sieci, delikatnie dotknął Ezra Vinha i odsunął go na bok. Podjął wysiłki chłopca i zaczął odbudowywać sieć, latać wypaloną w niej dziurę. Myślał już o szczegółach; siniaki na szyi Vinha, dziesięć tysięcy nowych lokalizatorów potrzebnych w przestrzeni pomiędzy powłokami. Mógł sobie z tym poradzić, a na dłuższą metę...

Wiedział, że Annę Reynolt wróci w końcu do zdrowia, nadrobi szkody, jakiej jej wyrządził. Kiedy to się stanie, zabawa w kotka i myszkę zacznie się od nowa, tym razem jednak będzie chronił ją i innych niewolników. Będzie o wiele trudniej niż dotąd. Ale może z Ezrem Vinhem, jeśli będą pracować jak prawdziwy zespół... W głowie Phama tworzyły się już nowe plany. Cóż, z pewnością nie mógł w ten sposób złamać koła historii, czuł jednak, że realizacja czegoś naprawdę prawego i słusznego przynosi mu coraz większą satysfakcję.

Później, nim zapadł w sen, przypomniał sobie Gunnara Larsona, jego dobrotliwe drwiny i radę, by Pham zrozumiał ograniczenia naturalnego świata i nauczył się je akceptować. *Więc może jednak miał rację.* Przez wszystkie te lata, kiedy leżał w tym pokoju, zgrzytał zębami ze złości, snuł plany, marzył o tym, czego może dokonać dzięki fiksacji. Teraz, kiedy się poddał, nadal miał plany, nadal myślał o tym, jak uniknąć śmiertelnych zagrożeń... lecz po raz pierwszy od wielu lat ogarnął go... spokój.

Tej nocy śnił o Surze. I nie czuł bólu.

CZEŚĆ TRZECIA

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Z każdej sytuacji można wyciągnąć jakieś korzyści. Gonie Fong zawsze żyła zgodnie z tą zasadą. Wyprawa do gwiazdy OnOff była przedsięwzięciem długofalowym, czymś, co przyciągało głównie naukowców. Ale Gonie widziała korzyści i zyski. Potem była zasadzka Emergentów, a długofalowe przedsięwzięcie zamieniło się w służbę i wygnanie. Więzienie zarządzane przez bandytów. Ale nawet i tu można było znaleźć jakieś plusy. Przez niemal dwadzieścia lat życia wykorzystywała dostępne jej środki i prosperowała - choć oczywiście były to sukcesy na miarę tych ograniczonych możliwości.

Teraz sytuacja zaczęła się powoli zmieniać. Jau Xin był nieobecny już od ponad czterech dni, co najmniej od początku jej wachty. Początkowo plotki głosiły, że Jau i Rita zostali nieoficjalnie przeniesieni na wachtę C i że nadal są zahibernowani. Taka zmiana popsułaby wszystkie interesy, jakie planowały z Ritą - a poza tym była czymś bardzo niezwykłym. Potem Trinli doniósł im, że w Strychu Hammerfest brakuje dwóch twarogłowych pilotów. No tak. Rita może rzeczywiście znajdowała się jeszcze w kapsule, ale Jau Xin i jego fiksaci byli... gdzie indziej. Pojawiły się nowe plotki; Jau wyruszył na ekspedycję do wygasłego słońca, Jau wylądował na świecie Pająków. Trud Silipan puszył się jak paw, obnosząc jakiś wielki sekret, którego choć raz nie zdradził nikomu. Ten fakt dowodził bardziej niż cokolwiek innego, że dzieją się jakieś dziwne i ważne rzeczy.

Gonie przyjmowała zakłady dotyczące owych tajemniczych wydarzeń, sama jednak również płonęła z ciekawości. Wcale nie była rozczarowana, kiedy szefostwo postanowiło wreszcie dopuścić ich wszystkich do tego sekretu.

Tomas Nau zaprosił kilka mało znaczących osób do swej posiadłości. Gonie była tu po raz pierwszy od czasu uroczystego otwarcia. Nau obnosił się wtedy ze swoją gościnnością, później jednak park został zamknięty dla ludzi z zewnątrz - choć prawdę mówiąc, mogło stać się tak ze względu na wypadek, jaki spotkał Annę Reynolt podczas przyjęcia.

Kiedy Gonie wraz z trzema innymi reprezentantami mieszkańców LI szła ścieżką do chaty Naua, wygłosiła krytyczną uwagę o otoczeniu:

VERNORVINGE

- Zatem nauczyli się w końcu robić deszcz. - Była to raczej niesiona wiatrem mgła, tak delikatna, że osiadała niczym rosa na włosach i rzesach, tak delikatna, że brak ciężenia w niczym nie zmieniał jej charakteru.

Pham Trinli zachichotał cynicznie.

- Założę się, że to raczej sposób oczyszczania. Swego czasu widziałem mnóstwo takich parków, budowanych zazwyczaj przez Klientów, którzy mieli więcej pieniędzy niż rozumu. Śmiecie nie odróżniają sztucznego nieba od ziemi i powoli osiadają na wszystkim, więc po jakimś czasie masz niebo pełne śmieci.

Trud Silipan, który szedł obok niego, zauważył:

- Niebo wygląda na całkiem czyste.

Trinli spojrział w górę. Szare chmury sunęły nisko nad ziemią w stronę drugiego brzegu jeziora. Część tego efektu była rzeczywista, część widoczna tylko na wideotapecie, oba elementy jednak łączyły się ze sobą tak doskonale, że Pham nie potrafił ich od siebie rozróżnić. Gonie Fong nie bawiła ta scena, wydawała się jednak naturalna i czysta.

- Tak - powiedział po chwili. - Muszę ci to przyznać, Trud. Twój Ali Lin to prawdziwy geniusz.

Silipan nadał się trochę.

- Nie tylko on. Liczy się koordynacja. Nad tym projektem pracuje cała grupa twardegłowych. Z każdym rokiem są coraz lepsi. Za jakiś czas nauczymy się nawet robić sztuczne fale na jeziorze.

Gonie spojrzała na Ezra Vinha i przewróciła oczami. Żaden z tych bufonów nie chciał przyznać, jak wiele zależało tu od współpracy wszystkich mieszkańców stacji - bardzo intratnej współpracy. Nawet jeśli grupmistrz nie wpuszczał tu już pospólstwa, to właśnie ono dostarczało jedzenia, gotowego drewna i żywych roślin.

Mgła tworzyła drobne wiry wokół chaty, a iluzja grawitacji została poddana ciężkiej próbie, kiedy goście chwiali się na wszystkie strony, sztucznie utrzymywani przy gruncie. Potem znaleźli się we wnętrzu chaty, ogrzewanej przez drwa płonące w wielkim kominku Tomasa Nau; Pham znów musiał przyznać, że i to zjawisko do złudzenia przypomina prawdziwy ogień. Grupmistrz zaprosił ich gestem do stołu konferencyjnego. Byli tam Nau, Brughel i Reynolt. Na tle okien i sączącego się przez nie szarego światła stały jeszcze trzy postacie. Jedną z nich była Qiwi.

- Witaj, Jau - powiedział Ezer. - Miło cię widzieć... z powrotem.

Rzeczywiście, byli to Jau i Rita. Tomasz Nau rozjaśnił światła w pokoju. Było tu równie jasno i ciepło jak w każdej cywilizowanej kwaterze, lecz ze względu na chłód i półmrok utrzymywany tak wielkim kosztem na zewnątrz ten wewnętrzny blask dawał radosne poczucie bezpieczeństwa.

Grupmistrz poczekał, aż zajmą miejsca, potem sam usiadł. Jak zwykle Nau wyglądał jak wcielenie szlachetnego i hojnego przywódcy. Ale mnie nie oszuka, pomyślała Gonie. Kiedy zdecydowała się wziąć udział w tej misji, miała już spore doświadczenie, handlowała z kilkunastoma

OTCHŁAŃ W NIEBIE

kulturami Klientów na trzech światach. Klienci różnili się od siebie rozmiarami, kolorem skóry, wszystkim, co kryła w sobie ludzkość. Ich systemy społeczne były jeszcze bardziej zróżnicowane - tyranie, demokracje, demarchie. Zawsze jednak można było ubić z nimi interes. Wielki szef Nau był łajdakiem, ale łajdakiem, który rozumiał, że musi prowadzić interesy. Qiwi dopilnowała tego jeszcze przed laty. Szkoda, że miał nad nimi przewagę fizyczną - to nie było częścią standardowego środowiska pracy Queng Ho. Handel stawał się ryzykowny, kiedy nie można uciec przed złymi ludźmi. Ale na dłuższą metę nawet to nie miało znaczenia. Grupmistrz przywitał każdego z nich skinieniem głowy.

- Dziękuję, że zechcieliście tu przyjść. Powinniście wiedzieć, że to spotkanie transmitowane jest na żywo w naszej sieci, mam jednak na dzieję, że później podzielicie się z przyjaciółmi wrażeniami z pierwszej ręki. - Uśmiechnął się szeroko. - Jestem pewien, że to będzie świetny temat do rozmów w saloniku Benny'ego. To, co chcę wam przekazać, to wie domość niezwykle pomyślna, ale i stanowiąca wielkie wyzwanie. Otóż za rządcą pilotów Xin powrócił właśnie z niskiej orbity Arachny. - Przerwał na moment. *Załóżę się, że u Benny'ego jest teraz cicho jak w grobie.* - A to, co tam odkrył, jest... interesujące. Jau, proszę. Opowiedz nam o tej misji.

Jau podniósł się z miejsca odrobinę za szybko. Żona w porę złapała go za rękę, ustał więc na podłodze i zwrócił się do nich. Gonie bezskutecznie próbowała pochwytać spojrzenie Rity, ta jednak była skupiona wyłącznie na swoim mężu. *Załóżę się, że trzymali ją wikapsule aż do powrotu Jau; tylko w ten sposób mogli zamknąć jej usta.* Na twarzy Rity malował się wyraz ogromnej ulgi. Wiadomości, które miał przekazać im Jau, nie mogły być złe.

- Tak jest. Zgodnie z pańskimi instrukcjami wróciłem wcześniej na wachłę, by poprowadzić wyprawę na niską orbitę Arachny. - Kiedy Jau mówił, Qiwi rozdawała wszystkim wyświetlacz jakości Queng Ho. Gonie nie przepuściła takiej okazji i gdy Qiwi podeszła do niej, złożyła jej gestem ofertę kupna. Qiwi uśmiechnęła się i wyszeptwała:

- Wkrótce!

Szefowie nie pozwalali zwykłym ludziom posiadać takich rzeczy. Może wreszcie i to się zmieni. Przez sekundę wyświetlacze synchronizowały się na wspólnym obrazie. Przestrzeń nad stołem zafalowała i zmieniła w widok LI. Daleko, za podłogą, znajdował się dysk świata Pająków.

- Moi piloci i ja wykorzystaliśmy do tego ostatnią sprawną szalupę. - Z powierzchni Diamentów podniosła się złota nić, rysując obszerny łuk na niebie; jej czubek przesunął się z coraz większą prędkością do góry, by po osiągnięciu połowy drogi zacząć stopniowo zwalniać. Potem w wyświetlaczu pojawił się widok z wnętrza szalupy; przed ich oczami rósł po woli dysk Arachny. Świat Pająków wydawał się niemal równie martwy i zimny jak wtedy, gdy przybyli tu pierwsi ludzie. Istniała jednak jedna

VERNORVINGE

zasadnicza różnica, na północnej półkuli migotały światła miast, siatka jasnych punktów różnej wielkości.

Z ciemności dobiegł donośny głos Phama Trinli.

- Założę się, że was zauważyli!
- Owszem, namierzyli nas. Pokaż radary obrony i satelity - rzucił Jau w powietrze. Wokół planety pojawiła się chmura niebieskich i zielonych kropek. Na ziemi rozkwitły kręgi białego światła, oznaczające miejsca omiatane przez radary wojskowe Pająków. -W przyszłości będzie to większy problem. Myślę, że...

Głos Annę Reynolt przerwał zarządcy pilotów w pół słowa.

- Moi ludzie wymazali wszystkie zapisy. Warto było podjąć to ryzyko.
- Ho, ho! To rzeczywiście musiało być coś strasznie ważnego.
- O tak, Pham. Zdecydowanie tak. - Jau stanął z boku obrazu i wsadził rękę głęboko w chmurę satelitów, oznaczając jednego z nich napisem SATELITA ROZPOZNAWCZY KINDRED 543 oraz danymi określającymi jego pozycję na orbicie. Zerknął w stronę Phama, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, jakby oczekiwał jakiejś reakcji. Numery opisujące pozycję satelity nic nie mówiły Gonie. Przechyliła się na bok, spojrzała na Trinlego zza krawędzi obrazu. Wyglądało na to, że stary oszust także nic nie rozumie, i że wcale nie bawi go uśmiech na twarzy Jau czy chichot Silipana.

Trinli spojrzał na obraz spod przymrużonych powiek.

- No dobrze. Więc zszedłeś na tę samą orbitę co satelita 543. - Ezr Vinh, który siedział obok Trinlego, wciągnął głośno powietrze, jakby ujrzał coś nieprawdopodobnego. To jeszcze bardziej zirykowało Trinlego. - Wystrzelony siedemset Ksekund temu, wspomaganie chemiczne, okres synchroniczny, wysokość... - Trinli zadławił się nagle własnym głosem. - Wysokość dwanaście tysięcy kilometrów! To musi być błąd.

. Jau uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie, to nie jest błąd. Właśnie dlatego postanowiłem przyjrzeć się temu bliżej.

Znaczenie tego odkrycia powoli zaczęło docierać do Gonie Fong. W dziale zaopatrzenia i usług zajmowała się głównie handlem i inwentaryzacją. Transport zawsze w dużej mierze decydował o cenie, a ona należała przecież do Queng Ho. Arachna była planetą terestroidalną, z dobą długości dziewięćdziesięciu Ksekund. Orbita synchroniczna powinna znajdować się znacznie wyżej niż na poziomie dwunastu tysięcy kilometrów. Nawet laik rozumiał, że ten satelita dokonuje cudu.

- Czy to sztuczna stabilizacja? - spytała. - Małe rakiety?

- Nie. Nawet rakiety strumieniowe nie mogłyby robić tego tak długo.

- Kaworyt - przemówił Ezr cichym, pełnym zdumienia głosem.

Jau skinął głową.

- Zgadza się. - Wydał jakąś komendę i wszyscy znów ujrzeli widok z wnętrza jego szalupy. - Bliższe badanie było dość trudne, zwłaszcza że

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nie chciałem pokazywać płomienia głównego silnika. Spaliłem więc kamery satelity, a potem natychmiast uruchomiłem symulację... Możecie to zobaczyć w obszarze wskaźnika. Prędkość zbliżeniowa spada z pięćdziesięciu metrów na sekundę do wartości, przy której zatrzymaliśmy się względem siebie. Teraz jest jakieś pięć metrów nad nami. - W obszarze wskaźnika było coś kanciastego i czarnego, co poruszało się w górę i w dół, niczym jo-jo. Tajemniczy przedmiot zwolnił, zatrzymał się jakieś pięć metrów pod nimi, i ponownie ruszył do góry. Górna część satelity nie była czarna, lecz ciemnoszara. - Dobrze, zatrzymać obraz. Teraz macie dobry widok. Płaska budowa, prawdopodobnie żyrostabilizowana. Pancierz wielościenny kryje go przed radarami. Oprócz tej niesamowitej orbity całość nie różni się niczym od typowego satelity szpiegowskiego z tego okresu rozwoju cywilizacji... - Satelita znów zaczął się wznosić, tym razem jednak został przechwycony przez wysięgniki szalupy. - Tu właśnie zabraliśmy go na pokład. I wywołaliśmy eksplozję, która miała wytłumaczyć zniknięcie satelity.

- Dobra robota - oświadczył Pham Trinli, przyznając łaskawie, że Jau jest niemal równie dobry jak on.

- Ha. To było nawet trudniejsze, niż się wydaje. Przez cały czas musiałem uważać na moich fiksatów. Część z nich omal nie wpadła w panikę. Po prostu nie potrafili zrozumieć tych sprzeczności w dynamice.

- To się zmieni - przerwał mu Silipan radośnie. - Przeprogramujemy wszystkich pilotów.

Jau zgasił obraz i spojrzał groźnie na Silipana.

- Jeśli coś zepsujecie, w ogóle nie będziemy mieli pilotów.

Gonie nie miała ochoty wysłuchiwać ich bezsensownych kłótni.

- Ten satelita. Masz go tu? Jak Pająki to zrobiły?

Zauważyła, że Nau uśmiechnął się do niej.

- Myślę, że panna Fong trafiła w sedno sprawy. Pamiętacie te anomalie grawitacyjne na płaskowyżu? Krótko mówiąc, tamte informacje były prawdziwe. Wojskowi Kindred odkryli coś w rodzaju... nazwijmy to anty-grawitacją. Najwyraźniej zajmują się tym już od dziesięciu lat. Nie wiedzieliśmy o tym, bo sprawę przeoczył też wywiad Akord, a rozpoznanie Kindred nigdy nie szło nam najlepiej. Masa tego małego satelity wynosiła osiem ton, ale prawie dwie tony to okładzina kaworytowa. Pająki z Kindred wykorzystują tę niezwykłą substancję tylko po to, by zwiększyć masę wystrzeliwanych rakiet. Przygotowałem małą demonstrację...

- Zgaście ogień, wyłączcie wentylację - rzucił w powietrze. - Umilkł, a w pokoju zapanowała nagle głęboka cisza. Qiwi zamknęła okno, przez które do pokoju wpadała wilgoć znad jeziora. Sztuczne słońce przeświecało przez szpary między chmurami, od wody odbijały się smugi złotego światła. Gonie zastanawiała się przez moment, czy twarogłowi Nau są tak dobrzy, by wywołać ten efekt specjalnie na tę okazję. Prawdopodobnie.

Grupmistrz wyjął z koszuli małe pudełko, otworzył i wziął do ręki jakiś błyszczący przedmiot. Była to mała, kwadratowa płytka, pobłyskująca różnymi barwami w świetle sztucznego słońca.

- To jedna z płytek, którymi obłożono satelitę. Była tam też warstwa diod elektroluminescencyjnych, ale zdarliśmy ją. To, co zostało, to fragmenty diamentu zanurzone w żywicy epoksydowej. - Położył płytkę na stole i skierował na nią światło ręcznej latarki. Wszyscy czekali w napięciu... A po chwili mały kwadracik uniósł się ponad stół. Najpierw wyglądało to jak ruch każdego przedmiotu umieszczonego w środowisku mikrogravitacji, luźny kawałek papieru niesiony przez strumień powietrza. Ale powietrze w pokoju stało. A w miarę jak upływały kolejne sekundy, płytka poruszała się coraz szybciej, leciała... prosto do góry. Uderzyła w sufit - i już tam pozostała.

Przez kilkanaście sekund nikt się nie odzywał.

- Panie i panowie, przybyliśmy do OnOff w nadziei, że znajdziemy tu skarb. Jak dotąd poznaliśmy nowe zasady astrofizyki, opracowaliśmy nieco lepszy napęd okrętów kosmicznych. Biologia Pajaków to kolejny skarb, także wystarczająco cenny, by pokryć koszty tej wyprawy i zapewnić nam godziwy zysk. Na początku jednak oczekiwaliśmy czegoś więcej. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tu pozostałości rasy kosmicznej podróżującej między gwiazdami. Cóż, po czterdziestu latach wydaje się, że odnieśliśmy sukces. Spektakularny sukces.

Może rzeczywiście lepiej się stało, że Nau nie zorganizował większego spotkania. Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Bóg jeden wiedział, jak wygląda to w saloniku Benny'ego. Wreszcie EzrowiVinhowi udało się zadać pytanie:

- Myślicie, że to Pajaki stworzyły tę substancję?

Nau pokręcił głową.

- Nie. Kindred musieli wydobyć tysiące ton rudy, żeby wyprodukować tyle materiału.

- Wiedzieliśmy od lat, że Pajaki ewoluowały tutaj, że nigdy nie miały techniki na wyższym poziomie - powiedział Trinli.

- Zgadza się. Ich archeolodzy nie mają żadnych solidnych dowodów na istnienie jakichś wcześniejszych cywilizacji. Ale to... ta substancja jest artefaktem, nawet jeśli tylko my tak ją postrzegamy. Automatyka Annę spędziła nad tym kilka dni. To skoordynowana matryca przetwarzająca.

- Mówiliście, że to produkt rafinacji miejscowych rud.

- Tak. Dlatego też wnioski wydają się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Przez czterdzieści lat myśleliśmy, że diamentowy pył z Arachny to albo naturalne minerały, albo biologiczne szkielety. Teraz wydaje się, że to skamieniałe urządzenia przetwarzające. I przynajmniej część z nich ponownie podejmuje swą misję, kiedy znajduje się w większym skupieniu. W pewnym sensie przypominają nasze lokalizatory, tyle że są znacznie mniejsze i mają inny cel... zmieniają prawa fizyki w sposób, którego nawet nie zaczynamy rozumieć.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Trinli wyglądał tak, jakby ktoś uderzył go w twarz, jakby opadł nagle z sił i zapomniał o swej napuszonej pozie.

- Nanotechnika - powiedział cicho. - Marzenie.

- Co? Tak, jedno z Niespełnionych Marzeń. Do dzisiaj. - Grupmistrz spojrział w górę, na płytkę przyklejoną do sufitu. Uśmiechnął się. - Istoty, które odwiedziły to miejsce, opuściły je miliony albo miliardy lat temu. Wątpię, czy kiedykolwiek znajdziemy ich namioty albo worki ze śmieciami... ale ślady ich techniki są wSzędzie.

- Szukaliśmy kosmicznych podróżników, ale byliśmy zbyt mali i zobaczyliśmy tylko ich kostki. - Vinh oderwał spojrzenie od sufitu. - Może nawet to... - Machnął ręką w stronę okna, a Gonie zrozumiała, że mówi o ogromnych diamentach. - Może nawet to są artefakty.

Brughel przesunął się na swym krześle.

- Nonsens.To tylko diamentowe skały. -W agresywnym spojrzeniu, jakim potoczył po obecnych przy stole, kryła się jednak niepewność.

Nau zawahał się na moment, a potem zachichotał, uciszając swego zastępcę machnięciem ręki.

- Wszyscy zaczynamy się zachowywać jak postaci z bajki z Epoki Świtu. Fakty są naprawdę niezwykle, nie trzeba dodawać do nich jakichś fantastycznych teorii. Dzięki temu, *co* już zdobyliśmy, nasza *ekspedycja* może okazać się najważniejszą w historii ludzkości.

I najbardziej zyskowną. Gonie poruszyła się na swym krześle i próbowała skatalogować wszystkie rzeczy, jakie mogliby wyprodukować przy użyciu tego błyszczącego materiału na suficie. *W jaki sposób sprzedawać najlepiej coś takiego? Ile lat monopolu można by z tego wyciągnąć?*

Grupmistrz wrócił jednak do praktyczniejszych spraw.

- Tak więc właśnie wyglądają te fantastyczne wieści. Na dłuższą metę jest to coś, co przekracza nasze najśmielsze marzenia. Na krótszą... cóż, sprawia trochę zamieszania w harmonogramie. Qiwi?

- Tak. Jak wiecie, Pająki dopiero za pięć lat będą miały dojrzałą, planetarną sieć komputerową, poprzez którą moglibyśmy skutecznie na nich wpływać.

Coś na tyle zaawansowanego, byśmy mogli to wykorzystać. Do dzisiaj Gonie Fong uważała, że będzie to największy skarb, jaki wywozą z tych długich lat Wygnania. Co tam jakieś drobne poprawki w napędzie rakietowym czy nawet materiał biologiczny. Tam na dole był cały przemysłowy świat, o kulturze zupełnie odmiennej od innych rynków. Gdyby sprawowali nad nim kontrolę albo nawet cieszyli się uprzywilejowaną pozycją handlową, przeszliby do legendy Queng Ho. Gonie doskonale to rozumiała. Z pewnością rozumiał to także Nau. No i Qiwi, choć w tej chwili mówiła o ideałach:

- Do tej pory myśleliśmy też, że dopiero za jakieś pięć lat Pająki będą potrzebowały naszej pomocy. Zakładaliśmy, że nie dojdzie wcześniej do wojny pomiędzy Kindred i Akord. Cóż... Myliliśmy się. Kindred brak

VERNORVINGE

przyzwoitej sieci komputerowej, ale mają kopalnie kaworytu. Ich satelity pozostają w ukryciu, ale tylko dla chwilowej korzyści. Wkrótce unowocześnieją pociski. Widzimy także, że działają intensywnie na arenie politycznej, podporządkowują sobie mniejsze kraje i pchają je do konfrontacji z Akord. Nie możemy czekać z interwencją przez następne pięć lat.

- Są też inne powody, by przyspieszyć termin operacji - dodał Jau.
- Ze względu na kaworyt nie będziemy już mogli dłużej utrzymywać na szczytach działań w sekrecie. Pająki wkrótce opanują przestrzeń okołoplanetarną. Jeśli mają większe ilości tego... - wskazał kciukiem na błyszczącą płytkę - ...mogą być nawet sprawniejsi od nas.

Rita coraz bardziej się niepokoiła.

- Chcesz powiedzieć, że ta Pedure może wygrać? Skoro musimy zmienić harmonogram, to czas przestać bawić się w ciuciubabkę. Musimy wykazać nasz potencjał militarny i stanąć po stronie Akord.

Grupmistrz kiwał posępnie głową.

- Tak, masz trochę racji, Rito. Tam na dole są istoty, które darzymy szacunkiem, może nawet... - Machnął ręką, jakby odpychając od siebie sentymenty i skupiając się na rzeczywistości. - Ale jako wasz grupmistrz muszę trzymać się priorytetów. A najważniejszym priorytetem jest przetrwanie wszystkich ludzi w naszej małej grupie. Nie przeceniajcie tego, co tu stworzyliśmy. W rzeczywistości dysponujemy bardzo niewielkim potencjałem militarnym. - Zachodzące słońce nadało wodzie barwę złota, odbite od jego powierzchni promienie wypełniły pokój łagodnym ciepłem. - W rzeczywistości jesteśmy niemal wyrzutkami, oddalonymi od ludzkości bardziej niż ktokolwiek w historii. Naszym drugim priorytetem - związanym nierozdzielnie z tym pierwszym - jest zachowanie zaawansowanej cywilizacji przemysłowej Pająków, a więc także tworzących ją istot i ich kultury. Musimy działać bardzo ostrożnie. Nie możemy kierować się jedynie uczuciami... Ja też słucham przekładów. Myślę, że ludzie tacy jak Victory Smith i Sherkaner Underhill doskonale by nas zrozumieli.

- Ale oni mogą nam pomóc!

- Może. Skontaktowałbym się z nimi natychmiast, gdybyśmy mieli więcej informacji i lepszy dostęp do sieci. Jeślibyśmy jednak ujawnili się niepotrzebnie, mogliśmy zjednoczyć ich wszystkich przeciwko nam albo sprowokować Pedure do natychmiastowego ataku na Akord. Musimy ich uratować, ale nie poświęcać przy tym siebie.

Rita nadal nie była przekonana. Ritser Brughel, ukryty w cieniu obok grupmistrza, spojrział na nią groźnie. Młodszy grupmistrz nigdy nie zrozumiał do końca faktu, że stare emergenckie zasady muszą się zmienić. Fakt, że ktoś ośmielał się spierać z grupmistrzem, wprawiał go we wściekłość. *Bogu dzięki, że to nie on tu przewodzi.* Nau był twardzielem, przebiegłym i bezwzględny pomimo wszystkich tych miłych słów, ale można było się z nim dogadać.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Nikt nie przemawiał w obronie pozycji Rity, ta jednak spróbowała raz jeszcze.

- Wiemy, że Sherkaner Underhill jest geniuszem. On by to zrozumiął. Mógłby nam pomóc.

Tomas Nau westchnął.

- Tak, Underhill. Wiele mu zawdzięczamy. Bez niego musielibyśmy czekać na ostateczny sukces jeszcze dwadzieścia, a nie pięć lat. Ale oba wiam się... - Spojrzał przez stół na Ezra Vinha. - Ezer, ty wiesz o Underhillu i technologii Epoki Świtu więcej niż ktokolwiek inny. Co o tym myślisz?

Gonie omal się nie roześmiała. Vinh do tej pory śledził konwersację niczym mecz tenisowy, teraz piłka uderzyła go prosto między oczy.

- Um. Tak. Underhill to niezwykła postać. Jest jak von Neumann, Einstein, Minsky, Zhang, kilkunastu geniuszy Epoki Świtu w jednym ciebie. Ale być może jest tylko geniuszem w doborze absolwentów, których zatrudnia w swoim instytucie. - Vinh uśmiechnął się smutno. - Przykro mi, Rito. Dla ciebie i dla mnie Wygnanie trwało dziesięć czy piętnaście lat. Underhill przeżył cały ten czas, sekunda po sekundzie. Według standardów Pająków i ludzkich sprzed Ery Techniki jest już starszym człowiekiem. Obawiam się, że wkrótce wkroczy w wiek starczy. Przez całe życie odnosił coraz większe sukcesy, ale teraz trafił w ślepą uliczkę... To, co kiedyś było elastycznością, teraz zamieniło się w gąszcz zabobonów. Jeśli chcemy zrezygnować z przewagi, jaką daje nam ukrycie, powinniśmy chyba skontaktować się z rządem Akord i załatwić to jak zwykły interes.

Vinh mógłby kontynuować, ale grupmistrz powiedział:

- Rito, szukamy rozwiązania najbezpieczniejszego dla wszystkich stron. Jeśli oznacza to, że będziemy musieli zdać się na łaskę Pająków, cóż, zrobimy to. Obiecuję. - Zerknął na prawo, a Gonie zrozumiała, że wiadomość ta skierowana była przede wszystkim do Brughla. Nau milczał przez moment, ale nikt nie miał już nic do powiedzenia. Jego głos stał się bardziej rzeczowy. - Tak więc termin naszej interwencji przesunął się znacznie do przodu. Zostaliśmy do tego zmuszeni, ale muszę przyznać, że cieszę się z tego wyzwania. - Jego uśmiech rozbłysnął w świetle sztucznego słońca. - Tak czy inaczej Wygnanie skończy się za rok. Możemy sobie pozwolić na większe zużycie zapasów. Ba, musimy to zrobić. Od tej pory aż do zakończenia operacji w świetle Pająków prawie wszyscy będą na wachcie.

Nareszcie.

- Rafineria zacznie pracować w pełnym cyklu. - Wszystkie głowy przy stole uniosły się raptownie. - Pamiętajcie, jeśli za rok nadal będzie my jej potrzebować, to znaczy, że przegraliśmy. Mamy przed sobą ogromną pracę, wiele przygotowań, musimy wykorzystać do maksimum nasz potencjał. „Podziemna” gospodarka będzie miała dostęp do wszystkiego prócz najważniejszych elementów automatyki systemu bezpieczeństwa.

VERNOR VINGE

Tak! Gonie uśmiechnęła się przez stół do Qiwi, ta również odpowiedziała jej uśmiechem. Więc to miała na myśli, mówiąc „wkrótce"! Nau mówił jeszcze przez jakiś czas, nie tyle czyniąc jakieś szczegółowe plany, ile znosząc różne głupie zakazy, które przez tyle lat ograniczały ich działalność. Gonie czuła, jak z każdym zdaniem rośnie w niej entuzjazm. *Może uda mi się rozwinąć jakiś dochodowy biznes na planecie.*

Spotkanie zakończyło się w niezwykle radosnej atmosferze. W drodze do wyjścia Gonie serdecznie uściskała Qiwi.

- Dzieciaku, udało ci się! - powiedziała cicho.

Qiwi tylko uśmiechnęła się do niej, ale takiego szerokiego uśmiechu Gonie nie widziała na jej twarzy od lat.

Później wszyscy czworo wspinali się z powrotem na wzgórze, oświetlani ostatnimi promieniami słońca. Gonie obejrzała się jeszcze raz za siebie, nim weszli między drzewa. *Efekciarski ten park. Ale mimo wszystko był piękny, a ja miałam swój udział w jego stworzeniu.* Za dalekimi chmurami widać było jeszcze skrawek zachodzącego słońca. Mogła to być manipulacja Naua albo przypadkowe działanie automatyki parku. Tak czy inaczej wyglądało to na dobrą wróżbę. Nau myślał, że może manipulować wszystkim. Gonie wiedziała, że z tej nagłej liberalizacji grupmistrz będzie chciał wycofać się później, gdy wyobraźnia i wolny handel wydadzą mu się zbyt ryzykowne. Ale Gonie była Queng Ho. Przez lata ona, Qiwi i Benny podkopywali powoli tę małą tyranię, aż niemal wszyscy Emergenci zostali „zepsuci" przez podziemny handel. Nau nauczył się już, że dzięki interesom można zwyciężać. Po otwarciu rynku Pająków przekonała się też z pewnością, że powrót do tyranii nie przyniesie mu żadnych korzyści.

Drugie spotkanie Tomasa Nau odbyło się później tego samego dnia, na pokładzie „Niewidzialnej ręki". Tutaj mogli rozmawiać spokojnie, z dala od niewinnych uszu.

- Dostałem raport Kala Omo, grupmistrzu. Od szpiegów. Oszukałeś prawie wszystkich.

- Prawie?

- Cóż, znasz Vinha. Ale i tak nie przejrzał wszystkiego, o czym mówiłeś. A Jau Xin wydaje się... niepewny.

Nau spojrzał pytająco na Annę Reynolt.

Odpowiedź Reynolt była szybka.

- Potrzebujemy xTna, grupmistrzu. To nasz jedyny zarządca pilotów. Gdyby nie on, przepadłaby ta szalupa. Zafiksowani piloci stracili głowę, kiedy zobaczyli tę orbitę kaworytową. Nagle zmieniły się wszystkie zasady, a oni po prostu nie radzili sobie z nową sytuacją.

- Dobrze, mamy więc jednego niedowiarka. - Rzeczywiście, nie mogli temu zaradzić. Xin był zbyt blisko wielu kluczowych operacji. Prawdopodobnie domyślał się prawdy o Masakrze Diema. - Nie możemy go uspić, nie możemy go oszukać, a potrzebujemy go tam, gdzie poleje się

OTCHŁAŃ W NIEBIE

najwięcej krwi. Ale... myślę, że Rita Liao będzie dobrym haczykiem. Ritser. Dopilnuj, by Jau wiedział, że jej zdrowie i życie zależy od jakości jego służby.

Ritser uśmiechnął się lekko i skinął głową.

Nau sam przejrzał raport Orno.

- Tak, poszło nam całkiem nieźle. Ale też mówienie ludziom tego, co chcą usłyszeć, to żadna sztuka. Chyba nikt nie zrozumiał, jakie są konsekwencje przesunięcia harmonogramu o pięć lat. Nie możemy przejąć kontroli nad Arachną poprzez sieć komputerową, a potrzebujemy nietkniętej ekologii przemysłowej na planecie. Ale przecież nie muszą w tym uczestniczyć wszyscy mieszkańcy. W tej chwili... - Nau zerknął do ostatnich raportów fiksatów Reynolt - siedem państw na Arachnie dysponuje bronią atomową. Cztery mają całkiem spore arsenały, a trzy systemy na prowadzające.

Reynolt wzruszyła ramionami.

- Sprowokujemy więc wojnę.

- Tak, precyzyjnie ograniczoną wojnę, taką, która pozostawi światowy system finansów nietknięty i pod naszą kontrolą. - Ćwiczenia w zarządzaniu katastrofą.

- A Kidnred?

- Chcemy, żeby przetrwali, oczywiście, ale tak słabi, byśmy mogli ich w pełni kontrolować. Powiedzmy, że nieco bardziej „dopisze im szczęście”.

Reynolt kiwała głową.

- Tak. Możemy to wszystko urządzić. Kraje z południa •mają pociski dalekiego zasięgu, ale poza tym zostają w tyle; większość ich mieszkańców hibernuje się podczas Ciemności. Boją się tego, co mogą im zrobić zaawansowane potęgi. Wielebna Pedure zamierza to wykorzystać. Może my jej trochę pomóc... - Annę mówiła przez dłuższy czas o tym, jakie oszustwa i podstępny należy zastosować, które miasta można bezpiecznie zniszczyć, jak zachować te zasoby Akord, którymi nie dysponowało Kindred. Większość zniszczeń zostanie dokonana przez same Pajaki, co ze względu na żalostny stan uzbrojenia Emergentów było bardzo pożądane... Brughel obserwował Reynolt z rozbawieniem i podziwem. Beznamiętna i spokojna jak zawsze, ale tak jak i jego cechowało ją okrucieństwo.

Annę Reynolt była młodą kobietą, kiedy Emergenci przybyli na Frenk. Gdyby historię tej wojny spisywała druga strona, jej imię przeszłoby do historii. Po kapitulacji armii frenkijskiej partyzanci Annę Reynolt walczyli jeszcze przez długie lata i wyrządzili wiele szkód. Nau widział szacunki wywiadu; działania Reynolt potroiły koszty inwazji. To ona stworzyła od podstaw ruch oporu na Frenk i o mały włos nie pokonała emergentkich sił ekspedycyjnych. A gdy wreszcie poniosła ostateczną klęskę... cóż, takich wrogów należy pozbywać się jak najszybciej. Alan Nau zauważył jednak, że ten wróg był kimś wyjątkowym. Fiksacja umiejętności związanych z zarządzaniem ludźmi stanowiła zazwyczaj beznadziejne przed-

VERNORVINGE

siewzięcie. Fiksacja ze swej natury wykluczała wrażliwość i wycucie potrzebne do umiejętnego kierowania zasobami ludzkimi. A jednak... Reynolt była młoda, niezwykle inteligentna, oddana bez reszty jednej idei. Jej fanatyczny opór przypominał zachowanie twardogłowego skupionego wyłącznie na swojej specjalności. A gdyby tak udało się ją zafiksować?

Pomysł wuja Alana okazał się strzałem w dziesiątkę. Jedyną specjalnością akademicką Reynolt była literatura starożytna, ale fiksjacja objęła subtelniejsze umiejętności jej przypadkowej kariery: dowodzenie, planowanie, strategię. Alan nie chwalił się nikomu swoim odkryciem, ale wykorzystywał tę wyjątkową fiksjatkę przez kolejne dekady. To właśnie jej umiejętności pomogły Alanowi umocnić się na pozycji dominującego grupmistrza reżimu. Annę była bardzo wyjątkowym prezentem dla ulubionego bratanka...

Choć Tomas nigdy nie przyznałby się do tego Ritserowi Brughlowi, czasami, gdy patrzył w bładniebieskie oczy Reynolt... przechodził go zimny dreszcz. Przez sto lat swego życia Annę Reynolt pracowicie niszczyła wszystko, co było dla niej najważniejsze, nim została fiksjatką. Gdyby chciała wyrządzić mu krzywdę, zrobiłaby to bez trudu. Na tym właśnie jednak polegało piękno fiksjacji i dlatego właśnie Emergencja musiała zwyciężyć. Dzięki fiksjacji można było wykorzystywać umiejętności danej osoby, nie troszcząc się przy tym o nią samą. Przy odpowiednim zarządzaniu, zainteresowania i lojalność twardogłowego skupiały się wyłącznie na jego specjalności i właścicielu.

- Dobrze, niech twoi ludzie się tym zajmą, Annę. Masz rok. Prawdopodobnie podczas ostatnich Ksekund będzie nam potrzebny jeden duży okręt na orbicie.

- Trzeba przyznać, że na Arachnie wszystko układa się po naszej myśli - zauważył Ritser. - W Kindred całym państwem kierują dwie czy trzy osoby. Będziemy wiedzieć, do kogo się zwracać, kiedy zaczniemy wydawać rozkazy. W tym przekętym Akord...

- To prawda. W Akord jest zbyt wiele autonomicznych ośrodków władzy; ten ich niesuwerenny król to jeszcze większa głupota niż demokracja. - Nau wzruszył ramionami. - To nie tyle szczęście, ile rozsądny wybór. Musimy brać to, co będziemy mogli skutecznie kontrolować. Bez kawory-tu mielibyśmy jeszcze pięć lat. Do tego czasu Akord dorobiłby się już dojrzalej sieci, a my moglibyśmy przejąć wszystko bez jednego wystrzału. Oczywiście oficjalnie nadal mam nadzieję, że uda nam się to zrobić.

Ritser pochylił się do przodu.

- To właśnie będzie nasz największy problem. Kiedy ludzie zorientują się, że chcemy usmażyć trochę Pająków i że ich najlepsi przyjaciele będą głównym daniem...

- Oczywiście. Ale jeśli umiejętnie to zaaranżujemy, wszystko będzie wyglądać jak nieunikniona tragedia, coś, co bez nas skończyłoby się jeszcze gorzej.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- To będzie trudniejsze nawet niż ta historia z Diemem. Żałuję, że zwiększyłeś Handlarzom dostęp do zasobów.

- To nieuniknione, Ritser. Potrzebujemy ich geniuszu logistycznego. Ale nie dam im pełnego dostępu do sieci. Obudzimy wszystkich twoich szpiegów, będziemy prowadzić bardzo intensywny monitoring. W razie potrzeby może dojść do kilku śmiertelnych wypadków. - Spojrzał na Annę. - A skoro mówimy o wypadkach... Czy jest jakiś postęp w twoim śledztwie? - Minął już niemal rok, odkąd Annę miała wypadek w klinice MRI. Rok i żadnego śladu działalności wroga. Oczywiście dowody zgromadzone przed tym czasem też nie były szczególnie przekonujące.

Ale Annę Reynolt była nieugięta.

- Ktoś manipuluje naszymi systemami, grup mistrzu, zarówno lokalizatorami, jak i twardogłowymi. Dowody to wiele drobnych wydarzeń, coś, czego nie da się ująć w słowa. Ale ten ktoś jest coraz agresywniej szy... A ja jestem już bardzo blisko rozwiązania tej sprawy, może równie blisko jak wtedy, gdy mnie uciszył.

Annę nigdy nie wierzyła w teorię, że to głupia pomyłka spowodowała jej wypadek. Rzeczywiście jednak była wtedy rozstrojona, tyle że tak lekko, iż umknęło to nawet jego kontroli. *Jak bardzo mam być podejrzliwy?* Annę oczyściła Ritsera z wszelkich zarzutów związanych z tą historią.

- Więc kto to może być?

- Znasz listę podejrzanych. Pham Trinli nadal jest na pierwszym miejscu. Przez wszystkie te lata wyciągał informacje od moich techników. I to on zdradził nam sekret lokalizatorów Queng Ho.

- Ale miałaś dwadzieścia lat, żeby je zbadać.

Annę zmarszczyła brwi.

- Ich zachowanie jest niezwykle złożone, do tego dochodzą kwestie budowy fizycznej. Daj mi jeszcze trzy lub cztery lata.

Nau zerknął na Brughla.

- Twoje zdanie?

Wicegrupmistrz uśmiechnął się szeroko.

- Już to przerabialiśmy. Trinli jest użyteczny, a my mamy na niego ha-ka. To spryciarz, ale nasz spryciarz.

To prawda. Trinli mógł wiele zyskać przy Emergentach i stracić jeszcze więcej, gdyby Queng Ho poznali kiedykolwiek jego zdradziecką przeszłość. Wachta po wachcie stary lis przechodził pomyślnie wszystkie testy Naua, i przez to stawał się także coraz bardziej przydatny. Analizując przeszłość, Nau przekonał się, że Trinli zawsze był niezwykle przebiegły. Oczywiście to stanowiło najsilniejszy dowód przeciwko niemu. *A niech to Plaga...*

- Dobrze. Ritser, chcę, żebyś razem z Annę ustawił wszystko tak, byśmy w razie potrzeby mogli natychmiast dopaść Trinlego i Vinha. Jau Xin musi pozostać żywy bez względu na okoliczności. A gdyby próbował zrobić coś głupiego, zawsze możemy przypomnieć mu o Ricie.

VERNORVINGE

- A co z Qiwi Lisolet? - Twarz Ritsera pozostawała obojętna, grupmistrz wiedział jednak, że pod tą maską kryje się uśmiezek satysfakcji.

- Och, jestem pewien, że Qiwi wkrótce wszystkiego się domyśli; będziemy musieli czyścić jej pamięć jeszcze kilkakrotnie, nim dojdzie do ostatecznego kryzysu. - Jeśli jednak dopisze im szczęście, będą mogli wykorzystywać ją do samego końca. - No dobrze. To były szczególne wypadki, ale jeśli będziemy mieli pecha, prawie każdy domyśli się prawdy. Dlatego nadzór i gotowość do natychmiastowej akcji są teraz naszymi priorytetami. - Skinął głową na wicegrupmistrza. - Zapowiada się trudny i pracowity rok. Handlarze to kompetentni, energiczni ludzie. Będziemy potrzebowali ich wszystkich aż do rozpoczęcia akcji - i wielu z nich, kiedy już ją zakończymy. Zrezygnujemy z ich pomocy tylko podczas samego przejścia. Wtedy pozostaną tylko obserwatorami.

- A my opowiemy ich historyjkę o tym, jak bardzo staraliśmy się zapobiec wojnie pomiędzy Pająkami. - Ritser uśmiechnął się zadowolony z tego wyzwania. - Podoba mi się to.

Przygotowali ogólny plan. Annę i jej fiksaci mieli zająć się szczegółami. Ritser miał rację; to było trudniejsze niż Masakra Diema. Z drugiej strony, jeśli uda im się utrzymać tę iluzję do samego przejścia... to może wystarczyć. Kiedy przejmie już kontrolę nad Arachną, będzie mógł wybierać spośród Pająków i Queng Ho, zatrzymywać tylko tych najlepszych z obu światów. Potem pozbędzie się reszty. Ta perspektywa była chłodną oazą na krańcu jego długiej podróży.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Znów ogarnęła ich Ciemność. Hrunknier niemal czuł na ramionach ciężar tradycyjnych wartości. Dla tradycjonalistów - a w głębi serca zawsze do nich należał - był czas narodzin i czas śmierci; rzeczywistość zawierała się w cyklach. A największym cyklem był zawsze cykl słońca.

Hrunknier przeżył już dwie Jasności. Był starym koberem. Gdy nastąpiła poprzednia Ciemność, czuł się jeszcze młody. Toczyła się wtedy wojna, nikt nie wiedział, czy ich kraj przetrwa do następnej Jasności. A teraz? Na całym świecie dochodziło do mniejszych wojen. Nie wybuchła jednak ta największa. Gdyby tak się stało, część odpowiedzialności spadłaby na Hrunkniera. A gdyby miało do niej nie dojść - cóż, lubił myśleć, że i to jest po części jego zasługą.

Tak czy inaczej wielkie cykle należały już do przeszłości. Hrunknier skinął na kaprała, który otworzył przed nim drzwi. Wyszedł na pokryte szronem kamienie. Nosił ciężkie buty, dodatkowe narzuty i rękawy. Mróz gryzł go w czubki rąk, palił drogi oddechowe, choć używał ogrzewacza powietrza. Wzgórza otaczające Princeton chroniły miasto przed największymi opadami śniegu; dzięki temu oraz dzięki położeniu w głębokiej doli-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nie rzeki Princeton odradzało się cykl po cyklu. To było jednak późne popołudnie letniego dnia, a Hrunchner musiałby się mocno natrudzić, by odszukać na niebie błady dysk słońca. Świat pożegnał już łagodne Lata Gasięcia, a nawet Wczesną Ciemność. Stał teraz na krawędzi termicznego załamania, coraz słabsze burze krążące w atmosferze wyciągały z powietrza resztki wody - otwierając drogę jeszcze większym mrozom i ostatecznej martwocie.

Podczas poprzednich pokoleń wszyscy prócz żołnierzy byłiby już w swoich otchłaniach. Nawet podczas jego generacji, w trakcie Wielkiej Wojny, tylko najbardziej wytrwali wojownicy walczyli jeszcze w tunelach. Tym razem - cóż, dokoła aż roilo się od żołnierzy. Hrunchner miał własną eskortę wojskową. Nawet ochroniarze wokół domu Underhilla nosili teraz mundury. Lecz nie byli to strażnicy strzegący rezydencji przed złodziejami zapasów. W Princeton roilo się od ludzi. Nowe osiedla Czasów Ciemności były zajęte do ostatniego miejsca. Miasto żyło intensywniej niż kiedykolwiek.

A nastroje? Strach bliski paniki, dziki entuzjizm, często jednocześnie u tych samych ludzi. Interesy kwitły. Zaledwie dwa dni wcześniej Prosperity Software zakupiło pakiet kontrolny akcji Banku Princeton. Bez wątpienia przejęcie to poważnie nadwątlilo rezerwy finansowe Prosperity i rzuciło ich na zupełnie nieznane wody - skąd programiści mieli znać się na bankowości? Było to szalone przedsięwzięcie, a jednocześnie odzwierciedlało ducha tych czasów.

Ochroniarze Hrunchnera musieli przepychać się przez tłum przed wejściem do Domu na Wzgórzu. Nawet na granicach wytyczonych przez ochronę stali reporterzy z małymi, czterobarwnymi kamerami zawieszonymi pod balonami z helem. Nie mieli pojęcia, kim jest Hrunchner, widzieli jednak strażników i kierunek, w którym zmierza.

- Proszę pana, czy może nam pan powiedzieć...

- Czy Zjednoczona Republika Południa zerwie traktaty? -Ten pociągnął za sznurek balonu, ściągając kamerę tak, że zawisła tuż nad oczami Hrunchnera.

Unnerby ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko zwykłym sierżantem. - Rzeczywiście, nadal był sierżantem, lecz w jego przypadku ranga nie miała żadnego znaczenia. Unnerby był jedną z tych tajemniczych postaci bez rangi i nominalnej władzy, które miały na swe usługi całą maszynę wojskowej biurokracji. Jako młody człowiek stykał się czasem z takimi ludźmi. Wydawali mu się równie odlegli i nieosiągalni jak sam Król. Teraz... teraz był tak zajęty, że musiał liczyć każdą minutę wizyty u przyjaciela, dbając, by odwiedziny nie zaburzyły napiętego harmonogramu, od którego mogły zależeć fosa kraju.

Oświadczenie powstrzymało reporterów na tyle skutecznie, że jego zespół zdążył wybiec na górę schodów. Mimo to nie mógł liczyć, że o nim

VERNORVINGE

zapomną. Unnerby widział, jak reporterzy znów gromadzą się pod schodami. Jutro jego nazwisko znajdzie się już na ich liście. Ach, gdzież te czasy, kiedy wszyscy myśleli, że Dom na Wzgórzu jest tylko placówką uniwersytetu. W ostatnich latach nie udało się zachować tajemnicy. Prasa uważała, że wie teraz wszystko o Sherkanerze.

Za drzwiami z pancernego szkła nie było już intruzów. Nagle zrobiło się cicho i zdecydowanie za ciepło na kurtki i nogawice. Kiedy Unnerby ściągał ubranie, zobaczył Underhilla i jego robaka przewodnika stojących tuż za rogiem, poza zasięgiem wzroku reporterów. Dawniej Sherk wyszedłby przed dom, by go przywitać. Nawet kiedy był u szczytu swej radiowej sławy, bez wahania wychodził na zewnątrz. Teraz jednak to ochrona dyktowała mu, co ma robić.

- Witaj Sherk, przyjechałem. - *Zawsze przyjeżdżam, kiedy mnie wzywasz.* Przez dziesięciolecia każdy nowy pomysł Sherka wydawał się bardziej szalony od poprzedniego - i raz za razem zmieniał świat. Powoli jednak zmieniał się i sam Sherk. Generał przekazała mu pierwsze ostrzeżenie, w Calorice, pięć lat temu. Potem pojawiały się plotki. Sherkaner wycofał się z aktywnych badań. Najwyraźniej jego prace nad antygravitacją utknęły w martwym punkcie, a tymczasem Kindred wystrzelili kolejne satelity, na miłość Boską!

- Dzięki, Hrunk. - Uśmiechnął się szybko, nerwowo. - Junior powiedział mi, że będziesz w mieście i...

- Mała Victory? Jest tutaj?

- Tak! Gdzieś w budynku. Spotkasz się z nią. - Sherk poprowadził Hrunknera i jego ochroniarzy w głąb korytarza, opowiadając po drodze o Małej Victory i innych dzieciach, o badaniach Jirliba i podstawowym szkoleniu najmłodszej dwójki. Hrunkner próbował wyobrazić sobie, jak teraz wyglądają. Minęło siedemnaście lat od porwania... odkąd po raz ostatni widział kobliki.

Tworzyli dziwaczny pochód zmierzający w dół holu; robak przewodnik prowadził Sherkanera, ten zaś Unnerby'ego i jego ochroniarzy. Underhill miał tendencję do skręcania w lewo, Mobiy musiał więc stale naprowadzać go na właściwy kierunek. Boczna dysbadyzja Sherka nie była chorobą umysłową; podobnie jak drżenie kończyn stanowiła zaburzenie nerwowe. Spacer w Ciemności uczynił z niego jeszcze jedną ofiarę Wielkiej Wojny. Teraz Sherk wyglądał i mówił jak ktoś starszy o jedno pokolenie.

Sherkaner zatrzymał się przy windzie; Unnerby nie widział jej tutaj podczas poprzednich wizyt..

- Patrz teraz, Hrunk... Naciśnij dziewiątkę, Mobiy. - Robak wyciągnął jedną ze swych długich, owłosionych przednich nóg. Przez sekundę trzymał ją w powietrzu, niezdecydowany, potem wcisnął guzik z cyfrą „9” przy drzwiach windy. - Mówią, że żadnego robaka nie można nauczyć li czyć. Mobiy i ja pracujemy nad tym.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Hrunkner zostawił swą asystę przy drzwiach, Tylko we dwójkę -w trójkę, licząc Mobyia - wyjechali na górę. Sherkaner wyraźnie się odprężył, drżenie nieco zelżało. Poklepał Mobyia po grzbiecie, zwalnając nieco smycz.

- To, co chcę ci powiedzieć, musi zostać tylko między nami, sierzancie. Unnerby zamienił się w słuch.

- Moi asystenci to ludzie godni zaufania, Sherk. Widzieli rzeczy, których...

Underhill podniósł rękę. Jego oczy błyszczały w świetle lampy. Te oczy wydawały się pełne tego samego geniuszu, który niegdyś nieustannie zaskakiwał Hrunka.

- To jest... coś innego. To coś, co chciałem powiedzieć ci już dawno. Teraz sytuacja jest już tak napięta...

Winda zwolniła i zatrzymała się, drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Sherkaner wywiózł ich na sam szczyt wzgórza.

- Mam tu swoje biuro. Kiedyś używała go Junior, ale teraz została powołana do wojska i wspinałomyślnie zgodziła się mi je odstąpić!

Korytarz znajdował się kiedyś na dworze; Hrunkner pamiętał go jako ścieżkę z widokiem na mały park dla dzieci. Teraz przejście okrywało grube szkło, dość silne, by utrzymać ciśnienie nawet wtedy, kiedy atmosfera ulegnie zestaleniu.

Zaszumiały cicho silniki elektryczne, a drzwi rozsunęły się przed nimi na boki. Sherkaner zaprosił przyjaciela do środka. Z wysokich okien rozciągał się widok na miasto. Mała Victory miała bardzo przyjemny pokój, teraz zamieniony w rupieciarnię Sherkanera. W rogu stał pocisk przeobiony na dom dla lalek i grzęda dla Mobyia. Najwięcej miejsca zajmowały jednak obudowy procesorów i wysokiej jakości monitory. Wyświetlane na nich obrazy ukazywały pejzaże z Mountroyal w kolorach, które Hrunk widział dotąd tylko w naturze. A mimo to obrazy te wydawały się surrealistyczne; ocienione leśne doliny z kraciatymi półtonami. Śnieżna burza i erupcja góry lodowej, wszystko w kolorach lawy. To było graficzne szaleństwo... głupia wideomancja. Hrunkner zatrzymał się i machnął na monitory.

- Jestem pod wrażeniem, ale te obrazy chyba nie są dobrze wykalibrowane, Sherk.

- Och, są, i to bardzo dobrze... - Sherk wszedł na grzędę i patrzył przez chwilę na obrazy. - He. Te kolory rzeczywiście są dziwne; po jakimś czasie przestajesz zwracać na to uwagę... Hrunkner, czy nie wydawało ci się nigdy, że nasze obecne problemy są poważniejsze niż powinny?

- Skąd miałbym to wiedzieć? Wszystko jest teraz nowe. - Unnerby westchnął ciężko. - Tak, wydaje się, że cały świat zmierza prosto do piekła. Ta historia z Południem to spełnienie naszych najgorszych koszmarów. Mają broń jądrową, co najmniej dwieście głowic, i systemy naprowadzające. Doprowadzili się do bankructwa, próbując dotrzymać kroku bogatszym państwom.

VERNOR VINGE

- Doprowadzili się do bankructwa tylko po to, by zabić całą resztę? Trzydzieści pięć lat temu Sherk ogarniał całą sytuację, przynajmniej w ogólnym zarysie. Teraz zadawał głupie pytania.

- Nie - odparł Unnerby, niemal udzielając mu wykładu. - Przynajmniej nie tak to się zaczęło. Próbowali stworzyć przemysłową i rolniczą bazę, która mogłaby pozostać aktywna przez całą Ciemność. Nie udało im się. Mają jedynie dość środków, by utrzymać kilka miast i jedną czy dwie dywizje wojska. W tej chwili na Południu jest tak zimno, jak w reszcie świata będzie dopiero za pięć lat. Na biegunie południowym już powstają suche huragany. - Republika Południa nigdy nie była dobrym miejscem do życia; jedynie przez kilka lat Środkowej Jasności panowały tam warunki umożliwiający uprawę roli. Kontynent ten krył jednak ogromne złoża mineralne. Przez ostatnie pięć pokoleń Południowcy wykorzystywali północne korporacje górnicze, z każdym cyklem na coraz większą skalę. Lecz podczas tego pokolenia na Południu powstało suwerenne państwo, którego władcy bardzo obawiali się Północy i nadchodzącej Ciemności. - Wydali tyle na próby stworzenia elektrowni jądrowych, że nie mają nawet zapasów w swoich otchłaniach.

- A Kindred torpeduje wszelkie próby porozumienia.

- Oczywiście. - Pedure była geniuszem. Morderstwa, szantaż, umiejętność podsycania lęków i fobii. Mistrzini wszelkich odmian zła. Teraz rząd Południa uznał, że to Akord planuje napaść na nich podczas Ciemności.

- Dziennikarze mają rację, Sherk. Południowcy mogą nas zaatakować.

Hrunkner spojrział poza kolorowe monitory Sherkanera. Rozciągał się stąd widok na całe Princeton. Niektóre budynki - takie jak Dom na Wzgórzu - nadawały się do zamieszkania przez całą Ciemność, nawet wtedy, gdy powietrze ulegało kondensacji. Mogły utrzymać ciśnienie, miały też odpowiednio przygotowane łącza zasilające. Większość miasta kryła się pod ziemią. Wymagało to piętnastu lat budowlanego szaleństwa, ale teraz wszystkie miasta Akord były przygotowane do Ciemności, a ich mieszkańcy mogli prowadzić normalne życie. Żyli jednak tuż pod powierzchnią; wojna jądrowa zabiłaby wszystkich w ciągu kilku minut. Przedsiębiorstwa, w których tworzeniu miał swój udział Hrunkner, czyniły cuda... *.A teraz jesteście narażeni na klęskę bardziej niż kiedykolwiek.* Potrzebowali kolejnych cudów. Hrunkner i miliony innych zmagali się z tymi niemożliwymi do spełnienia żądaniami. Przez ostatnie trzydzieści dni Hrunkner sypiał po trzy godziny na dobę. By spełnić prośbę Underhilla i przyjechać doń z wizytą, musiał zrezygnować z jednego spotkania i jednej inspekcji. *Przyszedłem tu, bo jestem lojalny... czy może mam nadzieję, że Sherk uratuje nas wszystkich?*

- Czy nie myślałeś kiedyś, że może... że może ktoś inny jest odpowiedzialny za nasze problemy?

- Do diabła, Sherk, niby kto?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sherkaner usadowił się lepiej na grzędzie i przyciszonym głosem powiedział szybko:

- Obcy z zewnętrznej przestrzeni. Są tutaj od Nowego Słońca. Wi dzieliśmy ich w Ciemności, Hrunknier. Te światła na niebie, pamiętasz?

Mówił dalej, tonem tak niepodobnym do tonu Underhilla z dawnych czasów. Underhill sprzed lat przedstawiał swe teorie z przebiegłą lub wyzywającą miną. Teraz mówił w pośpiechu, jakby bał się, że ktoś go powstrzyma... albo mu zaprzeczy? Ten Underhill mówił jak człowiek... zdeperowany, chwytający się fantazji.

Po chwili Sherk zrozumiał, że stracił swoją publiczność.

- Nie wierzysz mi, prawda, Hrunk?

Hrunknier skulił się na swojej grzędzie. Jakie środki utopiono już w tej straszliwej bzdurze? Istnienie innych światów - życia na innych światach - było jednym z najstarszych, najbardziej szalonych pomysłów Underhilla. Teraz, po latach milczenia, znów do niego wracał. Hrunk znał dobrze generał Smith, wiedział, że zareagowałaby na te opowieści podobnie jak on. Świat stał na krawędzi katastrofy. Nie było czasu ani miejsca na spełnianie zachcianek biednego Sherkanera. Z pewnością generał nie pozwalała, by zawracał jej głowę głupstwami.

- To jak wideomancja, prawda, Sherk? - *Przez całe życie czyniłeś cuda. Teraz potrzebujesz ich bardziej niż kiedykolwiek. A jedyne, co ci zostało, to zabobony.*

- Nie, nie, Hrunk. Wideomancja to tylko środek, przykrywka, by obcy się nie zorientowali. Pokażę ci coś! - Ręce Sherkanera uderzały w klawiaturę. Obrazy na monitorach zadrżały, zaczęły zmieniać się kolory. Na jednym z krajobrazów zima zastępowała powoli lato. - To zajmie tylko chwilę. - Underhill przechylił głowę w stronę maleńkich monitorów, niewidocznych dla Hrunkniera. Jego ręce stukały niecierpliwie w klawiaturę. - Ty bardziej niż ktokolwiek zasługujesz, by o tym wiedzieć, Hrunk. Zrobiłeś dla nas tak wiele - mógłbyś zrobić znacznie więcej, gdybyśmy cię wcześniej wtajemniczyli. Ale generał...

Obraz na monitorze zmieniał się coraz szybciej, pejzaż zniknął w chaosie barw. Minęło kilka sekund.

Nagle Sherkaner wydał z siebie okrzyk zdumienia i rozczarowania.

Obraz widoczny na monitorze był rozpoznawalny, choć obejmował mniejsze pasmo niż poprzednio. Wyglądało to na standardowy ośmiobarwny strumień wideo. Mieli przed sobą widok z kamery umieszczonej w biurze Victory Smith w Dowództwie Lądowym. Po sekundzie mogli się przekonać, że choć nie najlepszej jakości, był to całkiem rzeczywisty obraz; generał Smith patrzyła na nich zza swojego biurka. Wokół niej piętrzyły się papiery. Gestem wyprosiła z pokoju swego asystenta i ponownie spojrzała na Underhilla i Unnerby'ego.

- Sherkaner... przyprowadziłeś Hrunkniera Unnerby'ego do swojej pracowni. - Mówiła ostrym, gniewnym głosem.

VERNORVINGE

- Tak, ja...

- Myślałam, że już o tym rozmawialiśmy, Sherkaner. Możesz bawić się swoimi zabawkami, ile tylko chcesz, ale nie przeszkadzaj ludziom, którzy mają prawdziwą pracę do wykonania.

Hrunkner nigdy nie słyszał, by generał używała takiego tonu w rozmowie z Underhillem. Oddałby wszystko, byle nie być świadkiem tej roznfowy.

Underhill jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Kręcił się na grzędzie, składał ręce w błagalnym geście. Wreszcie wyjąkał:

- Tak, kochanie.

Generał Smith skinęła głową i zwróciła się do Hrunknera.

- Przepraszam za kłopot, sierżancie. Jeśli potrzebuje pan transportu...

- Dziękuję, pani generał, niewykluczone, że będę musiał skorzystać z tej propozycji. Skontaktuję się z lotniskiem i oddzwonię do pani.

- Dobrze. - Obraz z Dowództwa Lądowego zniknął.

Sherkaner pochylił głowę i oparł ją na konsoli. Ręce i nogi trzymał nieruchomo przyciągnięte do siebie. Robak przysunął się bliżej, trącił go pytająco.

Unnerby podszedł do niego.

- Sherk? - spytał cicho. - Wszystko w porządku? Underhill milczał przez chwilę. Potem podniósł głowę.

- Nic mi nie będzie. Przepraszam, Hrunk.

- Ja... um, Sherk... muszę już iść. Mam ważne spotkanie... - Nie było to do końca prawdą. Tak czy inaczej nie zdążyłby ani na spotkanie, ani na inspekcję. Prawda przedstawiała się tak, że miał wiele innych ważnych spraw do załatwienia. Dzięki pomocy Smith być może uda mu się wy dostać z Princeton dość szybko, by nadgonić harmonogram.

Underhill zszedł niezdarnie ze swojej grzędy i pozwolił, by Mobiy prowadził go za sierżantem. Kiedy rozsunęły się przed nimi drzwi, Sherkaner wyciągnął rękę i lekko pociągnął Hrunknera za rękaw. *Znów jakieś bzdury?*

- Nigdy się nie poddawaj, Hrunk. Zawsze jest jakieś wyjście, jak dawniej. Zobaczysz.

Unnerby skinął głową, wymamrotał jakieś przeprosiny i uciekł z pokoju. Kiedy szedł oszklonym korytarzem w stronę windy, Sherkaner stał z Mobiyem przy wejściu do swej pracowni. Dawniej odprowadziłby go na dół, do samego wyjścia. Teraz jednak jakby zrozumiał, że coś się między nimi zmieniło. Kiedy zamykały się drzwi windy, Unnerby widział, jak jego stary przyjaciel uśmiecha się doń nieśmiało.

Potem zniknął mu z oczu, a winda ruszyła w dół. Unnerby poddał się na moment smutkowi i wściekłości. Zabawne, jak często te dwa uczucia łączą się ze sobą. Słyszał różne plotki o Sherkanerze, wołał im jednak nie dowierzać. Podobnie jak Sherkaner chciał, by pewne rzeczy były prawdą i ignorował objawy świadczące o czymś przeciwnym. W odróżnieniu od

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Sherka Hrunchner Unnerby nie umiał ignorować ich obecnej sytuacji. Tak więc ten najgorszy kryzys trzeba będzie rozwiązać bez Sherkanera Underhilla...

Unnerby próbował uciec myślami od Sherkanera. Miał nadzieję, że nadejdzie jeszcze chwila, kiedy wspomni lepsze czasy, a nie to popołudnie. Na razie... gdyby wyleciał wkrótce z Princeton, zdążyłby jeszcze spotkać się w Dowództwie Lądowym ze swoimi zastępcami.

Na poziomie starego parku koblików winda zwolniła. Unnerby myślał, że to prywatna winda Sherkanera. Kto to mógł być?

Drzwi rozsunęły się powoli...

- No proszę! Sierżant Unnerby! Mogę się do pana przyłączyć?

Młoda porucznik, ubrana w kwatermistrzowski kombinezon. Victory Smith młodsza o kilkadziesiąt lat. Rزتaczała wokół siebie tę samą radosną aureę, jej ruchy miały w sobie ten sam wdzięk. Przez moment Unnerby wpatrywał się w osłupieniu w ducha za drzwiami.

Zjawą wkroczyła do windy, a Unnerby odruchowo cofnął się o krok, wciąż zszokowany. Potem młoda kobieta jakby zapomniała na moment o wojskowej postawie. Pochyliła nieśmiało głowę.

- Wujku Hrunck, nie poznajesz mnie? To ja, Viki, jestem tylko trochę starsza.

Oczywiście. Unnerby roześmiał się słabo.

- Ja... już nigdy nie nazwę cię Małą Victory.

Viki objęła go czule dwoma rękami.

- Nie. Tobie wolno. Coś mi się zdaje, że nigdy nie będę wydawać ci rozkazów. Tata mówił, że wpadniesz dziś do nas... Widziałeś się z nim? Masz chwilę, żeby ze mną porozmawiać?

Winda zwalniała przed przystankiem na poziomie foyer.

- Owszem... widziałem się z nim. Słuchaj, trochę się spieszę, muszę być jak najszybciej w Dowództwie Lądowym. - Po tym, co usłyszała na górze, po prostu nie wiedział, co mógłby powiedzieć Viki.

- Nie szkodzi. Ja też jestem do tyłu z czasem. Pojedziemy razem na lotnisko. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Z podwójną ochroną, oczywiście.

Porucznicy zarządzają czasem ochroną, ale rzadko bywają jej obiektem. Grupa Młodej Victory była mniej liczna, lecz - sądząc po wyglądzie - co najmniej równie kompetentna. Kilku strażników wyglądało na zaprawionych w boju weteranów. Facet na najwyższej grzędzie za kierowcą był jednym z największych żołnierzy, jakich Unnerby kiedykolwiek widział. Gdy weszli do samochodu, przywitał Unnerby'ego przyjaznym machnięciem ręki, zupełnie niepodobnym do wojskowego salutu. Ha! To był Brent!

- Więc co tata miał do powiedzenia? - Ton pytania był swobodny, Unnerby wyczuł w nim jednak pewien niepokój. Viki nie była doskona-

VERNOR VINGE

lym, nieprzeniknionym oficerem wywiadu. Uznałby to może za wadę, gdyby nie znał jej od czasów, kiedy miała jeszcze niemowlęce oczy. Tym trudniej przyszło mu wyznać prawdę.

- Musisz to wiedzieć, Viki. On nie jest już sobą. Mówi tylko o przybyszach z kosmosu i wideomancji. Dopiero generał kazała mu się zamknąć.

Młoda Victory milczała, lecz jej ramiona ściągnęły się w gniewnym grymasie. Przez moment myślał, że jest zła na niego. Potem usłyszał jednak, jak mruczy cicho:

- Stary uparciuch. - Westchnęła ciężko i przez chwilę jechali w milczeniu.

Ruch na powierzchni był niewielki, przeważały samochody koberów podróżujących pomiędzy poszczególnymi dzielnicami. Światła latarni rozsiewały dokoła kręgi błękitu, odbijały się od szronu pokrywającego rynnę i ściany budynków. Blask z wnętrza budynków przeświecał przez szron, przybierając zielony odcień tam, gdzie do lodu przyłgnęły płatki śnieżnego mchu. Kryształowe robaki rozrosły się w milionach na ścianach, ich korzenie bez ustanku szukały choć odrobiny ciepła. Tutaj, w Princeton, świat przyrody mógł przetrwać niemal do głębokiej Ciemności. Miasto ciągnące się dokoła i pod spodem było żywe i ciepłe. Za tymi ścianami i pod powierzchnią wszystko toczyło się intensywniej niż kiedykolwiek w historii Princeton. Nowe budynki dzielnicy handlowej rozsiewały blask z dziesiątek tysięcy okien, jakby pyszniąc się swoją mocą, kładąc pasy światła na starszych konstrukcjach... I nawet stosunkowo niewielki atak atomowy zabiłby tu wszystkich.

Viki dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam... za tatę.

Ona z pewnością wiedziała lepiej, jak nisko upadł Sherkaner.

- Jak długo już w tym siedzi? Pamiętam, jak zastanawiał się kiedyś nad istnieniem obcych istot w kosmosie, ale nigdy nie zajmował się tym poważnie.

Viki wzruszyła ramionami. Najwyraźniej wołałaby nie odpowiadać na to pytanie.

- ...Zaczął bawić się w wideomancję po porwaniu.

Już wtedy? Potem przypomniał sobie rozpacz Sherkanera, kiedy ten zrozumiał, że cała jego wiedza i pomysłowość nie mogą uratować dzieci. Rozpacz zasiała w nim ziarno szaleństwa.

- Dobrze, Viki. Twoja mama ma rację. Najważniejsze, żeby te bzdury nikomu nie przeszkadzały. Twój ojciec cieszy się miłością i podziwem wielu ludzi... - *łącznie ze mną, mimo wszystko.* - Nikt w to nie uwierzy, ale obawiam się, że znajdzie się wielu chętnych, którzy będą próbowali mu pomóc przesunąć środki, wykonać zaproponowane eksperymenty. Nie możemy sobie na to pozwolić, nie teraz.

- Oczywiście. - Viki zawahała się jednak na moment, wyprostowała

OTCHŁAŃ W NIEBIE

czubki rąk. Gdyby Unnerby nie znalazł jej jako dziecka, z pewnością by tego nie zauważył. Nie mówiła mu wszystkiego i czuła się zakłopotana tym oszustwem. Mała Victory była świetną klamczuchą, nie lubiła jednak robić tego, gdy czuła się winna.

- General spełnia jego zachcianki, prawda? Nawet teraz.

- ...Posłuchaj, to nic wielkiego. Kilka monitorów, kilka procesorów.

- Przetwarzających co? Bzdurne obliczenia Sherka? Może to nie miało znaczenia, może generał chciał w ten sposób zająć czymś swego męża i nie pozwolić, by przeszkadzał przy realizacji ważniejszych projektów. *Niech Bóg ma w swojej opiece tę biedną kobietę.* Victory Smith i Underhill tworzyli jedną całość; tracąc go, generał traciła część swojej duszy.

- Rozumiem. - Choćby Sherk wydawał na swoje fanaberie grube pieniądze, Hrunknier Unnerby i tak nie mógłby nic na to poradzić. Spojrzał na mundur Młodej Victory. Plakietka z nazwiskiem znajdowała się po drugiej stronie kołnierza Viki, poza zasięgiem jego wzroku. Nazywała się yictory Smith (ha, ciekawe, jak reagowałiby na to jej przełożeni!), Victory Underhill czy jak?

- No więc, poruczniku, jak ci się wiedzie w wojsku?

Viki uśmiechnęła się zadowolona ze zmiany tematu.

- To wielkie wyzwanie, sierżancie. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej. Szkolenie podstawowe było... hm, dobrze wiesz, jak to wygląda. Prawdę mówiąc, to właśnie sierżanci czynią z tego tak „czarujące” doświadczenie. Ale ja miałam pewną przewagę nad innymi; kiedy przechodziłam przez szkolenie podstawowe, prawie wszyscy rekruci byli z fazy, o wiele starsi ode mnie. Cha, cha. Nie miałam większych problemów, żeby wypaść dobrze w porównaniu z nimi. Teraz... cóż, widzisz, że to nie wygląda jak pierwsza placówka przeciętnego młodego oficera. - Ogarnęła gestem samochód i ochroniarzy wokół nich. - Brent jest teraz starszym sierżantem, pracujemy razem. Rhapsa i Mały Hrunk pójdą do szkoły oficerskiej, ale najpierw muszą przejść szkolenie. Może spotkamy się z nimi na lotnisku.

- Wszyscy pracujecie razem?«- Unnerby starał się ukryć zdumienie.

- Tak. Jesteśmy zespołem. Kiedy generał potrzebuje szybkiej inspekcji i absolutnego zaufania, wysyła naszą czwórkę. -Wszystkie dzieci przycz Jirliba. Na moment ta wiadomość pogłębiła jeszcze bardziej depresję Unnerby'ego. Zastanawiał się, co myślą sobie ludzie z otoczenia generał, kiedy widzą grupę jej dzieci grzebiących w ściśle tajnych dokumentach. Ale... Hrunknier Unnerby także zajmował się kiedyś wywiadem. Stary Strut Greenwał również kierował się własnymi zasadami. Król obdarzał szefa wywiadu specjalnymi prerogatywami. Wielu ludzi ze średniego szczebla wywiadu uważało to tylko za głupią tradycję, jeśli jednak Victory Smith uznała, że potrzebuje zespołu inspekcyjnego z własnej rodziny, to może rzeczywiście było to najlepsze rozwiązanie.

VERNOR VINGE

Na lotnisku Princeton panował chaos. Obsługa musiała radzić sobie z niesamowitą liczbą lotów, rejsowych i czarterowanych, drażono nowe sekcje lotniska. Generał Smith była jednak ponad tym; na Unnerby'ego czekał już odrzutowiec gotowy do lotu. Samochody Viki przepuszczono natychmiast do wojskowej części lotniska. Jechali ostrożnie po wyznaczonych pasach, pod skrzydłami kołujących samolotów. Niektóre pasy były rozdarte pracami budowlanymi, co kilkaset stóp otwierał się w ziemi ogromny dół. Do końca roku obsługa lotniska miała przeprowadzać wszystkie operacje właśnie spod ziemi. Za jakiś czas te urządzenia miały także służyć pojazdom latającym nowego typu, przystosowanym do braku powietrza i ekstremalnego zimna.

Viki wysadziła go przy odrzutowcu. Nie powiedziała, dokąd wybiera się tego wieczora. Unnerby przyjął to z zadowoleniem. Choć jej obecna sytuacja była naprawdę bardzo dziwna, Viki przynajmniej wiedziała, jak dochować tajemnicy służbowej.

Wyszła za nim na zewnątrz. Nie wiał wiatr, toteż Hrunknier zaryzykował spacer bez ogrzewacza powietrza. Każdy oddech palił go żywym ogniem. Było tak zimno, że widział obłoczki szronu otaczające odsłonięte stawy rąk.

Może Viki była zbyt młoda i zbyt jsilna, by to zauważyć. Odprowadziła go pod same drzwi samolotu, mówiąc bez ustanku. Gdyby nie wszystkie złe znaki związane z tą wizytą, spotkanie z Viki byłoby ogromną, niczym niezamąconą radością. Choć urodzona poza fazą wyrosła na prawdziwą piękność, cudowną inkarnację swej matki - przy czym twarda natura Smith została złagodzona w niej przez najlepsze cechy Sherkanera. Do diabła, może było tak właśnie dlatego, że urodziła się poza fazą! Porażony tą myślą, omal nie zatrzymał się na środku pasa startowego. Ależ tak, całe życie Viki toczyło się jakby z boku, pozwalało jej spojrzeć na różne sprawy z nowej perspektywy. To dziwne, ale patrząc na nią, jakby mniej obawiał się o przyszłość.

Viki odstąpiła na bok, kiedy dotarli do osłony przy jego odrzutowcu. Wyprostowała się i oddała mu prawdziwy żołnierski salut. Unnerby zrobił to samo. I wtedy zobaczył plakietkę z jej nazwiskiem.

t, - Cóż za interesujące nazwisko, poruczniku. Nie nazwa profesji, nie jakaś zapomniana otchłań. Gdzie...?

- Cóż, nazwisko mojej matki jest aż nazbyt popularne. Nikt też nie wie, z których Underhillów pochodzi mój tata. Ale spójrz za siebie... - Wskazała na jakieś miejsce.

Za nimi ciągnęło się lotnisko, setki jardów płaskiej powierzchni oznaczonej pracami budowlanymi. Viki wskazywała jednak wyżej, ponad nadrzeczną równinę. Wzdłuż horyzontu ciągnęły się światła Princeton, od błyszczących wież do podmiejskich wzgórz.

- Jakies pięć stopni na prawo od wieży radiowej. Widać to nawet stąd. - Wskazywała dom Underhilla. Był to najjaśniejszy punkt w tym

kierunku, wieża światła we wszystkich barwach, jakie mogły wytworzyć współczesne lampy fluorescencyjne.

- Tata dobrze zaprojektował nasz dom. Nie musieliśmy dokonywać prawie żadnych przeróbek. Nawet kiedy zamrażnie powietrze, jego światło nadal będzie tam, na wzgórza. Wiesz, co mówi tata; możemy iść w dół, coraz głębiej... albo stać na wysokich miejscach i sięgać dalej. Cieszę się, że właśnie tam dorastałam, i chcę, by to miejsce było moim nazwiskiem. - Podniosła plakietkę tak, by ta błyszczała w światłach samolotu. PORUCZNIK VICTORY LIGHTHILL. Lighthill, wzgórze światła. - Nie martw się, sierżancie. To, co rozpoczęliście z tatą i mamą, będzie trwało jeszcze przez długi czas.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Belga Undendlle miała już dość Dowództwa Łądowego. Spędzała tutaj co najmniej dziesięć procent swego czasu, a spędzałyby znacznie więcej, gdyby nie korzystała często z systemu telełączności. Pułkownik Underville była szefową wywiadu wewnętrznego od 60//15, ponad połowę minionej Jasności. Truizmem - przynajmniej w obecnych czasach - było twierdzenie, że koniec Jasności jest początkiem najkrwawszych wojen. Spodziewała się, że będzie ciężko, nie przypuszczała jednak, że aż tak.

Undendlle przyszła na spotkanie sztabu wcześniej niż zwykle. Denerwowała się tym, co musiała zrobić; nie miała zamiaru złościć szefowej, ale tak właśnie wyglądała jej petycja. Rachner Thract był już na miejscu, przygotowywał własne wystąpienie. Na ścianie za jego grzędą widniały ziarniste zdjęcia satelitarne w dziesięciu kolorach. Najwyraźniej znalazł kolejne wyrzutnie Południowców - kolejne dowody pomocy Kindred dla „potencjalnych ofiar zdrady Akord”. Thract skinął uprzejmie głową, kiedy Belga i jej asystenci zajęli miejsca. Pomiędzy wywiadem zewnętrznym i wewnętrznym zawsze dochodziło do jakichś tarć. Ci z zewnętrznego działali według zasad, które w wywiadzie wewnętrznym były nie do przyjęcia, zawsze jednak znaleźli jakąś wymówkę, by wkroczyć się tam, gdzie nikt ich nie potrzebował. Przez kilka ostatnich lat stosunki między Thract i Underville były wyjątkowo napięte. Odkąd jednak Thract pokpił sprawę w Republice Południa, stał się znacznie elastyczniejszy. Koniec świata może mieć swoje zalety, pomyślała Belga cierpko.

Underville przejrzała program spotkania. Boże, znów te głupoty. A może nie.

- Co myślisz o tych tajemniczych satelitach, Rachner? - Nie zamierzała wcale rozpoczynać w ten sposób kłótni; Thract nie powinien mieć kłopotów, gdy chodziło o obronę powietrzną.

Thract uniósł rękę w bezradnym geście.

VERNOR VINGE

- Po całym tym zamieszaniu Obrona Powietrzna przyznaje się tylko do trzech obserwacji. Obserwacje, niech mnie... Nawet teraz, kiedy we my już, jak Kindred wykorzystuje antygravitację, oni nadal nie potrafią ich namierzyć. Teraz dyrektor Obrony Powietrznej twierdzi, że Kindred ma jakąś wyrzutnię, o której nie wiemy. Szefowa każe mi ją teraz znaleźć... Cholera! - Undendlle nie wiedziała, czy było to krótkie podsumowanie jej go wypowiedzi, czy też zauważył coś irytującego w swoich notatkach. Tak czy inaczej, Thract nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Do sali wchodzili już kolejni członkowie sztabu; dyrektor Obrony Powietrznej, Dugway (usiadł jak najdalej od Rachnera Thracta), dyrektor Ofensywy Rakietowej, dyrektor ds. Kontaktów ze Społeczeństwem. Potem weszła sama szefowa, za nią zaś królewska minister finansów.

Generał Smith przywołała wszystkich do porządku i powitała oficjalnie ministra finansów. Teoretycznie minister Nizhnimor była jej jedynym zwierzchnikiem prócz samego Króla. W rzeczywistości Aberdon Nizhnimor od dawna bardzo się przyjaźniła z generałem Smith.

Pierwszym punktem zebrania były satelity, przy czym wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami Thracta. Obrona Powietrzna zbadała dokładniej dane z trzech obserwacji. Analizy komputerowe Dugwaya potwierdziły, że były to pojazdy Kindred, satelity rozpoznawcze albo nawet testy antygravitacyjnych pocisków manewrujących. Tak czy inaczej żadnego z nich nie zaobserwowano powtórnie. I żaden nie został wystrzelony ze znanych wywiadowi wyrzutni Kindred. Dyrektor Obrony Powietrznej domagał się stanowczo dokładnego rozpoznania nazimornego na terytorium Kindred. Jeśli nieprzyjaciel ma ruchome wyrzutnie, powinni jak najszybciej się o nich dowiedzieć. Underville obawiała się, że Thract wybuchnie, słysząc te niewybredne aluzje do kompetencji jego służb, lecz pułkownik z zaskakującym spokojem przyjął sarkazm dyrektora i nowe rozkazy generała Smith. Thract wiedział, że jest to najmniejszy z jego problemów; prawdziwy kłopot sprawi ostatni punkt dzisiejszego programu.

Następny głos zabrał dyrektor ds. Kontaktów ze Społeczeństwem.

- Przykro mi, ale nie damy rady przeprowadzić teraz Plebiscytu Wójjennego, a tym bardziej go wygrać. Ludzie są bardziej przerażeni niż kiedykolwiek, ale po prostu nie mamy na to czasu. - Belga skinęła głową. Nie potrzebowała jakiegoś mądrali, żeby to wiedzieć. Sam w sobie, rząd Króla był dość autokratycznym ciałem. Lecz przez ostatnie dziewięć pokoleń, od czasu konwencji Akord, jego władza cywilna została straszliwie ograniczona. Korona zachowała wyłączne prawo własności do swych dziedzicznych posiadłości, takich jak Dowództwo Lądowe, miała też ograniczone prawo do nakładania podatków, straciła jednak wyłączne prawo do drukowania pieniędzy czy też do wcielania swych poddanych do służby wojskowej. W czasie pokoju Przymierze działało wystarczająco skutecznie. Sądy finansowane były z systemu opłat, lokalne siły policyjne nie wiedziały, że nie mogą być zbyt pobłażliwe, jeśli chcą zachować jaką-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

kolwiek prawdziwą władzę. W czasie wojny... cóż, właśnie tego miał dotyczyć Plebiscyt - chodziło o zawieszenie Przymierza na pewien okres. Rozwiązanie takie okazało się skuteczne podczas Wielkiej Wojny. Tym razem wszystko działo się tak szybko, że sama dyskusja nad Plebiscytem mogła przyspieszyć wybuch wojny. A konflikt jądrowy trwałby zapewne nie dłużej niż jeden dzień.

Generał Smith cierpliwie wysłuchiwała tych komunałów. Potem przyszła kolej na sprawy wewnętrzne. Belga zdała krótkie sprawozdanie z obecnych zagrożeń w kraju. Wszystkie w pewnym stopniu kontrolowano. Najwięcej kłopotów mogły im sprawić mniejszości, które nie mogły pogodzić się z rozwojem techniki i zmianą sposobu życia. Niektórzy z tradycjonalistów na szczęście nie stanowili już zagrożenia, zahibernowani we własnych otchłaniach. Inni zakopali się w głębokich kryjówkach, wcale jednak nie zamierzali tam spać; ci właśnie niepokoiili wywiad wewnętrzny. Przedsięwzięcia budowlane zarządzane przez Hruncknera Unner-by'ego zdziałały nowe cuda. Nawet najstarsze miasta na północnym wschodzie miały już energię z elektrowni atomowych i - co równie ważne - osłoniętą, przystosowaną do życia przestrzeń.

- Ale oczywiście tylko niewiele tych miejsc jest opancerzonych. Na wet lekkie uderzenie atomowe zabiłoby większość tych ludzi, reszta zaś nie miałaby środków do przeprowadzenia skutecznej hibernacji. - Lwia część tych środków została wykorzystana do budowy elektrowni i podziemnych farm.

Generał Smith zwróciła się do pozostałych:

- Jakież uwagi?

Dyrektor ds. Kontaktów ze Społeczeństwem zaproponował wykup udziałów w przedsiębiorstwach zabezpieczonych przed uderzeniem jądrowym; planował już życie po końcu świata, chciwy cwaniaczek. Szefowa skinęła tylko głową i zaproponowała, by Belga z cwaniaczkiem zbadali bliżej ten problem. Potem skreśliła z programu zebrania raport wywiadu wewnętrznego, uznając tę sprawę za zamkniętą.

- Pani generał? - Belga Underville podniosła rękę. - Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę.

- Oczywiście, proszę.

Underville otarła nerwowo usta. Teraz nie mogła się już wycofać. Cholera. Gdyby tylko nie było tu ministra finansów.

- Ja... pani generał, do tej pory była pani bardzo, hm, wspaniałomyślna w zarządzaniu podrzędnymi operacjami. Pani zleca nam zadanie i po zwala je wykonywać. Byłam pani za to bardzo wdzięczna. Ostatnio jednak i - jak przypuszczam - często bez pani wiedzy ludzie z pani wewnętrznych służb składają niezapowiedziane wizyty... - nocne najazdy, tak należało by to nazwać - ...w placówkach podległych mojemu dowództwu.

Generał Smith skinęła głową.

- Zespół Lighthill.

VERNOR VINGE

- Tak jest, pani generał. - *Twoje własne dzieci. Rządzą się, jakby były inspektorami samego Króla.* Miały mnóstwo szalonych, irracjonalnych wymagań, likwidowały dobre projekty, wyrzucały niektórych spośród jej najlepszych ludzi. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, kazało Beldze przypuszczać, że szalony mąż szefowej nadal ma na nią duży wpływ. Belga przysiadła niżej na swojej grzędzie. Nie musiała mówić już nic więcej. Victory Smith знаła ją dość dobrze, by zrozumieć, że jest zirytowana.

- Czy porucznik Lighthill znalazła podczas tych wizyt coś istotnego?

- W jednym przypadku. - Jeden dość poważny problem, na który Belga z pewnością natrafiłaby sama w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Widziała, że większość zgromadzonych przy stole ludzi jest zaskoczonych jej skargą. Dwoje skinęło lekko w jej stronę. Thract nerwowo wystukiwał na stole jakiś szalony rytm; wydawało się, że zaraz sprowokuje kłótnię. Nikt nie dziwił się temu, że to właśnie jego służby stały się celem działań nepotycznej załogi Smith, ale *na miłość Boską, niech trzyma głowę na kłódkę.* Thract już miał tak kiepskie notowania, że jego wsparcie tylko pogorszyłoby jej sytuację.

Szefowa przechyliła lekko głowę, milczała uprzejmie przez chwilę, czekając na komentarze innych. Wreszcie przemówiła:

- Pułkownikowi Underville, rozumiem, że pani ludzie mogą czuć się urażeni. Znajdujemy się jednak w bardzo trudnej sytuacji,*nacznie trudniejszej niż otwarta wojna. Potrzebuję specjalnych asystentów, ludzi, którzy mogą działać bardzo szybko i z którymi doskonale się rozumiem. Ze spół Lighthill działa bezpośrednio dla mnie. Proszę dać mi znać, jeśli ich zachowanie przekroczy ustalone normy, lecz proszę także, by szanować nadane im przeze mnie uprawnienia. - Wydawało się, że mówi ze szczerym żalem, ale jej słowa były jednoznaczne; Smith zmieniała ustalone od dziesięcioleci sposoby postępowania. Belga miała wrażenie, że szefowa wie o wszystkich postępach jej koblików.

Do tej pory minister finansów wyglądała na znudzoną. Nizhnimor była bohaterką wojenną; szła przez Ciemność ze Sherkanerem Underhillem. Patrząc na nią, można było łatwo o tym zapomnieć; Aberdon Nizhnimor przez wszystkie dekady tego pokolenia wspinała się po szczeblach dworskiej kariery, jako polityk i jako arbiter. Ubierała się i poruszała jak stara idiotka; Nizhnimor wyglądała jak gazetowa karykatura ministra finansów. Wielka, chuda, słabowita. Teraz pochyliła się do przodu. Jej dychwiczny głos wydawał się równie nieszkodliwy jak ona.

- Obawiam się, że ta sprawa wykracza nieco poza moje kompetencje, ale mam pewną radę. Choć nie możemy przeprowadzić Plebiscytu, praktycznie jesteśmy już w stanie wojny. Normalne schematy działań administracyjnych zostają zawieszane. Ze względu na tę niezwykłą sytuację powinniście państwo zdawać sobie sprawę, że zarówno ja, jak i - co ważniejsze - Król darzymy generał Smith pełnym zaufaniem. Wszyscy wiecie, że

OTCHŁAŃ W NIEBIE

szef wywiadu ma specjalne prerogatywy. Panie i panowie, to nie jest jakaś niemodna, przebrzmiała tradycja. To przemyślana, rozważna polityka Króla i wszyscy państwo musicie ją zaakceptować.

Ha. Miała swoją „słabowitą” minister finansów. Wszyscy zgromadzeni wokół stołu kiwali poważnie głowami. Nikt - a szczególnie Belga Underville - nie miał już nic do dodania. W pewien sposób Belga poczuła się lepiej, otrzymawszy tak radykalną i jednoznaczną odpowiedź. Być może wszyscy zmierzali prosto do piekła, ale ona nie musiała się martwić tym, kto siedzi na grzędzie kierowcy.

Po chwili generał Smith wróciła do porządku zebrania.

- Został nam jeszcze jeden punkt. To także najważniejszy problem, przed jakim obecnie stoimy. Pułkowniku Thract, zechce pan opowiedzieć nam o sytuacji w Republice Południa? - Smith mówiła uprzejmym, nie mały przyjacielskim tonem, ale tak czy inaczej biedny Thract został przy party do muru.

Młody pułkownik pokazał jednak, że nie poddaje się tak łatwo. Zeskoczył z grzędy i dziarskim krokiem wmaszerował na podium.

- Pani minister. Generale. - Skinął głową Nizhnimor i szefowej. - Uważamy, że sytuacja ustabilizowała się nieco w ciągu ostatnich piętna stu godzin. - Odwrócił się do zdjęć, która Belga zauważyła jeszcze przed spotkaniem. Większość Południa kryła się pod wirem śnieżnej burzy, lecz wyrzutnie rozmieszczono wysoko w Górach Suchych i widać je nawet przy tak złej pogodzie. Thract odwrócił się do zdjęć i przeszedł do omówienia aktualnej sytuacji. - Rakiety dalekiego zasięgu Południowców napędza ne są płynnym paliwem, to bardzo delikatne urządzenia. Od kilku dni ich parlament wydaje się wręcz irracjonalnie agresywny, weźmy choćby Ul timatum Wspólnego Przetrawiania, ale sądzimy, że w rzeczywistości nie więcej niż jedna dziesiąta ich rakiet jest gotowa do wystrzelenia. Potrzebują trzy do czterech dni, żeby napełnić wszystkie zbiorniki.

- To czysta głupota z ich strony - mruknęła Belga.

Thract skinął głową.

- Pamiętajmy jednak, że system parlamentarny znacznie opóźnia ich reakcje, nie mogą działać tak szybko jak my czy Kindred. Ci ludzie zostali otumanieni, wmówiono im, że muszą rozpocząć teraz wojnę albo zostaną wymordowani w czasie snu. Ultimatum pojawiło się może za wcześnie, ale był to także celowy zabieg części parlamentarzystów, którzy chcieli tak wystraszyć swych kolegów perspektywą wojny, by ci jak najszybciej się wycofali.

- Więc uważa pan, że wojna z pewnością nie wybuchnie do czasu, aż wszystkie zbiorniki zostaną napełnione? - odezwał się dyrektor Obrony Powietrznej.

- Tak. Decydujące będzie spotkanie parlamentu za cztery dni. Wtedy właśnie będą dyskutować nad naszą odpowiedzią na Ultimatum. Jeśli im taką damy, oczywiście.

VERNOR VINGE

Cwaniaczek od Kontaktów ze Społeczeństwem spytał:

- Dlaczego po prostu nie spełnić ich żądań? Nie chcą przecież na szego terytorium. Jesteśmy tak silni, że uznanie ich pretensji może nas kosztować jedynie utratę części prestiżu.

Ze wszystkich stron stołu dobiegły pomruki oburzenia. Generał Smith odpowiedziała w tonie znacznie łagodniejszym, niż zasługiwało na to pytanie:

- Niestety, nie jest to tylko kwestia prestiżu. Republika Południa domaga się, byśmy osłabili kilka naszych armii. Prawdę mówiąc, wątpię, czy to zapewniłoby większe bezpieczeństwo Południowcom uspionym w otchłaniach - z pewnością jednak zwiększyłoby szanse Kindred na zwycięstwo przy pierwszym dużym ataku.

- Rzeczywiście - wtrącił się Chezny Neudep, dyrektor Ofensywy Rakietowej. - Południowcy są teraz jedynie marionetkami Kindred. Pedu-re i jej krwiopijcy muszą być zadowoleni. Bez względu na to, jak skończy się ta awantura, oni wygrają.

- Może nie - odparła minister Nizhnimor. - Znam wielu wysoko postawionych Południowców; nie są podli, szaleni ani niekompetentni. W tej chwili jest to przede wszystkim kwestia zaufania. Król gotów jest polecić do Gwiazdy Południa na następne zebranie Parlamentu Republiki i pozostać tam do końca sesji. Trudno wyobrazić sobie większą manifestację zaufania z naszej strony. Myślę, że Południowcy rozumieją to i zaakceptują, bez względu na to, czego życzy sobie Pedure.

Oczywiście, od tego właśnie byli królowie. Mimo to oświadczenie minister szokowało zgromadzonych, nawet stary zabijaka Neudep wydawał się zdumiony.

- Pani wybaczy... Wiem, że Król władny jest dokonywać takich rzeczy, nie zgodzę jednak z twierdzeniem, że jest to tylko kwestia zaufania. Oczywiście wiele ważnych stanowisk w Republice zajmują ucziwi, godni szacunku ludzie. Rok temu Południe było niemal naszym sprzymierzeńcem. Mieliśmy sympatyków na wszystkich szczeblach rządowych. Pułkownik Thract powiedział nam, że mieliśmy, mówiąc bez ogródek, szpiegów we wszystkich kluczowych instytucjach. Myślę, że gdyby nie to, generał Smith nie wspierałaby rozwoju technicznego Południa... Lecz w ciągu niecałego roku straciliśmy tam wszystkie wpływy. ZRP to w tej chwili państwo całkowicie infiltrowane przez Kindred. Nawet jeśli w parlamencie zasiadają prawie wyłącznie ucziwi i rozsądni ludzie, to nie ma to znaczenia. Pańska analiza, pułkowniku?

Czas krytyki. Ostatnio była to stała część każdego spotkania sztabu i za każdym razem Thract obrywał coraz mocniej.

Thract uklonił się lekko w stronę starego zabijaki.

- Pańska ocena jest, ogólnie rzecz biorąc, prawidłowa, choć nie widzę szczególnej infiltracji sił rakietowych Południa, per se. Mieliśmy tam przyjazny rząd, „sterowany” do pewnego stopnia przez agentów Akord. Po-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

tem, krok po kroku, traciliśmy grunt. Najpierw były to przechwycone meldunki, potem śmiertelne wypadki, później zabójstwa, którym nie zdążyliśmy zapobiec. Ostatnio doszły do tego nagłaśniane przez tamtejszych dziennikarzy afery kryminalne... Nasz nieprzyjaciel jest bardzo sprytny.

- Więc wielbna Pedure jest geniuszem znajdującym się poza naszym zasięgiem? - spytał dyrektor Obrony Powietrznej. Jego głos ociekał sarkazmem.

Thract milczał przez moment. Jego ręce pozywające poruszały się w jednostajnym, nerwowym rytmie. Podczas poprzednich spotkań przechodził w tym momencie do kontrataku, zasypywał oponenta danymi i nowymi projektami. Teraz... wydawało się, że coś w nim pękło. Belga Under-ville uważała Thracta za biurokratycznego wroga od czasu porwania dzieci szefowej, teraz jednak szczerze mu współczuła. Kiedy wreszcie Thract przemówił, jego głos drżał od tłumionych emocji:

- Nie! Czyżby pan nie wiedział... tam zginęli moi przyjaciele; straciłem wielu innych, bo przestałem im ufać. Przez długi czas myślałem, że agent Kindred musi kryć się wśród moich najbliższych współpracowników. Najważniejszymi informacjami dzieliłem się z coraz mniejszym kręgiem ludzi, czasami nie podawałem ich nawet zwierzchnikowi... - Wskażał głową na generała Smith. - W końcu do wroga zaczęły trafiać sekrety, które znałem tylko ja i które przekazywałem za pomocą własnego sprzętu szyfrującego.

W pokoju panowała kompletna cisza, kiedy w głowach zgromadzonych formowały się oczywiste wnioski. Wydawało się, że Thract całą uwagę kieruje do swego wnętrza, jakby nie przejmował się faktem, że inni mogą uważać go za Ojca Wszystkich Zdrajców. Spokojniej już kontynuował:

- Jeśli jeden człowiek może być opętany obsesją zdrady i starać się być wszędzie jednocześnie, to właśnie ja taki jestem. Używałem różnych ścieżek komunikacyjnych, różnych szyfrów... I mogę wam powiedzieć tylko tyle, że nasz wróg to ktoś więcej niż jakaś jedna wielbna Pedure. Nie wiem, jak to się dzieje, ale cała ta nasza sprytna nauka pracuje przeciwko nam.

- Nonsens! - zachnął się dyrektor Obrony Powietrznej. - Mój wydział używa więcej tej, jak to pan nazywa, sprytnej nauki niż ktokolwiek inny, a jesteśmy całkowicie zadowoleni z rezultatów. Wykorzystywane przez kompetentnych ludzi komputery, sieci i satelity zwiadowcze mogą być nieprawdopodobnie potężnymi narzędziami. Zobaczcie tylko, czego dokonaliśmy, analizując niezidentyfikowane obserwacje radarowe. Oczywiście sieci mogą być wykorzystywane do złych celów. Jesteśmy jednak światowym liderem w projektowaniu, produkcji i zastosowaniu tych technologii. I choćby wszystko inne zawiodło, mamy całkowicie bezpieczną technikę szyfrującą... A może twierdzi pan, że wróg może złamać nasz szyfr?

Thract zachwiał się lekko na swym miejscu na podium.

VERNORVINGE

- Nie, to było jedno z moich pierwszych podejrzeń, ale spenetrowa liśmy dokładnie środowisko najlepszych deszyfrantów Kindred - byliśmy tam jeszcze całkiem niedawno. Jeśli wierzę jeszcze w cokolwiek, to wla śnie w to, że nie złamią naszych szyfrów. - Machnął ręką. - Nie rozumie cie tego, prawda? Mówię wam, w naszych sieciach jest jakaś siła, coś, co aktywnie nam się sprzeciwia. Bez względu na to, co zrobimy, to wie wię cej i wspiera naszych nieprzyjaciół...

Było to żałosne widowisko, rodzaj publicznej egzekucji. Thract nie potrafił wyjaśnić swej porażki inaczej, jak poprzez obecność jakichś zjaw. Może rzeczywiście Pedure cechowała niewyobrażalna inteligencja, ale znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że Thract jest zdrajcą.

Belga obserwowała szefową z-uważą. Generał Smith cieszyła się ogromnym zaufaniem Króla. Bez wątpienia mogła przetrwać upadek Thracta, po prostu arestując go i pozbawiając stanowiska.

Smith skinęła na sierżanta stojącego przy drzwiach.

- Proszę odprowadzić pułkownika Thracta do biura. Pułkowniku, spotkam się z panem za kilka minut. Do tej pory nadal pozostaje pan na służbie.

Sens tych słów .dopiero po sekundzie dotarł do przerażonego Thracta. Został wyproszony z pokoju, nie groził mu jednak natychmiastowy areszt ani przesłuchania.

- Tak jest, generale.

Wyprostował się dumnie i wyszedł za sierżantem na zewnątrz.

Po wyjściu Thracta w pokoju zapadła kompletna cisza. Wszyscy spojładali po sobie, a ich głowy wypełniały czarne myśli. Wreszcie generał Smith powiedziała:

- Moi drodzy, pułkownik ma rację. Bez wątpienia w naszych szeregach kryją się głęboko zakonspirowani agenci Kindred. Ich działania mają jednak o wiele za szeroki zasięg, dotyczą wszystkich departamentów. Nasz system bezpieczeństwa jest wadliwy, na razie jednak nie mamy pojécia, co jest tego przyczyną... Teraz rozumiecie już, dlaczego powołałam do życia zespół Lighthill.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Minęło czterdzieści lat, odkąd gwiazda OnOff obudziła się ostatnio do życia. Ritser Brughel nie był na wachcie przez cały ten czas, lecz mimo to Wygnanie pochłonęło sporą część jego życia. Teraz wreszcie zbliżało się do końca. To, na co czekał przez lata, stało się kwestią Ksekund. Za niecałe cztery dni miał zostać wicekrólem świata.

Brughel zawisł nad głową fiksata kierującego zdalnie sterowanym ładownikiem i obserwował w ciszy sygnały napływające od maleńkiego urządzenia. Kilka sekund wcześniej ładownik skończył hamowanie i rozpostarł

OTCHLAŃ W NIEBIE

szerokie na metr skrzydła. Choć od ziemi dzieliło go jeszcze czterdzieści kilometrów, przekazywał obraz niekończącego się morza światła. Twardogłowi nazywali to miejsce Kingston. Pajęcze supermiasto. Ten świat był przeraźliwie zimny i stawał się coraz zimniejszy, nie był jednak ziemią jałową. Pajęcze metropolie przypominały niemal te z Frenk. To była prawdziwa cywilizacja, owoc czterdziestoletniego starannie podtrzymywanego rozwoju. Najwyższe osiągnięcia miejscowej techniki nadal nie dorównywały standardom ludzkości, ale przy pomocy fiksatów można było to naprawić w ciągu dekady czy dwóch. Przez *czterdzieści lat byłem zaledwie Panem Dziesiątek, a wkrótce będę Panem Dziesiątek Milionów. A później... jeśli świat Pajaków naprawdę krył w sobie tajemnice Wyższej Technologii...* któregoś dnia on i Tomas Nau wrócą na Frenk i Balacree, by rządzić i tam.

Nagle, w ciągu trzech sekund, obraz podzielił się na dziesiątki kopii, a potem na dziesiątki dziesiątek.

- Co...

- Ładownik właśnie dokonał samopodziału, grupmistrzu - wyjaśniła Reynolt chłodnym, niemal drwiącym tonem. - Niemal dwieście ruchomych sond... Niektóre powinny dostać się do Gwiazdy Południa. - Odwróciła się od monitora i niemal spojrzała mu w oczy. - Ciekawe, dlaczego tak nagle zaczął się pan interesować szczegółami operacyjnymi, grupmistrzu.

Ta bezczelność rozpalila w nim na moment płomień dawnego gniewu, lecz była to reakcja bardzo łagodna w porównaniu z tym, co czuł kiedyś - dziś nie wpływała nawet na jego oddech. Wzruszył lekko ramionami. *Dziś potrafisz wytrzymać nawet z Reynolt.* Może Tomas Nau miał rację; pewnie rzeczywiście dorastał.

- Chciałbym zobaczyć, jak naprawdę wyglądają te stworzenia. - Po znać swoich niewolników. Wkrótce będą smażyć setki milionów Pajaków, musi jednak nauczyć się jakoś tolerować tych, którzy pozostaną.

Małe sondy opadały powoli na zamrożony glob. Kilka kręciło się jeszcze w powietrzu, przekazując obraz chmur, najwyższej części... huraganu? Dwieście drobinek mniejszych od kciuka. W ciągu następnej Ksekundy wszystkie dotarły do powierzchni, niektóre wpadły głęboko w śnieg, inne na skalne pustkowia. Nie zabrakło jednak i sukcesów.

Kilkanaście sond wylądowało na jakiejś drodze zalanej błękitnym światłem latarni. Jeden z widoków ukazywał odległe przykryte śniegiem ruiny. Obok przejeżdżały ciężkie, zamknięte pojazdy. Fiksat Reynolt skierował swoje sondy na drogę, próbował przyczepić którąś z nich do pojazdu. Po chwili jednak jedna po drugiej przerywały transmisję, rozgniecione na miazgę. Ritser zerknął na okno z danymi.

- Lepiej, żeby to się udało, Annę. Został nam tylko jeden multiladownik.

Reynolt nie zaszczyciła go odpowiedzią. Ritser opuścił się, by postukać jednego z jej specjalistów w ramię.

VERNOR VINGE

- No i co, uda wam się wprowadzić choć jeden do środka?

Był przygotowany na to, że i teraz nie otrzyma odpowiedzi; umysł fik-sata skupiony na konkretnym zadaniu jest zwykle nieosiągalny. Po chwili jednak ten skinął głową.

- Sonda 132 dobrze sobie radzi. Zostało nam tylko kilka metrów do bocznego wjazdu. Ten jest już prawie... - Fiksat pochylił się nisko na tablicę sterowniczą. Potem zaczął kołysać się do przodu i do tyłu, niczym na łogowiec pochłonięty grą symulacyjną - bo tym właśnie była ta operacja. Jeden z obrazów przemieszczał się gwałtownie w górę i w dół, kiedy operator próbował włączyć sondę do ruchu.

Brughel spojrział ponownie na Reynolt.

- Przekłęte opóźnienie. Jak w ogóle możemy...

- Sterowanie taką sondą nie jest jeszcze najgorsze. Melin... - zafiksowany operator - ma doskonałą koordynację czasową. Największy problem to operacje w sieciach komputerowych Pająków. Możemy się nie spieszyć, kiedy chodzi o ściąganie zwykłych danych, ale wkrótce będziemy musieli działać w czasie rzeczywistym. Dziesięć sekund to więcej niż czas oczekiwania w niektórych sieciach.

Kiedy wypowiadała ostatnie zdanie, obok małej kamery sondy przesunęła się błyszcząca nić. Kierowany jakąś niesamowitą intuicją Melin przymocował urządzenie do boku pojazdu. Obraz kręcił się przez moment jak szalony, kiedy Melin synchronizował rotację z przekazem wideo. Wreszcie zobaczyli, jak otwierają się przed nimi wielkie drzwi w ścianie. Wjechali do środka. Minęło trzydzieści sekund. Wydawało się, że ściany przesuwają się do góry. Jakaś winda? Jeśli jednak informacje przekazywane przez sondę były prawdziwe, znajdowali się w pomieszczeniu większym od sali do rocketbolla.

Mijały kolejne sekundy. Brughel siedział nieruchomo, wpatrzony w monitor. Od lat wszystko, co wiedział o Pająkach, pochodziło z drugiej ręki, od twarogłowych tłumaczy Reynolt. Spora część tych informacji musiała być czystą fantazją - zbyt przypominała jakąś bajkową rzeczywistość. Ritser potrzebował prawdziwych zdjęć. Obrazy przekazywane przez mikrosateli-ty zwiadowcze miały kiepską jakość. Przez kilka lat Ritser myślał, że kiedy Pająki wprowadzą wreszcie do użycia przekaz wideo wysokiej rozdzielczości, przyjrzy im się lepiej. Okazało się jednak, że ludzka zdolność postrzegania zbyt różni się od pajęczej. Teraz około pięciu procent pajęczej łączności wojskowej stanowiły te obrazy o niezwykle wysokiej rozdzielczości, które Trixia Bonsol nazywała wideomancją. Dla człowieka była to tylko nieskładna zbieranina kolorów i kształtów. Brughel podejrzewałby, że to steganograficzna przykrywka dla jakichś ważnych informacji, lecz tłumacze udowodnili szpiegom Kala Omo, że wideomancją to tylko niewinne obrazy - bardzo interesujące dla kogoś o pajęczym wzroku.

Teraz jednak już za kilka sekund miał ujrzeć te potwory z ludzkiego punktu widzenia.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Nie dostrzegał żadnego ruchu. Jeśli była to winda, to jechali naprawdę głęboko pod ziemię. Wydawało się to całkiem rozsądne, wzięwszy pod uwagę warunki panujące na biegunie południowym.

- Nie stracimy sygnału?

Reynolt nie odpowiedziała mu od razu.

- Nie wiem. Melin próbuje wprowadzić przekaźniki do szybu windy. Bardziej boję się, że nas odkryją. Nawet jeśli zadziała samodestrukcja...

Brughel się roześmiał.

- Kogo to obchodzi? Nie rozumiesz, Reynolt? Jeszcze niecałe cztery dni, a to wszystko i tak będzie nasze.

- Akord zaczyna panikować. Wyrzucili właśnie jednego ze starszych zarządców. Mam raporty ze spotkań sztabu Akord. Victory Smith podejrzewa, że ktoś manipuluje ich siecią.

- Szefowa ich wywiadu? - Brughel był ogromnie zaskoczony tą wiadomością. Musiało się to wydarzyć bardzo niedawno. - Mają mniej niż cztery dni. Co mogą jeszcze zrobić?

Reynolt obrzuciła go swym typowym, twardym spojrzeniem.

- Mogą podzielić sieć, a nawet w ogóle przestać z niej korzystać. W ten sposób odebraliby nam możliwość manewru.

- I przegrali wojnę z Kindred.

- Tak. Chyba że pokazaliby im jakieś niezbite dowody na istnienie „potworów z kosmosu”.

To nieprawdopodobne. Ta kobieta naprawdę była obsesyjnie podejrzliwa. Ritser uśmiechnął się do zasepionej Reynolt. *Oczywiście. Właśnie taką cię uczyniliśmy.*

Otworzyły się drzwi windy. Kamera przekazywała im tylko jeden obraz na sekundę, i to obraz o bardzo niskiej rozdzielczości. *Cholera.*

- Jest! - wykrzyknął triumfalnie Melin.

Wprowadził przekaźnik do szybu. '

Obraz nabrał płynności, stał się całkiem wyraźny. Kiedy sonda wysunęła się zza drzwi windy, Melin skierował jej oczy w dół, na nieprawdopodobnie strome schody, przypominające raczej drabinę. Kto wie, czym właściwie było to pomieszczenie, może jakąś stacją przeładunkową? Na razie mała kamera chowała się po kątach i patrzyła z ukrycia na Pajaki. Dzięki umieszczonej w rogu obrazu skali Brughel mógł się przekonać, jakie rozmiary osiągają w rzeczywistości mieszkańcy Arachny. Dorosły osobnik sięgał Brughlowi do uda. Stworzenia te poruszały się nisko nad ziemią, dokładnie tak, jak przedstawiono to na rysunkach z biblioteki odnalezionej przed Wybuchem. W bardzo małym stopniu przypominały obraz wywołany w ludzkich umysłach przez tłumaczy. Czy nosiły ubrania? Niepodobne do ludzkich. Potwory spowite były w coś, co wyglądało jak chorągiew z guzikami. Wiele z nich nosiło po bokach wielkie kosze lub torby. Przemieszczały się szybkimi, nerwowymi ruchami, od czasu do czasu badając drogę długimi przednimi nogami, które przypominały wąskie ostrza

VERNOR VINGE

jakiejś starożytnej broni. Kłębił się tam cały tłum Pająków, morze chitynowych grzbietów, pokrytych różnobarwnymi ubraniami. Ich głowy błyszczały niczym wielkie, płaskie klejnoty. Pajęczne oczy. Co do pajęcznych ust - tutaj choć raz tłumacze użyli właściwego słowa: paszcza. Wypełniony kłami otwór, otoczony przez maleńkie kleszcze - czy to właśnie te kończyny Bonsol i spółka nazywali rękami pożywiającymi? - które wykonywały bez ustanku drobne, nerwowe ruchy.

W masie Pajaki wydawały się jeszcze bardziej obrzydliwe, niż sobie to wyobrażał, przypominały obraz z sennego koszmaru, drapieźniki, które napierają na ciebie nieprzeliczoną masą, i choć zabijasz i zabijasz je bez końca, wciąż pojawiają się następne. Ritser głośno wciągnął powietrze. Pocięsział się tylko myślą, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, za niecałe cztery dni te potwory będą martwe.

Po raz pierwszy od czterdziestu lat przez układ OnOff miał przelecieć okręt kosmiczny. Według cywilizowanych standardów trudno było to nazwać lotem, skok na odległość niecałych dwóch milionów kilometrów, zmiana miejsca cumowania w tym samym porcie. Z pewnością jednak był to największy wysiłek, na jaki mógł się zdobyć którykolwiek z ocalałych okrętów.

Jau Xin nadzorował przygotowania do lotu „Niewidzialnej ręki”. Jednostka ta zawsze była jakby lennem Ritsera Brughla, Jau wiedział jednak, że jest to także jedyny okręt, który nie został całkowicie wyeksploatowany w ciągu minionych lat.

Podczas przygotowań do lot Jau opróżnił całkowicie destylernię LI z wodoru. Było to zaledwie kilka tysięcy ton, kropla w ogromnych zbiornikach okrętu gwiazdowego, lecz wystarczająco dużo, by przenieść ich do świata Pająków.

Jau i Pham Trinli dokonali -ostatniej inspekcji dyszy napędu statku. Jau zawsze czuł się dość dziwnie, spoglądając w tę dwumetrową szparę. Tutaj przez dziesięciolecia płonął piekielny ogień, napędzający okręt Queng Ho do prędkości równej jednej trzeciej prędkości światła. Wewnętrzna powierzchnia dyszy była niemal idealnie gładka, wszelkie nierówności nie przekraczały mikrometra. Jedynym świadectwem ognistej przeszłości tego miejsca była delikatna sieć złota i srebra połyskująca w świetle ich lamp. Była to mikrosieć ukrytych za tą ścianą procesorów, które sterowały polem; choć gdyby podczas lotu ściana dyszy uległa kawitacji, nie uratowałyby ich najszybsze procesory we wszechświecie. Pham Trinli z wielkim namaszczeniem zabrał się do pomiarów laserowych, po czym skwitował rezultaty pogardliwym parsknięciem.

- Na lewej burcie jest wklęsłość głębokości dziewięćdziesięciu mikronów. Ale co z tego. Mógłbyś na tej ścianie wyryć swoje nazwisko, i tak nie miałoby to znaczenia podczas tego lotu. Kilka Ksekund przy ułamku g to drobiazg.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Zaczniemy od delikatnego, długiego pchnięcia, ale hamowanie będzie trwało tysiąc sekund przy pełnej grawitacji. - Będą hamować dopiero wtedy, gdy znajdą się nisko nad otwartym oceanem. Inaczej rozpalili by niebo Arachny jaśniej niż słońce i staliby się widoczni dla wszystkich Pająków po tej stronie planety.

Trinli machnął ręką z lekceważeniem.

- Nie przejmuj się tym. Często ryzykowałem jeszcze bardziej pod czas lotów wewnętrznych. - Wyszli przecież z dziobową częścią dyszy; gładka powierzchnia rozszerzała się tu coraz bardziej, przechodziła w projektor przedniego pola. Przez cały czas Trinli opowiadał swoje zmyślane historie. Nie. Większość mogła być prawdziwa, choć starannie odizolowana od prawdziwych przygód, w jakich brał udział Pham. Ten facet naprawdę znał się trochę na napędach okrętów gwiazdnych. Problem polegał na tym, że nie mieli nikogo, kto znałby się lepiej. Wszyscy inżynierowie lotu Queng Ho zginęli podczas bitwy, a ostatni zafiksowany inżynier padł ofiarą wycieku pleśni.

Wynurzyli się z dzioba „Niewidzialnej ręki” i wspięli po linie cumowniczej do swojej taksówki. Trinli przystanął jeszcze na moment i odwrócił się.

- Zazdroszczę ci, Jau, mój chłopcze. Spójrz tylko na swój okręt! Prawie milion ton! Nie będziesz leciał daleko, ale poprowadzisz „Rękę” do skarbu i Klientów, dla których pokonała pięćdziesiąt lat świetlnych.

Jau powędrował spojrzeniem za jego gestem. W ciągu wielu lat spędzonych na wachcie Jau zorientował się już, że teatralne gesty i pozy Trinlego to tylko przykrywka... czasami jednak naprawdę niosły w sobie głębszy sens i chwytaly, za serce. „Niewidzialna ręka” rzeczywiście prezentowała się wspaniale, obły, kilkusetmetrowy kadłub przytłaczał swym ogromem, przypominał, że zaprojektowano go po to, by przemierzał kosmos z największą prędkością, jaką udało się do tej pory osiągnąć ludzkości. A za pierścieniami rufowymi, półtora miliona kilometrów dalej, widniał błądy dysk Arachny. *Pierwszy Kontakt, a ja będę zarządcą pilotów.* Jau powinien czuć wielką dumę...

Dzień przed wylotem był dla Jau bardzo pracowity, wypełniony ostatnimi kontrolami i uzupełnianiem zapasów. Na pokładzie miało się znaleźć ponad stu twardegłowych i niezafiksowany personel. Jau nie wiedział, jakie specjalizacje będą najliczniej reprezentowane, przypuszczał jednak, że grupmistrz chce intejsywnie manipulować sieciami Pająków bez dziesięciosekundowego opóźnienia, na które skazani byli, działając z LI. Stanowiło to całkiem rozsądne rozwiązanie. Ratowanie Pająków przed nimi samymi z pewnością wiąże się z licznymi oszustwami, być może nawet trzeba będzie przejąć cały system broni strategicznej.

Jau schodził już ze służby, kiedy w drzwiach jego małego biura na mostku „Niewidzialnej ręki” ukazał się Kai Omo.

VERNOR VINGE

- Jeszcze jedno zadanie, zarządco pilotów. - Wąska twarz Omo wykrzywiła się w ponurym uśmiechu. - Nazwijmy to nadgodzinami.

Wsiadli razem do taksówki, wkrótce okazało się jednak, że wcale nie lecą do Hammerfest. Za krawędzią Diamentu Pierwszego, ukryte głęboko w lodzie i diamencie, znajdowało się wejście do LI-A. Dwie inne taksówki cumowały już przy drzwiach arsenału.

- Zapoznałeś się już z uzbrojeniem na „Ręce”, zarządco pilotów?

- Tak. - Xin zbadał dokładnie wszystkie urządzenia i zakamarki jednostki, prócz prywatnych kwater Brughla. - Z pewnością jednak Queng Ho wiedziałby znacznie lepiej...

Omo pokręcił głową.

- To nie jest odpowiednie zajęcie dla Handlarza, nawet dla pana Trinli. - Otworzenie głównego zamka zajęło im kilkanaście sekund, ale kiedy znaleźli się w środku, mogli bez przeszkód dotrzeć do głównego składu broni. Tu przywitał ich hałas maszyn. Grube, owalne przedmioty ułożone na półkach miały srebrną ikonkę - stary symbol Queng Ho oznaczający broń atomową i laserową. Przez lata wszyscy spekulowali, ile broni zostało jeszcze w LI-A. Teraz Jau mógł się o tym przekonać.

Omo prowadził go wzdłuż szeregu nieoznaczonych szafek. W LI-A nie działały wyświetlacze. Było to także jedno z niewielu miejsc na LI, gdzie nie używano lokalizatorów Queng Ho. Tutaj królowała prosta, niemal niezniszczalna automatyka. Minęli Rei Ciret, nadzorującego grupę fiksatów, którzy budowali część jakiejś wyrzutni.

- Większość tej broni przenieśliśmy na „Niewidzialną rękę”, panie Xin. Podczas Wygnania naprawialiśmy wszystko, co można było naprawić, próbowaliśmy wytworzyć jak najwięcej sprawnych urządzeń. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale w tych warunkach nie mogło być tego za wiele. - Wskazał na jednostki naprowadzające Queng Ho przystosowane do taktycznej broni jądrowej Emergentów. - Proszę policzyć. Osiemnaście pocisków atomowych bliskiego zasięgu. W magazynie mamy jeszcze kilkanaście laserów bojowych.

- Ja... nie rozumiem, grupsierzancie. To pan jest obrońcą. Pan ma własnych specjalistów. Dlaczego...

- ...zarządca pilotów miałby się zajmować takimi rzeczami? - Znów ten ponury uśmiech. - Chcemy uratować cywilizację Pajaków i niewykluczone, że będziemy musieli użyć tej broni z pokładu „Niewidzialnej ręki” krążącej po niskiej orbicie. Pańscy piloci powinni umieć obchodzić się z tym sprzętem.

Xin skinął głową. Znał już te argumenty. Początkiem wyniszczającej planety wojny stanie się prawdopodobnie kryzys na biegunie południowym. Po wejściu na orbitę będą przelatywać nad tym miejscem co 5300 sekund, a stałą kontrolę zapewnią im mniejsze pojazdy. Tomas Nau mówił już o użyciu laserów. Co do broni atomowej... może także zagrożenie zapewni im mocniejszą pozycję w negocjacjach.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Grupsierżant kontynuował obchód, omawiając po drodze ograniczenia odremontowanych urządzeń. Większość nowych elementów stanowiły prymitywne pociski i bomby.

- ...na „Niewidzialnej ręce” będzie też większość fiksatów zajmujących się siecią. Zajmą się dostarczaniem informacji koniecznych do wykonywania manewrów; w zależności od celu będziemy musieli zmieniać pozycję na orbicie.

Omo mówił z entuzjazmem artylerzysty i wkrótce pozbawił Jau ostatnich wątpliwości. Od roku już Jau obserwował przygotowania do interwencji z rosnącym przerażeniem; niektórych szczegółów po prostu nie dało się przed nim ukryć. Zawsze jednak znajdował jakieś wyjaśnienie dla zdradzieckich poczynań zwierzchników. Do tej pory trzymał się kurczowo tych „rozsądnych wyjaśnień”. Dzięki temu zachował resztki przyzwoitości, mógł ze śmiechem rozmawiać z Ritą o przyszłości, kontaktach z Pałkami, dziećmi, których nie mogli się już doczekać.

Jakaś część tego przerażenia musiała znaleźć odbicie na jego twarzy. Omo przerwał ten pokaz morderczych rewelacji i przyjrzał mu się uważnie.

- Dlaczego...? - spytał Jau.

- Dlaczego muszę ci to wszystko powiedzieć? - Omo dźgnął Jau palcem w pierś i przygwoździł go do ściany. Na jego twarzy widać było gniew i oburzenie. Było to słuszne oburzenie emergencjkiej władzy, coś, z czym Jau musiał dorastać na Balacrei. - To nie powinno być potrzebne, prawda? Ale ty za bardzo przypominasz wielu ludzi z naszej grupy. Zepsułeś się w środku, zostałeś Handlarzem. Innym możemy pozwolić dryfować trochę dłużej, ale kiedy „Ręka” zejdzie na niską orbitę, będziemy potrzebowali twojego posłuszeństwa i inteligentnej współpracy. - Omo ponownie dźgnął go w pierś. - Rozumiesz teraz?

- T-tak. Tak! - *Och, Rito! Zawsze będziemy częścią Emergencji.*

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Ponad setka fiksatów opuszczała Strych Hammerfest. Geniusz organizacyjny, Trud Silipan, zaplanował to jako jedną dużą operację. Kiedy Ezz zmierzał do celi Trixi, musiał ustępować miejsca ludzkiemu strumieniowi. Fiksaci prowadzeni byli w grupach po cztery, pięć osób, najpierw z maleńkich tuneli, prowadzących do ich cel, potem do większych korytarzy i wreszcie do głównego hallu.

Przewodnicy grup starali się traktować ich łagodnie, nie było to jednak łatwe zadanie.

Ezz przywarł do ściany, pozwalając przepłynąć ludzkiej rzece. Mijali go ludzie, których nie widział od lat. Byli to specjaliści Queng Ho i z Tri-

VERNORVINGE

landu, zafiksowani tuż po zasadzce jak Trixia. Kilku przewodników było przyjaciółmi twardegłowych, których teraz prowadzili. Wachta po wachcie przychodzili odwiedzać utraconych przyjaciół. Na początku było wielu takich ludzi. Mijały jednak kolejne lata, a nadzieje słabły. Może kiedyś... Nau obiecywał przecież uwolnienie wszystkich fiksatów. Na razie twardegłowi wcale nie doceniali ich troski; wizyty innych ludzi co najwyżej ich kytowały. Tylko nieliczni głupcy nadal starali się regularnie ich odwiedzać.

Ezr nigdy nie widział tylu fiksatów naraz. Wentylacja na korytarzu nie była tak wydajna jak w celach; wszędzie unosił się zapach niemytych ciał. Annę dbała o zdrowie swoich podopiecznych, ale to nie oznaczało, że ci są czyści i pachnący.

Bil Phuong wisiał przypięty do ściany u zbiegu dwóch korytarzy i kierował stamtąd pracą poszczególnych przewodników. Większość grup miała wspólną specjalizację. Do uszu Vinha doleciały strzępy jakiejś ożywionej rozmowy. Czyżby fiksatów obchodził los Pająków?... Nie, to było tylko zniecierpliwienie i techniczny żargon. Jakaś starsza kobieta - specjalistka od sieci komputerowych - odepchnęła swego przewodnika i zwróciła się bezpośrednio do niego.

- Więc kiedy? - Wydawała się bliska hysterii. - Kiedy wrócimy do pracy?

Inna kobieta z jej zespołu wykrzyknęła coś w rodzaju:

- Tak, chcemy wracać do pracy! - i ruszyła na przewodnika z drugiej strony. Oderwani od swojej pracy nieszczęśliwcy tracili zmysły. Cały zespół zaczął krzyczeć na przewodnika. Zbuntowana grupa powstrzymywała swobodny przepływ kolejnych fiksatów. Nagle Ezr zrozumiał, że coś takiego jak rewolta niewolników naprawdę mogło się wydarzyć - gdyby oderwać niewolników od pracy! Emergencki przewodnik najwyraźniej także roku miał to niebezpieczeństwo. Przesunął się na bok i zarzucił sznur ogłuszacza na dwoje najgłośniejszych fiksatów. Ci dostali drgawek, potem zawiśli bezwładnie w powietrzu. Pozbawieni przywódców pozostali twardegłowi ograniczyli się tylko do gniewnych pomrukiwań.

Bil Phuong podleciał bliżej, by uspokoić ostatniego z wojowniczo nastawionych fiksatów. Potem spojrzął spode łba na przewodnika grupy.

- To następna dwójka do przestrojenia.

Przewodnik otarł krew z policzka i odpowiedział mu równie gniewnym spojrzeniem.*

- Powiedz to Trudowi. - Pochwycił sznur i odciągnął na bok nieprzytomnych fiksatów. Tłum ruszył naprzód i już po chwili Vinh mógł spokojnie przedostać się na koniec korytarza.

Tłumacze nie przenosili się na „Niewidzialną rękę”. W ich sekcji Strychu powinien więc panować spokój. Kiedy Ezr tam przybył, zastał jednak pootwierane cele i tłumaczy blokujących wąskie przejście. Przepisnął się między stłoczonymi, rozkrzyczanymi fiksatami. Nigdzie nie wi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dział Trixie. Kilka metrów dalej wpadł jednak na Ritę Liao, która zmierzała właśnie w przeciwnym kierunku.

- Rita! Gdzie są przewodnicy?

Liao podniosła obie ręce w geście irytacji.

- Zajęci wszędzie indziej, oczywiście! A teraz jakiś idiota otworzył drzwi tłumaczy!

Trud naprawdę przeszedł samego siebie, choć tu akurat musiał zawinić ktoś inny. Ja*k na ironię losu, tłumacze, którzy nie mieli nigdzie wyjeżdżać, sami opuścili swoje cele i teraz domagali się głośno przewodnika.

- Chcemy lecieć na Arachnę! Chcemy być blisko!

Gdzie była Trixia? Kolejne krzyki dobiegły go z górnego korytarza. Podleciał wyżej i zobaczył ją, w towarzystwie innych tłumaczy. Trixia wydawała się mocno dezorientowana; po prostu nie była przyzwyczajona do światła poza swą celą. Natychmiast jednak rozpoznała Ezra.

- Zamknijcie się, zamknijcie się! - krzyknęła, a gwar wokół niej przy cichł. Spojrzała w stronę Vinha. - Numerze Czwarty, kiedy polecimy na Arachnę?

Numerze Czwarty?

- Hm. Wkrótce, Trudo. Ale jeszcze nie teraz, nie na „Niewidzialnej ręce”.

- Dlaczego nie? Nie lubię tego opóźnienia!

- Na razie grupmistrz chce, byście zostali na miejscu. - Tak rzeczywiście brzmiała oficjalna wersja: na orbicie Arachny potrzebni byli tylko specjaliści od sieci komputerowych. Pham i Ezr znali jednak prawdziwe wyjaśnienie. Nau starał się, by kiedy „Ręka” rozpocznie swą morderczą misję, na jej pokładzie przebywało jak najmniej ludzi. - Polecisz tam, kiedy to będzie bezpieczne, Trixie. Obiecuje. - Wyciągnął do niej rękę. Trixia nie próbowała uciekać, trzymała się mocno uchwytu i nie pozwalała, by Ezr zaciągnął ją z powrotem do celi.

Ezr spojrział przez ramię na Ritę Liao.

- No i co teraz zrobimy?

- Poczekaj. - Dotknęła ucha i słuchała przez chwilę. - Phuong i Sili-pan wrócą tu, żeby zagnać ich z powrotem do cel, kiedy tylko przewiozą wszystkich na „Rękę”.

Boże, to mogło potrwać jeszcze ładną chwilę. A tymczasem dwudziestu tłumaczy będzie błąkać się po labiryncie Strychu. Delikatnie poklepał Trixię po ramieniu.

- Wracajmy do twojego pokoju, Trixie. Pomyśl, im dłużej jesteś tu taj, tym więcej tracisz informacji. Założę się, że zostawiłaś swój wyświetlacz w pokoju. Mogłabyś skontaktować się przez niego z siecią floty. - Trixia zapewne zostawiła swój wyświetlacz, bo straciła łączność z siecią. W tej chwili jednak starał się tylko zamąć jej w głowie.

Niezdecydowana Trixia odbijała się od ściany do ściany. Nagle odepchnęła się mocniej i przeleciała obok niego, kierując się ku swej celi. Ezr ruszył za nią.

VERNORVINGE

Cela zareagowała na powrót Trixii, światła zapłonęły przytłumionym blaskiem. Trucia pochwyciła swój wyświetlacz, a Ezzr szybko się z nim zsynchronizował. Niektóre łącza nadal były aktywne. Ezzr widział te same co zawsze rysunki i fragmenty tekstów; nie był to sygnał przekazywany z planety na żywo, ale i tak większość informacji musiała być dla Trixii nowością. Przeskakiwała spojrzeniem z monitora na monitor, jej palce stuknęły nieustannie w klawiaturę, wydawało się jednak, że zapomniała nawiązać łączność ze służbą informacyjną floty. Sam widok stanowiska pracy przyciągnął ją z powrotem do centrum jej fiksacji. Na ścianach pojawiły się nowe okna z tekstem. Symbole zmieniały się tak szybko, że musiała być to prezentacja jakiejś rozmowy Pająków, jakiejś audycji radiowej albo - wziąwszy pod uwagę obecną sytuację na planecie - zaszyfrowanych tekstów wojskowych.

- Po prostu nie mogę znieść tego opóźnienia. To niesprawiedliwe. - Znowu długa chwila ciszy. Otworzyła kolejny ekran. Przepływały przezeń kolorowe kształty, jeden z formatów wideo Pająków. Nie przypominało to żadnego normalnego obrazu, ale Ezzr rozpoznawał już ten wzór; widział go dość często w małym pokoju Trixii. Był to pajęczy dziennik informacyjny, tłumaczony codziennie przez Trixię.

- Mylą się. Generał Smith poleci do Gwiazdy Południa zamiast Króla. - Nadal wydawała się spięta, było tu już jednak jej normalne, zafiksowane zachowanie.

Kilka sekund później w wejściu pojawiła się Rita Liao. Jej twarz wyrażała zdumienie i rozbawienie zarazem.

- Jesteś czarodziejem, Ezzr. Jak ci się udało uspokoić ich wszystkich?
- Ja... myślę, że Trixia po prostu mi ufa. - Był to raczej wyraz jego nadziei niż szczerze przypuszczenie.

Rita cofnęła głowę, by rozejrzeć się po pustym korytarzu.

- Tak. Ale wiesz, co się stało, kiedy namówiłeś ją, żeby wróciła do pracy? Wszyscy inni potulnie udali się do swoich pokojów. Ci tłumacze są bardziej posłuszni niż wojskowi. Wystarczy tylko przekonać najważniejszego członka, a wszyscy inni robią to samo. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale widzieliśmy już wcześniej, jak tłumacze potrafią kierować innymi twarogłowymi. Są najważniejszym elementem tego układu, bez dwóch zdań.

- Trixia jest człowiekiem! - *Wszyscy fiksaci są ludźmi!*

- Wiem, Ezzr. Przepraszam. Naprawdę, rozumiem... Trixia i inni tłumacze naprawdę wydają się inni. Trzeba być kimś wyjątkowym, żeby tłumaczyć naturalne języki. Ze wszystkich... ze wszystkich fiksatów oni wydają się najbliżsi zwykłym ludziom... Posłuchaj, zajmę się resztą i dam znać Bilowi Phuongowi, że wszystko jest pod kontrolą.

- Dobrze - odparł Ezzr sztywno.

Rita wycofała się z pokoju, cicho zasuważąc za sobą drzwi. Po chwili Ezzr usłyszał trzask zamykanych drzwi innych pokojów.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Trixia siedziała pochylona nad klawiaturą, zupełnie nieświadoma opinii, które przed momentem dotarły do jej uszu. Ezra obserwował ją przez chwilę, myśląc o przysłości, o tym, jak ją wreszcie uratuje. Nawet po czterdziestu latach Wygnania tłumacze nie potrafiliby podszyc się pod Pająki i utrzymywać łączności audio w czasie rzeczywistym. Tomas Nau niczego by nie zyskał, sprowadzając tłumaczy na powierzchnię Arachny... na razie. Po udanym podboju Trixia i inni zostaliby głosem władcy.

Ale ten czas nie nadejdzie. Plan Phama i Ezra rozwijał się zgodnie z harmonogramem. Lokalizatory Queng Ho miały niemal całkowitą kontrolę nad systemami Emergentów, tylko kilka starych elementów, układów elektromechanicznych, pozostawało poza ich zasięgiem. Pham i Ezra przygotowywali się wreszcie do prawdziwego sabotażu - najważniejszym punktem było odcięcie zasilania bezprzewodowego w Hammerfest. Ten przełącznik był niemal całkowicie mechanicznym urządzeniem, odpornym na wszelkie elektroniczne subtelnosci. Pham znalazł jednak jeszcze jedno zastosowanie dla lokalizatorów. Mogły tworzyć po prostu zwykły piasek. Przez ostatnie kilka Msekund budowali kolejne warstwy piachu obok tego przełącznika, podobną sztukę przygotowali też w innych starych systemach i na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. Ostatnie sto sekund wiązało się z ogromnym ryzykiem. Mogli wykorzystać tę sztukę tylko raz, kiedy Naua i jego bandę pochłonie ich zadanie.

Jeśli sabotaż się powiedzie - kiedy się powiedzie - lokalizatory Queng Ho będą niepodzielnie rządzić na LI i na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. *I wtedy nadejdzie nasz czas.*

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Hrunkner Unnerby spędził mnóstwo czasu w Dowódtwie Lądowym; zasadniczo była to baza wypadowa dla wszystkich jego operacji budowlanych. Co najmniej dziesięć razy w roku odwiedzał wewnętrzne sanktuarium wywiadu Akord. Codziennie kontaktował się z generałem Smith za pomocą poczty elektronicznej; widywał się z nią na naradach sztabu. Ich spotkanie w Calorice - czy to było już pięć lat temu? - nie przebiegało w serdecznej atmosferze, ale przynajmniej dawało okazję do uczciwej i szczerzej wymiany myśli. Lecz przez siedemnaście lat... przez cały ten czas, jaki upłynął od śmierci Gokny... nigdy nie był w prywatnym biurze generała Smith.

Generał miała nowego asystenta, kogoś młodego, spoza fazy. Hrunkner nawet tego nie zauważył. Wszedł w ciszę gabinetu szefa. Pomieszczenie to było tak duże, jak zapamiętał, z otwartymi niszami i oddzielnymi grzędami. Przez moment wydawało się, że jest sam. Kiedyś, nim wprowadziła się tu Smith, mieściło się tu biuro Struta Greenvala. Funkcję osobistej gabinetu szefa wywiadu pomieszczenie to pełniło zresztą jeszcze

VERNOR VINGE

przez dwa poprzednie pokolenia. Ówcześni lokatorzy zapewne z trudem rozpoznaliby to miejsce. Znajdowało się tu więcej sprzętu komputerowego niż w biurze Sherka w Princeton. Jedną ze ścian pokoju zajmował ogromny monitor, równie złożony jak wideomancja. W tej chwili pokazywał obraz z kamer umieszczonych na zewnątrz; Królewskie Wodospady zastygły ponad dwa lata temu. Okoliczne wzgórza były nagie i pępne, w wyższych partiach pokrywał je szron utworzony z zamrożonego dwutlenku węgla. Ale bliżej... z budynków wylewała się nadczerwień, błyszczała jasno w gazach wypływanych przez pojazdy na ulicach. Przez moment Hrunk wpatrywał się w ten obraz, myśląc o tym, jak wyglądał świat dokładnie pokolenie wcześniej, pięć lat w Ciemności. Do diabła, ten pokój był już wtedy pusty. Ludzie Greenvala siedzieli upchnięci w małej jaskini, wdychali śmierzzące powietrze i słuchali ostatnich wiadomości radiowych, zastanawiając się przy tym, czy Hrunk i Sherk przetrwają w swych podwodnych otlęśnieniach. Za kilka dni Greenval miał zakończyć wszystkie operacje, a Wielka Wojna zapaść w lodowaty sen.

Lecz w tym pokoleniu nie myślimy nawet o odpoczynku, zmierzając ku najstraszliwszej wojnie wszech czasów.

Widział, jak do pokoju wchodzi cicho generał.

- Sierzancie, proszę usiąść. - Smith zaprosiła go gestem do zajęcia miejsca na grzędzie przed jej biurkiem.

Unnerby oderwał spojrzenie od monitora i usiadł. Na półkolistym biurku Smith leżały sterty raportów, większość miejsca zajmowało jednak sześć małych monitorów. Trzy z nich ukazywały abstrakcyjne wzory, podobne do tych, w jakich zagubił się Sherkaner. *Więc nadal pozwala mi się tym bawić.*

Uśmiech generał wydawał się sztywny i wymuszony, dlatego właśnie mógł być szczery.

- Nazywam pana sierżantem. Zabawne. Ale... dziękuję za przybycie.

- To mój obowiązek. *-Dlaczego mnie tu wezwwała?*Może jego szalony plan dla północnego wschodu miał jakieś szanse powodzenia. Może... - Widziała pani moje projekty, generale? Za pomocą eksplozji jądrowych moglibyśmy wykopać osłonięte, głębokie jaskinie, i to szybko. Północno--wschodnie łupki byłyby idealne. Dajcie mi bomby, a w ciągu stu dni zapewnię schronienie wszystkim mieszkańcom i do tego jeszcze miejsce pod uprawy. - Te słowa same mu się wyrwały. Koszty podobnej operacji przekraczałyby możliwości Korony czy prywatnych inwestorów. Generał musiałaby wprowadzić stan wyjątkowy, bez względu na ustalenia Przymerza. Nawet wtedy nie mogliby być pewni ostatecznego sukcesu. Lecz gdyby wybuchła wojna - kiedy by wybuchła - jego plan uratowałby życie milionów.

Victory Smith uniosła rękę.

- Hrunk, nie mamy stu dni. Jestem przekonana, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu trzech. - Wskazała na jeden z małych monitorów. - Do-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wiedziała się właśnie, że wielebna Pedure jest w Gwieździe Południa i osobiście pilnuje swoich spraw.

- Do diabła z nią. Jeśli sprowokuje atak na Gwiazdę, sama zginie.
- Dlatego prawdopodobnie jesteście bezpieczni, dopóki stamtąd nie odleci.

- Słyszałem różne plotki. Nasz wewnętrzny wywiad jest w rozsypce? Thract został zdymisjonowany? - Pojawiły się straszliwe podejrzenia, że w samym sercu wywiadu grasują agenci Kindred. Szyfrowano teraz nawet zwykłe, rutynowe transmisje. Choć nieprzyjaciel nie pokonał ich groźbami i prowokacją, teraz mógł wygrać dzięki panice i zamieszaniu, jakie panowały w szeregach Akord.

Smith poderwała gniewnie głowę.

- To prawda. Zostaliśmy wymanewrowani na Południu. Nadal mamy tam jednak swoich ludzi, ludzi, którzy polegali na mnie... ludzi, których zawiodłam. - To ostatnie zdanie wypowiedziane zostało niemal szeptem, ale Hrunk przypuszczał, że i tak nie było skierowane do niego. Smith milczała przez chwilę, potem wyprostowała się. - Jest pan ekspertem od sub-struktur Gwiazdy Południa, prawda, sierzancie?

- Ja je zaprojektowałem i nadzorowałem większość prac przy ich budowie. - Działo się to w czasach, gdy Akbrd i Republika Południa były ze sobą bardzo zaprzyjaźnione.

Generał bujała się nerwowo na grzędzie. Jej ramiona drżały.

- Sierzancie... nawet teraz nie mogę znieść twojego widoku. Myślę, że wiesz o tym.

Hrunk pochylił głowę. *Wiem. O tak.*

- Ufam ci jednak w prostych sprawach. Ba, na Głębię, teraz cię po trzeba! Rozkaz nie miałby tu żadnego znaczenia... ale czy pomożesz mi w Gwieździe? - Wydawało się, że wydobywa z siebie te słowa z największym trudem.

Musisz prosić? Hrunkner uniósł ręce.

- Oczywiście.

Najwyraźniej Smith nie spodziewała się tak szybkiej odpowiedzi. Przez moment milczała zaskoczona.

- Rozumiesz, na co się godzisz? To się wiąże z ogromnym ryzykiem.

- Tak, tak. Zawsze chciałem pomóc. - *Zawsze chciałem wszystko naprawić.*

Generał patrzyła nań przez chwilę. Wreszcie powiedziała cicho:

- Dziękuję, sierzancie. - Wystukała coś na klawiaturze. - Tim Downing... - ten nowy, młody asystent? - ...dostarczy ci później szczegółową analizę. Krótko mówiąc, jest tylko jeden powód, dla którego Pedure mogła przyjechać do stolicy Południa; sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Pedure nie ma jeszcze kontroli nad wszystkimi kluczowymi członkami Parlamentu. Kilku z nich poprosiło mnie, bym tam przyjechała.

- Ale... to Król powinien zajmować się takimi sprawami.

VERNOR VINGE

- Tak. Zdaje się, że w tej Ciemności nie po raz pierwszy i ostatni mu simy zerwać z tradycją.

„ - Nie może tam pani jechać, generale. - Unnerby nie mógł się powstrzymać, choć wiedział, że tego rodzaju uwagi są pogwałceniem wojskowej etykiety.

- Nie jesteś jedyną osobą, która mi to odradza... Ostatnia rzecz, jaką powiedział mi Strut Greenval, niecałe dwieście jardów od miejsca, w którym teraz siedzimy, brzmiała podobnie. - Umilkła, wracając myślami do wspomnień. - Zabawne. Strut przewidział tyle rzeczy. Wiedział, że trafię na jego miejsce. Wiedział, że nieraz będę miała ochotę osobiście wkroczyć do akcji. Przez pierwsze dekady Jasności co najmniej kilkanaście razy mogłam uratować sytuację - a nawet ludzkie życie - gdybym tylko wyszła na zewnątrz i sama zrobiła to, co konieczne. Ale to, co powiedział mi Greenval, było raczej rozkazem niż radą, a ja do tej pory stosowałam się do tego i żyłam, by walczyć dalej. - Roześmiała się nagle, powracając uwagą do teraźniejszości. - Teraz jestem już starszą panią uwikłaną w sieć intryg. Nadszedł wreszcie czas, by złamać zasadę Struta.

- Ależ... rada generała Greenvala odnosi się do tej sytuacji tak samo jak do wszystkich poprzednich. Pani miejsce jest tutaj.

- To ja pozwoliłam, by doszło do tego bałaganu. To była moja decyzja, konieczna decyzja. Jeśli jednak polecę teraz do Gwiazdy osobiście, być może uda mi się uratować wielu ludzi.

- Ale jeśli się nie uda, pani zginie, a my z pewnością przegramy!

- Nie. Jeśli zginę, wojna będzie bardziej krwawa, ale w końcu i tak przetrwamy. -Wyłączyła wszystkie monitory. -Wylatujemy za trzy godziny, z czwórki. Proszę tam być.

Hrunkner miał ochotę krzyknąć z frustracji.

- Proszę przynajmniej zabrać specjalną ochronę. Młodą Victory i...

- Zespół Lighthill? - Generał uśmiechnęła się lekko. - Dorobili się niezłej reputacji, co?

Hrunkner także odpowiedział jej uśmiechem.

- Tak. Nikt nie wie, czego się właściwie po nich spodziewać... Ale na pewno można na nich polegać w każdej sytuacji. - Hrunkner słyszał już różne opowieści o wyczynach Młodej Victory i jej rodzeństwa. Niektórzy ich chwalili, inni nie cierpieli, nikt jednak nie zarzucał im braku profesjonalizmu.

- Ty naprawdę ich lubisz, co Hrunk? - Smith wydawała się tym szczerze zdumiona. -W ciągu najbliższych siedemdziesięciu pięciu godzin mają inne, ważniejsze zadania do wykonania*... Sherkaner i ja przez lata świadomie tworzyliśmy obecną sytuację, to był nasz wybór. Zналиśmy zagrożenia. Teraz nadszedł czas zapłaty.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju, wymieniła imię Sherkanera. Współpraca, która zaprowadziła ich tak daleko, dobiegła końca, teraz generał była zdana tylko na siebie.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Pytanie to nie miało większego sensu, ale musiał je zadać.

- Rozmawiałaś o tym z Sherkiem? Co on robi?

Smith milczała przez chwilę, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Wszystko, co w jego mocy, sierżancie - odparła wreszcie. - Wszystko ko, co w jego mocy.

Noc była czysta nawet według standardów Raju. Obret Nethering spacerował ostrożnie wokół wieży na szczycie wyspy, sprawdzając sprzęt przed wieczorną sesją. Jego podgrzewane nogawice i kurtka były stosunkowo lekkie i wygodne, gdyby jednak zepsuł się ogrzewacz powietrza albo przerwał ciągnący się za nim kabel zasilający... Wcałe nie kłamał, kiedy mówił swoim asyentom, że mogą odmrozić rękę czy płuca w ciągu kilku minut. Mijał już piąty rok Ciemności. Nethering zastanawiał się, czy nawet podczas Wielkiej Wojny o tej porze jacyś ludzie byli jeszcze aktywni.

Przerwał na moment obchód; w końcu miał jeszcze sporo czasu. Stał pośród martwego, zamrożonego krajobrazu i patrzył w górę, na niebo. Dwadzieścia lat temu, kiedy Nethering zaczynał studia w Princeton, chciał zostać geologiem. Geologia była matką wszystkich nauk, a w tym pokoleniu, gdy prowadzono prace wykopaliskowe na tak wielką skalę, nabierała jeszcze większego znaczenia. Astronomia z kolei stanowiła domenę nielicznych dziwaków. Rozsądni ludzie interesują się przecież tym, co na dole, szukają najbezpieczniejszej otchłani, w której mogliby przetrwać kolejną Ciemność. Co można zobaczyć na niebie? Słońce, oczywiście, źródło życia i wszystkich problemów. Poza tym jednak nic się nie zmieniało. Gwiazdy były tylko maleńkimi, niezmiennymi punktami światła, nie dało ich się porównać ze słońcem ani z niczym innym.

Potem, już jako student drugiego roku, Nethering poznał starego Sherkanera Underhilla, a jego życie odmieniło się na zawsze - choć pod tym względem Nethering nie był wyjątkiem. W Princeton uczyło się dziesięć tysięcy studentów drugiego roku, ale Underhill zdołał jakoś wybrać spośród nich tylko tych najlepszych. A może było odwrotnie; Underhill stanowił tak potężne źródło niesamowitych pomysłów, że niektórzy studenci ciągnęli do niego niczym leśne wróżki do ognia. Underhill twierdził, że cała matematyka i fizyka rozwijały się do tej pory bardzo powoli, bo nikt nie rozumiał prostoty ruchu świata po orbicie wokół słońca ani wewnętrznych ruchów gwiazd. Gdyby prócz Arachny wokół słońca krążyła jeszcze choć jedna planeta, która zmuszałaby co światlejsze umysły do analiz i kalkulacji, rachunek zostałby wynaleziony nie dwa, lecz dziesięć pokoleń wcześniej. A szalony rozwój technologii, do którego doszło podczas tego pokolenia, mogłby rozłożyć się na więcej cykli Jasności i Ciemności.

Oczywiście tezy głoszone przez Sherkanera nie należały do całkiem nowych. Pięć pokoleń temu dzięki wynalazkowi teleskopu astronomia

VERNORVINGE

gwiazd podwójnych zrewolucjonizowała pajęczne rozumienie czasu. Underhill potrafił jednak połączyć stare idee w jedną spójną całość. Młody Nethering odchodził coraz dalej i dalej od bezpiecznej i rozsądnej geologii, aż Pustka Na Górze stała się jego największą pasją. Im lepiej rozumiał, czym naprawdę są gwiazdy, tym lepiej zdawał sobie sprawę z tego, jak naprawdę musi wyglądać wszechświat. Teraz, jeśli ktoś tylko wiedział, gdzie patrzeć i przez jakie instrumenty, mógł zobaczyć na niebie wszystkie kolory. Tutaj, na Rajskiej Wyspie, nadczerwień gwiazd błyszczała jaśniej niż gdziekolwiek na świecie. Suche i zimne powietrze było całkowicie nieruchome, a dzięki ogromnym nowoczesnym teleskopom Nethering mógł sięgnąć wzrokiem dalej niż kiedykolwiek. Czasami wydawało mu się, że może ujrzeć nawet koniec wszechświata.

A to co? Nisko nad północno-wschodnim horyzontem rozbłysnęła zorza polarna, która rozszerzała się powoli na południe. Nad Morzem Północnym wisiała stała pętla magnetyczna, ale pięć lat po nadejściu Ciemności zorze zdarzały się wyjątkowo rzadko. Turyści, którzy zostali jeszcze na dole, w Rajskim Mieście, wznosili teraz zapewne zbiorowe okrzyki zachwytu. Dla Obreta Netheringa było to tylko niespodziewane utrudnienie. Przyglądał się jednak aurorze z rosnącą ciekawością. Światło było niezwykle skupione, szczególnie na północnym krańcu, gdzie zwiężało się niemal do jednego punktu. Hm. Gdyby to coś miało zakłócić im wieczorną sesję, to może powinni wystrzelić sondę i przyjrzeć się temu z bliska. Uśmiech losu, przypadkowe odkrycie i takie tam.

Nethering odwrócił się i ruszył w stronę schodów. W tej samej chwili dobiegł go rumor, który mógłby zwiastować nadejście całej kompanii żołnierzy - bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że to Sheptry Tripper i jego ciężkie buciory. Po chwili na powierzchnię wyskoczył Sheptry Tripper. Sheptry miał zaledwie piętnaście lat i oczywiście urodził się poza fazą. Kiedyś Nethering nie potrafił nawet wyobrazić sobie, że mógłby rozmawiać - a co dopiero pracować - z takim wybrykiem natury. Była to jeszcze jedna ze zmian, jakie dokonały się w nim w Princeton. Teraz -cóż, Sheptry był jeszcze dzieckiem, nieświadomym tyłu rzeczy. Rozpalał go jednak niesamowity entuzjizm, ogromna żądza wiedzy. Nethering zastanawiał się, ile lat badań zmarnowano pod koniec Lat Gaśnięcia tylko dlatego, że najmłodszy badacz wkraczali już w wiek średni, zakładali rodziny i byli zbyt zajęci innymi sprawami, by z zapałem brać się do pracy.

- Doktorze Nethering! Proszę pana! - Głos Sheptry'ego nieco tłu mił ogrzewacz powietrza. Chłopiec dyszał ciężko, tracąc cały ten czas, który zyskał dzięki szalonemu biegowi w górę schodów. - Mamy kłopoty. Straciłem łączność radiową z Północnym Punktem... - pięć mil dalej, na drugim końcu interferometru. - Na wszystkich zakresach słychać tyl ko coraz głośniejsze trzaski.

Mógł więc zapomnieć o planach na dzisiejszy wieczór.

- Zadzwońiłeś do Sama przez linię podziemną? Co... - urwał rap-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

townie, gdy powoli zaczął doń docierać sens słów Shepry'ego: *coraz głośniejsze trzaski*. Tymczasem dziwna „strzała” światła przesuwająca się jednostajnie na południe. Irytacja zaczęła mieszać się ze strachem. Ob-ret Nethering wiedział, że świat stoi na krawędzi wojny. Wszyscy o tym wiedzieli. Gdyby doszło do wymiany jądrowych uderzeń, świat zostałby zniszczony w ciągu kilku godzin. Nawet leżące na uboczu miejsca, takie jak Rajską Wyspa, nie były bezpieczne. A to światło? Przygasalo teraz, jasny punkt zniknął. Eksplozja nuklearna w polu magnetycznym mogła przypominać zorzę, ale z pewnością nie byłaby tak asymetryczna i nie miałyby tak długiego czasu wznoszenia. A może jacyś sprytni fizycy zbudowali coś subtelniejszego niż zwykła bomba atomowa. Ciekawość i przerażenie mieszały się w głowie Netheringa.

Odwrócił się i pociągnął Shepry'ego w stronę schodów. *Zwolnij*. Ile razy dawał tę radę Shepry'emu?

- Krok po kroku, Shepry, uważaj na przewód zasilający. Czy układ radarowy jest włączony?

- Tak. - Ciężkie buciory Shepry'ego stuknęły za nim na schodach. - Ale w zapisie będą tylko same szumy.

- Może. - Odbicie mikrofal od smug jonizacyjnych to tylko jeden z projektów, którymi zarządzali Nethering i Tripper. Niemal wszystkie powracające sygnały można było przypisać konkretnym satelitom, ale mniej więcej raz na rok widzieli coś, czego nie mogli wyjaśnić, tajemnicę z Wielkiej Pustki. Miał już niemal gotowy artykuł na ten temat. Potem ci przekleści recenzenci - wszechobecny T. Lurksalot - przeprowadzili własne programy badawcze i nie zgodzili się z jego konkluzjami. Dziś mógł wykorzystać układ do innego celu. To dziwne podłużne światło - a gdyby to był jakiś obiekt materialny?

- Shepry, jesteśmy jeszcze w sieci? - Ze stałym łodem łączył światłowód przeciągnięty” po zamrożonym oceanie; zamierzał wykorzystać komputery z kontynentu do realizacji dzisiejszych badań. Teraz...

- Zaraz sprawdzę.

Nethering roześmiał się cicho.

- Zdaje się, że będziemy mogli pokazać Princeton coś bardzo interesującego! - Usiadł przed komputerem i zaczął przeglądać zapis z radaru. Czy to wojna, czy natura mówiły do nich dziś wieczór? Tak czy inaczej, wiadomość była ważna.

PIĘĆDZIESIĄT

Hrunkner Unnerby nie lubił podróżować nowoczesnymi samolotami; czuł się wtedy bardzo stary. Pamiętał jeszcze czasy, gdy silniki spalinowe kręciły drewnianymi śmigłami, a skrzydła budowano z drewna pokrytego tkaniną.

VERNORVINGE

Samolot Victory Smith nie był nawet zwykłym odrzutowcem; lecieli na wysokości niemal stu tysięcy stóp i przemieszczali się na południe z trzykrotną prędkością dźwięku. Dwa silniki pracowały niemal bezgłośnie, do wnętrza samolotu docierało tylko niskie, głębokie buczenie. Światło gwiazd i słońca na zewnątrz było na tyle jasne, że Hrunchner rozróżniał kolory w chmurach poniżej. Świat ukrywał się pod kilkoma warstwami chmur. Z tej wysokości nawet te najwyższe wydawały się niemal przylepione do ziemi. Od czasu do czasu w warstwie obłoków otwierała się jakaś szczelina, mogli wtedy zobaczyć śnieg i lód na dole. Za kilka minut mieli dolecieć do południowej cieśniny i opuścić przestrzeń powietrzną Akord. Oficer komunikacyjny lotu powiedział im, że pozostają pod eskortą eskadry myśliwców Akord, która będzie im towarzyszyć aż do lądowiska ambasady w Gwieździe Południa. Jedynym dowodem na to, że oficer mówił prawdę, były stalowe błyski pojawiające się od czasu na niebie ponad nimi. Hrunchner westchnął. Jak wszystko, co ważne w obecnych czasach, myśliwce poruszały się zbyt szybko i znajdowały się zbyt daleko, by mógł je zobaczyć zwykły śmiertelnik.

Prywatny samolot generał Smith był w rzeczywistości ponaddzwiękowym bombowcem rozpoznawczym, czymś, co w miarę rozwoju satelitów wychodziło powoli z użycia.

- Praktycznie dostaliśmy go ,od Obrony Powietrznej w prezencie - zauważyła Smith, kiedy weszli na pokład. - I tak zamieni się w kupę złomu, kiedy znacznie zamarza powietrze.

Wtedy będą już istniały całkiem nowe środki transportu. Może pojazdy balistyczne? Albo antygravitacyjne? Ale to bez znaczenia. Jeżeli ich obecna misja się nie powiedzie, nie będzie już żadnego przemysłu, tylko niekończąca się walka wśród ruin.

Środek kadłuba wypełniały komputery i sprzęt komunikacyjny. Unnerby widział generatory laserowe i mikrofalowe, kiedy wchodzili na pokład. Łącze z siecią wojskową Akord było niemal równie bezpiecznie jak to w Dowództwie Lądowym. Na pokładzie tego samolotu nie było żadnych stewardów, a Unnerby i generał Smith siedzieli na małych grzędach, które po kilku godzinach lotu stały się okropnie niewygodne. Mimo to zapewne i tak było im znacznie wygodniej niż żołnierzom wiszącym na siatkach z tyłu samolotu. Dziesięcioosobowy zespół; cała ochrona generał Smith.

Victory Smith pracowała w milczeniu. Jej asystent, Tim Downing, wniósł do samolotu cały sprzęt komputerowy: ciężkie, nieporęczne pudła, które albo musiały mieć wielką moc, albo były mocno opancerzone, albo po prostu przestarzałe. Przez ostatnie trzy godziny generał siedziała w kręgu sześciu monitorów. Patrząc na blask odbijający się w jej oczach, Hrunchner zastanawiał się, co też tam widzi. Wojskowe sieci w połączeniu z wszystkimi ogólnodostępnymi sieciami musiały dawać jej niesamowity widok.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Monitor Unnerby'ego pokazywał ostatni raport o podziemnych budowach Gwiazdy. W dużej części były to kłamstwa, Unnerby znał jednak dość dobrze oryginalne plany, by domyślić się prawdy. Po raz enty zmusił się do czytania. To dziwne; kiedy był młody, w czasach Wielkiej Wojny, potrafił bez trudu koncentrować się tak, jak robiła to teraz generał. Dziś jednak jego myśli wciąż wracały do sytuacji i katastrofy, której nie mogli już chyba zapobiec.

Byli już nad cieśniną; z tej wysokości popękany morski lód wyglądał jak misterna mozaika szczelin.

- Hej! - krzyknął nagle jeden z techników łączności. - Widzieliście to?

Hrunkner niczego nie widział.

- Tak! Sprawdź to.

- Tak jest.

Technicy zajmujący miejsca na grzędach ponad głową Unnerby'ego pochylili się teraz nad swymi monitorami i wystukiwali coś szybko na klawiaturach. Światła na ekranach zmieniały się raz za razem, ale Unnerby nie mógł odczytać ani słowa.

Widział, jak Victory Smith wstaje ze swojej grzędy i przygląda się z uwagą poczynaniom techników. Najwyraźniej jej sprzęt nie był połączony z ich komputerami. No tak. Więc wcale nie miała tak niesamowitego widoku, jak przypuszczał.

Po chwili uniosła rękę, przyzywając jednego z techników.

- Wygląda na to, że ktoś zrzucił bombę atomową - wyjaśnił ten natychmiast.

- Hm... - mruknęła Smith. Na monitorze Unnerby'ego nic się nie zmieniło.

- To było bardzo daleko, prawdopodobnie gdzieś nad Morzem Północnym. Otworzę dla pani dodatkowe okno.

- I dla sierżanta Unnerby'ego, proszę.

- Tak jest. - Raport z Gwiazdy na monitorze Hrunknera zastąpiła nagle mapa Północnego Wybrzeża. Kolorowe kontury rozrastały się koncentrycznie wokół punktu położonego osiemset mil na północny wschód od Rajskiej Wyspy. Tak, stary magazyn paliw Tieferów, bezużyteczna podwodna góra, chyba że ktoś chciał ją wykorzystać jako wyrzutnię. Rzeczywiście, było to bardzo daleko stąd, niemal po drugiej stronie globu.

- Tylko jeden wybuch? - spytała Smith.

- Tak, bardzo wysoko. Atak pulsacyjny... tyle że nie większy od megafony. Tę mapę tworzymy na podstawie danych z satelitów i analiz naziemnych z Północnego Wybrzeża i Princeton. - Na monitorze pojawiły się odpowiednie informacje, odnośniki bibliograficzne do tych miejsc w sieci, które brały udział w tworzeniu mapy. Ha. Znalazł się tu nawet raport naoczego świadka z Rajskiej Wyspy, naukowca z obserwatorium astronomicznego.

VERNORVINGE

- Co straciliśmy?
- Brak strat wojskowych, generale. Nie działają dwa satelity komercyjne, ale to może być tylko jakaś drobna usterka. To było tylko szturchnięcie.

Więc po co? *Test? Ostrzeżenie?* Unnerby wpatrywał się w monitor.

Jau Xin był tutaj przed rokiem, wtedy dowodził jednak sześciuosobową szalupą i zakradł się na orbitę Arachny ledwie na kilka godzin. Dziś dowodził „Niewidzialną ręką”, statkiem kosmicznym o masie miliona ton.

Przybywali na planetę jak prawdziwi zdobywcy - nawet jeśli większość tych zdobywców wierzyła, że niesie Pająkom ratunek. Obok Jau, na miejscu zajmowanym niegdyś przez kapitana Handlarzy, siedział Ritser Brughel. Grupmistrz wyrzucał z siebie nieustający strumień rozkazów - można by pomyśleć, że sam próbował zarządzać pilotami. Zbliżyli się do Arachny nad biegunem północnym, utrzymując stałą wysokość tuż ponad atmosferą. Hamowali jednym, długim ciągiem, niemal tysiąc sekund przy ponad 1 g. Dokonali tego nad otwartym oceanem, z dala od miejsc zamieszkałych przez Pajaki, lecz powstała przy hamowaniu zorza musiała być doskonale widoczna dla tych niewielu, którzy znajdowali się w pobliżu. Jau widział blask odbity w lodzie i śniegu na dole.

Brughel patrzył na martwy krajobraz przesuwany się pod okrętem. Jego twarz ściągały jakieś intensywne emocje. Niesmak wywołany widokiem tak ogromnej przestrzeni, która wydawała się kompletnie bezwartościowa? Czy też triumf związany z przybyciem na świat, którym będzie współrządził? Prawdopodobnie jedno i drugie. Tutaj, na pokładzie „Niewidzialnej ręki”, zarówno poczucie triumfu, jak i żądza krwi coraz częściej pojawiały się w głosie Brughla, czasem nawet w jego słowach. To-mas Nau starał się nadal zachowywać pozory na LI, ale Ritser Brughel nie potrafił już dłużej grać. Jau widział kiedyś korytarze prowadzące do prywatnych kwater Brughla. Ściany pokrywał wirujący róż, zmysłowy, ciężki i przerażający. Nikt spoza najbliższego otoczenia grupmistrza nie miał wstępu do tego miejsca. Podczas podróży z LI Jau słyszał, jak Brughel opowiada grupkapralowi Anlangowi o specjalnym daniu, które zamierzał wyciągnąć z lodówki, by uczcić zwycięstwo nad Pająkami. *Me, nie myśl o tym. I tak wiesz już za dużo.*

Xin słyszał głosy swych pilotów, potwierdzające to, co widział na monitorze. Spojrzał na Brughla i wiedząc, jak bardzo ten lubi wszelkie wojskowe formalności, przemówił oficjalnym tonem:

- Ciąg zakończony, grupmistrzu. Jesteśmy na orbicie polarnej, wysokość sto pięćdziesiąt kilometrów. - Gdyby zesłi jeszcze niżej, potrzebowaliby śniegowców. - Byliśmy widoczni z odległości wielu tysięcy kilometrów. - Xin przybrał zatroskaną minę. Przez całą podróż od LI udawał na iwnego idiotę. Była to ryzykowna gra, ale jak dotąd dawała mu trochę

OTCHLAŃ W NIEBIE

większy margines wolności. / *może, moicuda mi się zapobiec w jakiś sposób masakrze.*

Brughel uśmiechnął się z wyższością.

- Oczywiście że byliśmy widoczni, panie Xin. Właśnie o to nam chodziło; pozwoliliśmy im nas zobaczyć, a teraz odpowiednio zmienimy im formacje, jakie będą do nich docierać. - Skontaktował się z pokładem fiksatów. - Panie Phuong! Czy zamaskował pan nasze przybycie?

Kiedy Jau był ostatnio na pokładzie twardogłowych, miejsce to wyglądało jak dom wariatów, Phuong przemawiał jednak z chłodnym spokojem:

- Całkowicie panujemy nad sytuacją, grupmistrzu. Trzy zespoły przygotowują w tej chwili sygnały z satelitów. LI twierdzi, że wyglądają do brze. - Bil miał na myśli zespół Rity. Rita miała lada moment zejść ze służby, by - jak twierdził Nau - odpocząć przed ciężką pracą. Jau wiedział jednak doskonale, że ta „przerwa” miała odbywać się w czasie, gdy na planecie dojdzie do masakry Pająków. Tymczasem Phuong kontynuował:

- Muszę pana jednak ostrzec, grupmistrzu. W końcu Pajaki domyśla się prawdy. Ten kamuflaż przetrwa tylko jakieś sto Ksekund, może krócej, jeśli ktoś tam na dole będzie wystarczająco sprytny.

- Dziękuję, panie Phuong. To powinno nam w zupełności wystarczyć.

- Brughel uśmiechnął się łaskawie do Jau.

Część widoku planety zniknęła z ich monitorów, ustępując miejsca Tomasowi Nau na LI. Starszy grupmistrz siedział z Ezrem Vinhem i Phamem Trinlim w chacie w parku. Słoneczny blask odbijał się od wody za ich plecami. Miała to być publiczna rozmowa, transmitowana do kwater na LI i na „Niewidzialną rękę”. Nau rozejrzał się po mostku okrętu, potem jego wzrok spoczął na Ritserze Brughlu.

- Gratulacje, Ritser. Dobrze wam poszło. Rita mówi mi, że osiągnęliście już bliską synchronizację z sieciami naziemnymi. My też mamy do bre wiadomości. Szef wywiadu Akord wizytuje Gwiazdę Południa. Jej główny oponent z Kindred już tam jest. Jeśli nie dojdzie do jakichś nieprzewidzianych wydarzeń, jeszcze przez jakiś czas na Arachnie powinien panować pokój.

Nau wydawał się szczerze zatroskany losem Pająków. Co zdumiewające, Ritser Brughel kłamał niemal równie gładko.

- Tak jest. Przygotowujemy się do przejęcia sieci i wydania pierwszego oficjalnego oświadczenia. Mam nadzieję, że dojdzie do tego za jakieś... - przerwał na moment, jakby konsultując się z harmonogramem - ...pięćdziesiąt Ksekund. .

Oczywiście Nau nie odpowiedział mu od razu. Sygnał z „Niewidzialnej ręki” musiał przebyć pięć sekund świetlnych dzielących okręt od LI. Odpowiedź mogła więc nadejść najwcześniej za dziesięć sekund.

Równo dziesięć sekund potem Nau uśmiechnął się dobrotliwie.

- Doskonale. Postaramy się, by wszyscy tutaj mogli trochę odpocząć,

VERNOR VINGE

nim rozpocznie się najcięższa praca. Życzymy wam wszystkim powodzenia, Ritser. Wierzmy w was.

Obaj grup mistrzowie wymienili jeszcze kilka podobnych w tonie uwag, potem Nau się rozłączył. Brughel sprawdził, czy komunikacja odbywa się teraz tylko w obrębie statku.

- Lada moment powinniśmy dostać kody celów, panie Phoung - oznajmił wreszcie z uśmiechem. - Jeszcze tylko dwadzieścia Ksekund i usmażymy trochę Pająków.

Sheptry Tripper wpatrywał się z niedowierzaniem w ekran radaru.

- Jest... jest dokładnie tak, jak pan mówił. Osiemdziesiąt osiem minut i znów nadlatuje od północy!

Sheptry był całkiem dobrym matematykiem i pracował z Netherin-giem już prawie od roku. Z pewnością rozumiał zasady lotu satelitów. Jak większość ludzi nadal miał jednak kłopoty z uwierzeniem w „kamień, który raz podrzucony nigdy nie spada”. Dzieciak niemal skakał z radości, kiedy jakiś satelita meteorologiczny pojawiał się na horyzoncie w miejscu i czasie, który przewidziała matematyka.

To, co Nethering robił tego wieczora, różniło się znacznie od zwykłych obliczeń, a on sam był równie zdumiony jak jego asystent i znacznie bardziej przerażony. Tylko dwa czy trzy razy udało im się dokładnie namierzyć węższy koniec zorzy. Tajemniczy obiekt wciąż zwalniał, choć znajdował się ponad atmosferą. Pracownicy Obrony Powietrznej z Princeton przyjęli jego raport bez entuzjazmu. Nethering znał tych ludzi już od dawna, ale dziś traktowali go jak natręta, podziękowali za informację i zapewnili, że zajmą się tą sprawą. Tymczasem w światowej sieci nie mówiło się niczym innym, jak tylko o pocisku atomowym krążącym po orbicie. Ale to nie był żaden pocisk. Kiedy odlatywał na południe, wydawało się, że jest na niskiej orbicie... teraz wracał od północy, dokładnie o czasie.

- Myśli pan, że teraz go zobaczą? Przeleci niemal dokładnie nad nami.

- Nie wiem. Nie mamy sondy, która mogłaby to dogonić. - Ruszył z powrotem w stronę schodów. - Może wykorzystamy dziesięćocalówkę.

- Tak! - Sheptry już podrywał się do biegu...

- Zapnij ogrzewacz! Uważaj na kable!

...i zniknął mu z oczu, pędząc w górę schodów.

Ale dzieciak miał rację! Do momentu kiedy obiekt znajdzie się dokładnie nad wyspą, zostały niecałe dwie minuty, później znów zniknie za horyzontem. Ba. Może nie mieli nawet czasu na wystrzelenie sondy. Nethering przystanął na moment, pochwyił lornetkę ze swego biurka. Potem biegł już w górę schodów za Sheptrym.

Na górze wiał lekki wiatr, mróz kąsał niczym kły taranta nawet przez elektryczne nogawice. Słońce miało wzejść za jakieś siedemdziesiąt minut; choć jego światło było bardzo słabe, i tak znacznie pogarszało jakość

OTCHŁAŃ W NIEBIE

obrazu, dziś więc nie miał już szans na udaną obserwację. Choć raz wcale się tym nie przejmował. Dziś los uśmiechał się do niego w inny sposób.

Tajemniczy obiekt miał nadlecieć za niecałą minutę. W tej chwili powinien znajdować się nad horyzontem i zmierzać na południe, w ich stronę. Nethering przesunął się nieco dalej wzdłuż kolistej ściany głównej kopuły i wbił wzrok w północne niebo. Słyszał, jak Sheptry zmaga się z upchniętą w magazynie dziesięciocalówką, małym wskaźnikiem radarowym, który pokazywali turystom. Właściwie powinien pomóc dzieciakowi, ale naprawdę nie miał na to czasu.

Znajome układy gwiazdne błyszczały jasno w kryształowo czystym powietrzu. Właśnie ze względu na tę przejrzystość powietrza Obret Nethering czuł się tu jak w raju. W tej chwili szukał plamki odbitego światła słonecznego, która powinna wznosić się powoli po niebie. Była, rzecz jasna, bardzo niewielka, bo i słońce teraz wyjątkowo blado świeciło. Nethering patrzył i patrzył, szukając choćby najmniejszego ruchu światła... Nic. Może powinien był jednak użyć radaru, może marnowali właśnie jedyną szansę na zebranie jakichś konkretnych danych. Sheptry wyciągnął już dziesięciocalówkę z magazynu. Teraz próbował ją podłączyć.

T Proszę pana, proszę mi pomóc!

Obaj się pomylili. Los może uśmiechał się do niego, ale był to uśmiech szyderczy. Obret odwrócił się do Sheptry'ego nieco zawstydzony, że ignorował go do tej pory. Oczywiście nadal patrzył także na niebo, na ów fragment tuż nad horyzontem, gdzie powinna znajdować się maleńka plamka. Plama czerni przemknęła przez błyszczący gwiazdozbiór Robbe-ra. Plama czerni. Coś... ogromnego.

Zapominając o godności naukowca, Nethering przewrócił się na bok i przytknął lornetkę do mniejszych oczu. Dziś jednak nie miał nic więcej... Obracał się powoli, obserwując miejsce, w którym powinien znaleźć tajemniczy obiekt.

- Proszę pana? O co chodzi?

- Sheptry, spójrz w górę... spójrz w górę.

Koblik milczał przez chwilę.

- Och!

Obret Nethering nie słuchał. Obserwował to przez lornetkę i całą jego uwaga skupiała się utrzymaniu tego czegoś w polu widzenia i zapamiętywaniu. Nie widział natomiast światła, tylko ciemny kształt sunący przez rozgwieżdżone niebo. Miał prawie ćwierć stopnia długości. W przerwie pomiędzy obłokami gwiazdnymi był niewidoczny... a potem znów widział go przez kilka sekund. Potrafił już nawet określić kształt - przysadzisty walec, skierowany w dół, otoczony prawdopodobnie jakimiś skomplikowanymi urządzeniami na śródkręciu.

Na śródkręciu.

Obiekt przesunął się ze stałą prędkością na południe. Nethering próbował przez cały czas śledzić jego trasę, okazało się jednak, że jest to

VERNORVINGE

praktycznie niewykonalne. Gdyby nie patrzył w odpowiednim momencie na gwiazdozbiór Robbera, zapewne w ogóle nic by nie zauważył. *O dzięki ci, Losie!*

Opuścił lornetkę i wstał.

- Zostaniemy tu jeszcze przez kilka minut. - Kto wie, może temu okrętowi towarzyszyły jeszcze jakieś inne obiekty?

- Och, niech mi pan pozwoli pójść na dół i wrzucić to do sieci! - błagał koblik. - Ponad dziewięćdziesiąt mil nad ziemią i taki wielki, że widziałem jego kształt. Musi mieć z pół mili długości!

- Dobrze, idź.

Shepry zniknął na schodach. Minęły trzy minuty. Cztery. Nad południowym horyzontem przesunął się jakiś punkt, prawdopodobnie satelita komunikacyjny. Nethering schował lornetkę do kieszeni i ruszył w dół schodów. Tym razem Obrona Powietrzna będzie musiała go wysłuchać. Spora część pieniędzy, jakie zgodnie z kontraktem otrzymywał Nethering, pochodziła od wywiadu Akord; wiedział o satelitach antygravitacyjnych, jakie wystrzeliwał ostatnio Kindred. *To nie jest ani nasz statek, ani Kindred. A w obliczu tego wydarzenia cała nasza wojna staje się tylko bzdurną kłótnią.* Świat stał na krawędzi wojny jądrowej. A teraz... co? Przypomniał sobie, co stary Underhill mówił o „otchłani w niebie”. Ale anioły powinny przychodzić z dobrej, zimnej ziemi, a nie z pustego nieba.

Shepry'ego spotkał przy drzwiach.

- Nie jest dobrze, proszę pana. Nie mogę...

- Łącze z łądem nie działa?

- Nie. Działa. Ale Obrona Powietrzna zbyła mnie tak samo jak za pierwszym razem.

- Może już wiedzą.

Shepry wzruszył ramionami.

- Może. Ale coś dziwnego pojawiło się też w plotkach. Przez te ostatnie dni obudziły się chyba wszystkie świrusy na świecie. Co chwila ktoś ryś przysyłał jakąś rewelację, wie pan, zapowiedzi końca świata, wizyty śnieżnych trolli. Do tej pory można się było z tego śmiać; nawet ja się trochę wygłupiałem i dołożyłem swoją historyjkę. Ale dzisiaj to już jest prawdziwe szaleństwo. - Shepry umilkł, jakby zabrakło mu słów. Nagle wydał się bardzo młody i zagubiony. -To... to nie jest normalne, proszę pana. Znalazłem dwa opisy tego, co właśnie widzieliśmy, całkiem konkretne i rzeczowe. Ale w tej masie idiotyzmów nikt nie weźmie ich na poważnie.

Hmm. Nethering przeszedł przez pokój i usiadł na swojej starej grzędzie obok urządzeń badawczych. Shepry kręcił się nerwowo w miejscu, czekając na jego opinię. *Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, kontrolki i wskaźniki zajmowały trzy ściany, prawie wszystkie były jeszcze analogowe.* Teraz w większości były to małe i precyzyjne urządzenia cyfrowe. Czasami żartował sobie z Sheprym, pytał go, czy napraw-

dę mogą ufać wszystkiemu, czego nie mogą obejrzeć od środka. Shep-ry nigdy nie rozumiał jego braku wiary w automatykę komputerową. Do dzisiaj.

- Wiesz, Shep-ry, może powinniśmy zadzwonić w kilka miejsc.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Hrunkner był już kiedyś w suchym huraganie podczas Wielkiej Wojny. Wtedy jednak znajdował się na ziemi - a właściwie, przez większość czasu, pod ziemią - i pamiętał tylko nieustający wiatr i małe drobiny śniegu wciskające się w każdą szczelinę i otwór.

Tym razem przebywał w powietrzu, zlatywał z wysokości czterdziestu tysięcy stóp. W bladym blasku słońca widział śnieżne wiry rozciągnięte na przestrzeni setek mil. Choć wiatr kręcił nimi z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, z tej odległości wydawały się niemal nieruchome. Suchy huragan nie mógł równać się z furją wodnego huraganu Czasu Jasności. To zjawisko miało jednak trwać przez lata. Równowaga cieplna świata zatrzymała się na jakiś czas na termicznym płaskowyżu, energii krystalizacji wody. Po przejściu przez ten płaskowyż temperatura znów miała stopniowo spadać na następny, znacznie niższy poziom, kiedy to zamarzało już nawet powietrze.

Odrzutowiec sunął ku ścianie chmur, podskakując i kołysząc się w niewidzialnych turbulencjach. Jeden z pilotów zauważył, że ciśnienie powietrza jest teraz znacznie niższe niż na wysokości pięćdziesięciu tysięcy stóp ponad cieśniną. Hrunkner przysunął głowę do okna, patrzył teraz niemal prosto do przodu. W oku huraganu migotał blask słońca odbity od śniegu i lodu. Były tam także inne światła, gorąca czerwień przemyślu Południa ukrytego tuż pod powierzchnią.

Daleko przed nimi poszarpane krawędzie gór przebijały chmury. Widniały tam barwy i kształty, których Hrunkner nie widział od czasu pamiętnego spaceru w Ciemności z Sherkanerem.

* * *

Ambasada Akord w Gwieździe Południa miała własne lotnisko, pole o wymiarach cztery na dwie mile tuż obok centrum miasta. Nawet to było tylko drobnym fragmentem posiadłości kolonialnych z poprzednich pokoleń. Pozostałości imperium były najpierw przeszkodą w nawiązaniu przyjaznych stosunków, a potem punktem wyjścia dla gwałtownego rozwoju współpracy ekonomicznej obu krajów. Dla Unnerby'ego był to tylko zdecydowanie za krótki, pomazany olejem pas lodu. Ich samolot wykonał najbardziej ekscytujące lądowanie w karierze Hrunknera, kontrolowany poślizg wzdłuż rzędu pokrytych śniegiem magazynów.

VERNORVINGE

Pilot generał Smith miał ogromne umiejętności albo mnóstwo szczęścia. Zatrzymali się zaledwie sto stóp przed zaspami oznaczającymi koniec pasa. Po chwili do samolotu podjechały przysadziste holowniki, które zaciągnęły ich do hangaru. Nikt nie śmiał wychodzić na otwartą przestrzeń. Grunt wokół pasa startowego lśnił szronem zamrażniętego dwutlenku węgla.

We wnętrzu przepastnego hangaru jasno płonęły światła, a gdy tylko zamknęły się drzwi, obsługa przysunęła do samolotu schody. Na dole czekało już kilku eleganckich koberów. Zapewne ambasador i szef ochrony ambasady. Nadal przebywali na terenie Akord, toteż prawdopodobieństwo, że pojawi się tutaj ktoś z Południowców, było niewielkie. Wtedy zobaczył insygnia parlamentarzystów na kurtkach dwóch oficjeli. Komuś bardzo zależało na tym spotkaniu.

Otworzono środkowy właz, do wnętrza samolotu wpadło zimne powietrze. Smith zebrała już swoje rzeczy i zmierzała do wyjścia. Hrunkner pozostał jeszcze przez chwilę na swojej grzędzie. Przywołał gestem jednego z techników.

- Były jeszcze jakieś eksplozje?
- Nie, proszę pana, nic. Mamy potwierdzenie z sieci. Tylko ten jeden megalonowy wybuch.

Klub Podoficerski w Dowództwie Lądowym różnił się znacznie od większości tego rodzaju lokali. Dowództwo Lądowe znajdowało się o dzień jazdy samochodem od najbliższego miasta, lecz w porównaniu z większością odizolowanych obiektów wojskowych dysponowało dość okazałym budżetem. Przeciętny podoficer w Dowództwie Lądowym był zazwyczaj technikiem co najmniej po czterech latach szkolenia na poziomie akademickim, a wielu tutejszych żołnierzy pracowało w Centrum Dowodzenia, kilka pięter pod klubem. W lokalu znajdowały się więc nie tylko gry stołowe, zestawy do ćwiczeń i bar, normalne wyposażenie klubów wojskowych, ale i całkiem przyzwoita biblioteczka oraz kilka stanowisk do gier sieciowych, które także wykorzystywano do nauki.

Victory Lighthill siedziała w mrocznym kąciку za barem i oglądała serię reklam telewizyjnych na przeciwległej ścianie. Niezwykłe było to, że w ogóle została tu wpuszczona. Lighthill była podporucznikiem, zmorą i wrogiem wielu podoficerów. Jednak zgodnie z tutejszą tradycją, jeśli oficer zakrył dystynkcje i został zaproszony przez podoficera, jego obecność w klubie tolerowano.

Lighthill tolerowano, ale nie była zbyt mile widziana. Ze względu na charakter działalności - nieoczekiwane inspekcje i wizyty - oraz na szczególne powiązania z szefem wywiadu, zespół Lighthill zyskał sobie dość specyficzną reputację, a przeciętny żołnierz czuł się dość niepewnie w ich towarzystwie. No tak, ale pozostali członkowie zespołu byli przecież podoficerami. W tej chwili siedzieli w różnych punktach klubu, każdy z ze-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

stawem wypchanych koszy podróży. Choć raz inni podoficerowie rozmawiali z nimi, nawet jeśli robili to tylko z ciekawości. Nawet ci, którzy nie pracowali w wywiadzie, orientowali się, że sprawy stoją na ostrzu noża - a członkowie tajemniczego zespołu Lighthill z pewnością wiedzieli znacznie więcej niż przeciętny żołnierz.

- To Smith przyleciała do Gwiazdy Południa - powiedział starszy sierżant siedzący za barem. - No bo kto inny? - Wyciągnął rękę w stronę jednego z kaprali Lighthill, najwyraźniej oczekując jakiejś odpowiedzi. Kapral Suabisme, która dla tradycjonalistów musiała wyglądać wręcz nieprzyzwoicie młodo, wzruszyła tylko ramionami.

- Nie mam pojęcia, sierżancie. Naprawdę.

Starszy sierżant uczynił rękoma pożywiającymi gest oznaczający kąpiący uśmiešek.

- Doprawdy? To dlaczego wszyscy macie torby podróżne? Powiedziałbym, że czekacie tylko, żeby wskoczyć do jakiegoś samolotu.

Tego rodzaju zaczepki zmusiłyby zazwyczaj Viki do działania; odciągnęłaby Suabisme na bok albo - w razie potrzeby - zamknęła usta sierżantowi. Lecz tutaj, w klubie podoficerskim, Lighthill nie miała żadnej władzy. Poza tym przebywali tu właśnie po to, by nie zwracać na siebie uwagi. Po chwili starszy sierżant jakby zrozumiał, że nie wyciągnie od młodszego żołnierza żadnych informacji i odwrócił się do swoich kolegów przy barze.

Viki odetchnęła z ulgą. Pochyliła się niżej, tak że tylko czubki jej oczu znajdowały się ponad poziomem baru. W klubie robiło się tłoczno. Niewielu gości rozmawiało, nikomu nie było też do śmiechu. Podoficerowie po służbie powinni zachowywać się nieco swobodniej, lecz dziś wszyscy mieli co innego na głowie. Centrum uwagi stanowił telewizor. Spółka podoficerów zakupiła -najnowszy model o zmiennym formacie. Viki uśmiechnęła się lekko do siebie. Jeśli świat przetrwa jeszcze choć kilka lat, takie urządzenia będą równie bezużyteczne jak sprzęt do wideoman-cji, którym bawił się tata.

Tymczasem w telewizji przedstawiano właśnie wiadomości. Jedno okno ukazywało obraz nakręcony jakąś amatorską kamerą na lotnisku ambasady w Gwieździe Południa; samolot, który wylądował obok ambasady, należał do ściśle strzeżonych tajemnic wojskowych. Viki tylko dwa razy widziała dotąd ten model. Jednak jak wiele podobnych rzeczy, samolot był tajny i jednocześnie przestarzały. Prasa raczej powstrzymywała się od komentarzy na temat tego wydarzenia. Prowadząca dziennik gratulowała swym współpracownikom tak udanego materiału i zastanawiała, się kto może przebywać na pokładzie tego samolotu.

- ...Nie jest to sam Król, wbrew temu, co mogą twierdzić inne stacje. Nasi reporterzy czuwający pod pałacem i w pobliżu lotnisk w Prince ton z pewnością zauważyliby jakieś ruchy królewskiego dworu. Kto więc przyleciał dzisiaj do Gwiazdy Południa? - Spikerka zrobiła dramatyczną

VERNORVINGE

pauzę, a kamery przysunęły się bliżej, otaczając ciasno jej ciało. Manewr ten dawał widzom wrażenie zażyłości, poufałości z prowadzącą. - Wiemy teraz, że wysłannikiem jest szef królewskiej służby wywiadowczej, Vic-tory Smith. - Kamery cofnęły się nieco. - Zwracamy się do was, oficerowie królewskich służb informacyjnych, nie zdołacie ukryć się przed prasą. Lepiej od razu dajcie nam pełny dostęp. Zobaczmy, jak radzą sobie ludzie Smith w Republice Południa.

Kolejna kamera, tym razem we wnętrzu hangaru; samolot mamy został wciągnięty do hangaru, szczelnie zamknięto drzwi. Cała ta scena wyglądała jak diorama zbudowana z dziecięcych zabawek; futurystyczny samolot, przysadziste, opancerzone ciągniki pełznące po podłodze hangaru. Jak dotąd w polu widzenia kamery nie pojawił się żaden człowiek. *Chyba nie musimy utrzymywać sztucznego ciśnienia w hangarze?* Nawet w oku suchego huraganu ciśnienie nie mogło tak bardzo opaść. Po chwili jednak z furgonetki wyskoczyli jacyś żołnierze. Przysunęli do wjazdu samolotu schody. Wszyscy obecni w klubie nagle zamilkli.

Jeden z żołnierzy wbiegł na schody. Uchylił właz i... obraz przekazywany z kamery ambasady zniknął nagle, zastąpiony przez królewską pieczęć.

Ktoś roześmiał się nerwowo, potem sala wypełniła się głośnym aplauzem.

- Brawo dla generała Smith! - krzyknął ktoś. Ci koberzy byli równie ciekawi tego, co dzieje się w ambasadzie w stolicy Południa, jak wszyscy przeciętni obywatele Akord, lecz także serdecznie nie cierpieli dziennikarzy. Otwarte, publiczne dyskusje, jakie toczyły się ostatnio na antenie, odbierali jako osobisty afront.

Viki spojrzała na członków swego zespołu. Większość oglądała telewizję, lecz bez specjalnego zainteresowania. Wiedzieli już, co się dzieje, i - jak słusznie domyślał się Starszy Sierżant Ciekawski - gotowi byli w każdej chwili wkroczyć do akcji. Niestety telewizja nie mogła im w tym pomóc. Na tyłach sali, z dala od baru i telewizora, kilku wytrwałych graczy okupowało miejsca w kabinach komputerowych. Była między nimi także trójka podwładnych Lighthill. Brent siedział tam, odkąd tylko weszli do klubu. Jej brat siedział pochylony nad tablicą sterowniczą, elektroniczny hełm zakrywał większą część jego głowy. Patrząc na niego, nikt nie domyślałby się, że świat stoi na skraju przepaści.

Viki zsunęła się ze swojej grzędy i podeszła cicho do szeregu kabin.

Ten dzień miał być .najjaśniejszym punktem w całej trzydziestopięcioletniej historii saloniku. *Kto wie, może po tym wszystkim będziemy mogli działać nadal, zamienić to w prawdziwy biznes.* Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Salonik Benny'ego stanowił centrum życia towarzyskiego tej dziwnej społeczności LI. Wkrótce miała do niej dołączyć inna rasa, pierwsza zaawansowana technicznie obca rasa, jaką kiedykolwiek poznała ludz-

OTCHLAŃ W NIEBIE

kość. Salonik mógł stać się centralnym punktem spotkań tej cudownej mieszanki.

Benny Wen przelatował od stołu do stołu, wydając polecenia swoim pomocnikom i witając gości. Ale od czasu do czasu jego myśli wędrowały ku przyszłości, próbował wyobrazić sobie, jak będzie podejmował Pająki.

- Na dole brakuje piwa - rozległ się w jego uchu głos Hunte.

- Poproś Gonie, tato. Obiecała, że zadba o wszystko. - Rozejrzał się dokoła, dostrzegł sylwetkę Fong po drugiej stronie tunelu kwiatów i winorośli, we wschodnim skrzydle saloniku.

Benny nie słyszał odpowiedzi ojca. Rozmawiał z grupą Emergentów i Queng Ho, którzy właśnie zasiadali wokół przygotowanego wcześniej stołu.

- Witajcie, witajcie. Lara! Nie widziałem cię już od tyłu wacht. - Du ma z wszystkiego, co udało mu się przez ten czas osiągnąć, i radość wywołała spotkaniem ze starymi przyjaciółmi mieszały się w jego sercu, tworząc podnoszącą na duchu całość.

Po krótkiej rozmowie odleciał od stołu, przeniósł się do następnego, i do jeszcze kolejnego, przez cały czas kontrolując sytuację w saloniku. Nawet gdy on, Gonie i ojciec byli razem na służbie, naprawdę musieli się bardzo starać, by skoordynować pracę wszystkich pomocników.

- Ona tu jest, Benny - rozbrzmiał w jego uchu głos Gonie.

- Przyszła! - odparł. - Spotkam się z nią przy frontowym stoliku! - Odepchnął się mocniej, zмирzając w stronę centralnej sali. Grupmistrz pozwolił - ba, zachęcał ich do tego - by zlikwidowali ściany i połączyli wszystkie sale narad w jedną całość. Salon był teraz największym pomieszczeniem w kwaterach. Oprócz parku stanowił także największą przystosowaną do życia przestrzeń na LI. Dziś, u szczytu przygotowań do akcji ratunkowej dla Arachny, na wachcie przebywało jednocześnie niemal trzy czwarte wszystkich Queng Ho i Emergentów. Przez tę krótką chwilę przed decydującym ruchem praktycznie wszyscy zebrali się w salonie Benny'ego. Był to nie tylko dzień ratunku, ale także pojednania i nowego początku.

W samym centrum salonu znajdował się w tej chwili dwudziestościan monitorów, namiot zbudowany z najlepszej wideotapety, jaka im jeszcze została. Choć było to prymitywne rozwiązanie, pomagało tworzyć więź między uczestnikami akcji ratunkowej. Wszyscy Klienci patrzyli jednocześnie na ten sam obraz. Benny przeleciał szybko przez pustą przestrzeń, omal nie zawadzając stopami o monitory. Z tego miejsca widział setki swoich gości, dziesiątki stolików ustawionych wśród kwiatów i liści. Podleciał jeszcze kilka metrów, uchwycił się najbliższej winorośli i zatrzymał przy stoliku w górnym skrzydle. Tomas Nau nazwał to miejsce „łóża honorową”.

- Witaj, Qiwi! Proszę, usiądź i rozgość się! - Przynasnął się bliżej do stołu.

VERNORVINGE

Qivi Lisolet uśmiechnęła się doń niepewnie. Choć była teraz starsza od niego o jakieś pięć, sześć lat, nagle wydała mu się bardzo młoda, nieśmiała. Trzymała coś na ramieniu, był to jeden z kotków z Północnej Łapy, Benny nigdy wcześniej nie widział ich poza parkiem. Qivi rozejrzała się dokoła, jakby zdumiona widokiem takich tłumów.

- Są tu prawie wszyscy.

- Tak! Bardzo się cieszymy, że zechciałaś do nas przyjść. Będziesz mogła wyjaśnić nam lepiej, co się dzieje tam na dole. -Ambasador dobrej woli od grupmistrza. I właśnie tak dzisiaj wyglądała. Żadnych ubrań roboczych czy skafandrów. Miała na sobie delikatną sukienkę, która falowała łagodnie w powietrzu przy każdym jej ruchu. Nawet na otwarciu parku nie wyglądała tak pięknie.

Qivi niepewnie usiadła za stołem. Benny na moment zajął miejsce obok niej, przez grzeczność. Wręczył jej pilota sterującego monitorami.

- Dała mi to Gonie. Przykro mi, ale nie mamy nic lepszego. -Wskażała na monitory. - Dzięki temu będziesz też słychać w całym salonie. Proszę, używaj tego. Ty najlepiej z nas wszystkich orientujesz się w sytuacji.

Po chwili wahania Qivi wzięła od niego pilota. Drugą ręką mocno trzymała kotka. Zwierzę poruszyło skrzydłami, przyjmując wygodniejszą pozycję, poza tym jednak nie protestowało w żaden sposób. Od wielu już lat Qivi była najpopularniejszą osobą z bliskiego otoczenia grupmistrza. Nie była właściwie ambasadorem, przypominała raczej księżniczkę. Tak właśnie opisał ją kiedyś Benny w rozmowie z Gonie Fong. Gonie przyjęła to pogardliwym parsknięciem, ale potem przyznała mu rację. Wszyscy ufali Qivi, to ona nadawała rządowi grupmistrza ludzki charakter... A jednak czasami wydawała się zagubiona. Na przykład dziś była w takim stanie. Benny rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu. Niech inni popracują za niego przez chwilę. Wyczuwał, że Qivi potrzebuje go teraz bardziej niż oni.

Po chwili podniosła nań wzrok, a na jej twarzy pojawił się dobrze mu znany uśmiech.

- Dobrze, poprowadzę ten show. Tomas pokazał mi, jak to robić. - Wypuściła z objąć kociaka i poklepała Benny'ego po ręce. - Nie martw się, Benny. Akcja ratunkowa może być bardzo trudna, ale jakoś sobie po radzimy.

Znacznie już pewniejsza siebie uruchomiła monitory, oznajmiając w ten sposób, że rozpoczyna show. Kiedy przemówiła, jej głos popłynął z tysiąca mikrofonów ustawionych tak, że każdy miał wrażenie, iż znajduje się tuż przy nim.

«

- Dzień dobry wszystkim. - Jej głos był mocny, pewny siebie. Znowu zachowywała się jak Qivi, którą wszyscy znali.

Tymczasem monitory podzieliły się na mniejsze okna, przedstawiające różne obrazy; twarz Qivi, Arachna widziana z pokładu „Niewidzial-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nej ręki", grupmistrz Nau pracujący w swej chacie w parku, schemat orbity „Ręki” i wojskowa konfiguracja różnych państw Pająków.

- Jak wiecie, nasza stara przyjaciółka, Victory Smith, przybyła właśnie do Gwiazdy Południa. Za kilka chwil dotrze do parlamentu, a my będziemy mogli cieszyć się czymś, czego tu jeszcze nie mieliśmy - bezpośrednim widokiem z ludzkiej kamery umieszczonej na sali obrad. Wreszcie, po wszystkich tych latach, zobaczymy Pająki na żywo. -Twarz Qiwi rozciągnęła się w uśmiechu. - Pomyślcie o tym jako o zapowiedzi nadchodzących wydarzeń, o początku naszego życia z ludem Arachny. Wiecie jednak, że nim do tego dojdzie, musimy zapobiec wojnie jądrowej i ujawnić wreszcie naszą obecność. - Spojrzała na monitory i zawahała się na moment, jakby nagle przerażona ogromem zadania, którego się podejmowali. - Planujemy ujawnić się za czterdzieści Ksekund, kiedy opanujemy już sieci naziemne w Kindred i Akord. Domyślcie się zapewne, że nie jest to łatwe zadanie. Nasi przyjaciele z Arachny stoją w tej chwili na skraju przepaści, każdy błąd może skończyć się ich zagładą. Wiem, że dobrze przygotowaliście się do tego dnia. Wiem, że kiedy nadejdzie czas interwencji i kontaktu, wszystko zakończy się pomyślnie. Na razie więc obserwujcie to, co dzieje się na dole. Wkrótce wszyscy będziemy bardzo zajęci.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Rachner Thract zachował swój stopień, co nie znaczyło wcale, że jego koledzy powierzyliby mu jakiegokolwiek zadanie poza sprzątaniem latryn. Generał Smith potraktowała go bardzo łagodnie. Nie mogli udowodnić, że jest zdrajcą, a generał najwyraźniej nie chciała poddawać go upokarzającym przesłuchaniom. Więc pułkownik Thract, dawniej funkcjonariusz tajnych służb królewskich, zachował swoją pensję i pełną dniówkę, ale nie miał najmniejszego pojęcia, co ze sobą zrobić.

Minęły cztery dni od tego straszliwego'spotkania w Dowództwie Łądowym, lecz Thract już od roku widział coraz wyraźniejsze oznaki nadchodzącej klęski. Kiedy wreszcie nadeszła... poczuł ogromną ulgę. Jedynym niefortunnym szczegółem był fakt, że przeżył, stał się żywym duchem.

Oficerowie starej daty, szczególnie Tieferzy, ucieliłoby sobie głowę, doznawszy takiej hańby. Rachner Thract był w połowie Tief erem, nie pozbawił się jednak głowy. Zamiast tego otumanił swój umysł pięcioma dniami pijactwa i włóczył się bez celu po Calorice. *Idiota do samego końca*. Na całym świecie tylko tu było zbyt ciepło, by mógł zapaść w pijacką śpiączkę.

Słyszał więc wiadomości o tym, że ktoś - Smith, to musiała być Smith - leciał do Gwiazdy Południa, spróbować odzyskać choć część tego, co

VERNOR VINGE

stracił Thract. W miarę jak zbliżała się pora przylotu Smith do Gwiazdy, Rachner był coraz bardziej zamroczony. Siedział w knajpie i oglądał wiadomości w telewizji. Siedział i modlił się, by wyprawa Victory Smith zakończyła się sukcesem, by dokonała tego, czego on dokonać nie potrafił. Wiedział jednak, że jej się to nie uda. Nikt nie wierzył Rachnerowi Thrac-towi i nawet on sam nie znał przyczyn swej porażki. Jednego był jednak pewien, coś wspierało Kindred. Nawet Kindred o tym nie wiedziało, ale to coś z pewnością tam było, wykorzystywało każdą z przewag technologicznych Akord i obracało ją przeciwko nim.

W telewizji pokazywano tymczasem bezpośrednią relację z Gwiazdy Południa. Victory Smith przeszła właśnie przez Wielkie Drzwi Parlamentu. Nawet tutaj, w najgłośniejszym lokalu zatoki, klientela nagle ucichła. Thract oparł głowę na barze, czując, że powoli traci kontakt z rzeczywistością.

I wtedy rozdzwonił się jego telefon. Rachner wyciągnął go z kieszeni kurtki, po czym odsunął od siebie i wbił weń zdumione spojrzenie. *Musi być zepsuty*. Albo ktoś przesyłał mu jakąś reklamę. Nic ważnego nie mogło przejść przez ten niezabezpieczony złom.

Miał już rzucić go na podłogę, kiedy kober z sąsiedniej grzędę uderzył go w grzbiet.

- Przeklęty wojskowy nierobie! Wynos się stąd! - krzyknął.

Thract zszedł ze swojej grzędę, nie do końca pewien, czy zamierza spełnić żądanie natręta, czy też bronić honoru Smith i wszystkich innych, którzy starali się nie dopuścić do wojny.

Ostatecznie kwestia ta została rozstrzygnięta przez ochronę lokalu; Thract znalazł się na ulicy, odcięty od telewizji, która mogła pokazać mu, co zamierza jego szefowa. A telefon wciąż dzwonił. Odebrał połączenie i warknął coś niezrozumiałego do mikrofonu:

- Pułkownikowi Thract, to pan? - Słowa padały szybko, ale głos wy-dawał mu się znajomy. - Pułkownikowi? Czy pański telefon jest zabezpieczony?

Thract zaklął głośno.

- Do stu diabłów, nie!

- Och, Bogu dzięki! - odpowiedział znajomy głos. - W takim razie mamy jakieś szanse. Oni na pewno nie mogą podsłuchiwać wszystkich rozmów na świecie.

Oni. To słowo, wypowiedziane z wyraźnym naciskiem, przebiło się przez obłok zamroczenia spowijający jego umysł. Przybliżył mikrofon do ust, a jego następne słowa zabrzmiały niemal normalnie.

- Kto mówi?

- O przepraszam. Obret Nethering. Proszę, niech pan się nie rozłącza. Pewnie pan nie pamięta. Piętnaście lat temu prowadziłem kurs o zdalnych czujnikach. W Princeton. Brał w nim pan udział.

- Ach, tak, pamiętam. - Był to całkiem dobry kurs.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Pamięta pan? Och, świetnie, świetnie! W takim razie wie pan, że nie jestem szaleńcem. Wiem, że musi pan być w tej chwili okropnie zajęty, ale proszę poświęcić mi jedną minutkę. Proszę.

Thract uświadomił sobie nagle, gdzie się znajduje, zobaczył otaczające go budynki i ulicę. Calorica ciągnęła się wokół dna wulkanicznej misy i była w tej chwili prawdopodobnie najcieplejszym miejscem na powierzchni planety. Jednocześnie jednak była teraz ledwie bladym wspomnieniem z czasów, gdy stanowiła ulubiony kurort superbogaczy. Hotele i bary umierały. Nawet opady śniegu dawno już ustały. Zaspą śnieżną pod ścianą baru miała już dwa lata, poznaczona była wymiocinami pijaków i strumieniami moczu. *Moje centrum dowodzenia.*

Thract przysiadł niżej, chroniąc się przed wiatrem.

- Tak, myślę, że mogę poświęcić panu chwilę.

- Och, dziękuję! Jest pan moją ostatnią nadzieją. Wszystkie moje telefony do profesora Underhilla zostały zablokowane. Nic dziwnego, teraz już to rozumiem... -Thract słyszał niemal, jak kober zbiera myśli, stara się ułożyć wszystko w kilku rzeczowych zdaniach. - Jestem astronomem, pracuję w obserwatorium na Rajskiej Wyspie. Ostatniej nocy widziałem... okręt kosmiczny wielki jak miasto, jego silniki rozpałały całe niebo... Obrona Powietrzna zupełnie mnie zignorowała, w sieci też nie ma słowa na ten temat. - Nethering opisał pokrótce wygląd statku i swoją obecną sytuację. - Nie jestem szaleńcem, mówię panu. Naprawdę to widziałem! Z pewnością są jeszcze setki innych świadków, ale Obrona Powietrzna pozostaje głucha i ślepa. Pułkowniku, musi mi pan uwierzyć. -Nethering umilkł nagle, jakby uświadamiając sobie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie potraktuje go poważnie.

- Och, wierzę panu - odparł Rachner cicho. Była to szalona, nieprawdopodobna wizja... i wyjaśniała wszystko.

- Co pan powiedział, pułkowniku? Przepraszam, nie mogę przesłać panu żadnych konkretnych dowodów. Zablokowali nam łączność z lądem jakiś godzinę temu. Używam kieszonkowego radia, żeby... - kilka sylab zlało się w niezrozumiały bełkot. - Musiałem to panu przekazać. Może to jakiś spisek ze strony Obrony Powietrznej. Jeśli nie może pan nic powie dzieć, zrozumieć to. Ale musiałem kogoś o tym poinformować. Ten okręt był taki wielki i...

Przez moment Thract myślał, że jego rozmówca zrobił pauzę i szuka właściwych słów. Cisza trwała jednak przez kilka sekund, a potem z głośniczka dobiegł go automatyczny głos:

- Wiadomość 305. Błąd sieci. Proszę spróbować później.

Rachner powoli schował telefon do kieszeni. Paszcza i ręce pożywiający mu zdreptały, ale nie tylko z zimna. Kiedyś jego specjaliści od sieci komputerowych przeprowadzili badania dotyczące szpiegowania w sieci. We wnioskach stwierdzili, że przy odpowiedniej mocy obliczeniowej teoretycznie możliwe jest monitorowanie całej łączności, odczytywanie

VERNORVINGE

wszystkich szyfrów i przesyłanie fałszywych odpowiedzi. Teoretycznie. W rzeczywistości rozwój potrzebnych do tego komputerów zawsze pozostawał w tyle za rozrostem współczesnych publicznych sieci. Teraz wyglądało jednak na to, że ktoś dysponował taką mocą.

Spisek Obrony Powietrznej? Mało prawdopodobne. W ciągu ostatniego roku Rachner Thract obserwował bezsilnie, jak tajemnicze błędy i niewytłumaczalne zbiegi okoliczności niszczą wszystko, co stworzył do tej pory. Nawet gdyby wywiad Akord, Pedure i służby wywiadowcze wszystkich krajów świata współpracowały ze sobą, nie mogły wyprodukować tak doskonałych kłamstw. Nie. To, przed czym teraz stanęli, stanowiło zło potężniejsze od czegokolwiek, co mogła stworzyć pajęczność.

Teraz miał przynajmniej coś konkretnego. Jego umysł powinien być w pełni sprawny, gotowy do walki, tymczasem wypełniał go tylko strach i chaotyczne, rozbiegane myśli. *Cholerny pijak*. Skoro stali przed tak potężną, tak inteligentną siłą, to jakie znaczenie miał fakt, że Obret Nethering i Rachner Thract znali prawdę? Co mogli zrobić? Ale Nethering miał z nim łączność niemal przez dwie minuty. Wypowiedział kilka kluczowych zdań, nim połączenie zostało przerwane. Obcy z pewnością dysponowali lepszą techniką od Pająków, ale nie byli bogami.

Ta myśl otrzeźwiła Thracta na moment. Nie byli bogami. Wieść o ich monstrialnym okrucieństwie musi rozchodzić się po cywilizowanym świecie, spowolniona i ograniczona do kontaktów pomiędzy pojedynczymi ludźmi pozbawionymi władzy. *Ale prawda za kilka godzin wyjdzie na jaw*. To zaś znaczyło, że cokolwiek jest celem tej gigantycznej maskarady, zostanie zrealizowane w ciągu kilku następnych godzin. W tej chwili generał ryzykowała życie w Gwieździe Południa, próbując zapobiec katastrofie, która w rzeczywistości stanowiła pułapkę. *Gdybym tylko mógł się z nią skontaktować, z Belga, z kimkolwiek na górze...*

Ale telefony i poczta elektroniczna były teraz bezużyteczne. Potrzebował bezpośredniego kontaktu. Chwiejnym krokiem przemierzał opustoszałą ulicę. Za rogiem powinien znajdować się przystanek. Kiedy odjedzie najbliższy autobus? Miał jeszcze swój prywatny helikopter, zabawkę bogatego kobera... to niebezpieczny środek transportu. Obcy mogą go po prostu przechwycić i zniszczyć. Odsunął od siebie te myśli. W tej chwili śmigłowiec był jego jedyną nadzieją. Dzięki niemu mógł szybko dotrzeć do każdego miejsca w promieniu dwustu mil. Co mógł znaleźć na tym obszarze? Wybiegł zza rogu. Wielki Bulwar ciągnął się w dal pod szpalerem latarni, przez cały las Caloriki. Las dawno już usechł. Grunt był tutaj cieplejszy niż gdzie indziej, więc nie zostały nawet liście. Pośrodku martwego lasu znajdował się heliport. Stamtąd mógł polecieć do... Ogarnął spojrzeniem wielką misę wulkanu. Światła bulwaru malały w oddali do rozmiarów maleńkich iskerek. Kiedyś wspinał się na ściany kaldery w drodze do rezydencji Lat Gaśnięcia. Lecz prawdziwi bogacze porzucili już swe pałace. Do nielicznych zamieszkałych jeszcze domów i tak nie można było dotrzeć z dołu.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Jest tam Sherkaner Underhill, wrócił z Princeton. Przynajmniej tak wyglądała sytuacja, kiedy miał jeszcze dostęp do raportów, w dniu, gdy zakończyła się jego kariera. Słyszał plotki o Underhillu, wiedział, że starsuszek podobno oszalał. Nieważne. Thract potrzebował jakiejś drogi dostępu do Dowództwa Lądowego, może poprzez córkę szefowej, drogi, która nie przechodziła przez sieć.

Minutę później za Thracem zatrzymał się autobus. Thract wskoczył pośpiesznie do środka. Był jedynym pasażerem, choć dochodziło dopiero południe.

- Ma pan szczęście. - Kierowca się uśmiechnął. - Następny będzie dopiero za cztery godziny.

Dwadzieścia mil na godzinę, trzydzieści. Autobus toczył się powoli przez Wielki Bulwar, w stronę heliportu w martwym lesie. *Mogę być u niego za dziesięć minut.* Nagle Rachner uświadomił sobie, że jego paszcza, ręce pożywiające i fragmenty munduru pokryte są sztywną skorupą wymiocin. Otarł głowę, nie mógł jednak wyczyścić munduru. Szalenciec odwiedza zdzicinniałego starca. Może to i dobrze. Może to ostatnia szansa, jaką dał im obu los.

Dziesięć lat wcześniej, w latach przyjaznej współpracy, Hrunchner Unnerby pomagał Południowcom projektować nową, podziemną Gwiazdę. W pewnym sensie poczuł się więc bardziej u siebie, kiedy opuścili już ambasadę Akord i weszli na terytorium Republiki Południa. Było tu mnóstwo wind. Zgodnie z życzeniem Południowców siedziba parlamentu została zaprojektowana tak, by mogła przetrwać uderzenie atomowe. Unnerby ostrzegał ich, że rozwój broni jądrowej prawdopodobnie uczyni ten cel niemożliwym do zrealizowania, Południowcy jednak nie chcieli go słuchać i poświęcili ogromne środki, które mogłyby zostać przeznaczone na rozwój podziemnego rolnictwa.

Główna winda była tak wielka, że mogli do niej wejść nawet reporterzy, czego też nie omieszkali zrobić. Dziennikarze stanowili na Południu klasę uprzywilejowaną, chronioną prawem - nawet w obiektach rządowych! Generał doskonale radziła sobie z prasą. Może nauczyła się tego, obserwując poczynania Sherkanera. Jej ochroniarze czekali dyskretnie z tyłu. Smith wygłosiła kilka ogólnych uwag, a potem uprzejmie ignorowała pytania dziennikarzy, pozwalając, by policja Południa nie dopuszczała do niej zbyt natrętnych reporterów.

Tysiąc stóp pod ziemią winda zaczęła poruszać się poziomo na zasilanej prądem szynie. Wysokie okna windy wychodziły na jasno oświetlone jaskinie przemysłowe. Południowcy sporo zrobili tu i na wybrzeżu, lecz nie mieli dość podziemnych farm, by utrzymać to wszystko.

Dwaj Wybrani Reprezentanci, którzy powitali ją na lotnisku, mieli kiedyś ogromne wpływy na Południu. Czacy się jednak zmieniły; popleczników Akord dziesiątkowały zabójstwa, przekupstwa, wszystkie sztuczki

VERNOR VINGE

typowe dla Pedure - a ostatnio niezwykle, niemal magiczne szczęście sprzyjające stronie Kindred. Teraz ci dwaj byli jedynymi - przynajmniej publicznie - przyjaciółmi Akord. W Republice uważano ich za marionetki Króla. Obaj stali blisko generała, jeden tak blisko, że mógł dyskretnie z nią rozmawiać. Teoretycznie tylko generał i Hrunckner mogli słyszeć jego słowa. Nie liczył na to, pomyślał Hrunckner.

- Bez urazy, pani generał, ale mieliśmy nadzieję, że wasz Król przy leci tu osobiście. - Polityk nosił elegancko skrojoną marynarkę i nogawice, a jego ręce pożywające ułożone były w urażonym grymasie.

Generał skinęła uspokajająco głową.

- Rozumiem pana. Jestem tu, by nadać sprawom właściwy, bezpieczny bieg. Czy będę mogła przemówić do parlamentu? - Hrunckner przypuszczał, że w obecnej sytuacji nie ma już żadnego „wewnętrznego kręgu”, do którego mogłaby się zwrócić Smith. Głosowanie w parlamencie mogło jednak wiele zmienić, jako że strategiczne siły rakietowe nadal stosowały się do jego postanowień.

- T-tak. Zadbaliśmy o to. Ale sprawy zaszły za daleko. - Machnął ręką. - Nie wiem, czy to może jeszcze cokolwiek zmienić...

- Dopuścili nas aż tutaj. Myślę, że jeśli przemówię w parlamencie, uda mi się doprowadzić do ugody. - Generał Smith uśmiechnęła się porozumiewawczo do Południowca, jakby dzieliła z nim jakąś tajemnicę.

Piętnaście minut później winda zatrzymała się przy głównej esplanadzie. Trzy ściany i sufit po prostu uniosły się, wypuszczając ich na otwartą przestrzeń. Czegoś takiego Unnerby jeszcze nie widział. Ciekawość inżyniera kazała mu zatrzymać się na moment i spojrzeć w górę, gdzie próbował odszukać mechanizm działający tak efektywnie i cicho.

Potem tłum policjantów, polityków i reporterów zepchnął go z platformy...

...i już wchodzili na schody parlamentarnej Sali Obrad.

Na szczycie ochrona Południowców oddzieliła ich ostatecznie od reporterów i ochroniarzy Smith. Przeszli przez potężne pięciotonowe drzwi... i wkroczyli do sali. Pomieszczenie to istniało tutaj od dawna, w poprzednich pokoleniach pod jego podłogą kryła się miejscowa otchłań. Pierwsi władcy Południa byli właściwie bandytami (albo bojownikami o wolność, w zależności od źródła informacji), którzy podczas Jasności przemierzali wzdłuż i wszerz ten górzysty kraj.

Hrunckner pomagał projektować obecne wcielenie Sali Obrad. Przy wznoszeniu sali główny nacisk położono na jej wyjątkowy wygląd. Być może Sala Obrad w rzeczywistości nie była odporna na atak bombowy, ale wyglądała naprawdę imponująco.

Podłoga przypominała kształtem płytką misę ułożoną z wielu płaskich poziomów. Wzdłuż każdego z nich ciągnął się rząd biur i grzęd, a poszczególne poziomy łączyły 6zerokie, wygodne schody. Kamienne ściany nachylały się ku sobie, tworząc ogromną kopułę, pod którą zawieszono-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

no lampy fluorescencyjne i kilka innych rodzajów oświetlenia. Razem światła te dawały niemal całą gamę kolorów. Schody, alejki i proscenium pokrywał dywan tak gruby i delikatny jak ojcowskie futro. Na wypolerowanych ścianach wisały obrazy o tysiącach odcieni i barw, wykonane przez malarzy, którzy wiedzieli, jak wyzyskać każdą iluzję. Choć ich kraj nie należał do najbogatszych, Południowcy wydali na to miejsce całą fortunę. Ale parlament był ich największą dumą, wynalazkiem, który położył kres bandytyzmowi i zależności, który przyniósł im pokój. Aż do teraz.

Drzwi zamknęły się za nimi. Głuchy trzask odbił się echem od kopuły i odległych ścian. W środku zostali tylko Wybrani, ich goście i - wysoko w górze Hrunchner dostrzegł całą gromadę obiektywów - kamery reporterskie. Niemal wszystkie miejsca na sali były zajęte. Unnerby wyczuwał skupienie i uwagę pięciuset Wybranych.

Smith, Unnerby i Tim Downing ruszyli w dół schodów prowadzących do proscenium. Wybrani obserwowali ich w milczeniu. W tej ciszy krył się szacunek, wrogość i nadzieja. Może Smith uda się jednak zachować pokój.

Tomas Nau zażyczył sobie, by w ten dzień triumfu w Północnej Łapie panowała ciepła słoneczna pogoda, miłe letnie popołudnie ciągnące się przez wiele godzin. Ali Lin nie był tym zachwycony, ale dokonał koniecznych zmian. Teraz Ali pielił ogródek za chatą Naua, zapomniawszy całkiem o złości. No i co z tego, że naturalna równowaga w parku mogła zostać zachwiana? Przywrócenie jej będzie nowym zadaniem Ale-go Lina.

A moim zadaniem jest realizacja całego planu, pomyślał Tomas. Po drugiej stronie stołu siedzieli Vinh i Trinli, zajęci monitorowaniem operacji naziemnej, którą to pracę Tomas zlecił im osobiście. Trinli stanowił istotną część planu - był jedynym Handlarzem, który z pewnością pomógłby mu ukryć prawdę przed innymi. Vinh... cóż, w krytycznym momencie mógł odwołać go do jakiegoś innego zadania, a to, co widział do tej pory, potwierdziłoby tylko wersję Trinlego. Nie było to łatwe, ale w razie jakichś niespodzianek... cóż, wtedy do akcji wkroczyłby Kai i jego ludzie, sprowadzeni tu specjalnie na tę okazję.

Płaski monitor ukazywał Ritsera siedzącego na miejscu kapitana na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. Żadne z jego słów nie mogło dotrzeć do niewinnych uszu.

- Tak, grupmistrzu! Za chwilę będziemy mieli obraz. Mamy sprawną sondę na Sali Obrad. Hej, Reynolt, twój Melin dobrze się spisał.

Annę została w Strychu Hammerfest. W parku była obecna tylko jako obraz w wyświetlaczu Tomasa i głos w jego uchu. W tej chwili skupiała uwagę na trzech różnych rzeczach. Koordynowała pracę fiksatów, czytała przekład Trijrii Bonsol wyświetlany na ścianie nad jej głową i analizowała strumień danych płynących z „Niewidzialnej ręki”. Sytuacja twardo-

VERNOR VINGE

głowych była jak zawsze bardzo skomplikowana. Annę nie odpowiedziała na słowa Ritsera.

- Annę? Kiedy dostaniesz już obraz z sondy Ritsera, przekaz go bez pośrednio do Benny'ego. Trixia może nakładać tłumaczenie, ale daj też trochę głosu z sali. -Tomas widział już część transmisji z sondy. Niech ludzie u Benny'ego zobaczą żywe Pajaki z bliska i w ruchu. Może dzięki temu chętniej uwierzą w kłamstwa, jakie zamierzał podsunąć im po interwencji.

Annę nie odwróciła głowy od ekranów.

- Tak jest. Widzę, wszystko, co pan mówi, słyszą Vinh i Trinli.

- Zgadza się.

- Doskonale. Chcę tylko, żeby pan wiedział... nasi wewnętrzni wrogowie przyspieszyli tempo. Manipulują prawie całą naszą automatyką. Proszę uważać na Trinlego. Założę się, że siedzi tam i bawi się swoimi lokalizatorami. - Annę podniosła na moment wzrok, dostrzegając nieme pytanie w oczach Naua. Wzruszyła ramionami. - Nie, nadal nie jestem pewna, że to on. Ale jestem bardzo blisko. Niech pan będzie gotowy.

Minęła sekunda. Annę znów przemówiła, teraz jednak jej głos słyszalny był tutaj i w kwaterach Handlarzy.

- Uwaga. Mamy bezpośredni przekaz wideo z Sali Obrad parlamentu w Gwieździe Południa. Oto, co zobaczyłyby i usłyszał człowiek stojący w tym miejscu.

Nau spojrział w lewo, gdzie jego wyświetlacz pokazywał widok z miejsca, w którym siedziała Qiwi. Monitory w salonie Benny'ego migotały gwałtownie. Przez chwilę nie wiadomo było, co właściwie pokazują. Wreszcie plamy czerwieni, zieleni i błękitu zniknęły, ukazując prawdziwy obraz. Patrzyli na wnętrze jakiejś jaskini. W stromych ścianach wykuto kamienne drabiny. Ze skał wyrastał mech albo jakieś włochate futro. Pajaki tłoczyły się jak czarne karaluchy.

Ritser Brughel podniósł spojrzenie znad monitora i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To wygląda jak wizja piekła opisywana przez jakiegoś frenkijskiego proroka.

Nau skinął głową. Przy dziesięciosekundowym opóźnieniu należało unikać takich pogaduszek. Ale Brughel miał rację; widok tyłu Pajaków zebranych w jednym miejscu był jeszcze gorszy niż poprzednie obrazy przekazywane przez sondę. Przytulne, ucłowieczone tłumaczenia fiksatów dawały bardzo odrealniony obraz Pajaków. *Ciekawe, czego jeszcze nie wiemy o ich umysłach.* Przywołał oddzielny obraz tej sceny, zsyntetyzowany przez twarogłowych tłumaczy z telewizyjnych relacji Pajaków. Tutaj stroma jaskinia zamieniła się w płytki amfiteatr, brzydkie plamy kolorów były eleganckimi mozaikami, które komponowały się w jedną całość z dywanem (ten nie wyglądał już jak rozczochrane włosy). Wszędzie pełno było drewnianych zdobień, wypolerowanych i pokrytych lakierem (a nie po-

OTCHLAŃ W NIEBIE

plamionych i nierównych). Same Pająki wydawały się nieco spokojniejsze, ich gesty jakby nabrały znaczenia, zbliżyły się znacznie do ludzkiego języka ciała.

Na obu obrazach przy wejściu do parlamentu pojawiły się trzy postacie. Zeszły z kamiennych stopni (drabiny). Na sali słychać było syki i pstrykanie, prawdziwe odgłosy wydawane przez te stworzenia.

Trzy Pająki zniknęły na moment w dolnej części jaskini. Po chwili pojawiły się znowu, wchodząc na przeciwległą ścianę. Ritser zachichotał.

- Ten z przodu to pewnie szef ich szpiegów, tak jak ją nazywa Bonsol, Victory Smith. - Zgadzał się jeden szczegół z opisów twarogłowych; ubranie Pająka było czarne, choć przypominało raczej stertę zachodzących na siebie łat niż mundur. - Ten włochaty, za Smith, to pewnie inżynier Hrunchner Unnerby. Też mi imiona dla potworów.

Trzy Pająki wspięły się na kamienny stożek. Czwarty, który czekał już na górze, odsunął się na bok.

Nau oderwał wzrok od Sali Obrad, by spojrzeć na ludzi zgromadzonych w salonie Benny'ego. Wszyscy milczeli zaszokowani. Nawet pomocnicy Benny'ego Wena zastygli w bezruchu, wpatrzeni w obrazy ze świata Pajaków.

- Mówca parlamentarny przedstawia gości - wyjaśnił fiksat, po czym zaczął tłumaczyć słowa pajęczego oficjela: - Mam zaszczyt... - Głos tłuma cza nakładał się na rzeczywisty obraz, syki, trzaski oraz gwałtowne gesty przednich nóg zakończonych paskudnymi ostrzami. Te stworzenia rzeczywiście wyglądały jak posągi, które Queng Ho widzieli w Dowództwie Łądowym. Poruszały się jednak z przerażającą gracją drapieżników, niektóre gesty wykonywały powoli, inne bardzo szybko. Co najdziwniejsze, choć dysponowały niezwykłym wzrokiem, trudno było określić, gdzie właściwie znajdują się ich oczy. Żłobioną powierzchnię głowy pokrywało w kilku miejscach gładkie szkliwo. Tu i ówdzie substancją tą przybierała półkolisty kształt, gdzie indziej wyrastały z niej jakieś czułki, odbierające być może obrazy w podczerwieni. Przednia część ciała Pajaków była koszmarną maszyną do jedzenia. Ostre jak brzytwy szczęki i kończyny pomocnicze w kształcie kleszczy znajdowały się w nieustannym ruchu. Głowa Pajaka pozostawała jednak prawie zupełnie nieruchoma w stosunku do tułowia.

Mówca opuścił szczyt stożka, a jego miejsce zajęła generał Smith. Smith stała przez chwilę w milczeniu. Jej przednie nogi kręciły małe spirale, jakby zachęcając naiwnych, by zbliżyli się do jej paszczy. Potem-do tych ruchów dołączył syk i trzaski. Na „przetłumaczonym” obrazie pojawił się napis, objaśniający jej zachowanie: „Uśmiecha się łagodnie do publiczności”.

- Panie i panowie. Wybrani Parlamentu Zjednoczonej Republiki Południa. - Głos był mocny i piękny - głos Trixii Bonsol. Nau zauważył, że Ezr Vinh drgnął lekko. Wykresy opisujące jego stan emocjonalny ukazywały tę samą co zawsze w takiej sytuacji mieszkankę uczuć. Będzie mi słuszny jeszcze wystarczająco długo, pomyślał Nau.

VERNORVINGE

- Przybyłam tutaj z pełnomocnictwa mego Króla, by przemawiać do was w jego imieniu. Przybyłam tu w nadziei, że moja propozycja spotka się z waszą przychylnością i zdobędzie wasze zaufanie.

- Panie i panowie. Wybrani Parlamentu Zjednoczonej Republiki Południa. - Wszyscy zgromadzeni patrzyli teraz niemal wyłącznie na Victory Smith. Hrunckner wyraźniej niż kiedykolwiek odczuwał też niezwykłą siłę osobowości generała. - Przybyłam tutaj z pełnomocnictwa mego Króla, by przemawiać do was w jego imieniu. Przybyłam tu w nadziei, że moja propozycja spotka się z waszą przychylnością i zdobędzie wasze zaufanie.

Dotarliśmy do takiego punktu w historii, gdzie możemy zniszczyć wszystko, co do tej pory zbudowaliśmy - albo wykorzystać w pełni wysiłki z przeszłości i stworzyć prawdziwy raj na ziemi. Tak właśnie wyglądają dwie drogi wyjścia z naszej obecnej sytuacji. Właściwy wybór zależy od tego, czy potrafimy obdarzyć się wzajemnie zaufaniem.

Tu i ówdzie na sali rozległy się szydercze pohukiwania i śmiech popelczników Kindred. Unnerby zastanawiał się, czy wszyscy mają już bilety z Południa. Musieli chyba zdawać sobie sprawę, że jeśli misja Smith się nie powiedzie, zginą wraz z całym swoim krajem.

Generał powiedziała mu, że do Gwiazdy Południa przyleciała sama Pedure. *Ciekawe...* Unnerby rozglądał się po całej sali, szczególną uwagę zwracając na mroczne zakamarki i grupy ochroniarzy. *Jest.* Pedure siedziała na proscenium, niecałe sto stóp od Smith. Po wszystkich tych latach była bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek. *Poczekaj jeszcze trochę, wielebna. Może moja generał czymś cię zaskoczy.*

- Mam propozycję. Jest prosta, ale rzeczowa - i może być bardzo szybko zrealizowana. - Poprosiła gestem Tima Downinga, by rozdał po mocnikom przewodniczącego parlamentu broszury z danymi. - Myślę, że wiecie państwo, jaką zajmuję pozycję w strukturach wojskowych Akord. Nawet najbardziej podejrzliwi spośród was przyznają, że dopóki tu je stem, Akord musi okazać wstrzemięźliwość, którą wcześniej publicznie obiecywał. W imieniu Króla i za jego wiedzą proponuję państwu przedłu żenie tego stanu. Wy, jako członkowie parlamentu Republiki Południa, możecie wybrać trzy dowolne osoby z Akord - łącznie ze mną i samym Królem - które na czas nieokreślony zamieszkają w naszej ambasadzie w stolicy. - Była to prymitywna strategia pokojowa, choć hojniejsza niż kiedykolwiek w historii Akord, jako że Smith oferowała drugiej stronie wybór zakładników. Było to też rozwiązanie niezwykle praktyczne. Am basada Akord w Gwieździe Południa była tak duża, że mogłaby pomie ścić całe miasto, a współczesny sprzęt komunikacyjny umożliwiał normal ne funkcjonowanie państwa nawet wtedy, gdy władca przebywał poza je go granicami. Jeśli parlament nie był całości opętany przez Pedure, ta propozycja mogła powstrzymać nadciągającą katastrofę.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Wszyscy Wybrani milczeli, nawet poplecznicy Pedure. Zaszokowani? Zastanawiali się nad możliwościami wyboru? Słuchali instrukcji swojej szefowej? Coś się działo. Hrunknier widział, jak Pedure rozmawia o czymś żywo ze swoim pomocnikiem.

Kiedy przemówienie Victory Smith dobiegło końca, salon Benny'ego zahuczał od braw. Na początku wszyscy doznali szoku, ujrzawszy, jak naprawdę wyglądają żywe Pajaki. Słowa przemówienia pasowały jednak do osobowości Victory Smith, a właśnie to znała dotąd większość ludzi na LI. Do reszty trzeba się będzie przyzwyczaić, ale...

Rita Liao złapała Benny'ego za rękaw, kiedy ten leciał z napojami do ławki pod sufitem.

- Nie powinienes zostawiać Qiwi samej i to tak na widoku. Znajdzie się dla niej miejsce i tutaj, między ludźmi.

- Um... dobrze. -To grupmistrz zasugerował, by Qiwi siedziała sama w pierwszym rzędzie, ale teraz kiedy wszystko tak dobrze się układało, nie miało to chyba większego znaczenia. Benny ponownie ruszył w górę, przysłuchując się po drodze radosnym rozmowom gości.

- ...tym przemówieniu i naszej interwencji powinni być bezpieczni jak kwatery w Trilandzie...

- Hej, mogliśmy być na planecie za niecałe dwie Msekundy! Po wszystkich tych latach...

- Orbita czy planeta, co za różnica? Będziemy mieli dość środków, żeby znieść zakaz narodzin...

Tak, zakaz narodzin. Nasza własna, ludzka wersja pozafazowego tabu. Może w końcu mógłbym poprosić Gonie... Benny uciekł przed tą myślą. Nie powinien jeszcze kusić losu. Mimo to ogarnęła go radość, jakiej nie czuł już od wielu, wielu lat. Benny przemykał szybko między stolikami, zmierzając w stronę Qiwi.

Ta przyjęła propozycję Rity skinieniem głowy.

- Bardzo chętnie. - Uśmiechała się niepewnie, ani na moment nie odrywając przy tym wzroku od monitorów. Generał Smith schodziła właśnie z mównicy.

- Qiwi, wszystko układa się zgodnie z planem grupmistrza. Wszyscy chcą ci pogratulować!

Qiwi pogłaskała delikatnie kota, którego nadal trzymała na ręku, choć gest ten krył w sobie jakieś dziwne napięcie. Wreszcie podniosła nań wzrok.

- Tak, wszystko idzie zgodnie z planem - powtórzyła mechanicznie, jakby wcale o tym nieprzekonana, po czym wstała i ruszyła za Bennym.

- Muszę z nim porozmawiać, kapralu. Natychmiast. - Rachner wyprostował się, wypowiadając te słowa, próbował zawrzeć w swej postawie cały autorytet, jakim cieszył się przez piętnaście lat bycia pułkownikiem.

VERNOR VINGE

Po chwili młody kapral jakby stracił nieco pewności siebie. Potem koblik spoza fazy musiał zauważyć ślady wymiocin na szczęce Thracta i oplakany stan jego munduru. Wzruszył ramionami, ostrożny i nieprzejednany.

- Przykro mi, proszę pana, nie ma pana na liście gości.

Rachner czuł, że słabnie w nim duch.

- Kapralu, proszę do niego zadzwonić. Proszę powiedzieć mu, że przy szedł Rachner i że to sprawa... życia i śmierci. - Gdy tylko wypowiedział te słowa, Thract pożałował, że uciekł się do tak wyświechtanego frazesu. Koblik patrzył nań przez chwilę - zastanawiając się, czy go nie wyrzucić. Potem na jego obliczu pojawiło się coś na kształt współczucia; uruchomił łącze komunikacyjne i zaczął rozmawiać z kimś we wnętrzu budynku.

Minęła minuta. Dwie. Rachner przechadzał się nerwowo po pocze kalni. Tu przynajmniej nie było wiatru; odmroził sobie czubki dwóch rąk, choć przebywał na zewnątrz tylko kilkadziesiąt sekund, kiedy przecho dził od helikoptera do domu Underhilla. Ale... zewnętrzna ochrona i po czekalnia? Nie spodziewał się zastać tu aż takich środków ostrożności. Może jego nieszczęście przyniosło jednak jakieś korzyści, obudziło czuj ność innych.

..

- Rachner, to pan? - Głos dochodzący z komunikatora był słaby i drżący. Underhill.

- Tak. Proszę, muszę z panem porozmawiać.

- Wygląda pan... okropnie, pułkowniku. Przepraszam, ale... - Jego głos ucichł nagle. W tle słychać było jakieś mamrotanie, ktoś powiedział: „Przemówienie wypadło bardzo dobrze... sporo czasu”. Potem znów przemówił Underhill, tym razem jednak jego głos wydawał się znacznie mocniejszy. - Pułkowniku, spotkam się z panem za kilka minut.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

- Doskonałe przemówienie. Nawet my nie napisalibyśmy lepszego - mówił Ritser Brughel, wyraźnie zadowolony z siebie. Nau skinał tylko głową, uśmiechnięty. Propozycja pokojowa Smith była wystarczająco atrakcyjna, by powstrzymać na jakiś czas siły wojskowe Pająków. Wła śnie w tym czasie ludzie mieli ogłosić swoją obecność i zaproponować współpracę. Tak wyglądała oficjalna wersja, ryzykowny plan, który dałby grupmistrzowi drugorzędną pozycję. W rzeczywistości za siedem Ksekund f iksaci Annę mieli zainicjować atak ze strony Akord. Sprowokowany w ten sposób „kontratak” Kindred miał dokończyć dzieła zniszczenia. *A potem my pozbieramy resztki.*

Nau udawał, że patrzy na popołudniowe słońce Północnej Łapy, w rzeczywistości jednak jego wyświetlacz wypełniał obraz Trinlego i Vinha, siedzących zaledwie kilka metrów od niego. Trinli miał lekko rozbawioną

OTCHŁAŃ W NIEBIE

minę, ale jego palce pracowały nieustannie nad realizacją planu, czyli monitorowaniem zbrojnych działań na terytorium Kindred. Vinh? Vinh wyglądał na zdenerwowanego; sądząc po wykresach opisujących jego uczucia, Vinh domyślał się, że na coś się zanosí, lecz nie wiedział dokładnie na co. Nadszedł już czas, by odsunąć go od akcji, zlecić mu jakąś nieistotną pracę przy innym projekcie... a Trinli zostanie tu, by potem potwierdzić wersję grupmistrza.

W uchu Naua odezwał się znów głos Annę Reynolt.

- Grupmistrzu, mamy problem.

- Tak, słucham - odparł Nau swobodnym tonem, nie odwracając wzroku od jeziora. W środku jednak poczuł chłód. Nigdy jeszcze nie sły-szał, by Annę przemawiała takim tonem.

- Nasz wewnętrzny wróg znacznie przyspieszył tempo. Teraz już nawet specjalnie się nie kryje. Przejmuje wszystko, co może. Jeszcze kilka Ksekund i zablokuje wszystkich naszych fiksatów... To Trinli, grupmistrzu, na dziewięćdziesiąt procent.

Ale Trinli siedzi tutaj, widzę go dokładnie! I powinien tu zostać, żeby po-tem potwierdzić moją wersję zdarzeń.

- No, nie wiem, Annę - powiedział głośno. Może Annę dryfowała. By-ło to możliwe, choć ostatnio bardzo szczegółowo sprawdzał jej zestrojenie.

Annę wzruszyła ramionami, nie odpowiadając. Był to typowy gest fiksata. Zrobiła wszystko co w jej mocy, a skoro on ignorował jej radę i sam skazywał się na klęskę, to już jego sprawa.

Nau nie miał zamiaru przejmować się takimi głupstwami w chwili, gdy bliski był zwieńczenia czterdziestu lat pracy. *I właśnie dlatego wróg mógł wy-brać ten moment na decydujący atak.*

Kai Omo stał tuż za Nauem, on także słyszał jego rozmowę z Reynolt. Z pozostałych trzech strażników tylko Rei Círet przebywał w chacie. Nau westchnął.

- Dobrze, Annę. - Dał Omo dyskretny sygnał, by ten wprowadził do chary resztę swego zespołu. *Zamrozimy tych dwóch i zajmiemy się nimi później.*

Nau w żaden sposób nie ostrzegł swych ofiar, a jednak kątem oka dostrzegł, jak Trinli coś szybko rzuca. Kai Omo wydał z siebie przeraża-jący, chrapliwy wrzask.

Nau zanurkował pod stół. Coś uderzyło w grubą deskę tuż nad nim. W tym samym momencie rozległy się strzały z pistoletu i kolejny krzyk.

- On ucieka!

Nau prześliznął się tuż nad podłogą i wleciał pod sufit po drugiej stronie pokoju. Rei Círet wisiał w powietrzu, zajęty walką z Ezrem Vin-hem.

- Przepraszam, grupmistrzu, zaskoczył mnie! - Odepchnął od siebie krwawiące ciało; Vinh kupił Trinlemu czas, którego ten potrzebował do ucieczki.

VERNORVINGE

- Marli i Tung go dopadną!

Rzeczywiście, próbowali to zrobić. Pokryli ogniem z karabinów maszynowych całe wzgórze. Trinli był już jednak w lesie, podlatywał od drzewa do drzewa. Potem zniknął, zostawiając Tungą i Marlego w połowie drogi do lasu.

- Stójcie! - ryknął Nau przez głośniki ukryte w parku. Nauczeni ab solutnego posłuszeństwa Tung i Marli natychmiast przerwali pościg. Po chwili ruszyli w drogę powrotną, rozglądając się uważnie dokoła i wypatrując zagrożenia. Na ich twarzach malowała się wściekłość i zdumienie.

Nau mówił dalej już spokojniejszym głosem:

- Wejdźcie do środka. Pilnujcie chaty. - Były to proste rozkazy, które wydawać powinien grupsierżant, ale Kai Orno był... Nau podleciał do stołu, rezygnując na jakiś czas z zasad, które sam kiedyś ustalił i które nakazywały poruszać się w parku wyłącznie po gruncie. Jakiś ostry lśniący przedmiot wbity był w ścianę dokładnie tam, gdzie znajdowała się jego głowa, nim zanurkował pod stół. Podobne ostrze przebiło gardło Omo; koniec rękojeści wystawał jeszcze z tchawicy grupsierżanta. Ciało Omo przestało już drgać. Wokół niego wisiała chmura krwi, opadająca powoli ku podłodze. Broń sierżanta do połowy była wysunięta z kabury.

Omo był przydatnym człowiekiem. *Czy mam czas, żeby go teraz hibernować?* Nau zastanawiał się jeszcze przez sekundę, analizując sytuację... i Kai Omo przegrał.

Dwaj strażnicy stali przy oknie, lecz ich spojrzenia powracały nieustannie do grupsierżanta. Nau pospiesznie dostosowywał w myślach plan do nowej sytuacji.

- Ciret, zwiąż Vinha. Marli, znajdź Alego Lina.

Vinh jęknął cicho, kiedy sadzali go na krześle. Nau zbliżył się do stołu, by przyjrzeć się uważniej Handlarzowi. Został postrzelony w ramię. Rana krwawiła obficie, wyglądało jednak na to, że nie została naruszona żadna tętnica. Vinh mógł jeszcze pożyć... wystarczająco długo.

- A niech to, ten Trinli jest naprawdę szybki - mówił Tung z przesadną swobodą, jakby chciał ukryć strach. - Przez wszystkie te lata udawał starego pierdziela, a teraz - bam - załatwił grupsierżanta. Poderżnął mu gardło i jeszcze zdążył uciec.

- Nie uciekłyby, gdyby ten tu nie wlaź mi w drogę. - Ciret szturchnął lufą głowę Vinha. - Obaj byli szybcy.

Zbyt szybcy. Nau ściągnął z oczu wyświetlacz, patrzył nań przez chwilę. Wyświetlacz Queng Ho, zasilany datami z sieci lokalizatorów. Zgniół go w dłoni i wyjął telefon przewodowy, który zgodnie z sugestią Reynold miał zapewniać łączność w razie jakiegś awarii.

- Anne, słyszysz mnie? Widziałaś, co się stało?

- Tak. Trinli zaatakował w chwili, gdy dał pan sygnał Kałowi Omo.

- On wiedział. Słyszał naszą rozmowę. - Niech to Płaga! Jak Anne mogła wykryć sabotaż i nie zauważyć, że Trinli ich podsłuchuje?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- ...Tak. Odkryłam tylko część jego planów. - Czyli lokalizatory były specjalną bronią Trinlego. Pułapką budowaną przez tysiąclecia. *Z kim ja walczę?*

- Annę. Chcę, żebyś wyłączyła bezprzewodowe zasilanie wszystkich lokalizatorów. - Ale lokalizatory były kręgosłupem wielu niezbędnych systemów. Lokalizatory stabilizowały jezioro w parku. - Zostaw tylko te w parku. Niech twoi fiksaci kierują nimi bezpośrednio przez kabel.

- Zrobione. Nie będzie łatwo, ale jakoś sobie poradzimy. Co z operacjami planetarnymi?

- Skontaktuj się z Ritserem. Sytuacja jest zbyt skomplikowana, żeby bawić się w subtelności. Musimy przyspieszyć działania na Arachnie.

Słyszał, jak Annę wydaje instrukcje swoim ludziom. Nie widział już jednak rozkazów ani danych określających postęp prac nad poszczególnymi projektami. Czuł się tak, jakby musiał walczyć na oślep. Mogli przegrać.

Sto sekund później Annę znów odezwała się do niego.

- Ritser rozumie. Moi ludzie pomagają mu przygotować prosty atak. Potem będziemy mogli dopracować resztę. - Mówiła ze swą typową, chłodną niecierpliwością. Annę Reynolt toczyła bitwy trudniejsze niż ta, wygrywała dziesiątki razy w sytuacjach pozornie beznadziejnych. Gdyby wszystkich przeciwników można tak wykorzystywać...

- Doskonale. Znalazłaś już Trinlego? Założę się, że jest gdzieś w tunelach. *-Jeśli nie wraca tutaj, by zastawić drugą pułpkę.*

- Tak, tak mi się wydaje. Słyszymy jakiś ruch w starych geofonach. - Sprzęt Emergentów.

- Dobrze. Na razie przygotuj jakiś syntetyczny głos, żeby nie alarmować ludzi u Benny'ego.

- Zrobione - nadeszła natychmiastowa odpowiedź. Już zrobione.

Nau odwrócił się do swych strażników i Ezra Vinha. Zostało im bardzo mało czasu, wystarczająco jednak, by wydać nowe rozkazy Ritserowi i dowiedzieć się, kto jest właściwie jego wrogiem.

Vinh odzyskał przytomność. Jego oczy wypełniał bólu i nienawiść. Nau uśmiechnął się do niego. Gestem nakazał Ciretowi, by ten wykręcił zranione ramię Vinha.

- Potrzebuję kilku odpowiedzi, Ezer.

Handlarz zaczął krzyczeć.

Pham pędził coraz szybciej w górę diamentowego korytarza, prowadzony zielonymi obrazami, które chwiały się, rozmywały... i wreszcie zniknęły w całkowitej ciemności. Przez kilka sekund sunął po omacku, nie zwalniając tempa. Poklepał się po skroniach, sprawdzając, czy nie zgubił lokalizatorów. Były na miejscu, a on wiedział, że w korytarzu są jeszcze tysiące innych. Annę musiała odciąć bezprzewodowe zasilanie pulsacyjne, przynajmniej w tym tunelu.

VERNORVINGE

Ta kobieta jest niesamowita! Przez lata Pham starał się nie manipulować bezpośrednio systemem twardogłowych. A mimo to Annę coś zauważyła. Amnezja spowolniła na moment jej postępy, ale w ciągu ostatniego roku zaciskała pętlę coraz mocniej i mocniej, aż... *Byliśmy tak blisko unieruchomienia systemu, a teraz straciliśmy wszystko. Prawie wszystko.* Ezr umarł, by dać mu jeszcze jedną szansę.

Gdzieś z przodu tunel ostro zakręcał. Pham sięgnął w ciemność, dotykając lekko ścian, potem mocniej, wyhamowując pęd i obracając się stopami do przodu. Wykonał ten manewr o ułamek sekundy za późno. Stopy, kolana i dłonie uderzyły w niewidoczną powierzchnię, niczym przy złym upadku na ziemię - tyle że teraz odleciał do tyłu, wpadając na przeciwną ścianę.

Wyhamował upadek i na palcach rąk powrócił do zakrętu. Korytarz rozgałęział się tutaj na cztery strony. Odszukawszy w ciemności wszystkie cztery, Pham ruszył w dół drugiego, tym razem bardzo cicho. *Annę domyśliła się dopiero kilkadziesiąt sekund temu.* Pakunek, który zostawił w tym tunelu, nadal powinien znajdować się na swoim miejscu.

Po kilku metrach natrafił dłonią na torbę przymocowaną do ściany. Ha. Przygotowując tę kryjówkę, podejmował wielkie ryzyko, ale pod koniec gry niemal każdy ruch jest ryzykowny, a ten się opłacił. Wsunął rękę do środka, odszukał pierścien latarki. Krąg żółtego światła otoczył jego dłoń. Teraz już szybciej wyciągał pozostałe przedmioty, a każdy jego ruch rzucał na ściany rozedrgane cienie. W jednej z paczuszek znajdowały się małe kulki. Rzucił jedną w boczny tunel. Przez chwilę leciała cicho, potem zaczęła obijać się głośno o ściany. Fałszywy trop dla fiksatów Annę.

Więc zdemaskowano nas o kilka Ksekund za wcześnie. Często jednak w zderzeniu z rzeczywistością misterne plany kończą się fiaskiem. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, nie potrzebowałyby tej paczki - i właśnie dlatego ją tu zostawił. Pham sprawdzał po kolei zawartość torby: respirator, odbiornik wzmacniający, apteczka, pistolet strzałkowy.

Nau i spółka mogli spróbować kilku rozwiązań. Mogli wypełnić tunele trującym gazem albo wytworzyć w nich próżnię, choć ta zniszczyłaby mnóstwo cennego sprzętu. Mogą spróbować go tu ściągać. To byłaby niezła zabawa; bandziory Naua przekonałyby się, jak niebezpieczne mogą być ich własne tunele... Pham czuł, jak budzi się w nim stary entuzjazm, gorączka, która ogarniała go zawsze, gdy nadchodził czas ostatecznej rozgrywki, kiedy plany i zamierzenia przechodziły w czyn. Poukładał przedmioty z torby w kieszeniach, obmyślając jednocześnie kolejne posunięcia. *Ezr, wygramy, obiecuje. Wygramy pomimo Annę... i dla niej.*

Bezszelestnie niczym obłoczek mgły ruszył w górę tunelu, oświetlając tylko kilka najbliższych metrów. Musiał wreszcie złożyć Annę wizytę.

„Niewidzialna ręka” sunęła sto pięćdziesiąt kilometrów nad światem Pająków. Byli tak nisko, że bezpośrednio mogli ich zobaczyć tylko

OTCHŁAŃ W NIEBIE

nieliczne Pajaki przebywające na powierzchni planety, ale we właściwym czasie mieli znaleźć się dokładnie nad wyznaczonymi celami. I bez względu na to, jakie kłamstwa mówiono Ricie i innym na LI, na pokładzie „Nie-widzialnej ręki” pajęcze miasta nazywano „celami”.

Jau Xin siedział w fotelu zarządcy pilotów - kiedyś, gdy okręt ten należał do Queng Ho, było to miejsce oficera zarządzającego - i kontrolował parametry lotu. Teoretycznie miało mu w tym pomagać jeszcze trzech zafiksowanych pilotów, lecz tylko jeden z nich pozostawał do jego dyspozycji. Dwaj pozostali zostali podłączeni do systemu zarządzania Bila Phuonga. Jau starał się ignorować słowa, które dobiegały od strony fotela kapitana. Ritser Brughel doskonale się bawił, zdając swemu szefowi w Hammerfest relację z tego, co działo się na dole.

Brughel przerwał swoją obrzydliwą analizę, litościwie milcząc przez kilka sekund. Nagle wicegrupmistrz zaklął paskudnie.

- Grupmistrzu! Co... Phuong! - krzyknął. - W parku ktoś strzela. Omo nie żyje i... straciłem łączność. Phuong!

Xin odwrócił się w fotelu, widział, jak Brughel wali pięścią w konsolę. Błada zazwyczaj twarz wicegrupmistrza była teraz czerwona. Przez chwilę słuchał czegoś na swym prywatnym kanale.

- Ale grupmistrz przeżył? Dobrze, dawaj w takim razie Reynolt. Włącz ją!

Najwyraźniej nie mogli połączyć się z Reynolt. Minęło sto sekund. Dwieście. Brughel gotował się z wściekłości, nawet jego zbiry odstępowały odeń o krok. Jau odwrócił się ponownie do swych monitorów, lecz nie potrafił się skupić na strumieniu danych. *Tego nie było w planie Tomasa Nau.*

- Ty suko, gdzie byłeś!? Co... - Potem Brughel znów umilkł. Pomru kiwał od czasu do czasu, nie przerywał jednak czyjegoś monologu. Kiedy znów przemówił, wydawał się raczej zamyślony niż wściekły. - Rozumiem. Powiedz grupmistrzowi, że może na mnie liczyć.

Rozmowa na prywatnym kanale trwała jeszcze przez kolejne kilkadziesiąt sekund, a Jau zaczął się domyślać, jaka będzie jej konkluzja. Nie mógł się powstrzymać, spojrział w bok, w stronę wicegrupmistrza. Ten patrzył prosto na niego.

- Zarządczo pilotów, nasza obecna pozycja?

- Lecimy na południe, jesteśmy nad oceanem jakieś sześćset kilometrów od Gwiazdy Południa.

Brughel zerknął na swój wyświetlacz, czekając, aż pojawi się dokładniejszy opis ich położenia.

- Rozumiem. Więc przy tym okrążeniu przelecimy nad wyrzutniami raketowymi Akord.

Xin przełknął ciężko. Wiedział, że ta chwila musi nadejść. *Ale myślałem, że będę miał więcej czasu...*

- Przelecimy kilkaset kilometrów na wschód od tego miejsca, grupmistrzu.

VERNORVINGE

Brughel zbył te słowa machnięciem ręki.

- Wystarczy zmienić odrobinę kurs... Phuong, słuchasz nas? Tak, przy spieszamy wszystko o siedem Ksekund. No i co z tego? Może nas i zauważą, ale i tak będzie za późno, żeby to miało jakieś znaczenie. Niech twoi ludzie przygotowują nowy harmonogram. Oczywiście będziemy musieli bezpośrednio się zaangażować. Reynolt oddaje wszystkich swoich wolnych fiksatów do twojej dyspozycji. Zsynchronizuj ich najlepiej, jak możesz... Dobrze.

Brughel opadł na oparcie fotela i uśmiechnął się.

- Właściwie nic się nie stało, szkoda tylko, że nie zdążymy wyciągnąć Pedure z Gwiazdy. Mieliśmy ją rozpracowaną, byłaby dobrym namiestnikiem... Ale, wiesz, ja to nie lubię żadnego z tych robali. - Zauważył, że Jau słucha jego słów z nieskrywanym przerażeniem. - Spokojnie, spokojnie, zarządco pilotów. Zbyt długo przebywałeś ze swoimi przyjaciółmi Queng Ho. Cokolwiek knuli przeciwko nam, nie udało im się. Zrozumiałeś? Grupmistrz przeżył i nadal dysponuje wszystkimi zasobami. - Podniósł wzrok, ujrawszy coś na swoim wyświetlaczu. - Zsynchronizuj swoich pilotów" z fiksatami Bila Phuonga. Za kilka sekund dostaniesz dokładne dane. Na razie nie będziemy używać naszej broni. Znajdziesz za to i odpalisz rakiety krótkiego zasięgu, które Kindred ma przy brzegu, to będzie „zradziecki atak Akord", który wcześniej zaplanowaliśmy. Ale najważniejsze zacznie się dopiero kilkaset sekund później. Twoi ludzie zniszczą wyrzutnie raketowe Akord. -To oznaczało użycie tych niewielkich ilości broni atomowej i laserowej, którymi jeszcze dysponowali. Jednak nawet te środki wystarczały w zupełności do zniszczenia prymitywnej obrony przeciwraketowej Pajaków... a potem tysiące pocisków Kindred zniszczą miasta na połowie planety.

- Ja... - Xin nie mógł wydobyć z siebie głosu, przejęty grozą. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, zabiją Ritę. Brughel zabije Ritę, a potem jego. Jeśli jednak wykona rozkazy... *Wiem zbyt wiele.*

Brughel przyglądał mu się z uwagą. Jau nigdy nie widział u niego takiego spojrzenia... kryła się w nim chłodna kalkulacja, którą dotąd dostrzegał tylko u Naua. Brughel przechylił lekko głowę i przemówił łagodnie:

- Te rozkazy nie dotyczą ciebie osobiście, nie masz się czego bać. Och, może tylko trochę wyczyścimy ci pamięć, stracisz parę wspomnień. Ale po potrzebujemy cię, Jau. Ty i Rita możecie nam służyć jeszcze przez wiele lat, możecie wieść dobre życie. Jeśli tylko wykonasz teraz nasze rozkazy.

Nim wszystko się zepsuło, Reynolt przebywała na Strychu. Pham przypuszczał, że jest tam także i teraz, że stara się wykorzystać wszelkie dostępne środki łączności, chronić swoich ludzi i zarządzać nimi w jać najlepszy sposób... i wykorzystywać ich zbiorowy geniusz, by spełnić wolę Naua.

Pham leciał do góry, przeciskał się przez ciemne tunele szerokości ledwie osiemdziesięciu centymetrów. Korytarze te drążone były przez maszyny, kiedy budowano na Diamencie Pierwszym bazę Emergentów, Ham-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

merfest. Gdzieś w trzeciej dekadzie Wagniana Pham przejrzał uważnie programy architektoniczne Emergentów. Znalazł wtedy korytarze, które po rozbudowie Hammerfest stały się bezużyteczne, a potem zapomnieli o nich nawet budowniczy. Był pewien, że Annę nie zna wszystkich przejść i zakamarków, w których mógłby się ukryć.

Na każdym zakręcie zwalniał, delikatnie przykładając dłonie do ścian, i zapalał na moment latarkę. Szukanie, kalkulacje. Bez zewnętrznego źródła zasilania lokalizatory też mogły dokonywać szybkich, krótkich obliczeń. Dzięki odbiornikowi wzmacniającemu wciąż mógł korzystać z ich pomocy - wiedział, że jest wysoko w wieży Hammerfest, po tej samej stronie co sala twarogłowych.

Możliwości najbliższych lokalizatorów były już jednak coraz bardziej ograniczone. Wyleciał powoli zza rogu, obierając najbardziej prawdopodobny kierunek. Światło latarki rozszepiało się w gładkich diamentowych ścianach. Jeszcze kilka metrów. Jest! Ledwie widoczny krąg wydrążony w diamentowej płaszczyźnie. Podleciał bliżej i delikatnie wystukał kod dostępu na powierzchni. Rozległ się cichy trzask. Dysk odsunął się na bok, odsłaniając wejście do zalanego światłem magazynu. Pham wśliznął się szybko do środka. Stał między półkami z żywnością i środkami higienicznymi.

Obszedł półki, był już niemal przy wejściu do głównej sali - kiedy ktoś otworzył te właśnie drzwi. Pham uskokczył na bok, a kiedy ten ktoś wleciał do środka, sięgnął do jego głowy i ściągnął mu wyświetlacz. Trud Silipan.

- Pham! - Silipan był bardziej zaskoczony niż przerażony. - Co ty do diabła... wiesz, że Annę jest na ciebie wściekła? Oszałała, mówi, że zabiłeś Kala Omo i zająłeś Północną Łapę. - Zamilkł nagle, uświadomiwszy sobie, że obecność Phama w tym pokoju była równie nieprawdopodobna.

Pham uśmiechnął się szeroko do Silipana i zamknął za nim drzwi.

- Och, to wszystko prawda, Trud. Przyszedłem odebrać moją flotę.

- Twoją... flotę. - Trud wpatrywał się weń przez moment, zaciekawiony i wystraszony. - Do diabła, Pham. Co ty kombinujesz? Wyglądasz bardzo dziwnie. - *Odrobina adrenaliny, odrobina wolności. Zdumiewające, jakie mogą być efekty.* Silipan skurczył się odruchowo, widząc uśmiech wypelzający na twarz Phama. - Oszałałeś, człowieku. Wiesz, że nie możesz wygrać. Jesteś tu uwięziony. Poddaj się. Powiemy im, że to napad szału, że nie byłes sobą.

Pham pokręcił głową.

- Jestem tu, żeby wygrać, Trud. - Podniósł wyżej pistolet strzałkowy, który trzymał w dłoni. - A ty mi pomożesz. Wejdziemy do sali, a ty odetniesz całe wsparcie fiksatów.

Silipan spojrział z irytacją na broń Nuwena.

- To niemożliwe. W tej chwili bardzo ich potrzebujemy, wspierają wszystkie operacje naziemne.

- Wspierając program eksterminacji Pająków przygotowany przez Naua? Więc tym bardziej powinniśmy ich natychmiast odciąć. To powinno mieć też interesujący wpływ na jezioro grupmistrza.

VERNOR VINGE

Pham widział niemal, jak Emergent analizuje w myślach swoją sytuację: Pham Trinli, jego kompan od kieliszka i przemądrzały chwalipięta, uzbrojony w pistolet, który wyglądał na atrapę - przeciwko całej mocy grupmistrza.

- Nie ma mowy, Pham. Sam się w to wpakowałeś, więc nie próbuj wciągać jeszcze mnie.

Wyświetlacz, który Pham trzymał w prawej ręce, wydawał z siebie gniewne, przytłumione odgłosy. Po chwili zakończył je pełen irytacji krzyk i niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju.

- Co się z tobą dzieje, Silipan? Mówiłam ci, że potrzebujemy... - Do magazynu wleciała Annę Reynolt. Natychmiast zrozumiała całą sytuację, ale nie miała się od czego odbić.

A Pham był równie szybki jak ona. Broń wypaliła, a Reynolt drgnęła gwałtownie. Po chwili jej ciałem wstrząsnęły dziwne spazmy. Pham odwrócił się do Truda, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Strzałki z ładunkiem wybuchowym, widziałeś? Dostają się do środka, a potem, bum, twoje wnętrzności to jeden wielki hamburger.

Trud zbladł jak ściana.

- Uh...uh... - Wpatrywał się przerażony w ciało swej byłej szefowej/niewolnika, najwyraźniej z trudem powstrzymując wymioty.

Pham dźgnął go w pierś lufą pistoletu. Trud spojrział na mały pistolet, ledwie żywy ze strachu.

- Trud, mój przyjacielu, czemu tak posmutniałeś? Jesteś przecież dobrym Emergentem. Reynolt była tylko fiksatem, zwykłym meblem. - Wskazała na znieruchomiałe ciało Reynolt. - Zabierzmy stąd tego trupa, a potem pokażesz mi, jak odłączyć twarogłowych. - Uśmiechnął się i podleciał do ciała Annę. Trud wyraźnie się trząsł, kiedy ruszył w stronę drzwi.

Gdy tylko Silipan odwrócił się od niego, Pham ujął Annę delikatniej, niemal czule. *Boże, to brzmiało jak prawdziwy pistolet, a nie zwykły ogłuszacz.* Minęło już wiele, wiele lat, odkąd po raz ostatni używał tej sztuczki; a jeśli coś zepsuł? Po raz pierwszy, odkąd zaczęła się cała akcja, ogarnął go strach. Położył dłoń na jej szyi... i znalazł mocny, równomierny puls. Annę była tylko nieprzytomna i nic więcej.

Pham ponownie przywołał na twarz drapieżny uśmiech i wszedł za Trudem do sali fiksatów.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Ostatnie słowo należało jednak do dziennikarzy. I co z tego, że służby bezpieczeństwa Akord nie pozwoliły im pokazać, kto wysiada z samolotu? Po kilku minutach była już na terenie Południa, a miejscowi reporterzy nie musieli się przejmować żadnymi zakazami i pokazywali nie tyl-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ko Victory Smith, ale i całą jej świtę. Przez kilka minut kamery znajdowały się tak blisko, że Viki widziała pożywiającego ręce generała. Mama wydawała się równie spokojna i zdyscyplinowana jak zawsze... lecz przez te kilka chwil Victory Lighthill czuła się raczej jak mała dziewczynka, a nie jak porucznik służb wywiadowczych. Uparcie wracały do niej wspomnienia z tego poranka, kiedy zginęła Gokna. *Mamo, dlaczego tak ryzykujesz?* Ale Viki знаła odpowiedź na to pytanie. Generał nie była już potrzebna do realizacji planu, który stworzyła wraz z tatą; teraz mogła pomóc tym, których naraziła na największe niebezpieczeństwo.

W klubie oficerskim kłębił się tłum koberów, którzy zazwyczaj odsypiali o tej porze nocne dyżury albo szukali innych rozrywek. Klub był miejscem, w którym mogli poczuć się niemal jak w pracy. A dziś „praca” była z pewnością najważniejszą rzeczą, jaką mógł zajmować się każdy z nich.

Victory przeszła obok kabin komputerowych, dyskretnie dała swym ludziom sygnał, że wszystko jest w porządku. Wreszcie wskoczyła na grzędę obok Brenta. Jej brat nie zdjął swego hełmu do gier. Bez ustanku poruszał rękami, które trzymał na konsoli. Postukała go w ramię.

- Mama będzie zaraz przemawiać - powiedziała cicho.

- Wiem - odparł Brent. - Numer dziewiąty widzi nasze operacje, ale nadal nie może działać. To chyba jakiś lokalny problem.

Viki omal nie ściągnęła mu hełmu z głowy. *Cholera. Równie dobrze mogłabym być głucha i ślepa.* Wyciągnęła z kieszeni telefon i wybrała numer.

- Tato? Mama zaczyna przemawiać.

Przemówienie było krótkie i dobre. Zablokowało zagrożenie z Południa. *I co z tego?* Wyprawa do Gwiazdy i tak była zbyt ryzykowna. Monitory zawieszane nad barem pokazywały, jak generał prosi Tima, by ten przekazał Wybranym dokumenty zawierające pełną, oficjalną wersję jej propozycji. Może to rzeczywiście przyniesie efekt. Może warto było zaryzykować. Minęło kilka minut. Na Sali Obrad panował coraz większy zamęt. Mama i wujek Hrunok opuścili podium. Zbliżył się do nich jakiś mały kober w czarnym ubraniu. *Pedure.* Klócili się...

I nagle wszystko to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Brent szturchnął ją lekko.

- Złe wieści - powiedział, nadal nie ściągając z głowy hełmu. - Stra ciłem ich wszystkich. Nawet naszą starą przyjaciółkę.

Lighthill zeskoczyła z grzędy i dała znak zespołowi. Jej gest podzielał na pozostałych niczym głośny gwizd. Wszyscy członkowie zespołu zerwali się z miejsc, podnieśli bagaże i ruszyli do wyjścia. Brent ściągnął hełm i podążył śladem Lighthill.

Viki widziała, jak odprowadzają ich zaciekawione spojrzenia, jednak większość klientów była zbyt pochłonięta tym, co działo się na Sali Obrad, by zwrócić na nich uwagę.

Zespół Viki pokonał dwa piętra, nim zawyły syreny alarmowe.

VERNOR VINGE

- Jak to, straciliśmy wsparcie fiksatów? Ktoś przeciął kabel? - Czyżby Trinli znalazł jakoś wszystkie przewody?

- N-nie, grupmistrzu. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Grupkapral był kompetentny, jednak nie tak kompetentny jak Kai Omo. - Możemy przesłać sygnał, ale kanały kontrolne nie odpowiadają. Grupmistrzu... to wygląda tak, jakby ktoś po prostu zdjął twardogłowych z linii.

- Hm. Tak. - To mogła być kolejna niespodzianka Trinlego albo na Strychu ukrył się kolejny zdrajca. Tak czy inaczej... Nau spojrzał na Ezra Vinha. Oczy Handlarza zasnuwała mgła bólu. Za tymi oczami kryły się ważne tajemnice, ale Vinh był równie twardy jak wielu spośród tych, których zamęczył wraz z Ritserem na śmierć. Potrzebował czasu albo jakichś specjalnych środków, by wydobyć z niego informacje. Nie mieli czasu. Odwrócił się ponownie do Marlego.

- Możemy skontaktować się z Ritserem?

- Chyba tak. Mamy podziemne połączenie ze stacją laserową na zewnątrz. - Wystukał coś niepewnie na konsoli. Nau stłumił gniewny odruch wywołany jego niezdarnością. Lecz bez wsparcia fiksatów wszystko było znacznie trudniejsze niż dotychczas. *Równie dobrze moglibyśmy być Queng Ho.*

Marli uśmiechnął się szeroko.

- Mamy połączenie z „Niewidzialną ręką”, grupmistrzu! Przełączyłem głoś do pańskiego mikrofonu.

- Doskonale... Ritser! Nie wiem, co z tego zrozumiałeś, ale... - Nau zdał mu szybko relację z ostatnich wydarzeń. - Przez następne kilka sekund nie będę miał z tobą łączności; ewakuuję się do LI-A - oświadczył na koniec. - Zasadnicze pytanie brzmi: czy bez wsparcia fiksatów nadal możesz prowadzić operacje naziemne?

Odpowiedź mogła nadejść najwcześniej za dziesięć sekund. Nau zerknął na drugiego ze swych strażników.

- Ciret, zabieraj Tunga i fiksata. Idziemy do arsenału.

Tam mieliby władzę nad życiem i śmiercią wszystkich w LI, bez pośrednictwa jakiegokolwiek automatyki. Nau otworzył ukrytą za nim szafkę i wcisnął odpowiedni guzik. Część pokrytej parkietem podłogi rozsunęła się na boki, odsłaniając wejście do tunelu. Tunel prowadził prosto do arsenału. Nau nigdy nie wprowadził do jego wnętrza lokalizatorów, nie przecinały go też żadne inhe korytarze. Zamki po obu stronach zaprogramowane były na odcisk jego kciuka. Przyłożył palec do czytnika. Małe światełko pozostało czerwone. *Jak Trinli mógł to zepsuć?* Nau stłumił paniczny strach i spróbował po raz drugi. Bez rezultatu. Jeszcze raz. Światełko zmieniło powoli kolor na zielony, a zamek otworzył się z cichym trzaskiem. Program brał zapewne pod uwagę ciśnienie jego krwi i uznał, że Nau działa po przymusie. *Zostaje jeszcze druga strona.* Przyłożył kciuk do czytnika otwierającego zamek po drugiej stronie. Potrzebował jeszcze dwóch prób, ale i tu w końcu zapaliła się zielona lampka.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Do chaty wrócili Ciret i Tung, pchając przed sobą Alego Lina.

- Łamiecie reguły - łajali ich starzec. - Powinniśmy chodzić, o tak, ze stopami na ziemi. -Twarz Alego wyrażała irytację i zakłopotanie. Twardogłowi nigdy nie lubią, by odrywać ich od pracy. Prawdopodobnie pielnie ogrodu grupmistrza wydawało się Alemu równie ważne, jak tworzenie nowych łańcuchów genetycznych. Teraz zmuszono go nagle, by opuścił ogród, a w dodatku na jego oczach łamano wszystkie zasady obowiązujące w parku.

- Zamknij się i stój spokojnie. Ciret, rozwiąż Vinha. Jego też zabieramy.

Ali stał nieruchomo, wsparty obiema stopami na podłodze. Nie zachował jednak milczenia. Wpatrywał się w coś za plecami Naua z typowym dla fiksatów, nieobecny wyrazem twarzy, i narzekał dalej:

- Wszystko zniszczysz, nie rozumiesz?

Nagle jaskinia wypełniła się głosem Ritsera Brughla.

- Grupmistrzu, sytuacja pod pełną kontrolą. Fiksaci na pokładzie „Ręki” pracują normalnie. Pomoc z zewnątrz będzie nam potrzebna dopiero po zrzuceniu bomb. Phuong mówi, że teraz poradzimy sobie nawet lepiej bez LI. Tuż przed wyłączeniem wsparcia niektórzy twardogłowi Reynolt zaczęli się dziwnie zachowywać. Tak wygląda harmonogram operacji; Gwiazda spali się za siedemset sekund. Zaraz potem „Ręka” będzie przelatywać nad wyrzutniami antyrakietowymi Akord. Zniszczymy je...

Odpowiedź Brughla zamieniała się w raport, jakby ten chciał uprzędzić wszystkie kolejne pytania. Lin umilkł. Nau poczuł chłód na karku, jakby słońce zaszło nagle za chmury. Chmury? Odwrócił się i zobaczył, co tak naprawdę zirykowało Lina. Tung podleciał do okien wychodzących na jezioro.

- O cholera - powiedział cicho.

- Ritser! Mamy problemy. Skontaktuję się z tobą później.

Głos z „Niewidzialnej ręki” nie przerywał raportu, nikt go już jednak nie słuchał.

Niczym jakaś nimfa z balacreańskiego mitu wody Północnej Łapy unosiły się powoli i rozciągały ponad linią brzegową zaprojektowaną przez Alego Lina. Promienie „słońca” załamywały się w milionach ton wody, które nadsięgały w ich stronę. Nawet bez zewnętrznej kontroli jezioro powinno zostać na swoim miejscu. Ale nieprzyjaciel wprowadził siłowniki na dnie jeziora w jednostajny rytm... i woda płynęła.

Nau zanurkował w stronę włazu. Zaparł się o podłogę i próbował podnieść ciężką klapę. Ściana wody dotknęła chaty. Budynek jęknął ciężko, zachwiał się w posadach, szyby w oknach rozprysły się na drobne kawałki, ustępując przed górą wody sunącą z prędkością jednego metra na sekundę.

Jednolita masa wody zamieniła się w tysiąc ramion sięgających ku niemu przez pękające ściany, opływających jego ciało lodowatym chłodem.

VERNOR VINGE

dem, odrywających go od włazu. Okrzyki przerażenia szybko ucichły, przez chwilę Nau znalazł się całkowicie pod wodą. Jedynym dźwiękiem, jaki docierał do jego uszu, był trzask rozrywanej na drobne kawałki chaty. Po raz ostatni widział swoje biurko i marmurowy kominek. Potem powolne tsunami odbiło się od przeciwległej ściany, wciągając Naua w wir.

Wciąż był zanurzony, zaczynało mu brakować powietrza. Lodowata woda paraliżowała, odbierała czucie w członkach. Nau okręcił się w miejscu, próbował określić jakoś swoje położenie. Zobaczył zieleń lasu pod sobą, za resztkami chaty. Popłynął w tę stronę, byle na powierzchnię.

Wypłynął wreszcie na otwartą przestrzeń, rozsiewając dokoła warstwy wody. Przez chwilę leciał sam, dość szybko, by pozostać przed ścianą dryfującego jeziora. Powietrze wypełniały dźwięki, jakich do tej pory nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić, huk milionów ton wody obracających się w miejscu, uderzających w skałę. Fala dotarła do sufitu, teraz wracała w dół, a on znajdował się pod nią. Motyle w lesie porastającym dno jaskini choć raz siedziały cicho. Zbite w ciasne gromady chowały się pod gałęziami. Ale daleko, po drugiej stronie, coś było w powietrzu. Małe kropki krążyły w pobliżu nacierającego jeziora. Skrzydlate koty! Wcale nie wyglądały na przestraszone - no tak, Qivi mówiła, że to stara rasa. Nau widział, jak jeden z nich zanurkował w wodzie, zniknął na chwilę, potem wyleciał, by zaczerpnąć powietrza, i znów zanurkował. Te przeklęte koty były tak zrzęczne, że mogły nawet przetrwać tę katastrofę.

Odwrócił się i spojrzął w stronę sztucznego słońca parku. Rozświetlało złocistym blaskiem wodę i ludzkie postaci uwiecznione w niej niczym muchy w bursztynie. Wszyscy płynęli w tę stronę, niektórzy resztką sił, inni szybko, energicznie. Po chwili z wody wystrzelił Marli. Kilka sekund później dołączył doń Tung, później Cirit, który ciągnął za sobą Alego Lina. *Świetnie!*

Pozostała jeszcze jedna osoba, Ezr Vinh. Handlarz wynurzył się do połowy z wody jakieś dziesięć metrów od nich. Oszołomiony, kasłał i pluł wodą, lecz wyglądał na znacznie trzeźwiejszego niż podczas przesłuchania. Spojrzął na drzewa, ku którym wszyscy opadali, i roześmiał się chrapliwie.

- Jesteś uwieczniony, grupmistrzu. Pham Nuwen cię przechytrzył.

- Pham kto?

Handlarz skrzywił się lekko, jakby zrozumiał, że powiedział własnie coś, czego nie chciał zdradzić nawet podczas najgorszych męczarni. Nau skinął na Marlego.

- Przeprowadź go tutaj.

Ale Marli nie miał się od czego odepchnąć. Vinh odwrócił się i zanurzył ponownie w wodzie, wybierając jedyną dostępną drogę ucieczki.

Marli wypuścił krótką serię w stronę lasu, nabierając w ten sposób pędu i wracając ku wodzie. Nau widział sylwetkę Ezra Vinha przebijającą słabo rękami i nogami. Handlarz zanurzył się już na kilka metrów w opadającym jeziorze.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Tymczasem oni dotarli do czubków drzew. Marli rozglądał się dokoła przerażony.

- Musimy uciekać, grupmistrzu!

- No dobrze, więc po prostu go zabij. - Nau chwycił się już czubków drzew. Marli, który unosił się kilka metrów nad nim, strzelił w wodę. Pociski Emergentów zaprojektowane były tak, by rozrywać i zgniatać ciało; w wodzie ich zasięg był praktycznie równy zeru. Marli miał jednak szczęście. Ciało Handlarza otoczyła czerwona mgła.

A potem nie mieli już więcej czasu. Nau leciał od drzewa do drzewa, nurkował w otwartą przestrzeń pod dachem lasu. Zewsząd dobiegał trzask łamanych gałęzi, gdy woda wdzierала się pomiędzy drzewa. Ściana rozdzielała się na miliony mniejszych palców, przekreślała, wirował, łączyła z powrotem w jedną całość. Dotknęła krawędzi motylej gromady, która nagle wydała z siebie przeraźliwy pisk, by potem pochłonąć ją w ułamku sekundy.

Marli wyleciał przed niego.

- Woda odcięła nam drogę do wyjścia, grupmistrzu.

Uwięziony, dokładnie tak, jak powiedział Handlarz.

Wszyscy czterej poruszali się równolegle do ściany jaskini. Kopuła wody nad ich głowami stale się obniżała, minęła już koronę lasu. Rozproszony blask słońca oświetlał ich ze wszystkich stron, przenikał przez dziesiątki metrów wody. Jezioro miało jednak przecież ograniczoną objętość. W parku musiały znajdować się ogromne bąble powietrza, lecz im nie dopisało szczęście. Znajdowali się w niewielkiej jaskini powietrznej, otoczeni wodą z czterech stron.

Tung musiał ciągnąć Alego od gałęzi do gałęzi. Fiksat wydawał się zafascynowany ruchomą masą wody i zupełnie nieświadomy niebezpieczeństwa.

Może...

- Ali! - krzyknął Nau ostro.

Ali Lin odwrócił się do niego. Tym razem jednak nie złościł się, lecz uśmiechał.

- Mój park jest zrujnowany, ale teraz widzę coś lepszego, coś, czego nikt jeszcze nie robił. Możemy stworzyć prawdziwe jezioro mikrograwitacyjne, krople i bańki powietrza walczyłyby ze sobą o dominację. Mógłbym przystosować niektóre rośliny i zwierzęta...

- Ali. Tak! Zbudujemy lepszy park, obiecuję. Teraz muszę wiedzieć, czy można się stąd jakoś wydostać i nie utopić wcześniej?

Dzięki Bogu mógł mu odpowiedzieć. W ciągu ostatnich kilkuset sekund Ali przeżył poważny wstrząs psychiczny. Niewiele rzeczy mogło zachwiać lojalnością fiksata, jeśli jednak uważał, że ktoś nie pozwala mu zajmować się jego specjalnością... Po chwili Ali wzruszył ramionami i powiedział:

- Oczywiście. Za tym głazem jest śluza. Nigdy jej nie zaspawałem.

Marli podleciał do skały. Śluza, tutaj? Bez wyświetlacza Nau nie mógł tego sprawdzić. Wiedział jednak, że na terenie parku jest wiele kanałów, którymi sprowadzali do jaskini lód z powierzchni.

VERNOR VINGE

- Fiksat ma rację, grupmistrzu! Kody dostępu działają.

Nau i pozostali okrążyli głaz, zajrzeli do tunelu otwartego przez Marlego. Tymczasem ściany ich powietrznej jaskini - ich bańki - przysuwały się coraz bliżej. Za jakieś trzydzieści sekund miały zakryć i to miejsce. Marli spojrzął na Naua. Triumfalny uśmiech, który jeszcze przed chwilą gościł na jego twarzy, zniknął bez śladu.

- Grupmistrzu, ucieknijmy tu przed wodą, ale...

- Ale stąd nigdzie nie można wyjść. Racja. Wiem. - Kanał kończył się uszczelnioną kłapą, za którą znajdowała się już tylko próżnia. To była ślepa uliczka.

Obracający się powoli stalaktyt wody opadł na głowę Naua, zmusił go, by przykucnął obok Marlego. Potem góra wody cofnęła się na moment. *Krok po kroku, straciłem prawie wszystko.* Niewiarygodne. Nagle Tomasz Nau zrozumiał, że Ezer Vinh mówił prawdę. Pham Trinli to nie Zamle Eng; to było tylko wygodne kłamstwo spreparowane specjalnie dla Tomasa Naua. Przez wszystkie te lata jego największy bohater - i dlatego najgroźniejszy ze wszystkich możliwych wrogów - przebywał tuż obok niego. Trinli był Phamem Nuwenem. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Naua ogarnął paraliżujący strach.

Lecz nawet Pham Nuwen ma swoje słabości, te same co przed wielu laty. *Badalem karierę tego człowieka przez całe życie, przyswajałem sobie to, co godne uwagi. Lepiej niż ktokolwiek inny znam jego słabości. I wiem, jak je wykorzystać.* Ogarnął spojrzeniem wszystko, co mu zostało: stary człowiek, którego kochała Qiwi, trochę sprzętu komunikacyjnego, trochę broni, trzech żołnierzy. Powinno wystarczyć.

- Ali, czy w tych służach są telefony przewodowe? Ali!

Fiksat oderwał spojrzenie od ściany wody.

- Tak, tak. Potrzebowaliśmy dobrej koordynacji, kiedy ściągaliśmy tu łód.

Nau dał Marlemu sygnał.

- Wchodzimy. Powinno się udać.

Jeden po drugim przeciskali się przez wąskie przejście. Otaczająca ich do tej pory bańka powietrzna oderwała się od dna. Grunt przykrywała już półmetrowa warstwa wody. Tung i Ali Lin wpadli do tunelu wraz ze strumieniem wody. Cirit wśliznął się ostatni i zatrzasnął właz. Do korytarza wpłynęło też kilkadziesiąt litrów cieczy. Słyszeli, jak po drugiej stronie włazu wzrasta masa wody.

Nau odwrócił się do Marlego.

- Przejdziemy na drugi koniec korytarza, kapralu. Ali Lin pomoże mi zadzwonić.

Pham Nuwen był bliski zwycięstwa, ale Nau nie wykorzystał jeszcze wszystkich swoich atutów. Kiedy lecieli w górę śluzy, zastanawiał się, co powinien powiedzieć Qiwi Lin Lisolet.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Generał Smith zeszła z mównicy. Tim rozdał już wszystkim Wybrany dokumenty z informacjami i teraz pięćset głów zastanawiało się nad umową. Hrunckner Unnerby stał w cieniu za grzędą i rozmyślał. Smith dokonała kolejnego cudu. W sprawiedliwym świecie jej działania z pewnością przyniosłyby efekt. Co wymyśli Pedure, by nie dopuścić do zawarcia pokoju?

Smith cofnęła się jeszcze o kilka kroków, by zrównać się z Unnerbym.

- Proszę iść ze mną, sierzancie. Jest tu ktoś, z kim chciałam porozmawiać już od dłuższego czasu. - Za kilka godzin miało się odbyć głosowanie. Wcześniej Wybrani mogli zadawać Smith pytania. Pozostawało więc mnóstwo czasu na polityczne manewry. Unnerby i Downing przesunęli się z generałem na drugi koniec proscenium, blokując wyjście. W ich stronę szedł jakiś drobny kober w ekstrawaganckich nogawicach. Pedure. Czas nie obszedł się z nią łaskawie, a może opowieści o nieudanych zamachach nie były tylko prowokacją z jej strony. Pedure próbowała obejść Smith, ta jednak zastąpiła jej drogę.

Generał uśmiechnęła się do niej.

- Witaj, wielebna. Miło wreszcie poznać cię osobiście.

Pedure syknęła ze złością.

- Tak. Ale jeśli nie zejdziesz mi z drogi, z przyjemnością cię zabiję. - Wydawało się, że to tylko ciche pogrożki, lecz w jej dłoni błyszczał mały nóż.

Smith rozłożyła szeroko ramiona w geście, który ściągał uwagę wszystkich obecnych na sali.

- Na oczach tych wszystkich ludzi, wielebna Pedure? Nie sądzę. Jesteś...

Smith zawahała się, podniosła dwie ręce do głowy, jakby czegoś słuchając. Swego telefonu?

Pedure patrzyła tylko na nią, a cała jej postawa wyrażała podejrzliwość. Pedure była drobną kobietą o powyginanym pancerzu i nerwowych, szybkich gestach. Z pewnością nie należała do osób wzbudzających zaufanie swym wyglądem. Musiała być tak przyzwyczajona do zabijania na odległość, że osobisty czar i umiejętność zjednywania sobie ludzi wydawały jej się drobiazgami bez większego znaczenia. Z pewnością zmuszona do bezpośredniego działania czuła się bardzo nieswojo. Dzięki temu Unnerby nabrał pewności siebie.

Coś zapiszczało w kieszeni Pedure. Schowała nóż i wyciągnęła telefon. Przez moment dwie antagonistki wyglądały jak przyjaciółki, wspominające stare, dobre czasy.

- Nie! - zachłysnęła się nagle Pedure. Pochwyciła telefon rękami po żywiącymi, omal nie włożyła go do swej paszczy. - Nie tutaj! Nie teraz!

Generał Smith odwróciła się do Unnerby'ego.

- Wszystkie plany i układy możemy w tej chwili wyrzucić do śmie-

VERNOR VINGE

ci, sierżancie. W naszą stronę lecą trzy pociski atomowe wystrzelone spod lodu. Zostało nam jeszcze jakieś siedem minut.

Przez moment Unnerby wpatrywał się w kopułę sufitu. Znajdowali się na głębokości tysiąca stóp, gruba warstwa skał miała chronić ich przed wybuchami jądrowymi. Wiedział jednak, że flota Kindred przygotowywała się do znacznie poważniejszych uderzeń. Trzy pociski mogły prawdopodobnie sięgnąć nawet głębiej niż tu. Mimo to... *Projektowałem to miejsce*. W pobliżu znajdowały się schody prowadzące do znacznie głębszych miejsc. Pochwycił Smith za ramię.

- Generale, proszę za mną. - Ruszyli ponownie ku tylnej części proscenium.

Unnerby nieraz ocierał się o śmierć, wiedział, że strach dotyka zarówno łajdaków, jak i uczciwych ludzi. Pedure... cóż, wielbna Pedure po prostu oszalała ze strachu. Biegała z miejsca na miejsce, wykrzykując do telefonu jakieś tieferskie przekleństwa. Nagle zatrzymała się i odwróciła do Smith. Przerażenie ustąpiło na moment miejsca zdumieniu.

- Pociski są wasze! Ty... - Z histerycznym wrzaskiem rzuciła się na Smith, wyciągając w jej stronę srebrne ostrze.

Unnerby wskoczył pomiędzy nie, nim Smith mogła się odwrócić. Pchnął potężnie Pedure, zrzucając ją ze sceny. Dokoła zapanował totalny chaos. Ludzie Pedure zerwali się z miejsc, niemal natychmiast jednak na ich drodze stanęli ochroniarze Smith, którzy zeskoczyli z galerii dla gości. Parlamentarzyści podnosili głowy znad dokumentów i ze zdumieniem patrzyli na to, co dzieje się pod mównicą. Nagle z tyłu sali rozległ się przeraźliwy krzyk:

- Patrzcie! Wiadomości z sieci! Akord wystrzelił w nas pociski!

Unnerby wyprowadził generała i jej ludzi bocznym wyjściem. Zbiegali w dół schodów, ku szybom prowadzącym na niższe poziomy. Siedem minut życia? Może. Nagle jednak Unnerby'ego ogarnęła ogromna radość. To, co zostało, było tak cudownie proste jak przed laty. Życie i śmierć, kilku dobrych żołnierzy i kilka minut, które miały zdecydować o wszystkim.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Belga Undendlle była najstarsza stopniem w Centrum Dowodzenia i Kontroli. Nie miało to jednak większego znaczenia; Underville pracowała w wywiadzie wewnętrznym. To, co działo się w tym miejscu, mogło na zawsze zmienić jej pozycję, na razie jednak pozostała poza hierarchią dowodzenia, była tylko łącznikiem pomiędzy obroną cywilną i dworem królewskim. Belga obserwowała Elno Coldhavana, nowego dyrektora wywiadu zewnętrznego, oficera dowodzącego Centrum. Coldhaven wiedział, jak skończyła się kariera jego poprzednika. Wiedział, że Rachner Thract nie

OTCHŁAŃ W NIEBIE

był głupcem i prawdopodobnie nie zdradził. Teraz Elna zajmował jego pozycję, a szefowa przebywała poza krajem. Działał niemal wyłącznie na własną odpowiedzialność. Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni odciągał Underville na stronę i prosił ją o radę. Podejrzewała, że właśnie dlatego wolał, by została tutaj, a nie wracała do Princeton.

Centrum Dowodzenia i Kontroli mieściło się w skalnym cyplu Dowództwa Lądowego, przeszło milę pod powierzchnią, tuż pod starą Otchłanią Królewską. Dziesięć lat temu Centrum było prawdziwym molochem, pracowały tu dziesiątki techników wyposażonych w zabawne monitory lampowe z tamtych czasów. Za nimi mieściły się oszklone pokoje narad i stanowiska dla oficerów. Z roku na rok jednak technika czyniła coraz większe postępy, systemy i sieci komputerowe stawały się coraz nowocześniejsze. Teraz wywiad Akord miał lepsze oczy, uszy i automatykę, a samo Centrum było niewiele większe od sali konferencyjnej. Dziwna, cicha sala konferencyjna, ledwie z kilkoma grzędami. Powietrze było świeże, zawsze w lekkim ruchu; jasne oświetlenie nie pozostawiało żadnych cieni. Nadal mieli na wyposażeniu monitory, lecz teraz nawet najprostsze z nich mogły wyświetlać co najmniej dwanaście kolorów, Nadal pracowali tu także technicy, każdy z nich zarządzał jednak tysiącami węzłów rozsianych po całym kontynencie i w przestrzeni okołoplanetarnej. Każdy z nich miał dostęp do setek specjalistów, którzy w razie potrzeby interpretowali dane. Ośmiu techników, czterech oficerów, jeden oficer dowodzący. Tylko tyle osób musiało przebywać w Centrum.

Na centralnym monitorze generał Smith rozpoczynała właśnie swoje przemówienie w parlamencie Południa. Była to ta sama relacja, którą widział cały świat - zewnętrzny wywiad postanowił nie wprowadzać do sali obrad specjalnej kamery. Na ekranie pojawiła się jakaś chuda, niechlujnie odziana postać. Generał Coldhaven, który siedział obok Belgi, powiedział cicho:

- Pedure we własnej osobie... Nie umie dobrze grać, kiedy musi sama nadstawiać karku.

Underville słuchała go bez większego zainteresowania. Działo się tak wiele zdumiewających rzeczy... Przemówienie generał było nawet bardziej szokujące niż obecność Pedure na sali. Kiedy Smith zaprezentowała swoją propozycję, kilku techników znieruchomiało na moment z wrażenia.

- Boże! - mruknął Elna Coldhaven.

- Tak - odparła Belga szeptem. - Ale jeśli na to pójda, może uda nam się uniknąć wojny.

- Jeśli wybiorą Króla. Ale jeśli zdecydują się na generał Smith... - Gdyby Smith musiała zostać na Południu, sytuacja w dowództwie mocno by się skomplikowała, szczególnie dla Elna Coldhavena. Coldhaven nie potrafił ukryć zdenerwowania. *Więc dla niego to też jest nowość.*

- Poradzimy sobie - oświadczył Kred Dugway, dyrektor Obrony Po-

VERNORVINGE

wietrznej. Dugway był ostatnim z trojga generałów obecnych w Centrum. Dyrektor OP należał do największych krytyków biednego Thracta, był też poprzednio zwierzchnikiem Coldhavena. Najwyraźniej wydawało mu się, że wciąż ma nad nim władzę.

Tymczasem generał Smith schodziła właśnie z parlamentarnej mównicy. Wręczyła Timowi Downingowi oficjalną wersję swojej propozycji, ten zaś zaczął rozdawać dokumenty Wybrany. Kamera odprowadzała Smith schodzącą z proscenium.

- Idzie do Pedure!

Dugway zachichotał.

- To będzie ciekawe!

Cholera. Kamera opuściła Smith, by pokazać majora Downinga rozdającego kopie propozycji.

- Możecie dać jakiś widok na szefową? Mamy jeszcze łączność audio?

- Przykro mi, ale nie.

Nagle monitory Obrony Powietrznej zapłonęły kolorem alarmowym. Technik pochylił się nad konsolą, syknął coś do mikrofonu.

- Generale, nie rozumiem do końca, co się dzieje, ale... - odezwał się.

Dugway wyciągnął rękę ku mapie sytuacyjnej Południa.

- To są wyrzutnie!

Tak. Nawet Belga rozpoznała ten kod. Krzyżyki oznaczały miejsca, w których prawdopodobnie kryły się wyrzutnie raketowe.

- Trzy pociski. Nie są z Południa; wystrzelono je spod lodu. To mu są być... - To musiały być pociski Kindred. Tylko Akord i Kindred miały podziemne wyrzutnie.

Na monitorze pojawiły się wyniki pierwszych obliczeń określających miejsce uderzenia. Wszystkie trzy kręgi znajdowały się w pobliżu bieguna południowego.

Coldhaven odwrócił się do techników zarządzających atakiem raketowym.

- Przechodzimy do kodu Najjaśniejszego. - Na głównym ekranie kamery wciąż pokazywały reakcje członków parlamentu na przemówienie generał Smith.

Jeden z techników podniósł się ze swojej grzędy.

- Generale! To nasze pociski z Siódemki, z „Lodołamacza” i „Meta-morfozy”!

- Skąd wiesz? - Generał Coldhaven ubiegł swego byłego szefa, który już chciał coś powiedzieć.

- Autologi z samych okrętów. Próbuję skontaktować się teraz z ich kaptanami...

Dugway pokręcił głową.

- I dopóki z nimi nie porozmawiam, nie uwierzę. Znam tych ludzi. Tam dzieje się coś dziwnego.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Mamy prawdziwe wyrzutnie i prawdziwe cele. -Technik postukał w krzyżyki i kółka.
- Macie tylko kolorowe światełka! - rzucił Dugway.
- To dane z sieci bezpieczeństwa, generale, bezpośrednio z satelitów. Coldhaven uciszył ich obu stanowczym gestem.
- To przypomina trochę problemy, które miał mój poprzednik. Dugway spojrział groźnie na swego byłego protegowanego... i powoli zaczynał ogarniać prawdę. -
Tak. Coldhaven odchrząknął.
- To nie tylko my. Ktoś mówił o tym przez stare analogowe radio. - Niektórzy ludzie nadal używali takich rzeczy; Underville miała w tere nie agentów, którzy nie zgadzali się na jakiegokolwiek unowocześnienia. Zdumiewający był fakt, że ktoś w Dowództwie Ładowym posługiwał się jeszcze czymś takim. Coldhaven zauważył minę Belgi. - Moja żona pracuje w muzeum techniki. - Uśmiechnął się lekko. -Twierdzi, że jej staro modni przyjaciele wcale nie są szaleńcami. Teraz i my widzimy niemożli we. Dawniej wszystkie błędy i sprzeczności można było zrzucić na czyjąś głupotę. Teraz... - Pociski miały uderzyć w wyznaczone cele za trzy minuty. Dane napływające z satelitów wyraźnie już określały to miejsce: Gwiazda Południa.
- Underville przez dłuższą chwilę nie mogła się otrząsnąć ze zdumienia. Cała ta paranoja Rachnera to prawda?
 - Więc może to fałszywy atak. Może wszystko, co widzimy...
 - Przynajmniej wszystko, co widzimy w sieci...
 - ...jest kłamstwem. - Spełnienie najgorszych koszmarów techno-foba.Dugway zrozumiał wreszcie groźbę ich położenia. Misterna budowla wznoszona przez dwadzieścia lat rozpadała się w gruzy.
- Ale wszystkie szyfry, środki ostrożności... Co możemy teraz zrobić, Elnó?
- Coldhaven jakby nagle opadł z sił. Jego teoria została zaakceptowana, a to nie zostawiało im żadnego pola manewru.
- Możemy... możemy wszystko zamknąć. Wyłączyć Centrum z sieci. Widziałem taką opcję w grze strategicznej... tyle że to też było w sieci!
Belga położyła rękę na jego ramieniu.
- Zróbmy to. Możemy używać analogowego radia z muzeum. Mam też ludzi, kurierów. To będzie bardzo wolne, ale... - Znacznie za wolne, ale przynajmniej dowiedzą się, z kim walczą.
- Poprzez sieć mogli natychmiast skontaktować się z innymi - z Nizhimor, z samym Królem - teraz jednak nie ufali już niczemu. Dugway siedział tuż obok, ale to Elnó Coldhaven był oficerem dowodzącym. Coldhaven wahał się, nie spytał jednak Dugwaya ani Underville o radę. Zawołał swego sierżanta.

VERNOR VINGE

- Plan Awaria Sieci. Chcę, żeby ktoś zaniósł osobiście wiadomość do muzeum.

- Tak jest! - Technik, który przysłuchiwał się dotąd rozmowie swych zwierzchników, natychmiast przystąpił do działania, jakby czekał tylko na ten rozkaz. Do uderzenia pocisków zostały dwie minuty. Tymczasem na Sali Obrad panował totalny chaos. Przez moment Un-dendlle nie mogła oderwać wzroku od monitora. Biedni koberzy. Do tej pory wojna była tylko złowieszczą chmurą na horyzoncie - teraz Wybrani Południa znaleźli się w samym jej środku, skazani na zagładę. Niektórzy siedzieli w bezruchu, patrzyli w górę, skąd miała nadejść śmierć. Inni biegali w panice po wyłożonej dywanami sali, szukając jakiegoś wyjścia, drogi ratunku. Gdzieś za nimi kryła się generał Smith, skazana na ten sam los.

Jakimś cudem starszy sierżant miał gotowe kopie Planu Awaria Sieci. Rozdał je swoim technikom i rozpoczął procedurę otwierania drzwi Centrum Dowodzenia i Kontroli.

Ale drzwi już się otwierały. Belga zeszywniała. Nikt rnie mógł tu wejść przed skończeniem zmiany. Strażnik Centrum wszedł do środka tyłem, trzymając broń opuszczoną ku ziemi.

- Widziałem pani przepustkę, ale nikomu nie wolno...

Odpowiedział mu dziwnie znajomy głos.

- Bzdura. Mamy przepustki, a sam widziałeś, że drzwi się otworzyły. Proszę, zejdź nam z drogi.

Do pokoju wkroczyła młoda porucznik. Jednolity czarny mundur, szczupła, groźna sylwetka. Wyglądało to tak, jakby Victory Smith nie tylko uciekła z Południa, ale powróciła tak młoda, gdy Belga widziała ją po raz pierwszy. Za porucznik siedł ogromny kapral i oddział żołnierzy. Większość miała karabiny maszynowe.

Generał Dugway nadął się jak balon, oburzony na młodą porucznik. Dugway był głupcem. To wyglądało na ostatni, decydujący cios - ale dlaczego nie strzelali? Eln Coldhaven przysunął się bliżej do swego biurka, jego ręce szukały jakiejś niewidocznej szuflady. Belga stanęła pomiędzy nim i intruzami, mówiąc:

- Pani jest córką Smith.

Porucznik zaszalutowała zamasyście.

- Tak jest. Victory Lighthill, a to mój zespół. Działamy z pełnomocnictwa generał Smith i możemy przeprowadzać inspekcję tam, gdzie uznamy to za konieczne. Z całym szacunkiem, pani generał, właśnie po to tu przyszliśmy.

Lighthill przeszła obok gotującego się ze złości dyrektora Obrony Powietrznej; stary Dugway był tak wściekły, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Eln Coldhaven, ukryty za Belga, wypisywał kody komend.

Lighthill szybko domyśliła się wszystkiego.

- Proszę odejść od swojej konsoli, generale Coldhaven. -Wielki ka-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

prał skierował karabin w stronę Coldhavena. Undendlle już go rozpoznała. Upośledzony syn Smith. Cholera.

Eln Coldhaven odsunął się od biurka i unióśł lekko ręce, uznając tym samym, że wizyta ta wykracza daleko poza ramy jakiegokolwiek „inspekcji”. Dwaj technicy pracujący w pobliżu drzwi rzucili się do ucieczki. Ale ci żołnierze byli szybcy. Błyskawicznie dopadli obu techników i wciągnęli ich do środka.

Drzwi zamknęły się powoli.

Coldhaven podjął jeszcze jedną desperacką i naiwną próbę.

- Poruczniku, w naszej automatyce pojawiły się poważne zakłócenia. Musimy wyłączyć Centrum z sieci.

Lighthill podeszła bliżej do monitorów. Jeden z nich nadal przekazywał obraz z Sali Obrad, lecz nikt nie stał już za kamerą; obraz przekręcał się powoli ku górze, wreszcie zatrzymał się na suficie. Tymczasem na innych stanowiskach zapalały się kolejne najjaśniejsze światła, pytania do Centrum Dowodzenia, wiadomości z Królewskich Sił Rakietowych. Świat chylił się ku ostatecznej zagładzie.

Wreszcie Lighthill przemówiła:

- Wiem, generale. Jesteśmy tu po to, by waf przed tym powstrzymać.
- Jej żołnierze rozstawili się dokoła sali. Teraz mieli pod kontrolą cały personel Centrum. Wielki kapral otworzył swoją torbę podróżną, wyjął z niej dodatkowy sprzęt... monitory do gier?

Dugway odzyskał wreszcie głos.

- Szukaliśmy wysoko postawionego agenta. Myślałem, że to Racher Thract. Jakimi byliśmy głupcami. Przez cały czas była to Victory Smith pracująca dla Pedure i Kindred.

Zdrajca na szczycie. To wyjaśnia wszystko, ale... Belga spojrzała na monitory, raporty z wyrzutni rakietowych Akord.

- Co z tego jest prawdą, poruczniku? Czy to wszystko jest kłamstwem, nawet atak na Gwiazdę Południa?

Przez moment Undendlle myślała, że porucznik jej nie odpowie. Kręgi oznaczające cele pocisków w Gwieździe skurczyły się do punkcików. Widok z kamery umieszczonej na Sali Obrad utrzymywał się sekundę dłużej. Potem kamienny sufit wyrzucił się nagle, z tyłu rozbłysło oślepiające światło - i ekran zgasł. Victory Lighthill drgnęła, a gdy w końcu odpowiedziała Beldze, mówiła głosem cichym, lecz stanowczym:

- Nie. Ten atak był bardzo rzeczywisty.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

- Jesteś pewien, że mnie zobaczą?

Marli podniósł wzrok znad swoich gadżetów.

- Tak, grupmistrzu.

Zaczynaj, grupmistrzu. Największe przedstawienie twojego życia.

- Qiwi! Jesteś tam?

- Tak, odebrałam... - Słyszał, jak Qiwi wciąga głośno powietrze. Słyszał. Nie odbierał żadnego sygnału wideo; sytuacja była naprawdę trudna, wcale nie musiał udawać tego przed Qiwi. - Tato!

Nau trzymał na rękach głowę i ramiona Alego Lina. Rany fiksata były głębokie, krew sączyła się przez prowizoryczne bandaie. *Niech to Plaga, mam nadzieję, że ten facet jeszcze żyje.* Przede wszystkim musiało to wyglądać bardzo realnie; Marli zrobił co mógł.

- To Vinh, Qiwi. Napadli na nas z Trinlim, zabili Kala Orno. Zabiliby Alego, gdybym... gdybym nie pozwolił im uciec. - Słowa nasunęły mu się same, powodowane szczerą wściekłością i taktycznymi potrzebami. Dzięki atak zdrajców w chwili, gdy najbardziej potrzebowali spokoju, gdy ważyły się losy całej cywilizacji. Zniszczenie Północnej Łapy.

- Widziałem, jak utonęły dwa kotki, Qiwi. Przykro mi, nie mogliśmy się do nich dostać... - Zabrakło mu słów, na szczęście w najbardziej odpowiednim momencie.

Słyszał, jak Qiwi łączywie chwyta powietrze, krztusi się. Robiła to tylko wtedy, gdy była czymś naprawdę wstrząśnięta. Cholera, to mogło wywołać kaskadę pamięci. Odsunął od siebie strach i powiedział:

- Qiwi, nadal mamy szanse. Czy zdrajcy pokazali się u Benny'ego? - *Czy Pham Nuwen przedostał się do salonu?*

- Nie. Ale wiemy, że wydarzyło się coś niedobrego. Straciliśmy obraz z Północnej Łapy, a na Arachnie prawdopodobnie wybuchła wojna. To prywatne łącze, ale wszyscy widzieli, jak wychodziłam od Benny'ego.

- Dobrze. Dobrze, Qiwi. Jeśli Vinh i Trinli mieli jakichś wspólników, to nie zdążyli się z nimi skontaktować. Mamy jeszcze szansę, my dwoje...

- Ale chyba możemy ufać... - Qiwi umilkła, nie znajdując żadnego argumentu. Dobrze. Tak szybko po czyszczeniu umysłu Qiwi nie była jeszcze zbyt pewna siebie. - Dobrze. Mogę ci pomóc. Gdzie się ukrywasz? W którejś ze śluz?

- Tak, jesteśmy uwięzieni za zewnętrznym włazem. Ale jeśli uda nam się stąd wydostać, możemy jeszcze uratować całą sytuację. Ll-A ma...

- Która śluza?

- Hm... - Spojrzał na kłapę włazu. Numer był ledwie widoczny w bladym świetle latarki Marlego. - S siedem cztery siedem. Czy to...

- Wiem, gdzie to jest. Będę tam za dwieście sekund. Nie martw się, Tomas.

Boże. Qiwi wracała do siebie w oszalamiającym tempie. Nau odczekał chwilę, potem spojrzął pytająco na Marlego.

- Połączenie zostało zamknięte.

- Dobrze. Spróbuj teraz połączyć się z Ritserem Brughlem. - Być może była to ostatnia szansa, by sprawdzić, jak przebiegają operacje naziemne, nim wszystko się rozstrzygnie w taki czy inny sposób.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

„Niewidzialna ręka” znajdowała się za horyzontem, kiedy pociski uderzyły w Gwiazdę. Mimo to monitory Jau pokazały błyski w wyższych warstwach atmosfery. Satelity przekazały po chwili szczegółową analizę zniszczeń. Wszystkie trzy pociski trafiły w cel.

Ritser Brughel nie był jednak całkiem zadowolony.

- Nie zgraliśmy ich w czasie. Mogły dotrzeć jeszcze głębiej. Z głośników dobiegł głos Bila Phuonga.
- Tak jest. To zależało od LI.
- Dobrze, już dobrze. Jakoś sobie poradzimy. Xin!
- Tak? - Jau podniósł wzrok znad konsoli.
- Czy twoi ludzie gotowi są do ataku na wyrzutnie raketowe?
- Ciąg, który właśnie zakończyliśmy, zaniesie nas prosto do tego miejsca. Zniszczymy większą część sił raketowych Akord.
- Zarządco pilotów, chcę, żebyś osobiście nad... - Jakies połączenie przerwało Brughlowi w pół słowa. Na monitorach nie pojawił się żaden obraz, ale wicegrupmistrz słuchał czegoś uważnie. Po chwili powiedział: - Tak jest. Możemy to nadrobić. Jak wygląda wasza sytuacja?

Co ń tam dzieje? Co się dzieje z Ritą? Jau starał się nie zwracać uwagi na tę rozmowę i spojrzał na monitory. Zmuszał swych fiksatów do maksymalnego wysiłku. Nie bawili się już w subtelności. W żaden sposób nie mogli ukryć tej operacji przed sieciami Pająków. Wyrzutnie raketowe Akord ciągnęły się na ogromnym obszarze północnego kontynentu i tylko częściowo zbiegały się z torem lotu „Niewidzialnej ręki”. Piloci Jau koordynowali pracę kilkunastu twarogłowych. Lasery bojowe „Ręki” mogły zniszczyć urządzenia ukryte płytko pod powierzchnią, ale musiały utrzymać się w celu co najmniej pięćdziesiąt milisekund. Trafienie we wszystkie wyrzutnie graniczyło z cudem. Niektóre z najgłębiej ukrytych celów miały być zniszczone przez bomby. Te zostały już wyrzucone i zmierzały ku powierzchni planety.

Jau zrobił wszystko, co mógł, by do tego doprowadzić. *Nie miałem wyboru.* Co kilka sekund słowa te wracały do jego świadomości jako uzupełnienie innej, równie upartej mantry: Nie jestem rzeźnikiem.

Lecz teraz... teraz mógł w bezpieczny sposób uniknąć wykonania straszliwych rozkazów Brughla. *Nie oszukuj się, i tak jesteś mordercą.* Ale setek, nie milionów.

Bez szczegółowej mapy i pomocy z LI mogli popełnić wiele drobnych błędów. Uderzenie na Gwiazdę Południa było tego najlepszym dowodem. Palce Jau błędziły po klawiaturze, wysyłały ostatnie rady zespołowi. Błąd był bardzo niewielki. Wprowadzał jednak wiele różnych odchyłek w planie ataku na wyrzutnie pocisków antyraketowych Akord. Wiele uderzeń „Niewidzialnej ręki” nie trafi w cel. Akord będzie miał szansę w atomowym starciu z Kindred.

Rachner krążył nerwowo po poczekalni. Jak długo będzie jeszcze musiał czekać? Może Underhill po prostu zmienił zdanie albo zapo-

VERNORVINGE

mniał, co miał robić. Strażnik też wyglądał na zaniepokojonego. Rozmawiał z kimś przez wewnętrzne łącze, - ale jego słowa nie docierały do Thracta.

Wreszcie dobiegł go przytłumiony jęk starych silników. Sekundę później stare drewniane drzwi rozsunęły się na boki. Wyszedł zza nich Sherkaner Underhill prowadzony przez swego robaka przewodnika. Strażnik wybiegł zza swojego stanowiska.

- Przepraszam, czy mógłbym zamienić z panem słowo? Dostaję...

- Tak, ale najpierw proszę mi pozwolić porozmawiać z pułkownikiem.

- Wydawało się, że ciężar kurtki przygina Underhilla do ziemi, a każdy krok ściąga go nieco na bok. Strażnik poruszał nerwowo rękami, nie wiedząc, co robić w tej sytuacji. Robak cierpliwie naprowadzał Underhilla na właściwy tor, prowadząc go do Thracta.

Underhill stanął wreszcie przed nim.

- Mam tylko kilka minut, pułkowniku. Bardzo mi przykro, że stracił pan pracę. Chciałbym...

- Teraz to nieważne! Muszę panu coś powiedzieć. - To był prawdziwy cud, że w ogóle udało mu się dostać do Underhilla. *Jeśli tylko zdołam go przekonać^ nim strażnik zbierze się na odwagę i wyrzuci mnie stąd.* - Nasza automatyka jest kontrolowana z zewnątrz. Mam dowody! - Underhill podnosił ręce, protestując, ale Rachner nie przerywał. To była jego ostatnia szansa. - Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale wyjaśnia wszystko; w naszym...

Świat wokół nich eksplodował. Kolor za kolorem. Ból za najjaśniejszym słońcem, jakie Thract mógł sobie wyobrazić. Przez moment istniał tylko ten kolor, kolor bólu, który przesłaniał świadomość, strach, nawet zdumienie.

Potem wrócił do siebie. Obolały, ale chociaż przytomny. Leżał na śniegu pośród gruzów. Oczy... oczy go bolały. W jego umyśle zostały wypalone powidoki piekła. Nadal widział jasne sylwetki na tle całkowitej ciemności - strażnik, Sherkaner Underhill.

Underhill! Thract zerwał się na równe nogi, odepchnął przygniatające go deski. Teraz docierał doń ból z innych części ciała. Cały grzbiet go bolał. *Kiedy eksplozja wypycha cię przez ściany, tak to się zwykle kończy.* Zrobił kilka drżących kroków. Chyba niczego sobie nie złamał.

- Profesorze Underhill? Halo? - Wydawało mu się, że jego własny głos dochodzi do niego z wielkiej odległości. Rachner odwracał głowę na różne strony, niczym dziecko z niemowlęcymi oczyma. Nie miał wyboru; przednie oczy nadal wypełniały palące powidoki. W dole, wzdłuż łuku kaldery, ciągnął się szereg dymiących otworów. Tutaj jednak dzieło zniszczenia było znacznie większe. Nie ostał się żaden z budynków zajmowanych przez Underhilla, ogień pożerał to, co jeszcze nadawało się do spalenia. Rachner zrobił krok w stronę miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał strażnik. Teraz była to jednak krawędź stromej, dymiącej

OTCHŁAŃ W NIEBIE

krateru. Zbocze powyżej zostało wysadzone w powietrze. Thract widział już kiedyś coś podobnego, ale to był straszliwy wypadek, pocisk artyleryjski uderzył w skład amunicji. A co *uderzyło w nas?* Co *Underhill* trzymał pod *domem?* Te pytania zadawała jakaś głęboko ukryta część jego umysłu, lecz on nie miał teraz żadnych odpowiedzi, za ta pojawiły się problemy wymagające jak najszybszego rozwiązania.

Z dołu, niemal spod samych jego nóg, dobiegł Rachnera zwierzęcy syk. Odwrócił się w tę stronę. Był to robak *Underhilla*. Jego ręce ustawione były do walki, lecz poskręcane ciało leżało nieruchomo wśród gruzów. Biedny zwierzak musiał mieć połamany pancerz. Kiedy Rachner próbował go obejść, robak syknął głośniej i próbował wyciągnąć swe okaleczone ciało pomiędzy desek.

- *Mobiy!* Spokojnie. Spokojnie, *Mobiy*. - *Underhill!* Jego głos wydał się przytłumiony, ale teraz wszystkie dźwięki docierały do *Thracta* jakby zza grubej ściany. Kiedy prześliznął się obok robaka, ten wydobył się wreszcie spod gruzów i ruszył za nim w stronę głosu *Underhilla*. Dźwięki, które wydawał, nie przypominały już teraz gróźb, lecz raczej żalodne pojękiwanie.

Thract szedł wzdłuż krawędzi krateru. Wznosiły się tu sterty gruzów wyrzuconych w górę podczas eksplozji. W niektórych miejscach urwisko zsuwało się do środka. Nadal nie widział *Underhilla*.

Robak wyprzedził *Thracta*. Tam, na wprost, z hałdy wystawało pojedyncze ramię *Pajaka*. Robak zapiszczał i zaczął powoli rozkopywać hałdę. *Rachner* natychmiast przyłączył się do niego, odciągał na bok luźne deski, zsuwał ciepłą ziemię. Ciepłą? Była gorąca jak dno zatoki *Calorica'*. Myśl o pogrzebaniu kogoś żywcem w ciepłej ziemi wydała mu się wyjątkowo przerażająca. Zaczął kopać szybciej.

Underhill leżał tylną częścią ciała w dół, jego głowa znajdowała się ledwie stopę pod powierzchnią. Po kilku sekundach odkopali go już do ramion. Ziemia drgnęła, zaczęła zsuwać się wraz z krawędzią krateru. *Thract* wyciągnął ręce, włożył je pod ręce *Underhilla* - i pociągnął. Cał, stopa... Obaj opadli na ziemię, kiedy grób *Underhilla* zsunął się do wnętrza krateru.

Robak czołgał się wokół nich, ani na moment nie odstępując swego pana. *Underhill* poklepał go łagodnie. Potem odwrócił się, przekręcając głowę tak samo jak *Thract*. Kryształowe powierzchnie jego oczu pokrywały pęcherze. *Sherkaner Underhill* zasłonił oczy *Thracta* przed jądrem eksplozji; sam był bezpośrednio wystawiony na uderzenie.

Underhill patrzył prawdopodobnie w stronę krateru.

- *Jaybert?* *Nizhnimor?* - mówił cicho, z niedowierzaniem. Podniósł się z ziemi, ruszył w stronę urwiska. *Thract* i robak przytrzymali go w miejscu. Przez chwilę *Underhill* pozwolił im prowadzić się w drugą stronę. Ciężkie ubrania skrywały jego ruchy, wydawało się jednak, że ma złamać nie co najmniej dwie nogi.

VERNOR VINGE

- Victory? Brent? Słyszycie mnie? Straciłem... - Odwrócił się i znów ruszył w stronę krateru. Tym razem Rachner musiał z nim walczyć. Biedny kober ulegał napadom szaleństwa. *Mysł!* Rachner Thract spojrział w dół zбочa. Lądowisko dla helikopterów było lekko przechylone, zбочe góry zasłoniło je jednak przed skutkami eksplozji. Jego śmigłowiec nadal tam stał i wyglądał na nieuszkodzony.

- Ach! Profesorze, w moim helikopterze jest telefon. Chodźmy, możemy stamtąd zadzwonić do generał. - Była to dosyć słaba argumentacja, ale też jedyna, jaką mógł w tej chwili zastosować. Underhill zachwiał się, omal nie przewrócił na ziemię. Potem jakby odzyskał na chwilę świadomość. - Helikopter? Tak... mógłby mi się przydać.

- Dobrze. Chodźmy tam. - Thract ruszył w stronę pozostałości schodów, ale Underhill nadal się wahał. - Nie możemy zostawić Mobyja. Nizhnimor i resztę - tak. Oni na pewno nie żyją. Ale Mobyj...

Móbyj umiera. Thract nie powiedział tego jednak głośno. Robak przestał pełzać, tulił się tylko do boku Underhilla.

- To zwierzę, profesorze - wyszeptał Thract.

Underhill zaniósł się szalonym chichotem.

- Ach, to tylko kwestia podejścia, pułkownika.

Thract zdjął wierzchnią kurtkę i sporządził z niej prowizoryczne nosze dla robaka. Zwierzę ważyło co najmniej osiemdziesiąt funtów, lecz teraz szli na dół, a Sherkaner Underhill nie próbował już wracać do krateru i tylko od czasu do czasu potrzebował pomocy przy schodzeniu. *Co lepszego mógłbyś teraz robić, he, pułkowniku?* Ukryty wróg wreszcie uderzył. Thract spojrział na kaldere, na dymiące leje po bombach. Prawdopodobnie tak samo wyglądał płaskowyż, zniszczone wyrzutnie. Bez wątplenia zniszczone zostało także Najwyższe Dowództwo. *Jeśli nawet mogłem tu cokolwiek zrobić, przybyłem za późno.*

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Taksówka wzniosła się nad powierzchnię LI. Pod nimi została otwarta gardziel śluzy S745. Gdyby nie Qiwi, nadal siedzieliby uwięzieni we wnętrzu ciasnego korytarza. Lądowanie obok śluzy i wykonana przez Qi-wi prowizoryczna komora powietrzna - to było coś. Tego nie dokonaliby nawet dobrze zarządzani fiksaci.

Nau ułożył delikatnie Alego Lina na przednim siedzeniu obok Qiwi. Ta odwróciła się od tablicy sterowniczej zatroskana.

- Tato? Tato? - Sięgnęła do jego ręki, by zbadać puls, i po chwili odechnęła z ulgą.

- Myślę, że Ali z tego wyjdzie, Qiwi. W LI-A mamy serwis medyczny i...

Qiwi opadła ponownie na swoje siedzenie.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Arsenał... - Nie odrywała jednak spojrzenia od swego ojca, a w raz troski na jej twarzy ustępował zamyśleniu. Wreszcie podniosła wzrok i skinęła głową. - Tak.

Taksówka przyspieszyła gwałtownie, rzucając Naua i-jego ludzi na ściany. Qiwi przeszła na ręczne sterowanie.

- Co się stało, Tomas? Mamy jakieś szanse?

- Tak sądzę. Jeśli tylko uda nam się dostać do Ll-A. - Zdał jej relację z ostatnich wydarzeń, opowiadając niemal samą prawdę - prócz tego, co stało się z Alim Linem.

Qiwi zwolniła łagodnie, szykując się do lądowania. Jej głos bliski był jednak płaczowi.

- To znów Masakra Diema, prawda? Ale jeśli ich nie powstrzymamy, tym razem zginiemy wszyscy. I Pajaki.

Bingo. Gdyby pamięć Qiwi nie została wyczyszczona ledwie kilka godzin wcześniej, to porównanie byłoby bardzo niebezpieczne. Kilka dni więcej, a Qiwi dostrzegłaby dziesiątki drobnych niekonsekwencji i sprzeczności; domyśliłaby się całej prawdy. Teraz jednak jeszcze przez kilka Ksekund analogia do Masakry Diema działała na jego korzyść.

- Tak! Ale tym razem mamy szansę ich powstrzymać, Qiwi.

Taksówka zbliżała się do powierzchni Diamentu Pierwszego. Słońce wyglądało jak błydy, czerwony księżyc, jego blask odbijał się tu i ówdzie w resztkach skradzionego z Arachny śniegu. Hammerfest zniknęło za krańcami Diamentu. Najprawdopodobniej Pham Nuwen został uwięziony na Strychu. Ten człowiek był geniuszem, ale osiągnął na razie tylko pół zwycięstwa. Odciął łączność z twarogłowymi, ale nie zatrzymał działań na Arachnie i nie dotarł do swych sprzymierzeńców.

A w tej grze połowiczne zwycięstwo równało się przegranej. *Za kilkanaście sekund będę miał do dyspozycji całą broń z Ll-A.* Wtedy słabość moralna Phama Nuwena przechyli szalę zwycięstwa na korzyść Tomasa Nau.

Ezr ani na chwilę nie stracił przytomności; gdyby tak się stało, już nigdy by się nie obudził. Przez jakiś czas jednak koncentrował się wyłącznie na sobie, na paraliżującym zimnie, rozdzierającym bólu w ramieniu i ręce.

Teraz pragnął jedynie zaczerpnąć powietrza. Gdzieś w pobliżu musiało być powietrze; objętość wody i gazu w parku pozostawała przecież taka sama jak przed katastrofą. *Ale gdzie?* Obrócił się tam, gdzie światło sztucznego słońca było najjaśniejsze. Resztki rozsądku podpowiadały mu, że woda nadleciała właśnie z tamtego kierunku. Teraz powinna spadać. *Płyn do światła.* Zaczął poruszać słabo nogami, zdrową ręką nadając ciału właściwy kierunek.

Woda. Jeszcze więcej wody. Woda bez końca. Czerwonawa w blasku słońca.

VERNORVINGE

Przebił się przez powierzchnię, kaszląc i wymiotując, i wreszcie nabrał powietrza. Woda ciągnęła się wokół niego, zmieniała kształt, wirowała, wznosiła się i opadała. Przypominało mu to historie o piratach z Can-berry, które oglądał jako dziecko; był żeglarzem zaskoczonym przez sztorm na otwartym morzu. Spojrzał w górę. Woda zamykała się nad jego głową. Tkwił w bańce powietrza średnicy jakichś pięciu metrów.

Wraz z orientacją w przestrzeni odzyskał zdolność racjonalnego myślenia. Odwrócił się, spojrział w dół i za siebie. Nikt go nie ścigał. Ale może nie miało to żadnego znaczenia. Woda wokół niego czerwieniała od krwi, jego krwi, czuł jej smak. Chłód, który spowolnił upływ krwi i przytępił ból, paraliżował nogi i zdrową rękę.

Ezr wpatrywał się w wodę, próbując ocenić, jak daleko powietrzna bańka znajduje się od powierzchni. Woda po stronie słońca nie wydawała się głęboka, ale... Spojrzał w dół, tam gdzie przedtem rozciągał się las. Widział zarysy połamanych gałęzi i pni. Woda nigdzie nie miała więcej głębokości niż kilka, co najwyżej kilkanaście metrów. *Jestem poza główną masę.* Jego bańka była częścią kropli dryfującej powoli pod niebem Północnej Łapy. Dryfującej w dół dzięki połączeniu sił mikrogravitacji i zderzeniu jeziora z sufitem jaskini. Ezr obserwował obojętnie, jak grunt powoli zbliża się do niego. Wiedział już, że spadnie na dno jeziora tuż obok zatoki.

Uderzył w dno powoli, niczym we śnie. Woda odbita od twardej powierzchni ruszyła ponownie ku górze, otoczyła go zimnym wachlarzem. Upadł na nogi i pośladki, odbił się i wraz z rozedrganymi kroplami i strumieniami wody wleciał nad skaliste dno. Zewsząd docierało doń metaliczne klaskanie, jednostajny mechaniczny dźwięk. Od brzegu jeziora dzielił go niecały metr. Wyciągnął rękę, prawie udało mu się zatrzymać. Potem uderzył postrzelonym ramieniem w skałę i wszystko zniknęło w obłoku bólu.

Był nieprzytomny tylko przez sekundę, co najwyżej dwie» Kiedy odzyskał świadomość, znajdował się jakieś pięć metrów nad dnem jeziora. Pobliskie kamienie pokrywał mech i glony, wyznaczające dawną linię brzegową zbiornika. A głośnie klaskanie... Spojrzał w dół. Widział setki stabilizujących siłowników, które wypchnęły jezioro z jego łoża.

Ezr wspiął się na kamienny brzeg jeziora. Tylko kilka metrów dzieliło go od chaty... od tego, co zostało z chaty. Z fundamentów wystawały resztki drewnianych ścian. Milion ton wody, nawet poruszającej się bardzo powoli, zmiotło budynek z powierzchni. Tu i ówdzie kołysały się jakieś gruzy osadzone w głębszym rumowisku.

Ezr szedł powoli w górę, zdrową ręką przytrzymując się ruin. Gruba warstwa wody okrywała las i przeciwległą ścianę jaskini. Wciąż przesuwała się i zmieniała kształt. Pod niebem płynęły krople średnicy dziesięciu metrów. Większość tej wody prawdopodobnie spłynęłaby w końcu z powrotem do swego pierwotnego zbiornika, ale arcydzieło Alego Lina zostało już zniszczone.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ezr uświadomił sobie, że świat przed jego oczami zaciera się, ciemnieje. Nie czuł też takiego bólu jak przedtem. Gdzieś w zatopionym lesie tkwił Tomas Nau ze swymi ludźmi, uwięziony pod własnym jeziorem. Ezr przypomniał sobie uczucie triumfu, jakie ogarnęło go, gdy widział ich paniczną ucieczkę między drzewa. *Pham, wygraliśmy.* Ale to nie był ich pierwotny plan. Nau przejrzał ich zamiary, omal obydwóch nie zabił. Być może wcale nie był teraz uwięziony. Gdyby zdołał wydostać się z jaskini, odszukałby Phama albo poleciał do L1-A.

Strach był jednak czymś odległym, nieistotnym. Otaczały go wstążki czerwonej, kleistej wody. Pochylił głowę, by spojrzeć na swoje ramię. Pocisk Marlego roztrzaskał mu łokieć, otworzył tętnicę. Poprzednia rana i wywołany nią ból w pewnym sensie przygotowały go do tego, ale *ja się wykrwawiam.* Właściwie myśl ta powinna wzbudzić w nim paniczny strach, ale teraz pragnął jedynie położyć się na ziemi i chwilę odpocząć. *Wtedy umrzesz, a Tomas Nau może w końcu wygrać.*

Ezr zmusił się do działania. Gdyby tylko powstrzymał krwawienie... Nie mógł jednak w żaden sposób ściągnąć nawet własnej kurtki. Coraz trudniej przychodziło mu zebrać myśli. Świat okrywała szara mgła. *Co mogę zrobić przez te sekundy, które mi jeszcze zostały?* Ponownie podjął wędrówkę przez gruzy, pochylony nisko nad ziemią. Gdyby tylko znalazł stanowisko Naua, jego sprzęt komunikacyjny. *Przynajmniej mógłbym ostrzec Phama.* Nie widział jednak nic prócz sterty gruzów. Drewno wyhodowane przez Fong zostało rozbite na drobne drzazgi.

Spod zgniecionej szafki wystawało nagie białe ramię. Ezr patrzył na nie przez chwilę, bardziej zaskoczony niż przerażony. *Kogo tu zostawiliśmy?* Orno, tak. Ale ta ręka była naga, błyszcząca, bezkrwiście biała. Dotknął martwej dłoni. Zadrzała, owinęła się wokół jego palców. Ach, to wcale nie były zwłoki, lecz jeden z tych ulubionych skafandrów ciśnieniowych Nau». Przez szarą mgłę przebiła się myśl, *może zatrzymać krwawienie.* Pociągnął rękaw skafandra. Przesunął się nieco, utknął na moment, potem wyleciał do góry. Ezr stracił kontakt z podłożem, przez chwilę tańczył ze skafandrem. Wreszcie wsunął lewą rękę do rękawa, a ten otulił ją szczerlnie. Przeciągnął skafander na plecy, potem ułożył luźno prawy rękaw na zranionym ramieniu. Teraz mógł się wykrwawić na śmierć, a nikt nie zauważyłby nawet kropli krwi. *Zaciśnij to mocniej.* Poruszył ramieniem. *Jeszcze mocniej,* prawdziwy opatrunek uciskowy. Sięgnął lewą ręką do rannego ramienia, przeciągnął dłonią po skafandrze, otulając nim rozerwaną kończynę. Specjalna tkanina zareagowała wreszcie, zesztyniała. Słyszał własny jęk. Stracił na moment przytomność, obudził się z głową opartą o grunt.

Teraz jego prawe ramię zostało unieruchomione, skafander ciśnieniowy opinał je z maksymalną siłą. Wierność modzie kosztowała go sporo bólu, ale niewykluczone, że dzięki temu utrzyma się przy życiu.

Napił się przelatującej obok wody i próbował zebrać myśli.

VERNOR VINGE

Nagle gdzieś z góry dobiegło go żalodne miauczenie. Skrzydlaty kot zleciał do niego, usiadł mu na piersi i zdrowym ramieniu. Ezra dotknął dłonią jego drżące ciało.

- Ty też masz kłopoty? - spytał zachrypniętym, skrzekliwym głosem. Kociak spojrział nań swymi wielkimi, czarnymi oczyma i wtulił się głębiej pomiędzy jego ramię i bok. Dziwne. Zazwyczaj chore koty chowały się w jakichś trudno dostępnych zakamarkach; Ali Lin miał z tym sporo problemów, choć wszystkie zwierzaki były przecież monitorowane. Skrzydlaty kot był przemoczony, wyglądał jednak na zdrowego.

- Przyleciałeś mnie pocieszyć, maluszkę? ■

Czuł teraz ciepło drobnego ciała, ciche mruczenie. Uśmiechnął się do siebie; sama obecność innej żywej istoty podniosła go na duchu.

Trzepot skrzydeł. Kolejne dwa koty. Trzy. Zawisły nad nim i miauczały z irytacją, jakby chciały powiedzieć: „Co zrobiłeś z naszym parkiem” albo „Chcemy jeść”. Krążyły wokół niego, ale nie próbowały przegnać kotka, który skrył się pod jego pachą. Potemnajwiększy z nich, kocur zabijaka o poszarpanych uszach, odleciał nieco dalej i usiadł na najwyższym punkcie ruin. Spojrział groźnie na Ezra i zaczął czyścić skrzydła. Sprytnie stworzenie nie było nawet mokre.

Najwyższy punkt w ruinach... diamentowa rura średnicy dwóch metrów, przykryta metalową klapą. Ezra uświadomił sobie nagle, na co patrzy; wejście do tunelu ukrytego w chacie Naua, najprawdopodobniej bezpośrednie połączenie z Ll-A. Podleciał w górę wzgórze do diamentowej kolumny. Kocur wcale nie ruszał się z metalowego wjazdu. Nawet teraz zwierzaki pilnowały tego, co uważały za swoje.

Kontrolki przy zamku świeciły się na zielono.

Ezra spojrział na kocura zabijakę.

- Wiesz, że siedzisz na kluczu do wszystkiego, prawda?

Delikatnie ściągnął najmniejszego kotka ze swego skafandra i odgonił wszystkie od wjazdu. Kłapa otworzyła się bezszelestnie. Czy te małe głuptyasy nie spróbują polecieć za nim? Pomachał im na pożegnanie.

- Pewnie macie ochotę iść ze mną, ale dobrze wam radzę, nie róbcie tego. To może być bardzo bolesne.

Największa sala na Strychu była zastawiona dodatkowymi fotelami; Pham przeciskał się między nimi z najwyższym trudem. Gdy tylko Trud pozbawił fiksatów łączności, sala zamieniła się w istny dom wariatów. Trud uciekał przed wyciągniętymi ku niemu rękami, wycofał się na swoje stanowisko pod sufitem.

- Oni naprawdę nie lubią, żeby odrywać ich od pracy.

Pham nie przypuszczał, że reakcja twarogłowych będzie aż tak gwałtowna. Gdyby nie byli przywiązani do foteli, zaatakowałiby jego i Truda. Spojrział ponownie na Emergenta.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Musiałem to zrobić. To podstawa władzy Naua, a teraz został jej pozbawiony. Przejmujemy całe LI, Trud.

Silipan patrzył nań otepiałym wzrokiem. Przeżył tego dnia już zbyt wiele wstrząsów.

- Całe LI? To niemożliwe... Zabiłeś nas wszystkich, Pham. Zabiłeś mnie. -Trud jakby nieco otrzeźwiał; wyobrażał sobie zapewne, jak po traktują go Nau i Brughel.

Pham położył dłoń na jego ramieniu.

- Nie. Zamierzam wygrać. Jeśli mi się uda, przeżyjesz. Przeżyją też Pajaki.

- Co? -Trud zagryzł wargi. -Tak, bez wsparcia Ritser nie poradzi sobie tak łatwo. Może te przekłete Pajaki będą miały jakieś szanse. - Na moment zapatrzył się w dal, potem powrócił spojrzeniem do twarzy Pha-ma. - Kim ty jesteś, Pham?

Pham odparł spokojnie, wznosząc głos tylko odrobinę ponad wrzaski rozwiścieczonych twarogłowych.

- W tej chwili jestem twoją jedyną nadzieją. -Wyciągnął z kieszeni wyświetlacz, który zabrał wcześniej Silipanowi, i oddał mu go.

Trud rozprostował ostrożnie zgnieciony materiał i nałożył wyświetlacz. Milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Mamy ich więcej. Mogę przynieść ci parę.

Na twarzy Phama pojawił się chytry uśmiech, który Silipan zobaczył tam po raz pierwszy dopiero przed jakimiś dwustoma sekundami.

- W porządku. Ale mam coś lepszego.

. - Och... - odparł słabo Trud.

- Chcę, żebyś oszacował teraz straty. Czy możesz jakoś zmusić tych ludzi do pracy tu i teraz, bez pośrednictwa Naua?

Trud wzruszył gniewnie ramionami.

- Wiesz, że to niemoż... - Spojrzał ponownie na Phama. - No może ja kieś proste zadania. Robimy obliczenia peryferyjne. Spróbuję podejść fiksatów numerycznych...

- Doskonale. Uspokój tych ludzi, sprawdź, czy któryś z nich nam pomoże.

Rozeszli się. Silipan zleciał do twarogłowych, przemawiał do nich uspokajającym tonem, uprzątnął wymiociny, rezultat nagłego wstrząsu, jakim było dla fiksatów przerwanie łączności. Ci jednak krzyczeli jeszcze głośniejsze:

- Potrzebuję aktualnych danych!

- Gdzie są tłumaczenia odpowiedzi Kindred?

- Głupcy, straciliście łączność!

Pham przemyczał się pod sufitem, patrząc w dół, na rzędy fiksatów, słuchając ich narzekań. Pod przeciwległą ścianą wisiało bezwładne ciało Annę i jej asystenta. Powinna wyjść z tego cała i zdrowa. *Teraz toczy się właśnie twoja ostateczna bitwa, wiele lat po tym, gdy myślałaś, że wszystko już stracone.*

VERNORVINGE

Obraz za oczami Phama zniknął i pojawiał się na nowo. Udało mu się ponownie uruchomić zasilanie pulsacyjne w większej części Strychu. Miał dostęp do około stu tysięcy działających lokalizatorów, zapewniających fragmentaryczny widok Strychu, wszędzie tam, gdzie chmura lokalizatorów wróciła do życia i mogła znaleźć nie łączności prowadzącą do niego.

Status, status. Pham przeczytał szybko dane dotyczące fiksatów obecnych na sali i poza nią. Tylko nieliczni pozostali zamknięci w swych celach, specjaliści, których pomoc nie była potrzebna podczas obecnych operacji. Wielu z nich dostało napadu konwulsyjnej złości, kiedy zablokowano strumień ich pracy. Pham przedostał się do systemu kontroli i odebrał niektóre z nadchodzących komunikatów. Musiał dowiedzieć się kilku rzeczy, poza tym mogło to zmniejszyć nieco dyskomfort fiksatów. Trud spojrzął nań z wyrzutem; wiedział, że ktoś manipuluje przy jego systemie.

Pham sięgnął poza Strych, szukając jakiegoś obrazu z lokalizatorów na powierzchni Diamentów. Jest! Jeden czy dwa wyizolowane widoki, czarno-białe, o kiepskiej rozdzielczości. Dostrzegł taksówkę lądującą na nagiej skale, obok Hammerfest. A niech to, śluza S745. Jeśli Nau zdołał się stamtąd jakoś wydostać, jego kolejny krok był oczywisty.

Przez krótką chwilę Pham przeraził się, że oto trafił na niezwykłego przeciwnika. *Ach, czuję się, jakbym znów był młody.* Nau mógł dotrzeć do LI-A za jakieś trzysta sekund. Nie ma czasu na rozmyślania. Pham postanowił wykorzystać wszystkie dostępne lokalizatory - nawet te bez zasilania. Umiejętnie nimi kierując, mógł otrzymać całkiem przyzwoitą ilość 1/0.

Za jego Oczami powoli formowały się obrazy, fragment za fragmentem.

Pham przemykał się pod ścianami, pozostając cały czas poza zasięgiem twarogłowych, uchylając się od czasu do czasu przed klawiaturą czy bańką rzuconą w jego stronę. Lecz przywrócenie strumienia danych przynosiło już pierwsze efekty. W sekcji tłumaczy panował już niemal całkowity spokój, fiksaci rozmawiali tylko ze sobą. Pham zatrzymał się przy Trixii Bonsol. Pochylona nad klawiaturą wydawała się czymś bez reszty pochłonięta. Pham podłączył się do strumienia danych napływających z „Niewidzialnej ręki”. Powinien znaleźć tu jakieś dobre wieści. Ritser i jego kompania zostali pozbawieni wsparcia w chwili, gdy szykowali się masowego morderstwa...

Potrzebował kilku sekund, by zorientować się w strumieniu różnorodnych danych. Były tam informacje dla tłumaczy, opisy trajektorii, kody wyrzutni. *Kody wyrzutni?* Brughel nadal realizował plan Naua! Nie radził sobie z tym jednak najlepiej; spora część broni Akord miała pozostać nienaruszona. Kolejne pociski wzbijały się w niebo, co najmniej kilkanaście na sekundę.

Przez moment Pham nie mógł się otrząsnąć z przerażenia. Nau chciał zabić połowę mieszkańców planety. Ritser robił co w jego mocy, by osiągnąć ten cel. Pham przejrzał logTrixii Bonsol z ostatnich kilkuset sekund.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

W miejscu, gdzie odcięto jej strumień danych, log zamieniał się w istny śmietnik, metaforyczny bełkot. Całe strony zapisane były jakimiś nonsensami, niektóre pliki mogły pochodzić nawet sprzed wielu lat. Uwagę Phama przyciągnął fragment, który wydawał się całkiem sensowny:

„Twierdzenie, że świat jest najprzyjemniejszy w latach Gasnącego Słońca, to wyświechtany frazes. Lecz rzeczywiście pogoda jest wtedy łagodniejsza niż zwykle, wszystko toczy się jakby w wolniejszym tempie, w większości miejsc lata nie są bardzo gorące, a zimy nie nazbyt surowe. To klasyczny czas romansów. To czas, kiedy natura namawia wszystkich do odpoczynku, do uspokojenia. To ostatnia szansa, by przygotować się do końca świata.

Ślepym zrządzeniem losu Sherkaner Underhill wybrał najpiękniejsze dni Lat Gaśnięcia na swą pierwszą podróż do siedziby Dowództwa Lądowego”.

Był to najwyraźniej jeden z przekładów Trixie, rodzaj „uczłowieczonego” opisu, które tak bardzo irytowały Ritsera Brughla. Ale „pierwsza podróż Underhilla do Dowództwa Lądowego”? To musiało być jeszcze przed ostatnią Ciemnością. Dziwne, że Tomas Nau sięgał aż tak daleko w przeszłość.

- Wszystko się pogmatwało.

- Co? - Pham powrócił do rzeczywistości, do sali na Strychu, zirytowanych głosów fiksatów. Słowa, które wyrwały go z zamyślenia, zostały wypowiedziane przez Trixię Bonsol. Jej spojrzenie wbite było gdzieś w dal, a palce nadal uderzały w klawiaturę.

Pham westchnął ciężko.

- Tak, masz rację - odpowiedział. Nie wiedział, o czym właściwie mówiła Bonsol, jej komentarz jednak doskonale pasował do obecnej sytuacji.

Synteza pozbawionych zasilania lokalizatorów została zakończona; miał już widok na LI-A. Gdyby tylko udało mu się poprawić nieco łączność, dosięgnąłby silników w pobliżu LI-A. Moc przetwarzania nie wzrosłaby znacznie, ale to miejsce przyłączone było do sieci zasilania silników stabilizujących... i co ważniejsze - *moglibyśmy wykorzystać same silniki!* Gdyby tylko udało się skierować kilka z nich na grupmistrza...

- Trud! Udało ci się zrobić coś z numerycznymi?

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Helikopter Rachnera Thracta bez najmniejszych problemów wznosił się ponad przechylone lądowisko. Silnik i śmigła pracowały równo, bez zakłóceń. Odwracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, Thract mógł obserwować teren. Leciał na wschód wzdłuż ściany kra-

VERNOR VINGE

teru. Przed nimi ciągnęły się dymiące kratery, linia zniszczenia nikinąca za szczytem przeciwległej ściany. W mieście poniżej płonęły światła alarmowe, karetki i wozy służb ratowniczych zmierzały w stronę lejów znaczących miejsca, w których jeszcze przed chwilą wznosiły się domy mieszkalne.

Underhill, który siedział na grzędzie za Rachnerem, starał się wyciągnąć coś z toreb przmocowanych do grzbietu robaka przewodnika. Zwierzę próbowało mu pomóc, było jednak w znacznie gorszym stanie niż jego pan.

- Muszę coś zobaczyć, Rachner. Pomoże mi pan?
- Chwileczkę, profesorze. Dolecimy tylko do lotniska.

Underhill podniósł się lekko na swojej grzędzie.

- Niech pan włączy automatycznego pilota, pułkowniku. Proszę, mu si mi pan pomóc.

W helikopterze Thracta kryły się dziesiątki wbudowanych na stałe procesorów, połączonych z kontrolą powietrzną i sieciami informacyjnymi. Kiedyś był bardzo dumny z tego urządzenia. Nie używał automatyki od czasu ostatniego spotkania w Dowództwie Lądowym.

- Profesorze... nie ufam automatyce.

Underhill roześmiał się cicho, śmiech jednak szybko zamienił się w wilgotny kaszel.

- Rozumiem, Rach. Proszę, muszę wiedzieć, co się dzieje. Pomóż mi.

Tak! Na Ciemność, jakie to teraz miało znaczenie! Rachner wbił cztery ręce w gniazdka kontrolne i uruchomił automatycznego pilota. Potem odwrócił się do swych pasażerów i szybko rozsunął torbę na zmasakrowanym grzbiecie Mobiya.

Underhill sięgnął do środka i wyjął jakiś przedmiot z takim namaszczeniem, jakby były to klejnoty rodziny królewskiej. Rachner odwrócił głowę, by przyjrzeć się temu lepiej. Co... do diabła, to był hełm do gier komputerowych!

- Uff, chyba nic mu się nie stało - powiedział Underhill cicho. Za czął nakładać hełm na oczy, ale syknął z bólu i przestał. Rachner widział dlaczego; na oczach kobera pełno było pęcherzy. Lecz Underhill się nie poddawał. Przytrzymał hełm tuż nad głową, po czym włączył zasilanie.

Spod hełmu wytrysnęły nagle smugi jasnego światła. Rachner cofnął się odruchowo. Kabina helikoptera wypełniła się tysiącami barw, kolorowe promienie migotały bez ustanku, zmieniały odcienie, nikły, to znów pojawiały się w innych miejscach. Thract przypomniał sobie plotki o szalonym hobby Underhilla, wideomancji. Więc to wszystko było prawdą; ten „hełm do gier” musiał kosztować fortunę.

Underhill mruczał coś do siebie, co chwilę przesunął hełm, jakby chciał spojrzeć na kolejne jego fragmenty zdrowymi częściami oczu. Tyle że zdaniem Rachnera nie było tu na co patrzeć, piękny, hipnotyzujący spektakl świetlny nie miał żadnego sensu, nie przekazywał żadnej infor-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

macji. Sherkaner Underhill wyglądał jednak na zadowolonego. Patrzył i patrzył, głaszcząc wolną ręką robaka.

- Ach... rozumiem - powiedział cicho.

Turbiny helikoptera nagle zawyły, a wskaźnik obrotomierza przesunął się na czerwone pole. Silnik mógł to wytrzymać nie dłużej niż godzinę, najwyżej dwie. Dlatego właśnie żaden rozsądny pilot nie pozwoliłby sobie na coś podobnego.

- Co do diabła... - Słowa uwięzły Rachnerowi w gardle, kiedy obroty dotarły do płatów śmigła i zakreśliły nimi gwałtownie. Helikopter nagle oszalał, zaczął wznosić się coraz wyżej i wyżej ponad krawędź kaldery.

Turbiny zwolniły na chwilę, kiedy helikopter przeleciał nad szczytem, wzbil się na wysokość pięciuset, tysiąca stóp ponad płaskowyżem. Rachner spojrzął w dół, na ziemię. Pojedyncze zniszczenia, które widział w Calorice, były tylko częścią większej sieci. Na południu i zachodzie ciągnęły się setki dymiących kraterów. *Wyrzutnie antyrakietowe*. Ale obcy chybili! Z podziemnych silosów na płaskowyżu startowały kolejne fale pocisków przechwytyjących. Setki rakiet, szybkich i smukłych niczym pociski artyleryjskie - tyle że te od celu dzieliły jeszcze dziesiątki mil. Płomienie silników odrzutowych pchały w górę ładunki, które miały powstrzymać atak wroga. Było to zdumiewające i wspaniałe widowisko, nieporównywalne ze wszystkimi symulacjami, które przedstawiała dotąd Obrona Powietrzna. Oznaczało to także, że Kindred rzuciło do walki cały swój arsenał.

Sherkaner Underhill jakby tego nie widział. Poruszał głową do tyłu i do przodu, obserwując świetlny spektakl w swym helmie.

- Musimy się jakoś połączyć. Musimy. - Jego ręce poruszały kontrolkami na konsoli do gier. Mijały sekundy.

- Wszystko się pogmatwało - wyjęczał.

Trud zostawił swoich fiksatów numerycznych i dołączył do Phama Trinlego, który obserwował pracę tłumaczy.

- Z numerycznymi jakoś sobie poradzę, Pham. To znaczy, mogę wyciągnąć od nich odpowiedzi. Ale co do kontroli...

Trinli skinął tylko głową, jakby wcale go nie słuchał. *Trinli wygląda dzisiaj zupełnie inaczej. Znam go od tylu lat, a teraz jest zupełnie innym człowiekiem*. Stary Pham Trinli był głośnym, aroganckim hulaką, z którym można było pogadać i pożartować. Ten Pham był małomówny i śmiertelnie groźny. *Dla nas wszystkich*. Trud zerknął mimowolnie na ciało Annę Reynolt zawieszoną na ścianie niczym kawał mięsa. Nawet gdyby zdołał w jakiś sposób przechrzyć Phama, prawdopodobnie i tak by go to nie uratowało. Nau i Brughel byli grupmistrzami, a Trud wiedział, że nie może już liczyć na ich przebaczenie.

- ...jeszcze szansę, Trud - dotarł do niego głos Phama. - Może udałoby się nam rozkręcić to trochę bardziej, oszukać fiksatów i wciągnąć ich do...

VERNORVINGE

Silipan wzruszył ramionami. Nie żeby miało to dla niego jakieś znaczenie, ale...

- Zrób to, a grupmistrz zaraz nas dopadnie. Dostaję od Naua i Brughla pięćdziesiąt zleceń na sekundę.

Pham potarł skronie i zamyślił się głęboko.

- Tak, rozumiem, o czym mówisz. Dobrze. Więc co mamy? Kwatery...

- Ludzie u Benny'ego są zdezorientowani, Lepiej, żeby zostali tam, gdzie są. - A później grupmistrz nie będzie miał powodów, by się na nich mścić.

Jedna z fiksatów - Bonsol - przerwała im nagle, wypowiadając, zwyczajem twarogłowych, uwagę zupełnie niezwiązaną z tematem rozmowy.

- Na planecie są miliony ludzi. Za kilkadziesiąt sekund zaczną umierać.

Pham wyraźnie przejął się tymi słowami. Nawet ten nowy PhamTrin-li był pełnym amatorem, gdy chodziło o kontakty z twarogłowymi.

- Tak - powiedział, bardziej do siebie niż do Silipana czy Bonsol. - Ale Pajaki mają przynajmniej jakieś szanse. Bez naszych fiksatów Ritser nie może już zniszczyć całej planety. - Oczywiście Bonsol zignorowała tę odpowiedź i nadal pisała coś na swojej klawiaturze.

Trinli zwrócił się ponownie do Silipana.

- Posłuchaj, Nau jest w taksówce, leci do LI-A. Na tym terenie pełno jest silników stabilizujących. Gdybyśmy tylko namówili kilku fiksatów, żeby się nimi zajęli...

Trud czuł, jak ogarnia go ogromny gniew. Pham Trinli nadal był głupcem.

- A niech cię Plaga weźmie! Po prostu nie rozumiesz lojalności twarogłowych! Musimy...

Bonsol znów im przerwała.

- Ritser nie może zniszczyć planety, ale my nie możemy też go powstrzymać. - Roześmiała się cicho. - Co za intrygująca sytuacja. Utknęliśmy w martwym punkcie.

Trud dał mu znak, by wrócili pod sufit i nie słuchali już więcej idiotycznych komentarzy fiksata.

- Oni tak mogą nawijać bez końca.

Ale Pham odwrócił się do Bonsol, poświęcając jej nagle całą swoją uwagę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał cicho.

- Do diabła z tym, Pham! Jakże to ma znaczenie! - Trinli podniósł jednak rękę, nakazując mu milczeć. W tym geście kryła się ogromna pewność, autorytet starszego grupmistrza - a słowa protestu zamarzyły Silipanowi na ustach. Ogarniał go coraz większy strach. Koniec z cudami. Jeśli mieli jakiegokolwiek szanse, by powstrzymać Naua przed wejściem do LI-A, to właśnie bezpowrotnie je tracili. A Silipan wiedział, co mieści się w LI-A. O tak. Przejmując arsenał, grupmistrz odzyska władzę absolutną. Zegar w rogu pola wi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

dzenia Truda bezlitośnie odliczał kolejne sekundy, te nieliczne sekundy życia, które mu jeszcze zostały. Oczywiście twarogłowa wcale nie zwracała uwagi na Phama, a tym bardziej na jego pytanie.

Cisza przeciągała się przez kolejne sekundy, dziesięć, może piętnaście. Nagle Bonsol podniosła głowę i spojrzała Phamowi prosto w oczy -fiksaci robili to tylko wtedy, gdy grali rolę kogoś innego.

- To znaczy, że wy blokujecie nas, a my was - powiedziała. - Moja Victory myślała, że wszyscy jesteście potworami, że nie możemy zaufać ni komu z was. Teraz wszyscy płacimy za ten błąd.

Były to typowe bzdury fiksatów, może nieco bardziej składne niż zazwyczaj. Pham jednak przysunął się bliżej do krzesła Bonsol. Wpatrywał się w nią, rozchyliwszy lekko usta, jakby oniemiały ze zdumienia, człowiek, którego świat rozleciał się właśnie na drobne kawałki i który stoi na skraju szaleństwa. A kiedy wreszcie przemówił, jego słowa także były szalone.

- Ja... większość nas nie jest potworami. Gdybyśmy przerwali jakoś ten impas, moglibyście zająć się wszystkim? A potem... potem zdani by libyśmy na waszą łaskę. Możemy wam zaufać?

Bonsol odwróciła wzrok. Milczała, a jej dłonie stukwały w klawiaturę. Znow mijały sekundy cizy, ale tym razem Silipan zaczynał domyślać się niesamowitej prawdy. Nie.

Dokładnie po dziesięciu sekundach Trixia Bonsol przemówiła:

- Jeśli przywrócicie pełny dostęp, możemy kontrolować najważniejsze rzeczy. Przynajmniej taki był plan. Co do zaufania... -Twar? Bonsol wykrzywiła się w dziwnym uśmiechu, drwiącym i smutnym jednocześnie. - Cóż, wy znacie nas znacznie lepiej niż my was. Sami musicie wybrać swoje potwory.

- Tak - odparł Pham. Potarł skronie i skrzywił się lekko, ujrawszy coś niewidocznego dla Truda. Odwrócił się do niego, a na jego twarzy znow zagościł drapieżny uśmiech kogoś, kto ryzykuje wszystko - i spodziewa się wygranej.

- Przywracamy pełną łączność, Trud. Czas dać Nau i Brughlowi wsparcie fiksatów, na które zasługują.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Nau przyglądał się ukradkiem Qiwi, kiedy ta sprowadzała taksówkę na ziemię; przed nimi wznosiły się hałdy śniegu zakrywające wejście do LI-A. Korzystając jedynie z automatyki na pokładzie taksówki, Qiwi znalazła służę, otworzyła włącz i uratowała ich - wszystko w ciągu kilkuset sekund. Gdyby tylko wytrzymała jeszcze kilkaset sekund, mógłby być niemal pewny zwycięstwa. Jeśli tylko wytrzyma jeszcze kilkaset sekund... Widział, jak patrzy na swego ojca. Widok Alego przybliżał ją jakoś do zro-

VERNORVINGE

zumienia. *Plaga! Sprowadź nas bezpiecznie na dół, tylko o to cię proszę.* Potem będzie mógł ją zabić.

Marli podniósł wzrok znad konsoli. Jego twarz wyrażała ulgę i zdumienie.

- Grupmistrz! Dostaję potwierdzenia z kanałów twarogłowych. Za kilka sekund powinniśmy mieć pełną automatykę.

- Ach. - Wreszcie jakieś dobre wieści. Teraz mógł ograniczyć zniszczenia konieczne do odzyskania kontroli. *Tyle że walczysz z Phamem Nuwenem i niemal wszystko jest możliwe.* To mogła być jakaś niewiarygodna maskarada. - Doskonale, grupkapralu. Na razie jednak nie korzystaj z automatyki.

- Tak jest. - Marli wydawał się jeszcze bardziej zdumiony niż przed chwilą.

Nau wyrzwał przez okno taksówki. Dawno już nie patrzył na to miejsce bez pośrednictwa automatyki. Wejście do L1-A znajdowało się jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, ukryte głęboko w cieniu. Dziwne... krawędź metalu świeciła na czerwono. *Ale ja nie mam wyświetlacza.*

- Qiwi...

- Widzę. Ktoś do...

Głośny trzask przerwał jej w pół słowa. Marli krzyknął przeraźliwie. Płonęły jego włosy. Kadłub obok jego fotela zarzył się na czerwono.

- Cholera! - Qiwi poderwała taksówkę do góry. - Oni wykorzystują moje silniki! - Obróciła taksówkę w miejscu, podrywając ją-jednocześnie gwałtownie do przodu. Nau czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. *Mc nie powinno tak latać.*

Blask na władze L1-A, uszkodzony kadłub - nieprzyjacieli wykorzystywał zapewne wszystkie pobliskie silniki. Każdy z osobna nie stanowił większego zagrożenia. Nuwen zdołał jednak jakoś kierować kilka jednocześnie dokładnie w ten sam punkt.

Marli wciąż krzyczał. Manewr Qiwi zawiesił Naua w pasach, potem posadził go ponownie na fotelu. Widział, że grupkapral znalazł się w ramionach swych kolegów. Przynajmniej już się nie palił. Pozostali strażnicy patrzyli nań szeroko otwartymi oczyma.

- Promieniowanie - powiedział jeden z nich. Strumień elektronów mógł zabić ich wszystkich. Tym jednak mógł zająć się później, kiedy upo ra się już z bezpośrednim zagrożeniem.

Wciąż wyczyniając taksówką szalone ewolucje, Qiwi zbliżyła się do powierzchni Diamentu Pierwszego. Taksówka skręcała się w kolejnej nieprawdopodobnej akrobacji. Nieprzyjacieli z pewnością nie mógł trzymać silników w jednym miejscu. A jednak po każdym manewrze blask na ścianie stawał się coraz silniejszy. *Mech to Plaga.* W jakiś niepojęty sposób Nuwen wykorzystywał automatykę przeciw niemu.

Dziób, a potem tył taksówki uderzyły o grunt, wzbijając obłok śniegu. Kadłub zajączkał na całej długości, ale wytrzymał. Teraz, poprzez kłęby śniegu, Nau widział promienie silników. Lód i powietrze na ich drodze

OTCHŁAŃ W NIEBIE

rozpalały się gwałtownie. Pięć wiązek, może dziesięć, niektóre odpadały i zbliżały się ponownie przy obrotach taksówki, kilka jednak nie odrywało się od kadłuba.

Obłok śniegu i powietrza wokół taksówki gęstniał z każdą chwilą. Rozzorzony krąg na kadłubie zaczął przygasać, gdy opadające substancje lotne rozpraszały mordercze promienie silników. Qiwi ustabilizowała taksówkę czterema precyzyjnymi manewrami, pchając ją jednocześnie w stronę wejścia do LI-A.

Nau widział, jak właz zbliża się do nich z zawrotną prędkością. Wydawało się, że nie unikną zderzenia, ale Qiwi panowała nad sytuacją. W ostatniej chwili poderwała taksówkę, wciskając kołnierz dokujący w pierścień śluzu. Rozległ się zgrzyt gniecionej metalu i taksówka zniechęmiała.

Qiwi wcisnęła kontrolkę otwierającą właz, po czym wyskoczyła z fotela i skierowała się do przedniego wyjścia.

- Właz się zaciął, Tomas! Pomóż mi!

Zatem utknęli w uszkodzonej taksówce, zamknięci niczym psy w siatce hycła. Tomas rzucił się do przodu, zapał nogami o ścianę i wraz z Qi-wi pociągnął za właz. Był zablokowany. Nie do końca. Razem udało im się go lekko uchylić. Tomas wyleciał na zewnątrz pierwszy, stracił kilka sekund na otwarcie zamków przy wejściu do LI-A. *Udało się!*

Spojrzał ponad głowę Qiwi na kadłub, który zostawili za sobą. Czerwony punkt wyglądał teraz jak oko byka, krąg czerwieni, krąg żółci i gorąca biel pośrodku. Zupełnie jakby stał przed otwartym piecem.

Biały krąg pośrodku wyrzusił się na zewnątrz i zniknął. Dokoła rozległ się szum uchodzącej atmosfery.

* * *

Odkąd Victory Lighthill przejęła Centrum Dowodzenia i Kontroli, na sali panowała niemal absolutna cisza. Technicy zostali odsunięci od swoich stanowisk i spędzeni wraz oficerami w jedno miejsce. Jak robaki w rzeźni, pomyślała Belga. Ale to nie miało już znaczenia. Mapa sytuacyjna pokazywała, że większość świata zostanie zaraz zniszczona.

Przez kontynent sunęły linie znaczące tysiące pocisków Kindred, z każdą chwilą pokazywały się nowe. Kręgi określające cel uderzenia opasywały wszystkie bazy wojskowe Akord, wszystkie miasta, nawet otchłanie tradycjonalistów.

A dziwne pociski Akord, które pokazały się tuż po przybyciu Lighthill, zniknęły z mapy. Kłamstwa nikomu już niepotrzebne.

Victory Lighthill przechadzała się wzdłuż rzędu grzęd i przyglądała pracy swych techników. Wydawało się, że zapomniała o Underville i pozostałych. Co dziwne, wyglądała na równie przerażoną i zatroskaną jak prawnicy właściciele Centrum. Podeszła do swego brata, który zabawiał się hełmem do gier komputerowych.

VERNORVINGE

- Brent?
- Kapral jęknął cicho.
- Przykro mi. Calorica nadal milczy. Sios... boję się, że trafili tatę.
- Ale jak? Przecież nie mogli o niczym wiedzieć!
- Nie wiem. Rozmawiają tylko ci z niższych poziomów, a oni niewiele wiedzą. Myślę, że to zdarzyło się już chwilę temu, kiedy straciliśmy kontakt z Wysoką Grzędą... - Przerwał, kontaktując się ze swoją grą. Spod hełmu wylały się strumienie kolorowego, migotliwego światła. - Jest! Słuchaj!
- Lighthill podniosła słuchawkę do głowy.
- Tato! - Uradowana niczym dzieciak, który wrócił właśnie ze szkoły.
- Gdzie...? - Jej ręce pożywiające złączyły się w geście zdumienia. Umilkła, słuchając najwyraźniej jakiejś dłuższej przemowy. Ale jednocześnie niemal podskakiwała w miejscu z podniecenia, a jej renegaci nagle rzucili się do pracy przy swych konsolach.
- Kopiujemy wszystko, tato. Przej... - umilkła, przyglądając się przez moment swym technikom - ...przejmujemy kontrolę, jak powiedziałaś. Myślę, że możemy to zrobić, ale na miłość boską, podlec trochę bliżej. Dwadzieścia sekund to za długo. Potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek! - Potem zwróciła się do swoich techników: - Rhapsa, skup się tylko na tych, których nie możemy przechwycić z góry. Birbop, ustal tę trasę...
- A na mapie sytuacyjnej... wyrzutnie na Wysokiej Ekwatorii nagle ożyły. Mapa ukazywała kolorowe ślady dziesiątek, setek pocisków przechwytyjących, które zmierzały na spotkanie wroga. Kolejne kłamstwa? Belga spojrzała na uradowane oblicza Lighthill i pozostałych intruzów i poczuła, że do jej serca wraca nadzieja.
- Do pierwszych kontaktów zostało jeszcze pół minuty. Belga widziała wcześniej podobne symulacje. Widziała też, że co najmniej pięć procent pocisków dotrze do celu. Zginie sto razy więcej ludzi niż podczas Wielkiej Wojny, ale przynajmniej nie będzie to totalna zagłada... Na mapie działy się jednak dziwne rzeczy. Niektóre ze znaczków oznaczających pociski nieprzyjaciela zniknęły.
- Lighthill wskazała ręką na monitory i po raz pierwszy od chwili przejęcia przemówiła do Underville i pozostałych:
- Niektóre pociski Kindred mają opcję samozniszczenia. Stosujemy ją tam, gdzie tylko to możliwe. Część możemy zaatakować z góry. - *Z góry?* Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cała północna część fali uderzeniowej zniknęła z mapy. Lighthill odwróciła się do oficerów i stanęła na baczność.
- Panie generale, panowie. Wasi ludzie z pewnością lepiej poradzą sobie z naprowadzaniem pocisków przechwytyjących. Gdybyśmy mogli skoordynować...
- Oczywiście! - wyrzekli chórem Dugway i Coldhaven. Technicy rzu-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ciii się do swoich miejsc. Stracili kilka cennych sekund na uaktualnienie listy celów, potem pierwsze z pocisków dosięgły raket Kindred.

- Pozytywny Impuls EM! - krzyknął jeden z techników Obrony Po wietrznej. To potwierdzenie wydawało się bardziej rzeczywiste niż cała reszta.

Generał Coldhaven wyciągnął rękę do Lighthill w geście przypominającym salut.

- Dziękuję panu - powiedziała cicho Lighthill. - Nie tak wyglądał pierwotny plan szefowej, ale myślę, że jakoś sobie poradzimy... Brent, sprawdź, czy możesz nanieść na mapę rzeczywistą sytuację.

Na tablicy pojawiły się setki nowych znaczków. Nie były to jednak pociski. Belga znał symbole dość dobrze, by rozpoznać satelity. Niektóre obszary danych zniknęły, inne zawierały jakieś nonsensowne informacje. Od północnej krawędzi mapy przesuwiał się dziwny prostokąt. Pulsował od modyfikatorów. Generał Dugway syknął:

- To nie może być prawda. Tuzin modyfikatorów rozmiaru. To coś musiałyby mieć tysiąc stóp długości.

- Tak jest - przytaknęła porucznik Lighthill. - Standardowe programy nie mogą sobie z tym poradzić. Ten pojazd ma prawie dwa tysiące stóp długości. - Wydawało się, że nie zauważyła reakcji Dugwaya. Jeszcze przez moment patrzyła na prostokątny symbol. - A jego żywot dobiega właśnie końca.

„Ritser Brughel był z siebie

ogromnie zadowolony.

- Świetnie sobie poradziliśmy nawet bez ludzi Reynolt. - Wicegrupmistrz podniósł się ze swojego fotela i zawisł obok zarządcy pilotów. - Może zrzuciliśmy trochę więcej bomb, niż było trzeba, ale dzięki temu nadrobiliśmy to, co spartaczyłeś przy wyrzutniach antyrakietowych, co? - Poklepał Xina po ramieniu w poufałym geście. Jau zrozumiał, że jego drobny sabotaż został wykryty.

- Tak jest - zdołał tylko wykrztusić. Powierzchnia planety migotała złotą siecią światła, większe obszary blasku znaczyły miasta, które nazwali Princeton, Valdemon, Mountroyal. Może Pajaki nie były istotami, które wyobrażała sobie Rita, może stanowiły tylko wymysł tłumaczy. Lecz bez względu na to, jak wyglądała prawda, wszystkie te miasta miały za chwilę zniknąć z powierzchni planety.

- Grupmistrz - dobiegł z głośników głos Bila Phuonga. - Mam połączenie z ludźmi Annę. Za kilka sekund będziemy mieli pełną automa tykę.

- Ha. W sam czas. - W głosie Ritsera Brughla zabrzmiała ulga. Jau wyczuł wibracje kadłuba. Jeszcze raz. I znowu. Brughel pode rwał głowę, spojrzał na monitor.

- To dźwięki jakby naszych laserów bojowych, ale...

Jau sprawdził szybko listy stanu. Pokład zbrojeniowy był czysty.

VERNOR VINGE

- Moi piloci nie uruchamiali laserów, grupmistrzu.
- Znów seria drgań. Przelecieli nad wielkimi miastami, zmierzali na północ, ponad pojedynczymi światłami rozszanymi z rzadka na ogromnym obszarze czerni, zamrożonej ziemi. Nie było tu żywej duszy, ale za nimi.... Niebo rozpały trzy czerwone promienie, które po chwili zaczęły przygasać i rozproszyły się... Tak wyglądają wiązki laserów bojowych w wyższych warstwach atmosfery.
- Phuong! Co tam się dzieje, do diabła?!
- Nic, grupmistrzu! To znaczy... - Jakies szezesty, Phuong przemieszczający się pomiędzy fiksatami. -Twardogłowi pracują nad aktualnymi listami celów z LI.
- Tak, tyle że te listy nie mają nic wspólnego z moimi! Rusz głową, człowieku! - Brughel zamknął połączenie i odwrócił się do swojego zarządcy pilotów. Na jego bladej twarzy znów pojawił się rumieniec gniewu. -Wystrzeżać by tych wszystkich fiksatów i sprowadzić nowych! - Spojrzał gniewnie na Jau. - A ty jaki masz problem?
- Ja... może to nic ważnego, ale coś nas oświetla od dołu.
- Hm... - Brughel zerknął na monitory. -Tak. Radary naziemne. Ale to się powtarza przy każdym okrą... och...
Xin skinął głową.
- Ten kontakt trwa już od piętnastu sekund. Wygląda na to, że nas prowadzą.
- To niemożliwe. Przecież my kontrolujemy sieć Pająków. - Brughel przygryzł wargę. - Chyba że Phuong całkiem spieprzył łączność z LI.
Światła radaru przygasły na moment... a potem powróciły, jaśniejsze, skupione.
- To lasery namierzające!
- Brughel wzdygnął się, jakby ujrzał nagle jakieś odrażające stworzenie.
- Xin. Przejmij kontrolę. Główny silnik, jeśli to pomoże. Zabierz nas stąd.
- Tak jest. - Na dalekiej północy znajdowało się niewiele wyrzutni, lecz ukryte w nich rakiety z pewnością zostały uzbrojone w głowice atomowe. Nawet pojedyncze trafienie mogło poważnie uszkodzić „Rękę”. Jau sięgnął do konsoli, by odłączyć swoich pilotów...
...a mostek wypełnił pomruk pomocniczych silników sterujących.
- To nie ja!
- Brughel patrzył prosto na niego, kiedy ktoś uruchomił silniki. Skinął głową.
- Skontaktuj się ze swoimi pilotami. Przejmij kontrolę! - Odepchnął się od fotela Jau i wskazał swym strażnikom tylne wyjście. - Phuong!
- Jau miotał się nad konsolą, wykrzykiwał raz za razem komendy. Widział rozproszone dane, nie miał jednak żadnej odpowiedzi od swoich pilotów. Horyzont przechylił się lekko. Silniki sterujące „Ręki” pracowały

OTCHŁAŃ W NIEBIE

pełną mocą, lecz to nie Jau nimi sterował. Powoli, powoli, okręt przechylał się dziobem do dołu. Nadal brak odpowiedzi od pilotów, ale... Jau zauważył, że powoli podnosi się poziom mocy.

- Ruszył główny silnik! Nie mogę tego zatrzymać...

Brughel i jego ludzie rzucili się do uchwytów. Wibracje głównego silnika były coraz wyraźniejsze, przenikały zęby i kości. Powoli wzrastało przyspieszenie. Pięćdziesiąt milig. Sto. Luźne przedmioty leciały coraz szybciej w stronę rufy, kręcąc się i odbijając od przeszkód. Trzysta milig. Wielka, miękka pięść przycisnęła Jau do jego fotela. Jeden ze strażników znajdował się na otwartej przestrzeni, nie miał się czego uchwycić. Przeleciał teraz obok niego i uderzył w przeciwną ścianę. Pięćset milig. Jau obrócił się w swej uprzęży, spojrzął do tyłu na Brughla i innych. Wszyscy trzymali się kurczowo uchwytów, uwięzieni przez coraz większe przeciążenie...

I wtedy silnik ucichł, Jau podleciał w górę, napinając pasy uprzęży. Brughel krzyczał na swoich strażników, zbierał ich w jednym miejscu. Gdzieś w zamieszaniu zgubił wyświetlacz.

- Stan, panie Xin!

Jau patrzył przez chwilę na monitory. Chaotyczny strumień danych nadal nie pozwalał mu ocenić aktualnej sytuacji. Spojrzął do przodu, na widok rozciągający się przed dziobem „Ręki”. Przelecieli przez wschód słońca. Oświetlona bladym blaskiem OnOff ciągnęła się po sam horyzont. Ale nie to było istotne. Sam horyzont wydawał się nieco inny. *Me jest to klasyczny ciąg deorbitalny, ale powinien wystarczyć.* Jau obliznął wargi.

- Grupmistrzu, za sto, dwieście sekund będziemy mieli poważne kłopoty.

Brughel nie potrafił ukryć przerażenia*

- Masz nas zabrać z powrotem na górę, jasne, panie Xin?

- Tak jest. - Co innego mógł powiedzieć? Brughel i jego ludzie przelecieli do tylnego włazu.

- Grupmistrzu, mam transmisję audio z LI - odezwał się Phuong.

- Dobrze, puszczaj.

Był to głos kobiety, Trixie Bonsol.

- Pozdrowienia dla ludzi na pokładzie „Niewidzialnej ręki”. Mówi porucznik Victory Lighthill ze służb wywiadowczych Akord. Przejęliśmy kontrolę nad waszym okrętem. Wkrótce wylądujecie na ziemi. Nasze siły pojawią się tam dopiero za jakiś czas. Nie stawiajcie oporu tym siłom, powtarzam, nie stawiajcie im oporu.

Przez chwilę na mostku panowała absolutna cisza. Bonsol nie powiedziała już nic więcej. Brughel pierwszy doszedł do siebie i przemówił lekko drżącym głosem:

- Phuong. Przerwij łączność z LI. Wszystkie protokoły.

- Grupmistrzu, ja... nie mogę tego zrobić. Kiedy już raz...

- Owszem, możesz. Użyj siły. Rozbij sprzęt kawałkiem rury, ale rozłącz się.

VERNORVINGE

- Grupmistrzu. Nawet bez miejscowych fiksatów... Myślę, że LI ma inne drogi dostępu.

- Ja się tym zajmę. Idziemy na dół.

Strażnik, który zatrzymał się przy włączu, spojrzął ze strachem na BrugWa.

- Nie chce się otworzyć.

- Phuong!

Brak odpowiedzi.

Brughel doskoczył do ściany przy włączu, zaczął walić pięścią w bezpośredni otwieracz. Równie dobrze mógłby uderzać w skałę. Po chwili grupmistrz odwrócił się od wyjścia. Jego twarz nie była już czerwona, lecz śmiertelnie blada, w oczach płonęło szaleństwo. Trzymał w dłoni karabin i rozglądał się po mostku, jakby szukając celu. Jego spojrzenie spoczęło na Xinie. Lufa pistoletu uniosła się wyżej.

- Grupmistrzu, mam chyba kontakt z jednym z moich pilotów. - Było to wierutne kłamstwo, ale bez wyświetlacza Brughel nie mógł o tym wiedzieć.

- Tak? - Lufa przesunęła się nieco w bok. - Dobrze. Zajmij się tym, Xin. Tu chodzi też o twoją głowę.

Jau odwrócił się i zaczął manipulować bezużytecznymi kontrolkami.

Tymczasem za jego plecami trwały gorączkowe poszukiwania jakiegoś sposobu na otwarcie włączu, zakończone serią z karabinu. W powietrzu unosiły się nadpalone kawałki przewodów.

- Cholera, to nic nie da - powiedział Brughel. Rozległ się trzask otwieranej szafki, lecz Jau nie podnosił głowy, udając, że jest ogromnie zajęty. - Spróbujcie tego. - Po chwili kabinę wypełnił ogłuszający huk. *Boże!* Brughel trzymał na mostku okrętu kosmicznego materiały wybuchowe?

Poprzez szum wywołany hukiem detonacji dotarły doń triumfalne okrzyki i głos Brughla:

- Wychodzimy, szybciej, szybciej!

Jau przekreślił lekko głowę, zerknął na mostek. Na środku zamkniętego włączu widniała wielka, poszarpana dziura. Wciąż wylatywały z niej fragmenty metalu i jakieś inne śmieci.

Jau został więc sam na mostku „Ręki”. Odetchnął głęboko i spojrzął na monitory, próbując ocenić aktualną sytuację okrętu. Ritser Brughel miał rację w jednej kwestii. Jau musiał ratować także własną skórę.

Poziom mocy nadal był wysoki. Jau spojrzął na horyzont. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. „Ręka” opadła, na wysokość osiemdziesięciu tysięcy metrów, jak wskazywały monitory. Słyszał pomruk silników pomocniczych. *Udało się?* Gdyby tylko mógł odpowiednio zorientować okręt i uruchomić główny silnik... Ale „Ręka” obracała się w niewłaściwym kierunku! Okręt przechylał się rufą w dół, zmieniając kierunek lotu. Jau widział teraz fragmenty kadłuba, skomplikowane struktury prze-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

znaczone do przepływu międzygwiazdnej plazmy, a nie atmosfery planetarnej. Krawędzie kadłuba zaczęły się żarzyć, żółć i czerwień obsiomała coraz większe obszary. Najbardziej wysunięte urządzenia rozpałały się do białości i odpadały. Ale silniki pomocnicze nadal kierowały statkiem, wyrzucały z siebie maleńkie kłęby ognia. Włączone, wyłączone. Włączone, wyłączone. Ktoś, kto dowodził teraz jego pilotami, starał się ocalić statek. Bez tego gazy opływające nieregularny kadłub „Ręki” całkowicie by go zniszczyły, ogromne siły rozerwałyby milion ton metalu na drobne strzępy.

Żar okrywał coraz większą część kadłuba, topił wszystkie nieregularności w jednolitą masę. Jau opadł z powrotem na krzesło, przyciągnięty rosnącym przeciężeniu. Czteryście milig, osiemset. To przyspieszenie nie zostało jednak wywołane przez silniki okrętu. Teraz wpływała na nie atmosfera Arachny.

Po chwili do uszu, Jau dotarł nowy dźwięk. Nie był to pomruk silników pomocniczych, ale głęboki, przybierający na sile ton. Od dziobu aż po rufę „Ręka” stała się jedną wielką piszczalką. Dźwięk zmieniał wysokość, w miarę jak okręt opadał ku powierzchni planety, zwalniał. Kiedy blask jonizacji zadrzał i przygasł, pożegnalna pieśń „Ręki” sięgnęła crescendo i ucichła.

Jau wpatrywał się w rufę okrętu, w scenę, która nie powinna nigdy się zdarzyć. Kanciasty, nieregularny kadłub został wygładzony, stopiony podczas przejścia przez atmosferę. „Ręka” była jednak olbrzymem o masie miliona ton, a dzięki pilotom, którzy przez cały czas precyzyjnie utrzymywali kierunek lotu, większość jej potężnej masy przetrwała.

Siła równa niemal standardowej grawitacji wciskała Jau w fotel, skierowana była prostopadle do poprzedniej siły przeciężenia. To było ciężenie planetarne. „Ręka” stała się teraz statkiem powietrznym, katastrofą sunącą przez niebo. Znajdowali się na wysokości czterdziestu tysięcy metrów i opadali ze stałą prędkością stu metrów na sekundę. Jau spojrzął na błądy horyzont, poszarpane krawędzie i lodowe bloki przesuwane się pod okrętem. Niektóre miały nawet pięćset metrów wysokości, zostały wypchnięte do góry przez masę zamarzającego oceanu. Jau odwrócił się do konsoli, po kilku próbach udało mu się od jednego z pilotów uzyskać garść informacji. Mieli przelecieć nad tym pasmem lodowych gór i trzema innymi, które kryły się za nim. Dalej, przy horyzoncie cienie wydawały się łagodniejsze... złudzenie, a może śnieg okrywający grubą warstwą poszarpany lód. .

Przez korytarze „Ręki” niosło się echo strzałów z karabinu. Krzyki, cisza, potem znów seria strzałów, tym razem gdzieś dalej. *Wszystkie włączy są zamknięte.* A Ritsler Brughel przebijał się przez nie po kolei. W pewnym sensie grupmistrz miał rację; kontrolował fizyczną warstwę. Mógł dotrzeć do najważniejszych urządzeń, zniszczyć łączność z LI. Mógł „rozłączyć” wszystko, czym nadal manipulowali miejscowi fiksaci...

VERNOR VINGE

Trzydzieści tysięcy metrów. Od lodu odbijał się błyśnięcie słońca, jednak nigdzie w pobliżu nie było widać sztucznych świateł czy miast. Opadali na środek największego oceanu Pająków. „Ręka” nadal leciała z prędkością przekraczającą trzy machy, a tempo opadania wciąż wynosiło równe sto metrów na sekundę. Intuicja i fragmentaryczne dane, jakie otrzymywał z pokładu statku, podpowiadały mu, że rozsmarują się na powierzchni planety z olbrzymią prędkością. Chyba że - krzywa mocy wciąż rosła - dałoby radę jeszcze raz uruchomić główny silnik, uruchomić go we właściwym momencie... co praktycznie graniczyło z cudem. „Ręka” była tak wielka, że jej podwozie i dysza zadziałyby jak poduszka, ochraniając mostek i te części okrętu, w których przebywali ludzie. Podobna sytuacja pojawiła się kiedyś w fantastycznych opowiadaniach Phama Trinlego.

Jedno jest pewne. Nawet gdyby Jau odzyskał w tej chwili wszystkich swoich pilotów i pełną kontrolę nad okrętem, nie;potrafiłby wykonać takiego lądowania.

Przelecieli nad ostatnim pasmem lodowych gór. Silniki pomocnicze zapłonęły na moment, przechylając okręt o jeden stopień, jakby prowadził ich ktoś doskonale obeznany z terenem.

Ritser Brughel nie zdąży już nikogo zabić. Rita będzie bezpieczna. Jau patrzył, jak poszarpana ziemia zbliża się do nich w zawrotnym tempie. Wraz z nią nadeszła dziwna mieszanka przerażenia, triumfu i radości.

- Za późno, Ritser. Za późno.

SZEŚĆDZIESIĄT

Nigdy jeszcze Belga Underville nie widziała, by grupa ludzi reagowała na jedno wydarzenie tak wielką radością i tak silnym strachem jednocześnie. Technicy Coldhavena powinni byli skakać z radości, kiedy kolejne fale rakiet Kindred padały ofiarą pocisków przechwytyjących, a setki innych niszczyły się same lub przerywały zadanie. 2 mapy sytuacyjnej zniknęło już niemal dziewięćdziesiąt dziewięć procent symboli oznaczających broń nieprzyjaciela. Na terytorium Akord miało więc wlecieć nie więcej jak trzydzieści głowic jądrowych. Tak wyglądała różnica pomiędzy zagładą i wyizolowaną katastrofą... A technicy zagryzali ręce pożywiające, starając się powstrzymać te ostatnie zagrożenie.

Coldhaven spacerował wzdłuż szeregu techników. Towarzyszyła mu jedna z podwładnych Lighthill, młoda kapral. Generał słuchał uważnie każdego słowa Rhapsy Lighthill, upewniając się jednocześnie, czy jego technicy wykorzystują wszystkie nowe dane spływające do ich stanowisk. Belga odsunęła się na bok. I tak nie mogła im w niczym pomóc. Victory Lighthill była zatopiona w jakiejś dziwnej rozmowie z obcymi, po każdej kwestii robi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

ła długą, kilkunastosekundową przerwę, podczas której konsultowała się ze swoim bratem i Coldhavenem. Gdy wreszcie umilkła na chwilę, czekając na odpowiedź obcych, uśmiechnęła się nieśmiało do Belgi.

Ta również odpowiedziała jej uśmiechem. Młoda Victory nie była całkiem taka sama jak jej matka - prócz najważniejszych spraw.

Potem telefon Lighthill znów ożył - jakiś stosunkowo bliski współpracownik?

- Tak, dobrze. Poślemy tam ludzi. Jakies pięć godzin... Tato, wracamy do planu. Numer pięć gra czysto. Miałeś rację co do niego. Tato?... Brent, znowu go straciliśmy! Teraz to nie powinno się już zdarzyć... Tato?

Helikopter Rachnera zaprzestał wreszcie chaotycznych, zygzakowatych manewrów, choć do tej pory Thract zupełnie już się pogubił. Teraz śmigłowiec leciał prosto i szybko nad płaskowyżem, jakby nie bał się już wrogiej obserwacji z góry. Thract z fascynacją obserwował podniebny spektakl, nieświadom prawie szalonego mamrotania Sherkanera Under-hilla i światła wydobywających się spod jego hełmu.

Przelecieli już nad polami wyrzutni rakietowych, jednak świadectwo ich misji rozświetlało horyzont na całej jego długości. *Przynajmniej się broniliśmy.*

Odgłos silnika zmienił się lekko, wrywając Thracta z ponurych rozmyślań. Śmigłowiec powoli obniżał lot. Thract przysłonił oczy przed światłem bijącym z nieba i zobaczył, że przygotowują się do lądowania na niewielkim kręgu płaskiej, nagiej skały, otoczonej przez wzgórze i lód.

Opadli twardo, ale bezpiecznie. Turbiny zwolniły na tyle, że można było rozróżnić poszczególne płyty wirnika. W kabinie zrobiło się niemal całkowicie cicho. Robak poruszył się niespokojnie, trącił drzwi obok Underhilla.

- Proszę go nie puszczać, profesorze. Jeśli wyjdzie, możemy go już nie znaleźć.

Głowa Underhilla poruszyła się niepewnie. Odłożył na bok hełm; światła migotały jeszcze przez chwilę, ale coraz słabiej, aż wreszcie całkiem zgasły. Poklepał robaka i zapiął szczelniej kurtkę.

- No dobrze, pułkowniku. Skończyło się. Widzi pan, zwyciężyliśmy.

Kober wydawał się równie szalony jak zawsze. Thract zaczął jednak rozumieć, szalony czy nie, Underhill uratował świat.

- Co się stało, profesorze? - spytał cicho. - Obce potwory kontrolowały nasze sieci... a pan kontrolował potwory?

Stary, znajomy chichot.

- Coś w tym rodzaju. Problem w tym, że nie wszyscy są potworami. Niektórzy z nich to inteligentne i dobre istoty... Omal nie zniszczyliśmy się nawzajem naszymi oddzielnymi planami. Naprawienie tego błędu sporo nas kosztowało. - Milczał przez chwilę, kiwając lekko głową. - Wszystko będzie dobrze, ale... w tej chwili niewiele widzę. - Underhill patrzył prosto na zabójczy promień obcych. Pęcherze na jego oczach po-

VERNORVINGE

kry wały coraz większy obszar, odrażająca kremowa narośl. - Może zechciałby pah powiedzieć mi, co pan widzi. - Kober wyciągnął rękę ku niebu.

Rachner przystawił zdrowe oczy do okna wychodzącego na południe. Zbocze góry zasłaniało mu część widoku, nadal jednak widział sto stopni horyzontu.

- Setki rakiet, profesorze, błyszczące światła na niebie. Myślę, że to nasze pociski przechwytyjące.

- Ha. Biedni Nizhnimor i Hrunck... kiedy szliśmy przez Ciemność, widzieliśmy coś podobnego, choć wtedy było znacznie zimniej. - Robak poradził sobie z klamką u drzwi. Uchylił je lekko, a do wnętrza wpłynęło lodowate powietrze.

- Profesorze... - Rachner chciał poprosić go, by zamknął drzwi.

- Małą chwileczkę, nie będzie pan tu długo siedział. Co jeszcze pan widzi?

- Błyski eksplozji. Myślę, że to jonizacja w polach magnetycznych. I... - Głos uwiązał mu w gardle. Były tam jeszcze inne rzeczy, i te rozpoznawał z całą pewnością. -Widzę też ślady wejścia w atmosferę, profesorze. Kilkadziesiąt. Przelatują nad nami, na wschód. - Rach widział coś podobnego podczas ćwiczeń Obrony Powietrznej. Kiedy pociski przebijały się przez atmosferę, zostawiały za sobą ślady błyszczące całą gamą kolorów. Nawet podczas ćwiczeń wyglądało to straszliwie, szpony gigantycznego taranta atakującego z nieba. Widział już co najmniej dwadzieścia, a pojawiały się następne. Powstrzymano tysiące pocisków, lecz te, które zostały, mogły zniszczyć całe miasta.

- Proszę się nie martwić - dobiegł go cichy głos Underhilla. - Moi przyjaciele z kosmosu już się tym zajęli. Te pociski to teraz tylko martwe skorupy, kilka ton radioaktywnego śmiecia. Nic przyjemnego, jeśli spadną komuś prosto na głowę, ale poza tym nie stanowią zagrożenia.

Rachner odwrócił się, odprowadził spojrzeniem smugi przecinające niebo. *Moi przyjaciele z kosmosu już się tym zajęli.*

- Jacy są ci obcy, profesorze? Możemy im zaufać?

- Ha. Zaufać im? Co za pytanie w ustach oficera wywiadu. Moja generał nigdy im nie ufała, żadnemu z nich. Ja badam te istoty od dwudziestu lat, Rachner. Podróżują w kosmosie od setek pokoleń. Widzieli tak wiele, tak wielu rzeczy dokonali... Wydaje się biedakom, że wiedzą, co jest niemożliwe. Mogą latać swobodnie między gwiazdami, ale ich wyobraźnia uwięziona jest w klatce, której nawet nie widzą.

Smugi na niebie widoczne już były tylko w podczerwieni albo całkiem zniknęły. Dwie łączyły się w jednym punkcie na horyzoncie, prawdopodobnie tam, gdzie znajdowały się wyrzutnie Wysokiej Ekwatorii. Thract wstrzymał oddech, czekając.

Underhill powiedział cicho coś, co zabrzmiało jak, „ach, moja droga Yictory”, i umilkł.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Thract obserwował zdrowymi oczyma północny horyzont. Gdyby głowice atomowe były sprawne, widziałby blask eksplozji nawet z tej odległości. Dziesięć sekund. Trzydzieści. Było cicho i zimno. A na północnym niebie świeciły tylko gwiazdy.

- Miał pan rację, profesorze. To tylko latające śmieci. Ja... - Rachner odwrócił się, uświadomiwszy sobie nagle, jak zimno zrobiło się w kabine.

Underhill zniknął. »

Thract rzucił się do uchylonych drzwi.

- Profesorze! *Sherkaner!*

Wybiegł na stopnie, obracał głową w różne strony, wypatrując Underhilla. Powietrze było nieruchome, ale tak zimne, że oddychanie sprawiało mu ból. Wiedział, że bez podgrzewacza spali płuca za kilka minut.

Jest! Kilkanaście metrów od helikoptera, w nikłym blasku gwiazd poruszały się dwie ciemne sylwetki. Underhill kuśtykał powoli za Mobiyem. Robak ciągnął go łagodnie, od czasu do czasu zatrzymywał się i badał zbocze wzgórza swymi długimi ramionami. Było to instynktowne zachowanie zwierzęcia w beznadziejnym zimnie, zwierzęcia, które próbuje znaleźć odpowiednią otchłąń. Tu, w zupełnie przypadkowym miejscu, zwierzę nie miał najmniejszych szans. Za kilka godzin on i jego pan będą już martwi, ich tkanka ulegnie wysuszeniu.

Thract zszedł ze stopni, krzycząc do Underhilla. Tymczasem turbina śmigłowca zaczęła zwiększać obroty. Thract skulił się odruchowo, gdy uderzyła weń fala zimnego powietrza. Czując, że helikopter oderwie się za chwilę od ziemi, wpadł z powrotem do środka i próbował wyłączyć autopilota.

Bezskutecznie. Turbiny osiągnęły moc krytyczną i śmigłowiec wzbił się w powietrze. Jjtszcze przez moment Thract widział sylwetkę Sherkanera Underhilla na śniegu. Potem helikopter zakreślił na wschód, Underhill zniknął mu z oczu.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Ucieczka atmosfery kończyła się zazwyczaj śmiercią tych, którzy znaleźli się w jej obrębie. Szybka śmiercią. To jeden ze strażników przypadkowo uratował Tomasa Naua. W chwili gdy przepalił się kadłub, Tung rozpiął uprząż i ruszył w stronę włazu. Uciekające powietrze zasysało ich wszystkich, Tung znajdował się jednak najbliżej otworu. Uderzył głową w rozmiękły otwór i utknął w nim aż po biodra.

Qiwi zdołała się jakoś utrzymać przy włązie taksówki. Teraz otworzyła także właz Ll-A. Odwróciła się, pochwyciła ojca i wpełnęła go do wnętrza arsenału. Zrobiła to wszystko jednym płynnym ruchem. Nau nie zdążył nawet zareagować, gdy odwróciła się po raz drugi, zaczęła stopę

VERNORVINGE

o uchwyt na ścianie i sięgnęła do jego rękawa. Pociągnęła lekko, a gdy znalazł się już bliżej, pochwyliła mocniej i przepchnęła przez wejście.

Bezpieczny. A jeszcze pięć sekund temu byłem jak martwy. Uchodzące powietrze syczało głośno. Uszkodzony kołnierz dokujący mógł rozpaść się w każdej chwili.

- Ściągnę Cirita i Marlego - powiedziała Qiwi, odsuwając się od włazu.

- Tak! - Nau powrócił do otworu, przeklinając się w myślach za utratę broni. Zajrzał do wnętrza taksówki. Jeden ze strażników z pewnością już nie żył; nogi Tunga nawet nie drgały. Marli prawdopodobnie także już nie żył, a z pewnością nie miał siły się ratować, choć Qiwi próbowała zaciągnąć jego i Cireta do włazu. Jeszcze chwila, a tego dokona, uratuje ich równie sprawnie jak jego i Alego Lina. Qiwi była po prostu zbyt niebezpieczna, a on miał teraz ostatnią szansę, by się jej pozbyć.

Nau pchnął wąż LI-A. Ten obrócił się gładko, pchany prądem powietrza, i zatrzasnął z ogłuszającym hukiem. Jego palce błędziły przez moment po tablicy kontrolnej, wystukując kod awaryjnego odrzucenia dokującej jednostki. Z drugiej strony ściany dobiegł huk uciekającego gazu, zgrzyt metalu o metal. Nau wyobraził sobie pozbawioną powietrza taksówkę wylatującą ze śluzy. *Niech Pham Nuwen ćwiczy celność na martwych.*

Cisnienie szybko wróciło do normy. Nau zamknął wewnętrzny wąż i wciągnął Alego Lina do korytarza. Starzec mruczał coś pod nosem, na wpół przytomny. Przynajmniej już nie krwawił. *Me umieraj mi tu, do cholery.* W tej chwili Ali był beużytecznym kawałkiem mięsa, w przyszłości jednak mógł się okazać bezcenny. Naprawa wszystkich zniszczeń i tak będzie bardzo kosztowna, a bez jego pomocy...

Delikatnie pchnął Alego w górę korytarza. Ściany wykonano tu z zielonego plastiku. Kiedyś była to krypta bezpieczeństwa na pokładzie „Wspólnego dobra”. Jej nieregularny kształt miał tam większy sens; teraz sala była cenna z względu na jej monolityczną konstrukcję i opancerzenie - kilka metrów kompozytów o temperaturze topnienia wolframu. Cała siła ognia, jaką dysponował Pham Nuwen, nie mogła go tutaj osiągnąć.

Jeszcze kilka dni temu w krypcie znajdowała się większość ciężkiego uzbrojenia, jakie pozostało im po bitwie z Queng Ho. Teraz było tu niemal całkiem pusto, pociski i wyrzutnie zostały przeniesione na pokład „Niewidzialnej ręki”. Nieważne. Nau zadbał o to, by na miejscu zostało dość broni. W razie potrzeby mógł zniszczyć wszystko, co zagrażałoby jego władzy.

Więc co można jeszcze uratować? Nie miał najmniejszego pojęcia, czym dysponuje Pham Nuwen. Przez moment dał się ogarnąć zwątpieniu. Zawsze stawiał sobie takich ludzi za wzór, szukał w nich natchnienia, a teraz musiał stawić czoło jednemu z nich. *Ale jeśli wygram, zwycięstwo będzie tym cenniejsze.* Miał jeszcze wiele rzeczy do zrobienia i bardzo mało czasu. Wypuścił

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Alego, pozwolił, by ten opadł powoli na podłogę. W uchwycie przy drzwiach tkwił miejscowy wyświetlacz. Nałożył go na głowę i wydał kilka krótkich komend. Automatyka była tu prymitywna, ale wystarczająca. Teraz mógł wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz krypty. Nad horyzontem wznosiły się kwatery Handlarzy, z tej strony nie nadlatywały jednak żadne taksówki, a do arsenału nie zbliżała się armia postaci w skafandrach.

Przeleciał przez otwartą przestrzeń i odbezpieczył małą torpedę. Mały znaczek na skraju pola widzenia powiedział mu, że uzyskał połączenie z Hammerfest. Po chwili znaczek zniknął, a w jego uchu rozbrzmiał głos Phama.

- Nau?

- We własnej osobie. - Nau przeprowadził pocisk do tulei wyrzutni, którą Kai Omo zainstalował zaledwie przed trzydziestoma dniami. Wtedy wydawało się to zbyt dużym środkiem ostrożności. Teraz była to jego jedyna szansa.

- Czas, byś się poddał, grupmistrzu. Moje siły kontrolują całą przestrzeń LI. Będziemy...

Głos Phama był spokojny, stanowczy, niemal hipnotyzujący, zupełnie niepodobny do prostackiej maniery starego Phama Trinlego. Nau wyobraził sobie, jak zwykli ludzie dają się opętać, prowadzić temu głosowi. Ale Tomas Nau sam był profesjonalistą. Przerwał Nuwenowi:

- Wręcz przeciwnie. To ja kontroluję jedyne miejsce, jakie może w tej chwili decydować o zwycięstwie. - Dotknął tablicy przy tulei. Z dała dobiegło przytłumione tąpnięcie, kiedy wyrzucone pod ciśnieniem powietrze otworzyło tuleję i oczyściło wylot ze śniegu. - Zaprogramowałem i załadowałem taktyczną broń nuklearną. Celem są kwatery Handlarzy. To prowizoryczna broń, ale jestem pewien, że wystarczy.

- Nie możesz tego zrobić, grupmistrzu. Tam jest trzystu twoich ludzi.

Nau roześmiał się cicho.

- Och, ależ mogę. Sporo stracę, ale mam jeszcze ludzi w kapsułach. Ja... naprawdę jesteś Phamem Nuwenem? - Pytanie wymknęło się samo, niemal wbrew jego woli.

Nuwen odpowiedział po krótkiej pauzie, jakby zajęty czymś innym:

- Tak. - *I zajmujesz się wszystkim sam, prawda?* To miało sens. Zwykły spisek zostałby wykryty już wiele lat temu. Od samego początku brał w nim udział tylko Pham Nuwen i Ezr Vinh. Jak samotny wędrowiec ciągnący sanie przez ośnieżony kontynent, Nau przetrwał, prawie wygrał. - To zaszczyt poznać pana osobiście. - Mówiąc to, Nau sprawdzał jedno cześnie stan wyrzutni. Patrzył prosto w tuleję, była czysta, gotowa do strzału. - Pańskim błędem jest to, że nie rozumie pan do końca etosu grupmistrzów. Widzi pan, wszyscy wyrosliśmy z katastrofy, ludzkiego nieszczęścia. To nasza wewnętrzna siła, nasza przewaga. Jeśli zniszczą kwatery, LI znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji. Ale moja osobista sytuacja się po prostu. Nadal będę miał stację. Nadal będę miał wielu fiksatów. Nadal będę

VERNORVINGE

dę miał „Niewidzialną rękę”. - Odwrócił się od wyrzutni. Spojrzał na resztę wyposażenia, pozostałe torpedy; niewykluczone, że trzeba też zniszczyć Strych Hammerfest. Tego nie brał pod uwagę nawet w najbardziej radykalnych planach zniszczenia. Może udałoby się pozostawić przy życiu choć część twardogłowych. Inna część jego umysłu czekała ostrożnie na to, co powie Pham Nuwen. Czy podda się jak zwykły człowiek, czy też ma serce prawdziwego grupmistrza? Odpowiedź na to pytanie dowodziła moralnej słabości Phama Nuwena.

Nagle w krypcie rozległ się dziwny, klaszczący dźwięk. Ali Lin zniknął mu z oczu, opadł do niżej położonej części sali. Tajemniczy odgłos nie ustawał, milion metalowych płytek uderzających o siebie. *Może wewnętrzne wejście?* To był najniższy położony punkt w krypcie. Nau podleciał cicho do krawędzi zagłębienia.

Głos Phama Nuwena z trudem przebijał się przez hałas:

- Mylisz się, grupmistrzu. Nie masz... - Nau wyłączył audio i powoli przesunął się do przodu. Sprawdził obraz z kamer zamontowanych w arсенale. Nic. Ta prymitywna automatyka była jednocześnie ratunkiem i utrapieniem. Dobrze. Broń. Czy było tu coś mniejszego niż pocisk atomowy? Baza danych mogła nie uwzględniać takich drobiazgów. Pozwolił, by lista wyposażenia przesuwała się powoli w jego wyświetlaczu, sam zaś podleciał pod ścianę, nadal niewidoczny z dołu. Okłaski i trzaskanie nie ustawało. Ach, to siłowniki z dna jeziora, a hałas dociera tu przez tunel! Jeśli ktoś chciał się tu zakraść niepostrzeżenie, to wybrał nie najlepszy sposób.

Intruz pojawił się wreszcie w jego polu widzenia.

- Ach, pan Vinh. Myślałem, że utonął pan na dobre.

Vinh wyglądał na półprzytomnego, jego twarz była biała jak ściana. Nau nie widział jednak żadnych śladów postrzału. *Ukradł jeden z moich skafandrów.* Srebrny kostium dokładnie opinał ciało Handlarza, ale jego prawe ramię było lekko wykręcone, bezwładne. Vinh przytrzymał delikatnie Alego na prawym ramieniu. Spojrzał na Naua, a nienawiść jakby przywróciła mu pełną świadomość.

W zagłębieniu prowadzącym do tunelu Nau nie dostrzegł dalszych intruzów, a jego poszukiwania dobiegły właśnie końca; w szafce znalazł trzy karabiny! Nau odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do Handlarza.

- Dzielnie się pan spisał, panie Vinh. - Kilka sekund różnicy i Vinh przybyłby tutaj pierwszy, by zastawić na niego pułapkę. Na szczęście stało się inaczej, a Handlarz był nieuzbrojony, ranny i słaby jako kocię. To-mas Nau stanął pomiędzy nim i szafką z karabinami. - Obawiam się, że nie mam czasu na dłuższą rozmowę. Odsuń się od Alego, proszę. - Przemawiał łagodnym tonem, ale nie odrywał spojrzenia od obu mężczyzn. Podniósł powoli lewą rękę, sięgając do szafy. Może uda mu się uspić czujność Vinha i zabić go bez trudu.

- Tomas!

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Qiwu stała nad nimi, przy wejściu do głównej sali arsenału.

Przez moment Nau wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Miała rozbity nos. Jej delikatna sukienka była porozrywana i poplamiona krwią. Ale żyła. *Śluz musiała się zablokować. Jeśli taksówka pozostała na swoim miejscu, właz pozostawał otwarty - a Qiwu udało się jakoś dostać do środka.*

- Jesteśmy uwięzieni, Tomas. Zamek był zepsuty.

- Och, tak! - Niepokój w głosie Naua był całkowicie autentyczny. - Właz się zatrzasnął, słyszałem, jak ulatuje powietrze. Byłem pewien, że... że nie żyjesz.

Qiwu zleciała niżej, ciągnąc za sobą ciało Rei Cireta. Strażnik może jeszcze żył, w tej chwili jednak z pewnością nie mógł mu pomóc.

- Przykro mi, Tomas. Nie mogłam uratować Marlego. - Przeleciała przez pokój, by go uściskać, w jej gestach kryła się jednak jakaś niepewność. - Z kim rozmawiasz? - Zobaczyła Vinha i Alego. - Ezra?

Choć raz miał trochę szczęścia; Vinh wyglądał idealnie, jego skafander poplamiony był krwią Alego niczym fartuch rzeźnika. Z tyłu dobiegał hałas rujnowanego parku. Handlarz mówił chrapliwym, zdyszonym głosem.

- Przejęliśmy LI, Qiwu. Nie skrzywdziliśmy nikogo prócz kilku bandziorów Naua... - Mówił to, trzymając w ramionach zakrwawione ciało jej ojca! - Nau wykorzystuje cię jak zawsze. Tyle że tym razem zabije nas wszystkich. Rozejrzyj się! On chce zniszczyć kwatery.

- Ja... - Qiwu jednak rzeczywiście rozejrzała się dokoła, a to, co zobaczyła, najwyraźniej wcale jej się nie spodobało.

- Qiwu - przemówił Nau. - Spójrz na mnie. Mamy do czynienia z tą samą grupą, która wspierała Jimmy'ego Diema.

- Ty zamordowałeś Jimmy'ego! - krzyknął Vinh.

Qiwu wytarła zakrwawiony nos w rękaw sukienki. Przez moment wydawała się bardzo młoda i zagubiona, tak zagubiona jak wtedy, gdy Nau miał ją po raz pierwszy. Oparła stopę o uchwyt na ścianie i odwróciła się do niego niezdecydowana.

- Qiwu, pomyśl, kto to mówi. - Nau wskazał ręką na Vinha i Alego Lina. Podejmował ogromne ryzyko, desperacki krok. Ale zadziałało! Qiwu rzeczywiście odwróciła się lekko, odrywając od niego spojrzenie. Wsunął rękę do szafki, odszukał po omacku kolbę karabinu.

- Qiwu, pomyśl, kto to mówi. - Nau wskazał na Ezra i Alego Lina. Biedna Qiwu rzeczywiście odwróciła się, by na nich spojrzeć. Ezra widział, jak przez twarz Nau przemyka chytry uśmieszek. - Znasz Ezra. Wiesz, że próbował zabić twojego ojca w Północnej Łapie; myślał, że dosięgnie mnie przez Alego. Gdyby miał nóż, w tej chwili poderżnąłby mu gardło. Wiesz, jakim sadystą jest Ezra Vinh. Pamiętasz, jak cię pobił; pamiętasz, jak trzymałem cię potem w ramionach.

VERNORVINGE

Słowa te skierowane były do Qiwi, ale uderzyły Ezra niczym szarżujący byk, straszliwa prawda zmieszana z obrzydliwymi kłamstwami.

Qiwi zastygła na moment w bezruchu. Jej dłonie zacisnęły się jednak w pięści, ramiona ugięły się pod jakimś straszliwym ciężarem. Nau wygra, i to dzięki mnie, pomyślał Ezr. Odepchnął od siebie szarość, która coraz natarczywiej ogarniała jego umysł, i spróbował po raz ostatni:

- Nie dla mnie, Qiwi. Dla innych. Dla twojej matki. Proszę. Nau okła mywał cię przez czterdzieści lat. Gdy zaczynałaś coś podejrzewać, oczyszczał ci pamięć. Raz za razem, bez końca. Dlatego nigdy tego nie pamiętasz.

Na twarzy Qiwi odmalowała się groza, odzyskała wreszcie pamięć.

- Tym razem pamiętam. - Odwróciła się, kiedy Nau wyciągnął coś z szafki za nimi. Jej łokieć uderzył go prosto w pierś. Jęk Naua i dźwięk przypominający trzask łamanych gałęzi zlał się w jedną całość. Grupmistrz odbił się od szafki i wyleciał w górę, w otwartą przestrzeń. Za nim leciał karabin maszynowy. Nau rzucił się w jego stronę, karabin pozostał jednak kilkanaście centymetrów poza jego zasięgiem, a on nie miał się od czego odbić.

Qiwi odepchnęła się od ściany, stanęła prosto i pochwyciła broń. Skierowała lufę w stronę głowy grupmistrza.

Nau obracał się powoli, odwrócił głowę, by spojrzeć na Qiwi. Otworzył usta, które zawsze karmiły ją przekonującymi kłamstwami.

- Qiwi, nie możesz... - zaczął, potem jednak musiał zobaczyć wyraz jej twarzy. Arogancja Tomasa Nau, gładka, chłodna arogancja, którą Ezr obserwował przez pół życia, zniknęła nagle bez śladu. Głos Naua zniżył się do szeptu. - Nie, nie.

Głowa i ramiona Qiwi drżały, ale jej głos był twardy jak kamień.

- Pamiętam. - Opuściła lekko lufę, skierowała ją poniżej pasa Naua... i wypuściła długą serię. Krzyk Naua zamienił się w przeraźliwy wrzask, wreszcie ucichł, gdy pociski przeorały jego ciało i dosięgły głowy.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Unosiła się w ciemności, potem pojawiło się światło. Ruszyła w jego stronę, do góry. *Kim jestem?* Odpowiedź nadeszła szybko, wraz z falą przerażenia. *Annę Reynolt.*

Wspomnienia. Ucieczka w góry. Ostatnie dni zabawy w chowanego, najeźdźcy z Balacrei odnajdują jej kolejne kryjówki. Zdrajca, zakonspirowany do samego końca. Jej ostatni oddział zaatakowany z powietrza. Samotna na wzgórzu, otoczona przez mur balacreańskich żołnierzy. Smród palonego ciała był silny nawet w zimnym, porannym powietrzu, ale wróg przestał strzelać. Pochwycili ją żywcem.

- Annę? - Spokojny, troskliwy głos. Głos oprawcy przygotowującego jeszcze gorsze tortury. - Annę?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Otworzyła oczy. Jakieś kształty na skraju jej pola widzenia, zapewne balacreańskie narzędzia tortur. Dokładnie to, czego się spodziewała - prócz braku ciężenia. *Okupują nasze miasta od piętnastu lat. Po co zabrali mnie w kosmos?*

Zobaczyła wreszcie swojego oprawcę. Czarne włosy, karnacja typowa dla Balacreańczyków, młodo-stara twarz. To musiał być starszy grupmistrz. Nosił jednak dziwną kurtkę, jakiej Annę nie widziała jeszcze u żadnego grupmistrza. Na jego twarzy malował się fałszywy niepokój. *Glupiec, myśli, że w to uwierzę.* Podsunął w jej stronę bukiet delikatnych białych kwiatów, jakby robił jej prezent. Pachniały latem, minionym szczęściem. *Chcę umrzeć. Musi być jakiś sposób.* Musi być jakiś sposób. Oczywiście miała związane ręce. Gdyby jednak podleciał dostatecznie blisko, mogłaby użyć zębów. Jeśli tylko będzie dość głupi...

Wyciągnął rękę, delikatnie dotknął jej ramienia. Annę przekreśliła szybko głowę, pochwyliła zębami dłoń grupmistrza. Odsunął ją szybko, zostawiając w powietrzu sznur maleńkich czerwonych kropel. Nie był jednak na tyle głupi, by natychmiast ją zabić. Odwrócił tylko głowę i spojrzał groźnie na kogoś, kto pozostawał poza jej polem widzenia.

- Trud! Coś ty z nią zrobił, do diabła?

Usłyszała jęklivy głos, który wydawał jej się dziwnie znajomy.

- Pham, ostrzegałem cię, że to trudna procedura. Bez jej pomocy nie możemy mieć pewności... - Pomocnik grupmistrza przysunął się bliżej. Był to drobny, nerwowy facet w uniformie balacreańskiego technika. Otworzył szerzej oczy, ujrawszy krew w powietrzu. Spojrzenie, jakim obdarzył Annę, było pełne przerażenia. - A ja nie mogę zrobić już nic więcej. Powinniśmy poczekać, aż wróci Bil... Posłuchaj, może to tylko chwila amnezja.

Starszy z dwóch mężczyzn rozgniewał się jeszcze mocniej, choć i on wyglądał na przestraszonego.

- Chciałem, żebyś ją wyciągnął z fiksacji, a nie czyścił jej pamięć!

Balacreański technik, Trud... Trud Silipan odsunął się do tyłu.

- Nie martw się. Jestem pewien, że dojdzie do siebie. Nie dotykaliśmy struktur pamięci, przysięgam. - Znow zerknął w jej stronę z przestrachem. - Może... nie wiem, może defiksacja się udała, a to, co teraz widzimy, to ja kiś rodzaj autorepresji. - Ponownie przysunął się bliżej, nadal jednak pozostając poza zasięgiem jej rąk i zębów. Uśmiechnął się niepewnie. - Sze fowo, pamięta mnie pani? To ja, Trud Silipan. Pracowaliśmy razem przez wiele wacht, i wcześniej, na Balacrei, dla Alana Naua. Nie pamięta pani?

Annę patrzyła przez chwilę na okrągłą twarz, słaby uśmiech. Alan Nau. Tomas Nau. Och... Boże... Boże. Obudziła się do koszmaru, który nie miał końca. Sale tortur, potem fiksacja, wreszcie lata bycia wrogiem.

Twarz Silipana rozmyła się we łzach, ale jego głos nagle stał się radosny.

- Widzisz, Pham! Ona płacze. Pamięta!

VERNORVINGE

Tak. Wszystko.

Lecz Pham Nuwen wydawał się jeszcze bardziej rozgniewany.

- Wyjdz, Trud. Po prostu wyjdz stąd.
- Łatwo to sprawdzić. Możemy...
- Wynoś się!

Potem nie słyszała już Silipana. Świat zniknął w bólu, dojmującym smutku, który odbierał jej oddech i zmysły.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu i tym razem wiedziała, że nie jest to dotyk kata. *Kim jestem?* To było łatwe pytanie. Odpowiedź na prawdziwie istotne pytanie, „Czym jestem?“, umykała jej jeszcze przez kilka sekund, lecz teraz wspomnienia wracały do niej potężną falą, wspomnienia straszliwego zła, jakim była od tamtego dnia w górach Arnham.

Wzdrygnęła się, uciekając przed dotykiem Phama, metalowe pasy przytrzymały ją jednak w miejscu.

- Przepraszam - mruknął. Słyszała, jak rozpina jej więzy. Teraz nie miało to znaczenia. Zwinęła się w kłębek, niemal nieświadoma jego dotyku. Mówił do niej, powtarzał proste rzeczy, powtarzał je na różne sposoby.

- Wszystko dobrze, Annę. Tomas Nau nie żyje. Nie żyje od czterech dni. Jesteś wolna. Wszyscy jesteśmy wolni...

Po chwili umilkł, i tylko dotyk dłoni świadczył o jego obecności. Ucichł także jej rozdzierający płacz. Nie było już przerażenia. Wydarzyło się najgorsze, co mogło się wydarzyć, teraz została tylko pustka i śmierć.

Mijały kolejne sekundy.

Czuła, jak jej ciało powoli się rozluźnia, rozprostowuje. Zmusiła się do otworzenia oczu, odwrócenia głowy i spojrzenia na Phama. Twarz bolała ją od płaczu. Boże, chciała, by ten ból był milion razy silniejszy.

- Ty... po co mnie z tego wyciągałeś? Pozwól mi teraz umrzeć.

Pham przyglądał się spokojnie jej szeroko otwartym, uważnym oczom. Zniknęła bufonada, którą zawsze uważał tylko za pozę. Jej miejsce zajęła inteligencja... podziw? Nie, to niemożliwe. Sięgnął w bok i ponownie podał jej bukiet kwiatów. Były ciepłe, miękkie. Piękne. Przez chwilę jakby zastanawiał się nad jej prośbą, potem potrząsnął głową.

- Nie możesz jeszcze odejść, Annę. Mamy tu ponad dwa tysiące zafiksowanych ludzi. Możesz ich uwolnić, Annę. - Wskazał na sprzęt za jej głową. - Miałem wrażenie, że Al Horn gra w ruletkę, kiedy nad tobą pracował.

Mogę ich uwolnić. Ta myśl była pierwszą iskierką światła w ciągu wszystkich lat, jakie upłynęły od tamtego poranka w górach. Musiała znaleźć jakieś odbicie na jej twarzy, bo Pham uśmiechnął się z nadzieją. Annę czuła, że mruży oczy. Wiedziała o fiksacji więcej niż jakikolwiek Bala-creañczyk. Znała wszystkie sztuczki refleksacji, przekierowywania lojalności.

- Phamie Trinli... Phamie Kimkolwiek-sobie-jesteś. Obserwowałam cię od wielu lat. Niemal od samego początku podejrzewałam, że spisku-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

jesz przeciwko Tomasowi. Ale widziałam także, jak bardzo podoba ci się idea fiksacji. Pragnąłeś tej władzy, prawda?

Uśmiech opuścił jego twarz. Powoli skinął głową.

- Myślałem... widziałem, że to może mi dać coś, o co walczyłem przez całe życie. W końcu jednak zrozumiałem, że cena jest za wysoka. -Wzruszył ramionami i opuścił wzrok, jakby zawstydzony.

Annę patrzyła na jego twarz, zastanawiała się. Kiedyś nawet Tomas Nau nie potrafił jej oszukać. Kiedy Annę była zafiksowana, jej umysł był ostry jak brzytwa, nie rozpraszały go skrupuły i marzenia - ale fakt, że znała prawdziwe zamiary Tomasa, niczego nie zmieniał, była przecież tylko bezwolnym narzędziem w jego rękach. Teraz nie miała już takiej pewności. Ten człowiek mógł kłamać, ale prosił ją o coś, czego pragnęła najbardziej na świecie. Potem, odpłaciwszy innym najlepiej, jak potrafi, będzie mogła umrzeć. Wreszcie westchnęła cicho i wrzuciła ramionami.

- Tomas Nau cię okłamywał, kiedy mówił o defiksacji.

- Kłamał w wielu innych kwestiach.

- Poradzę sobie lepiej niż Trud Silipan i Bil Phuong, ale na pewno nie obejdzie się bez ofiar. - Najgorszy ze wszystkich koszarów; niektórzy będą przeklinać ją za to, że wyrwała ich z fiksacji.

Pham ujął nieśmiało jej dłoń.

- Dobrze. Ale zrobisz, co będziesz mogła.

Spojrzała na jego rękę. Krew nadal sączyła się z rany, którą otworzyła z boku jego dłoni. Ten człowiek zapewne kłamał, jeśli jednak pozwoli jej zdefiksować innych... *Udawaj, że mu wierzysz.*

- Teraz ty decydujesz o wszystkim?

Pham zachichotał.

- Powiedzmy, że mam coś do powiedzenia w najważniejszych kwestiach. Pewne Pajaki mogą znacznie więcej ode mnie. To dość skomplikowane, nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego ogarnąć. Jeszcze czterysta Ksekund temu to Tomas Nau decydował o wszystkim. - Uśmiechnął się z entuzjazmem. - Ale za sto, dwieście Msekund doczekamy się prawdziwego renesansu. Naprawimy nasze okręty. Ba, może zbudujemy kilka nowych. Nigdy jeszcze nie mieliśmy takich możliwości.

Udawaj, że wierzysz.

- A czego chcesz ode mnie?

Ile czasu jeszcze minie, nim zostanę zrefiksowana jako twoje narzędzie?

- Chcę... chcę tylko, żebyś była wolna, Annę. - Odwrócił wzrok. - Wiem, kim byłaś przedtem. Widziałem, co zrobiłaś na Frenk, twoją ostatnią walkę. Przypominasz mi kogoś, kogo znałem w dzieciństwie. Ona tak że stanęła do walki w beznadziejnej sytuacji i także została pokonana. - Powrócił spojrzeniem do jej twarzy. - Były chwile, gdy bałem się ciebie bardziej niż Tomasa Nau. Odkąd jednak dowiedziałem się, że to ty byłaś Frenkijską Bestią, modliłem się, by los dał ci jeszcze jedną szansę.

VERNOR VINGE

Doskonały oszust. Tylko wyjątkowo beczelnie kłamał. Miała wielką ochotę sprowokować go jeszcze bardziej, sprawdzić, jak dalece posunie się w kłamstwach.

- Więc za kilka lat będziemy mieli sprawne okręty?
- Tak, i prawdopodobnie lepiej wyposażone niż te, na których tu przylecieliśmy. Słyszałaś na pewno o tym, co tu odkryliśmy. Są też inne rzeczy...

- I ty będziesz kontrolował te statki?
- Kilka z nich. - Nadal kiwał głową, brnął w coraz większe oszustwa.
- I tak po prostu chcesz pomóc. Mnie, Frenkijskiej Bestii. Cóż, masz takie możliwości. Pożycz mi te okręty. Poleć ze mną na Balacree, Frenk i Gaspr. Pomóż mi uwolnić wszystkich fiksatów.

Zabawna była reakcja Phama, jego zdumiona mina.
- Chcesz, żebyśmy za pomocą kilku okrętów pokonał imperium z fikcją? To... - Brakowało mu słów na określenie takiego szaleństwa, przez chwilę po prostu milczał. Potem na jego twarz powrócił uśmiech. - To jest cudowne! Annę, daj mi czas na przygotowania, na zawarcie przymierzy tutaj. Daj mi dziesięć swoich lat. Być może nie uda nam się wygrać, ale przysięgam, spróbujemy to zrobić.

O cokolwiek prosiła, on po prostu się zgadzał. To musi być kłamstwo. Gdyby jednak okazało się prawdą... Ta jedyna obietnica przywróciłaby jej chęć życia. Patrzyła w oczy Phama, szukając w nich fałszu. Może nieuniknione zniszczenia defiksacji pozbawiły ją intuicji, bo choć zaglądała w głąb jego duszy, widziała tylko szczerzy podziw i entuzjazm. *On jest geniuszem. Bez względu na to, czy to prawda, czy kłamstwo, będę mu służyć przez następne dziesięć lat.* Rozluźniła się, przez moment pozwoliła sobie na wiarę. Przez moment wyobrażała sobie, że ten człowiek nie kłamie. *Frenkijska Bestia może jeszcze uwolnić ich wszystkich.* Przedziwne uczucie ogarnęło najpierw jej serce, potem całe ciało. Dopiero po chwili rozpoznała coś, co utraciła na tak długo: radość.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Pham wysyłał Ezra Vinha na planetę jako negocjatora.

- Dlaczego ja, Pham? - Była to najbardziej niezwykła sytuacja han dlowa w historii ludzkości. Mogła stać się także zapowiedzią wojny. - Po winien...

Nuwen podniósł rękę, przerywając mu w pół słowa.

- Nie bez powodu wysyłam właśnie ciebie. Znasz Pajaki lepiej niż ktokolwiek inny spośród niezafiksowanych ludzi, z pewnością lepiej niż ja.

- Mógłbym być twoim asystentem, pomagać ci.

- Nie, to ja będę twoim asystentem. - Umilkł na moment zatroskany. - Masz rację, synu, to bardzo trudna sytuacja. Wkrótce to oni będą

OTCHLAŃ W NIEBIE

nad nami przeważać, a mają mnóstwo powodów, by nas nienawidzić. Przepuszczamy, że frakcja Lighthill nadal cieszy się zaufaniem Króla, ale...

W Akord istniały także inne frakcje. Niektóre z nich uważały zafiksowanych tłumaczy za cenny towar, który mógł stać się przedmiotem negocjacji.

- Tym bardziej to ty powinieneś tam polecieć, Pham.

- Wybór nie zależy ode mnie. Widzisz, oni poprosili właśnie o ciebie. - Co?

- Tak. Uważają pewnie, że dobrze cię już znają, bo przez tyle lat współpracowałeś z Trixią. - Uśmiechnął się. - Chcą zobaczyć cię z bliska.

To wydawało się sensowne.

- Dobrze. - Zamyślił się na moment. - Ale nie dostanę Trixii. Polecę tam z innym tłumaczem. - Spojrzał wyzywająco na Phama. - Trixia jest gwiadzą. Ludzie Undendlle na pewno chcieliby dostać ją w swoje łapska.

- Hm. Może ktoś tam na dole rozumuje w ten sam sposób. Król prosił, żeby to Zinmin ci towarzyszył. - Spojrzał na Ezra. - Coś jeszcze?

- Tak. Chcę, żeby Trixia została zdefiksowana. Jak najszybciej.

- Oczywiście. Dałem ci słowo. To samo obiecałem Anne.

Ezr przyglądał mu się przez chwilę. *I zmieniłeś się, zrezygnowałeś ze swego marzenia.* Po tym wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, Ezr nie miał już wątpliwości. Nagle jednak nie mógł już czekać dłużej.

- Przesuń ją na początek kolejki, Pham. Nie obchodzi mnie, że po trzebujesz tłumaczy. Przesuń ją. Chcę, żeby została zdefiksowana, zanim wrócę z Arachny.

Pham uniósł lekko brwi.

- Ultimatum?

- Nie. Tak!

Nuwen westchnął.

- Zgoda. Wkrótce zajmiemy się Trixią. Przyznaję, trochę zwlekaliśmy z tłumaczami. Bardzo ich potrzebujemy. - Wydął usta. - Ale nie spodziewaj się doskonałości, Ezr. To jeszcze jedna sprawa, w której Nau nas okłamał. Niektórzy defiksaci są prawie tak bystrzy jak Anne. Ale niektórzy...

- Wiem. - Niektórzy zamieniali się w warzywa, proces defiksacji dawał początek ucieczce wirusa. - Ale wcześniej czy później będziemy musieli spróbować. Wcześniej czy później musimy przestać ich wykorzystywać. - Odbił się od ściany i opuścił biuro Phama. Dłuższa rozmowa rozdarłaby im obu serca.

Transport na Arachnę odbywał się w szalupie Jau Xina, zaopatrzonej w prowizoryczne oprogramowanie przygotowane przez Qiwi. Ludzie mieli wiedzę i resztki wysoko rozwiniętej techniki - i bardzo niewiele zasobów fizycznych czy automatyki. W miarę jak postępowała defiksacja kolejnych twarogłowych, oprogramowanie Emergentów stawało się bezużyteczne - a musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim automatyka Queng

VERNOR VINGE

Ho zostanie dostosowana do wymieszanych technologii, jakie pozostały na LI. Tkwili uwięzieni w niemal całkiem pustym układzie słonecznym - jedyna ekologia przemysłowa istniała na Arachnie. Mogli zrzucić na planetę trochę skał, a nawet kilka pocisków jądrowych, ale praktycznie byli bezbronni. Pająki także na razie nie dysponowały żadną siłą, ale to miało się wkrótce zmienić. Wiedzieli już o najeźdźcach, wiedzieli, jak wykorzystać ich technikę - spora część „Niewidzialnej ręki” została nienaruszona. Za kilka lat mogli wyruszyć w kosmos i to w dużej sile. Pham uważał, że potrzebują roku, by ustabilizować sytuację na planecie, zbudować jakieś podstawy zaufania. Qiwi powiedziała, że gdyby to ona była Pajakiem, zajęłoby to jej znacznie mniej czasu.

Główny korytarz kwater Queng Ho zatłoczony był na całej długości, gdy Ezr i Zimmin wchodzili do służby taksówek. Byli tam prawie wszyscy zdefiksowani ludzie z LI.

Dostrzegł tam także Pham i Annę. Podlecieli bliżej; tych dwoje razem? - jeszcze przed rokiem byłoby nie do pomyślenia.

- Zaczęliśmy przygotowania do defiksacji - powiedziała Annę. Nie musiała dodawać, o kim mówi. - Zrobimy, co w naszej mocy, Ezr.

Qiwi życzyła mu powodzenia, wyjątkowo poważna i oficjalna. Zawałała się na moment, potem nagle uściśnęła mu dłoń - kolejna rzecz, której nie robiła nigdy dotąd.

- Uważaj na siebie, Ezr.

Rita Liao zdołała jakoś przecisnąć się do służby i stanąć mu na drodze. Ezr wyciągnął rękę, by ją pocieszyć.

- Przywiozę Jau, Rito. - Zrobię, co będę mógł, pomyślał, nie miał jed nak odwagi, by powiedzieć jej to wprost.

Rita miała zaczerwienione oczy. Wyglądała jeszcze gorzej niż kilka Ksekund wcześniej, kiedy rozmawiali o uwolnieniu Jau.

- Wiem, Ezr, wiem. Pająki to dobre istoty. Na pewno wiedzą, że Jau nie chciał ich skrzywdzić. - Przez większą część życia pasjonowała się ży ciem Pajaków, teraz jednak jakby straciła wiarę w to, co przekazywali tłumacze. -Ale gdyby nie chcieli ci go oddać... Proszę. Daj mu to... -Wci snęła mu w dłoń małe przezroczyste pudełko z zamkiem dotykowym, za programowanym zapewne na dotyk Jau Xina. W środku tkwił klejnot pa mięci. Rita spojrzała nań raz jeszcze, odwróciła się i wmieszała w tłum.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

Podróż do Dowództwa Lądowego trwała dwieście Ksekund. Gdy wylądowali już na powierzchni planety, Pająki wiozły ich drogą prowadzącą przez długą dolinę. Dziwne wspomnienia przelatywały przez umysł Ezra. Wiele budynków zostało wzniesionych podczas ostatniej Jasności, ale *by-tem tu, nim wszystko się zaczęło*. Wtedy wszystko wydawało się takie ob-

ce. Teraz każdy budynek, każde miejsce opatrzone obszerną informacją. Zinmin Broute krążył od okna do okna rozentuzjasmowany, opowiadał o wszystkim, co mijali. Przejechali obok biblioteki, którą badali wtedy wraz z Bennym Wenem. Muzeum Czasów Ciemności. Kamienne posągi przy Królewskiej Drodze, Troje Sięgających po Akord. Zinmin mógł powiedzieć mu wszystko o każdej z powyginanych postaci.

Dzisiaj jednak nie byli złodziejami skradającymi się w mroku do cudzych domostw. Dziś w Dowództwie Lądowym światła płonęły jasno, a gdy wreszcie zeszedli pod ziemię, ukryte tam pomieszczenia były równie obce i przerażające jak pajęcze koszmary Ritsera Brughla. Strome schody przypominały raczej drabinę, a zwykle pokoje były tak niskie, że Ezr i Zinmin musieli przykucnąć, by przejść z miejsca na miejsce. Pomimo specjalnych środków i wielu lat ćwiczeń Ezr nie najlepiej radził sobie z pełnym planetarnym przyciąganiem. Zostali zakwaterowani w apartamentach o królewskim standardzie - tak przynajmniej twierdził Zinmin - pokojach o włochatych podłogach i sufitach wysokich na tyle, że mogli stać w nich prosto. Negocjacje rozpoczęły się następnego dnia.

* * *

Większość Pajaków, które znali z tłumaczeń, była nieobecna. Belga Udenriile, Eln Coldhaven - Ezr rozpoznawał te nazwiska, ale zawsze należały one do postaci drugoplanowych, które nie brały udziału w realizacji planu Sherkanera Underhilla. Z pewnością jednak bezpośredni negocjatorzy kontaktowali się z Victory Lighthill. Często w trakcie rozmów Udenriile wycofywała się z pokoju, by odbyć konsultacje z osobami niewidocznymi dla ludzi.

Po kilku dniach Ezr zrozumiał, że niektóre z tych osób znajdują się bardzo daleko: Trixia. Kiedy wrócił już do swych kwater, połączył się z LI. Oczywiście rozmowa była kontrolowana przez Pajaki, ale to wcale Ezra nie obchodziło.

- Powiedzieliście mi, że Trixia jest już defiksowana.

Na odpowiedź czekał znacznie dłużej niż dziesięć sekund. Wreszcie jego cierpliwość się wyczerpała, nie miał już ochoty dłużej słuchać wymówek i wykrętów.

- Do cholery, obiecaliście, że będzie defiksowana. Wcześniej czy później musicie przestać ją wykorzystywać!

Wreszcie odezwał się głos Phama.

- Wiem, Ezr. Problem w tym, że Pajaki zażądały, by była dostępna podczas negocjacji, nadal zafiksowana. Jeśli odmówimy, rozmowy zostaną zerwane... a Trixia nie chce współpracować z nami podczas defiksacji. Musielibyśmy ją do tego zmusić.

- Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi! Nie są jej właścicielami, tak jak nie był nim Tomas Nau. - Zachłysł się strachem, omal nie zwymiotował. Po drugiej stronie pokoju siedział Zinmin Broute, szczęśliwszy niż

VERNOR VINGE

jakikolwiek twarogłowy, jakiego widział do tej pory Ezer. Przeglądał jakąś ilustrowaną książkę Pająków. *Jego też wykorzystujemy. Musimy, jeszcze przez krótki czas.*

- Ezer, to nie potrwa długo. Annę też nie może się z tym pogodzić, ale dla Pająków to jedyna rękojmia naszej uczciwości. Oni prawie ufają fiksatom. Potwierdzają u nich każdą naszą obietnicę, każdy punkt. Bez tego nie mamy szans na uwolnienie ludzi z „Niewidzialnej ręki”. Bez tego nie zatrzymamy zła, jakiego dokonał Tomas Nau.

Rita i Jau. Pudełko z klejnotem pamięci w jego bagażach. Dziwne. Pająki nie chciały wcale do nich zaglądać. Ezer westchnął ciężko.

- Dobrze. Ale po tym spotkaniu nikt nie będzie już niczyją własnością. Inaczej nie ma mowy o żadnych układach, sam tego dopilnuję. - Przerwał łączność, nim Pham zdążył mu odpowiedzieć. Jego reakcja i tak przecież nie miała żadnego znaczenia.

Niemal codziennie odbywali morderczą wędrówkę w dół stromych schodów prowadzących do sali rozmów. Zinmin twierdził, że jest to prywatny gabinet szefa wywiadu, „jasny i przestronny pokój z otwartymi niszami i oddzielnymi grzędami”. Cóż, rzeczywiście były tam nisze, ciemne kominy z ukrytymi legowiskami na szczycie. Monitory zawieszono na ścianach ukazywały jakieś bezsensowne, chaotyczne obrazy. Ezer i Zinmin musieli przejść po zimnym kamieniu, by usiąść na specjalnie dla nich przygotowanych futrach. Zazwyczaj w rozmowie uczestniczyło cztery, pięć Pająków, wśród których zawsze znajdowali się Coldhaven lub Udenrille.

Negocjacje posuwały się w całkiem przyzwoitym tempie. Dzięki świadectwu fiksatów Pająki wierzyły w to, co mówił Ezer. Wydawało się, że rozumieją, jak wiele dobra można zdziałać dzięki współpracy obu ras. Oczywiście Pająki miały założyć swoją bazę na Diamentach. Ludzie z kolei mieli przekazać im swoją technologię bez żadnych ograniczeń, by w zamian korzystać z zasobów planety. W swoim czasie Diamenty i kwatery miały zostać przeniesione na wyższą orbitę, gdzie Pająki i ludzie zbudowałyby wspólnymi siłami stocznię.

Przebywanie w towarzystwie Pająków przez wiele Ksekund dziennie było męczącym doświadczeniem. Ludzki umysł nie był przystosowany do obcowania z takimi istotami. Wydawało się, że Pająki nie mają oczu, tylko kryształowe pancerze, które widziały lepiej niż jakiegokolwiek ludzkie urządzenia. Nigdy nie było wiadomo, na co właściwie patrzą. Ich ręce pożywiające bezustannie się poruszały w gestach, których znaczenie Ezer zaczynał dopiero rozumieć. Kiedy zaś gestykulowały głównymi kończynami, były to ruchy szybkie i agresywne, niczym ruchy stworzenia szykującego się do ataku. W powietrzu unosił się ciężki, stęchły zapach, który przybierał na sile, gdy w pomieszczeniu znajdowało się więcej Pająków. *I następnym razem przywieziemy własne toalety.* Ezer doznawał skurczów, próbując dostosować się do miejscowych sanitariatów.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Zinmin dokonywał większości tłumaczeń, utrzymywano jednak również stałą łączność z Trixią i innymi. Gdy jakaś kwestia wymagała bardzo precyzyjnego przekładu, to jej głos wypowiadał słowa Undeirille albo Coldhavena; Underville - nieprzejednana policjantka, Coldhaven - młody, energiczny oficer. Głos Trixii - dusze innych stworzeń.

Nocami nawiedzały go sny, często znacznie mniej przyjemne od rzeczywistości, z którą stykał się za dnia. Najgorsze były te, które rozumiał. Ukazywała mu się Trixia, jej głos i umysł wędrował pomiędzy młodą kobietą, którą kiedyś znał, i obcymi umysłami, do których teraz należała. Czasami jej twarz zmieniała się w szklisty pancerz, a kiedy pytał o tę zmianę, mówiła mu, że to tylko gra jego wyobraźni. Była to Trixia, która na zawsze miała pozostać zafiksowana, zaczarowana, stracona. Często widywał w snach Qiwi, czasami rozbrykaną, czasami taką, jaką była, gdy zabijała Tomasa Nau. Rozmawiali, Qiwi dawała mu jakieś rady. W snach wydawały się rozsądne, lecz po przebudzeniu nigdy nie pamiętał szczegółów.

W miarę upływu dni rozwiązywali kolejne kwestie. W ciągu niecałego miliona sekund przeszli od ludobójstwa do handlu. Pham Nuwen, który na bieżąco kontrolował przebieg rozmów, nie krył zadowolenia.

- Te stworzenia negocjują jak Kupcy, a nie jak rząd.

- Idziemy na duże ustępstwa, Pham. Od kiedy to Klienci mają tyle swobody, ile dajemy Pająkom?

Jak zwykle nastąpiła długa pauza. Ale głos Phama nadal przepełniał entuzjazm.

- Nawet to może się opłacić, synu. Założę się, że niektóre z tych Pająków zechcą w końcu zostać naszymi partnerami - Queng Ho. Jeszcze jedna rzecz. Załatw sprawę jeńców, a będziemy mogli odwołać Trixię. Lighthill wymogła to na frakcji Underville.

Ostatni dzień negocjacji rozpoczął się tak samo jak inne. Zinmin i Ezra zostali sprowadzeni w dół „spiralnych schodów”, jak nazywał to Zinmin. W ludzkich kategoriach był to pionowy szyb wycięty bezpośrednio w skale. Jak zawsze owiewał ich prąd ciepłego powietrza. Szyb miał niemal dwa metry średnicy, w ścianach wykuto stopnje szerokości pięciu centymetrów. Ich strażnicy nie mieli żadnych kłopotów z zejściem; sięgali od jednej ściany szybu do drugiej, wspierając się ze wszystkich stron. Co dziesięć metrów zatrzymywali się na szerszej półce, „półpiętrze”, by złapać oddech. Strażnicy namówili Ezra, by nałożył swego rodzaju uprząż, która ułatwiała mu schodzenie, choć jednocześnie wprawiała w zakłopotanie.

- Oni chcą nas w ten sposób zastraszyć, prawda, Zinmin? - Zadawał to pytanie już podczas wcześniejszych wędrowek, lecz Zinmin Broute ni gdy nie raczył mu odpowiedzieć.

VERNOR VINGE

Zafiksowany tłumacz miał jeszcze większe kłopoty z utrzymaniem równowagi na wąskich stopniach, zwłaszcza że próbował naśladować ruchy Pająków, co bardziej mu przeszkadzało, niż pomagało. Dziś wreszcie zareagował na pytanie Ezra.

- Tak... Nie. To główne zejście do Królewskiej Otchłani. Bardzo sta re. Tradycyjne. To zaszczyt... - Pośliznął się, zawisł na chwilę nad przepaścią, przytrzymany na długiej smyczy przez jednego ze strażników. Ezr przywarł do wilgotnej ściany, omal sam nie spadł ze stopnia, gdy Broute starał się odzyskać równowagę.

Wreszcie dotarli na ostatni poziom. Sufit był tutaj niski nawet według pajęczych standardów, sięgał ledwie metr nad podłogę. Otoczeni przez strażników, przykucnęli i ruszyli w stronę szerokich drzwi. Pomieszczenie za drzwiami wypełniało blade niebieskie światło. Pająki widziały w bardzo szerokim paśmie widma. Można by pomyśleć, że preferują światło w pełnym widmie, przypominające blask słońca. Często jednak poprzestawały na delikatnej poświacie albo świetle niewidocznym dla ludzkich oczu.

Z ciemności doszedł ich znajomy syk.

- Wejździe. Usiądzie - powiedział Zinmin Broute, tłumacząc słowa Pajaka. Ezr i Zinmin przeszli po zimnych kamieniach do swoich „grzęd”. Teraz Ezr widział ją wyraźnie, wielką samicę na nieco wyższej grzędzie. W powietrzu unosił się jej silny zapach.

- Generał Underville - przywitał ją Ezr.

* * *

Kwestia jeńców wydawała się stosunkowo prosta w porównaniu z problemami rozwiązanymi do tej pory. Ezr zauważył jednak, że tym razem byli sami z Undenrille. Nie widział także żadnego łączu ze światem zewnętrznym; przynajmniej nikt mu takiego nie zaoferował. Siedzieli sami w niemal zupełnej ciemności, a słowa tłumaczone przez Zinmina Broute^e brzmiały raczej jak groźby niż próba pojednania. Przerażające... Ezr Vinh był jednak Kupcem i nie dawał się łatwo zastraszyć. To było celowe działanie. Underville obiecała Xighthill, że tłumacze będą wolni po zakończeniu negocjacji dotyczących jeńców. Przegrała w tak wielu sprawach; to była jej ostatnia szansa na zachowanie twarzy.

Ezr otworzył swój plecak i wyciągnął wyświetlacz. Pająki twierdziły, że wszyscy ludzie obecni na pokładzie „Niewidzialnej ręki” przeżyli przymusowe lądowanie. Wrak okrętu spoczywał na oceanicznym lodzie, a pokłady zajmowane przez ludzi były jedynymi jego częściami, które zachowały się w całości. To, że ktokolwiek przetrwał, zawdzięczał Phamowi, który doradzał zafiksowanym pilotom. Po wylądowaniu nie obeszło się jednak bez ofiar. Wbrew temu, co nakazywał rozsądek, Brughel i jego ludzie wdali się w walkę z przybyłymi na miejsce katastrofy siłami Pająków. Wszyscy żołnierze Brughla zginęli. On sam, ze złością prawdzi-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

wego grupmistrza, wycofał się w ostatniej chwili i próbował ukryć pomiędzy pozostałymi członkami załogi. Według Pająków po tej pierwszej potyczce nie było już ofiar śmiertelnych wśród ludzi.

- Fiksatów możecie sobie zabrać - powiedziała Underville poprzez Zinmina. - Wiemy, że nie są niczemu winni, a niektórzy z nich przyczynili się nawet do naszego zwycięstwa. -W głosie Zinmina pojawiły się nutki irytacji. - Pozostali to zbrodniarze. Zabili setki. Próbowali zabić miliony.

- Nie, brała w tym udział tylko niewielka mniejszość. Pozostali próbowali stawiać opór albo nie znali prawdziwego celu operacji.

Ezr odczytywał nazwiska kolejnych członków załogi, tłumacząc, jaką rolę odgrywał każdy z nich. W hibernacji pozostawało jeszcze dwadzieścia osób, specjalnych zabawek Ritsera. Ci w oczywisty sposób byli ofiarami, ale Underville nie chciała oddać sprzętu hibernacyjnego. Powoli jednak Ezr przekonał starą generał, by ich uwolniła, obiecując w zamian pomoc specjalistów, którzy pomogliby jej wyjaśnić działanie i konstrukcję kapsuł. Wreszcie przeszli do ostatniego i najtrudniejszego punktu.

- Jau Xin, zarządca pilotów.

- Jau Xin, kluczowy człowiek! - syknęła generał. Ezr podregulował swój wyświetlacz. Teraz widział trochę więcej niż dotychczas. Przez całą rozmowę Underville siedziała nieruchomo, poruszając tylko rękami pożywiającyymi. Była to postawa, którą Zinmin nazywał czujnością skierowaną do przodu. - Jau Xin został oskarżony o rozpoczęcie prawdziwych ataków.

- Generale, sprawdziliśmy wszystkie zapisy. Pani rozmowy z zafiksowanymi pilotami dają pewnie jeszcze pełniejszy obraz. Jesteśmy pewni, że Jau Xin sabotował znaczną część ataków Emergentów. Znam Jau, pani generał. Znam jego żonę. Oboje darzą Pajaki ogromną sympatią. -Twardogłowi analitycy, między innymi Trixia, uważali, że takie odniesienia do rodziny mogą mieć znaczenie. Być może. Ale Belga Underville mogła należeć do grupy bardziej tradycyjnych Pająków, dla których liczy się przede wszystkim „interes narodu”.

Zinmin Broute stuknął w swoją małą konsolę, przekładając słowa Ezra na język pośredni, a potem na sygnał audio. Z głośnika obok Broute wydobył się nieprzyjemny syk, słowa Ezra ubrane w język Pająków.

Underville milczała przez moment, potem wydawała z siebie przenikliwy pisk. Ezr orientował się, że znaczy to mniej więcej tyle, co pogardliwe parsknięcie.

Wiedział jednak, że ta rozmowa zostanie kiedyś pokazana innym Pająkom. *Me pójdzie ci tak łatwo, Underville.* Ezr sięgnął do torby i wyjął z niej pudełeczko Rity.

- A to co? - spytała Underville. W głosie Zinmina przekładającego jej słowa nie było ani śladu zainteresowania.

- Podarunek dla Jau Xina od jego żony. Ostatnia pamiątka, na wypadek gdyby jednak nie zechciała go pani wypuścić.

VERNOR VINGE

Undendlle siedziała niemal dwa metry od niego, lecz Ezr nie przypuszczał nawet, jak daleko mogą sięgać ręce Pająków. Cztery czarne ramiona, szczuple i ostre niczym włócznie, wystrzeliły w jego stronę i wyrwały mu pudełko z dłoni. Underville przystawiła przezroczystą szkatułkę do jednej części swego szklanego pancerza, potem do innej. Potem próbowała otworzyć pudełko, dźgając je spiczastymi zakończeniami rąk.

- Zamek zaprogramowany jest na dotyk Jau Xina. Jeśli otworzy pani go siłą, zawartość zostanie zniszczona.

- Więc niech tak się stanie. - Underville przestała jednak wciskać czarne ostrza pod pokrywą pudełka. Trzymała je jeszcze przez chwilę, potem syknęła piskliwie i rzuciła je prosto w pierś Ezra.

Paskudne syczenie nie milkło, gdy Zinmin rozpoczął przekład.

- Niech was diabli porwą! - Głos Broute'a wręcz ociekał złością. - Zabierajcie sobie ten prezent dla mordercy. Weźcie sobie Jau Xina i całą resztę.

- Dziękuję pani, generale, dziękuję. - Ezr podniósł się, by wziąć prezent Rity.

Undenrille ucichła na moment, potem znów przemówiła, wydając z siebie dźwięki przypominające syk kropel wody spadających na rozgrzany metal.

- Pewnie chcecie też uratować Ritsera Brughla?

- Nie ratować, pani generał. Przez ostatnie czterdzieści lat Ritser Brughel zabił prawdopodobnie więcej naszych ludzi niż waszych. Jest odpowiedzialny za wiele zbrodni i cierpień ludzkich.

- Zgadza się. Ale jego na pewno wam nie oddamy. - Teraz Broute przemawiał z ogromną pewnością siebie, a Ezr domyślił się, że w tej kwestii między Pająkami nie było żadnych podziałów.

Może tak będzie najlepiej, pomyślał i wzruszył ramionami.

- Dobrze. Wy go ukarście.

Undenrille znieruchomiała, na moment zastygły nawet jej ręce pożywające.

- Ukarać? Źle mnie pan zrozumiał. Te głupie negocjacje zostały nam tylko jednego żywego przedstawiciela waszej rasy. Jakakolwiek kara będzie tylko wynikiem przypadku. Wiele się uczymy, badając ciała martwych ludzi, ale też bardzo potrzebujemy żywego obiektu doświadczalnego. Jakie są wasze fizyczne ograniczenia? Jak reagujecie na eks tremalny ból czy strach? Chcemy to sprawdzić za pomocą bodźców, które nie znajdujemy w waszych bazach danych. Przypuszczam, że Ritser Brughel pożyje jeszcze bardzo, bardzo długo.

Ritser Brughel to najdziwniejszy egzemplarz rodzaju ludzkiego, jaki mogliście znaleźć. Ezr uznał jednak, że nie jest to rzecz, o której powinien mówić w tych okolicznościach. Skinął tylko głową. I zrozumiał, że Ritser znajdzie taki koniec, na jaki sobie zasłużył. Pajęczy koszmar grupmistrza miał stać się jego życiem.

SZEŚCZDZIESIĄT PIĘĆ

Ezr Vinh powrócił na LI w glorii bohatera. Być może jeszcze nigdy żaden właściciel floty ani partner handlowy nie był witany z takim entuzjazmem, jaki widział na Diamentach. Przywiózł ze sobą pierwszą grupę uwolnionych jeńców, łącznie z Jau Xinem. Przywiózł także przedstawiciele ich nowych partnerów: pierwsze Pająki, które znalazły się w kosmosie.

Ezr prawie tego nie zauważał. Uśmiechał się, rozmawiał, a kiedy zobaczył Ritę i Jau razem, poczuł miłą satysfakcję.

Ostatnia z szalupy wyszła Floria Peres. Była jedną z zahibernowanych ofiar Ritsera, zachowaną aż do samego końca. Nawet po dwustu Ksekundach wydawała się śmiertelnie przerażona i zagubiona. Kiedy Ezr wyprowadził ją na otwartą przestrzeń, tłum zgromadzony w korytarzu nagle ucichł. Qiwi wysunęła się do przodu. Prosiła wcześniej, by mogła pomagać ofiarom, kiedy jednak zatrzymała się tuż przed Florią, do oczu napływały jej łzy, a usta drżały nerwowo. Obie kobiety patrzyły na siebie przez chwilę. Potem Qiwi podała Florii rękę, a tłum rozstał się przed nimi.

Ezr przyglądał się ze wzruszeniem temu spotkaniu, ale myślami był już gdzie indziej; Annę Reynolt rozpoczęła defiksację Trixii Ksekunde po tym, jak opuścił Arachnę. Podczas dwustu Ksekund podróży powrotnej na LI Pham informował go regularnie o postępach operacji. Tym razem nie mogli się już wycofać; procedura wykroczyła poza fazę przygotowawczą. Najpierw Trixia została wprowadzona w stan spoczynku, a potem zapadła w sztuczną śpiączkę. Od tego momentu skład substancji psychoaktywnych wydzielanych przez wirusa powoli ulegał zmianie.

- Annę robiła to już setki razy - powiedział Pham. - Mówi, że wszystkim pójdzie dobrze. Trixia powinna wyjść z kliniki kilka Ksekund po twoim powrocie.

Bez opóźnień. Trixia wreszcie będzie wolna.

Dwa dni później otrzymał wiadomość. *Trixia jest gotowa.*

Przed pójściem do kliniki Ezr odwiedził Qiwi. Pracowała ze swoim ojcem przy odbudowie parku. Większość drzew umarła, lecz Ali uważał, że może przywrócić je do życia. Nawet zdefiksowany Ali miał mnóstwo świetnych pomysłów. Teraz jednak mógł też kochać swoją córkę. *IHXia też będzie taka, równie wolna jak przed koszmarem.*

Kiedy Ezr nadszedł ścieżką przez zrujnowany las, Qiwi rozmawiała z Pająkami. Wysoko ponad ich głowami krążyły koty, zmagające się ze sprzecznymi uczuciami: niepoohamowaną ciekawością i arachnofobią.

- Chcemy zrobić coś nowego z jeziorem, rodzaj wolnej formy z własną, szczególną ekologią. - Pająki wydawały się nieco wyższe od Qiwi. W mikrogravitacji nie były już niskimi, szerokimi stworzeniami. Natu-

ralne napięcie w ich kończynach tworzyło pajęczą wersję postawy zero-
wego ciężenia; ich ramiona i nogi ciągnęły się pod nimi, czyniąc z nich
wysokie, szczupłe istoty. W tej chwili mówił najmniejszy z Pająków, praw-
dopodobnie Rhapsa Lighthill. Jej syczący głos brzmiał niemal jak muzy-
ka w porównaniu z głosem Belgi Undendlle.

- Będziemy się temu przyglądać, ale wątpię, czy wielu z nas zechce
tu zamieszkać. Chcemy poeksperymentować z własnymi parkami. - Brou-
te Zinmin tłumaczył wesołym, swobodnym tonem. W tej chwili mógł być
już ostatnim z zafiksowanych tłumaczy.

Qiwu uśmiechnęła się do Pajaka.

- Tak, jestem bardzo ciekawa, co zrobicie. Ja... - Podniosła wzrok,
zobaczyła Ezra.

- Qiwu, mogę z tobą porozmawiać?

Qiwu już szła w jego stronę.

- Chwileczkę, Rhapsa, dobrze?

- Jasne. - Pajaki odeszły na bok, zadając poprzez Zinmina kolejne
pytania Alemu Linowi.

Qiwu zatrzymała się w odległości jakichś trzydziestu centymetrów
od Ezra.

- Qiwu. Dwa tysiące sekund temu zdefiksowali Trixię.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Nadal zachowała dziecięcy
zapał i wiarę. Pomimo tylu nieszczęść Qiwu pozostała otwartym, radosnym
człowiekiem. Obecnie to ona zajmowała się realizacją umów z Pajakami,
ona także cieszyła się ich największym zaufaniem w kwestiach technicz-
nych. Dopiero teraz Ezr mógł się przekonać, jak dalece sięgają jej zain-
teresowania i umiejętności, od dynamiki, poprzez nauki biologiczne aż
do handlu i negocjacji. Qiwu była ucieleśnieniem ideału Queng Ho.

- Czy... czy ona będzie zdrowa? - Qiwu spoglądała na niego szeroko
otwartymi oczami, trzymała przed sobą mocno zaciśnięte ręce.

- Tak! Anę mówi, że jest trochę zdeorientowana, ale jej umysł
i osobowość pozostały nietknięte i... i mogę się z nią zobaczyć jeszcze dzi-
siam.

- Och, Ezr! Tak się cieszę. - Qiwu rozluźniła uścisk i położyła dłonie
na jego ramionach. Nagle jej twarz znalazła się bardzo blisko jego, a jej
usta musnęły jego policzek.

■i- Chciałem się z tobą zobaczyć, zanim z nią porozmawiam. -

Tak?

- Ja... ja chciałem ci podziękować za to, że uratowałaś mi życie, za
to, że uratowałaś nas wszystkich. - *Chciałem podziękować ci za to, że odzy-
skalem duszę.* - Gdybyśmy z Trixią mogli kiedykolwiek zrobić coś dla cie-
bie...

Qiwu na powrót odsunęła się od niego, a jej uśmiech był trochę dziwny.

- Proszę bardzo, Ezr, ale... nie potrzeba żadnych podziękowań. Cie-
szę się, że wszystko dobrze się skończyło.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Ezr odwracał się już do lin, które Ali zainstalował w parku*na czas robót.

- Mam nadzieję, że wszystko dopiero się zaczyna, Qiwi. Wszystkie te lata to był martwy czas, a teraz wreszcie... Zresztą, pogadamy później!
- Pomachał jej na pożegnanie i ruszył pospiesznie w stronę wyjścia.

Reynolt zamieniła salę fiksatów w oddział dla rekonwalescentów. Tu gdzie kiedyś twardogłowi spędzali wachtę za wachtą w służbie grupmistrza, teraz odzyskiwali wolność.

Annę zatrzymała go na korytarzu przed wejściem do sali.

- Zanim tam wejdiesz, musisz wiedzieć...

Vinh pędził już do drzwi. Teraz zatrzymał się gwałtownie.

- Powiedziałas, że wszystko poszło dobrze.

- Tak. Ogólny efekt jest normalny. Zachowała sprawność umysłu, a nawet dotychczasowe umiejętności i wiedzę. Przeprowadzamy ponad trzy tysiące operacji defiksacji, więcej niż kiedykolwiek w historii Emergentów. Jesteśmy w tym coraz lepsi. - Skrzywiła się, nie był to zniecierpliwiony gest z jej starej fiksacji, tylko raczej wyraz bólu. - Szkoda... szkoda, że nie możemy wrócić do tych pierwszych. Myślę, że teraz poszłoby nam lepiej.

Ezr rozumiał ten ból i zawstydził się własnych myśli: *Więc to opóźnienie wyszło jej tylko na dobre.* Truda korzystała z doświadczenia, jakiego zespół Reynolt nabył podczas wcześniejszych operacji. Może zresztą i tak wszystko skończyłoby się dobrze. W końcu Reynolt wyszła z tego bez szwanku. Tak czy inaczej, udało się. A tuż za Reynolt, na końcu zielonego korytarza czekała Trbria Bonsol, królewna wyrwana wreszcie ze snu. Ominął Reynolt, ruszył w dół tunelu.

- Ezr... - wołała za nim Annę. - Pham chce z tobą porozmawiać, kiedy już skończysz.

- Dobra, dobra. -Ale tak naprawdę wcale jej nie słuchał. Już wszedł do sali. Część pomieszczenia nadal była otwarta dla wszystkich, na krzesłach siedziało dziesięć czy piętnaście osób zatopionych w rozmowie. Kilka osób spojrzało w jego stronę, ich oczy błyszczały ciekawością, której nie widziano tam od wielu, wielu lat. Niektóre twarze wyrażały strach i smutek, przypominały twarz Hunte Wena po defiksacji. Uzdrawieni Emergenci nie mieli do kogo wracać. Obudzili się do wolności, ale od wszystkiego, co znali, dzieliły ich lata przestrzeni i życia.

Ezr uśmiechnął się z zakłopotaniem i przemknął obok nich. *Wszystko skończyło się dobrze dla mnie i dla Trixii, ale trzeba też pomóc tym ludziom.*

Drugą część sali podzielono na małe pokoiki. Ezr przelatywał obok otwartych drzwi, przy zamkniętych zatrzymywał się tylko, by przeczytać tabliczkę z nazwiskiem pacjenta. Wreszcie... TRDOA BONSOL. Wyhamował gwałtownie i uświadomił sobie, że nadal jest w ubraniu roboczym,

a jego włosy są w nieładzie. Niczym jakiś twardogłowy ignorował wszystko prócz swej fiksacji.

Przyglądał włosy... i zastukał w plastik prowizorycznych drzwi.

- Proszę.

- ...Cześć... Trixio.

Unosiła się w hamaku przypominającym zwykłe łóżko. Aparatura medyczna otaczała jej głowę delikatną siecią. To nie miało znaczenia, Ezer był na to przygotowany. Annę gromadziła wszelkie dane dotyczące stanu pacjentów, wykorzystywała dane do prowadzenia defiksacji, a potem do opieki nad pacjentami.

Niestety ze względu na te delikatne instrumenty nie mógł uściskać Trixii, przytulić jej do siebie tak mocno, jakby tego chciał. Podleciał bliżej, zapatrzonej w twarz Trixii, zatracony w niej. Trixia także nań spojrziała - nie za niego, nie na monitory, które sobą zasłaniał - lecz prosto w jego oczy. Na jej usta wypłynął drżący, nieśmiały uśmiech.

- Ezer.

I wtedy wreszcie znalazła się w jego ramionach, wyciągnęła ku niemu ręce. Jej usta były miękkie i ciepłe. Trzymał ją przez chwilę, delikatnie tulił do siebie. Potem odsunął głowę, starając się nie dotknąć przy tym sprzętu medycznego.

- Tak wiele razy myślałem, że już nigdy nie wrócisz. Pamiętasz wszystkie te dni... - lata, dziesiątki lat - ...kiedy siedziałem z tobą w tej przekłętej celi.

- Tak. Cierpiałeś bardziej niż ja. Dla mnie to było jak sen, nie uważałam upływu czasu. Wszystko poza fiksacją zdawało się nieważne, niewyraźne. Słyszałam twoje słowa, ale nigdy nie miały dla mnie większego znaczenia. - Położyła dłoń na jego karku, głaskała go delikatnie, jak przed wielu, wielu laty, kiedy naprawdę byli razem.

Ezer uśmiechnął się. *Rozmawiamy. Naprawdę. Wreszcie.*

- A teraz wróciłaś i znów możemy żyć. Mam tyle planów. Miałem dość czasu, by myśleć o tym, co zrobimy, gdy Nau wreszcie przestanie nas gnębić i gdy cię uwolnimy. Pomimo wszystkich nieszczęść, jakie nas tu spotkały, ta misja okazała się ogromnym sukcesem. -Wielkie ryzyko, wielka wygrana. Podjęli jednak ryzyko, dokonali poświęceń, a teraz... - Mamy spory udział w zyskach z wyprawy, z takimi środkami możemy... możemy zrobić wszystko. Moglibyśmy założyć własną Wielką Rodzinę! -Vinh.23.7, Vinh-Bonsol, Bonsol.I. Nieważne, tak czy inaczej, byłaby to ich rodzina.

Trixia nadal się uśmiechała, ale w jej oczach pojawiły się łzy. Pokręciła głową.

- Ezer, ja nie...

Vinh coraz bardziej się rozpętał.

- Trixio, wiem, co chcesz powiedzieć. Jeśli nie chcesz Rodziny, rozu miem to. - Przez długie lata niewoli miał dość czasu, by przemyśleć wszystkie warianty, by zrozumieć, jakie poświęcenia wcale nie są poświęcenia-

OTCHŁAŃ W NIEBIE

mi. Wziął głęboki oddech i powiedział: -Trixio, nawet jeśli chcesz wrócić na Triland... Też chętnie polecę tam z tobą, zostawię Queng Ho. - Rodzina z pewnością nie byłaby tym zachwycona; nie był już młodszym dziedzicem. Ta ekspedycja uczyniłaby Rodzinę Vinh.23 bajecznie bogatą, ale... on wiedział, że niewielka jest w tym zasługa Ezra Vinha. - Możesz być, kimkolwiek tylko chcesz, dla mnie nie ma to znaczenia.

Pochylił się niżej, tym razem jednak delikatnie go odepchnęła.

- Nie, Ezr. Nie chodzi o to. Oboje jesteśmy starsi o wiele lat. Minęło już wiele, wiele czasu, odkąd byliśmy razem.

- To były lata dla mnie! - przemówił Ezr piskliwym głosem. - Ale dla ciebie? Powiedziałaś, że fiksacja przypomina sen, że czasnie miał znaczenia.'

- Niezupełnie. Jeśli chodzi o niektóre sprawy, rzeczy związane z moją fiksacją, pamiętam ten czas lepiej niż ty.

- Ale... - Podniosła rękę, a on posłusznie umilkł.

- Było mi łatwiej niż tobie. Ja miałam swoją fiksację i coś więcej, choć nigdy sobie tego nie uświadamiałam; dzięki Bogu nie wiedzieli o tym także Brughel czy Tomas Nau. Miałam świat, do którego mogłam uciec, świat, który budowałam z moich przekładów.

- Często się nad tym zastanawiałem. Tak wiele rzeczy przypominało opowieści z Epoki Świtu. Więc... to była fikcja, a nie prawdziwe Pająki?

- Nie. To był obraz najbliższy pajęczej rzeczywistości, pajęczemu punktowi widzenia, a jednocześnie dostępny jeszcze dla ludzkiego umysłu. Jeśli poczytasz uważnie, znajdziesz miejsca, których nie należy traktować dosłownie... Jestem pewna, że się tego domyślałeś. Arachna stanowiła moją ucieczkę. Wszystko, co dotyczyło Pajaków, pozostawało w obrębie mojej fiksacji. Chcieliśmy wiedzieć, co to znaczy, być wolnym Pajakiem. A kiedy kochany Sherkaner zrozumiał, nawet na początku, kiedy uważał nas jeszcze za maszyny, nagle świat ten nas zaakceptował.

Właśnie to stało się przyczyną klęski Nau i uratowało ich wszystkich, ale...

- Ale teraz wróciłeś do nas, Trixio. Koszmar się już skończył. Może my być razem, stworzyć coś, o czym nawet nie marzyliśmy!

Znów kręciła głową.

- Nie rozumiesz, Ezr? Oboje się zmieniliśmy, ja nawet bardziej niż ty, choć byłam... - zamyśliła się na moment - ...choć byłam przez wiele lat „zaczarowana”. Rozumiesz? Pamiętam, co do mnie mówiłeś. Ale Ezr, to już nie to samo. Ja i Pająki, razem zbudujemy przyszłość...

Próbował przemawiać spokojnym, przekonującym tonem, sam jednak słyszał w nim paniczny strach. *Boże Handlu, nie mogęj teraz stracić!*

- Wiem. Ty nadal identyfikujesz się z Pajakami. Jesteśmy dla ciebie obcymi.

Dotknęła jego ramienia.

VERNORVINGE

- Trochę. Podczas pierwszych etapów defiksacji czułam się tak, jak by koszarak dopiero się rozpoczynał. Wiem, jak ludzie wyglądają dla mieszkańców Arachny. Bładzi, miękczy, podobni do gąsienic. Przypominamy im robaki, które lęgną się w jedzeniu. Nie jesteśmy dla nich jednak aż tak odpychający jak oni dla nas. - Spojrzała na Ezra i uśmiechnęła się szerzej. - To, jak odwracasz głowę, by coś zobaczyć, jest niezwykle urocze. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wiele Pająków z ojcowskim futrem na grzbiecie, a także wiele samic jest oczarowanych, kiedy z tobą rozmawiają.

Jak w snach, które nawiedzały go, gdy był na dole. Trixia nadal uważała się częściowo za Pajaka.

- Trixio, posłuchaj. Będę przychodził do ciebie codziennie. To się zmieni. Poradzisz sobie z tym.

- Och, Ezr, Ezr. - W powietrzu unosiły się jej łzy, płakała jednak nad nim, nie nad sobą czy nimi dwojgiem. - Właśnie tym chcę być, tłumaczem, pomostem pomiędzy wami i moją nową Rodziną.

Pomostem. *Ona nie wyszła z fiksacji.* Pham i Annę zostawili ją w połowie drogi między fiksacji i wolnością. Ta świadomość była niczym potężnym cios w brzuch... złapały go mdłości, a potem ogromny gniew.

Znalazł Annę w jej nowym biurze.

- Dokończ to, Annę! W mózgu Trixii nadal działa wirus.

Twarz Reynolt wydawała się nawet bledsza niż zwykle. Zrozumiał nagle, że czekała na niego.

- Wiesz, że nie możemy zniszczyć wirusa, Ezr. Możemy to wyciszyć, uspić, ale... - Była niepewna siebie, jakby wystraszona, zupełnie niepodobna do Annę Reynolt z przeszłości.

- Wiesz, o czym mówię, Annę. Ona nadal jest zafiksowana. Nadal jest zafiksowana na-Pająkach, na swojej misji.

Annę milczała. Wiedziała.

- Dokończ dzieła, Annę, uwolnij ją do końca.

Reynolt zacisnęła usta, jakby tłumiąc fizyczny ból.

- Struktury są bardzo głębokie. Straciłaby całą wiedzę, którą dotąd zgromadziła, prawdopodobnie także talent językowy. Stałaby się podobna do Hunte Wena.

- Ale byłaby wolna! Mogłaby nauczyć się nowych rzeczy, jak Hunte.

- Ja... rozumiem. Do wczoraj myślałam, że mogę to zrobić. Mielśmy już rozpocząć ostatni proces restrukturyzacyjny... ale Ezr, Trixia nie chce, byśmy to robili!

Tego było już za wiele jak na jeden dzień. Ezr zaczął nagle krzyczeć:

- A czego się spodziewaliście, do diabła?! Ona jest zafiksowana. - Opanował się nieco, zniżył głos, ale jego słowa kryły w sobie ogromny ła dunek emocji. - Wiem. Ty i Pham nadal potrzebujecie niewolników, szczególnie takich jak Trixia. Nigdy nie zamierzaliście jej uwolnić.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Reynolt otworzyła szeroko oczy, zaczerwieniła się gwałtownie. Ezra nigdy nie widział jej takiej, choć Ritser Brughel zawsze wyglądał podobnie, gdy wpadał we wściekłość. Otworzyła i zamknęła usta, nie wypowiedziawszy ani słowa.

Coś uderzyło w drzwi pokoju, ktoś, kto przybył tu w wielkim pośpiechu. Sekundę później do środka wpadł Pham.

- Annę, proszę. Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział łagodnym, niemal kojącym tonem. Po chwili Annę głośno wciągnęła oddech. Skinęła głową, wydawało się, że kaszle. Milcząc, wyszła zza biurka, lecz Ezra za uważał, jak gwałtownie uściśnieła dłoń Phama.

Pham cicho zamknął za nią drzwi. Kiedy odwrócił się do Ezra, jego twarz nie była już wcale łagodna. Wskazał palcem na krzesło przed biurkiem Reynolt.

- Siadaj.

W jego głosie było coś, co zmroziło wściekłość Ezra i zmusiło go do zajęcia miejsca na krześle.

Pham usiadł po drugiej stronie biurka. Przez moment tylko patrzył na swego młodszego towarzysza. Dziwne. Siła osobowości Phama Nuwe-na zawsze była ogromna, wydawało się jednak, że dopiero teraz naprawdę ją wykorzystał.

- Kilka lat temu odbyłeś ze mną szczerą rozmowę. Zmusiłeś mnie, bym zrozumiał, że się myślę i że muszę się zmienić.

Ezra odpowiedział mu lodowatym spojrzeniem.

- Wygląda na to, że mi się nie udało. - *Tak czy inaczej masz swoich niewolników.*

- Mylisz się, synu. Udało ci się. Niewielu ludzi potrafiło tak zmienić moje spojrzenie na świat. Nawet Sura nie potrafiła tego zrobić. - Dziwny cień przemknął przez jego twarz, milczał przez chwilę. - Zrobiłeś Annę wielką przykrość, Ezra. Myślę, że kiedyś zechcesz ją za to przeprosić.

- Nie sądzę! Oboje tak ładnie sobie wszystko ułożyliście, zracjonalizowaliście. Defiksacja jest dla was po prostu zbyt kosztowna.

- Hm. Masz rację, jest kosztowna. To prawdziwe utrapienie. W emergentnym systemie twardegłowi wspierali praktycznie całą automatykę, ich praca łączyła się nierozdzielnie z pracą maszyn. Co gorsza, wszystkie programy konserwacyjne we flocie były obsługiwane przez fiksatów; teraz została nam po tym tylko sterta śmieci. Minie jeszcze sporo czasu, zanim nasze stare systemy zaczną dobrze pracować... Ale wiesz, że Annę jest Frenkijską Bestią, potworem z diamentowych płaskorzeźb.

- T-tak.

- Więc wiesz też, że zrobiłaby wszystko, by oddać fiksatom wolność. Zażądała tego ode mnie natychmiast po ozdrowieniu, bez tego życie nie miało dla niej sensu. - Zamilkł i odwrócił wzrok od Ezra. - Wiesz, jakie największe zło niesie ze sobą fiksacja? Wcale nie fakt, że to bardzo wydajna forma niewolnictwa, choć i to czyni ją jedną z największych zbrodni-

VERNORVINGE

ni. Nie, najgorsze jest to, że wybawcy sami stają się w pewnym stopniu zabójcami, a ofiary krzywdzone są po raz drugi. Nawet Annę nie rozumiała tego w pełni, a teraz rozdziera jej to serce.

- Chcą być niewolnikami, więc zostawimy ich w takim stanie?

- Nie! Ale fiksat nadal jest ludzką istotą, wcale nie tak bardzo różną od pewnych wyjątkowych osobników, którzy pojawiali się na świecie od zawsze. Jeśli mogą żyć samodzielnie, jeśli potrafią wyraźnie wyrażać swoje pragnienia, cóż, w tym momencie musisz ich słuchać... Jeszcze kilkanaście Ksekund temu myśleliśmy, że leczenie Trbrii zakończy się pełnym sukcesem. Annę zapobiegła przypadkowej ucieczce wirusa. Wiedzieliśmy już, że Trixia nie będzie jednym z psychotyków ani warzywem. Uwolniła się od fiksacji lojalności wobec Emergentów. Można z nią było rozmawiać, śmiać się, pocieszać ją. Ale Trixia absolutnie nie zgadza się na naruszenie głębszych struktur. Zrozumienie Pająków to sens jej życia i ona chce, by tak już zostało.

Przez chwilę obaj milczeli. Najgorsze było to, że Pham mógł wcale nie kłamać. Być może nawet nie racjonalizował. Niewykluczone, że po prostu rozmawiali o czyjejs życiowej tragedii. To znaczyłoby, że zło wyrządzone przez Tomasa Nau będzie prześladować Ezra do końca życia. *Boże, jakie to trudne*. I choć gabinet Reynolt był jasno oświetlony, przypominał mu tamte ciemne chwile w parku tuż po śmierci Jimmy'ego. Pham też tam wtedy był, niósł pocieszenie, którego Ezr nie mógł zrozumieć. Westchnął i otarł twarz wierzchem dłoni.

- No dobrze. Trixia jest wolna. Więc w przyszłości może się zmienić.

- Tak, oczywiście. Ludzka natura zawsze pozostanie nieodgadniona.

- Czekałem na nią przez całe życie. Bez względu na to, ile by to miało trwać, zaczekam.

Pham westchnął ciężko.

- Obawiam się, że naprawdę możesz to zrobić.

- Co?

- Jesteś jednym z bardziej oddanych typów, jakich poznałem. I umiesz postępować z ludźmi. W dużej mierze to dzięki tobie Queng Ho funkcjonowali normalnie pomimo łajdactw Naua.

- Nie! Nigdy nie mogłem znieść tego człowieka. Staralem się tylko uszczknąć to i owo, choć trochę upodobnić to piekło do normalnego życia. A mimo to wielu ludzi zginęło. Nie miałem kręgosłupa ani umiejętności administracyjnych, byłem tylko idiotą, poprzez którego Nau wykorzystywał lepszych ode mnie.

Pham kręcił głową.

- Byłeś jedyną osobą, której zaufałem, którą włączyłem do spisku, Ezr. - Uśmiechnął się szeroko. - Oczywiście zrobiłem to także dlatego, że tylko ty byłeś dość bystry, by odkryć moją prawdziwą tożsamość. Nie ugiałeś się i nie zламаłeś. Nie bałeś się też powiedzieć mi prosto w oczy czegoś, co wcale mi się nie podobało... Wiesz, jak dawno temu się urodziłem.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Ezr podniósł nań wzrok.

- Oczywiście. I co z tego?

- Widziałem wielu bystrzaków. - Szelmowski uśmieszek. - Razem z Surą założyliśmy dużo Wielkich Rodzin w tej części przestrzeni Queng Ho. Ale ty wyrastaszaś ponad przeciętną, Ezr. Cieszę się, że jesteśmy spokrewnieni.

- Hmm... - Ezr nie przypuszczał, by Pham kłamał w tak poważnej kwestii, ale to, co mówił, wydawało się po prostu zbyt... ekstrawagancie... by mogło być prawdziwe.

Ale Pham jeszcze nie skończył.

- Twoje zalety mają też jednak swoją gorszą stronę. - Miałeś dość cierpliwości, by przez wiele Msekund odgrywać swoją rolę. Dążyłeś wytrwale do celu, gdy wielu innych ludzi rozpoczęło całkiem nowe życie. Teraz mówisz, że będziesz czekał na Trixię bez względu na to, ile by to miało trwać. I jestem przekonany, że naprawdę będziesz czekał... wiec nie. Ezr, czy kiedykolwiek myślałeś o tym, że wcale nie trzeba pleśni mózgu, by stać się zafiksowanym? Niektórzy ludzie sami dają się opętać różnym obsesjom. Sam tego doświadczyłem! Mają tak silną wolę albo tak sztywny umysł, że potrafią ignorować wszystko, co znajduje się poza obszarem ich fiksacji. Właśnie tego potrzebowałeś podczas długich lat niewoli. To było coś, co cię uratowało i co pomogło ci wspierać innych Queng Ho. Ale teraz zastanów się nad tym, rozpoznaj problem. Nie marnuj życia.

Ezr przełknął ciężko. Przypomniał sobie teorie Emergentów, twierdzenie, że społeczeństwo zawsze zależy od ludzi, którzy „nie mają życia”.

- Na Trixię Bonsol warto czekać, Pham.

- Zgoda. Mówisz jednak o bardzo wysokiej cenie, chcesz przez resztę życia czekać na coś, co może się nigdy nie wydarzyć. - Umilkł, przechylił głowę na bok. - Szkoda, że nie jesteś zafiksowany emergentem wirusem, łatwiej byłoby cię z tego wyrwać! Jesteś tak zafiksowany na Trixię, że nie widzisz, co się dzieje wokół ciebie, nie widzisz ludzi, których krzywdzisz, ani osoby, która mogłaby cię kochać.

- Hm. To znaczy kogo?

- Pomyśl, Ezr. Kto zaprojektował i zarządzał systemem stabilizującym skały? Kto przekonał Naua, by rozluźnił trochę dyscyplinę? Kto umożliwił powstanie saloniku Benny'ego i farm Gonie Fong? I zrobił to mimo regularnego czyszczenia pamięci? Kto uratował ci tyłek w decydującym momencie?

- Och... - powiedział Ezr słabo, zakłopotany. - Qiwi... Qiwi to dobry człowiek.

Na twarzy Phama pojawił się prawdziwy gniew, po raz pierwszy od klęski Tomasa Naua.

- Obudź się, do cholery!

- To znaczy, Qiwi jest inteligentna, odważna i...

VERNORVINGE

- Tak, tak, tak! Jest geniuszem i to niemal w każdej dziedzinie. Wi-działem w życiu tylko kilka takich osób.

- Ja...

- Ezz, nie wierzę, że jesteś duchowym idiotą, inaczej nie rozmawiał-bym tu z tobą, a z pewnością nie wspominałbym o Qiwi. Ale obudz się! Powinieneś to zobaczyć wiele lat temu - ale byłeś zbyt skupiony na Tri-xii i poczuciu obowiązku. A teraz Qiwi czeka na ciebie, ale bez większej nadziei, bo jest tak ucziwa, że szanuje to, czego chcesz dla Trixii. Pomyśl o tym, jak się zachowuje, odkąd pozbyliśmy się Naua.

- Ona... zajmuje się wszystkim... widuję ją praktycznie co dnia. -Wziął głęboki oddech. To było jak defiksacja - zobaczył nagle to, co wi-k dział już wcześniej, tyle że w zupełnie inny sposób. Rzeczywiście, polegał na Qiwi bardziej niż na Phamie czy Annę. Lecz Qiwi nosiła własne brzemia. Pamiętał wyraz jej twarzy, gdy witała Florię Peres. Pamiętał jej uśmiech, gdy mówiła, że cieszy się z jego szczęścia. Dziwne... nagle zrobiło mu się ogromnie wstyd czegoś, z czego jeszcze przed chwilą nie zdawał sobie sprawy. -Tak mi przykro... ja... po prostu nigdy nie myślałem...

Pham uspokoił się wyraźnie.

- Właśnie na to liczyłem, Ezz. Ty i ja, obaj mamy ten sam problem, za bardzo przejmujemy się ideami, za mało mamy zrozumienia dla ludzi. To coś, nad czym obaj musimy popracować. Pochwaliłem cię przed chwi-lą i wcale nie było to kłamstwem. Ale naprawdę Qiwi jest kimś cudownym i wyjątkowym.

Przez chwilę Ezz nie mógł wykrztusić ani słowa. Ktoś przestawiał me-ble w jego duszy. Trixia, marzenie połowy jego życia, odchodziła w cień...

- Muszę pomyśleć.

- Dobrze. Ale porozmawiaj o tym z Qiwi, dobrze? Oboje chowacie się za murem. Zdziwisz się, gdy zobaczysz, co może wyniknąć ze szczerzej rozmowy.

Kolejna myśl, która była jak nowe słońce. Po *prostu porozmawiaj o tym z Qiwi.*

- Zrobię to... Zrobię!

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Minęło już kilka lat Ciemności, lecz Arachna jeszcze całkiem nie ostygła. Ostatnie suche huragany wciąż szalały na środkowych szeroko-sciach, zbliżając się coraz bardziej do równika.

Pojazd nie miał skrzydeł ani silnika. Zleciał po łuku i wylądował łą-godnie na nagiej skale płaskowyżu.

Z wnętrza pojazdu wyszły dwie postacie, jedna wysoka i smukła, dru-ga niska, z kończynami rozciągniętymi na wszystkie strony.

OTCHŁAŃ W NIEBIE

Major Victory Lighthill postukała w ziemię czubkami rąk.

- Problem w tym, że tu w ogóle nie ma śniegu. Ani śladu. - Machnęła ręką, pokazując na skaliste zbocze odległe o kilkadziesiąt jardów. Śnieg krył się w szczelinach, w miejscach osłoniętych przed wiatrem. - Wiatr rozwiewa wszystko, co tu spadnie. Czujesz wiatr?

Trixia Bonsol pochyliła się do przodu smagana lodowatymi podmuchami. Słyszała, jak wiatr świszcząc za jej kapturem. Roześmiała się.

- Lepiej niż ty. Ja muszę stać w nim tylko na dwóch nogach.

Ruszyły w stronę wzgórza. Trixia maksymalnie wyciszyła łącze audio. Chciała doświadczyć tego czasu i miejsca bezpośrednio, nie rozpraszać się innymi sprawami. Delikatne brzęczenie okna w górnym rogu jej pola widzenia utrzymywało ją w łączności z tym, co działo się w Princeton i w kosmosie. W rzeczywistym świecie poza jej kapturem światło było niewiele jaśniejsze od tego, jakie daje księżyc Trilandu, a na całym ogromnym płaskowyżu poruszały się tylko one dwie i drobiny śniegu niesione wiatrem.

- Więc najprawdopodobniej tutaj Sherkaner wyszedł z helikoptera?

- Tak, choć nic tu nie znaleźliśmy. Plik logu to jeden wielki chaos. Tato kontrolował helikopter Rachnera poprzez sieć. Może leciał do jakiegoś specjalnego miejsca. Ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że trafił tu przypadkiem. - Trixia nie słyszała prawdziwego głosu Victory. Te dźwięki były przetwarzane w jej kapturze. W rezultacie powstawało coś, co nie było mową ludzi ani Pająków, ale Trixia doskonale to rozumiała.

- Ale... - Trixia ogarnęła gestem otaczający je teren. - Sherkaner zachowywał się całkiem rozsądnie nawet na samym końcu, kiedy wszystko się rozpadło. - Mówiła w tym samym pośrednim języku, którego słuchała. Procesor wbudowany w skafander zmieniał jej słowa w dźwięki zrozumiałe dla Viki.

- Gorączka Otchłani może tak właśnie wyglądać - odparła Victory. - Stracił właśnie żonę. Nizhnimor, Jaybert i całe centrum wyleciało w powietrze.

Trixia widziała, że Viki porusza gwałtownie przednimi rękami. Gest ten wyrażał ból, skrywane cierpienie. Kiedy była zafiksowana, wyobrażała sobie, że będzie rozmawiać z nimi twarzą w twarz, na tym samym poziomie. W mikrogravitacji tak to mniej więcej wyglądało. Lecz na ziemi... Cóż, ludzkie ciała rozrastały się w górę, Pajęczce na boki. Gdyby nie patrzyła ciągle w dół, nie widziałyby wyrazu ich „twarzy”, a co gorsza, mogłyby wejść na któregoś ze swych przyjaciół.

- Dziękuję, że tu ze mną przyleciałaś, Trixio. - Pewne elementy po średniego języka wskazywały na to, że głos Viki lekko drży. - Byłam tu i w Gwieździe Południa już wcześniej, oficjalnie, i z moim rodzeństwem. Obiecaliśmy sobie, że na jakiś czas damy temu spokój, ale... nie mogę... nie mogę też zмагаć się z tym sama.

Trixia poruszyła dłonią w sposób, który oznaczał zrozumienie, pocieszenie.

VERNOR VINGE

- Chciałam tu przylecieć, odkąd tylko wyszłam z fiksacji. Nareszcie czuję się jak osoba, a kiedy przebywam z tobą, wydaje mi się, że mam prawdziwą rodzinę.

Wiki wyciągnęła jedną ze swych długich rąk, by podrapać Trixię w łokieć.

- Dla mnie zawsze byłaś osobą. Pamiętam ten dzień, kiedy zginęła Gokna, kiedy generał powiedziała nam o was. Tato pokazał nam nagrania, wszystkie rozmowy, począwszy od pierwszego kontaktu. Wtedy myślał jeszcze, że wy, tłumacze, jesteście jakimś rodzajem sztucznej inteligencji. Ale ty wydawałaś mi się osobą i byłam przekonana, że bardzo lubisz tatę.

Trixia wyraziła gestem uśmiech.

- Kochany Sherk wierzył w takie niemożliwe rzeczy jak sztuczna inteligencja. Dla mnie fiksacja była jak sen. Miałam za zadanie zrozumieć jak najlepiej Pajaki, a wraz z tym przyszły emocje. To był efekt uboczny, którego istnienia Tomas Nau nigdy się nie domyślił. - Pajęcza osobowość przychodziła powoli, rosła wraz z każdym postępem w nauce języka. Punktem przełomowym była debata radiowa, podczas której Trixia, Zinmin i inni naprawdę się przeistoczyli, utożsamili z konkretną grupą Pajaków. *Tak mi przykro, Xopi. Byliśmy zafiksowani, a ty nagle stałaś się naszym wrogiem. Kiedy zniekształciliśmy twoje kody MRI, nie wiedzieliśmy, że cię zabijamy. Każdy z nas mógł być tłumaczem Pedure, każdy z nas mógł być na twoim miejscu.* Wtedy właśnie Trixia po raz pierwszy wykorzystwała łącza i ujawniła się przed Sherkanerem Underhillem.

Gładką do tej pory skałę teraz rozcinały szczeliny, zmieniała się w górskie zbocze. Miejscami zalegał tu śnieg, do mrocznych rozpadlin nie docierał blask słońca ani gwiazd. Victory i Trixia wspinały się na niższe warstwy skał, zaglądały w cienie. Nie były to prawdziwe poszukiwania; raczej złożenie hołdu. Znacznie wcześniej zbadano cały ten teren z powietrza i z orbity.

- Myślisz, że go kiedykolwiek znajdziemy, Victory? - Przez większą część jej zafiksowanych lat Sherkaner Underhill stanowił centrum wszechświata Trixii Bonsol. Prawie nie zauważała Annę Reynolt ani wizyt wiernego Ezra, ale Sherkaner Underhill był kimś rzeczywistym. Pamiętała starego kobera, który potrzebował robaka przewodnika, by nie chodzić w kółko. On nie mógł tak po prostu umrzeć, zniknąć bez śladu.

Victory milczała przez chwilę. Stała kilka metrów wyżej, zaglądała pod półkę skalną. Jak wszyscy przedstawiciele swej rasy potrafiła z niezwykłą zręcznością wspinać się na skały.

- Tak, myślę, że kiedyś to się stanie. Wiemy, że nie jest na powierzchni. Może... Myślę, że Mobiy miał szczęście i znalazł jakiś głębszy otwór. Ale nawet to nie byłoby dobrą otchłanią, ciało tato wyschłoby na śmierć w krótkim czasie. - Wyszła spod nawisu. - Zabawne. Kiedy Plan się rozpadł, myślałam, że straciliśmy mamę, a możemy uratować tatę. Teraz...

Wiesz, że ludzie zrobili właśnie nowe sonogramy niższych warstw Gwiazdy Południa? Pociski zniszczyły Salę Obrad i wyższe warstwy. Pod spodem znajdują się miliony ton popękanego podłoża skalnego - ale jest tam też otwarta przestrzeń, to, co zostało z superotchłani Południowców. Jeśli mama i Hrunk zdołali się tam dostać...

Trixia zmarszczyła brwi, widziała te wiadomości.

- Ale z raportu wynika, że nie mogą rozkopać tego miejsca, że to zniszczyłoby otwartą przestrzeń. - A po nadejściu Nowego Słońca miliony ton skały z pewnością zapadną się do tej otchłani.

- Och, przecież mamy dość czasu, by wymyślić jakiś plan. Usprawnimy ludzkie technologie górnicze. Może uda nam się podejść tam z bardzo dużej głębokości i zachować równowagę dzięki kaworytowi. Myślę, że przed następnym Nowym Słońcem dowiemy się, co jest w tych superotchłaniach. A jeśli są tam mama i Hrunk, zdołamy ich uratować.

Szły na północ, wzdłuż zbocza. Nawet jeśli było to wzgórze, przy którym Sherkaner opuścił Thracta, to z pewnością zawędrowały już daleko od miejsca, gdzie Rachner mógł bezpiecznie wylądować. Mimo to Victory zaglądała do każdego cienia.

Trixia nie mogła za nią nadążyć. Wyprostowała się i spojrzała w drugą stronę. Niebo nad południowym horyzontem błyszczało jakby rozpalone łuną wielkiego miasta. I prawie tak było. Zniknęły stare wyrzutnie rakiet, ale Pająki wykorzystywały płaskowyż w inny sposób. Kopalnie kaworytu. Inwestowały tu przedsiębiorstwa z całego świata. Z orbity widać było ogromne połacie rozkopanej ziemi, ciągnące się od pierwszych otworów wykonanych przez Kindred na tysiącu mil płaskowyżu. Pracowało tu teraz milion Pajaków. Nawet gdyby nigdy nie udało im się zsyntezować magicznej substancji, wydobyty kaworyt i tak miał zrewolucjonizować lokalne loty kosmiczne, częściowo zrównoważyć brak innych ciał w tym układzie słonecznym.

Victory zauważyła, że Trixia zwolniła tempo. Odszukała okrągły, osłonięty przed wiatrem głąz i przysiadła na nim. Trixia usiadła obok niej zadowolona, że mogą być na tym samym poziomie. Patrzyły na południe, na setki pagórków, z których każdy mógł oznaczać miejsce ostatniego spoczynku Sherkanera. Tymczasem na niebie poruszały się maleńkie punkty światła, antygravitacyjne transportowce, wyciągające na orbitę tony materiałów budowlanych. We wszystkich ludzkich historiach antygravitacja była jednym z Niespełnionych Marzeń. Tu stała się rzeczywistością.

Viki milczała przez dłuższy czas. Człowiek, który nie znał Pajaków, mógłby pomyśleć, że śpi. Trixia widziała jednak nieznaczne ruchy rąk pożywiających, słyszała nieprzetłumaczone popiskiwanie. Od czasu do czasu Viki zachowywała się właśnie w ten sposób: od czasu do czasu musiała odrzucić pozę, którą przybierała w obecności swego zespołu, Belgi Underville czy przybyszów z kosmosu. Mała Victory spisała się bardzo

YERNOR YINGE

dobrze, na pewno nie gorzej, niż zrobiłaby to jej matka; Trixia była o tym przekonana. To ona doprowadziła do ostatecznego sukcesu Plan realizowany przez jej rodziców. Trixia widziała na swoim wyświetlaczu kilkanaście transmisji przeznaczonych dla major Lighthill. Jedna, dwie godziny samotności to wszystko, na co Victory mogła sobie teraz pozwolić. Prócz Brenta Trixia była prawdopodobnie jedyną istotą, która знаła wątpliwości nurtujące Victory Lighthill.

Na niebie pojawiła się OnOff, pokrywając równinę setkami nieregularnych cieni. Na Wysokiej Ekwatorii panowała teraz temperatura wyższa od tej, którą Arachna miała osiągnąć za kilka lat, lecz nikłe promienie słońca mogły jedynie podnieść delikatną mgiełkę sublimowanego lodu.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, Trixio. Generał i tato byli bardzo mądrzy. Nie mogli oboje zginąć. Ale i oni, i ja musieliśmy zrobić dużo bardzo trudnych rzeczy. Zginęło wielu ludzi, którzy nam ufali.

- To była wojna, Victory. Przeciwno Pedure, przeciwko Emergentom. - Właśnie to powtarzała sobie Trixia, kiedy myślała o Xopi Reung.

- Tak. A ci, którzy przetrwali, całkiem nieźle prosperują. Nawet Rachner Thract. Nigdy nie wróci do królewskiej służby. Czuje się zdradzony. Został zdradzony. Ale teraz jest z Jirlibem i Didi tam na górze... - wyciągnęła rękę w stronę LI - * ...staje się swego rodzaju pajęczym Queng Ho. - Znów umilkła, potem nagle uderzyła rękę w skałę. Trixia wyczuwała, że jej prawdziwy głos przepełniony jest gniewem. - Do cholery, mama była dobrym generałem! Nigdy nie potrafiłabym dokonać tego, co ona; za dużo jest we mnie taty. Na początku to mi tylko pomagało, geniusz taty i jej uzupełniały się nawzajem. Ale coraz trudniej było ukryć nasz Plan. Wideomancja stanowiła świetną przykrywkę, dzięki niej mieliśmy niezależny sprzęt i tajny strumień danych tuż pod paszczami ludzi. Ale gdybyśmy popełnili tylko jeden błąd, gdyby ludzie się czegoś domyślili, zginęlibyśmy wszyscy. To był najstraszliwszy koszmar mamy.

Jej ręce pożywiające zatrzepotały nerwowo, z ust wydobył się przytłumiony syk. Victory płakała.

- Mam tylko nadzieję, że powiedziała Hruncknerowi. To był nasz największy, najbardziej lojalny przyjaciel. Kochał nas, choć uważał za wybryk natury. Ale mama nie mogła tego zaakceptować. Chciała zbyt wiele od wuja Hrunka, a kiedy ten nie potrafił się zmienić... -Trixia położyła rękę na grzbiecie Victory, jakby chciała ją uściskać i pocieszyć. - Wiesz, jak bardzo tato chciał powiedzieć Hrunkowi o swoim Planie. Podczas tego ostatniego spotkania w Princeton myśleliśmy, że się nam uda, że ma wreszcie da się przekonać. Ale nie... generał była taka... nieprzejed nana. W końcu... cóż, chciała, by Hrunck poleciał z nią do Gwiazdy Połu dnia. Skoro zaufała mu na tyle, to chyba powiedziała mu też całą resztę, prawda? Powiedziała mu, że nie poświęcali się nadaremnie.

EPILOG

siedem lat później...

Świat Pajaków miał księżyc; skały LI sprowadzono na orbitę synchroniczną na długości geograficznej Princeton. Mieszkańcy większości zamieszkaných światów uznaliby to raczej za namiastkę księżyca, iskierkę ledwie widoczną z powierzchni planety. Zawieszane na wysokości czterdziestu tysięcy kilometrów Diamenty błyszczały blado w blasku gwiazd i słońca. Przypominały jednak połowie świata, że wszechświat nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażano.

Przed sztucznym księżycem i za nim ciągnął się sznur maleńkich gwiazd, paciorków, które z roku na rok świeciły coraz mocniej - kwatery i fabryki Pajaków. Na początku były to chyba najprymitywniejsze budowle, jakie kiedykolwiek znalazły się w przestrzeni kosmicznej, tanie, zbyt masywne i zatłoczone, zawieszane na kaworytowych skrzydłach. Pajaki jednak uczyły się szybko i dobrze...

Nie było to pierwsze uroczyste przyjęcie, jakie odbywało się w Wielkiej Kwaterze Arachny. Sam Król przybył na orbitę, by pożegnać flotę wylatującą do Trilandu. Flota składała się z czterech okrętów wyremontowanych i wyposażonych przez nowe przedsiębiorstwa jego imperium i całego świata. Okrety niosły do Trilandu nie tylko mieszkańców tej planety, Queng Ho i byłych Emergentów. Na ich pokładzie znalazło się także dwieście Pajaków prowadzonych przez Jirliba Lighthilla i Rachnera Thracta. Wieźli pierwsze egzemplarze usprawnionych napędów rakietowych i sprzętu hibernacyjnego. Co ważniejsze, mieli także klucze do zaszyfrowanych informacji przekazanych wcześniej przez lata świetlne do Trilandu i Canberry.

Na uroczystość pożegnalną przybyło prawie dziesięć tysięcy Pajaków - Król na jednym z pierwszych planetarnych promów - a samo „przyjęcie” trwało ponad trzysta Ksekund. Od tej pory w przestrzeni okołopla-netarnej Arachny przebywało więcej Pajaków niż ludzi.

Pham Nuwen tylko się z tego cieszył. Cywilizacje Klientów powinny władać terytorium wokół swych planet. Ba, dla Queng Ho była to wręcz ich najważniejsza funkcja - tu przecież znajdowały się stocznie, w któ-

VERNOR VINGE

rych można wyremontować i doposażyć okręty, tu były także towary, które czyniły podróże międzyplanetarne zyskownym przedsięwzięciem.

Przed drugim odlotem Wielka Kwatera była niemal równie zatłoczona jak przy pożegnaniu Trilandczyków, samo przyjęcie odbywało się jednak w kameralnym gronie kilkunastu osób. Pham wiedział, że Ezr, Qiwi, Trixia i Viki urządziły to tak, by ludzie mogli ze sobą swobodnie rozmawiać. Być może była to ostatnia okazja, przy której tak wielu ważnych uczestników minionych zdarzeń mogło spotkać się w jednym miejscu i czasie.

Sala balowa Wielkiej Kwatery Arachny stanowiła coś nowego we wszechświecie. Pająki przebywały w kosmosie zaledwie od dwustu Msekund, niecałych siedmiu arachnańskich lat. Sala balowa była dla nich pierwszą próbą stworzenia okazałej i pięknej budowy w przestrzeni pozbawionej grawitacji. Nie potrafiły jeszcze budować parków na skalę Queng Ho. Właściwie większość Pajaków nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że dla międzygwiazdnych podróżników żywy park jest największym symbolem ich mocy i umiejętności. Projektanci Króla pożyczyci od Queng Ho nieorganiczną konstrukcję i próbowali przystosować ich własne tradycje architektoniczne do mikrogravitacji. Bez wątpienia jeszcze przez następne sto lat ich starania nie mogły przynieść jakichś niesamowitych efektów. A może błędy miały się stać częścią tradycji.

Zewnętrzna ściana była mozaiką złożoną z setek przezroczystych płytek osadzonych w tytanowej siatce. Niektóre wykonano z diamentu, inne z kwarcu, jeszcze inne z substancji, których Pham nie potrafił rozpoznać. Pająki nadal preferowały naturalne, bezpośrednie widoki. Wideotapety i ludzkie technologie wizualne nadal nie dorównywały spektrum pajęczego wzroku. Wielościenna powierzchnia pięła się w górę, tworząc kulę średnicy pięćdziesięciu metrów. U jej podstawy projektanci umieścili pocięty tarasami pagórek, a na jego szczycie stoły i krzesła dla biesiadników. Na zbocze - według arachnańskich standardów bardzo łagodne - prowadziły szerokie schody. Dla ludzkich oczu pagórek był szczytem o urwistych krawędziach, a schody dziwną drabiną o szerokich stopniach. Ogólny i najważniejszy efekt polegał jednak na tym, że z każdego miejsca przy stole zarówno przed ludźmi, jak i Pajakami rozciągał się widok na pół nieba. Wielka Kwatera była długą budowlą, stabilizowaną pływowo, a sala balowa znajdowała się po stronie zwróconej ku Arachnie. Komuś, kto patrzył wprost w górę, świat Pajaków przesłaniał większość nieba. Dla kogoś, kto patrzył w bok, Diamenty i ludzkie kwatery wyglądały jak uporządkowana sterta kamieni, z każdym rokiem coraz dłuższa. Z drugiej strony otwierał się widok na Królewskie Stocznie. Z tej odległości wyglądały jak garść niepozornych światełek, rozbłyskujących od czasu do czasu miniaturowymi błyskawicami. Pająki tworzyły narzędzia do budowy narzędzi. Za rok lub dwa miały rozpocząć budowę swego pierwszego okrętu kosmicznego.

OTCHLAŃ W NIEBIE

Annę i Pham przybyli na miejsce dokładnie o wyznaczonym czasie. Lecieli w górę zbrocza, odbijając się co jakiś czas od stopni, by utrzymać właściwy kierunek. Gospodarze już na nich czekali, Trixia i Viki, Qiwi i Ezz, podobnie jak inni goście, zarówno Pająki, jak i ludzie. Annę i Pham jako bohaterowie wieczoru mieli przybyć ostatni.

Kiedy wszyscy zajęli już miejsca przy stole, z podstawy wzgórze wyszli arachnańscy kelnerzy, niosący mieszankę ludzkich i pajęczych potraw. Obie rasy mogły bez przeszkód jeść w swoim towarzystwie, choć ich pożywienie wyglądało dla drugiej strony wręcz groteskowo.

Zwyczajem Pająków jedli ciepłe przekąski w absolutnej ciszy. Potem Trbda Bonsol wstała ze swego miejsca między Pająkami i wygłosiła przemówienie równie oficjalne i wzniosłe jak to, którym żegnano Jirliba. Pham jęknął w duchu. Prócz Belgi Underville wszyscy obecni byli jego bliskimi przyjaciółmi. Wiedział, że większość nie przepada za tego rodzaju formalnościami. Nad przyjęciem ciążył jednak smutek większy, niż powinien towarzyszyć zwykłemu pożegnaniu. Pham rozejrzał się ukradkiem dokoła. Wszyscy tacy poważni, ludzie ubrani w oficjalne stroje rodem z epok odległych o tysiące lat. Wyglądało na to, że musieli w ten sposób uczynić zadość dyplomatycznym subtelnościom. Underville była tu prawdopodobnie najbardziej wymagającą osobą, lecz i ona nie przepadała za takim formalnościami. Pham podejrzewał, że jeśli ktoś nie przemówi ludzkim głosem, mogą spędzić cały wieczór w milczeniu.

Kiedy więc Trixia skończyła, Pham delikatnie opróżnił półlitrową bańkę z winem w powietrzu nad swym miejscem przy stole. Czerwona ciecz kołysała się i trzęsła, a zakłopotani goście nie wiedzieli, jak zareagować na ten zaskakujący czyn bohatera wieczoru. Tymczasem ten wsadził palec w środek czerwonego bąbla i poruszał nim energicznie. Wino rozciągnęło się na boki, zwinęło w warkocz, utrzymywany w całości napięciem powierzchniowym. Teraz z pewnością ściągnął na siebie uwagę wszystkich biesiadników, nawet bardziej Pająków niż ludzi. Pham oddalił kelnera, który podleciał bliżej z serwetką próżniową w ręce. Uśmiechnął się szeroko do swojej publiczności.

- Ładna sztuczka, co?

Qiwi pochyliła się nad stołem, by nań spojrzeć.

- Byłaby ładniejsza, gdybyś teraz z powrotem wsadził to do butelki. - Ona także się uśmiechała. - Wiem, jak to się kończy; moja córka też bawi się jedzeniem.

- Tak. No cóż, postaram się jak najdłużej utrzymać to w jednym kawałku. - Jego dłoń ponownie uformowała warkocz w chwijną kulę. Jak dotąd nie poplamiał sobie nawet koronki na mankietach koszuli. Qiwi przyglądała mu się uważnie, kierowana ciekawością zawodową. Kiedyś dokonywała tego rodzaju sztuczek ze skałami o masie wielu miliardów ton. Pham już wcześniej był pewien, że mała Kira Vinh-Lisolet bawi się swoim jedzeniem; Qiwi prawdopodobnie sama ją do tego zachęcała.

VERNOR VINGE

Zostawił czerwoną kulę na swoim miejscu i gestem nakazał kelnerom, by podali następne danie.

- Później pokażę wam inne sztuczki, obserwujcie mnie tylko uważnie.

Victory Lighthill uniosła się lekko nad swoją grzędą. Jej głos przypominał smutny świergot ptaka.

- Sztuczki... smutne dawno zniknąć... dreksip. - Przynajmniej tyle zrozumiał Pham. Choć upłynęło już tyle czasu i choć korzystał z pomocy urządzenia, które pomagało mu rozróżniać poszczególne fonemy, nadal nie mógł poradzić sobie z językiem Pająków, trudniejszym od jakiegokolwiek znanego mu języka ludzi. Trixia, która siedziała obok Underhill, uśmiechnęła się i przetłumaczyła dla wszystkich.

- Będzie nam brakowało twoich sztuczek, Czarodzieju. - Jej głos przeniknięty był tym samym smutkiem, który słyszał w słowach Pajaka. *Do diabła. Robią z tego stypę.*

Pham uśmiechnął się więc promiennie i udał, że nie rozumie, o czym właściwie mówiła Victory.

- Tak. Za niecałą megasekundę Annę i ja odlecimy stąd. - Razem z tysiącem innych ludzi, Emergentami, eksfiksatami, nawet całkiem sporą grupą Queng Ho. - Wrócimy być może dopiero za dwieście lat. Ale co tam! Queng Ho często rozstają się nawet na dłużej. Wiem, że w waszych stocznicach wkrótce powstaną nowe okręty. - Wskazał na światełka migoczące na niebie za Victory Lighthill. - Wielu z was także wyruszy w podróż. Najprawdopodobniej z niektórymi spotkamy się jeszcze w przyszłości, a wtedy będziemy mogli podzielić się nowymi opowieściami, jak zawsze czynią to Queng Ho i ludzie ze światów, które wysyłają swe okręty w kosmos.

Ezr Vinh kiwał głową.

- Tak, z pewnością tak się stanie, choć nie wiemy jeszcze kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach. Lecz dla wielu z nas to będzie ostatnie spotkanie. - Ezr nie spojrzał mu prosto w oczy. *Wgłębi duszy nawet on wąt pi.* A Ezr poświęcił połowę swego udziału w zyskach, by pomóc Phamowi i Annę w przygotowaniach do tej wyprawy.

Qivi położyła dłoń na ramieniu Ezra.

- Myślę, że powinniśmy ustalić datę i miejsce następnego spotkania, jak robią to wszystkie Wielkie Rodziny. - Spojrzała na Annę i uśmiechnęła się. Teraz Qivi była nie tylko inżynierem, ale i matką. Wydawało się, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Czasami jednak dostrzegał w niej ogromny smutek, być może wtedy, gdy myślała o swojej matce, tej drugiej Kirze. Qivi wręcz zachęcała ich do tej wyprawy na Balacreę. Ba, na pewno poleciałaby z nimi, gdyby nie Ezr, jej dzieci i nowy świat, który tu budowała. Ezr nauczył się bardzo wiele rzeczy związanych z kierowaniem ludźmi, szczególnie odkąd stał się prawdziwym zarządcą floty dla wszystkich ludzi w układzie OnOff. Lecz

OTCHŁAŃ W NIEBIE

geniusz Qiwi był podstawą, na której wspierały się jego działania. To ona potrafiła odgadnąć, jakie technologie i rozwiązania Pająki będą sobie cenić najbardziej. Gdyby nie ona, stocznie Pajaków nadal byłyby tylko marzeniem. Ezr zawsze uważał siebie za nieudanego młodszego syna. *Ciekawe, czy Ezr i Qiwi naprawdę rozumieją, co tworzą.* Mieli już kilkoro dzieci, podobnie jak Rita i Jau, i wielu innych. Gonie i Benny zbudowali przedszkole dla maluchów, miejsce, gdzie dzieci i kobliki bawiły się ze sobą, w czasie gdy ich rodzice pracowali. Ludzko-pajęczce przedsięwzięcia rozrastały się z każdym rokiem. Podobnie jak Sura Vinh przed wielu laty, Qiwi i Ezr nie musieli osobiście nigdzie podróżować, by uczynić ten skrawek przestrzeni Queng Ho kolebką nowej potęgi, cywilizacji, która miała przyćmić Canberre i Namąem. Nowa potęga. Tak!

- Zgoda, ustalimy w takim razie datę spotkania. Następne Nowe Słońce, a może kilka Msekund później, bo o ile dobrze pamiętam, zaraz po wybuchu nie jest tu szczególnie przyjemnie. - Jakies dwa stulecia. *To pasowałoby do moich planów.*

Victory odezwała się poprzez Trixię:

- Tak, na początku następnej Jasności. Tutaj, w Wielkiej Kwaterze, bez względu na to, jak będzie wtedy wielka. - Cichy śmiech. - Muszę sobie zapisać, żeby wtedy nie spać albo nie polecieć w drugi koniec galaktyki.

- Zgoda, zgoda - powtarzali wszyscy przy stole.

Belga Underville buczała i syczała, i jak zwykle Pham nie zrozumiał ani słowa z jej przemowy, domyślał się tylko, że traktuje te plany z niedowierzaniem. Na szczęście jako szefowa królewskiego wywiadu miała na swych usługach tłumacza. Zinmin Broute siedział obok niej i przysłuchiwał się jej z lekkim uśmiechem. Wyglądało na to, że Broute nawet lubi tę starą złošnicę. Kiedy skończyła, przegonił z twarzy uśmiech i przybrał groźną minę.

- To jakies kpiny albo ludzkie szaleństwo, którego jeszcze nie rozumiem. Macie wszystkiego trzy okręty i chcecie obalić całe imperium Emergentów? Przez ostatnie siedem lat powtarzaliście nam, że Pająki nie muszą obawiać się inwazji z zewnątrz, że cywilizacja planetarna na odpowiednim etapie rozwoju zawsze może znaleźć skuteczne środki obrony. Emergenci z pewnością mają na swoim terytorium tysiące okrętów wojskowych, a wy chcecie ich pokonać. Okłamywaliście nas czy mówicie tylko o swoich mrzonkach?

Victory Lighthill zadała pytanie tak proste i bezpośrednie, że Trixia nie musiała tłumaczyć.

- Czy... pomogą wam... inni Queng Ho?

- Nie. - Ezr pokręcił głową. - Powiem wam szczerze. Queng Ho nie lubią walczyć. Znacznie łatwiej jest pozostawić tyranie samym sobie. Jest takie stare przysłowie Queng Ho: „Niech handlują sami ze sobą”.

VERNOR VINGE

Annę Reynolt milczała do tej pory. Teraz włączyła się do rozmowy:

- Nieprawda, Ezr. Wy nam pomogliście... - Odwróciła się do Belgi Undendlle. - Pani generał, ktoś musi to zrobić. Emergenci i fiksacja to coś nowego. Jeśli zostawimy ich samym sobie, będą rosnąć w siłę i kiedyś wyruszą na podbój innych światów, może nawet waszego.

Gest Underville w oczywisty sposób wyrażał niedowierzanie.

- No tak, kolejne sprzeczności. Przez ostatnie lata przekonywaliście nas, byśmy zajmowali się nie tylko handlem, ale i pomogli wam przygotować się i uzbroić do tej wyprawy. - Człowiek spojrzalby w tym momencie znacząco na Victory Lighthill; to Victory namówiła Króla, by przychylił się do próśb ludzi. - Ale co przyjdzie wam z tego, że popelnicie samo bójstwo? Bo tak widzę wasze szanse.

Annę uśmiechnęła się lekko, ale Pham widział, że jest zdenerwowana. Belga zadawała te same pytania przy bardziej oficjalnych okazjach i trudno było przypuszczać, by dziś otrzymała satysfakcjonującą odpowiedź. Pytania te dręczyły także Annę. Belga nie rozumiała jednak, że Annę wyprawa ta dawała szansę, jakiej nie miała nigdy dotąd.

- Nie, to nie jest samobójstwo, pani generał. Mamy kilka atutów, a Pham i ja wiemy, jak je wykorzystać. - Położyła dłoń na ramieniu Phama. - Wyna jęłam do tego zadania jednego z niewielu dowódców w historii ludzkości, którzy potrafili dokonać podobnej sztuki.

Tak, pogrom w Strentmann był podobny. Boże, miej nas w swej opiece. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Pół litra wina powoli leciało do góry. Pham włożył palec w środek kuli i delikatnie przesunął ją na swoje miejsce.

- Mamy atuty bardziej konkretne niż moje dowództwo. Annę zna do skonale wewnętrzne systemy Emergentów, wie o nich więcej, niż jakikolwiek grupmistrz. - A ich mała flota była wyposażona w niezwykle sprzęt, pierwsze produkty nowej ludzkiej/pajęcznej technologii. - Lecz nie to stało się o największej sile floty. Załogi trzech okrętów składały się w większości z eksfiksatów, którzy znali mechanizmy emergentycznej automatyki i którzy równie mocno jak Annę pragnęli ją zniszczyć. Było wśród nich nawet kilku zdefiksowanych Emergentów. Wygłaszając swą mowę, Pham zauważył, że Jau Xin obserwuje go z uwagą - a Rita Liao obserwowała Jau. Polecieli by z nim, gdyby nie mieli trójki maleńkich dzieci. Lecz na wet teraz sprawa nie była ostatecznie przesądzona. Pham miał jeszcze cztery dni, by ich przekonać. Przed podróżą do układu OnOff Xin był zarządcą pilotów wuja Nau. Ostatnie komunikaty z Balacrei świadczyły o tym, że klika Nau znów jest u władzy.

Opisując plany ataku, Pham patrzył na twarze współbiesiadników-Ezr i Qiwi, Trixia i Victory, z pewnością Jau i Rita. *Tak naprawdę wcale nie traktują tego jak stypy. Wiedzą, że mamy spore szanse, ale martwią się o nas.*

- Badamy też cały czas archiwum Nau i przekazy, które otrzymywał - które ciągle otrzymujemy - z Balacrei. Spreparowaliśmy odpowiedzi tak,

OTCHLAŃ W NIEBIE

by myśleli, że wygrali tu Emergenci. Chcemy wejść do systemu, nim zorientują się, że nie mamy przyjaznych zamiarów. Wiemy bardzo dużo o różnych tarcjach i rozgrywkach na szczytach władzy. W sumie... - W sumie było to przedsięwzięcie, którym nie powinni się zajmować. Ale Annę miała rację co do fiksacji i pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. A później... cóż, później był jego wielki projekt, a pomoc Annę warta była największego nawet ryzyka. - W sumie mamy szansę. Oczywiście sporo będzie zależeć od szczęścia i przychylności losu. Chciałem nazwać nasz okręt flagowy „Motyka na słońce”, ale Annę mi nie pozwoliła.

- Ha! - parsknęła Annę. - Myślę, że „Nagroda Emergentów” jest znacznie odpowiedniejszą nazwą. A kiedy już wygramy, możesz zmienić nazwę na „Motyka na słońce”!

Podawano już pierwsze danie bankietu, Pham nie zdążył jej więc odpowiedzieć. Pokazał więc tylko wszystkim, jak wsadzić pół litra wina z powrotem do bańki, nie roniąc przy tym ani kropli. Uśmiechnął się do siebie. Nawet inni Queng Ho nie widzieli wcześniej takiej sztuczki. Cóż, podróże kształcą.

Bankiet trwał ładnych parę Ksekund. Mieli czas, by porozmawiać o wielu rzeczach, powspominać miejsca, w których byli, i przyjaciół, którzy dawno już odeszli. Największa niespodzianka nadeszła jednak dopiero tuż przed końcem, kiedy Annę powiedziała coś, czego nie domyślał się żaden z Pająków, nawet Victory Lighthill.

W miarę upływu czasu Annę uspokajała się i rozluźniała. Pham wiedział, że w towarzystwie większej grupy ludzi nadal czuje się skępowana. Mogła odegrać niemal każdą rolę, ale w rzeczywistości była nieśmiała i skryta. Nauczyła się ufać tym ludziom; dopóki rozmowa nie dotyczyła spraw Emergentów, Annę naprawdę dobrze się bawiła. Poza tym nadal miała wiele rzeczy, których potrzebowali jej przyjaciele. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała defiksatów. Pham przysłuchiwał się jej rozmowie z Trixią Bonsol i Victory Lighthill. Annę miała wiele świetnych pomysłów, które mogły usprawnić współpracę ludzi i Pająków. *Odkąd cię tylko zobaczyłem, wydawałaś mi się wyjątkowa.* Ognistorude włosy, blada, niemal różowa cera. Taki kontrast z jego czarnymi włosami i śniadą skórą. Po tej stronie Ludzkiej Przestrzeni uroda Annę należała do rzadkości. On wiedział jednak, co kryje się za tą urodą, inteligencja, odwaga... Wyprawa na Balacreę w jej towarzystwie sama w sobie będzie fascynującą i wartą zachodu przygodą, nawet jeśli nie mieliby żadnych planów na potem.

Wśród ludzi roznoszono drinki. Pajaki dostały w tym czasie małe czarne kulki; po przebicciu skorupy wysysały z nich zawartość i wypływały resztki do eleganckich sopluczek.

Pham wznosił toasty za powodzenie planów każdej z grup obecnych na bankiecie i za spotkanie, które miało odbyć się w tym samym miejscu dwieście lat później.

VERNOR VINGE

Ezr Vinh wychylił się zza Qiwi, by spojrzeć na niego.

- A po spotkaniu? Po wyzwoleniu Balacrei i Frenk? Co wtedy? Kiedy nam wreszcie o tym powiesz?

Annę uśmiechnęła się do Phama.

- Tak, powiedz im o tym, jak chcesz strącić słońce motyką.

- Hm... - Pham wcale nie musiał udawać zakłopotania. Nie rozmawiał o tym jeszcze z nikim prócz Annę, być może dlatego, że był to plan ogromny nawet w porównaniu z jego ogromnymi planami z przeszłości. - No dobrze. Wiecie, dlaczego przylecieliśmy na Arachnę; ze względu na zagadkę OnOff oraz obecność inteligentnych istot. Przez czterdzieści lat żyliśmy z buciorem Tomasa Naua na karkach, ale i tak dowiedzieliśmy się zdumiewających rzeczy.

- To prawda - rzekł Ezr. - Ludzkość nigdy jeszcze nie znalazła w jednym miejscu tak wielu różnorodnych i cudownych rzeczy.

- My, ludzie, myśleliśmy, że wiemy, co jest niemożliwe. Tylko nieliczni szaleńcy nie chcieli się z tym pogodzić, głównie astronomowie obserwujący tajemnicze zjawiska we wszechświecie. Cóż, OnOff była pierwszą tajemnicą, której mogliśmy przyjrzeć się z bliska. I spojrzcie tylko, co znaleźliśmy: fizykę gwiazdową, której nadal nie potrafimy do końca zrozumieć; kaworyt, o którym wiemy jeszcze mniej...

Pham przerwał, zauważywszy wyraz oczu Qiwi. Przypomniała sobie zapewne jakąś scenę z koszmaru. Odwróciła wzrok, lecz gdy Pham nadal milczał, powiedziała cicho:

- Tomas Nau często mówił w ten sposób. Tomas był złym człowiekiem, ale... -Ale źli ludzie, ci najbardziej niebezpieczni, często mają świetne pomysły. Qiwi kontynuowała pewniejszym już tonem: - Pamiętam, kiedy fik-saci przeprowadzali analizę DNA lodu oceanicznego, który podnieśliśmy z Arachny. Ta różnorodność... Większa niż na tysiącu światów. Analitycy myśleli, że jest to spowodowane różnorodnością nisz biologicznych na planecie. Tomas... Tomas uważał, że przyczyna tkwi gdzie indziej, że kiedyś, bardzo dawno temu, Arachna była skrzyżowaniem dróg kosmicznych.

Ezr ujął dłoń Qiwi.

- Nie tylko Tomas Nau. Wszyscy się nad tym zastanawialiśmy. Wszędzie tu jest bardzo dużo skryzalizowanego węgla - diamenty, skamieniałości. Czyjeś komputery? Ale skamieniałości są za małe, a LI za duże... i wszystkie są teraz tylko martwą skałą.

- Może nie do końca - sprzeciwił się Jau Xin, siedzący po drugiej stronie stołu. - Jest przecież kaworyt.

Belga Underville wychrypięła coś, co nie brzmiało zbyt pochlebnie; Victory wyraźnie się śmiała. Po chwili Zinmin przetłumaczył: -

- Więc teorie Khelma mają nowych zwolenników, tyle że w tej wersji nasz świat jest złomowiskiem, a my Pajaki wyewoluowałyśmy z robactwa, które załęgło się w śmieciach bogów. Jeśli to prawda, to gdzie podziąka się reszta superimperium?

OTCHŁAŃ W NIEBIE

- Nie wiem. Pamiętajcie, że to było jakieś pięćdziesiąt do stu milionów lat temu. Może wybuchła wojna. To najprostsze wyjaśnienie dla waszego układu słonecznego; tędy właśnie przebiegała strefa wojny, wasze słońce zostało zniszczone, a wszystkie planety prócz waszej spalone. - Tylko dlatego, że chroniła je jakaś potężna magia. - A może imperium za mieniło się w coś innego, albo zostawiło was, byście rozwijali się we własnym tempie. - Niektóre z tych teorii brzmiały dość głupawo, gdy wypowiadało się je publicznie.

Underville rozłożyła ręce pozywając w geście, który Pham rozpoznał jako powątpiewający uśmiech.

- Naprawdę mówisz jak Khelm! Ale widzisz, twoja teoria „wyjaśnia” wszystko, niczego przy tym nie rozwiązując, w dodatku nie masz żadnych dowodów na jej poparcie.

Gonie Fong dźgnęła powietrze w geście nieświadomie zapożyczonym od Pająków.

- O czym tu właściwie dyskutować? Arachna była miejscem, gdzie kiedyś spełniły się wszystkie Niespełnione Marzenia. Świetnie. Proste, uniwersalne wyjaśnienie. Ale żyjemy tu i teraz. Bez względu na to, jak naprawdę wyglądała przeszłość Arachny, możemy czerpać ogromne zyski z tego, co znajdujemy tu dzisiaj!

Pham skinął uprzejmie głową.

- Tak. Dobre podejście prawdziwego Queng Ho. Ale, Gonie... ja urodziłem się w cywilizacji zamków i armat. Żyję już bardzo długo, i to nie licząc hibernacji, i wiele widziałem. Od Epoki Świt my, ludzie, nauczyliśmy się trochę tego, trochę tamtego, głównie jednak poznawaliśmy własne ograniczenia. Cywilizacje planetarne rodzą się i upadają. U szczytu swego rozwoju są czymś wspaniałym, ale otacza je nieprzenikniona ciemność. - Zamki i armaty. - Nawet Queng Ho; trwamy i prosperujemy, ale znaleźliśmy granice, do których będziemy dążyć bez końca, z coraz większym trudem, jak choćby prędkość światła. Ja sam poznałem taką granicę wiele lat temu, w Brisgo Gap. Kiedy dowiedziałem się o fiksacji, myślałem, że może to być coś, co pozwoli wreszcie rozproszyć ciemności pomiędzy cywilizacjami. Myliłem się. - Spojrzał na Annę. - Podałem się więc, zrezygnowałem z marzenia mojego życia... a potem rozejrzałem się dokoła. Tutaj, na Arachnie, znaleźliśmy wreszcie coś spoza wszystkich naszych ograniczeń. To zaledwie mała drobina, resztki minionej chwały. Gonie, planowanie może sięgać daleko... Ezer spytał mnie, co zamierzam zrobić po tym, kiedy pokonamy już Emergentów, po naszym ponownym spotkaniu. Cóż, chcę polecieć tam, skąd pochodzi Arachna.

Przez chwilę jeszcze pobrzmiwał głos Trixie tłumaczącej jego słowa, a potem przy stole zapadła cisza. Ezer siedział w całkowitym bezruchu, jak zahipnotyzowany. Pham nie zwierzał się z tych planów nikomu prócz Anny, ta zaś umiała dochować tajemnicy. Ezer Vinh przez całe życie podziwiał Epokę Świt i jej niespełnione marzenia, a teraz doszedł do

VERNOR VINGE

wniosku, że można je jednak zrealizować. Jeszcze przez chwilę tkwił w odrętwieniu, zachwycony tą perspektywą. Wreszcie ocknął się, porażony krytyczną myślą. Jego słowa nie były skargą: chciał, by plan Phama zakończył się sukcesem, lecz...

- Ale w jakim kierunku polecisz? I...

- W jakim kierunku? To proste pytanie, choć będziemy mieli kilka wieków, by się nad nim zastanowić. Pomyśl tylko, ludzkość patrzy na gwiazdy od kilku tysięcy lat. Niemal każda cywilizacja Klientów buduje układy stumetrowych lusterek, stara się ujrzeć rzeczy odległe, fizycznie nieosiągalne. Znajdujemy różne tajemnice, niewytłumaczalne zjawiska. Od czasu do czasu odkrywamy w tej galaktyce okręty gwiazdne i stare transmisje radiowe.

- Więc gdyby prócz tego istniało coś jeszcze, z pewnością byśmy to zobaczyli - odparł Ezer, choć dobrze wiedział, jaki będzie kontrargument Phama. Ta dyskusja była stara jak ludzkość.

- Tylko jeśli jest to coś, co możemy zobaczyć. Niektóre części galaktyki są szczelnie zasłonięte. Jeśli nasza supercywilizacja nie używa radia, jeśli mają coś lepszego od napędów raketowych... właśnie tam, w centrum galaktyki jest miejsce, w którym pozostają poza naszym zasięgiem. - A dziwna orbita OnOff przecina te nieznane głębie.

- No dobrze, Pham, zgoda, wszystko się zgadza. Ale stąd do centrum galaktyki jest jakieś trzydzieści tysięcy lat świetlnych.

- To sto razy więcej niż najdłuższa podróż, na jaką odważyli się do tej pory Queng Ho - odezwała się Gonie. - Jeśli nie znajdziecie po drodze jakiejś cywilizacji, wasze rakiety zużyją się za niecałe tysiąc lat. Możemy marzyć o takiej misji, ale jest zupełnie poza naszymi możliwościami.

Pham uśmiechnął się do wszystkich.

- Tak, teraz jest poza naszymi możliwościami.

- Właśnie to powiedziałam! Zawsze była.

W oczach Ezra pojawił się jednak nowy blask.

- Gonie, on chce powiedzieć, że w przyszłości to może się zmienić.

- Tak! - Pham pochylił się do przodu ciekaw, ilu jeszcze ludzi da się ponieść jego wizji. - Przeprowadźcie mały eksperyment. Wyobraźcie sobie, że życie w Epoce Świtu. Wtedy, przez kilka wieków, ludzie wierzyli, że w przyszłości wszystko radykalnie się poprawi. Dzięki Arachnie możemy odzyskać choć część tej wiary. Może nie czujecie tego teraz. Nie widzicie cywilizacji, którą budujecie. Ezer i Qiwi, wy zakładacie właśnie Wielką Rodzinę, która przyćmi wszystkie inne rodziny w historii Queng Ho. Trixia i Victory, Arachna i wszystkie Pajaki to najwspanialsza rzecz, jaka mogła się przydarzyć naszym interesom. A przecież dopiero zaczynamy poznawać sprzeczności Arachny. Macie rację; dzisiaj planowanie wyprawy do centrum galaktyki może przypominać paplaninę dziecka, które brodzi przy brzegu i mówi o przepłynięciu oceanu. Ale mogą się z wami

OTCHŁAŃ W NIEBIE

założyć, że przed następną Jasnością będziemy dysponować odpowiednią technologią. - Przerwał na moment i spojrzął na Annę. Ta odpowiedziała mu uśmiechem, który krył entuzjazm, a jednocześnie lekką drwinę. - Annę, ja i ci wszyscy, którzy należą do naszej floty, chcemy obalić system Emergentów. Nawet jeśli dojdzie do otwartej walki, jeśli wygramy... kiedy wygramy, nadal pozostanie tam wysoko rozwinięta cywilizacja przemysłowa. Zbudujemy większą flotę, co najmniej dwadzieścia okrętów. A Annę pozwoli mi zmienić nazwę okrętu flagowego na „Motyka na słońce”. Wrócimy tu i przygotujemy się do... poszukiwań. - Czy Annę naprawdę z nim poleci? Powiedziała, że to zrobi. Czy obalenie tyranii pozwoli jej wreszcie zwrócić się ku innym projektom? Może nie. Po ich zwycięstwie całe światy będą wyglądać jak oddział defiksacji na Strychu Hammer -fest. Może Annę nie potrafi opuścić ludzi, których uratowała. Co wtedy? *Me wiem*. Kiedyś doskonale radził sobie z samotnością. A teraz? Jak bardzo się zmieniłem.

Annę uśmiechała się łagodnie. Ścisnęła jego dłoń i skinęła głową, jakby w niemej odpowiedzi na pytania, które stawiał sobie w myślach. Pham patrzył na twarze swych przyjaciół: Qiwi była oszołomiona, Ezr wyglądał jak ktoś, kto bardzo chce uwierzyć, ale ma mnóstwo innych spraw, które odwodzą go od tej wizji. Co do Pająków, to ich reakcje sięgały od agresywnego „pokażcie mi” Belgi Underville do...

Podczas przemówienia Phama Victory Underhill siedziała milcząca i nieruchoma. Teraz przemówiła, głosem miękkim, smutnym, a jednocześnie zaintrygowanym.

- Tato byłby zachwycony tym planem - przełożyła Trixia.

- Tak. - Głos uwiązł Phamowi w gardle, Underhill był geniuszem i marzycielem, postacią żywcem wyjętą z Epki Świtu. Pham już dawno temu przeczytał „pamiętniki” Trixii, opowieść o życiu Underhilla. Kober grzebał głęboko we wnętrzu emergentkiej automatyki, czasami tak głęboko, że zafiksowana Annę Reynolt zauważała ślady jego działalności i uważała je za dowód ludzkiej konspiracji. Pod koniec Underhill wiedział już, czym jest fiksacja; wiedział, że ludzie nie mają sztucznej inteligencji ani technologii odbiegającej znacznie od technologii Pająków. Sherkaner Underhill musiał być bardzo rozzarowany, gdy poznał granice postępu.

Siedząca obok Annę zaczęła kiwać głową, lecz potem się zawahała. I właśnie wtedy zaskoczyła ich wszystkich, łącznie z sobą samą, przede wszystkim jednak Pająki. Przechyliła lekko głowę, a na jej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech.

- A dlaczego właściwie uważacie, że on nie przeżył? Miał tyle samo informacji co każdy z nas i znacznie lepszą wyobraźnię. Dlaczego uważa cie, że to nie jest także jego plan?

- Annę, czytałem jego dzienniki. Gdyby żył, byłby tu z nami.

Annę pokręciła głową.

VERNOR VINGE

- Nie wiem. My, ludzie, nie potrafimy zrozumieć Gorączki Otchłani, a Sherkaner był pewien, że Smith nie żyje. Ale Sherkaner nieraz zaskoczył zarówno ludzi, jak i Pajaki. Prowadził pajęczosć w nieoczekiwanych kierunkach, widział otchłań w niebie. Myślę, że jest tam gdzieś i zamierza przeczekać wszystkie tajemnice.

- To możliwe... całkiem możliwe - powiedziała Trixia z przejęciem, Pham nie wiedział jednak do końca, czy była to opinia jej, czy też Victo-ry.
- Nie wiemy, gdzie naprawdę wylądował na płaskowyżu. Jeśli była to część planu, który przygotował sobie wcześniej, mógł przetrwać.

Pham spojrział na zewnątrz, na Arachnę. Planeta rozciągała się na długości trzydziestu stopni, wielka, czarna perła. Złote i srebrne nici pokrywały gęstą siatką cały kontynent, ciągnęły się przez południową półkulę i przez bładą powierzchnię wschodniego morza. Jednak w wielu miejscach widniały wciąż obszary nieprzeniknionej czerni, ziemie, które miały pozostać zimne i martwe aż do końca Ciemności. Pham drgnął, przeniknięty niesamowitym dreszczem zrozumienia. Tak. Gdzieś tam na dole może spać stary Pająk, śnić o swej utraconej damie... i rozpoczynać największe Wyczekiwanie wszech czasów.

*Tak daleko ,tak blisko
tak wiele dróg do przebycia
tak wiele rzeczy do odkrycia.*